

II
POD SZTANDAREM DZIKIEGO KWIATU

ŚCIANA BURZ

LAUREAT HUGO, NEBULA I WORLD FANTASY AWARDS

KEN LIU

SON
imaginatio

ŚCIANA BURZ

Przenikający narrację duch dalekowschodniej kultury i tradycji, interesujące, wielowymiarowe postacie oraz misternie nakreślone fantastyczne tło wydarzeń nadają książce Liu wyjątkowy charakter, a skala cyklu pozwala autorowi szeroko rozwinąć wachlarz opowiadanej historii. To nakreślona na tle orientalnej, baśniowej scenerii barwna opowieść o państwowości, marzeniach i zawiłych ludzkich losach.

ADAM SKALSKI, KATEDRA

Okazuje się, że fantasy świetnie radzi sobie bez magów, a na wojnie jedwab może być równie zabójczy, co żelazo. Ken Liu kontynuuje opowieść o ludziach mających świadomość, że biorą udział w wydarzeniach, które kiedyś staną się legendą. Warto mieć pod ręką ołówek do podkreślenia kilku pięknie napisanych zdań – niektórych pewnie nie powstydziliby się nawet dawny chiński filozof. Piękna historia opowiedziana z filozoficzną wnikliwością i inżynierską precyzją.

WIOLETTA MYSZKOWSKA, „PRZEWODNIK FANTASTYCZNY”, PROGRAM 3 POLSKIEGO RADIA



II
POD SZTANDAREM DZIKIEGO KWIATU

ŚCIANA BURZ

KEN LIU

tłumaczenie
AGNIESZKA BRODZIK

Kraków 2017

Dla Lisy, Esther i Mirandy, supra omnia familia

UWAGI O WYMOWIE

Wiele imion w Darze pochodzi z klasycznego ano. Zapis literowy klasycznego ano w niniejszej książce nie zawiera samogłosek dwuliterowych; każda samogłoska wypowiedziana jest oddzielnie. Na przykład „Réfiroa” ma cztery sylaby: ré-fi-ro-a. Z kolei „Na-aroénna” ma ich pięć: na-a-ro-én-na.

Literę *i* zawsze wymawia się tak jak w angielskim słowie „mill” (czyli jak polskie *i* – przyp. tłum.).

Literę *o* zawsze wymawia się tak jak w angielskim słowie „code”.

Literę *ü* zawsze wymawia się tak jak w języku niemieckim albo chińskim pinyin.

Niektóre imiona mają inne pochodzenie i zawierają sylaby nieznanne w klasycznym ano, na przykład *xa* w „Xana” czy *ha* w „Haan”. Jednak nawet w takich przypadkach wszystkie samogłoski wymawia się oddzielnie. Dlatego też „Haan” składa się z dwóch sylab.

W przypadku słów pochodzących z Lyucu lub Agonu mamy do czynienia z innym problemem. Ponieważ poznaliśmy je poprzez mieszkańców Dary i ich język, nazwy zapisane w niniejszej książce przeszły dwukrotną modyfikację. Podobnie jak w przypadku użytkowników języka angielskiego, którzy po zapisaniu słów chińskich tak, jak je słyszą, otrzymają jedynie z grubsza podobne dźwięki, tak i transliteracja Lyucu i Agonu w Darze będzie niedoskonała.

LISTA NAJWAŻNIEJSZYCH BOHATERÓW

Chryzantema i mlecz

Kuni Garu: cesarz Dary Ragin.

Mata Zyndu: hegemon Dary (zmarły).

Dwór mlecza

Jia Matiza: cesarzowa Dary, znawczyni ziół.

Risana: konsorta cesarza, iluzjonistka i zręczna muzykantka.

Cogo Yelu: premier Dary.

Gin Mazoti: marszałek Dary, królowa Gėjiry; najwspanialszy taktyk wojenny swojego pokolenia i matka Ayi Mazoti.

Rin Coda: sekretarz Cesarskiego Dalekowidztwa, przyjaciel Kuniego z dzieciństwa.

Mün Çakri: dowódca oddziałów piechoty.

Than Carucono: dowódca oddziałów kawalerii i marynarki.

Puma Yemu: markiz Porinu, piewca taktyki rabunkowej.

Théca Kimo: książę Arulugi.

Dafiro Miro: kapitan Straży Pałacowej.

Otho Krin: kasztelan cesarza Ragina.

Soto Zyndu: powierniczka i doradczyni Jii.

Dzieci Kuniego

Timu (imię mleczne: Toto-tika): książę, pierworodny syn Kuniego i Jii. Théra (imię mleczne: Rata-tika): księżniczka, córka Kuniego i Jii.

Phyro (imię mleczne: Hudo-tika): książę, syn Kuniego i konsorty Risany.

Fara (imię mleczne: Ada-tika): księżniczka, córka Kuniego i konsorty Finy, która zmarła w trakcie porodu.

Mędracy

Luan Zya: główny strateg Kuniego z czasów powstania, który odmówił przyjęcia jakiegokolwiek tytułu; kochanek Gin Mazoti.

Zato Ruthi: cesarski nauczyciel; główny Moralista epoki.

Zomi Kidosu: ceniona uczennica tajemniczego nauczyciela; córka rolniczo-rybackiego małżeństwa z Dasu, Ogiego i Aki Kidosu.

Kon Fiji: słynny filozof z epoki Ano, założyciel szkoły moralistów.

Ra Oji: słynny poeta z epoki Ano, założyciel szkoły fluksistów.

Na Moji: słynny xański inżynier, który badał lot ptaków, założyciel szkoły paternistów.

Gi Anji: współczesny filozof epoki Tiro, założyciel szkoły inentywistów.
Lyucu

Pékyu Tenryo Roatan: przywódca ludu Lyucu.

Vadyu Roatan (nazywana Tanvanaki): księżniczka, najlepsza pilotka garinafin, córka Tenryo.

Cudyu Roatan: książę, syn Tenryo.

Bogowie Dary

Kiji: patron Xany, Władca Powietrza; bóg wiatru, latania i ptaków; jego *pawi* to sokół Mingén; lubi biały płaszcz podróżny.

Tututika: patronka Amu, najmłodsza z bogów; bogini rolnictwa, piękna i słodkiej wody; jej *pawi* to złoty karp.

Kana i Rapa: bliźniacze patronki Cocru; Kana jest boginią ognia, popiołu, kremacji i śmierci, Rapa jest boginią lodu, śniegu, lodowców i snu; ich *pawi* to bliźniacze kruki: czarny i biały.

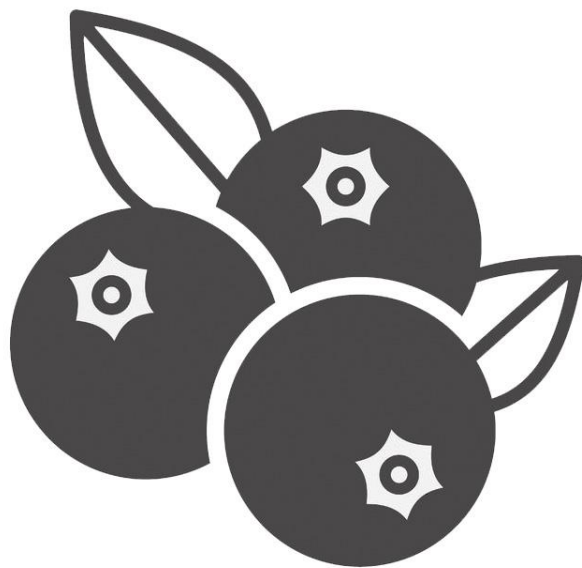
Rufizo: patron Faça, Święty Uzdrowiciel; jego *pawi* to gołąb.

Tazu: patron Ganu; nieprzewidywalny, chaotyczny, uwielbia ryzykować; bóg prądów morskich, tsunami i zatopionych skarbów; jego *pawi* to rekin.

Lutho: patron Haanu; bóg rybaków, wróżbiarstwa, matematyki i wiedzy; jego *pawi* to morski żółw.

Fithowéo: patron Rimy; bóg wojny, łowów i kowalstwa; jego *pawi* to wilk.

SZEPCZĄCA BRYZA



Rozdział pierwszy Wagarowicze

Pan: drugi miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Posłuchajcie mnie, panie i panowie.

Niech me słowa wymalują wam sceny wiary i odwagi.

Książęta, generalowie, ministrowie i służki, każdemu nieco uwagi.

Czym jest miłość dla księżniczki? Przed czym drżą królowie?

Jeśli trunkiem poluźnicie mi język i serce rozgrzejecie monetą,

wszystko wam zdradzę...

Niebo zasnęły chmury, a zimny wiatr przyniósł kilka płatków śniegu. Przechodnie w grubych płaszczach i futrzanych czapkach chyłkiem przemykali przez ulice Pan, Miasta Harmonii, śpiesząc się do ciepłych domów.

Albo przytulnego kąta w pubie, takim jak Trójnogi Dzban.

– Kira, czy to nie twoja kolej na stawianie? Wszyscy wiedzą, że twój mąż oddaje ci każdego miedziaka.

– I kto to mówi! Twój boi się kichnąć bez pozwolenia żony! Ale dzisiaj chyba Jizan stawia, siostrze. Słyszałam, że bogaty kupiec z Ganu dał jej wczoraj pięć srebrników napiwku!

– Niby za co?

– Zaprowadziła go do jego ulubionej kurtyzany i w labiryncie ciemnych uliczek udało jej się zgubić szpiegów wynajętych przez jego żonę!

– Jizan! Nie miałam pojęcia, że posiadasz takie umiejętności...

– Nie słuchaj tych oszczerstw. Czy ja wyglądam jak ktoś, kto ma pięć srebrników?

– Cóż, wchodziłaś tutaj ze znaczącym uśmiechem. Pewnie ładnie ci zapłacił za pomoc w zorganizowaniu schadzki...

– Cicho już bądź! Jeszcze trochę i ktoś pomyśli, że witam gości w domu indygo...

– Ha, ha! Dlaczego miałabyś tylko ich witać? Na moje stać by cię było na zarządzanie całym domem indygo. Ba! Domem szkarlatu! Zdarzyło mi się ślinić do niejednego z tych chłopców. A może pomogłabyś siostrze z małą potrzebą...

– Chyba raczej dużą potrzebą...

– Czy wy nie potraficie choć na chwilę wznieść się myślami ponad rynsztok?

Czekaj... Phiphi, chyba słyszałam brzdęk monet w twojej sakiewce, kiedy wchodziłaś. Czyżby poszczęściło ci się wczoraj w mahjonga?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Aha! Wiedziałam! Masz wszystko wymalowane na twarzy, dziwię się, że w ogóle potrafisz blefować w tej grze. Słuchaj, jeśli chcesz, żebyśmy z Jizan nie wspominały przed twoim mężem o twoim małym uzależnieniu od hazardu...

– Ty łysa kwoko! Ani mi się waź!

– Trudno się skupić na trzymaniu sekretów, gdy się człowiekowi chce pić. A może by tak zamówić trochę tego „nawilżacza umysłu”, jak to ładnie nazywają w operze?

– Och, wy zepsute... Dobra, dzisiaj ja stawiam.

– Kochana siostrzyczka.

– To tylko niewinne hobby, ale nie mogę znieść, jak mój stary lazi po domu ze smętną miną i marudzi, że przegram cały nasz dobytek.

– Trzeba przyznać, że wydajesz się ulubienicą Tazu. Ale fartem należy się dzielić!

– Rodzice przed moimi narodzinami najwyraźniej nie złożyli wystarczająco dobrej ofiary w Świątyni Tututiki, skoro wylądowałam z wami w roli „przyjaciółek”...

Tutaj, w środku Trójnogiego Dzbana, karczmy przycupniętej na obrzeżach miasta, ciepłe wino ryżowe, zimne piwo i arak kokosowy płynęły równie wartko co rozmowy. Płomienie tańczyły w palenisku na drewnianych polanach, napelniając pomieszczenie ciepłym światłem, a gości chętką na toasty. Zamarzająca para wodna na szybach w oknach tworzyła cudowne i skomplikowane wzory, odgradzając wnętrze od świata. Goście siedzieli wokół niskich stołów w pozycji *géüpa*, rozluźnieni i radośni, zjadali się pieczonymi orzeszkami w sosie z kolokazji, które podkreślały smak trunków.

Zazwyczaj artysta zabawiający ludzi opowieścią nie oczekiwałby od nich zaprzestania rozmów. Jednak ten im dłużej mówił, tym mniej głosów dało się słyszeć w tle. W tej jednej chwili przestały istnieć wszelkie różnice między stajennymi bogatego kupca z Wilczej Łapy, służkami mędrca z Haanu, urzędnikami cesarskimi niskiego szczebla wymykającymi się popołudniem z biura, robotnikami odpoczywającymi po uczciwej porannej pracy, właścicielami sklepów, którzy udali się na chwilę przerwy, oddawszy swoje przybytki we władanie żonom, pokojówkami i matronami załatwiającymi sprawunki na mieście i spotykającymi się z przyjaciółmi – wszyscy stali się jedynie zafascynowanymi słuchaczami gawędziarza stojącego na środku karczmy.

Napił się spienionego piwa, odstawił kufel, klepnął kilka razy dłońmi po długich rękawach i ciągnął dalej:

– Wtem hegemon dobył Na-aroénny, zaś Mocri wycofał się o krok, by podziwiać wspaniałe oręż: przesładowcę wrogów, pogromcę nadziei, ciemności dusz. Nawet księżyc jakby nieco przygasł, onieśmielony blaskiem tej cudownej broni. „Przepiękny macie miecz – powiedział król Mocri, czempion Ganu. – Przewyższa

wszystkie inne miecze tak jak consorta Mira przewyższa wszystkie inne kobiety”.

Hegemon popatrzył na Mocriego z pogardą, jego podwójne źrenice zabłyszczały. „Czyżbyście chwalili moje oręż, bo w waszych oczach posiadam niesprawiedliwą przewagę? Podejdźcie i wymieńmy się mieczami, a ja pewien jestem, że i tak was pokonam”. Mocri odrzekł: „A gdzieżby! Chwałę ten oręż, ponieważ wierzę, iż wojownika poznaje się po wybranej przez niego broni. Cóż lepszego może się przydarzyć człowiekowi niż spotkanie prawdziwie godnego siebie przeciwnika?”.

Twarz hegemonu nieco złagodniała. „Wolałbym, żebyście nigdy się nie zbuntowali, Mocri...”

W kącie, ledwo oświetlonym przez blask ognia, dwóch chłopców i dziewczynka siedzieli skuleni wokół stolika. Ich szaty konopne były proste, ale solidnie wykonane, po czym można było wnosić, że to dzieci rolników albo służący bogatej kupieckiej rodziny. Starszy chłopiec wyglądał na dwanaście lat, miał jasną karnację, łagodne oczy i proporcjonalną budowę ciała. Ciemne, naturalnie kręcone włosy związał w nieporządny kok na czubku głowy. Po drugiej stronie stołu siedziała dziewczynka na oko rok młodsza, również o jasnej cerze i kręconych włosach – rozpuszczonych, opadających kaskadą wzdłuż ładnej, okrągłej twarzy. Uniosła kąciki ust w delikatnym uśmiechu i rozejrzała się po pomieszczeniu. Jej piękne oczy w kształcie dyrany błyszcząły. Chłonęła wszystko z żywym zainteresowaniem. Obok niej miejsce zajął chłopiec jeszcze młodszy, mniej więcej dziewięcioletni, który miał cerę ciemniejszą, włosy zaś proste i czarne. Starsze dzieci wzięły młodszego w środek, między siebie, uniemożliwiając wyjście zza stołu. Jego szelmowski błysk w oku i nieustanne wiercenie się sugerowały powód tego stanu rzeczy. Podobieństwo rysów twarzy świadczyło o pokrewieństwie trojga dzieci.

– Ale fajnie! – szepnął młodszy chłopiec. – Złożę się, że mistrz Ruthi ciągle myśli, że tkwimy w swoich pokojach i odbywamy karę.

– Phyro – zaczął starszy, nieznacznie marszcząc brwi – dobrze wiesz, że nam się nie upiecze. I tak będziemy musieli dzisiaj napisać trzy eseje o tym, jak można odnieść *Moralność* Kona Fijego do naszego zachowania, jak szczenięcą energię można okiełznać edukacją, zaś...

– Ciii... – uciszyła go dziewczynka. – Próbuje słuchać gawędziarza! Przestań prawić kazania, Timu. Już się zgodziłeś, że nie ma różnicy, czy najpierw się zabawimy, a potem pouczymy, czy najpierw pouczymy, a potem zabawimy. To się nazywa „zamiana czasu”.

– Zaczynam myśleć, że te wasze pomysły powinny się raczej nazywać „stratą czasu” – oznajmił starszy chłopiec. – Nie powinniście byli z Phyro żartować z Mistrza Kona Fijego, a ja powinienem był was traktować surowiej. Karę należy przyjmować z godnością.

– Och, poczekaj tylko, aż się dowiesz, co żeśmy z Thérą... mmf...

Dziewczyna zatkała młodszemu bratu usta.

– Nie faszeryjmy Timu zbędną wiedzą, dobrze? – Phyro pokiwał głową, a Théra go puściła.

Chłopiec wytarł usta.

– Jesteś słona! Fuj! – prychnął, po czym odwrócił się do starszego brata. – Skoro tak się nie możesz doczekać pisania esejów, Toto-tika, z ogromną chęcią przekażę ci własny ich przydział, żebyś mógł napisać ich sześć zamiast trzech. Mistrz Ruthi i tak woli twoje.

– Akurat! Jedyne powód, dla którego zgodziłem się wymknąć z tobą i Thérą, jest taki, że jako najstarszy powinienem się wami opiekować, a wy obiecaliście, że później przyjmiecie karę...

– Starszy bracie, jestem zszokowany! – Phyro przyjął srogi wyraz twarzy, naśladując minę, którą przybierał ich nauczyciel przed rozpoczęciem kolejnej tyrady. – Czyż Kon Fiji w swoich *Opowieściach o rodzinnym oddaniu* nie pisał, że młodszy brat powinien wręczyć starszemu najdorodniejsze śliwki z koszyka, by okazać mu szacunek? Czyż nie jest też napisane, że starszy brat winien bronić młodszego przed zadaniami wykraczającymi poza jego możliwości, ponieważ obowiązkiem silniejszego jest chronić słabszego? Eseje są dla mnie jak twarde orzechy, lecz dla ciebie to soczyste śliwki. Proponuję ci to, ponieważ staram się być dobrym moralistą. Myślałem, że będziesz zadowolony.

– To... nie możesz... – W tej odmianie sztuki prowadzenia dyskusji Timu nie mógł się równać z młodszym bratem. Zgromił Phyro wzrokiem, a na jego twarzy wykwitł rumieniec. – Żebyś ty był taki mądry na lekcjach.

– Powinieneś się cieszyć, że Hudo-tika choć raz przeczytał to, co zostało zadane – powiedziała Théra, która podczas kłótni braci starała się zachować powagę. – A teraz bądźcie obaj cicho, bo chcę posłuchać opowieści.

– ...spuścił Na-aroénnę, którą Mocri zatrzymał swą tarczą obitą żelazem i wzmocnioną łuskami crubena. Zupełnie jakby sam Fithowéo uderzył włócznią w górę Kiji albo Kana swą ognistą pięścią w powierzchnię morza. Lepiej jeszcze, posłuchajcie, jak wyśpiewam wam historię tego pojedynku:

Z jednej strony czempion Ganu, Wilczej Łapy syn;

Z drugiej strony hegemon Dary, ostatni z rodu Zyndu.

Jeden jest dumą ludu wyspiarzy, znakomitych włóczników;

Drugi wcieleniem boga wojny, samego Fithowéo.

Czy Pogromca Wątpliwości pokaże, któż jest władcą Dary?

A może Goremaw wreszcie zakrztusi się posiłkiem?

Jeden sieknie mieczem, drugi grzotnie pałą.

Ziemia się trzęsie, gdy dwaj tytani biją, skaczą, łupią.

Przez dziewięć dni i dziewięć nocy na odludnym wzgórzu walczyli,

a siłę ich woli sami bogowie Dary sądzili...

Śpiewając, gawędziarz stukał kuchenną łyżką o skorupę orzecha kokosowego, żeby imitować odgłosy miecza uderzającego w tarczę. Od czasu do czasu podskakiwał lub machał długimi rękawami, żeby przywołać wojenny taniec legendarnych bohaterów. Jego głos unosił się i opadał, w jednej chwili brzmiał ostro, w następnej był tkliwy i rozmarzony, a słuchacze myślami przenosili się do innego czasu i miejsca.

– Po dziewięciu dniach zarówno hegemon, jak i król Mocri byli u kresu sił. Po odparciu kolejnego ciosu Pogromcy Wątpliwości Mocri zrobił krok w tył i potknął się o kamień. Upadł, wypuszczając z rąk miecz i tarczę. Wystarczyłby jeden cios hegemonowi, by skrócić go o głowę.

– Nie! – Phyro nie zdołał się powstrzymać. Timu i Théra, równie zaabsorbowani historią, nie uciszali go.

Gawędziarz z zadowoleniem skinął w kierunku dzieciaków i zaraz wrócił do opowieści.

– Jednak hegemon pozostał na miejscu i czekał, aż Mocri podniesie się i stanie w gotowości, z mieczem i tarczą w ręku. „Dlaczego tego nie skończyłeś?”, zapytał Mocri, dysząc. „Ponieważ wielki człowiek zasługuje na to, by jego życie nie skończyło się przypadkiem – rzekł hegemon, który oddychał równie ciężko. – Świat może nie jest sprawiedliwy, lecz musimy się starać, by go takim uczynić”. „Hegemonie – odparł Mocri – cieszę się i smucę jednocześnie, że się spotkaliśmy”.

I znów ruszyli przeciwko sobie, krocząc głośno i dumnie.

– No i to się nazywa prawdziwy bohater – wyszeptał Phyro z podziwem i tęsknotą. – Hej, Timu i Théra, wy poznaliście hegemoni, prawda?

– Tak, ale to było bardzo dawno temu – odpowiedział Timu. – Właściwie to niewiele pamiętam, poza tym, że był naprawdę wysoki, a te jego dziwne oczy wyglądały potwornie i dziko. Pamiętam, jak myślałem o tym, ile siły musi mieć, by posługiwać się tym ogromnym mieczem, który nosił na plecach.

– Musiał być wspaniałym człowiekiem – stwierdził Phyro. – Był taki honorowy, taki wspaniałomyślny dla swoich wrogów. Jaka szkoda, że nie mogli razem z tatą...

– Cicho! – przerwała mu Théra. – Hudo-tika, nie tak głośno! Chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, kim jesteśmy?

Phyro może był nieznośny dla starszego brata, lecz autorytet siostry respektował. Natychmiast zniżył głos.

– Przepraszam. Po prostu wydaje mi się, że był niesamowicie odważnym człowiekiem. I Mocri też. Muszę opowiedzieć Ada-tice o bohaterze z jej rodzinnej wyspy. Dlaczego mistrz Ruthi nigdy nam nic nie mówił o Mocrim?

– To tylko historyjka – oznajmiła Théra. – Chyba nie wierzysz, że naprawdę walczyli przez dziewięć dni i dziewięć nocy? Pomyśl tylko: gawędziarza tam nie było,

więc skąd może wiedzieć, co powiedzieli hegemon i Mocri? – Widząc rozczarowanie na twarzy braciszka, zaraz dodała łagodniejszym tonem: – Jeśli chcesz usłyszeć prawdziwe historie o bohaterach, opowiem ci później o tym, jak ciocia Soto powstrzymała hegemonia przed skrzywdzeniem mamy i nas. Miałam wtedy tylko trzy latka, ale pamiętam to, jakby się wydarzyło wczoraj.

Phyro aż oczy zabłyszczały i już miał zapytać o więcej szczegółów, kiedy nagle dało się słyszeć srogi męski głos.

– Dosyć mam tych absurdalnych bajek, ty zuchwały oszuście!

Zszokowany gawędziarz urwał w pół zdania. Wszyscy klienci karczmy spojrzeli na intruza. Obok paleniska stał wysoki mężczyzna, szeroki w barach i umięśniony jak robotnik portowy. Nie mógł się z nim równać chyba żaden z mężczyzn obecnych w pomieszczeniu. Poszarpana blizna, zaczynająca się przy lewej brwi i kończąca na prawym policzku, przydawała jego twarzy strasznego wyrazu, który wzmagił jeszcze widok naszyjnika z wilczych zębów na jego gęsto owłosionej piersi, widocznej pomiędzy luźnymi kłapami krótkiej szaty. W rzeczy samej, gdy przybysz obnażył swe żółte zęby, wyglądał niczym wygłodniały wilk podczas polowania.

– Jak śmiesz zmyślać takie opowieści o tym zdrajcy Macie Zyndu? Przecież próbował przeszkodzić cesarzowi Raginowi w zdobyciu należytego tronu, spowodował wiele niepotrzebnego cierpienia i zniszczeń. Chwaląc tego nikczemnego tyrana Zyndu, oczerniasz zwycięstwo naszego mądrego cesarza i pomawiasz Tron Mlecza. Oto są słowa zdrady.

– Dopuszczam się zdrady, opowiadając kilka historyjek? – Gawędziarz tak się zirytował, że aż wybuchnął śmiechem. – A może jeszcze mi powiesz, że członkowie wszystkich trup teatralnych to wichrzyciele, bo pokazują wzloty i upadki dynastii tirojskich? A może mądry cesarz Ragin jest zazdrosny o kukielki ze sztuk o cesarzu Mapidérém? Ależ z ciebie głupiec!

Właściciele Trójnogiego Dzbana, okrągły mężczyzna o mikrym wzroście i jego równie okrągła żona, wbiegli między spierających się ze sobą klientów, żeby ich pogodzić.

– Panowie! Pamiętajmy, że jesteśmy w skromnym przybytku rozrywki i odpoczynku! Żadnej polityki, uprzejmie proszę! Wszyscyśmy tu przyszli po ciężkim dniu pracy, żeby wypić parę kufli piwa i się zabawić. – Mężczyzna odwrócił się do olbrzyma z blizną i uklonił się nisko. – Panie, widzę, żeś człek o gorącej krwi i silnym kręgosłupie moralnym. Jeśli opowieść was uraziła, pierwszy przepraszam. Dobrze znam Tino i zapewniam, że nie zamierzał obrażać cesarza. Wręcz przeciwnie! Zanim został gawędziarzem, walczył u boku cesarza Ragina w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem w Haanie, kiedy cesarz był jeszcze jedynie królem Dasu. Jego żona uśmiechnęła się przymilnie.

– A może by tak flaszkę wina śliwkowego na nasz koszt? Jeśli napije się pan razem z Tino, jestem pewna, że całe to nieporozumienie szybko odejdzie w niepamięć.

– Jak pani śmie sugerować, że chciałbym się napić wina z kimś takim? –

oburzył się gawędziarz i pogardliwie machnął szerokim rękawem w kierunku olbrzyma z blizną.

Inni klienci również zaczęli lżyć intruza.

– Siadaj, ty ignorancki wieprzu!

– Wynoś się, jak ci się historia nie podoba. Nikt cię nie zmusza do słuchania!

– Sam cię wyrzucę, jak się zaraz nie uspokoisz! Przybysz uśmiechnął się, sięgnął po klapę szaty, pod wiszący na piersi wilczy naszyjnik, i wyciągnął stamtąd małą metalową tabliczkę. Pomachał nią, pokazując ją pozostałym gościom, a potem podstawił pod nos właścicielce przybytku.

– Rozpoznajecie?

Kobieta zmrużyła oczy, żeby dobrze się przyjrzeć. Tabliczka miała wielkość dwóch dłoni, a wyryte na niej były dwa logogramy: oko z wychodzącymi z niego promieniami, oznaczające słowo „wzrok”, oraz logogram słowa „daleki”, czyli liczebnik „tysiąc” zmodyfikowany przez wijącą się wokół niego ścieżkę. Zszokowana właścicielka zaczęła się jękać.

– P-pan jest... yyy... jest pan z...

Przybysz schował tabliczkę i rozejrzał się prowokująco po pomieszczeniu z zimnym, pozbawionym wesołości uśmiechem.

– Zgadza się. Służę księciu Rinowi Codzie, Sekretarzowi Cesarskiego Dalekowidztwa.

Pokrzykiwania klientów zaraz przycichły i nawet harde dotąd spojrzenie Tino przygasło. Chociaż przybysz wyglądał bardziej jak bandyta niż urzędnik, mówiło się, że książe Coda, który dowodził szpiegami cesarza Ragina, współpracował też z nieco bardziej szemranym towarzystwem. Także z kimś takim jak olbrzym z blizną. Co prawda nikt z obecnych w karczmie nie słyszał, by jakikolwiek gawędziarz wpadł w kłopoty z powodu nieco wyolbrzymionej opowieści na temat hegemonia, lecz książe Coda faktycznie zajmował się między innymi tropieniem zdrajców i niezadowolonych byłych arystokratów, którzy spiskowali przeciwko cesarzowi. Nikt nie chciał ryzykować, że napyta sobie biedy, występując przeciwko zaufanemu człowiekowi cesarza.

– Czekaj... – Phyro już miał coś powiedzieć, kiedy Théra złapała go pod stołem za rękę i ścisnęła, a potem powoli pokręciła głową.

Widząc, jakie wrażenie wywarł na wszystkich dokoła, olbrzym z blizną uśmiechnął się z satysfakcją. Odepchnął właścicieli przybytku i pomaszerował w stronę Tino.

– Tacy cwani, nielojalni artyści jak ty są najgorsi. Fakt, że walczyłeś dla cesarza, nie daje ci prawa, by mówić, co ślina na język przyniesie. Normalnie zabrałbym cię do konstabli na dalsze przesłuchanie – Tino skurczył się ze strachu – ale mam dzisiaj dobry humor. Jeśli zapłacisz dwadzieścia pięć sztuk srebra i przeprosisz za błędy, może puszcze cię z ostrzeżeniem.

Tino zerknął na te kilka monet w miseczce z napiwkami i odwrócił się z powrotem do olbrzyma. Ukłonił mu się kilka razy. Wyglądał przy tym jak kura dziobiąca w ziemi.

– Szlachetny panie, proszę! Ta suma to więcej, niż zarabiam w ciągu tygodnia. A w domu mam chorą matkę...

– Oczywiście, że tak – odparł mężczyzna z blizną. – Będzie za tobą potwornie tęsknić, gdy trafisz na przesłuchanie, prawda? A porządne zbadanie sprawy może zająć kilka dni, nawet tydzień. Rozumiesz?

Na twarzy Tino odmalowała się wściekłość, a następnie poniżenie. Wreszcie uznał swoją porażkę i sięgnął za pazuchę, by wyciągnąć sakiewkę. Klienci karczmy odwrócili wzrok, bojąc się choćby pisnąć.

– Nie myślcie sobie, że was to ominie – oznajmił mężczyzna z blizną. – Widziałem, jak wam się podobało, kiedy gawędziarz przemycił w swej kłamliwej historyjce krytykę cesarza. Każdy z was będzie musiał zapłacić jedną srebrną monetę za współudział w przestępstwie.

Kobiety i mężczyźni w tawernie wydawali się niepokieszeni, ale kilkoro westchnęło i zaczęło wyciągać sakiewki.

– Przestańcie.

Mężczyzna z blizną rozejrzał się w poszukiwaniu źródła tego ostrego, zdecydowanego głosu, w którym nie dało się słyszeć choćby cienia strachu. W ciemnym kącie dostrzegł czyjąś niewyraźną postać, która po chwili podeszła do paleniska, wyraźnie kulejąc. Każdemu jej krokowi towarzyszyło stukanie laski.

Chociaż ubrana była w powłóczystą, wykończoną niebieskim jedwabiem szatę uczonego, okazała się kobietą. Miała jakieś osiemnaście lat, jasną cerę i szare oczy, które emanowały pewnością siebie nieprzystającą do jej wieku. Jej lewy policzek pokrywały rozchodzące się promieniście krawędzie blad różowej blizny, niczym szkie kwiatu w rozkwicie, którego łodyżka ciągnęła się po szyi jak linia boczna na ciele ryby. Przydawało to swego rodzaju żywotności tej skądinąd wymizerowanej dziewczynie. Jej jasnobrązowe włosy były upięte na czubku głowy w zwyczajny potrójny kok. Z jej niebieskiej szarfki zawiązanej w pasie zwisały frędzle i plecione sznurki – znak rozpoznawczy mieszkańców dalekich północno-zachodnich wysp dawnej Xany. Dziewczyna opierała się na drewnianej lasce, niemal tak wysokiej jak ona sama. Prawą rękę oparła na noszonym przy pasie mieczu, którego pochwa i rękojeść wyglądały na zniszczone i nędznej jakości.

– Czego chcesz? – zapytał mężczyzna z blizną. W jego głosie jednak nie słyszało się już takiej arogancji jak wcześniej. Zawijany kok dziewczyny i śmiałość, z jaką nosiła broń w Pan, wskazywały, że należała do uczonych o randze *cashima*, co w klasycznym ano oznaczało „praktykę”: zdała drugi poziom cesarskich egzaminów.

Cesarz Ragin przywrócił i rozwinął system egzaminów na urzędników państwowych – dawniej praktykowany przez królów tirojskich i xańskiego cesarza – uczyniwszy go jedynym modelem awansu dla ludzi z ambicjami politycznymi. Tym samym wyeliminował inne przez długi czas stosowane sposoby zdobywania ważnych stanowisk: protekcję, kupowanie i dziedziczenie tytułów czy rekomendację ze strony szlachetnie urodzonych. Konkurencja na egzaminach była zażarta, zaś cesarz – samemu osiągnąwszy władzę dzięki pomocy kobiet na wysokich stanowiskach – pozwolił brać w nich udział przedstawicielom obu płci. Chociaż kobiety w *toko*

dawiji – randze nadawanej tym, którzy zdali egzaminy miejskie, czyli te najniższego stopnia – wciąż spotykało się rzadko, a te w randze *cashima* jeszcze rzadziej, cieszyły się takimi samymi przywilejami, co mężczyźni. Na przykład *toko dawiji* były zwolnione z pańszczyzny, zaś *cashima* dodatkowo mogły zostać zaprowadzone bezpośrednio do cesarskiego magistratu w chwili oskarżenia o przestępstwo, zamiast trafić na przesłuchanie do konstabli.

– Przestań dręczyć tych ludzi – powiedziała spokojnie. – A już z pewnością zapomnij o wydobyciu srebrnej monety ode mnie.

Człowiek z blizną nie spodziewał się kogoś w jej randze w takiej mordowni jak Trójnogi Dzban.

– Droga pani, wy oczywiście nie musicie płacić. Nie wątpię, że w niczym nie przypominacie tych zdradzieckich kundli.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie wierzę, że pracujesz dla księcia Cody.

Przybysz zmrużył oczy.

– Wątpisz w znak dalekowzrocznych?

Uśmiechnęła się.

– Tak szybko go schowałeś, że nie zdążyłam mu się przyjrzeć. A może mi go jeszcze pokażesz?

Mężczyzna roześmiał się niezręcznie.

– Taka uczona z pewnością rozpoznała logogramy na pierwszy rzut oka.

– Łatwo je podrobić za pomocą wosku i warstwy srebrnej farby, zaś o wiele trudniej wykuć naprawdę przekonującą tabliczkę od sekretarza Rina.

– Co... co ty bredzisz? Przecież to czas Wielkiego Egzaminu, kiedy śmietanka uczonych z całej Dary zjeżdża się do stolicy. Wichrzyciele tylko czekają na taką okazję, by skrzywdzić utalentowanych mężczyzn i, no, kobiety, którzy przybyli służyć cesarzowi. To naturalne, że książę Coda zwiększyłby liczbę agentów.

Dziewczyna pokręciła głową i ciągnęła dalej z niezmałym spokojem.

– Cesarz Ragin szczył się sławą tolerancyjnego władcy otwartego na szczere rady. Z jego ręki nawet Zato Ruthi, który niegdyś występował przeciwko niemu, doczekał się stanowiska Cesarskiego Nauczyciela ze względu na szacunek, jakim cieszyła się jego wiedza. Oskarżanie gawędziarza o zdradę za trochę artystycznej swobody zmroziłoby serca kobiet i mężczyzn, których cesarz próbuje zwerbować. Książę Coda, który doskonale zna cesarza, nigdy nie zezwoliłby na takie działania.

Mężczyzna aż poczerwieniał. Na jego twarzy odmalowała się furia, a gruba blizna zdawała się wić jak wąż. Mimo to nawet nie drgnął, nie postąpił w stronę dziewczyny nawet o krok.

Ta roześmiała się.

– Właściwie to sama zawołam konstabli. Podszywanie się pod cesarskiego agenta to przestępstwo.

– O nie – szepnęła Théra.

– Co? – rzucili Timu i Phyro jednocześnie.

– Nie powinno się zapędzać w kąt wściekłego psa – jęknęła dziewczynka.

Mężczyzna z blizną zmrużył oczy, a jego respekt wobec kobiety w randze *cashima* ustąpił pod naporem gniewu. Przybysz ryknął i rzucił się na dziewczynę. Zaskoczona zdołała w ostatniej chwili niezdarnie usunąć mu się z drogi, ciągnąc za sobą niesprawną lewą nogę. Postawny napastnik wylądował na stole, a siedzący przy nim klienci odskoczyli, przeklinając i krzycząc. Mężczyzna zaraz się podniósł, wyraźnie jeszcze bardziej zezłoszczony, i zlorzecząc, znów przypuścił atak.

– Mam nadzieję, że dziewczyna walczy tak samo dobrze, jak gada – stwierdził Phyro. Zaklaskał i się roześmiał. – Nigdy jeszcze nie mieliśmy takiej zabawy!

– Nie ruszajcie się! – rozkazał Timu, wyciągając ręce, by ochronić brata i siostrę przed zamieszaniami.

Dziewczyna dobytek miecza. Wciąż opierając się na lasce, niepewnie wysunęła broń przed siebie i skierowała ku napastnikowi. Jednak ten jakby oszalał – nie zwolnił, po prostu rzucił się na nią, chwytając ostrze miecza gołymi dłońmi.

Klienci karczmy zamarli, spodziewając się, że spomiędzy ściśniętych palców zaraz popłynie krew.

Rozległ się trzask. Miecz złamał się w pół, a dziewczyna wylądowała na podłodze, przygnieciona ciałem mężczyzny. Wciąż trzymała w ręku połówkę swojej broni, a nigdzie nie dało się dostrzec nawet kropli krwi.

Ten z blizną roześmiał się i rzucił drugą część miecza do paleniska, gdzie pomalowane srebrną farbą drewno zaraz zajęło się ogniem.

– Kto tu jest prawdziwym oszustem? – zakpił. – Swój pozna swego, co? A teraz mi za to zapłacisz. – Podeszedł do wciąż ogłuszonej dziewczyny niczym wilk zbliżający się do ofiary. Teraz, gdy rąbek jej szaty zadarł się, mężczyzna zobaczył, że jej lewa noga została umieszczona w swego rodzaju uprzęży, podobnej do tych noszonych przez weteranów, którzy na wojnie potracili członki. – Czyli jesteś też bezużyteczną kaleką. – Splunął na nią, podniósł prawą nogę obutą w ciężki skórzany bucior i wycelował w głowę.

– Ani mi się waż! – krzyknął Phyro. – Tylko jej dotknij, a pożałujesz! Mężczyzna z blizną zatrzymał się i odwrócił w stronę trójki dzieciaków w kącie.

Timu i Théra gapili się na młodszego brata.

– Mistrz Ruthi zawsze powtarza, że prawdziwy moralista musi stawać po stronie potrzebujących – oznajmił obronnym tonem Phyro.

– Więc nagle postanowiłeś, że czas zacząć słuchać mistrza Ruthiego? – jęknęła Théra. – Wydaje ci się, że jesteśmy w pałacu, otoczeni przez strażników, którzy nas obronią?

– Przepraszam, ale nie mogłem pozwolić, by kalali imię taty! – szepnął zawziętym tonem Phyro.

– Uciekajcie, oboje! – krzyknął Timu. – Ja go zatrzymam. – Zamachał cienkimi rękami, niepewny, co właściwie z nimi począć.

Przyjrzawszy się trójce „bohaterów”, mężczyzna z blizną wybuchnął śmiechem.

– Zajmę się wami, bachory, jak już skończę z tą tutaj. – Odwrócił się i pochylił, żeby sięgnąć po sakwę podróżną przyczepioną do przepaski dziewczyny.

Théra omiotła wzrokiem wewnątrz karczmy: niektórzy klienci stali przyciśnięci do ścian, próbując trzymać się jak najdalej od miejsca bójki, inni powoli wycofywali się w stronę drzwi. Nikt nie zamierzał przeszkadzać mężczyźnie w kradzieży – a może i czymś gorszym. Théra złapała Phyro za uszy, zanim zdążył czmychnąć, odwróciła go twarzą w swoją stronę, a potem przystawiła czoło do jego czoła.

– Auć! – syknął chłopiec. – Musisz to robić?

– Timu jest odważny, ale nie poradzi sobie w walce – powiedziała.

Phyro pokiwał głową.

– Chyba że mówimy o pojedynku w zapisywaniu najbardziej nieznanym logogramów.

– Właśnie. Czyli musimy coś zrobić, ty i ja. – Szybko wyszeptała mu do ucha plan.

Phyro wyszczerzył zęby.

– Jesteś najlepszą starszą siostrą.

Timu, wciąż kręcąc się niepewnie, pchnął ich oboje w stronę wyjścia, lecz ani myśleli uciekać.

– No, już was tu nie ma! – popędzał. Mężczyzna z blizną przeglądał właśnie zawartość sakwy wyrwanej dziewczynie, która leżała nieruchomo u jego stóp. Może wciąż nie odzyskała przytomności po tym pierwszym ciosie.

Phyro skoczył i zniknął w tłumie klientów.

Tymczasem Théra wspięła się na stół.

– Hej, ciociu Phiphi, ciociu Kiro, ciociu Jizan! – zawołała, wskazując trzy kobiety zbliżające się do drzwi. Zatrzymały się i spojrzały na nieznaną dziewczynkę, zdumione, że mała zna ich imiona.

– Znacie ją? – zapytała Phiphi.

Jizan i Kira pokręciły głowami.

– Siedziała przy stoliku obok – odpowiedziała szeptem Kira. – Mogła nas podsłuchiwać.

– Czy nie powtarzacie mi ciągle, że nie mogę się dawać rozstawiać po kątach, jeśli po wyjściu za mąż chcę mieć spokój w domu? – ciągnęła dalej Théra. – Skoro wszyscy mężczyźni uciekają z podkulonymi ogonami, może wy, ciotki, pomożecie mi dać nauczkę temu prostakowi?

Olbrzym z blizną spoglądał to na Théré, to na trzy kobiety, nie wiedząc, co się właściwie dzieje. Dziewczynka nie zamierzała dać mu czasu na rozpracowanie tej sytuacji.

– Och, kuzynko Ro! Widzę, że jesteśmy tu całą rodziną. Dlaczego tak się boimy tego bęcwała?

– Bynajmniej – odpowiedział głos z tłumu. Wydawał się młody, dziewczęcy. A chwilę potem z cienia niedaleko drzwi pofrunęła czarka i trafiła w tego z blizną, oblewając go aromatyczną, gorącą herbatą. – A niech mnie, tyle nas tutaj, że moglibyśmy go utopić w samej ślinie! Ciociu Phiphi, ciociu Kiro, ciociu Jizan, no dalej!

Klienci zmierzający ku wyjściu przystanęli. Wywołane z imienia kobiety

gapily się na mężczyznę z blizną, który wyglądał jak zmokła kura. Następnie popatrzyły po sobie i wyszczerzyły zęby w uśmiechu.

Chwilę później w powietrze poleciały trzy kufle i wylądowały na twarzy intruza. Mężczyzna wrzasnął z wściekłości.

– A teraz coś ode mnie! – Théra porwała ze stołu dzban wina ryżowego i cisnęła nim w głowę olbrzyma. Nie trafiła i naczynie rozbiło się o palenisko; wino zasyczało w ogniu.

Dowodzenie tłumem to delikatna sprawa. Czasami wystarczyło tylko dać przykład, żeby stado bojaźliwych owiec zmieniło się w watahę wilków. Będąc pod wrażeniem postawy kobiet, mężczyźni popatrzyli po sobie znacząco. Nagle wstąpiła w nich odwaga. Nawet gawędziarz Tino, tak uległy jeszcze chwilę wcześniej, rzucił w oszusta swoim niedopitym piwem. Czarki, filiżanki, dzbany i kufle frunęły z różnych stron na mężczyznę z blizną, który osłaniał głowę rękami i próbował się uchylać, wrzeszcząc z bólu. Małżeństwo prowadzące przybytek skakało tu i tam, błagając ludzi, by nie niszczyli ich mienia, ale było już za późno.

– Zapłacimy wam – zawołał Timu, próbując przekrzyczeć tłum, nie miał jednak pewności, że właściciele go usłyszeli. Oszust oberwał wielokrotnie, więc zapewne dorobi się paru nowych blizn. Krew płynęła z rozcięć na jego twarzy, był przemoczony herbatą, winem i piwem. Zdawszy sobie sprawę, że nikogo już tutaj nie przestraszy, splunął z nienawiścią na Théré i postanowił dać nogę, zanim tłum rozochoci się jeszcze bardziej i spróbuje go powalić.

Wrzucił sakiewkę w ogień, po czym, przepychając się łokciami, ruszył do wyjścia. Ludzie, wciąż będąc pod wrażeniem jego postawnej sylwetki i siły, usuwali mu się z drogi. Wypadł na zewnątrz niczym wilk przegoniony z dala od watahy przez stado psów gończych i zaraz zostało po nim tylko kilka wirujących w powietrzu płatków śniegu. Biesiadnicy kręcili się po karczmie, klepiąc się nawzajem po plecach i gratulując sobie odwagi. W świętowaniu nie uczestniczyli jedynie właściciele, którzy uzbrojeni w miotłę, wiadro i szmatę sprząтали pobojowisko. Phyro przepchnął się przez tłum i stanął obok siostry.

– Trzasnąłem go tą pierwszą czarką prosto w szyję – pochwalił się.

– Dobra robota, „Kuzynko Ro” – odparła Théra z uśmiechem.

Gawędziarz Tino i właściciele przybytku przyszli podziękować trójce dzieciaków za ich heroiczny czyn – a w przypadku tych drugich także upewnić się, że naprawdę za wszystko zapłacą. Pozostawiając Timu, żeby zajął się kwiecistym językiem wzajemnych podziękowań, uprzejmej skromności i obietnic, Théra i Phyro podeszli do pobitej dziewczyny, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

Została ogłuszona przez pierwszy potężny cios, ale poza tym niewiele jej dolegało. Pomogli jej wstać i podali czarkę z ciepłym winem ryżowym.

– Jak się nazywasz?

– Zomi Kidosu – powiedziała słabym, zawstydzonym głosem. – Pochodzę z Dasu.

– Jesteś prawdziwą *cashima*? – zapytał Phyro, wskazując na złamany drewniany miecz.

– Hudo-tika! – Théra była zażenowana niegrzecznym pytaniem młodszego brata.

– No co? Jeśli miecz nie jest prawdziwy, może jej ranga również.

Młoda kobieta nie odpowiedziała. Wpatrywała się w palenisko, gdzie druga część jej broni została spalona na popiół.

– Moja przepustka... Moja przepustka...

– Jaka przepustka? – zapytał Phyro.

Zomi nie przestawała mamrotać pod nosem, jakby nie usłyszała słów chłopca.

Théra przyjrzała się zniszczonym butom dziewczyny i polatanej szacie; jej wzrok zatrzymał się na moment na misternie skonstruowanej uprząży wokół jej lewej nogi. Nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego, nawet u cesarskich lekarzy, którzy pracowali nad wyleczeniem urazów u najbardziej zaufanych strażników jej ojca. Zauważyła zgrubiałe opuszki prawego kciuka, palca wskazującego i środkowego, a także z tyłu palca serdecznego. Zobaczyła okruchy wosku i plamy atramentu pod paznokciami.

„Dziewczyna jest daleko od domu, a ostatnio bardzo, bardzo intensywnie ćwiczyła pisanie”, pomyślała.

– Oczywiście, że to prawdziwa *cashima* – oznajmiła na głos. – Przyjechała tutaj na Wielki Egzamin. Ten głupiec spalił jej przepustkę do Sali Egzaminacyjnej!

Rozdział drugi Upadli królowie

Pan: Drugi miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Śnieg sypał coraz intensywniej i ulice stopniowo pustoszały. Przechodnie śpieszyli do domów albo szukali schronienia w przydrożnych gospodach i jadłodajniach. Kilka chowających się pod dachem wróbelków zaćwierkało entuzjastycznie, ponieważ zdawało im się, że w wyjąym wietrze rozległ się znajomy głos.

– Jakież to intrygi planujesz, Tazu? Czyżbyś przybył zasiać niezgodę w Mieście Harmonii?

Przez chwilę w burzy śnieżnej dało się słyszeć dzikie gdakanie, a razem z nim przenikliwe zgrzytanie rekinich zębów, lecz wszystko szybko ucichło. Wróble siedziały zdumione – czyżby tylko im się zdawało?

– Kiji, mój bracie, tyle lat minęło, a ty wciąż taki poważny. Tak samo jak ty przybyłem obserwować zmagania intelektów, pojedynki na ostre słowa i tęgie logogramy. Ubolewam nad nieszczęściem, jakie spotkało twoją młodą uczennicę, zapewniam jednak, że nie miałem nic wspólnego z poczynaniami człowieka, który zrujnował jej dzień – choć nie oznacza to, że w przyszłości nie zechcę czegoś z nim począć, bowiem zwrócił na siebie moją uwagę. Z drugiej strony tak się złościsz, że nie sposób nie zacząć się zastanawiać, kim jest dziewczyna i jaki opiekuje się nią bóg.

– Nie ufam ci. Zawsze wywołujesz chaos, rozpalasz konflikt w czasach pokoju.

– Bolesne to słowa! Chociaż przyznaję, że drażni mnie, gdy śmiertelnicy pogmatwane prawdy sprowadzają do schludnych historyjek. Wszystko staje się wtedy zbyt gładkie i „harmonijne”.

– W takim razie skazany jesteś na życie w irytacji do końca swych dni. Historia to długi cień rzucany przez przeszłość na przyszłość. A cienie z natury skromne są w szczegóły.

– Brzmisz jak filozof śmiertelników.

– Trudno jest osiągnąć pokój. Nie budź upiorów, by żerowały na żywych.

– Ale nie chcemy przecież, by Fithowéo się nudził, prawda? Co z ciebie za brat, skoro nie dbasz o jego dobre samopoczucie?

Przez burzę śnieżną przebił się metaliczny dźwięk, niczym gromkie uderzenie podków o żelazny most nad fosą pałacową. Wróble skuliły się i zamilkły.

– Odpowiadam za wojnę, nie znaczy to jednak, że pragnę śmierci. Ta cieszy bardziej Kanę.

Pośród chmur pojawił się przeblask czerwieni, niczym lawa wulkanu widziana zza mgły.

– Tazu i Fithowéo, nie kalajcie mego imienia. Rządzą cieniami po drugiej stronie brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Płynie, nie znaczy to jednak, że chciałabym,

by zaczęło ich przybywać bez naprawdę dobrego powodu.

Śnieg zawirował niczym cyklon nad białym morzem.

– A co z zasadą, że robimy to, co najbardziej interesujące? Wszyscy psujecie zabawę. Ale nieważne. Na fundamencie Tronu Mleczka jest rysa; cesarskie imperium zrodziło się ze zdrady, jakiej Kuni dopuścił się wobec hegemonu. Takiego grzechu nie da się zmasać. Będzie on dręczyć go nadal, bez względu na to, ile dobra ofiaruje swym poddanym.

Cisza ze strony pozostałych bogów podkreślała prawdziwość słów Tazu.

– Śmiertelnicy są niezadowoleni i będą sprawiać kłopoty bez względu na to, czego rzekomo pragniesz. Zapach krwi i gnicia przyciąga rekiny, a ja robię wyłącznie to, co przychodzi mi naturalnie. Kiedy nadejdzie burza, wiem, że wszyscy postąpiacie podobnie.

Wir rozplynał się w śnieżnej zawierusze, a białe płatki wkrótce przykryły odciski butów ostatnich przechodniów.



Doru Solofi z trudem brnął przez śnieg, starając się poruszać jak najszybciej. W końcu jednak uznał, że zawędrował wystarczająco daleko od Trójnogiego Dzbana, i skręcił w wąską uliczkę, gdzie oparł się o ścianę, by odpocząć. Serce biło mu dziko, ledwo łapał oddech.

„Przeklęta *cashima*, przeklęte bachory!” Jego mały przekręt do tej pory działał bez zarzutu, zarobił dzięki niemu całkiem ładną sumkę – chociaż szybko wszystko stracił, grając w karty i odwiedzając domy indygo. Jeśli *cashima* faktycznie zgłosi go do konstabli, lepiej, jeśli będzie się ukrywać przez jakiś czas, dopóki sprawa nie przycichnie. Solofi zdawał sobie sprawę, że pozostanie w stolicy jest mocno ryzykowne, skoro bezpieczeństwa pilnowano tu bardziej niż w innych miastach, mimo to nie miał chęci opuszczać tych tętniących życiem ulic i targowisk, gdzie powietrze zdawało się przesycone zapachem władzy.

Był jak wilk przegoniony z kryjóWKi, w której zagnieździł się ktoś inny.

Plask. Śnieżka trafiła go w kark, a zimno okazało się bardziej dojmujące niż ból. Obrócił się gwałtownie i zobaczył małego chłopca, który stał kilka kroków dalej. Dziecko wyszczerzyło w uśmiechu żółte zęby, które wydawały się nienaturalnie ostre. Wrażenie to podkreślał zawieszony na jego szyi naszyjnik z rekinich zębów.

„Kim on jest? – zastanawiał się Doru Solofi. – Czy to jeden z tych dzikusów z Tan Adü, którzy ostrzą sobie zęby, by pasowały do ich barbarzyńskich zwyczajów?”

Plask. Chłopiec rzucił w niego kolejną śnieżką. Tym razem trafił prosto w twarz.

Solofi starł z oczu zimną breję. Rozpuszczający się śnieg i lód spływał po jego tunice, mocząc mu klatkę piersiową i plecy. Czuł drobinki piachu ocierające się o skórę; zwłaszcza w nadto wrażliwych miejscach, gdzie poparzyła go gorąca herbata. Kiedy do alkoholu i naparu, jakim już nasiąknęły jego szaty, dołączył

jeszcze śnieg, Solofi zaczął szczekać zębami.

Ryknął i rzucił się na chłopca, zamierzając dać mu nauczkę. Niesłychane, że nawet dziecko myślało, że może dręczyć Doru Solofiego, niegdyś najpotężniejszego człowieka w tym mieście.

Chłopiec zwinnie wymknął się mężczyźnie, niczym rekin umykający przed potężną łodzią rybacką. Dziko rechocząc, zaczął uciekać. Solofi rzucił się w pościg.

I tak chłopiec i mężczyzna biegli przez ulice Pan, za nic mając zdziwione spojrzenia przechodniów. Solofiego paliło w płucach od lodowatego powietrza; własne nogi zdawały mu się obute w ołów, w końcu przy każdym kroku potykał się i ślizgał na oblodzonym bruku. Chłopak tymczasem biegł jak koza na ośnieżonych zboczach góry Rapa i wydawał się kusić Solofiego, trzymając się cały czas blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Kilka razy mężczyzna przystawał, chcąc dać sobie spokój, lecz wtedy chłopiec odwracał się i ciskał w niego kolejną śnieżkę. Solofi nie pojmował, skąd dziecko czerpie tyle siły. Jego wściekłość przyćmiła rozsądek i mógł myśleć jedynie o tym, z jaką przyjemnością zmiażdży czaszkę bachora, kiedy tylko go dorwie.

Chłopiec skręcił w kolejną pustą alejkę i zniknął za rogiem. Solofi potoczył się za nim – i zatrzymał w pół kroku, kiedy tylko wyszedł zza winkla.

Przed nim, aż po granicę zasięgu wzroku, roztaczała się nekropolia zbudowana z marmuru o szarych żyłkach, grubo ciosanego granitu i wyblakłego drewna, z piramidami wysokości dorosłego człowieka, cylindrami i prostymi kwadratowymi blokami wzniesionymi wzdłuż siatki zasypanych śniegiem śladów butów. Zwieńczone figurkami kruków pomniki i tabliczki żałobne nosiły wyryte szeregi logogramów, za pomocą których próbowano podsumować życie zmarłych w zaledwie kilku wersach.

Chłopiec zaprowadził go na największy cmentarz w mieście, gdzie spoczywało wielu poległych w powstaniu przeciwko imperium xańskiemu, a także podczas późniejszej Wojny Chryzantemy z Mleczem.

Po dziecku nie było śladu.

Solofi wziął głęboki wdech, żeby ukoić nerwy. Nie należał do przesądnych i nie zamierzał bać się duchów. Odważnie wkroczył na teren nekropolii.

Z początku ostrożnie, lecz później coraz śmielej zaglądał między pomniki, szukając najmniejszego śladu chłopca. Jednak ten jakby rozplynął się w powietrzu.

Solofi poczuł, jak włosy stają mu dęba. Czy to możliwe, by gonił ducha? W czasie wojny faktycznie wielu zmarło z jego powodu...

– Raz, dwa, trzy, cztery! Szybciej, szybciej! Czujesz to? Czujesz siłę, jaka przez ciebie przepływa? Trzy, dwa, trzy, cztery!

Solofi obrócił się gwałtownie i zobaczył, że krzyki pochodziły od mężczyzny, który stał na stopniach prowadzących do wielkiego marmurowego mauzoleum poświęconego duchom Ośmuset: pierwszych żołnierzy, którzy dołączyli do Maty Zyndu, hegemonia, kiedy wznosił flagę rebelii przeciwko cesarzowi Mapidéremu.

– Cztery, dwa, trzy, cztery! Suadégo, musisz popracować nad krokami. Spójrz na męża, na jego poświęcenie! Sześć, dwa, trzy, cztery!

Mężczyzna na schodach był żyłasty, miał ciemną karnację, a sposób jego poruszania się – jednocześnie rozmyślny i ukradkowy, jak u myszy, która w ciemności przechadza się po kuchennym stole – wydawał się Solofiemu znajomy. Ruszył w jego stronę, by mu się lepiej przyjrzeć, starał się przy tym chować za nagrobkami.

– Siedem, dwa, trzy, cztery! Poda, musisz się szybciej obracać. Wypadasz z rytmu. Jeśli nie dogonisz reszty, będę cię musiał zdegradować. Raz, dwa, trzy, cztery!

Teraz, gdy Solofi podszedł wystarczająco blisko, zobaczył około czterdziestu kobiet i mężczyzn, którzy stali w czterech rzędach w wolnej przestrzeni przed schodami do mauzoleum. Najwyraźniej wykonywali jakiś taniec, chociaż Solofi nigdy jeszcze takiego nie widział: obracali się jak cocruscy tancerze z mieczami, lecz jakby po zakrapianej uczcie; wyciągali ręce do góry, a potem zginali się w pół, by dotknąć palców u stóp w absurdalnej parodii gestów façańskich tancerek; skakali w miejscu, klaszcząc nad głowami, jakby byli świeżo upieczonymi żołnierzami, którzy właśnie przechodzą musztrę. Przygrywało im jedynie wycie wiatru, rytmiczne liczenie mężczyzny stojącego na stopniach mauzoleum oraz tupanie ich własnych nóg. Chociaż wciąż padał gęsty śnieg, wszyscy tancerze byli mokrzy od potu, a biała mgielka wydostająca się z ich ust zmieniała się w koraliki lodu, osiadając na ich włosach i brodach.

Dziwaczny instruktor maszerował w kółko, wykrzykując polecenia i uwagi. Solofi nie wiedział, co o nim myśleć.

– Dobra, wystarczy na dzisiaj – oznajmił. Kiedy tancerze zbliżyli się do schodów, zszedł do nich i zaczął rozmawiać z każdym po kolei. – Bardzo dobrze, Suadégo, duchy są zadowolone z twoich postępów. Jutro możesz zatańczyć w drugim rzędzie. Nie czujecie się wszyscy naładowani energią? Ach, są nowe koperty... Pozwólcie, że przeliczę, ile błogosławionych oznak wiary zdołaliście zdobyć wy i wasi rekruci... Tylko dwóch nowych w zeszłym tygodniu? Jestem rozczarowany! Musicie porozmawiać z całą rodziną: bliskimi i dalekimi kuzynami, ich dziećmi i ich małżonkami, a nawet kuzynami małżonków, ze wszystkimi! Pamiętajcie, o waszej wierze świadczy wysokość ofiary, a im więcej osób namówicie do rozprzestrzeniania wiary, tym bardziej zadowolone będą duchy! Oto wasza nagroda: pigułka negocjacji. Potrzymajcie ją chwilę pod językiem przed rozmową z dostawcą i wizualizujcie sobie sukces, rozumiecie? Żeby zadziało, musicie uwierzyć!

Podobną przemowę wygłosił przed każdą z par, niektóre chwając, niektóre ganiąc, jednak nieustannie krążąc wokół tematu nowych rekrutów i pieniędzy.

Kiedy skończył z ostatnią z tancerek, która odeszła przygnębiona, ponieważ nie udało jej się nikogo przekonać do wiary i nauczyciel odmówił jej udziału w następnych lekcjach tańca, Solofi zrozumiał już, dlaczego mężczyzna wydawał mu się znajomy.

Wyszedł zza pomnika, za którym się ukrywał.

– Noda Mi! Nie widziałem cię prawie dziesięć lat!



Po sukcesie powstania przeciwko xańskiemu cesarstwu hegemon nagrodził tych, którzy jego zdaniem w znaczący sposób przyczynili się do zwycięstwa. Utworzył w ten sposób liczne nowe królestwa tirojskie, oddając je we władanie zasłużonym. Noda Mi, który zaczynał jako dostawca zboża dla armii Maty, by potem zostać jego kwatermistrzem, skończył jako król Środkowej Géfiki. Doru Solofi, który zaczynał jako zwykły szeregowy piechoty, by za zasługi zostać awansowanym na zwiadowcę, ostatecznie wylądował na tronie Południowej Géfiki, gdzie znajdowało się Pan. Stało się to głównie dlatego, że jako pierwszy odkrył ambicje Kuniego Garu.

W czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem Noda i Doru zostali odsunięci od władzy przez siły Gin Mazoti i stracili przychylność hegemonu. W następnych latach wędrowali z wyspy na wyspę jako zbiegowie, parając się bandytyzmem, handlem zepsutym mięsem i rybami, porywaniem dla okupu i innymi przestępstwami. Przez cały ten czas jednocześnie ukrywali się przed konstablami cesarza Ragina.



– Popatrz tylko na nas – powiedział Solofi. – Dwóch królów tirojskich na cmentarzu! – Roześmiał się gorzko, trącając nogą świeżą warstwę śniegu na schodach mauzoleum. Oddał Nodzie fajkę nabitą ziołami.

Noda dał mu znak, że dość się już napalił. Zamiast tego pociągnął z flaszki łyk alkoholu, by rozgrzać gardło.

– Widać, żeś dobrze wykorzystał swoją imponującą muskulaturę. Ta sztuczka z gawędziarzami jest całkiem, całkiem. Dzięki za wskazówkę. Będę musiał kiedyś spróbować.

– Z tobą nie zadziała. Nie wyglądasz wystarczająco strasznie – rzekł Solofi, spoglądając z pogardą na chudą, mizerną sylwetkę Nody. – Ale ta intryga z piramidami też nie jest zła. Jak udało ci się przekonać tylu głupców, żeby tańczyli dla ciebie i dawali ci pieniądze?

– Banalnie proste! Wielu ludzi w Pan dorobiło się fortuny w czasach pokoju i teraz pragną w swym nudnym życiu trochę podnieć. Rozpuściłem plotki, że potrafię wykorzystać energię duchów dla powodzenia żyjących i wielu przyszło się przekonać, czy mówię prawdę. Rzecz w tym, że kiedy ludzie znajdują się w tłumie, tracą rozum. Jeśli każę wszystkim tańczyć jak idiotom, nikt nie śmie mi się sprzeciwić, ponieważ ten, kto zacznie zachowywać się inaczej niż wszyscy, wychodzi na głupca. Jeśli uda mi się przekonać jedną osobę, żeby powiedziała, że czuje przepływającą energię, reszta prześciga się w przyznawaniu tego samego, ponieważ jeśli ktoś tego nie powie, daje tym samym znak, że nie cieszy się przychylnością duchów. W rzeczy samej, ścigają się ze sobą w zapewnianiu mnie o tym, jak doskonale się czują dzięki tańcowi, bo wtedy stają się bardziej uduchowieni w oczach pozostałych.

– Trudno mi w to uwierzyć...

– Niesłusznie. Nigdy nie bagatelizuj siły pragnienia, by wydawać się lepszym od pozostałych. Właśnie tę motywację ludzi z radością wykorzystuję. Przygotowuję zawody, awansuję tancerzy, przesuwając ich na przód, jeśli wydają się bardziej oddani sprawie, a degraduję tych, którym brakuje entuzjazmu. Nagradzam ich w zależności od zapału, z jakim kręcą się i tupią. Wmawiam im, że są gotowi na własną posługę nauczycielską, i posyłam ich do rekrutowania magicznych tancerzy. Oczywiście pobieram część pieniędzy z opłat za naukę. Nic tak nie przekona głupca do oszustwa jak uczynienie z niego takiego samego oszusta. Jestem przekonany, że mógłbym któregoś dnia przyjść na lekcję nagi i powiedzieć, że tylko ci najpobożniejsi mogą zobaczyć moje szaty. Zaraz by się zaczęli prześcigać w chwaleńiu mojego odzienia.

Oczy Solofiego na chwilę zmatowiały.

– Kiedyś faktycznie ubieraliśmy się w misterne jedwabne szaty haftowane złotem.

– Owszem – zgodził się Noda, a w jego głosie pobrzmiewała nostalgia. Zaraz jednak spojrzał na Solofiego z błyskiem w oku. – Może moglibyśmy do tego wrócić?

– Co masz na myśli? – zapytał Solofi, na chwilę zapominając o fajce nabitej ziołami szczęścia.

– Kiedyś byliśmy królami, lecz teraz wężymy w poszukiwaniu pożywienia między kośćmi umarłych i zbytkami żywych, niczym szczury. Co to za życie? Czy nie chciałbyś wrócić na tron?

Solofi się roześmiał.

– Era królów tyrolskich się skończyła. Ci ambitniejsi pełzają teraz u stóp Kuniego Garu i liczą, że uda im się zdać egzaminy, by móc mu służyć.

– Nie wszyscy – odparł Noda, patrząc Solofiemu w oczy. Zniżył głos. – Kiedy Huno Krima i Zopa Shigin się spotkali, wzniesili powstanie, które przyniosło kres cesarstwu Mapidérégo. Kiedy Kuni Garu spotkał się z Matą Zyndu, rozerwali wyspy na kawałki, a potem ponownie zszyli. Czy nie uważasz za znak tego, żeśmy się spotkali po dziesięciu latach w tym miejscu, gdzie tak wiele duchów woła o zemstę na Kunim Garu?

Doru Solofi zadrżał. Nagły chłód, który poczuł, zdawał się pochodzić ze znajdującego się za ich plecami mauzoleum. Intensywne spojrzenie i hipnotyzujący głos Nody były odurzające. Rozumiał już, w jaki sposób ten człowiek potrafił przekonać tłum do wręczania mu pieniędzy... Przypomniawszy sobie też chłopca o rekinich zębach, który go tutaj przyprowadził. „Czy to naprawdę znak? Czy Noda może mieć rację?”

– Są inni, którzy myślą podobnie jak my: zhańbieni arystokraci, weterani wojsk hegemonu, uczeni, którzy nie zdali egzaminów, oraz kupcy, którzy nie zarabiają tyle, ile by chcieli, i oszukują na podatkach... W Darze może panuje pokój, lecz w sercach ludzi pokój nigdy nie nastanie. Ja nauczyłem się, jak podsycać ogień rozczarowania, ty natomiast masz posturę, jakiej wymaga się od człowieka, który ma przewodzić tłumowi. Bogowie chcieli, żebyśmy się tu dzisiaj spotkali. Możemy

odzyskać należną nam chwałę i pozbawić jej tego chwastu. Pamiętaj, że kiedyś był nam równy.

W tej samej chwili nagły podmuch wiatru porwał z ziemi płatki śniegu, niczym wir, który niegdyś jednego dnia pochłonął dwadzieścia tysięcy xańskich żołnierzy.

Doru Solofi wyciągnął rękę i złapał Node Mi za ramiona.

– Nazywajmy się zatem braćmi i przysięgnijmy, że zniszczymy Tron Mlecza.

Rozdział trzeci

Książęta i księżniczki

Pałac cesarski: drugi miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych
Mórz

– Proszę, mistrzu Ruthi! Wolniej! – wołała cesarzowa, biegnąc długim korytarzem prowadzącym z prywatnych kwater cesarskiej rodziny do publicznych sal mieszczących się w przedniej części pałacu. Przed nią maszerował szybkim krokiem starszy mężczyzna z torbą na ramieniu. Nawet się nie obejrzał.

Ponieważ cesarz dzisiaj nie udzielał audiencji, Jia była ubrana w prostą jedwabną szatę i drewniane pantofle, w których mogła biec, zamiast oficjalnej dworskiej sukni ozdobionej setkami jadesiowych i koralowych dyran, ciężkiej i wysokiej korony ze srebra i brązu, a także tych niemożliwie wielkich butów dworskich, które wyglądały jak małe łódki. Jia biegła tak szybko, że zaczęło jej brakować tchu, a twarz zbliżyła się odcieniem do płomiennorudych włosów. Towarzyszyła jej świta – dziesiątki służek, dworzan i strażników pałacowych. Nie mogli jej wyprzedzić, dopóki nie wydałaby rozkazu pojmania nauczyciela, a przecież nie mogła zrobić czegoś takiego. Sytuacja była niezręczna dla wszystkich.

Cesarzowa zatrzymała się, a wraz z nią jej poddani. Wpadali jeden na drugiego przy akompaniamencie dzwonienia broni i zbroi, okrzyków zaskoczenia i brzęku biżuterii. Odzyskawszy oddech, Jia zawołała:

– Kon Fiji mawiał, że uczone nie powinien uciekać przed tymi, którzy pragną wiedzy!

Zato Ruthi, cesarski nauczyciel, najpierw zwolnił, a potem całkiem się zatrzymał, wzdychając. Nie odwrócił się jednak.

Jia dogoniła go dostojnym krokiem, wciąż dysząc.

– Wasza Wysokość – powiedział Ruthi, nadal zwrócony do niej plecami. – Obawiam się, że nie powinienem być uważany za uczonego. Lepiej, byście poszukali innych nauczycieli dla cesarskich dzieci. Dalsze zatrudnianie mnie tylko zrujnuje ich wykształcenie. – Jego głos był tak sztywny, że słowa zdawały się odbijać od ścian niczym pieczone kasztany.

– Przyznaję, że bywają nieco rozwydrzone i psotne – odparła cesarzowa, uśmiechając się przymilnie. – Lecz właśnie z tego powodu was potrzebują. Tylko wy możecie zdyscyplinować je mądrością uczonych...

– Zdyscyplinować! – wykrzyknął Ruthi. Dworzanie skrzywili się; nikt nigdy nie śmiał przerywać cesarzowej, jednak słowa Jii musiały uderzyć w czulą nutę, ponieważ Ruthiego przestało to obchodzić. – W rzeczy samej, próbowałem ich dyscyplinować i proszę spojrzeć, jak wynagrodzili mnie za moje starania! Nigdzie ich nie ma, chociaż powinny siedzieć w pokojach i pracować nad karnymi esejami!

– Bądźmy sprawiedliwi, nie wszyscy. Fara wciąż pracuje nad swoimi logo...

– Fara ma cztery lata! Jestem pewien, że pozostałe dzieci zabrałyby ją ze sobą, gdyby nie uznały, że przeszkodzi im w psoceniu. I jeszcze miały czelność kazać służącym, by szeleścili papierem w ich pokojach, żebyśmy wszyscy myśleli, że pilnie pracują!

– Oczywiście takie dziecinne sztuczki nie zadziałałyby na przenikliwego nauczyciela...

– Nie w tym rzecz! Wasza Wysokość wie przecież, że starałem się ze wszystkich sił, żeby ich czegoś nauczyć, jednak nawet najbardziej cierpliwy człowiek ma swoje granice. Uciezka przed pisaniem esejów jest karygodna, ale Wasza Wysokość raczy spojrzeć na to! – Zsunął torbę z ramienia, żeby pokazać cesarzowej tył swojej szaty.

Namalowano na nim dziecinne litery zyndari, układające się w dwuwiersz:
Gram tedy na cytrze przed pasącą się krową,

A ona do mnie: czemu masz minę grobową?

Twarze cesarskiej świty i strażników drżały po wpływie powstrzymywanych śmiechów.

Ruthi obrzucił ich groźnym spojrzeniem.

– Naprawdę uważacie, że to zabawne być porównywanym do głupca z wiersza Luruséna, który zagrał na cytrze przed krowami, a potem narzekał, że nie został zrozumiany? Nic dziwnego, że nauka z takim trudem kielkuje w tej jałowej ziemi.

Usłyszawszy te słowa, świta cesarzowej zbladła i odwróciła wzrok.

Jia zignorowała tę zniewagę.

– Jakby jednak spojrzeć na to z innej strony – powiedziała kojącem tonem – można się cieszyć, że lekcje poświęcone klasykom nie poszły na marne. Nigdy nie słyszałam o dzieciach cytujących Luruséna. Może nie licząc Timu, który od zawsze był bardzo pilnym uczniem...

– Waszym zdaniem powinienem być zadowolony?! – grzmiał Ruthi i nawet Jia wzdrygnęła się pod wpływem jego tonu. – I pomyśleć, że niegdyś dyskutowałem z Tanem Féüjim i Lügo Crupo nad właściwą ścieżką dla władzy! Zostałem zdegradowany do roli głupca wyśmiewanego przez rozpuszczone dzieci... – Głos mu się załamał. Ruthi zamrugał kilka razy, a potem wziął głęboki oddech i dodał: – Wracam do Rimy, żeby zaszyć się w leśnej chacie i kontynuować swoje dociekania. Przykro mi, cesarzowo, jednak cesarskich dzieci nie da się niczego nauczyć.

Wtedy rozległ się czyjś głos.

– Och, mistrzu Ruthi, jakże niesłusznie oceniasz dzieci! Serce mi się kraje, gdy widzę, jak źle zostały zrozumiane.

Ruthi i Jia odwrócili się w stronę mówcy. Z drugiego końca korytarza szedł ku nim mężczyzna w średnim wieku, którego doskonale skrojona szata nie potrafiła ukryć piwnego brzucha. Towarzyszyła mu podobna świta co cesarzowej. Oto Kuni Garu, teraz znany pod dworskim przydomkiem Ragina, cesarza Dary.

– Dziękuję – powiedziała Jia bezgłośnie do Dafiro Miro, kapitana straży pałacowej, który szedł na samym przodzie orszaku cesarza. Kapitan

porozumiewawczo kiwnął głową. To on pobiegł odnaleźć Kuniego, gdy tylko Zato Ruthi zaczął pokrzykiwać w pustych pokojach należących do księcia Timu, księcia Phyro i księżniczki Théry.

Nawet ogarnięty słusznym gniewem nauczyciel nie mógł ignorować zasad panujących na dworze. Ukłonił się nisko cesarzowi.

– *Rénga*. Przepraszam za swój wybuch, jednak jasnym dla mnie jest, że utraciłem szacunek waszych dzieci.

Cesarz energicznie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie! – Złożył dramatycznie ręce, by pokazać swój niepokój. – Och, przypomina mi się własna młodość, kiedy uczyłem się u mistrza Tumo Loinga. Czemu na dzieciach w rodzinie Garu ciąży klątwa bycia niezrozumianymi?

– Co Wasza Wysokość ma na myśli? – zapytał Ruthi.

– Zupełnie się pomyliliście co do znaczenia dwuwiersza napisanego przez moich synów i córki – odparł cesarz.

– Czyżby?

– Absolutnie. W końcu ojciec najlepiej zna swoje dzieci. Trójka z nich najwyraźniej była bardzo zawstydzona swoim zachowaniem, cokolwiek nabroili...

– Wymyślili głupiutką historyjkę o tym, jak wędrowna trupa oszukała Kona Fijego, zamiast ćwiczyć...

– Prawda! Potworne, po prostu potworne! I dlatego uznali, że muszą was przeprosić.

Twarz Ruthiego wykrzywiła się w serii dziwacznych spazmów. Nauczyciel usilnie próbował znaleźć sposób na grzeczne sformułowanie swojego pytania.

– A w jakież sposób wymalowanie dwuwiersza na mojej szacie może stanowić przeprosiny?

– Widzicie, porównują się w tym dwuwierszu do krów, durnych zwierząt, które nie rozumiały piękna granej im muzyki. I to, co chcą w ten sposób przekazać, brzmi mniej więcej tak: „Mistrzu, jesteśmy zasmuceni, że się przez nas gniewałeś. Chcielibyśmy podjąć się katorżniczej pracy pod waszym przewodnictwem i zaorać pole wiedzy”.

Prowadzeni przez kapitana Dafiro Miro dworzanie pokiwali żywo głowami i zaczęli żywo przytakiwać cesarzowi.

– Tacy skromni książęta!

– Księżniczki są pełne skruchy!

– Nigdy, przenigdy nie słyszałem podobnie serdecznych przeprosin!

– Gdzie się podział dworski dziejopisarz? Musi zachować dla potomnych tę historię o mądrym jak dyrana nauczycielu i genialnych jak sokoły uczniach!

– Nie zapominaj o interpretacji wnikliwego jak cruben cesarza!

Kuni niecierpliwym gestem nakazał poddanym milczenie. Dworzanie chcieli dobrze, jednak i przy dobrych zamiarach trzeba umieć zachować umiar.

Jia walczyła ze sobą, żeby się nie uśmiechnąć. Wspominała czasy, kiedy Kuni zabiegał o jej względy. Jego niekonwencjonalne interpretacje Luruséna odegrały wówczas niebagatelną rolę.

Kiedy Ruthi przetrwał słowa cesarza, jego mina nieco złagodniała.

– W takim razie dlaczego napisały to potajemnie na plecach mojej szaty? Myślę, że to się wydarzyło wtedy, gdy Phyro zaproponował, że zrobi mi masaż w czasie mojego wykładu o retoryce. Trudno to nazwać szczerymi przeprosinami.

– Jak rzekł niegdyś Lügo Crupo, „słowa i czyny należy odczytywać w świetle intencji”. – Kuni westchnął. – Najważniejsza jest perspektywa. Moje dzieci próbowały zastosować maksymę moralistów, która głosi, że szczerze przeprosiny muszą pochodzić z serca, a nie z chęci pokazania się przed innymi. Okazanie skruchy zaraz po waszej pełnej gniewu przemowie nie byłoby szczerze. Pisząc słowa przeprosin na plecach waszej szaty, miały nadzieję, że zobaczycie je dopiero w trakcie szykowania się do snu i zrozumiecie ich prawdziwe znaczenie w trakcie cichej kontemplacji.

– Dlaczego zatem uciekły, zamiast pracować nad esejami w swoich pokojach, tak jak im nakazałem?

– Dlatego, że... eee... – Cesarz wyraźnie miał problem z dopasowaniem tego elementu rzeczywistości do tworzonej przez siebie opowieści, jednak zaraz pojawiły się posiłki: oto korytarzem maszerowała Risana, cesarska konsorta, prowadząc trójkę wagarowiczów.

– Pani Soto i kasztelan Krin przyłapali ich na próbie zakradnięcia się z powrotem do pokojów – oznajmiła Risana z uśmiechem. – Byli przebrani za plebejuszy i bez wątplenia z tego właśnie powodu strażnicy wysłani do miasta mieli problem z ich odnalezieniem. Soto i Otho przyprowadzili dzieci do mnie, a ja poinformowałam je, w jak poważne wpadły kłopoty, więc przyszły się wytłumaczyć. – Ukłoniła się cesarzowi i cesarzowej w głębokim *jiri*.

– Tato! – zawołał Phyro i podbiegł do cesarza, żeby objąć go za nogi.

– Ojciec – powiedziała Théra, uśmiechając się, jakby nic się nie stało. – Ale mamy dla ciebie historię!

– *Rénga*. – Timu ukłonił się nisko, dotykając dłońmi podłogi. – Wasze lojalne, choć niemądre dziecko jest gotowe wam służyć.

Kuni kiwnął na Théré i Timu, a potem delikatnie, acz stanowczo odczepił Phyro od swoich nóg.

– Właśnie tłumaczyłem wasze niezdarne przeprosiny mistrzowi Ruthiemu, który bardzo się zezłościł.

Timu wydawał się zdezorientowany.

– Ale...

– Tak, wasze przeprosiny. – Kuni szybko mu przerwał, a potem popatrzył groźnie na Théré i Phyro. Cała trójka przez chwilę wymieniała porozumiewawcze spojrzenia.

– Ach, tak... To był mój pomysł – rzucił Phyro. – Zrobiło mi się bardzo przykro, po tym jak mistrz Ruthi na nas krzyczał, więc musiałem to jakoś naprawić.

– Tak myślałem, że to twoje bazgroły – rzekł Kuni. – A potem postanowiliście uciec, z pewnością ze wstydu, zgadza się?

– A to był mój pomysł – powiedziała Théra. – Uznałam, że powinniśmy

pokazać, a nie tylko powiedzieć, jak nam przykro. Dlatego zasugerowałam, żeby kupić mistrzowi Ruthiemu jakiś prezent jeszcze przed napisaniem esejów. – Podeszła z opuszczoną głową do Zato Ruthiego i wręczyła mu dwie tabliczki. – Kupiłam je u mężczyzny, który powiedział, że zrobiono je w Na Thion, waszych rodzinnych stronach.

– Ale to miały być rachunki od... – Timu ugryzł się w język, gdy zobaczył gniewny wzrok Théry.

Dziewczynka zerknęła na Kuniego. Wymienili niemal niezauważalne uśmiechy.

Ruthi przyjrzał się tabliczkom i pokręcił głową.

– Wyglądają jak z taniej tawerny. Popatrzcie, nawet mają namalowany symbol dla analfabetów. Czy to trójnogi *kunikin*? A co to za liczby z tyłu?

– Och nie! – Théra wydała z siebie okrzyk szoku i posmutniała. – Faktycznie wydawało mi się, że wyglądają nieco zbyt topornie, ale kupiec mówił tak przekonująco! Powiedział, że liczby i symbol to podpis artysty.

– Absurd! Trzeba uważać na tych ulicznych straganach, Théro. Pełno tam oszustów. – Ruthi może ją beształ, ale czynił to wyjątkowo łagodnym tonem. – Mimo to liczy się intencja.

– Och, właśnie – powiedział Phyro. Poklepał się po tunice i wyciągnął z rękawa na wpół opróżnioną torebkę karmelizowanych orzeszków. – Kupiłem je dla was, bo wiem, że lubicie orzeszki, mistrzu Ruthi. – Wydawał się zawstydzony. – Ale pachniały tak cudownie, że nie mogłem się powstrzymać i kilka spróbowałem...

– Nic się nie stało – odrzekł udobruchany mistrz Ruthi. – Chłopcu w twoim wieku trudno oprzeć się pokusie. Ja w dzieciństwie całe kieszonkowe wydawałem na kandyzowane małpie jagody... Ale Phyro, musisz z czasem nauczyć się nad sobą panować. Jesteś księciem, nie chuliganem z ulicy. – Odwrócił się do Timu, swojego najpilniejszego ucznia. – A ty co masz na swoje usprawiedliwienie, młody człowieku?

– Eee... Właściwie to... eee...

Kuni zmarszczył brwi.

Jia westchnęła bezgłośnie. Jej syn zawsze był grzeczny i uprzejmy, brakowało mu jednak bystrości, by wyczuć, kiedy powinien podążyć za innymi. Już miała się odezwać, kiedy uprzedziła ją Risana.

– Jestem pewna, że jako pierworodny książę Timu uznał, iż musi znaleźć najlepszy prezent, by wyrazić swoje ubolewanie. Nie zauważył jednak na ulicznych straganach niczego, co równałoby się ogromnemu szacunkowi, jakim darzy swojego nauczyciela. Prawda, Timu?

Ruthi spojrzał na chłopca, który poczerwieniał i zaczął kiwać zawzięcie głową.

– Dlatego postanowiłeś – ciągnęła dalej Risana – przelać wszystko na papier w postaci doskonale napisanego eseju.

Ponieważ Risana słynęła ze swojego daru odczytywania prawdziwych uczuć otaczających ją ludzi, dzieci zazwyczaj były wobec niej bardziej szczerze niż wobec pozostałych rodziców. Ruthi dał się przekonać.

– Macie serca po właściwej stronie, a wasze intencje były dobre – powiedział

do uczniów, brzmiąc raczej jak dziadek niż nauczyciel.

– Wszystko to zawdzięczają rzecz jasna swojemu mistrzowi – zauważyła Jia. – Cieszę się, że wyjaśniliśmy to koszmarne nieporozumienie.

– Skoro jednak tak bardzo cię rozgniewali – oznajmił Kuni, przyjmując srogi wyraz twarzy – należy im się kara. Cała trójka będzie musiała przez tydzień sprzątać latryny razem ze służbą.

Dzieci wydawały się pognębione.

– Ależ, *Rénga!* – zawołał przerażony Ruthi. – Taka kara wydaje się niewspółmierna do ich przewinień. Wszystko zaczęło się od tego, że były znudzone podczas czytania *Moralności* Kona Fijego. Myślę, że zadane przeze mnie eseje stanowią wystarczającą karę, a wszystko inne to efekt nieporozumienia.

– Słucham? – zdziwił się Kuni. – Znudzeni Jedynym Prawdziwym Mędrcom? To jeszcze gorzej! Dwa tygodnie sprzątania latryn! Nie, trzy!

Ruthi uklonił się i nie podnosił już głowy.

– To zupełnie zrozumiałe, że abstrakcyjne koncepty Kona Fijego mogły wydać się książętom zbyt trudne. Cesarskie dzieci są tak inteligentne, że czasem zapominam, jak bardzo są jeszcze młode i temperamentne, więc przynajmniej po części jest to moja wina, ponieważ za bardzo naciskałem. Nauczyciel, który zbyt wiele wymaga od swych uczniów, jest jak rolnik ciągnący za kielki w nadziei, że w ten sposób szybciej urosną, lecz w rzeczywistości osiąga efekt przeciwny do zamierzonego. Jeśli jesteście gotowi ich ukarać, ukarście także mnie.

Dzieci popatrzyły po sobie i całą trójką padły na kolana, by uklonić się przed nauczycielem, dotykając czołami podłogi.

– Mistrzu, to wszystko nasza wina. Jest nam bardzo przykro i postaramy się poprawić.

Kuni wyciągnął ręce i chwycił Ruthiego za ramiona, pomagając mu wstać.

– Nie musicie się kajać, mistrzu Ruthi. Ja i moje żony jesteśmy wdzięczni za to, z jaką troską kształcicie nasze dzieci. Wobec tego kwestię ukarania ich pozostawiam wyłącznie w waszej gestii.

Zato Ruthi wrócił do rodzinnej części pałacu w towarzystwie swoich młodych podopiecznych. Zupełnie zapomniał o niedawnym postanowieniu wyjazdu do Rimy.

– Och, mistrzu Ruthi, wiedzieliście, że hegemon pragnął zrozumienia? – zapytał Phyro nauczyciela.

– O czym ty mówisz?

– Wysłuchaliśmy opowieści naprawdę dobrego gawędziarza w...

– Na targowisku – przerwała mu Théra, żeby brat nie zrujnował ciężko osiągniętego pokoju – kiedy przechodziliśmy między straganami.

– Tak, na targowisku – poprawił się Phyro. – Opowiadał o hegemonie, o królu Mocrim i pani Mirze. Mistrzu, opowiedzcie nam o nich coś więcej? Na pewno wiecie bardzo dużo o tym, co się wtedy działo, tak jak ciocia Soto, a te historie są znacznie bardziej ciekawe niż... niż Kon Fiji.

– Cóż, ja znam fakty, a nie opowiadki waszej guwernantki, jednak może faktycznie dałoby się ująć więcej historii w waszych lekcjach, jeśli tak was to

interesuje...

Kuni, Jia i Risana słuchali, jak głosy paplającego i chichoczącego Phyro oraz cierpliwie tłumaczącego mu Ruthiego nikną w głębi korytarza. Czuli ulgę, że kolejny kryzys rodzinny został zażegnany. Gdyby cesarski nauczyciel zrezygnował z kształcenia krnąbrnych książąt i księżniczek, byłby to prawdziwy skandal. Zwłaszcza w czasie Wielkiego Egzaminu, będącego świętem nauki.

– Wybaczcie, *Rénga* – powiedział kapitan Dafiro Miro. – Powinienem był lepiej pilnować dzieci i nie pozwolić im wymknąć się z pałacu bez ochrony. Tego rodzaju zaniedbania są niewybaczalne.

– To nie twoja wina – odparła Risana. – Nawet zwyczajne dzieci trudno upilnować, a z tymi jest dziesięć razy gorzej. Na pewno myślisz, że masz związane ręce, ponieważ teoretycznie jesteś ich sługą, ale daję ci oficjalne przyzwolenie na przyciągnięcie tu Phyro za ucho, jeśli znowu spróbuje czegoś podobnego i zagrozi ich bezpieczeństwu.

– Takie samo pozwolenie masz ode mnie względem Timu i Théry – oznajmiła Jia. – Stają się nieznośni i zastanawiam się, czy biorą codziennie rano przepisane przeze mnie zioła. Powinny sprawić, że będą nieco spokojniejsi, tymczasem wciąż są dzikusami!

Kuni się roześmiał.

– Nie traktujmy żywych dzieciaków jak kogoś, kto potrzebuje leczenia! Czy to naprawdę takie karygodne, że spacerowały po targowisku bez gromady strażników i służby? Jak inaczej mają poznać życie zwykłych ludzi? Ja sam tak dorastałem.

– Jednak czasy się zmieniły – odparła Jia. – Są twoimi dziećmi, przez co może je spotkać krzywda ze strony tych, którzy źle ci życzą. Naprawdę nie powinieneś im tak pobbłażać.

Kuni pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mimo to – dodał zaraz – Phyro przypomina mi mnie samego sprzed lat.

Risana się uśmiechnęła.

Na twarzy Jii na krótką chwilę zagościła złość, lecz wkrótce nie było po niej śladu.



– Ada-tika bardzo się zdenerwowała, żeśmy jej nie zabrali – powiedział Phyro, wchodząc do pokoju Théry i zasuwając za sobą drzwi. – Oddałem jej wszystkie kandyzowane jagody, jakie mi zostały, ale i tak się złości. Ciocia Soto właśnie opowiada jej historyjkę, więc mamy trochę czasu dla siebie.

– Następnym razem postaram się wymyślić taką przygodę, w której i ona będzie mogła wziąć udział – oznajmiła Théra.

– A ja pójdę do niej później i poczytam jej książkę – dodał Timu.

Ada-tika, jak pieszczotliwie zwano księżniczkę Farę, była najmłodszą córką Kuniego. Ponieważ jej matka, konsorta Fina, zmarła bardzo młodo, wszystkie pozostałe dzieci próbowały być dla małej wyjątkowo wyrozumiałe.

Konsorta Fina była księżniczką z Faça. Kuni Garu ożenił się z nią, żeby uspokoić tamtejszą arystokrację, ponieważ królestwo to jako jedno z ostatnich zostało podbite przez armię Dasu i wśród najbliższych doradców oraz generałów Kuniego nie było nikogo pochodzącego z tamtych stron. Zgodnie z planem miało to być pierwsze z wielu politycznych małżeństw nowego cesarza. Niestety Fina zmarła w trakcie porodu i Kuni zerwał wszelkie rozmowy na temat kolejnych związków, twierdząc, że to znak od bogów, którzy niechętnie patrzą na takie małżeństwa.

– Niewiele zostało czasu przed obiadem, więc musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy pomóc Zomi – przypomniał Phyro.

– Wiem – odparła Théra. – Właśnie myślę. – Obgryzała paznokcie, zastanawiając się nad rozwiązaniem problemu.

Będąc pod wrażeniem odwagi *cashima* – i, chociaż nie zostało to powiedziane wprost, także w podzięcie za jej żarliwą obronę honoru ich ojca, cesarza – dzieci obiecały pomóc dziewczynie dostać się do Sali Egzaminacyjnej mimo utraty przepustki. Zomi podziękowała im za troskę, wyraźnie jednak nie potraktowała poważnie obietnic składanych w pubie przez trójkę dzieci – mimo że faktycznie brzmiały, jakby pochodziły z bogatej rodziny. Niechętnie podała im adres gospody, w której się zatrzymała, podkreślając jednak, że nie ma czasu na gierki.

– Powinniśmy byli jej powiedzieć, kim jesteśmy – stwierdził Phyro.

– Jej brak wiary uczyni nasz sukces jeszcze smakowitszym – odparła Théra z uśmiechem.

– Nie możemy pozwolić, by ktoś się dowiedział, że chodzimy po ulicy przebrani za zwykłych ludzi! – upomniął ich Timu. – To zupełnie wbrew protokołowi.

Phyro go zignorował.

– Dlaczego od razu nie pójdziemy do taty i nie poprosimy, żeby zrobił wyjątek? Théra pokręciła głową.

– Ktoś mógłby się dowiedzieć, że nagina zasady dla dobra jakiegoś kandydata. Ucierpiałaby na tym powaga cesarskich egzaminów.

– A nie możemy poprosić Dafiro, żeby zabrał ją sterowcem do Dasu, gdzie wujek Kado wypisałby jej nową przepustkę?

– Po pierwsze, wuja Kado nie ma w Dasu. Pojechał na łowy na Wyspę Półksiężycową – odparła Théra. – A po drugie, dobrze wiesz, że w jego imieniu wszystkim zajmuje się regent Dasu, więc wujek nie wiedziałby nawet, kim jest Zomi.

– To dlaczego nie wyślemy jej do regenta?

– Dasu jest za daleko. Podróż zajęłaby dwa dni, nawet najszybszym sterowcem. Nie mamy tyle czasu, bo Wielki Egzamin jest już jutro. Naprawdę musisz się więcej uczyć, Hudo-tika. Nie masz pojęcia o geografii. Poza tym każdy publiczny gest zawstydzilby Zomi, a jej wynik na egzaminie mógłby się wydawać stronniczy.

– W takim razie... może porozmawiamy z wujkiem Rinem?

Théra zastanowiła się.

– Hm, wujek Rin czuwa nad przebiegiem egzaminów i zawsze się z nim dogadywaliśmy, więc to nie taki zły pomysł. Problem polega na tym, że przepustki są zbierane razem z ostatecznymi odpowiedziami i oddawane w tej postaci sędziom.

Wpuszczenie Zomi na salę to za mało. Musimy jej także dać prawdziwą przepustkę. Nawet Sekretarz Dalekowidztwa nie ma dość władzy, by to załatwić.

– A nie możemy po prostu tej przepustki sfalszować?

– Myślisz, że procedury bezpieczeństwa wujka Rina to tylko maskarada? Przepustki wycina z pojedynczej kartki papieru, który jeszcze w papierni przetyka się złotymi nitkami, tak że wzór na każdej jest unikalny. Potem puste przepustki rozsyła do prowincji i lenn w liczbie odpowiadającej przewidywanej liczbie *cashima*. Każda niewykorzystana przepustka zostaje odesłana. Na koniec egzaminów zbiera wszystkie użyte i nieużyte przepustki i składa jak puzzle zgodnie ze wzorem złotych nitki. Tak więc wujek Rin od razu zwróciłby uwagę na każdą podrobioną.

– Skąd tyle wiesz na ten temat? – Timu wreszcie wtrącił się w dyskusję. W jego głosie dało się słyszeć zdumienie. – Nie miałem pojęcia, że tak się interesujesz cesarskimi egzaminami.

– Kiedyś sobie wyobrażałam, że sama do nich przystępuję – przyznała z rumieńcem na twarzy.

– S-słucham? – zapytał Timu, nie dowierzając. – Ale to...

– Wiem, że to niemożliwe! Nie musisz mi tego tłumaczyć...

– Ale dlaczego w ogóle o tym myślisz? – zdziwił się Phyro. – To tyle nauki!

– Jako książęta obaj będziecie mogli robić coś ważnego dla ojca, kiedy już będziecie starsi – zaczęła wyjaśniać Théra. – Ale ja i Fara... My tylko zostaniemy wydane za mąż.

– Jestem pewien, że tata da ci jakieś zajęcie, jeśli będziesz chciała – powiedział z przekonaniem Phyro. – Mówi, że jesteś z nas wszystkich najmądrzejsza, a wśród oficjeli są też kobiety.

Théra pokręciła głową.

– Są tak rzadkie jak rogi crubenów i luski dyran... Poza tym nie rozumiesz. Wy możecie pracować dla ojca nawet bez kwalifikacji, bo jesteście chłopcami i oczekuje się od was, że któregoś dnia... zajmiecie jego miejsce. Ale ja... Nieważne. Skupmy się na tym, jak pomóc Zomi. Potrzebujemy kogoś upoważnionego do wydawania przepustek i musimy go przekonać, by dał Zomi jeszcze jedną szansę.

– Kiedy ty będziesz się tym zajmować – powiedział Timu – ja zacznę pisać eseje za nas wszystkich. Nie jestem dobry w knuciu intryg, za to mogę was wspomóc w ten sposób. Pamiętajcie tylko, żeby wieczorem przepisać moje notatki własnym charakterem pisma.

Chociaż Timu mówił o tym lekkim tonem, Théra zdawała sobie sprawę, że pisanie za nią i Phyro to nie byle co. Timu nie tylko dokładnie wiedział, jakie zawrzeć w tekście odniesienia i jakie nauki moralne wysnuć, tworząc poprawną argumentację, ale również dbał o to, by używać takiego słownictwa, by ułożone przez niego teksty naprawdę brzmiały jak napisane przez Phyro albo Théré. Timu był bardzo inteligentny, lecz nie był to rodzaj inteligencji, który cenili ich ojciec. Théra widziała czasem, że chłopak zazdrości jej i młodszemu bratu, choć bardzo stara się tego nie okazywać.

– Dziękuję – powiedziała. – Ale nie chcę, żebyś to robił. Sami napiszemy

z Phyro nasze eseje.

– Naprawdę? – zdziwił się Phyro.

– Naprawdę – odparła twardo Théra. – Może i nasze przeprosiny zaczęły się jako kolejny dowcip, ale ja naprawdę czuję się paskudnie z powodu tego, co zrobiliśmy mistrzowi Ruthiemu. On chce dla nas jak najlepiej; kazał nas nawet nie karać surowiej niż to konieczne.

– No, może nie jest taki zły – niechętnie przyznał Phyro.

– Poza tym, Phyro, pamiętasz historię o hegemonie i królu Mocrim. To sprawa honoru.

Oczy chłopca aż zalśniły.

– Tak! Jesteśmy jak dawni władcy tirojscy: książęta i księżniczki z królewskim honorem i poczuciem przyzwoitości.

– Cieszę się, że to słyszę – powiedział Timu z ulgą. – Pisanie tekstów z takimi błędami logicznymi, jakie zazwyczaj popełnia Hudo-tika, jest dla mnie prawdziwą torturą.

Służący i pokojówki śpieszący po korytarzach pałacu nawet nie zwolnili, gdy z kwater rodzinnych dobiegły odgłosy dźwięcznego śmiechu i pełnych oburzenia protestów.



– Nie przyszedł nam do głowy nikt inny – powiedział Phyro.

– Nikt – potwierdziła Théra. – To zadanie wymagające odwagi godnej Fithowéo i mądrości Lutho, nie wspominając już o empatii Rufizo...

– I lekkomyślności Tazu – wtrąciła Gin Mazoti, królowa Gėjiry i marszałek Dary.

Przyjęła dzieci w swojej izbie sypialnianej zamiast w formalnym pokoju dziennym. Pod wieloma względami traktowała je jak członków rodziny.

Dopiero co przyjechała do pałacu. Nieczęsto odwiedzała stolicę, ponieważ rządzenie Gėjirą i nadzorowanie rozproszonego, lecz licznego wojska Dary zajmowało jej bardzo dużo czasu, jednak pierwszy Wielki Egzamin Rządów Czterech Spokojnych Mórz był wydarzeniem szczególnym, a Gin miała nadzieję, że przynajmniej kilku uczonych Gėjiry wyróżni się na tle pozostałych.

– Eee... tak bym tego nie ujęła – stwierdziła Théra. – Myślę, że powinniśmy się skupić na odwadze, mądrości i empatii...

– Z pochlebstwem ci nie do twarzy, Rata-tika – powiedziała Gin. – Przysłaś namówić mnie do przystąpienia do waszej konspiracji, ponieważ chciałabyś, żebym obroniła cię przed gniewem ojca, kiedy wasz głupiutki plan wyjdzie na jaw.

– Mylisz się, ciociu Gin! Perspektywy są...

– Och, daj spokój. Naprawdę myślisz, że twoje sztuczki na mnie działają? Pamiętajcie, dzieci, że znałam was, kiedy jeszcze lepiliście pierogi z błota i machaliście mieczami z wierzbowych gałązek. Wiem, jak działają wasze główki. Plebejusz powiedziałby: „Ledwo popuścisz pasek, ja już znam kolor twojego

gówna”.

Dzieci zachichotały. By to jeden z powodów, dla których tak lubiły ciocię Gin – nigdy niczego przed nimi nie udawała i zwracała się do nich tak samo jak do swoich żołnierzy.

Gin Mazoti, teraz już po trzydziestce, wciąż nosiła krótko ostrzyżone włosy, zaś jej drobne ciało, mimo królewskiego życia, pozostało umięśnione i sprężyste. Było niczym skała opierająca się fali oceanu albo zwinięty wąż, gotowy do ataku. Wciąż trzymała miecz oparty o toaletkę z boku pomieszczenia – chociaż nikt prócz członków rodziny cesarskiej i strażników nie nosił ze sobą broni w pałacu, królowa Gin dostała specjalną dyspensę od cesarza Ragina. Była dowódcą sił zbrojnych cesarstwa i prawdopodobnie najbardziej wpływową arystokratką w całej Darze, a jednak właśnie dawała się namawiać dzieciakom na niebezpieczną zabawę – złamanie zasad bezpieczeństwa Wielkiego Egzaminu.

„Przy Kunim nie można się nudzić”.

– Pomóż nam, ciociu Gin – powiedział Phyro. Uśmiechnął się najpiękniej, jak potrafił, i nawet trochę zaczął jęczeć. – Proooszę...

Gin spośród dzieci Kuniego zawsze najbardziej lubiła właśnie Phyro. Tylko po części dlatego, że chłopak był bystry i zawsze prosił o opowiadanie historii z czasów wojny. W rzeczywistości Gin miała lepsze stosunki z konsortą Risaną niż z pozostałymi żonami Kuniego. W czasie powstania Jia była przetrzymywana przez hegemoną, podczas gdy Risana towarzyszyła Kuniemu, a Gin z czasem zaczęła ją szanować jako doradczynię króla. W głębi ducha miała nadzieję, że Kuni wskaże Phyro jako następcę tronu.

– To prawda, że mam jeszcze kilka dodatkowych przepustek – powiedziała – jednak zgodnie z zasadami można je wykorzystać tylko w określonych sytuacjach, na przykład kiedy ktoś z Gėjiry utraci swoją, a nie po to, by wpuścić do sali egzaminacyjnej kogoś z Dasu.

– Ale to jest wyjątkowa sytuacja – odparła Théra. – Dziewczyna straciła swoją przepustkę dlatego, że była odważna i broniła niewinnych.

– I honoru taty – dodał Phyro.

– Czasami przez odwagę i honor się traci – zauważyła Gin. – Zawsze może wrócić do domu i przyjechać na egzamin za pięć lat.

– Ale za pięć lat będzie musiała konkurować z wszystkimi nowymi i starymi *cashima* w walce o te kilka miejsc przydzielonych dla Dasu.

– Już raz zdała egzaminy drugiego poziomu. Jestem pewna, że zdoła wyróżnić się i za drugim razem.

– Obawia się ciocia, że wypadnie lepiej niż uczeni z Gėjiry?

Gin patrzyła przez chwilę na Théré i czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Zaraz się jednak roześmiała.

– Zaczynasz być coraz lepsza w te klocki, Rata-tika, ale ja manipulowałam ludźmi, zanim ty nauczyłaś się chodzić.

Dziewczynka zaczerwieniła się, gdy ciotka przejrzała jej sztuczkę, mimo to nie zamierzała się poddawać.

– Ciocia wolałaby, żeby premier Cogo Yelu nie polecił cioci mojemu ojcu jeszcze w Dasu? Wtedy ciocia musiałaby cierpliwie czekać, aż sama zwróci na siebie uwagę króla.

Gin przybrała poważny wyraz twarzy.

– Jesteś zbyt śmiała, księżniczko.

– Zaslubiła na swoją szansę, tak samo jak ty. Nie jest córką bogatego kupca i nie pochodzi z rodziny uczonych. Wręcz przeciwnie, jest tak biedna, że musiała nosić drewniany miecz, bo nie stać jej na prawdziwy. Myślałam, że akurat ty się nad nią zlitujesz. Czyżby ciocia królowała dość długo, żeby...

– Wystarczy!

Théra przygryzła wargę, lecz nie odezwała się już ani słowem.

– Ciociu Gin – wtrącił Phyro. – Ciocia się boi cesarzowej?

Gin zmarszczyła brwi.

– O czym ty mówisz, Hudo-tika?

– Słyszałem, jak cesarzowa mówiła premierowi Yelu, że chciała, by zajmował się egzaminami z wyjątkową dbałością o poszanowanie zasad. Mówiła mu: „Zbyt wielu arystokratów myśli, że zdobędzie przepustkę dla dzieci przyjaciół, jeśli napiszą wylewny list polecający. Musisz zadbać o sprawiedliwość wyników”.

– Czyżby?

– Tak. Rozgniewała się i napisała do markiza Yemu, ponieważ dał jedną z przepustek swojemu bratankowi, który nie zdobył tyle punktów, co niektórzy z pozostałych kandydatów, i markiz musiał przeproszać.

– A co na to wszystko cesarz?

Phyro i Théra pokręcili głowami.

Gin zamyśliła się na chwilę, przetrawiając te informacje, a potem raz jeszcze popatrzyła Thérze w oczy.

– Czy cesarzowa wie o tej waszej przyjaciółce? – Przemówiła władcym tonem Marszałka Dary. Po pobłażliwości, jaką zazwyczaj okazywała cesarskim dzieciom, nie został nawet ślad. – Nie kłam.

Théra przelknęła głośno ślinę, ale nie odwróciła wzroku.

– Nie. Matka by nie zrozumiała.

Gin odczekała chwilę.

– A dlaczego tak naprawdę tak ci zależy, by pomóc tej dziewczynie, księżniczko?

– Już mówiłam. Jest odważna!

Gin pokręciła głową.

– Doskonale wiesz, jak poważnie twoi rodzice traktują zasady rządzące egzaminami; a jednak przychodzisz do mnie i aż się prosisz o wywołanie skandalu...

– Mówię prawdę! Dlaczego miałabym...

– Może i nie posiadam takich umiejętności czytania w cudzych sercach jak konsorta Risana, czuję jednak, że jest w tym coś więcej niż pojedynczy akt odwagi. Czego naprawdę chcesz?

– Chcę sprawiedliwości! – załkała Théra. – Zasady są niesprawiedliwe!

– Co jest w nich niesprawiedliwego? Wszyscy potrzebują przepustki...

– Ale ja nie mogłabym jej zdobyć, nawet jakbym się bardzo postarała! – krzyknęła dziewczynka. Phyro, który nigdy wcześniej nie widział swojej mądrej, opanowanej siostry w takim stanie, patrzył na nią z otwartymi ustami.

Gin cierpliwie czekała.

Wreszcie Théra zdołała się nieco uspokoić.

– To dziewczyna taka sama jak ja, ale przynajmniej ma szansę spróbować swoich sił na egzaminie i udowodnić swoją wartość. Jeśli chodziłoby o mnie, to nawet gdyby ojciec przydzielił mi jakiś urząd, uczeni zaczęliby protestować, że księżniczce coś takiego nie przystoi, a inni szeptaliby, że stanowisko dostałam tylko z racji pochodzenia. Nikt by mnie nie słuchał. Chciałabym podejść do egzaminu jak każda inna *cashima* i udowodnić, że się nadaję. Ale skoro nie mogę, muszę zadbać o to, żeby ona mogła.

– Jesteś zdecydowanie zbyt młoda, żeby być tak rozczarowaną światem. Nie czytałaś tego, co Kon Fiji napisał o godnym miejscu dla kobiety szlachetnego urodzenia? Są inne sposoby na to, by mieć wpływ...

– Kon Fiji to głupek.

Gin wybuchnęła śmiechem.

– Jesteś nieodrodną córką swego ojca. On też nie chciał słuchać wielkiego mędrca.

– Ani wy – odparła hardo Théra. – Mistrz Ruthi może i nie mówi o was zbyt wiele, ale słyszałam historie o was i ojcu.

Gin pokiwała głową, a potem znów się uśmiechnęła.

– Czasami się zastanawiam, czy nie masz pecha, dorastając w czasach pokoju. Wiele zasad ustalanych przez mędrców zostaje zapomnianych w trakcie wojny.

To rzekłszy, wstała i zaczęła przeglądać rzeczy na biurku. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Sięgnęła ku niewielkiemu stosikowi papierów i zabrała kartkę leżącą na wierzchu.

– Jak nazywa się wasza przyjaciółka?

Phyro i Théra podali jej logogramy imienia Zomi.

– Ognista Perła? Ładne – stwierdziła Gin, wylewając воск na pusty formularz. Następnie kilkoma zdecydowanymi ruchami nakreśliła logogramy. – Ponieważ imię pochodzi od rośliny, dziewczyna będzie pasować do Domu Mleczka. Może to dobry znak.

Wyciągnęła pieczęć Gėjiry i przycisnęła do plamy wosku obok logogramów.

– Proszę – powiedziała, podając przepustkę Phyro.

– Dziękuję, ciociu Gin! – zawołał chłopiec.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – rzekła Théra.

Gin machnęła ręką.

– Mam nadzieję, że wasza przyjaciółka jest tego warta.

Długo po tym, jak dzieci już wyszły, nadal siedziała przy biurku.

Za jej plecami pojawił się mężczyzna, który wyszedł z za przepierzenia. Miał długie nogi i poruszał się z niebywałą gracją. Chociaż na jego ciemnej twarzy

rysowały się głębokie zmarszczki, a włosy siwiały, w błyszczących zielonych oczach nie brakowało iskry.

– To ładne imię – powiedział. – Być może równie wyrafinowane co jej umysł. – Zawahał się, jakby rozważał, co jeszcze rzec, i po chwili dodał: – Będzie miała jeszcze swoją szansę, nawet jeśli nie dostanie się na tegoroczny Wielki Egzamin, mimo to i tak musiałaś wtrącić się w pracę administracji poza granicami swojego królestwa.

Gin nie odwróciła się w jego stronę.

– Nie praw mi znowu kazań, Luan. Nie jestem w nastroju.

W odpowiedzi usłyszała ciepły, lecz naznaczony smutkiem głos.

– Wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem na przyjęciu w Zudi pięć lat temu. Skoro nie chciałaś mnie słuchać wtedy, teraz też nie posłuchasz.

– Kiedyś dostałam szansę awansu; może sam Rufizo zadbał o to, bym mogła teraz dać szansę tej dziewczynie.

– Próbujesz przekonać mnie czy siebie samą?

Gin odwróciła się i zaśmiała.

– Tęskniłam za tą twoją naiwną powagą, która udaje mądrość.

Luan pozostał poważny.

– Wiem, dlaczego wypisałaś tę przepustkę, Gin. Może i jesteś świetnym taktykiem, ale... o polityce masz niewielkie pojęcie. Podejrzewasz, że moje ostrzeżenie sprzed pięciu lat okaże się słuszne i dlatego chcesz wystawić na próbę lojalność Kuniego w chwili, gdy Jia ustawia pionki dla swojego syna.

– Według tego, co mówisz, zachowuję się jak niepewna siebie i zazdrosna żona. A ja dobrze znam wartość tego, co zrobiłam dla Domu Mlecza.

– Zasługi Pumy Yemu również były wielkie, Gin, a jednak Kuni nie dał mu szansy uratować twarzy, kiedy Jia go poniżyła. Jeśli nie czujesz zmiany wiatru...

– Nie jestem Pumą Yemu.

– To zły ruch, Gin. Nie skończy się dobrze.

Gin skoczyła niedbale na łóżko.

– Nie będziemy już o tym rozmawiać. Chodź tutaj. Zobaczymy, czy nie straciłeś kondycji przez pięć lat latania balonem.

Luan westchnął, lecz posłusznie ruszył na posłanie.

Rozdział czwarty Wielki Egzamin

Pan: Drugi miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Widok sali egzaminacyjnej zapierał dech w piersi.

Znajdowała się w jedynym cylindrycznym budynku w Mieście Harmonii, mającym średnicę około stu dwudziestu metrów. Zbudowano go w miejscu dawnej cesarskiej zbrojowni Mapidérégo, zaraz za murami pałacu. Wysokością dorównywał wieżom strażniczym miasta, zaś koncentryczne okręgi połączonych gontów na dachu błyszczały w słońcu, sprawiając, że przypominał gigantyczny kwiat – niektórzy widzieli w nim chryzantemę, inni mlecz.

Sala egzaminacyjna była też chlubą akademickiej części Pan, w której skład wchodziła również Cesarska Akademia, gdzie *firoa* – czyli stu najlepszych spośród przystępujących do Wielkiego Egzaminu – mogli się zajmować zaawansowanymi studiami pod okiem specjalistów z przeróżnych dziedzin; Cesarskie Obserwatorium, gdzie astronomowie przyglądali się gwiazdom i wróżyli przyszłość Dary; Cesarskie Laboratoria, gdzie uznani naukowcy przeprowadzali rozmaite badania; a także szereg dormitoriów i domów dla rezydujących i przyjezdnych uczonych.

Po zdobyciu tronu cesarz Ragin uczynił naukę osią swojego planu odbudowy Dary, zaś stolica zaczynała rywalizować z haańskim Ginpenem o miano najważniejszego ośrodka akademickiego. Ci, którym powiodło się na egzaminie, mogli służyć cesarzowi poprzez zajmowanie różnych urzędów w administracji albo rozpoczęcie kariery naukowej.

Wnętrze sali egzaminacyjnej – jedynego pomieszczenia w budynku – było jasne i przestronne. Dzięki szeregom okien upodabniających górną część cylindrycznej ściany do plastra miodu oraz wielkiego świetlika przypominającego oko, sala była skąpana w świetle słońca. Ławki dla kandydatów – których mogły się tu pomieścić niemal dwa tysiące – ustawiono w koncentrycznych pierścieniach. Na środku sali stał wysoki filar, a na nim, niemal pod samym sufitem, platforma przywodząca na myśl bocianie gniazdo. Właśnie tam siedzieli administratorzy. Mieli stamtąd doskonały widok na zdających i z łatwością mogli zauważyć wszelkie oszustwa. W połowie wysokości ściany znajdowała się platforma okalająca całą salę, po której przechadzali się cenzorzy, dodatkowo pilnując przestrzegania zasad. Gdy słońce wschodziło nad pałacem, książę Rin Coda, Sekretarz Dalekowidztwa, spojrzął na premiera Cogo Yelu, który siedział obok niego na środkowej platformie.

– Czy w czasach, gdy jeszcze wszyscy mieszkaliśmy w Zudi, przyszłoby ci do głowy, że kiedyś najlepsi i najmądrzejsi z całej Dary, aby cokolwiek osiągnąć w życiu, będą musieli odpowiedzieć na twoje pytania i wykonać moje polecenia? – zapytał Rin.

Cogo uśmiechnął się łagodnie.

– Myślę, że lepiej nie wracać do przeszłości. Dziś najważniejsza jest przyszłość. Rozczarowany Rin odwrócił się w stronę wejścia do sali egzaminacyjnej i zawołał:

– Otworzyć drzwi!



Kandydaci przybyli z każdego zakątka Dary: ze słynnych i wiekowych akademii Ginpenu, których mury porastały bluszcz i powojniki; ze szkół w Müning, gdzie wykładowcy i uczniowie dyskutowali, zszedłszy z wiszących platform na łodzie pływające po błyszczących wodach jeziora Toyemotika; ze skąpanych we mgle for Boamy, gdzie nauczyciele i studenci dyskutowali nad ranem, by potem wyjść na owcze pastwiska i tam ćwiczyć oraz odpoczywać; z chat rozsianych w lasach wokół Na Thion, gdzie naukowcy-samotnicy kontemplowali tajniki sztuki i natury; z wielkich, lśniących i bogato wyposażonych ośrodków naukowych Toazy, gdzie kosmopolityczne nastroje mieszały się z pragnieniami wzbogacenia się; z ulokowanych w prostych kamiennych budynkach szkół Kriphi, gdzie wychwala się cnoty właściwe sędziwemu wiekowi; z prywatnych szkół z Çaruzy, gdzie podłogi wyklada się słomianymi matami, aby studenci uczyli się nie tylko z ksiąg, ale również poznawali tajniki sztuk walki: zapasów, boksu i walki mieczem.

Oto najlepsi uczniowie całej Dary. System cesarza Ragina, opracowany przez Cogo Yelu i Zato Ruthiego, stanowił kontynuację i udoskonalenie dawnych systemów egzaminacyjnych rozwiniętych w różnych królestwach tirojskich oraz pod rządami Xany. Dzięki ustandaryzowanym pytaniom oraz ujednoliconym zasadom oceniania cesarskie egzaminy miały na celu wyłonić spośród najbardziej utalentowanych mieszkańców Dary tych najlepiej nadających się do służby cesarzowi, bez względu na pochodzenie.

Każdego roku studenci z całej Dary brali udział w tak zwanym egzaminie miejskim, który odbywał się w najbliższym większym mieście. Odpowiadając na pytania z różnych dziedzin – od astronomii przez literaturę i matematykę po zoologię morską i lądową – kandydaci mogli zdobyć rangę *toko dawiji*. Udawało się to zaledwie dziesięciu, maksymalnie dwudziestu zdającym na stu.

Z kolei co dwa lata każdy *toko dawiji* brał udział w egzaminie regionalnym, w którym uczeni musieli pisać eseje na różnego rodzaju tematy. Teksty te oceniano między innymi pod względem erudycji, przenikliwości, kreatywności, siły argumentacji oraz estetyki kaligrafii. Ze stu *toko dawiji* rangę *cashima* otrzymywały czasem nie więcej niż dwie lub trzy osoby. Wreszcie co pięć lat – a teraz pierwszy raz za panowania Dynastii Mlecza – *cashima* z każdej prowincji zbierali się w stolicy regionu, by wziąć udział w selekcji do Wielkiego Egzaminu. Ponieważ każdy region otrzymał ograniczoną liczbę przepustek, zarządca, król, książę lub markiz wybierał jedynie najlepszych kandydatów, biorąc pod uwagę ich wyniki, charakter, rekomendacje, prezencję oraz wiele innych aspektów. W Pan zbierała się śmietanka najlepszych *cashima*.

Każda z tych osób przygotowywała się do tej chwili przez lata, część nawet przez całe życie. Niektórzy zdawali egzamin regionalny za pierwszym razem, inni musieli podchodzić do niego wielokrotnie. Przystępowali doń w czasie rządów królów tirojskich oraz cesarza Mapidérégo, a potem, kiedy zawieszono wszelkie egzaminy na czas powstania i późniejszej Wojny Chryzantemy z Mleczem, następną szansę dostali dopiero teraz, gdy ich włosy pokryły się siwizną. Ich podróż była długa i pełna przygód – znacznie dłuższa niż czas potrzebny na podróż podskakującym na wybojach wozem czy rejs przez morze. Obejmowała niezliczone godziny ślęczenia nad zwojami klasyków epoki Ano i tomami pełnych komentarzy. Zastępowała przyjemności wieku młodzieńczego, pochłaniała każde upalne lato i sprzyjającą beczynności zimę.

Od kandydatów zależało spełnienie marzeń całych rodów: arystokraci, którzy zdobyli swoje tytuły dzięki walce mieczem i tarczą, liczyli na to, że ich potomkowie uhonorują je, dzierżąc nożyk i pędzelek; kupcy cieszący się swoimi fortunami przekonali się, że szacunek można zdobyć jedynie dzięki uczonym dzieciom piastującym wysokie urzędy; ojcowie, którzy polegli na własnej drodze po chwałę, pragnęli odkupienia w postaci sukcesu synów; niezliczone rody wszystkie swoje siły skupiały na wspieraniu tego jednego geniusza w klanie, który miał im zapewnić sławę. Wielu opłacało drogich nauczycieli chwalcących się znajomością tajemnic idealnego eseju, a jeszcze więcej nabilo kabzę szarlatanom sprzedającym ściągę i streszczenia, które były tyleż kosztowne co bezużyteczne. Kandydaci zaczęli napływać do wnętrza sali egzaminacyjnej. Każdy pokazywał swoją przepustkę strażnikowi, który bacznie się jej przyglądał. Każdy był też przeszukiwany, żeby sprawdzić, czy w obfitych fałdach tuniki albo długich rękawach szat wierzchnich nie skrywa kartek papieru pokrytych drobnymi jak główki pcheł literami zyndari bądź szkiców esejów napisanych przez osoby trzecie. Nikomu nie pozwalano wносить na salę ulubionych nożyków czy pędzelków ani też talizmanów zakupionych w świątyni Lutho albo świątyni Fithowéo – tej drugiej z racji faktu, że przecież sala egzaminacyjna była polem walki uczonych! Książę Coda zdawał sobie sprawę, że z racji wielkiej wagi egzaminu pokusa, by dopuścić się oszustwa, jest ogromna, dlatego też zamierzał zrobić wszystko, by nie dopuścić do najmniejszych uchybień.



Kiedy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Rin Coda odczytał instrukcje.

– Przez następne trzy dni wasze stanowiska będą waszymi domami. Będziecie na nich jeść i spać, a także korzystać z nocników, które znajdziecie w środku. Jeśli z jakiegoś powodu będziecie musieli wyjść, zaprzepaście swoją tegoroczną szansę na zdanie egzaminu, ponieważ nie możemy pozwolić na jakiekolwiek ryzyko kontaktu z kimś z zewnątrz. Każdy kandydat na przypisanym mu stanowisku znajdzie świeży zwój jedwabiu, a także papier roboczy, pędzelki, wosk i nożyk do pisania. Zwój z napisanym przez was esejem musi się zmieścić w drewnianym pudełku leżącym w prawym górnym rogu biurka, tak by dało się zamknąć pokrywę,

dlatego rozważnie dobierajcie logogramy. Jedzenie będzie wnoszone trzy razy dziennie, zaś do oświetlania biurka nocą każdy dostanie dwie świece. Nie próbujcie się komunikować z żadnym innym egzaminowanym, czy to poprzez pukanie w ścianki stanowiska, czy to poprzez przekazywanie sobie notatek, czy też jakkolwiek inną „nowatorską” metodą. Każda próba nawiązania tego rodzaju kontaktu będzie skutkować natychmiastową dyskwalifikacją, a ukaranego cenzorzy niezwłocznie wyprowadzą na zewnątrz. Eseje muszą być gotowe trzeciego dnia o świcie. Poinformuję was o zbliżającym się końcu pracy godzinę wcześniej, a kiedy ogłoszę zakończenie egzaminu, gotowe zwoje muszą znajdować się w pudełkach. Nie próbujcie prosić o przedłużenie czasu. Zamilkł na chwilę i się rozejrzał; patrzył na niego prawie tysiąc par oczu, egzaminowani spijali z jego ust każde słowo. Na biurkach leżał papier; pędzelki były namoczone i postawione na sztorc; kulki wosku spoczywały w zasobnikach. Rin się uśmiechnął. Z lubością grzał się w blasku tej podniosłej chwili.

Chrząknął i wrócił do czytania.

– W tym roku temat eseju wybrał sam cesarz. „Gdybyś był głównym doradcą cesarza Dary, jakie zmiany zaproponowałbyś w pierwszej kolejności, aby podnieść jakość życia mieszkańców Wysp? Weź pod uwagę historię i przyszłość. Złote myśli filozofów są mile widziane, lecz nie bój się podzielić własnymi poglądami”.

– Możecie rozpocząć.



Większość kandydatów miała wspominać następne dni jako jedne z najbardziej pracowitych w ich życiu. Wielki Egzamin to bowiem nie tylko sprawdzian wiedzy i umiejętności analitycznych, ale również test wytrzymałości i niezłomności w dążeniu do celu. Trzy dni to w istocie o wiele za dużo na jeden esej, zaś największym wrogiem egzaminowanego jest zwątpienie.

Niektórzy zużywali cały dostępny papier na szkice już pierwszego dnia i podczas kolejnych musieli tworzyć palimpsesty; inni zbyt szybko zaczęli przepisywać tekst na jedwab i zaraz przeklinali swój pośpiech, gdy niewłaściwie umieszczony logogram nie dawał się przesunąć ani zdjąć bez zniszczenia jedwabiu; niektórzy przez długie godziny gapili się w ściany, próbując przypomnieć sobie idealny cytat z epigramów Ra Ojiego, który mieli na końcu języka, lecz pozostawał nieuchwytny niczym srebrzysta ryba czmychająca w ciemną toń morza; inni obgryzali paznokcie do krwi, starając się przewidzieć poglądy cesarza na zadany temat i odpowiedzieć tak, by mu schlebić.

Sześć godzin po rozpoczęciu egzaminu załamał się pierwszy kandydat. Skończył właśnie pisać esej na brudno i zaczął przenosić go na jedwab, kiedy zdał sobie sprawę, że popełnił fatalny błąd w argumentacji. Zeskrobanie tak dużej ilości wosku i rozpoczęcie od nowa zrujnowałoby jego kaligrafię, natomiast pozostawienie logogramów na miejscu oznaczało pozostawienie wadliwego rozumowania. Widząc, jak wiele lat wysiłku poszło na marne z powodu zwykłej niecierpliwości, mężczyzna

wpadł w rozpacz. Zaczął krzyczeć i ciąć się nożykiem do pisania. Organizatorzy byli przygotowani na podobne sytuacje. Czterech cenzorów zaraz znalazło się przy jego stanowisku i wyprowadziło go z sali egzaminacyjnej, żeby udał się do lekarza, a potem wrócił do gospody i odpoczął.

– Może się założymy, ilu przetrwa pełne trzy dni? – zaproponował Cogo Yelu. – Ja myślę, że mniej niż dziewięćdziesięciu na stu.

Rin Coda pokręcił głową.

– Cieszę się, że my z Kunim nigdy nie mieliśmy dość ambicji, żeby brać udział w takich egzaminach.

Pod koniec pierwszego dnia książe i premier opuścili platformę obserwacyjną i oddalili się na spoczynek, jednak cenzorzy w dalszym ciągu pilnowali porządku na sali. W czterech oddalonych od ciebie punktach zapalili duże lampy olejne i tak ustawili znajdujące się za nimi zakrzywione lustra, żeby skupić światło w postaci jasnych snopów. Oświetlali za ich pomocą pojedyncze stanowiska w przypadkowej kolejności, by wylapać potencjalnych oszustów.

Kandydaci stanęli przed kolejnym dylematem: czy lepiej zużyć dwie świece pierwszej nocy i dokończyć szkic, zaś pozostałe dwa dni spędzić na poprawkach kaligrafii? A może rozsądniej będzie porządnie się wyspać pierwszej nocy, a świece zostawić na drugą? Mijały godziny i połowę stanowisk wciąż oświetlały migoczące płomienie, podczas gdy reszta pogrążyła się w ciemności. Trudno jednak o sen, gdy sąsiedzi szeleszczą papierem i wiercą się na matach, gdy nad głową przesuwają się snopy jasnego światła, a strach przed następnymi dniami ściska żołądek.

Trzydziestu kolejnych kandydatów musiano wyprowadzić z sali jeszcze przed świtem, ponieważ nie wytrzymali presji.

Drugi dzień i druga noc były gorsze: nozdrza egzaminowanych wypełniał smród niemytych ciał, pełnych nocników i resztek jedzenia, a niektórzy uciekali się do desperackich kroków, żeby wykorzystać każdą możliwą przewagę. Jedni wyliczyli, ile dokładnie wosku będą potrzebować do ułożenia ostatecznej wersji eseju, a resztę dodali do świec, żeby paliły się dłużej; inni, gdy zabrakło im papieru, zaczęli ryc notatki na ściankach stanowisk; jeszcze inni podgrzewali metalowe łyżki, które przynoszono im razem z miskami zupy, a potem pocierali nimi jedwab od spodu, żeby źle zapisane logogramy odrywać bez niszczenia materiału. Jeszcze inni rozcieńczyli atrament wodą kokosową, a kilku nawet zaczęło zapisywać ostateczną wersję eseju po ciemku, badając grudki wosku palcami.

Cenzorzy notowali każdy przypadek takiego naginania zasad i przychodzili konsultować się z Rinem i Cogo.

– Nie uważam, by należało to traktować jako oszustwo – rzekł Cogo, marszcząc brwi. – A przynajmniej zasady wprost nie zabraniają takich praktyk.

– Powinniśmy im to darować – oznajmił wspaniałomyślnie Rin. – Jestem pewien, że Kuni byłby pod wrażeniem niektórych sztuczek.

Kilkudziesięciu kolejnych egzaminowanych musiało zostać wyprowadzonych z sali, kiedy mdleli z wyczerpania albo tracili panowanie nad sobą z powodu narastającego stresu. Skupiska pustych stanowisk znaczyły salę egzaminacyjną

niczym atole na niespokojnym morzu.

Wreszcie nadszedł świt trzeciego dnia i egzamin wszedł w ostatni etap zmagañ. Niemal wszyscy kandydaci kopiowali juŹ gotowy esej na zwój jedwabiu, ryjąc logogramy z niezwykłą dbałością o szczegóły, i pisali atramentem litery zyndari, które słuŹyły za opływające główny tekst glosy. Pudełko na ostatni esej było bardzo płytke, a logogramy naleŹało strategicznie rozmieścić tak, by całość można było odpowiednio płasko złożyć: kaŹda górka wymagała pasującej doliny, a kaŹde wykrzyknienie – spokojnego lamentu. Egzamin nie sprawdzał jedynie zdolności logicznego rozumowania i opanowania sztuki retoryki, lecz takŹe bardzo praktyczną umiejętność rozwiązania problemu geometrii przestrzennej.

Ci, którzy postanowili pracować przez całą drugą noc, teraz rozumieli swój błąd: ich dłonie, trzęsące się ze zmęczenia, nie mogły utrzymać noŹyka i w wosku powstawały niepoŹądane wypukłości oraz wgłębienia o poszarpanych brzegach. Kilku kandydatów uznało, Źe jedynym wyjściem jest krótka drzemka, a nieliczni z nich z przeraŹeniem budzili się juŹ po zakończeniu egzaminu.

Kiedy słońce schowało się za mury Pan, Rin Coda stanął na platformie obserwacyjnej i ogłosił, Źe za godzinę nastąpi oficjalny koniec.

Niewielu jednak, słyŹąc te słowa, zdobyło się na zdecydowaną reakcję. Większość uznała, Źe godzina niczego juŹ nie zmieni. Złożyli swoje eseje, wsunęli je do pudełek, a potem zlegli na matach i zakryli oczy rękami. Jedynie kilku pracowało jak w amoku, zdawszy sobie sprawę, Źe nie skończą na czas.

– NoŹyki i pędzelki w dół! – krzyknął Coda, a dla kandydatów były to najpiękniejsze słowa, jakie usłyszeli w ciągu ostatnich trzech dni. Właśnie uwolniono ich z piekła.



– Dałam z siebie wszystko, nauczycielu – szepnęła Zomi Kidosu, zamknąwszy pudełko i usiadłszy w *mipa rari* na macie w swoim stanowisku. – Reszta w rękach losu.

Źałowała, Źe jej nauczyciela juŹ przy niej nie ma i nie może go zapytać o słuszność decyzji, jaką podjęła w drodze do Pan; o sekret, który – miała nadzieję – nie zrujnuje wszystkiego, co do tej pory osiągnęła. Lecz została z tym wszystkim sama.

Dlatego, tak jak ją nauczono, modliła się zarówno do Lutho, boga ostroŹnych kalkulacji, jak i Tazu, władcy czystej przypadkowości.

Rozdział piąty

Mimi

Dasu: Dwudziesty drugi rok Rządów Jednego Jasnego Nieba (osiemnaście lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

Pewnego zimowego dnia w dwudziestym drugim roku Rządów Jednego Jasnego Nieba, który był także rokiem storczyka i ostatnim rokiem życia cesarza Mapidérégo, Aki i Oga Kidosu, biedne małżeństwo rybacko-rolnicze z małej wioski na północnym brzegu Dasu, świętowali narodziny córki.

Chociaż rodzina niewielki miała dobytek, malutką chatkę zawsze rozgrzewało ciepło radości. Aki uprawiała ogródek warzywny, reperowała sieci i gotowała potrawy z niesprzedanych ryb, dzikich ziół, ogrodowych ślimaków i marynowanych gąsienic. Jej posiłki smakowały rodzinie równie niebiańsko, co rarytasy serwowane w wielkich pałacach w Kriphi i Müning. Oga całe dni przeczesywał morze razem z innymi rybakami, zaś w nocy latał dziury w ścianach z wiklinowych gałęzi i gliny, zabawiając żonę i dzieci wymyślanymi na poczekaniu historiami. Starsze zajmowały się młodszymi i uczyły się umiejętności rodziców, pomagając im w codziennych obowiązkach. Prowadzili życie proste, ale nie prostackie, skromne, lecz nie podłe, męczące, lecz nie dokuczliwe.

Tuż po narodzinach dziewczynka głośno płakała, jednak jej głos zagłuszyło wycie wiatru.



Tego samego dnia flota cesarza Mapidérégo wypłynęła z Dasu, żeby odnaleźć drogę do Ziemi Nieśmiertelnych.

W czasie ostatnich lat życia Mapidéré coraz więcej uwagi poświęcał swojej obsesji – poszukiwaniu sposobu na przedłużenie życia. Samozwańczy magicy i alchemiści tłumnie ściągali na dwór i oferowali eliksiry, mikstury, zaklęcia, rytuały, ćwiczenia oraz inne metody mające zatrzymać proces starzenia, a nawet go odwrócić. To oszalamiające multum środków miało jednak jedną wspólną cechę: wszystkie wymagały ogromnych nakładów pieniężnych.

Rok po roku, bez względu na to, ile by cesarz nie płacił szarlatanom, którzy z błyskiem w oku szeptali mu do ucha obietnice, i bez względu na to, jak egzotycznych ćwiczeń, diet czy modlitw by nie stosował, stawał się coraz starszy i słabszy. Stracenie kłamliwych kundli nie polepszyło sprawy ani na jotę. Wreszcie, kiedy miał już zrezygnować, przyszli do niego dwaj mężczyźni z Ganu, Ronaza Métu i Hujin Krita. Opowiedzieli historię, która na nowo rozpalila ogień w sercu Mapidérégo.

Istnieje ziemia na północy, powiedzieli, za horyzontem, za najdalej

wysuniętymi wyspami Dary, za rozsianymi po morskich wodach wysepkami, na których kryją się piraci, za rafami i atolami, gdzie mewy wiją swoje gniazda, za zasięgiem płomiennych palców Kany, bogini śmierci. I mieszkańcy tej ziemi cieszą się błogosławieństwem nieśmiertelności.

– Znają sekret wiecznej młodości, *Rénga*, a my znamy drogę. Wystarczy zabrać kilku nieśmiertelnych w nasze strony i poprosić o przekazanie nam swojej wiedzy.

– Skąd to wiecie? – zapytał cesarz chrapliwym szeptem.

– Gańscy kupcy nieustannie szukają nowych ziem i nowych tras – odparł Hujin Krita, młodszy i bardziej wygadany od towarzysza. – Już od dawna intrygują nas liczne opowieści o cudownościach tamtej krainy.

– Przeczesałiśmy także wiekowe księgi, szukając wzmianek na jej temat, zbadaliśmy wraki łodzi pechowych rybaków, ofiar sztormu, i zebraliśmy rozliczne wskazówki – dodał Ronaza Métu, który wydawał się bardziej opanowany i wyrachowany. – Wszystkie prowadzą do jednego wniosku: Ziemia Nieśmiertelnych istnieje.

Mapidéré popatrzył z zazdrością na silne członki i dumne, urodziwe twarze mężczyzn. Zdawało mu się, że słyszy w ich głosach pobrzękiwanie monet.

– Te opowieści mogą być jedynie mirażami utkanymi z marzeń sennych wywołanych ziołami pani Rapy. Trudno w nie wierzyć.

– A jednak czyż historia nie jest zapisem wielokrotnie powtarzanych opowieści? – zapytał Krita.

– I czy zjednoczona Dara nie była jedynie marzeniem, póki go nie ziszcisz, *Rénga*? – dodał Métu.

– Świat jest wielki, a morza bezkresne – powiedział Krita. – Każda z historii musi być prawdziwa w którymś jego zakątku.

Cesarzowi spodobała się ich przemowa. Niewiele było logiki w stosowanej przez nich argumentacji, lecz czasami logika nie jest tak ważna jak wiara.

– W takim razie powiedzcie, czego wam trzeba – odparł Mapidéré.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem odwrócili się z powrotem do cesarza.

– Niektórymi sekretami nie można się dzielić, póki to, czego dotyczą, się nie ziści, nawet z władcą Xany.

– Oczywiście. – Cesarz uśmiechnął się krzywo. Przez lata panowania nauczył się co nieco o ludziach i z przykrością zauważył oznaki kolejnego szwindla. Nie potrafił się jednak oprzeć kuszącym dźwiękom pieśni nadziei. – Co proponujecie?

– Cóż... – Mężczyźni zawahali się. – Ziemia Nieśmiertelnych jest bardzo daleko, więc będziemy potrzebowali floty potężnych statków, niemal pływających miast.

– A sterowce? – zapytał cesarz.

– Och, nie! Podróż zajmie całe miesiące, jeśli nie lata. To zbyt długo jak na niewielkie zapasy, jakie uniosą sterowce. Trzeba zbudować specjalną flotę na podstawie naszych planów.

„Czyżby planowali się wzbogacić, kradnąc z funduszy przeznaczonych na

budowę?”, zastanawiał się cesarz. Nie miało to znaczenia; znał sposoby, by zabezpieczyć się na każdą ewentualność.

– Jeden z was będzie odpowiedzialny za budowę statków, drugi może się zająć zbieraniem załogi i zapasów. Dam wam wszystko, czego potrzebujecie.

Mężczyźni wydawali się zadowoleni.

– Kiedy ekspedycja będzie gotowa – ciągnął dalej cesarz – jeden z was będzie nią dowodził, drugi zaś zostanie tutaj, by czekać na wieści – bacznie obserwował twarze obydwo – razem ze mną.

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Ty powinieneś płynąć, przyjacielu – powiedział Krita. – Jesteś lepszym marynarzem.

– Nie – odparł Métu. – Tobie należy się ten zaszczyt, ponieważ łatwiej potrafisz przekonywać ludzi. Ja zostanę tutaj i zaopiekuję się naszymi rodzinami. Wiem, że nie rozczarujesz ani nas, ani cesarza.

„Nie uświadczysz honoru wśród złodziei – pomyślał cesarz. – Gdyby rzeczywiście byli oszustami, żaden nie kwapiłby się do pozostania tutaj i zmierzenia się z moim gniewem, gdy ten drugi nie wróci. A jednak każdy zaofiarował się pozostać, każdy też jest gotowy opuścić swoją rodzinę. Może więc rzeczywiście wiedzą, jak dopłynąć do Ziemi Nieśmiertelnych”.

Szkutnicy Mapidérégo pracowali dzień i noc, żeby zbudować ogromne statki-miasta zgodnie z projektami kupców: każdy równie wysoki co wieże strażnicze Pan i z pokładem dość długim i szerokim, by koń mógł rozpędzić się na nim do galopu. Zaprojektowano głębokie luki na zapasy, które wystarczą na lata, a także luksusowe kabiny zarezerwowane dla nieśmiertelnych gości do użycia podczas podróży powrotnej. Łącznie załoga składała się z dwunastu tysięcy wykwalifikowanych marynarzy, tancerzy, kucharzy, krawców, stolarzy, kowali, żołnierzy – niektórzy mieli za zadanie zaimponować nieśmiertelnym wysoką kulturą Dary, zaś inni w sposób zakładający użycie siły, jeśli okazałoby się to konieczne, i przekonanie ich, że mądrze jest słuchać poleceń cesarza. Wszyscy zostali wysłani w podróż na bliżej nieokreśloną północ. Wraz z nimi płynąć miał też książę, syn mniej lubianej konsorty cesarza, by jego obecność świadczyła o szacunku wobec nieśmiertelnych.

Do Dasu, najbardziej wysuniętego na północ zakątka Dary, przybył książę koronny Pulo, by osobiście wysłać flotę. Zaintonował modlitwę do Kiji, władcy nieba i wiatru, a także Tazu, pana prądów i wirów morskich. Następnie nakazał wypełnić kontury oczu namalowanych po obu stronach dziobu każdego ze statków, żeby żeglarze mogli odnaleźć drogę we mgle i falach.

Dzień był zimny, jednak niebo bezchmurne, a morze spokojne. To był dobry dzień, by wyruszyć na ekspedycję.



Sztorm rozpętał się zaraz po tym, jak ostatni maszt zniknął za horyzontem. Wiatr szalał nad lądem i oceanem, zrywając dachy z chat i łamiąc drzewa. Deszcz lał

się strumieniami, przez co nie dało się dojrzeć niczego poza zasięgiem wyciągniętej ręki. Dygnitarze i oficjele, którzy przybyli zobaczyć flotę, schowali się w piwnicach i drżeli z przerażenia, kiedy nad ich głowami przetaczały się gromy i biły błyskawice.

Trzy dni później burza skończyła się tak nagle, jak się zaczęła, zostawiając po sobie tęczę wiszącą nad morzem.

Książę Pulo rozkazał, by sterowce poszukały na morzu śladów floty. Wróciły trzy dni później bez żadnych wieści.

Wysłano po marynarkę i kazano wyprowadzić w morze wszystkie łodzie rybackie. Podejrzewano, że flota przepadła, więc rybakom polecono szukać rozbitków. W rzeczywistości liczył się wyłącznie książę. Chociaż wątpliwe, by cesarz w ogóle pamiętał jego imię – inaczej nie wysłałby go na tak niemądrą wyprawę – wciąż był synem władcy, więc zarządca i urzędnicy z magistratu Dasu śmiertelnie bali się konsekwencji, gdyby nie wykazali się wystarczająco dużym zapalem w poszukiwaniach.

Rybakom nie pozwolono odpocząć. Gdy tylko wrócili, wysłano ich znowu i nakazano płynąć dalej. Bez względu na to, jak bardzo było widać po nich zmęczenie i niewyspanie, zabroniono im wracać do domu, dopóki nie odnajdą księcia.

Wielu przepadło bez wieści.

Książę koronny Pulo czekał przy brzegu. Porzucił nadzieję na zobaczenie młodszego brata i tylko czekał, aż morze wyrzuci na brzeg wrak któregoś ze statków. Jednak nic, co fale przynosiły na piasek, nie wyglądało na resztki floty.

Dziesiątego dnia po tym, jak zakończyła się burza, z Müning na wyspie Arulugi przybyła potężna armada, lecz książę Pulo powiedział jedynie:

– Odwołajcie poszukiwania. Mamy teraz porę sztormów i nie można ryzykować życia kolejnych osób. Sam powiadomię ojca.



Ronaza Métu – który pozostał na lądzie, żeby świadczyć o tym, jaką wiarę pokładali w wyprawie – przysięgał, że flota musiała wypłynąć dalej, niż mogły dotrzeć sterowce i łodzie rybackie, zaś burza była tylko niezwykłym sposobem Kijego na popędzenie statków.

Jednak cesarz Mapidéré inaczej interpretował ten omen. Uznał, że Kiji i Tazu rozbili flotę na tak drobne kawałki, że nie dało się znaleźć choćby najmniejszego śladu. Niewątpliwie bogowie dali mu w ten sposób znak, że znowu został oszukany.

Métu został stracony, podobnie jak wszyscy mężczyźni z jego rodziny i rodziny jego towarzysza aż do trzeciego stopnia pokrewieństwa. Cesarza niekoniecznie obchodziło, czy przelana krew udobrucha bogów; najważniejsze, że on poczuł satysfakcję. Miał nadzieję, że wykazał się wystarczającą gorliwością w poszukiwaniu zmarłego syna, by ten nie nawiedzał go w tym życiu i by cesarz nie czuł się zawstydzony, gdy spotkają się ponownie w zaświatach.



Sztormy tak potężne jak ten, który zatopił flotę, nie były w Darze czymś nowym. W podaniach Dasu i Rui uważano je za rezultat gniewu Kijego na boskie rodzeństwo, zaś dzieci, które przyszły na świat w czasie takich burz, uważano za urodzone pod szczęśliwą gwiazdą. Mimo to kapłani Kijego i urzędnicy Dasu nie zapisali tego konkretnego sztormu w księgach wróżb czy kapliczkach rodzinnych – bo czyż cesarz już nie zawyrokował? Tamta godzina była przeklęta.

A jednak Aki Kidosu nie chciała ich słuchać. Razem z mężem spędzili zaledwie kilka nocy z nowo narodzoną córeczką, zanim cesarscy urzędnicy nie wysłali go na zimowe morze w poszukiwaniu śladów pechowego księcia i ekspedycji do Ziemi Nieśmiertelnych.

– Proszę, Wasza Wysokość, moja żona i córka bardzo mnie potrzebują – powiedział wtedy Oga. – Dziecko jest dla nas niespodzianką, bowiem żona myślała, że czasy płodności już dawno dla niej przeminęły, a mniszki Tututiki nakazały nam szczególną troskę...

– Rodzenie dzieci to dla kobiet rzecz naturalna – oznajmił urzędnik. – Natomiast mężczyzna powinien być zaszczycony, mogąc służyć cesarzowi. Powiedziano mi, że jesteście najlepszym rybakim w okolicy. Musicie wypłynąć.

– Ale moi synowie już pomagają w poszukiwaniach i moglibyśmy przecież się zmieniać...

– Powiedziano mi również, że wymyślasz historie – odparł urzędnik poważnym tonem. – Żeś jest zdolnym rybakim z językiem giętkim jak węgorz. Nie próbuj się wykręcać od obowiązku.

– Chciałbym wrócić następnego dnia...

– Nie. Popłyniesz dalej niż wszyscy inni, bo każdego roku wygrywacie wiosenne zawody na łodziach. Jeśli wrócisz wcześniej niż ktokolwiek z pozostałych, nazwę cię zdrajcą.

Jeden po drugim rybacy wracali z morza, zmęczeni i z pustymi rękami. Wyjazd księcia koronnego w końcu przekonał urzędników, że są zwolnieni z obowiązku poszukiwań, i wykończonym rybakom wreszcie pozwolono wrócić do domów.

Jednak Ogi nie było wśród nich.

– Proszę – błagała Aki magistratów – inni mieszkańcy wioski nie mają dość sił, żeby wypłynąć na poszukiwania. Czy nie możecie wysłać cesarskiej armady, by go odnalazła?

– Bezczelna kobieto! – skarcił ją urzędnik. – Twoim zdaniem cesarskie siły powinny zawrócić, by szukać jakiegoś zwykłego rybaka?

– Ale on szukał księcia! Służył cesarzowi!

– W takim razie powinien się cieszyć, że oddał za niego życie.

Kiedy mieszkańcy wioski odzyskali trochę sił, wypłynęli w morze w poszukiwaniu Ogi. Uparli się, by synowie zaginionego rybaka zostali w domu razem z matką – gdyby któremuś z nich coś się stało, Aki pękłoby serce. Wracali jeden po drugim bez żadnych wieści. Mimo to Aki nie zamierzała pogodzić się z utratą męża, dopóki nie ujrzy ciała. Biedota tak samo nie potrafi się wyzbyć nadziei

jak cesarz.



– Tatuś wróci, kiedy sorgo będzie gotowe do zbiorów – szeptała niemowlęciu podczas karmienia. Nazwała dziecko Mimi ze względu na to, że mlaskała drobnymi usteczkami i uwielbiała mleko, czym przywodziła jej na myśl kotka. – Z pewnością będzie miał ci wiele wspaniałych historii do opowiedzenia.

– Nic się nie martw, Mimi-tika. Tatuś zaraz wróci, jeszcze przed następnym szkwałem – śpiewała, kołysząc małą do snu. – Ponosi cię na barana i będzie udawać dla ciebie statek na wzburzonym morzu.

– Myślę, że zobaczymy go jeszcze przed końcem lata. Rok na morzu to bardzo długo – powtarzała Aki śpiewnym głosem z fałszywą radością. – Może uratowali go piraci i zabawiał ich opowieściami o wspaniałych przygodach, tak jak kiedyś rybaków w zimowe wieczory.

– Masz już dwa latka! Tatuś będzie pod wrażeniem, kiedy cię zobaczy – mówiła. A potem, gdy wydawało jej się, że nikt nie słyszy, ciężko wzdychała.

Każdego ranka spacerowała po plaży w poszukiwaniu resztek łodzi i wciąż pytała rybaków powracających z morza, czy nie widzieli niczego w czasie połowów. Każdego wieczoru modliła się do pana Kijego i pana Tazu.

Raz w roku, po jesiennych zbiorach, kiedy szła na targowisko w Daye, żeby opłacić swojego obszarnika, wypytywała w posiadłości zarządcy o wieści na temat pojmanyh piratów – chciała wiedzieć, czy któryś z nich przypadkiem nie przypomina jej męża. Przeganiano ją stamtąd jak natrętną muchę. Urzędnicy mieli ważniejsze sprawy na głowie: nowego cesarza Erishiego i plotki o toczącej się daleko rebelii. Nie było czasu, żeby zajmować się wariatką, która nie potrafi zaakceptować śmierci męża, chociaż tak wielu już straciło życie w znacznie mniej tajemniczych okolicznościach.

Po opuszczeniu posiadłości zarządcy Aki zawsze zatrzymywała się przy kaplicy pana Kijego, żeby złożyć ofiarę i poprosić o radę. Mnisi i mniszki kazali jej być cierpliwą i zawierzyć bogom, lecz często ją porzucali, czasem w pół zdania, żeby zająć się lepiej ubranymi panami i paniami, którzy przybywali do kaplicy ze skrzyniami pełnymi darów dla pana Kijego i jego sług.



Jak większość dzieci biedoty, Mimi ledwo zdążyła nauczyć się chodzić, a już szła na pole i plażę, żeby pomagać matce w pracy.

Wiosną, kiedy jej mama i bracia – starsi od niej o ponad dziesięć lat – orali ziemię, ona niezdarnie maszerowała ich śladem, sypiąc ziarna sorgo i prosa. Latem zdejmowała tłuste gąsienice z liści w ogródku warzywnym, miażdżyła ich główki i wrzucała wciąż wijące się ciałka do sakwy z liścia lotosu, żeby później można je było upiec jako przekąskę – właśnie w ten sposób nędznicy, których nie było stać na mięso, radzili sobie z pragnieniem zjedzenia czegoś sycącego. W czasie sezonu

rybackiego, jeszcze zanim urosła na tyle, by pomagać rybakom, latała sieci i razem z innymi przygotowywała ryby do suszenia i fermentowania, krzywiąc się za każdym razem, gdy ostra krawędź łuski przecięła opuszkę, a do ranki dostała się sól. Tak było do czasu, aż jej skóra zgrubiała na tyle, że palce zaczęły przypominać wygrzebane z ziemi kolokazje.

– Twoje dłonie wyglądają jak moje – powiedziała matka. Nie był to ani komplement, ani wyrzut, lecz zwykłe stwierdzenie faktu. Mimi zgodziła się ze słowami matki, chociaż jej rączki były o wiele mniejsze.

Nosiła ubrania, z których wyrosli jej starsi bracia i które teraz przypominały szmaty. O buty troszczyła się sama, sznurkiem od sieci przywiązując sobie do stóp kawałki drzewa wyrzuconego przez morze. Nie знаła faktury jedwabiu, chociaż czasami widywała synów i córki bogaczy, gdy mijali jej pole; rąbki mieniących się tunik i sukienek powiewały na wietrze niczym strzępy chmur wydarte z wieczornego nieba.

Życie Mimi niczym nie różniło się od życia, jakie wiodły niezliczone dzieci biedoty na wyspach Dary. W końcu przeznaczeniem nędzników było cierpienie i znój, prawda?

Jednak Mimi wyróżniała się podczas zabawy. Nie była bynajmniej mało towarzyska, jednak zdawała się mieć problem z wpasowaniem się w delikatną strukturę sił i hierarchii, jaka panowała pośród dzieci. Kiedy pozostałe maluchy z wioski ganiały się po polach, walczyły w błocie albo odtwarzały sceny koronacji królów i królowych, ona wolała przechadzać się samotnie i patrzeć w niebo albo na fale łagodnie omywające piaszczysty brzeg.

– Na co się tak gapisz? – pytały ją czasami inne dzieci.

– Słucham wiatru i morza – odpowiadała Mimi. – Nie słyszycie? Znowu się klóć... A teraz opowiadają sobie nawzajem żarty.

To była druga wyjątkowa cecha Mimi: dziewczynka potrafiła rozmawiać z matką pełnymi zdaniami długo przed drugimi urodzinami, a gdy wsłuchiwała się w słowa dorosłych, patrzyła na nich ze zrozumieniem i powagą. Wszyscy zachwycali się jej mądrością.

„Może dziecku przeznaczone jest przemawianie do bogów”, myślała Aki. Istniało wiele legend o wielkich kapłanach i kapłankach, mnichach i mniszkach, którzy potrafili odczytywać wolę bogów ze znaków, jakie tamci zostawiali w naturze. Jednak szybko przegoniła tę myśl. Nie mogła sobie pozwolić na odesłanie żadnego dziecka do wioskowego nauczyciela, a co dopiero na złożenie ofiary w świątyni Kijego, wymaganej przed przyjęciem dziecka na nauki.

Potem wybuchło powstanie przeciwko cesarzowi Erishiemu i Xanie, a nowi królowie pojawiali się w różnych częściach Dary jak kielki bambusa po wiosennym deszczu. Wojna przetoczyła się po niemal wszystkich wyspach, całe szczęście Dasu w zasadzie udało się jej uniknąć. Kiedy jednak marszałek Xany Kindo Marana wezwał do wstępowania do wojska, wielu młodych mężczyzn z tej małej xańskiej wysepki wyruszyło na Wielką Wyspę, żeby walczyć z rebeliantami. Niektórzy szukali chwały, inni jedzenia i zapłaty, a jeszcze inni – w tym bracia Mimi – zostali

wciągnięci do armii wbrew ich woli.

Żaden z tych młodzieńców nie powrócił.

– Moi synowie wrócą do domu razem z ojcem – powiedziała Aki. Modliła się jeszcze żarliwiej.

Czasami Mimi dołączała do matki. Z ich życia zniknęli wszyscy mężczyźni, więc cóż innego im pozostało? Nadzieja to waluta, która nigdy nie traci na wartości, zaś przeznaczeniem biednych jest cierpienie i znój, prawda?

Mimi nadstawiała uszu, by usłyszeć znaki w szumie wiatru i morza, wyteżala wzrok, by odczytać informacje z ruchu fal i chmur. Czy bogowie słyszeli jej modlitwy? Nie była pewna. Odgłosy wydawane przez bogów wydawały się świadczyć o ich nastroju, jednak ich mowa była poza zasięgiem zrozumienia Mimi, co przyprawiało ją o obłęd. Co mógł znaczyć fakt, że wiatr niosący głos Kijego, patrona Xany, wydawał się pełen gniewu i rozpacz, podczas gdy fale mówiące w imieniu Tazu, boga zamieszania i chaosu, wzbijały się wysoko w akcie triumfu i dzikiej przyjemności? Co miała znaczyć ta wypowiedź? A co tamta zmiana frazy?

Wyteżala umysł, by zrozumieć świat, lecz ten przykrył się woalem, przez który nic nie dało się zobaczyć.



Kiedy Mimi miała już pięć lat, pewnej nocy obudziła się zupełnie zdezorientowana. Jej matka spała mocno zaraz obok niej. Dziewczynka nie potrafiła przypomnieć sobie snu, który ją obudził. Czula, że na zewnątrz dzieje się coś ważnego, więc wstała z łóżka i na palcach podeszła do drzwi.

Niebo było zupełnie czarne, nie świecił ani księżyc, ani choćby jedna gwiazda. Znad morza ciągnęła delikatna bryza, niosąc ze sobą znajomy solankowy zapach. Jednak daleko na północy, gdzie morze spotykało się z niebem, migotały światła i zaraz do dziewczynki dotarły odgłosy burzy, opóźnione i stłumione.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na horyzont. W blasku błyskawic z mętnej przestrzeni między wodą a niebem wydawały się wylaniać niewyraźne kształty. Wkrótce widziała je dokładnie: oto na mglistym niebomorzu niczym sterowiec unosił się żółw – ogromny, wielkości pływającej wyspy. Niezgrabnie posuwał się na zachód. Za nim płynął jeszcze potężniejszych rozmiarów rekin. Mknął przed siebie, od czasu do czasu skacząc naprzód i pokazując zęby stworzone z zakrzywionych piorunów. Chociaż żółw zdawał się poruszać nieśpiesznie wyraźnie umykał przed rekinem, który niestrudzenie podążał w ślad za nim, wściekle rzucając ogonem.

Mimi wiedziała, że żółw to *pawi* Lutho, boga rybaków, a rekin to *pawi* Tazu, boga destrukcyjnej natury morza. Przyglądała się wydarzeniom na wodzie z zainteresowaniem, niczym przedstawieniu trupy wędrownej. Nagle upiorne błyski w niebomorzu zmieniły się i teraz dziewczynka zobaczyła dziwacznie zaprojektowany statek, którym rzucało na falach. Był okrągły i przypominał połówkę kokosa albo liść lilii wodnej podskakującej gwałtownie w trakcie burzy. Ogromny pojedynczy maszt, śnieżnobiały, wystawał ze środka statku jak lodyga

kwiatu lotosu, chociaż żagle dawno zostały zwinięte albo rozszarpane przez wiatr. Maleńkie sylwetki próbowały trzymać się takielunku i burty, jednak z każdą nadchodzącą falą kilku żeglarzy wypuszczało go z rąk i lądowało bezgłośnie w morskiej toni. Nieregularne światło błyskawic zdawało się podkreślać potworność sytuacji, w jakiej znalazł się statek-widmo.

Gigantyczny żółw podpłynął do statku, zanurkował, a potem wynurzył się raz jeszcze, ze statkiem utkwionym bezpiecznie w głębokich bruzdach skorupy, jakby był tylko wielkim wąsonogiem. Żółwia wyspa leniwie popłynęła dalej na zachód, a biały rekin pędził tuż za nią, rozbijając fale ogonem i kłapiąc zębami. Jednak żółw uciekał, powoli i nieubłaganie.

„Wobec morza wszyscy ludzie są braćmi”, pomyślała Mimi. Instynktownie czuła sympatię i strach wszystkich wyspiarzy wobec tych, którzy odważyli się zmierzyć z żywiołem. W obliczu jego brutalności wszyscy ludzie są równie bezsilni. Dopinguwała żółwiowi i załodze niesionego na jego skorupie statku, chociaż wiedziała, że kimkolwiek są – duchami, upiorami, bogami czy zwykłymi śmiertelnikami – znajdują się zbyt daleko, żeby ją usłyszeć.

Raz jeszcze ogromny rekin wyskoczył w powietrze, wyżej niż wcześniej, i znalazłszy się w najwyższym punkcie swego lotu, wypuścił długą, rozgałęzioną błyskawicę. Ta, niczym język gigantycznego pytona, pokonała dzielącą oba zwierzęta przestrzeń i uderzyła w statek na skorupie.

Wszystko na moment zamarło w ostrym, zimnym blasku, a potem ciemność ukryła scenę zniszczenia.

Mimi krzyknęła.

Raz jeszcze horyzont rozświetlił się migotliwym burzowym blaskiem. Wielki rekin najwyraźniej ją usłyszał. Machając swym ogromnym ogonem, skręcił w stronę wyspy, a jego oczy skupiły się na dziewczynce niczym światła latarni. Rozwarł szczęki i po kilku sekundach dokoła Mimi przetoczył się potężny grom, zaś z nieba lunęło z taką mocą, że zdawało jej się, że tonie.

„Czy właśnie tak się dzieje, gdy przeciwstawisz się bogom? – myślała. – Czy właśnie tak zginę?”

Rekin płynął do plaży, jego olbrzymia postać przypominała wyspę przelewającego się blasku. Raz jeszcze rozwarł szczęki, pomiędzy których wystrzeliła błyskawica i pomknęła ku Mimi niczym długa macka. Powietrze trzaskało i jarzyło się od energii pioruna.

Czas jakby zwolnił; dziewczynka zamknęła oczy, pewna, że jej krótkie życie rychło dobiegnie końca. Wtem gdzieś nad głową poczuła czyjaś przytłaczającą obecność. Ktokolwiek to był, unosił się tak nisko, że Mimi zaczęła świerzbić skóra na głowie. Uniosła powieki i spojrzała do góry. W stronę wody, prosto ku językowi błyskawicy, sunął gargantuiczny, potężny sokół. Jego skrzydła były tak ogromne, że przypominały rozpostarty na niebie most zbudowany z płynnego srebra; lotki na ich krawędziach błyszczały jak spadające gwiazdy. Mimi nigdy wcześniej nie widziała niczego równie pięknego.

Sokół obniżył prawe skrzydło niczym tarczę, żeby osłonić się przed piorunem

wystrzelonym z rekiniego pyska. Oczy ryby rozszerzyły się z zaskoczenia, a potem zmrużyły, kiedy syczący język spotkał się z piórami ptaka. Nastąpiła potężna eksplozja iskier przypominająca erupcję wulkanu. Jedna z nich pomknęła w stronę Mimi i trafiła ją w twarz. Dziewczynkę przeszył palący ból. Zupełnie jakby zmieniono ją w lejek na roztopioną skalę, którą właśnie wlewano jej do głowy; sycząca lawa płynęła przez jej tułów, rozpuszczając wszystkie organy, wydostawała się przez lewą nogę i wsiąkała w ziemię.

Mimi krzyczała. Krzyczała i nie mogła przestać.

Nie mogła uwierzyć w to, jak długo udawało jej się zachować przytomność, podczas gdy żar palił jej każdą komórkę ciała. Ostatnim, co zapamiętała, zanim pogrążyła się w błogiej nieświadomości, był obraz sokoła nurkującego w stronę rekina, który wyskoczył mu na spotkanie, jakby niebo i morze miały pożreć się nawzajem w majestatycznej walce.



Uderzenie pioruna pozostawiło swój ślad na twarzy Mimi i sparaliżowało jej lewą nogę. Przez kilka dni leżała w malignie, z której budziła się od czasu do czasu, krzycząc i bełkocząc niezrozumiale o tym, co widziała tamtej nocy.

– Była takim ładnym dzieckiem – powiedziała wioskowa zielarka, Tora, a potem westchnęła. O czym wówczas pomyślała, nie wiadomo: być może o utracie wartościowego męża, której doświadczyła Aki; o niepewnej przyszłości kobiety, która pozostała bez choćby jednego syna, a może o okrucieństwie świata.

– Jest pracowita – powiedziała Aki spokojnie. – Blizny nie przeszkadzają w ciężkiej pracy. Co możesz dla niej zrobić?

– Mogę jej dać trochę lodowego ziele na gorączkę i koronkę Rapy na lepszy sen – odparła zielarka. – W zasadzie możemy tylko dbać o jej wygodę... Na wszelki wypadek poproś sąsiadów o zorganizowanie pochówku.

– Bogowie nie dali mi jej w późnym wieku tylko po to, by zabrać mi ją, zanim urośnie na tyle, by zapytać ich o swój cel – rzuciła uparcie Aki.

Tora pokręciła głową i wymamrotała coś pod nosem o przeklętej godzinie narodzin dziecka, a potem odeszła.

Aki nie zamierzała się poddawać. Zwinęła się na łóżku wokół Mimi i ogrzewała ją własnym ciałem. Sąsiedzi przynosili jej woreczki trudnej do zdobycia morskiej żony – były to osłonki jaj dyrany, czasami znajdowane na wstążkach krasnorostów w podwodnym lesie – z której Aki gotowała zupę. Karmiła córkę łyżką z rybiej kości, żeby dodać posiłkowi mocy.

Dziewczynce powoli wracały siły. Pewnego ranka obudziła się i spojrzała na matkę spokojnym wzrokiem, a potem powiedziała, co się wydarzyło przed tym, jak uderzył w nią piorun.

– Wiele fantastycznych postaci widzimy w snach wywołanych gorączką – odparła Aki.

Mimi nie uważała, by jej wspomnienia były snami, ale nie mogła mieć

pewności. Postanowiła więcej o tym nie wspominać.

Tora została wezwana raz jeszcze, by oceniła, czy da się coś zrobić w sprawie chorej nogi Mimi, bowiem pozostawała bez czucia. Było zupełnie tak, jakby kończyna przestała być częścią ciała dziewczynki, trzeba było ją ciągnąć jak coś obcego. Biodro odzywało się wówczas bólem tysiąca ukłuć igielnych.

– Mogę ci zrobić okład z pasty krewetkowej i wodorostów na ból – powiedziała zielarka. – Ale ta noga... nic już z niej nie będzie.

Aki uśmiechnęła się i milczała. W końcu przeznaczeniem biedoty jest cierpienie i znój, prawda? Z pewnością bogowie nie mogli pozwolić, by Mimi została pozbawiona możliwości spełnienia swojego przeznaczenia.

– Boli tak bardzo, że nie mogę zasnąć, mamó. Opowiedz mi bajkę.

Rozdział szósty Sto Kwiatów

Dasu: Dawno, dawno temu

Dorastając, Mimi usłyszała od matki wiele opowieści, które wspominała w późniejszych latach. Jednak pamięć jest jak grudka wosku, którą nożyk świadomości przekształca z każdym kolejnym opowiedzeniem historii, więc kiedy Mimi rosła i się zmieniała, jej opowieści również.

Kwieciste metafory zastąpiły proste porównania; wyrafinowane kenningi zajęły miejsce zwyczajnych fraz; zamiast morskiego szumu maminych szeptów rozbrzmiewało echo klasyków. Wspomnienie słów matki w ich dokładnym brzmieniu było niemal tak trudne jak zatrzymanie piasku wysypującego się spomiędzy palców, gdy zaciska się dłoń.

Jednak sedno każdej z opowieści pozostało niezmienione, a wspomnienia wypełniał zapach domu. Były to krajobrazy jej dziecięcych snów, brzegi pierwszych historii.

A więc, Mimi-tika, zanim razem z twoim ojcem dorobiliśmy się dzieci, zabawialiśmy się, opowiadając sobie nawzajem historie w długie zimowe wieczory, zaraz po wspólnych figlach i przed zaśnięciem. Czasami były to opowieści, które znaleźmy od rodziców, a oni od swoich rodziców. Czasami dodawaliśmy coś od siebie, tak jak córki naprawiają i zmieniają suknie odziedziczone po matkach, a synowie adaptują i zmieniają kształt narzędzi odziedziczonych po ojcach. Czasami wymienialiśmy się tymi samym opowieściami, za każdym razem je zmieniając, tak jak miłość buduje się i przekształca, poleruje i udoskonala, kiedy pracują nad nią dwie osoby.

Oto jedna z tych opowieści.

Wiesz, że upływ czasu mierzy się w dwunastoletnich cyklach, a każdy rok nosi nazwę zwierzęcia lub rośliny. Cykl zaczyna się od roku śliwy, po którym przychodzi rok crubena, następnie jest rok wieloryba, bambusa, karpia, chryzantemy, jelenia, sosny, ropuchy, kokosu i wreszcie wilka, a potem znów następuje rok śliwy. Los każdego dziecka jest złączony ze zwierzęciem lub rośliną rządzącymi rokiem, w którym przyszło na świat.

Jednak w jaki sposób wybrano akurat te zwierzęta i rośliny? Posłuchaj.

Dawno temu, kiedy bogowie i herosi wciąż chodzili ramię w ramię po ziemi, walczyli ze sobą i kochali się jak bracia, lata mijały bez określonego charakteru. Każdy rok mógł równie dobrze być łagodny jak karp w górskim stawie i przynieść

obfite plony i połowy, jak i gwałtowny niczym wiekowa sosna machająca swymi sękatymi gałęziami, przynosząc znój i naznaczone głodem zimy.

– Moi bracia i siostry – powiedział pewnego dnia pan Rufizo, empatyczny bóg uzdrowicieli – zbyt długo pozwalamy czasowi płynąć niczym nieuregulowanej rzece. A przecież nasza matka, Źródło Wszystkich Wód, zobowiązała nas do dbania o mieszkańców Dary. Musimy lepiej spełniać nasze obowiązki i uporządkować upływający czas.

Inni bogowie i boginie przystali na tę najdoskonalszą z sugestii i postanowili, by podzielić czas na dwunastoletnie cykle, podobnie jak teraz potężna rzeka Miru jest podzielona przez tamy i młyny wodne rozmieszczone wzdłuż koryta co jakieś dwanaście mil. Dwanaście to dobra liczba, ponieważ symbolizuje cztery światy – Powietrza, Ziemi, Wody i Ognia – pomnożone przez trzy tryby czasu: przyszłość, terażniejszość i przeszłość. Ustalono, że każdy rok cyklu zyska miano jakiegoś zwierzęcia albo rośliny, tak by nazwa determinowała jego charakter. W ten sposób rolnicy, myśliwi, rybacy i pasterze wiedzieliby, czego się spodziewać, i w ten sposób mogliby się przygotować na dobre lub złe zmiany.

– Cywilizacja polega na obdarzaniu imionami rzeczy ich pozbawionych – oznajmił pan Lutho, który zawsze lubił nadawać wszystkiemu literacki połysk.

– Pierwszemu rokowi przypisuję parę kruków... – powiedziała pani Kana.

– ...bo wszyscy wiedzą, że kruki są najmądrzejsze ze wszystkich ptaków – dokończyła pani Rapa.

– Nie, nie, nie – zaprotestował pan Tazu, który uwielbiał sprzeciwiać się rodzeństwu. – Jaka w tym zabawa, jeśli każdy z nas wybierze teraz swoje pawi? Po pierwsze, nie starczy ich na wszystkie dwanaście lat. A po drugie, dopiero co walczyliśmy ze sobą o to, kto ma być pierwszym pośród równych. Naprawdę chcemy wywołać kolejną wojnę?

– Co w takim razie proponujesz, Tazu? – zapytała Tututika, której również nie podobała się wizja dalszych kłótni z braćmi i siostrami.

– Uczyńmy z tego grę!

Pozostali bogowie i boginie zapalili się do tego pomysłu, ponieważ bogowie, jak dzieci, najbardziej ze wszystkiego uwielbiają gry.

– Sprawimy, żeby każdy kwiat, drzewo, pęd, ptak, ryba i każde inne zwierzę dowiedziało się o tym, że bogowie Dary wybierają czempionów do kierowania

czasem. W wyznaczonym dniu schowamy się w różnych zakątkach Dary, a pierwsze dwanaście, które nas znajdzie, otrzyma przywilej rządzenia latami.

Wszyscy bogowie i boginie uznali to za wspaniały pomysł i ogłosili rozpoczęcie gry.

– Mamo! Chcę poszukać bogów!

– A po cóż? Czy nie wiesz, że nic dobrego nie przychodzi z zawracania głowy bogom, kiedy sobie tego nie życzą?

– Ale chcę wiedzieć dlaczego! Dlaczego nie ma taty? Dlaczego zabrali nam Féro i Phasu? Dlaczego uderzył we mnie piorun? Dlaczego musimy tak ciężko pracować i tak niewiele mamy do jedzenia...

– Cicho, dziecko. Nie zawsze mamy odpowiedzi. Czasem zostają nam tylko historie.

W wyznaczonym dniu wszystkie rośliny i zwierzęta przystąpiły do poszukiwań. Każde liczyło na to, że znajdzie się wśród szczęśliwej dwunastki i dane mu będzie zawładnąć jednym rokiem.

Niektóre stworzenia próbowały osiągnąć cel samodzielnie: gładkie wieloryby, największe z istot morskich, pływały w pośpiechu wokół wysp, żeby zajrzeć do każdej ukrytej zatoki i odwiedzić każdą dziewiczą plażę, zanim dotrą tam inni; złote chryzantemy zakwitły na każdym skrawku Dary i przesycały powietrze swoim zapachem w nadziei, że skuszą wielbiącego piękno boga albo boginię do wyjścia z ukrycia; mądre kruki latały nad miastami, szukając wszystkiego, co mogło kojarzyć się z boskością; kokosy spadały do morza jeden po drugim, wypluskując melodie, którymi chciały zachwycić słuchającego ich boga, by ten zakrzyknął z radości; złote i czerwone karpie tańczyły w sadzawkach i rzekach, chwając się przezroczystymi płetwami i machając wąsami ku uciechu nieśmiertelnych; lotos zwrócił swe obdarzone tysiącem oczu strąki w każdą stronę i obnażył setki otworów w korzeniach, żeby niczym miniaturowa wieża szpiegowska wylapywać najmniejsze podwodne wstrząsy; zające i jelenie ściagały się po łąkach Écofi i Wyspy Półksiężycowej, a każde chciało odnaleźć niezwykle wybrzuszenie w morzu trawy, które mogłoby się okazać bogiem w przebraniu – nie rozumiejąc, że trawy także zmawiały się, by pleść fałszywe kryjówki i odwrócić uwagę głupiotkich roślinożerców, jednocześnie szukając bogów pod ziemią za pomocą wrażliwych korzeni.

Inni postanowili zawrzeć niespotykane sojusze, by wykorzystać unikalne umiejętności każdego stworzenia Dary. Potężny cruben, niepodzielny władca mórz, połączył siły ze świecącymi strzykwami, licząc, że blask tych niezwykłych bezkręgowców zdradzi kryjówki bogów w ciemnej głębi oceanu. Zimowa śliwa, bambus i sosna, trzy najtwardsze zimowe rośliny, zmówiły się z uwielbianą żar ropuchą pustynną, tak że gdy bambusowe gaje, sosnowe lasy i zagajniki zimowych

śliw szeptały do siebie na pokrytych śniegiem szczytach, ropuchy mogły przeczesywać kratery wulkanów. Wilk, najbardziej zaciekły drapieżnik lądowy, zawarł pakt z winoroślą, tak by, gdy wypłoszy bogów swym wyciem, uciekając zaplątali się oni w miękkie, lecz silne pędy.

Nim zapadł zmrok, bogowie jeden po drugim zostawali odnalezieni.

Najpierw bambusowe gaje, sosnowe lasy i zagajniki zimowych śliw, przyglądając się każdemu miejscu pokrytemu lodem, wypatrzyły panią Rapę w górach Wisoti – na przypominającej szybę powierzchni zamarzniętego wodospadu dostrzegły jej subtelnie wyrzeźbioną twarz. Niedługo później ropuchy znalazły Panią Kanę, która przyjęła formę postrzępionego pęknięcia w szklistym obsydianie.

Sojusz lodu z ogniem okazał się oplacalny. Lecz nie wszystkie tego rodzaju pakty miały równie szczęśliwe zakończenia. Arogancki cruben zanurkował w sam środek wiru w jednym z najgłębszych zakątków oceanu, a atramentowy mrok rozświetliły setki strzykw przyczepionych do głowy zwierzęcia niczym kamienie szlachetne zdobiące końcówkę berła. Jednak w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak cruben pochwycił łagodnie w swe potężne szczęki śmiejącego się i zmieniającego kształty Tazu, władca mórz, niczym wół, który przegania gzy, potrząsnął głową i rzucił strzykwy ze swoich twardych jak diamenty łusek. Kiedy cruben wypłynął na powierzchnię w triumfalnym geście, biedne i słabe bezkręgowce opadały bezsilnie na dno otchłani niczym gwiazdy bezlitośnie strąsnięte z nieba.

Takie było ryzyko służenia na lasce silnych i władczych.

– Mamo, dlaczego ci, co mają najwięcej władzy, są zawsze tacy źli?

– Mimi-tiko, czy rybak jest zły, bo zbiera owoce morza? Czy rolnik jest zły, bo ucina kłosa sorgo? Czy tkacz jest zły, bo gotuje kokony jedwabników i z ich pierwszych sukien czyni całuny?

– Nie rozumiem.

– Moźnowładcy, czy to śmiertelni, czy nieśmiertelni, robią to, co robią, bo ich sprawy nie należą do nas. Cierpimy, ponieważ jesteśmy tylko trawą, po której stąpają olbrzymy.

W ustronnej zatoce na północno-zachodnim brzegu Wielkiej Wyspy wieloryby znalazły starego żółwia morskiego, którego skorupa była tak popękana jak rafy koralowe wystające z powierzchni morza.

Wieloryby otoczyły żółwia i zaczęły radośnie pryskać na niego wodą z nozdrzy, malując mgielką przepiękną tęczę.

– Panie Lutho – odezwał się przywódca wielorybów. Jego ogromna głowa

przypominała kopułę, a szare oczy widziały setki wiosen. – Chowacie się dokładnie tak, jak to przewidzieliśmy.

Stary żółw roześmiał się i zmienił w ciemnoskórego wieszca, rybaka snów i omenów.

– Skąd pewność, że to wy nie znaleźliście mnie dokładnie tak, jak ja to przewidziałem?

Wieloryby nie potrafiły tego pojąć.

– Jeśliście przewidzieli, że będziemy was tu szukać, dlaczego nie zmieniliście swojej kryjówki?

Lutho uśmiechnął się i wskazał na tęczę, blaknącą z powodu opadającej już mgielki.

– Czy to dlatego, że nawet znając przyszłość, nie mogliście jej zmienić? – zapytał jeszcze wieloryb.

Lutho uśmiechnął się, nie przestając wskazywać na tęczę.

– Czy to dlatego, że przewidzieliście przyszłość, lecz woleliście jej nie zmieniać, bo właśnie taka wam się podoba? – spróbował ponownie wieloryb.

Lutho uśmiechnął się i znów wskazał na tęczę, teraz ledwo widoczną.

– Czy to dlatego... – Tym razem jednak wieloryb nie dokończył pytania, ponieważ Lutho zniknął razem z tęczą.

– Mamo, dlaczego Pan Lutho pokazywał na tęczę, zamiast odpowiedzieć?

– Nikt nie wie, skarbie. Nie wiedziały wieloryby, nie wiedzieli twój tata, nasi rodzice, dziadkowie, pradziadkowie. Dlatego nazywa się to tajemnicą. Czasami bogowie mają dla nas nauki, których nie możemy zgłębić, posługując się jedynie rozumem.

– Myślę, że pan Lutho jest bardzo dobrym nauczycielem.

– Dobrzy nauczyciele trafiają się tak rzadko jak cruben pośród wielorybów albo dyrana pośród ryb.

Nikogo nie dziwiło, że pani Tututika, najmłodsza z bogów i najmocniej spośród nich kochająca piękno, dała się skusić dźwiękom kokosów rytmicznie uderzających o fale oraz czarownemu tańcowi złotych karp. Pokazała się u ujścia rzeki Sonaru i mówi się, że ślad jej pięknego tańca można dostrzec w ruchach façańskich tancerek, poruszających się przy akompaniamencie kokosowych

bębnow.

Nie dziwiło też, gdy pokazał się pan Rufizo, gdy źrebiątko przewróciło się i zraniło na skalistym wzgórzu niedaleko skrytej we mgle Boamy. Jakże boski uzdrowiciel mógłby patrzeć beczynnie, kiedy żywe stworzenia robiły sobie krzywdę w trakcie poszukiwania bogów?

– Tyle dobrego, że Dara będzie cieszyć się łagodnym rokiem jelenia co dwanaście lat – powiedział Rufizo, a jelonek skakał wokół niego z radości, że wywyższono go i wprowadzono do kalendarzowej dwunastki. Wreszcie, kiedy słońce już zaszło, na Wyspy Dary spojrział pan Kiji, bóg wiatru i latania, przybrawszy postać sokoła Mingén. Ptak, odurzony ostrym kwiatowym zapachem, który unosił się nad ogrodem pełnym kwitnących chryzantem niedaleko miejsca, gdzie Damu spotykało się z górami Shinané, zataczał kręgi w powietrzu, a kiedy wylądował, zaraz rzuciło się na niego stado wilków.

– Złapali mnie królowa kwiatów i król drapieżników! – powiedział bóg wszystkich tych, którzy chcieli wywyżżyć się ponad innych. – Nie nazwałbym tego złym końcem dnia.

Później w Darze świętowano, ponieważ bogowie czasami zachowywali się zgodnie ze swoją naturą.

Wilk jednak nie był tak radosny jak pozostali spośród kalendarzowej dwunastki. Był przecież pawi pana Fithowéo, a pan Fithowéo jakby zapadł się pod ziemię.

– Bóg wojny i sporów?

– Tak, skarbie, takimi dziedzinami zajmuje się pan Fithowéo.

– Byłoby lepiej, gdyby go w ogóle nie znaleźli. Bez niego nie mielibyśmy wojen i cierpienia, które wojny wywołują.

– Ach, moja Mimi-tika, jeśli chodzi o bogów, rzeczy rzadko bywają takie proste.

Jak już zapewne się domyśliłaś, zawody te miały miejsce po Wojnach Diaspory, kiedy to boskie rodzeństwo walczyło razem z potężnymi armiami, brat obracał się przeciwko bratu, a siostra przeciwko siostrze.

W jednej z takich bitew Fithowéo, aby ochronić herosa Iluthana, walczył z Kijim przez dziesięć dni i dziesięć nocy. W końcu pioruny Kijego pozbawiły Fithowéo oczu, tym samym go oślepiając. Dlatego niewidomy bóg nie brał udziału w dyskusji na temat kalendarza. Zamiast tego skrył się w dalekiej jaskini głęboko pod górami Wisoti, lizał rany i unikał wszelkich żywych stworzeń.

Nagle poczuł osobliwy zapach; tak delikatny, że nie był pewien, czy mu się tylko nie zdawało. Była to woń słodka, prosta i skromna, jak posmak mięty w szklance wody zaraz po burzy, jak zapach mydła na świeżo upranych szatach suszących się na słońcu, jak woń palącego się ogniska pieścząca nos znużonego wędrowca po wyczerpującej wspinaczce.

I tak oto, zupełnie bezwiednie, Fithowéo wstał i podążył za zapachem.

Woń stawała się coraz silniejsza. Rozpoznał ją – tak pachniała kwitnąca w nocy orchidea. Od razu wyobraził sobie biały kwiat z dużą warżką przypominającą zwinięty język, która skrywa sztywną kolumnę, a także z czterema półprzezroczystymi płatkami, przywodzącymi na myśl skrzydelka ćmy. Podeszedł jeszcze bliżej źródła zapachu, a kiedy prześwitujące płatki załaskotały go w nos, wystawił język i powiódł nim po brzeżkach kwiatu. Tak, istotnie była to nocna orchidea. Można ją było dostrzec jedynie w ciemności i w świetle gwiazd. Kształtem przypominała ćmę, o której mówiło się, że jest jej jedynym zapylaczem. Był to zwyczajny kwiat nisko ceniony przez damy i ogrodników, którzy woleli bardziej ozdobne i efektowne rośliny.

Fithowéo poczuł w ustach słodki smak nektaru. Nagle rozległ się szept:

– Czuję smutek na twoim języku.

Bóg wycofał się, zaskoczony.

– Co może zasmucić boga? – zapytał głos. Fithowéo zdał sobie wtedy sprawę, że dźwięki dochodzą z wnętrza kwiatu, który właśnie pocałował.

– Co to za bóg wojny, który nic nie widzi? – powiedział rozgoryczony.

– Czyżbyś niczego nie widział? – dopytywała orchidea.

Bóg wskazał na puste oczodoły, a kiedy kwiat nie odpowiedział, zdał sobie sprawę, że przecież w tej ciemnej jaskini orchidea także nie może niczego dostrzec.

– Nie widzę – rzekł na głos. – Mój brat oślepił mnie błyskawicami.

– Ale kto ci powiedział, że jesteś ślepy?

– To oczywiste!

– A próbowałeś cokolwiek zobaczyć?

Fithowéo pokręcił głową. Orchidea nie należała do stworzeń rozumnych.

– Ja potrafię patrzeć, chociaż nie mam oczu – oznajmiła.

– To absurd – orzekł Fithowéo.

– Zobaczyłam cię – odparł pewnie kwiat.

– Co masz na myśli?

– Sięgnęłam swoim zapachem, a jego wici cię do mnie przyprowadziły. Zajęło mi to chwilę, ale cię zobaczyłam.

– To nie jest widzenie – stwierdził stanowczo Fithowéo.

– Mogę powiedzieć, że nad nami wisi tuzin nietoperzy – rzekł kwiat. – Mogę też powiedzieć, że każdego wieczoru odwiedza mnie chmara ciem, chociaż żadna do mnie nie pasuje. A kiedy nadejdzie sroga zima, do tej jaskini zajrzą kudłate krety. Mówię o rzeczach, o jakich nie masz pojęcia, a jednak twierdzisz, że jestem ślepa.

– To... – Fithowéo szukał odpowiednich słów. – Dobrze, mogę przyznać, że to rzeczywiście jakiś rodzaj widzenia.

– Istnieje wiele sposobów na to, by widzieć – oznajmiła orchidea. – Czyż mędrcy Ano nie mówią, że wzrok to po prostu światło oczu odbite przez świat?

– Właściwie... – Fithowéo chciał zaprotestować, lecz orchidea nie dała mu skończyć.

– Ja patrzę poprzez wysyłanie w świat wici zapachowych i przyciąganie tego, czego dotkną. Jeśli nie masz oczu, musisz znaleźć nowy sposób oglądania otoczenia.

Fithowéo wciągnął powietrze. Czuł piżmową woń grzybów po lewej i silniejszy zapach innego kwiatu – ostrzejszy, bardziej intensywny niż orchidei.

– Czy po prawej rośnie róża jaskiniowa?

– Tak – odparł storczyk.

– I jest coś jeszcze – zauważył Fithowéo. – Pachnie błotem i bagnem.

– Bardzo dobrze! Za mną znajduje się jeziorko pełne robaczego zielska i maleńkich białych rybek, które straciły oczy, ponieważ jest tu zbyt ciemno.

Fithowéo wziął głęboki wdech i odseparował słaby zapach ryb od innych woni.

– Widzisz – powiedziała orchidea. – Już tworzysz mapę zapachów.

Fithowéo zdał sobie sprawę, że to prawda. Kiedy odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zdawało mu się, że niemal dostrzega świecące grzyby i róże jaskiniowe kwitnące przy ścianie, a także lodowate jeziorko, na którego brzegu rosła orchidea. Ich krawędzie były nieostre, jakby patrzył na nie po wypiciu zbyt dużej ilości miodu.

Jednak po chwili radości pograżył się znów w rozpacz.

– Nie mogę po prostu stać w jednym miejscu jak ty – powiedział. – Zapachy są dobre dla kwiatu, który wrósł w ziemię. Lecz nie wystarczą bogu wściekłości i ruchu. Orchidea nic na to nie odpowiedziała.

– Kiedy los zabierze ci broń, czasami trzeba się poddać – oznajmił z goryczą Fithowéo.

Orchidea wciąż milczała.

– Jeśli stracisz całą nadzieję po sprawiedliwej walce, bardziej szlachetnym wyjściem jest pograżyć się w rozpacz.

Cisza.

Fithowéo wytężył słuch w ciemności i wtedy usłyszał dźwięk przypominający szelest jedwabiu.

– Czy ty się śmiejesz?! – zagrzemiał. – Śmiesz naigrawać się z mojego nieszczęścia?

Wstał i podniósł stopę. Zapach orchidei z łatwością pomógł mu ją odnaleźć. Wystarczyłoby tupnięcie, by zmiażdżyć kwiat i wgnieść go w nierówne podłoże w jaskini.

– Śmieję się z tchórza, który twierdzi, że jest bogiem – odparła orchidea. – Śmieję się z nieśmiertelnego, który nawet nie rozumie swoich obowiązków.

– O czym ty mówisz? Jestem bogiem wojny! Muszę widzieć światło odbijające się od miecza w trakcie ataku, by sparować tarczą. Muszę dostrzec prującą w moją stronę strzałę, by odbić ją zbrojoną rękawicą. Muszę zobaczyć wroga uciekającego

piechotą, by przeciąć go włócznią. Na co mi mapa zapachów?

– Posłuchaj – powiedziała orchidea.

Fithowéo posłuchał. W ciszy panującej w jaskini wydawało się, że słyhać tylko plusk spadających kropeł wody.

– Otwórz uszy – podpowiadał kwiat. – Przybyłeś w miejsce skąpane w mroku, gdzie oczy patrzące tylko za pomocą światła na nic się nie zdadzą. Myślisz, że stworzenia, które uczyniły sobie z tej jaskini dom, całe życie potykają się w ciemnościach?

Fithowéo wyteżył słuch. Wydawało mu się, że słyszy piski tak wysokie, że niemal niesłyszalne.

– Nietoperze widzą dzięki wypuszczaniu promieni dźwięku z gardel i wylapywaniu ich echa uszami.

Fithowéo ponownie wyteżył słuch i zdał sobie sprawę, że w jaskini rozbrzmiewa też inny dźwięk: trzepot skrzydeł. Nietoperze z gracją zataczały łuki pod samym stropem.

– Włóż ręce do wody – poinstruowała orchidea.

Fithowéo posłusznie zanurzył dłonie w lodowatej toni i poczuł na skórze laskotanie. Czuł je nawet wtedy, kiedy już przyzwyczaił się do paraliżującego zimna.

– Maleńkie białe rybki żyjące w jeziorze napinają i rozluźniają mięśnie, żeby wygenerować jak najwięcej energii – wyjaśniła orchidea. – Niczym tajemnicza siła, która pojawia się w powietrzu przed burzą, niewidzialne linie energetyczne prężą się i skręcają wokół żyjących stworzeń, sprawiając, że ślepe ryby mogą je zobaczyć: patrzą na świat swoimi ciałami.

Fithowéo skoncentrował się i faktycznie po chwili poczuł delikatne vibracje. Wyobraził sobie, że fale tej energii płyną z powrotem do maleńkich rybek.

– Nazywasz się bogiem wojny, jednak wojna to nie tylko muzyka stalowego miecza uderzającego w drewnianą tarczę albo chór strzał wbijających się w skórzaną zbroję. Wojnę prowadzi się także przeciwko niemożliwym szansom wygranej, których nie chcieliby tknąć nawet Tazu czy Lutho. To również wrywanie życia z paszczy ognistej Kany bez Rufizo u boku. Wojna to odbieranie przeważającym siłom przeciwnika komfortu spokojnej Rapy przy użyciu wyłącznie intelektu. To odnajdywanie niespodziewanej ścieżki, by poskromić dumnego Kijego,

mimo że jest od ciebie silniejszy. To wreszcie przekuwanie brzydoty w piękno tak oszalamiające, że zszokuje ekstrawagancką Tututikę. Przyzwyczyłeś się do łatwego zwycięstwa w walce przeciwko wrogom, którzy, nawet jeśli uważa się ich za herosów, są tylko śmiertelnikami. Jednak wojna nie składa się jedynie ze zwycięstw; w wojnie chodzi też o to, by walczyć i odnieść porażkę, by potem podnieść się i raz jeszcze stanąć do walki. Bóg wojny jest również bogiem tych, którzy znaleźli się w pułapce niekończących się zmagania, którzy walczą przekonani o nieuchronności porażki, którzy stoją ramię w ramię z towarzyszami przeciwko włóczy, katapulte i błyszczącej stali uzbrojeni jedynie w swoją dumę, którzy zmagają się z przeciwnikiem i prą do przodu, mając świadomość, że przegrają. Jesteście bogiem nie tylko tych silnych, lecz także słabych. Odwagę lepiej pokazać wtedy, gdy wszystko stracone, kiedy rozpacz wydaje się jedynym racjonalnym rozwiązaniem. Prawdziwą odwagą jest widzieć uparcie nawet wtedy, gdy otacza nas ciemność.

Fithowéo wstał i zaczął zawodzić. Głos wypełnił jaskinię i wrócił do jego uszu, a wtedy bóg wojny dostrzegł wszystko, co go otacza: stalaktyty wiszące nad głową niczym ozdobne zasłony, stalagmity wyrastające z podłogi jak bambusy, nietoperze w powietrzu niczym latawce bojowe, orchidee nocne i róże jaskiniowe kwitnące niczym żywe skarby. Jaskinię wypełniło światło.

Bóg wojny roześmiał się i uklonił przed orchideą, a potem ją pocałował.

– Dziękuję, że nauczyłaś mnie patrzeć.

– Jestem najskromniejszym ze Stu Kwiatów – odparła orchidea. – Jednak gobelin Dary upleciony jest nie tylko z dumnych chryzantem, aroganckich zimowych śliw, bambusa podtrzymującego wspaniałe domy czy kokosu, który daje słodką wodę i z którego można wydobyć piękną muzykę. Cykoria, mlecz, lnica, dziesięć tysięcy gatunków orchidei i niezliczone inne kwiaty – my wszyscy nie rościmy sobie praw do miejsca między szlachetnymi rodzinami i nie hoduje się nas w ogrodach, a nasze listki nie znają pieszczot delikatnych dłoni pięknych dam i ich zalotników. Lecz tak jak każda inna roślina zmagamy się z gradem i burzą, z suszą i nieurodzajem, pragniemy uniknąć ostrza motyki i trującego środka przeciw chwastom. Zaslugujemy na boga, który rozumie, że każdy dzień życia pospolitego kwiatu jest bitwą. Fithowéo znów zaczął zawodzić, pozwalając swojemu gardłu i uszom służyć za oczy, aż w końcu wyszedł z jaskini na słońce. Podniósł dwa kawalki najczarniejszego obsydianu i umieścił je w pustych oczodołach. Chociaż nie pozwalały widzieć światła, budziły strach w każdym, kto w nie spojrział.

I właśnie w ten sposób skromna orchidea dołączyła do kalendarzowej dwunastki.

Rozdział siódmy

Nauczyciel i uczennica

Dasu: pierwszy rok pryncypatu (trzydzieści lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

W taki oto sposób, snując opowieści, Aki pomogła Mimi w końcu wstać z łóżka, a potem wręczyła jej kulę wykonaną z kawałka drewna wyrzuconego na brzeg. Nie mówiła córce, jak niewielkie ma szanse na odzyskanie władzy w nodze. Oczekiwała po prostu, że Mimi znajdzie na to jakiś sposób.

Matka z córką przeszukiwały plażę, pracowały w polu, pomagały rybakom. Aki specjalnie szła przodem i nie odwracała się, żeby sprawdzić, czy Mimi za nią nadążyła. Dla zwykłych mieszkańców Dary każdy dzień był walką.

Dziewczynka nauczyła się ignorować odrętwienie nogi i kłujący ból w biodrze. Nauczyła się też tak przesuwac środek ciężkości, że wkrótce mogła bez przeszkód poruszać się o kuli.

Pewnego ranka, kiedy wraz z Aki przeszukiwały plażę, znalazły fragmenty niezwykłego wraku. Resztki rei i grodzi nie były zrobione z drewna, lecz materiału bliższego kości. Wyrzeźbiono na nim misterny wizerunek nieznannej bestii: miała długi ogon, parę nóg zakończonych szponami, dwa wielkie skrzydła i szczupłą, węzowatą szyję zwieńczoną nieproporcjonalnie dużą głową, z której wyrastały rogi jelenia. Aki zabrała znalezisko do obszarnika, jednak ten nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział coś podobnego.

– Na pewno nie pochodzi z ekspedycji cesarza – oznajmiła Aki i nie poruszała więcej tego tematu.

Świat był pełen tajemnic. Dziwny wrak jawił się Mimi jak dziura w woalu skrywającym prawdę o świecie, jednak nie rozumiała nic z tego, co widzi.

Zaniosły znalezisko na targ i sprzedały za kilka sztuk miedzi ludziom, którzy kolekcjonowali takie kurioza.

Jednak Mimi długo jeszcze śniła o przedziwnej bestii. W jej snach zwierzę walczyło z burzowym żółwiem, piorunowym rekinem i szkwałowym sokołem, podczas gdy błyskawice chwilowo utrwały ich pozy, tworząc rwane, szarpane sceny, równie piękne co przerażające.

Miała nadzieję, że żółwiowi udało się jednak uratować statek-widmo, tak samo jak liczyła, że bogowie oszczędzili jej ojca i braci.



Do Dasu dotarły wieści o kresie xańskiego imperium. Wielki pan zwany hegemonem zrzucił cesarza Erishi z jego tronu w Niepokalanym Mieście i przywrócił dawne tirojskie królestwa. Niewielu mieszkańców wioski oplakiwało

śmierć cesarza – patriotyzm, tak jak ryż, jest przywilejem zamożnych.

Mówiło się, że hegemon wyrzwał synów Xany na Wilczej Łapie, a oprócz nich wszystkich młodych mężczyzn, którzy poszli walczyć dla marszałka Marany. Przez wiele dni ludzie czekali pod drzwiami domu zarządcy w nadziei na wieści o swych synach, mężach, ojcach i braciach, jednak wrota pozostawały zamknięte. Zarządca rozprawiał w tym czasie ze swoimi doradcami i urzędnikami o tym, jak ma się przypodobać hegemonowi, by ten pozwolił mu zachować oficjalne nakrycie głowy z ciemnego jedwabiu. Martwi żołnierze nie zaprzęтали jego myśli.

Aki nie wystawiła tabliczek żałobnych swoim synom.

– Nie pochowałam ich własnymi rękami, więc dla mnie nie umarli.



Czasami, kiedy Mimi budziła się w nocy, zastawała matkę siedzącą na podłodze obok łóżka tyłem do niej, z drżącymi ramionami. Wyciągała wtedy rękę i dotykała jej pleców. Trwały tak, dopóki dziewczynka znowu nie zasnęła.

W końcu ludzie przestali wystawać pod domem zarządcy i wrócili do niekończącego się znoju, który zmieniał pot w jedzenie, a ból w picie. Dla zmarłych i domniemanych zmarłych stawiano w domach prywatne kapliczki, jednak nikt nie wygłaszał pełnych emocji przemów o honorze Xany i zemście na hegemonie. Ludzie byli zbyt przygnieceni smutkiem, żeby czuć nienawiść – tylko możnowładcy traktowali wojnę osobiście, bo kto mógł z pełnym przekonaniem powiedzieć, że hegemon ponosi większą winę za śmierć młodych mężczyzn niż marszałek albo cesarz Erishi?

Bracia i ojciec Mimi nie wracali, lecz do Dasu przybył nowy król.

Król Kuni okazał się dziwnym władcą. Obniżył podatki, nie wymagał pańszczyzny, by zbudować nowy pałac, płacił robotnikom za naprawę dróg i mostów, a do tego wycofał stare, surowe xańskie prawa, zgodnie z którymi karalne było nawet zbyt głośne kichanie. Ogłosił, że mieszkańcy innych wysp, którzy stracili domy przez wojnę, są mile widziani w jego królestwie, a on nawet pomoże im się osiedlić, ofiarowując im nasiona i narzędzia. Starzyzna i wdowy Dasu radowali się: wojny zabrały z wyspy mężczyzn, przez co brakowało mężów i ojców. Choć niektóre kobiety decydowały się na dołączenie do istniejących już gospodarstw, zwłaszcza wśród najbiedniejszych, nie wszyscy akceptowali tego rodzaju rozwiązanie. Kobietom zdarzało się zawierać między sobą małżeństwa z miłości albo z potrzeby i czyniły to z błogosławieństwem Rapy – bogini, o której mówiło się, że nigdy zakochała się w lodowej pannie. Jak śpiewali w przedstawieniach:

Miłość ich przetrwałaby eony, obecna i żywa

w najdrobniejszych gestach, odmierzana w calach i stuleciach,

słyszalna w echach szeptów błakających się po zakurzonych półkach historii.

**Widoczna w jednym spojrzeniu trwającym dłużej niż całe stworzenie,
w jednym tańcu zdolnym przetrwać erupcje wulkanów**

i pogrzebanie wysp Dary w morskiej głębinie.

Gdy nastąpiła wojna, liczba takich małżeństw wzrosła, ponieważ kobiety pragnęły się nawzajem wspierać – wspólnie łatwiej było uprawiać ziemię i wychowywać dzieci. Mimo to wiele kobiet wolało mężczyzn, tak więc obcy byli mile widziani.

Aki, która dostała propozycję zawarcia małżeństwa z inną kobietą, z miejsca ją odrzuciła, nie zwracała też uwagi na żadnych nowych mieszkańców wioski, chociaż niejeden był nią zainteresowany. Z poświęceniem starała się uprawiać swą niewielką działkę jedynie z pomocą Mimi, a ich niewielkie dochody uzupełniała, pomagając rybakom.

– Mój mąż wyjechał – mówiła za każdym razem, kiedy ktoś zapytał. – Niedługo wróci. Moi synowie też.



– Czy my mamy jakiś talent? – zapytała ją Mimi pewnego dnia.

– Dlaczego o to pytasz?

Siedmioletnia Mimi wróciła do domu wcześniej, żeby przygotować obiad, podczas gdy jej matka kończyła pracę w polu. Dziewczynka musiała stawać na taborecie, żeby dosięgnąć do garnka z wrzątkiem – było to niebezpieczne, ale dzieci biedoty szybko muszą się uczyć różnych rzeczy.

Mimi zadała to osobliwe pytanie, ponieważ w wiosce zjawiał się posłaniec z pałacu w Daye z ogłoszeniem: król Kuni szukał utalentowanych ludzi bez względu na ich pozycję społeczną i był gotowy ich nagrodzić.

Mimi powtórzyła wiadomość matce, słowo w słowo.

– Kończyła się w ten sposób: „Ostryga osadzona między gałązkami najpiękniejszego koralu tak samo może mieć w sobie perłę jak ta znaleziona w błocie”.

Dziewczynka od zawsze mogła się poszczycić doskonałą pamięcią. Potrafiła powtarzać opowieści Aki już po pierwszym wysłuchaniu, zaś w długie zimowe wieczory ku uciechu matki odtwarzała całe występy wędrownych trup.

– Syn zarządcy ma pojechać do pałacu w Daye, żeby zademonstrować królowi swój talent w posługiwaniu się pędzelkiem i nożykiem – oznajmiła Mimi. – A nauczyciel w wiosce organizuje konkurs dla swoich uczniów w recytowaniu klasycznych poematów z epoki Ano, by potem zaprezentować je królowi. Słyszałam, że wujek So z drugiego krańca wioski chce pokazać w Daye wymyślone przez siebie węzły do sieci rybackich, a ciocia Tora zastanawia się, czy nie pojechać ze swoją kolekcją ziół leczniczych. Czy my mamy jakieś talenty? Może też pojechałybyśmy do króla i żyłybyśmy jak syn zarządcy.

Aki spojrzała na córkę. „Niezwykłe z niej dziecko. Może król się nią zainteresuje?” A potem przypomniała sobie, co się stało z jej mężem. „Ludzie obdarzeni talentem powinni się czuć zaszczytzeni, że mogą służyć cesarzowi”.

– Talent jest jak piękne pióro w ogonie pawia, córko. Przynosi radość bogaczom i smutek ptakowi.

Mimi zastanowiła się nad tym. Woal skrywający świat wydawał się grubszy niż zwykle.

Król Kuni zbuntował się przeciwko hegemonowi. Raz jeszcze mężczyźni i pierwszy raz także kobiety z Dasu odeszli od upraw i łodzi rybackich, by umrzeć w dalekich krainach. Aki to nie dziwiło. Marzenia wielkich panów były zbudowane na krwi i kościach zwyczajnych ludzi. Złota chryzantema może zakwitnąć tylko wtedy, gdy zostanie wzmocniona nawozem z prochów Setki Kwiatów. Taka była niezmienna rzeczywistość.

Pokój nastąpił dopiero wówczas, gdy Mimi skończyła trzynaście lat. Wtedy król Kuni został cesarzem Raginem i rozpoczęły się Rządy Czterech Spokojnych Mórz.

Dasu: Pierwszy rok Rządów Czterech Spokojnych Mórz (pięć lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

Pewnego dnia Mimi udała się na targowisko w Daye. Była już na tyle duża, że Aki mogła jej powierzyć zadanie sprzedaży zebranego ziarna i spłacenia daniny u zarządcy. Zresztą radziła sobie z negocjacjami lepiej niż matka.

Synowie i córki bogaczy jechali konno przez ulice, ich bicze świszczwały w powietrzu, a plebejusze musieli uciekać im z drogi. Mimi, kulejąca i z ciężkim workiem na plecach, nie zawsze odskakiwała dość szybko i kilka razy konie omal jej nie stratowały. Mimo to zaciskała zęby i nie narzekała. Tak jak istniało wiele sposobów na to, by widzieć, tak i chodzić można było różnie.

Uczeni i urzędnicy jechali w wygodnych powozach ciągniętych przez kilka koni lub kilku mężczyzn. Odwracali wzrok od brudnych, odrętwiałych i niedożywionych biedaków, którzy sunęli wzdłuż rynsztoków.

Mimi zdusiła w sobie gniew. Tak właśnie wyglądał świat, nieprawdaż? Cesarzowi Raginowi ponoć leżał na sercu los zwykłych ludzi, lecz wśród zwykłych ludzi też istnieli ci lepiej i ci gorzej urodzeni. Dziewczynka wszędzie dokoła widziała, że nowe rządy wychwalają tylko ci, którym już wcześniej dobrze się powodziło.

Bezczelowe było rozmyślanie o tym, jak ona i jej matka mogłyby także żyć w wygodzie i luksusie, ubierać się w jedwab zamiast szorstkiej juty, jeść delikatny biały ryż zamiast piaskowego prosa, które ścierało im zęby. To jakby mlecz pragnął honorów zarezerwowanych dla chryzantemy.

Na środku targowiska zebrał się tłum. Mimi, zaciekawiona i chętna, by obejrzeć ekscytującą sztukę magiczną albo akrobatyczną, przepchała się między widzami, torując sobie drogę łaską. Z rozczarowaniem zobaczyła, że to tylko dwóch mężczyzn siedzących na plecionej macie. Każdy z nich miał włosy upięte w podwójny kok, który świadczył o ich randze *toko dawiji*, otrzymywanej po zdaniu pierwszego

poziomu cesarskich egzaminów.

– ...wie, że im coś jest bliższe, tym większe się wydaje, a im dalsze, tym mniejsze – powiedział pierwszy uczoney.

– W takim razie w waszej ocenie słońce bliżej jest o świcie i zmierzchu, dalej zaś w południe, co wyjaśnia, dlaczego wygląda na większe w chwili wschodu i zachodu? – zapytał drugi.

– Właśnie tak – przyznał pierwszy.

– Wszyscy jednak wiedzą, że im bliżej do źródła ciepła, tym wydaje się cieplejsze. Jak w takim razie wyjaśnicie fakt, iż słońce wydaje się najgorętsze w południe, zaś chłodniejsze o zmierzchu, skoro w południe znajduje się dalej?

– Eee... – Pierwszy uczoney zmarszczył brwi, zbity z tropu.

– To proste. Wasze wyjaśnienie jest nieprawdziwe! – orzekł drugi.

– Ależ ja się nie mylę – powiedział ten pierwszy, czerwieniąc się. – Wielki mędrzec Kon Fiji tłumaczył, że natura, podobnie jak społeczność ludzka, trzyma się wyraźnej hierarchii. Słońce góruje nad ziemią, tak jak cesarz góruje nad plebejuszami. To logiczne, że wołą bogów było, by słońce znalazło się jak najdalej od ziemi właśnie wtedy, gdy osiąga swój szczyt. W ten sposób symbolizuje bowiem wspaniałość i szlachetność cesarskiego tronu.

– Co w takim razie z żarem panującym w południe, mój przyjacielu? – zapytał drugi uczoney.

– To się da łatwo wyjaśnić. – Pierwszy sięgnął po czarkę z herbatą, upił łyk i ukradkiem rozejrzał się po zebranych. Skoro przyglądało im się tak wielu ludzi, nie mógł przegrać tej debaty. Odłożył czarkę i podniósł głos, nasycając go arogancką pewnością siebie; czasami to wystarczało, żeby brzmieć jak ktoś, kto wie, o czym mówi.

– Twoje rozumowanie zakłada, że słońce grzeje jednako przez cały dzień. To jednak nie jest prawda. Logika wskazuje na to, że jeśli słońce wydaje się najgorętsze w najdalszym położeniu od ziemi, musi stopniowo zwiększać swą temperaturę podczas wznoszenia się i zmniejszać w trakcie wędrówki ku zachodowi. Punkt, w którym jest najgorętsze, jest jednocześnie najwyższym jego położeniem, zatem mamy do czynienia z idealnym modelem.

„Czy świat trzyma się modelu, który można odczytać? – zastanawiała się Mimi. Czy natura jest wzorem dla społeczeństwa, a wszystko, co naturalne, jest także sprawiedliwe?”

Nigdy wcześniej nie słyszała podobnych sporów i była zauroczona. Uczni zdawali się przekonani, że świat jest swego rodzaju mową, którą można odczytać i zrozumieć. Przypomniła sobie swoje dziecinne próby zrozumienia boskich rozmów. Pragnęła zdobyć taką wiedzę; wiedzę, która pozwoliłaby jej interpretować znaki od bogów i zajrzeć za woal świata, by dostrzec Prawdę.

– Wy, moralisci, zawsze najpierw wyciągacie wnioski, a dopiero potem szukacie argumentów – powiedział z pogardą drugi uczoney. – Jest zupełnie tak, jak rzekł kiedyś Ra Oji: „Uczeń Kona Fijego to najmocniejsza na świecie soczewka, ponieważ potrafi zakrzywić wszystkie promienie dowodów, by skupić je na

pożądaney opinii. Nawet jeśli jest leniwy i ma pusty brzuch, będzie przekonywał, że to wina jedzenia, bo nie poznało się na jego wyższości moralnej i nie próbowało dostać się do jego brzucha”.

Tłum wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ostatecznie jednak moralista przekonuje jedynie siebie – ciągnął dalej drugi uczony, zadowolony ze wsparcia widzów.

– Wy, fluksiści, dobrzy jesteście w szukaniu dziur w argumentach poszukiwaczy prawdy, jednocześnie nie dając od siebie nic prócz dowcipnych powiedzonek – powiedział pierwszy uczony głosem drżącym od gniewu. – Jakie jest wasze wytłumaczenie zmieniającej się wielkości słońca?

– Kto wie? Faktycznie może być tak, że słońce rośnie w trakcie wznoszenia się, jak żeście stwierdzili, a może kurczy się w trakcie opadania, tak jak meduza spina się, by się wzbić wyżej w wodach oceanu. Jednak całe wasze podejście jest niewłaściwe: nie możemy wciskać natury w modele, które sami wymyśliliśmy. Jak uczą nas mędracy Ano, „gipén co fidéra ünthiru nafé ki shraçaa tefi né othu”. Musimy jedynie dostosowywać nasze życie do rytmu natury. Budzę się rześkim rankiem i smakuję śniadanie z surowych kawalków siei kupionych prosto od rybaków i doprawionych imbirem. Na czas południowej drzemki układam się w cieniu rozłożystego drzewa niczym pod parasolem i śnię, że jestem mątwą z płetwą niczym suknią, a mątwa śni, że jest mną. Budzę się o zmierzchu, żeby pospacerować po nabrzeżu i podziwiać żarzące się na widnokręgu słońce. Wolę takie życie od waszego.

– Płynięcie z Nurtem nie jest ścieżką, którą dociera się do sedna wszechświata. Żaden ze mnie incentywista, ale Gi Anji przynajmniej kroczył w dobrym kierunku, kiedy zauważył, że uczeni muszą zrozumieć i udoskonalać świat, ponieważ nie jesteśmy bezrozumni jak zwierzęta czy mleczne rozsiane przy drodze. Jesteśmy stworzeniami obdarowanymi boską mocą przeobrażania ziemskiego padole, by wznieść go wyżej, ku niebu.

– Rzeczywistości wszechświata należy doświadczać, nie zaś ją konstruować...

„Jak to jest, cały dzień zastanawiać się nad takimi rzeczami? – pomyślała Mimi. – Nie ograniczać myśli do pogody, plonów i połowów, nie męczyć się ze zdobywaniem jedzenia na kolejny posiłek i jeszcze następny, lecz dumać nad naturą słońca i wierzyć, że świat jest niczym wzór gotowy do odczytania?”

Uczeni w dalszym ciągu debatowali w podobnym tonie, zaś tłum dopingował im i od czasu do czasu oferował własne przemyślenia. W końcu jeden i drugi zmęczeni się dyskusją i oddalili każdy w swoją stronę, wyczerpawszy wszystkie klasyczne cytaty i naukowe odniesienia. Tłum się rozszedł i została tylko Mimi. Wciąż zastanawiała się nad wszystkim, co przed chwilą usłyszała. Nagle dobiegł ją czyjś uprzejmy głos:

– Targowisko zaraz zostanie zamknięte, panienko.

– O nie! – Mimi rozejrzała się i z przerażeniem odkryła, że to prawda. Kupcy sprzedający ziarno już się pakowali i pchali swoje wózki do spichlerzy. Będzie musiała wrócić następnego dnia. Wściekała się na siebie. Jak mogła być tak nieodpowiedzialna?

Spojrzała na właściciela uprzejmego głosu; był wysoki i chudy, jak pień wiekowej sosny. Na pewno skończył już czterdzieści lat. Posiwiałe włosy spinał w niedbały kok, zaś jego skóra była ciemna jak skorupy wielkich morskich żółwi. Chociaż skądinąd przystojną twarz nieznajomego szpeciły blizny, jego zielone oczy patrzyły na nią przyjacielsko i ciepło w świetle zachodzącego słońca.

– Wydawałaś się zafascynowana debatą – powiedział z zainteresowaniem. – Nad czym się przed chwilą zastanawiałaś?

Wciąż nieco zbity z tropu, Mimi powiedziała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

– Dlaczego tak wielu mędrców ma nazwiska kończące się na „ji”?

Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę, a potem się roześmiał.

Mimi się zaczerwieniła. Podniosła worek, przewiesiła go sobie przez ramię i odwróciła się, by odejść, potykając się pod ciężarem upokorzenia.

– Przepraszam! – zawołał nieznajomy za jej plecami. – Tak dobrze jest słyszeć świeżą obserwację. Nie było moją intencją cię urazić.

Mimi słyszała szczerłość w jego głosie. Mówił z akcentem z jakiegoś miejsca na Wielkiej Wyspie, wyrażał się wytwornie i pięknie, niczym aktorzy z wędrowniej trupy, którzy grali arystokratów.

– To było nieprzemyślane z mojej strony – rzekł. – Jeszcze raz proszę o przyjęcie moich przeprosin.

Mimi odwróciła się i postawiła worek na ziemi.

– Co było takiego zabawnego w tym, co powiedziałam?

Mężczyzna przybrał bardzo poważny wyraz twarzy i zapytał:

– Znasz prace któregośkolwiek z uczonych, których tamci cytowali?

Mimi pokręciła głową.

– Nigdy nie chodziłam do szkoły – odparła i po chwili dodała: – No, znam imię Kona Fijego, Jedynego Prawdziwego Mędrca, bo czasami mówią o nim w przedstawieniach.

Nieznajomy pokiwał głową.

– Twoje pytanie jest zupełnie zrozumiałe. Po prostu nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na tę powtarzalność. Czasami człowiek przestaje kwestionować pewne rzeczy. W rzeczy samej, „ji” nie jest częścią nazwisk mędrców. To przyrostek z klasycznego ano, który wyraża szacunek, a w niedokładnym tłumaczeniu oznacza „nauczyciela”.

Mimi nie usłyszała nawet cienia pogardy w jego tonie, dzięki czemu poczuła się lepiej.

– Znasz klasyczne ano?

– Tak. Uczę się go od dziecka.

– Wciąż się uczysz?

– Człowiek nigdy nie przestaje się uczyć – odparł z uśmiechem. – Nie tylko klasycznego ano, lecz wielu innych przedmiotów: na przykład matematyki, mechaniki czy wróżbiarstwa.

– Rozumiesz bogów? – Serce Mimi zabiło szybciej.

– Tego bym nie powiedział. – Mężczyzna zawahał się, jakby się zastanawiał, jak wytłumaczyć skomplikowany problem. – Rozmawiałem z bogami, jednak nie jestem pewien, czy oni sami siebie rozumieją. Możliwe, że im więcej wiemy, tym mniej musimy polegać na bogach. A bogowie też się uczą, tak samo jak my.

Pomysł był tak dziwny, że Mimi zaniemówiła. Postanowiła zmienić temat.

– Trudno było się nauczyć klasycznego ano?

– Początkowo tak. Lecz ponieważ wszystkie ważne książki i poematy są napisane w tym języku, nauczyciel zmusił mnie do pilnej pracy. W końcu czytanie logogramów klasycznego ano stało się równie łatwe co czytanie liter zyndari.

– A ja w ogóle nie potrafię czytać.

Nieznajomy pokiwał głową, w jego oczach można było dostrzec cień smutku.

– Pochodzę z dawnego Haanu, gdzie każde dziecko miało szansę nauczyć się czytać. Teraz, gdy na świecie znowu panuje pokój, może stanie się tak nie tylko w Haanie, ale i w całej Darze.

Wizja wydała się Mimi absurdalna, jednak mężczyzna przemawiał z takim przekonaniem i nadzieją, że nie chciała go rozczarowywać.

– A co myślisz o tej dyskusji? – spytała.

– Myślę, że obaj byli bardzo dobrze wykształceni – orzekł mężczyzna, znowu się uśmiechając. – Jednak wykształcenie to nie to samo co mądrość. A co ty o niej myślisz?

– Myślę, że powinni zważyć rybę.

Nieznajomy wydawał się zaskoczony.

– Tak? A co... co to znaczy?

– Nauczyła mnie tego mama. Pytała mnie kiedyś, czy wiem, dlaczego sieje robią się cięższe, gdy wyjmie się je z wody.

Mężczyzna zamknął oczy, zastanawiając się nad tą kwestią.

– Faktycznie, frapujące zagadnienie. Spodziewałbym się raczej, że ryba robiłaby się z czasem lżejsza, ponieważ traciłaby wodę, a nie cięższa. Czy sieja różni się budową od innych ryb? Może jej ciało absorbuje wilgoć z powietrza? A może jeszcze za życia zawiera w sobie jakiś gaz, który sprawia, że jest lżejsza, tak jak sokół Mingén? A może...

Teraz Mimi zaczęła się śmiać.

– Zachowujesz się dokładnie tak, jak ja kiedyś. Zakładasz, że ktoś mówi prawdę. Zamiast tego powinieneś zważyć rybę.

– A czego bym się wtedy dowiedział?

– Sieja nie robi się z czasem cięższa. To historia wymyślona przez pozbawionych skrupułów kupców, którzy wdmuchiwali powietrze w brzuchy sprzedawanych ryb, żeby wydawały się większe. A kiedy ich ryby okazywały się ważyć mniej niż inne tej samej wielkości, spierali się, że ich są świeższe i dlatego ważą mniej.

– A jak ma się ta historia do naszej dyskusji?

Mimi spojrzała na zachodzące słońce.

– Muszę wrócić do domu, zanim się ściemni, ale jeśli przyjdiesz spotkać się ze

mną na nabrzeżu od północnej strony miasta jutro rano, pokażę ci.

– Na pewno przyjdę. A tak przy okazji, jak się nazywasz?

– Mimi z rodziny Kidosu. A ty?

Mężczyzna zawahał się nieznacznie i powiedział:

– Jestem Toru Noki, wędrowiec.



Następnego ranka Toru pojawił się na nabrzeżu wraz z nadejściem świtu.

– Punktualny jesteś – pochwaliła go Mimi. – Nie byłam pewna, czy taki wykształcony człowiek potraktuje mnie poważnie.

– Mam pewne doświadczenie w spotkaniach o poranku – odparł Toru. – Zazwyczaj kończą się tym, że dowiaduję się czegoś nowego o świecie. – Nie rozwijał jednak tematu.

Mimi wstała, nie opierając się na swojej lasce, którą wbiła w piasek plaży. Do górnego końca bambusowego kijka doczepiła poziomą belkę. Na jednym jej końcu znajdowało się małe, stare, lecz dokładnie wypolerowane lustro z brązu, a na drugim okrągła ramka z cienkiej gałązki bambusa z liściem bananowca rozpiętym pośrodku.

Poprawiła lustro tak, żeby na rozciągniętym liściu pojawiło się odbicie słońca. Dokładnie obrysowała jego kształt kawałkiem węgla.

– Sama to zaprojektowałaś? – zapytał Toru.

– Tak – odparła Mimi. – Zawsze lubiłam przyglądać się naturze: morzu, niebu, gwiazdom, chmurom. Słońce za bardzo oślepia, żeby patrzeć na nie bezpośrednio, dlatego znalazłam sposób, żeby przyjrzeć się jego odbiciu.

– Bardzo zgrabnie to sobie obmyślałaś – pochwalił Toru.

– Będziemy musieli to powtórzyć w południe. Możesz wrócić później albo poczekać w okolicy. Ja teraz idę do miasta, żeby sprzedać ziarno. Tylko w ten sposób zarabiamy na życie, więc nie mogę tego odpuścić.

– Twoja rodzina nie łowi ryb?

– Ojciec kiedyś łowił – przyznała Mimi, zniżając nieco głos. – Ale matka nie chce mnie nauczyć. Ojciec... zaginął na morzu.

– Pójdę z tobą – rzekł Toru.

Udali się do miasta i chociaż Toru zaproponował, że pomoże dziewczynce nieść worek ze zbożem, ta mu nie pozwoliła („Pewnie jestem silniejsza niż ty”). Mężczyzna nie protestował, co zostało docenione. Mimi nigdy nie lubiła, gdy ludzie zakładali, że przez niesprawną nogę nie potrafi robić tego co inni, a niektórzy nie potrafili tego zrozumieć.

Mimi chciała spróbować swoich sił na otwartym targowisku, lecz Toru zasugerował, żeby najpierw poszli do pałacu królewskiego.

– Do pałacu? Ale tam zazwyczaj oferują niższe ceny.

– Mam przeczucie, że tym razem będzie inaczej.



Cesarz Ragin ofiarował swojemu starszemu bratu, Kado, wyspę Dasu jako lenno i nadał mu tytuł króla Dasu. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że to tylko symboliczny gest, zaś król Kado przez większość czasu pozostaje w odbudowanym Pan, Mieście Harmonii, a w jego imieniu rządzą urzędnicy. Pałac królewski niegdyś należał do króla Kuniego, a wcześniej służył za posiadłość xańskiego zarządcy. Budynek nie był dużo większy niż pozostałe domy w Daye, zaś samo miasto nigdy nie wyrosło na wielką metropolię porównywalną z tymi z Wielkiej Wyspy czy z Kriphi, starą stolicą Xany leżącą na pobliskiej wyspie Rui. Cesarz nigdy nie lubił ostentacji, nawet wtedy, gdy jeszcze był królem Kunim.

Urzędnik zajmujący się skupem siedział na podwórzu przed pałacem, śmiertelnie znudzony. O cesarzu Raginie mówiło się, że jest oszczędny, a regent króla Kado – w rzeczywistości zarządca Dasu – wydał rozkaz, żeby ceny skupu zboża trzymać na niskim poziomie. Szczęścia pod pałacem szukali więc jedynie chłopcy z najlichszym plonem, którzy nie mogli sprzedać ziaren prywatnym kupcom. Urzędnik przez cały wczorajszy dzień miał tylko jednego klienta i spodziewał się, że dzisiaj będzie podobnie.

„Och, potencjalni sprzedawcy! – Mężczyzna się ożywił. – Musieli mieć fatalne zbiory, skoro zdecydowali się tu przyjść”.

Kiedy przyjrzał się parze, która zbliżała się do jego biurka – wysokiemu, długonogiemu mężczyźnie i utykającej dziewczynce o kuli, niosącej na plecach ciężki worek – wyprostował się i przetarł oczy.

„Co on tutaj robi?” Urzędnik był z regentem w Pan podczas koronacji i zapamiętał tego imponującego mężczyznę – stał zaraz obok premiera Cogo Yelu i królowej Gin. Zerwał się z miejsca, jakby zamontowano mu w butach sprężyny.

– Wielki... eee... cesarski sz... yyy... – „Podobno odmówił nadania mi jakiegokolwiek tytułu. Jak więc mam się do niego zwracać?”

– Nazywam się Toru Noki – powiedział mężczyzna z uśmiechem. – Nie mam żadnego tytułu.

Urzędnik kiwnął głową i ukłonił się kilka razy niczym pacynka, której sznurkami ktoś właśnie energicznie szarpał. „Musiał mieć bardzo ważny powód, żeby ukryć swoją tożsamość. Lepiej, żebym nie zniszczył jego przykrywkę”.

Dziewczynka zdjęła worek i postawiła na ziemi.

– Toru, czy pomógłbyś mi rozwiązać węzeł? Od trzymania worka zdrętwiały mi palce.

Urzędnik patrzył z niedowierzaniem, jak jeden z najbliższych doradców samego cesarza kuca jak plebejusz, żeby rozwiązać worek ze zbożem.

„Ta dziewczynka musi być bardzo, bardzo ważna”, pomyślał. Chwilę podumał i już wiedział, jak powinien postąpić.

Ledwo spojrzał na zboże.

– Doskonała jakość! Kupimy wszystko, co macie. Może dwadzieścia za buszel?

– Dwadzieścia? – zdziwiła się Mimi.

– Eee... No to może czterdzieści?

– Czterdzieści? – Teraz wydawała się wręcz zszokowana.

Urzędnik spojrział z rozpaczą na „Toru Nokiego”. „To już cztery razy więcej niż na targowisku!” Zacisnął zęby. Jeśli regent złoży skargę, urzędnik będzie musiał po prostu wytłumaczyć całą sytuację najlepiej, jak się da.

– W takim razie osiemdziesiąt. Ale więcej naprawdę już nie mogę. Naprawdę. Dziewczynka zupełnie oniemiała. Podpisała umowę, rysując na dole kartki kółko umoczone w tuszu pędzelkiem.

– Za dwa dni wyślemy wozy – powiedział urzędnik.

– Dziękuję – odparła Mimi.

– Dziękuję – rzucił z uśmiechem Toru Noki.



– Doskonale negocjacje – oznajmił później.

– To wcale nie były negocjacje – stwierdziła Mimi. – Kim właściwie jesteś? Tamten urzędnik zachowywał się jak mysz na widok kota.

– Ostatnimi czasy naprawdę jestem tylko wędrowcem – odparł Toru. – Nie kłamię, kiedy mówię, że nie mam żadnego tytułu.

– Ale to nie znaczy, że nie jesteś kimś ważnym.

– Czasami wiedza może stać na drodze przyjaźni – oznajmił Toru poważnym tonem. – Chciałbym, żebyśmy rozmawiali jak równy z równym.

– Dobrze. – Mimi niechętnie pokiwała głową, ale zaraz się rozpromieniła. – Już południe! Powinniśmy iść zrobić drugi pomiar.

Wbiła łaskę w ziemię i wyjęła lusterko oraz liść bananowca, żeby odtworzyć konstrukcję z poranka. Razem z Toru spojrzeli na odbicie słońca, które padało na liść. Idealnie pasowało do narysowanego wcześniej kształtu.

– Tak jak się spodziewałam – oznajmiła triumfalnie Mimi. – Słońce w południe jest dokładnie tego samego rozmiaru co rano. Tylko wydaje się większe, gdy znajduje się bliżej horyzontu, ale tak naprawdę jest identycznej wielkości co wcześniej.

– Doskonale – pochwalił Toru. – Jak już mówiłaś, należy najpierw zważyć rybę. Zawsze uważałem, że wszechświat da się poznać i twoje powiedzonko idealnie oddaje tę myśl.

Mimo to Mimi wydawała się rozczarowana.

– Tamta dyskusja była taka interesująca. Niemal żałuję, że słońce jednak nie zmienia wielkości.

– Nie można budować pięknego domu na wadliwych fundamentach – rzekł Toru. – Jeśli podstawa ich dyskusji okazała się iluzją, przestało mieć znaczenie, jak dobre mieli argumenty. W słowach filozofów można znaleźć mądrość, należy jednak pamiętać, że nie wiedzieli wszystkiego. Wzory pomagają w rozumieniu świata, lecz trzeba je udoskonalać poprzez testowanie ich za pomocą obserwacji. Należy nie tylko konstruować rzeczywistość, ale również jej doświadczać.

Mimi zastanowiła się nad tymi słowami. W jakiś sposób woal spowijający

świat stał się nieco bardziej prześwitujący.

„Czy świat jest modelem ideału w umysłach bogów? Czy może jest czymś poza zasięgiem wszelkim modeli, tak jak poza zasięgiem pozostaje dla mnie nazwanie własnych uczuć, gdy patrzę na naturę?”

– To brzmi mądrzej niż wszystko, co powiedzieli obaj uczeni.

– Nie jestem autorem tych słów. To cytaty z Na Mojego, założyciela szkoły paternistów. Myślę, że najwięcej we mnie właśnie z paternisty, chociaż moim zdaniem każda ze Stu Szkół może nas nauczyć czegoś ważnego. Są jak różne narzędzia wykorzystywane do kształtowania i rozumienia rzeczywistości, a utalentowany rzemieślnik może dzięki nim pogłębić swoje pojmowanie świata i stworzyć go na nowo. U ciebie również dostrzegam podejście paternistyczne, widzę też surowy talent. Musisz go jednak szlifować i pielęgnować.

„Talent – pomyślała Mimi. Słowa matki nieproszone odezwały się w jej głowie. – Talent jest jak piękne pióro w ogonie pawia, córko. Przynosi radość bogaczom i smutek ptakowi”.

– Co mają talent i mądrość wspólnego z córką biednego chłopca? – zapytała. – Biedota ma jedną drogę na tym świecie, a bogacze drugą.

– Nie znasz historii królowej Gin? Zaczęła jako uliczna złodziejka, a jednak została największym taktykiem Dary, bo pielęgnowała swój talent.

– To było w czasach wojny, chaosu. Teraz zapanował pokój.

– Są talenty potrzebne na wojnie i talenty potrzebne w czasie pokoju. Nie wiem wszystkiego, co można wiedzieć na temat bogów, ale naprawdę wierzę, że nie pozwoliliby perle leżeć w ukryciu, bez szansy na to, by błyszczeć.

„Jak to jest mieć tak giętki umysł, by rozłożyć świat na kawałki i poskładać go z powrotem równie umiejętnie jak moja matka w kilka minut patroszy i skrobie ryby, by przerobić je na pyszne danie?”, zastanawiała się Mimi. Nigdy nie zazdrościła dzieciom bogaczy, które chodziły do szkoły i uczyły się czytać i pisać, teraz jednak poczuła palący głód wiedzy, którego intensywność była wręcz bolesna. Posmakowała już większego świata, dojrzała przeblysłk Prawdy pod woalem, sugestię znaczenia boskiej mowy. Chciała więcej. O wiele więcej.

„Czy nie da się takiej wiedzy zmienić w jedwabne ubrania i biały ryż? W służących i powozy, i brzdękające monety, które uwolniłyby matkę i mnie od znoju? W aroganckie spojrzenia i dumny wzrok wbity w drogę przed sobą zamiast w rozpierzchającą się na boki biedotę?” Powodowana nagłym impulsem odwróciła się i uklękła przed Toru, dotykając czołem ziemi.

– Będziesz mnie uczył, Toru-ji? Pomożesz mi pielęgnować mój talent?

Toru zrobił krok w bok, nie chcąc przyjąć jej błagalnego gestu. Mimi poczuła ukłucie w sercu. Podniosła wzrok i zmrużyła oczy.

– A co z tą perłą schowaną w błocie? Czyżbyś bał się zanurkować w ciemną toń, by ją wydobyć?

Toru zaniósł się gromkim śmiechem, jednak czuć w nim było także nutę smutku i goryczy.

– Masz ognistego ducha, a to rzadka i cenna rzecz. Jesteś jednak również

niecierpliwa i nie potrafisz poskromić swojego języka, co nie zawsze jest dobre.

Mimi się zaczerwieniła.

– Myślałam, że interesuje cię prawda.

– Nie wystarczy wyćwiczyć genialny umysł – powiedział Toru. Zdawał się przy tym myśleć o czymś nieskończenie odległym. – Droga, na którą miałbym cię wyprowadzić, jest kręta i wyboista, do tego wymaga wiedzy o tym, kiedy opóźnić odkrycie prawdy i jak ją uformować, by lepiej brzmiała w uszach możliwych. Ja sam nie posiadam w tym obszarze zbyt wielu umiejętności. Mogę poszerzyć twoje horyzonty i pokazać ci, jak znajdować poukrywane wszędzie dokoła wzory, lecz niektórych z nich, wzorów władzy, nie zdołam cię nauczyć.

– To dlatego wędrujesz po wyspach, zamiast pomagać cesarzowi w Mieście Harmonii?

Przez chwilę Mimi bała się, że przekroczyła pewną granicę, lecz zaraz twarz Toru się rozpogodziła i mężczyzna cofnął się, by uklonić się dziewczynce.

– Może to wola boska sprawiła, że się spotkaliśmy? A kimże jestem, by sprzeciwiać się bogom?

Mimi trzykrotnie dotknęła czołem ziemi, tak jak czynili to aktorzy trup wędrownych, gdy odgrywali uczniów przyjmowanych na nauki przez wielkich mistrzów. Toru stał i patrzył.

– Możesz nazywać mnie nauczycielem – powiedział – lecz w istocie oboje będziemy się od siebie uczyć. A ponieważ relacja łącząca ucznia z nauczycielem wymaga wielkiego zaufania, ważne jest, byśmy poznali swoje prawdziwe imiona. Toru Noki to imię, jakie nadali mi dawno temu przyjaciele z dalekiej krainy. Tak naprawdę nazywam się Luan i pochodzę z haańskiego klanu Zya. Jakie jest twoje oficjalne imię, Mimi-tika?

„Główny strateg cesarza Ragina. – Mimi patrzyła na niego oniemiała. – I właśnie zwrócił się do mnie jak do córki”. Zdawało jej się, że śni.

– N-nie mam oficjalnego imienia. Zawsze byłam tylko Mimi, wieśniaczką.

Luan pokiwał głową.

– W takim razie ja nadam ci oficjalne imię.

Mimi spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

Luan zastanowił się.

– A może Zomi?

Mimi pokiwała głową.

– Brzmi ładnie. A co to znaczy?

– W klasycznym ano logogram tego imienia oznacza „perłę w ogniu”, czyli roślinę, którą można było spotkać na ziemi Ano, po drugiej stronie morza. Mówiło się, że zomi jako pierwsza wyrosła na popiołach po pożarze leśnym i swymi żywymi barwami ożywiła szary, zniszczony świat. Niech twoja ognista natura będzie równie pomyślnym znakiem.

Rozdział ósmy

Uczta

Pan: trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Świętowanie setnego dnia po narodzinach – a w zasadzie adopcji – syna Müna Çakriego, dowódcy oddziałów piechoty, było dzikie i naznaczone nieograniczoną fantazją. General Çakri nie tylko zaprosił wszystkich sąsiadów mieszkających w odległości trzech przecznic od jego posiadłości – postawiono ponad sto stołów bankietowych, które wychodziły na podwórze i zajmowały większość ulicy przed wejściem do rezydencji – ale również dla rozrywki gości uprawiał zapasy ze świniami w błocie.

Wypito tak wiele wina i piwa i tak wiele zarżnięto wieprzków, że rzeźnicy, właściciele tawern i restauratorzy z tej części Pan mieli przez lata wspominać ów dzień, w którym zarobili „prawdziwe pieniądze”.

Jednak robiło się już ciemno i większość gości zdążyła już wyjść, na odchodne życząc świeżo upieczonym rodzicom wszystkiego najlepszego i zabierając do domu szczęśliwe taro zafarbowane na czerwono. Wówczas, gdy impreza stała się bardziej kameralna, general Çakri mógł wreszcie porozmawiać ze swoimi bliskimi przyjaciółmi.



Naro Hun, mąż Müna Çakriego, zdołał namówić swojego małżonka, by ten wziął kąpiel, zanim dołączy do przyjaciół w rodzinnej jadalni.

– Nie wyglądasz wiele lepiej od świń, z którymi się siłowałeś – powiedział z dezaprobatą. Sam, nawet jeszcze w czasach, gdy pracował jako zwykły urzędnik w Zudi, zawsze dbał, by mieć wokół siebie idealny porządek. – Nie dotknę cię, dopóki się nie umyjesz.

– Widzieli mnie już w gorszym stanie – mruknął Mün. – Kiedyś, w trakcie wojny, zakładaliśmy się z Thanem o to, który dłużej wytrzyma bez kąpieli. – Mimo to posłusznie pomaszerował do łazienki i szybko wylał na siebie kilka wiader na przemian gorącej i zimnej wody. Po chwili wyszedł przepasany ręcznikiem.

– Chyba nie myślisz, że to stosowne... – zaczął Naro, lecz Mün przyciągnął go do siebie i pocałował, a Naro się poddał. W końcu goście byli towarzyszami broni Müna, więc widok jego owłosionej piersi nie powinien ich gorszyć.

I tak oto Mün Çakri, półnagi, ze świeżo nakarmionym przez mamkę niemowlęciem na rękę, oraz Naro Hun – wystrojony w szatę z mory ozdobioną haftowanymi jeleniami i rozgwiazdami, jakie nosili młodzi ojcowie – pojawili się w ciepłej jadalni, gdzie wokół dużego okrągłego stołu zebrali się najbardziej wpływowi generalowie, arystokraci i ministrowie Dary. Właśnie pili herbatę

i zajadali się ciastami.

– Chcę zobaczyć dziecko! – krzyknął Than Carucono, dowódca kawalerii i admirał marynarki.

– Tylko weź w dwie ręce! – pouczył go Mün. – I przytrzymaj główkę. Główkę! To niemowlę, a nie pieńek drewna, ty niedołęgo! Delikatnie!

– Przecież już nieraz miał dziecko w ręku – powiedziała z uśmiechem Péingo, żona Thana Carucono. – Urodziłam mu kilkoro, wiesz? A niemowlęciu nic się nie stanie, ma już prawie pół roku!

– Nie mogę uwierzyć, że mężczyzna, który siłuje się z wieprzkami, każe mi być delikatnym – rzekł Than. – Nie wiem, jak Naro z tobą wytrzymuje. Pewnie każdego dnia tłuczesz jakąś miskę albo kubek. Ach, popatrz, jak twoje dziecko się do mnie uśmiecha! Jestem pewien, że twoja broda wydaje mu się przerażająca.

– Teraz moja kolej – powiedział Puma Yemu, markiz Porinu. Than podał mu dziecko, a Puma szybko podrzucił małe zawiniątko do góry.

– Na Bliźniaczki! – zawołał Mün, a Péingo wciągnęła głośno powietrze, ale Puma złapał malucha i się roześmiał.

– Zabiję cię – stwierdził Mün.

– Robię tak swoim dzieciom cały czas – odparł Puma. – Uwielbiają to.

– Złożę się, że pozwalasz sobie na to wyłącznie pod nieobecność Tafé i Jikri – rzekła Péingo z rozbawieniem. – Możesz się zachowywać jak twardziel przy mężczyznach, ale to twoje żony rządzą w domu.

Puma uśmiechnął się i nie zaprzeczał. Z zawiniątka w jego ramionach dobiegł rozbrawający chichot. Naro i Mün nachylili się, żeby sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku.

– Pierwszy raz słyszałem, żeby się tak śmiał! – zawołał Naro.

– Oczywiście – oznajmił Puma. – Mówiłem, że mu się spodoba. Maluchy uwielbiają latać.

Mün zabrał mu niemowlę z rąk i obrzucił groźnym spojrzeniem.

– Widzisz – wyjaśniał dalej Puma. – Teraz się rozplacze. Wyglądasz przerażająco z taką brodą.

– On lubi się bawić moją brodą! – Mün z dumą pogładził swój bujny, rozwichrzony zarost, który sterczał w każdą stronę niczym igły jeża. Dziecko dalej chichotało w jego ramionach.

– Mam nadzieję, że w przyszłości będzie bardziej przypominał Naro niż ciebie – powiedział Than.

– To na pewno – rzekł Mün. – Chłopca urodziła siostra Naro. Razem z mężem wiedzieli, że chcemy adoptować dziecko, i z radością postanowili nam pomóc. Nauczę chłopca wszystkiego, co potrafię, i będę przeschęśliwy, jeśli będzie miał urodę po Naro i moje umiejętności walki.

Wszyscy rozumieli, że siostra Naro najprawdopodobniej oddała im dziecko, żeby zyskać przywileje dla siebie i rodziny, ale nie było powodu, by poruszać ten temat w tak szczęśliwej chwili. Z pewnością można było zrobić coś jednocześnie z potrzeby serca, jak i dla własnej korzyści.

– A jak przyszło wam do głowy imię Cacaya? – zapytał Rin Coda. – Jest bardzo oryginalne.

Twarz Müna przybrała czerwony kolor.

– No... podobało mi się.

– A czy coś znaczy?

– A dlaczego wszystko musi coś znaczyć? – powiedział Mün obronnym tonem. – To tylko imię mleczne. Nie musimy wybierać niczego poważnego jeszcze przez kilka lat.

Rin, obdarzony instynktem śledczego, nie dał się zbyć – wyczuł, że w tej historii musi być coś więcej.

– No dalej, gadaj! Mi to brzmi adüańsko.

Wszyscy spojrzeli na Luana Zye, który żył pośród ludu Adüan przez wiele lat. Luan spojrział na Müna z uśmiechem.

– Możesz im powiedzieć – stwierdził niechętnie Mün. – Poprosilem cię o pomoc przy wyborze, więc możesz powiedzieć.

Luan chrząknął i wyjaśnił powoli:

– Słowo rzeczywiście pochodzi z adüańskiego. Oznacza grube i mocne włosy na pysku dzikiej świni, która jest bardzo cenionym źródłem mięsa wśród Tan Adü i symbolem wielkiej siły.

Wszyscy przetrawiali tę informację, zastanawiając się nad odpowiednim komentarzem podziwu.

– Czekał, nazwałś swojego syna „świńską szczecina”? – zapytał z niedowierzaniem Rin, a potem zaniósł się gromkim śmiechem.

– Jestem dumny z mojej dawnej profesji! – zawołał zirytowany Mün. – Chcę mieć pewność, że syn będzie pamiętał o swoich korzeniach. Naro się zgodził, więc nie obchodzi mnie, co wy o tym myślicie! – Naro poklepał męża po okrytych rękawicami pośladkach, żeby okazać mu swoje wsparcie.

Lekki podmuch poruszył płomieniami świec i lamp. Mün zadrzał. Naro zdjął wierzchnią szatę i okrył nią ramiona małżonka jak peleryną.

– Nie chcę, żebyś się przeziębił. – Mün w odpowiedzi otoczył go ramieniem w pasie. Jego twarz się rozluźniła.

– No popatrzcie na tych dwoje – droczył się z nimi Puma Yemu. – Wciąż jak nowożeńcy.

– Dlaczego ty tak częściej mi nie robisz? – spytał Than Carucono swoją małżonkę, Péingo.

– Z radością pożyczę ci jedną ze swoich sukni, jeśli ci zimno – odparła. – Wolisz tę z perłowym zatrząskiem czy tę ze szkarłatnymi peoniami? Obie mogą się okazać nieco ciasne, ale nie osądzam. Z pewnością ładnie podkreślilyby krągłość twego piwnego brzucha.

Than popatrzył na Müna i Naro z udawaną urazą.

– Widzicie, właśnie to dostaję w domu. Cały czas.

– Tylko wtedy, gdy jesteś grzeczny – odparła Péingo. Wraz z Thanem wymienili spojrzenia i uśmiechy, a ich oczy błyszczały jak księżyc za oknem.

– Naro i Mün z pewnością znają sekret podgrzewania atmosfery w związku – powiedział Cogo Yelu. – Można by ich porównać do Idiego i Mothoty. „Odbierające siły senne czuwanie!”, jak by to ujął poeta.

Wszyscy znieruchomieli i zapadła niezręczna cisza. Cogo rozejrzał się, zdziwiony.

– No co?

– Dlaczego obrażasz kolegę, mówiąc, że brakuje mu siły? – zapytał Théca Kimo, ksiązę Arulugi, który do tej pory prawie się nie odzywał.

– Nic takiego nie powiedziałem! – rzekł zdezorientowany Cogo.

– Wydaje mi się, że Cogo nawiązuje do opowieści sprzed wieków – wtrącił Luan. – Setki lat temu król Idi z Amu był tak zakochany w swoim kochanku, mężczyźnie o imieniu Mothota, że kiedy ten zapadł w sen w jego ramionach, a król musiał się udać na dwór, kazał swoim sługom zanieść się razem z łóżkiem i Mothotą do sali audiencyjnej, żeby nie obudzić kochanka. Poeci z Amu użyli frazy „senne czuwanie” jako kenning oznaczający romantyczną miłość.

– Czym jest kenning? – zapytał Mün.

– To poetyckie... Cogo po prostu chciał skomplementować waszą czułość, to wszystko.

Mün wydawał się zadowolony, a Théca, zawstydzony, przeprosił Cogo. Mimo to Gin Mazoti, marszałek Dary, postanowiła zabrać głos.

– Czyżbyś tak dużo czasu spędzał w Kolegium Adwokatów i sali egzaminacyjnej, że zapomniałeś, jak rozmawiać ze starymi towarzyszami, Cogo?

Luan zdziwił się, słysząc tak ostry ton, lecz Gin nie chciała mu spojrzeć w oczy.

– To dopiero pytanie – odparł Cogo.

Jednak chłodne spojrzenia generałów świadczyły o tym, że Gin powiedziała na głos to, co myśleli wszyscy.

– My znamy miecze i konie – ciągnęła dalej kobieta. – Choćbyś zebrał Müna, Pumę, Thécę, Thaną i mnie, nie znalazłbyś w naszych głowach nawet pół książki. – Chociaż mówiła z pogardą wobec siebie, było w jej słowach coś prowokacyjnego. – Dlatego wolelibyśmy, żebyś ograniczył się do picia herbaty i odpuścił sobie rzucanie ładnymi słówkami, gdy tylko masz okazję.

– Szczerze przepraszam, Gin – powiedział skromnie Cogo. – Słusznie zauważyłaś, że zbyt wiele czasu spędzam z aroganckimi molami książkowymi zamiast z przyjaciółmi.

Gin kiwnęła głową i nie powiedziała już nic więcej.

Luan spróbował nieco rozluźnić napiętą atmosferę.

– A może w coś zagramy? – zaproponował.

– A co proponujesz? – zapytał Mün.

– Może... lustro głupca? Była to gra, której uczestnicy na przemian porównywali się do różnych istot i przedmiotów pochodzących z danej kategorii, na przykład roślin, zwierząt, minerałów, mebli, narzędzi rolniczych, a następnie pili w zależności od tego, czy pozostali uznali porównanie za słuszne.

Mün, Than i Rin popatrzyli po sobie i roześmieli się.

– Co w tym takiego śmiesznego? – zapytał Naro. Péingo wydawała się równie zdziwiona.

– Wiele lat temu to właśnie przy tej grze książę... znaczy cesarz, zgodził się przedstawić mnie tobie – wyjaśnił Mün Naro.

– Zawsze się zastanawiałem, jak znalazłeś w sobie tyle odwagi, by namówić swojego szefa, by do mnie przyszedł! Widzę, że najpierw musiałeś się upić.

– Nie byłem pijany! Ja tylko... sennie czuwałem.

Naro roześmiał się i cmoknął męża w policzek. Pozostali w jadalni rechotali albo wręcz rzeli ze śmiechu.

– Myślę, że powinieneś trzymać się mieczy i koni – oznajmił Than. – Nie nadajesz się do poezji. Może znowu będziemy się porównywać do kwiatów i innych roślin? Zobaczmy dzięki temu, jak się wszyscy zmieniliśmy?

Nikt nie protestował.

– Ja zacznę – odezwał się Mün. – Niegdyś byłem kaktusem, lecz teraz widzę w sobie raczej... kolczastą gruszkę. – Popatrzył z uczuciem na dziecko w ramionach Naro. – Ojcostwo zmienia, napelnia słodyczą i światłem. Dobrze, że cesarz mnie zwerbował, zanim dorobiłem się dziecka, inaczej nigdy nie przystałbym na bycie rebeliantem.

Goście podnieśli czarki, gotowi do picia.

– Nie, nie, nie – zaprotestował Than. – Nie zgodzę się z tym porównaniem. Chyba że jesteś przejrzałą gruszką: tak słodką, że aż mdlącą.

Mün popatrzył na niego groźnie, zaś pozostali zanieśli się śmiechem. Naro niezwłocznie przybył mężowi na ratunek.

– Ja będę następny. Jestem powojnikiem, którego łodygi znalazły oparcie na jednym jedynym solidnym dębie. – Mocniej objął małżonka. – Czułe słówka przychodzą łatwo, trudniej jest znaleźć miłość, która trwa dłużej niż pierwszy rumieniec zakochania. A ja wiem, że mi się poszczęściło.

Mün odwrócił się do niego i popatrzył łagodnie.

– I mnie.

Wszyscy napili się, nie komentując nawet słowem. Than Carucono przyciągnął do siebie żonę, a ona usiadła mu na kolanach, zaczerwieniona. Luan i Gin przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Luan poczuł ciepło na policzkach. Jednak z twarzy Gin niczego nie dało się wyczytać.

– Trudno jest przemawiać zaraz po naszych kochających się gospodarzach – rzekł Puma Yemu – jednak spróbuję. Nie było mnie przy tamtej grze wiele lat temu, lecz służyłem cesarzowi niemal tak samo długo jak wy. Jestem skaczącą fasolą z pustyni Sonaru. Może wyglądem nie różnię się od innych dzikich krzewów, lecz kiedy zbliżą się do mnie zwierzęta, tysiąc moich ziaren zaczyna robić taki hałas, że wystraszyłby nawet słonia!

– Nie wiem nic o straszaniu słoni – odezwał się ze śmiechem Than Carucono – ale na pewno przeklinasz tak głośno, że kiedy gramy w pijackie gry, psy w mieście ujadają przez całą noc.

– To dlatego, że oszukujesz... – wtrącił Puma Yemu.

– Moim zdaniem to wspaniałe porównanie – przerwała mu Péingo. – Nie znam się na wojnie, lecz narysowałeś przekonujący obraz.

– Bardzo trafne – potwierdziła Gin. – Twoja taktyka najazdów z zaskoczenia powinna być znana każdemu żołnierzowi Dary.

Nie było więcej komentarzy. Wszyscy wypili.

Luan z przyjemnością sączył herbatę, jednak dziwiło go zachowanie marszałek. Mün i Naro byli gospodarzami i zwyczaj nakazywał, aby to właśnie oni ogłosili ostateczny werdykt. Ponieważ jednak Naro nie miał żadnego tytułu, a Mün talentu do przemawiania, mogli zostać zastąpieni przez Cogo albo Gin, najbardziej utytułowaną dwójkę spośród obecnych na przyjęciu. Jednak Gin najwyraźniej założyła, że ona jako jedyna zajmie się wydawaniem opinii, nie konsultując tego z Cogo.

– Ja będę następny – oznajmił Rin. Wstał i zaczął krążyć wokół stołu. – Byłem niegdyś kwitnącym nocą palczakiem, ponieważ służyłem cesarzowi po zmroku, zajmując się wyw... eee, zbieraniem informacji. Teraz jednak opisałbym się raczej jako runo w lesie pełnym wysokich drzew.

Cisza, która zapadła po jego słowach, jasno świadczyła o tym, że goście byli raczej zdziwieni tym porównaniem.

– Hmm... – zaczął nieśmiało Mün. – Czyżbyś też cytował jakichś klasyków czy innych poetów? Wiem, że chodziłeś do szkoły...

Rin roześmiał się i poklepał go po plecach.

– Miałem na myśli tylko tyle, że mogę się cieszyć cieniem w chwili, gdy reszta z was musi stawić czoła prażącemu słońcu i bezlitosnym deszczom! Dopisało mi szczęście, wiem o tym. Nie musiałem ryzykować życiem i pracować tak ciężko jak wy wszyscy i jestem wdzięczny, że mogę się cieszyć waszym towarzystwem.

– Ładne porównanie – zawyrokowała Gin – lecz nietrafione. Jesteś filarem Domu Mleczka tak samo jak my wszyscy. Musisz się napić.

Zadowolony Rin podniósł czarkę do ust.

Luan zmarszczył brwi. Rin może i próbował uczynić z tego żart, lecz w jego porównaniu dało się wyczuć nutę gorczy. Wyraźnie szukał pocieszenia u Gin.

– A może teraz Luan? – powiedziała marszałek Mazoti, wrywając go z zamyślenia.

– Hmm. – Luan pogładził się po brodzie. – Myślę, że jestem ukwiałem. Dryfuję w morzu, dając się ponieść falom i pijąc wiatr. Potrzebuję tylko trochę słońca i nie muszę konkurować z Setką Kwiatów, jeśli chodzi o barwę czy zapach.

– Taki ukwiał wydaje się bardzo samotny – powiedział smutno Naro, a potem szybko uklonił się Luanowi. – Nie chciałem cię urazić.

– Taki ukwiał wydaje się dobrą metaforą dla kogoś, kto odmówił przyjęcia jakiegokolwiek dworskiego tytułu – rzekł z uśmiechem Cogo. – Ja się za to napiję.

– Wolisz nie mieć żadnych zobowiązań? – zapytała Gin.

Luan popatrzył na nią. „O co naprawdę pyta?”

– Wolę życie wolne od sądów ogrodnika.

Gin przez chwilę nie spuszczała z niego wzroku, po czym kiwnęła głową

i uniosła czarkę. Inni goście podążyli za jej przykładem.

– Ja będę następny – oznajmił Théca Kimo. – Zacząłem pomagać cesarzowi później niż większość z was, lecz wydaje mi się, że zrobiłem dla niego sporo. I mogę to poświadczyć niejedną blizną. – Podniósł się i wyprostował, żeby wydawać się wyższym. – Ostatnimi czasy czuję się jak stara jabłoń, która nie daje już owoców. Teraz mógłbym się przydać tylko jako drewno na opał.

„Niczym psy gończe, które wiąże się po złapaniu wszystkich zajęcy, albo luki, które pakuje się po zestrzeleniu wszystkich dzikich gęsi”. Luan przypomniał sobie rozmowę z Gin sprzed wielu lat. Spojrzał na marszałek, spodziewając się, że zrugą Thécę za te niemal zdradzieckie słowa.

Inni również popatrzyli na Gin, trzymając czarki tuż przy ustach. Luan zauważył, że większość gości patrzy raczej ze współczuciem niż zgorszeniem.

– Nie zgodzę się z tym – oznajmiła Gin.

Luan wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Ta stara jabłoń rosla, jeszcze zanim Mün wybudował swój dom – ciągnęła dalej Gin – i pewnie będzie stać długo po tym, jak ten zniknie z powierzchni ziemi. Twoja lojalność jest zapisana w bliznach, które są znacznie trwalsze niż logogramy wyryte w wosku przez gorliwych biurokratów. Cesarz nie zapomniał o twojej służbie ani o tym, że potrzebuje miecza i tarczy do obrony cennego pokoju. Nie zostaniesz ścięty, dopóki jestem marszałkiem Dary.

Luan zamknął oczy. „Co ty wyprawiasz, Gin?”

Théca uklonił się nisko.

– Ależ, pani, czyżbyś nie słyszała plotek, że cesarzowa występuje przeciwko arystokracji, nie wyłączając tych, którzy zakładali dynastię razem z cesarzem? Kilku baronów już straciło swoje lenno pod pretekstem zdrady czy braku lojalności. Obawiam się...

Nie zdołał skończyć zdania. Sługa wszedł do jadalni i ogłosił:

– Przybyła Jej Wysokość Cesarska Konsorta Risana!



Risana weszła do środka razem ze switą służących, którzy nieśli prezenty dla niemowlęcia i szczęśliwych rodziców: rzeźbione jadeitowe koniki, żeby chłopiec mógł bawić się w żołnierzy i rebeliantów; zwoje wysokiej jakości jedwabiu na ubrania i do pokoju dziecinnego; smakołyki z różnych zakątków Dary, które przywieziono sterowcami, w tym także te dotychczas zarezerwowane dla rodziny cesarskiej...

Pogruchała do dziecka trzymanego przez Naro i zapewniła Müna, że absolutnie nie ma nic przeciwko temu, że jest ubrany jedynie w ręcznik i szatę luźno narzuconą na ramiona.

– Nie zapominaj, że byłam z wami w obozie w czasie wojny! – powiedziała i żeby podkreślić szczerą swoją, ściągnęła oficjalną szatę, stając między gośćmi w zwykłej halce.

Poruszała się po jadalni z gracją wiosennej jaskółki, kiwając głową

i promiennie się uśmiechając.

– Théca! Jak tam połowy na Arulugi? Musisz tym razem zostać dłużej i wybrać się ze mną na ryby nad jezioro Tututika. Puma! Nic się nie zmieniłeś. Phyro dopiero co pytał mnie, czy mógłbyś go pouczyć jazdy konnej. Musicie z Thécą częściej przywozić rodziny do stolicy. Than! Jak się mają wasze dzieci? Péingo! Koniecznie odwiedzajcie mnie częściej w pałacu...

Zatrzymała się przed Gin, która już wstawiała. Uścisnęły się ciepło na powitanie.

– Czasami tęsknię za wojną – powiedziała Risana. – Częściej się wtedy widywałyśmy.

– Owszem, Risano. Owszem.

Wreszcie podeszła do Luana i ukłoniła się przed nim nisko w *jiri*. Luan odpowiedział takim samym gestem.

– Nic się nie zmieniłeś od czasu naszego ostatniego spotkania – rzekła konsorta, szeroko się uśmiechając i patrząc na Luana z uznaniem. – Chyba odkryłeś sekret wiecznej młodości!

Luan roześmiał się.

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawa. – Nie odwdzieczył się komplementem, mimo że uroda Risany nie zmalała przez wszystkie te lata. Instynktownie czuł, że powinien zachować dystans.

– Właściwie jest coś... Myślę, że zajmujesz się teraz jakąś nową zagadką.

Luan był tylko trochę zaskoczony. Talent Risany do odgadywania cudzych intencji był wszystkim znany, chociaż nie na każdego działał.

– Rzeczywiście jest coś, co zajmuje moje myśli.

Wyciągnął zza pazuchy kawałek materiału o nieregularnym kształcie.

– Jak Wasza Wysokość uważa, co to jest?

Risana dokładnie przyjrzała się przedmiotowi. Wydawał się wykonany z kości, być może słoniowej. Wyrzeźbiono na nim dziwną bestię z długą szyją, dwiema nogami i parą skrzydeł.

– Pamiętam, że widziałam coś podobnego wiele lat temu, kiedy mieszkaliśmy w Dasu. Fale wyrzuciły to na brzeg, prawda?

Luan pokiwał głową.

– Zbieram tego rodzaju rzeczy już od jakiegoś czasu. Ten okaz kupilem na targowisku w Pan. Chociaż nie mogę być pewien jego pochodzenia, docierają do mnie słuchy, że takie przedmioty pojawiają się od czasu do czasu na plażach północnej części wysp. Myślę, że na dalekiej północy istnieje tajemnica, którą warto zbadać. To jeden z powodów, dla których przybyłem do stolicy. Chcę porozmawiać o tym z cesarzem.

– Nigdy nie przestajesz się uczyć, prawda?

W miarę trwania rozmowy Luan zdał sobie sprawę, że bardzo mu się ona podoba. Na tym również polegał dar Risany: potrafiła drugiemu człowiekowi poświęcać tyle uwagi, że wydawało mu się, jakby był jedyną osobą w pomieszczeniu. Ludzie zaczęli ją lubić, jeszcze nie zdając sobie z tego sprawy.

Podczas gdy Risana nadrabiała zaległości towarzyskie, jej świta wystawiła kadzidła i przenośne jedwabne ekrany. Gdy wszystko było już gotowe, konsorta klasnęła w dłonie.

– Adopcję dziecka przez Müna i Naro należy uczcić odrobiną rozrywki!

Zapalono kadzidła i za parawanami pojawiły się światła. Risana zaczęła tańczyć i śpiewać do melodii wygrywanej na kokosowej lutni i dziewięciostrunowej cytry:

Cztery Spokojne Morza są tak szerokie jak lata długie.

Dzika gęś leci nad jeziorem, a zostanie po niej krzyk na wietrze.

Człowiek rozstaje się ze światem, a zostawi po sobie imię.

Czy bohaterowie zostaną zapomniani, a wiara wynagrodzona?

Chociaż gwiazdy migoczą na niebie, nasze serca nie zadrżą.

Może i zabielią nam się włosy, lecz krew pozostanie czerwona.

Skakała, kręciła się, schylała się i wyciągała, a jej długie rozpuszczone włosy falowały w powietrzu niczym włosie pędzelka w rękę mistrza kaligrafii. Kiedy jej cień migotał na jedwabnych ekranach, rękawy wzburzały dym z kadzidel, tworząc na wpół stałe kształty: statki wylaniające się z fal i gęstych chmur, walczące armie na ciemnym polu, pojedynkujących się herosów wysoko podnoszących oręż; floty ogromnych maszyn toczących walkę w powietrzu i pod powierzchnią morza.

Zebrani wpatrywali się w pokaz jak urzeczeni, a kiedy Luan się rozejrzał, dostrzegł, że wielu z nich rozplakało się ze wzruszenia na widok tego hołdu złożonego potędze wojennej Dary.



Nawet najdłuższe przyjęcie musi się skończyć. Goście pożegnali się z gospodarzami, gdy zaczynało już świtać.

– Czy sytuacja jest tak zła, jak się spodziewam, przyjacielu? – zapytał Luan. Specjalnie poczekał na Cogo, żeby opuścić dom wraz z nim.

Jak zwykle ostrożny Cogo z kolei poczekał, aż znajdą się w powozie.

– To zależy, co masz na myśli. – Rozsiadł się i westchnął z zadowoleniem.

– Zauważyłem na przykład, że trzymasz swoją rodzinę z dala od Miasta Harmonii.

– Nie wszystkich interesuje politykowanie – odparł Cogo – ani też nie wszyscy są w tym dobrzy.

– Wyczuwam strach i niepewność pośród starych generalów Kuniego.

– Nieustanne myślenie o tym, że cesarzowa chce zabrać ci lenno i tytuł, może

faktycznie prowadzić do pewnej paranoi.

– Czy to rzeczywiście paranoja? Nie miałem okazji spędzić z cesarzową zbyt wiele czasu.

Cogo popatrzył na Luana.

– Mówi się, że konsorta Risana boi się cesarzowej, bo nie potrafi odgadnąć jej pragnień. Tak samo jest z nami. Cesarzowa wiele uczyniła dla urzędników i uczonych, lecz czy zrobiła to w ramach planu cesarza, który chciał łagodnie wprowadzić kraj w czasy pokoju, czy też może działa na własną rękę, tego nie wie nikt.

– A co się dzieje z Gin? Dziwne ci dała kazanie. Może i nie uczęszczała do akademii, ale samodzielnie uczyła się klasycznego ano. Wszyscy wiemy, że nie jest niepiśmiennym żołnierzem.

– Gin kieruje wszystkimi starymi generałami. Nie dziwię się, że próbuje im się przypodobać.

– Czyżby czuła niechęć do cesarzowej?

– Gin, jak dobrze wiesz, nikogo nie słucha. Dowiedziałem się jednak, że w czasie pierwszego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz cesarzowa próbowała się z nią zaprzyjaźnić. Zdaje mi się, że jej wysiłki spęzły na niczym, ponieważ Gin chciała być lojalna wobec konsorty Risany, którą uważała i nadal uważa za swoją przyjaciółkę.

Luan zamknął oczy i westchnął. „Ach, ta twoja porywczosć, Gin. Mówiłem ci, żebyś trzymała się z dala od intryg pałacowych”.

– Zauważyłem, że to konsorta Risana przyszła na dzisiejsze przyjęcie, nie zaś cesarzowa czy cesarz.

– Nie tylko ty to zauważyłeś.

„Czy nieobecność cesarza oznacza, że wspiera cesarzową?” Jakby odpowiadając na niezadane pytanie Luana, Cogo rzekł:

– Cesarz podobno ostatnimi czasy częściej słucha rad konsorty Risany. Często ją odwiedza, żeby omawiać sprawy wagi państwowej, i mówi się, że polega na opinii konsorty na temat kandydatów na stanowiska, ponieważ potrafi ona ocenić szczerą ich intencję. Równocześnie cesarzowa nie popadła w nielaskę. Po prostu swoje wpływy wywiera w inny sposób. Podczas gdy konsorta Risana przyjaźni się z żonami starych generałów Kuniego, kilka służek cesarzowej Jii wyszło za wysoko postawionych ministrów i uczonych albo stało się zaufanymi gospodyniami w ich domach.

– A czy przypadkiem niektóre z tych służek to nie są dziewczyny, które Jia uratowała z ulic Çaruzy w czasie, gdy była jeszcze zakładniczką hegemonu?

– W rzeczy samej – przyznał Cogo. – Jia była dla nich jak matka. Są bardzo wytrwale, pomysłowe i... – Zawahał się, szukając odpowiedniego słowa.

– ...wyjątkowo lojalne wobec cesarzowej – dokończył za niego Luan. – Być może nawet zbyt lojalne w oczach innych ludzi.

Cogo zaśmiał się pod nosem.

– W cesarskiej rodzinie panuje harmonia i jednocześnie... niekoniecznie.

Luan pokiwał głową. „Kuni zawsze czuł się komfortowo pośród ludzi o odmiennych opiniach”.

– Nie dostałeś szansy, by porównać się dzisiaj do kwiatu – powiedział.

Cogo roześmiał się raz jeszcze.

– Kiedy ostatni raz grałem w tę grę, wybrałem cierpliwą mucholapkę, jednak cesarz upierał się, że jestem raczej twardym bambusem, bo stanowię oparcie dla służby cywilnej. To wciąż trafne porównanie – ostatnio czuję się właśnie jak wygięty bambus, naprężony tak bardzo, że w każdej chwili może się złamać.

– Musisz się cieszyć sympatią cesarzowej, zważywszy na jej konflikt z dowódcami wojskowymi.

– Utrzymanie sympatii władzy jest trudne – rzekł Cogo. – Jako człowiek, który odmówił wszelkich tytułów, powinieneś dobrze o tym wiedzieć.

– Przepraszam – odparł Luan. Nie chciał mieć już nic wspólnego z dworskimi frakcjami i kłótniami żon cesarza, jednak nie potrafił też przestać przejmować się losem swoich przyjaciół i kochanki. – Komu naprawdę służysz, stary przyjacielu?

– Zawsze służyłem mieszkańcom Dary – oznajmił Cogo łagodnym tonem.

I tak jechali ulicami Pan, każdy pogrążony w myślach.



Zanim świta Risany zdążyła się spakować i opuścić dom Müna Çakriego, wszyscy byli już zbyt zmęczeni, żeby zauważyć brak dwóch osób. Na wewnętrznym podwórzu Naro założył ogród i kazał wybudować chatkę, która czasami służyła mu za biuro. Teraz stali tu mężczyzna i kobieta ubrani jak tancerze Risany i podziwiali karpie pływające w utrzymanym tu zimą zbiorniku. Ryby – koralowo czerwone, słonecznie złote, perłowo białe, jaszczurkowo zielone – od czasu do czasu podpływały pod powierzchnię wody, a ich łuski migotały w słabym świetle lampy olejnej. Ich blask był ulotny niczym mgnienie myśli we śnie.

– Czyli twój uczeń znowu chce wyjechać – powiedziała kobieta ze złotymi włosami i lazurowymi oczami. Nawet śliczne karpie zdawały się nurkować głębiej, zawstydzone, że nie mogą równać się z nią pięknem.

– Najwyraźniej – przyznał mężczyzna, którego ciemna pomarszczona skóra i przysadzista sylwetka przywodziły raczej na myśl rybaka niż tancerza.

– Nie chcesz go zachęcić, by pomógł Kuniemu? Zbliża się burza, nasi bracia i siostry z chęcią by się w nią zaangażowali. Tazu już się tym zajął.

– Tazu zawsze się angażuje i czyni nasze życie interesującym. Ale im więcej Luan się uczy, siostró, tym mniej potrzebuje moich wskazówek. I tak powinno być. Nauczyciel może jedynie prowadzić ucznia ścieżką, którą ten sam wybrał.

– Brzmisz jak... fluksista, Lutho. Jestem nieco zaskoczona.

Staruszek się roześmiał.

– Nie powinniśmy pogardzać filozofią śmiertelników, jeśli możemy wynieść z niej jakąś naukę. Tak poukładany jest świat, że dzieci i uczniowie muszą dorosnąć, a rodzice i nauczyciele pozwolić im odejść. Bogowie przez eony wycofywali się ze

świata ludzi, podczas gdy ci zdobywali coraz większą wiedzę. Kiedyś modlili się do Kijego o deszcz, dopóki nie opanowali sztuki irygacji, zmieniając bieg rzek i strumieni; modlili się do Rufizo o uleczenie, aż nauczyli się wykorzystywać zioła do sporządzania lekarstw; modlili się do mnie, bym zdradził im przyszłość, dopóki nie poczuli się dość pewni siebie, by samodzielnie ją kształtować.

– Lecz nadal się modlą.

– Niektórzy owszem. Jednak kapłani nie posiadają takiej władzy jak kiedyś, w trakcie Wojen Diaspory, a ja podejrzewam, że nawet wśród tych modlących się panuje przekonanie, iż bogowie oddalili się od śmiertelników.

– Wcale nie wydajesz się tym smucić.

– Kiedy zgodziliśmy się, że będziemy interweniować w sprawy śmiertelników wyłącznie przez wskazywanie im drogi, wszyscy wiedzieliśmy, że taki jest nieunikniony rezultat: że dorosną.

Tututika westchnęła.

– A jednak ja nie potrafię przestać się przejmować. Chcę, żeby im się wiodło.

– Oczywiście, że nie sposób przestać się przejmować. Taki już los rodziców i nauczycieli, czy to śmiertelnych czy nieśmiertelnych.

I tak oto dwoje bogów patrzyło na pływające karpie, jakby w ciemnej, zamulonej wodzie starali się dostrzec przyszłość.

Rozdział dziewiąty Egzamin pałacowy

Pan: Trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Powóz, który miał zabrać króla Kado i jego żonę Tete do pałacu cesarskiego, był spóźniony.

– Co się stało? – spytała Tete, wystawiając głowę przez okno.

– Ulicę blokuje tłum rozeźlonych *cashima*, pani – odparł woźnica.

W rzeczy samej, na drodze stała mniej więcej setka *cashima*, a przejeżdżające powozy musiały bardzo ostrożnie manewrować między nimi. Jeden uczony stał na skrzynce po owocach i krzyczał:

– Ze stu *firoa* ponad pięćdziesiąt pochodzi z Haanu i tylko jeden z dawnych xańskich ziem! Tak ma wyglądać sprawiedliwość?

– Ale cesarz zaczynał w Dasu – rozległ się głos z tłumy. – A król Kado jest bratem cesarza. Z pewnością sędziowie wzięliby to pod uwagę.

– Może i został królem Dasu, lecz słucha swoich doradców. Dobrze wiecie, jaki wpływ na niego ma Luan Zya, arystokrata z Haanu.

– Luana Zyi nie było na dworze od czasu pogrzebu ojca cesarza!

– Tym łatwiej mu w sekrecie podpowiadać cesarzowi. Powinniśmy udać się do pałacu i domagać się śledztwa! Niech wydadzą nam wszystkie eseje. Wspólnie osądzimy, czy słusznie wybrano te najlepsze i czy sędziów można nazwać godnymi zaufania cesarza!

Pozostali *cashima* zaczęli wykrzykiwać słowa poparcia.

Ponieważ podburzeni uczeni nie mówili już więcej o jej mężu, Tete schowała się z powrotem w powozie.

– Myślę, że narzekają na wyniki Wielkiego Egzaminu.

– Oczywiście – stwierdził Kado. – Jeśli nie zdobędziesz wystarczającej liczby punktów, żeby mieć szansę na uzyskanie lukratywnego stanowiska na cesarskim dworze, jedyne, co ci pozostaje, to narzekanie na niesprawiedliwość.

– Wiesz może, czy sędziowie są faktycznie sprawiedliwi? – zapytała Tete. – Czy ktoś z Dasu dostał się do tych najlepszych?

– A skąd ja mam wiedzieć, co cesarz i jego doradcy robią za zamkniętymi drzwiami? – Kado uśmiechnął się gorzko. – Doskonale zdajesz sobie sprawę, że Kuni mianował mnie królem tylko dlatego, że ojciec przed śmiercią go błagał, by coś dla mnie zrobił. Żaden ze mnie władca tirojski.

Tete była zażenowana tymi słowami. Wiedziała, że mąż mówi prawdę, jednak mimo to trudno było jej tego słuchać. Kuni wciąż czuł do niej niechęć z powodu tego, jak potraktowali go, kiedy był młodym chłopakiem. Któż mógł się spodziewać, jak ułoży się życie leniwego braciszka Kado, który szwendał się po ulicach Zudi jak zwykły rozbójnik?

– Czy Kuni jest ostatnio zadowolony? – zapytała ostrożnie Tete.

Miała na myśli to, czy Kuni był zadowolony z Kado, lecz ten uznał pytanie za bardziej ogólne.

– Nie znam szczegółów sytuacji na dworze, ale mówi się, że zwlekanie Kuniego z wyznaczeniem księcia koronnego zaowocowało podziałem na frakcje. Generalowie i arystokraci wolą Phyro, podczas gdy ministrowie i Kolegium Adwokatów optują za wyborem Timu. Oczywiście we wszystko wplątana jest też konsorta Risana. Obie strony dopuściły się różnych nieczystych chwytów.

– Każdy musi się mierzyć z problemami spadkowymi, od właściciela najmniejszego sklepiku po samego cesarza. Zaproponujesz siebie jako mediatora?

Kado gwałtownie potrząsnął głową.

– Najmądrzej z naszej strony będzie dalej pobierać pensję, którą wypłaca nam Kuni, i schodzić mu z oczu. Zadbamy o siebie, a on niech się bawi po swojemu. Prawdziwym zarządcą Dasu jest Ra Olu, mój „regent”, i to on odpowiada bezpośrednio przed Kunim. Ja nic o niczym nie wiem i wolę, żeby tak zostało.

– To dlaczego w ogóle jedziemy do pałacu?

– Niektóre okazje wymagają mojej symbolicznej obecności – odparł Kado, machając plikiem niewypełnionych przepustek, które otrzymał od regenta Dasu. – Mieszkańcy Miasta Harmonii chcą mieć pewność, że cesarska rodzina również żyje w harmonii, więc musimy grać swoje role. Oddamy papiery, będziemy kiwać głowami i uśmiechać się w odpowiedzi na każdą decyzję Kuniego w czasie Egzaminu Pałacowego.



Chociaż stu najlepszych kandydatów otrzymało rangę *firoa* i teoretycznie wszyscy mogliby brać udział w Egzaminie Pałacowym, tylko dziesięciu z samego szczytu listy, uhonorowanych tytułem *pana méji*, mogło skorzystać z tego zaproszenia. Reszta miała zostać przydzielona ministrom i generalom, którzy potrzebowali urzędników niższego szczebla. Taki los nie był zresztą niczym złym – piastowanie mniej prestiżowego stanowiska mogło w przyszłości zaowocować wspaniałą karierą w służbie cywilnej.

W Wielkiej Sali Audiencyjnej, przed podwyższeniem przeznaczonym dla rodziny cesarskiej, siedziało teraz w dwóch rzędach dziesięciu *pana méji*; cesarz miał zadawać im pytania osobiście.

Na mierzącym dwa i pół metra podwyższeniu można było zobaczyć cesarza Ragina w pełnych regaliach: miał na sobie jasnoczerwone szaty ozdobione setkami złotych crubenów bawiących się z mleciami oraz wykwintnymi haftami przedstawiającymi wysokie fale i drobne zwierzęta morskie. Z jego płasko zwieńczonej korony spływała zasłona z drobnych muszelek na siedmiu sznurkach. Z tyłu, dla równowagi, zamocowano również siedem sznurów koralu. Cesarz siedział na tronie w formalnej pozycji *mipa rari*. Siedzisko z twardego drewna wyłożono poduszkami wypełnionymi lawendą, miętą i innymi pachnącymi ziołami

oczyszczającymi umysł. Przygotowała je rzecz jasna cesarzowa, najsłynniejsza zielarka Dary.

Sama cesarzowa Jia siedziała po lewej stronie męża, zaś konsorta Risana po prawej; obie były odziane w oficjalne dworskie suknie i korony. Ich szaty wykonano z grubego czerwonego jedwabiu, o ton jaśniejszego niż w przypadku szaty cesarza. Czerwień była kolorem Dasu, czyli wyspy, z której Kuni Garu rozpoczął swoją podróż na tron Dary. Suknia Jii była ozdobiona dyranami – symbolizującymi kobiecość rybami o tęczowych płetwach – które wypuszczały z pyszczków mlecze. Z kolei u Risany dało się zobaczyć motywy karpiove, na cześć jej rodzinnej wyspy, Arulugi. Przed miękkim siedzeniem konsorty Risany znajdował się mały trybularz z brązu zwieńczony rzeźbą skaczącego karpia, z którego otwartego pyska wydostawał się rzadki dym. Mówiło się, że zdrowie konsorty Risany wymaga, aby oddychała ona wonią specyficznej mieszaniny ziół, więc często w jej pobliżu stawiano trybularze.

Dwa rządy zajęte przez *pana méji* otaczali najwięksi możnowładcy cesarstwa. Odległość każdego z nich od tronu miała odzwierciedlać ich wpływy na cesarskim dworze. Zarządcy daleko położonych prowincji oraz arystokraci posiadający mniejsze lenna od czasów koronacji cesarza Ragina rzadko zbierali się w Pan. To była wyjątkowa okazja i każdy stosował się do zasad dworskiej etykiety.

I tak oto po lewicy cesarza – po zachodniej stronie sali audiencyjnej – w długiej kolumnie, usadzeni według rangi, klęczeli w *mipa rari* ministrowie cywilni i zarządcy prowincji. Ich szaro-niebieskie odświętne szaty z ciężkiej adamaszkowej mory były ozdobione albo symbolami ich prowincji – ławicami lodowych ryb w przypadku Rui, wysokimi dębami w przypadku zalesionej Rimy, chryzantemami-mieczami w przypadku Cocru, i tak dalej – albo tymi wskazującymi sferę ich działalności. Tak więc na szacie sekretarza dalekowidztwa Rina Cody widniały rysunki oczu, strój cesarskiego archiwisty zdobiły zwoje i księgi, głównego inspektora podatkowego – wagi, głównego herolda – trąbki, a cesarskich skrybów – nożyki.

Według hierarchii najwyżej ze wszystkich ministrów i zarządców stał premier Cogo Yelu, a to oznaczało, że zazwyczaj siedział najbliżej tronu. Dzisiaj jednak miejsce to zajmował Luan Zya, ubrany w szatę z mory ozdobioną maleńkimi remorami. Chociaż nie miał żadnego oficjalnego tytułu i nie pełnił na dworze żadnych obowiązków – właściwie nawet rzadko pojawiał się w Pan – Cogo upierał się, by to właśnie jego stary przyjaciel zajął honorowe miejsce jako najbardziej zaufany doradca cesarza Ragina.

Na prawo od cesarza i po zachodniej stronie sali audiencyjnej klęczeli w równym rzędzie generalowie i posiadający własne lenna arystokraci, wszyscy w sztywniej pozycji *mipa rari*. W przeciwieństwie do ministrów i zarządców otrzymali oni swoje stanowiska przede wszystkim w nagrodę za służbę na wojnie, więc ubrani byli w odświętne zbroje wykonane z lakierowanego drewna, zaś przy pasach nosili dekoracyjne miecze z koralu, perfumowanego papieru albo delikatnej porcelany. Byli skazani na te kunsztowne atrapy, ponieważ nikt prócz strażników

i królowej Gin Mazoti nie mógł wnosić do pałacu, a tym bardziej do sali audiencyjnej, prawdziwej broni.

Królowa Gėjiry i marszałek Dary, dowódczyni wszystkich sił zbrojnych cesarza, siedziała w wyeksponowanym miejscu, na czele rzędu generałów i arystokratów. Zaraz obok niej znajdował się Kado Garu, brat cesarza, który wydawał się męczyć w przyciasnej odświętnej zbroi. Dalej siedzieli inni mężczyźni, którzy walczyli u boku cesarza w czasie rebelii i Wojny Chryzantemy z Mleczem: Théca Kimo książę Arulugi; Puma Yemu markiz Porinu; dowódca piechoty Mün Çakri, dowódca kawalerii i admirał marynarki Than Carucono.

Dwie odnogi hierarchii pałacowej spletały się wdzięcznie w zrównoważoną całość. A nad nimi, na balkonach, miejsce zajęły ich małżonki i asystenci, skąd mogli obserwować przebieg Egzaminu Pałacowego, lecz bez prawa do zabrania głosu.

Gin Mazoti spojrzała na siedzącego na drugim końcu sali Luana Zyę i się uśmiechnęła.

Nie zauważyła nieznacznie zmarszczonych brwi cesarzowej Jii, gdy ta rozejrzała się po arystokratkach i na chwilę zatrzymała wzrok na mieczu Gin. Przypięty u pasa, ściągał wzrok i stanowił upiorne przypomnienie czasów wojny, śmierci i cierpienia.



Porządek panujący na cesarskim dworze znacznie się różnił od luźnej atmosfery, która panowała w obozie Kuniego w czasie wojny albo podczas pierwszych dni po jej zakończeniu, kiedy świętowano nadejście pokoju, a towarzysze Kuniego zachowywali się raczej jak przyjaciele niż poddani. Ponieważ większość członków jego świty wywodziła się ze skromnych rodzin, ich nieokrzesanie często szokowało arystokratów Siedmiu Królestw oraz ludzi hegemonu.

Na przykład podczas koronacji Kuniego wielu jego dawnych kompanów piło z czarek zamiast właściwych dla tego rodzaju ceremonii dzbanów; chwyтали jedzenie rękami zamiast pałeczkami – odpowiednio jedną pierogi i jiaozi, dwiema makaron i ryż, a trzema rybę, owoce i mięso, tak żeby dwiema je przytrzymywać, a trzecią rozrywać na mniejsze kawałki – kiedy zaś się upili, wstawali i zaczynali tańczyć, wymachując sztuciami jak bronią i uderzając nimi głośno o kolumny nowego pałacu.

Pośród dawnej arystokracji i uczonych coraz wyraźniej dało się słyszeć pełne pogardy szeptu i śmiechu. Z tego też powodu Cogo Yelu doradził cesarzowi, by ten wyznaczył nowego mistrza ceremonii. Argumentował, że stosowanie dworskiej etykiety, nawet jeśli wydaje się uciążliwe, jest w czasach pokoju absolutnie niezbędne.

– Jak powiedział Kon Fiji, „właściwe rytuały ukierunkowują na właściwe myśli” – oznajmił Cogo.

– Czyli znowu zaczynamy słuchać Kona Fijego? – zapytał Kuni. – Nigdy go nie lubilem, nawet jako dzieciak.

– Różni filozofowie są przydatni w różnych czasach – rzekł pojednawczo Cogo. – Zachowanie rodem z pola bitewnego niekoniecznie sprawdzi się na dworze w czasach pokoju. Jak powiedział mędrzec Ano, *Adi co cacru co pihua ki tuthiüri lothu cruben ma dicaro co cacru ki yegagilu acrutacaféthéta cathacaü crudogithédagén*. Cruben, który prze przez fale na otwartej wodzie, może być zmuszony do większej ostrożności w zatoce pełnej łodzi rybackich.

– Mogłeś zwyczajnie zacytować wiejskie porzekadło: „Wyj na widok wilka, drap się po głowie na widok małpy”. Jest znacznie bardziej wymowne niż kwieciste przysłowia z klasycznego ano. I nie musisz mi ich tłumaczyć. Mimo wszystko zdarzało mi się uważać na zajęciach z Mistrzem Loingiem, wiesz?

Rin Coda, który znał Kuniego dłużej niż wszyscy, a także Jia, która przyzwyczaiła się do przywiązania męża do mowy prostych ludzi, ryknęli śmiechem. Cogo uśmiechnął się pod nosem, ale i spąsował.

Kto powinien zająć stanowisko mistrza ceremonii? Po chwili dyskusji Cogo zasugerował Zato Ruthiego.

– Dawny król Rimy? – zapytał Kuni z niedowierzaniem. – Gin się zupełnie nie spodobał.

– Jest najbardziej szanowanym współczesnym moralistą – powiedział Cogo. – Zamiast zostawiać go w leśnej chacie, gdzie w pocie czoła skrobie pełne gniewu traktaty potępiające twoje rządy, lepiej wykorzystać jego reputację i wiedzę.

– Oprócz tego w ten sposób dasz uczonym do zrozumienia, że jesteś gotowy na nadejście nowej ery, w której księga jest ważniejsza od miecza – zgodziła się Jia. – Wiem, że lubisz, jeśli udaje ci się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Kuni nie był pewien, czy to dobry pomysł, lecz zawsze słuchał rad.

– Stara zakurzona księga może nie stanowi przyjemnej lektury, lecz przydaje się do przytrzymania otwartych drzwi – rzekł Kuni, a potem rozkazał wezwać Zato Ruthiego.

Zato Ruthi był zadowolony z powodu tego awansu. Jego zdaniem opracowanie nowego protokołu zachowania na cesarskim dworze było zadaniem o wiele ważniejszym niż takie drobnostki jak dowodzenie armią czy tworzenie prawa podatkowego; tego rodzaju obowiązki lepiej przydzielać ludziom pokroju Gin Mazoti – którą niechętnie zaakceptował jako swoją współpracownicę – oraz Cogo Yelu. W końcu dworski protokół stanie się modelem zachowania dla wszystkich wykształconych ludzi w cesarstwie, na których z kolei wzorować się będą masy. W ten sposób miał szansę uformować duszę ludności Dary zgodnie z ideałami moralizmu.

Zato Ruthi z zapalem oddał się przygotowaniom. Przeglądał kroniki Dary i instrukcje etykiety z dawnych królestw Tiro; zebrał wszystkie fragmenty poematów w klasycznym ano, które opisywały złoty wiek, zanim ten został skażony; spisał grube pliki notatek i naszkicował szczegółowe plany.

Kiedy wreszcie zaprezentował swoje pomysły cesarzowi, Kuni poczuł się, jakby wrócił na lekcję do mistrza Loinga. Instrukcje protokołu Ruthiego były zapisane na zwoju, który zajmował pół długości Wielkiej Sali Audiencyjnej.

– Mistrz Ruthi – powiedział Kuni, próbując nie okazywać zniecierpliwienia – musicie stworzyć coś, co będą w stanie zapamiętać moi generałowie. To jest tak skomplikowane, że nawet ja nie mogę nadażyć z tymi wszystkimi rytualnymi zwrotami, ceremonialnymi przejściami i układami i odpowiednią liczbą ukłonów.

– Nawet jeszcze nie spróbowaliście, *Rénga*!

– Dziękuję wam bardzo za skrupulatność. Mimo wszystko postaram się to jakoś uprościć.

Kiedy Kuni przedstawił mu swój plan – zapisany na zwoju nie dłuższym niż wynosił jego wzrost – Zato Ruthiego aż zapowietrzyło.

– Ależ tego nie można nazwać protokołem! – zaprotestował, gdy udało mu się dobyć głosu. – Gdzie są tytuły w klasycznym ano? Gdzie są schematy kroków, które mają ubogacać duszę? Gdzie są cytaty z mędrców wyznaczające kierunek dyskusjom? Przecież to jakby żywcem wyrwane z jarmarcznego przedstawienia, które ma się przypodobać widzom przegryzającym nasiona słonecznika i kandyzowane małpie jagody!

Kuni cierpliwie wytłumaczył, że mistrz Ruthi go nie rozumiał. Wyjaśnił, że po prostu udoskonalił pomysły mistrza Ruthiego, tak by zachować ich istotę, jednocześnie czyniąc je możliwymi do wypełnienia przez zwykłych śmiertelników. Nie wspomniał, że w rzeczywistości inspirował się ulicznymi przedstawieniami i konsultował się z Risaną. Myślenie o tym wszystkim jak o wielkiej sztuce teatralnej było dla niego jedynym sposobem, by znieść trudy pracy nad protokołem.

I tak debatowali, wymieniając się argumentami, by ostatecznie osiągnąć kompromis – dość wysublimowany, by zaspokoić potrzeby starej arystokracji i uczonych, a jednocześnie na tyle prosty, by zaakceptowali go również cesarz oraz jego towarzysze z czasów wojny.

– Dlaczego tylko ja jeden siedzę? – zapytał Kuni, wskazując na ostatnią ilustrację przedstawiającą formalne usadzenie cesarza i jego doradców. Ruthi wyjaśnił, że podpierał się protokołami z czasów cesarstwa xańskiego przygotowanymi przez Cesarskiego Uczonego Lügo Crupo, surowego inentywistę. Cesarz Mapidéré wolał siedzieć w nieformalnej pozycji *thakrido*, z nogami wyciągniętymi przed sobą, podczas gdy wszyscy inni ministrowie i generałowie stali na baczność.

– Crupo uważał, że ludzie, którzy są zmuszeni do stania, działają bardziej efektywnie – rzekł Ruthi. – Chociaż w wielu kwestiach się mylił, tę konkretną uwagę oceniam pozytywnie. Efektywna administracja jest ważna, *Rénga*.

– Ale będę wyglądał jak bandycki król na naradzie ze swoimi podwładnymi! Zwykli ludzie dostrzegą w tym despotyzm.

– Nie proszę was o siedzenie w *thakrido* – powiedział Ruthi, nieco rozgniewany. – Nie jestem barbarzyńcą. Powinniście siedzieć w *géüpa*, co będzie stanowiło właściwe nawiązanie do poematu napisanego...

– Chodzi o to, by wszyscy siedzieli – odparł cesarz.

– Ależ, *Rénga*, jeśli będziecie siedzieć tak samo jak pozostali, zatrze się różnica między waszymi stanowiskami. Wasza osoba jest symbolem władzy państwa.

– Podobnie ministrowie i generałowie, którzy mi służą. Jeśli ja jestem głową państwa, oni są rękami i nogami. Nie ma sensu rozpieszczać głowy i dręczyć reszty ciała. Dwór powinien być wzorem harmonii dla całej Dary. W sali audiencyjnej dyskutuje się i decyduje o losie wszystkich ludzi, a nie tylko o moich osobistych gustach.

Ruthiemu spodobała się ta przemowa. Odnosiła się do zgodnej z duchem moralizmu równowagi panującej w relacjach między władcą i jego poddanymi. Stopniowo zmieniał opinię na temat Kuniego Garu – cesarza, który wywrócił porządek w Darze do góry nogami, wcielił do wojska kobiety i w drodze na tron wymiół królestwa Tiro. Może – pomyślał – jednak głęboko w tym piwnym brzuchu tkwiła dusza moralisty. Postanowił, że spróbuje być bardziej elastyczny i lepiej służyć temu interesującemu panu.

Kuni i Ruthi przystąpili więc do działania. Pracowali wspólnie przez kilka tygodni, tworząc dworskie regalia (albo jak myślał o nich Kuni, „kostiumy i rekwizyty”), uroczyste przemowy („scenariusze”) oraz zasady etykiety („ustawienie aktorów”). Dyskutowali do późnej nocy i używali długie zwoje papieru, często wołając o przekąski albo napary ziołowe cesarzowej, dzięki którym mogli długo zachowywać przytomność umysłu. W końcu ostateczny protokół zgadzał się mniej więcej z wizją Kuniego i nie obrażał przesadnie tradycji moralistów.

Kuni był gotowy cierpieć za swoją sztukę. Założenie uroczystej szaty i korony nawet z pomocą służących wymagało czasu, zaś regalia zmuszały go do klęczenia sztywno w niewygodnej pozycji *mipa rari*. Jednak przykład dany przez cesarza zdusił w zarodku wszelkie narzekania generałów – wszyscy założyli niewygodne szaty, ceremonialne zbroje i ciężkie oficjalne nakrycia głowy, a potem również uklękli w *mipa rari*.

Widziany z sufitu Wielkiej Sali Audiencyjnej dwór Kuniego przywodził na myśl crubena krążącego po morzu: dwie kolumny doradców usadzonych wzdłuż ścian rysowały granice olśniewającego i okazałego ciała pokrytego łuskami; podium na przodzie stanowiło głowę imponującego ssaka z cesarzową Jią i konsortą Risaną w roli pary jasnych oczu, zaś cesarz Ragin był niczym imponujący róg na środku wielorybiego czoła, przebijający się przez wzburzone fale i wskazujący cesarstwu drogę.



Główny herold spojrział na zegar słoneczny zamontowany na południowej ścianie, po czym wstał.

Wszystkie szmery i szepty w sali ucichły. Każdy – od cesarza po ostatniego strażnika stojącego przy wejściu – wyprostował się.

– *Mogi ça lodüapu ki gisgo giré, adi ça méüpha ki kédalo phia ki. Pindin ça racogilu üfiré, crudaiügada ça phithoingnné gidalo phia ki. Ingluia ça philu jisén dothaéré, naïpin rari ça philu shanoa gathédalo phia ki.*

Herold wypowiedział tę formułkę, trzymając się dawnego metrum charakterystycznego dla sag o herosach Ery Diaspory i powszechnie stosowanego w traktatach moralistów o rytuałach sprawowania władzy. Pochodzące z klasycznego ano słowa znaczyły: „Niech światła nieba zataczają gładki łuk, zaś wielorybia ścieżka śpi w spokoju. Niech ludzie będą radośni, a bogowie zadowoleni. Niech król cieszy się dobrą radą, a ministrowie dobrym panem”.

Nawet gdy główny herold usiadł, echo jego głosu wciąż niesło się po wielkiej sali.

Cesarz Ragin odchrząknął i rzekł uroczyście:

– Szanowni panowie, lojalni zarządcy, mądrzy doradcy, odważni generałowie, zebraliśmy się dzisiaj, żeby wielbić bogów i pokrzepić ludzi. Jakież sprawy ze sobą przynosicie?

Zato Ruthi, cesarski nauczyciel, podniósł się z miejsca.

– *Rénga*, w tym pomyślnym dniu chciałbym przedstawić wam *pana méji* wyłonionych w tej edycji Wielkiego Egzaminu.

Kuni Garu skinął głową, stukając muszelkami wiszącymi mu przed twarzą.

– Dziękuję wam oraz innym sędziom za waszą służbę. Staranna ocena ponad tysiąca esejów w tak krótkim czasie to nie lada osiągnięcie. Egzaminowani mają szczęście, że ich słowa ważyły tak uczone umysły.

Z boku król Kado niemal niezauważalnie się poruszył i spojrział na cesarskiego nauczyciela. Przyszły mu na myśl protestujący *cashima*, których spotkał po drodze. „Ten starzec wkrótce się przekona, w jak poważne wpadł tarapaty”.

Zato Ruthi uklonił się cesarzowi.

– Obcowanie z tak świeżymi i dorodnymi umysłami było prawdziwą przyjemnością. – Wskazał na siedzącego na lewym brzegu pierwszego rzędu mędrca, młodego mężczyznę o ciemnej karnacji i delikatnych rysach, a egzaminowany wstał.

– Oto Kita Thu z Haanu. Jego esej wyróżnia się niezwykle kunsztem; kaligrafia przywodzi na myśl najlepsze dzieła świętej pamięci króla Cosugi. Chociaż jego pasją jest matematyka, w swej pracy zaproponował reformę szkół Dary zakładającą większy nacisk na poznanie twórczości Kona Fijego.

Cisza. W całej sali nie dało się słyszeć nawet najcichszego głosu aprobaty.

Kado zmarszczył brwi. „Nie potrafiłbym chyba wyobrazić sobie nudniejszej propozycji reformy. Albo ten młody chłopak wie, jak upleść olśniewający wzór ze zwykłych nici niczym najlepsza tkaczka koronek z Ganu, albo Zato Ruthi właśnie przedstawił dowody na swoją stronniczość, przyznając wysoką ocenę dzieciakowi, który potrafi tylko recytować stare księgi ulubionego filozofa moralistów”.

Jednak cesarz patrzył spokojnie na młodego mężczyznę. Przez sznurki muszelek nie dało się odczytać jego wyrazu twarzy i nikt z Wielkiej Sali Audiencyjnej nie miał pojęcia, o czym myśli władca. Wreszcie przemówił, tonem całkowicie obojętnym.

– Czy jesteś spokrewniony z królem Cosugi?

Kado nadstawił ucha, podobnie pozostali zebrani na sali. „Interesujące!”, pomyślał.

Egzaminowany uklonił się nisko.

– *Rénga*, świętej pamięci król Cosugi to brat mojego dziadka.

– Był spokojnym człowiekiem w niespokojnych czasach.

Kita bez przekonania pokiwał głową. Słowa cesarza mogły stanowić zarówno pochwałę, jak i przyganę. Cosugiego uważano za jednego z najmniej skutecznych królów Tiro w czasie powstania przeciwko xańskiej tyranii, a jego Haan jako pierwszy na Wielkiej Wyspie poddał się siłom cesarza Ragina. Lepiej było nie wracać do tej historii.

– Tak mi się zdawało, że rozpoznałem monarszą duszę w delikatnie płynących liniach logogramów! – rzekł zadowolony Ruthi. – Zaiste jesteście utalentowani w posługiwaniu się nożykiem jak na kogoś tak młodego. – Potem zdał sobie sprawę, jak zabrzmiały jego słowa, więc chrząknął, by ukryć zażenowanie. – Oczywiście nie mieliśmy pojęcia o waszym powinowactwie, ponieważ eseje były oceniane anonimowo.

Kado pokręcił głową. „Jeśli wyda się to, co mówi teraz Ruthi, tamte *cashima* z ulicy będą miały jeszcze więcej argumentów za oskarżeniem nas o stronnictwo i faworyzowanie”.

– W swoim eseju twierdzisz, że obecna administracja Dary nie może przetrwać – powiedział Kuni. – Czy zechcesz mi to wyjaśnić?

W sali rozległy się pełne podekscytowania szept.

Kado patrzył, jak Zato Ruthi z pełnym satysfakcji uśmiechem rozgląda się po zgromadzonych. „Stary przebiegły lis! Można się było spodziewać, że przedstawi temat eseju w najbardziej ogólnym sensie, skrywając jego prowokujący wydźwięk. W ten sposób dystansuje się od Kity Thu, na wypadek gdyby cesarz okazał się niezadowolony z jego argumentów. Zaś te zachwyty nad kaligrafią Thu dają mu dodatkową możliwość obrony, gdyby okazała się potrzebna – zawsze może się upierać, że zachwycił się raczej formą niż treścią eseju”.

Raz jeszcze Kado pogratulował sobie niegdyśjszej decyzji o trzymaniu się z dala od dworu Kuniego. Wielka Sala Audiencyjna była niczym szeroka rzeka o tafli na pozór spokojnej, lecz pełnej zdradliwych wirów, które tylko czekały na nieostrożnego pływaka. Kado wyprostował się jeszcze bardziej, skupiając wzrok na czubku własnego nosa.

Kita Thu znów spojrzal na cesarza, a jego twarz wyrażała szacunek i podziw.

– Oczywiście, *Rénga*. Z niecierpliwością czekam na krytykę moich niemądrych pomysłów.



Nad tronem wisiał ciężki gobelin z mapą Dary, a za nim znajdowały się małe drzwi prowadzące do prywatnej przebieralni cesarza, gdzie razem z żonami szykował się do audiencji. Teraz, podczas trwania oficjalnych uroczystości, pomieszczenie powinno być puste.

Drugie drzwi do przebieralni, te prowadzące na korytarz, którym

przychodziło się z prywatnych kwater rodziny cesarskiej, powoli się uchylily.

– No już, wchodźcie, szybko! Póki nikt nas nie widział.

Timu, Théra i Phyro wślizgnęli się do środka. Ich najnowszy wybryk był pomysłem Théry. Phyro nie uważał, by podglądanie egzaminu było czymś fajnym („Ja nawet swoich egzaminów nie lubię!”), zaś Timu bał się gniewu ojca i mistrza Ruthiego.

Dziewczyna odmalowała jednak przed młodszym bratem obraz pełen niesamowitych przeżyć („Nie chcesz zobaczyć, jak ojciec zastrasza któregoś z tych moli książkowych?”), starszego zaś przekonała, że wpadnie w tarapaty, nawet jeśli nie weźmie w tym udziału („Czyż obowiązkiem najstarszego z rodzeństwa nie jest zapobieganie niemądrym poczynaniom młodszych braci i siostr? I czyż nie jest im równie winny, jeśli nie spełni tego obowiązku?”). W końcu obaj chłopcy – jeden z chęcią, drugi niekoniecznie – zgodzili się iść razem z nią.

Lampy w przebieralni wciąż się paliły i dzieci niemal krzyknęły ze strachu, kiedy zdały sobie sprawę, że ktoś jest w środku. Pani Soto, powierniczka cesarzowej i niegdysiejsza opiekunka Timu oraz Théry, spojrziała na nich groźnie spod drugich drzwi, prowadzących do Wielkiej Sali Audiencyjnej.

– Nie stójcie tak! – syknęła. – Jeśli chcecie podsłuchiwać, podejdźcie bliżej!

Rozdział dziesiąty

Lot balonem

Gdzieś na morzu na północy od Wyspy Półksiężycowej: pierwszy rok Rządów Czterech Spokojnych Mórz (pięć lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

„Ciekawski Żółw” sunął spokojnie nad bezkresnym morzem.

– Patrz! Patrz! – krzyknęła Zomi, pokazując na południowy wschód.

Delikatne wybrzuszenie na falach jakby pękło i spod wody wynurzyło się potężne, gładkie i ciemne ciało. Nawet gdy patrzyło się z tej odległości, wielokrotnie przewyższało swoim rozmiarem balon, którym podróżowali. Ogromny zwierz wisiał przez chwilę w powietrzu, a jego czarne łuski mieniły się w promieniach słońca jak klejnoty. Po kilku sekundach z hukiem opadł do wody, a do uszu dziewczyny i nauczyciela dotarł stłumiony plusk niczym odległy grom.

– To cruben, władca mórz – powiedział Luan Zya. – Często widuje się je między Rui a Wyspą Półksiężycową. Myślę, że lubią nurkować do podwodnych wulkanów i pływać w ciepłej wodzie, tak jak mieszkańcy Faça uwielbiają gorące źródła niedaleko wodospadu Rufizo.

– Nigdy bym nie pomyślała, że jakiegoś zobaczę! Jest... – Zomi zawahała się – piękny. Nie, to nie tak. Jest najwspanialszy, superolśniewiczy, przecudopyszny... Przepraszam, brakuje mi słów. To wszystkie określenia wyrażające zachwyt, jakie znam.

– Świat jest wielki i pełen dziwów.

Luan uśmiechnął się do rozgadanej dziewczyny, przypominając sobie nieopisaną radość, jaką poczuł, kiedy pierwszy raz zobaczył wyskakującego ponad powierzchnię wody crubena. Miał wtedy zaledwie dziesięć lat, a jego ojciec, najwyższy augur Haanu, stał obok na pokładzie haańskiego statku rybackiego i opowiadał legendy o wielorybach pokrytych łuskami, delikatnie opierając dłoń na ramieniu chłopca.

„Skąd tyle wiesz o świecie, ojczu?”

„Podążam za swoją ciekawością, czyli cechą, jaką Lutho ceni ponad wszystko”.

„Czy ja kiedykolwiek zdołam dowiedzieć się tyle co ty?”

„Będziesz wiedział znacznie więcej niż ja, Lu-tika. Tak już się dzieje na tym świecie, że synowie prześcigają ojców, a uczniowie nauczycieli”.

– Możemy mu się przyjrzeć z bliska? – zapytała Zomi z przejęciem.

– Spróbujmy – odparł Luan. Musiał przelknąć gulę w gardle i odwrócić głowę, by ukryć łzy. – Sprawdźmy, czy szczęście nam dzisiaj sprzyja.

Wychylił się za breg gondoli, zdjął zatyczkę tykwy i ostrożnie przechylił. Cienka strużka czerwonego wina była niemal prostopadła do powierzchni morza, jednak tuż nad samą wodą skręcała na południowy wschód, zmieniając się w sznur

szkarłatnych pereł, które rozsypywały się po falach.

– Świetnie – orzekł Luan. – Wiatr blisko powierzchni wieje z północnego zachodu. Możemy to wykorzystać.

Nad głową ujął obiema rękami tarczę o średnicy prawie trzydziestu centymetrów i ją przekręcił. Tarcza przez system przekładni i pasów była połączona ze znajdującym się nad ich głowami paleniskiem wypełnionym destylowanym alkoholem – używanym raczej do rozpuszczania farby niż picia. W wyniku działania Luana gruby lniany knot cofnął się do wnętrza paleniska. Huczący płomień przycichł i zmalał, a balon zaczął opadać.

– Czy to znaczy, że teraz jesteśmy całkowicie zdani na łaskę wiatru? – zapytała Zomi. Balon w dalszym ciągu zbliżał się do morza, dopóki nie poniósł go północno-zachodni prąd. – A co gdybyś nie znalazł prądu wiejącego w stronę, w którą chcesz zmierzać?

Luan wyciągnął rękę do góry i znowu przekręcił tarczę. Knot wydłużył się, płomień się rozbudził, a balon przestał opadać i pofrunął w kierunku północno-zachodnim.

– Wtedy musielibyśmy polecieć gdzieś indziej – powiedział nauczyciel. – Latanie balonem nie jest dobre dla kogoś przywiązanego do swoich planów. „Ciekawski Żółw” może nie zawsze zabierze cię tam, dokąd chcesz, lecz zawsze poniesie cię w interesującym kierunku.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie wcześniej cruben wypłynął na powierzchnię, Luan znowu podkręcił płomień. Balon się uniół i zawisł dokładnie nad tym punktem. Woda znowu się poruszyła, a podekscytowana Zomi wychyliła się za breg gondoli, w nadziei, że znowu zobaczy sztuczkę akrobatyczną crubena, tym razem z bliska. Ten jednak wystawił ponad powierzchnię wody tylko głowę – tkwiący na jej czubku gigantyczny róg przywodził na myśl maszt statku – a potem wypuścił powietrze. Z jego nozdrza wytrysnęła fontanna. Zomi krzyknęła z radości i odwróciła się w stronę Luana.

– Śmiał się ze mnie! – Jej twarz, mokra od wody, promieniała.

Śmiejąc się razem z dziewczyną, Luan poczuł się jednocześnie bardzo stary i bardzo młody.



Zomi śniła o domu.

– Nie wiem, jak długo mnie nie będzie – powiedziała Mimi.

Aki kiwnęła głową. Właśnie owijała w szmatkę ciastka z sorgo nasączone miodem oraz mały słoik solonych gąsienic. Przemówiła, nie odwracając się do córki:

– Jeśli zatęsknisz za domem, zjedz ciastko, żeby przypomnieć sobie słodczy lata. Jeśli będziesz smutna, zjedz gąsienicę, by przypomniała ci o moim gotowaniu.

– Pani Kidosu – rzekł Luan. – Obiecuję, że zaopiekuję się pani córką. Jest niezwykle utalentowana, lecz nie może nauczyć się tego, czego chcę ją nauczyć, jeśli nie zobaczy szerokiego świata.

– Dziękuję – odparła Aki. – Zawsze chciałam, żeby Mimi została u mojego boku i żyła tak, jak ja, jednak to samolubne marzenie, wynikające z tego, że bogowie odebrali mi pozostałych bliskich. Równocześnie zawsze wiedziałam, że moja córka jest wyjątkowa, więc nie dziwi mnie ani trochę, że zwrócił pan na nią uwagę.

– Poznam sekrety świata i wrócę, żeby nam obu dać lepsze życie – obiecała Mimi. Chciała powiedzieć znacznie więcej, lecz nie była pewna, czy głos jej nie zawiedzie, więc dodała tylko: – Będziesz każdego dnia jadła biały ryż.

– Ucz się pilnie, Mimi-tika – rzekła Aki. – I nie myśl o mnie zbyt często. Jesteś moją córką, lecz nie należysz do mnie. Jedyne, co dziecko jest winne swojemu rodzicowi, to żyć w zgodzie z samym sobą.



Dziewczyna się obudziła. Płomień trzaskał cicho nad jej głową, podczas gdy „Ciekawski Żółw” nadal fruwał niesiony przez wiatr. Wszędzie dokoła dało się zobaczyć gwiazdy – jasne punkciki światła przywodzące na myśl morskie żyjątka, które Mimi obserwowała każdego lata, pływając w zatoce. Lubiła pływać: w wodzie była wolna od ciężaru nieposłusznej nogi, czuła się zdrowa i pełna wdzięku. Nocne loty balonem przypominały jej dryfowanie po empirejskim morzu. Lubiła je.

Nagle jej uwagę zwrócił dziwny pisk. Odwróciła się i zobaczyła, że Luan siedzi po drugiej stronie gondoli z nogami wyciągniętymi przed sobą. Na prawej łydce miał założoną jakąś uprząż zrobioną z patyków i ścięgien wołu, a kiedy zginał i prostował nogę, ustrojstwo wydawało piskliwy dźwięk, który słyszała wcześniej.

– Co to jest, nauczycielu?

Zdumiony Luan przestał poruszać nogą i spojrzał na Zomi.

– Och, nic takiego – odparł. – Wracaj do spania. Obudzę cię za kilka godzin, żebyś przejęła sterowanie balonem.

Zomi chciała zapytać o coś jeszcze, jednak Luan przykrył nogę kocem i otworzył grubą księgę, którą zawsze ze sobą nosił i która, jak zdołała się już dowiedzieć Zomi, nazywała się *Gitré Üthu*, czyli „Poznaj siebie”. Był to towarzysz, jakiego jej nauczyciel zdawał się stawiać ponad wszystko i wszystkich – nigdy nie wspominał ani o kobiecie, ani dziecku czy rodzicach. Dlaczego człowiek, który pomógł królowi zbudować potężne imperium, wołał towarzystwo niewykształconych dzieci i dzikich mórz? Tak wielu rzeczy nie wiedziała na jego temat.

Pod migoczącymi na ciemnym niebie gwiazdami gondola ukołysała Zomi do snu.



Kiedy Luan sterował balonem, Zomi ćwiczyła pisanie literami zyndari przy użyciu tabliczki i kawałka kredy. Wiatr był stały i silny, a do tego niósł ze sobą rześki zapach otwartego morza.

– Kiedy dotrzemy do Wyspy Półksiężycowej? – zapytała Zomi. Przestała pisać i ziewnęła.

– Jeśli wiatr się utrzyma, pewnie za dwa dni, ale wiatr nigdy nie wieje tak samo przez zbyt długi czas – rzekł Luan. Spojrzał na Zomi z troską. – Jesteś zmęczona? Pisziesz dopiero od piętnastu minut.

– Jestem znudzona! Zapamiętałam już wszystkie litery i ich dźwięki dwa dni temu, a ty mi teraz tylko każesz w kółko pisać to samo. Kiedy zaczniesz mnie uczyć logogramów ano? Czy to zajmie więcej niż pięć dni?

Luan się roześmiał.

– Będziesz musiała się uczyć klasycznego ano razem z logogramami, a opanowanie ich zajmie ci wiele lat.

– Lat! To lepiej zacznijmy od razu.

– Nie bądź taka niecierpliwa. Jesteśmy w gondoli, nie mogę pokazać ci sztuki rzeźbienia w wosku. Balon się kołysze, mogłabyś się skaleczyć nożykiem.

– Jak się nad tym zastanowić, nie wiem nawet, czy warto marnować czas na naukę logogramów ano. Czy nie wystarczy jeden sposób pisania?

Luan nigdy nie spotkał się z uczniem, któremu przyszłoby do głowy, że nie warto uczyć się logogramów, jednak Zomi w niczym nie przypominała tych zamożnych studentów, którzy opłacali prywatnych nauczycieli i akademików.

– Porozmawiamy o logogramach innym razem. W tej chwili musisz poćwiczyć pisanie Stu Imion literami zyndari. Twój charakter pisma jest potworny.

– Trudno jest zmieścić litery w tych małych kwadracikach, które mi narysowałaś! A w ogóle dlaczego muszę je wpisywać do kwadracików?

– Pismo zyndari opracowano znacznie później niż logogramy ano. Układamy je tak, by słowa imitowały kształt logogramów. W ten sposób, kiedy używa się ich razem, jak to czasem bywa, gdy trzeba wyjaśnić znaczenie mało znanego albo nowego logogramu, ich kształty harmonizują ze sobą. Nie wystarczy sama umiejętność pisania; trzeba też nauczyć się pisać ładnie.

– Dlaczego piękno jest ważne? – zapytała Zomi nieco drżącym głosem. – Czy nie wystarczy pisać zrozumiale?

Luan popatrzył na bliźnię na jej twarzy oraz leżącą obok niej laskę i zdał sobie sprawę, że trafił w czuły punkt.

– Na świecie istnieje wiele rodzajów piękna. Jedne są domeną bogów, a inne domeną ludzi. Piszący ma kontrolę nad pięknem swojego pisma, a elegancka kaligrafia przygotowuje umysł do przyjęcia argumentu.

– To brzmi, jakbyś przekonywał, że ludzie słuchają tych ładniej ubranych – mruknęła Zomi.

Luan westchnął.

– Nie to miałem na myśli, ale rozumiem, dlaczego reagujesz w ten sposób. Ponieważ poprosiłaś mnie, bym został twoim nauczycielem, musisz mnie posłuchać. Ćwiczenie wpisywania liter do kwadratów służy opanowaniu umiejętności stosowania właściwych proporcji. Choćbyś tego nie znosiła, to ważna umiejętność.

Zomi niechętnie wróciła do pisania. Po kilku chwilach ciszy znowu jednak podjęła dyskusję.

– Przypomina mi to wykrawanie ciastek szczęścia na festiwal jesienny. Mama

zawsze powtarzała, że nie mam dość cierpliwości, żeby tworzyć piękne wzory w cieście przed pieczeniem, ale przynajmniej na koniec zawsze dostawałam coś pysznego.

– Sugerujesz, że powinienem dać ci lepkie ciasto ryżowe, żebyś mogła zrobić jadalne kwadraty z literami? – zapytał sarkastycznie Luan.

Zomi podniosła wzrok.

– To by było super! Nauczycielu, możemy tak zrobić? Gdybyśmy mieli trochę miodu, mogłabym z kartki papieru zrobić rożek, odciąć końcówkę i rysować litery zyndari ciekącym miodem. A potem wzięłabym nasiona lotosu i wiórki kokosa...

– Gdybyś tak się przykladała do ćwiczeń pisania jak do wymyślania smakołyków, już byś była mistrzem kaligrafii!

Zomi posłała mu groźne spojrzenie, po czym spuściła wzrok i wróciła do pisania. Jej dłoń poruszała się bardzo, bardzo powoli.

Luan znowu westchnął. „Nie każdy umysł działa tak samo. Nóż należy zaostrzyć o kamień, lecz perłę polerować trzeba miękką szmatką. Ja znajduję niekończącą się przyjemność w samotności powtarzalnych ćwiczeń, lecz może w tym przypadku powinienem poszukać innej metody”.

– Chcesz zamiast tego sterować balonem?

Zomi natychmiast puściła tabliczkę i podniosła się, by stanąć obok Luana.

– Najpierw musisz sprawdzić, gdzie są prądy powietrza – wyjaśnił. – Pamiętaj, że balon nie porusza się samodzielnie. Zawsze frunie z wiatrem.

– Dlaczego latasz balonem zamiast sterowcem?

Luan się roześmiał.

– Sterowce wymagają specjalnego gazu nośnego zbieranego na górze Kiji. Są zarezerwowane dla cesarskich sił powietrznych i używa się ich jedynie w sprawach wagi państwowej.

– Może istnieją inne gazy, które działałyby w ten sposób.

– Może. Ale ja ich nie znam. Poza tym lubię balony. Sterowcem przemieszczasz się z jednego miejsca w drugie i cały czas musisz pilnować prędkości. Z kolei latanie balonem jest... bardziej relaksujące.

Zomi sięgnęła po tykwę, otworzyła ją, wystawiła za krawędź gondoli i obróciła do góry nogami. Lua skoczył, żeby ją złapać.

– Spokojnie! Żeby sprawdzić kierunek wiatru, potrzebujesz tylko odrobinki! Nie można marnować wina, musi mi go starczyć do czasu, aż trafimy do Ingca na Wyspie Półksiężycowej.

– I tak za dużo pijesz – odgryzła się dziewczyna. Tym razem jednak przechyliła tykwę znacznie ostrożniej i patrzyła, jak cieniutka strużka popłynęła prosto do morza. – Nie ma pod nami prądów.

– Nie ma wiatru wiejącego w innym kierunku niż ten, w którym zmierzamy – poprawił ją Luan.

– A jak sprawdzić, czy jest jakiś wyżej? – zapytała Zomi. Mrużąc oczy, spojrzała w górę. Błękitne niebo znaczyło kilka cienkich chmur. – Nie możemy wylać wina do góry. Och, jaka szkoda, że nie jestem crubenem, by prysnąć wodą i zobaczyć

wiatr!

Luan zaczął przetrząsać schowek na dnie gondoli i wyciągnął coś, co wyglądało jak sterta kartek. Pociągnął za kółko na górze i papier się rozprostował, tworząc lampion o kształcie sześcianu. Jego papierowe boki były rozpięte na bambusowym szkielecie. Dół był otwarty, a na środku znajdowały się skrzyżowane druciki, które podtrzymywały świeczkę.

– Nieźle! – rzuciła Zomi.

– Taki był zamysł – odrzekł Luan z dumą. – Takie lampiony były znane od zawsze, ale udało mi się skonstruować zapadający się do środka bambusowy szkielet, dzięki któremu dało się je bez problemu transportować.

Do dolnej części lampionu przypiął wąski jedwabny pasek, podał go Zomi, a potem zapalił świeczkę. Kiedy powietrze w środku się rozgrzało, mały balon zaczął się podnosić.

– Wychył się za barierkę gondoli – poinstruował dziewczynę Luan. – Wypuść sznurek. To latawiec będący w rzeczywistości miniaturowym balonem. Dzięki niemu zbadamy kierunek wiatru nad nami.

Kiedy Zomi wypuściła latawiec-balon i przekazała nauczycielowi poczynione obserwacje na temat kierunku wiatru na różnych wysokościach, ten zapisał je wszystkie na tabliczce. Kiedy uznał, że ma już wystarczająco dużo danych, poprosił, by Zomi przyciągnęła z powrotem lampion i zgasila świeczkę.

– A teraz powiedz mi: jeśli chcę lecieć w tamtym kierunku – rzekł, wskazując na południowy zachód – jak mam to zrobić? Dziewczyna popatrzyła na tabliczkę. Widniała na niej elegancka tabelka, za której pomocą nauczyciel zestawil wysokości i kierunki wiatru.

– Mamy silny północno-wschodni wiatr jakieś... dziewięćdziesiąt metrów wyżej?

Luan pokiwał głową.

– Na Moji byłby z ciebie dumny.

– Przypomnij mi, kim on właściwie był?

– Na Moji to założyciel szkoły paternistów. Żył kilkaset lat temu, kiedy Xana była znacznie bardziej prymitywna niż pozostałe królestwa Tiro. Na Moji przywiązał do nóg dzikich gęsi jedwabne wstążki i udowodnił, że ptaki na czas zimy migrują na południe. Jako pierwszy skonstruował latawiec z dwoma sznurkami, dzięki czemu można go było poprowadzić, śledząc przyprawiające o zawroty głowy wzory na niebie. Na Moji wierzył, że natura jest księgą napisaną językiem matematyki i że dzięki starannym obserwacjom możemy ją zgłębić i opisać za pomocą wzorów. Nawet bogowie podlegają wzorcom z natury, chociaż mogą wyczytać z nich więcej niż my. Stworzyłaś mapę wiatrów za pomocą latawca, jesteś więc gotowa, by polecieć, gdzie tylko zechcesz. Naturalnym środowiskiem balonu jest powietrze – to żywioł paternistów.

Zomi rozejrzała się po niebie i morzu, teraz jednak nie widziała pustki, a podmuchy wiatru wydawały jej się szerokimi, trójwymiarowymi drogami i alejkami niewidzialnego miasta. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Uwielbiam paternizm! Chcę więcej! Naucz mnie więcej!

Luan zaśmiał się pod nosem.

– Cóż, twoim następnym zadaniem będzie uniesienie „Ciekawskiego Żółwia” tak, by trafił w odpowiedni prąd, a do tego potrzebna jest inna szkoła filozofii.

Z pomocą Luana Zomi złapała za tarczę i ją przekręciła. Płomień buchnął mocniej i balonem szarpnęło.

– Delikatnie! Musisz prowadzić płomień, a nie z nim walczyć!

Zomi przekręciła tarczę z powrotem i ogień nieco się uspokoił, a balon zaczął się wznosić nieco wolniej.

– Płomień podgrzewa powietrze wewnątrz balona, a ten się rozszerza. Nadmiar powietrza ucieka, przez co to nagrzane staje się mniej gęste niż to na zewnątrz. W ten sposób balon może się wznieść tak, jak cesarskie sterowce. Nagrzane powietrze zachowuje się trochę tak jak gaz z jeziora Dako na górze Kiji.

Zawiał wiatr i balon zaczął się kierować w stronę południowo-zachodnią. Zomi powoli przekręcała tarczę, zwiększając płomień, dopóki balon nie wyrównał lotu.

– To, co właśnie przećwiczyłaś, stanowi ilustrację myśli incentywistycznej – oznajmił Luan. – Jej naturalnym żywiołem jest ogień.

– Nie rozumiem – powiedziała Zomi. – Incentywiści wierzą w palenie różnych rzeczy? Ach! Cesarz Mapidéré palił książki!

– Skąd ci się to wzięło? Nieważne. Nie, myśl incentywistyczną zapoczątkował Gi Anji, najmłodszy z wielkich mędrców. To nowożytny filozof, nie pochodzi z epoki Ano. Wierzył on, że ludzie są z natury leniwi i opierają się zmianom, dlatego obowiązkiem mądrego władcy jest zachęcanie ich za pomocą odpowiednich nagród i kar.

– Mama mówiła o tym w znacznie prostszy sposób: „Wylaż z łóżka, bo inaczej wrzucę ci do pościeli rozgrzany węgiel”. Czyli ci incentywiści jednak faktycznie lubili co nieco spalić.

Luan zaśmiał się pod nosem.

– Powiedzmy, że można spojrzeć na to w ten sposób. Gi Anji miał na myśli to, że moralści niepotrzebnie tak mocno skupiają się na pielęgnowaniu moralności. Większość ludzi na zawsze pozostanie egoistyczna, a wystarczy, by władca dostosował prawo tak, by promować właściwe zachowania. Na przykład jeśli się podniesie podatek na rolnictwo, ale obniży na hodowlę zwierząt...

– Co masz przeciwko rolnikom?

– Nic! To tylko przykład.

– A nie możesz podać innego? Nie lubię podatków. Poborczy podatkowi zawsze są dla mnie i mamy strasznie niemili.

– Dobrze. – Luan z uśmiechem pomyślał o swoim starym przyjacielu Cogo Yelu, który mógłby godzinami rozmawiać o podatkach. – Załóżmy, że chciałabyś wesprzeć rozwój sztuki i piśmiennictwa. Zamiast nawoływać do pilniejszych studiów, lepiej uczynić wykształcenie warunkiem zdobycia stanowiska dającego władzę.

– To wcale nie brzmi sprawiedliwie. Trzeba mieć pieniądze, żeby chodzić do szkoły...

– Chodzi o to, że da się myśleć o prawie jak o skomplikowanej maszynie. Poprzez regulowanie „pokręteł” i „dźwigni” możesz skłonić ludzi do różnych postaw. Podobnie podkręcenie płomienia na palenisku wygania powietrze z balona, który w następstwie tego się podnosi, zaś przygaszenie ognia sprawia, że do środka napływa zimne powietrze i balon zaczyna opadać.

– Ta filozofia wydaje się bardzo... surowa.

– To prawda, może taka być. Jednak inentywizm nie jest z natury zły. To tylko narzędzie do zrozumienia świata. Jest taki cytat z Lügo Crupo: *Mirotiro ma thiéfi ro üradi gicru ki giséfi ga gé caü féno, gothé ma péü né ma calu, goco philutoa rari ma ri wi rénroa ki cruéthu philutoa co crusé né othu*. Znaczy to: „Ludzi motywują jedynie zysk i cierpienie, jednak to żaden grzech, ponieważ wszystkie te pragnienia są cieniem innego, większego: by z ziemi uczynić niebo”.

Kiedy Luan Zya kontynuował swój wykład, Zomi spostrzegła mewę, która leciała przed balonem, lecz nagle gwałtownie opadła, by za chwilę podfrunąć z powrotem, żywo machając skrzydłami. Dziewczyna uśmiechnęła się nieznacznie i złapała się brzegu gondoli.

– ...właściwie, inny student Gi Anjego, Tan Feuji, zdołał rozwinąć inentywizm za pomocą moralistycznego...

Na skutek podmuchu, który wcześniej strącił mewę z kursu, balonem zakolysało, a Luan Zya zachwiał się i w ostatniej chwili złapał brzegu gondoli, przerywając przemowę w połowie zdania.

– Ale miałaś minę! – Śmiech Zomi był równie dziki co wiatr. – Dostrzegłam wzór i go wykorzystałam.

Luan Zya pokręcił głową, jednak radość dziewczyny była zaraźliwa.

– Przedstawiłem ci dwie szkoły filozofii, już się znudziłaś?

– Żartujesz? To jest super! Naucz mnie filozofii latania balonem!

– Widzisz, podobały ci się moje nauki o inentywistach i paternistach, ponieważ ubrałem je w lekcje nawigowania balonem. Słuszna idea jest lepiej absorbowana, jeśli sprawia właściwe wrażenie i właśnie dlatego nawet jeśli masz dobre propozycje, przekonasz do nich więcej ludzi, jeśli przedstawiś je za pomocą ładnego charakteru pisma i prawidłowo skonstruowanych zdań.

Zomi westchnęła.

– Czy to znaczy, że muszę dalej ćwiczyć pisanie?

– Jak napiszesz Sto Imion jeszcze pięćdziesiąt razy i zrobisz to tak, żebym był ukontentowany, znowu poszukamy crubenów.

Zomi usiadła, sięgnęła po tabliczkę i z zapalem zaczęła pisać.

– Czekał... – Zawahała się i podniosła wzrok na uśmiechającego się z zadowoleniem Luana, a potem pokazała język. – Nie podoba mi się, gdy praktykujesz na mnie inentywizm!

Nauczyciel i uczennica przekomarzali się nadal, co jakiś czas wybuchając śmiechem, a balon niósł ich oboje w stronę Wyspy Półksiężycowej, podczas gdy pod

nimi słońce migotało na delikatnych falach.

Rozdział jedenasty

Cruben-wilk

Pan: Trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Zamiast rozpocząć gorącą przemowę, Kita Thu odwrócił się i klasnął w dłonie.
– Szybko! Już! Już! – zawołał.

Grupa służących, którzy siedzieli za dwoma rzędami *pana méji*, wstała i zaczęła rozpakowywać skrzynie wniesione do Wielkiej Sali Audiencyjnej. Tłocząc się w pustej przestrzeni między Kitą Thu a podium tronowym, zakładali kostiumy, wystawiali rekwizyty, składali skomplikowane rzeźby z papieru i bambusa, montowali misternie zbudowane maszyny...

Właśnie szykowali przedstawienie dla cesarza.

Arystokraci patrzyli na te przygotowania z wielkim zainteresowaniem, podczas gdy Kita Thu maszerował wkoło, wydając polecenia jak reżyser.

Ponieważ wielu najbardziej zaufanych generałów Kuniego nie mogło się pochwalić starannym wykształceniem, część *pana méji* doszła do – słusznego – wniosku, że kwiecista przemowa, w której powtórzyliby argumentację przytoczoną w esejach, nie będzie dla nich interesująca. A ponieważ i o samym cesarzu mówiło się, że nie ma zbyt wiele cierpliwości do uczonej retoryki, tym ważniejsze było, aby prezentacje podczas Egzaminu Pałacowego przybrały bardziej dynamiczną formułę.

A na ich przygotowanie mieli niespełna miesiąc.



Kiedy służący dokończyli przygotowania, Kita kiwnął głową na znak, że mogą zaczynać. Arystokraci Dary i cesarz Ragin ujrzeli spektakl tyle zajmujący, co przerażający.

Dwóch służących rozciągnęło błyszczącą błękitną morę, która miała reprezentować morze. Kiedy błyszczące płócienne fale się rozdzieliły, spomiędzy nich wychynął potwór – grało go dwóch ludzi odzianych w kostium. Przednia część zwierzęcia przypominała crubena, zaś tylna wilka. Potwór męczył się i wyteżał, lecz jego nogi nie dawały sobie rady. Od czasu do czasu służący z przodu podnosił głowę i przyskał wodą różaną. Całą salę wypełnił przyjemny zapach.

Wszędzie dało się słyszeć chichoty. Nawet cesarzowa i Risana były oczarowane przedstawieniem.

Do przodu wyszło dwóch kolejnych aktorów, pchając przed sobą niską platformę. Zamontowano na niej modele gór i dolin. Cruben-wilk wskoczył na nią, a tam wilcze nogi wreszcie znalazły oparcie. Teraz jednak potężna przednia część jego ciała, nieunoszona już przez wodę, stała się ciężarem, a zwierzę nadal nie mogło się swobodnie poruszać; jego płetwy uderzały bezcelowo o ziemię, zaś wilcze nogi

posuwały naprzód ciało potwora niezwykle powoli, wręcz w ślimaczym tempie.

Kita zagwizdał, dając sygnał do zmiany sceny. Aktorzy rozbiegli się, by zmienić kostiumy i rekwizyty. Zaprezentowali kolejno hybrydy sokoła i karpia, konia i robaka, żółwia i słonia – którego trąba i nogi nie mieściły się pod skorupą – a na samym końcu pojawił się stwór najśmieszniejszy ze wszystkich: połączenie rekina z grzybem. Brodził w morzu, nijak nie mogąc zdobyć pożywienia.



– Cesarz Mapidéré podzielił wszystkie wyspy na prowincje i rządził nimi rękami urzędników podległych wyłącznie jemu – rzekł Kita. – Przed jego panowaniem królowie Tiro polegali w sprawach zarządzania na lennikach o dziedzicznych tytułach. Ty, Wasza Wysokość, wybrałaś jeszcze inną ścieżkę. Połowa waszej ziemi została oddana arystokratom, którzy zachowali częściową niezależność, połowę zaś zarządzasz samodzielnie poprzez wyznaczonych urzędników. W ten sposób doświadczasz wad obu systemów i pozbawiony jesteś zalet każdego z nich. Służący spakowali rekwizyty do skrzyń i opuścili salę, zaś Kita dalej przechadzał się przed cesarzem, zawzięcie gestykulując.

– Jeśli mocą cesarskiego edyktu ogłaszasz wprowadzenie nowego podatku – ciągnął – zarządca nie może go zignorować, podczas gdy sąsiadujący z nim książę lub król już tak. To skutkuje nierównością prawa i wynagradza ludzi przebiegłych i pozbawionych skrupułów, którzy wykorzystują takie różnice dla zarobku. Stworzyliście potwora, który jest ni psem, ni wydrą i nigdzie nie ma domu.

– Zaprawdę imponująca i, dodam, zajmująca, prezentacja. Nie do końca się zgadzam, lecz czy macie rozwiązanie tego problemu? – zapytał Kuni. – Niech zebrani je usłyszą.

Kita Thu zaczerpnął powietrza i powiedział głośno, upewniając się, że wszyscy w sali go słyszą:

– *Rénga*, proponuję całkowity powrót do systemu tirojskiego.



Dzieci wprost oczarowało przedstawienie przygotowane przez Kitę Thu. Drzwi przebieralni znajdowały się z boku podwyższenia tronowego, zaś szczelina układała się równo z kilkoma dziurami w gobelinie. Zerkając przez nie, Timu, Théra i Phyro mogli obserwować to, co się działo w Wielkiej Sali Audiencyjnej, jednocześnie pozostając niezauważonymi.

– Chcę spróbować zagrać crubena-wilka – szepnął Phyro. – Zrobisz to ze mną, Rata-tika?

– Tylko jeśli będę mogła być crubenem – odparła Théra.

– Zawsze masz najlepsze role...

– Kita od razu wskazał na najtrudniejszy problem – przerwała im Soto, również szepcząc. – Widać, że ma ścisły umysł.

– Co masz na myśli? – zapytał Phyro.

– Arystokraci i generalowie narzekali na siebie nawzajem od lat – wyjaśniła Soto. – Ostatnio plotkuje się o tym, że kilku baronów straciło swoje lenna z powodu nieznaczących aktów niesubordynacji, które uczeni przejąskrawili. Tak się skupiłeś na zabawie, że nie zwróciłeś na to uwagi?

Théra przybyła zawstydzonemu bratu na ratunek.

– Słyszałam, jak matka utyskiwała, że cesarskie edykty są ignorowane. Jej zdaniem ojciec jest zbyt wspaniałomyślny, dając aż tyle ziemi i władzy ludziom, którzy go kiedyś wsparli.

Soto pokiwała głową.

– Wasz ojciec znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Ci, którzy niegdyś ryzykowali dla niego życie, muszą zostać wynagrodzeni, jednak taka liczba cieszących się pewną autonomią arystokratów utrudnia wprowadzanie jednolitego prawa.

– Ale ma to pewną zaletę – rzekła Théra. – Jeśli rozkaz pochodzący z Miasta Harmonii jest niewłaściwy, zarządcy lenn mogą zaadaptować go do warunków panujących na ich ziemiach albo odmówić jego wykonania. Dara jest wielka i bardzo zróżnicowana, więc może lepiej pozwolić na pewną dowolność.

– Nie przyszło mi do głowy takie wytłumaczenie... – Soto spojrzała na Théré z podziwem. – Jednak to jak najbardziej możliwe, że twój ojciec chciał wprowadzić równoległy system, tak by ograniczyć zbytnią centralizację władzy.

– Za to na pewno nie spodobałby mu się pomysł powrotu do królestw Tiro! – powiedział Phyro.

Soto roześmiała się.

– Nie, z pewnością nie. Jednak upadły Dom Haanu gra tylko jedną melodię. Znałam wuja Kity, króla Cosugi. Miał takie samo zdanie. Pragnął jedynie powrotu na tron w Ginpen. Wygląda na to, że jego marzenie przetrwało do następnego pokolenia.



– Należy przywrócić królestwa tirojskie, zaś na tronach powinni zasiąść członkowie szlacheckich rodów – ciągnął dalej Kita. – Jednakże wszyscy królowie powinni uznać cesarza za swojego zwierzchnika i traktować go z należyтым szacunkiem, chociaż swoimi ziemiami zarządzałbyś, *Rénga*, niezależnie.

– I w jaki sposób miałoby to przynieść korzyść Darze? – zapytał Kuni, zaś wyraz jego twarzy skrywały sznurki muszelek.

– Na tysiąc sposobów, małych i dużych. Podczas gdy mianowani przez was urzędnicy, nieuchronnie motywowani przez osobiste korzyści, będą was zwodzić, wyolbrzymiając swoje zasługi i skrywając błędy, królowie tirojscy jako ludzie szlacheccy kierować się będą wyłącznie wyższymi względami moralnymi. A ponieważ ich stanowiska nie będą zależeć od waszego zadowolenia z ich pracy, ich motywacją pozostanie jedynie honor i dobra opinia.

– A mój urząd ma być zaledwie symboliczny?

– W żadnym wypadku. Wolny od trywialnych obowiązków rządu, *Rénga*, będziesz podróżować od jednego królestwa do drugiego, służąc za sumienie całej Dary. Poświęcając więcej czasu kontemplacji cnoty, dasz przykład wszystkim mieszkańcom Wysp. Każdy władca tirojski będzie pragnął was naśladować, arystokraci będą pragnąć naśladować ich i tak dalej aż po najpodlejszego chłopca, który zapragnie być równie szlachetny co jego pan. Z czasem może powrócą czasy świetności podobne do tych, o których pisali mędrcy epoki Ano i które obejmowały nawet dziś zalane przez ocean lądy na zachodzie. Ludzie nie musieli zamykać drzwi na noc, a ci, którzy zgubili jakiś cenny przedmiot na ulicy, spodziewali się zobaczyć go w nienaruszonym stanie następnego ranka. Najwięksi władcy winni być filozofami, a nie zwykłymi biurokratami.

– To oszalamiająco piękna wizja – powiedział Kuni wciąż pogodnym tonem.

Praktycznie każdy patrzył teraz na Gin Mazoti, próbując dojrzeć jej reakcję na tę propozycję. Gin nie przyjaźniła się z arystokracją Siedmiu Królestw, jednak spośród wszystkich nowych doradców Kuniego to ona najlepiej wykorzystywała swoją niezależność. Teraz siedziała w bezruchu, a jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To czysta esencja filozofii moralizmu – westchnął Zato Ruthi. – Nawet Kon Fiji nie odmalowałby piękniejszej wizji przyszłości.

– Nie, nie odmalowałby – powiedział Kuni, a ci siedzący najbliżej mogli wylapać nutę rozbawienia w jego tonie. – Mimo to mam jedno pytanie. Kto według ciebie dowodziłby armią?

– Każdy z władców tirojskich byłby odpowiedzialny za obronę swoich ziem, oczywiście. A gdyby ktokolwiek zbuntował się przeciwko cesarzowi, wszyscy królowie przybyliby z odsieczą.

– Nie miałbym własnej armii?

– Przewodnik moralny nie powinien stosować siły.

Cesarz odwrócił się do Risany, która wpatrywała się w niego intensywnie. Niedbale poruszyła rękawami, jakby chciała rozproszyć delikatną smugę dymu unoszącego się ze stojącego przed nią trybularza. Następnie podniosła prawą dłoń i dotknęła maleńkiego koralowego karpia, który zwisał z jej ucha.

Kuni znów popatrzył na Kitę, nieco się rozluźniając, i pokiwał głową.

– Dziękuję. Twoja szczerść jest godna pochwały.

– Doszedłem do tych wniosków po długim czasie spędzonym na czytaniu i rozmyślaniu – odparł Kita, prostując się z dumą.

– Mam dla ciebie idealne stanowisko, a przynajmniej tak mi się wydaje. Czystość moralna, zdolności matematyczne, uwielbienie dla koordynacji oraz umiejętność zarządzania, które zaprezentowałaś w tym wspaniałym przedstawieniu, czynią cię idealnym kandydatem na członka administracji w Cesarskich Laboratoriach w Ginpen.

Kita nie posiadał się ze zdumienia. Było to prestiżowe stanowisko, lecz sprawując je, pozostawałby daleko od ośrodka władzy.

Marzeniem każdego *firoa* było dołączenie do Kolegium Adwokatów, nowej

instytucji powołanej przez cesarza. Tworzyli ją młodzi uczeni, którzy nie posiadali konkretnych obszarów odpowiedzialności – a co za tym idzie, osobistych interesów – zaś do jej zadań należała ocena projektów ustaw przygotowywanych przez ministrów i krytykowanie ich – wszystkich – poprzez przeciwną opinię.

Cesarz argumentował, że tego rodzaju organ pomoże zapobiec skostnieniu biurokracji przez zachęcanie do dyskusji. Chociaż z początku ministrowie sprzeciwiali się temu projektowi – krytyka ze strony osób młodych i niedoświadczonych wydawała się czymś fundamentalnie złym – cesarzowa przekonała Zato Ruthiego i innych uczonych, że to znakomity sposób na wprowadzenie idei króla-filozofa. W związku z tym powołanie do Kolegium Adwokatów zaczęto postrzegać jako najwyższe wyróżnienie. Kita nie zdołał przekonać cesarza, by ten przyznał mu owo prestiżowe stanowisko. Mijał czas, a młody mężczyzna stał w miejscu, próbując przetrwać nową informację.

Zato Ruthi wyszedł do przodu i przerwał kłopotliwą ciszę.

– Podziękuj cesarzowi!

Zawstydzony Kita nisko się uklonił. „Przynajmniej w Ginpen będę blisko rodziny”, pomyślał. Nie wiedział jednak, czy jego bliscy uznają ten przydział za sukces. Zacisnął szczęki i spróbował ostatni raz przed powrotem do szeregu *pana méji*.

– *Rénga*, mam nadzieję, że przemyślisz moją propozycję.

– Przedyskutuję ją z moją córką Farą, kiedy będę ją wieczorem kładł do łóżka. W sali rozległy się rozproszone śmiechy ministrów i generałów.



– Ten Kita to niebawala głupiec – szepnęła Théra.

– Dlaczego uważasz, że poniósł porażkę? – zapytała Soto.

– To taka absurdalna sugestia! Ojciec właśnie porównał ją do bajki na dobranoc! – odparła dziewczynka.

Phyro podzielał jej zdanie.

– Miał szansę zaimponować cesarzowi i zupełnie ją zmarnował. Wszyscy wiedzą, jaką uwagę ojciec przywiązuje do armii...

– A teraz przepadła jedyna okazja, którą dostał po wielu latach nauki i której inni, równie ciężko pracujący, nigdy nie otrzymają! – dokończyła Théra.

– A ja myślę, że jego propozycja była rozsądna – powiedział nieśmiało Timu. – W notatkach mistrza Ruthiego na temat *Moralności* Kona Fijego można przeczytać...

– Pamiętasz, że ojciec nazwał go Jedynym Prawdziwym Mądrałą, prawda? – zakpiła Théra. Phyro zaczął się śmiać i musiał zakryć usta dłonią i aż poczerwieniał od wysiłku, jaki kosztowało go zachowanie ciszy.

– Posłuszne dziecko nie powtarza opinii wyrażanych przez rodzica w czasie radosnego i zakrapianego przyjęcia – odparł Timu zimnym tonem. – Cesarz powiedział także...

Soto nie dała mu dokończyć.

– Myślicie, że któryś z *pana méji* jest dzieckiem zwykłego plebejusza?

Timu, Théra i Phyro spojrzeli przez szczelinę w drzwiach na dziesięć osób siedzących na środku Wielkiej Sali Audiencyjnej. Wszyscy byli młodzi, przystojni i ubrani w najdroższe jedwabie – wszyscy prócz jednej młodej kobiety, która klęczała na końcu ostatniego rzędu. Ona miała na sobie zwykłą szatę konopną, pełną lat jak mapa Dary.

– Hej, to Zomi! – szepnął Phyro.

– Tak! Wiedziałam, że dobrze robimy, pomagając jej! – powiedziała Théra z rumieńcem zadowolenia.

– Oprócz niej – powiedziała Soto – wszyscy pochodzą z dużych i wpływowych rodzin, które mają władzę, pieniądze i najlepszych nauczycieli. Rodzin, które mogą liczyć na wielu przyszłych *pana méji* pośród swoich członków. Oni działają strategicznie. Kiedy przemawia egzaminowany, nie możecie traktować jego słów jako pochodzących od pojedynczej osoby.

– Dlaczego po prostu nie złożą petycji do zarządcy albo arystokraty w ich regionie, jeśli mają tacie coś do powiedzenia? – zapytał Phyro.

– Ponieważ... oni już wiedzą, jak ojciec zareaguje na tę wiadomość – odparła Théra. – Prawda? Bardziej chodzi o to, kto jeszcze tego wysłucha.

Soto z aprobatą pokiwała głową.

– Jak często ma się szansę wygłosić opinię bezpośrednio przed cesarzem oraz wszystkimi możliwymi Dary? Egzamin Pałacowy to dla tych rodzin rzadka okazja. Właśnie usłyszeliście to, co niektórzy z obalonych arystokratów tirojskich myślą o rządach waszego ojca.

Théra przytaknęła, czując, jakby woal zsunął się z jej oczu.

– Czyli ta bajka od Kity w rzeczywistości jest groźbą. Groźbą zdrady.

Timu popatrzył na nią, zszokowany.

– Théra! Gdyby to była prawda, cesarz już by wydał rozkaz pojmania Kity zamiast stroić sobie żarty. Jak możesz mówić tak oburzające rzeczy?

Soto westchnęła w duchu. Nie wszystkie dzieci Kuniego odziedziczyły po nim instynkt polityczny.

– Żart cesarza – zaczęła cierpliwie tłumaczyć – nie był skierowany do Kity. To nie reakcja rozpieszczonego księżunia była ważna dla waszego ojca.

– Co masz na myśli? – zapytał Timu, patrząc na nią ze zdumieniem.

Soto spróbowała jeszcze raz.

– Kiedy twój ojciec siada do stołu, by zjeść posiłek z jednym ze swoich doradców, myślisz, że ich głównym celem jest zaspokojenie głodu? Kiedy twoja matka zaprasza Risanę do opery, myślisz, że to przedstawienie interesuje je najbardziej? Czasami spektakl jest jedyne wymówką dla widzów, by porozmawiać o czymś, co bez rozpraszającej uwagi oprawy byłoby zbyt trudne.

Théra znów przyłożyła oko do szpary. Większość ministrów i zarządców się śmiała, natomiast pośród generałów i arystokratów tylko kilku wydawało się rozbawionych. Niektórzy nawet sprawiali wrażenie... spiętych.

– Myślisz, że wielu świeżo mianowanych arystokratów się niepokoi? Dlaczego mieliby spiskować z dawnymi możnymi przeciwko mojemu ojcu? – zapytała Théra. Taka wizja wydawała jej się nieprawdopodobna. „Królowa Gin, księżę Kimo i markiz Yemu... Wszyscy są przyjaciółmi ojca, prawda?”

– A może to wasz ojciec myśli, że się niepokoją, a wtedy wychodzi na to samo – odparła Soto. – To żadna tajemnica, że cesarzowa staje po stronie zarządców i biurokratów, a wobec arystokratów i generałów pozostaje nieufna. Wasz ojciec szanuje jej opinię. Żart był prawdziwym sprawdzianem.

– Nie rozumiem... – zaczął Timu.

– Albo – Théra przygryzła wargę, pogrążona w myślach – może niektórzy arystokraci myślą, że ojciec podejrzewa ich o ambicje, i to oni sprawdzają ojca, śmiejąc się z jego żartu lub nie.

– Ach! – Phyro teatralnie złapał się za głowę. – Nie nadążam za tobą. Dlaczego wszystko tak komplikujesz, Rata-tika? Gdyby ktoś naprawdę miał odwagę się zbuntować, tata po prostu wyprowadziłby wojsko i to naprawił, tak samo jak zrobił to z hegemonem. Ciocia Gin dałaby im taką nauczkę, że nigdy by nie zapomnieli!

Soto się uśmiechnęła.

– Da się być zbyt mądrym. Tak czy inaczej, nikt nie zna prawdy o tym, co kryje się w sercach arystokratów, ale każdy próbuje ją poznać. Propozycja wysnuta przez Kitę Thu jest jak kamień rzucony do jeziora, a teraz wszyscy zebrani w sali audiencyjnej próbują odczytać znaczenie ze zmarszczek na powierzchni wody.

– Nie powinniśmy rozmawiać o takich sprawach – oznajmił Timu. Sprawiał wrażenie skrepowanego.

Soto popatrzyła na niego ze współczuciem.

– A co jeśli cesarz uczyni cię księciem koronnym? Wtedy twoim zadaniem będzie myślenie właśnie o takich sprawach.

Rozdział dwunasty

Wyspa Półksiężycowa

Wyspa Półksiężycowa: Pierwszy rok Rządów Czterech Spokojnych Mórz
(pięć lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

Pomijając kilka przybrzeżnych miasteczek, Wyspa Półksiężycowa pozostawała w większości niezamieszкана.

W krajobrazie dominowały liczne wulkany z długimi językami zastygłej lepkiej lawy, na której prawie nic nie rosło – jakby bogowie przejechali tamtędy swoimi olbrzymimi powozami i zostawili koleiny w błotnistej drodze – oraz gęste lasy podzielone przez pasma stromych gór. Fauna i flora sąsiednich dolin była tak różna jak na dwóch wyspach oddzielonych oceanem.

Za czasów panowania królów tirojskich pięć nad południową częścią wyspy sprawowało Amu, a władcy wykorzystywali te ziemie jako monarszy teren łowiecki. Królowie pozostałych krain Dary w ramach gestu przyjaźni czasami również otrzymywali pozwolenie na polowanie. Górski jelen, ptactwo wulkaniczne, mały białogłowe oraz papugi z kolorowymi piórami – wszystkie te gatunki były wielce pożądane, jednak najbardziej cenioną zdobyczą był dzik. W zależności od tego, z jakiej z tysiąca dolin Wyspy Półksiężycowej pochodził, jego kły przybierały najróżniejsze kształty, rozmiary i kolory. Niektórzy z królów Amu mieli obsesję na punkcie zebrania wszystkich rodzajów kłów i spędzali więcej czasu na polowaniach niż na sprawowaniu rządów, a pochodząca z Amu poetka Nakipo, słynąca ze wspaniałego wyczucia mody, pewnego razu napisała:

Pół księżyc na pysku,

Pół księżyc w morzu.

Skradłaś królewskie serce,

Moja piękna dzikości.

Polityka pozostawienia Wyspy Półksiężycowej w większości dziką została utrzymana w czasach cesarza Mapidérégo, a także później, pod rządami cesarza Ragina. Z początku Kuni chciał wysłać tam niektórych weteranów, jednak tamtejsza ziemia okazała się raczej mało żyzna, poza tym niemal nikt nie chciał mieszkać tak daleko od cywilizacji. Rozrzucone przybrzeżne osady zamieszkiwały tylko rodziny przewodników i tragarzy, którzy pomagali przy polowaniach arystokratów, a przez resztę czasu łowili ryby. Na wyspie stacjonowały niewielkie garnizony, by wyspa nie stała się azylem dla piratów, zaś w głębi lądu znajdowały się wioski zamieszkanе przez potomków książąt i księżniczek, którzy niegdyś, w czasie Wojny Diaspory,

założyli tam swoje maleńkie pryncypaty. Nie płacili podatków do Cesarskiego Skarbcza i nie wykonywali cesarskich edyktów, a wędrujący bazarze oraz dworscy poeci przypisywali im dzikie zwyczaje oraz nieprawdopodobne wierzenia.



– Tam! – krzyknęła Zomi, pokazując na południowy zachód. U podnóża wysokiego klifu znajdowała się mała polana z tuzinem postawionych w kole maleńkich domków krytych strzechą.

– Właśnie tak. Zjemy tam posiłek, a potem wybierzemy się na spacer po górach. Możesz wylądować na polance pośrodku wioski. Mieszkańcy rozpoznają mój balon.

Zomi odsunęła się od tarczy.

– Nauczycielu, moim zdaniem ty powinieneś wylądować.

– Nonsens. „Ciekawski Żółw” jest w twoich rękach – odparł Luan. – Wszyscy mają problem przy pierwszym lądowaniu, ale prawdziwym sprawdzianem jest to, czy uznasz to za porażkę czy tylko okazję do nauki.

Zomi zarumieniała się na wspomnienie swej pierwszej próby lądowania w przybrzeżnej wiosce Ingça. Mocno uderzyli wówczas o ziemię, a gondola się przewróciła, wyrzucając oboje pasażerów jak dwie złowione ryby. Dziewczyna wyciągnęła ręce do tarczy i ostrożnie ją przekreśliła, upominając się w duchu, by robić to powoli. Balon, poruszany delikatnym wiatrem, zaczął łagodnie opadać, gdy Zomi przekreśliła płomień.

– Nie spuszczaaj oka z miejsca lądowania – instruował ją Luan. – Wyobraź sobie linię opadania i trzymaj się jej. Tak jakbyś spuszczała się po sznurze.

Zomi starała się reagować na drobne szarpnięcia, dostosowując siłę płomienia. Nie chciała znowu spaść i rozczarować swojego nauczyciela.

Kiedy balon znalazł się jakieś piętnaście metrów nad ziemią, z trudem podniosła kotwicę – ciężki metalowy pazur przywiązany do jedwabnego sznura – i przerzuciła ją przez burtę gondoli. Z powodu niesprawnej nogi trudno jej było się podeprzeć, ale Luan nie próbował jej pomóc, wiedząc, że dziewczyna woli radzić sobie samodzielnie.

Kotwica spadła, a „Ciekawski Żółw” poderwał się do góry, gdy nagle zabrakło części obciążenia. Jednak Zomi była na to przygotowana i przytrzymała się burty. Metalowy szpon uderzył o porośniętą trawą ziemię ze stłumionym lupnięciem i odbił się kilka razy na długości paru metrów, wyrrywając kępki zieleni, aż w końcu zarył w podłożu. Jedwabny sznur naprężył się na moment, by zaraz opaść delikatnie jak linka latawca. Balon został przytrzymany w miejscu.

– Doskonale! – wykrzyknął Luan.

Kiedy Zomi zakreśliła kołowrotkiem, żeby sprowadzić gondolę na ziemię, kilkoro mieszkańców wioski wyszło z domów i z zaciekawieniem obserwowało balon spływający z nieba jak meduza. Zomi zwróciła uwagę na ich przedziwny ubiór: szorstkie konopne szaty w niespotykanych fasonach, przepasane sznurkami

i z przytroczonymi do nich sakiewkami zrobionymi ze skór zwierzęcych.

– Wyglądają jak aktorzy ulicznych przedstawień przebrani w kostiumy z czasów Wojny Diaspory – szepnęła.

– Ich przodkowie przybyli tu z Arulugi dawno temu – powiedział Luan. – Stulecia spędzone z dala od innych wysp, gdzie moda, język i kultura ulegają dynamicznym zmianom, sprawiły, że mieszkańcy Wyspy Półksiężycowej są jak spokojne jezioro obok wartkiego strumienia. Tworzą oddzielny świat.

– Brzmi, jakbyś im zazdrościł.

– Czyżby?

– Chciałbyś tak żyć? Z dala od wszystkich ludzi?

Luan zastanowił się.

– Kiedy przestałem bywać w wielkich, ruchliwych i zatłoczonych miastach Dary, brakowało mi ich hałasu i kolorów. Kiedy natomiast spędzałem w nich zbyt wiele czasu, tęskniłem za rześką i samotną naturą.

– Wygląda na to, że nigdy nie jesteś zadowolony.

Luan uśmiechnął się.

– W sumie racja. To dość skomplikowana sprawa.

Wreszcie gondola wylądowała na ziemi. Zomi zgasła płomień w palenisku i balon zaczął tracić powietrze i poddawać się podmuchom wiatru. Dziewczyna wysiadła z gondoli, połączyła kilka segmentów bambusa w długą tyczkę i zaczęła popychać zapadający się balon, tak by rozłożył się płasko na ziemi i by uniknąć splątania sznurków.

Na powitanie wyszedł przybyszom starzec z długą białą brodą. Luan wysiadł z gondoli.

– *Weal be hale, all'vry-choon* – powiedział starzec.

– *Goad 'orrow, Comi* – odparł Luan. – *Hale thu weal.*

Uklonili się sobie nawzajem, a wódz Comi trzy razy zamiótł ziemię rękawami – zupełnie tak, jak robili to aktorzy w przedstawieniach o dawnych herosach, gdy odgrywali scenę powitania – po czym obaj usiedli w pozycji *géüpa*.

– Jakim dialektem się posługujecie? – szepnęła Zomi, niezgrabnie zajmując miejsce obok Luana.

– To gwara amu.

– Wcale nie brzmi jak język kupców z Amu, których spotykałam na targowiskach. Czekał, czy właśnie tak mówiono tutaj trzydzieści pokoleń temu?

– Nie do końca. Nasz sposób mówienia szybko się zmienia. Nie zauważyłaś, że starsi mieszkańcy twojej wioski posługują się trochę innym językiem niż ty? Jestem pewien, że dialekt członków plemienia wodza Comiego również z czasem uległ przeobrażeniu. Ponieważ jednak są odizolowani, w jakimś stopniu udało im się zachować część wymowy i słownika z przeszłości, które reszta Amu straciła bezpowrotnie. Znam kilka wyrażen i rozumiem kolejnych kilka, lecz nie spędziłem tutaj dość czasu, żeby naprawdę nauczyć się języka.

– Więc jak będziecie rozmawiać? – zapytała Zomi.

– Popatrz.

Z jednej z chat wyszli chłopiec i dziewczynka, oboje młodszy od Zomi. Chłopiec niósł tacę pełną jakiejś szarej, błotnistej substancji, zaś na tacy dziewczynki znajdowały się proste ceramiczne naczynia: dzbanek herbaciany, cztery czarki i kilka miseczek z przekąskami. Dzieci postawiły tace między wodzem a Luanem, ukloniły się i odeszły.

Wódz Comi nalał wszystkim herbaty – w tym także bogom, do czwartej czarki – i gestem polecił gościom, żeby się napili. Zomi zaczęła sączyć napar: okazał się zimny, ale miał kwiatowy smak, przyjemny, choć nieznamy.

Wódz podwinął rękawy i sięgnął po nóż leżący obok tacy. Jego krawędź była tak stępiona, że przypominał raczej szpatułkę. Wódz wykorzystał go do narysowania w szarej substancji siatki kwadratów, jakby dzielił ciasto na porcje. Następnie go odłożył i w każdym z powstałych kwadratów zaczął coś formować palcami.

– To glina – wyjaśnił Luan.

Zomi patrzyła zafascynowana. Wódz wyrzeźbił w glinianych kwadratach małe pagórki i piramidy, a potem zaczął wycinać wzory nożykiem.

– Czy on pisze? – szepnęła dziewczyna. – To są logogramy ano, prawda?

Luan kiwnął głową.

– Ponieważ litery zyndari reprezentują dźwięki, nie zrozumiałbym słów, które wódz zapisałby w tym alfabecie, bo nie rozumiem jego mowy. Zupełnie inaczej jest z logogramami, które nie są związane z codzienną mową ludzi, lecz pozostały, można powiedzieć, zamrożone razem z martwym już językiem ano, który znamy obaj.

– Czyli on pisze dokładnie tak jak pierwsi ano? – Zomi poczuła podziw zmieszany z trwogą na myśl o tym, że zobaczy, jak ktoś pisze tak samo jak ludzie, którzy zmarli przed wiekami. Widziała w tym prawdziwą magię.

– Nie do końca. Chociaż klasycznego ano nie używa się do codziennych rozmów, jest językiem poetów i uczonych, więc z czasem się zmienia, uzupełniany o nowe słowa i nowe idee, jakie pojawiły się od czasu przybycia Ano na wyspy. Jednak ponieważ rzadko kto mówi teraz w klasycznym ano, a jeśli już to tylko uczeni, język ten jest ściśle związany z logogramami, które ewoluują znacznie wolniej niż mowa. Nawet przed Zjednoczeniem wprowadzonym przez Mapidérego logogramy używane przez mieszkańców Siedmiu Królestw były do siebie na tyle podobne, że jeśli tylko się było wykształconym i dobrym w zauważaniu schematów, łatwo można było się nauczyć tych stosowanych w innym królestwie. Logogramy wodza nieco różnią się od tych, jakich ja się uczyłem, lecz nietrudno mi je zrozumieć. Możemy rozmawiać z pomocą gliny i nożyka.

Zomi patrzyła, jak wódz Comi i Luan Zya na zmianę tworzyli mowę z gliny. Wódz Comi miał już słaby wzrok, więc odczytywał logogramy Luana, delikatnie ich dotykając, tak że palce służyły mu za oczy.

– Co oznacza pierwszy zapisany przez ciebie logogram? – szepnęła Zomi.

– A co ci przypomina? – zapytał Luan, popijając herbatę. – Och, ten napar ze śliwki i orchidei jest wspaniały. Tęskniłem za nim.

Logogram był prosty: stożek z trzema wierzchołkami.

– Mała góra? – powiedziała Zomi, a w jej głosie dało się słyszeć niepokój.

– Właśnie tak; ten logogram oznacza górę, czyli *yeda* w ano. A następny?

Zachęcona pierwszym sukcesem dziewczyna spojrzała na gliniany kwadrat z większą pewnością siebie. Ten logogram był bardziej skomplikowany: wydawał się symbolizować człowieka na stoku.

– Człowiek na zboczu góry?

– W którą stronę patrzy?

Zomi pochyliła się, żeby lepiej widzieć. Główka człowieka była w kształcie trójkąta, a czubek wskazywał do góry.

– Człowieczek wspina się na szczyt, tak myślę – odparła po chwili namysłu. – Wspinaczka?

– Dobrze! Bardzo dobrze! W ano czyta się to *cotothu*. – Luan ugryzł kęs ciasta, które trzymał palczkami. – Powinnaś tego spróbować, Mimi-tika.

Zomi przez chwilę walczyła z palczkami, lecz poddała się i mimo groźnego spojrzenia Luana wzięła kawałek ciasta do ręki. Okazało się bardzo smaczne – rozpoznała smak mąki ryżowej i płatków kokosa, a w środku znajdowało się coś, co smakowało jako papaja, a jednak nie było papają.

Wciąż przeżuając, zdołała powiedzieć między kęsami:

– Czyli rozmawiacie o wspinaczce na górę za wioską?

Luan Zya uśmiechnął się.

– Dobrze kombinujesz. To są jedne z pierwszych logogramów, jakich nauczyłem się jako dziecko.

– Czy wszystkie logogramy przedstawiają to, o czym mówią? Łatwo można je czytać! Dlaczego potrzeba wielu lat nauki, żeby je rozumieć?

Wódz Comi skończył czytać pytanie Luana. Zaczął rysować odpowiedź w pozostałych kwadratach na tacy.

– Jeśli myślisz, że to takie proste, powiedz mi, co mówi wódz Comi?

Zomi spojrzała na logogramy, które wódz wciąż kształtował rękami i nożykiem, jeden kwadrat po drugim.

– To wygląda jak... muszelka przegrzebka? Ale w tym samym kwadracie są dwie inne rzeczy... Czy to naprawdę pękaty zimowy melon? A czy to liść banana?

Luan zachłysnął się i omal nie upuścił czarki. Kiedy zakrył usta rękawem, jego twarz przybrała purpurowy odcień, a z oczu popłynęły łzy.

Zomi spojrzała na niego urażona.

– Kon Fiji mówił, że nie należy się śmiać z tych, którzy poszukują wiedzy.

– Och, czyli jednak pamiętasz cytaty z Jedynego Prawdziwego Mędrca? Umiesz je stosować tylko jako oręż przeciwko nauczycielowi?

– No już! Wyjaśnij!

– Dobrze, dobrze. Logogramy ano to coś znacznie więcej niż tylko rysunki reprezentujące różne rzeczy. Jak odróżniłabyś górę od wzgórza? Jak mogłabyś odnieść się do czegoś tak skomplikowanego jak nowy typ koła wodnego, gdybyś musiała dokładnie przedstawić każdą rzecz, o której mówisz? A co z pojęciami abstrakcyjnymi, jak honor albo odwaga?

Wódz Comi odłożył nożyk i pokazał Luanowi gest oznaczający prośbę.

Luan spłaszczył pierwszy zrobiony przez siebie logogram i zaczął rysować odpowiedź, ale nie przerwał tłumaczenia.

– Ten „pękaty zimowy melon” to tak naprawdę zaciśnięta pięść, a „liść banana” to otwarta dłoń. Wiele logogramów ano zawiera stylizowane rysunki, które łatwo wyrzeźbić, ale nie są już podobne do oryginału.

– A co wódz Comi ma na myśli, umieszczając muszelkę przegrzebka obok zaciśniętej i otwartej dłoni?

– Sekret logogramów ano tkwi w sztuce łączenia. Niech się zastanowie... Lubisz budować różne rzeczy, więc postaram się wytłumaczyć ci to tak, jak zrobiłby to inżynier. Powiedz mi, czym jest maszyna?

Ponieważ Zomi nigdy się nad tym nie zastanawiała – „w końcu to oczywiste, czym jest maszyna, prawda?” – miała problem ze sformułowaniem odpowiedzi.

– Maszyna to... takie coś z trybikami, przekładniami i różnymi takimi. – „Naprawdę trudno ubrać w słowa coś tak banalnego”. – No i maszyny ułatwiają pracę, na przykład pług ciągnięty przez wołu jest lepszy i szybszy niż motyka.

– Nieźle! Wielki inżynier Na Moji w swojej *Sztuce mechanicznej* zdefiniował maszynę jako zbiór komponentów połączonych w konkretnym celu. Ale czym są komponenty?

Zomi zmarszczyła się, skonfundowana.

– Nie rozumiem.

– Przypomnij sobie własny przyrząd do mierzenia słońca. Połączyłaś ze sobą dwie tyczki, liść banana rozciągnięty na obręczy z bambusa i lustro. Czym jest każda z tych rzeczy? Czy każda z nich odgrywa określoną rolę?

Zomi zastanowiła się. Dwie tyczki tworzyły krzyż dla podtrzymania konstrukcji; obręcz bambusowa i liść banana, naśladujące tamborki i materiał do haftowania, służyły jako miejsce do zapisywania wyników; lustro, czyli talerz z brązu z drewnianą rączką, miał odbijać światło i rzucać obraz.

– One także są... maszynami zrobionymi z części.

– Właśnie tak! Maszynę tworzą inne maszyny, a każda ma swój cel, zaś całość organizuje wszystkie te cele, by osiągnąć inny, nowy cel. Z pewnością potrafiłabyś sobie wyobrazić swoje urządzenie jako część większej maszyny, na przykład narzędzia służącego do rzucania obrazu na nową kartkę papieru: maszynę do kopiowania.

Luan odłożył nóż i pokazał wodzowi, że teraz jego kolej na odpowiedź.

Głowa Zomi intensywnie pracowała. Oczami wyobraźni widziała udoskonalone i powiększone urządzenie do pomiaru wielkości słońca, przytwierdzone do siedzenia oraz sztalugi artysty, a także system luster, światel i rozpordek; całość służyłaby do idealnego kopiowania rysunków.

– To... nadznakomite i presupergenialne.

– Kiedy budowałaś swój przyrząd, wykorzystowałaś zdolność odbijania przez lustro promieni słonecznych, wytrzymałość i giętkość bambusa oraz gładką powierzchnię liścia bananowca. Połączyłaś właściwości każdej z tych rzeczy, żeby stworzyć coś, czego nikt wcześniej nie stworzył. Inżynieria to sztuka rozwiązywania

problemów poprzez łączenie istniejących maszyn w nowe maszyny, a także zaprzęgnięcie możliwości komponentów w celu osiągnięcia nowych efektów. Inżynierem jest rybak splatający sieci ze sznurków i ciężarków, kowal uderzający młotem i kształtujący plug na kowadle, a także bednarz zbijający beczkę z klepek i metalowych obręczy.

Zomi patrzyła na niego z otwartą buzią. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby robić rzeczy opisywane w ten sposób. W ustach Luana tworzenie maszyn zdawało się sztuką, jak pisanie poematów wyśpiewywanych przez wędrujące trupy, jak... dojrzenie przebłysku boskiej prawdy.

– Można, jak mówił Na Moji, myśleć o inżynierii jak o poezji. Poeta łączy wyrazy w wyrażenia, wyrażenia w wersy, wersy w strofy, a strofy w wiersze. Inżynier łączy surowe komponenty, na przykład gwoździe, deski, sznury, przekładnie, w większe elementy, te zaś w maszyny, a maszyny w całe układy. Poeta wykorzystuje słowa, wyrażenia, wersy i strofy, żeby wzruszyć serce słuchacza. Natomiast inżynier wykorzystuje swoje maszyny, żeby zmienić świat.

Serce Zomi radowało się.

– Sagi sprzed wieków mówią nam, że człowiek jest zwierzęciem głodnym słów. Ja raczej wolę myśleć, że jesteśmy głodni idei. Logogramy ano to najbardziej wyrafinowane maszyny pracujące na ideach, jakie kiedykolwiek stworzyliśmy.

Wódz Comi odłożył nożyk raz jeszcze i się wyprostował.

– *Well'en. Gramersie* – rzekł z uśmiechem.

– *Gramersie* – odparł Luan Zya.

Odwrócił się do Zomi, która nie odrywając oczu od glinianych logogramów, przetrawiała słowa nauczyciela.

– Mimi-tika, doszliśmy z wodzem do porozumienia. Najpierw zjemy tutaj posiłek, a potem wódz wyśle kilku mieszkańców wioski, by posłużyli nam jako przewodnicy, i razem wespniemy się na górę, żeby przyjrzeć się faunie i florze. Pomożesz mi wyciągnąć z gondoli towary na handel?

Wciąż nieco oszołomiona, Zomi ruszyła za Luanem, żeby przynieść kosze z towarami. Niektóre przywieźli z Dasu, inne zaś kupili na Inça: żeliwne garnki, duże noże do krojenia mięsa i warzyw, zwoje tkaniny konopnej, paczki przypraw, cukru i soli. Podążyła to wszystko chłopcu i dziewczynie, którzy przyszli zabrać naczynia.

Wódz Comi wstał i uśmiechnął się szeroko, prezentując zaskakująco zdrowe zęby.

– *Hale repast.* – Schylił się, żeby sięgnąć po tacę do pisania.

– Czeka! – krzyknęła Zomi.

Luan i wódz Comi odwrócili się w jej stronę.

– Proszę, zostawcie tacę. – Zomi pokazała wodzowi gestem, co ma na myśli, a potem zwróciła się do Luana: – Nauczysz mnie logogramów?

Luan zaśmiał się pod nosem.

– Myślałem, że nie jesteś nimi zainteresowana.

– Wcześniej nie mówiłeś, że są po to, by tworzyć maszyny z idei!



Ponieważ wioska znajdowała się dość daleko od brzegu morza, podstawy posiłków nie stanowiły świeże ryby, lecz suszone. Przykładowym daniem obiadowym była zupa z dzikiej zieleniny i melonów z wkładem w postaci suszonych ryb i makaronu ryżowego, podawana z małymi bułeczkami gotowanymi na parze.

– Nie wyjaśniłeś mi, jak interpretować logogram z muszelką i dwiema dłońmi – powiedziała Zomi, sącząc zupę.

– Pamiętaj, żeby makaron nabierać dwoma palcami, a nie rękami – zwrócił jej uwagę Luan. – Kon Fiji...

– Tak, wiem – przerwała mu dziewczyna. – Jedna paleczka do pierogów i jiaozii, dwie do makaronu i ryżu, trzy do ryby, owoców i mięsa, żeby dwiema trzymać kawałek jedzenia, a trzecim odrywać mniejsze porcje. Dodatkowo jako kobieta muszę zawsze zostawiać palczki na stole, żeby nieużywane leżały skromnie obok siebie. Powtarzasz mi to przy każdym posiłku! Ja naprawdę słucham.

– Wiem, że twoim zdaniem te zasady są głupie, jednak właściwe maniery, podobnie jak ładny charakter pisma, ukoją umysły ludzi i przygotowują ich na przyjęcie twoich uwag.

Zomi chwyciła palczki i bez przekonania włożyła trochę makaronu do ust. Ponieważ z pełną buzią nie mogła mówić – kolejna lekcja manier – pokazała niecierpliwie na logogram.

Luan roześmiał się i pokręcił głową.

– Zaiste, jesteś głodna wiedzy. Dobrze, pomyśl o każdym z logogramów jak o małej maszynie złożonej z różnych komponentów, z których każdy ma określony cel. Muszelka stanowi rdzeń semantyczny, który wskazuje ogólną domenę semantyczną logogramu. Ponieważ Ano używali muszelek jako swojej pierwszej waluty, symbol ten oznacza wszystko, co wiąże się z handlem, finansami i bogactwem. Istnieją setki takich trzonów semantycznych, które musisz poznać, żeby posługiwać się logogramami.

Zomi połknęła porcję makaronu.

– A co z rękami?

– Przeżuwaj jedzenie, dziecko! Dłonie to bardziej skomplikowana sprawa. To są modyfikatory, co oznacza tyle, że zawężają i uzupełniają rdzeń semantyczny, aby wskazać dokładniejsze znaczenie. Połączenie zaciśniętej pięści i otwartej dłoni to typowy sposób na oddanie zmiany albo transformacji. Jeśli wszystko to złożysz razem, przekonasz się, że logogram oznacza „handel”. W klasycznym ano *ingcrun*.

– I właśnie o tym rozmawialiście z wodzem! – powiedziała Zomi. – Najpierw mówiliście o wspinaczce na górę, a on zaproponował handel.

– Właśnie tak. Spójrz jednak na te dwa logogramy na dole. – Luan wykorzystał swoje palczki, żeby wskazać odpowiednie miejsce na tacy.

Zomi popatrzyła na nie i zaczęła mamrotać do siebie:

– Hmm... Oba wydają się zawierać mniejszą wersję logogramu oznaczającego

handel... I oba mają na górze takie płaskie coś, jakby płytkę... Czy to mają być filety rybne? – Luan omal nie zakrztusił się kawałkiem bułki, kiedy to usłyszał. – Wyglądają tak samo, nauczycielu.

– Czyżby?

Zomi znowu pochyliła się nad rysunkami, przyglądając im się z każdego kąta.

– Ach, już widzę! Te płaskie rybne rzeczy mają różne symbole: ten ma półkole z linią pośrodku, która kończy się zawijasem; tutaj z kolei jest półkole z linią wciśniętą między dwa trójkąty.

– Właśnie tak. Te „filety rybne”... dlaczego wszystko kojarzy ci się z jedzeniem? Wciąż jesteś głodna? A więc te „filety rybne” nazywamy adapterami fonetycznymi. Pierwszy logogram znaczy w ano *crua*, czyli „kupować”, zaś ten drugi oznacza *athu*, czyli „sprzedawać”. Adapter fonetyczny zawiera symbole, które sugerują, jak należy wymawiać opatrzone nimi logogramy. W tym przypadku dotyczy to dokładnie pozycji języka: czy powinien być zwinięty czy znajdować się między zębami. Adaptery fonetyczne pozwalają rozróżniać słowa, które semantycznie są do siebie zbliżone. W zasadzie właśnie one zainspirowały naszych przodków do wynalezienia liter zyndari. Wciąż jednak nie odkryłaś wszystkich szczegółów. Przyjrzyj się jeszcze komponentowi oznaczającemu „handel”.

Zomi dotknęła logogramów, próbując wylapać detale nieuchwytnie dla wzroku.

– W bocznej części muszelki, czyli rdzenia semantycznego, są wyrzeźbione inne znaczki i wzory. Czy to coś znaczy?

– Nazywa się je glifami fleksyjnymi i zaznacza się nimi koniugację czasowników oraz deklinację rzeczowników, przymiotników i zaimków. W piśmie formalnym zazwyczaj są kolorowe, żeby łatwiej było je zauważyć oraz ze względów estetycznych. W kaligrafii często się z nich jednak rezygnuje, by prezentowały się bardziej elegancko. Oprócz tego poprzez zmianę wysokości i położenia logogramu piszący może wskazać ton, emfazę oraz... Ale na razie to zbyt skomplikowane. Nauczysz się tego z czasem.

– Czyli z prostych logogramów stworzyłeś bardziej skomplikowane, tak jak nową maszynę buduje się z takich, które już się posiada.

– Właśnie tak! – Luan skończył jeść i podsunął Zomi miskę z bułeczkami. – Zacznijmy od prostego przykładu. Weźmy logogram oznaczający górę i połączmy go z logogramem oznaczającym ogień. – Narysował połączony logogram za pomocą kilku sprawnych ruchów nożykiem. – Co w ten sposób otrzymasz?

– Wulkan?

– Tak! Dobrze, to teraz coś nieco trudniejszego. Jeśli weźmiesz logogram „wulkan” i dodasz do niego modyfikator oznaczający „kwitnąć”, co otrzymasz?

Zomi zastanowiła się.

– Kwiat wulkaniczny?

– Myślisz zbyt dosłownie. Pamiętaj, że lustro można wykorzystać nie tylko do oglądania samego siebie, lecz także do rzucania obrazu na inną powierzchnię? Myśl metaforycznie.

Zomi wyobraziła sobie rozkwitający kwiat i wyobraziła sobie ten proces, lecz przyspieszony.

– Erupcja wulkanu.

Na twarzy Luana wykwił szeroki uśmiech.

– Jeszcze jeden przykład. Co się stanie, kiedy użyjesz logogramu oznaczającego erupcję wulkanu jako modyfikatora i postawisz go obok rdzenia semantycznego o znaczeniu „powietrze nad sercem”, czyli „umysł”, bo dawniej wierzono, że myśli rodzą się w sercu, a nie w głowie?

Zomi spojrzała na nowy logogram wyrysowany przez Luana. Podrzędny logogram „powietrze nad sercem” tworzyła mała gruszkowata grudka z trzema falami, która skojarzyła jej się z mózgiem kurczaka.

– Eksplozja... umysł... gniew?

Luan głośno się roześmiał.

– Szybko łapiesz! Właśnie dlatego słynny wiersz Nakipo, poety z epoki Ano, zatytułowany *Gniew* wygląda w ten sposób.

Wyrysował wiersz w glinie: skomplikowany logogram oznaczający „gniew” na górze, a niżej dwie linijki po cztery logogramy każda.

Zomi zidentyfikowała logogramy jeden po drugim:

Powietrze – serce – ogień – góra – kwiat

Powietrze – serce. Ogień. Góra. Kwiat.

Ogień – kwiat. Góra. Powietrze. Serce.

– Nie rozumiem. Cóż to za głupiotki wierszyk?

– Nie rozpoznajesz jeszcze wszystkich glifów fleksyjnych i adapterów fonetycznych, więc pozwól, że odczytam ci tłumaczenie:

Séfino.

Ingingtho ma doéthu. Roaféru phiçan co maca.

Oféré, pharagi co ügidiraü ca géüthéü! Ingingtho co aé ki gophicrupé.

Gniew

Umysł w ogniu. Kwiat zastygłej lawy.

Otwórz się, moja kamienna duszo! Wiatr nad sercem.

– Piękne, prawda? Nakipo napisał ten wiersz po klótni z jednym z najbliższych przyjaciół. Uważa się go za jeden z najwspanialszych przykładów imagizmu, czyli nurtu bardzo popularnego w czasach Ano. Każdy wers składa się z wariacji pięciu logogramów podrzędnych, jakie można znaleźć w pojedynczym logogramie

będącym jego tytułem. Zostały one połączone tak, by za każdym razem dawać inne znaczenie. Wiersz jest doskonale skonstruowaną maszyną, dopracowaną tak pieczołowicie jak cesarski sterowiec albo ozdobny zegar wodny.

Spomiędzy chat wylonily się dwie kobiety z wiklinowymi koszami na plecach. Kiwnęły głowami na Luana i Zomi.

– Przybyły nasze przewodniczki – rzekł mężczyzna.

Zomi jakby go nie słyszała; w dalszym ciągu muskała palcami logogramy wyrysowane w glinie, zapominając o niedokończonym posiłku.

Rozdział trzynasty

Kupcy i rolnicy

Pan: Trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Każdy z *pana méji* otrzymał szansę zaprezentowania swoich pomysłów, co uczynił z większym lub mniejszym rozmachem. Niektórzy, jak Kita Thu, wystawiali spektakl, inni przynosili modele albo ilustracje. Jeden kazał swoim służącym biegać wokół Wielkiej Sali Audiencyjnej i próbować puszczać latawce, co miało symbolizować wzniosły ton jego argumentów. Jednak sznurki się poplątały, a latawce powpadały na balkony, co wywołało zażenowanie i sprowokowało żarty o „poplątanym motku” logiki przemawiającego. Inny *pana méji* postanowił zaangażować arystokratów i namówił ich do udziału w miniooperze, gdzie występowali jako chór – eksperyment ten skończył się tak, jak się można tego było spodziewać.

Cesarz Ragin przepytywał każdego z kandydatów, przeskakując często z tematów poruszanych w ich esejach na takie, które bardziej go interesowały. Teraz, gdy Théra dostrzegła prawdziwą naturę tych przesłuchań, zaczynała lepiej rozumieć sztywne, dziwne odpowiedzi egzaminowanych oraz subtelne zmagania toczne w Wielkiej Sali Audiencyjnej. Było tak, jakby cesarz, *pana méji* oraz wszyscy zebrani grali w jakąś bardzo skomplikowaną grę, w której rozmowa dokonywała się między wierszami innej rozmowy.



Kolejny egzaminowany, Naroca Huza, pochodził z Gėjiry, królestwa Gin Mazoti. W jego mowie dało się słyszeć charakterystyczne dla Ganu śpiewne samogłoski, a jadeitowe spinki w jego trzykrotnie splecionym koku odbijały promienie słońca.

– *Rénga*, pozwolę sobie rozpocząć prezentację od uhonorowania waszej mądrości oraz pilności premiera Cogo Yelu.

Służący Naroki otworzyli liczne skrzynie i zaczęli na środku Wielkiej Sali Audiencyjnej składać ogromną maszynę. Tworzyły ją dwie duże szpule, ogromny zwój papieru został zamontowany na prawej i nawinięty na lewą. Widzowie mogli zauważyć, że był on podzielony na duże prostokąty, a w każdym z nich znajdował się obraz.

Przed szpulami ustawiono prostokątną ramę, której rozmiar odpowiadał rozmiarowi obrazów na zwoju. Górę i dół ramy dało się przekręcać na kołach. Do każdej osi doczepiono parę płaskich desek, jak w kole młyńskim z dwiema tylko kłapkami. Całość zaprojektowano w ten sposób, że kłapki na górnym i dolnym kole spotykały się w samym środku ramy. Kiedy poruszały się w tym samym tempie,

działy jak dwie pary obrotowych drzwi, które na przemian zasłaniały obraz – gdy klapki spotykały się na środku – i go odsłaniały – gdy układały się równoległe do podłogi.

Misterny mechanizm składający się z zębatek i pasków łączył szpule i klapki na kołach do zestawu pedałów, które napędzały koła z korbami. Służący zajęli miejsca na siedzeniach umieszczonych nad pedałami i czekali na sygnał.

Wszyscy zebrani wstrzymali oddech, czekając, by się przekonać, jakież to magiczne sztuczki obejrzą dzięki tej przedziwnej maszynie.

Naroca rozejrział się, zadowolony, że udało mu się skupić na sobie uwagę widzów.

– Możecie zaczynać! – zawołał, gwałtownie machając ręką.

Służący zaczęli pedałować w równym rytmie. Zębaki i paski przenosiły ich ruchy do kół opatrzonych klepkami, tak że zaczęły otwierać się i zamykać w szybkim tempie, na przemian wpuszczając i zatrzymując światło. Jednocześnie ruszyły obie ogromne szpule, rozwijając zwój papieru z prawej i nawijając go na lewą.

Wtedy z tłumu dało się słyszeć zduszone okrzyki zachwytu.

Obrazy wymalowane na papierze zdawały się ożywać. Statek jakby płynął przez wzburzone morze, wyładowany workami ziarna, belami jedwabiu i skrzyniami innych towarów. Załoga z odwagą parla przez deszcz i pioruny, by wreszcie dotrzeć do portu, gdzie witał ją rozentuzjasmowany tłum.

Następnie pojawiła się mapa Dary, a na niej – jeden po drugim – towary różnych regionów, namalowane niewidzialną ręką: cenione ryby i kraby z zatoki Zathin, ciężkie czerwone sorgo i błyszczący biały ryż z Cocru, korale i perły z brzegów Wilczej Łapy, kolokazja i skóry z Tan Adü, wysokie sterty drewna z Rui, owoce, wino i wełna z Faça, kadzidło i jedwab z Gėjiry...

Potem małe statki zaczęły pływać między wyspami, zostawiając za sobą ślady niczym pajęczne nici. Po pewnym czasie Wyspy Dary zostały splecione w jedną całość, połączone przez błyszczące szlaki nakreślone przez statki. Te zamigotały i urosły, jakby były meteorami zostawiającymi lśniąca ślady na niebie.

Nagle ruchome obrazy się skończyły. Cały ogromny zwój papieru został przewinięty z prawej szpuli na lewą, a luźny koniec trzepotał rytmicznie, uderzając o maszynę. Służący zwolnili i w końcu całkiem przestali pedałować.

Luan uśmiechnął się chytrze. Chociaż demonstracja była imponująca, z miejsca zrozumiał działanie maszyny. Ruchomy obraz powstał w podobny sposób co w obracających się lampionach, które konstruowali artyści ludowi na Festiwalu Lampionów, albo rysunki wykonane przez uczniów w rogach grubych ksiąg. Każdy kolejny obraz różnił się od poprzedniego w niewielkim stopniu, a kiedy zmieniał się je z odpowiednią prędkością, tworzyła się iluzja ruchu.



– Jeśli kupcy zyskają należyty szacunek i ochronę, jakiej im trzeba, Darę czeka okres dynamicznego rozwoju.

– Protestujesz przeciwko cesarskiemu edyktowi podnoszącemu podatki portowe? – zapytał Kuni.

– Między innymi – przyznał Naroca.

– Wasza sugestia wydaje mi się intrygująca – stwierdził cesarz. – Dawny Gan oczywiście służył z budowy statków handlowych, jednak zdaniem Kona Fijego podczas gdy rolnicy, tkacze, kowale i inni rzemieślnicy wytwarzali towary, kupcy je tylko przewozili z miejsca na miejsce, zarabiając na potrzebach, niedostatkach i głodzie innych ludzi. Wasza prezentacja, chociaż oszłamiająco piękna, nie zawiera żadnego uzasadnienia sugerowanych zmian. Czy mógłbym je usłyszeć?



– To była najlepsza prezentacja – oznajmił Phyro. – Fajnie, gdybyśmy mogli robić takie ruchome obrazki.

– Nie wydaje mi się, żeby starczyło ci na nie cierpliwości – odparła Théra. – Setki artystów musiały pracować bez wytchnienia od czasu Wielkiego Egzaminu, żeby stworzyć ten zwój. Rodzina Naroki jest bardzo bogata i właśnie Naroca w niezbyt subtelny sposób o tym przypomniał. Ojcu się to nie spodoba.

– Myślałem, że tata lubi kupców – szepnął Phyro. – Zawsze opowiada o tym, jak ich chronił jako księżę Zudi.

– Pamiętaj, że czasami cesarz musi zadawać pytania w imieniu innych – zauważyła Soto. – A czasami odpowiedzi, jakie próbuje wydobyć, nie są skierowane do jego uszu.



– Moraliści wiele mogą nas nauczyć, Rénga – powiedział Naroca – lecz Jedyny Prawdziwy Mędrzec żył w innych czasach, kiedy wioski były małe, a ich mieszkańcy nie podróżowali dalej niż kilkanaście kilometrów od domu. Różne czasy wymagają różnego spojrzenia.

– Niektóre prawdy są wieczne – rzekła cesarzowa Jia. Mówiła niezbyt głośno, lecz wyraźnie było ją słychać w całej sali.

Chociaż nikt nic nie powiedział ani nie zrobił gwałtownego ruchu, Théra poczuła nagłą zmianę nastroju panującego pośród widzów.

Cesarzowa rzadko pojawiała się na dworze, a jeszcze rzadziej zdarzało jej się przemawiać. W pierwotnej wersji protokołu Zato Ruthi, nawiązując do zwyczajów panujących za czasów Siedmiu Królestw, wyłączył rodzinę cesarską z formalnych uroczystości. Kuni upierał się jednak, by po obu stronach tronu pojawiły się też miejsca dla jego żon. Moraliści wyrazili stanowczy sprzeciw. Cesarzowa Jia zaproponowała wobec tego kompromis, zgodnie z którym obie z Risaną miały ograniczyć swój udział w oficjalnych spotkaniach wyłącznie do szczególnych okazji i odzywać się tylko od czasu do czasu.

Naroca w odpowiedzi na jej stwierdzenie nisko się skłonił.

– Słusznie, Wasza Wysokość. A jednak moraliści nie mają monopolu na

prawdę. Odważny Ra Oji powiedział niegdyś, że wznoszenie się i opadanie morza to nieodłączny element każdej podróży po szczęście.

– A cóż przysłowie fluksistów ma wspólnego z brzękiem monet i pomnażaniem przychodów? – zapytała Jia.

– Kwintesencją fal jest ruch i zmiana. To nieustające pływy zapobiegają stagnacji i odświeżają życie. Mówienie, że kupcy niczego nie wytwarzają, jest nieporozumieniem. Przenosimy towary z miejsca, gdzie jest ich zbyt wiele, do miejsc, gdzie są pożądane. Przepływ towarów spełnia potrzeby mieszkańców Dary i rozprzestrzenia nowe idee.

– To piękna przemowa – orzekła Jia. – Jednak gdy jej autorem jest syn najbogatszego kupca Gėjiry, który zapewne jest bardzo niezadowolony z cesarskiego edyktu podnoszącego opłaty portowe, by obniżyć podatki rolników, trudno nie podejrzewać go o nieszczerłość.

Przez chwilę wydawało się, że Naroca się wystraszył. Zaraz jednak odzyskał rezon.

– Wszystkich ludzi motywuje do działania własna korzyść. Kupcy są w tym względzie bardziej uczciwi, bo otwarcie się do tego przyznają. Bez handlu i chęci zysku pola zmieniają się w ugory, a kopalnie zostaną porzucone...

– Myślę, że rolnicy i górnicy, którzy pracują, by mieć co jeść, będą bardzo zaskoczeni, gdy się dowiedzą, że celem ich życia jest wasza pomyślność. Po Wojnie Chryzantemy z Mleczem cesarz Ragin przydzielił weteranom niewielkie działki ziemi, w nadziei że będą ją uprawiać i staną się samowystarczalnymi rolnikami o stabilnej sytuacji życiowej. Jednak pozbawieni skrupułów kupcy wykupili od nich te ziemie, obiecując łatwy zysk. Byli właściciele ziemscy bezmyślnie przepuścili zarobek i teraz ledwo wiążą koniec z końcem, pracując na cudzym polu. Podniesienie podatku handlowego miało powstrzymać tę tendencję.

– Jednak małe rodzinne farmy nie są tak wydajne jak duże...

– Och, oszczędź mi wykładu o wydajności! Doskonale znam te wasze sztuczki. Kiedy wykupicie już wystarczająco dużo ziemi, zmieniacie je w pola trzciny cukrowej albo plantacje jedwabiu, żeby zarobić, zamiast uprawiać ryż, sorgo i warzywa. Istnieją całe regiony Gėjiry, gdzie jedzenie trzeba importować, co jest zaiste niewiarygodne, ponieważ mowa o najżyźniejszych ziemiach Dary. Stawianie na szali życia mieszkańców całej prowincji poprzez uzależnienie ich od powodzenia zbiorów jednej rośliny destabilizuje sytuację w cesarstwie, bo kiedy zbiory się nie powiodą, pozbawieni środków do życia robotnicy są zmuszeni do bandytyzmu. Powinniśmy czerpać naukę z porażek, jakie odniosły dawne królestwa Tiro: Keos upadło, gdy stało się zbyt zależne od dostaw zboża z Diyo.

– Samowystarczalność regionów nie jest pożądana, Wasza Wysokość. Mówicie o dawno nieistniejących królestwach, a tymczasem przykłady z obecnych czasów potwierdzają moje przekonania. Rima podupadła, ponieważ walczyła o samowystarczalność i zyskała jedynie stagnację. Z kolei Dasu pod przewodnictwem cesarza Ragina wzmocniło swoją pozycję dzięki wspieraniu handlu.

Słyszając te słowa, cesarz Ragin zaśmiał się pod nosem.

– Cogo, pamiętasz jeszcze tych „Autentycznych kucharzy Dasu”, których uczyłeś?

Premier Cogo Yelu kiwnął głową.

Cesarzowa Jia zignorowała tę wymianę zdań.

– W swojej argumentacji skaciecie między fluksizmem a inentywizmem, zahaczając jeszcze o paternizm. A jednak wszystko kręci się wokół eksploatacji. Kiedy zbiory w Géfice są dobre, obniżacie ceny, tak że rolnicy zarabiają niewiele więcej niż w inne lata; kiedy Tunoa boryka się z szarańczą, sprzedajecie towar po takich cenach, że mieszkańcy muszą wybierać między głodem a zadłużeniem. Wy nie uprawiacie handlu – wy żerujecie na cudzym nieszczęściu! Dlaczego jest tak, że rolnicy cocruscy uprawiający ziemię chodzą głodni, podczas gdy kupcy z Ganu ubierają się w jedwab i jedzą mięso w każdym posiłku?

– Taka jest naturalna konsekwencja...

– Cisza! Kto zarekomendował was do Wielkiego Egzaminu?

Naroca zamarł z aroganckim uśmiechem na twarzy.



– Dlaczego matka jest taka rozgniewana? – szepnął Timu. – To w ogóle do niej niepodobne.

– Obserwuj uważnie – odparła Soto. – Czasami kopie się psa, ponieważ celuje się w jego właściciela.



– Ja to zrobiłam – rzekła chłodno królowa Gin; dawne królestwo Ganu obejmowało Géjirę oraz Wilczą Łapę, chociaż teraz Wilcza Łapa stała się cesarską prowincją, a Géjirą władala Gin. – Może i jest trochę arogancki, jednak w jego odpowiedziach na pytania egzaminu regionalnego dostrzegłam przeblysłk geniuszu.

– Argumentuje jak płatny prawnik, nie dbając o rzetelność i nie szanując zasad.

– Pani Jio – odparła królowa Gin. – Przepraszam za ton, jaki nierozważnie przyjął ten młody człowiek z mojej prowincji. – Jej ton, z kolei, sugerował, że nie czuje najmniejszej skruchy. – Jednak czyż nie jest tradycją jeszcze z czasów Siedmiu Królestw, że w trakcie Egzaminów Pałacowych egzaminowany może mówić otwarcie i szczerze?

Luan Zya zmarszczył brwi, podczas gdy pozostali ministrowie i generałowie spuścili wzrok. Niektórzy ze strachu wstrzymali powietrze.

– Pani Jia? – powtórzyła cesarzowa ze zdumieniem.

– Wybacz, Wasza Wysokość – powiedziała królowa Gin sztywno. – Czasami trudno jest wyzbyć się starych przyzwyczajzeń. Mój umysł wciąż działa tak jak za dawnych czasów, kiedy cesarz był panem Garu, a ja jego marszałkiem. – Wciąż siedząc, ukloniła się cesarzowej, chociaż niezbyt nisko, gdyż zbroja ceremonialna

pozwalala jej tylko na żołnierskie skinienie.

Miecz w pochwie, który przytroczyła do paska, uderzył o kamienną podłogę, a brzek odbił się echem po Wielkiej Sali Audiencyjnej.



– Durna – mruknęła Soto, kręcąc głową.

Timu i Phyro popatrzyli na nią, nie rozumiejąc. Théra tymczasem zastanawiała się, czy Soto mówi o jej matce czy królowej Gin.



– Gin, Jia, proszę – powiedział Kuni.

Jia odwróciła wzrok od Gin i popatrzyła przed siebie.

Gin wyprostowała się; jej miecz cicho zaskrobał o podłogę.

– Słyszałam, że odwołałaś tegoroczne plany renowacji pałacu w Nokidzie, Gin – rzekła cesarzowa głosem tak spokojnym jak woda w kamiennym poidle dla ptaków w ogrodzie. – Czyżby w skarbcu géjirskim zabrakło funduszy?

– Dziękuję Waszej Wysokości za troskę – odparła Gin. – Jednak Gėjira doskonale sobie radzi. Podążam za przykładem cesarza: piękny pałac nie jest dla mnie tak ważny jak dobro moich ludzi.

– Czyli w tym roku podniesiesz wpływy do cesarskiego skarbcu bez obarczania poddanych – rzekła cesarzowa. W jej głosie tym razem dało się słyszeć kpinę.

– Znam swoje obowiązki – stwierdziła beznamiętnie Gin.

Chociaż nie dało się dojrzeć wyrazu twarzy cesarza Ragina, siedzący najbliżej niego słyszeli, jak sznury muszelek doczepione do korony delikatnie postukują. Risana, zawsze wrażliwa na zmiany nastroju męża, już miała chwycić go za rękę, kiedy przypomniała sobie, gdzie się znajduje, i powstrzymała się w ostatniej chwili.

Luan Zya popatrzył na Gin, a grymas na jego twarzy stał się jeszcze wyraźniejszy.



– O co tu chodziło? – zapytał Phyro.

– Jeśli cesarz wydał edykt podwyższający podatki portowe, czy nie spodziewałbyś się, że te zebrane w Gėjirze, pełnej bogatych kupców, okażą się wyższe? – zapytał Soto.

Wszystkie dzieci pokiwały głowami.

– I wtedy ogólna suma podatków wysłana z Gėjiry do Cesarskiego Skarbcu powinna być wyższa – dodała Soto.

– Premier Cogo Yelu mądrze opracował system podatkowy, który harmonizuje potrzeby cesarza z potrzebami prowincji i lenn – powiedział Timu. – Właśnie tak powinno być.

Soto popatrzyła na niego.

– I nic w tej wymianie zdań nie wydało ci się dziwne?

Timu odwzajemnił spojrzenie. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Nie lubię zagadek, pani Soto.

Soto znowu westchnęła w duchu. „Jia będzie miała trudne zadanie z tym dzieckiem”.

Wtedy wtrąciła się Théra:

– Dlaczego królowa Gin odłożyła plany renowacji pałacu, jeśli wpływy z podatków w jej królestwie powinny być wyższe?

Soto spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

– Bardzo dobre pytanie.

Timu ciągle próbował znaleźć w tym sens.

– Czy ty... Czy ty oskarżasz królową Gin o to, że odmówiła przyjęcia cesarskiego edyktu i różnicę między wpływami realnymi a spodziewanymi postanowiła opłacić z własnej kieszeni?

– Twoja matka powiedziała „bez obarczania poddanych”, pamiętasz?

– Ale dlaczego?

„Nie mogę mu wszystkiego tłumaczyć – pomyślała Soto. – Nie mogę przez cały czas trzymać go za rączkę”. Théra znów przysła bratu z pomocą.

– Ponieważ uważa, że cesarz wprowadził złe prawo, albo dlatego że chce się przypodobać swoim poddanym, żeby lubili ją bardziej niż ojca. Tak czy inaczej, matce się to nie podoba.



Consorta Risana przerwała ciszę.

– Może powinniśmy wysłuchać następnego uczonego.

Życzliwie pokazała Naroce Huza – o którym wszyscy zapomnieli – żeby wrócił na swoje miejsce. Młody syn kupca z ulgą przyjął koniec tej przykrew próby i szybko na powrót usiadł między innymi *pana méji*.

Kuni popatrzył na Risaną, która podniosła prawą rękę i mimochodem dotknęła koralowego kolczyka w kształcie karpia. Cesarz pokiwał głową i odwrócił się do kandydata.

– Możesz dołączyć do Kolegium Adwokatów – ogłosił. – Spodziewam się, że twoje spojrzenie okaże się bardzo cenne.

Naroca wyraźnie nie spodziewał się takiego wyniku. Wstał, uklonił się nisko cesarzowi i znowu usiadł.

Cesarzowa była zdeterminowana, by na niego nie patrzeć.

Zato Ruthi, zdumiony wymianą zdań między cesarzową a królową Gin, próbował się opanować.

– Eee... tak. Oczywiście. Następna jest Zomi Kidosu z Dasu. Jej esej został napisany niewprawną i niedelikatną ręką, jednak w jej logogramach dostrzegłem coś potężnego, co przywodziło na myśl najdoskonalszą, pochodzącą sprzed wieków xańską kaligrafię uprawianą w kamieniu, właściwą dla czasów, gdy pracowano z trudnym materiałem i na dzikiej ziemi. Byłem zdziwiony, kiedy okazało się, że...

że...

Gin Mazoti spojrzała na niego z rozbawieniem. Kiedy Zato Ruthi był królem Rimy, wielokrotnie podkreślał swoje niezadowolenie z faktu, że Kuni Garu wybrał na swojego marszałka kobietę. Cytował wtedy moralistów piszących o właściwych relacjach między płciami. Kiedy jednak cesarz jasno wyraził swoje zdanie na temat dopuszczenia kobiet do egzaminów, a cesarskiemu nauczycielowi nakazał uczenie książąt i księżniczek według tego samego programu, Zato zdołał odkryć w pracach Kona Fijego słowa potwierdzające nową tezę, że przynajmniej wysoko urodzone kobiety czasami nadają się do nauki. Najwyraźniej stare teksty w rękach uczonego stawały się tak plastyczne jak kulki ciepłego wosku, gotowe przyjąć dowolny kształt.

Mimo to trudno było mu się wyzbyć dawnego podejścia. Zato musiał być wyjątkowo zdumiony, kiedy okazało się, że pośród dziesięciu *pana méji* wybranych przez niego i innych sędziów znalazła się jedna kobieta.

Ruthi chrząknął i kontynuował.

– Jej esej był odważny i oryginalny, łączył idee fluksistowskie z moralistycznymi w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Uważam, że jej propozycja powrotu do prostszych rytuałów z epoki Ano jest warta wysłuchania.

Siedząca w drugim rzędzie Zomi wstała.

Pośród ministrów i generałów rozległy się szept i pomruki. Risana również wydawała się zdziwiona, a cesarzowa zmarszczyła brwi.

Najbardziej jednak zaskoczeni byli Luan Zya i Kado Garu.

„Udało jej się!” Luan ledwo się powstrzymał, żeby nie skoczyć na równe nogi i wykrzyknąć swoją radość.

„Kado przywołał w pamięci listę nazwisk *pana méji*, którą mu wysłano. Kim ona jest?”, zastanawiał się.

Kiedy Zomi klęczała, stan jej ubioru pozostawał niewidoczny, teraz jednak, gdy stanęła wyprostowana i wszystkie oczy zwróciły się ku niej, godne pożałowania szaty znalazły się w centrum uwagi. Jej prosta konopna sukienka była postrzepiona i dziurawa, wyraźnie widać było, że pod spodem dziewczyna nosi spodnie. Dało się też dojrzeć fragmenty upręży na lewej nodze, co wyjaśniało jej nierówny krok.

Luan Zya popatrzył na swoją podopieczną i posłał jej krzepiący uśmiech. Zomi również delikatnie się uśmiechnęła.

– Dlaczego jesteś ubrana tak biednie? – zapytał cesarz Ragin.

– Dlatego, że jestem biedna – odparła Zomi.

Zato Ruthi spojrzał groźnie na oficjeli siedzących za uczonymi, których zadanie polegało na nauczaniu *pana méji* protokołu obowiązującego na uroczystości.

– Zaproponowaliśmy, że kupimy jej suknię na dzisiaj – powiedział jeden z nich drżącym głosem. – Lecz odmówiła.

– Kawalek jadeitu owinięty szmatą do wycierania kurzu pozostaje kawalkiem jadeitu – oznajmiła Zomi. – Lecz psie gównem owinięte jedwabiem nadal zasmrodzi całą salę.

Po chwili pełnej zdumienia ciszy po Wielkiej Sali Audiencyjnej przetoczyło się echo śmiechu konsorty Risany. Pozostali *pana méji*, pojąwszy, że zostali obrażeni,

zgromili Zomi wzrokiem.

**Uśmiechając się zza firanki muszelek, Kuni pochylił się do przodu i rzekł:
– A może podzielisz się z nami swoją propozycją zreformowania Dary?**



Drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się gwałtownie. Czwórka podsłuchujących w przebieralni odwróciła się i zobaczyła małą Farę stojącą w progu z szeroko otwartymi oczami.

– Bawicie się w chowanego? – zapytała, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Podskoczyła i krzyknęła: – Chowanego! Chowanego!

Jej wołanie było tak głośne, że w Wielkiej Sali Audiencyjnej z pewnością ją usłyszano.

Dzieci popatrzyły po sobie.

– Mówilem, że to zły pomysł – rzucił Timu. – Cesarz i cesarzowa będą wściekli! – Potem przybrał jeszcze smutniejszy wyraz twarzy i dodał: – Mistrz Ruthi za karę każe nam napisać tuzin esejów, a mnie pewnie dwa razy więcej, bo was nie powstrzymałem.

W progu drzwi stanęła pokojówka; cała się trzęsła ze strachu.

– Pani Soto! Przepraszam! Księżniczka Fara uciekła, kiedy przygotowywałam jej przekąskę, a biegła tak szybko, że nie mogłam jej dogonić.

Soto odgoniła ją machnięciem ręki. Już miała powiedzieć dzieciom, żeby zmykały, gotowa w pojedynkę stanąć twarzą w twarz ze wzburzonym cesarzem, kiedy Théra przyciągnęła do siebie Farę i powiedziała spokojnie:

– Tak. Bawimy się w chowanego i właśnie cię znaleźliśmy.

– Ale to ja znalazłam was!

– Dzisiaj gramy na odwrót. Rób, co ci każe. – Dała znak braciom, żeby wyszli, otworzyła drzwi prowadzące do Wielkiej Sali Audiencyjnej, wzięła głęboki wdech i krzyknęła:

– Tu jesteś, Ada-tika! Ale sobie znalazłaś kryjówkę! Jestem pewna, że gdybyś nie zawołała, nigdy bym cię nie znalazła. A te drzwi to dokąd prowadzą?

Rozdział czternasty

Wspinaczka

Wyspa Półksiężycowa: Pierwszy rok Rządów Czterech Spokojnych Mórz (pięć lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

Chociaż z daleka zdawało się, że klif jest niemal prostopadły, znajdowała się na nim kręta ścieżka. Łapiąc za pnącza i wystające kamienie, Képułu i Séji, przewodniczki z wioski, sprawnie wspinały się na szczyt.

Kobiety były siostrami i w drodze nieustannie ze sobą rozmawiały. Chociaż Luan i Zomi nie rozumieli ani słowa, obserwując ich mimikę i komicznie teatralną gestykulację, śmiali się pod nosem. Siostry były podekscytowane swą pierwszą wyprawą na górę po długiej zimie: wiosna była dobrą porą na zbieranie ziół, dzikich roślin i kielków, a także owadów wykorzystywanych podczas przyrządzania leczniczych mikstur.

Ścieżka okazała się zbyt stroma dla kulejącej Zomi, więc Luan wziął ją na plecy. Szedł za przewodniczkami, stawiając kroki w tych samych miejscach i łapiąc za te same punkty oparcia. Dla bezpieczeństwa każde z nich było przewiązane w pasie sznurem. Dla dziewczyny fakt, że musi być niesiona przez nauczyciela, negatywnie wpłynął na jej nastrój. Nudzając się, popełniła błąd i spojrzała w dół, po czym zaraz mocniej oplotła rękami szyję Luana i trzymała, jakby od tego zależało jej życie.

– Skoro chciałeś znaleźć się na szczycie góry, dlaczego nie poleciałeś tam balonem?

– Las jest zbyt gęsty, żeby wylądować – odparł Luan. Pociągnął lekko za sznur, żeby dać znać przewodniczkom, że potrzebują chwili przerwy, dopóki Zomi się nie uspokoi. – Poza tym nie da się przyjrzeć dokładnie terenowi, jeśli popatrzymy tylko z góry.

Po chwili Zomi znowu zaczęła normalnie oddychać i kiwnęła głową na znak, że mogą ruszać.

Od czasu do czasu Képułu i Séji przystawały, żeby zebrać liście, jagody, porosty, owady i grzyby znalezione przy ścieżce. Zdobycze umieszczały w niesionych na plecach koszach. Zdarzało się, że Luan prosił, by przystanęły i podały mu takie czy inne znalezisko, po czym ostrożnie wkładał to między strony *Gitré Üthu* – a jeśli trafiał na zbyt gruby okaz, szkicował go kawałkiem węgla.

– Dlaczego tak bardzo chcesz się tam dostać? – zapytała Zomi. Wspinaczka zaczynała jej się podobać. Znajdowali się już wystarczająco wysoko, że mgła zakrywała przepaść, i na plecach Luana dziewczyna czuła się, jakby frunęła między chmurami.

– Szukam skarbu.

– Skarbu? – Serce Zomi zabiło szybciej. „Robi się ciekawie”, pomyślała. –

Skarbu piratów?

– Eee... nie do końca. Chociaż byłem tutaj już dwa razy, w tym roku jest inaczej. W czasie zimy na górze doszło do erupcji wulkanu, a ja nie miałem jeszcze szansy zobaczyć, jak przyroda wraca do siebie po takim zniszczeniu. Zauważyłaś, jaka susza panuje w wiosce? Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z wybuchem. – Z uczuciem poklepał księgę. – *Gitré Üthu* może i wydaje się gruba, lecz jest niczym w porównaniu z księgą natury, największym istniejącym skarbem.

– Porzuciłeś życie w pałacu, żeby wędrować po całej Darze, zbierać rośliny i szkicować zwierzęta?

– Niektórzy polują na trofea, ja lubię zbierać wiedzę.

Zomi pomyślała o swoich własnych długich spacerach po plaży i dniach spędzanych na chodzeniu po polach i lasach w rodzinnych stronach. Zwracała wówczas uwagę na kształt chmur, na kwitnące kwiaty i szum wiatru, licząc, że pojmie w ten sposób wolę bogów. Tak, chociaż jej nauczyciel był jedyny w swoim rodzaju, dostrzegala w nim swoją bratnią duszę.

Po oddechu Luana poznała, że zaczyna mu brakować sił, a ponieważ znaleźli się na relatywnie płaskim odcinku ścieżki, która zmieniała się w małą półkę skalną, uznała, że dobrze będzie zatrzymać się tu na odpoczynek. Wskazała na drobny krzew rosnący z boku.

– Co to? – spytała.

– Hmm... nie jestem pewien. – Luan znowu pociągnął za sznur, prosząc w ten sposób przewodniczki, żeby się zatrzymały. – Niech mu się przyjrzą.

– Najpierw postaw mnie na ziemi, żebyś mógł się do niego zbliżyć – powiedziała Zomi. Luan ostrożnie ją puścił i upewnił się, że dziewczyna stabilnie ustawiła zdrową nogę między dwoma głazami i znalazła rękami dodatkowe oparcie.

Kiedy Luan przyglądał się roślinie, *Képu* i *Séji* wyswobodziły się ze sznura i niezwłocznie, ze względów bezpieczeństwa, przywiązały go do skały. Następnie przytrzymując się pnączy, wspięły się do położonego wyżej miejsca, by zebrać ptasie jaja, trufle i całe garście najprzeróżniejszych liści. Zomi podziwiała ich pewne ruchy; wspinały się po klifie niczym pająki po swojej sieci. Przez chwilę zazdrościła im zdrowych, umięśnionych nóg, potem jednak odsunęła od siebie te myśli. Za nimi kryło się szaleństwo. Nie można kwestionować boskich wyroków.

– To fascynujące – mruknął Luan Zya. Wyciągnął nóż i odciął kilka gałązek krzewu, który wskazała mu dziewczyna.

Zomi nie widziała, co jest w nim takiego fascynującego. Wyglądał jak zwyczajna brzoza płożąca, taka, jakie rosły na stromych zboczach w Dasu. Zadała swoje pytanie wyłącznie dlatego, że liczyła na dłuższy wykład na temat rośliny, jaką już знаła, żeby w tym czasie Luan mógł odsapnąć, jednak on traktował krzak jak egzotyczną roślinę, której nigdy wcześniej nie widział.

– Co w nim takiego szczególnego?

– Spójrz, jakie ma mocne i elastyczne gałązki.

Luan trzymał w ręku garść obciętych gałęzi, z których każda miała jakieś trzydzieści centymetrów i była grubości palca. Wyginał je, żeby sprawdzić ich

wytrzymałość. Gdy skończył, przywiązał sznur do wystającego głazu, zaparł się nogami w zagłębieniu klifu, i sięgnął do sakwy u pasa. Wyciągnął z niej kawałki sznurka i wołowych ścięgien, po czym powiązał gałęzie, tworząc swego rodzaju szkielet.

– Co konstruujesz? – zapytała zaciekawiona Zomi.

– Wymyśliłem, jak ci pomóc, ale musisz mi zaufać. Możesz usiąść tutaj, przytrzymać się pnączy i podać mi swoją nogę?

Zomi popatrzyła na niego podejrzliwie. Nie podobało jej się, kiedy ludzie zwracali uwagę na jej kalectwo, a co dopiero mówić o dotykaniu niewładnej kończyny.

– Boisz się? – zapytał prowokacyjnie Luan, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. To wystarczyło. Zomi podczołgała się do niego, owinęła ręce pnączami i z wysiłkiem uniosła lewą nogę, by położyć ją na kolanach Luana.

– Ja niczego się nie boję.

– Oczywiście, że nie – odparł nauczyciel, po czym umieścił nogę dziewczyny w uprzęży. Kiedy gałęzie oplotły łydkę, zacisnął wołowe ścięgno, żeby wbiły się w skórę.

– Auć! – zawołała Zomi. Przygryzła wargę, żeby się nie rozplakać.

Luan zwolnił, a jego ruchy stały się delikatniejsze. Ostrożnie zginał i prostował nogę. Dziewczyna zamknęła oczy i zacisnęła zęby – piekło tak, jakby oblażł ją tysiąc mrówek.

– Podczas gdy twoje ciało oswaja się z tym uczuciem, mogę ci opowiedzieć o trzeciej i czwartej szkole filozofii, czyli o fluksizmie i moralizmie.

– Nie dasz mi się nudzić ani przez chwilę, co? – Chociaż udawała, że się dąsa, w rzeczywistości była wdzięczna za odwrócenie jej uwagi od nieprzyjemnych doznań.

– Życie jest krótkie, a wiedzy do poznania coraz więcej. Założycielem szkoły fluksistów jest Ra Oji, epigramatyk epoki Ano. *Dothathiloro ma dinca ça noco phia ki inganoa lothu ingroa wi igiéré néfithu miro né othu, pigin wi copofidalo*, powiedział kiedyś, co znaczy: „Moralistą jest ktoś, kto mówi, jak wszyscy powinni się zachowywać, wyłączając siebie samego”.

Zomi się roześmiała.

– Podoba mi się.

Luan zdjął lewy but Zomi i umieścił kolejne gałęzie zaraz pod jej stopą, po czym ciasno obwiązał całość ścięgnem wołu. Zacisnął je, wykręcając kolejną krótką gałąź, a potem wplótł tę część uprzęży do szkieletu osadzonego na łydce.

– Tak, Ra Oji był niezwykłym człowiekiem. Niewiele wiemy o jego życiu – tyle tylko, że był o jedno pokolenie młodszy od Kona Fijego. Musiał pochodzić z wykształconej rodziny, ponieważ jego wiedza o tradycjach Ano sprzed ich wspólnej podróży na Wielką Wyspę była ogromna. Wiele ksiąg epoki Ano zniszczonych w trakcie Wojen Diaspory znamy wyłącznie we fragmentach, które ocalały w jego wierszach i przypowieściach. Oprócz tego napisał żywą, poruszającą biografię Aruano, wielkiego prawodawcy, który stworzył królestwa Tiro. Jednak

literaturą Ra Oji zajął się później. Jako młody człowiek zasłynął dzięki krytyce Kona Fijego.

- Krytykował Jedynego Prawdziwego Mędrca? Nigdy o tym nie słyszałam.
- Och, myślę, że moralisci nie lubią, gdy ktoś im o tym przypomina.

Luan wyginał gałęzi tworzące uprząż, a niektóre nacinał nożykiem. Następnie z dwóch grubszych usunął korę, odsłaniając gładkie drewno.

- A w jaki sposób go krytykował?

– Kon Fiji przybył na dwór króla Cocru, żeby namówić go do powrotu do dawnych rytuałów pogrzebowych, które praktykowano na zatopionym kontynencie na zachodzie, będącym ojczyzną przodków Ano. Rytuały te były sztywno zdefiniowane i różne dla poszczególnych klas. Zakładały między innymi długi okres żałoby. Na przykład gdy zmarł król, wszyscy jego poddani mieli oplakiwać go przez trzy lata, po śmierci księcia przez rok, po odejściu hrabiego albo markiza przez pół roku, lorda trzy miesiące, wicehrabiego miesiąc, a barona piętnaście dni. Zwyczajni ludzie stosowali inną hierarchię i czas żałoby uzależniali od profesji zmarłego. Najniżej znajdowali się kupcy, a najwyżej rolnicy, ponieważ Kon Fiji uważał kupców za wyzyskiwaczy, którzy niczego nie wytwarzają. Istniały też zasady określające wielkość mauzoleów, rodzaje szat przywdziewanych na pogrzeby, liczbę członków pochodzących i tak dalej.

– Wszystkie te rzeczy wydają się równie potrzebne jak zasady mówiące, iloma palcami powinno się jeść makaron.

- Widzę, że będziesz się doskonale dogadywać z dworskimi moralistami.
- Niech zgadnę – Kon Fiji miał też odrębne zasady dla kobiet i mężczyzn.
- Ach, myślisz jak paternista. I masz rację.
- Wiedziałam.

Luan włożył dwa grubsze kijki w nacięcia na gałęziach wystających przy pięcie Zomi, a potem przyłączył pozostałe końce do obręczy na łydce za pomocą mocnych ściągien.

– Król Cocru był równie sceptyczny co ty. Kon Fiji przekonywał, że rytuały są potrzebne, ponieważ umacniają szacunek dla każdego tytułu czy stanowiska. Tytuły stają się prawdziwe albo, używając dokładnego terminu moralistów, są reifikowane poprzez praktykę. Abstrakcyjne koncepty ożywają przez ich odgrywanie. I podczas gdy traktowanie przyjaciół i wrogów w ten sam sposób przydaje znaczenie pojęciu honoru, oddawanie swoich rzeczy biednym dobroczynności, a zmniejszanie kar i obniżanie podatków litości, tak samo przywiązanie do pozornie abstrakcyjnych wzorów zachowania może reifikować strukturę społeczeństwa i prowadzić do powszechnej stabilizacji.

Zomi zastanowiła się.

– Jednak w takich rytuałach nie ma duszy. Wszyscy by tylko odgrywali role dyktowane przez Kona Fijego. Gdyby król dbał jedynie o zachowywanie się zgodnie z zasadami, jego honor, dobroczynność i litość nie byłyby prawdziwe.

– Jedyne Prawdziwy Mędrzec powiedziałby, że tak jak motywacja napędza czynność, czynność napędza motywację. Poprzez zachowywanie się zgodnie

z zasadami moralnymi, człowiek staje się moralny.

– To wszystko brzmi niesamowicie sztywno.

– Właśnie dlatego żywiołem moralistów jest ziemia, stabilny fundament dla dyplomacji.

– A jak to skomentował Ra Oji?

– Cóż, zaczął od tego, że nie powiedział nic.

– Nic?

– Musisz rozumieć, że Ra Oji bardzo zwracał na siebie uwagę. Podobno kiedy pojawił się na cocruskim dworze, wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni gapili się na niego z otwartymi ustami.

– Bo był bardzo przystojny? – zapytała Zomi, nieco rozczarowana. Zdążyła już wyobrazić sobie tego krytyka starego sztywnego Kona Fijego jako swego rodzaju bohatera. Jego uroda wydała jej się... niepasująca do wizji. – Czekaj, na dworze były też kobiety?

– Ach, to działo się na początku ery królestw tirojskich, obecność na dworze arystokratek, które dzieliły się swoimi spostrzeżeniami, nie była niczym wyjątkowym. Dopiero później uczeni przekonali większość królów, że kobiety nie powinny mieszać się do polityki. Jednak odpowiadając na twoje pierwsze pytanie: nie, gapili się na niego, ponieważ przyjechał na grzbiecie wołu.

– Na grzbiecie... wołu?

– Właśnie tak, na grzbiecie wołu, którego wypatrzył na cocruskim polu ryżowym przy rzece Liru. Nogi zwierzęcia wciąż były umazane błotem. Ra Oji siedział zadowolony na jego grzbiecie w pozycji *géüpa*.

Zomi roześmiała się głośno, zupełnie zapominając o głoszonej przez moralistów zasadzie, by zakrywać usta. Luan uśmiechnął się i nie zwrócił jej uwagi. W dalszym ciągu poprawiał uprząż, a dziewczyna zaczynała się już do niej przyzwyczajać

– Król Cocru zapytał skonsternowany: „Dlaczego przyjechałeś do pałacu na grzbiecie brudnego wołu, Ra Oji? Nie masz szacunku dla swojego króla?” „Ależ ja nie panuję nad wołem, Wasza Wysokość – odparł Ra Oji. – Kiedy nasi przodkowie przybyli na te ziemie, pozwolili, żeby prądy morskie prowadziły ich, dokądkolwiek zechcą, dlatego ja pozwalam, by wół szedł, gdzie mu się zamarzy. Życie jest o wiele przyjemniejsze, kiedy płynie się z Nurtem, zamiast zamartwiać się, ile razy omieść ziemię rękawami albo jak nisko się uklonić”. I właśnie w tym momencie król Cocru zdał sobie sprawę, że Ra Oji staje przeciwko Konowi Fijemu. Poglądził się po brodzie i spytał: „W takim razie jak odpowiesz na propozycję Kona Fijego, by powrócić do dawnych zwyczajów i tym samym sprawić, że społeczeństwo zacznie przywiązywać większą wagę do zasad moralnych i swoich obowiązków?”. „To proste: nasi przodkowie przybyli z kontynentu, gdzie ich życie związane było z ziemią, a ludzie wiedli spokojne życie w małych wioskach. Teraz jednak żyjemy na wyspach, gdzie wszystko determinują zmieniające się prądy morza. Nasi ludzie muszą radzić sobie z migracją ławic ryb, nieprzewidywalnymi tajfunami i tsunami, a także wybuchami wulkanów, z których wypływają rzeki lawy. Nawet ziemia potrafi się zatrzęść

w takich chwilach. Musimy wymyślać nowe logogramy, żeby opisać nieznaną nam dotąd zjawiska, a jedyną pewną rzeczą jest dla nas niepewność. Nowe warunki życia wymuszają powstanie nowych idei i właśnie dlatego najkorzystniejsza jest dla nas giętkość, nie zaś kurczowe trzymanie się tradycji”. „Jak możesz mówić takie rzeczy?! – wykrzyknął Kon Fiji. – Nasze życie może i się zmieniło, ale śmierć pozostaje taka sama. Szacunek dla zmarłych i uhonorowanie pamięci o nich czynią nas spadkobiercami wielowiekowej mądrości. Kiedy umrzesz, wolisz być pochowany jak zwykły plebejusz czy jak wielki uczyony godny podziwu?” „Za sto lat, mistrzu, obaj będziemy tylko prochem i nawet robaki oraz ptactwo pożywione naszymi truchłami zdążą przejść kilka cykli natury. Nasze życie jest kruche i krótkie, lecz wszechświat nie ma granic. W porównaniu z wiecznym światłem gwiazd jesteśmy niczym błysk pioruna podczas wiosennej burzy. Kiedy umrę, chcę być pochowany na otwartej ziemi, żeby cała Wielka Wyspa była moją trumną, a Rzeka Niebiańskich Perł moim całunem; cykady zagrają mi żałobne pieśni, a kwitnące kwiecie posłuży za kadzidło; moje ciało wykarmi tysiąc istot, a kości użyźnią ziemię. Powrócę do wielkiego Nurtu wszechświata. Takim uzaszczytowi nie mogą się równać żadne rytuały odprawione przez ludzi, którzy słuchają martwych słów czytanych z książki”.

Zomi wstała i z radości wyrzuciła w górę zaciśniętą pięść.

Luan spojrzął na nią i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Dziewczyna spuściła wzrok i zdała sobie sprawę, że opiera swój ciężar na lewej nodze. Nie dowierzając, ostrożnie oparła się na drugiej, a tę słabszą zaczęła na przemian zginać i prostować. Skomplikowane rusztowanie z giętkich gałęzi i mocnych ścięgien wołowych napinało się, użyczając swojej siły i oparcia.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała Zomi, a w jej głosie dało się słyszeć podziw i zdumienie.

– Kiedy służyłem w wojsku cesarza, spotykałem wielu weteranów, którzy stracili członki na wojnie albo przy realizacji różnych cesarskich projektów. Razem z marszałek Mazoti wynaleźliśmy protezy, dzięki którym mogli odzyskać część utraconej sprawności. Wymyśliłem, jak zaadaptować jeden z naszych pomysłów do twoich potrzeb. – Luan pochylił się i pokazał Zomi, jak ścięgnięta i gałęzie sprytnie magazynują i zwiększają energię z jej mięśni. – Całość działa trochę jak szkielet, tyle że znajduje się na zewnątrz zamiast wewnątrz. W każdym razie daje ci oparcie i zwiększa twoją mobilność.

– Jesteś czarodziejem! – Zomi zaczęła rozumieć działanie uprząży i krążyła uradowana po ścieżce. Czuli się, jakby fruwały; nie była w stanie poruszać się tak swobodnie od tamtej pamiętnej nocy, kiedy uderzył w nią piorun. Chociaż wiedziała, że podczas wspinaczki wciąż będzie potrzebowała pewnej pomocy, to po płaskim terenie była w stanie chodzić niemal tak, jakby jej noga była zdrowa.

Spojrzała na łagodną twarz Luana i przypomniała sobie, że w czasie lotu balonem w sekrecie pracował nad jakimś ustrojstwem. To jasne, że nie wymyślił tego naprędce. Jak długo opracowywał koncept i szykował prototyp, ukrywając to przed nią? Wiedział, jaka jest drażliwa na punkcie swojej nogi, więc nie chciał jej

zawstydzając, przypominając jej o kalectwie, dopóki nie wymyślił rozwiązania problemu.

Dziewczyna spontanicznie podbiegła do nauczyciela i mocno go przytuliła.

Luan odwzajemnił uścisk.

Przewodniczki, które po cichu przyglądały się konstrukcji i testowi upręży, zaczęły klaskać i wiwatować.

Zomi nie odważyła się niczego powiedzieć, ponieważ w gardle urosła jej wielka gula.



Wreszcie cała czwórka zostawiła za sobą gęste mgły i stanęła na szczycie góry. Ze wszystkich stron otaczały ich gęsto rosnące drzewa i krzewy, jednak ze względu na panujące tu silne wiatry większość z nich płożyla się i osiągała wysokość nie większą niż przeciętny wzrost człowieka.

Ruszyli przez las. Kiedy przewodniczki od czasu do czasu się zatrzymywały, żeby dołączyć nowy okaz do swojej kolekcji, Luan podbiegał do nich, żeby podpytać, jak zamierzają wykorzystać dany grzyb lub roślinę. Porozumiewali się za pomocą rysowanych patykami w piasku logogramów.

Zomi postanowiła skorzystać z odzyskanej wolności i spacerowała sama. Najbardziej podobały jej się ptaki przemykające między gałęziami i wydające najróżniejsze odgłosy.

– Jak on się nazywa? – spytała, pokazując na ptaka o cętkowanym, zielono-niebieskim umaszczeniu.

– Drozd żłobkowany.

– A ten?

– Czyż szkarłatny.

– A ten tutaj z jaskrawożółtym ogonem?

– Słońce-przez-chmury.

Wypowiadając każdą nazwę, rysował na ziemi odpowiedni logogram.

– Niektóre z ptaków przypominały te z ojczyzny Ano, więc nadali im takie same nazwy. Inne były nowe, więc przypisano im nowe słowa i nowe logogramy. Jednak, jak widać, wszystkie mają ten sam rdzeń semantyczny oznaczający ptaka. W związku z tym nawet gdybyś nie wiedziała, co dokładnie znaczy dany logogram, mogłabyś się domyślić, że chodzi o ptaka. W ten sposób logogramy Ano są źródłem wskazówek potrzebnych do rozumienia świata. Są maszynami, które przetwarzają treści z księgi natury we wzory znajdujące się w naszych umysłach.

Zomi zastanowiła się nad tym, a potem zaczęła wypytywać o nazwy różnych kwiatów i grzybów. Luan cierpliwie odpowiadał, rysując przy tym odpowiadające im logogramy. Uwielbiał ciekawość Zomi. Dzięki niej znowu czuł się młodo.

– Dlaczego w logogramie tego grzyba widzę rdzeń semantyczny kwiatu? – zapytała.

– Ponieważ kiedy tworzone pierwsze logogramy, Ano wierzyli, że grzyby są

roślinami. Dopiero znacznie później naukowcy i zielarze doszli do wniosku, że tak naprawdę tworzą oddzielne królestwo.

– A jednak pozostawili ten błąd w zapisie.

– Wiedza jest pojazdem, który porusza się również dzięki błędom i często skręca w ślepe uliczki. Taka jest natura historii, że koleiny pozostawione przez wcześniejsze wydarzenia zostają na wieki. Szerokie, brukowane ulice Kriphi powstały w miejscu, gdzie znajdowały się żwirowe drogi, gdy miasto było tylko fortecą Ano, a te z kolei wzięły swój początek ze śladów pozostawionych przez stada owiec, gdy w miejscu tym stała zwyczajna wioska. Logogramy Ano są zapisem naszej wspinaczki na górę wiedzy.

– Ale dlaczego mielibyśmy studiować zapisy błędów? Dlaczego zmuszamy następne pokolenia uczniów, by popełniali te same błędy?

Luan się zdziwił.

– Co masz na myśli?

– Kiedy Ano przybyli na wyspy, zobaczyli nowe zwierzęta i nowe rośliny, a jednak uparli się, by nazywać je i klasyfikować za pomocą przestarzałego systemu. Korzystali z logogramów, które zawierały nawarstwiające się przez wieki błędy. Chociaż wiedzieli, że źródłem myśli jest głowa, to słowo „umysł” wciąż zapisywali jako „powietrze-nad-sercem”. Dlaczego nie wprowadzili żadnej zmiany?

– To bardzo dobre pytanie, Mimi-tika. Jednak muszę cię ostrzec, że pragnienie doskonałości i świeżego startu jest bardzo bliskie filozoficznej tyranii, która nie szanuje mądrości wynikającej z tradycji. W dyskusji Kona Fijego i Ra Ojego przewaga argumentów tego drugiego wcale nie jest taka oczywista. To prawda, że życie na wyspach różni się od tego w ojczyźnie Ano, jednak serca ludzi się nie zmieniły. Wciąż przepelniają je te same ideały i pragnienia, a chciwość przeplata się z bezinteresownością i potrzebą szlachetnej ofiary. Kon Fiji wcale się nie mylił, kiedy mówił, że należy szanować mądrość przeszłości, ponieważ beztróskie odrzucanie ścieżek wyznaczonych przez minione pokolenia to wielki błąd.

Zomi się zamyśliła.

– Pierwszy raz widzę, że nie wiesz, co powiedzieć – rzekł Luan, uśmiechając się szeroko.

– Gdy cię słucham, Kon Fiji wydaje mi się... prawdziwym mędrcom.

Luan się roześmiał.

– Nie zawsze sprawiedliwie prezentowałem ci moralistów, to moja wina. Musisz pamiętać, że niezależnie od tego, czego mogą nas nauczyć i cztery główne szkoły filozoficzne, i Sto Szkół pomniejszych odnóg nauki, najważniejsza jest równowaga między nowym a starym.

– Myślałam, że najważniejsza jest prawda.

– Nie jesteśmy bogami, nie zawsze potrafimy odróżnić prawdę od fałszu, dlatego lepiej być ostrożnym.

Zomi spojrzała na logogramy narysowane przez nauczyciela. Nie wydawała się przekonana. Gdzieś spośród mgieł osnuwających las dobiegł radosny okrzyk Képu i Séji. Luan i Zomi ruszyli pośpiesznie w ich stronę. Oboje czuli nasilający

się ostry zapach dymu.

Coraz bardziej zaniepokojony Luan chciał się zatrzymać i ocenić sytuację, więc zawołał do Zomi, żeby zwolniła. Dziewczyna jednak, chwielejąc się i potykając, niestrudzenie parła do przodu. Nie mając wyjścia, ruszył jej śladem.

Wyszli na wąską polanę, która przypominała bliznę na tkance lasu.

I faktycznie była to blizna – pozostałość po erupcji wulkanu. Na zielonym zboczu spoczywał jezor zastygłej lawy. Gęsta i lepka stężała lawa, niczym mityczna Rzeka, Po Której Nic Nie Płynie, powinna być pozbawiona wszelkich oznak życia. Luan wiedział, że muszą minąć lata, żeby w tym niegościnnym miejscu znów cokolwiek wyrosło. A jednak zamiast czarnej powierzchni przypominającej fakturę lupinę gigantycznego orzecha dostrzegł polać ognistej czerwieni, tak jakby lawa dopiero co wypłynęła z głębin ziemi. Zapach dymu był przytłaczający.

Zdumiony Luan wyciągnął rękę, żeby odsunąć Zomi od niebezpieczeństwa, zaraz jednak zauważył, że Képulu i Séji tańczą dokładnie pośrodku płonącej lawy.

– To są kwiaty! – zawołała dziewczyna. Odepchnęła rękę nauczyciela i wskoczyła na jasnoczerwony jezor.

Luan się przyjrzał i spostrzegł, że istotnie całą powierzchnię zaschniętej lawy porasta dywan czerwonych kwiatów. Każdy miał jakieś trzydzieści centymetrów wysokości i kształt hiacynta. Liście, łodyżki i płatki miały ogniście szkarłatny kolor, a tam, gdzie kwiaty już przekwitły, dało się dostrzec kiście szkarłatnych jagód. Zerwał kilka owoców i odkrył, że mają twardą powłokę, przez co przypominały lakierowane koraliki. Rośliny wydzielały intensywny zapach, ostry i dymny, jakby się paliły. Jagody pachniały tylko nieznacznie słabiej. Całość wyglądała jak miniaturowy płomień.

– Uważaj na opary – powiedział Luan. – Nie oddychaj zbyt głęboko. Nie jestem zielarzem, ale tak silne i niezwykle zapachy zazwyczaj mają właściwości trujące albo halucynogenne.

Képulu i Séji ostrożnie zebrały kilka kwiatów do swojej kolekcji. Luan popatrzył na wyrywane przez nie okazy i zauważył, że korzenie, również czerwone, rozkładają się jak pajęczna sieć i trzymają się kurczowo nieprzyjaznej, twardej powierzchni. Kiedy się je zrywało, dało się słyszeć delikatne pyknięcie. Oto znaleźli prawdziwie nieustępliwą roślinę, która zadomowiła się tam, gdzie żadna inna nie miała odwagi się zapuścić. Był to prawdziwy kwiatowy pionier.

– Jak to się nazywa? – zapytała Zomi.

– Erupcja nastąpiła zeszłej jesieni, a nasze przewodniczki mówią, że nigdy wcześniej nie widziały takiego kwiatu. To zupełnie nowe odkrycie!

Képulu i Séji powiedziały coś z ekscytacją do Luana, a potem wykonały gest oznaczający prośbę. Widząc niezrozumienie na jego twarzy, szybko narysowały na ziemi kilka logogramów. Luan wyszczerzył się w uśmiechu.

– Chcą, żebym nadał roślinie nazwę. To ogromny zaszczyt.

– To jak ją nazwiesz? Mężczyzna zastanowił się, a potem znowu się uśmiechnął.

– Ponieważ ten ognisty kwiat tak niecierpliwie próbuje zdobyć ziemię, których

inni się bali, dlaczego nie nazwiemy go zomi, czyli perłą ognia?

Dziewczyna roześmiała się i zaczęła zbierać jagody.

– Chciałabym zrobić z nich naszyjnik.

Luan wstał. Planował poprosić przewodniczki, żeby zerwały dla niego więcej kwiatów, by mógł je zbadać po powrocie do wioski, jednak zawahał się, gdy na twarzach kobiet zobaczył grymas przerażenia. Odwrócił się w stronę, w którą patrzyły, i dostrzegł gęste kolumny dymu ponad miejscem, w którym znajdowała się wioska.

Rozdział piętnasty Rebelia uczonych

Pan: trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Kuni odwrócił się na tronie i zawołał:

– Théra? Czy Timu też tam jest?

– *Rénga* – odpowiedział mu po chwili drżący męski głos – twój wierny sługa jest tutaj. Naprawdę mi przy... Aaaa...

Stłumione jęki – zupełnie jakby ktoś mu zakrył usta – stanowiły tło dla głośniejszych szeptów pozostałych dzieci, które zawzięcie dyskutowały. Od czasu do czasu co głośniejsze fragmenty ich rozmowy docierały do uszu zebranych na Wielkiej Sali Audiencyjnej.

– ...cicho bądź... plan...

– ...nie zamierzam wychodzić...

– ...bądź posłuszny! ... starszej siostrze... zaufaj mi...

– ...lepiej wszyscy razem... byle nie eseje... ręce mi odpadną...

A wszystko to przy akompaniamencie chichotu czterolatki.

Wielka Sala Audiencyjna nagle jakby zmieniła się w dziecięcą pokój. Jia i Risana wydawały się przerażone, za to ministrowie, generałowie i arystokraci z trudem zachowywali powagę, ich ciała trzęsły się od wstrzymywanego śmiechu.

Zato Ruthi też się trząsał, lecz z gniewu. Wstał i pomaszerował w stronę przebieralni, szukając pośród fałd szerokich rękawów feruły, którą zazwyczaj nosił przy sobie. Niestety okazało się, że akurat tego dnia zostawił ją w swoim pokoju, ponieważ niekorzystnie wpływała na ułożenie jego oficjalnej szaty dworskiej. Kuni nakazał mu gestem, by usiadł.

– Równie dobrze mogą wejść na salę – oznajmił i tym samym ucichły naglące szepty dzieci. – To oficjalna ceremonia, na której zazwyczaj obecność dzieci jest niemile widziana, jednak myślę, że przynajmniej Timu jest dość dojrzały, by z bliska zapoznać się ze sprawami wagi państwowej.

Ciężkie zasłony za tronem rozsunały się i w szeregu wyszły spomiędzy nich dzieci, z panią Soto na samym końcu.

– Dzieci pójdą, gdzie zechcą – rzekła, jakby to wszystko tłumaczyło.

Kuni pokiwał głową.

– Rzeczywiście mają zwinne nogi. Być może bogowie przyprowadzili je tutaj nie bez powodu – rzekł i dodał z cieniem uśmiechu w głosie: – Dziecko, które nigdy nie ryzykuje, nie będzie miało interesującego życia.

– Tak mi przykro, ojcze – powiedziała Théra. – Fara jest jeszcze za mała, żeby coś rozumieć, a ja za bardzo się skupiłam na grze, żeby zauważyć, że chowa się w pokoju, do którego nie powinna mieć wstępu.

Fara zobaczyła, ile osób zebrało się na sali, a potem schowała swoją słodką,

niewinną twarzyczkę w faldach sukni starszej siostry, która troskliwie otoczyła ją ramionami.

– Ale tu ludzi, tato – rzucił Phyro. – Nie mieliśmy pojęcia! – Rozejrział się z udawanym zdumieniem, szeroko otwierając oczy.

Kuni rozsunął sznurki muszelek wiszące mu przed nosem i posłał ojcu uśmiech.

– Moźnowładcy Dary przybyli tutaj ku czci nauki. Powinno cię to zainspirować do większej pilności!

– *Rénga* – powiedział Timu, kłaniając się nisko. Był bardzo zdenerwowany, jak zwykle w obecności ojca, i chociaż jego usta się poruszały, nie wy dostał się spomiędzy nich już żaden dźwięk.

– Jesteś tutaj – rzekł Kuni. Trudno było po jego tonie poznać, czy zwyczajnie stwierdził fakt czy może chciał syna pochwalić lub zganić. Po chwili na powrót opuścił zasłonkę z muszelek. – Siadajcie wszyscy na podwyższeniu i patrzcie.

Jia zmarszczyła brwi. Oczywiście nawet przez chwilę nie dała się zwieść przedstawieniu wymyślonego przez dzieci i dobrze wiedziała, że świadomie znalazły się w przebieralni, żeby podsłuchiwać – Timu nigdy nie potrafił kłamać, co miało swoje plusy i minusy. Tyle dobrego, że wytłumaczenie Théry pozwoliło im wszystkim zachować twarz. Jia postanowiła porozmawiać później z Soto i Dafiro Miro o lepszej ochronie w pałacu.

Kuni poprawił się na tronie i już miał wrócić do przerwanej rozmowy z Zomi, kiedy dobiegło go z daleka głośnie dzwonięcie. Zupelnie jakby naraz zaczęto bić w sto gongów. Gdy wszyscy zebrani ucichli, dało się słyszeć dobiegające gdzieś w dali krzyki tłumu.

– Co się dzieje? – zapytała Risana. Krew odpłynęła jej z twarzy.

Kuni spojrział na Dafiro Miro, który stał z boku sali. Kapitan kiwnął głową i wskazał na jednego ze strażników, a ten wybiegł na zewnątrz.

– Kontynuujmy egzamin – oznajmił cesarz ze spokojem. Zwrócił się do niemal zapomnianej *pana méji*, która stała przed nim. – Zomi Kidosu, oddaję ci głos.

Wszyscy na powrót skupili na niej swoją uwagę. Zważywszy na oplakany stan jej stroju, nikt nie spodziewał się spektakularnej prezentacji. Kilku generałów zdusiło ziewnięcie, szykując się na długą przemowę.

– Już zaczęłam swoją prezentację – oznajmiła Zomi.

– Czyżby?

– Najlepsi z najlepszych z całej Dary właśnie protestują na ulicach stolicy. Właśnie to jest moja prezentacja.

Zebrani wystawili uszy. Robiło się ciekawie.

– *Cashima*, którym nie udało się trafić w szeregi *firoa*, zebrali się na placu Crubena przed pałacem, żeby zaprotestować – powiedziała Zomi. – Sądząc po hałasie, przyciągnęli wielu gapiów, z których część może wykorzystać sytuację i dopuścić się niszczenia mienia publicznego, w poczuciu, że dopóki są częścią tłumu, pozostaną bezkarni.

– Wy wszczęliście ten bunt? – zapytał Kuni ostro.

– Możliwe, że ode mnie pochodzi iskra, od której zapłonął ogień – rzekła Zomi. – Uwierzcie mi jednak, że nie bylam odpowiedzialna za niebezpieczne nagromadzenie paliwa.

Kuni raz jeszcze popatrzył na Dafiro Miro, który ruszył w stronę wyjścia z Wielkiej Sali Audiencyjnej.

– Kapitanie – zwróciła się do niego cesarzowa – być może należy wezwać żołnierzy. Zamieszki należy szybko opanować.

– Nie! – zaprotestował Kuni.

Dafiro Miro zatrzymał się i odwrócił w stronę cesarskiej pary.

– To tylko studenci – stwierdził Kuni. – Cokolwiek się wydarzy, nie rób im krzywdy.

Jia zmrużyła oczy, ale milczała.

– Skoro to ty skrzesłaś iskrę – zwrócił się cesarz do Zomi Kidosu – wyjaśnij mi, na co się skarżą?

– Uważają, że Wielki Egzamin nie był sprawiedliwy.

– Słucham? – wybelkotał Zato Ruthi.

– Ja tylko powtarzam zarzuty szeptane między uczestnikami – odparła Zomi. Rozejrzała się po pozostałych *pana méji* w sali. – Moi koledzy mogą to potwierdzić.

Ruthi spojrział na rzeczonych kolegów, a ci niechętnie kiwnęli głowami.

Wciąż klęcząc, Ruthi odwrócił się do cesarza i uklonił tak nisko, że dotknął czołem podłogi.

– *Rénga*, razem z innymi sędziami jesteśmy gotowi poddać wszystkie eseje powtórnej ocenie. Zapewniam, że nie było żadnego faworyzowania.

– Stań prosto – powiedział Kuni. – Nie zamierzam wątpić w waszą pracę tylko dlatego, że kilku uczniów nie może znieść myśli, że nie są tak inteligentni, jak im się zdaje.

– Ale to poważne oskarżenia, *Rénga*! Nie mogę pozwolić, by w ten sposób mnie oczerniano. Śmiem prosić o pełny audyt całego procesu rekrutacji i ponowną ocenę wszystkich esejów. Wasza Wysokość przekona się, że skrupulatnie trzymaliśmy się niezwykle surowych przepisów, aby zapewnić sprawiedliwość...

– Nie ma takiej potrzeby – oznajmił Kuni.

Jednak Zato Ruthi kontynuował swą tyradę. Poczzerwieniał, a z kącików ust tryskała mu ślina.

– Razem z premierem Cogo Yelu skrupulatnie opracowaliśmy niezwykle złożony system. Nakazaliśmy cenzorom, by uważnie sprawdzili każdy jeden esej, tak by mieć pewność, że studenci trzymali się zasad i nie zostawili żadnych znaków zdradzających ich tożsamość. Oszuści zostali z miejsca zdyskwalifikowani, a egzaminatorzy otrzymali wyłącznie anonimowe prace. Każdy esej został opatrzony losowym numerem, tak by kolejność ich czytania w żaden sposób nie odzwierciedlała układu stanowisk na sali, co dodatkowo utrudniało sędziom domyślenie się, kto jest autorem danej pracy. Wraz z siedmioma uczonymi niezależnie od siebie przyznaliśmy oceny w skali od jednego do dziesięciu. Ostateczny wynik powstawał po odjęciu najwyższej i najniższej oceny oraz zsumowaniu pozostałych. Jestem

absolutnie pewien, że nie istnieją podstawy do uznania egzaminu za niesprawiedliwy.

– Wiem o tym – powiedział Kuni z nutką zniecierpliwienia w głosie. – Mistrzu Ruthi, jesteście sprawiedliwi aż do przesady. Nawet kiedy stanęliście przeciwko królowej Mazoti na placu boju, nie chcieliście jej atakować, dopóki jej żołnierze nie odpoczęli i nie ustawili się w formację. Oczywiście, że nie biorę poważnie oskarżeń od rozżalonych kandydatów.

– Sprawiedliwość dotyczy jedynie metody, nie zaś istoty rzeczy – oznajmiła Zomi.

Wszyscy popatrzyli na nią ze zdumieniem, lecz ona nadal nie okazywała strachu.

– Ty... ty... – Ruthi tak się trząsał, że miał problem z mówieniem. – O-o czym ty mówisz? To nie ma nic wspólnego z twoim esejem!

– Mój esej był jedynie pastiszem waszych starych pomysłów. Najlepszym sposobem na zadowolenie sędziego jest pokazanie mu jego własnych idei w nowych szatach. Oczywiście tego cesarzowi nie zamierzam przedstawiać.

Ruthi wybałuszył oczy, podobnie zresztą jak praktycznie wszyscy zebrani. Ta młoda kobieta była albo niezwykle odważna albo wprost szalona.

Zomi ciągnęła dalej, jakby nie powiedziała nic zaskakującego.

– Mistrzu Ruthi, możesz nam zdradzić, ilu kandydatów, którzy wzięli udział w Wielkim Egzaminie, pochodziło z Haanu?

Ruthi krzyknął do strażników, a ci niezwłocznie udali się wykonać jego rozkaz. Kilka minut później jeden z nich przyniósł Ruthiemu grubą księgę. Starzec przekartkował ją i znalazł listę egzaminowanych pogrupowanych wedle pochodzenia.

– Siedemdziesięciu trzech.

– A ilu z Wilczej Łapy?

– Stu sześćdziesięciu jeden.

– Z Rui?

– Dziewięćdziesięciu sześciu.

Zomi pokiwała głową.

– Tego się można spodziewać, zważywszy na liczebność mieszkańców tych regionów. A z setki *cashima*, którzy otrzymali rangę *firoa*, ilu pochodzi z Haanu?

Ruthi spojrział na inną stronę księgi.

– Pięćdziesięciu jeden.

– Z Wilczej Łapy?

– Dziesięciu.

– Z Rui?

– Żaden *cashima* z Rui nie otrzymał w tym roku rangi *firoa*.

Zomi znowu pokiwała głową. Potem spojrziała na dziewięciu pozostałych *pana méji*, którzy siedzieli wokół niej.

– Możecie mi powiedzieć, skąd jesteście?

– Haan.

– Gójira.

- Haan.
- Wilcza Łapa.
- Haan.
- Haan.
- Arulugi.
- Faça.
- Wschodnie Cocru.

Zomi z błyskiem w oku powiodła wzrokiem po wszystkich zebranych.

– Ja, oczywiście, pochodzę z Dasu. Mistrzu Ruthi, wy jesteście z Rimy, premier Cogo Yelu z Cocru, ale co z pozostałymi sześcioma sędziami z panelu?

– Jeden jest uczonym z Arulugi, a inni to słynni nauczyciele z Haanu.

Zomi popatrzyła na cesarza.

– Myślę, że liczby mówią same za siebie.

– Co waszym zdaniem udowodniliście tą małą wyliczanką? – prychnął wściekły Zato Ruthi. – Jestem z Rimy. Gdybym rzeczywiście, jak sugerujesz, był stronnicy, to czy nie awansowałbym przynajmniej jednego studenta z Rimy?

Jego głos wzmagął się jak wichura, lecz Zomi zachowywała spokój gładkiej powierzchni lodowego jeziora.

– Mistrzu Ruthi, nie kwestionuję twojej uczciwości. Jednak nawet uczciwy człowiek może przeprowadzić niesprawiedliwy egzamin.

– Jakie znaczenie ma to, skąd pochodzą sędziowie, skoro nie mieliśmy pojęcia, kim są autorzy ocenianych przez nas esejów?

– Czy nie widzicie, jak wyglądają wyniki w oczach mieszkańców Dary? Kiedy zaszczyty rozdawane są nierówno, należy szukać wad procesu ich przyznawania. Liczy się bowiem wynik, nie procedura.

Ruthi był już tak wściekły, że aż zaczął się nerwowo śmiać.

– Mówicie jak głupiec w bajce Kona Fijego, który lamentował, że miedź nie jest tak cenna jak złoto. Liczby przez was przedstawione nie tyle potwierdzają niesprawiedliwość, co pokazują, że sędziowie dobrze wykonali swoją pracę! Wszyscy wiedzą, jak ważne dla ludu haańskiego są nauka i wykształcenie. Już dwuletnie dzieci uczy się tam klasyków z epoki Ano. Z kolei w Rui znajduje się niewiele liczących się akademii, a xańscy władcy nigdy nie poświęcali zbytnej uwagi poszukiwaniom mądrości. Właśnie dlatego cesarz Mapidéré musiał wezwać Lügo Crupo z Cocru, a cesarz Ragin, jeszcze jako król Dasu, szukał talentów w całej Darze. *Cashima* to najdoskonalsze umysły z każdej prowincji, kiedy jednak zbierze się je w jednym miejscu, naturalnie ci z Haanu przewyższają wykształceniem tych z Rui czy Dasu. Czy zamierzasz narzekać, że jabłka z façańskich sadów są większe od tych z Cocru? Albo że krab złapany w zatoce Zathin jest smaczniejszy niż ten z wybrzeża Oge? Uważam, że prawdziwym dowodem na nieprawidłowości byłby brak nadreprezentacji haańskich uczonych pośród *firoa*.

– Czy Haan to cała Dara? Czy pozostali mieszkańcy Dary są mniej wartościowi?

Ruthi rzucił księgę na podłogę i zaczął dziko wymachiwać rękami. Nie

obchodziło go już decorum i pozory.

– Cesarz kazał mi szukać mężczyzn i kobiet obdarzonych talentem, a ja skrupulatnie wypełniłem powierzone mi zadanie. Twoja obecność tutaj jest dowodem na to, że metoda działa. Chociaż pochodzisz z biednej rodziny i dorastałaś na ziemi zamieszkaną przez niepiśmiennych chłopów, dziś przemawiasz przed cesarzem i panami Dary!

– „Talent” to słowo o głębokim znaczeniu – odparła Zomi. – Czy podczas egzaminu faktycznie ocenia się talent czy też gloryfikuje określone schematy myślowe?

Ruthi się roześmiał.

– Znana mi jest krytyka egzaminów. W rzeczy samej, jako młody człowiek pogardzałem rzymskimi egzaminami do służby cywilnej z tego samego powodu. Tamte wymagały od kandydatów, by ci bezmyślnie powtarzali zapomniane epigramy Ra Ojego albo uzupełniali brakujące logogramy w mniej znanych dialogach Kona Fijego. Jedyłą umiejętnością, jaka naprawdę się liczyła, było zapamiętywanie, zaś wąski zakres zagadnień mnie brzydził. Dlatego też zmieniłem zasady egzaminowania, tak by nagradzać kreatywność, inteligencję, odwagę w myśleniu i wyrafinowanie ekspresji. Myślisz, że możliwe jest zdanie egzaminu, jeśli nie ma się intelektu ostrego niczym nożyk do pisania i nie potrafi się kształtować idei jak miękkiego wosku? Otóż wiedz, że aby zostać docenionym przez egzaminatorów, należy zaprezentować przemyślaną argumentację, wspartą trafnymi nawiązaniem do klasyków oraz pieczołowicie dobranymi przykładami z życia. Niezbędna jest także zdolność antycypowania kontrargumentów i spoglądania na problem z różnych perspektyw. Jednocześnie konieczna jest dbałość o praktyczną stronę zapisywania logogramów na ograniczonej przestrzeni, tak by mimo niebywalej presji, jak najlepiej wykorzystać niewielkie środki, którymi się dysponuje. Oto miara prawdziwego talentu!

Zomi pokręciła głową.

– Widzicie jedynie opromienioną słońcem powierzchnię morza zamiast stu ryb znajdujących się w jego toni. Podczas egzaminu w równym stopniu zwraca się uwagę na piękno ekspresji i doskonałą kaligrafię co na logikę argumentów, nie widzicie jednak, że oceny są dyktowane przyzwyczajeniami? Przez lata wy i inni sędziowie uczyliście się razem i czytaliście nawzajem swoje eseje, aż w końcu ustaliliście wspólne kryteria oceny. Zaszczepiliście je swoim studentom, którzy potem przekazali je dalej, tym samym propagując pewien ideał. Jest on wyraźnie obecny w haańskich akademiach, lecz w pozostałych częściach Dary już nie bardzo. To, co nazywacie kunsztowną kaligrafią i erudycją, stanowi jedynie konsensus uzgodniony przez ludzi, którzy przyzwyczaili się do słuchania siebie nawzajem. Kiedy uznajecie esej za dobry, robicie to tylko dlatego, że dostrzegacie w nim echo waszych własnych myśli. Nawet jeśli nie widzicie twarzy skrytych za logogramami, wybieracie kandydatów na wasze podobieństwo! Jestem tutaj, ponieważ nauczyłam się pisać lustrzanym odbiciem ukochanego przez was obrazu!

Ruthi gapił się na Zomi, wybałuszając oczy, i ciężko oddychał.

– Ty arogancka, niegrzeczna dziewucho...

Zanim jednak dokończył, do sali wszedł Dafiro Miro.

– *Rénga!* Mam pilne wieści.

Rozdział szesnasty

Walka z ogniem

Wyspa Półksiężycowa: pierwszy rok Rządów Czterech Spokojnych Mórz
(pięć lat przed pierwszym Wielkim Egzaminem)

Kiedy wreszcie zeszli z klifu po krętej, stromej ścieżce i dotarli do wioski, zastali ją pogrążoną w chaosie.

Jakiś kilometr dalej niebo lizaly gigantyczne jezory ognia, a nad polaną unosiły się ciemne kolumny skłębionego dymu. Przesłaniały domy i sprawiały, że niemal nie dało się oddychać. Nawet z tej odległości żar był nie do wytrzymania.

Obok „Ciekawskiego Żółwia” stał arystokrata ze świtą składającą się z około dziesięciu mężczyzn ubranych jak na polowanie. Kilku z nich niosło głowy dzików, których martwe oczy patrzyły na świat z permanentną wrogością.

– Szykujcie mi ten balon! – krzyczał arystokrata, kaszląc i dysząc. Jego ludzie rzucili się do wypełniania rozkazu i było po nich widać, że jeszcze niedawno biegli przez las.

Kilka metrów dalej stali mieszkańcy wioski, w tym wódz Comi. Obserwowali tę scenę w milczeniu.

– Nie stójcie tak! – wołał arystokrata. – Dlaczego nie skrzykniecie chłopów, żeby poszli walczyć z ogniem?

Mieszkańcy wioski tylko wpatrywali się w niego, nie rozumiejąc.

„Walka z takim ogniem jest absolutnie niedorzeczna”, pomyślała Zomi.

– Bierzcie łopaty i wiadra, czy co tam znajdziecie! – Arystokrata nie dawał za wygraną. – Jeśli się postaracie, może uda wam się zatrzymać ogień na tyle długo, żeby balon zdążył wznieść się w powietrze.

Wieśniacy popatrzyli na siebie, lecz nikt się nie ruszył.

– Och, na krew Tututiki! Te dzikusy nie rozumieją ludzkiego języka. – Zaczął skakać i udawać, że zbiera piach łopatą i rzuca w stronę ognia oraz że polewa go wodą z wiadra. Potem podniósł głos, jakby to miało pomóc chłopom go zrozumieć. – No już! Już! Jestem lordem Méricüso. Boicie się śmierci? Przecież to zaszczyt oddać życie za wielkiego pana!

Wódz Comi odwrócił się do niego plecami i wskazując na klify, przemówił do swoich ludzi cichym, lecz zdecydowanym głosem. Kilkoro młodszych kobiet i mężczyzn zaczęło krzyżeć, pokazując na jego nogi, a potem usiedli na ziemi w *mipa rari*, nie bez trudu. Wódz skłonił głowę, raz jeszcze wskazał na klify, po czym kontynuował wypowiedź.

Kiedy Luan i przewodniczki pobiegli, by do nich dołączyć, Zomi miała upiorne wrażenie, że właśnie ogląda przedstawienie trupy wędrownej. Kiedy pierwszy raz słuchała takiej opery, okazało się, że kwiecisty język piosenek jest dla niej zbyt trudny, dlatego musiała się domyślać ich znaczenia na podstawie wyrazu twarzy

i gestykulacji aktorów. Potrafiła wylapać unoszące się w powietrzu nitki emocji i uzupełnić kolorami puste miejsca.

„Dzieci, wioska jest skazana na zniszczenie. Domy można odbudować, a ogrody zasadzić na nowo, lecz ludzi zastąpić się nie da. Uciekajcie na klify”.

„Ale wodzu, masz chore nogi, nie przetrzymasz trudów wspinaczki”.

„Nie przejmujcie się mną. Uciekajcie! Już!”

Zomi poczuła, jak wzbierają jej łzy w oczach, a w gardle rośnie gęstwa. Myślała o matce i o tym, jak ona by się zachowała, gdyby do wioski zbliżał się ogień, a Zomi nie mogła uciec przez słabszą nogę.

– Balon nigdy się nie wzniesie, jeśli tak popłaczecie sznury – powiedział spokojnie Luan do żołnierzy, którzy ze względu na brak doświadczenia z balonami na ciepłe powietrze zupełnie sobie nie radzili.

Arystokrata, zadowolony, że wreszcie znalazł kogoś, czyją mowę potrafi zrozumieć, natychmiast podbiegł do Luana i złapał go za kołnierz.

– To twój balon? Doskonale! Szybko, przyszykuj go.

– Co się stało?

– Przybyłem do tej dziewiczej doliny, bo usłyszałem, że są tutaj dziki z kłami o niespotykanym kształcie. Ponieważ parę z nich chowało się głęboko w lesie, jeden z moich ludzi wpadł na sprytny pomysł, żeby wygonić je stamtąd ogniem.

– Nie wiesz, jak niebezpieczne jest zaproszenie ognia w tak suchą wiosnę?

– Ale zadziałało! Ustrzeliłem sześć doskonałych okazów. Nie moja wina, że wiatr tak szybko się tutaj zmienia. Musieliśmy zostawić wszystko w naszym obozowisku, ledwo udało nam się ująć z życiem. Dzięki Tututice, że cię znalazłem!

Luan pokręcił głową. Razem z Zomi podeszli do balonu, żeby rozplątać sznury i rozpaścić ogień. Kiedy płomień zabuzował i czasza balonu zaczęła się napępniać, lord i jego świata zaczęli wiwatować.

– Najlepiej już zacząć ładować gondolę – powiedział Luan do lorda Méricüso.

– Ale jest taka mała!

– Wyrzućcie wszystko, co nie jest konieczne do lotu. Pozbądźcie się posłania, koców, jedzenia, wody i wszystkiego, co da się oderwać – powiedział zirytowany Luan.

– Słusznie, słusznie. Dobre myślenie! – rzekł lord.

Kiedy żołnierze zajmowali się wyrzucaniem z gondoli wszystkiego, co nie było do niej przytwierdzone, Luan i Zomi, za pomocą bambusowych tyczek, tak układali czaszę balonu, żeby równomiernie wypełniła się ciepłym powietrzem.

– Mimi-tika – szepnął Luan – naszym priorytetem jest uratowanie wodza Comiego. Nie może się wspiąć na górę, więc ten balon to jego jedyna szansa. Później, bez względu na to, co ci każę zrobić, musisz mnie posłuchać. Rozumiesz?

– Co planujesz? – Zomi postanowiła być ostrożna. Luan mówił dziwnym tonem.

– Nie klóć się ze mną! Jestem twoim nauczycielem. Musisz mnie słuchać.

– Nie posłucham złego rozkazu!

Luan roześmiał się.

– Teraz brzmisz jak moralistka. Sam Kon Fiji rzekł kiedyś, że służba sprawiedliwości i prawdzie jest ważniejsza od wszystkich innych, nawet od posłuszeństwa wobec nauczyciela. Myślałem, że nie lubisz Kona Fijego.

– Nawet idiota może mieć czasami rację.

– Ha! Kon Fiji nigdy by nie pomyślał, że ktoś będzie go bronił w taki sposób.

Lord i jego żołnierze wreszcie zdołali wyrzucić wszystko z gondoli. Usadowili się w środku. Czterech zajęło miejsce na dole i skrzyżowało ręce, by stworzyć wygodne siedzenie dla lorda, natomiast pozostali albo weszli do środka i stanęli na koleгах albo uczepili się boku gondoli.

– Ostrożnie! Ostrożnie! Żebyście nie uszkodzili kłów! – krzyczał lord, kiedy podawano głowy dzików żołnierzom siedzącym wokół niego.

Luan pokręcił głową, patrząc na tę absurdalną scenę.

– Kto wam powiedział, że możecie wypełnić cały balon swoimi ludźmi?

– Wieśniacy mogą wspiąć się na klify. I tak właśnie to planowali.

– Dlaczego wy tego nie zrobicie? Jesteście zdrowi i silni.

Lord popatrzył na Luana jak na wariata.

– Kto wie, jak długo musielibyśmy tkwić na szczycie? Trofea zaczną niszczyć, jeśli nie trafią w porę do wypychacza zwierząt.

Luan położył dłoń na ramieniu Zomi, żeby ją powstrzymać.

– Musicie zrobić miejsce przynajmniej dla wodza Comiego – powiedział. Balon był już niemal napelniony i podrywał się do lotu. – Ja i Zomi też powinniśmy się z wami zabrać, chyba że któryś z twoich ludzi potrafi sterować. Ostrzegam, że ogień nieraz dziwnie wpływa na prądy powietrzne, więc potrzebujecie kogoś doświadczonego.

Lord popatrzył podejrzliwie na Luana i Zomi.

– Dziewczyna sobie poradzi? Nie chcę tutaj nikogo zbędnego.

Luan spojrział na krzywiących się żołnierzy, którzy podtrzymywali mięsiste uda lorda, i ugryzł się w język, by nie rzucić jakiejś sarkastycznej uwagi. Zamiast tego powiedział krótko:

– Jest młoda, ale doskonale sobie radzi.

Usta lorda rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– W takim razie nie potrzebuję was obojga, prawda? Dawać tu tę małą!

Kilku mężczyzn przytrzymujących się boku gondoli zeskoczyło na ziemię, pochwyciło Zomi i wciągnęło ją do środka. Dziewczyna krzyczała i się szarpała, ale myśliwi byli od niej silniejsi. Luan podbiegł, żeby jej pomóc, a wtedy jeden z mężczyzn wyciągnął miecz i chlasnął nim Luana. Nauczyciel zachwiał się i upadł.

Miejscowi natychmiast znaleźli się przy nim. Séji bez słowa rozerwała mu spodnie, odsłaniając głęboką ranę w udzie. Czym prędzej zajęła się zakładaniem opaski uciskowej, którą przygotowała z pasków szaty Luana, żeby zatamować krwawienie, Képulu tymczasem zaczęła szukać czegoś w swoim koszu. Wyjęła kilka liści, żuła je przez chwilę, po czym położyła na ranie, a całość owinęła czystą tkaniną.

Myśliwi wepchnęli wrzeszczącą Zomi do gondoli. Ci znajdujący się w środku rozsunęli się, żeby zrobić dla niej miejsce bezpośrednio pod tarczami i dźwigniami,

którymi obsługiwało się palenisko, a potem na powrót zajęli swoje miejsca. Ścisnęli jej nogi tak, że znalazła się w pułapce między lordem a jego dzikami.

– Puśćcie mnie! – krzyczała. – Nie będę wam pomagać!

Wściekli mieszkańcy wioski natarli na gondolę. Ludzie lorda dobyli noży.

– Przestańcie! – zawołał Luan, starając się przekrzyczeć zamieszanie. Jego głos brzmiał tak władczo, że posłuchały go obie strony. Gdy zapadła cisza, ciągnął dalej, już spokojniejszym tonem: – Posłuchaj, Mimi-tika. Musisz lecieć beze mnie.

– Nigdy w życiu! Nie odleczę bez ciebie.

– Musisz uratować wodza Comiego! Możemy go przypiąć do spodu gondoli, a wy zabierzecie go w bezpieczne miejsce. Reszta może wspiać się na klify.

– Przecież ty nie dasz rady z tą nogą!

– Oczywiście, że dam radę. – Luan zaczął się podnosić. Séji wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc, ale ją odepchnął i stanął prosto jak żuraw. – Ty zdołałaś wspinać się z uprzężą, więc ja też mogę. Nie lekceważ sztuki medycznej mieszkańców wioski.

Zomi nadal nie do końca wierzyła jego słowom, ale nieco się uspokoiła. Może rzeczywiście było to jakieś rozwiązanie.

– No już, szybko! – pośpieszał ich lord. – Jeśli chcesz uratować tego wieśniaka, dawaj go tu, zanim się rozmyślę!

Kiedy Luan wytłumaczył, o co mu chodzi, za pomocą gestów i pośpiesznie nakreślonych logogramów, mieszkańcy wioski szybko skrócili uprzęż z patyków i kawałków skóry, by za jej pomocą przypiąć wodza do gondoli.

Balon był już niemal całkowicie wypełniony, a ludzie lorda wciągnęli kotwicę. Gondola zachybotała się na ziemi, trzymana już tylko przez linę.

– Mimi-tika – powiedział Luan – nie mamy wiele czasu. Mam dla ciebie jeszcze jedną naukę.

Zomi patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie rozumiała, dlaczego jej nauczyciel akurat w tej chwili chce dyskutować o filozofii. I czemu ciągle tam stoi?

– Bez względu na to, co myślisz o moralistach, ich najważniejsze przekonanie jest słuszne: czasami trzeba zrobić to, co dobre, nawet jeśli wiąże się to z poświęceniem. Czyny konkretyzują idee. Nie możemy ustawać w próbach czynienia dobra, w próbach obrony słabych i bezsilnych. Taki jest obowiązek każdego wykształconego człowieka.

Zomi pokiwała głową, jednak w dalszym ciągu przyglądała się sztywnej postawie Luana. Ponieważ całe życie musiała się zmagać z niedomagającą nogą, zwracała uwagę na to, jak ludzie rozkładali swój ciężar na nogach.

– Jesteś mądrą młodą kobietą, Mimi-tika. Nie brakuje ci ciekawości, by szukać *terra incognita* poza granicami dogmatów, a dzięki lotnemu umysłowi potrafisz przebić się przez gąszcz dezorientujących pytań. Jesteś też jednak jak kulka wosku, niezdyscyplinowana, nieukształtowana, pozbawiona celu. Musisz oddać się skrupulatnej nauce, która niczym nożyk do pisania ukształtuje twój umysł tak, by stał się misternym logogramem oznaczającym przetwarzanie myśli. Rozumiesz?

Zomi skinęła, ale tak naprawdę nie słuchała. „Nauczyciel stoi jak żuraw, czyli opiera cały ciężar ciała na jednej nodze”.

– No dalej, już! – niecierpliwił się lord. Wieśniacy przymocowali uprząż z wodzem do gondoli. Odstąpili kilka kroków od chwiejącego się balonu akurat w chwili, gdy szarpnął nim silny podmuch. Dym zgęstniał, a płomienie były coraz bliżej. Jeden z ludzi lorda odciął sznur trzymający balon przy ziemi.

– Zabierz swoich pasażerów w bezpieczne miejsce, a kiedy ogień zgaśnie, znajdź mnie po drugiej stronie góry. Bacznie śledź kierunek wiatru i wznies się tak wysoko, jak tylko zdołasz!

Zomi sięgnęła do tarczy i przekręciła ją do maksimum. Płomień urósł jeszcze bardziej i balon z wysiłkiem uniósł się w powietrze.

– Szybciej, biegnijcie! – Luan dawał mieszkańcom wioski znaki, by czym prędzej skierowali się ku klifom. Ponieważ jednak ci nawet się nie ruszyli, zabrał jednemu z nich tyczkę i zaczął pisać na piasku.

„Nawet się nie pochylił”, zauważyła Zomi. Nagle balon się zatrzymał. Wódz Comi wciąż dotykał ziemi.

– Mamy za duże obciążenie! – krzyknął spanikowany lord. – Odetnijcie uprząż.

– Nie! – zaprotestowała Zomi. – Musimy uratować wodza. Dlaczego nie każesz wyskoczyć któremuś ze swoich ludzi? Są znacznie ciężsi i mogą wspiąć się na klify.

– Jak śmiesz... – zaczął lord, ale zdał sobie sprawę, że Zomi jest im potrzebna, żeby wydostać się z parzących podmuchów wiatru szarpiących balonem, więc ugryzł się w język. – Chyba sobie nie wyobrażasz, że życie jakiegoś dzikusa jest cenniejsze niż życie mojego sługi?

– No to wyrzuć głowy dzików! Sześć głów na pewno waży więcej niż wódz.

– W żadnym razie! To właśnie dla nich tutaj przyplłynęliśmy. – Lord posłał otaczającym go mężczyznom znaczące spojrzenie i jeden z nich szybkim machnięciem noża odciął sznury, którymi przywiązana była uprząż. W tym czasie reszta trzymała Zomi, żeby nie mogła mu przeszkodzić.

– Ty przekłety... – zaczęła dziewczyna, lecz jeden z myśliwych na odlew uderzył ją w twarz. Na chwilę ją zamroczyło. Gondolą mocno szarpnęło i balon wreszcie wznósł się w powietrze.

Zomi odzyskała przytomność umysłu i spojrzała w dół przez płataninę rąk i głów dzików, ignorując wściekły grymas lorda. Wódz Comi z wysiłkiem próbował wydostać się z uprzęży, w czym pomagało mu kilku mieszkańców wioski. Z kolei Luan, wciąż stojąc w tym samym miejscu, skrobał coś kijem na ziemi, a pozostali patrzyli. Ze względu na długość kija musiał narysować bardzo duży logogram, więc nawet z wysokości kilku metrów dziewczyna potrafiła go odczytać. Składał się z trzech komponentów.

Płynąca rzeka. Wulkan. Symboliczny kształt płomienia.

Nurt. Czerwony wulkan, symbol Pani Kany, bogini ognia, popiół, kremacja, śmierć. Ale skóra-ogień... Co to ma być?

– Muszę sterować balonem – zwróciła się do lorda, po czym się rozkaszała. Wydawała się przestraszona. Dym zgęstniał tak bardzo, że trudno było dojrzeć niebo. Szare kłęby wiły się w skomplikowanym wzorze, rysując chaotyczne prądy

powietrza, które rzucały gondolą na wszystkie strony tak mocno, że ludzie lorda musieli kurczowo trzymać się gondoli.

Myśląc, że dziewczyna wreszcie poszła po rozum do głowy, lord dał znak sługom, żeby ją puścili. Zomi niezwłocznie przekreśliła tarczę tak, żeby płomień nieco się zmniejszył, przez co balon zwolnił.

– Co ty wyprawiasz? – zaniepokoił się lord.

– Mocuję się ze świnią – odparła Zomi, po czym złapała jedną z głów i uderzyła nią lorda w twarz, celując kłębem w oko. Kiedy lord wrzasnął, a jego ludzie rzucili się ku niemu, podkreśliła płomień do końca. Balonem szarpnęło i wszyscy mężczyźni stracili równowagę. Tylko na to czekała: wspięła się na stertę ciał i wyskoczyła z gondoli.

– Mimi! – zawołał Luan. Zamierzała podeprzeć się na rękach i przekoziółkować, lecz gdy tylko dotknęła ziemi, usłyszała trzask łamiącej kości i poczuła ostre ukłucie bólu w lewej nodze. Nie mogła się ruszać. Nie mogła nawet oddychać.

Luan chciał podejść do dziewczyny, ale nie był w stanie chodzić i gdy tylko puścił kij, upadł. Séji i Képulu rzuciły się do Zomi, zerwały niepotrzebną już uprzęż i szybko nastawiły złamane kości, a potem ustabilizowały łąbkami. Dziewczyna zdołała dojść do siebie na tyle, by zaczerpnąć powietrza. Zawyla z bólu. Balon w dalszym ciągu się wznosił, a uczepieni go mężczyźni krzyczeli, resztkami sił wpijając palce w wiklinę. Złorzeczenie lorda docierało do nich jak gradobicie, lecz stawało się coraz cichsze im dalej odfruwiał balon, kręcący się pod wpływem podmuchów gorącego powietrza.

Luan podczołgał się do Zomi na rękach i jednym kolanie, ciągnąc za sobą bezużyteczną nogę.

– Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego? Dlaczego w ogóle mnie nie słuchasz?

– Bo skłamałaś! – wrzasnęła w odpowiedzi. – Nie mogłaś nawet chodzić, ale kazałaś mi wsiąść do balonu i zabrać tę świnię w bezpieczne miejsce. A wodza i tak odcięli! Luan usiadł i spróbował objąć dziewczynę, lecz go odepchnęła i zaczęła okładać.

– Obowiązkiem wykształconego człowieka...

– Skłamałaś! Chciałaś mnie odesłać i umrzeć tutaj! Ojciec porzucił mnie, by wypełnić obowiązek, ale ja nigdy, przenigdy nie opuszczę kogoś, kogo kocham, z powodu jakiejś zakichanej moralnej powinności! Nie i koniec!

– Mimi-tika, moje uparte dziecko. – Luan pogłaskał ją po plecach i westchnął. – Pamiętasz, co ci opowiadałem o fluksistach? Nurt wszechświata płynie nieubłaganie. Życ pięknie oznacza akceptować to i znajdować radość w każdej ulotnej chwili. Każdy podróżnik musi dotrzeć do ostatniego przystanku, a każde życie musi dobiec końca. Jesteśmy jak dywany w bezkresnym morzu, srebrzyste plamy mijające się w ciemnej głębinie, i powinniśmy cieszyć się czasem, który został nam darowany.

– Nie chcę żyć tak pasywnie!

– Płynięcie z Nurtem nie oznacza bierności. To zrozumienie, że istnieje

równowaga we wszechświecie, ostateczne rozliczenie. – Zomi podniosła wzrok i zobaczyła smutną twarz Luana. – Jest czas na żarliwe wezwanie Kany do boju, ale też na łagodny sen w objęciach Rapy. Moim przeznaczeniem jest umrzeć tutaj, lecz twoim nie.

– Dlaczego? Dlaczego uważasz, że masz umrzeć?

– Niegdyś doradziłem królowi, by dopuścił się zdrady, ponieważ uważałem to za słuszne, jednak nigdy nie potrafiłem zapomnieć, ilu ludzi przeze mnie zginęło... Od tamtej chwili próbowałem to odpokutować. Znaki mówią mi, że oto nadszedł ten dzień.

– A nie pomyślałeś, ty fluksisto, że naszym przeznaczeniem jest zakończyć tę podróż wspólnie?

– Ale ty jesteś młoda! Nie tak to powinno wyglądać.

– Skąd możesz wiedzieć, dokąd niesie nas Nurt?

Luan zaśmiał się pod nosem.

– Nigdy nie uważałem się za dobrego fluksistę i widzę, że nie mam szans wygrać z tobą w dyskusji. – Przytulił Zomi mocniej, a ona odwzajemniła ten gest.

Teraz ryk pożaru był tak głośny, że czuli się jak pośrodku tajfunu. W gęstym dymie i nieznośnym gorącu wszystko wydawało się migotliwe i mgliste jak we śnie.

Jednak Zomi nie podzielała nastroju Luana. Nie chciała wierzyć, że płyńcie z Nurtem, czymkolwiek jest, oznacza dla nich śmierć. Gdyby tylko nauczyciel spróbował, na pewno by coś wymyślił.

– Akt zdrady lorda może być znakiem, że wcale nie jest nam przeznaczone umrzeć.

– Czyżby? – W oczach Luana odbijał się blask ognia. – Co twoim zdaniem możemy zrobić?

– To ty powinieneś wiedzieć!

– Żadne z nas nie może się wspinać na górę, ale musimy jak najszybciej wysłać tam mieszkańców wioski.

Oni jednak nie chcieli zostawić ani wodza, ani Luana i Zomi. Wyglądało na to, że wszyscy niedługo spłoną. Ogień był już tak blisko, że tylko wąski pas lasu oddzielał go od polany, na której znajdowała się wioska.

Mieszkańcy i wódz Comi usiedli w *mipa rari*, tworząc półkole wokół Luana i Zomi.

– *Tiro, tiro* – powiedział wódz, a na jego twarzy pojawił się kojący uśmiech.

– *Tiro, tiro* – powtórzyli pozostali i złapali się za ręce, tworząc ścianę ciał.

Ponieważ Luan i Zomi byli gośćmi, mieszkańcy wioski spełniali odwieczny obowiązek gospodarzy i ochraniali ich, nawet jeśli ich poświęcenie miało spowolnić płomienie zaledwie na sekundę.

Luan i Zomi skłonili głowy.

– Wszyscy ludzie są sobie równi w obliczu bezkresu morza i zachłannej lawy – rzekł Luan, recytując stare powiedzenie moralistów. Zomi uniosła głowę, wypatrując „Ciekawskiego Żółwia”. Ze względu na duży ciężar wznosił się bardzo powoli, gondola wisiała zaledwie kilkanaście metrów nad ziemią. Balon sunął

dokładnie w stronę płomieni.

– Wygląda na to, że nawet pan Kiji, władca wiatrów, nie jest zadowolony z okrutnego lorda i jego pomagierów – powiedziała. – Pcha ich w stronę pożaru. Nie zdążą wznieść się wystarczająco wysoko, żeby ocalić skórę.

Luan zmrużył oczy i pokręcił głową.

– To możliwe, że pan Kiji się na nich rozgniewał, jednak ja przez lata nauczyłem się jak najmniej przypisywać woli bogów. Zacząłem polegać na maksymie głoszonej przez Na Mojego: „Ponieważ woli bogów nie da się poznać, łatwiej, i zapewne słuszniej, tłumaczyć zjawiska za pomocą weryfikowalnych wzorców”.

– Czy ty nie jesteś przypadkiem synem augura? To brzmi... prawie jak słowa ateisty!

– Najlepiej można oddać cześć bogom, nie obwiniając ich o nasze niepowodzenia. Bogowie mogą nas prowadzić i uczyć, a my możemy na nich polegać, mimo to wolę myśleć, że wszechświat da się poznać. Tor lotu balonu można łatwo wytłumaczyć: ponieważ ogień podgrzewa powietrze, staje się ono lekkie i wędruje ku górze, tworząc w ten sposób próżnię, w którą zasysane jest zimne i ciężkie powietrze znajdujące się dalej od płomieni.

– Tak jak w balonie, kiedy rozpalamy ogień? Kiedy zimne powietrze napływa do środka, sprawiając, że płomień staje na sztorc?

Luan pokiwał głową i się uśmiechnął.

– Właśnie tak. – Złożył dłonie w kształt trąbki i krzyknął w stronę odlatującego balonu: – Zrzućcie kotwicę! Inaczej nie wzniesiecie się na czas. Wciąż możecie uciec przez klify!

Jednak lord i jego ludzie nie odpowiedzieli.

– Może są za daleko – zastanawiał się Luan. – Możesz do nich krzyknąć? Masz wyższy głos, powinien łatwiej przebić się przez ryk płomieni.

Zomi pokręciła głową.

– Palcem nie kiwnę, żeby ich uratować.

– Nie jest to moralna...

– Nie obchodzi mnie to! Zależy mi wyłącznie na ludziach, którzy są mi bliscy.

Luan westchnął i znów przyciągnął ją do siebie. Owionął ich kolejny gorący podmuch. Mężczyzna przytulił Zomi i nie mówił już nic więcej. Po prostu patrzył, jak balon znika w gęstym dymie nad buzującymi płomieniami.

Może tamci krzyczeli, ale na dole nikt ich nie słyszał.

Nagle Zomi gwałtownie uwolniła się z uścisku.

– Nauczycielu! Chyba wymyśliłam sposób!



Luan i Zomi zostali na polanie, a mieszkańcy wioski rozbiegli się po domach i wrócili ze słojami tłuszczu do gotowania i leczniczego alkoholu, szmatami, kocami i niewielkimi meblami.

Wyglądało to tak, jakby zamiast poświęcać życie za gości, nagle postanowili zabrać ze sobą wszystko, co zdołają unieść. Wódz stał pośrodku wioski, gestykulując i wykrzykując polecenia. Zamiast ruszyć w stronę klifów, wieśniacy zaczęli rozłupywać drewniane meble, a ich końce owijali nasączonymi tłuszczem szmatami. Następnie podzielili się na dwie grupy: pierwsza zapaliła zrobione naprędcy pochodnie i załadowała na plecy resztki drewna oraz tłuszczu, druga złapała za łopaty i motyki. To uczyniwszy, ruszyli naprzeciw zbliżającemu się do wioski ogniowi.

Żar był jak niewidzialna ściana. Kilka osób zachwiało się i upadło, lecz zaraz wstały i pomaszzerowały dalej. Wszyscy bez wyjątku nosy i usta obwiązali sobie szmatami nasączonymi naparem z ziół mających zmniejszyć gorączkę, żeby mogli oddychać w duszącym dymie. Kilkoro najodważniejszych żuło zioła, żeby oszukać umysł. „Nie ma ognia. Nie ma zagrożenia”, mruzcili do siebie i parli do przodu. Mieszkańcy wioski w poszarpanych ubraniach powiewających na wietrze przypominali chmarę ciem leczących do ognia.

Zanim żar stał się nie do zniesienia, tak że nie dało się zrobić choć jednego kroku dalej, udało im się dotrzeć do linii krzaków i młodych drzewek na granicy lasu. Pożar, niczym wygłodniały potwór w klatce, miał właśnie przedrzeć się przez ten marny parawan i rozgorzeć w polanie, pożerając danie główne.

Séji wykrzyczała polecenie i pozostali przystąpili do pracy. Ci z łopatami i motykami zaczęli kopać płytki dół, wrywając trawę, zbierając suche liście i wierzchnią warstwę gleby. Pracowali szybko i wydajnie, jak jednak zwykły rów mógł powstrzymać szalejące płomienie? Ogień z łatwością przeskoczy na drugą stronę i pochłonie wioskę.

Tymczasem druga grupa rozpierzchła się po drugiej stronie dołu i w półkolu porozrzuciła kawałki drewna. Na każdy wylano trochę tłuszczu i alkoholu, a potem podpalono. Ogień przeciw ogniowi.

Postronny obserwator mógłby się dziwić desperacji, która kazała wieśniakom wierzyć, że lepiej zginąć w płomieniach wznieconych własną ręką.

Mieszkańcy wioski nie przerywali jednak swoich wysiłków, powiększając zarówno rów, jak i łuk ognia. Najwyraźniej zamierzali otoczyć nimi całą osadę.

Nowe płomienie w okamgnieniu osiągnęły trzykrotną wysokość dorosłego człowieka. Karmazynowe języki lizwały drzewa na granicy lasu.

Co dziwne, zamiast przeskoczyć płytki i na pierwszy rzut oka bezużyteczny dół, nowa ściana ognia zdawała się pochylać w stronę pożaru, niczym dziecko lękające kontaktu z matką. Wzmógł się wiatr, szarpiąc gwałtownie świeżymi płomieniami.

Drzewa na krawędzi lasu zapaliły się i płonący łuk huczał z radością, śpiesząc w ramiona pożaru szalejącego w głębi i konsumując wszystko, co znalazł na swej drodze: poszycie, leżące na ziemi konary, wciąż żywe drzewa oraz sterty na wpół przegniłych liści. Gałęzie łamały się, zielone listki zwijały w ruloniki, a kłęby dymu czerniały i gęstniały. Wieśniacy, z przypalonymi włosami i poparzonymi gardłami, ostatek sił wrócili do osady. Wzniesiona przez nich ściana ognia wypaliła znacznie

szerszą połąć ziemi, na której nie zostało już nic, co mogłoby się zapalić.

Ogień, niesiony przez wiatr wywołany leśnym pożarem, sam siebie pozbawił paliwa.



– Odważny krok – powiedział Luan z dumą.

– Wszystko dzięki twoim naukom, oczywiście – odparła Zomi, przybierając ton starego mędrca. – Gdy połączyłam incentywistyczne uwielbienie dla ognia oraz paternistyczną wiedzę o wietrze, pozostało mi już tylko zaczerpnąć odwagi od fluksistów, by wprowadzić w życie ten prawdziwie moralistyczny plan.

Luan patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Nie jestem pewien tej interpretacji...

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, a nauczyciel pokręcił głową i westchnął.

– Jesteś inteligentna, Mimi-tika, nie wiem jednak, czy zdołam nadać kształt tej kulce wosku.

Zomi, próbując się opanować, złapała go za rękę.

– Musisz przyznać, że doskonale potrafisz cię naśladować.

– Akurat! Czy ja grałem na cytrze przed upartym cielęciem?

– Dobrze, już dobrze. Przepraszam, że z ciebie zadrwiłam – powiedziała Zomi pojednawczo. – Ale muszę przyznać, że mnie zainspirowałeś.

– Czyżby?

Wskazała na logogram, który Luan narysował, gdy znajdowała się w gondoli.

Płynąca rzeka. Wulkan. Skóra-ognia.

– To wiersz Ra Ojogo, składający się z jednego logogramu – wyjaśnił nauczyciel. – Mówi o spokoju ducha w obliczu niechybnej śmierci, o popłynięciu z Nurtem.

Zomi pokręciła głową.

– Nie tak go odczytałam. – Wskazała na kolejne komponenty i powiedziała: – Płynąca rzeka. Ściana przypominająca górę. Ogień-na-zewnątrz.

– Ale to wcale...

Zomi nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nie obchodzi mnie, jak powinno się to odczytać. Przeorganizowałam komponenty twojego logogramu i stworzyłam własną maszynę idei, by osiągnąć nowy cel: zamiast poddawać się w obliczu śmierci i wierzyć w jej nieuchronność, wolałam ocalić życie swoje i innych za pomocą czynnika niosącego zniszczenie.

– Naprawdę jesteś Perłą Ognia – powiedział Luan. Przeszukał kosze pozostawione obok przez Séji i Képulu, a potem wyjął z jednego z nich szkarłatne jagody zomi. – Los zaprowadził nas dzisiaj do tych owoców. Niech twój umysł pozostanie zawsze tak żywy jak ich kolory, a twoja wola tak silna jak twarda jest ich skórka.

Kiedy zabrali się do nawleknięcia jagód na nitkę, by zrobić z nich naszyjnik, mieszkańcy wioski podeszli do nich, niosąc naczynia z cudownie chłodną wodą

zaczepniętą ze studni. W oddali dało się dostrzec dogasające płomienie.



Przez lata nauczyciel i jego uczennica wędrowali po Wyspach Dary.

Czasami latali balonem, czasami jechali konno. Letnie wieczory spędzali na małej łódce rybackiej dryfującej po zatoce Gathin, licząc i klasyfikując wylawiane z wody ryby i wodorosty. W zimowe poranki jeździli po ośnieżonych lasach Rimy na saniach ciągniętych przez psy oraz wspinali się po twardych jak lustro lodowcach góry Fithowéo. Gdy pewnego razu sunęli po niebie między szczytami gór Wisoti, podziwiając malownicze doliny na bezsznurowych latawcach, myśliwi, zadarłszy głowy, wzięli ich za kołujące orły.

Chociaż w trakcie swoich podróży studiowali cuda księgi natury, Luan zadbał również o to, by Zomi otrzymała klasyczną edukację, bardziej rozległą niż na najlepszych haańskich akademiach. Zapoznał ją z ocalałymi fragmentami dialogów prawodawcy Aruano, z opowieściami o herosach Iluthanie i Sérace z czasów Wojen Diaspory, z traktatami Kona Fijego i komentarzami innych mistrzów moralizmu. Podsunął jej dowcipne epigramy i bajki Ra Ojego i wywodzących się od niego fluksistów, nauczył najważniejszych zasad inżynierii i ich zastosowania w praktyce opisanych przez Na Mojego i paternistów, zaznajomił z esejami Gi Anjego z dziedzin prawa i polityki oraz z różnego rodzaju incentywistycznymi programami Tana Féüjego i Lügo Crupo. Oprócz tego zadbał, by poznała lirykę wielkich poetów epoki Ano, na przykład Nakipo i Luruséna; a nawet wybrane obszary zainteresowań Stu Szkół, czyli strategie militarne Pé Gonjego, ostrą krytykę Huzo Tuana oraz wspomnienia Mitahu Piatiego z życia w Rimie w czasie wczesnego okresu Tiro.

Dzięki ćwiczeniom Zomi coraz pewniej posługiwała się nożykiem do pisania i pędzelkiem. „Sztuka kaligrafii jest dla umysłu tym, czym sztuka tańca dla ciała”, powtarzał jej wielokrotnie Luan.

Nauczyła się rysować logogramy ostrymi i prostymi ruchami w monochromatycznym wosku, tak jak Ano, gdy pierwszy raz przybyli na Wyspy i wyryli swoje opowieści w kamiennych tablicach rozrzuconych w ruinach. Nauczyła się pisać w kwiecistym stylu poetów Amu, gdzie każda krawędź zostaje wygładzona, każdy ostry kąt zaokrąglony i wypolerowany, a dobór kolorów służący podkreśleniu rozlicznych niuansów stanowi sztukę samą w sobie. Nauczyła się komponować w abstrakcyjnym, lirycznym stylu cocruskich skrybów, pełnym skrótów i opartym na uproszczonych logogramach, których proste linie i ostre powierzchnie przypominały taniec z mieczami. Nauczyła się tworzyć szkice za pomocą oszczędnych pociągnięć pędzelkiem typowych dla xańskich inżynierów, którzy łączyli litery zyndari z ledwo zaznaczonymi płaskimi wersjami logogramów Ano, aby stworzyć pismo przedkładające precyzję i elegancję liczb nad wyrażane za pomocą pisma emocje. Poznała tysiąc i jeden rdzeń semantycznych, pięćdziesiąt jeden grup modyfikatorów i wszystkie adaptory fonetyczne, glify fleksyjne oraz techniki uwznioślenia tonu. Nożyk i pędzelek stały się jej orężem, dzięki nim mogła

tworzyć skomplikowane maszyny idei, by przekonywać, tłumaczyć, badać i bawić.

Od czasu do czasu odwiedzali miasteczka i wsie, żeby odpocząć i zgromadzić zapasy. Nigdzie nie zostawali zbyt długo, ponieważ Luan wołał samotność dzikiej przyrody niż hałas i pęd nowoczesnego życia.

Pewnego razu wyruszyli zbadać konstrukcję młynów wodnych. Wieczorem, po długiej podróży w płaskodennej łódce w dół rzeki Miru, udali się na spacer po plaży przed małym miasteczkiem w Haanie. W którymś momencie zatrzymali się, by podziwiać cudowny widok.

Gniazda opuszczała tysiąc dopiero co wyklutych żółwi. Pisklęta z wysiłkiem odkopywały się z ziemi, rozglądały się chwilę, a potem ruszały niezdarnie w stronę spienionych fal, których rytmiczne uderzenia o brzeg były niczym obietnica wolności. Na małe żółwie czekał ogromny wodny świat, w którym, zupełnie inaczej niż na lądzie, będą mogły się poruszać ze swobodą i gracją.

Luan zobaczył znajdujące się w oddali molo i zdał sobie sprawę, w jakie miejsce trafili. Przypomnił sobie rzeński poranek sprzed tak wielu lat, kiedy niczym pisklę żółwia zanurkował z tego właśnie molo do lodowatej wody, by wyciągnąć buty starego rybaka.

„Może to jest znak”, pomyślał.

Odwrócił się i popatrzył w zamyśleniu na Zomi. Dorównywała mu wzrostem. Już dawno przestała być dzieckiem.

– To tutaj poznałem i pożegnałem swojego nauczyciela – powiedział.

– Dawno temu? – zapytała Zomi.

– Owszem – odparł Luan i na chwilę w jego oczach zagościła tęsknota. – Każde pisklę musi kiedyś trafić do morza, a każdy student musi się pożegnać ze swoim nauczycielem.

Zomi wydawała się zdezorientowana.

– Ale ja jeszcze tak wiele muszę się nauczyć!

– Podobnie jak ja. Nie czujesz, jak woła cię szeroki świat, Mimi-tika? Zawsze znajdują się książki do przeczytania, jednak wydaje mi się, że jesteś gotowa, by samodzielnie dokonać rzeczy, o których kiedyś będzie się pisać w annałach.

– A co z tobą? Jeśli cię zostawię, kto ci będzie wieczorami parzył herbatę? Kto będzie z tobą dyskutował przy obiedzie? Kto zapyta...

– Poradzę sobie, dziecko. – Luan się roześmiał. – Poza tym zastanawiam się od jakiegoś czasu nad wyruszeniem ku nowej przygodzie. W trakcie naszych podróży widzieliśmy interesujące fragmenty wraków, które sugerują istnienie nowych światów po drugiej stronie morza.

– Te z rogatymi i skrzydlatymi bestiami? Mówiłam, że kiedyś znalazłyśmy podobny razem z matką.

Luan pokiwał głową.

– Chciałbym poprosić cesarza o pomoc w odnalezieniu tych nowych światów. Moja dusza zawsze była nieco niespokojna, nie mogę temu zaprzeczyć.

– W takim razie popłynę z tobą!

– Mnie dryfowanie przez świat w balonie albo na barce wystarcza do szczęścia.

Ale ze mnie jest stary żółw, a ty nie jesteś jeszcze gotowa, by płynąć z Nurtem. Tak jak fale zabierają piasek, tak cesarstwo poszukuje mężczyzn i kobiety obdarzonych talentem. Wielki Egzamin jest za rok, a ty jesteś gotowa, żeby wziąć w nim udział. Musisz wzbogacić swojego ducha i spełnić obowiązek.

Wyciągnął rękę i dotknął palcami naszyjnika Zomi. Jagody już dawno wyschły, a regularny kontakt ze skórą i odzieżą sprawił, że ich powierzchnia stała się gładka i błyszcząca. Jednak czerwony odcień nie zbladł ani trochę.

– Nad ranem wyruszymy do Dasu. Egzamin, do którego przystąpisz, będzie twoim pierwszym krokiem na długiej drodze do kariery.

– Nauczycielu, muszę cię o coś poprosić.

– Śmiało.

– Czy mogę nie wspominać o tym, że to ty mnie uczyłeś, dopóki nie skończą się egzaminy?

Luan był zaskoczony.

– Dlaczego?

– Jeśli osiągnę sukces, chcę, by zaważył o tym mój talent, a nie twoje nazwisko. Nie chcę więcej takich przysług jak wtedy, gdy urzędnik z Dasu zaoferował mi tak wysoką cenę za zboże. A jeśli mi się nie powiedzie, nie chcę hańbić twojego dobrego imienia i dawać ludziom do zrozumienia, że nie jesteś dobrym nauczycielem, skoro to ja byłam zbyt leniwa, by się pilnie uczyć.

– Ach, Mimi. – Luan był szczerze wzruszony jej dumą i troskliwością. – Zrób, jak uważasz. Ale wiem, że nigdy nie będę miał takiego ucznia jak ty. Z niecierpliwością czekam na dzień, kiedy wzniesiesz się na wyżyny, o których ja mogę tylko marzyć.

Zomi nie mogła powiedzieć już nic więcej, bo nagle oczy zaszyły jej mgłą, a w gardle coś ją ścisnęło. Dlatego tylko ukloniła się i zaczęła rysować logogramy w piasku.

Powietrze-nad-sercem. Człowiek. Dziecko.

Serce-w-człowieku. Serce-w-dziecku. Otwarta-dłoń-zaciśnięta-pięść.

Woda-nad-sercem.

W języku ano słowo „nauczyciel” dosłownie oznaczało „ojciec-umysł”, a czym była miłość, jeśli nie wymianą serc?

Luan uściskał dziewczynę i stali tak, dopóki wiatr nie wysuszył serca-wody z ich twarzy, a cicha muzyka gwiazd nie ukoila ich dusz.



Aki Kidosu przygotowała wszystkie ulubione potrawy Mimi: jajecznicę z suszonymi gąsienicami, świeżą potrawkę z grzybów doprawioną wiosennymi ziołami i gorzkim melonem, ciasto ryżowe nadziewane pastą z zielonego groszku i lotosu. Nie starczyło pieniędzy na wieprzowinę, lecz gąsienice były dobrze przyrządzone i naprawdę pyszne.

Mimi pałaszowała wszystko ze smakiem.

– Tak mi tego brakowało! – Cudownie było wrócić do domu po tylu latach. –
Gąsienice pachną tak słodko. Aż przypomniał mi się taki wiersz:
Białe krople wśród białych koralu,

Czerwone pałeczki między czerwonymi wargami.

Dziewczyny kosztują nasion lotosu,

patrzą, jak suną statki ku wyrokom losu.

– To z przedstawienia trupy wędrowniej? – zapytała matka. – Chyba go nie
widziałam.

– To... wiersz napisany przez księżniczkę Kikomi z Amu – odparła
zawstydzona Mimi. – Nieważne.

Razem z Luanem lubili sobie nawzajem cytować poezję. Nadawanie starym
wersom nowych znaczeń było sposobem ćwiczenia umysłu inżyniera, bowiem ten
często wykorzystuje stare części, nadając im nowe funkcje. Tutaj jednak, w tej
prostej chałupie, w której się wychowała, gdzie ściany pękały, a za podłogę służyło
gole klepisko, cytowanie księżniczki królestwa najbardziej przywiązane do
idealów piękna i wytworności wydało się Zomi nie na miejscu.

– Spróbuj gorzkiego melona! To z naszego ogrodu.

– Pyszny!

Między jednym a drugim kęsem Mimi zauważyła, że skronie matki posiwały,
a jej plecy jeszcze bardziej się zaokrągliły. Dziewczynę bolało serce, gdy myślała
o tych wszystkich samotnych latach znoju samotnego dbania o dom i pole, żeby
zarobić na daninę. Nagle zauważyła, że matka, która dopiero co żuła z zadowoleniem
kawalek trzymanego w rękach ciasta ryżowego, teraz zamarła i przygląda jej się
w skupieniu.

Mimi też przerwała jedzenie. Elegancko nabiła na pałeczkę drobny kęs, lecz
nie włożyła go do ust.

– Jesz jak córka zarządcy – powiedziała Aki. Trudno było ocenić, czy chwaliła
ją czy potępiała.

– Tak się przyzwyczailam – wyjaśniła szybko Mimi. – Razem z nauczycielem
lubiliśmy czasami dyskutować o wyjątkowo zawilych logogramach podczas
posiłków, a było nam łatwiej, jeśli mieliśmy czyste palce... A Kon Fiji powiedział,
że...

Umilkła zawstydzona. Recytowała matce poezję Amu i cytowała jej Kona
Fijego. Pewnym ruchem ściągnęła kawalek lepkiego ciasta z pałeczki, nie przejmując
się tym, jak klei się do jej palców, i włożyła sobie do ust. Odłożyła pałeczkę, celowo
kładąc ją nieelegancko, w poprzek dwóch pozostałych.

Aki kiwnęła głową i wróciła do jedzenia, lecz teraz zachowywała się niepewnie,
sztywno, jakby siedziała z córkami swojego gospodarza, mistrza Sécru Ikiégégo,
w czasie noworocznego posiłku. Zgodnie z tradycją właściciel ziemski w Nowy Rok

zapraszał chłopów na uroczystą kolację, by okazać im wdzięczność, a jego córki zawsze wówczas kpily z ich nieokrzesania.

Mimi policzyła nowe zmarszczki na twarzy matki i nowe łaty na jej sukni. Zabolalo ją serce. „Jak moge myśleć o egzaminie i ją tutaj zostawić? Już zawsze będę mieszkać z moją mamą”.

Próbowała podtrzymać rozmowę. Kiedy jednak Aki uprzejmie odpowiedziała na zachwyty córki nad jedzeniem („Och, jestem pewna, że poznałaś znacznie lepsze rzeczy w wielkim świecie”), a także na pytanie o zdrowie („Ten worek kości wytrzyma jeszcze wiele lat!”), Mimi nie wiedziała już, co więcej dodać. Przez lata przy posiłkach gawędziła z Luanem o filozofii, inżynierii, polityce, poezji i matematyce, aż w końcu zapomniała, jak powinna rozmawiać z matką. Zrobiło jej się potwornie wstyd.

– A może kiedy już zjesz, pójdziesz się zdrzemnąć? – zaproponowała Aki, przerywając niezręczną ciszę. – Przewrócę pościel na drugą stronę, żeby była czysta. – Zwracała się do niej jak do gościa, jak do córki zarządcy albo jakiejś uczonej.

– Nie chce mi się spać – odparła Mimi. – Mogę ci pomóc na polu albo w domu. Czego potrzebujesz?

Matka się uśmiechnęła.

– Och, tylko się wynudzisz. Muszę iść do mistrza Ikiégégé, pomóc jego najstarszej córce wycinać papierowe motyle na ślub.

– A czy ona nie powinna zrobić tego sama?

– Cóż, ma takie tłuste paluchy... Chociaż stara się rzucić trochę przed wielkim dniem.

Obie zachichotały. Na chwilę jakby wróciły dawne czasy, lecz zaraz Aki stwierdziła:

– Jestem już spóźniona. Jeśli się nie pośpieszę, mistrz zwiększy moją daninę o kolejnych pięć miedziaków.

Twarz Mimi stężała.

– Jak może to zrobić? Przecież danina jest stałą opłatą.

Aki przełożyła naczynia do zlewu i zabrała się do zmywania, a jej spękane palce skojarzyły się Mimi z rybami pokrytymi szorstką łuską.

– Mistrz Ikegégé mówi, że regent podniósł podatki na życzenie cesarza Ragina. Ponieważ podatki nie są ujęte w umowie, wszyscy chłopci muszą podzielić sumę między siebie. Dla Mimi nie miało to najmniejszego sensu. Dlaczego cesarz, który podobno bardzo przejmował się losem zwykłych ludzi, podnosił podatki najbiedniejszym z biednych?

– Ale mistrz Ikegégé jest bardzo szczodry – ciągnęła Aki, wycierając talerze. – Zaproponował, że swój wkład mogę odrobić, pracując u niego w domu, jako pokojówka.

Myśl, że matka musi pracować jak niewolnica w domu właściciela ziemi, przyprawiała Mimi o mdłości.

– Nie idź, mammo. Jestem już w domu, pójde za ciebie. Przepraszam, że tak

długo mnie nie było, ale od teraz nie będziesz już musiała znosić tego wszystkiego.

„Tak powinnam postąpić, prawda? Jestem pewna, że Kon Fiji poparłby tę decyzję”.

Jednak Aki, ustawiając naczynia, pokręciła głową.

– Masz teraz nowe imię, Zomi Kidosu. Nie jesteś już zwykłą córką rolnika.

– O czym ty mówisz, mamó?

Aki odwróciła się i skrzyżowała ręce na kolanach.

– Pamiętasz historię o złotym karpniu, który przeskoczył przez wodospad Rufizo i stał się dyraną o tęczowym ogonie? Ty też przeskoczyłaś wodospad, Mimitika. Masz przed sobą przyszłość, lecz nie znajdziesz jej tutaj. Nie znajdziesz jej przy mnie.

Mimi zamknęła oczy i przypomniała sobie chwilę, kiedy razem z Luanem lecieli na latawcach. Jak mogłaby spędzić resztę życia w małej, jednoizbowej chatce, na kilku akrach ziemi, tuż przy wąskiej plaży? Jak mogłaby giąć się przed gospodarzem dla kilku miedzianych monet, po tym jak krytykowała myśl filozoficzną Stu Szkół? Czy potrafiłaby znieść monotonię takiego życia, gdy już przekonała się, ile do zaoferowania ma cały świat?

– Masz niespokojną duszę – podjęła Aki. – Zawsze miałaś, lecz teraz widać to wyraźniej.

„Mama ma rację – pomyślała Mimi. – To już nie jest mój dom. Muszę znaleźć sobie nowy”.

– Sprawię, że będziesz ze mnie dumna, mamó. Zapiszę się na egzamin w miasteczku. Przyniosę ci zaszczyty i bogactwo. Zadbam o to, żebyś każdego dnia jadła biały ryż i ubierała się w jedwabie, a nocą spała na materacu wypełnionym pierzem.

Aki podeszła do córki i ją przytuliła; musiała wysoko unieść rękę, żeby pogłaskać ją po twarzy.

– Zależy mi wyłącznie na tym, żebyś była szczęśliwa, dziecko. Wypływasz na głębokie wody, kochana, i przykro mi, że twoja matka nie ma dość wiedzy i umiejętności, żeby ci w tym pomóc.

„Co mnie obchodzą obowiązki uczonych? – myślała Mimi. – Dlaczego miałabym próbować uczynić lepszym życie ludzi pokroju lorda Méricüso albo Ikigégé? Zależy mi tylko na tych, których kocham”. Odwzajemniła uścisk matki.

– Dam ci lepsze życie. Przysięgam.

Rozdział siedemnasty
Przez woal

Pan: Trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– Zomi Kidosu miała rację – powiedział Dafirow. – Kandydaci, którzy nie otrzymali rangi *firoa*, zebrali się przed bramą pałacu. Uderzali w gongi i śpiewali pieśni, domagając się, by ich eseje zostały ocenione jeszcze raz, przez innych egzaminatorów.

Kuni nakazał wszystkim ciszę. Nadstawił uszu. Nie słyszał ani bicia w gongi, ani śpiewu, ani krzyków.

– Celowo użyłem czasu przeszłego. – Kapitan nie przechwalał się, choć dało się wyczuć w jego tonie cień samozadowolenia. Jak rasowy gawędziarz, odczekał chwilę, pozwalając wybrzmieć ciszy.

Kuni rozsunął zasłonę z muszelek, żeby Dafirow mógł zobaczyć jego wyraz twarzy i przekonać się, co cesarz myśli o tych teatralnych sztuczkach.

Dafirow uklonił się i pośpieszył z wyjaśnieniami:

– Powiedziałem protestującym *cashima*, że jesteście, *Rénga*, zainteresowani ich zarzutami, jednak ponieważ jest ich tak wielu, wolałbyś się przyjrzeć pojedynczej petycji podpisanej przez najmądrzejszego z zebranych uczonych. „Cesarz Ragin osobiście przeczyta petycję, omijając pośrednictwo cesarskie nauczyciela Ruthiego – powiedziałem im i możliwe, że puściłem też oko. – Może nawet, że zgodzi się na prywatną audiencję”.

Kuni puścił luźno sznurki muszelek, żeby na powrót zasłoniły jego twarz, i uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo cwane, Daf.

Oczy Dafirow zabłyszczały.

– Miałem doskonałego nauczyciela, *Rénga*.

Usłyszawszy to, nawet cesarzowa i konsorta Risana nie umiały zachować powagi, a kilku generałów i ministrów, którzy najdłużej służyli Kuniemu, zaśmiało się pod nosem. Reputacja młodego Kuniego jako twórcy bezwstydných sztuczek była im doskonale znana.

Dafirow uklonił się Zato Ruthiemu.

– Wybaczcie, mistrzu. Pomyślałem, że wolelibyście nie spotykać się z tymi rozpieszczonymi dziećmi. Ruthi machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie obeszło go to w najmniejszym stopniu.

– Czekaj, czekaj! – zawołał Phyro, podskakując. – Tato, a jak kapitan Miro powstrzymał bunt? Nie rozumiem.

Kuni popatrzył na niego z rozczeniem – chociaż chłopiec nie widział przecież jego twarzy – a potem spojrział na Timu, który wydawał się równie zdezorientowany. Tylko Théra uśmiechała się szeroko. Cesarz westchnął w duchu.

– Daf, mógłbyś wytłumaczyć księciu, co się stało?

Dafiro kiwnął głową.

– Książę Phyro, co waszym zdaniem stało się po tym, jak powiedziałem uczonym o petycji i prywatnej audiencji?

Phyro rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

– Zastanów się, Phyro – powiedział Kuni z cieniem niecierpliwości w głosie. – Jesteś leniwy.

– Wyobraź sobie siebie na ich miejscu – wtrąciła łagodnie Risana. – Pamiętasz, jak to było, kiedy z przyjaciółmi bawiliście się w wojnę? Kto został marszałkiem?

– Ja – odparł Phyro, jeszcze bardziej zdezorientowany.

Kuni niemal niezauważalnie pokręcił głową. Phyro rzeczywiście często bawił się z dziećmi ministrów i arystokratów, lecz jako syn cesarza zawsze wybierał sobie najlepsze role. Niewielkie miał pojęcie o dynamice relacji w grupie, podobnie zresztą jak o polityce. „Trzeba temu zaradzić”, pomyślał Kuni.

Dafiro szybko przyszedł księciu z pomocą.

– Wasza Wysokość, protestujący *cashima* to ambitni uczeni. Większość z nich przywykła do tego, że jest najmądrzejszym dzieckiem pośród kolegów i koleżanek. Kiedy wspomniałem, że cesarz przyjmie petycję jedynie od najlepszego spośród nich, naturalnie każdy uważał za godnego tego miana właśnie siebie. Dodatkowo podgrzałem atmosferę, sugerując, że osoba ta dostąpi też zaszczytu prywatnej audiencji u cesarza – co jest niemal tak dobre, jak miano *pana méji*.

W oczach Phyro pojawił się błysk.

– Czyli... zaczęli klócić się o to, kto jest najmądrzejszy – powiedział. Żałował, że nie mógł obejrzeć tego ekscytującego spektaklu.

Dafiro pokiwał głową.

– Ale są uczonymi, Wasza Wysokość, więc ich kłótnia jest... jak powinienem to ująć... odbywa się na innym poziomie niż walki między żołnierzami.

– Załóż się, że teraz ścigają się w cytowaniu najmniej znanych fragmentów z Kona Fijego – zaśmiał się Phyro. Timu posłał mu groźne spojrzenie i ukradkiem pokazał na Zato Ruthiego, który udawał, że nic nie słyszy.

– To też, owszem – przyznał Dafiro. – Zaczęli też wytykać sobie nawzajem błędy gramatyczne, a potem błędy w poprawach błędów, a na koniec błędy w poprawach popraw. Jeden zaczął sarkastycznie komentować akcenty, w jakich deklamowano epigramy Ano, inny zwrócił uwagę na anachroniczny styl przemów. Ja tylko stałem z boku i słuchałem. Wreszcie, gdy zaschło im w gardłach, pokazałem im, gdzie znajdują się najlepsze karczmy w Pan. Będą spierać się i dyskutować przez resztę dnia. *Cashima* zabrali ze sobą gongi, a reszta tłumu albo ruszyła ich śladem, żeby pooglądać darmowy spektakl, albo się rozeszła.

– Właśnie dlatego Ra Oji powiedział kiedyś: *Dogido çalusma co jhuakin ma dümon wi crulufëü lothéta, noai lothu ro ma gankén do crucruthidalo* – dodał Kuni. – Gdyby dziesięciu uczonych miało wzniecić powstanie, trzy lata zeszłoby im na ustalenie samej nazwy ich frakcji.

Phyro roześmiał się tak głośno, że zaczął kasłać.

– To brzmi jak... hm... doskonale byś do nich pasował, Toto-tika.

Timu aż poczerwieniał, nie potrafił się jednak w żaden sposób odgryźć.

Théra zauważyła zażenowanie malujące się na twarzach pozostałych *pana méji*, którym nie podobało się to naigrzanie się z ich kolegów i koleżanek. Przybrała poważny wyraz twarzy i rzekła do Dafiro:

– Dziękujemy za waszą szybką reakcję, kapitanie Miro. Jestem pewna, że ojciec z radością przyjął informację o zażegnaniu konfliktu w sposób, który pozwolił uniknąć skrzywdzenia uczonych, kręgosłupa cesarskiej biurokracji. Są oni prawdziwym skarbem Dary.

Ukloniła się przed Dafiro w *jiri*. Kapitan spoważniał i odpowiedział głębokim ukłonem. Timu i *pana méji* wyraźnie się rozluźnili.

Kuni przyjął jej uwagę z zadowoleniem.

– Porozmawiam ze studentami, kiedy już wybiorą swojego przedstawiciela. Stawka jest bardzo wysoka, więc uczucie rozczarowania porażką można uznać za zrozumiałe. Nie mam jednak cienia wątpliwości, że egzamin był sprawiedliwy, i postaram się przekonać do tego samego uczonych.

Zomi Kidosu, która milczała przez całą rozmowę Miro z dziećmi, teraz postanowiła się wtrącić.

– Może spacyfikowałeś protestujących *cashima*, odwracając ich uwagę, lecz podstawowy problem, jakim jest niesprawiedliwość egzaminów, pozostaje.

Wszyscy zgromadzeni przypomnieli sobie, że wciąż trwa Egzamin Pałacowy. Dafiro wycofał się na swoje miejsce, dzieci zamilkły i usiadły, a Kuni wyprostował się i na powrót całą swoją uwagę skupił na Zomi.

– Mówiłaś o tym, jak wysoko ocenione eseje odzwierciedlają gusta akademików z haańskiego Ginpen – powiedział. – Być może jest to słuszna krytyka. Jednak minie wiele czasu, zanim mieszkańcy pozostałych regionów Dary oddadzą się nauce z takim samym zapalem jak Haańczycy.

Zomi pokręciła głową.

– *Rénga*, to nie wszystko. Nawet gdyby wszystkie prowincje Dary mogły się poszczycić akademiami równie szanowanymi co te w Ginpen, egzamin nadal nie spełniałby swojej roli, którą jest szukanie utalentowanych ludzi. Spójrzcie na *cashima*, którzy tak łatwo dali się zmanipulować kapitanowi: są głupcami o wąskich horyzontach, którzy zapamiętali dziesięć tysięcy logogramów ano i myślą, że wiedzą już wszystko. Taka ubogość ducha nie może zaowocować prawdziwym pięknem, gracją albo lotnym umysłem.

Kuniego oszołomiła na chwilę jej zapalczywość, jednak wtedy odezwała się Risana:

– Zomi Kidosu, czyżbyś miała inne zdanie na temat tego, co powinno być uznawane za piękno, grację i lotność umysłu?

Zomi pokiwała głową.

– Mistrz Ruthi mówi o wadze przykładów z życia zastosowanych w argumentacji, lecz życie jego uczniów różni się od życia większości poddanych

cesarza, tak jak różne jest życie wypielegnowanej róży w szklarni od życia przydrożnego mlecza. Ten człowiek rysuje wizję świata, w którym jego rodzina ma władzę absolutną nad królestwem. Ten z kolei życzy sobie zmian w prawie i systemie podatkowym, aby jego rodzina mogła się jeszcze bardziej bogacić. Ubierają te wizje w słowa martwych filozofów, ale ja widzę tylko brzydotę i hipokryzję. Spójrzcie tylko na nich. – Zomi pokazała pozostałych *pana méji*. – Żaden z nich nie musiał pracować na swój następny posiłek ani nie musiał błagać zarządcy o zwolnienie z pańszczyzny...

Twarz Kuniego, skryta za zasłoną z muszelek, drgnęła.

– Wątpię, by którykolwiek potrafił odróżnić ziarno sorgo od ziarna pszenicy albo znał wagę ryb w łodzi po całym dniu łowienia w zatoce Gaing. Nigdy nie spocili się przy ciężkiej pracy, nie skaleczyli sierpem podczas żniw, nie nabawili bolesnych odcisków podczas połowów. Czy któryś z członków Kolegium Adwokatów powiedział wam, że podatek nałożony na kupców ostatecznie obciążą rolników, zamiast im ulżyć?

Kuni pokręcił głową.

– Kiedy kupcy, którzy jak słusznie zauważyła cesarzowa, często są posiadaczami dużej ilości ziemi, muszą zapłacić wyższy podatek, obarczają nim dzierżawiących pola rolników, zwiększając czynsz.

– To nie tak powinno...

– Wiem, że to nie powinno się wydarzyć. Ale się wydarza, a jedną z ofiar jest moja matka. Możecie mieć swoje edykty i prawa, jednak w wioskach bogacze i tak będą robić to, co im się żywnie podoba, a biedni będą musieli ich słuchać. Tu, w pałacu, nikt nie słyszy głosów biedoty, dlatego też nie rozumiecie ich problemów.

– Nie zawsze byłem cesarzem Dary – rzekł cicho Kuni. – Kiedyś byłem tylko chłopcem, który stał przy drodze, by obejrzeć pochód Mapidérégo, i kręcił się po targowiskach w Zudi, niczego nie mogąc sobie kupić. Zdarzało się, że nie wiedziałem, kiedy przyjdzie mi znowu zjeść ciepły posiłek.

– Tym bardziej, Wasza Wysokość, powinieneś wiedzieć, o czym mówię. Ty tymczasem wierzysz przekłamanym raportom, zamiast zważyć rybę!

Kuni już miał zacząć się bronić, lecz Zomi nie dała sobie przerwać.

– I spójrz na nich. – Znowu zamaszystym ruchem wskazała *pana méji*. – Wszyscy są mężczyznami! Może i otworzyłeś kobietom drogę do służby cywilnej, lecz tylko kilkadziesiąt osób spośród *cashima* przybyłych do Pan na Wielki Egzamin jest płci żeńskiej, a z nich ledwie garstce przyznano rangę *firoa*. Czy członkowie Kolegium Adwokatów wiedzą coś o pięknie cenionym przez kobiety, którego celem nie jest rozkosz mężczyzny? Albo o znojach matek, które muszą wychowywać dzieci bez żadnych przywilejów nadawanych mężczyznom? Albo o powodach, dla których sprzedają się do domów indygo? Albo dlaczego dla tak wielu z nich rozsądnym wyjściem jest małżeństwo przypominające niewolę?

Risana mimowolnie zaczęła energicznie kiwać głową. Wciąż żywe były jej wspomnienia o życiu z matką, gdy jeszcze nie знаła Kuniego Garu. Zgromiła się w myślach za to, że skupiwszy się na troskach pałacowego życia, nie zrobiła więcej

dla tych, których spotkał podobny los. Ta młoda kobieta była dla niej inspiracją.

– Czy *firoa* może reagować inaczej niż pogardą, słysząc prostą pieśń rybaka w jego dialekcie? – ciągnęła dalej Zomi. – Czy dostrzegają pomysłowość córki rolnika, która z opakowania po pieczonych orzechach złożyła pięknego papierowego karpia? Czy potrafią docenić, i czy ty, Wasza Wysokość, potrafisz docenić, przykłady z życia zwyczajnych ludzi? Już zapomniałeś...

– Nie możemy zaprzestać wypływania w morze tylko dlatego, że nie zdołamy złapać wszystkich ryb! – wykrzyknął cesarz. Odczekał chwilę i kontynuował spokojniejszym tonem: – Przed rządami Mapidérégo w niektórych prowincjach stanowiska były dziedziczone, zaś w innych oddawano je wyłącznie właścicielom ziemskim. To Mapidéré dopuścił do egzaminów wszystkich mężczyzn, chociaż w praktyce sędziów dało się przekupić. Rozszerzyłem zasięg egzaminów na wszystkich bez względu na płeć czy status społeczny, a także zapewniłem sprawiedliwość poprzez ujednolicenie pytań i kryteriów oceny w całej Darze. Nawet jeśli moje egzaminy pozostają niedoskonałe, czyż nie są lepsze niż wszystko, co było wcześniej?

– Wybacz, *Rénga*, ale brzmisz jak rybak z łodzią wypełnioną zgniłymi rybami, który śmieje się z innego, który ma jeszcze więcej zgniłych ryb.

– Perfekcji nie da się osiągnąć w krótkim czasie! Cesarskie egzaminy może nie wyróżnią wszystkich ludzi obdarzonych talentem, jednak stanowią promyk nadziei dla pilnych i niezamożnych uczniów. Pochodzisz z biednej rolniczej rodziny, a jednak znalazłeś się dzisiaj pośród najbardziej cenionych uczonych Dary. Jesteś żywym dowodem na słuszność mojej wizji.

– Moja osoba nie jest dobrym przykładem – powiedziała Zomi. – Miałam wielkie szczęście pobierać nauki od... nauczyciela, z którym niewielu mogłoby się równać, a kiedy wydawało się, że szansa na wzięcie udziału w egzaminie zostanie mi odebrana, z pomocą przyszli mi wpływowi nieznajomi. Miałam szczęście, nic poza tym.

Luan, chociaż rozpierała go duma, nie dał niczego po sobie poznać. Zomi była zdeterminowana, by do końca egzaminów nie zdradzać jego tożsamości, więc musiał za wszelką cenę ukrywać łączące ich relacje. „Jesteś orłędziem wlatującym w niebo – powtarzał w myślach. – jesteś pisklędziem żółwia nurkującym w morzu”.

– W takim razie wołaj bogów było, żebyś została wywyższona nad innych – rzekł Kuni. – Ja trafiłem na tron Dary w równym stopniu dzięki umiejętnościom i szczęściu. Ślepy los kieruje naszym życiem częściej niż jesteśmy gotowi to przyznać.

– To desperacja, *Rénga*. Jeśli szukasz prawdziwego talentu, nie zachowuj się jak poławiacz pereł, który nurkuje tylko przy nabrzeżu, licząc na to, że przypadkowa fala przyniesie cenne perły w miejsce znajdujące się w jego zasięgu.

Gdy słowa te wybrzmiały, w Wielkiej Sali Audiencyjnej zapanowała cisza.

Niespodziewanie przerwał ją książę Phyro.

– Mówisz, jakbyś zazdrościła dostatku innym uczonym. Ale ich rodziny musiały pracować równie ciężko jak twoja, żeby zgromadzić majątek, więc dlaczego ich dzieci nie miałyby skorzystać na tym, że urodziły się w zamożniejszej rodzinie?

Risana i Kuni popatrzyli na chłopca. Risana już miała go skarcić za odzywianie się podczas uroczystości, lecz Kuni powstrzymał ją gestem.

– Może rzeczywiście można na to tak spojrzeć – odparła Zomi. – Wyjaśnię to zatem inaczej. – Odeszła na bok, stanęła przed Zato Ruthim i ukloniła się.

– Mogę je pożyczyć? – zapytała, pokazując na drewniane skrzynki z esejami. – Nie przygotowałam prezentacji, więc muszę improwizować.

Zaskoczony Ruthi pokiwał głową.

Zomi wzięła cztery pudełka, wróciła na swoje miejsce i rozłożyła je jedno obok drugiego na podłodze. Klęknęła i ukryła je pod suknią, udając, że wkłada coś do środka. Potem wstała i zrobiła krok do tyłu.

– Włożyłam do środka pewny skromny prezent dla was – powiedziała, patrząc po kolei na Timu, Théré, Phyro i małą Farę. – W jednym z pudełek znajduje się kawałek tortu tysiąca warstw, polanego słodkim miodem i pełnego nasion lotosu. Trzy pozostałe są puste. Każde z was może wybrać dowolne pudełko. Jeśli któreś z was wylosuje ciasto, nie musi się nim dzielić z pozostałymi. A ci, którzy wylosują puste pudełko, nie mogą narzekać. Podoba wam się taki układ?

– Eee... – wyjąkał Phyro.

– To niesprawiedliwe – rzuciła Fara słodkim dzieciennym głosikiem. – Powinniśmy się podzielić!

– Dlaczego to niesprawiedliwe?

– Nie zrobiłem nic złego – stwierdził Phyro. – Dlaczego miałbym dostać puste pudełko?

Zomi popatrzyła na niego.

– Każdy z nas przed narodzinami był tylko niezrealizowanym potencjałem. W chwili inkarnacji nie mamy wpływu na to, czy zostaniemy synem cesarza czy córką chłopca. Woal zostaje podniesiony dopiero w chwili narodzin i wtedy otrzymujemy pudełko, które determinuje nasz los bez względu na nasze zasługi. A jednak wszyscy wielcy filozofowie twierdzili, że w oczach Ojca Świata, Thasoluo, nasze dusze są sobie równe. Byłoby naprawdę przedziwnym, gdyby nasze pojęcie sprawiedliwości, kultywowane przez całe pokolenia uczonych, nie mogło dorównać pojęciu sprawiedliwości wyznawanemu przez czteroletnie dziecko.

Phyro się zaczerwienił, lecz nic nie odrzekł.

Niespodziewanie z pomocą przyszedł mu starszy brat, Timu.

– To zwykły sofizmat, Zomi Kidosu.

Zomi popatrzyła na niego zimno.

– Źle zrozumiałaś przesłanie filozofów Ano – wyjaśnił. – To, że nasze dusze są równe w oczach Ojca Świata, nie oznacza jeszcze, że osiągniemy równość materialną. Mędrcy uczą nas, że mężczyźni i kobiety rodzą się, mając różny status, lecz każdy ma swoją rolę do odegrania w harmonijnym spektaklu życia. Mówisz, jakby bycie chłopem było czymś złym, lecz szlachetność człowieka biednego ma wyjątkową wartość. Mówisz, jakby bycie królem było czymś dobrym, lecz zmartwienia króla są tak wielkie jak jego radości. Żadne życie nie jest z założenia lepsze od innego, a każdy człowiek powinien dążyć do możliwie najlepszego odgrywania roli, jaka przypadła

mu w udziale. Nie wszyscy pragną tortu tysiąca warstw. To jest prawdziwa mądrość.

– Rozumiem – odparła Zomi. – Z pewnością nie pogniewasz się zatem, jeśli zjem kawałek tortu tysiąca warstw, a tobie dam do wylizania papier, w który był zawinięty? A może od razu zamienimy się miejscami, żebym ja mogła doświadczać cierpienia twoich licznych pałacowych trosk, zaś ty otrzymasz szansę na szlachetne życie w mojej krytej strzechą chacie?

Timu zabrakło słów.

– Ty... ty...

Cesarzowa Jia spojrzała na Zomi lodowatym wzrokiem.

– Timu, nie mów już nic więcej.

– Czyli w którym pudełku jest tort tysiąca warstw? – zapytała Fara. – Mogę zobaczyć?

Zomi kiwnęła głową.

Fara otworzyła pierwsze pudełko; okazało się puste.

– Mogę spróbować jeszcze raz? – zapytała i spojrzała na Zomi, a ta znowu skinęła.

Fara otworzyła drugie pudełko, a potem trzecie i czwarte. Wszystkie były puste.

– Gdzie jest tort?

– Nigdzie.

Fara popatrzyła na nią zmrużonymi oczami.

– Ale mówiłaś, że jest!

– Dla większości utalentowanych ludzi w Darze właśnie tak wygląda szansa, jaką obiecują cesarskie egzaminy.

– Najwyraźniej zamierzasz zaproponować coś, o czym nie wspomniałaś w swoim eseju – rzekł Kuni. – Może już czas, żeby przejść do rzeczy.

Luan Zya wpatrywał się w Zomi z malującym się na twarzy napięciem, jednak ona nie spojrzała na niego ani razu. Jej wzrok skupiony był na cesarzu.

– Proponuję, by podczas egzaminów zrezygnować z logogramów i klasycznego ano – oznajmiła pewnym głosem. – Eseje powinny powstawać wyłącznie przy użyciu pisma zyndari i w języku ojczystym.

Kuni zamarł, podobnie jak wszyscy zebrani na sali ministrowie, generalowie i arystokraci. W Wielkiej Sali Audiencyjnej zrobiło się tak cicho, że dało się słyszeć tylko odległe głosy dochodzące zza bramy.

Zaraz zaczęły się podnosić pełne niedowierzania szeptu, a kilka osób się roześmiało.

Théra spijała każde słowo z ust młodej kobiety. Nigdy wcześniej nie słuchała nikogo tak odważnego, tak oryginalnego. Zomi była jak błyskawica, która rozświetliła ciemne niebo; Théra nigdy by nie uwierzyła, że da się tak prosto przewrócić świat do góry nogami, przedefiniować go tak, jakby nic, co było wcześniej, się nie liczyło.

– Z pewnością nie... – zaczął Kuni.

– Nedorzeczne! – Ruthi najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy albo nie

przejmował się tym, że przerwał cesarzowi. – Jeśli mamy zrezygnować ze sprawdzania znajomości logogramów klasycznego ano, równie dobrze możecie zakazać piśmiennictwa w ogóle!

– To nieprawda. Dziecko potrzebuje zaledwie miesiąca, żeby opanować litery zyndari i zacząć pisać w ojczystym języku. Jednak my uznajemy pisanie za pomocą liter zyndari za nieakceptowalne i wymagamy długich lat kształcenia, aby poznać zawiloci martwego języka dawnych filozofów i tak naginać nasze myśli, by pasowały do ich form. Do szkół uczących logogramów uczęszczać mogą jedynie ci, którzy nie muszą utrzymywać się z owoców pracy fizycznej. Argumenty cenione w takim systemie są skostniałe, pozbawione życia i zorientowane wyłącznie na przeszłość. Jeśli odrzucimy potrzebę znajomości logogramów i zaczniemy spisywać mądrość nowego wieku w ojczystym języku za pomocą jedynie liter zyndari, w całej Darze nauka rozkwitnie, a ty, Wasza Wysokość, z łatwością znajdziesz takie talenty, jakich potrzebujesz. Zamiast szukać pereł w płytkich wodach nabrzeża Haanu, zarzucisz sieci na cały ocean. Nie twierdzę, że należy całkowicie zrezygnować z logogramów. Doskonale znane mi jest ich piękno i wiem, jak potrzebne są w literackiej ekspresji, kultywowaniu tradycji, porozumiewaniu się między ludźmi mówiącymi różnymi dialektami, w tworzeniu i kształtowaniu światopoglądu, który daje radość i komfort. Jednak cena, jaką trzeba zapłacić za używanie logogramów na egzaminie, jest zbyt wysoka. Kocham logogramy tak samo jak wy, może nawet bardziej, a jednak miłość nie oznacza, że musimy trzymać się czegoś kurczowo, jeśli nie jest to dla nas korzystne. Nadszedł czas, żeby porzucić stare maszyny i przemodelować umysły Dary.

Nagle w całej sali rozległy się okrzyki oburzenia i protesty.

„Teraz – pomyślała Zomi – oby tylko mój sekret pozostał nieodkryty”.

Rozdział osiemnasty Spadkobierca imperium

Pan: trzeci miesiąc szóstego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Na tyłach pałacu, za murem oddzielającym publiczne sale od kwater prywatnych, znajdował się ogród.

Zajmował obszar wielkości średniego pola uprawnego, nie był więc szczególnie duży jak na standardy starych królów Tiro – którzy często posiadali prywatne tereny łowieckie i nadmorskie kurorty o powierzchni tysięcy akrów – jednak został misternie rozplanowany.

Zachodni kraniec ogrodu należał do cesarzowej Jii, która posadziła tam piękne kwiaty oraz pożyteczne zioła. Przeróżne odmiany chryzantem i róż w każdym odcieniu rosły w ozdobionych obsydianem i korałem donicach ustawionych w koncentrycznych pierścieniach, które imitowały kształty poszczególnych kwiatów (dzięki donicom łatwiej było przenieść rośliny do szklarni na chłodne miesiące). W schludnych grządkach nieopodal rosły zioła z całej Dary. Każde było opatrzone etykietą zawierającą nazwę rośliny, jej pochodzenie, a czasem także ostrzeżenie, jeśli była toksyczna. Pośrodku znajdowała się szopa, stylizowana na cocruski sklep z medykamentami, jakby żywcem przeniesiony z ulicy Zudi.

Wschodnia część ogrodu należała do konsorty Risany, która postanowiła stworzyć tam labirynt z grubych, przystrzyżonych krzewów; kamieni z głębi jeziora, o dziwacznych kształtach przywodzących na myśl ogromną gąbkę; formacji koralowych przywiezionych z nad morza oraz kilku niewielkich stawów z mgławicami kolorowych karp. Tu i tam rosły zioła znane z właściwości halucynogennych, a Risana od czasu do czasu zabawiała dzieci, praktykując sztukę zaklinania dymu i zmieniając labirynt w fantastyczną krainę pełną przyjacielskich nieśmiertelnych, którzy udzielali mądrych rad, i mitycznych potworów, na które dzieci reagowały pełnym przestrawem śmiechem.

Jednak ci nieliczni, którzy mieli zaszczyt wejścia do ogrodu, zgadzali się, że to środkowa jego część, będąca pod wyłączną opieką samego cesarza, jest najbardziej niezwykła.



Dzieci, które zostały w Wielkiej Sali Audiencyjnej już po zakończeniu Egzaminu Pałacowego, żeby przyjrzeć się wszystkim panom Dary wychodzącym na zewnątrz zgodnie z hierarchią i wiekiem, niczym w drobiazgowo zaplanowanym tańcu – po prawdzie motywowała ich głównie chęć ucieczki przed niechybnym besztaniem przez matki za zakłócanie uroczystości – w końcu udały się do prywatnych kwater na tyłach pałacu.

Przeszły przez pilnowane przez strażników drzwi w Murze Spokoju, pokonały mały łukowy mostek nad strumykiem płynącym z zachodu na wschód, który znaczył granicę między publiczną a prywatną częścią pałacu, i weszły do ogrodu.

Po ich lewej stronie znajdowało się zalane pole, gdzie na wiosnę miał wyrosnąć ryż. Po prawej widać było grządki z taro oraz warzywniak z podpórkami dla pnączy. Jeśli ktoś by nie wiedział, że to cesarski ogród, mógłby pomyśleć, że księżęta i księżniczki właśnie spacerują po cocruskiej farmie.

Był tam nawet mężczyzna ubrany w tradycyjny strój cocruskiego rolnika: białe spodnie z długich pasów konopnej tkaniny, utkany z trzciny kapelusz z szerokim rondem dla ochrony przed słońcem, a także cienką tunikę wsuniętą za pas. Niósł znad strumyka dwa wiadra wody zawieszony na dwóch końcach długiej tyczki.

– *Rénga* – zawołał Timu. – Twoje posłuszne dzieci przyszły okazać ci szacunek.

Mężczyzna zatrzymał się i powoli odwrócił, żeby nie wylać wody, a potem uśmiechnął się do dzieci. Rzeczywiście był to Kuni Garu, cesarz Ragin, władca wszystkich wysp Dary.

Chociaż Féso i Naré Garu, jego rodzice, zajmowali się uprawą ziemi, byli raczej właścicielami ziemskimi, a nie rolnikami. Jeszcze gdy kuni był mały, zamieszkali w Zudi i wynajęli swoją ziemię, żeby zebrać fundusze na inne przedsięwzięcia. Kuni niewiele pamiętał z życia na farmie. Kiedy jednak został cesarzem, a już szczególnie po śmierci ojca, zajął się uprawą, traktując ją jako swego rodzaju hobby, i poświęcał się jej z wielkim oddaniem. Może chciał w ten sposób uhonorować pochodzenie swojej rodziny, a także fundamenty ekonomiczne całej Dary.

– Chodźcie i mi pomóżcie – powiedział. – Mogę wam pokazać pączki kolokazji i groszku.

– Szanowny i umiłowany ojciec – zaczął Timu – twoje cudowne zaproszenie przyjmuję z pokorą. Wsparcie, jakiego udzielasz najniższym mieszkańcom Dary, jest zaiste niespotykane! Poniżając siebie wykonywaniem tak trudnego zadania, jakim jest czerpanie pożywienia z uprawy ziemi, jesteś niczym cruben odgrywający rolę zwykłej krewetki. Doświadczając życia zwykłych ludzi, szlachetny władca może poczuć się bliżej swoich poddanych. W rzeczy samej, Kon Fiji, Jedyny Prawdziwy Mędrzec, powiedział niegdyś...

– Nie trzeba, Timu – przerwał mu Kuni. Uśmiechał się, lecz w jego oczach dało się zauważyć zniecierpliwienie. – Wystarczy mi proste: „Dzięki, ale jestem zajęty”.

– Eee... Mistrz Ruthi wspominał wcześniej, że ma pewne ważne nauki do udzielenia swojemu niemądremu uczniowi. Znalazłem się w trudnej sytuacji, zmuszony wybierać między posłuszeństwem ojcu, cesarzowi Dary, dzięki któremu powstało moje ciało, a nauczycielowi, Władcy Wiedzy, który kształtuje mój umysł...

– Idź, idź! – powiedział Kuni, machając ręką, jakby chciał przegonić natrętą muchę. Tyczka, którą w dalszym ciągu miał opartą na ramionach, zachybotowała się i część wody wylała się z wiader.

– Jestem niezmiernie wdzięczny za wasze zrozumienie, *Rénga!* – Timu uklonił

się i pośpiesznie odszedł.

Kuni zaśmiał się pod nosem, ale w duchu westchnął ciężko. „Doskonale wiem, że twoim zdaniem grzebanie w ziemi ci uwłacza, ponieważ dosłownie odczytujesz słowa Kona Fijego, mówiące, że wykonywana przez służących praca fizyczna rozleniwia umysł. Czasami zastanawiam się, czy czytanie tylu książek to dobra rzecz. Dlaczego jesteś tak różny ode mnie?”

Potem zwrócił się do Phyro:

– Hudo-tika, a ty?

– Dzięki, tato, ale jestem zajęty.

Kuni roześmiał się głośno, znowu rozchlapując trochę wody.

– Rozumiem. A czym jesteś taki zajęty?

– Kapitan Miro obiecał opowiedzieć mi więcej o tym, jak wysłał tych protestujących uczonych do karczmy. A potem chcę poprosić ciocię Gin i wujka Thékę o jakieś historie o hegemonie.

Kuni kiwnął głową i jego także odgonił machnięciem ręki. „Phyro pod wieloma względami przypomina mnie z dzieciństwa, ale jest zbyt przywiązany do romantycznej wizji odwagi i wojny. Miał łatwe życie, a ja nie wiem, kiedy i jak zdoła się nauczyć niezbędnej cierpliwości...”

Wreszcie odwrócił się do dziewczyn.

– A co z wami, Rata-tika i Ada-tika? Wy też jesteście zajęte?

– Ja uwielbiam się bawić w piachu! – zawołała Fara i podbiegła do Kuniego, by go przytulić. Zrobiła to tak szybko, że nie miał czasu na odstawienie wiader, i kolejna porcja wody chlusnęła na ziemię. Zaraz go puściła i w podskokach ruszyła ku polu ryżowemu, by beztrudno popluskąć się w błocie, nie przejmując się stanem swojej sukienki.

– Ojcie. – Théra podeszła do Kuniego i ukloniła mu się nisko w *jiri*. Spojrzała na wiadra. – Myślę, że trzeba wrócić do strumienia i znowu nabrać wody.

– Masz rację – odparł Kuni. – Przez twoich braci i siostrę prawie wszystko wylałem.

Odstawił tyczkę i zdjął z niej wiadra, z których jedno podał córce. Podeszli wspólnie do strumienia. Théra miała problem z podniesieniem ciężkiego wiadra i kiedy szła za ojcem, woda w środku przejęła rytm jej kroków i przelewała się przez krawędź.

– Daj, pomogę ci – powiedział Kuni. Pochylił się, żeby podnieść małą drewnianą deseczkę, i położył ją na powierzchni wody w wiadrze Théry. – Spróbuj teraz.

Tym razem, chociaż wiadro nadal dziewczynie ciążyło, dzięki deseczce woda nie burzyła się tak mocno i nie wylewała za krawędź.

– Władanie krajem w dużej mierze przypomina niesienie wiadra z wodą – rzekł Kuni. – Zawsze istnieją konkurujące ze sobą siły, które burzą powierzchnię, a zadaniem władcy jest odnalezienie równowagi, tak by nie wymknęły się spod kontroli, by ziemia była nawodniona, a ludzie najedzeni.

– A czy nie prościej postawić wiadro, żeby woda się nie burzyła? – zapytała

Théra, dysząc.

– Wtedy zostaniemy z wiadrem bezużytecznej wody i nic nie urośnie. Zawsze trzeba iść do przodu, Théra. Zmiana jest jedyną stałą.

Dziewczynka odniosła wrażenie, że przemowa ta została przygotowana i przećwiczona dla uszu jej braci. Mimo to cieszyła się, że właśnie ona usłyszała ją z ust ojca. Zawsze lubiła jego opowieści o polityce i ekonomii, a Kuni potrafił rzucić wszystko, by spędzić czas z dziećmi, gdy tylko tego chcieli, chociaż Théra starała się nie zawracać mu zbyt często głowy.

– Dużo ludzi próbuje cię naciskać, ojczy?

– Zbyt wielu, żeby ich zliczyć. Arystokraci chcą większej niezależności. Ministrowie domagają się większego ujednolicenia prawa. Członkowie Kolegium Adwokatów pragną większego wpływu na politykę. Generalowie proszą o wyższy żołd dla żołnierzy. Weterani chcą więcej ziemi. Kupcy postulują o zwiększenie wydatków na walkę z piratami i kompetentnych zarządców – musiałem nawet przywrócić funkcję płatnych prawników. Rolnicy chcą więcej funduszy na irygację i osuszanie. Jednym słowem każdy chce, by kogoś innego obciążyć wyższymi podatkami. Ja tymczasem jestem jak latawiec, którym podmuchy wiatru szarpią we wszystkie strony, i ledwo potrafię utrzymać się w powietrzu.

Théra wyobraziła sobie ojca unoszącego się nad ziemią jak w legendach o hegemonie i zalała ją fala czułości wobec niego. Nie współczucie – nie do końca – lecz dziwne wzruszenie, że jej ojciec, który zawsze wydawał się taki pewny siebie, nie okazał się wszechwiedzący.

– Dobrze, że doradza ci tylu mądrych ministrów i generalów.

– Ach, ale każdy z nich widzi tylko wycinek rzeczywistości i oczekuje ode mnie, że utrzymam równowagę. Właśnie dlatego, Rata-tika, zażyczyłem sobie korony, która skrywa twarz. W ten sposób nie widzą mojego zaszępienia, gdy zastanawiam się, co począć. Połowa mojej pracy to ukrywanie tego, co myślę, żeby uniknąć prób manipulacji.

Dotarli już do warzywniaka i Théra, zgodnie z instrukcjami Kuniego, chochlą z uciętej w połowie tykwy delikatnie podlała ledwo wystające z ziemi pędy.

– Rata-tika, wiesz, dlaczego nie sieje się ryżu razem z warzywami, a winorośli nie sadi z kolokazją?

Gdyby pytanie było zaadresowane do Timu, odpowiedziałby, że ze względu na szacunek do miejsca, jakie zajmuje każda z roślin w naturalnym łańcuchu życia. Gdyby z kolei zadano je Phyro, stwierdziłby, że chodzi o to, by rośliny ze sobą nie walczyły. Jednak Théra rozumiała, że to swego rodzaju test.

Spojrzała na rozkład ogrodu cesarza, który wydawał się raczej beztroski: poletko ryżowe miało nieregularny kształt, grządki kolokazji były zbyt małe, żeby dać bulwy na więcej niż kilka obiadów, w warzywniaku rosły fasola, melony i warzywa liściaste, zaś za tym wszystkim znajdował się ugór, gdzie kwitło mnóstwo dzikich kwiatów, głównie mleczy.

„Żaden prawdziwy rolnik nie obsiałby w ten sposób swojej ziemi, prawda?”

Przeszła się po ogrodzie, przyglądając mu się z różnych stron. Chociaż

chodziła tędy niezliczoną ilość razy, nigdy nie zwróciła uwagi, że... „Tak, już wiem!”
Poszczególne części ogrodu kształtem przypominały Wyspy Dary.

– Ponieważ różne rośliny wymagają różnych składników odżywczych i różnej ilości wody – zaczęła ostrożnie. – Poletko ryżowe musi być zanurzone, podczas gdy pnącza uwielbiają dużo powietrza i tylko niewielką ilość wody. I nawet chwasty jako część twojego królestwa mają własne potrzeby.

Kuni z zadowoleniem pokiwał głową.

– Każda prowincja potrzebuje innego rodzaju polityki.

Serce Théry zabiło szybciej. „Miałam rację! Niezależność dana arystokracji jest eksperymentem”.

– I może najlepiej jest przy sadzeniu nowej rośliny sprawdzić, jak będzie się miała na różnych stanowiskach, żeby się przekonać, co jej najlepiej służy.

Kuni roześmiał się.

– Moja córka ma talent do uprawiania ziemi... a może nawet coś więcej.

– Mogłabym częściej pomagać ci w ogrodzie.

– Bardzo by mnie to cieszyło – odparł cesarz, a potem, po krótkiej pauzie, dodał: – Mądrze postąpiłaś, pomagając *pana méji* i mistrzowi Ruthiemu zachować twarz po tym, co zrobił kapitan Miro w czasie Egzaminu Pałacowego. Gdyby tylko twoi bracia tak potrafili.

Théra zaczerwieniła się, uradowana komplementem.

– A jak oceniasz propozycję Zomi Kidosu? – zapytała, nie mogąc się doczekać odpowiedzi.

Kuni spojrzał na nią z ciekawością.

– Znasz ją?

– Eee... nie. Ale zwróciłam na nią uwagę.

Kuni nadal nie spuszczał z niej wzroku, ale nie naciskał.

– Niektóre nasiona wyrosną tylko wtedy, gdy odpowiednio użyźni się glebę – rzekł tajemniczo.

Théra zastanowiła się nad jego słowami i wróciła do podlewania. Wkrótce tykwa uderzyła w dno wiadra – było już puste. Dziewczynka podniosła się i otarła pot z czoła.

– Wracamy do strumienia po wodę?

Kuni spojrzał na jej mokrą i zaczerwienioną twarz i jego rysy złagodniały.

– Nie trzeba. I tak wiele już mi pomogłaś. Dziewczynki nie powinny pracować w pocie czoła i na słońcu. Możesz zabrać siostrę i pobawić się z nią w cieniu w części ogrodu należącej do twojej matki.

Théra przygryzła wargę, a potem wyprostowała się i rzekła:

– Ojciec, czy w czasie wojny cioci Gin też powiedziałeś, że nie powinna pracować w pocie czoła i na słońcu?

Twarz Kuniego zastygła w pół drogi między zaskoczeniem a zawstydzeniem, lecz zaraz złagodniała. Cesarz uklonił się córce.

– Wybacz, księżniczko. Siłę może przykrywać tak szata męska, jak i żeńska. Nie chciałem cię urazić, ale masz rację, nie przemyślałem swoich słów. Masz

temperament po matce i cieszy mnie to.

Théra ukloniła się nisko w *jiri*.

– Mój ojciec jest władcą o naprawdę otwartym umyśle. Już mieli wrócić do strumienia z pustymi wiadrami, kiedy dotarł do ich uszu przyjacielski głos:

– Luan! Co ty tu robisz?

Kuni i Théra odwrócili się i zobaczyli, że przez mostek idzie Rin Coda. Mówił do Luana Zyi, który stał pod mostem, jakby próbował stopić się z podporą.

Luan wyszedł z cienia i uklonił się.

– Wybaczcie, *Rénga*. Nie chciałem zakłócać prywatności chwili spędzanej z dziećmi.

– Zakłócać! – zawołał Rin. – Przecież praktycznie należysz do rodziny! Chociaż zbyt długo cię nie było! Musimy później wypić co najmniej sześć czarek wina. Przekonasz się, że mam teraz znacznie lepszą kolekcję trunków. Przykro mi, że nie mogłem spędzić z tobą więcej czasu w trakcie twojej wizyty. Kiedy podróżowałaś, moi ludzie mieli poważny problem, by za tobą nadążyć. Oczywiście ze względów bezpieczeństwa! Jesteś, zaiste, jak ten nieuchwytny żółw w oceanie: pokazujesz się w jakimś miejscu, by zaraz zniknąć na całe miesiące!

Luan zaśmiał się pod nosem.

– Dziękuję za troskę o moje bezpieczeństwo, ale może lepiej, by przełożony cesarskich szpiegów nie przyznawał się przed władcą, że jego ludzie nie potrafili przypilnować zwykłego uczonego, który szwenda się po świecie.

Rin machnął ręką.

– Kuni wie, że prawdziwych mącieli nie spuszczam z oka. Chciałem tylko wiedzieć, gdzie jesteś, na wypadek jakiegoś poważnego kryzysu, kiedy to potrzebowalibyśmy twojej rady. – Jako przyjaciel z dzieciństwa cesarza Rin Coda zawsze zachowywał się w jego towarzystwie bardzo nieformalnie.

– Jestem pewien, że cesarza otaczają mężczyźni i kobiety o znacznie rozleglejszej wiedzy niż zwykły inżynier.

– Och, daj spokój! Taka przesadna skromność to już zwykle przechwałki!

Kuni z radością słuchał ich przekomarzania się. Przypominało mu czasy, gdy życie było prostsze.

– Ojciec, zabiorę *Ada-tikę*, żebyście mogli porozmawiać o sprawach wagi państwowej – powiedziała Théra. Wiedziała, że kiedy Rin przychodził na rozmowę z jej ojcem, zazwyczaj chodziło o jakieś sekrety. Ukloniła się Luanowi i Rinowi w *jiri*, zawołała *Farę* i razem udały się do prywatnych kwater rodziny cesarskiej.

Kuni odwrócił się do Rina.

– *Cashima* wciąż piją i się spierają – powiedział sekretarz Coda. – Na razie nie będą sprawiać żadnych problemów. – Zawahał się i dodał, wyraźnie spięty: – Nie przewidziałem buntu, przepraszam.

Kuni machnął ręką.

– Nic się nie stało. W końcu będę musiał pochylić się nad ich petycją. Porozmawiam z *Cogo* i *Zato* o tym, jak zająć się problemem nierówności między prowincjami. Może niezbędny okaże się system, w którym uczeni spoza Haanu

i Ganu otrzymają dodatkowe punkty. Będzie to wymagało pewnego rozluźnienia zasady anonimowości.

– Powodzenia w przekonywaniu tego sztywniaka Ruthiego – rzekł Rin. – Powie ci, że każdy kandydat, który otrzymał wyższą rangę dzięki dodatkowym punktom, będzie już zawsze czuł się gorszy w stosunku do kandydatów z Haanu, a wtedy twój lek okaże się gorszy niż sama choroba.

– I będzie w tym ziarno prawdy – odparł Kuni. – Właśnie dlatego to trudny problem. Jednak kompromis to smar, dzięki któremu maszyna państwowa jest w stanie działać. – Uśmiechnął się szeroko, kiedy Luan uniósł brwi, słysząc tę inżynierską metaforę. – Czekalem z tym aż do twojego powrotu.

Luan się roześmiał.

– Nasz cesarz to niebywale interesujący władca!

– I tak wydajesz już mnóstwo pieniędzy na stypendia, żeby skusić dobrych nauczycieli do wyprowadzki z Haanu do innych prowincji – przypomniał Rin. – Te mole książkowe nie mają zielonego pojęcia o tym, co po cichu robisz na ich rzecz.

– Tyle samo czasu potrzebuje młode drzewko, by stać się potężnym dębem, co rozwój szkolnictwa w regionie bez tradycji przywiązania do nauki – rzekł Kuni. – Jednak młodzi ludzie nie mają wystarczająco dużo cierpliwości, więc należy przedsięwziąć tymczasowe środki. Poza tym zamierzam zachęcić do nauki dzieci biedoty, ale z pewnością spotka się to z protestami możnych, którym nie spodoba się, że ich potomkom rośnie konkurencja. Cóż, pomyślimy o zejściu na drugi brzeg, kiedy już znajdziemy się na moście. Co jeszcze masz mi do przekazania?

– Niewiele. Kilku pozbawionych tytułów arystokratów sieje zamęt. Dwóch z nich całkiem niedawno spotkało się w Pan, wątpię jednak, by udało im się do czegoś dojść. Bardziej martwi mnie kult hegemonu, który nabiera siły na wyspach Tunoi, a wiele wskazuje na to, że rozprzestrzenia się na inne regiony. Dotychczas ograniczałem działania wyłącznie do obserwacji. Mam zrobić więcej?

Twarz Kuniego stężała, lecz zaraz znowu się rozluźnił.

– O wiele łatwiej jest ludziom wspominać ciepło hegemonu teraz, gdy Mata jest tylko duchem nawiedzającym Darę, a nie nienasyconym lordem, który przemierza wyspy wzdłuż i wszerz, domagając się daniny we krwi.

– Ci niewdzięcznicy...

– Nie! Dopóki nie sięgają po broń, niech podziwiają mojego brata w spokoju.

– Ale, Kuni...

– Nie. Zbrojna odpowiedź tylko zachęci tych, którzy źle mi życzą. Zdradziłem Matę na brzegu Liru, ponieważ uważałem, że służę wyższemu dobru, a jeśli czymś zdaniem Dom Mleczu wyrósł na grzechu, nie będę potwierdzał jego opinii w próżnej próbie zamknięcia ludziom ust. Mata w istocie był niezwykle ciekawym człowiekiem, a czczenie jego pamięci nie jest dla mnie zagrożeniem.

Stojący z boku Luan niemal niedostrzegalnie pokiwał głową.

– A co ze Złotym Karpiem? – zapytał Kuni.

– Nie było łatwo. Czasami najmocniej przekonywać trzeba rodziców młodych kobiet, zwłaszcza kiedy są bogaci.

– W takim razie skup się na biedocie – odparł Kuni. – Ci, dla których los nie był łaskawy, szybciej dadzą się przekonać.

– Zajmę się tym – zgodził się Rin i zaraz zwrócił się do Luana: – Pamiętaj, że jesteśmy umówieni na wino. Zaproszę też Cogo i Gin. Ale najpierw pozwól, że... hmm... sprawdzę coś w ogrodzie cesarzowej.

Szybko się pożegnał i ruszył w stronę części ogrodu należącej do Jii.

Kuni roześmiał się.

– Jia ciągle narzeka, że ktoś podbiera jej zioła szczęścia. Zawsze podejrzewałem o to Rina. – Odwrócił się i zobaczył, że Luan ma dziwny wyraz twarzy. – Co się stało?

– Jako że nie mam żadnego stanowiska na dworze, nie wypada mi komentować...

– Daj spokój – rzucił Kuni. – Dlaczego musimy się w to bawić? Pozwoliłem ci nie mieszać się w polityczną grę na dworze, ale czy nie mogę wysłuchać szczerzej opinii starego przyjaciela?

Luan kiwnął głową, ciesząc się, że cesarz nadal tak o nim myśli.

– W takim razie będę mówił wprost. Niedobrze jest dawać się ponosić swoim pragnieniom. Chociaż w tym wieku należy wieszować takiej żywotności, co każe szukać nowych... piękności, jednak przypomina mi się historia z Pan, po odbiciu miasta z rąk cesarza Erishiego, kiedy to udałeś się do kwater naloźnic...

– O czym ty mówisz, na bogów? – Kuni, który otwierał coraz szerzej oczy ze zdziwienia, przerwał Luanowi w pół zdania.

– Eee... ten program Złotego Karpia... czy to nie nawiązanie do złotego karpia, który przeskoczywszy przez wodospad Rufizo, zmienia się w dyranę? A Rin wspomniał coś o młodych kobietach, więc... Cieszę się, że potrafię cię rozbawić, *Rénga*.

Kuni śmiał się teraz tak mocno, że zgiął się w pół.

– Och, Luan, Luan! Zdecydowanie zbyt długo cię nie było. Powinienem się obrazić za tak niskie mniemanie o mojej osobie, skoro przyszło ci do głowy, że prowadzę jakiś nabór kandydatek na nowe żony pośród niżej urodzonych dziewcząt Dary. Co za pomysł!

– O co w takim razie prosileś Rina?

Kuni z wysiłkiem opanował śmiech.

– Hm... Zomi Kidosu miała rację, że cesarskie egzaminy, chociaż starałem się uczynić je jak najbardziej sprawiedliwymi, nie są dobrym sposobem na przyciąganie talentów z całej Dary. Mimo że dałem kobietom szansę wzięcia w nich udziału i dopuściłem je do służby cywilnej, niewiele zapisało się na egzamin, a jeszcze mniej zdołało zdobyć wyższe rangi. Prosiłem Rina, żeby wyszukiwał dziewczynki wykazujące załazek talentu, i w sekrecie oferował ich rodzicom stypendium, by zachęcić je do chodzenia do szkoły i brania udziału w egzaminach. Właśnie to nazywam Złotym Karpiem. Dotychczas jednak rezultaty były niezadowolające, nawet w Haanie. Większość rodziców nie chce, by ich córki opuszczały dom i rozpoczynały karierę w cesarskiej biurokracji.

– Trudno się zmienia przyzwyczajenia – rzekł Luan. Z wielką ulgą przyjął swoją pomyłkę. Może niesprawiedliwie oceniał Kuniego Garu. W końcu to władca, który był gotowy iść najbardziej interesującą ścieżką i podejmować ryzyko, by osiągnąć sukces.

– Potrzebny jest czas – zgodził się Kuni. – Musiałem trzymać te działania w sekrecie, ponieważ moralisci są tacy dominujący i głośni. Gdyby to wyszło na jaw, jestem pewien, że Kolegium Karpi – Luan uśmiechnął się, słysząc tę alternatywną nazwę Kolegium Adwokatów – zalałoby mnie pismami potępiającymi mój brak poszanowania tradycji i zboczenie ze ścieżki cnoty. Moje życie to jeden wielki kompromis.

– A może pomogę ci nieść tę wodę, panie Garu? – zapytał Luan. Przez chwilę martwił się, czy cesarz zdenerwuje się za ten stary sposób zwracania się do niego, jednak łagodny wyraz twarzy Kuniego go uspokoił. Nie wszystkie przyzwyczajenia są złe.

– Powinieneś być na dworze i pomagać mi nieść ciężar sprawowania władzy.

– Jestem starym wołem, panie Garu, mogę wędrować po dzikich polanach, lecz nie nadaję się już do pracy w polu.

– Ha! I znowu to samo. Przesadna skromność, za którą kryją się przechwałki. Nic nie szkodzi, wiem, że kochasz wolność. Na twoim miejscu też nie chciałbym wracać na dwór.

– Mam jednak prośbę.

– O, a jakąż to?

– Ufundujesz ekspedycję na północ? Zastanawiają mnie zapiski dotyczące wyprawy na Ziemię Nieśmiertelnych zorganizowanej przez cesarza Mapidérégo. Niewiele wiemy na ten temat. W dawnych księgach można wyczytać o ścianie burz i żyjących wyspach, które pożerają ludzi, jednak trudno znaleźć prawdę.

Luan wyciągnął z rękawa przedziwny kawałek drewna z wraku – ozdobionego wizerunkami latających bestii z rogami – a następnie przedstawił swój plan.

– Naprawdę jesteś zdecydowany opuścić dwór, prawda? – zapytał Kuni, wyraźnie rozczarowany. Szybko jednak się otrząsnął. – Dobrze. Nie mogę cię do niczego zmuszać. Niestety nie stać mnie na ekspedycję tych rozmiarów co tamto szaleństwo rozpętane przez Mapidérégo.

– Wystarczy mi kilka małych, ale sprawnych statków wyposażonych zgodnie z moimi instrukcjami.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Kiedy nieśli wodę do warzywniaka, rozmawiając o rodzinie i pracy, Luan zdał sobie sprawę, że spokój Kuniego jest tylko pozorny.

– Chociaż prowadzisz statek cesarstwa przez zdradliwe wody – powiedział – twoja ręka na sterze wydaje się pewna. Czy istnieje coś głębszego, co cię trapi?

Kuni popatrzył na przyjaciela.

– Owszem, istnieje. Może i dobrze, że postanowiłeś nie wracać na dwór. – Rozejrzał się, żeby mieć pewność, że w pobliżu nie znajduje się żaden służący, i choć było pusto, zniżył głos do szeptu. – Ponieważ nie piastujesz żadnego stanowiska,

powinieneś być w stanie udzielić mi obiektywnej porady. Dom Mlecza, tak jak statek Métashi, musi stawić czoła nadciągającej burzy.

Luan zadumał się nad tym nawiązaniem. Métashi było mianem dawnego królestwa Tiro. Chociaż równowaga sił między Siedmioma Królestwami przed rozpętanymi przez Mapidérégo wojnami zdołała przetrwać w takiej czy innej formie przez ponad tysiąc lat, w historii Dary było ich więcej. Po Wojnach Diaspory Dara została podzielona na wiele królestw Tiro, które toczyły ze sobą walki, i tylko siedem zdołało przetrwać ten okres chaosu i konfliktów.

Métashi, jedno z mniejszych królestw, znajdujące się na północnym brzegu Wielkiej Wyspy, próbowało zjednoczyć Wielką Wyspę ponad tysiąc lat temu. Król Gota zdołał opanować terytoria na północ od gór Damu i Shinané, a następnie ustanowił stolicę w miejscu dzisiejszej Boamy. Jednak po jego śmierci trzech najpotężniejszych generałów – Haan, Faça i Rima – doprowadziło do podziału królestwa na trzy części, wspierając trzech różnych następców tronu. Ten rozłam królestwa Métashi został upamiętniony przez Parę, nadwornego poetę Boamy, w następujących wersach:

Pierwsza bezlitosna wiosenna burza;

Jesienny upadek Boamy przedmurza.

Lato sławy dla króla;

Zima oszroni wrak na powierzchni morza.

– Wciąż jesteś jeszcze młody, *Rénga* – odparł Luan.

Kuni posłał mu uśmiech pełen gorczy.

– Jesteśmy młodzi w oczach bogów i starzy w oczach naszych dzieci. Młoda dynastia przed pierwszą sukcesją musi przedrzeć się przez ścianę burz, która jest nie mniej zdradliwa niż mityczny mur z twoich starych ksiąg. Jeśli nam się powiedzie, cesarstwo może przetrwać równie długo co Siedem Królestw. Jeśli nie, mój los niczym nie będzie się różnił od losu Mapidérégo. I Jia, i Risana na swój sposób na mnie naciskają, żebym wybrał księcia koronnego. Na kogo ty byś się zdecydował?

Zdumiony Luan skłonił głowę.

– Nie znam twoich synów wystarczająco dobrze.

– Wiem, że stałeś pod tym mostem, jeszcze zanim dzieci przyszły do ogrodu – powiedział spokojnie Kuni. – Czasami wystarczy jeden ruch, by obserwator mógł ocenić zdolności gracza w *cüpa*.

Zdawszy sobie sprawę, że został przyparty do muru, Luan postanowił zachować ostrożność. Zastanowił się nad tym, co zdołał zaobserwować podczas Egzaminu Pałacowego oraz spotkania w ogrodzie.

– Książę Timu posiada wykształcenie godne mędrców epoki Ano. Bez wątplenia zdobędzie poparcie ze strony ministrów oraz Kolegium Adwokatów. Jest rozważny, pełen szacunku i sprawdzi się jako zarządca.

Kuni nic nie odpowiedział, zamiast tego tylko kiwnął głową, by zachęcić Luana do mówienia.

– Książę Phyro pragnie honoru i sławy, a do tego ma naturalny urok, którym zaskarbi sobie serca generalów i arystokratów. Poniekąd widzę w nim ciebie z młodości i uważam, że byłby dobrym władcą na czas wojny.

Kuni popatrzył na Luana.

– Czy ja zapytałem, które z moich dzieci powinno przewodzić Kolegium Adwokatów albo przywdziać zbroję i jechać ramię w ramię z Gin na wojnę? Doskonale wiesz, że władanie Darą wymaga o wiele, wiele więcej.

Luan westchnął i zachował milczenie.

– Ta cisza mówi więcej niż słowa – rzekł Kuni. – Teraz rozumiesz mój dylemat.

– Każdy z książąt mógłby z powodzeniem spełniać swoją rolę, gdyby miał dobrych doradców.

– Gdyby, gdyby! Lecz w tym właśnie tkwi problem: doradcy chcą mieć swoje na wierzchu. Już stoją w kolejce, czekając, aż umrę.

– Z pewnością nie jest tak źle!

– Nie, być może nie. Ale... mówileś o talentach. A co z sercem ojca?

Luan wziął głęboki oddech.

– Między tobą a księciem Phyro istnieje naturalna więź, której, co smutne, brakuje, jeśli chodzi o księcia Timu.

– Bogowie prowadzą spis błędów i pomyłek, a my prędzej czy później musimy za nie zapłacić. Byłem nieobecny przez dużą część dzieciństwa Timu, a naszym relacjom zawsze towarzyszyła niezręczność. Ale czy mam prawo pozbawiać mojego pierwotnego syna tego, co mu się należy, z powodu decyzji, w której nie miał udziału?

– Wyrzuty sumienia nie powinny decydować o wyborze następcy tronu.

– Wiem o tym! – Kuni zaczerpnął powietrza, żeby się uspokoić. – Nie jestem jednak bezduszną wagą, nie potrafię zignorować swoich uczuć. Risana trwała przy moim boku przez lata wojny, a Phyro wychował się na moich kolanach. A jednak bez poświęcenia Jii z czasów, gdy była zakładniczką hegemonu, nie siedziałbym dzisiaj na tronie. Zbyt wiele jej zawdzięczam.

– W takim razie tamtego dnia w Zudi cesarzowa mądrze postąpiła, opuszczając sterowiec.

– Kto wie, czy na jej decyzji w większym stopniu zaważyła miłość czy tego typu kalkulacje? – powiedział Kuni i westchnął ciężko. – Nie chcę patrzeć, jak bracia występują przeciwko sobie, a żony zwalczają się w walce o sukcesję. Każda ma poparcie pewnej frakcji na dworze, a ja ledwo daję radę ukryć swój wybór.

Ton, z jakim Kuni powiedział słowo „bracia”, zastanowił Luana. Raz jeszcze przypomniał sobie to, co zobaczył tego dnia, i nagle zrozumiał, co Kuni naprawdę chciał mu powiedzieć.

– Rénga, jesteś władcą o prawdziwie otwartym umyśle! – rzekł. Cesarz popatrzył na niego, a na jego twarzy malował się zapal.

– Co myślisz o tym rozwiązaniu?

– Będzie to wymagało dużo czasu – odparł ostrożnie Luan. Starał się oswoić z planami Kuniego. „Księżniczka koronna, nie księżę”.

– Bardzo dużo czasu. Taki jest właśnie cel Złotego Karpia: dopóki Gin jest zaledwie wyjątkiem od reguły, mój wybór następcy tronu nie zostanie zaakceptowany przez Kolegium Adwokatów ani arystokrację i ministrów. Tylko wtedy, gdy w Wielkiej Sali Audiencyjnej zasiądą w równych częściach kobiety i mężczyźni, Théra będzie mogła objąć rządy w Darze.

Chociaż Luan zdążył już się domyślić, co planuje Kuni, wciąż szokiem było dla niego usłyszeć te słowa z ust cesarza. Wyobraził sobie wściekłe protesty członków Kolegium Adwokatów oraz potępienie ze strony moralistów. Tak wiele wysiłku wymagało od Kuniego przekonanie ich do tolerowania obecności cesarzowej i konsorty Risany w czasie uroczystości, na którą zasłużyły sobie po wielu latach doradzania cesarzowi. Jednak zdobycie ich akceptacji dla wyniesienia kobiety na cesarski tron będzie wymagało prawdziwej rewolucji – albo zmian personalnych.

– Było mi bardzo miło zobaczyć dzisiaj na egzaminie twoją uczennicę – powiedział Kuni. – Zupełnie jakbyś znalazł dla mnie złotego karpia, chociaż nawet cię o to nie prosiłem.

– Skąd... skąd wiedziałeś, że to moja uczennica?

Kuni uniósł brew.

– Przez lata wielokrotnie dyskutowaliśmy, a w jej retoryce, choć jest zupełnie unikalna, usłyszałem echa twojego stylu. To dziewczyna odważna i arogancka jak młodziutkie jagnię, które nie boi się stada wilków; jej pomysły są zbyt radykalne, żeby je wprowadzić w życie. Przynajmniej na razie.

Luan raz jeszcze pomyślał, że ludzie nie doceniają Kuniego – włącznie z nim samym.

– Z czasem nauczy się pokory – rzekł. – Żelazo musi poznać młot doświadczenia, żeby stać się stalą.

– Gdyby młodzi nie mieli radykalnych pomysłów, świat stanąłby w miejscu – odparł cesarz, a Luanowi przypomniała się legenda o młodym Kunim Garu, który popatrzył na oblicze Mapidérégo i ujrzał jego przyszły upadek. – Każda nowa fala obmywająca brzeg jest agresywna, odważna, radykalna i dzika jak świeża idea; spowalnia ją nieustępliwa ziemia i w końcu fala słabnie, rozplywa się zastąpiona przez kolejną, która również podejmuje ten pozornie bezcelowy trud. Jednak skumulowane wysiłki wielu następujących po sobie zrywów morza, trwających całe pokolenia, nadały kształt brzegom Dary. Dziewczyna, tak jak ja, nauczy się sztuki stwarzania możliwości. Jestem cierpliwy.

– Czasami widzę w tobie pilota latawca – stwierdził Luan. – Tak daleko za horyzont teraźniejszości wybiegają twoje wizje.

– To jedyny sposób, Luan – ciągnął dalej Kuni. – Ze wszystkich moich dzieci tylko Théra ma dość trzeźwy osąd i instynkt do polityki i spektaklu, żeby przejąć stery cesarstwa. Dogaduje się z obydwoma braćmi, a po sukcesji znajdzie sposób, żeby zapanować nad ich rywalizacją i dla każdego znajdzie odpowiednią możliwość wspomżenia jej, czego żaden z chłopców nie potrafiłby zrobić na jej miejscu.

Jednak aby została zaakceptowana, muszę zaplanować wiele kroków naprzód i subtelnie przygotować jej sukcesję, nikomu się z tym nie zdradzając. Oprócz tego muszę zadbać o to, by nie miała oczywistego źródła wpływów, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment. Phyro i Risana cieszą się poparciem generalów, a Timu i Jia uczonych, jeśli jednak zachęcę Théré do szukania poparcia dla siebie, doprowadzi to do zintensyfikowania konfliktów na dworze. Mogę pomóc jej przejąć władzę wyłącznie poprzez utrzymywanie pozorów słabości.

– Dlaczego nie zwierzyłeś się cesarzowej? – zapytał Luan. – Z pewnością popierałaby córkę tak samo gorąco jak syna, prawda?

Kuni pokręcił głową.

– Nie zaakceptowałaby ryzyka, jakie niesie ze sobą tak radykalna zmiana. Poza tym jest dumna i nie zejdzie ze ścieżki, którą sama obrała.

– Czy rzeczywiście dwór tak wyraźnie się podzielił, że nie patrzycie już na sprawy tak samo?

– Och, nigdy nie patrzyliśmy na sprawy tak samo – odparł Kuni. – Nie zrozum mnie źle. Miłość między nami nie osłabła, jednak kochać kogoś nie znaczy zrezygnować z własnej woli. Nie doceniasz Jii. Ona wierzy, że stabilizacja jest ważniejsza niż wszystko inne, a mój plan wymaga przeprowadzenia rewolucji, która, jeśli nie zrobię tego właściwie, może zaowocować wojną domową. Poza tym już wiele lat temu postawiła na uczonych i wspierała ich interesy, a jest zbyt dumna i pewna siebie, żeby oddać to wszystko w zamian za niemożliwe do spełnienia marzenie.

– Czyli najbardziej interesujące marzenie – powiedział Luan i uśmiechnęli się do siebie, wspominając przeszłość.

– Dość interesujące, by skusić cię do powrotu? – zapytał Kuni.

Luan pokręcił głową.

– Twój cel jest godny podziwu, panie Garu, jednak wolę stawiać czoła dzikiemu morzu niż dworskiej polityce.

– Naprawdę uważasz, że mój pałac jest groźniejszy niż żywioł kapryśnego Tazu?

– Znam swoje talenty, ale i ograniczenia.

Kuni westchnął.

– Musiałem chociaż spróbować.

– Życzę ci sukcesu każdą cząstką swojej duszy.

– Muszę sprawować kontrolę wystarczająco długo, żeby wysiane przeze mnie ziarna wzeszły i zakwitły. Pod pewnymi względami im jestem starszy, tym bardziej rozumiem Mapidéręgo, który też błagał bogów o więcej czasu. Dlatego dbam o zdrowie za pomocą ziół Jii, które regulują humory, a także regularnych ćwiczeń. – Kuni chwycił wiadra, by znowu udać się nad strumień. – Dopóki jestem w stanie zadbać o to, by nic się nie wylało, mam chyba szansę przygotować Darę na przetrwanie ściany burz.

I tak cesarz oraz jego doradca pracowali na farmie pałacowej, pielęgnując starą przyjaźń i nowe sadzonki.



– Rin! – zawołała cesarzowa z wnętrza szopy.

– Ach! – Zaskoczony Rin wyskoczył z grządki palców Rufizo: ziół, których liście paliło się w celu uśmierzenia bólu oraz dla wprowadzenia się w stan euforii. – Skąd wiedziałaś... eee, tutaj jestem! – Szybko wepchnął zebrane liście do rękawów, strzepał z szaty piach i resztki trawy, poprawił nakrycie głowy i wszedł swobodnym krokiem do szopy, przygotowany na każdą reakcję.

Powietrze w środku było przesycone zapachem tysiąca ziół i Rinowi zakręciło się w głowie. Rzadko tu przychodził, ponieważ trzymane tu rzeczy budziły w nim niepokój: różne rośliny – być może trujące – i dziwne części ciał zwierząt zwisały z krzyżujących się sznurków, susząc się na słońcu; szafki na ścianach skrywały maleńkie szuflady opisane eleganckim charakterem pisma Jii; koniki morskie, meduzy, gąsienice, pająki, małe węże i inne egzotyczne stworzenia pływały w słoikach wypełnionych destylovanym alkoholem; półki regałów uginały się pod ciężarem zeszytów gęsto zapisanych przepisami i notatkami dotyczącymi eksperymentów. Jia pracowała przy blacie. Właśnie ucierała jakąś miksturę w moździerz; mięśnie przedramion miała napięte od wysiłku. Dźwięk tłuczka ocierającego się o miseczkę i miażdżenia suszonych składników sprawił, że Rin zaczął obawiać się najgorszego.

Ku jego uldze cesarzowa nie wspomniała słowem o brakujących ziołach. Odstawiła moździerz i przywitała Rina swobodnym ukłonem, jakby spotkali się w tawernie w Zudi.

– Tak wszyscy byliśmy zajęci, że nie starczyło czasu, żeby pogadać jak za dawnych lat. Przygotowałam kilka nowych specyfików, które powinny ci się spodobać. – Wysunęła jedną z maleńkich szuflad i wyciągnawszy kilka papierowych paczuszek, podała je Rinowi. – Te są dobre w zimne noce, mają właściwości rozgrzewające i dodadzą ci energii. Wiem, że cesarz każe ci ciężko pracować i czasami siedzisz do późna. Te pomogą ci zasnąć, ale oprócz tego dadzą kojące, kolorowe sny... pamiętam, że lubisz zioła dające szczęście. – Rin się zaczerwienił, ale Jia ciągnęła dalej. – A ta ostatnia paczka... cóż, powiem tylko tyle, że powinieneś tego spróbować, kiedy następnym razem będziesz z kobietą. Jestem pewna, że obojgu wam przypadnie do gustu. – Uśmiechnęła się szelmowsko i wróciła do ucierania mikstury.

Twarcz Rina przybrała ciemnoczerwony kolor. Zdołał wyjąkać tylko kilka słów podziękowań i schować podarunek. Nigdy nie ożenił się i nie założył rodziny, zamiast tego bez reszty poświęcał się służbie rodzinie cesarskiej. Wiedział, że nie jest najbardziej utalentowanym doradcą Kuniego, a swoje stanowisko zachował w dużej mierze dlatego, że wspólnie dorastali... a także ze względu na umiejętność naginania zasad i robienia tego, co cesarz chciał, by było zrobione, lecz wołał nic na ten temat nie wiedzieć. Rin zawsze czuł się trochę niepewnie, jeżeli chodzi o swoje miejsce w życiu Kuniego, a troska Jii była jak miód na jego serce.

– Wszystko dobrze w twoim wydziale? – zapytała swobodnym tonem cesarzowa.

– Tak, raczej spokojnie. Zawsze są jacyś niezadowoleni arystokraci i weterani, którzy walczyli dla hegemonu, ale nie wydarzyło się nic, czym Kuni musiałby się martwić.

– Jeśli tak, zapewne nie składałeś podań o dodatkowe środki ze skarbcza? I nie musiałeś zatrudniać dodatkowych ludzi?

– Zgadza się – odparł Rin z dumą w głosie. – Właściwie to poprosiłem o redukcję budżetu.

Chciał mieć pewność, że Jia zdaje sobie sprawę, że choć wciąż utrzymuje kontakty ze światkiem przestępczym i co nie co na tym zarabia – głównie trzymając z dala od pewnych gangów swoich szpiegów, którzy w zamian za to przekazywali mu informacje, ale też łapówki – to nie zamierza okradać Kuniego.

Cesarzowa zaśmiała się pod nosem.

– Rin, czasami jesteś uczciwy aż do przesady. Nie znasz podstawowej zasady biurokratycznych manewrów?

Rin się zmieszał.

– Chyba nie rozumiem...

– Zato Ruthi nieustannie narzeka cesarzowi na ogromną ilość pracy, jaką wymaga sprawiedliwe przeprowadzenie egzaminów, dlatego rok po roku dostaje większy budżet, dzięki czemu może zatrudnić więcej swoich przyjaciół i uczniów. Cogo Yelu co chwilę przekonuje cesarza do coraz to nowych projektów, co pozwala mu zwiększać liczbę pracowników i anektować kolejne pomieszczenia. Członkowie Kolegium Adwokatów wiedzą, jak przekonująco krytykować ustawy, więc Kuni pozwala im oceniać ich coraz więcej i szczerze za to płaci. A generałowie i arystokraci wyolbrzymiają opowieści o piratach i bandytach na swoich terytoriach, by usprawiedliwić fakt, że rozbudowują armie i floty. Jeśli więc nie znajdziesz sobie zajęcia, jak możesz oczekiwać, że zachowasz stanowisko? Po co komu szpiedzy, jeśli nie ma rebeliantów buntujących się przeciwko cesarzowi?

Rin był jeszcze bardziej wzruszony. Jia, niczym starsza siostra, dbała o jego interesy, wiedząc, że sam nie ma dość talentu, by nadążać za takimi ludźmi jak Gin czy Cogo.

– Czyli... powinienem mówić Kuniemu, że... że wytropiłem wichrzycieli, tak jak tych uczonych i wyznawców hegemonu, a potem prosić o większy budżet?

Jia nie spojrzała na niego. Nadal ucierała miksturę.

– Cóż, przesadzanie nie będzie działać wiecznie. Jedną z zasad biurokracji jest to, że wszystkie wydziały konkurują ze sobą przy podziale funduszy, a każdy próbuje rozwinąć swoje własne imperium. Aby naprawdę ugruntować swoją pozycję, musisz pokazać Kuniemu rezultaty.

– Ale... jak? W Darze panuje pokój. Zawsze znajdzie się ktoś niezadowolony, ale mało kto poważnie traktuje możliwość wszczęcia buntu.

Jia zatrzymała się i spojrzała na Rina z rozbawieniem.

– Jeśli nie ma rebeliantów, to może sam jakichś stworzysz?

– Słucham? – Rin nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nie każdemu podoba się czas pokoju – powiedziała Jia, a z jej twarzy zniknął uśmiech. – Nic z tym jednak nie robią, ponieważ brakuje im funduszy, broni, ludzi. Załóżmy jednak, że znajdziesz sposób na to, by zdobyć dla nich tę broń i fundusze, a także by wskrzesić w ich sercach ogień ambicji. Wówczas mógłbyś zdradzić cesarzowi ich poważne zamiary, a tym samym dowieść potrzeby utrzymywania twojego wydziału.

– Ale dlaczego miałbym namawiać do spiskowania przeciwko Kuniemu?

– Nie namawiać – poprawiła go Jia – nie do końca. – Sięgnęła do góry, ku sznurkom, na których suszyły się zioła, i z jednego ściągnęła liść. – Wiesz, co to jest?

Rin przyjrzał się uważnie i po chwili pokręcił głową. Liść był cienki i pomarszczony, a jeśli coś przypominał, to osmiornicę.

– To roślina nazywana oczyszczającą trawą, często spotykana w Gėjirze. Ponieważ mieszkają tam bardzo pracowici ludzie, wielu właścicieli ziemskich buduje warsztaty, żeby zwiększyć dochód, a używane przez nich farby, kwasy i wybielacze zatruwają ziemię. Później, kiedy chcą wrócić do uprawiania tej ziemi, sieją tę roślinę, która pochłania z gleby sól i zanieczyszczenia, by odstraszyć w ten sposób zwierzęta. Rolnicy ścinają trawę i palą, a popioły wywożą. Po kilku takich cyklach ziemia jest oczyszczona i gotowa do uprawiania. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Rin zastanowił się nad znaczeniem zawołanych sugestii Jii.

– Chcesz mi powiedzieć, że... że jeśli przekażę pieniądze i broń tym, których podejrzewam o nielojalność, w ten sposób wywabię ich na powierzchnię ukrytą w glebie cesarstwa?

Jia pokiwała głową.

– A kiedy ujawnisz te spiski, zasłużysz sobie na wieczną wdzięczność Kuniego i zdobędziesz większy budżet.

Rin zastanowił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przypominało mu to, jak przywódcy niskiego szczebla rywalizujących ze sobą gangów czasami zmawiali się, wymyślając konflikt, żeby ugruntować swoją pozycję w oczach szefów. Ukłonił się nisko.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny, Jio. Zwykła rozmowa z tobą jest warta tyle, co dziesięć lat spędzonych w szkole.

Jia zaśmiała się.

– Nie pasują ci takie pochlebstwa, Rin. Jeśli wykonasz ten plan, oboje z Kunim będziemy ci mieli za co dziękować. Oczywiście pod warunkiem, że utrzymasz swoje działania w tajemnicy. Inaczej Kuni nie będzie zadowolony.

Rin kiwał głową jak kura dziobiąca ziarna rozsypane na ziemi.

– Oczywiście, oczywiście!

Jia patrzyła w ślad za nim, gdy skierował się do wyjścia, a jej uśmiech zniknął powoli jak duch.

Rozdział dziewiętnasty

Rozstania

Pan: Czwarty miesiąc szóstego roku rządów Czterech Spokojnych Mórz

Chociaż miło było nadrobić czas w towarzystwie przyjaciół i cieszyć się dobrodziejstwami cywilizacji, z czasem apetyt na bankiety i przesiadywanie w herbaciarniach słabnie. Nadszedł czas, żeby Luan opuścił Miasto Harmonii.

Gin pojawiła się pod bramą, żeby go pożegnać.

– Przyjedziesz do Nokidy, żeby spędzić ze mną kilka dni?

Luan pokręcił głową.

– Miałam nadzieję, że jednak przyjedziesz, bo wtedy mógłbyś poznać... – Oczy Gin zmatowiały na chwilę, lecz zaraz odzyskała rezolucję. – Ty masz swoją podróż, a ja swoją. Rozumiem, że ruszasz na północ, żeby przygotować się do poszukiwań nieśmiertelnych?

– Tak – odparł Luan. – Ale najpierw zajmę się czymś innym. Mam kilka pomysłów na to, jak tanio wyposażyć ekspedycję, jednak potrzebuję trochę czasu na opracowanie szczegółów.

Chciał ją objąć, ale się powstrzymał. Od czasu nocnego świętowania na cześć adoptowanego synka Müna Çakriego, Gin zachowywała się w stosunku do niego dość chłodno. Może w ten sposób chciała złagodzić gorycz rozstania? Z drugiej strony czyż sam nie postępował tak samo?

Mimo to trudno mu było zostawić ukochaną, nie dzieląc się z nią pewnymi przemyśleniami.

– Bądź ostrożna, Gin. Jesteś zbyt dumna. Nie rób sobie wrogów pośród tych, którzy zawsze będą się cieszyć łaską crubena.

Gin popatrzyła na niego, mrużąc oczy.

– Widziałeś kiedykolwiek, żebym uciekła, tchórząc przed walką?

Zanim Luan zdążył odpowiedzieć, do jego uszu dotarł rzeński głos.

– Nauczycielu!

Odwrócił się i zobaczył Zomi Kudosu idącą ku niemu od strony miasta. Na ramieniu niosła torbę.

– Myślałem, że już się pożegnaliśmy, Mimi-tika.

– Czy Lurusén nie powiedział kiedyś, że obowiązkiem ucznia jest towarzyszyć nauczycielowi przez piętnaście kilometrów, gdy ten wyruszy w nową podróż?

Gin przestąpiła z nogi na nogę i chrząknęła.

Zomi popatrzyła na nią, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności.

– Wasza Wysokość, zamierzałam wcześniej cię odwiedzić i podziękować. Miałam ogromne szczęście, że księżniczka Théra w moim imieniu poprosiła cię o pomoc.

Gin kiwnęła łaskawie głową.

– Nie ma o czym mówić.

– Jestem ciekawa, Wasza Wysokość, jak dokładnie...

Gin nie pozwoliła jej dokończyć.

– Powiedziałam, że nie ma o czym mówić. Nie rozumiesz?

Zomi zaczerwieniła się i przytaknęła.

Luan przysłuchiwał się w milczeniu tej wymianie zdań, próbując zdusić swoją irytację na Gin. Wyraźnie zdenerwowało ją to, że Zomi nie przywitała się z nią, królową, jako pierwszą. Duma marszałek Mazoti graniczyła z arogancją. Zdziwiło go trochę, że Gin i Zomi się znają, postanowił jednak nie zgłębiać tematu, którego Gin najwyraźniej nie chciała poruszać.

Królowa popatrzyła na Luana i chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Spróbowała znowu, lecz i tym razem zrezygnowała. Wreszcie rzuciła:

– Ukwiął pelagialny nie przeżyje w akwarium. Życzę ci wszystkiego dobrego.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem.

– W końcu nie wzięłaś udziału w „lustrze głupca”! – zawołał Luan.

Gin zatrzymała się. Nie oglądając się za siebie, rzekła:

– Mówisz, że jestem dumna, więc może porównam się do zimowej śliwki?

A potem odeszła.

– Wyglądasz na smutnego, nauczycielu – powiedziała Zomi.

– Och, to nic takiego – odparł Luan. – Tak tylko myślałem sobie, że wszyscy musimy żyć tak, jak dyktuje nam nasza natura.

Zimowa śliwka była poetycką towarzyszką chryzantemy. Tak jak chryzantema była ostatnim kwiatem rozkwitającym przed zimą, nie bojąc się śmierci, tak śliwka jako pierwsza kwitła przed nadejściem wiosny, nie chcąc chronić swojego silnego zapachu przed śniegiem i szronem.

„Widziałeś kiedykolwiek, żebyśmy uciekła, tchórząc przed walką?”

– Cesarz w końcu zdecydował, jakie mi dać stanowisko! – zawołała Zomi.

– Och, a jakie? – zapytał podekscytowany Luan. Wystąpienie Zomi podczas Egzaminu Pałacowego spotkało się z tak nieprzyjemnym przyjęciem, że cesarz oznajmił, iż potrzebuje więcej czasu, by zastanowić się nad odpowiednim przydziałem.

– Kazał mi dołączyć do Kolegium Adwokatów! Zaczynam od drugiego stopnia, wyżej niż wszyscy inni świeżo nominowani członkowie.

– Całkowicie zasłużenie! – Luan był zadowolony. Głos Zomi był dokładnie tym, czego cesarz potrzebował, żeby zrealizować swoje zamiary. Przeszli we dwójkę już piętnaście kilometrów. Przystawali co jakiś czas, żeby napić się wody z tykw, które Zomi niosła w swojej torbie. Dziewczyna opowiadała o swoich planach przekształcenia cesarskiej polityki i sprowadzania matki do Pan, a Luan tylko kiwał głową i śmiał się, przypominając sobie wspólne lata.

– Nauczycielu. – Po raz pierwszy w głos Zomi wkradło się zwątpienie. Przemierzyli już prawie piętnaście kilometrów i nadeszła ostatnia szansa, by mogła zadać nurtujące ją pytanie. – A gdybym powiedziała ci, że zrobiłam coś strasznego,

coś, co zmieniłoby sposób, w jaki ludzie mnie postrzegają?

Luan popatrzył na nią.

– Kiedyś doradziłem królowi, żeby złamał warunki traktatu pokojowego, przez co tysiące ludzi zostały zamordowane po to, by uratować setki tysięcy przyszłych istnień. Cesarz zdradził niegdyś swojego najlepszego przyjaciela, aby dać Darze lepszą przyszłość, wynosząc królewską powinność ponad osobisty honor. Niech przeszłość pozostanie przeszłością, Mimi-tika, i postaraj się, by przyszłość, będąca rezultatem twojej decyzji, była lepsza.

Zomi przemyślała tę radę, a potem pokiwała głową i ukloniła się.

– Nauczycielu, życzę ci, byś w dalszym ciągu znajdował skarby, gdziekolwiek się udasz.

Luan osuszył swój kubek, pokazał Zomi, że jest pusty, a potem uklonił się i odszedł bez słowa.

„Niech po starych bohaterach zostaną tylko pieśni i legendy. A światem niech zajmą się młodzi”.



– Bracie, cieszę się, że możemy porozmawiać przed twoim wyjazdem – powiedziała Jia, podnosząc czarkę śliwkowego wina. Usiadła w swobodnym *géüpa*, ze skrzyżowanymi luźno nogami. – Rzadko zdarza się, by cesarska rodzina zebrała się w jednym miejscu. Zdenerwowany Kado Garu również podniósł czarkę. Pozostał w sztywnym *mipa rari*.

– Siostrze, czuję się zaszczycony twoim zaproszeniem.

Kado i Jia nigdy nie byli sobie bliscy. Brat Kuniego był pewien, że cesarzowa wezwała go z jakiegoś konkretnego powodu.

– Doskonale poradziłeś sobie w Dasu – zaczęła. – Wiesz, jak ważna jest to prowincja dla Kuniego. Pod pewnymi względami to jego drugi dom. Oddał tę wyspę pod opiekę tobie, ponieważ nie potrafił zaufać nikomu innemu.

Kado rozważał słowa Jii. „Co to może znaczyć? Przecież doskonale wie, że niczego w Dasu nie robię. Odkąd zostałem mianowany „królem”, byłem tam ledwie kilka razy, a wszystko w moim imieniu robi mianowany przez Kuniego zarządca”.

– Miałem szczęście i Kuni przydzielił mi mądrego zastępcę – powiedział. Miał nadzieję, że właśnie to chciała usłyszeć Jia.

– Nie musisz być taki skromny. W końcu zarekomendowana przez ciebie uczona zajęła pierwsze miejsce w Egzaminie Pałacowym! Nikt się tego nie spodziewał po biednym Dasu.

„Ach, czyli w tym rzecz – pomyślał Kado. Widział, jak w cesarzowej aż się zagotowało, kiedy Zomi Kidosu zawstydzila księcia Timu. Plotkowano, że jest niebywale wręcz opiekuńcza w stosunku do swojego syna, ponieważ względami Kuniego cieszy się Phyro. Oblał go zimny pot. – Jeśli Jia myśli, że przez tę całą Zomi chciałem w jakiś sposób wspomóc dążenia Risany, by to jej Phyro był nominowany na księcia koronnego...”

– Muszę się do czego przyznać, siostró – powiedział. – Nie udzieliłem rekomendacji Zomi Kidosu.

– Czyżby? – Jia uniosła brwi.

– Gdy powiedziałem, że mój regent Ra Olu zarządza wszystkim w moim imieniu, nie zrobiłem tego ze skromności. Przed tegorocznym Wielkim Egzaminem podpisałem niewypełnione przepustki przed czasem, a Ra Olu uzupełnił tylko nazwiska najlepszych *cashima* i wysłał mi później listę do zatwierdzenia. Naprawdę nie miałem do czynienia z kandydatami.

– Mimo to mogłeś wycofać jej przepustkę. To ty wysłałeś ją na drogę ku sławie i chwale.

– Ale właśnie w tym rzecz, siostró. – Kado odstawił czarkę i pochylił się konspiracyjnie do przodu. – Nazwisko Zomi Kidosu nie znajdowało się na liście.

Jia zamarła.

– Co takiego?

– Kiedy zobaczyłem ją na Egzaminie Pałacowym, byłem zdziwiony. – Kado uśmiechnął się. – Ale nic nie mówiłem, ponieważ...

– Ponieważ pomyślałeś, że jeśli dobrze się spisze, mógłbyś przypisać sobie zasługi zarekomendowania jej. Po co psuć sukces? – powiedziała Jia, uśmiechając się znacząco.

Kado chrząknął.

– Nic się przed tobą nie ukryje. Tak, przykro mi, ale faktycznie zaświtała mi taka myśl. Wiem, że powinienem być roztropniejszy.

– Skoro jednak nie ty ją zarekomendowałeś, w jaki sposób zdobyła przepustkę do Sali Egzaminacyjnej? Popelniła fałszerstwo?

– Po wszystkim przeprowadziłem pewne śledztwo. Dostała się na salę dzięki właściwej przepustce, jednak podpisanej przez kogoś innego.

– Przez kogo?

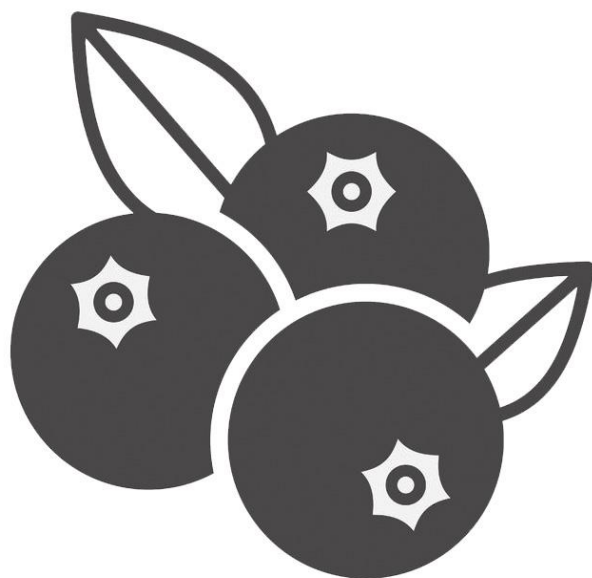
– Królową Gin.

Jia zamyśliła się, a potem podniosła czarkę, szeroko się uśmiechając.

– Dziękuję, bracie. Dziękuję.

Przez podwórze przemknął podmuch wiatru, pieszcząc kołyszące się kwiaty mlecza.

PODMUCHY I ZAWIEJE



Rozdział dwudziesty

Magiczne lustro

Tunoa: szósty miesiąc ósmego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Kult hegemonu zaczął się w chwili jego śmierci na brzegu Wielkiej Wyspy, na drugim brzegu kanału dzielącego ją od Farun.

Osiem lat wcześniej Mata Zyndu – największy wojownik, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemiach Dary – popełnił samobójstwo razem ze swoją wierną konsortą Mirą, po zdradzie niegdysiejszego przyjaciela, Kuniego Garu. Kiedy pojawiły się wieści, że hegemon nie chciał przekroczyć kanału, ponieważ wstyd nie pozwalał mu stanąć twarzą w twarz z mieszkańcami ojczyzny, wielu przysięgło walczyć z Kunim Garu do gorzkiego końca, aby pomścić swojego władcę.

Jednak Kuni, zamiast wysyłać tam wojsko, ulaskawił wszystkich popleczników hegemonu i zorganizował wystawny pogrzeb za granicami Ćaruzy, aby okazać swój wielki podziw i przywiązanie do zmarłego oraz złożyć mu hołd. Bogowie Dary również wzięli udział w tej uroczystości – w ostatniej chwili zabrali ciało Maty Zyndu i przenieśli do świata mitów i legend.

W pozostałych częściach Dary szeptano o szczodrości Kuniego Garu, teraz znanego jako cesarz Ragin. Uczni prześcigali się w pisaniu biografii i komponowaniu poematów na temat nowego władcy, celebrując jego przyjaźń z hegemonem i wyliczając tragiczne skazy Maty Zyndu, które nie pozwoliły przetrwać braterstwu.

Jednak w Tunoi dowódcy najdłużej lojalnych hegemonowi jednostek przypominali zwykłym ludziom, że zwyciężającym mieczem i tarczą, nigdy nie brakowało chętnych współsprawców dzierżących nożyk i pędzelek. W końcu największą skazą Maty Zyndu było zbyt wielkie zaufanie względem przebiegłego Kuniego Garu, Bandyty Tysiąca Kłamstw.

Potem cesarz ogłosił, że Tunoa nie zostanie przydzielona we władanie arystokracji, lecz w dalszym ciągu będzie rządzona bezpośrednio przez cesarską administrację. Aby uhonorować człowieka, którego cesarz niegdyś nazywał bratem, na pięć lat zwolniono mieszkańców Tunoi z płacenia podatków. Urzędnicy mieli kupować suszone ryby wyłącznie od miejscowych rybaków za ustalone z góry ceny, a miejscowe kobiety mogły pracować w pałacu jako hafciarki. Zamek rodu Zyndu miał zostać wyremontowany i zmieniony w mauzoleum hegemonu, a przedstawiciele cesarza sugerowali, że zatrudnienie zyska wielu tutejszych kamieniarzy, stolarzy, kowali i innych robotników.

Wszyscy rozumieli, że to typowy dla Kuniego Garu podstęp. Mimo to ludzie musieli jeść i pić, a dzieciom należało zapewnić wikt i opierunek. Pozostali kapitanowie i porucznicy służący hegemonowi znajdowali coraz mniej ludzi gotowych odpowiedzieć na ich wezwanie do zemsty, więc w końcu zamilkli. Żołnierze

po cichu opuścili forty, sprzedali mundury kolekcjonerom i rozeszli się po wioskach rybackich.

Kiedy emisariusze cesarza dotarli do portu w Farun, wioząc ze sobą pozbawione głowy ciało Réfiroi, słynnego czarnego wierzchowca Maty Zyndu, oraz jego broń, wspaniałą Na-aroénnę z brązu i stali oraz budzącą grozę pałkę Goremawa z wbitymi w nią zębami, mieszkańcy Tunoi stanęli na brzegu i w ciszy przywitali pamiątki po ich władcy. Bez konieczności wystrzelenia choć jednej strzały czy rozlania jednej kropli krwi emisariusze cesarscy przyjęli akt kapitulacji ostatnich dowódców hegemonu.

Réfiroa została pochowana na rodzinnym cmentarzu rodu Zyndu, a po zakończeniu renowacji pałacu miecz i pałkę umieszczono w najwyżej położonej komnacie – zaszczytnym miejscu, które dzieliły z bronią pozostawioną przez poprzednie pokolenia rodu. Kapłani i kapłanki Rapy i Kany, opłacani przez samego cesarza, dbali o wieczny płomień w sali przodków, zaś pielgrzymi przybywali z całej Dary, by posłuchać o dokonaniach wielkiego człowieka i zobaczyć broń, która odmieniła Darę.

Cesarz dotrzymał swojej obietnicy, a mieszkańcy Tunoi uśmiechali się, słysząc brzęk miedzianych monet w swoich kieszeniach. Nikt już nie mówił o zemście czy honorze.

Tak właśnie wyglądał świat, prawda?

Jednak utrzymywanie przy życiu wspomnienia o zmarłym miało swoją cenę: trudno było nad nim zapanować.



Mota Kiphi wychował się, słuchając opowieści o odwadze swojego ojca, jednego z pierwszych ośmiuset wojowników hegemonu.

Chłopiec urodził się już po tym, jak siedemnaście lat wcześniej jego tato wyruszył z hegemonem na Wielką Wyspę, aby dołączyć do powstania przeciwko cesarzowi Mapidérému. Mówiło się, że ojciec Moty zabił dwudziestu Xańczyków w trakcie oblężenia Zudi, a potem walczył u boku hegemonu w czasie ataku na Wilczą Łapę, kiedy to pozbawił życia trzech xańskich setników i sam zdobył taką rangę.

Ojciec Moty nigdy nie wrócił, co czyniło te historie prawdziwszymi. Który chłopiec nie chciałby naśladować ojca?

Jednak tych dwóch mężczyzn w pierwszym rządzie wcale nie wyglądało na zdetronizowanych królów Tiro. Wręcz przeciwnie – w poszarpanych ubraniach i ze skołtunionymi brodami przypominali raczej biednych bandytów, którzy przerzucili się na żebractwo. Przybrzeżna jaskinia, w której mieli swój „dwór”, była mała i wilgotna, a duszne powietrze przesiąkło zapachem morza i gnijącej kapusty.

– Pierwszy odkryłem zdradę Kuniego Garu w przełęczy Toco – powiedział jeden z nich, który kazał nazywać się Doru Solofim, królem Południowej Géfiki. Wydawał się urażony, że Mota nie miał pojęcia, kim on jest.

– Naprawdę znaleźcie hegemoną? – zapytał sceptycznie Mota.

Solofi zaśmiał się pod nosem.

– Cóż to za czasy nastały, że dziecko może przepytować królów.

– Każdy oszust mógłby udawać, że znał hegemoną – odparł Mota. – Jak byłem mały, to udawałem samego hegemoną.

– Proszę bardzo, pokażę ci dowód – rzekł ten drugi, żylasty i o ciemnej karnacji, który kazał się zwać Nodą Mi. Poszedł w głąb jaskini i wrócił z podłużnym jadeitowym słupkiem, ozdobionym misternie rzeźbionymi wzorami. – Oto Pieczęć Południowej Géfiki, królestwa ustanowionego przez hegemoną specjalnie dla mnie.

Mota przyjrzał się dokładnie jadeitowi. Chociaż nie potrafił odczytać żadnego logogramu, widział, że miał do czynienia z czymś bardzo kosztownym i doskonale wykonanym. Uznał, że faktycznie tych dwóch mogło być arystokratami – albo przynajmniej piratami czy też złodziejami, którzy ukradli ten przedmiot arystokratom.

– Skoro byliście królami, jakim cudem skończyliście w tej jaskini i bez pieniędzy? Nawet nie mieliście czym zapłacić za posiłek, który wam przyniosłem.

– Nie zaprosiliśmy cię tutaj, żeby mówić o jedzeniu i pieniądzech! – warknął Doru Solofi. – Widziałem, że zainteresowało cię przedstawienie tancerzy opowiadające o dokonaniach hegemoną, i zobaczyłem w tobie człowieka, który chciałby znowu mu służyć.

– Co masz na myśli? Moja rodzina już włączyła się w kult hegemoną. Nie tylko raz w roku chodzimy do mauzoleum w Farun, ale mamy też prywatną kapliczkę za domem...

– To nie jest posługa – przerwał mu zniecierpliwiony Solofi. – Jesteś gotowy dla niego walczyć?

Mota cofnął się o kilka kroków.

– Ależ to jest zdrada! Nie dołączę do spisku przeciwko cesarzowi, który przecież sam pielęgnuje pamięć o hegemonie.

– A gdyby hegemon osobiście powiedział ci, że twoim obowiązkiem jest pomszczenie go? – zapytał Noda Mi z lodowatym błyskiem w oku.

– C-co macie na myśli? – Mimo parnego powietrza Mota poczuł zimny dreszcz na plecach.

Noda wszedł głębiej do jaskini, gdzie przez pęknięcie w suficie wpadała pojedyncza wiązka promieni słonecznych i oświetlała półkę skalną. Klęknął przed tą półką jak przed ołtarzem, wyciągnął jakiś przedmiot owinięty w jedwab i rozłożył tkaninę.

– Chodź – powiedział, przywołując do siebie Motę. – Spójrz.

Chłopiec niechętnie zbliżył się i chwycił lusterko. Było wykonane z brązu, bardzo ciężkie. Tylną jego część zdobił relief, a w świetle padającym z góry Mota widział, że rzeźba przedstawia hegemoną odwróconego plecami, stojącego z Naroenną w prawej i Goremawem w lewej ręce, a jedno i drugie skierowane było w dół. Chłopiec przekręcił lusterko i spojrzał w gładką, wypolerowaną na błysk powierzchnię. Jego własne odbicie odwzajemniło to spojrzenie. Nie zdarzyło się nic

szczególnego.

– Widziałem już wiele takich lusterek – powiedział. – To jest lepiej wykonane niż mojej matki...

– Cisza! – rzucił Noda Mi. – A teraz patrz.

Umieścił lustro w snopie światła i przekręcił tak, żeby odbicie, znacznie większe niż okrąg rzucający przez słońce, pojawiło się na przeciwnej ścianie jaskini.

Mota popatrzył na obraz z szeroko otwartymi oczami i otwartą buzią. Potem padł na kolana i dotknął czołem ziemi.

– Jestem do twojej dyspozycji, hegemonie!

Noda Mi i Doru Solofi popatrzyli po sobie i uśmiechnęli się.

Na ścianie jaskini widoczny był wyraźny obraz hegemon, tym razem odwróconego przodem, patrzącego ponuro i z determinacją. Obie ręce miał uniesione i dzierzył w nich broń, jakby szykował się do kolejnego bohaterskiego ataku. Linijka liter zyndari układała się w napis wokół jego głowy: „Kuni Garu musi umrzeć”.



Kiedy wieści o magicznym lusterku się rozeszły, więcej odważnych młodych mężczyzn – a także kilka odważnych młodych kobiet – przybyło do tajemniczej jaskini spojrzeć na widziadło. Badali dokładnie lustro i nie dostrzegali na idealnie gładkiej powierzchni żadnego śladu. A jednak kiedy padało na nią światło, pojawiał się upiorny obraz hegemon gotowego do walki.

Jedyne wyjaśnienie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musiało być prawdziwe: hegemon przemawiał do nich zza grobu.

Noda Mi zorganizował przybyłych w grupy, by nocami ćwiczyć coś, co nazywał „duchowym tańcem”. Młodzi ochotnicy musieli naśladować pewien układ kroków, będących mieszanką tradycyjnego tańca z mieczami i marszu w paradzie. Kiedy byli już nieco zmęczeni, Noda wydawał im miski z gorącą, intensywnie pachnącą ziołami zupą. Kiedy pili, duch hegemon patrzył na nich z odbicia rzuconego na skałę przez blask księżyca albo migoczący płomień pochodni.

A kiedy zioła zaczęły działać, obraz hegemon poruszał im się przed oczami, skacząc, robiąc uniki, atakując, biegnąc. Wyznawcy wpadali w hipnotyczny trans i intonowali pieśń:

Sił mi starczy, by górę wyrwać.

Duch mój bezkresny jest jak morze.

Za życia byłem Królem Królów.

W śmierci stałem się Cesarzem Duchów.

Na-aroenna raz jeszcze posmakuje krwi.

Goremaw raz jeszcze wyssie szpik.

Przywróćmy honor tej ziemi.

Kuni Garu musi umrzeć.

– Doskonale nam dzisiaj poszło – powiedział zadowolony Noda. Uwielbiał brzęk monet w sakiewce, które znalazły się tam po zebraniu datków.

– Nie starczy nam już tych pieniędzy? – zapytał Doru. – Mam już dosyć ciągłego ubierania się jak żebrak. Kiedy wreszcie założymy coś czystego i znowu pójdziemy do domu indygo?

– Cierpliwości, mój bracie – odparł Noda. – Nie chcemy zwracać na siebie uwagi cesarskiego zarządcy ani szpiegów Kuniego Garu. Do tej pory mieliśmy szczęście, ale nie bądźmy bezczelni. Zebrane fundusze musimy przeznaczyć na broń.

Rzeczywiście dopisywało im niezwykle szczęście. Po kilku niepowodzeniach i miesiącach spędzanych na uciekaniu i ukrywaniu się przed szpiegami księcia Cody postanowili wyjechać do Tunoi, gdzie dzięki silnemu kultowi hegemonia mieli nadzieję zdobyć nieustraszonych wojowników.

Szpiedzy śledzili zdetronizowanych królów Tiro aż do brzegu wyspy, lecz tam nagle stracili nimi zainteresowanie. Nie tylko nie udało im się ich złapać, ale też, najwyraźniej zyskawszy po minionych sukcesach nadmierną pewność siebie, agenci Cody zaczęli popełniać błędy.

W kwiaciarni, gdzie Noda i Doru byli przekonani, że wpadli, łowcy o swoich planach rozmawiali tak głośno, że niedoszłe ofiary ich usłyszały, co umożliwiło im ucieczkę. Beztroscy i leniwi szpiedzy zostawili w swoich pokojach mapy i rozkazy podpisane przez samego księcia Code, które dostarczyły Nodzie i Doru istotnych informacji o transporcie funduszy.

Z początku nie wierzyli w prawdziwość ujawnionych faktów. Zgodnie z tym, co napisano w dokumentach, kilka konwojów przewożących kosztowności dla księcia było praktycznie pozbawionych ochrony, a bezpieczeństwo miało im zapewnić właściwie wyłącznie przebranie konwojentów za zbieraczy śmieci. Noda i Doru zaryzykowali: napadli na jeden z takich transportów i wzbogacili się o cały ładunek skarbów, nie ponosząc żadnych strat. Ludzie Cody uciekli, gdy tylko zdali sobie sprawę, że zostali zaatakowani. Dwóch królów nieźle się uśmieło z tchórzostwa cesarskich szpiegów.

Dzięki pieniądзом rozszerzyli swój zasięg i zatrudnili ludzi, którzy w ich imieniu przedostali się między arystokratów i cesarskich zarządców w całej Darze. Cudownie było używać funduszy przeznaczonych na szpiegów, by szpiegować ich przełożonych.

Shczęście dopisało im jeszcze bardziej podczas wizyty w domu indygo, gdzie jedna z dziewcząt nieustannie chwaliła się plotkami, które usłyszała od ważnych klientów. Po zaledwie jednym kieliszku śliwkowego wina na jej twarzy pojawiły się

pijackie rumieńce, a po kilku zmorzył ją sen. Noda przeszukał jej pokój i kiedy okazało się, że skrzynia nie jest zamknięta na klódkę, potwierdziły się jego przypuszczenia – dziewczyna znacznie się wzbogaciła na swoich niemądrych klientach.

Pochwyił ciężką sakwę i uciekł w pośpiechu, a dopiero później razem z Doru spostrzegli, że w środku znajduje się coś więcej niż kosztowności. Znaleźli tam przepis na mieszankę ziół powodującą hipnotyczne wizje – zapewne była to jedna ze sztuczek dziewczyny – a także zapisaną piękną kaligrafią krytykę cesarskiego dekretu ograniczającego wydatki na wojsko niezależnych regionów. Być może należała do jednego z klientów.

Noda natychmiast uknuł plan: wymyślił, żeby zgłosić się do arystokratów po nadmiarową broń. Po redukcji cesarskiego finansowania arystokracja nie miała innego wyjścia jak zredukować liczbę żołnierzy, podnieść podatki albo zacząć sprzedawać broń na czarnym rynku, a Noda był pewien, że więcej niż kilku zdecydowało się na tę ostatnią możliwość.

Jednak najszcześniejszym znaleziskiem okazało się lustro, które znajdowało się na samym dnie, owinięte w papier. Z początku uznali to po prostu za kolejną błyskotkę, ponieważ obramowanie i rączka były pozłacane. Jednak pewnego dnia Doru Solofi, leniwie przypatrując się swemu odbiciu, odkrył, że przedmiot, mimo idealnie gładkiej powierzchni, rzuca na ścianę obraz nagiej kobiety. Na papierze znaleźli nazwisko i adres jakiegoś nieznanego rzemieślnika z Haanu.

Noda natychmiast posłał do niego kogoś zaufanego i zgodnie z przewidywaniami okazało się, że ten niedawno odkrył nieznaną nigdzie indziej technikę wykonywania takich lusterek. Chociaż nie chciał mieć nic wspólnego ze zdradą stanu, połączenie łapówki i gróźb pod adresem rodziny przekonało go do wykonania luster, które miały zagrać ważną rolę w spektaklach, jakie Noda i Doru organizowali dla swoich wyznawców.

– Pamiętasz, jak dwa lata temu w Pan przysięgaliśmy sobie braterstwo, myśląc, że sprzyjają nam bogowie? – zapytał Noda.

Doru pokiwał głową.

– Zaczynam w to wierzyć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Matka i córka

Pan: czwarty miesiąc dziewiątego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– Cesarz zgadza się ze mną, że rozszerzenie programu o dodatkowe biografie to dobry pomysł – powiedział Zato Ruthi.

Do sali wykładowej wpadł podmuch wiosennego wiatru, przynosząc ze sobą zapach kwiatów.

– Liczę na to, że wielkie dokonania ważnych postaci historycznych zmotywują was do większej szlachetności, zaś wiedza o błędach przeszłości ustrzeże przed ich powtarzaniem. Chciałbym, żeby każde z was przez kolejny miesiąc skupiało się na wybranej postaci z najnowszej historii. Przyjrzyjcie się życiu tej osoby i wyjaśnicie przyczyny jej wzlotów i upadków, analizując te doświadczenia w oparciu o szerszy kontekst naszych dziejów. Fara, może zaczniemy od ciebie? Czyje życie chciałabyś studiować?

– Chcę posłuchać opowieści o pani Mirze – odparła siedmioletnia Fara.

Minęły trzy lata od pierwszego Wielkiego Egzaminu za Rządów Czterech Spokojnych Mórz. Chociaż Fara zrzuciła dziecięcy tłuszcz, który kiedyś tak oczarowywał Panów z Dary, w jej oczach wciąż był obecny figlarny błysk.

– O konsorcie hegemonia? – Ruthi zastanowił się nad tą prośbą i kiwnął głową z aprobatą. – Mira próbowała hamować najbardziej agresywne zapędy hegemonia, a na koniec dowiodła swojej wiary w ukochanego męża. Była wzorem szlachetnej kobiecości, a jej życie to wspaniałe źródło wiedzy dla młodej dziewczyny. A teraz księżę Timu, kogo ty wybierzesz?

Timu, teraz szesnastoletni, siedział w dystyngowanej pozycji, z rękami skrzyżowanymi i wpuszczonymi w rękawy, tak by pozostawały zakryte – był to formalny gest, którego nauczył się ze starych ksiąg, a wyrażał za jego pomocą szacunek dla swojego nauczyciela, nie pozwalając, by ten oglądał umazane resztkami wosku i plamami atramentu palce ucznia. Skłonił swą kształtną głowę.

– Mistrzu, chciałbym przyjrzeć się życiu króla Jizu.

Phyro przewrócił oczami. Fara zachichotała, zakrywając usta.

– Ach. – Oczy Ruthiego zabłyszczały z zadowolenia. – Zaiste, godny podziwu wybór. Ze wszystkich królów Tiro z czasów rebelii Jizu był zdecydowanie jednym z najszlachetniejszych. Kochał swój lud bardziej niż siebie samego, a jego poświęcenie słusznie wychwalają poeci i wędrowni bजारze. Uznanie go za wzór do naśladowania dobrze świadczy o twoim charakterze. A ty, księżę Phyro?

– Chcę usłyszeć wszystko o hegemonie i królowej Gin – powiedział przysadzisty dwunastolatek, teraz znacznie wyższy i bardziej muskularny niż przed trzema laty.

Ruthi zawahał się.

– Hegemon rzeczywiście miał szlachetną osobowość, o czym wspominał cesarz w swojej mowie pogrzebowej. Rozumiem to zainteresowanie. Czemu jednak królowa Gin?

– Hegemon był największym wojownikiem Dary, a jednak królowa Gin go pokonała; jakie wspaniałe opowieści muszą się za tym kryć! Wujek Yemu i książę Kimo często wspominają czasy, kiedy walczyli u jej boku, ale jestem pewien, że nie wszystkim się ze mną podzielili. Proszę, mistrzu Ruthi, musicie zaspokoić mój głód wiedzy!

Ruthi westchnął.

– Postaram się, ale musisz też czytać! Mogę zacząć od odesłania cię do mojego eseju na temat jej podboju Rimy... Pamiętaj, że nie wszystkie plotki, jakie słyszysz, są prawdziwe.

Théra i Phyro wymienili znaczące uśmiechy.

Ruthi przeszedł do swojego ostatniego ucznia.

– Księżniczko Théro, a ty?

Czternastoletnia księżniczka, której twarz łączyła piękno matki z odrobiną szelmstwa ojca z czasów młodości, zawahała się tylko na chwilę.

– Chcę przyjrzeć się życiu księżniczki Kikomi.

Ruthi zmarszczył brwi.

– Kikomi postanowiła zdradzić rebeliantów z powodu swojego niemądrego przywiązania do Kindo Marany, xańskiego marszałka. Zagrała na uczuciach hegemonu i jego wuja, uwodząc ich obu swoimi wdziękami. Miała kapryśny charakter i podejmowała niemądre decyzje. Niezwykle chybiony wybór.

Oczy Théry zapłonęły. Wzięła głęboki oddech.

– Z całym szacunkiem, mistrzu, ale się nie zgadzam. Uważam, że Kikomi była niezrozumiana, i zamierzam przywrócić jej dobre imię.

– Czyżby? Co masz na myśli?

– Zarzut o miłości do Kindo Marany opiera się wyłącznie na słowach, które wypowiedziała tuż przed śmiercią. W żadnych zapiskach na temat xańskiego dowódcy nie ma nawet sugestii, że istniała między nimi jakaś zażyłość.

– Wiemy, że zaprosiła go do swojego łóża po upadku Arulugi. Taką informację można znaleźć w uważanych za rzetelne dziennikach urzędników pałacu w Amu.

Théra pokręciła głową.

– Była wtedy jego więźniem. Być może zdecydowała się na to, by spróbować go uwieść i uratować Amu. Müning upadło, ale nie zostało splądrowane, co sugeruje, że Kikomi postąpiła podobnie do króla Jizu: zawarła układ z najeźdźcą, żeby ocalić miasto.

– W takim razie co powiesz o jej manipulowaniu hegemonem i Phinem Zyndu?

– A może to była właśnie cena, jaką zaproponował jej Marana w zamian za oszczędzenie Amu? Marszałek Marana był znany z tego, że korzystał z każdej możliwości siania nieporozumień pośród swoich wrogów.

– Ale nawet w obliczu śmierci wołała o swoim uczuciu do Marany!

– Musiała! Gdyby jej układ został odkryty, hegemon zemściłby się na Amu. Ostatnie słowa księżniczki Kikomi mogły być próbą skierowania gniewu hegemon na Maranę.

– To odważna teoria, ale...

– Nie jest odważniejsza niż fortel Tututiki, która w trakcie Wojny Diaspory przeprowadziła podobnie uwodzicielską grę, by uratować Amu przed gniewem wojska Iluthana.

– Mówisz jednak o bogini...

– Która jest patronką Amu. Służyłaby za naturalny wzór dla księżniczki.

– Nie masz żadnych dowodów...

– Przeczytałam na temat Kikomi wszystko, co mogłam znaleźć, a czego nie napisali uczeni i historycy: wspomnienia jej przybranej rodziny oraz znajomych; słowa, które sama napisała albo co rzekomo napisała, plotki, legendy, podania. Praktycznie wszystkie źródła są zgodne co do tego, że była oddana swojemu ludowi i ambitna, a moim zdaniem w swoich esejach trafnie oceniała naturę władzy i historii. Jej osobowość po prostu nie przystaje do tego karykaturalnego wizerunku stworzonego przez dworskich historyków.

– A jednak w dziejach znalazło się wiele kobiet, które wyrządzały zło w imię miłości...

Théra pokręciła głową.

– Ale w tym rzecz, mistrzu. Gdyby Kikomi była mężczyzną, czy tak łatwo przyszłoby wam uwierzyć, że zdradziła swój lud dla blahej miłości?

– Mężczyźni mogą paść ofiarą tej samej choroby. W rzeczy samej, Phin Zyndu dał się omotać kobiecym wdziękem księżniczki Kikomi.

– Ale mówisz też o jego odwadze i wieloletnich cierpieniach, jakie znosił dla planowanej zemsty, zaś zaloty hegemon do księżniczki Kikomi to tylko pojedynczy epizod w szerokim wachlarzu opowieści dotyczących jego życia. Z kolei kobiece postaci znane z historii zawsze są definiowane przez mężczyzn, w których się zakochały. Nie słyszy się nic na temat Miry poza tym, że zabiła się z miłości do hegemon. Fara, wiedziałaś, że kiedyś prace Miry były niezwykle cenione przez wszystkich arystokratów w Çaruzie? A o Kikomi nigdy nie mówimy inaczej jak o uwodzicielce oślepionej miłością, chociaż była jednym z najważniejszych dowódców rebelii. Talent może nosić szatę kobiecą tak samo jak męską. Skąd te różnice?

– Hmm... – Zato Ruthiemu wyraźnie brakowało słów.

– Widzisz to, co spodziewasz się zobaczyć, mistrzu, a ja uważam, że Kikomi wykorzystała tę tendencję; nie tylko waszą, ale też żołnierzy, którzy wbiegli do sypialni Phina Zyndu. Aby osiągnąć cel, postanowiła zbecześcić swoje imię.

– To akt zbyt wielkiej odwagi i mądrości, by przypisywać go kobiecie...

– Mistrzu, już raz nie doceniłeś umiejętności prowadzenia wojny przez kobietę, przez co straciłeś tron. Nie chcę ci w ten sposób ubliżyć, lecz przypomnieć, że nauki płynące z historii nie zawsze są łatwe do spostrzeżenia. Nigdy nie udowodnię

w pełni swojej teorii, jednak chcę w nią wierzyć, ponieważ zwyczajnie jest bardziej interesująca.

Usiadła w *mipa rari*, spodziewając się bury ze strony nauczyciela – wspomniała przecież epizod, z którego z pewnością nie był dumny.

Tymczasem ten, po długiej chwili milczenia, uklonił się Thérze.

Zaskoczona, odpowiedziała tym samym.

– Największą dumą napawa nauczyciela ten moment – rzekł – w którym uczy się czegoś od swojego ucznia.



Pod drzwiami do sali wykładowej stała cesarzowa, podsłuchując.

„Aby osiągnąć cel, postanowiła zbecześcić swoje imię”.

Uśmiechnęła się gorzko. Historia była pełna opowieści o rywalizujących ze sobą królowych, które knuły intrygi dla dobra swoich dzieci. Właśnie tak podsumują jej życie.

Ale się pomyła. Bardzo się pomyła.

Kochała lud Dary, on jednak ją znenawidzi. Taka była cena naprawdę wielkich i interesujących idei.

Dzieci kontynuowały rozmowę z nauczycielem, a Jia dyskretnie się oddaliła.



Kasztelan Otho Krin wszedł do szopy.

– Posłańcy wrócili, Jio. – Właśnie tak zawsze się do niej zwracał na osobności. Jia zbliżyła się i szybko go pocałowała.

– Kosztowności zostały dostarczone – powiedział. – Jednak chociaż to ja zajmuję się budżetem pałacowym, nie wydaje mi się, bym zdołał wyprowadzić więcej funduszy bez wzbudzania podejrzeń.

– Ja znajdę dodatkowe fundusze – zadeklarowała Jia. – Jesteś pewien, że żaden z przywódców kultu hegemonia ani żaden ze szpiegów nie zna pochodzenia skarbu?

Otho pokiwał głową.

– Byłem bardzo ostrożny, by nie zdradzić swojej tożsamości posłańcom.

– Rin przygląda się uważnie Tunoi. Z pewnością nie było łatwo przemycić kosztowności.

– Byłoby, gdyby nie rada Ragi, by wykorzystać wędrownych aktorów.

Uśmiech przemknął po twarzy Jii. Ragi była jedną z jej dawnych służących, która wyszła za Goriego, bratanka Zato Ruthiego i zastępcy ministra transportu.

– Ragi zawsze lubiła trupy wędrowne. Pamiętasz, jak w Çaruzie, jeszcze jako młoda dziewczyna, błagała mnie, żebym zabrała ją na przedstawienie, chociaż hegemon nałożył na mnie areszt domowy?

Wspomnienie tamtych bardziej niebezpiecznych, ale też bardziej beztroskich dni, sprawiło, że Otho poczuł ukłucie w sercu. Szybko odegnał niechciane myśli

i ciągnął dalej:

– Szpiedzy Rina Cody pilnują w portach transportów bogatych kupców i właścicieli ziemskich, a także większych gangów przemytniczych, ale rzadko zwracają uwagę na objazdowych artystów, a już zwłaszcza na kobiety. Aktorki polecane przez Ragi zdołały schować pieniądze i inne towary w skrzyniach z rekwizytami i wwieźć je do Tunoi, nie budząc żadnych podejrzeń. Pomogło też to, że trupa miała list polecający od męża Ragi.

– Tak wielu mężczyzn uważa kobiety jedynie za rekwizyty i narzędzie rozrywki – rzekła Jia. – Łatwo jest skryć się tam, gdzie nikt nie patrzy.

Otho zadrzał. Nie lubił u Jii takiego tonu, pełnego zimnej kalkulacji. Ale kochał ją, a miłość wymagała ignorowania pewnych rzeczy.

– Jak przekazały wszystko przywódcom kultu?

– To okazało się nieco trudniejsze, jednak trupa wędrowna zdołała sprzedać jedną z aktorek do domu indygo i ukryć wszystko do jej skrzyni. Kiedy odwiedził ją jeden z przywódców, udało jej się oddać mu wszystko tak, żeby myślał, że sam to bierze. Później trupa odkupiła dziewczynę i ruszyła w drogę.

Jia pokiwała głową.

– Sprytne – powiedziała z uznaniem. – Jestem pewna, że tamten jest tak samo ślepy jak szpiedzy Rina. – Zaraz jednak spochmurniała, zaciskając pięści. – Oby tylko ci głupcy wykorzystali to wszystko, co im dałam. Nie mogę ich wyręczyć we wszystkim.

– Co mam zrobić z trupą wędrowną?

– Wręcz im obiecaną zapłatę – odparła Jia. – A także to. – Podala mu kilka papierowych saszetek. – Powiedz im, że dzięki temu poczują jedność z bogami. Jeśli tego spróbują, tak się właśnie stanie, przynajmniej na chwilę.

Otho skinął głową i nie zadawał już więcej pytań. Dawno temu postanowił, że dla spokoju sumienia lepiej nie wiedzieć wszystkiego, co zaplanowała Jia. Raz widział, jak posłańcy biegną nago po ulicy, krzycząc, że palą się od środka, a potem rzucili się pod kopyta spłoszonych koni. Innym razem słyszał plotki o mężczyznach, którzy umierali w chwilach rozkoszy w domach indygo. Jeśli chodzi o tworzenie ziołowych mieszanek, Jia była bardzo kreatywna.

– Tak dla pewności – dodała – rozpowiedz wśród gangów złodziei, że trupa wędrowna dorobiła się sporej sumy.

Czasami odnosił wrażenie, że zupełnie jej nie rozumie. Potrzebowała go jednak, a on wiedział, że zawsze będzie ją wspierał.

– Nie obciążaj swojego sumienia, Otho. – Posłała mu ciepły uśmiech. – Próbowałam ci już wytłumaczyć to, co robię, ale polityka nie jest twoją mocną stroną. Zaufaj mi, gdy mówię, że moim celem jest utrzymanie w Darze pokoju, na który tak ciężko z Kunim pracowaliśmy.

Widząc, że Otho wciąż jest nieprzekonany, objęła go z uczuciem.

– Może wyjaśnię ci to inaczej. Posłuchaj: robię to z miłości do Kuniego, nawet jeśli on by tego nie zrozumiał. Miłość sprawia, że decydujemy się na przedziwne kroki.

Otho pokiwał głową. To był w stanie zrozumieć.



Kiedy Théra i Kuni pracowali w ogrodzie, przyszła do nich Risana.

– Właśnie cię szukałam, Kuni! – zawołała.

– Ciocia Risana – powiedziała Théra. – Przepraszam, że nie mogę cię należycie przywitać. Jestem w tej chwili trochę ubłocona.

Risana machnęła ręką z pobłażaniem.

– Miło patrzeć, jak we dwoje korzystacie z wiosennego słońca. Szkoda, że Hudo-tika do was nie dołączył.

– Polowanie to też dobre ćwiczenie – powiedział Kuni.

Wytrzeł rękami spoconą twarz i zszedł z pola, żeby podejść do żony.

– Wyglądasz, jakbyś miała dla mnie jakieś dobre wieści – powiedział z uśmiechem.

– W rzeczy samej. Cogo spojrział na mój szkic ze wzorami umów między właścicielami ziemskimi a dzierżawcami i uznał je za bardzo sensowne.

– Nic dziwnego – odparł Kuni. – Ujednolicenie warunków takiej umowy pozwoli zniwelować nadużycia, o których mówiła Zomi Kidosu, i przeniesie obciążenia podatkowe tam, gdzie powinny się znaleźć na samym początku. Trudniej będzie nakłonić arystokratów do wprowadzenia tych umów na ich terenach. Uznają to za wtrącanie się cesarstwa w ich sprawy.

Théra kontynuowała sadzenie miechunki, lecz nadstawiła uszu, gdy dotarło do niej imię Zomi.

– Znam rozwiązanie tego problemu – powiedziała Risana. – Kiedy podpiszesz edykt, możesz rozesłać go z prośbą o komentarze. W ten sposób każdy arystokrata będzie mógł coś zasugerować, przez co łatwiej będzie zaadaptować treść umowy do warunków panujących w jego regionie.

– Dobrze pomyślane. W ten sposób poczują, że współtworzyli to prawo, a nie że jest im narzucane.

– Ja natomiast porozmawiam na osobności z żonami najbardziej niechętnych lordów. Wiem, czego naprawdę boi się większość z nich. Kiedy zapewnię ich żony, że edykt nie ma nic wspólnego z cesarzową, przekażą te informacje mężom.

Théra wiedziała, że zarówno Risana, jak i jej matka wywierały wpływ na politykę nieoficjalnymi kanałami, a ich sieci znajomości i nieformalna komunikacja pomagały cesarzowi w bezproblemowym zarządzaniu cesarstwem.

– Dziękuję – rzekł Kuni. – Zawsze dbasz o najdrobniejsze szczegóły.

– Wystarczy mi, że ty wiesz, co zrobiłam – odparła Risana, a potem pocałowali się i kontynuowali rozmowę przyciszonymi głosami.

„Szkoda, że nie może się podpisywać pod własnymi pomysłami”, pomyślała Théra.



– Co myślisz o Roném, bratanku Thanu Carucono? – zapytała cesarzowa.

Théra i Jia układały kwiaty na podwórku przed prywatną kwaterą cesarzowej. Zawsze lubiły wspólnie się tym zajmować i robiły to, odkąd Théra była bardzo mała i przynosiła mamie dmuchawce, żeby razem z nią je zdmuchnąć.

– Wydaje się bardzo zadowolony z siebie – odparła Théra. Rodzina Carucono przyjechała jakiś czas wcześniej z wizytą, a gdy rozmawiali z Jią, Théra podała im herbatę.

– Jest *firoa*, który omal nie dostał się na Egzamin Pałacowy. A Than traktuje go jak własnego syna. Ma powody do dumy.

Théra prychnęła.

– Zrobili na mnie większe wrażenie, gdyby miał odważniejsze pomysły. – Wspomnienie wystąpienia Zomi Kidosu na Egzaminie Pałacowym sprzed trzech lat wciąż było żywe w jej pamięci. Uśmiechnęła się do siebie.

Jia przestała przycinać łodyżki kwiatów i popatrzyła na córkę.

– W takim razie co myślisz o Kicie Thu? Jego prezentacji chyba nie odmówisz odwagi.

Théra musiała się chwilę zastanowić, żeby przypomnieć sobie, o kim mówi matka.

– Masz na myśli tego, który sugerował powrót do królestw Tiro? To dopiero dowcip!

– Niejeden w Darze zgodziłby się z jego poglądami – rzekła Jia. – To, co jawi się dowcipem w oczach twojego ojca, innym może się takie nie wydawać.

– Moim zdaniem brakowało mu wizjonerstwa – odparła uparcie Théra.

– A Naroca Huza? Premier Yelu bardzo pozytywnie się o nim wypowiada.

Théra zorientowała się, jak poważny ton przyjęła jej matka. „Dlaczego wypytuje mnie o tych mężczyzn?”

– Jestem chyba jeszcze zbyt młoda, by oceniać czyjś charakter – powiedziała ostrożnie.

Jia wróciła do przycinania kwiatów.

– Tak sądzisz? Połowa arystokratek w twoim wieku już by miała uzgodnionego kandydata na męża.

– Ale ja nawet nie lubię żadnego z nich!

– Mamy w życiu ograniczone wybory, a ty musisz myśleć o tym, co jest najlepsze dla twojej pozycji w przyszłości. Mądra z ciebie dziewczyna, jednak odpowiednie małżeństwo to najlepszy sposób na to, by twoja mądrość nie została zmarnowana. Nie pozwól, by twoje życie definiowały porywy serca.

Thérze nagle zrobiło się gorąco. Bała się odezwać, żeby nie zacząć krzyczeć. „Czy to małżeństwo miałoby służyć mnie czy mojemu bratu?!”

Rozdział dwudziesty drugi

Cienie cesarza

Pan: czwarty miesiąc dziewiątego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Niewielki sterowiec dryfował nad jeziorem Tututika, którego powierzchnia błyszczała w promieniach słońca jak bezkresne lustro. Z tej wysokości małe łódki rybackie wyglądały jak nartniki, a orły polujące na ryby krążyły pod sterowcem jak komary. Tuzin strażników pałacowych operował opierzonymi wiosłami, pracując do rytmu wybijanego na lekkim bębnie. Wewnątrz gondoli cesarz z żonami siedział przy stoliku, przegryzając posypane cukrem nasiona lotosu i popijając zieloną herbatę. Cesarska rodzina rzadko znajdowała czas, żeby wspólnie cieszyć się wiosennym dniem, z dala od trosk i pałacowych intryg.

– Phyro znowu wierci mi dziurę w brzuchu, żeby odwiedzić Gin – powiedziała Risana.

Jia nic na to nie odparła. Metodycznie wycierała białą szmatką porcelanowe filiżanki.

– Chłopak zawsze wolał towarzystwo generałów od książek – rzekł Kuni i zaśmiał się pod nosem. – Rozumiem go.

– W czasach pokoju książki są ważniejsze niż miecze – oznajmiła Jia, ostrożnie wsypując sproszkowaną herbatę do filiżanek za pomocą bambusowej miarki.

– Phyro jest coraz bardziej niespokojny – powiedziała Risana. – Narzeka, że nauki Mistrza Ruthiego są może wartościowe, lecz nie dają mu wiedzy, jakiej potrzebuje.

Kuni zamknął na chwilę oczy, żeby napawać się zapachem sproszkowanej herbaty.

– Nie da się wszystkiego nauczyć z książek. Żadna księga nie przygotowała mnie do bycia cesarzem i wątpię, by w przypadku moich dzieci było inaczej.

Kuni nigdy jeszcze nie odniósł się wprost do niezręczności związanej z brakiem planu sukcesji, zaś tymi słowami zdawał się zahaczać o ten temat. Risana zerknęła na Jię, jednak cesarzowa zdawała się koncentrować wyłącznie na węgielkach żarzących się w koksowniku.

Risana przygryzła wargi i postanowiła, że musi zaryzykować.

– Najlepiej, gdyby obaj twoi synowie nauczyli się sztuki rządzenia – rzekła, nie spuszczając wzroku z Jii. – Phyro mógłby pomóc Timu jako doradca, kiedy starszy książę zasiądzie na tronie. – Miała nadzieję, że to wystarczy, by uspokoić Jię, której nastrój zawsze trudno jej było odczytać.

Jia odczekała, aż woda zacznie wrzeć, a bąbelki pokryją powierzchnię, niczym pęcherzyki powietrza wypuszczanego przez ryby na spokojnej tafli jeziora. Potem zdjęła imbryk z koksownika i nalala gorącej wody do trzech czarek, wyginając nadgarstek tak, by strumień wrzątku był niczym skoncentrowany snop promieni

słońca.

– Rzeczywiście księżęta powinni się nauczyć, jak prowadzić powóz cesarstwa – powiedziała Jia. – Proszę, spróbujcie. Rodzice Finy przysłali tę herbatę z Faça.

Risana wzięła łyk.

– Doskonała. Szlachetna Starsza Siostrze, twoje umiejętności wyciągania najlepszych cech z każdego rodzaju herbaty są niezrównane.

Jia przyjęła komplement z uśmiechem.

– Kuni, nie jesteś najstarszy w swojej rodzinie, a jednak to ty, a nie twój brat, zostałeś władcą Dary. Nie powinniśmy kurczowo trzymać się primogenitury. Na tronie powinien zasiąść ten książę, który najlepiej nadaje się do roli cesarza.

Risane niemal zrobiło się żal Jii. Przyznanie się do tej słabości wymagało od niej całej siły. Kuni doszedł do władzy dzięki ludziom, którzy więcej czasu spędzali w siodle niż na dworze i niemal wszyscy czuli większą sympatię do Risany, a Phyro uważali za lepszego następcę tronu. I chociaż Kuni nigdy nie wyraził wprost chęci wskazania Phyro, wszyscy widzieli, że miał więcej serca do swojego młodszego syna.

Swoim ostatnim stwierdzeniem Jia praktycznie przyznawała, że konflikt istnieje.

– Naprawdę niezwykła z ciebie kobieta – powiedziała Risana, chcąc być miłosierną w swojej wygranej. – Podziwiam wielkość twego ducha.

Jia westchnęła w duchu. Niezręczność relacji między Kunim i Timu była skomplikowaną kwestią, której korzeni wielu upatrywało w długiej rozłące między ojcem i synem w czasie pierwszych lat życia chłopca, gdy Jia i dzieci pozostawali zakładnikami hegemonu. Kiedy rodzina znowu mogła żyć razem, Timu zdążył już się przywiązać do kochanki matki, Otho Krina. Sztywne zachowanie i wrodzona nieśmiałość Timu w następnych latach nie pomogły naprawić sytuacji.

Mimo to cesarzowa wiedziała, że rządy Phyro byłyby katastrofą. Musiała więc zadbać, by to się nie zdarzyło – nie tylko dla dobra Timu, ale również całej Dary.

– Mam pewien pomysł – oznajmiła. – Najlepszym sposobem, by stwierdzić, który z nich najlepiej nadaje się na cesarza, jest obserwowanie ich w praktyce. Zorganizujmy coś w rodzaju przyjacielskich zawodów.

Kuni zaśmiał się.

– Dobrze, że musimy się martwić tylko o nich dwóch.

Kilka lat wcześniej, po śmierci konsorty Finy, Kuni, Jia i Risana wspólnie podjęli decyzję, że Jia przygotuje dla siebie i drugiej żony cesarza specjalne zioła, które zapobiegą przyszłym ciążom. Nawet z pomocą kogoś o tak dużej wiedzy jak Jia poród jest dla kobiety czymś wyjątkowo niebezpiecznym, a Kuni nie wyobrażał sobie, by mógł stracić którąś ze swych ukochanych. Oznajmił, że mają już dość dzieci. I chociaż nie powiedział tego wprost, być może martwił się także o to, że im więcej potomków, tym większa rywalizacja o sukcesję.

– Królestwo nie jest tak rozległe jak cesarstwo, jednak zmaga się z podobnymi problemami, tylko na mniejszą skalę. Byłoby dobrze, gdyby księżęta zdobyli trochę doświadczenia w rządzeniu. – Jia napiła się herbaty. – Tak jak teatr cieni pokazuje świat w miniaturze, księżęta mogą grać cienie cesarza.

– Cienie cesarza – powtórzył Kuni. – Podoba mi się to. Dokąd sugerujesz wysłać naszych synów?

– Kado niewiele działa w Dasu – odparła Jia. – Właściwie odnoszę wrażenie, że zupełnie by mu nie przeszkadzało, gdyby jego miejsce zajął któryś z bratanków. Równie dobrze możesz zostawić Kado i jego rodzinę z dziedzicznym tytułem bez lenna. Niczego nie będzie im brakować, a pozbędą się odpowiedzialności.

Kuni pokiwał głową. Nie łączyły go szczególnie bliskie stosunki z Kado, a propozycja Jii wydawała się dobra.

– Timu czy Phyro?

– Dasu potrzebuje przywódcy, który pochyli się nad rozwojem intelektualnym i duchowym mieszkańców. Tak głosiła adwokat Kidosu. Myślę, że Timu będzie się tam bardziej nadawał, a Zato Ruthi mógłby mu pomóc.

Sugestia wydawała się Kuniemu rozsądna.

– A co z Phyro?

Risana spięła się, a swój niepokój starała się ukryć, sącząc herbatę. Żałowała, że nie wykorzystała wcześniej okazji, by zasugerować, żeby Phyro został swego rodzaju uczniem Gin Mazoti – w ten sposób zdobyłby potrzebne doświadczenie, a także zbliżył się jeszcze bardziej do najbardziej wpływowego generała w Darze. Teraz jednak Jia przejęła inicjatywę i Risana mogła już tylko czekać.

Jia zamyśliła się na chwilę.

– Mamy Rok Wilka, czas potencjalnego zagrożenia i trudności. Ponieważ siły lojalne hegemonowi planują spisek w Tunoi, może wyślemy Phyro do nowego lenna i damy mu władzę, by spacyfikował te tereny? Rin Coda mógłby zostać jego doradcą. W końcu nie możesz walczyć w imieniu swoich synów.

Risana zastanowiła się nad sugestią Jii. Nie dostrzegła żadnej wady. Dasu i Tunoa nie różniły się zbytnio co do wielkości i gęstości zaludnienia (Tunoa była nawet nieco większa). Jia dopasowała mocne strony każdego księcia do miejscowych potrzeb, poza tym wyglądało na to, że faktycznie chce dobrze dla każdego z chłopców.

– Jestem ci wdzięczna za przemyślaną opiekę nad naszymi dziećmi – rzekła Risana.

– Ja tylko wypełniam swoje obowiązki – odparła Jia. – Jesteś dla mnie siostrą, której nigdy nie miałam.

I tak we trójkę raczyli się herbatą, podziwiając cudowne widoki rozpościerające się na dole. Między niebem a wodą jeziora sterowiec był jak pojedyncza perła łącząca w świetlistej sieci wszystko ze wszystkim.



Ogłoszenie planu Cieni Cesarza wzbudziło w stolicy niemałe poruszenie.

Wielu zastanawiało się, czy cesarz planuje dać swoim synom większe możliwości działania i ograniczyć własne. Niektórzy chwalili decyzję o wysłaniu księcia Timu, by skupił się na rozwoju kulturalnym Dasu, inni martwili się, że nowe

zadania księcia Phyro potwierdzają rosnące niezadowolenie z rządów cesarza Ragina wśród starej arystokracji. Jeszcze inni uważali to za epizod jakiegoś ekscytującego przedstawienia teatru cieni, gdzie rywalizujący ze sobą książęta budowali niezależne ośrodki władzy na dwóch krańcach Dary.

Po zachodniej stronie ogrodu Soto czytała coś właśnie Farze, kiedy na ścieżce pojawiła się Jia, niosąc mały koszyk.

– Ciocia cesarzowa – powiedziała Fara, a potem wstała i ukloniła się w *jiri*.

– Idź i pobaw się w sadzie – rzekła Soto. – Przyjdę do ciebie później i dokończymy opowieść. – Fara szybko uciekła, a Soto odłożyła książkę na bok.

Jia zerknęła na tytuł. Zmarszczyła brwi.

– Czy Fara nie jest zbyt mała na historię królowej Écofi i Siedmiu Książąt?

– Dzieci radzą sobie z krwawymi opowieściami lepiej, niż nam się wydaje – odparła Soto. – To przed prawdziwym rozlewem krwi musimy je chronić.

Jia pochyliła głowę i przyjrzała się Soto. Kąciki jej ust się uniosły.

– Soto, myślę, że już dawno minęły czasy, kiedy grałyśmy przed sobą. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to.

Soto wzięła głęboki wdech.

– Próbowałam zrozumieć, co robisz, ale muszę przyznać, że jestem zdezorientowana.

– Idę do cieplarni, żeby zebrać kilka pomarańczy dla dzieci – rzuciła beztrąsko Jia.

– Myślę, że zasłużyłam sobie na twoją szczerość. Przejrzałam księgi pałacowe; kasztelan Krin może i jest ostrożny, nie da się jednak nie zostawić śladów, kiedy w grę wchodzi tak duże sumy.

Uśmiech zniknął z twarzy cesarzowej.

– Zastanawiasz się, czy wciąż walczę o to, by Timu został mianowany księciem koronnym. Odpowiedź brzmi: tak.

– Wiem o tym. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób pomogą w tym Cienie Cesarza ani co ma z tym wspólnego wyprowadzanie w tajemnicy pieniędzy. Niegdyś się martwiłaś, że Phyro zyska lojalność generałów Kuniego swoją bezpośredniością i umiłowaniem sztuk walki, więc wyobrażałam sobie, że spróbujesz temu zaradzić, ograniczając wpływy generałów albo sprawiając, by zaczęli bardziej szanować Timu. Jednak tobie wydaje się chodzić o coś jeszcze innego.

– Jeśli podejmujesz wielokrotne próby i każda kończy się porażką, podążanie tą samą ścieżką byłoby szaleństwem.

Soto wzięła głęboki oddech.

– Zawsze będę względem ciebie lojalna, Jio. Ale kocham wszystkie wasze dzieci i nie chciałabym, żeby któreś z nich doznało krzywdy.

– Dlaczego czyny matki zawsze uważa się za egoistyczne? Patrzyłam, jak dzieci wychowują się wspólnie, i też wszystkie kocham, nawet jeśli nie każdemu dałam życie. Jednak widziałam też rozlew krwi, kiedy w ludziach odzywały się ambicje i chęć, by siłą odebrać to, co do nich nie należy. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec. Jestem cesarzową Dary i służę przede wszystkim mojemu

ludowi.

– Przewidujesz taką przyszłość z Phyro na tronie?

Jia odwróciła na chwilę wzrok i najwyraźniej podjęła decyzję.

– Soto, postanowiłaś służyć mojemu mężowi, ponieważ uwierzyłaś, że da Darze lepszą przyszłość niż hegemon. Wciąż uważasz, że to prawda?

Soto pokiwała głową.

– Nie ma większego niebezpieczeństwa niż wiara, że tak właśnie się stanie.

– Nie rozumiem...

– Kuni, tak jak hegemon, zbyt mocno wierzy w moc zaufania. W czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem pozwolił Gin Mazoti ogłosić się królową, licząc na to, że poprzez okazanie jej swojego zaufania zasłuży sobie na lojalność. Pozwala każdemu arystokracji utrzymywać wojsko dość duże, by mogło doprowadzić Darę do ruiny, chociaż na Wyspach panuje pokój. Tak jak człowiek, którego niegdyś nazywał bratem, postanowił zbudować swoje cesarstwo na więziach zaufania między nim a tymi, którzy mu służą.

– I co w tym złego?

– Zaufanie jest kapryśne i łatwo ugina się pod ciężarem. Kuni sprawił, że całe cesarstwo jest od niego zależne, ponieważ uważa, że tylko on potrafi dostrzec ścieżkę prowadzącą w przyszłość. To bardzo kruchy stan. Phyro, chociaż wciąż bardzo młody, przejawia podobne tendencje.

– Czyż w czasach zamętu nie lepiej, by wodze cesarstwa przejął ktoś dość silny, by przeprowadzić wóz przez wyboje? Timu nie dysponuje taką siłą.

– Być może nie. Jednak zamiast Dary utrzymywanej przez śluby lojalności i przyjaźni wolę Darę opierającą się na systemach, instytucjach i sztywno określonych regułach, które zostają reifikowane przez wielokrotne powtarzanie. Jedyne sposoby na zbudowanie trwałego pokoju to odebranie władzy jednostkom i przekazanie jej strukturom. Kuni myśli, że ludzie są moralni i będą postępować właściwie. Ja jednak uważam, że tylko wtedy, gdy ludzie postępują właściwie, bez względu na powody, można nazywać ich moralnymi.

– Możesz mówić językiem moralistów, Jia, jednak moim zdaniem w głębi serca jesteś inentywistką. Jedyne sposoby osiągnięcia twojego celu to ograniczenie władzy do systemu nagród i kar.

Jia uśmiechnęła się smutno.

– Można powiedzieć, że każdy dobry król to inentywista przebrany za moralistę, być może wspierany przez dobrych paternistów w roli ministrów.

– A co z fluksistami?

– Żyją w świecie niedostępnym dla zwykłych śmiertelników. Tutaj, w sferze podksiężycowej, musimy zawsze zakładać najgorsze.

Soto westchnęła.

– Risana gra w mahjonga, a ty w *cüpa*.

Jia się roześmiała.

– Słuchając cię, czuję się taka wyrachowana i... zimna.

– A nie jesteś taka?

– Powiedziałam ci już wszystko, co mogłam. Nawet zaufana przyjaciółka...
Cóż, powiedziałam ci już szczerze, co myślę o zaufaniu.

Soto spojrziała na nią badawczo i po chwili westchnęła.

– Stałaś się subtelniejsza. Nie potrafię już ocenić, co się dzieje w twojej głowie.

– Pozostań moją przyjaciółką i nie myśl o mnie tak źle. Kiedyś myślisz o kimś dobrze, na wszystkie ich czyny spoglądasz łaskawszym okiem. Co jeśli ten rzekomy spisek jest tylko echem twoich własnych lęków, których potwierdzenia doszukujesz się w niewinnym zachowaniu?



– Zomi!

Zomi zatrzymała się tuż za mostkiem prowadzącym do kwater prywatnych. Odwróciła się i zobaczyła księżniczkę Théré, która szła ku niej od cesarskiego ogrodu. Chociaż ubrana była w prostą szatę przeznaczoną do pracy w polu, a ręce miała ubłocone, jej wdzięk i pewność siebie zdradzały wysoki status społeczny, jakby założyła jedwabie i delikatne rękawiczki.

Zomi zdusiła w sobie niecierpliwość i kiwnęła głową.

– Wasza Wysokość.

Za każdym razem, kiedy pojawiała się w pałacu – co nie zdarzało się często, ponieważ jako młodszą adwokat wzywano ją zaledwie kilka razy w roku – Théra zawsze znajdowała pretekst, żeby z nią porozmawiać. Mimo to księżniczka nigdy nie miała nic ciekawego do powiedzenia.

– Bardzo jesteś zajęta? – zapytała. – Dawno cię nie widziałam.

– Czym mogę służyć? – odparła Zomi, nie potrafiąc uniknąć sztywnego tonu.

Zbesztala się w duchu za swoją niegrzeczność. Nie potrafiła wytłumaczyć sama przed sobą, dlaczego Théra za każdym razem wzbudzała w niej taką irytację. W zasadzie powinna jej być wdzięczna – to przecież jej udało się zdobyć dla niej przepustkę na Wielki Egzamin.

Ale Zomi nie czuła się wdzięczna. Wręcz przeciwnie – ingerencja Théry i jej braci w pewien sposób uczyniła jej wygraną nieczystą. Tak, właśnie w tym tkwił problem: pochodziły z różnych klas, były różne od siebie jak chryzantema od mlecza, a jednak Théra upierała się, by traktować Zomi jak równą sobie, ignorując swoje uprzywilejowane życie i nie mając dość wstydu, by brać pod uwagę dzielącą je przepaść. To, co dla niej i jej braci było tylko przygodą, dla Zomi oznaczało różnicę między spełnieniem marzenia a patrzeniem, jak zmienia się w proch.

Nie podobało jej się, że Théra udaje kogoś, kim nie jest: robiła to wtedy, w Trójnożnym Dzbanie, podczas ich pierwszego spotkania, i teraz, gdy bawiła się w rolnika w cesarskim ogrodzie. Zwracała się do Zomi niczym do przyjaciółki, chociaż zupełnie nic ich nie łączyło.

– Och, nie – powiedziała księżniczka. – Nie miałam na myśli... Chciałam tylko... – Oblała się rumieńcem.

Zomi czekała.

– Rozmyślałam nad twoją propozycją porzucenia logogramów – podjęła księżniczka, po czym wyrzuciła z siebie: – Znalazłam w wierszu Kikomi nawiązanie które przypomniało mi o tobie i nie byłam pewna czy go czytałaś więc pomyślałam że mogłabym go dla ciebie skopiować jeśli chcesz albo mogłabyś wypożyczyć go w bibliotece oczywiście że mogłabyś...

– Wasza Wysokość, nie mogę się spóźnić na spotkanie z cesarzową, która mnie wezwała.

– Och – rzuciła rozczarowana księżniczka. – Przepraszam. – Zebrała się na odwagę i powiedziała jednym tchem: – Podziwiam cię, Zomi. Właściwie to ci zazdrozczę. Jesteś wolna i możesz sama zdobywać zasługi, podczas gdy jedyną moją wartością jest moje urodzenie. Jestem tylko narzędziem dla zaspokojenia czyichś ambicji.

Tylko silnej woli Zomi zawdzięczała fakt, że nie wyładowała swojego gniewu na księżniczce. Zamiast tego wzięła kilka głębokich oddechów i rzekła:

– Wasza Wysokość, nie mów tak lekko o zazdrości, bo nie wiesz, jakie inni pokonują ścieżki. Niewiele kobiet... nie: niewielu ludzi, może się cieszyć twoimi przywilejami. Jeśli oplakujesz niemożność życia po swojemu, może powodem jest fakt, że nigdy nie musiałaś sama o siebie dbać.



– Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo czuję się zaszczyczona, Wasza Wysokość – powiedziała Zomi Kidosu, siadając w *mipa rari*. Zżerały ją nerwy. Nie dość, że wezwała ją cesarzowa, to jeszcze doszło do niefortunnego spotkania z księżniczką Thérą.

– Nie trzeba, nie trzeba – odparła Jia. – Spokojnie. – Przeszła do *géüpa* i gestem nakazała Zomi, by zrobiła to samo.

Znajdowały się w małej salce audiencyjnej, która przynależała do prywatnej kwatery cesarzowej. Słomiane maty do siedzenia były gładkie, zaś drewno palące się w piecyku przyjemnie ogrzewało wnętrze, pozwalając zapomnieć o wiosennym chłodzie. Na stoliku stała butelka ciepłego wina śliwkowego, a obok niej dwie czarki.

– Często słyszę, że składasz cesarzowi petycje. Jest pod ogromnym wrażeniem twojej pracy.

Zomi z wysiłkiem powstrzymała się od uśmiechu. Odkąd trzy lata wcześniej została mianowana członkiem Kolegium Adwokatów, pracowała nad dziesiątkami szczegółowych petycji zawierających krytykę projektów prawnych składanych przez różnych ministrów, w tym także przez premiera Yelu, a nawet samego cesarza. Zawsze otrzymywała od Kuniego identyczny zdawkowy komentarz: „Przeczytałem”. Żaden z jej odważniejszych pomysłów nie został wprowadzony w życie.

Czuła rozgoryczenie, widząc, że jej praca nie przynosi żadnych zmian.

– Proszę, spróbuj wina – zachęciła cesarzowa.

Sięgnęła po butelkę i napelniła czarki. W sali dało się czuć aromat zimowych

śliwek. Zomi z uprzejmości wzięła mały lyk. Wino było mocne, więc zaraz poczuła rumieńce.

– Jak rozumiem, twoja matka nie zgodziła się na przeprowadzkę do Pan.

Zomi się spięła. Nigdy nie poruszała osobistych tematów na dworze.

– Dziękuję za troskę, Wasza Wysokość. Matka przyzwyczaiła się do określonego życia i uważa, że w hałaśliwej i zatłoczonej stolicy nie czułaby się szczęśliwa.

Cesarzowa pokiwała głową.

– Moi rodzice są tacy sami. Nie chcą zamieszkać w pałacu, chociaż wielokrotnie im to proponowałam. Zdecydowanie wolą swój dom w Faça, gdzie robią, co zechcą, podczas gdy na dworze ciągle musieliby uważać na każdy swój krok i każde słowo.

Zomi niespodziewanie się wzruszyła. Kobieta siedząca naprzeciwko okazała się zupełnie inna, niż Zomi się spodziewała.

– Oczywiście moja sytuacja jest o wiele prostsza – ciągnęła dalej cesarzowa. – Może nie mogę spełniać obowiązków zazwyczaj spoczywających na córkach i pomagać im na co dzień, ale stać mnie, by posłać im, cokolwiek zechcą: muzyka, który mógłby przypaść im do gustu, albo cały sterowiec najlepszych cesarskich kucharzy, żeby na przyjęcie urodzinowe przygotowali tradycyjne dania z Dasu.

Uśmiechnęła się szeroko do Zomi, która się roześmiała, widząc oczyma wyobraźni sterowiec wysłany w celu zorganizowania przyjęcia-niespodzianki. Zaraz potem na jej twarzy znów zagościł smutek.

Cesarzowa spoważniała i ciągnęła dalej:

– Rozumiem jednak, że znacznie trudniej jest zapewnić matce lepsze życie z tej niewielkiej pensji, jaką otrzymują członkowie Kolegium Adwokatów. Cesarz nie chce wprowadzać zbyt wysokich wynagrodzeń w tej instytucji, jednak pozostali adwokaci pochodzą z bogatych rodzin albo mają inne sposoby na dodatkowy zarobek.

Empatyczny ton cesarzowej sprawił, że Zomi porzuciła resztki powściągliwości. Pensja wypłacana członkom Kolegium Adwokatów była mizerna, a życie w Pan – drogie. Chociaż Zomi starała się zaoszczędzić każdego miedziaka, nie była w stanie wysłać matce zbyt wielkich kwot.

Co więcej, nie chciała pogrywać jak inni adwokaci. Tamci chadzali do eleganckich restauracji i oper w towarzystwie ministrów, których projekty powinni krytykować; czasami dało się przyuważyć, jak dyskretnie wsuwają do kieszeni upominki. Właśnie tak można się było zaprzyjaźnić z wpływowymi ludźmi i otrzymywać korzystne awanse. Zomi zrozumiała to, przyglądając się, jak jej koledzy jeden po drugim znajdują stanowiska poza Kolegium. Sama nie potrafiła jednak zmusić się do czegoś takiego. Za bardzo ją takie postępowanie brzydziło.

– Cesarz wierzy w potrzebę nagradzania ludzi obdarzonych talentem, a ja się z nim zgadzam. Myślę, że mogę znać rozwiązanie twojego problemu.

– Obawiam się, że ta niemądra adwokat może nie mieć dość talentu, by wykonać zadanie, które chodzi po głowie Waszej Wysokości – powiedziała Zomi.

– Królowa Gin napisała do cesarza z prośbą o przydzielenie jej głównego doradcy. Poleciałam ciebie.

Zomi zaniemówiła. Przyjęcie stanowiska głównego doradcy tak ważnej osobistości jak królowa Gin równało się objęciu stanowiska premiera na dworze króla Tiro. Zomi była pewna, że jeżeli miałyby takie wpływy, udałoby jej się sprawić, by niektóre jej pomysły zostały wprowadzone w życie – co podobałoby jej się o wiele bardziej niż pisanie bezcelowych krytyk cudzych koncepcji. Do tego spośród wszystkich arystokratów to królową Gin podziwiała najbardziej. Oprócz tego – ze względu na fakt, że właśnie ona zarekomendowała ją do egzaminu – zdawała sobie sprawę, że jej sekret będzie najbezpieczniejszy właśnie wtedy, gdy zacznie służyć królowej Gėjiry.

Z pewnością nie zaszkodziłaby też ogromna podwyżka, z jaką wiązał się tego rodzaju awans. W końcu Zomi byłaby w stanie spełnić obietnicę złożoną matce.

Jednak dziwne było to zainteresowanie cesarzowej sprawami arystokracji. Przecież próbowała ograniczyć ich władzę. W rzeczy samej, rok wcześniej Zomi Kidosu oceniała propozycję cesarzowej – ostatecznie wprowadzoną – by zredukować finansowanie wojsk poszczególnych regionów. Zaoszczędzone w ten sposób środki miano przeznaczyć na infrastrukturę. Właściwie Zomi popierała ten projekt, jednak zadaniem adwokatów było znajdowanie dziur w każdej propozycji bez względu na osobiste przekonania.

Podczas gdy wciąż jeszcze próbowała przetrwać wiadomość, cesarzowa ciągnęła dalej.

– Wbrew plotkom wysoko cenię rolę, jaką odgrywają niezależne lenna jako miejsca politycznych eksperymentów. Królowa Gin jest doskonałym strategiem, ale... brakuje jej finezji w zarządzaniu. Twoja pomoc będzie bardzo przydatna. Poza tym wierzę, że będzie ci bezwarunkowo ufać, jako dawnej uczennicy Luana Zyi.

Zomi nie zdziwiło ani trochę, że cesarzowa zna jej nauczyciela – w końcu to cesarz odgadł jego tożsamość. Kiwnęła głową na znak, że rozumie dyskretną aluzję Jii do relacji łączącej królową Gin i Luana.

Chociaż słowa cesarzowej miały sens, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że w rzeczywistości chodzi jej o coś innego. Zomi może nie była biegłą w polityce, wiedziała jednak, że za tego rodzaju przysługę zazwyczaj trzeba zapłacić.

– Masz dla mnie jakieś szczególne instrukcje, Wasza Wysokość? – zapytała ostrożnie. Niezgoda między cesarzową a królową była wszystkim znana. Jeśli Jia chciała, by Zomi w jakiś sposób zdradziła Gin, dziewczyna będzie musiała odmówić przyjęcia stanowiska.

– Tylko jedną: rób to, co dobre dla Dary, bez względu na konsekwencje.

Zomi spojrzała na nią pytająco.

– Książę Phyro jest mądry, ale niedoświadczony – wyjaśniła Jia. – Książę Coda doskonale spełnia swoje obowiązki, lecz bywa czasem nadgorliwy. Obawiam się, że w czasie pacyfikacji Tunoi mogą skrzywdzić niewinnych ludzi w sposób, którego cesarz później pożałuje. Nie każda krytyka cesarza jest zdradą stanu, a jeśli

Phyro i Coda zbyt mocno będą nękać utalentowanych ludzi, trzeba ich będzie ochronić.

Zomi zastanowiła się nad słowami cesarzowej. Wydawały się logiczne. Jej występ w czasie Egzaminu Pałacowego oraz ostra krytyka w Kolegium Adwokatów przyniosły jej reputację osoby bardzo bezpośredniej. Jeśli zacznie bronić dysydentów, zostanie to odebrane jako naturalne – w rzeczy samej, Zomi aż uśmiechnęła się na wspomnienie Trójnożnego Dzbana.

– Nie zamierzacie eliminować lenn? – zapytała. – Przyznaję, że myślałam...

– Nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy – odparła Jia. – Zawsze chciałam wyłącznie tego, co najlepsze dla Dary. Otwarty umysł nie ucieka przed argumentami, a twoje argumenty za przyznaniem arystokratom większej niezależności są bardzo przekonujące.

Zomi zarumieniła się, zadowolona, że jej petycje zostały przeczytane przez cesarzową i uznane za frapujące. „Może jednak nie marnowałam czasu?”

Wróciła do pozycji *mipa rari* i ukloniła się nisko, dotykając czołem podłogi.

– Wasza Wysokość, masz naprawdę otwarty umysł.

Jia pokazała jej gestem, żeby wstała.

– Jeszcze jedno: nikomu nie wspominaj o naszej rozmowie.

Zomi podniosła wzrok i popatrzyła na cesarzową pytająco.

– Uчени nieustannie narzekają, gdy żony cesarza wtrącają się w sprawy kraju – wyjaśniła cesarzowa, gorzko się uśmiechając. – Musimy sprawić, by moja rola była jak najmniej widoczna. Taki już los kobiet, które nie miały szansy udowodnić swojej wartości, tak jak ty.

Zomi kiwnęła głową i znowu się ukloniła.

– Przysięgam, że nigdy nikomu nie zdradzę treści tej rozmowy.

Gdy dokończyły wino, pożegnała się i wyszła dziarskim krokiem.

– Ach, próżność – szepnęła cesarzowa, długo po tym, jak Zomi znalazła się poza zasięgiem sluchu.



Théra zamknęła się w swoim pokoju. Przez wiele godzin wyplakiwała sobie oczy. Czuli się upokorzona.

Przez lata podziwiała z daleka Zomi Kidosu, wyobrażając sobie przygody, jakie mogły stać się jej udziałem, a dla niej samej, cesarskiej córki, niedostępne. Widziała w niej ciepłą, mądrą i serdeczną przyjaciółkę. Lecz po ich krótkiej rozmowie obraz tej niezwyklej dziewczyny, jaki Théra zbudowała w swojej głowie, rozpadł się na tysiąc kawałków.

Słowa młodej adwokat odbijały się echem w jej głowie i za nic nie chciały jej opuścić: „Może powodem jest fakt, że nigdy nie musiałś sama o siebie dbać”.



Cesarskie dzieci postanowiły wybrać się na wiosenną przejażdżkę. Fara

jechała powozem, zaś Timu, Théra i Phyro konno. Otaczały ich dwa tuziny strażników pałacowych, a inne wozy i przechodnie na ich widok z szacunkiem usuwali się z drogi.

– Zastanawiałeś się, co będziesz robił w Dasu? – zapytała Théra starszego brata.

– Zacznę pewnie od odwiedzenia miejsc, które były ważne w drodze cesarza na tron: wejście do Wielkich Tuneli, fałszywą stocznię, która zmyliła Kindo Maranę, plażę, na której ojciec śpiewał z cicią Risaną, i tak dalej. Potem spróbuję opracować sposób finansowania szkół, żeby pomóc młodym ludziom takim jak Zomi, a w razie potrzeby będę konsultował się z mistrzem Ruthim.

– Bardzo się smuci, że musi opuścić Pan i jechać taki kawał drogi?

– Ani trochę – jest podekscytowany! Planuje przeszukiwać archiwa, żeby uzupełnić pewne braki w historii Wojny Chryzantemy z Mleczem, zwłaszcza dotyczące roli królowej Gin na wczesnym etapie.

Nie uszło uwadze Théry, że Timu trzyma głowę wyżej niż zwykle i że mówi nietypowym jak na niego ożywionym tonem. Perspektywa przebywania z dala od ojca, którego nigdy nie potrafił zadowolić, zdawała się go pobudzać.

– A co z tobą, Hudo-tika?

– Wymyśliliśmy już z wujkiem Rinem pułapki na zdrajców! – Phyro z radością zacierał ręce.

Théra wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu.

– Tunoa to surowa ziemia. Jesteś pewien, że poradzisz sobie, nie jedząc codziennie na deser ciasta o tysiącu warstw?

– A co ty myślisz, że jestem w wieku Fary? – Phyro wydawał się urażony. – Będę sam łapał ryby, zupełnie jak kiedyś hegemon! Tunoa ma przebogatą historię, to przecież stamtąd wywodzi się wiele pokoleń marszałków Cocru. Będę przechadzał się między ruinami dawnych zamków i obcował z duchami wspaniałych herosów. Co może być słodsze niż spanie na trawiastym łożu na zboczu wzgórza po całym dniu marszu, z gwiezdny baldachimem nad głową?

– Zamordowałeś ten cytat z Ra Ojogo – powiedziała Théra ze śmiechem. – Ra Oji mówił o śmierci jako o naturalnej konsekwencji nurtu życia i nie chciał bogatego pochówku...

– Mogę interpretować Ra Ojogo, jak zechcę – oznajmił Phyro. – Słowa są martwe, ale ja żyję.

Théra uśmiechnęła się i nie powiedziała już nic więcej. Pod wieloma względami Phyro rzeczywiście bardzo przypominał ich ojca. Miała tylko nadzieję, że z czasem nauczy się lepiej panować nad swoimi impulsami.

Patrząc na swoich szczęśliwych braci, czuła, że nadchodzi kolejny atak zazdrości. Oni wyjeżdżali w szeroki świat, by doświadczać życia. Wciąż byli tylko chłopcami, a jednak miało im przypaść w udziale podejmowanie decyzji, które zmieniają ludzkie życie – co prawda pod okiem Zato Ruthiego i Rina Cody. Ruszali drogą wiodącą do zaszczytnych osiągnięć i prawdziwej władzy. Z kolei Théra miała zostać w pałacu i przygotowywać się do jedynej rzeczy, która ją jeszcze czeka:

małżeństwa z nieznanym mężczyzną.

Uspokajała ją jednak myśl, że podjęła maleńki krok w kierunku zmiany przyszłości.

– *Ojczy, a co z twoimi pozostałymi cieniami? Czy one też nie zasługują na szansę?*

– *A czego byś sobie życzyła, Rata-tiko?*

Drobinki kurzu tańczyły w promieniach słońca wpadających do prywatnego biura ojca równie chaotycznie co jej myśli.

– *Nie wydawaj ani mnie ani Ada-tiki za mąż bez naszej zgody. Obiecujesz?*

– *Oczywiście! Nawet przez myśl mi to nie przeszło.*

– *Nie zrobisz tego nawet pod wpływem mamy?*

Spojrzał na nią tak, jakby oceniał uczonego w czasie Egzaminu Pałacowego.

– *Nawet pod wpływem mamy.*

Westchnęła z ulgą. A potem dodała:

– *Nie przydzielaj nam nowego nauczyciela po wyjeździe mistrza Ruthiego.*

Osobiście zajmę się uczeniem Ada-tiki, a sama będę zgłębiać te dziedziny wiedzy, które naprawdę mnie interesują.

Był to tylko maleńki krok, ale zbliżał ją do odkrycia, kim jest. Była posłuszną córką, kochającą siostrą, uprzejmą księżniczką i pilną uczennicą, ale czuła, że drzemie w niej coś więcej.

– *Patrzcie, dzika gęś!* – zawołała Fara. Wstała z siedzenia i wskazała ptaka. Théra podjechała bliżej, na wypadek gdyby dziewczynka wypadła. Timu i Phyro ruszyli do przodu. Kiedy Timu, mruczając pod nosem coś o pogodzie, podniósł rękę, by osłonić oczy przed blaskiem słońca i spojrzeć na ptaka, Phyro zdjął łuk z ramienia i przyszykował się do wypuszczenia strzały.

– *Nie!* – krzyknęła Théra, lecz było już za późno.

Chociaż Phyro był dość silny jak na swój wiek, wciąż nie potrafił należycie napiąć łuku. Strzała upadła, nie robiąc gęsi żadnej krzywdy. Jednak strażnicy pałacowi, chcąc przypodobać się księciu, wypuścili własne strzały, zaś ptak zaraz padł na ziemię, wydając rozdzierający krzyk.

– *To prawie tak, jakbym sam ją ubił* – powiedział Phyro.

Strażnicy wiwatowali, najwyraźniej się z tym zgadzając.

– *Biedna gaska* – rzekła Fara.

– *Tak, biedna gaska* – powtórzyła Théra.

Rozdział dwudziesty trzeci

Listy od dzieci

Nokida: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Najukochańsza Mamo,

zdziwiłam się, czytając w Twoim ostatnim liście, że planujesz wyjechać z Dasu na dłuższy czas, by odwiedzić rodzinę w Rui. Czy dom, który zbudowałam, Ci nie wystarcza? Czy służące nie przykładają się do pracy? Czytam między wierszami i domyślam się, że sąsiedzi są zazdrośni o sukcesy Twojej córki i Ci się naprzykrzają. Nie pozwól, żeby zepsuli Ci całą przyjemność! Królowa dobrze mi płaci i chciałabym dać Ci lepsze życie, tak jak obiecałam.

Przepraszam, że tak długo nie pisałam. Może to mizerna wymówka, ale byłam bardzo zajęta, bo praca idzie doskonale. Nałożono na mnie ogromną odpowiedzialność, a królowa, jak mi się zdaje, z każdym dniem ufa mi coraz bardziej. W tej chwili pracuję nad projektem, w ramach którego uczę córki rolników z Gėjiry posługiwania się literami zyndari i czytania klasyków Ano w języku ojczystym, nie zmuszając ich do uczenia się logogramów. Uwielbiają to! W klasycznej literaturze epoki Ano jest tyle piękna, lecz niewielu może się nim napawać, ponieważ mało kto zna logogramy. Dziewczynki już piszą cudowne historie pełne aluzji do historii i sztuki epoki Ano – a pomijając fakt, że posługują się językiem ojczystym, moim zdaniem tworzą lepsze teksty niż chłopcy w ich wieku w prywatnych akademiach.

Och, to Ci się spodoba! Zaczęłam szpikować swoje raporty dla królowej i innych ministrów fałszywymi cytatami z klasyków Ano, a będącymi tłumaczeniami powiedzeń, jakimi mnie kiedyś raczyłaś. Oto kilka przykładów:

„Crudigada ma joda gathéralucaü rofi, crudigada wi joda giratha, üü ingro ça fidagén”, czyli: „Nic dobrego nie wyniknie z wzywania bogów, jeśli nie chcą, by ich wzywać”;

„Méüdin co daükiri ma géngoa co üri kiri né othu”, co znaczy: „Każdy dzień życia zwykłego człowieka jest dniem walki”.

Wiem, że nie mogę w pełni oddać tego efektu, bo tylko kreślę logogramy w uproszczonej formie, zamiast wyrzeźbić je w wosku, ale uwierz mi, wyglądają cudownie.

Najlepsze jest to, że żaden z ministrów się nie zorientował! Wszyscy zachowują się, jakby doskonale wiedzieli, który traktat moralistyczny cytują... Tak bardzo się boją, że ktoś uzna ich za nie dość wykształconych, że wolą kiwać głowami i wzdychać, chwając moje odczytanie i trafność przytaczanych przeze mnie mądrości.

Królowa jednak patrzy na mnie dziwnie, kiedy natrafi na jeden z nich. Myślę, że rozumie moje małe żarciki (i, mam nadzieję, sprawiają jej przyjemność).

Dbaj o siebie i proszę, daj znać, gdyby miała Ci się przydać moja pomoc.

Twoja Mimi

Dasu: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Najszlachetniejszy Rénga,

Pozwól swojemu niegodnemu synowi życzyć Ci tysiąca szczęśliwych dni w miejscu stu, co znaczy tyle: niech każdy Twój dzień będzie dziesięć razy szczęśliwszy niż zwykły, choć oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że istnieje coś takiego jak zwykły dzień w pełnym obowiązków życiu mądrego Cesarza Wysp Dary, ponieważ każdy Twój dzień musi przynosić dziesięć razy więcej kłopotów niż dzień kogoś takiego jak ja, dlatego też życzenie zdziesięciokrotnienia szczęśliwości takiego dnia przyniesie zaledwie zasłużoną i właściwą równowagę... Ach, słowa potykają się o siebie, kiedy niegodny syn próbuje wyrazić swoją szczerą miłość i podziw dla najczcigodniejszego władcy i ojca. Wasza Wysokość, Twoje pytanie z ostatniego listu zszokowało mnie i cały swój czas poświęciłem na poszukiwanie odpowiedzi. Wydaje mi się, że mogę wreszcie podzielić się informacjami, które dzięki swej wspaniałomyślności i otwartości mógłbyś uznać za satysfakcjonujące. Twoje pytanie brzmiało: „Czy wszyscy kandydaci do Wielkiego Egzaminu wysłani przez Dasu w tym roku rzeczywiście są z Dasu?”. Otóż aby w pełni odpowiedzieć na tak zadane pytanie, byłem zmuszony przeprowadzić badania i precyzyjnie określić definicje najważniejszych terminów, ponieważ takie pojęcia jak „Dasu” oraz „wysłani przez” są w moim odczuciu niejednoznaczne i wymagają starannej analizy...

**[Okolo trzydziestu stron gęsto zapisanych logogramami Ano].
Pozostaję, kochający i posłuszny.**

Wasz najbardziej oddany sługa i najbardziej oddane dziecko

Timu, księżę Dary, regent Dasu

Pan: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Jia dźgnęła Kunięgo w żebra.

– Au! Hej! Doskonały list, doskonały! – wykrzyknął nieco zdezorientowany Kuni. Jego głos poniósł się echem po niemal pustej sali audiencyjnej.

– To ja czytałam – powiedziała Jia – a nie jakiś skryba. Naprawdę zasnąłeś?

– Zasnąć? W życiu! Ja tylko dałem odpocząć oczom.

– Jak mogłeś!

– Jia, nie możesz mnie za to winić! Listy Timu stały się z czasem jeszcze bardziej nużące. Zawsze lubował się w kwiecistym stylu, ale teraz obawiam się, że ten styl wymknął się spod kontroli. Jest jak chwasty na obrzeżach mojego ogrodu.

– Styl księcia Timu jest... kwiecisty – powiedziała Risana.

– W dziesięciu zdaniach pisze to, co można by zapisać w jednym, co może oznaczać, jak inni by to określili... O, zobaczcie, ja się tym od niego zaraziłem!

– Po prostu denerwuje się, gdy ma do ciebie pisać – zauważyła Jia.

– Skupmy się lepiej na jego odpowiedzi – podpowiedziała Risana.

– A może mi ją któraś z was podsumować? Przyznaję się, że... nie do końca zrozumiałem.

– Wyjaśnił, że tak, twoje podejrzenia okazały się słuszne. Spośród wszystkich kandydatów wysłanych na Wielki Egzamin z Dasu niemal połowa pochodziła z rodzin, które w ciągu ostatnich pięciu lat przeprowadziły się tam z którejs z głównych wysp – rzekła Jia.

– Wiedziałem! – zawołał Kuni. – Wszystkie te bogate rodziny są takie same, zawsze szukają sposobu na oszukanie systemu.

– Twój kompromis z protestującymi *cashima* z zeszłego roku był dobrym pomysłem – oznajmiła Jia. – Wszyscy zgodziliśmy się, że dodanie punktów do wyników egzaminowanych z prowincji spoza obszarów o wysokim poziomie edukacji, takich jak Haan czy Gėjira, pomoże osiągnąć większą równowagę między regionami, z których pochodzą *firoa*.

Kuni westchnął.

– Gdy tylko przystałem na te zmiany, podejrzewałem, że przedsiębiorcze rodziny z głównych wysp przeprowadzą się do Dasu czy Tunoi w nadziei na zyskanie przewagi w wyścigu do Wielkiego Egzaminu, w którym biorą udział ich dzieci.

– Zupełnie nie zgadza się to z duchem twojego edyktu – powiedziała Risana, marszcząc brwi.

– Nie – odparła Jia. – Chociaż jeśli taka polityka zachęci pewne haańskie rodziny do przeprowadzki do Dasu, w pewnym sensie pomoże to zaszcześcić tam ducha nauki.

– Napiszę do Timu, żeby zmodyfikował system egzaminów regionalnych, tak by nagradzać te rodziny, które mieszkały w Dasu dłużej...

– Albo możesz po prostu poinformować go, w czym twoim zdaniem tkwi problem, i pozwolić mu samodzielnie znaleźć rozwiązanie – rzekła Jia. – W końcu powinien rozwiązywać problemy za ciebie, a nie odwrotnie, prawda?

Kuni przyznał, że to bardzo mądre posunięcie.

Tunoa: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Mój Najdroższy Ojcze,

od czasu mojego ostatniego listu do Ciebie doszło do nagłej serii zabójstw urzędników. Oprócz tego na drzwiach magistratów zawieszono plakaty oczerniające Dom Mlecza. W żołnierzach w garnizonie obudził się strach i nie chcą opuszczać obozowiska, chyba że w dwie lub więcej osób.

Niezwykłe mnie to zaskoczyło, ponieważ uważałem, że zagrożenie ze strony wyznawców sekretnych kultów zostało już niemal wyeliminowane.

Jeśli przejrzyś raporty, które dla Ciebie przygotowałem, przekonasz się, że od czasu naszego przyjazdu do Tunoi dwie wiosny temu razem z księciem Coda odkryliśmy ponad dwieście sekt skupionych wokół kultu hegemonia. Różniły się liczbą członków (od kilku do kilkuset), a większość była nieszkodliwa – tworzyli ją chłopcy kultywujący pamięć ulubionego syna Tunoi. Jednak niewielka część tych sekt wykorzystywała kult hegemonia jako przykrywkę do prób wzniesienia buntu, dopuszczając się nawet zabójstwa nisko postawionych cesarskich urzędników oraz zbierania broni. Na mocy mojej decyzji, by zabronić wszelkiego prywatnego oddawania czci hegemonowi i odsyłania wszystkich jego wielbicieli do mauzoleum w Farun, książę Coda i jego oddział rozbijali grupy sprawiające kłopoty. Zarówno Ty, Ojcze, jak i ja chwaliliśmy sprawność, z jaką odkrywał te gniazda jadowitych węży i chwycił ich przywódców – czasami wydawało się wręcz, że ma nadnaturalną zdolność wyczuwania ich, co wydawało się stosowne do reputacji Sekretarza Cesarskich Dalekowidzów.

Większość z tych sekt została założona przez rozgoryczonych arystokratów z dawnych królestw Tiro, chociaż znalazło się też kilku kupców niezadowolonych z nowego prawa wspierającego rolników kosztem ich interesów poprzez ustanowienie stałych cen. Koordynowaliśmy działania z królową Gin, żeby odkryć tożsamość wszystkich zaangażowanych kupców.

Jednocześnie pamiętałem o Twoich uwagach, by każdemu smagnięciu bicia towarzyszyło ofiarowanie słodkiego jabłka. Chociaż dokonaliśmy publicznej egzekucji przywódców sekt, wspierający ich z nieprzemyślanego oddania hegemonowi wyznawcy byli traktowani łagodnie. Młodzi uczeni posiadający wiele pasji, lecz mało rozumu, którzy publikowali traktaty skierowane przeciwko Twoim rządóm, zostali przekazani rodzicom, żeby mogli zostać w domu i zastanowić się nad popełnionymi błędami. Podnieśliśmy też finansowanie mauzoleum hegemonia: im więcej wyznawców tam ściągniemy, tym mniej ludzi pociągną za sobą wichrzyciele.

Niemniej jednak ostatni wzrost działań przeciwko władzy cesarskiej sugeruje potrzebę zmiany w naszej polityce.

W przeszłości siedziby sekt mieściły się głęboko w lesie albo na wzgórzach, z dala od wiosek. W ten sposób łatwo można je było namierzyć ze sterowca, ponieważ dym z ognisk dało się zauważyć z dużej odległości. Jednakże w czasie ostatnich patroli nikt nie widział takich znaków. Książę Coda podejrzewał, że kultysty postanowili lepiej się ukrywać. Obmyślił plan, który z całego serca poparłem.

Ograniczyłem import wosku i tłuszczu wielorybiego do Tunoi, aż większość miasteczek i wsi zużyła swoje zapasy. Potem zniosłem te ograniczenia, jednak ogłaszając, że w przyszłości tych towarów znowu może zabraknąć. Tymczasem szpiedzy księcia Cody monitorowali sprzedaż wosku i tłuszczu wielorybiego w całej Tunoi, zapisując wszystkie przypadki niezwykle wysokich zamówień. Książę Coda przekonywał, że kultysty muszą spać za dnia i przeprowadzać wszystkie działania nocą. Z tego też powodu potrzebowali dużej liczby świec i lamp olejnych, żeby zapewnić sobie oświetlenie. Niedawne braki wosku i tłuszczu oraz moja zapowiedź skłoniłaby ich do zmagazynowania bardzo dużych ilości tych towarów.

Szybko zidentyfikowaliśmy wiele miasteczek, gdzie sprzedaż świec i oleju do lamp wydawała się znacząco przerastać zwyczajne potrzeby mieszkańców. W te miejsca posłaliśmy dodatkowych szpiegów.

Ich odkrycia były szokujące: Noda Mi oraz Doru Solofi, dwóch królów zawdzięczających władzę Macie Zyndu, zbudowało sieć sekretnych stowarzyszeń zajmujących się krzewieniem buntu. Działali w jaskiniach i piwnicach nocami, poza zasięgiem wzroku załóg naszych sterowców. Zgromadzili tysiące wyznawców hegemonu i knuli spisek.

Wysłano żołnierzy i kapłanów do najazdu na te komórki. W przeszłości aresztowanie i trwanie przywódców, a także wyjaśnienie ze strony kapłanów, że właściwy kult hegemonu powinien odbywać się w mauzoleum, zazwyczaj wystarczały. Tym razem jednak żołnierze musieli walczyć. Poplecznicy Mi i Solofiego nie tylko gwałtownie się opierali, lecz także zamordowali kapłanów, twierdząc, że nie byli prawdziwymi przedstawicielami hegemonu.

Plotki o tym, że Mi i Solofi potrafią rozmawiać z duchem hegemonu, dało się słyszeć na każdym rogu, a nam ostatecznie udało się znaleźć ich źródło, kiedy przejęliśmy kilkanaście luster o przedziwnych właściwościach magicznych. Chociaż wydawały się zupełnie zwyczajne, kiedy ustawiło je się pod światło, niespodziewanie rzucały obraz hegemonu. Zbadaliśmy je dokładnie razem z księciem Codą, konsultując się z ekspertami i uczonymi, kilka nawet zniszczyliśmy w trakcie tych

wysiłeków, nikt jednak nie potrafił odkryć ich sekretu. Noda Mi i Doru Solofi buntują się już otwarcie, a każdego dnia dołączają do nich kolejni głupcy, zachęcani wiarą, że tamci posiadają wsparcie nieustraszonego ducha Maty Zyndu.

Razem z poniższym listem wysyłam kilka tych luster w nadziei, że uda Wam się poznać ich tajemnicę. Chociaż rebeliantów przybywa, chociaż zdają się brać broń znikąd i chociaż nastąpiło kilka komplikacji, walczymy z nimi bez strachu, nieustannie i z wiarą w Twoje rady.

Twój oddany

Phyro

Pan: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– Phyro naprawdę dojrzał – powiedziała Risana. – Z każdym listem wydaje się bardziej pewny siebie, żywi coraz mniej dziecinnych sentymentów. Posłuchajcie tego ostatniego zdania. Taka odwaga! – Spojrzała na Jię i szybko dodała: – Mimo to musi jeszcze wiele zrobić, żeby dogonić brata. W tym roku Dasu doskonale sobie poradziło na Wielkim Egzaminie, zdobywając aż trzech *firoa*, a jednego posyłając na egzamin pałacowy. Mimo problemów, na jakie natrafiliśmy w Dasu, bez wątplenia tamtejsze sukcesy to zasługa Timu i jego ciężkiej pracy w tak odległej placówce.

– A może mistrz Ruthi nieświadomie nauczył uczniów z Dasu, jak przypodobać się sędziom na egzaminie – powiedziała Jia, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Phyro pracuje wytrwale, by utrzymać trudno zdobyty pokój.

– Rozpoznaję w tym liście wpływ Rina – powiedział Kuni. – Kiedyś zawodowo pisywał listy, wiecie? Próbuje ukazać złą sytuację w jak najlepszym świetle, uwypuklając ich wysiłki. Może i Phyro napisał raport, lecz Rin nie powstrzymał się przed dodaniem czegoś od siebie.

Jia pokiwała głową. „Rin pewnie żałuje teraz, że skorzystał z mojej rady. Lecz to dopiero początek”.

– Twoim zdaniem sytuacja wygląda gorzej, niż to przedstawia w liście? – zapytała z niepokojem Risana. – Może powinieneś posłać posiłki?

– Ojcowie nie mogą wiecznie wyręczać swoich synów w walce – rzekła Jia.

Kuni zamyślił się.

– Jia ma rację. To ostatnie zdanie nie do końca jest prośbą o pomoc. Jeśli wyślę posiłki przy pierwszych oznakach kłopotów, okażę brak zaufania i podważę autorytet Phyro. Chłopak zbyt szybko i zbyt ostro rozprawił się z kultami, ale muszę mu pozwolić samemu to rozgryźć.

– Dlaczego sytuacja tak szybko i tak drastycznie się pogorszyła? – zdziwiła się Risana. – Myślałam, że Hudo-tika i Rin mają wszystko pod kontrolą.

– Nie martwi mnie to, jak silni są rebelianci teraz. Niepokojące jest to, o ile

silniejsi się staną – odparł Kuni. – To jedna z tych chwil, kiedy bardzo brakuje mi porady Luana. On zawsze miał talent do dziwnych ustrojstw.

Rzucił list na bok i sięgnął po jedno z lusterek z brązu. Podeszedł do okna i ustawił tafelę tak, by odbity od niej promień słońca rzucił obraz na sufit. Z góry spojrzął na niego hegemon. Rzeźbienie było doskonale wykonane, wyraźne linie idealnie oddawały kanciaste rysy twarzy, a dzięki nieortodoksyjnemu krzyżowemu szrafowaniu obraz nabierał głębi. Słynne oczy z dwiema źrenicami wpatrywały się w Kuniego pewnie i groźnie. A kiedy odbicie migotało w świetle słońca, obraz zdawał się ożywać.

– Witaj, bracie – szepnął Kuni. Zadrżał mimo ciepła panującego w sali.

– To tylko sztuczka – zauważyła Jia. – Nawet Fara nie dałaby się nabrać.

– Jednak tego rodzaju sztuczki mogą być bardziej przekonujące dla zwykłego człowieka niż rzeczowe argumenty uczonych – oznajmiła Risana. – W młodości pokazałam dość dużo takich sztuczek, by wiedzieć, jak wielką siłę może mieć dobry spektakl.

– Risana ma rację – rzekł Kuni. – Huno Krima i Zopa Shigin wznieśli bunt za pomocą jedwabnego zwoju wepchniętego w rybę, a ostatecznie zdołali doprowadzić do upadku imperium Xany. Dopóki ludzie wierzą w tę „magię”, dopóty ona działa.

– Moglibyśmy wysłać sterowiec, żeby odnaleźć Luana – powiedziała Jia.

– Musielibyśmy wiedzieć, gdzie go szukać – zauważył Kuni. – Morze jest szerokie, a my... nie mieliśmy od niego żadnych wieści odkąd wypłynął. Mam nadzieję, że przynajmniej jest bezpieczny.

Przez chwilę cesarz wydawał się zagubiony. Dumął nad losem starego przyjaciela.

– Jeśli ktoś może przetrwać gniew Tazu to tylko wierny wyznawca Lutho, starego i mądrego żółwia, oraz człowiek, który niegdyś płynął na grzbiecie crubena. Bogowie pomagają tym, którzy sami sobie pomagają. Posłucham rady Cogo. To nie lustra są najważniejsze. Musimy się dowiedzieć, skąd rebelianci biorą broń.

Z determinacją wymaszerował z prywatnej sali audiencyjnej.

Rozdział dwudziesty czwarty

Wycieczka

Jeziro Tututika: szósty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Théra i Fara siedziały na nabrzeżu, mocząc nogi w zimnej wodzie. Ubrane w proste szaty z tkaniny konopnej wyglądały jak córki wieśniaków, które zrobiły sobie przerwę od pracy w upalny dzień. Patrzyły na powierzchnię jeziora pokrytą liśćmi lotosu, pośród których ogromne różowo-białe kwiaty kołysały się na wietrze jak tancerki. Między nimi pływały małe łódki, w których siedziały młode kobiety. Zbierały nasiona, podśpiewując:

Kwitnie lotos, mój kochany,

Na twój widok płoni się,

Me serce bije, mój kochany,

Czy nie widzisz, że nadchodzi lata kres?

– Miło tu – powiedziała Fara. – Powinniśmy częściej mieć takie przygody.

Siedemnastoletnia Théra objęła dziewięcioletnią siostrę i przyciągnęła do siebie z uczuciem.

Odkąd sama zajęła się edukacją własną i Fary, przestały czytać traktaty moralistów. Zamiast tego pozwoliła, by prowadził je głód wiedzy. Pod jego wpływem sięgały po różne książki z przepastnej cesarskiej biblioteki: jednego dnia mogły zaczytywać się façańskim folklorem, a następnego podziwiać rysunki podręczników inżynierii militarnej, by kolejny spędzić nad poematami z czasów Wojen Diaspory, których logogramy rozszyfrowywały z pomocą grubych słowników. Spędzały więcej czasu na czytaniu niż pod kierunkiem Zato Ruthiego.

Jednak chociaż bardzo to lubiły, czasami chciały znaleźć się daleko od pałacu, z dala od strażników, dworzan, służących i pokojówek, gdzie nie musiałyby być cesarskimi księżniczkami.

Wymykały się wtedy z pałacu, chowając się w wozach rolników, którzy dostarczali do kuchni świeże warzywa i owoce; potem zabierały się z kupcami i rolnikami, aż w końcu udawało im się dotrzeć na brzeg jeziora.

– Obawiam się – powiedziała Théra – że gdybyśmy robiły to częściej, mama wyrwałaby sobie wszystkie włosy z głowy. Kiedy wrócimy, pewnie każe ci sto razy pisać po sto linijek logogramów.

– I tak byłoby warto.

– W rzeczy samej – odezwał się inny głos.

Dziewczynki odwróciły się i zobaczyły kobietę o nadzwyczajnej urodzie. Miała włosy koloru złota, błękitne oczy, a jej ciemna skóra była gładka jak wypolerowany bursztyn. Niebieska jedwabna suknia falowała wokół niej jak woal utkany z wody. Mówiła głosem łagodnym i chłodnym, jak podmuch wiatru poruszający liśćmi wierzby płaczącej.

Théra wstała i ukloniła się w *jiri*, myśląc, że ma do czynienia z panią znajdującą się nieopodal posiadłości, zapewne właścicielką tego prywatnego nabrzeża oraz wszystkich pól w okolicy.

– Przepraszamy za najście. Natychmiast opuścimy to miejsce.

Kobieta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– A po co? Istnieją cztery największe przyjemności w życiu i to jest jedna z nich.

– A jakie są te cztery największe przyjemności? – zapytała Fara z zainteresowaniem.

– Siedzenie przy ciepłym palenisku, gdy śnieg pada za oknem, wspinanie się na wzgórze po wiosennym deszczu, żeby podziwiać rozbudzony na nowo świat, jedzenie krabów ze świeżo zaparzoną herbatą nad brzegiem morza oraz moczenie nóg w chłodnej wodzie pokrytego lotosami jeziora w środku lata.

– Och. Myślałam, że powie pani coś bardziej... – odparła nieco rozczarowana Fara.

– Imponującego? – zapytała kobieta.

Fara kiwnęła głową. Nieznajoma się zaśmiała.

– Kiedy się żyje tak długo, jak ja żyję, człowiek zdaje sobie sprawę, że największe przyjemności w życiu nie są ani trochę imponujące. Lepiej mieć jednego prawdziwego przyjaciela, który rozumie głos twojego serca, kiedy zagrasz niezdecydowaną nutę na cytrze, niż cieszyć się bezmyślnym podziwem milionów.

Théra przyjrzała się spokojnej twarzy kobiety i zrozumiała, że nie potrafi ocenić jej wieku. Przez chwilę nieznajoma wydawała się tak młoda jak ona sama, lecz kiedy migoczące na tafli jeziora światło padło na jej twarz pod innym kątem, nagle zaczęła sprawiać wrażenie starej jak babcie uprawiające pobliskie pole.

Księżniczka zastanowiła się nad słowami kobiety. Nie potrafiła zdecydować, czy się z nimi zgadza, za to z pewnością były interesujące.

– Rozumiem, że jest pani fluksistką?

– Nie przejmuję się etykietkami, choć uważam, że Ra Oji był bliższy prawdy niż inni filozofowie Ano. Możesz być cesarzem, żebrakiem, księżniczką, pokojówką, ale mimo wszystkich trudów i zmagañ ostatecznie wszystkimi nami rządzi Nurt.

– Ale to nie może być prawda – wtrąciła nagle Fara. – To znaczy... o tych największych przyjemnościach.

– Dlaczego nie?

– Nie wspomniała pani o miłości przystojnego mężczyzny! To jest najważniejsze.

– Dlaczego tak myślisz?

– Tak jest we wszystkich historiach, które opowiadają jej damy... to znaczy

starsze dziewczyny – wyjaśniła Théra – i we wszystkich przedstawieniach trup wędrownych: pani Mira zabija się dla miłości, księżniczka Kikomi zabija dla miłości, Pani Zy rzuca się do Liru dla miłości.

Kobieta usiadła na nabrzeżu, nie obawiając się, że uszkodzi lub wybrudzi delikatną suknię. Zdjęła drewniane buty i włożyła nogi do wody. Théra zauważyła, że jej stopy są szorstkie i pełne odcisków. Z tego powodu od razu bardziej ją polubiła.

– Chodźcie i usiądźcie – powiedziała nieznajoma, a potem uniosła brwi, patrząc na Théré. – Sądząc po twoim tonie, nie cenisz szczególnie porywów serca.

– Pieśni o mężczyznach traktują o przyjaźni, wojnie, dalekich krainach i szumie wiecznego morza – odparła dziewczyna. – Jednak pieśni o kobietach... Posłuchajcie.

Zamilkły i wsłuchały się w głosy zbieraczek nasion lotosu.

Dojrzałam już do zbioru, mój słodki panie.

Jeśli mnie nie weźmiesz, zrobi to inny.

Ciaży mi potrzeba, pochylam głowę,

Ach, jestem gotowa na noc igraszek.

– Wiem, o czym jest ta pieśń! – zawołała podekscytowana Fara. – Podaje się nasiona lotosu na weselach, ponieważ przynoszą szczęście: dzięki nim panna młoda szybko zajdzie w ciążę i urodzi tyle dzieci, ile nasion jest w owocni lotosu.

– Widzicie? – odezwała się Théra.

– Brzmisz jak inna młoda kobieta, którą znalazłam – stwierdziła nieznajoma. – Była niewiele starsza od ciebie, kiedy się poznałyśmy, i też miała dużo do powiedzenia na temat losu kobiet oraz ceny, jaką się płaci za urodę. Ale myślę, że tę pieśń oceniasz zbyt surowo. Posłuchaj.

Młode kobiety w łódkach śpiewały dalej, a ich głosy były równie chłodne i świeże jak woda u ich stóp.

Lecz może nikt mnie nie weźmie

I żaden to okrutny los.

Pocałuję wodę, wypuszczę nasiona

i popatrzę, jak zabiera je nurt.

Jak daleko popłyną? Co ujrzą?

Jak dalekich brzegów dosięgną

Zanim utoną, wyrosną i zakwitną

na skąpanych w słońcu falach!

– Piękne – powiedziała Théra.

– Przepiękne! – zawołała Fara.

– W kwiatach jest wiele mądrości – oznajmiła nieznajoma – chociaż często się ich nie docenia, uważając za frywolne.

– Matka próbowała uczyć mnie o kwiatach – powiedziała Théra – ale chyba właśnie dlatego nie jestem nimi szczególnie zainteresowana. Lotos w dużej mierze przypomina mlecz: z tą różnicą, że nasiona mlecza porywa wiatr, a nasiona lotosu zabierają fale. Jedne i drugie przeżywają przygody. – Jej oczy zmatowiały. – Nawet kwiaty mają więcej do roboty niż niektórzy ludzie.

Nieznajoma przywołała gestem jedną z łodzi i siedząca w niej młoda kobieta skierowała się w stronę brzegu. Jej silne ramiona pracowały w promieniach słońca jak jędrne korzenie lotosu. Nieznajoma kupiła od niej kilka owocni, płacąc sztabką srebra.

– Nie mam dość pieniędzy, żeby wydać pani resztę – powiedziała młoda kobieta ze śmiechem. – Nie miałabym nawet, gdybym sprzedała wszystkie swoje rzeczy!

– Zatrzymaj srebro – odparła nieznajoma. – Uznaj to za podarunek od Tututiki, niewiele różniący się od samych nasion lotosu.

Młoda chłopka spojrzała na bogatą damę i powoli skinęła głową. Skrzyżowała ręce na piersi i ukloniła się w *jiri*.

– Dziękuję. Niech Tututika zawsze stąpa między nami.

Théra wiedziała, że w Géfice, a w szczególności na wsi, ludzie otaczali Tututikę, boginię słodkiej wody i rolnictwa, nabożną czcią. Jednym z tutejszych zwyczajów była szczodrość wobec nieznajomych, ponieważ mówiło się, że od czasu do czasu bogini przyjmuje ludzką postać, by sprawdzić piękno charakteru człowieka. W tych stronach można było się spotkać z przypadkowymi gestami życzliwości.

Chłopka odpłynęła, zostawiając na wodzie spienione smugi. Nieznajoma wyciągnęła mały kościany nożyk i otworzyła nim gąbczaste owoce, żeby dostać się do nasion. Potem zdjęła gumowatą lupinę, odkrywając białe jądra.

Fara patrzyła zafascynowana. Jadła mnóstwo obsypanych cukrem nasion i uwielbiała słodką pastę z lotosu, ale nigdy wcześniej nie jadła świeżych ziaren tej rośliny.

– Chciałabym jedno.

– Fara! – Zbesztala ją Théra. – To bardzo niegrzeczne.

– Kupiłam je, żeby się z wami podzielić – powiedziała nieznajoma, śmiejąc się. – Ale musicie poczekać. Jeśli dam wam je teraz, w ogóle wam nie posmakują.

Pod czujnym spojrzeniem dziewczynek odłożyła nóż, wyciągnęła spinkę z włosów i przebiła nią nasiona, jedno po drugim.

– W środku każdego z nich znajduje się zielony środek, załazek, który jest

niezwykle gorzki... Nie ma chyba nic bardziej gorzkiego. Gdy oczyściła już wszystkie nasiona, podała je Farze i Thérze, które podziękowały i wzięły się do jedzenia. Lotos smakował cudownie: świeżo i słodko, ale nie zbyt słodko.

Fara zaśmiała się i zaczęła rozchlapywać wodę stopami.

– Myślę, że jedzenie świeżych ziaren lotosu, za które się nie zapłaciło, również powinno trafić na listę największych przyjemności w życiu.

Théra westchnęła. Nieznajoma spojrzała na nią z rozbawieniem.

– A tym razem o co chodzi?

– Moje serce gorzknieje, kiedy myślę o tym, że nie mam kontroli nad swoją przyszłością.

– Nikt nie ma kontroli nad przyszłością, nawet bogowie. Pozwól jednak, że opowiem ci historię. W herbaciarniach na Arulugi podaje się pewien smakołyk – pozbawione załączka nasiona lotosu nafaszerowane różnymi rzeczami: pastą z mango, kawałkami bekonu, ikrą kraba, lodami szronowymi o smaku jabłkowym, solą morską i tak dalej. Później wymieszane ziarna serwowane są na ogromnej tacy i wszyscy cieszą się z niespodziewanych smaków przypadkowo wybranych nasion.

– A co jeśli ktoś zostawiłby załączek dla żartu? – zapytała Fara, krzywiąc się.

– Widzę, że nie mogłabym cię prosić o pomoc w przygotowaniu przyjęcia – powiedziała nieznajoma, śmiejąc się rześko. – Fluksiści lubią mówić, że idealnym stanem jest pustka w sercu. Puste serce ma nieskończony potencjał: może pomieścić radość, gniew, smutek, szczęście. To, czym napelnimy nasze serca, znacznie bardziej niż od wrodzonych talentów, pozycji społecznej, kaprysów losu, a nawet interwencji bogów, zależy od naszych wyborów. Jeśli nie podobają ci się historie, jakie słyszysz, napelnij swoje serce innymi. Jeśli nie podoba ci się scenariusz, który ci przydzielono, stwórz dla siebie nową rolę.

„Nazwano mnie »tą, która przegania smutki« – pomyślała Théra. – Kiedy z mojego serca zniknie gorycz, pozostanie tylko potencjał”.

Spojrzała na nieznajomą, wyobrażając sobie, jak jej własne serce staje się lżejsze i bardziej przestronne. Była już niemal pewna, kim jest ta kobieta. Jak cudownie było znaleźć się tak blisko świętej obecności!

– O, mam nową przyjemność w życiu – powiedziała – słuchanie pani.

Nieznajoma znów się zaśmiała.

– Każda z przyjemności wymienionych przeze mnie jest lepsza, gdy dzielimy ją z przyjacielem. Prawdziwy przyjaciel jest lustrem, w którym dostrzegamy odbicie prawdy o nas samych.

– Lustrem? – Przez chwilę serce Théry znów stało się ciężkie, gdy przypomniała sobie, z jaką niecierpliwością potraktowała ją Zomi Kidosu. Kto był jej prawdziwym przyjacielem? Potem jednak pomyślała o dziwnych lustrach, które sprawiały kłopoty ojcu.

Poczuła impuls, by wykorzystać to spotkanie z boginią jak najlepiej. Czyż nie będzie to najbardziej interesujący wybór?

– Co może mi pani powiedzieć o naturze gładkich lusterek, które potrafią wywoływać duchy?

– Ach, widzę, że mam do czynienia z umysłem tak subtelnym i upartym jak w przypadku twojej matki – powiedziała nieznajoma. – Chyba nie złamię zasad, przynajmniej nie do końca, jeśli odpowiem ci za pomocą metafory.

Kobieta rzuciła jedno z nasion lotosu do jeziora. Kiedy już miało spotkać się z powierzchnią wody, złoty karp skoczył i złapał je w locie. Ryba pozostała blisko powierzchni, czekając na kolejną porcję jedzenia, kołysząc się i tworząc w ten sposób rozszerzające się koncentryczne fale.

– Jaka ładna ryba! – zawołała Fara.

– Moje ulubione stworzenie – zauważyła nieznajoma. – Ale przyjrzyjcie się zmarszczkom na wodzie.

Zmarszczki rozszerzały się aż do momentu, gdy docierały do krawędzi kei. Odbijały się od niej i wracały w stronę środka jeziora, tworząc kolejne koncentryczne fale. Te tworzone przez karpia i ich odbicie mieszały się, tworząc krzyżujący się wzór.

– Wygląda jak rybie łuski – zauważyła Théra.

– Kiedy nałożą się na siebie grzebienie dwóch fal, powstaje jedna większa fala. Kiedy będą to doliny fal, powstanie głębsza dolina. Kiedy jednak grzbiet spotka się z doliną, wyzerują się. I właśnie tak powstaje wzór – wyjaśniła nieznajoma.

– Czy to jest metafora przyjaźni? – zapytała Théra – Że nasze silne strony wzmacniają się i pozwalają nadrobić wady, lecz kiedy dodamy do siebie wady, rezultat będzie podwójnie zły. Dlatego najlepiej mieć wielu przyjaciół.

– Jesteś pojętną uczennicą. Takich wniosków się nie spodziewałam. Chciałam tylko powiedzieć, że powinnaś pomyśleć o falach i odbiciu, ponieważ światło w swojej prawdziwej naturze przypomina te fale.

Théra nie bardzo rozumiała, ale patrzyła na zmarszczki na wodzie i próbowała zapamiętać ich wzór.

Rozmawiały jeszcze przez jakiś czas, jedząc nasiona lotosu, aż zrobiło się późno i dziewczynki musiały wracać do domu.

Rozdział dwudziesty piąty

Testy i kontrtesty

Pan, Arulugi i półwysep Karo: siódmy miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– Już załatwione? – zapytała Jia.

Kasztelan Otho Krin skinął głową.

– Twórcy luster zostali uciszeni.

– A ich warsztat spalony do golej ziemi?

Otho Krin poczuł falę mdłości. Nawet kiedy był bandytą, nie lubił widoku krwi. Miał nadzieję, że Jia go ukoi, ale tak się nie stało. Coraz mniej przypominała kobietę, którą poznał, jednak odsunął od siebie tę myśl. Pani Jia – „cesarzowa”, poprawił się w duchu – zawsze wiedziała, co należy zrobić, a on zamierzał jej pomóc, bez względu na to, co sądził o szczegółach tych działań.

Miłość wymagała poświęceń.

– A ta druga sprawa? – zapytała Jia.

– Szpiedzy księcia Cody otrzymali anonimową wiadomość. Statek z Arulugi zostanie przeszukany po przybiciu do brzegu w Tunoi.

Jia wypuściła wstrzymywane powietrze.

– Kiedy ludzie Rina zaczną się skupiać na Théce Kimo, nie zapomnij go o tym poinformować. Postaram się w tym pomóc. – Położyła dłoń na policzku Otho. – Wiele zrobiłeś dla Dary i jej przyszłości. Ludzie może się o tym nie dowiedzą albo tego nie zrozumieją, ale jestem ci niewymownie wdzięczna.

I wtedy Otho przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy Jia sprawiła, że poczuł się wielki i pełny odwagi.

„Jesteś lojalny – pomyślała cesarzowa. – To nie byle co”.

Otho uklonił się.

– Liczy się dla mnie tylko twoje zdanie.



Kuni krążył po sali audiencyjnej. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby spojrzeć na nowy list z Tunoi, który trzymał w trzęsących się dłoniach. Chociaż czytał go tak wiele razy, że mógłby recytować jego treść z pamięci.

– Może Phyro się myli – zauważyła Jia.

– Phyro może i jest młody – odpowiedziała Risana, chcąc bronić syna – lecz książę Coda zawsze zachowuje ostrożność. Nie pozwoliłby Phyro wysnuwać takich oskarżeń bez niezbitych dowodów.

– Mimo wszystko tego rodzaju zarzuty wobec jednego z najbardziej lojalnych sług cesarza to coś niebywałego – upierała się Jia.

– Zawsze ufałem Théce – mruknął Kuni.

– I wiele dzięki temu osiągnąłeś – odparła cesarzowa. – Jednak zaufanie jest kruche; czasami latawce uwalniają się i ruszają w samodzielną podróż.

– Nie myślałeś o wezwaniu Gin Mazoti? – podsunęła Risana.

– To mogłoby doprowadzić do niezręcznej sytuacji – odparła Jia. – Jeśli zarzuty się nie potwierdzą, przedwczesny atak zmrozi serca wszystkich arystokratów lojalnych cesarzowi.

– Co w takim razie proponujesz? – zapytał Kuni.

– Jeśli Théca Kimo rzeczywiście dostarczał broń rebeliantom z Tunoi, z pewnością pilnie obserwuje twoje ruchy. Mógłbyś ogłosić, że wybierasz się w podróż po wyspach i zaczniesz od wizyty na półwyspie Karo, naprzeciwko Arulugi. Poproś Thana Carucono, żeby towarzyszył ci ze słusznych rozmiarów oddziałem wojska. Jeśli Kimo jest niewinny, nic nie zrobi. Jeśli jednak faktycznie planuje bunt...

– Starsza Siostró – powiedziała Risana z podziwem – jesteś równie przebiegła co Luan Zya. To mi przypomina moją własną sztuczkę z zaklinaniem dymu. Kimo ujrzy miraż, a po reakcji poznamy, co kryje się w jego sercu.

Kuni niechętnie pokiwał głową.



– Wciąż nie zdecydowaliście, panie? – zapytał Cano Tho, dowódca straży pałacowej Arulugi.

Razem ze swoim panem, księciem Théką Kimo, siedzieli w płaskodennej łódce, jedynej na jeziorze Toyemotika. Mżyło, a we mgle majaczące w oddali lodygowate budynki i wiszące platformy miasta Müning wyglądały jak szkic namalowany farbami wodnymi.

Książe Théca Kimo nie odpowiedział, zamiast tego opróżnił czarękę. Można by się spodziewać, że znajdowała się w niej jedna z tysiąca odmian herbaty z orchidei i kielków bambusa, z której słynęła Arulugi, albo jakieś drogie wino z façańskiej winnicy, pasujące do statusu Kimo, książe raczył się jednak tanim, palącym trunkiem z sorgo, uwielbianym przez biedotę Dary.

– Cesarz nie mógł dobitniej pokazać swoich intencji – stwierdził Cano.

– Mamy jeszcze pieczoną wieprzowinę? – zapytał Théca.

Cano bez słowa podniósł wieko kosza znajdującego się u jego stóp i napełnił naczynie stojące na niskim stoliku. Obaj mężczyźni siedzieli w *thakrido*, jak para gangsterów, a nie elita wyspy znanej ze swojej dbałości o maniery.

W rzeczywistości Kimo nigdy nie czuł się na Arulugi, Pięknej Wyspie, jak w domu. Objął władzę nad tym regionem po zdobyciu go pod przywództwem marszałek Gin Mazoti w czasie wojen między cesarzem Raginem a hegemonem. Mimo swojego statusu zawsze czuł się tu jak niemile widziany plebejusz w domu bogatego pana. Spadkobiercy arystokracji z Müning musieli mu się teraz kłaniać z szacunkiem, lecz zdawało mu się, że szepczą za jego plecami, naigrawając się

z braku wyrafinowania i tatuaży pokrywających twarz, które zdradzały kryminalną przeszłość. „Jak śmia! Mogłem ich wszystkich wymordować, zamiast pozwalać im zachować dawne posiadłości!”. Często próbował nawiązać rozmowę ze swoimi żonami – wysoko urodzonymi damami ze starej arystokracji Amu – lecz wszystkie trzy wolały swoje towarzystwo zamiast jego. Uważał herbatę z orchidei i kielków bambusa oraz skomplikowaną ceremonię jej parzenia za niepotrzebnie uduchowione, zaś pieśni i tańce dziewcząt w herbaciarniach i pałacu książęcym – sztywne, dostojne i pełne nieznanego mu aluzji do barwnej przeszłości Amu – zazwyczaj wywoływały w nim senność.

– Nad Arulugi i cieśniną Amu codziennie przelatują sterowce, nie mówiąc o tym, że w cieśninie zbiera się flota marynarki – powiedział Cano. – Than Carucono zgromadził swoje oddziały na półwyspie Karo. Nie rozumiecie, panie, co to oznacza?

– Cesarz chce objechać Wyspy. Pewne środki bezpieczeństwa są zrozumiałe – odparł Kimo. – Cesarz jest godny zaufania i honorowy, a ponieważ odciąłem Noda Mi i Doru Solofiego od dostaw broni, nie stanie przeciwko mnie.

Chociaż był najbardziej wpływowym człowiekiem na wyspie, a jego słowo stawało się prawem, nie przepadał za zarządzaniem swoimi ziemiami. Lubił błyszczące skarby, tłuste jedzenie oraz towarzystwo rozwiązłych kobiet i temperamentnych mężczyzn – nie zawilości prawa podatkowego i wdrażanie cesarskich dekretów poprzez szczegółowe regulacje. Jednak teraz, kiedy w Darze panował pokój, swoją energię mógł zużywać jedynie podczas polowania na słonie w Écofi albo dzikie świnie na Wyspie Półksiężycowej. Tymczasem jego ministrowie, przesiąknięci moralistycznymi lub inentywistycznymi koncepcjami, nieustannie prawili mu kazania, przypominając, że władca powinien z większym oddaniem dbać o dobro poddanych i nie marnować całego swojego czasu na mordowanie bezbronnych zwierząt. „Bezbronnych, dobre sobie! Czy któryś z nich kiedykolwiek mierzył się z atakującym słoniem?”

Dzięki błogosławionej i przepięknej Tututice wciąż miał u boku Cana Tho, jedyne go człowieka gotowego zaakceptować go takim, jakim jest, zamiast go osądzać. Dlatego zawsze słuchał jego rad.

Żałował teraz tej decyzji. Nigdy by nie pomyślał, że Noda Mi i Doru Solofi zrealizują swój szalony plan, i wprost odmówił udziału w rebelii przeciwko Kuniemu. Myślał nawet o tym, by złapać tych dwóch i wysłać związanych do Pan, aby okazać swoją lojalność.

Jednak Cano przekonał go, żeby ich wypuścić, mówiąc, że są nieszkodliwi, zaś odkrycie buntu na jego ziemiach tylko niepotrzebnie zwróci uwagę cesarza na Arulugi. Zamiast tego Cano proponował sprzedaż im nadwyżki broni.

– *Skarbiec Cesarski ograniczył fundusze na wojsko dla niezależnych lenn – powiedział wtedy. – Nie będziesz miał innego wyjścia, jak zredukować liczbę żołnierzy.*

Kimo nie podobała się ta wizja. W końcu armia stanowiła fundament jego władzy.

– *Skoro uważasz, panie, że Noda Mi i Doru Solofi niczego nie osiągną, co w tym złego, że sprzedasz im broń, by zdobyć środki na utrzymanie wojska? A jeśli bunt przybierze poważne rozmiary, cesarz wezwie cię do stłumienia go, w ten sposób dając ci*

możliwość wykazania się i potwierdzenia swej wartości.

Kimo lubił scenariusze, które kończyły się dla niego dobrze bez względu na rozwój wydarzeń.

Niestety rebelianci odnieśli sukces, lecz to nie Kimo miał się z nimi rozprawić, tylko książę Phyro. I chociaż Kimo odciął się zupełnie od buntowników, na wyspie zaroilo się od szpiegów księcia Cody, szukających dowodów na to, że arystokrata był częścią spisku. Nie ośmielił się poruszyć tego tematu z którymkolwiek z ministrów, bojąc się, że któryś z nich może już pracować dla Cody.

Raz jeszcze osuszył czarę, rozkoszując się ogniem palącym gardło. Pragnął zasnąć i doświadczyć snów, w których będzie mógł raz jeszcze przeżywać czasy swojej chwały – czasy, w których spał pod gołym niebem z siodłem służącym za poduszkę, a rozlew krwi nie był postrzegany jako haniebny czyn, lecz potwierdzenie męskości. Czasy, w których zabił samego króla! Teraz jednak tkwił na łodzi na środku jeziora, by w tajemnicy przed wszystkimi narzekać na swój los.

Pobożny człowiek wybrał się niegdyś na Wilczą Łapę,

Chcąc zanurkować w poszukiwaniu pereł.

„Nie idź – powiedzieli kupcy z Toazy. –

Rekiny są w tym roku wyjątkowo żarłoczne.

Z mgły i mżawki wyłoniła się niewielka łódka. Na rufie, dzierżąc wiosło, stał mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym uszytym z liści bananowca i lotosu. Na szyi miał naszyjnik z rekinich zębów, który nie pasował do tego miejsca, pośrodku słodkowodnego jeziora. U stóp nieznajomego znajdował się kosz i kilka wędek. Nie rozpoznawszy księcia i kapitana, mężczyzna pomachał do nich przyjaźnie, a potem podjął pieśń. Jego donośny, nieco zachrypnięty głos poniósł się po spokojnej tafli:

„Pobożny jestem – odparł – i bogów szanuję.

Tazu mnie z pewnością obroni”.

Kupił nóż do ostryg i przywiązał kamienie do stóp.

Ruszył do przystani po łódź.

„Nie idź – zawołał rybak przy brzegu.–

Rekiny uczyniły z morza królestwo śmierci.

„Pobożny jestem – odparł – i bogów szanuję.

Tazu mnie z pewnością obroni”.

Płynął najszybciej, jak potrafił.

Płynął co sił, aż brzeg zniknął mu z oczu.

Wstał, gotowy do skoku, lecz mewy

Rzuciły się na niego, krzycząc: „Nie idź! Nie idź!”.

„Pobożny jestem – odparł – i bogów szanuję.

Tazu mnie z pewnością obroni”.

Zanurkował ku skrytym na dnie perłom,

lecz podpłynął rekin i odgryzł mu nogę.

„Panie Tazu, dlaczego?”, zawołał człowiek.

Krew czerwieniła spienioną wodę, ból palił.

„Gdybyś naprawdę był pobożny – rzekł Tazu –

posłuchałbyś trzech mych ostrzeżeń”.

Żadnych więcej modlitw nie słyszano,

a mężczyznę zabrały fale.

Choć rybak zniknął we mgle, jego pieśń wciąż wybrzmiewała.

– Panie Kimo, bądźmy szczerzy – odezwał się Cano Tho. – Musisz posłuchać ostrzeżeń. Kuni Garu jest człowiekiem, który potrafi śmiać się w jednej chwili, by w drugiej dobyć miecza. Jeśli nie zaczniesz działać szybko, dołączysz do hegemonów w zaświatach.

Théka Kimo popatrzył zdumiony na przyjaciela.

– Mówisz o zdradzie. Dlaczego?

Na twarzy Cano odmalowało się po kolei kilka różnych emocji. Wreszcie podjął decyzję.

– Dla Klejnotu Amu.

– Kikomi? Tej niestającej kobiety?

– Nie mów o niej w ten sposób!

Kimo odstawił czarękę, jego oczy zmatowiały.

– Zapominasz się, kapitanie Tho.

Cano z wysiłkiem zniżył głos.

– Przepraszam za ten wybuch, panie Kimo. – Usiadł w *mipa rari*. – Uratowałem księżniczkę Kikomi z niewoli na sterowcu Kindo Marany, a była to kobieta niespotykanej odwagi i mądrości. Nigdy nie uwierzę w kłamstwa opowiadane po jej śmierci.

– O jej zdradzie wie każde dziecko...

– Jak człowiek, który zwycięstwo zawdzięcza zdradzie, śmie mówić o honorze? Po rebelii Kuni Garu uhonorował wszystkich wielkich arystokratów, którzy zginęli w trakcie powstania przeciwko Xanie. Jizu jest w Na Thion uważany za świętego, a Mocri na Wilczej Łapie to bohater; nawet hegemon ma swoje ołtarze w Tunoi za zgodą cesarza. Tylko Kikomi jest wyjątkiem. Nigdy nie pozwolono nam zbudować świątyni, by na Arulugi pielęgnować pamięć o niej, zaś przebiegli uczeni, prześcigając się w podlizywaniu cesarzowi, nieustannie niszczą jej reputację w księgach.

– Nie ma nic dziwnego w tym, co myśli o niej cesarz. Zabiła Phina Zyndu, który był mentorem nie tylko hegemonu, ale i samego cesarza...

Cano się roześmiał.

– Kuni Garu może odwracać uwagę od swojej mrocznej przeszłości pięknymi słowami o honorze, lecz prawda pozostała żywa w sercach ludzi. Jest przerażony kultem księżniczki Kikomi, ponieważ kłamstwa na jej temat mówią prawdę o nim. Jest panem niestałym w uczuciach, biegłym w sztuce manipulacji, lecz niegodnym lojalności. Odwróci się od was.

Théca Kimo zastanowił się nad słowami Cano. Kiedy Kuni wyruszył na wojnę, potrzebował takich ludzi jak Théca Kimo, a po zwycięstwie pod Rana Kida nie mógł nie nagrodzić tych, którzy ryzykowali życiem, żeby wynieść go na tron Dary. Teraz jednak, gdy zapanował pokój, jak długo jeszcze Théca będzie potrzebny cesarzowi? Wspomnienia o jego zasługach blakły, dlaczego więc Kuni Garu nie miałby potraktować go tak samo jak hegemonu?

– Królowa Gin obiecała, że nie pozwoli, by cokolwiek nam się stało – powiedział.

– A gdzie jest teraz marszałek? Dlaczego nie przybyła na półwysep Karo, żeby nas bronić?

Kimo nie odpowiedział. Docierające do niego sygnały były trudne do odczytania, zupełnie jak na wojnie.

– Arulugi doskonale radzi sobie w walce na morzu – rzekł Cano. – Jeśli uderzysz pierwszy, zdobędziesz przewagę nad Kunim Garu. Zwycięstwo zapewni Arulugi niepodległość, a z ciebie uczyni pana swojego losu. Chcesz, by twoje dzieci wiodły życie takie jak ty? Posłuchaj boskich znaków, panie.

Kimo może nie rozumiał dworskich intryg i subtelnych knowań, lecz dysponując doświadczeniem zdobytym na ulicy, dostrzegł sens w słowach Cano. Przywódcy dużych gangów szanowali ludzi, którzy byli gotowi walczyć o swoje terytorium, a wpływowy gangster mógł przetrwać wyłącznie dzięki nieustannemu pokazywaniu zębów.

Książę opróżnił czarkę, a mocny alkohol wycisnął mu z oczu łzy.

– Chyba nie zaszkodzi, jeśli się przygotuję.



– Naśladuje moje ruchy – mruknął Kuni. – Co Théca Kimo sobie myśli? Dlaczego przeniósł swoją armię na brzeg, a marynarke do cieśniny?

– Może jego statki zbierają się, by zabezpieczyć przestrzeń morską na czas twojej przeprawy – zasugerowała Jia.

– Chociaż nawet nie dałem znaku, że zamierzam to zrobić? – prychnął Kuni.

– Jesteśmy tu już od kilku tygodni – rzekła z niepokojem Risana. – A jednak nie przybył, żeby okazać ci szacunek. To źle świadczy o jego intencjach.

– Mędrcy Ano mówią nam, że zaufanie trudno zdobyć, lecz łatwo stracić w chwili zawahania – zauważyła Jia.

– Co to w ogóle znaczy? – warknął Kuni. – Zaufanie do ludzi niewartych zaufania nie jest żadną mądrością.

– Théca udowodnił swoją lojalność w trakcie wojny – stwierdziła beznamiętnie Jia.

– To było ponad dziesięć lat temu! – odparł zirytowany Kuni. – Muszę myśleć nie tylko o sobie, ale również o dzieciach. Gdybym jutro umarł, czy Timu i Phyro... poradziliby sobie z tym wszystkim?

Ruszył do wyjścia, wyraźnie wzburzony, a Risana niezwłocznie ruszyła za nim, starając się go uspokoić. Jia stała w miejscu i odprowadziła ich wzrokiem.



– Panie Kimo, nie możesz – powiedział Cano Tho.

Wielka sala audiencyjna księcia powinna być pełna ministrów i generałów, niczym miniaturowa wersja sali audiencyjnej w Pan, teraz jednak wzdłuż dwóch ścian siedzieli tylko ci drudzy – weterani służący pod dowództwem Théki kilkanaście lat wcześniej oraz kilku arystokratów, do których Cano miał zaufanie. Arystokraci należeli do najstarszych i najbardziej znamienitych rodów Arulugi; była to frakcja, która od dawna pragnęła niezależności Amu, więc nie daliby się przekupić szpiegom cesarza. Chociaż nigdy nie przepadali za Théką Kimo, wspierali go, by odzyskać dawne wpływy.

– Zignorowanie bezpośredniego polecenia cesarza będzie odczytane jako otwarta zdrada – rzekł Théca Kimo.

– Cesarz ma już wystarczająco dużo dowodów, by ukuć zdradę stanu – odparł Cano. – Zastanów się nad swoim położeniem, panie. Broń z twojej zbrojowni została znaleziona w Tunoi w rękach rebeliantów wykrzykujących imię hegemonu; zgromadziłeś statki w cieśninie Amu i obserwujesz flotę cesarza; twoi żołnierze stacjonują pod Müning, czekając na sygnał do ataku; zdystansowałeś się od swoich ministrów i doradców poleconych przez cesarza, co sugeruje spisek.

– Ale to były jedynie środki ostrożności – manifestacja siły! Cesarz powinien

wiedzieć, że wcale nie zamierzam się buntować.

– Czyny same w sobie nie mają znaczenia – odparł Cano. – Liczy się wyłącznie perspektywa, z jakiej się je ocenia. Jeśli lustro jest krzywe, chudy będzie wyglądał na otyłego, a lojalny człowiek na zdrajcę.

– Tym bardziej powinienem odpowiedzieć na wezwanie cesarza i wszystko wyjaśnić.

– Panie Kimo, zapomniałeś już o tamtej uczcie, którą hegemon wyprawił po zdobyciu Pan? Zaprosił Kuniego Garu, ponieważ zamierzał go odseparować od popleczników i zabić za zdradę.

– Ale Kuni Garu zdołał uciec!

– Kuni Garu miał język giętki i ostry jak najlepszy prawnik. Możesz to o sobie powiedzieć? I czy wyobrażasz sobie, że Kuni zamierza powtórzyć błąd hegemonu? Jeśli się do niego udasz, nie wrócisz.

– To musi być zły sen – mruknął Kimo. – Co ja narobiłem?

– Robiłeś, panie, tylko to, co podpowiadała logika. Cesarz cię do tego zmusił. Kiedy łowca zbliża się z zaostrzoną siekierą, czy nadal zachowujesz się jak lojalny kundel, czy też zmieniasz się w groźnego wilka i walczysz o przetrwanie? Panie Kimo, nawet jeśli nie chciałeś się buntować, cesarz odebrał ci możliwość wyboru.

Théca Kimo siedział i myślał. Z każdym uderzeniem serca trząsał się coraz bardziej, a tatuaże na nabiegłej krwi twarzy stały się ciemniejsze. Bambusowa czarka, którą trzymał, pękła z głośnym trzaskiem.

– Jak do tego doszło, Kuni Garu? – zapytał Théca Kimo i zawył z wściekłości. – Jak?!



– Jest chory? – powtórzył Kuni z niedowierzaniem i gniewem. – Chory?

– Przedziwny list – powiedział Cogo, który został wezwany z Pan, gdzie wcześniej panował jako tymczasowy regent. – Théca deklaruje, że nie może podróżować ze względu na zły stan zdrowia. Twierdzi, że może dopłynąć tylko do połowy cieśniny Amu, nie dalej.

– „Przedziwny” to nie jest dobre słowo – oznajmiła Risana. – Lepsze określenie to „absurdalny”. Nie dość, że nie pojawił się na Karo, by przywitać cesarza, to jeszcze sugeruje, by ten spotkał się z nim na środku cieśniny Amu, a każdy ma wziąć ze sobą tylko jeden statek. Za kogo on się uważa?

– Za jednego z dwóch negocjujących ze sobą królów Tiro – odparł Kuni. – Albo, znając go, za jednego z dwóch szefów gangów ulicznych, którzy mają zasiąść do herbatki i podyskutować o podziale haraczu z domów indygo, barów i kasyn. Zbuntował się. Nie mam wątpliwości.

Wszyscy doskonale słyszeli ból w jego głosie.

– Przepraszam, że wcześniej tak mu ufałam – powiedziała Jia.

– Nie przepraszaj – odparł Kuni. – To dzięki twojej sugestii, by przyjechać na półwysep Karo, wreszcie pojęliśmy, że w jego sercu zaległa się ciemność.

– Chcesz wezwać Gin Mazoti i przygotować się do ataku? – zapytała Risana.

– Kimo i Mazoti walczyli razem przeciwko hegemonowi – rzekła Jia. – Możliwe, że Gin sprzeciwi się napaści na Arulugi, skoro nie mamy niezbitych dowodów. Poza tym otwarty konflikt z Théką Kimo wzbudzi niepokój wśród pozostałych arystokratów, a także doda odwagi rebeliantom w Tunoi. Jeśli nie zachowasz ostrożności, być może jeszcze więcej dawnych możnych podniesie flagę rebelii, myśląc, że skorzystają na chaosie. Im ciszej załatwimy sprawę, tym lepiej.

– Cesarzowa ma rację – przyznał Cogo. – Możliwe, że najlepiej będzie przystać na warunki Kimo i spotkać się z nim w cieśninie Amu.

– Dlaczego? – zapytała Risana. Potem jednak dostrzegła przebiegły uśmiech na twarzy Cogo. – Ach, podstęp.

– Kimo uprzejmie „sugeruje”, byśmy dopłynęli do połowy szerokości cieśniny Amu bez eskorty, „by uniknąć wrażenia, że między panami Dary panuje niezgoda” – rzekł Kuni. – Nie wydaje mi się, by którykolwiek z moich statków mógł pokonać jego statek w bitwie morskiej...

– Nie wspominając o tym, że to bardzo niebezpieczne – przerwała mu Jia.

– ...a nie mogę wezwać do pomocy sterowców, ponieważ to zaalarmuje Kimo. Cogo, co dokładnie planujesz?

– Kimo zobaczy, że płyniesz na umówione spotkanie jednym statkiem – odparł Cogo. – Jednakże...

– To, co widzą twoje oczy, niekoniecznie jest tym, co dostajesz. Tak jest zarówno w sztuce zaklinania dymu, jak i na wojnie – wtrąciła Risana.

Risana i Cogo uśmiechnęli się do siebie.

Kuni popatrzył na jedno, a potem na drugie. Nagle na jego twarzy pojawiło się zrozumienie. Zaśmiał się.

– Może nie ma z nami Luana, ale ten trik jest godny największego stratega Dary.



– Cesarz przystał na moje warunki? – Théca Kimo przeczytał list jeszcze kilka razy, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczył. – Cano, wygląda na to, że nasz podstęp zadziałał. Kuni Garu musiał uznać, że jednak nie chce iść na wojnę i woli ze mną negocjować.

– Kuni Garu jest przebiegły i zawsze ma asa w rękawie – powiedział Cano. – Podejrzewam, że sytuacja nie jest tak prosta, jak się wydaje.

– Łatwo będzie sprawdzić, czy stosuje się do warunków, jakie przedstawiłem w liście – powiedział pewnie Théca. – Co może zrobić na środku otwartej wody? Zdołam zauważyć zasadzkę z odległości wielu kilometrów. Za dużo się przejmujesz.

– Najlepiej przygotować się na niespodziewane – odparł Cano.



Cesarz i księżę – każdy na zwyczajnym statku kupieckim – dopłynęli do

siebie na odległość równej długości przeciętnej łodzi i rzucili kotwice. Każdy wyszedł z kabiny i usiadł na specjalnej platformie umieszczonej na pokładzie, przy niewielkim, zastawionym poczęstunkiem stoliku. Tym sposobem mieli zjeść wspólnie posiłek mimo dzielącej ich odległości. Ta była jednak niewielka w porównaniu z przepaścią dzielącą ich serca.

Było w tym wszystkim coś, co przywodziło Kuniemu Garu na myśl pewne wydarzenie z przeszłości – piętnaście lat wcześniej wraz z hegemonem siedzieli naprzeciwko siebie w płaskodennych łodziach na rzece Liru, negocjując zakończenie krwawego konfliktu. Teraz zaś znów spotykał się z walecznym człowiekiem, by zapobiec innemu. Historia miała dziwne poczucie humoru.

– Cieszę się, że wyglądasz na zdrowego – zawołał Kuni, a jego głos poniósł się nad wodą. – Napisałeś w liście, że jesteś nieomal jedną nogą w grobie.

Kimo rzeczywiście zdawał się w doskonałym zdrowiu. Chociaż miał na sobie grubą, zimową szatę, niewątpliwie wcale nie był tak „chory”, jak utrzymywał wcześniej. Miał dość wstydu, by się zarumienić.

– *Rénga*, to wieści o tym, że postanowiłeś posłuchać głosu rozsądku, przyspieszyły moje uzdrowienie.

– Och? A czy wcześniej nie byłem rozsądny?

Kimo wziął głęboki wdech i zaczął jedną z przemów, które napisał dla niego Cano Tho.

– Panie Garu, ty i ja byliśmy niegdyś równymi sobie panami Dary, oddanymi idei obalenia despotycznych rządów Xany.

Twarz Kuniego nie zdradzała żadnych emocji, gdy Théca zwrócił się do niego per „Panie Garu”. Mógł się tego spodziewać.

– Jednak po sukcesie powstania – ciągnął dalej Kimo – zamiast wrócić świat na znajome ścieżki, podążyłeś drogą obraną przez znanego z nadużyć Mapidérégo. Zamiast podzielić ziemie na królestwa o równych wpływach, tak jak próbował to zrobić hegemon, przyjąłeś tytuł cesarza i zatrzymałeś większość Dary dla siebie. Mnie i pozostałym panom rzuciłeś tylko kilka ochłapów.

– Kilka ochłapów – mruknął Kuni. – Rozumiem, że trzy główne wyspy i terytorium większe niż wiele dawnych królestw Tiro to tylko ochłapy?

– Jednak nawet to cię nie zadowoliło, panie Garu – kontynuował Kimo. – Z czasem swoimi dekretemi próbowałeś ograniczyć wpływy panów i zabrać im wojsko oraz ziemie. Najwyraźniej nie zamierzasz spocząć, dopóki cała Dara nie znajdzie się pod twoimi niepodzielnymi rządami. Dla dobra moich spadkobierców i wiernych sług żądam sprawiedliwości.

– Ty żądasz sprawiedliwości? – zapytał Kuni. – Dostarczałeś rebeliantom w Tunoi broń, a teraz wystawiłeś przeciwko mnie flotę i wojsko. Wezwałem cię, byś to wyjaśnił, a ty odmówiłeś. Udając chorego, podyktowałeś warunki swojemu panu, dowodząc tym samym, że twoje serce zatrute jest zdradą. Byłem wyrozumiały, pragnąc uniknąć rozlewu krwi, a ty masz czelność żądać sprawiedliwości?

– Jeśli już zdecydowałeś, że jestem zdrajcą, nie ma znaczenia, co powiem. Panie Garu, żądam nadania mi tytułu króla i uznania Arulugi, w tym także Wyspy

Półksiężycowej i Écofi, za niezależne królestwo Tiro, które nie jest wam winne poddaństwa. Wtedy staniemy obok siebie – wy na wschodzie, ja na zachodzie, jako bracia w wiecznej przyjaźni.

Kuni się roześmiał. Chociaż Kimo nauczył się na pamięć dobrze ułożonej przemowy, wciąż brzmiał jak uliczny gangster żądający swojej części łupu.

– A jeśli się nie zgodzę?

Kimo zazgrzytał zębami.

– Piechota i marynarka Arulugi czekają, by wyegzekwować moje żądania. Przygotowaliśmy rakiety fajerwerkowe przeciwko waszym sterowcom. Chociaż nie mamy dość siły, by najechać Wielką Wyspę, nie wydaje mi się, by podbicie Arulugi było dla ciebie łatwym zadaniem. A jeśli wypowiedz mi wojnę, inni Panowie z Dary złożą swoją przyszłość w moje ręce i staną u mojego boku. Zastanów się dobrze, panie Garu, zanim podejmiesz decyzję, której później pożałujesz.

– Dobrze, że nie dam ci szansy na zrealizowanie tego nikczemnego planu – odparł Kuni i uderzył pięścią w stół.

Dziesięciu strażników ukrytych pod platformą skierowało rury głosowe w stronę morza i jednocześnie krzyknęło:

– Staranować statek!

Kiedy zdumieni żołnierze Kimo rzucili się do podniesienia kotwicy i ucieczki, myśląc, że Kuni zamierza staranować ich statek swoim, morze zaczęło się burzyć.

– Wieloryb? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Cruben? – nie dowierzał inny.



Than Carucono wyjrzał przez jeden z dwóch grubych kawałków kryształu, które służyły za oczy mechanicznego crubena. Ogromna łódź podwodna znajdowała się jakieś piętnaście metrów pod powierzchnią, a w słabym świetle słonecznym woda wydawała się ciemnozielona. Od czasu do czasu przed iluminatorem przepływała jakaś ryba.

Za plecami Thana, w dusznym wnętrzu mechanicznego crubena, stali żołnierze, gotowi w każdej chwili otworzyć zawory silnika parowego, napędzanego przez rozgrzane kamienie pochodzące z podwodnych wulkanów. Cogo Yelu popłynął według szlaków z tajnych map wyrysowanych kilkanaście lat wcześniej przez Luana Zye, a miejsce spotkania cesarza Ragina z księciem Kimo wyznaczył w pobliżu jednego z tych wulkanów.

Carucono trzymał ucho przy ujściu rury oddechowej, która prowadziła aż do boi udającej unoszącą się na falach kępkę splątanych wodorostów.

Usłyszał wyczekiwany rozkaz.

– Teraz!

Załoga rzuciła się do roboty – jedni chwyтали dźwignie, drudzy przekręcili tarcze, a jeszcze inni pobiegli ku tylnej części crubena, by zmienić jego położenie poprzez zaburzenie równowagi. Łódź miała wypłynąć lada moment.



Morze eksplodowało.

Żelazny róg wbił się w statek Kimo od dołu, niemal unosząc go nad powierzchnię wody i natychmiast łamiąc go w pół. Trzask masztów i drzewców ogłuszał, zaś smród gorącej siarkowej pary napędzającej mechanicznego crubena przyprawiał o mdłości.

Marynarze i żołnierze spadali z pokładu, wołając o litość i modląc się do Tazu i Tututiki. Kiedy połamane fragmenty kadłuba i masztów zaplątały się w takielunek, by zaraz runąć do wody, stało się jasne, że Kimo i jego ludzie nie mają innego wyjścia, niż tylko czekać, aż cesarz ich uratuje, a następnie uwięzi.

Jednak Kuni Garu patrzył w niebo z otwartymi ustami. Tam, rysując elegancki łuk, szybowała mała postać Théki Kimo. Książę wykręcił kilka bączków, a potem jego obszerne szaty rozłożyły się niczym skrzydła ogromnego ptaka. Kijki bambusa na sprężynach wskoczyły na swoje miejsca, rozciągając szaty do postaci wielkiego latawca. Théca, tak jak hegemon w czasie niespodziewanego ataku na Zudi piętnaście lat wcześniej, powoli odfrunął w stronę Arulugi. Tamtejsi rzemieślnicy zawsze mieli talent do tworzenia elastycznych konstrukcji – najokazalszą z nich były utkane z bambusa i winorośli wiszące platformy Müning, diadem unoszący się nad jeziorem Tututika. Cano Tho zaprojektował platformę, na której siedział Kimo, na wzór katapulty. Ramię, zrobione z mocnego bambusa, było wygięte i przywiązane do pokładu. Gdyby jednak coś poszło nie tak, Kimo miał uruchomić mechanizm i platforma wyrzuciłaby go w powietrze, z dala od zagrożenia. Potem miał już tylko wrócić do Arulugi za pomocą latawca wzorowanego na projektach Luana Zyi i Torulu Peringa. Latawiec – wyposażony w skomplikowany składany szkielet, tak by można było go ukryć – był delikatny i zbyt wrażliwy na uszkodzenia, żeby używać go na co dzień. Cano upierał się, żeby Kimo założył go, na wypadek konieczności podjęcia desperackiej ucieczki, i okazało się, że uratował mu w ten sposób życie.

Łucznicy ustawili się do strzału, jednak latawiec był już zbyt daleko. Wpatrując się w malejącą postać, Kuni westchnął. Wiedział, że czas pokoju, jaki nastał w Darze dekadę temu, właśnie dobiegł końca.

Rozdział dwudziesty szósty
Światło i rozum

Pan: siódmy miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

- Wspomóż mnie, bracie – rozbrzmiał melodyjny głos Tututiki.**
- Dlaczego postanowiłaś pomóc córce Kuniego, zamiast mieszkańcom swojej wyspy? – zapytał waleczny Fithowéo.**
- Okazałam w ten sposób szacunek pamięci Kikomi.**
- Ale Théca obiecał Cano Tho, że zbudują kaplicę na jej cześć, jeśli rebelia się powiedzie.**
- Najlepszą kaplicą dla Kikomi będzie nie ta zbudowana z kamienia czy drewna, lecz wolność dla księżniczki, by mogła rozwinąć swoje talenty.**
- Dlaczego sama nie dokończysz lekcji?**
- Lustrzane rzemiosło jest twoją domeną.**
- Czyli przyszedłeś do niewidomego boga, by pomóc jej widzieć.**
- Tak jak pozbawiona wzroku orchidea pomogła tobie.**
- Jestem bogiem wojny. Uczenie twoich dziewczynek nie jest... czymś, w czym miałbym doświadczenie.**
- Jesteś bogiem wszystkich, którzy odnajdują radość w odważnych zmaganiach. Nie wszystkie wojny prowadzi się za pomocą miecza i włóczni, nie wszystkich bohaterów znajdziemy na polu walki. Czasy się zmieniają, bracie, a my musimy się zmieniać razem z nimi.**

W ustronnej części pałacu Théra oparła się o balustradę przed stawem z karpiami. Ruchy ozdobnych ryb – cynobrowych, złotych, czarnych, białych, szafirowych, jadeitowych – sprawiały, że na wodzie nieustannie pojawiały się zmarszczki i układały w skomplikowane wzory.

„Co miała na myśli tamta dama? Światło to fala? Jak ma mi to pomóc w rozwiązaniu zagadki magicznych luster?”

Gdzieś z głębi pałacu popłynęła przyjemna melodia. Théra nie poznawała

instrumentu, na którym ktoś ją wygrywał. Wysokie dźwięki były wyraźne, jakby grano je na dzwonekch, lecz te niskie przytłumione niczym pieśń crubena. Każda nuta rozchodziła się długo, łącząc się z następną i następną.

Théra wyruszyła na poszukiwania źródła melodii i po przebyciu wielu krętych korytarzy oraz długich portyków trafiła do sali muzycznej, gdzie cesarz i konsorta Risana czasami grywali na kokosowej lutni, śpiewali i tańczyli.

Fara podbiegła do niej.

– Rata-tika! Czy to nie piękne?

Zaskoczona Théra przytuliła siostrę.

– Tak, piękne, Ada-tika.

Na środku sali postawiono drewnianą ramę wysokości dorosłego człowieka. Znajdowały się na niej dwie poziome belki, jedna na wysokości głowy, druga na wysokości pasa. Z każdej zwisało osiem gładkich płytek z brązu o różnej grubości, każda wielkości dużej książki. Przed ramą klęczał w *mipa rari* szczupły mężczyzna w średnim wieku i grał, uderzając w płytki dwoma młotkami o długich rączkach. Miał na sobie tunikę z długimi rękawami. Jego ramiona były silnie umięśnione, zaś skóra poznaczona starymi i świeżymi bliznami. Théra uznała jego ręce za trochę dziwne, bo bardziej pasowały do kowala albo żołnierza niż muzyka.

Siostry stały i słuchały muzyki. Zanim mężczyzna skończył grać, zdążyło się wypalić niemal całe kadzidło. Odchylił się i ostrożnie odłożył młotki, czekając, aż rozproszą się ostatnie dźwięki.

Odwrócił się i uklonił.

– Mam nadzieję, że moja prosta muzyka sprawiła księżniczkom przyjemność.

Fara zaklaskała.

– Była cudowna! Ciocia Risana z radością posłucha jej po powrocie.

Théra ukloniła się muzykowi. Teraz, kiedy mogła zobaczyć jego twarz, zdziwił ją wygląd jego oczu: były tak ciemne, że nie dało się wyróżnić źrenic, jakby stworzono je z obsydianu. Tak przedziwnych oczu z pewnością by nie zapomniała, gdyby widziała je kiedykolwiek wcześniej. Muskularna budowa nieznanego i jego silne ręce budziły w niej niepokój. Wydawało się niemal niemożliwe, by zabójca przedostał się przez ochronę kapitana Dafiro Miro, jednak zważywszy na fakt, że cesarz wyjechał, a w Tunoi rozgorzał bunt...

Théra zwinnym ruchem stanęła przed Farą.

– Chyba nie miałyśmy jeszcze okazji poznać imienia szanownego pana.

Mężczyzna roześmiał się niskim, dudniącym głosem.

– Słyszałem już nieraz pochwały inteligencji księżniczki Théry, nie wiedziałem jednak, że jest tyleż uprzejma, co odważna. Witasz się ze mną grzecznie, lecz jednocześnie zasłaniasz młodszą siostrę własnym ciałem, na wypadek gdybym miał nieczne zamiary. Pochwaliliby cię nawet Kon Fiji.

Théra się zarumieniła. Nie sądziła, że tak łatwo można rozszyfrować jej intencje. Nieznajomy ciągnął uprzejmym tonem:

– Moje imię nie jest szczególnie ważne. Jestem tylko starym kowalem, który zupełnie przypadkiem zakochał się w muzyce. Nie wińcie, proszę, strażników;

chodzę tam, gdzie zechcę, i gram przed ludźmi, w których pokładam nadzieję. Każde z nas szuka tego jednego prawdziwego przyjaciela, który potrafi zrozumieć głos naszego serca, gdy gramy tęskną nutę na *moaphya*.

To ostatnie, znajome zdanie sprawiło, że Théra się rozluźniła. Kimkolwiek był ten mężczyzna, poczuła, że może mu zaufać.

– Jeśli nie chcesz, panie, zdradzić swojego imienia, nie będę naciskać. Ten instrument nazywa się *moaphya*? Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– To stary instrument Ano, rzadko widywany po Wojnach Diaspory – odparł muzyk. – *Moaphya* oznacza „kwadratowy dźwięk”. Czasem wspominają o nim stare sagi o herosach. Iluthan potrafił na nim doskonale grać. – Mężczyzna popatrzył na Farę. – Chcesz spróbować?

Dziewczynka z entuzjazmem, choć niezbyt wprawnie, zaczęła uderzać w płytki, a Théra zapytała:

– Może mi pan o nim powiedzieć coś więcej?

– Ano dzielili instrumenty muzyczne na osiem rodzin: jedwab, czyli instrumenty strunowe, takie jak lutnia czy cytra; bambus, czyli flety i piszczalki; drewno, czyli ksylofony i pałeczki; kamień, czyli tabliczki i misy; glina, czyli okaryny i rurki porcelanowe; tykwa i winorośl, czyli grzechotki, skóra, czyli bębny i miechy, a także metal, czyli dzwonki i pozytywki. Do tej ostatniej należy właśnie *moaphya*. Każdy z bogów Dary ma swoją ulubioną rodzinę, a każda rodzina posiada właściwości, których nie zastąpią inne instrumenty.

Théra westchnęła.

– Szkoda, że tak mało wiem na temat muzyki. Bardzo lubię lekcje tańca z konsortą Risaną, jednak zawsze brakowało mi cierpliwości, żeby nauczyć się grać na jakimś instrumencie. Mój brat Timu znacznie lepiej sobie w tym radzi.

– *Moaphya* to mój ulubiony instrument. Trudno się na nim gra, a jeszcze trudniej go skonstruować. Każda płytka musi mieć idealne wymiary, by wytwarzać dokładnie ten dźwięk, jaki powinna. Wystarczy niewielka wada, żeby zniekształcić brzmienie.

– A jak zadbać o to, by zostały należycie wykonane?

– Popatrzcie.

Mężczyzna wyciągnął cieniutki, przezroczysty kawałek jedwabiu pokryty siatką ciemnych linii i przywołał gestem Théré, aby przyjrzała się jednej z płytek. Dziewczyna zauważyła, że na płytce również znajduje się siatka, będąca idealnym odwzorowaniem tej z jedwabiu. Nieznajomy owinał płytkę materiałem, dopasowując linię do linii.

Następnie sięgnął po młotek i uderzył w owiniętą płytkę, a ta, wibrując równo, jakby odżyła. Jednak w jednym rogu coś było nie tak: siatka zdawała się nieznacznie niedopasowana, a drżenie nie było zsynchronizowane z pozostałymi falami.

– Próbowaliście kiedyś przyłożyć do siebie dwa identyczne kawałki jedwabiu i patrzeć, jakie tworzą wzory, gdy nakładają się na siebie ich sploty?

Théra pokiwała głową. W dzieciństwie uwielbiała się tak bawić: często sięgała po wyhaftowane przez panią Mirę podobizny hegemonów i nakładała jedną na drugą,

a potem przyglądała się poruszającym się kawałkom materiału. Czowała się, jakby nadawała życie abstrakcyjnej sztuce pani Miry.

– Główna zasada jest taka sama. Choć gołym okiem nie jesteśmy w stanie dojrzeć niedoskonałości w płytce, dzięki takiej siatce możemy wyśledzić najmniejsze wady w jej wykonaniu. – Wydawał się zmartwiony. – Tę trzeba będzie wymienić. Nawet bogom zdarzają się błędy.

Théra wpatrywała się w siatkę na wibrującym jedwabiu. Wzory, jakie tworzyły nachodzące na siebie linie, przypominały jej zmarszczki na powierzchni jeziora Tututika. „Dwie fale... lustro... wady i niedoskonałości...” Zdawało jej się, że jest u progu zrozumienia czegoś ważnego, lecz rozwiązanie ciągle jej się wymykało.

W jej umyśle podobizna hegemonu rzucona przez magiczne lustro została przykryta wyhaftowanym przez panią Mirę portretem, a oba te obrazy – jeden szczegółowy i realistyczny, drugi składający się z geometrycznych kształtów – walczyły ze sobą jak w bitwie. Światło i cień, honor i okrucieństwo, kolos maszerujący przez Darę i duch, który ją nawiedzał. „Która podobizna jest bliższa prawdziwemu obliczu hegemonu?”

– Rata-tika, gdzie on poszedł? – zapytała Fara.

Zdziwiona Théra podniosła wzrok. Nieznajomy zniknął.



Théra przypomniała sobie ciekawostkę przytoczoną przez Zomi Kidosu na Egzaminie Pałacowym. „Trzeba zważyć rybę. Przepowiednia Ryby była sztuczką. Dlaczego »magiczne lustra« miałyby być prawdziwe?” Dziewczyna w pełni oddała się zadaniu. Nigdy wcześniej nie stała w obliczu tak skomplikowanej zagadki, lecz wyzwanie to przyjęła z przyjemnością. „Może ma to coś wspólnego z żądzą bitewną, o której ciągle mówił hegemon i której zawsze pragnął Hudo-tika. Jest coś satysfakcjonującego w stawaniu w szranki ze znacznie silniejszym od nas przeciwnikiem, w zbieraniu się na odwagę, by wyjść naprzeciw temu, co nieznane”.

Wyszukała wszystkie traktaty na temat natury światła – i te z epoki Ano, i współczesne – po czym przeczytała je od początku do końca. Kazała kapitanowi Dafiro wezwać najlepszych twórców lusterek i zadawała im pytania tak długo, aż zabrakło im odpowiedzi. Przejęła warsztat w Cesarskiej Akademii i razem z uczonymi i rzemieślnikami pracowała nad prototypami.

A potem przybyły wieści z Tunoi.

Rozdział dwudziesty siódmy

Rebelianci Dary

Tunoa: Dziewiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych
Mórz

Przy akompaniamencie bębnow bojowych pięć tysięcy rebeliantów z Tunoi śpiewało jednym głosem:

Dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca w roku:

Zanim zacznę kwitnąć, wszyscy inni giną.

Zimne podmuchy na ulicach Pan się wznoszą:

Fala złocista, świątynia złocista.

Mój wspaniały zapach dociera aż do nieba.

Jasnożółta zbroja chroni każde oczko.

Tysiące mieczy z lekceważącą dumą

Tnie w imieniu królów Dary, by zmazać grzech.

Szlachetne braterstwo, lojalne i szczere.

Kto by się bał zimy z tym kolorem?

Noda Mi i Doru Solofi, odziani jak królowie Tiro, stali na podium z ubitej ziemi. Za nimi, między dwoma wysokimi drzewami, rozciągnięto płótno służące za tło. Korony drzew rzuciły na materiał cienie. Doru Solofi z namaszczeniem podniósł lustro i przechylił je, by odbijało promienie słońca. Na płótnie pojawiła się ogromna podobizna hegemon na jego wiernym wierzchowcu, Réfiroi, toczącym pianę z pyska. Jeździec dzierżył Na-aroénnę i Goremawa. Jego oczy o podwójnych źrenicach przyprawiały o dreszcze.

– Towarzysze Tunoi – zaczął uroczyście Noda Mi. – Prawie dwadzieścia lat temu hegemon skomponował ten wiersz, by podkreślić, z jaką determinacją dąży do uwolnienia Dary od tyranii. Niestety jego znakomita kariera została tragicznie skrócona przez nikczemnego Kuniego Garu, pośledniego bandytę, który zdradził hegemon, choć niegdyś zwał go bratem, i zagarnął dla siebie tron.

Zamilkł na chwilę i rozejrzał się po zebranych. W ciągu kilku miesięcy ich siły

znacznie wzrosły. Podejrzewając swoich niegdyś lojalnych arystokratów o ambicje, Kuni Garu w końcu pokazał swoją prawdziwą twarz i zmusił Thékę Kimo do zbuntowania się. Zainspirowani przykładem Théki Kimo, Nody Mi i Doru Solofiego ludzie niezadowoleni z cesarskich rządów przyobiecali wesprzeć rebelię na przeróżne sposoby. Spadkobiercy dawnej arystokracji z Haanu oddali przywódcom kosztowności, beczynni i pozbawieni ziemi weterani zaoferowali doświadczenie, a uczeni, którym nie udało się dostać na cesarskie egzaminy, zadeklarowali się służyć wiedzą.

Mi i Solofi, dysponując znacznymi funduszami, zaopatrzyli wszystkich rebeliantów w złożone zbroje i jeszcze lepszą broń z Arulugi – Théca, ze względu na cesarskie embargo nałożone na jego ziemie, z radością robił z interesy z rebeliantami – a sobie zafundowali oficjalne regalia, godne królów Tiro. („Jest czas, by odziewać się jak plebejusze i zyskać przez to ich zaufanie – powiedział Noda Mi. – Ale jest też czas, by się nad nich wywyżżyć i wzbudzać respekt oraz podziw”).

Żałowali, że muszą się zadowolić dotychczasowym zapasem magicznych luster. Noda nie mógł sobie darować, że nie porwał rodziny rzemieślników, gdy ta jeszcze żyła.

Oczywiście dzięki nowym funduszom szeregi buntowników gęstniały, wzbogacone o bandytów i desperatów, których interesowało wyłącznie zarabianie pieniędzy, lecz ci zagrażali dyscyplinie. Niemniej, generalnie rzecz biorąc, liczba rebeliantów z Tunoi robiła wrażenie.

– Jednak hegemon zostawił po sobie przepowiednię – zawołał Noda Mi. – Powiedział, że podwójna dziewiątka będzie szczególną datą. Dwa lata temu, w czasie dziewiątego miesiąca dziewiątego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz, w Roku Wilka, boginie Kana i Rapa wręczyły nam te duchowe lustra...

Doru Solofi musiał powstrzymać się od śmiechu, słuchając pompatycznej przemowy towarzysza. Nie planowali nadawać żadnego specjalnego znaczenia dacie ich odkrycia i pomysł ten pojawił się znacznie później. Gdyby się jednak bardzo postarał, mógłby uznać jego słowa za prawdziwe. prostytutka, której Noda ukradł sakwę z magicznym lustrem, rzeczywiście miała ciemne włosy, a dziewczyna, z którą Doru spędzał tamtą noc, była blondynką. Zaś dom indygo wystawił im tak wysoki rachunek, jakby rzeczywiście mieli za towarzyszki same boginie. Tak czy inaczej, Noda zawsze powtarzał, że królowie powinni kłamać po królewsku, co podobno zapisane w logogramach ano tworzyło palindrom.

– Mamy oto Rok Crubena, czyli czas podniesienia wielkich duchem i wynagrodzenia ambicji. Powinniśmy dopilnować, by przepowiednia się spełniła. Czas wymaszerować do Pan i dokonać zemsty w imieniu hegemon!

Rebelianci zaczęli uderzać złożonymi włóczniami o złożone tarcze i krzyczeć jednym głosem. Hałas przegonił ptaki i inne leśne zwierzęta w promieniu wielu kilometrów.



– Jak do tego doszło? Jak?! – Phyro, który zawsze był blisko z „wujkiem Rinem”, teraz na niego wrzeszczał.

Rin się skrzywił. Bardzo żałował, że posłuchał rady cesarzowej. Z początku był zadowolony, że rebelia rośnie w siłę, myślał bowiem o dodatkowych funduszach, jakie będzie mógł uzyskać na potrzeby walki z wichrzycielami. Jednak usłyszawszy wieści z Arulugi, zdał sobie sprawę, że sprawy wymknęły mu się spod kontroli.

Rebelianci otoczyli zamek rodu Zyndu. Phyro i Rinowi nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, ponieważ murów praktycznie nie dało się sforsować i nawet sami rebelianci, jakby zaskoczeni swoim sukcesem, przybyli wyposażeni nie w ciężkie maszyny oblężnicze, lecz liche drabiny. Pięć setek dobrze zaopatrzonych żołnierzy pod dowództwem Phyro powinno przez jakiś czas panować nad sytuacją. Mimo to, kiedy księżę patrzył z góry na obleczonych w złoto gospodarzy wyspy, czuł, że ściska go w żołądku.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ilu mieszkańców zdołali przekabacić – protestował Rin. – W przeszłości cesarscy zarządcy byli w stanie zebrać wiele cennych informacji od chłopów...

Pod wpływem groźnego spojrzenia Phyro, Rin postanowił nie wspominać o tym, jak zakaz wszelkiego prywatnego czczenia hegemonu obrócił społeczność przeciwko nim.

– Ale te lustra... one wszystko zmieniły. Teraz praktycznie każdy mieszkaniec Tunoi, od dzieci ledwo odrosłych od ziemi po bezzębne staruchy, naprawdę wierzy, że hegemon wrócił i manifestuje swoją obecność. Nawet ci, którzy nie walczą w szeregach rebeliantów, ukrywają ich i pomagają im na inne sposoby. Straciliśmy sterowce patrolowe, ponieważ kucharze na lotnisku je podpalili! W ciągu ostatnich dwóch miesięcy nasze oddziały przegrały każdą potyczkę z buntownikami.

– Ale powtarzałeś mi, że wszystko idzie zgodnie z planem!

– No bo to była prawda... w pewnym sensie.

– Posłałeś po pomoc?

– Trzy fale gołębi już są w drodze.

Phyro nic nie odpowiedział, ale teraz poważnie żałował, że nie zwrócili się o wsparcie wcześniej. Chciał pokazać ojcu, że nie jest już dzieckiem i potrafi zająć się kilkoma przesądnymi bandytami na tej odległej wyspie. Kiedy na Arulugi rozpętał się bunt, ostatnia rzecz, jakiej potrzebował cesarz, to kolejne źródło zmartwień.

Miał nadzieję, że kiedy dotrą posiłki z Wielkiej Wyspy, zdoła się zrehabilitować.



Rebelianci obozowali pod murami zamku przez trzy dni i trzy noce, a ich szeregi stale rosły – teraz w oblężeniu brało udział już niemal osiem tysięcy mężczyzn. Jednak nikt spośród nich nie udał się do lasu, żeby ściąć drzewa i zbudować katapulty albo wieże strzelnicze. Głównie siedzieli, słuchając przemów,

śpiewając i modląc się.

Phyro i Rin patrzyli na nich ze zdziwieniem, ale i ulgą.

A czwartego dnia nad ranem rebelianci przypuścili atak. Okazał się niezwykle chaotyczny. Buntownicy zwyczajnie ruszyli do przodu, oparli rozpadające się drabiny o mury i zaczęli się wspinać, trzymając w rękach tylko mizerne tarcze z wikliny. Mi i Solofi razem z kilkoma osobistymi strażnikami trzymali magiczne lustro, rzucając na mury zamku obraz hegemonu, który miał zmotywować rebeliantów.

Phyro ze zdziwieniem patrzył na odważnych, ale bezładnie szarżujących buntowników. Byli zupełnie nieosłonięci, a obrońcy mieli już przygotowane kotły z wrzącym olejem i pomyjami, a także kamienie, ciężkie drewniane belki i tysiące strzał, więc szybko powinni się z nimi rozprawić. Rebelianci popełniali błąd, jaki byłby nie do pomyślenia nawet dla zupełnych żółtodziobów w jakiegokolwiek armii.

– Właśnie dlatego Noda Mi i Doru Solofi poddali się pod naporem oddziałów marszałka Mazoti w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem – mruknął Phyro. – Można przebrać owcę za wilka, lecz nadal będzie tylko owcą. – Wydał obrońcom rozkaz przypuszczenia ataku.

Jednak niewielu go posłuchało.

– Na co oni czekają? – krzyknął Phyro, a w jego głos wkradła się panika.

Rin Coda pobiegł i wrócił po kilku chwilach, blady na twarzy.

– Część naszych ludzi, zwłaszcza miejscowych, wierzy, że rebeliantów chroni hegemon. Są przekonani, że strzały, włócznie i miecze nie przebiją ich zbroi ani ich nie zranią. Ich zdaniem rebeliantów opanowała furia berserków Maty Zyndu i każdy, kto stanie przeciwko nim, zostanie przeklęty.

Phyro tupnął z frustracją.

– Szaleństwo. Świat oszalał!

– Zbiorę żołnierzy z Wielkiej Wyspy. Mam nadzieję, że nie poddadzą się tej destruktywnej magii.

– Poczekaj – powiedział Phyro. – Mam pewien pomysł.

Rin Coda zrobił wszystko, żeby zagrzać do walki tych kilku poddanych, którzy wciąż wierzyli w cesarstwo, a poprzez groźby, bicie i smaganie biczem zmusił do działania pozostałych. Kiedy z murów poleciały kamienie i drewniane belki, a za nimi podążył wrzący olej, rebelianci, przy wtórze własnego skowytu, zaczęli jeden po drugim spadać w objęcia śmierci.

– Ich wiara w ochronę hegemonu jest zbyt mała! – zawołał Noda Mi. – Hegemon broni tylko tych, którzy nie mają wątpliwości. Pogromca Wątpliwości został obnażony! Śpiewajcie ze mną, śpiewajcie! *Dziewiąty dzień dziewiątego miesiąca...*

Kiedy tysiące rebeliantów podjęły pieśń, a od ich głosów niemal zatrzęsły się mury, wróciła im odwaga i znów zaczęli licznie wspinać się na drabiny. Mimo że spadające kamienie i belki rozcierały ich na miazgę, parło ich do przodu coraz więcej, jakby pragnęli za wszelką cenę dowieść siły swojej wiary. W obliczu nieustraszonej hordy przeciwników o błyszczących szaleństwem oczach obrońcy

zaczęli tracić serce do walki.

Wówczas opodal drabin ustawili się łucznicy i wypuścili strzały, celując w żołnierzy na murach. Znów rozległy się wrzaski i jęki umierających.

Wyglądało na to, że wdarcie się rebeliantów do zamku jest tylko kwestią czasu.

– Kto się odważy na następny krok?! – krzyczał książę Phyro, który pojawił się na szczycie muru, ciężko dysząc.

Trzymał portret Maty Zyndu, który zazwyczaj wisiał w głównej sali, gdzie przychodzili pielgrzymi modlić się o błogosławieństwo hegemonu. Dzierżąc go jak wielką tarczę, książę ruszył w stronę atakujących, którzy już mieli zdobyć szczyt.

– Śmiecie bezcześcić podobiznę hegemonu? – zapytał, wystawiając portret poza mur. – To jeden ze słynnych haftów pani Miry, w którym zawarła samą esencję ducha wielkiego Maty Zyndu. Tacy z was bezbożnicy, że poważyliście się zagrozić duszy samego hegemonu?

Ze strony atakujących przestały lecieć strzały. Żaden z łuczników nie miał dość odwagi, by zniszczyć portret swego pana. Ci na drabinach zawahali się i zatrzymali, w obawie, że jeśli pójdą dalej, mogą niechcący zabrudzić święty obraz.

– Podłość! – wołał Noda Mi, purpurowy na twarzy.

– Pożalowania godna sztuczka! – krzyczał Doru Solofi, tocząc pianę z ust.

– Ja jestem podły? – zapytał Phyro z szerokim uśmiechem. – Dlaczego w takim razie portret hegemonu nie wyślizgnie mi się z rąk? Zawsze go lubiłem, wicie? Może nawet jestem jego większym wielbicielem niż wy! Tak czy inaczej, będę tu stać i trzymać jego podobiznę. Nie zamierzam bezcześcić pamięci hegemonu.

Rin Coda pokazał gestem na kilku najbardziej zaufanych obrońców, którzy zdawali się właśnie budzić z transu. Pobiegli do wnętrza zamku i po paru minutach wrócili, niosąc wielkie posągi hegemonu z ołtarzy i skrzynie pełne haftów sprzedawanych turystom. Wkrótce na murach zaroilo się od podobizn Maty Zyndu.

– Zaiste, jesteś synem tego obmierzłego Kuniego Garu – powiedział Noda Mi. – To bezwstydną sztuczka godna samego wielkiego zdrajcy.

Razem z Solofim obsypali Phyro gradem obelg, jednak ten w odpowiedzi tylko się uśmiechał. Rebelianci zatrzymali się w połowie wysokości drabin, nie wiedząc, co począć.

W rzeczywistości Noda Mi i Doru Solofi zastanawiali się już nawet nad tym, by rozkazać łucznikom wystrzelić płonące strzały i spalić portrety hegemonu, aby skończyć tę farsę, wiedzieli jednak, że kult Maty Zyndu stanowił fundament powstania, i gdyby kazali zniszczyć portrety, ich ludzie nie tylko przestaliby ich słuchać, lecz może nawet obróciliby się przeciwko nim.

Podczas gdy walka utknęła w martwym punkcie, z dołu i z góry zaczęły dobiegać krzyki:

– Sterowiec!

– Jesteśmy uratowani!

– Ale dlaczego tylko jeden?

W rzeczy samej, nad zamkiem unosił się smukły sterowiec, jego oskrzydłone wiosła poruszały się rytmicznie i z gracją. Czyżby wreszcie przybyły cesarskie

posiłki?

Ekscytacja na twarzy Phyro ustąpiła miejsca konsternacji.

– To przecież „Strzała Czasu”, cesarski sterowiec pocztowy – szepnął do Rina Cody. – Mieszczą się w nim nie więcej niż dwa tuziny załogi. A co z resztą?

Noda Mi, zauważywszy, że sterowiec nie stanowi szczególnego zagrożenia, już miał rozkazać rozpoczęcie ataku po drugiej stronie zamku – Phyro i jego żołnierze nie mogli całego zamku otoczyć podobiznami hegemonu, prawda? – kiedy ktoś wyskoczył z pokładu sterowca.

Żołnierze obu stron konfliktu patrzyli oniemiała, jak pasażer koziolkuje kilka razy w powietrzu, a potem zniża lot. Wszyscy już mieli zamknąć oczy, żeby nie oglądać tragicznego w skutkach spotkania z ziemią, lecz pasażer w ostatniej chwili wypuścił ogromny jedwabny balon, który napęcznieł się powietrzem i spowolnił upadek.

– Właśnie tak hegemon zdobył Zudi wiele lat temu!

– Duch? Posłaniec hegemonu?

Teraz poznali, że pasażerem jest kobieta, do tego ubrana w eleganckie szaty dworskie. Długie rękawy i tren jej sukni łopotwały w powietrzu jak ogony latawca.

Niczym nasionko dmuchawca, kobieta powoli opadła i wylądowała na szczycie muru otaczającego zamek.

– Théra! – zawołał zdumiony Phyro. – Co ty tutaj robisz?

– Z tego, co widzę, ratuję ci tyłek. Trzy fale gołębi! Byłam pewna, że jesteś już jedną nogą w grobie, a ponieważ poinformowanie ojca, który znajduje się teraz w cieśninie Amu, trwałoby zbyt długo, wzięłam „Strzałę Czasu” i przybyłam osobiście.

Phyro patrzył na starszą siostrę z nieskrywanym podziwem. Zawsze była dla niego wzorem, teraz jednak dostrzegł w niej postać wręcz cudowną.

Théra odpięła od szaty jedwabny balon i podeszła do krawędzi muru.

– Słudzy hegemonu, zostaliście oszukani! – Rebelianci podnieśli na nią wzrok. Księżniczka Théra, w swej jasnoczerwonej dworskiej szacie ozdobionej haftowanymi srebrną nicią dmuchawcami i mozaikami z pereł o kształcie ryb, wyglądała dostojnie i pięknie. – Przybyłam tutaj, żeby pokazać wam prawdę o woli hegemonu.

Z fałd szaty wyciągnęła duże lustro z brązu.

Podniosła je tak, żeby wszyscy znajdujący się niżej mogli zobaczyć, że jego powierzchnia jest gładka niczym czysta kałuża. Lustro idealnie odbijało otoczenie: kotły pełne wciąż wrzącego oleju, zakrwawionych obrońców i strzały wystające z tułowi niektórych z nich, a także pozłacane broje zbuntowanych gospodarzy.

Podniosła rękę i skierowała lustro w stronę nieba za plecami rebeliantów. Ci odwrócili się i zobaczyli, że tuż za nimi zatrzymał się sterowiec. Z obu krańców gondoli wypuszczono długie bambusowe tyczki, a między nimi zawisła płachta jedwabiu, niczym ogromny żagiel albo zasłona.

Księżniczka Théra przechyliła lustro tak, by odbite od niego promienie słońca padały na jedwab, rysując na nim obraz.

Obrońcy zamku i rebelianci z Tunoi oniemieli ze zdumienia.

Na płachcie pojawiły się postacie stojących obok siebie Maty Zyndu i cesarza Ragina. Mężczyźni trzymali się za ramiona, a na ich twarzach malowały się spokój i łagodność. Poniżej ich podobizn znajdowało się kilka wersów napisanych pismem zyndari:

Ich braterstwo szczere i oddane

Niech w pokoju utrzyma Darę.

Ktoś upuścił miecz, po chwili to samo zrobił ktoś inny i wkrótce wszędzie dokoła dało się słyszeć brzęk upadającej stali.

– Jak...? Gdzie...? – Phyro miał dużo pytań.

Théra pokazała na dwóch przywódców rebelii i oznajmiła władcym tonem:

– Pojmać ich!

Jednak Noda Mi i Doru Solofi odrzucili swoje królewskie regalia i zniknęli w ciemnym lesie jak mątwą w głębi morza, zostawiając po sobie tylko plamę atramentu.



– Nie przesuвай zbyt szybko – instruowała Théra. – I nie naciskaj. Udawaj, że jesteś bryzą delikatnie popychającą łódkę po powierzchni jeziora.

Phyro ostrożnie przesuwał półkolistą szklaną soczewkę po lustrze. Światło wpadało przez nią, trafiało w gładką powierzchnię brązu pod spodem i odbijało się. W soczewce pojawiały się tęczowe pierścienie, podobne do koncentrycznych zmarszczek na wodzie, niczym odcisk palca.

– Co to?

– Nazywam je Pierścieniami Tututiki – odparła Théra.

– Są bardzo ładne – zauważył Phyro.

– Są więcej niż ładne. Dzięki nim wiesz, czy powierzchnia pod nimi jest rzeczywiście gładka. Światło odbite w lustrze interferuje ze światłem odbitym przez soczewkę, a gdy powierzchnia jest idealnie gładka, pierścienie przyjmują idealnie okrągły kształt. W innym przypadku są zdeformowane i uwydatniają wgłębienia i wypukłości niewidoczne gołym okiem.

Kiedy Phyro przesuwał soczewkę, zauważył, że faktycznie może za pomocą Pierścieni Tututiki wskazać na powierzchni lustra miejsca wklęsłe i wypukłe.

Zdjął soczewkę i jeszcze raz pogłaskał palcami szklaną taflę: nic, nie wyczuwał żadnych kształtów. Spojrzał na swoje odbicie i przekonał się, że jest zupełnie wierne.

Westchnął z podziwem.

– Te wzory na powierzchni muszą być maleńkie. Ale to dzięki nim w odbiciu pojawia się obraz?

– Dokładnie tak – odparła Théra. – Od początku było jasne, że za magicznymi lustrami musi stać jakaś sztuczka. Z pomocą Pierścieni Tututiki wreszcie udało mi

się poznać ich sekret.

– W tym także sposób ich wykonania?

– Nie wiem, co dokładnie zrobili Noda i Doru, ale kluczem okazała się płaskorzeźba na odwrocie. Aby moje lustro pokazywało taki obraz, jaki chciałam, musiano wykonać odpowiedni relief z tyłu. Następnie mocno naciskałam i pocierałam powierzchnię z drugiej strony. Skoro z tyłu znajdowała się płaskorzeźba, lustro było w pewnych miejscach cieńsze, a w innych grubsze. W rezultacie poprzez jego napinanie i naprężanie tworzyły się na nim maleńkie zmarszczki, które odzwierciedlały znajdujący się z tyłu rysunek, jednocześnie pozostając niewidoczne gołym okiem.

– Ale jak udało ci się stworzyć podobiznę ojca i hegemonia odwróconych plecami z tyłu lustra, lecz przodem z przodu?

– To łatwe. Lustro powstawało w dwóch etapach. Najpierw wykonaliśmy relief w takiej postaci, w jakiej miało odbijać światło, wypolerowaliśmy je, a potem dodaliśmy nowy tył.

Phyro podniósł soczewkę.

– A jak odkryłaś Pierścienie Tututiki?

– Miałam doskonałych nauczycieli – powiedziała Théra nieco tajemniczo. – Pierwszy pokazał mi, że światło przypomina fale. Drugi zaś, że odstępstwa od spodziewanego wzoru interferencji mogą posłużyć do wykrywania maleńkich różnic w grubości materiału. Reszta była już tylko kwestią wielu eksperymentów.

Phyro podniósł lustro do słońca i podziwiał odbicie rzucone na ścianę.

– Teraz, gdy już wiem, jak zostało to wykonane, mogę wreszcie docenić sztukę. Wcześniej trochę się tego bałem.

Théra pokiwała głową.

– Absolutnie. Noda Mi i Doru Solofi polegali na „magii”, żeby oszukać swoich popleczników. Kiedy jednak odkryliśmy ich sekret, magia stała się własnością wszystkich.

Rozdział dwudziesty ósmy

Schronienie

Nokida: dziewiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych
Mórz

Gin Mazoti otaksowała dwóch mężczyzn klęczących u jej stóp i doświadczyła swoistego *déjà vu*. Wiele lat wcześniej ci sami ludzie klęczeli przed nią, kiedy jako marszałek Dasu zdobyła miasto Dimu.

Noda Mi i Doru Solofi przebrali się za rybaków z Tunoi i przybyli do Nokidy po walce z nieprzewidywalnymi prądami w kanale Kishi. Udali się prosto do pałacu i błagali, by zaprowadzono ich przed oblicze królowej.

Teraz rozkładali ręce, kłaniali się i dotykali czołami kamiennej podłogi, która była w nie najlepszym stanie i wymagała odnowienia.

– Wasza Wysokość, Szanowna Królowo Gėjiry, Marszałku Dary, jesteśmy na twojej łasce! – Cały czas bili czołami podłogę, aż w końcu zostawili na niej krwawe ślady.

– Wystarczy.

Obaj zamarli, wciąż leżąc twarzą do ziemi.

– Dopuszciliście się zdrady cesarza. Co wam przyjdzie z błagania mnie o litość?

Noda starannie przeanalizował słowa Gin. Sam fakt, że zadawała pytania zamiast wrzucić ich od razu do wozu więziennego i wysłać do Pan, był dobrym znakiem. W dodatku o sobie i cesarzu wspomniała w dwóch oddzielnych zdaniach.

– Najroztropniejsza i Najszanowniejsza Królowo, Wzorze Cnót! – powiedział. – Byliśmy głupcami, myśląc, że możliwe jest, by zwykła trawa oparła się cesarskiej kosie, zaś podrzędne rozmodlone modliszki ośmielą się stawić czoła cesarskiemu wozowi. Za tę oplakaną sytuację, w której się znaleźliśmy, winić możemy li tylko naszą chciwość i ambicję. Wiemy, że zasłużyliśmy na śmierć. Cesarz Ragin zaiste jest niedościgniony w sztuce wojennej i żaden dowódca nie może mu się równać.

Gin słuchała, nieznacznie marszcząc brwi. Noda ukradkiem spojrział na jej odbicie w leżącym u jej stóp gładko wypolerowanym mieczu. Omal się nie uśmiechnął, lecz zaraz znowu opuścił głowę. „Ach, próżność”.

– Wykazaliście się arogancją – rzekła Gin, wstając. – Właśnie dlatego przegraliście bitwę z zaledwie dzieckiem. Wiara w waleczność ludzi opętanych mrzonkami jest taktyką, jaką z powodzeniem stosował Mata Zyndu, ale wy nie jesteście Matą Zyndu. Gdybym to ja... – zaczęła, lecz zaraz się poprawiła. – To wszystko nie ma znaczenia. Nic nie mogę dla was zrobić. Mogę dać wam dzisiaj wygodne łóżko i dobry posiłek, a jutro rano wysłać was do Pan.

Noda i Doru podczołgali się bliżej i każdy złapał Gin za stopę.

– Litości! Litości! Och, Litościwa Królowo, Wcielenie Pana Rufizo, jeśli

wyślesz nas do Pan, naszym udziałem będzie los okrutniejszy niż śmierć! Cesarz uczyni nas przykładem dla innych. Wymorduje nasze rodziny i sympatyków, a także członków ich rodzin do trzech pokoleń.

– A co mi do tego?

– Niegdyś, kiedy walczyliśmy z hegemonem przeciwko cesarzowi, okazałaś nam litość. Modlimy się, byś powtórzyła ten akt wielkiej odwagi, tak by twe imię zawsze już sławiły pieśni i legendy. Na wojnie od wieków arystokrację traktowało się inaczej niż zwykłych żołnierzy.

– Czyżby? – zapytała Gin. – Zdaje się, że to prawda; zaiste zasługujecie na los gorszy niż ci głupcy, którzy wam służyli. Wątpię, byście znaleźli choć jednego pana Dary, który by się z tym nie zgodził.

– A jednak prawdą jest, że nie wszyscy Panowie z Dary są sobie równi! Każdy wie, że ze wszystkich doradców cesarza jednemu tylko pozwolono nosić w pałacu broń i tylko jednego rady cesarz zawsze słucha! – Raz jeszcze Noda zaczął uderzać czołem o podłogę, a Doru poszedł za jego przykładem.

Gin znowu zmarszczyła brwi. Chociaż było dla niej oczywiste, że próbują polechtać jej dumę, musiała przyznać, że wysiłki przynosiły skutek – w końcu kto zrobił więcej dla imperium Kuniego niż ona? Jeśli miał kogoś posłuchać, to właśnie jej.

Nie była jednak tak nierozsądna, by ryzykować swoją reputację dla kogoś takiego jak Noda Mi czy Doru Solofi. Bardziej interesowało ją, jakim cudem udało im się osiągnąć tak wiele i jeszcze wciągnąć w to Thékę Kimo. Zważywszy na to, jak wiele wysiłku Rin Coda włożył w zbudowanie cesarskiej służby bezpieczeństwa, coś tu śmierdziało.

– Jeśli chcecie, żebym wam pomogła – rzekła – powiedzcie mi wszystko, co się wam przydarzyło od chwili, kiedy postanowiliście się zbuntować. Nie pomijajcie żadnego szczegółu.

Kiedy Noda i Doru zaczęli relacjonować niezwykle zrzędzenia losu, jakich doświadczyli, oczy Gin najpierw zmatowiały, a potem pojawiły się w nich isierki.

Wreszcie łagodnie, lecz stanowczo wyswobodziła nogi z objęć płaszcących się mężczyzn.

– Panowie, nie musicie się dłużej ponizać. Dzisiaj jesteście moimi gośćmi, a jutro zdecyduję, co z wami począć.



Zomi Kidosu rozglądała się, marszcząc czoło, po placu przed wielką salą audiencyjną królowej. Niczym żebracy obozowały tam dziesiątki mężczyzn i kilka kobiet.

– Kim są ci ludzie? – zapytała dziesięcioletnia księżniczka Aya Mazoti, która szła obok.

Dziewczynka miała żyłastą budowę ciała i ostre rysy po matce, lecz jej skóra była ciemniejsza. Królowa nie zdradziła tożsamości jej ojca, a żaden z generałów czy

ministrów nie miał dość odwagi, by wypytywać. Królowie Dary nigdy nie czuli potrzeby wyjaśniania swoim poddanym, kogo zapraszają do łóżka, a Mazoti zawsze zachowywała się tak, jakby stosowały się do niej identyczne zasady. Przez jej łożę przewinęło się wielu mężczyzn, lecz żaden nie uważał się z tego powodu za wyjątkowego.

– To są poplecznicy Nody Mi i Doru Solofiego – wyjaśniła Zomi. – Uciekli z Tunoi i proszą waszą matkę o azyl.

– Ona ich obroni?

– Nie jestem pewna – odparła Zomi.

Minęło kilka dni, odkąd Mi i Solofi pojawili się ze swoją świtą, a Gin najwyraźniej nie mogła się zdecydować. Zomi, gdy tylko zobaczyła zmienne oblicze Doru, który raz się płaszczyl, a raz zachowywał arogancko, rozpoznała w nim fałszywego szpiega z Trójnogiego Dzbana. Poruszona wspomnieniami i emocjami, które wyparła dawno temu, unikała królowej, ponieważ nie wierzyła, że zdoła obiektywnie jej doradzać. Jednak królowa w końcu ją wezwała, a Zomi ucieszyła się, że po drodze do sali audiencyjnej wpadła na księżniczkę Ayę – to spotkanie nieco odwlekło w czasie nieprzyjemną dyskusję.

– Jeśli są zdrajcami, matka powinna ich od razu zabić – powiedziała dziewczynka.

Gin Mazoti nigdy nie bała się opowiadać córce, w jaki sposób znalazła się na tronie, a Zomi przyzwyczaiła się do tego, jak łatwo małej przychodzi mówienie o zabijaniu i wojnie. Prawda była taka, że od swojego przyjazdu do Gėjiry pracowała nad tym, by nieco zapanować nad militarnymi instynktami Gin, tak by rządziła królestwem odrobinę łagodniej. Na przykład zachęciła ją, by zamroziła budżet wojska i zaoszczędzone fundusze przeznaczyła na budowanie wiejskich szkół dla biedoty, wzorowanych na haańskich chatkach do nauki. Wykorzystywała je do testowania nowego programu, który zakładał zwiększenie nacisku na naukę ojczystego języka i umiejętności praktycznych, takich jak liczenie i rozwiązywanie w pamięci zadań z geometrii. Gin znacznie przychylniej patrzyła na sugestie Zomi niż cesarska administracja, a młoda uczona czuła, że wreszcie znalazła stanowisko, dzięki któremu może rozwinąć skrzydła. W dodatku dzięki hojności Gin mogła posyłać więcej pieniędzy do Dasu. Wszystko w jej życiu zdawało się zmierzać w dobrym kierunku.

– To musi być super! – zawołała Aya.

Zomi podażyła za jej wzrokiem i zobaczyła młodego mężczyznę w wieku osiemnastu, może dziewiętnastu lat, który na skraju placu ćwiczył z jednym z kamieni do wiązania koni. Obiema rękami złapał wystający z niego pierścień, do którego wiązało się wodze, a potem, sapiąc, porwał kamień w powietrze. Chociaż musiał ważyć prawie dziewięćdziesiąt kilogramów, chłopakowi udało się go podrzucić na wysokość jakichś trzech metrów. Potem złapał go w obie ręce i spokojnie odłożył na ziemię. Powtórzył to kilka razy. Pozostali uchodźcy, przyzwyczajeni do niezwyklej siły towarzysza, ignorowali go.

Aya podbiegła do chłopaka.

– Musisz być wielkim wojownikiem – powiedziała z podziwem. Gin od małego uczyła córkę zapasów i walki nożem, więc z dziewczynki wyrosła prawdziwa chłopczyca.

Mota Kiphi odłożył kamień i otarł twarz z potu.

– Dziękuję, młoda damo.

– Powinieneś nazywać mnie Waszą Wysokością – odparła Aya.

– Wasza Wysokość – powiedział posłusznie Mota.

Zomi zawołała księżniczkę.

– Chodź, Wasza Wysokość. Królowa nie lubi czekać.

– Chcę z nim porozmawiać – rzuciła uparcie Aya. Zomi nie miała innego wyjścia, jak podejść bliżej. Specjalnie unikała uchodźców, żeby zachować obiektywizm i odpowiednio doradzić królowej, teraz jednak, kiedy się tu znalazła, niegrzecznie byłoby się nie odezwać.

– Zawsze byłeś taki silny? – Gdy tylko zadała to pytanie, poczuła się głupio, ale w zasadzie nigdy nie była dobra w grzecznościowych gadkach szmatkach.

Mota pokręcił głową i uśmiechnął się nieśmiało.

– Byłem raczej jak mój ojciec, chorowity i słaby jako dziecko.

– Więc co się stało?

– Ojciec jeszcze przed moimi narodzinami wyjechał, żeby walczyć u boku hegemonia przeciwko Mapidéremu, i nigdy nie wrócił. Zawsze chciałem być taki jak on. Pamiętałem opowieści o tym, że marszałek Dazu Zyndu również jako dziecko był słaby, ale codziennie nosił na barkach jagnię, aż stał się silny jak byk. Dlatego przez długi czas orałem ziemię za sąsiadów i nosiłem ich ryby, aż wreszcie zmężniałem.

Chociaż opowiadał o sobie obojętnym tonem, Zomi dostrzegła w tej historii lata determinacji i pracy w pocie czoła, lata dążenia do spełnienia marzeń. Pomyślała o ojcu, który zmarł w trakcie poszukiwań księcia. I o braciach, którzy zginęli, ponieważ arystokrata wezwał ich do walki. A także o tym, jak księżniczka Théra dała jej możliwość uczestnictwa w Wielkim Egzaminie za sprawą jednego tylko słowa.

„Cierpimy, ponieważ jesteśmy trawą, po której stąpają giganci”.

Pomyślała też o złożonym znaczeniu słowa „talent”. O latach znoju, które stały się jej udziałem. O tym, jak źle się czuła pośród dworskiej arystokracji i członków Kolegium Adwokatów. I o tym, że w domu w Dasu też nie czuła się jak w domu.

„Czy karp, który przeskoczył wodospad Rufizo i zmienił się w dyranę, nie powinien czuć się w obowiązku zrobić dla innych karpi wszystkiego, co w jego mocy?”

Właśnie dlatego nie chciała poznawać tych ludzi. Kiedy zna się czyjeś historie, traci się obiektywność.

– Naprawdę jesteś silny – rzekła, nie wiedząc, co innego powiedzieć.

– Tak, jestem – przyznał Mota. Nie chwalił się, po prostu stwierdzał fakt. – Ale żałuję, że nie posłuchałem matki, która nie chciała, żebym szedł walczyć. Tłumaczyła, że tacy wielcy panowie jak król Noda i król Solofi lubią ryzykować, ale to zwykli ludzie ledwo wiążący koniec z końcem płacą najwyższą cenę.

Zomi nic na to nie odpowiedziała.

– Moja mama ukarze tych, którzy cię skrzywdzili – rzekła Aya. – Ona jest największą panią ze wszystkich.

Zomi poszła porozmawiać z innymi uchodźcami. Niektórzy z nich byli uczonymi, którzy nie dostali się na cesarskie egzaminy i mieli nadzieję jakoś wykorzystać swój talent, poznała też desperatów, którzy w rebelii dojrzeliby szansę na dorobek. Na pozostałych jednak składali się chłopcy podobni do Moty Kiphi, którzy walczyli, ponieważ powiedziano im, że tak należy, a oni wierzyli w mądrość panów.

Zomi ruszyła do sali audiencyjnej.



– Nie możesz tego zrobić, Wasza Wysokość – powiedziała Zomi.

– Nie mogę? – zapytała Gin Mazoti, rozbawiona. – Niby dlaczego?

– Ponieważ niewłaściwym jest oddanie cesarzowi popleczników Nody i Doru, kiedy to oni dwaj są za wszystko odpowiedzialni! Sama sugestia takiego postępuku jest nie do pomyślenia.

– Nie mogę oddać Nody i Doru – odparła Gin hardo. – Przyszli do mnie, wierząc, że uratuję im życie. Straciłabym resztki honoru, nawet nie próbując tego zrobić.

– Mówicie o ratowaniu twarzy...

– Honor jest wszystkim!

Zomi wzięła głęboki wdech.

– Ale dlaczego chcecie odesłać ich ludzi?

– Bo sytuacja w Pan się zmieniła – odparła Gin. – Cesarz nie wezwał mnie, bym poprowadziła wojnę przeciwko Théce Kimo, chociaż teoretycznie jestem marszałkiem Dary. Nie poprosił też o pomoc w opanowaniu sytuacji w Tunoi. Podejrzewam, że... Nieważne, są rzeczy, których nie zrozumiesz. Muszę coś dać cesarzowi.

– Myślisz, Wasza Wysokość, że w Pan zmieniły się nastroje? – zapytała Zomi. – Czy to możliwe, by... cesarz podejrzewał cię o ambicje?

– Nie wiem już, co myśleć – odparła Gin. – Sygnały płynące z Pan są sprzeczne i wydaje mi się, że rebelia w Tunoi jest bardziej skomplikowana, niż nam się wydaje. W stolicy ktoś bardzo wpływowy spiskuje przeciwko najbardziej zasłużonym w budowaniu cesarstwa.

– Wasza Wysokość, jeśli podejrzewasz cesarzową... mylisz się.

– A skąd to wiesz?

„Nie mogę zdradzić zaufania cesarzowej – pomyślała Zomi. – Nie mogę powiedzieć królowej, że cesarzowa została źle zrozumiana”.

– Po prostu wiem. Jeśli jednak chcesz mieć pewność, możesz się skonsultować z konsortą Risaną...

Gin uciszyła swoją doradczynię zimnym i groźnym spojrzeniem.

– Jeśli chcesz zasugerować, bym prosiła konsortę Risanę o ochronę, lepiej

ugryź się w język. Zasłynęłam na polu bitwy i nie zamierzam płaszczyć się przed żonami mojego władcy.

– Wasza Wysokość, mówisz o honorze, jakim jest obrona Nody i Doru, a równocześnie jesteś gotowa wydać ich ludzi cesarzowi. Nie wydaje mi się, by dało się pogodzić jedno z drugim.

Gin zaśmiała się gorzko.

– Konsekwencja to pułapka, w którą chcą dać się złapać tylko ograniczone umysły.

– Jesteś pewna, że nie chronisz Nody i Doru wyłącznie po to, by sprawdzić, czy cesarz w dalszym ciągu ci ufa? By zobaczyć, czy nadal widzi w tobie marszałka Dary?

Gin odwróciła wzrok i nic nie powiedziała.

„»Jeśli Phyro i Coda zbyt mocno będą nękać utalentowanych ludzi, trzeba ich będzie ochronić«.

Cesarzowa musiała mieć na myśli właśnie tę sytuację – pomyślała Zomi. – Och, królowo Gin, gdybyś tylko wiedziała, że jesteście z cesarzową po tej samej stronie!”

– Jeśli pragniesz zachować swój honor i wpływy – rzekła Zomi – musisz ochronić nie tylko Nodę i Doru, ale także ich sympatyków.

Gin uniosła brwi.

– Rozmawiałam z tymi, którzy tu za nimi przyszli. Zostali wprowadzeni w błąd albo byli niezadowoleni z rządów cesarza, jednak wielu z nich to ludzie utalentowani. Książę Phyro jest młody i porywczy, podczas gdy książę Coda wstydzi się, że omal nie przegrał z rebeliantami. To naturalne, że przedstawiają tych ludzi jako zatwardziałyh zdrajców. W tej chwili cesarz jest rozwścieczony buntem Théki Kimo, więc jeśli odeślecie mu tych ludzi, niewątpliwie każe ich stracić, a potem będzie tego żałował. Raz przelana krew prowadzi do większego jej rozlewu, Wasza Wysokość, a Dara nie może sobie na to pozwolić. Mądrym posunięciem będzie zapewnienie wszystkim tym ludziom azylu do czasu, aż cesarz ochłonie. Później podziękuje ci za spokój i opanowanie. To najlepszy sposób, by udowodnić swoją lojalność i zapewnić sobie jego przychyłność.

Gin popatrzyła na nią poważnie.

– Jesteś pewna, że nie próbujesz bronić tych ludzi, bo widzisz w nich siebie samą? Bo przypominają ci o twojej własnej drodze z wioski do stolicy?

– Wasza Wysokość, ty też niegdyś niczym się od nich nie różniłaś! – odparowała Zomi.

– To niebezpieczna rada.

„Rób to, co dobre dla Dary, bez względu na konsekwencje”.

Zomi w całym swoim dotychczasowym życiu nie była tak mocno przekonana, że robi to, co właściwe.

– A jednak ryzykowałam, by zdobyć chwałę.

Gin wciąż wbijała wzrok w Zomi, lecz wyraz jej twarzy powoli łagodniał.

– Powiedz ludziom na placu, żeby razem ze swoimi panami przeprowadzili się do kwater dla gości. Dzisiaj godnie przywitamy ich w Géjirze.

Rozdział dwudziesty dziewiąty Cesarzowa i marszałek

Pan: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– *Rénga*, radziłbym nie iść tą drogą – powiedział premier Cogo Yelu. – Puma Yemu może i wielokrotnie poniósł porażkę, lecz ryzykowanie swoim życiem nie jest rozwiązaniem.

– Puma Yemu zawsze odnosił sukcesy – rzekła Jia. – Aż dziw bierze, że teraz radzi sobie tak słabo.

Cogo spojrział na cesarzową, zamierzając coś powiedzieć, lecz zaraz zmienił zdanie.

– Nie wiem, o czym myśli Puma – rzucił zirytowany Kuni. – Najwyraźniej nic już nie wiem o swoich generałach. Nie mam jednak innego wyjścia, jak tylko iść na wojnę. Mam stać z boku i słuchać, jak ludzie szepczą, że straciłem wolę walki?

– Mógłbyś wezwać królową Gin – zaproponowała Jia.

– Nie wezwałem jej wcześniej, ponieważ uznałem, że będzie się czuła niezręcznie, walcząc z dawnym przyjacielem. A teraz, gdy nam się nie wiedzie, chcesz, żebym pobiegł do niej z podkulonym ogonem i prosił o pomoc? Chcesz, żebym stał się pośmiewiskiem całej Dary?

– To dzięki niej zdobyłeś Darę – odparła cicho Jia.

Po tych słowach nastąpiła długa chwila niezręcznej ciszy. Oczy Kuniego zmatowiały.

– Wydaje mi się, że cesarzowa miała na myśli pewną szczególną umiejętność Gin Mazoti... – wtrąciła nieśmiało Risana.

– Nie musisz mi wyjaśniać, co miała na myśli – rzekł Kuni gniewnie, machając rękami. – Jeśli nawet moja żona uważa, że potrzebuję miecza Gin Mazoti, żeby utrzymać swoje imperium w ryzach, to zdanie podziela pewnie połowa Dary. Czy moje panowanie jest tak niepewne, że muszę błagać ją, by wstawiła się za mną, gdy któryś z arystokratów da się ponieść ambicjom? To ona jest cesarzem czy ja?

– Przepraszam, zbyt pochopnie wypowiedziałam te słowa – rzekła Jia.

Kuni zignorował ją.

– Risano, spakuj się. Jutro rano wyjeżdżamy razem z wojskiem. Osobiście udam się do Arulugi, żeby nadzorować tę walkę, i nie wrócę, dopóki Théca Kimo nie umrze albo ja nie dołączę do hegemonu. To rzekłszy, wymaszerował rozgniewany.

– Nie miej mu tego za złe – powiedziała Risana do Jii. – Po prostu przyzwyczail się do mojego towarzystwa w czasie wojny. Kuni... Spoczywa na nim ogromny ciężar.

Jia pochylała głowę i się uśmiechnęła.

– Dziękuję, sostro. Nie wiedziałam, że tak słabo znamy się z mężem, iż trzeba nam udzielać porad małżeńskich.

Risan zaczerwieniła się i ukloniła, a potem szybko wyszła, zostawiając Jię i Cogo Yelu samych.

– Co radzisz, premierze? – zapytała cesarzowa.

– Jestem pewien, że cesarz zrobi to, co najlepsze dla Dary – powiedział Cogo, kłaniając się i skupiając wzrok na czubku nosa. – Podobnie konsorta Risana.

Jia się roześmiała.

– Ile lat już się znamy, Cogo? Nie musisz zachowywać się jak konsorta Risana podczas tańca: machać długimi rękawami we wszystkie strony, tak by zadowolić każdego wielbiciela. Jeśli uważasz, że popełniłam błąd, musisz powiedzieć mi to otwarcie.

– Nierozsądnie było wspominać o królowej Gin w momencie, kiedy cesarz podjął decyzję o wyjeździe na wojnę.

– Ponieważ mógł się poczuć urażony?

– Cesarz to tylko człowiek. Nikt z nas nie jest wolny od próżności.

– Och, ależ ja na to właśnie liczyłam.

Oczy Cogo szybko zwróciły się ku cesarzowej, jednak zdziwienie na jego twarzy pojawiło się tylko na ułamek sekundy, zaraz znów się wypogodził.

– Każdy z generałów i ministrów został w takim czy innym momencie skrytykowany przez cesarza, oprócz ciebie i Luana – zauważyła Jia. – Luan trzyma się z dala od dworu, lecz ty jesteś gładki jak wypolerowany jodeit, mistrzu polityki. – Zamilkła i popatrzyła na niego.

– Jestem tylko lojalnym sługą cesarza – oznajmił beznamiętnie Cogo.

– I następnego również, mam nadzieję?

Cogo długo się nie wahał.

– Oczywiście.

– Pamiętaj o tym.

Jia odwróciła się i wyszła.

Cogo pozostał na swoim miejscu i dopiero po dłuższej chwili podniósł rękaw, żeby zetrzeć zimny pot z karku.



Kiedy cesarz Ragin i konsorta Risana wyjechali do Arulugi, by doglądać spraw wojennych, kiedy książę Timu pozostawał w Dasu, by czujnie wypatrywać piratów, kiedy książę Phyro – a także księżniczka Théra, która nie posłuchała poleceń matki i nie wróciła do stolicy – zajmował się resztkami wyznawców hegemonia w Tunoi, cesarzowa Jia została regentem cesarza w Pan.

Ponieważ zdarzyło się to po raz pierwszy, ministrowie i generałowie nie wiedzieli, czego się spodziewać. Mówiło się, że cesarzowa ma wybuchowy charakter, więc wszyscy się niepokoili. Jia szybko jednak rozwiała ich obawy. Odwiedziła wszystkie garnizony, dziękując każdemu żołnierzowi za obronę stolicy przed aktami sabotażu ze strony szpiegów Théki Kimo albo rebeliantów z Tunoi, wybrała się nadzorować transport zaopatrzenia dla ekspedycji cesarskiej w Arulugi, zebrała

uczonych i w rozmowie z nimi podkreślała, jak ważna jest stabilizacja.

Wszyscy na dworze szeptali, że cesarzowa Jia to kobieta niezwykła, która przewyższa inne przedstawicielki jej płci, tak jak dyrana przewyższa inne ryby. Jej spokój i opanowanie okazały się niezwykle potrzebne.

Dziewiątego dnia po wyjeździe cesarza Jia wezwała wszystkich jego ministrów i generałów, którzy pozostali w stolicy, na formalną audiencję.

Usiadła na swoim zwyczajowym miejscu obok tronu, chociaż teraz zamiast cesarza miała u swego boku jedynie Pieczęć Dary umieszczoną na małym stoliku z drzewa sandałowego. Ministrowie i generałowie, przybywszy do Wielkiej Sali Audiencyjnej, zasiedli w oficjalnym *mipa rari*.

– Szanowni Panowie z Dary – zwróciła się do nich cesarzowa – zebraliśmy się dzisiaj, żeby porozmawiać o egzaminach.

Ministrowie i generałowie popatrzyli po sobie zdziwieni. Wielki Egzamin miał się odbyć dopiero za pięć lat, więc dlaczego cesarzowa poruszała ten temat? Jia odwróciła głowę w bok i zawołała księżniczkę Farę. Dziewczynka nieśmiało weszła do sali i klękła przed cesarzową.

– Nic się nie martw – uspokoiła ją cesarzowa. – Chciałabym tylko zadać ci kilka pytań i przekonać się, czy doradcy cesarza mogą nauczyć się czegoś od dziecka.

Ministrowie i generałowie poczuli, że ich żołądki się zaciskają. „Co to ma być za podstęp?”, myśleli zaniepokojeni.

– Ada-tika, założmy, że mieszkaniec Haanu musi pojechać do Faça na kilka miesięcy i zostawia pewną sumę pieniędzy swojemu dobremu przyjacielowi, prosząc, by zaopiekował się jego dziećmi. Jednak po powrocie znajduje swoje dzieci głodne i w lachmanach, podczas gdy jego przyjaciel cieszy się obfitymi posiłkami i ubiera w jedwabie. Co Haańczyk powinien zrobić takiemu przyjacielowi?

Fara się uśmiechnęła.

– To opowieść z *Traktatu o relacjach moralnych* Kona Fijego. Odpowiedź brzmi: powinien zerwać wszelki kontakt z przyjacielem, ponieważ nie można mu ufać.

Cesarzowa pokiwała głową.

– Bardzo dobrze. A teraz założmy, że minister nie potrafi zapanować nad swoimi urzędnikami, którzy nie słuchają jego poleceń i migają się od obowiązków. Co powinien zrobić król?

Fara zachichotała.

– To z tej samej opowieści. Odpowiedź brzmi: król powinien zwolnić ministra, ponieważ nie może zawierzać jego kompetencjom.

Cesarzowa znowu pokiwała głową.

– W takim razie trzecie pytanie. Założmy, że arystokrata ignoruje groźby wobec swojego władcy, oferuje wikt i opierunek wrogom swojego władcy, wywołuje niepokój i niesnaski w rodzinie swojego władcy, tworzy frakcje i sojusze przeciwko niemu pośród jego poddanych. Co powinien zrobić władca?

Fara była zdumiona.

– To... to... ale nie tak brzmiała opowieść... Nie wiem.

Jia się uśmiechnęła.

– Nic nie szkodzi. – Pokazała dziewczynce, żeby wyszła, a księżniczka ukloniła się i szybko uciekla.

W Wielkiej Sali Audiencyjnej zapanowała zupełna cisza. Chociaż wszyscy ministrowie i generałowie mieli głowy pełne pytań, bali się choćby głośno odetchnąć.

– Ktoś chciałby udzielić odpowiedzi?

Nikt się nawet nie poruszył.

Kado Garu, który siedział z boku, na czele kolumny arystokratów i generałów, w duchu pogratulował sobie decyzji oddania swojego lenna we władanie Timu. „Jia naprawdę wypowiedziała wojnę arystokratom”. Cesarzowa rozejrzała się i jej wzrok spoczął na Cogo Yelu.

– Premierze, czy zechciałby pan odpowiedzieć na pytanie, któremu nie podolała księżniczka Fara?

Cogo Yelu uklonił się i rzekł:

– Cesarzowa cytuje jedną ze słynnych opowieści Kona Fijego. O ile dobrze pamiętam, Jedyny Prawdziwy Mędrzec mówił do króla Faça.

– W rzeczy samej. Jak brzmiało trzecie pytanie do króla Faça?

– Kon Fiji zapytał: „Zakładając, że królestwo jest źle zarządzane, prawo niesprawiedliwe, a poddani narzekają na korupcję i złe traktowanie, co powinien uczynić król?”.

– I co odpowiedział król Faça?

Cogo Yelu niechętnie kontynuował.

– Król przez chwilę milczał, a potem spojrzał na lewo, spojrzał na prawo i zaczął mówić o pogodzie.

– W jaki sposób różnisz się od króla Faça, premierze Yelu, skoro nie odpowiadasz na moje pytanie?

Cogo w milczeniu dotknął czołem ziemi.

Jia odwróciła od niego wzrok i rozejrzała się po zebranych.

– Kiedy Théca Kimo się zbuntował, Gin Mazoti nie przybyła do Pan, by zaoferować swoją pomoc, mimo że piastuje stanowisko marszałka Dary. Kiedy Noda Mi i Doru Solofi uciekli z Tunoi, po tym jak ich spisek spalił na panewce, znaleźli schronienie u Gin Mazoti. Kiedy Gin Mazoti pięć lat temu przybyła na dwór, zwracała się do mnie nieuprzejmie, jednocześnie obnosząc się ze swoją zażyłością z konsortą Risaną. Kiedy *cashima* straciła przepustkę do Wielkiej Sali Egzaminacyjnej, Gin Mazoti pomogła jej w sekrecie, zdobywając w ten sposób lojalność utalentowanej osoby. Czy nic nie powiecie na te zarzuty?

Cogo nadal klęczał z czołem przytkniętym do podłogi. Kiedy jednak stało się jasne, że cesarzowa nie odpuści, dopóki nie usłyszy odpowiedzi, odezwał się z ociąganiem.

– Musi istnieć niepodważalny dowód, inaczej ludzie będą źle mówić o Waszej Wysokości.

Jia przywołała gestem kasztelana Otho Krina.

– Szpiedzy wrócili z nowym raportem z Gėjiry. Królowa Mazoti każdego

wieczoru ucztuje z Nodą Mi i Doru Solofim, a z nimi także wielu ich popleczników.

Jia czekała.

Cogo podniósł wzrok.

– Służę cesarzowi – powiedział, a potem znowu się uklonił i dotknął czołem podłogi. – I cesarzowej.

Pozostali ministrowie, generałowie i arystokraci powtórzyli za nim jednym głosem:

– Służę cesarzowi i cesarzowej.

Jia popatrzyła na nich beznamiętnie i kiwnęła głową.



„Róg Crubena” powoli obniżał lot nad Pan, a Gin i Zomi spojrzwały na wozy i przechodniów płynących wartkim strumieniem przez szerokie ulice miasta jak krew przez żyły giganta.

Zomi pokazała na okrągły pozłacany dach Wielkiej Sali Egzaminacyjnej.

– Pięć lat temu to miejsce wydawało mi się centrum wszechświata. Nie wyobrażałam sobie ważniejszego miejsca w całej Darze. A jednak dzisiaj jawi mi się zwyczajnym budynkiem, a na jego widok moje serce nie napelnia się już podziwem i przestrachem.

– To dlatego, że wtedy Sala Egzaminacyjna była ci niezbędna do osiągnięcia sukcesu, a teraz stała się bezużyteczna – powiedziała Gin.

Zomi zaskoczyły te słowa, lecz zaraz pokiwała głową.

– Nie myślałam o tym w ten sposób, ale to chyba prawda. Tak czy inaczej jestem wdzięczna, że sala, w której umarło tak wiele marzeń, zaprowadziła mnie do ciebie, Wasza Wysokość.

– Taki jest los wszystkich ludzi i wszystkich rzeczy. Jednego dnia żyjemy na ulicy albo w chatce rolnika w odległej prowincji, a następnego możemy zasiąść na tronie lub zdobyć wysokie stanowisko i decydować o losach setek albo tysięcy ludzi, ponieważ nasze talenty są niezbędne tym, którzy ich potrzebują. Ale kto wie, co się wydarzy jutro?

Zomi nie była przyzwyczajona do tak ponurych słów ze strony królowej. Zastanawiała się, czy przyczyną nastroju Gin był fakt, że została zupełnie niespodziewanie wezwana przez cesarzową. Posłaniec wyjaśnił, że przedmiotem rozmowy będzie sytuacja w Arulugi, a ponieważ czas jest sprawą kluczową, Gin musi natychmiast wyruszyć w podróż na pokładzie cesarskiego sterowca. Niewielka ilość miejsca w gondoli nie pozwoliła na zabranie więcej niż jednego asystenta, więc Gin wybrała Zomi Kidosu. Nie miała ze sobą żadnego ze strażników ani zaufanych generałów.

– Zomi, wiesz, kim jest ojciec Ayi? – zapytała Gin.

Pytanie zaskoczyło Zomi. Zawsze zakładała, że królowa nie chce rozmawiać na ten temat.

– Znasz go – rzekła Gin. – Jesteś córką jego umysłu tak jak Aya jest córką jego

ciała.

Zomi była zdumiona tym wyznaniem.

– Aya nie zna prawdy. Ukryłam to przed nią, ponieważ... chyba chciałam, żeby była ze mnie dumna bardziej niż z ojca. Próżność to grzech, od którego nikt z nas nie jest wolny. Jemu też nigdy nie powiedziałam, bo... chciałam, żeby został ze mną ze względu na mnie, a nie z obowiązku. Gdyby coś się wydarzyło... czy mogłabyś... – Gin urwała, nie mogąc znieść własnej słabości.

Przez chwilę Zomi zastanawiała się, czy królowa słusznie doszukuje się niecnym intencji cesarzowej. Ale przecież cesarzowa była jej dobrodziejką i takie myśli zakrawały na zdradę.

„Cesarzowa nie życzy ci niczego złego! – chciała wykrzyknąć królowej w twarz, lecz przysięgła zachować tajemnicę. – Wkrótce się o tym przekonasz”.

– Przysięgam chronić księżniczkę Ayę jak oka w głowie – rzekła.

Gin nic nie odpowiedziała, jakby w ogóle tego nie słyszała. Pod nimi rozpościerał się wielki plac cesarski, a sterowiec powoli podchodził do lądowania.



Gin dotarła do stolicy po południu, lecz cesarzowa nie spotkała się z nią od razu, mimo wcześniejszych zapewnień, że należy się śpieszyć. Najwyraźniej tak ją zaabsorbowały sprawy wagi państwowej, że mogła porozmawiać z Gin dopiero następnego dnia. Królowa nie została zaproszona do pałacu, ponieważ zdaniem cesarzowej, jak wyjaśnił jej sekretarz, w obecnej sytuacji widok broni w cesarskiej siedzibie to zły omen.

Kręcąc głową na tę małostkowość Jii – cesarzowej nigdy nie podobało się to, że Gin mogła wchodzić uzbrojona – Gin udała się do wyznaczonej jej kwatery zaraz za murami pałacu. Właśnie tutaj zatrzymywali się arystokraci i ważni urzędnicy z prowincji, kiedy przybywali do stolicy w interesach. Usiadła przy dzbanku herbaty i zajęła się rozmową z Zomi Kidosu, spodziewając się wizyt generałów i ministrów, którzy będą chcieli prosić ją o różne przysługi. Nikt się jednak nie pojawił.

Chociaż Gin w dalszym ciągu żartowała, śmiała się i mówiła o błahostkach, Zomi zauważyła, że jej ręce drżą podczas nalewania herbaty. Czy wynikało to ze złości czy strachu, nie miała pojęcia.

Zomi również się niepokoiła. Nigdy wcześniej nie była wrażliwa na niuanse polityki, lecz nawet ona potrafiła zauważyć, że sytuacja jest niezwykła. „Co się dzieje w Pan?”

Wreszcie wieczorem przybył Mün Çakri, dowódca piechoty i jeden z najbardziej zaufanych przyjaciół Gin Mazoti.

– O czym się teraz plotkuje na dworze? – zapytała Gin zaraz po tym, jak się przywitali.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że interesujesz się plotkami – odparł Mün. – Tak czy inaczej, ja nic nie wiem. Wyjechałem do Rui, żeby pomóc w przygotowaniu wyspy na atak Théki Kimo, w razie gdyby zdecydował się na tak desperacki krok.

Wróciłem dopiero dzisiaj rano, a jutro znów muszę wyjechać, żeby eskortować transport zboża dla cesarza.

– Ach, czyli ciebie również nie było na dworze – powiedziała rozczarowana Gin. – Słyszałeś jakieś wieści o Luanie?

– Tym starym żółwiu? Nie, nic. Ale nie martwiłbym się o niego. Szybował w powietrzu i płynął na grzbiecie crubena, więc wątpię, by podróż po nieznanym wodach mogła mu zaszkodzić.

– A jak się mają Naro i Cacaya-tika?

– Tak byłem zajęty przez ostatnie miesiące, że nie spędzałem z nimi zbyt wiele czasu. Za to zacząłem już uczyć chłopca zapasów z prosiakami.

Gin się roześmiała.

– Jakoś mnie to nie zaskakuje.

– Życie zaczynałem jako rzeźnik i nie chcę, żeby mój syn o tym zapomniał. Nasze korzenie są ważne, wiesz?

Twarz Gin przybrała poważny wyraz.

– Marzyłeś kiedyś o tym, żeby wrócić do przeszłości i zostać rzeźnikiem, zamiast... prowadzić takie życie?

Mün pokręcił głową.

– Nigdy. Dlaczego latawiec miałby chcieć pozostać na ziemi, zamiast ruszyć w stronę gwiazd?

– Nawet jeśli zbiera się na burzę?

Mün wyjrzał przez okno.

– Rzeczywiście wygląda, jakby miało zacząć padać. Lepiej wróć już do domu, zanim Naro zacznie się denerwować.

Gin znów napelniła czarki, a swoją od razu osuszyła.

– Za starych przyjaciół i puszczenie latawców podczas burzy.

Mün napił się i oblizał, chwając smak wina.

Nie zauważył przelotnego smutku w oczach Gin Mazoti.

Rozdział trzydziesty

Sekret Zomi

Pan: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– Nigdy! – oznajmiła Zomi. Znów siedziała naprzeciwko cesarzowej w prywatnej sali audiencyjnej, a między nimi stał dzbanek świeżo zaparzonej herbaty.

Podczas wizyty Müna u Gin kasztelan Otho Krin poszedł do kwatery gości i wezwał Zomi Kidosu na pilne spotkanie z cesarzową. „Raport”, który miała podpisać, zszokował ją dogłębnie.

– Dowód na to, że Gin Mazoti zamierzała się zbuntować, musi być niepodważalny – powiedziała cesarzowa, spokojnie nalewając herbatę dla siebie i gościa. – Zwyczajnie potwierdziłabyś to, co już wiemy.

– Królowa nie zamierzała się buntować.

– Dlaczego w takim razie udzieliła schronienia Nodzie Mi i Doru Solofiemu, a także całym dziesiątkom ich popleczników? W tej chwili generałowie lojalni tronowi Dary przejęli kontrolę nad armią Gójiry i zajęli pałac królowej. Uciekinierzy zostali aresztowani.

– Wasza Wysokość, powiedziałaś przecież... – Zomi urwała w pół zdania. W jej sercu pojawiła się szybka sekwencja emocji: niedowierzanie, gniew, strach i w końcu gorzka akceptacja. – Dopiero teraz rozumiem prawdziwy cel mojej obecności w Gójirze. Byłam tylko kamykiem na planszy do gry w *cüpa*. Okłamałaś mnie, Wasza Wysokość.

– A skoro już jesteśmy przy kłamstwach, mam ci coś do pokazania. – Jia wstała i podeszła do swojego biurka. Przez chwilę szukała czegoś w szufladzie, a potem wróciła z grubym plikiem kartek. Położyła go na stoliku i pchnęła w stronę Zomi. Dziewczyna przyjrzała mu się dokładnie. Właściwie miała do czynienia z jedną wielką kartką, która została wielokrotnie złożona. Wyciągnęła rękę i dotknęła papieru: został przewleczony złotą nicią, a Zomi widziała, że ktoś pociął go na kawałki, a następnie skrupulatnie połączył za pomocą kleju i pasków papieru. Wiele z pojedynczych kwadratów nosiło nazwiska, a obok nich widniały odciski pieczęci różnych zarządców i arystokratów.

Nie musiała rozkładać kartki, żeby wiedzieć, że brakowało jednego kwadratu. Myślami wróciła do wydarzeń z tamtej pamiętnej nocy kilka lat wcześniej.

Regent Ra Olu, reprezentujący króla Kado w Dasu, zorganizował przyjęcie dla wszystkich *cashima* z prowincji. Miał porozmawiać z każdym osobiście i na podstawie wyników z egzaminu regionalnego, reputacji oraz oceny charakteru zdecydować, których zarekomenduje do Wielkiego Egzaminu.

Zomi była pewna, że zostanie wybrana. Od lat żaden *toko dawiji* nie otrzymał

tak wysokiego wyniku na egzaminie jak ona, więc na jednej z dziesięciu rekomendacji podpisanych przez regenta Ra Olu po prostu musiało się znaleźć jej nazwisko. W końcu właśnie do tego służyły egzaminy: do znalezienia utalentowanych mężczyzn i kobiet, by ci poszli służyć cesarzowi.

Wiele cashima chodziło razem do szkoły albo znało się ze względu na pochodzenie, więc teraz rozmawiali w małych grupkach. Zomi nikogo nie знаła i kręciła się po sali samotnie. Stoły uginały się od wina i podawanych na surowo ryb maczanych w ostrych sosach, z których słyęło Dasu. Żołądek dziewczyny nie był przyzwyczajony do wina – zwłaszcza drogiego – oraz ikry dorsza, prawdziwego rarytasu. Nie minęło wiele czasu i Zomi musiała iść do toalety. Po załatwieniu swojej potrzeby poczuła się zagubiona. Nie potrafiła odnaleźć pudełka miękkich chusteczek z trawy, które powinno stać obok toalety. Czym miała się teraz wytrzeć?

Poczekala, aż do pomieszczenia wejdzie inny cashima. Szepnęła do niego przez cienkie przepierzenie:

– Masz coś do podtarcia?

– Czyżby się skończyły? – zapytał mężczyzna. – Regent będzie bardzo niezadowolony z pracy służyących. Zaraz ci pomogę.

Wszedł do sąsiedniej kabiny, wrócił i sięgnął pod przepierzenie. Zomi z wdzięcznością wzięła to, co trzymał w ręku.

Była zdumiona: otrzymała plik jedwabnych chusteczek, takich samych, jakie widziała w pudełku w swojej kabinie. Myślała, że przez przypadek zostawiła je tu jakaś dama. Jedwab był miękki i gładki; nigdy nie posiadała niczego równie drogiego.

Czyli tak żyli bogaci.

Wycierając się, aż kipiała ze złości. Myślała o chatce z błota, w której się urodziła, o matce, która musiała szorować podłogi i toalety w domu zarządcy, o dzieciństwie spędzonym na noszeniu ryb i pracy w polu, pod wpływem której jej skóra zrobiła się tak twarda jak ziemia. Tymczasem regent Dasu podcierał się jedwabiem.

Wróciła na salę, czując się jeszcze bardziej wyobcowana.

– Zauważyłam głodną żebraczkę, więc kazałam służącej zanieść jej trochę resztek owsianki – powiedziała elegancko ubrana kobieta. Zomi jej nie rozpoznała, lecz otaczał ją wianuszek cashima, którzy spijali z jej ust każde słowo. – Kucnęła od

razu w kuchni i zaczęła siorbać owsiankę. Powiedziałam do niej: „Kochana, dama tak nie kuca. Kiedy znajdujesz się w obecności kogoś o wyższym statusie, powinnaś usiąść w mipa rari. Powinnaś też jeść małymi kęsami, a nie siorbać jak zwierzę”. A ta spojrzała na mnie i odparła: „Mama i tata też kucają. A jeśli nie będę siorbać, skąd będziesz wiedzieć, pani, że mi smakuje?”. Później zapytała mnie jeszcze, czy mamy jakieś suszone gaśienice do owsianki. Gaśienice! Nie do wiary!

Dama zachichotała.

Otoczający ją uczeni śmiali się, jakby usłyszeli doskonały dowcip.

– Tak mi przykro, że pani Lon musiała oglądać tak prymitywną stronę Dasu – powiedział jeden z nich. – Prawda jest taka, że nawet my wstydzimy się nieokrzesania i obrzydliwych przyzwyczajzeń kulinarnych chłopów, które pozostały po czasach, kiedy Xana była niewiele lepsza od ziem zamieszkanych przez barbarzyńców. Pragnąłem zobaczyć wyższą, bardziej wysublimowaną kulturę Wielkiej Wyspy i niezmiernie się cieszę, że jesteś tu z nami, pani Lon, i dajesz nam wszystkim przykład.

– Och, nie bądź taki skromny – odparła dama. – Wiem, że wy jesteście inni. Jesteście elitą umysłową Dasu i niewiele odstawalibyście na przyjęciach, jakie wyprawiałam w Pan. Chociaż, jeśli mogę być nieco bezpośrednia, przydałyby się wam wszystkim lekcje wymowy, tak by odrobinę wygładzić wasz akcent. Obawiam się, że dialekt Dasu brzmi nieco nieprzyjemnie w uszach mieszkańców Wielkiej Wyspy.

Cashima podziękowali za tę cenną, wspaniałomyślnie udzieloną poradę.

– Pani Lon, niesłusznie oceniła pani tamtą dziewczynę. – Zomi nie mogła dłużej trzymać języka za zębami.

Pozostali cashima natychmiast ucichli. Dama odwróciła się zdumiona.

– Rodzina dziewczyny była przyzwyczajona do przysiadania, ponieważ nie stać ich było na maty do siedzenia. Kiedy zobaczyła u pani w kuchni czystą podłogę wyłożoną płytkami, nie chciała usiąść, ponieważ bała się, że jej ubłocone ubrania zostawią ślad. Mlaskała przy jedzeniu, żeby pokazać, jak bardzo jest wdzięczna za ten akt dobroci, ponieważ właśnie w ten sposób biedota Dasu wyraża swoją radość z posiłku. Kon Fiji powiedział, że dobre maniery to troszczenie się o uczucia innych ludzi. Nie widzę nic prostackiego w zachowaniu tamtej dziewczyny. Za to w pani przypadku wiele wymaga udoskonalenia.

Twarz pani Lon przybrała soczyście czerwony kolor.

– Kim ty jesteś? Jak śmiesz mnie pouczać?

Zomi podeszła do jednego ze stołów, nałożyła sobie na talerz kawałki surowej ryby maczanej w słodkim i ostrym sosie, a potem kucnęła i spojrzała na panią Lon.

– Ty... ty... – Kobieta, rozgniewana i zawstydzona, nie mogła wydusić z siebie nic więcej.

– Mówi się, że nawet cesarz, jeszcze jako król Dasu, zasiadł raz razem ze starszyzną mojej wioski do posiłku i kucnął tak samo jak wszyscy dokoła. Pił z tych samych czarek i jadł z tych samych talerzy. Czy nie powinniśmy naśladować cesarza? – Otworzyła usta i żuła kawałek ryby głośno i energicznie, nie dbając o to, że mlaszcze. Ucieszyła się, widząc, że pani Lon odwraca od niej wzrok, i rozkoszowała się pełnymi niedowierzania spojrzeniami pozostałych cashima. W pewnym sensie było jej ich żal – tak bardzo bali się wpływowych ludzi, że zachowywali się jak pozbawione kręgosłupa gąbki, chociaż cesarskie egzaminy miały ich wynieść na wysokie stanowiska. Wiedziała, że poradziła sobie lepiej niż oni wszyscy.

Dopiero później tego samego wieczoru dowiedziała się, że pani Lon jest ukochaną żoną regenta Ra Olu. Czekala z pozostałymi cashima na ogłoszenie wyboru, a potem regent wywołał dziewięć nazwisk i zamilkł, chociaż wszyscy spodziewali się dziesięciu. Kiedy cashima wyszli z przyjęcia, Zomi zbliżyła się do regenta.

– Miałam najwyższy wynik w całym Dasu, a może i w całej dawnej Xanie. – Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie.

– Punkty to nie wszystko – powiedział regent i odwrócił się ostentacyjnie.

I wtedy Zomi zrozumiała to, co powinno jej być wiadome od dawna: talent nie wystarczy. Istniały sieci przywilejów i siły, które były tak samo ważne, a nawet może ważniejsze. Ideały cesarskich egzaminów były iluzją.

Dlatego odwróciła się i po cichu rozpuściła potrójnie zaplatany kok cashima. W swojej chłopskiej szacie niczym nie różniła się od służących, którzy sprząтали brudne naczynia i chodzili po całej sali. Sięgnęła po stos talerzy i zatrzymała się przy stoliku na podium, gdzie znajdowały się przepustki na Wielki Egzamin, a potem wsunęła ostatni, niepodpisany formularz do rękawa.

Podjęła tę decyzję pod wpływem impulsu.

Nie uważała za niewłaściwą kradzieży przepustki, która powinna była należeć

do niej. Później przekonywała samą siebie, że jeśli dobrze sobie poradzi na Wielkim Egzaminie, jej postępek pozostanie tajemnicą, ponieważ regent nic nie powie – zostanie nagrodzony za polecenie cesarzowi wartościowej kandydatki, dlaczego więc miałby stawać na drodze własnego sukcesu? Zomi liczyła, że będzie działał we własnym interesie.

Miała też nadzieję, że sama po takim osiągnięciu wreszcie poczuje, że jej się to należało. Niestety dręczyła ją myśl, że dopuściła się oszustwa. Na jej sukcesie ciążyła zmaza, której nie dało się usunąć.

– Król Kado nie zobaczył twojego nazwiska na liście poleconych kandydatów – powiedziała cesarzowa – co oznacza, że sama podpisałaś swoją przepustkę w imieniu regenta.

Zomi milczała.

– Tak naprawdę miałaś ogromne szczęście, że później ją straciłaś, a Gin Mazoti wypisała ci drugą. Inaczej zostałabyś przyłapana w chwili, gdy Rin Coda zebrał wszystkie przepustki razem, bo zauważyłby, że na jednej pochodzącej z Dasu widnieje inny charakter pisma niż na pozostałych.

Zomi zamknęła oczy. Cesarzowa miała rację. Tamten oszust w Trójnogim Dzbanie tak naprawdę okazał się jej wybawcą. Tak wiele w naszym życiu zależy od przypadku, od niespodziewanych zwrotów, które stanowiły domenę Tazu. Czy Tazu to tylko inna nazwa losu?

– Ale może zamiast mówić o szczęściu, powiedzmy, że Gin Mazoti była uwikłana w spisek mający na celu oszustwo na Wielkim Egzaminie, a przez to powiększenie jej wpływów.

– Królowa nic na ten temat nie wiedziała!

– Kto uwierzy zhańbionej oszustce? – zapytała spokojnie cesarzowa. – Wyobraźmy sobie, co się stanie, kiedy ogłosisz swoją zdradę. Ty zostaniesz wtrącona do więzienia. Twoja matka straci wszystko, a może nawet zostanie wychłostana za wydanie na świat córki o tak podłym charakterze. A Gin Mazoti wciąż pozostanie zdrajczynią.

Zomi pomyślała o matce.

„Dam ci lepsze życie, przysięgam”.

Pomyślała o swoim nauczycielu.

„Nie jest to moralna...”

„Nie obchodzi mnie to! Zależy mi wyłącznie na ludziach, którzy są mi bliscy”.

I pomyślała o królowej Gin.

„Aya nie zna prawdy... Gdyby coś się wydarzyło... czy mogłabyś...”

Jak należało postąpić?

Gdyby Zomi została zhańbiona, nie mogłaby w żaden sposób chronić ludzi, na których jej zależało. Gdyby jednak pozostała w łaskach cesarzowej, jej matka nadal mogłaby się cieszyć dostatkiem, a do tego istniałaby szansa, choć niewielka, że Zomi zdołałaby ocalić Ayę przed losem, jaki zazwyczaj spotykał najbliższych zdrajcy stanu.

Przelknęła ślinę. Aby spełnić przyrzeczenie złożone królowej, będzie musiała

ją najpierw zdradzić.

– Zrobię, co każesz, Wasza Wysokość – powiedziała.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Wycieczka nad jezioro

Pan: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Cesarzowa i premier przybyli do królowej o świcie.

Gin stała w progu boso; nie miała czasu na założenie skarpetek ani butów, żeby powitać cesarzową, ponieważ nikt jej nie ostrzegł. Była pewna, że Jia robiła to wszystko celowo – opóźniła spotkanie, zmuszała ją do pozostania poza murami pałacu, izolowała od ludzi, a teraz pojawiła się bez zapowiedzi – żeby wyprowadzić Mazoti z równowagi, żeby zasiać w niej ziarno niepokoju. Jednak fakt, że Gin miała świadomość, co próbuje osiągnąć Jia, nie oznaczał jeszcze, że taktyka cesarzowej nie działała.

– Słyszałam, że dawno temu, jeszcze na Dasu, sam Kuni Garu wybiegł z domu bez butów, żeby cię powitać – powiedziała smutno Gin. Celowo podkreśliła nazwisko, jednak cesarzowa nie zareagowała na to złamanie decorum. – Myślał, że uciekłeś.

Cogo roześmiał się, chociaż śmiech ten wydawał się nieco wymuszony.

– Wyjechałem, żeby pędzić za tobą.

– Tobie zawdzięczam swoje sukcesy – rzekła Gin z uczuciem. – Trudno utrzymać przy sobie starych przyjaciół.

– Być może jeszcze wiele innych sukcesów będziesz zawdzięczać premierowi, Wasza Wysokość – powiedziała cesarzowa, również się uśmiechając. – Przepraszam, że nie mogłam się z tobą spotkać wczoraj, jednak kiedy jest się regentem, kłopoty lubią pojawiać się w nieoczekiwanych momentach. Mam nadzieję, że zgodzisz się na wspólną wycieczkę.

– Wycieczkę? – Prośba cesarzowej wydała się Gin dziwna. Skoro jednak towarzyszył jej Cogo, poczuła się spokojna. – Cokolwiek sobie życzysz, Wasza Wysokość.

Jechali ulicami Pan we trójkę, jedno obok drugiego, eskortowani przez strażników pałacowych. Droga zajęła im większość poranka, a kierowali się cały czas na zachód. Cesarzowa poruszała lekkie tematy, wspominając o plotkach krążących po stolicy, najnowszych popularnych historiach opowiadanych w barach i herbaciarniach, a także absurdalnych krytykach, jakie składali członkowie Kolegium Adwokatów. Nawet jednym słowem nie wspomniała o rebelii. Gin czuła coraz większy niepokój.

Wreszcie dotarli do cesarskiej przystani na brzegu jeziora Tututika. Przycumowana była do niej mała łódź. Przyczepiony do jej dziobu latawiec unosił się wysoko na niebie.

– To jeden z wynalazków Cesarskiej Akademii, oparty na planach Luana Zyi – wyjaśniła cesarzowa. Serce Gin zabiło szybciej, gdy usłyszała imię byłego

kochanka. – To oczywiście niewielki model, ale słyszałam, że dzięki większym, zdolnym złapać prądy powietrzne wysoko nad chmurami, można osiągnąć prędkość większą niż przy użyciu żagli i wiosel. Chciałam zapytać cię o opinię, ponieważ kiedyś twoje uwagi okazały się bardzo przydatne przy konstrukcji mechanicznych crubenów.

Gin nie wiedziała, jak taka niepozorna łódka – nawet jeśli sprawna – mogłaby się przydać w wojnie toczącej się obecnie w Arulugi, skoro działania przeniesiono na ląd. Cesarzowa nieustannie zdawała się mówić zagadkami.

– A może spróbujesz? – naciskała cesarzowa.

Cogo podszedł do łodzi i wykonał zapraszający gest.

Gin zbliżyła się. Strażnicy pałacowi ustawili się na kei w ciasnym szeregu, najwyraźniej po to, by odciąć jej drogę ucieczki.

„Mam paranoję – pomyślała Gin. – Nie mogę okazać strachu”.

– Powinnaś zostawić miecz na brzegu – powiedział Cogo. – To bardzo mały model, a balast jest wyliczony tylko na twoją wagę.

Gin zawahała się. Chciała spojrzeć Cogo w oczy, lecz on unikał jej wzroku, patrząc tylko na łódź.

Westchnęła i odpięła miecz, po czym położyła go na ziemi. Weszła na pokład łodzi i usiadła, czując się, jakby działała według bardzo starego scenariusza.

– Muszę to zawiązać – rzekł Cogo, pokazując sznur przyczepiony do nadburcia. – Łódź porusza się bardzo szybko, kiedy latawiec złapie wiatr, więc najbezpieczniej jest przywiązać cię do burty.

Gin pokiwała głową. Instynkt podpowiadał jej, że powinna odmówić, wyskoczyć z łodzi i chwycić miecz, a potem zażądać od cesarzowej wyjaśnień. Wiedziała jednak, że wówczas nie byłoby już dla niej odwrotu – dopuściłaby się przecież otwartej zdrady.

Nie poruszyła się.

Cogo owinął ją sznurem w pasie i zawiązał go z tyłu. Gin widziała, jak trzęsą mu się ręce. Miała ochotę się roześmiać. Swego sukcesu na polu bitwy nigdy nie zawdzięczała umiejętności posługiwania się mieczem, a jednak cesarzowa traktowała ją jak wilka zapędzonego w róg, uwięzionego rekina, kolejnego Matę Zyndu. Pozwoliła się zawiązać.

„Kuni nigdy nie zwróci się przeciwko mnie, pomyślała. Zdanie cesarzowej nie ma znaczenia. Jeśli mi zagrozi, dowiedzie prawdziwości słów Nody Mi i Doru Solofiego”.

– Gin – szepnął Cogo. – Jak mogłaś? – Wycofał się.

– Gin Mazoti – rzekła cesarzowa – czy wyznajesz swoje grzechy?

Gin usłyszała ostry brzęk tuzina wyciąganych jednocześnie mieczy. Nie mogła się nawet poruszyć, a poza tym nie miała już przy sobie broni. Poczula na plecach dotyk czubków ostrzy.

Zaśmiała się smutno. Nagle zrozumiała, że nie jest nawet zaskoczona.

– Cogo, mój przyjacielu – powiedziała. – Dzięki tobie wzniosłam się na wyżyny. Słusznym wydaje się, że przyczyniłeś się także do mojego upadku.

Rozdział trzydziesty drugi

Bitwa o Arulugi

Arulugi: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych
Mórz

Théca Kimo, chociaż żaden był z niego mistrz walki na morzu, wydedukował, że mechaniczne crubeny szybko wykończą marynarkę Arulugi. Gdy tylko powrócił bezpiecznie do Müning, rozkazał załogom statków zebranych w porcie Müningtozu zablokować drogę do stolicy.

Puma Yemu, który został mianowany dowódcą wojsk imperialnych, nie miał innego wyjścia, jak wyprowadzić swoich żołnierzy na ląd na wschodnim brzegu Arulugi. Ponieważ jednak Müning otaczała gęsta dżungla, najprostsza droga do miasta wiodła przez jezioro Toyemotika.

Kimo oczywiście był przygotowany. Jezioro patrolowała marynarka śródlądowa, a Yemu stanął przed zadaniem zbudowania floty od zera.

W ten sposób doszło do pewnego impasu. Bez wsparcia z ziemi cesarskie sterowce nie mogły poważnie zagrozić Müning, Miastu na Jeziorze, ponieważ pociski ogniowe i płonący olej gasły bezużyteczne w wodach kanałów między wysepkami, które tworzyły fundament miasta. Tymczasem statki Kimo dominowały na wodzie i dręczyły pracujących na brzegu budowniczych i żołnierzy Yemu. Dowódca niewiele mógł zdziałać w gęstej i wilgotnej dżungli Arulugi, gdzie brakowało suchego drewna niezbędnego do skonstruowania statków.

Jednak pojawienie się Kuniego na Arulugi oznaczało zastrzyk świeżej motywacji pośród cesarskich oddziałów. Chcąc zademonstrować swoje męstwo – a także zachęcenie złożoną przez cesarza obietnicą przyznania im dodatkowych tytułów i lenn za wybitne zasługi – żołnierze Pumy Yemu uderzali włóczniami o tarcze i przysięgali przedrzeć się przez obronę Müning nawet za cenę poważnych strat. Ich krzyki i brzęk stali niosły się nad spokojnymi wodami jeziora Toyemotika i przyprawiały Thékę Kimo o palpacje serca.

Jak zwykle pomysłowy Puma Yemu postanowił zaadaptować taktykę „szlachetnych rozbójników”, za pomocą której odnosił niegdyś spore sukcesy na równinie Porin. Rozkazał załogom sterowców cesarskich podnieść i pod osłoną nocy przetransportować mniejsze łodzie wojskowe z morza do ustronnej zatoczki jeziora Toyemotika. Z miejsca odrzucił pomysł przenoszenia mechanicznych crubenów, ponieważ w obliczu braku podwodnych wulkanów prawdopodobnie okazałyby się bezużyteczne.

Potem, w najciemniejszą godzinę, tuż przed świtem, rozkazał sterowcom atak na flotę Kimo. Jednak zamiast zrzucić pociski ogniowe i płonący olej, na które żołnierze przeciwnika byli dobrze przygotowani, załoga wylewała na nich wodę. Zaskoczeni tą taktyką ludzie Kimo patrzyli bezsilnie, jak wszystkie ich lampy

i pochodnie gasną, praktycznie oślepiając marynarzy. Niespodziewany wodny atak zniszczył także rakiety, które miały służyć przeciwko sterowcom.

Flotę spowiała gęsta mgła, nawet blask gwiazd i księżyca stał się przytłumiony. Gdy stało się na dziobie statku, nie dało się dostrzec rufy. Kiedy przerażeni żołnierze patrzyli w atramentową mgłę, poczuli zapach dymu. Skąd pochodziła ta woń? Co się paliło? Czy markiz Yemu szykuje kolejny atak z powietrza, tym razem ogniowy? Czy cesarz zdołał w jakiś sposób zwodować statki na jeziorze i właśnie płynęły w ich stronę?

Z każdej strony zaczęły się wylaniać niewyraźne kształty. Kiedy czujki zaczęły ostrzegać przed wrogiem, pokazując w ciemność, łucznicy wypuścili w stronę widmowych statków całe naręcza strzał. Biegali w popłochu z jednego krańca pokładu na drugi, chaotycznie strzelając w atramentową ciemność.

Podczas gdy marynarze i żołnierze Arulugi krzyczeli i walczyli z niewidocznym wrogiem, do statków podpłynęły niewielkie łodzie wojskowe, niczym maleńkie podnawki bezgłośnie zbliżają się do rekinów i wielorybów. Znajdujący się na ich pokładzie żołnierze wydrążyli w kadłubach statków dziury i powkładali w nie bomby wypełnione prochem. Gdy zapalili lonty, łodzie odpłynęły.

Ludzie Kimo zdołali na powrót zapalić pochodnie akurat w chwili, gdy ładunki eksplodowały.

– Sztuka zaklinania dymu, z której słynie konsorta Risana, jest dokładnie tak niezwykła, jak głoszą legendy – powiedział z podziwem Yemu z jednej z łodzi, teraz pozostającej w bezpiecznym oddaleniu.

– To tylko drobna sztuczka – rzekła z uśmiechem Risana. – Sprawianie, by ludzie zobaczyli to, czego najbardziej się boją, to najłatwiej wystrzelona strzała z kocznanu sztuki zaklinania dymu.

Statki Arulugi zmieniły się w pływające stosy pogrzebowe, a Risana i Yemu stali i patrzyli, jak maleńkie figurki, niczym ćmy, które poparzyły się w zetknięciu z lampą, zeskakują z płonących pokładów. Nad wodą unosiły się pełne przerażenia wrzaski. Statki powoli tonęły.

– Wróćmy, zanim cesarz się zorientuje, że mnie nie ma – oznajmiła Risana. – Stał się nadopiekuńczy, choć ja tęsknię za czasami, gdy moje życie było bardziej interesujące.

Tamtej pierwszej nocy utonęły dwa statki Arulugi, co ostatecznie nie stanowiło zbyt wielkiej straty. Jednak cel Pумы był inny. Odtąd marynarze Kimo żyli w nieustannym strachu przed kolejnym „szlachetnym najazdem” markiza Yemu. Wszyscy na pokładzie nie spali do późna i z walącymi jak młot sercami wypatrywali w ciemności znaków zwiastujących przybycia cesarskich sterowców i łodzi. Mimo że Cano Tho i Théka Kimo zagrzewali swoich ludzi do walki, morale pośród oddziałów Arulugi wyraźnie podupadło.

Przez następne dwie czy trzy noce nic więcej się nie wydarzyło, a kiedy czujność żołnierzy nieco zmalęła, Yemu zarządził kolejny atak wodny z powietrzai raz jeszcze zgasił pochodnie i lampy na statkach Arulugi.

Tym razem flota nie czekała na kolejną rundę. Większość kapitanów

rozkazała postawienie żagli, chcąc jak najszybciej odpłynąć, żeby widmowe łodzie Yemu wbily swoje kły tylko w tych członków stada, którzy zostali w tyle. W nieprzeniknionej ciemności flota utraciła swoją starannie zaplanowaną formację; wiosła płały się, statki wpadały na siebie, a w powietrzu niosły się krzyki, przekleństwa i daremne wezwania do przywrócenia hierarchii.

Tym razem siły wroga straciły cztery statki, które zostały staranowane przez innych członków floty, a Puma Yemu nawet nie wysłał swoich łodzi.

W ciągu następnych nocy markiz stosował różne chwytły: czasami cesarskie sterowce zrzuciły bomby ogniste, podczas gdy flota Arulugi przygotowana była na atak wodny i chroniła pochodnie i lampy konstrukcjami z liści lotosu; czasami sterowce tylko drażniły przeciwnika, zniżając lot, ale nie robiąc nic więcej; czasami nawet załoga zrzuciła na statki śmierdzącą wodę, o której plotkowano, że pochodziła z latryn cesarskiej armii (tutaj Yemu wykorzystywał częste pośród marynarzy przesady, że mocz kobiet jest wyjątkowo nieczysty i przynosi pecha płynącym drogą wielorybów, a przecież załogi cesarskich sterowców, scheda po marszałek Gin Mazoti, składały się głównie z kobiet).

Théca Kimo potępiał te praktyki jako bezwstydne i wyzwał Pumę Yemu na pojedynek, być może na latawcach bitewnych nad wodami jeziora Toyemotika.

– Wasz pan musi cierpieć na urojenia, jeśli myśli, że zgodzę się na tak staromodny pojedynek – powiedział szeroko uśmiechnięty Yemu do posłańca. – Jeśli zaś chodzi o jego narzekania na „nieczystość”, powiem tylko, że walczyłem u boku kobiet od czasu oblężenia Zudi. Właściwie obaj służyliśmy pod marszałek Gin Mazoti, więc zupełnie nie rozumiem jego gniewu. Jeśli jednak Théca Kimo uważa, że lepiej jest być obsikany przez mężczyznę niż kobietę, wystarczy tylko, żeby się poddali i podczołgali do naszego obozu, a ja z chęcią ich obsłużę.

Gdy tylko przeciwnicy przyzwyczaili się do nocnych ataków sterowców i przestali panikować, Yemu zaczął wypuszczać znowu widmowe łodzie. Ładunki zatopiły trzy kolejne statki Arulugi.

Morale padało na łeb, na szyję. Załoga, wymęczona bezsennymi nocami, groziła buntem. Cano Tho zarządził wycofanie floty do samego Müning i obiecał ludziom wieczór hulanek i napitku, żeby podnieść ich na duchu i udobruchać. Ponieważ siły cesarskie wciąż nie dysponowały dużymi statkami niezbędnymi do transportu żołnierzy – sterowce i maleńkie łodzie miały bardzo ograniczoną powierzchnię – król Kimo uznał, że zostawienie jeziora Toyemotika na jedną noc bez patroli jest ryzykiem, jakie warto podjąć.

Kiedy marynarze Arulugi, pijani i wykończeni po całym wieczorze tańców, szli chwiejnie po wiszących pomostach Müning, zewsząd zaczęły dobiegać krzyki:

– Miasto upadło!

– Cesarz obiecuje okazać łaskę każdemu żołnierzowi, który przejdzie na stronę cesarstwa!

– Ten, który pojmie zdrajcę Kimo, otrzyma własne lenno!

Cano Tho i Théca Kimo czym prędzej pobiegli na podwieszane platformy otaczające pałac znajdujący się na największej z wysepek tworzących Müning,

i zobaczyli, że miasto płonie. Pomosty padały w gęstych kłębach gryzącego dymu, zmieniając Müning w ognistą sieć. Żołnierze biegali bez celu, a oficerowie nieudolnie wykrzykiwali polecenia. Grupy mężczyzn w cesarskich mundurach przeskakiwały z jednej iglicy na drugą, wzniecając kolejne pożary i mordując zdezorientowanych, pijanych żołnierzy Arulugi.

– Nabraliśmy się na przeklęte sztuczki Kuniego! – wołał zrozpaczony Cano Tho.

Théca Kimo nie miał innego wyjścia, jak natychmiast rzucić się do ucieczki.

Gdyby król i jego doradca spędzili noc, patrząc na jezioro Toyemotika, zobaczyliby, jak oddziały markiza Yemu pod osłoną nocy przekraczają wodę na dużych tratwach wykonanych z tykw, kokosów i nadmuchanych owczych pęcherzy powiązanych ze sobą pnączami z dżungli. Była to stara sztuczka, którą pokazała Yemu sama Gin Mazoti.

Podczas gdy jedne oddziały dręczyły flotę Arulugi, pozostałe w tajemnicy zbierały pnącza w pobliskiej dżungli. Przeciwnik, skupiony na bezpośrednim zagrożeniu, nie zauważył żadnego poważnego placu budowy w lesie, więc założył, że siły cesarskie nie konstruuja statków. Zupełnie nie dostrzegł prymitywnych i rachitycznych tratw, które można było wykorzystać wyłącznie do przeprawy przez niepatrowane jezioro.

– Znacznie trudniej jest sprawić, by człowiek nie zobaczył tego, czego obawia się zobaczyć – powiedziała Risana z uśmiechem.

– Wojna to odmiana sztuki zaklinania dymu – odparł dumny z siebie Puma Yemu.



W czasie zdobycia Müning wielu generałów Théki Kimo poddało się, kiedy zdali sobie sprawę, że rebelia nie ma szans na powodzenie. Teraz, pozbawiony wsparcia, nie licząc około dwóch tysięcy zatwardziałych buntowników pod dowództwem Cano Tho, król Kimo postanowił podjąć ostatnią próbę. Tam, gdzie się znalazł – na zachodnim krańcu Arulugi, z bezkresnym morzem za plecami oraz gęstymi szeregami cesarskich oddziałów na horyzoncie – jego dni były policzone.

W końcu pojawił się w obozie Kuniego sam, z rękami związanymi z tyłu. Klęknął i zażądał spotkania z cesarzem.

Żołnierze Kuniego pojмали go i przyprowadzili na miejsce egzekucji.

– Kuni Garu! – wołał Théca Kimo w stronę dużego namiotu dowódców. – Niesłusznie postąpiłem, buntując się przeciw tobie, i błagam cię teraz o litość. Pamiętaj, że opuściłem hegemonia, żeby ci służyć, kiedy nie było jeszcze wiadomo, który z was zwycięży, i dałem ci trzy wyspy! Jesteś mi winny ostatnią audiencję.

Żołnierze Kuniego przytrzymali go przy pniu katowskim.

– Kuni Garu! Twój syn nazywał mnie wujkiem i to ja nauczyłem go, jak machać drewnianym mieczem! Straciłem dwa palce na mrozie w czasie oblężenia Rana Kidy, a na całym ciele mam setki blizn po walce na twoich wojnach. Nie

powinienem był słuchać Nody Mi i Doru Solofiego i nie powinienem był pozwolić, by strach karmił moje ambicje. Proszę tylko o darowanie życia i obiecuję, że odejdę jako żebrak na jedną z dalekich wysp na północy.

Żołnierze Kuniego rozpletli mu włosy i zdjęli koszulę, żeby jego szyja spoczywała nieosłonięta na pieńku. Czterech innych musiało trzymać jego tułów, a kolejny głowę.

– Kuni Garu! Dlaczego nie wyjdiesz na mnie spojrzeć? Wiem, że kiedy mnie zobaczysz, nie skążesz mnie na śmierć. Zawsze byłeś litościwym władcą! Czy nie zasłużyłem sobie na życie tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Spójrz mi w oczy i powiedz, że zasługuję na śmierć!

Kat podniósł topór.

– Gdzie jesteś, Pumo Yemu? Czy nie wiesz, że jesteś następny? Gdzie jesteś, Thanie Carucono? Czy wierzysz wciąż, że przyjaźń z cesarzem cię ochroni? Gdzie jesteś, Gin Mazoti? Czy nie obiecywałaś, że nie zostanę stracony, dopóki...

Nawet kiedy cios oddzielił głowę Théki Kimo od ciała, ten wciąż rzucał gniewne spojrzenie w stronę namiotu dowódcy.

Kuni Garu się nie pojawił.



Przez trzy dni cesarz nie chciał się z nikim widzieć, z wyjątkiem konsorty Risany. Strażnicy u wejścia słyszeli tylko ciche dźwięki: płacz, śpiew i pełne gniewu pijackie krzyki.



Posłaniec królowej pojawił się w obozie Kuniego wieczorem trzeciego dnia. Than Carucono przepchnął się między strażników, żeby osobiście dostarczyć list Kuniemu.

Długo po przeczytaniu wiadomości cesarz siedział w bezruchu jak mężczyzna w drugim miesiącu żałoby. Nie krzyczał, nie przeklinał, nie rwał szat i nie rzucał meblami. Nie prosił o napitek czy zioła, by rozproszyc mroki w sercu. Nie zażądał, by zawieźć go natychmiast do Pan, aby mógł stanąć twarzą w twarz z kobietą, której wręczył swój własny miecz, którą uczynił królową i wywyższył ponad wszystkich znanych sobie utalentowanych ludzi.

Marszałek, jeden z trzech najbardziej zaufanych doradców Kuniego Garu, zaraz obok Cogo Yelu i Luana Zyi, wystąpiła przeciwko niemu.

„Zdobyłem władzę poprzez zdradę. Może sprawiedliwym jest mój upadek w wyniku podobnego aktu”.

Kiedy człowieka zmoczy jedna fala żalu, czasami kolejna, większa, nie może już wyrządzić mu krzywdy.

– To musi być jakieś nieporozumienie – powiedział Than Carucono, który zawsze podziwiał Gin Mazoti. – Marszałek nigdy by cię nie zdradził.

– Potrafisz zajrzeć w serca i umysły ludzi? – zapytał Kuni.

– Ale cesarzowa nigdy nie lubiła...

– Jia pisze, że Gin dała schronienie Nodzie Mi i Doru Solofiemu. Myślisz, że cesarzowa zmyśliłaby te oskarżenia? Nawet najbliższa doradczyni Gin potwierdziła jej winę, a ja pamiętam Zomi Kidosu. Nie okazała strachu w czasie Egzaminu Pałacowego i potępiała mnie, patrząc mi w oczy. Nie wzięłaby udziału w spisku, ponieważ nie ma instynktu politycznego.

Than Carucono nic na to nie odpowiedział. Logika Kuniego była nieskazitelna.

Mimo to Kuni ani nie przystał na rozkaz wykonania egzekucji, jaki proponowała cesarzowa, ani nie protestował.

„Jaka jest prawda? – zastanawiał się. – Dlaczego umysł mówi mi jedno, a serce drugie?”

Wreszcie podniósł się i wezwał posłańca.

– Jedź w sekrecie do Pan i wręcz to kapitanowi Dafiro Miro. Dopilnuj, żeby przeczytał wiadomość, a potem ją zniszcz i wracaj.

Rozdział trzydziesty trzeci

Sprawa honoru

Pan: Dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Gin Mazoti siedziała w celi pozbawionej okien, z twarzą zwróconą ku żelaznym prętom, które tworzyły jedną ze ścian. Jej cela była jedną z wielu otaczających okrągłą salę na środku, jednak pozostałe były puste. To więzienie było zarezerwowane dla arystokratów i wysoko postawionych ministrów, którzy zostali oskarżeni o zdradę stanu, a cesarzowa odmówiła Doru Solofiemu i Nodzie Mi – szeregowym arystokratom pozbawionym ziemi, którzy mieli zbyt wielkie mniemanie o sobie – zaszczytu wtrącenia do jednej z tych cel.

Na środku sufitu znajdował się kwadratowy otwór, który prowadził aż do dachu. Dzięki umieszczonym na nim lustrom do środka dostawała się odrobina światła słonecznego.

Pozbawiona zbroi i miecza, ubrana w prostą tunikę Gin Mazoti wyglądała jak nowicjuszka ze świątyni, może wyznawczyni Rufizo. W milczeniu patrzyła na kłęb kurzu unoszący się w snopie światła.

Stół dla strażników na środku sali pozostawał pusty, podobnie jak całe pomieszczenie, nie licząc pewnego mężczyzny, który przyszedł tu w tajemnicy.

– Nie zrobię tego – szepnęła chrapliwie Gin.

Jej rozmówcą był Dafiro Miro, kapitan Strażników Pałacowych i jeden z najbardziej zaufanych sług cesarza.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział Miro. – Strażnicy służyli pode mną w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem i dlatego byli gotowi ryzykować życiem, żeby dać ci tę szansę, Wasza Wysokość. Środki, które im podałem, nie pozwolą im się wybudzić jeszcze przez trzy godziny, lecz jeśli do tego czasu nie znajdziesz się daleko stąd, podobna okazja już się nie nadarzy.

– Czy właśnie na to zasłużyłam przez lata wspierania Domu Mlecza? Na życie na wygnaniu?

– Dowody zebrane przez cesarzową są niepodważalne. Nawet twoja najbliższa doradczyni, Zomi Kidosu, zeznała przeciwko tobie.

– Kłamstwo, nawet wielokrotnie powtarzane, nigdy nie stanie się prawdą. Niech Kuni do mnie przyjedzie, a ja mu udowodnię, jak mizerne są te dowody. W rzeczy samej, zobaczy, skąd pochodzi prawdziwe zagrożenie dla jego tronu.

– Nie może tego zrobić.

– Dlaczego nie?

– Cesarzowa ma poparcie wszystkich cywilnych ministrów, począwszy od samego premiera Yelu. Nawet cesarz nie może ignorować tak przeważającej siły opozycji.

– Ale przecież w głębi serca wie, że jestem niewi...

– Właśnie dlatego wysłał mnie w sekrecie, żebym...

– Jeśli zrobię to, czego ode mnie oczekujesz, nigdy nie zdołam oczyścić swojego imienia. Dzika gęś frunąca nad jeziorem rzuca cień, a człowiek zostawia za sobą swoje imię. Moje jest dla mnie wszystkim.

– Jeśli wyjedziesz dzisiaj, kto wie, co się stanie za dziesięć, dwadzieścia lat? Z czasem cesarzowa może zmienić zdanie i nie będzie więcej widzieć w tobie zagrożenia, Wasza Wysokość. Jeśli jednak zostaniesz... stracona... wtedy wszystko przepadnie.

– Nie dam Kuniemu tej satysfakcji. Najwyraźniej chce uspokoić sumienie, jednocześnie pozwalając żonie zająć się brudną robotą pozbywania się wątpliwości. Pragnie miłości i zaufania dawnych sług, ci tymczasem zostają pozbawieni broni, honoru i wpływów. Myśli, że może mieć miłość ludu i uznanie panów, lojalność starych przyjaciół i kupione uczucia starych wrogów. Wydaje mu się, że jest w stanie zrównoważyć wszystkie otaczające go siły i każdy problem rozwiązać kompromisem, jednak w sprawach honoru istnieje tylko dobro i zło, nic pomiędzy. Niech wybierze i żyje ze swoim wyborem.

Odwróciła się, dając tym samym znak, że rozmowę uznaje za zakończoną.

Rozdział trzydziesty czwarty

Niespodziewane wieści

Arulugi: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych
Mórz

– Chyba nie wierzysz w to, że Gin naprawdę się zbuntowała – powiedziała Risana. – Udzielenie schronienia uciekinierom to jeszcze nie otwarta zdrada.

Kuni siedział skulony przy stole. Czytał pozostałą część raportu Jii, naszpikowaną długimi kolumnami cyfr i jeszcze dłuższymi wyjaśnieniami w kwestii różnych strategii, które wprowadzała w celu zachowania stabilizacji w cesarstwie w czasie rebelii.

– Powiedz coś, Kuni – rzekła Risana.

Kuni westchnął i odłożył raport. Po chwili się odwrócił.

– Być może nie da się zajrzeć do cudzych umysłów i serc. Wiesz jednak, że potrafisz odczytać pragnienia i obawy ludzi, włączając w to ciebie i Gin.

– Ale nie Jię – odparł Kuni.

– Nie – przyznała Risana. – To zawsze nas dzieliło. Nie uważam jednak, byś obawiał się Gin, i nie wydaje mi się, by lojalność Gin wobec ciebie kiedykolwiek osłabła.

Kuni spuścił głowę.

– Nic przed tobą nie ukryję.

– Dlaczego więc? Dlaczego pozwalasz cesarzowej tak postępować? Pracowała długo i wytrwale, żeby osłabić pozycję arystokracji, w tym także tych, którzy walczyli dla ciebie i umożliwili ci objęcie tronu. Zmroziła serca twoich najwierniejszych sług. Jak możesz stanąć z boku i pozwolić, żeby Gin zginęła?

Kuni się wzdrygnął.

– Gin nie jest bez winy. Zawsze jej największą wadą była duma. W Faça zabiła Shilué i sama zasiadła na jego tronie, żeby wystawić moje zaufanie na próbę. Mimo oczywistej niechęci Jii do arystokratów Gin nie zrobiła nic, by ją udobruchać. Wolą raz po raz obnosić się ze swoim statusem i zasługami. Zrobiłem już dla niej wszystko, co mogłem... Dafiro... – Pokręcił głową, nie chcąc kończyć zdania.

– Ale Jia przesadziła! Nie ufa Gin, Kimo i Yemu, ponieważ uważa, że są bliżsi mnie...

– Ale Kimo faktycznie się zbuntował! Dlaczego uważasz, że moje zaufanie do Gin nie jest równie chybione?

– Nawet jeśli Gin popełniła kilka błędów, w przeciwieństwie do Théki Kimo zasługuje na twoją łaskę!

– Jeśli zaingeruję dzisiaj, sytuacja się tylko pogorszy. Nawet jeśli powstrzymam egzekucję Gin, Jia zebrала tak przekonujące dowody, że nie miałbym innego wyjścia, jak odebrać jej tytuł i stanowisko. Nie mogłaby żyć z takim

upokorzeniem, a rozgoryczenie z czasem nawet najbardziej lojalne serce potrafi pchnąć na drogę buntu. Gin jest tak dobrym dowódcą, że poprowadzona przez nią rebelia byłaby nie do powstrzymania. Czy Timu potrafilby z nią zwyciężyć? A Phyro? A... Obowiązkiem ojca jest walczyć o to, by jego dzieci mogły żyć w pokoju. Nie mogę pozwolić, by moje walczyły w wojnach, w których są z góry skazane na porażkę.

– W takim razie poddajesz się woli cesarzowej, nie wyłączając także kwestii sukcesji. A ja, chociaż jestem ślepa na pragnienia Jii, obawiam się, że nie zaniecha swych wysiłków, dopóki nie zginiemy ja i mój syn.

– Nie dojdzie do tego – mruknął Kuni. – Nie dojdzie.

– Czyli... – Risana przygryzła wargę. Mimo wahania dokończyła myśl: – Nie gniewaj się na mnie, mężu, ale czy nie uważasz, że na twój osąd ma wpływ uczucie do cesarzowej oraz wyrzuty sumienia z powodu tego, co wycierpiała przez ciebie w trakcie wojny z hegemonem?

Na twarzy Kuniego odmalowała się sekwencja różnych uczuć, niczym fale na wzburzonym morzu, aż w końcu zmieniła się w beznamiętną maskę.

– Twoim zdaniem dlatego, że żałuję, iż zostawiłem ją samą na łasce hegemon, teraz jestem gotów ryzykować tron i przyszłość Dary? By uspokoić sumienie?

– Czasami, gdy znajdziemy się w centrum burzy, trudno nam ocenić własną sytuację. Najłatwiej zaklinać dym przed tymi, którzy się oszukują, ponieważ to sobie opowiadamy najbardziej przekonujące kłamstwa.

Zanim cesarz zdążył odpowiedzieć, otworzyły się poły wejścia do namiotu i do środka napłynęło zimne jesienne powietrze. Risana i Kuni odwrócili się jednocześnie. Zobaczyli stojącego sztywno Thana Carucono.

– *Rénga*, pilne wieści z północy. Książę Timu...

Kuni podbiegł do niego i wyrwał mu zwój. Przeczytał szybko wiadomość, a potem zamarł.

Risana zbliżyła się i wyciągnęła list z jego zeszywniałych palców. Gdy tylko skończyła lekturę, sama zastygła w bezruchu.

– *Rénga!* – zawołał Than Carucono. – *Rénga!*

W końcu, jakby budząc się ze snu, Kuni wysiłkiem woli zmusił członki do reakcji. Powłócząc nogami, udał się w kąt namiotu i sięgnął po kokosową lutnię. Zaczął na niej wygrywać smutną melodię starej cocruskiej pieśni.

Wiatr przegania chmury po niebie.

Moja władza kołysze się na Czterech Morzach.

W górę i w dół: ambicja, duma, talent, wola.

Gdzie są śmiałkowie, co obronią moje granice?

Risana i Than słuchali go w milczeniu, każde pogrążone w myślach.

Kuni odłożył lutnię. Odzyskał typowy dla siebie spokój, gdy szok wywołany

przez wieści nieco osłabł.

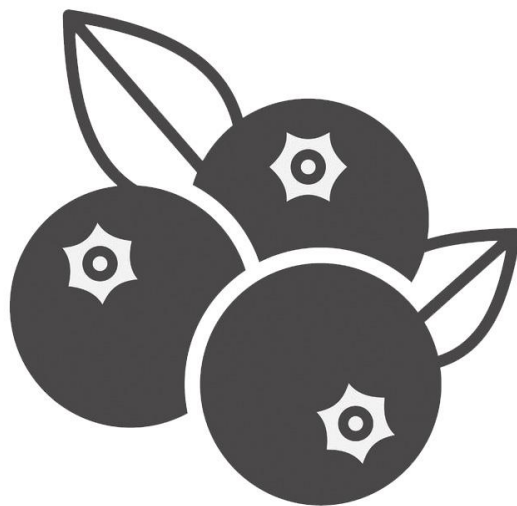
– Wezwij dwóch posłańców – rzekł. – Jeden pojedzie do pozostałych oddziałów Théki Kimo i zaproponuje im amnestię. Drugi uda się do stolicy i zawiezie cesarzowej kopię tego listu.

– Jakież polecenia dla cesarzowej? – zapytał Than.

Kuni pokręcił głową.

– Jia będzie wiedziała, co musi zrobić.

BURZA Z PÓŁNOCY



Rozdział trzydziesty piąty Przybycie statków-miast

Dasu: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Na najbardziej z całej Dary wysuniętej na północ plaży grupka dzieci bawiła się w przywiedłym ciepłe późnego jesiennego popołudnia. Szukały ładnych muszli i ciekawych kawałków drewna z wraków, które morze od czasu do czasu wyrzucało na brzeg. A gdy znajdowały małża albo ostrygę, wsuwały je do kieszeni – dzieci biedoty nigdy nie przestawały myśleć o jedzeniu.

– Piraci! – zawołał jeden z chłopców.

Jego towarzysze zatrzymali się i popatrzyli w morze. Na horyzoncie pojawiła się flota złożona z różnych rozmiarów jednostek: wąskich łodzi rybackich rodem ze starej Xany, szerokich barek transportowych zrabowanych kupcom z Wilczej Łapy, gładkich korabiów ukradzionych w Arulugi, a nawet kilku starych okrętów zabranych wiele lat temu królom Tiro przez piratów. Wiosła pracowały, wysłużone żagle łopotwały na wietrze. Opadając i wznosząc się na falach, statki wyglądały jak liście rzucone na powierzchnię jeziora.

– Ale dużo – mruknęła dziewczynka. – Nigdy nie widziałam ich tak dużo.

– To atak! Kilkoro rolników pracujących na polach tarasowych na wzgórzu popatrzyło z przerażeniem w stronę morza. Ile było tych statków? Dziesiątki? Nie, setki. Zupełnie jakby w stronę Dary płynęli wszyscy piraci z północy. Nikt tutaj nie pamiętał tak wielkiego ataku ani o takim nie słyszał.

Kiedy wieści zaczęły się rozprzestrzeniać, wszyscy ruszyli na wzgórza. Ludzie wychodzili z chat i domów, rzucali motyki i sieci, a potem biegli, ile sił w nogach – starzy, młodzi, mężczyźni, kobiety, bogaci, biedni... W obliczu ataku piratów nie liczyły się żadne podziały. Kilku wieśniaków miało dość przytomności umysłu, żeby pognać do garnizonu i powiadomić o wszystkim dowódców, tak by informacje jak najszybciej dotarły do księcia Timu. Władca z pewnością zdoła zorganizować jakąś namiastkę akcji ratunkowej, kiedy piraci nasycą już swą żądzę plądrowania i opuszczą Dasu.

Kiedy wrogie jednostki dobiły do brzegu, plaża i najbliższe pola były już opuszczone. Piraci wyskoczyli z łodzi i statków na piasek i ruszyli w głąb łąd niczym rój termitów. Przeskakiwali przez płotki ogrodów warzywnych i przebiegali przez pola kolokazji, ich nogi i ręce pracowały w gorączkowym tempie – stratowaliby każdego, kto stanąłby na ich drodze.



Księżę Timu może i niewiele wiedział o sprawach wojskowych, lecz miał dość rozsądku, by konsultować się z tymi, którzy taką wiedzę posiadają. Cesarskie

oddziały w Dasu były doskonale wyszkolone i wiedziały, jak wykorzystać znajomość terenu.

Jeden z takich oddziałów pojawił się na szczycie wzgórza. Ustawieni w formacji łucznicy skierowali czubki strzał w stronę zbliżającej się fali piratów. Dowódca podniósł rękę, gotowy wydać rozkaz strzału.

Piraci coś krzyčili.

– ...litości...

– Uciekajcie!

– ...moje oczy... horror...

Oficer się zawahał. Coś było nie tak. Piraci w ogóle nie zwalniali, mimo że widzieli wycelowane w swą stronę strzały.

– Strzelać!

W kierunku szarżujących piratów pomknęły całe naręcza strzał, a wiele z nich trafiło w cel.

Zazwyczaj piraci wycofywali się w obliczu tak zorganizowanego oporu – byli morskimi bandytami, bardziej zainteresowanymi rabunkiem i porwaniami niż ideałami. Jednak nie tym razem. Przeskakiwali nad ciałami poległych braci i dalej parli do przodu. Biegli szybciej i pewniej niż kiedykolwiek widziano; zupełnie, jakby wpadli w szal bitewny...

Dowódca patrzył na nich, nie wierząc w to, co widzi. Zbliżająca się do nich fala ludzi rozproszyła się na pojedynczych mężczyzn i kobiety, z których część niosła na rękach małe dzieci. Większość z nich nie miała zbroi i nie dzierżyła żadnej broni. To nie była grupa rozbójników, lecz uchodźcy, uciekający przed niewysłowioną grozą.

– Litości! Litości! Litości! – krzyčili.

Nawet najbardziej zahartowany weteran wojenny w obliczu tysięcy ludzi błagających o litość nie mógł pozostać obojętny. Większość łuczników zaprzestała ostrzału i tylko spoglądała w stronę dowódcy, czekając na dalsze rozkazy.

On jednak nie patrzył już na piratów. Za tłumem uciekinierów, za ich porzuconymi łodziami, zamajaczyła na horyzoncie drewniana ściana zwieńczona ogromnymi żaglami, białymi niczym morską pianą.

Na falach kołysało się dwadzieścia gigantycznych statków, każdy wysoki jak wieże strażnicze w Pan i rozmiarów małego miasteczka.



Książę Timu zebrał w Daye swoich doradców, żeby przedyskutować sprawę obcych, którzy przybili do północnego brzegu Dasu i rozbili tam obóz. Na razie wydawali się zadowoleni ze swojej wioski namiotów na plaży.

– Piraci grabią wybrzeża Dasu i Rui każdego roku – powiedział Ra Olu, były regent króla Kado w Dasu, a obecnie premier księcia Timu. Swoje gładkie czarne włosy zawijał w potrójny kok, a długa żółta jedwabna szata, którą przywdziewał, doskonale współgrała z ciemną karnacją. – Są zdesperowani i bezlitośni, lecz nie brakuje im odwagi. Jednak teraz ci nieznajomi przerazili ich tak bardzo, że piraci

byli gotowi oddać się w ręce cesarza. Jakimiż potworami muszą być tamci? Powinniśmy natychmiast przypuścić atak.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Zato Ruthi, dawny nauczyciel księcia i jego doradca. – Nie można mówić, że piratów cechuje prawdziwa odwaga, ponieważ brakuje im zasad moralnych. Historie o przybyszach są niezrozumiałe i sprzeczne, nie należy w nie wierzyć. Zionące ogniem węże? Śmierć spadająca z nieba? Przecież to brzmi jak majaki pogrążonego w malignie człowieka. Nawet jeśli zaatakowali piratów, może ci sprowokowali czymś przybyszów, a każdy cywilizowany człowiek, który pływa po morzach, odczuwa naturalną antypatię do morskich bandytów. Opisy tych gigantycznych jednostek przywodzą na myśl słynne statki-miasta tworzące flotę cesarza Mapidérégo. Czyżbyśmy mieli do czynienia z wysłannikami legendarnych nieśmiertelnych? Nie możemy zachowywać się jak agresorzy.

– Jeśli w istocie są to nieśmiertelni odnalezieni przez flotę Mapidérégo, to czy nie uważasz, że do tej pory ujrzelibyśmy już pośród nich któregoś z dworzan cesarza? – spytał Ra Olu.

– Bardzo możliwe, że ludzie Mapidérégo i nieśmiertelni czekają, aż zachowamy się jak na prawdziwych gospodarzy przystało i przeprosimy za niegodnych piratów, których przywitanie tak szanownych gości u progu Dary trudno uznać za właściwe.

– Jeśli nie chcesz wierzyć piratom, którzy przecież również są mieszkańcami Dary, dlaczego zakładasz, że intencje tych przybyszów są przyjazne? – zapytał rozdrażniony Ra Olu.

– Ponieważ piraci udowodnili już, że są pozbawionymi skrupułów kryminalistami, którzy kierują się wyłącznie chciwością, lecz o przybyszach nic jeszcze nie wiemy. Jak pisał Kon Fiji, „przyjmij przybysza z odległej krainy z otwartymi ramionami, a on odwdzięczy się tym samym”.

– Kon Fiji z pewnością nie miał na myśli obcych, na których widok nieustraszeni piraci trzęsą się jak osiki. Powinniśmy natychmiast poprosić o pomoc Rui i samego cesarza.

– Cesarz jest zajęty rebeliantami i nie powinniśmy zawracać mu głowy, jeśli nie mamy żadnych więcej dowodów na to, że grozi nam niebezpieczeństwo. Jeśli książę Timu pobiegnie teraz po pomoc do ojca, wyda się dzieckiem, które jeszcze nie dorosło.

Ten ostatni argument był dla księcia decydujący.

– Zamiast działać pochopnie, najpierw dowiedzmy się o nich więcej – rzekł. – Mistrzu Ruthi, zostaniesz moim wysłannikiem? – spytał, a widząc, że Ra Olu szykuje się do protestu, szybko dodał: – Mimo to warto przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Poproszę o flotę sterowców z cesarskiej bazy powietrznej na Rui, by stawiła się jako eskorta. Jeśli przybysze okażą się przyjaźni, potraktują obecność sterowców jako wyraz uznania. Jeśli okażą się wrogo nastawieni, będziemy przygotowani.



Dwadzieścia wielkich sterowców zawisło w równej linii nad wzgórzem, u którego stóp znajdowała się plaża. Każdy miał pięćdziesiąt pięć metrów długości i pokład o kształcie delfina. Nie były to największe statki powietrzne cesarstwa – te pochodzące jeszcze z czasów Mapidérégo miały nawet dziewięćdziesiąt metrów – były jednak nowsze i szybsze, a do tego o wiele tańsze.

Poniżej, na stoku, ustawiła się dwutysięczna gwardia honorowa. Najlepsi z najlepszych żołnierzy Dary stali nieruchomo, w zupełnym milczeniu. Ich zbroje błyszcząły w słońcu, zaś uniesione włócznie przypominały bambusowy las. Jedyne dźwięki, jakie dało się słyszeć, pochodziły z łopoczących na wietrze karmazynowych peleryn siedzących na koniach dowódców.

Za falangą bezładnie ustawiły się setki wozów. Miejsca między nimi wypełniały tymczasowe schronienia i platformy widokowe z bambusa i jedwabiu. Wielu arystokratów i bogate rodziny z Daje przyjechały obejrzeć historyczną chwilę: oto reprezentant księcia Timu miał nawiązać pierwszy kontakt z nieśmiertelnymi przybyszami z dalekich krain.

– Myślisz, że nieśmiertelni będą szukać żon?

– Ha! Czyżbyś zastanawiała się nad swataniem?

– Och, ja sama jestem zadowolona z obecnych perspektyw, dziękuję bardzo. Ponieważ jednak tobie nie odpowiada żaden z młodzieńców z Daje, może nieśmiertelny zdoła cię zadowolić, zarówno w sypialni, jak i poza... auć, co mnie szczypiasz?!

– Ja wcale nie chcę wychodzić za mąż... ale chętnie zaprosiłabym kiedyś do łóżka jakiegoś nieśmiertelnego... Może poznałabym ich sekret i sama stałabym się nieśmiertelna? Tak, to byłoby coś.

– Myślisz, że nieśmiertelni mają z rana brzydki oddech?

Rozpieszczone kobiety i mężczyźni traktowali całe wydarzenie jak rozrywkę. Usiedli podekscytowani na wygodnych poduszkach pod przezroczystymi jedwabnymi zasłonami, przegryzali przekąski, popijali herbatę i obserwowali stożkowate białe namioty, które pokryły plażę niczym mata z muszli, a także górujące nad nimi statki-miasta. Toczyli przy tym ożywione dyskusje.

Od czasu do czasu dało się zauważyć jednego z przybyszów między namiotami, a jego pojawieniu się za każdym razem towarzyszyły krzyki i chichoty. Pomniejsi arystokraci wyobrażali sobie, jak zaprzyjaźniają się z nieśmiertelnymi i wykorzystują ich do wspięcia się na kolejny szczebel drabiny społecznej. Bogaci posiadacze ziemscy szeptali o planach sprzedaży niewielkich działek nieśmiertelnym za absurdalne ceny i nakłonienie ich do porzucenia namiotów na rzecz luksusowych domów. Kupcy patrzyli na ogromne okręty kołyszące się na falach, szacując ich pojemność i robiąc zakłady o to, jakimi towarami przybysze okażą się najbardziej zainteresowani.

W końcu był to Rok Crubena, czyli czas, kiedy morze powinno być szczególnie szczodre. Znajdująca się nieco z tyłu biedota przyglądała się przybyłym z powagą i niepokojem. Ich interesowało wyłącznie to, kiedy będą mogli wrócić na pola i do

swojego życia. Nie mieli śmiałości, by snuć jakiegokolwiek plany na przyszłość w związku z pojawieniem się nieśmiertelnych – o ile to w ogóle byli nieśmiertelni. Za każdym razem, gdy w Darze coś się zmieniało, korzystali na tym wyłącznie ludzie wpływowi.

Zato Ruthi spokojnie ruszył na śnieżnobiałym koniu w stronę obozu przybyszów. Eskortował go tuzin żołnierzy, również jadących konno, którzy wieźli dary od księcia Timu. Na przodzie tego niedużego pochodu powiewała wielka flaga Dasu przedstawiająca wyskakującego z wody niebieskiego crubena na czerwonym tle.

Ruthi i jego strażnicy wkroczyli do obozu. Wszyscy podążali wzrokiem za czerwonym sztandarem, który teraz był małym płomykiem na zaśnieżonym polu. Jakież dziwy i cudowności oglądał właśnie Ruthi?

Rozdział trzydziesty szósty

Nieznajomi

Dasu: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Zbliżając się do obozowiska, Zato Ruthi zdał sobie sprawę, że namioty – o kształcie cylindrów wysokości dorosłego człowieka, zwieńczone niskimi stożkowatymi wierzchołkami – wykonane są ze zwierzęcych skór. Przybysze otoczyli swój obóz niskim płotem z kości powiązanych ścięgami, a każdy słupek wieńczyła czaszka o ostrej szczęcie, zaś na końcach zaostrzonych tyczek – czyżby żeber jakiejś bestii? – łopotwały na wietrze ogony różnych zwierząt, zupełnie jak flagi i sztandary. Na morzu ogromne statki-miasta kołysały się na falach, niczym odpoczywające przy plaży wieloryby.

„Nieśmiertelni mają zdecydowanie osobliwe podejście do architektury”, pomyślał Ruthi. Zawsze wyobrażał sobie nieśmiertelnych jako eteryczne byty, które budowały przy użyciu babiego lata i pierzastych chmur, płatków kwiatów i mokrych od rosy liści. Widział w nich wyrafinowanych poetów i filozofów, którzy porozumiewali się z bogami i porzucili wszelkie potrzeby materialne. Wykorzystywanie kości i skór, i w ogóle zabijanie zwierząt, klóciło się z jego wyobrażeniami.

W płocie znajdowała się luka, swego rodzaju brama, zbudowana z gigantycznych szczęk rekina. Cały obóz przywodził na myśl siłę i dyscyplinę, prostotę funkcjonalnej elegancji.

Kiedy Zato zbliżył się do bramy, z namiotów wyszli mężczyźni. Około pięćdziesięciu z nich wymaszerowało przed szczelinę i zablokowało drogę. Ruthi zatrzymał konia, żeby przyjrzeć się przybyszom.

Generalnie mieli jasną skórę – choć mocno opaloną – a barwa ich włosów oscylowała między śnieżną bielą i jasnym brązem. Ubierali się w skóry, w rękach trzymali palki z kości albo drewna wyrzuconego przez morze, obłożone na czubkach kamykami i muszlami. Niektórzy mieli zupełnie ogolone głowy, podczas gdy inni nosili warkocze odrzucone na plecy; kilku założyło helmy ze zwierzęcych czaszek. Ruthi nie widział zbyt wiele metalowej broni i zbroi, nie zauważył też żadnego jedwabiu czy tkaniny konopnej. Duża część mężczyzn była wychudzona i niewysoka, zaś ich ubrania – poszarpane i powycierane, jakby wracali z długiej wyprawy, podczas której nie mieli możliwości uzupełniania zapasów.

Przez oplakany stan ich ubrań Ruthi zdał sobie sprawę, że część tych „mężczyzn” to kobiety. Zarumienił się. „Jak to możliwe, by nieśmiertelni zmuszali swoje kobiety do dzierżenia pałek i walki u boku mężczyzn? I to w tak nieskromnych strojach! Są jak bohaterowie sag z epoki Ano. Właśnie tak musieli wyglądać zamieszkujący te wyspy barbarzyńcy, kiedy nasi przodkowie po raz pierwszy przybyli na Darę jako uchodźcy ze zniszczonej ojczyzny na zachodzie”.

Chociaż świadomość, że jednak nie ma do czynienia z nieśmiertelnymi, znacznie go rozczarowała, zachował pełen szacunku wyraz twarzy i zsiadł z konia. Jego strażnicy podążyli za jego przykładem.

– Przybywam w pokoju – oznajmił nieznanym. – Witam was w imieniu cesarza Dary. Jeśli potrzebujecie pomocy, mój pan, książę Timu, jest gotowy zapewnić wszystko, czego wam trzeba.

Jeden z barbarzyńców, wysoki czterdziesto- lub pięćdziesięciolatek, wystąpił do przodu. Powiedział coś do Ruthiego, lecz ten nie zrozumiał ani słowa.

Niezrażony dał strażnikom znak, by mniej więcej w połowie dystansu dzielącego obie grupy ułożyli dary: tacę z pieczoną świnią, deseczkę z kawałkami surowej ryby ułożonymi w logogramy ano oznaczające „pokój”, belę jedwabiu, a także zwój pokryty misternie wyrysowanymi logogramami układającymi się w słowa: „Na czterech morzach wszyscy ludzie są braćmi” – cytat z Kona Fijego. Ruthi starannie wybrał prezenty, tak by zademonstrować szczodrość Dary wobec obcych, jednocześnie podkreślić majestat cesarza oraz księcia Timu, cesarskiego reprezentanta w Dasu.

Zostawiwszy wszystko na ziemi, strażnicy się wycofali. Wysoki barbarzyńca, nie odwracając wzroku do Ruthiego, dał znak swojej świcie, by zbliżyła się do darów. Zaczęli macać wieprzowinę i rybę, spróbowali, a potem krzykiem zaprosili pozostałych. Jedli żarłocznie, przepychając się i tłocząc, i wkrótce cały posiłek zniknął. Dwóch mężczyzn wzięło jedwab w wytłuszczone palce i zaniósł do obozowiska. Z kolei zwój, po ostrożnym zbadaniu, został niedbale porzucony.

Beznamiętny wyraz twarzy wysokiego barbarzyńcy nie zmienił się.

Ruthi zmarszczył brwi. „Niezbyt pomyślny początek”.

Wysoki nieznanomy uśmiechnął się i pokazał na siebie.

– Pékyutenryo – powiedział powoli. Następnie wykonał zamaszty gest, próbując pokazać obóz. – Lyucu.

„Wreszcie do czegoś zmierzamy”, pomyślał Ruthi. Spróbował powtórzyć nieznane sylaby najlepiej, jak potrafił. Uczyniwszy to, wskazał na siebie i wypowiedział swoje imię równie dokładnie. Potem powtórzył gest Pékyutenryo i ręką zakreślił łuk, chcąc wskazać stojącą dalej armię Dary i sterowce.

– Dara.

Pékyutenryo uśmiechnął się szeroko, obnażając dwa rzędy nierównych zębów. Co dziwne, wydawał się przy tym zdziwały i groźny, a nie przyjacielski. Ruthi jednak, bojąc się obrazić przybyszów, odpowiedział podobnym uśmiechem.

„Ci ludzie, zwący siebie Lyucu – pomyślał – może i nie są nieśmiertelni, lecz porozumienie z nimi nie wydaje się niemożliwe”.

Pékyutenryo wskazał teraz na strażników Ruthiego i wykonał sekwencję ruchów, które przypominały rozbieranie się. Ruthi się zarumienił, podobnie jak świta. „Czy ci barbarzyńcy nie mają wstydu?”

Widząc wahanie na twarzach miejscowych, wódz zmarszczył brwi.

Kilku barbarzyńców podeszło, by pomóc swojemu władcy. Położyli broń na ziemi i ściągnęli kawałki postrzępionej skóry – zarówno mężczyźni, jak i kobiety! –

aż zostały im tylko mizerne przepaski na biodra splecione z jakichś trawiastych włókien.

Ruthi zaczerwienił się jeszcze mocniej i już miał kazać towarzyszom odwrócić wzrok, w trosce o godność tych pozbawionych wstydu barbarzyńców, kiedy ci znieruchomieli, pokazali na swoją broń, potem znowu na siebie, a na koniec pokleпали się po ciałach.

– Och, oni chcą, żebyśmy zostawili broń! Tu chodzi o środki bezpieczeństwa. – Ruthi energicznie pokiwał głową, żeby pokazać, że wreszcie zrozumiał. Następnie zwrócił się do strażników: – Śmiało, zróbcie, o co was proszą.

– Mistrzu Ruthi, czy to mądra decyzja? – zapytał Jima, kapitan strażników, który był także odpowiedzialny za sztandar Dary. – Nie znając ich intencji, nie powinniśmy wchodzić do ich obozu nieuzbrojeni.

– Na tym polega problem tych, którzy spędzają życie na polu bitwy zamiast na lekturze mędrców – skarcił go Zato Ruthi. – Gdzie twoja empatia? Musisz wczuć się w ich położenie. Spójrz tylko na ich prymitywne narzędzia! Nigdzie ani śladu metalowej broni. Spójrz, jak szybko zjedli przyniesione przez nas dary! Wyobraź sobie, że znalazłeś się na nieznanym lądzie daleko od ojczyzny, głodny, przerażony, otoczony przez żołnierzy dzierżących broń nowocześniejszą niż twoja. Gdyby taki oddział miał wejść do twojego obozu, czy nie żądałbyś udowodnienia pokojowych zamiarów?

– Całe swoje życie byłem żołnierzem, mistrzu Ruthi. Uwierz mi, że chociaż mamy lepszą broń, ci ludzie się nas nie boją.

– Dara to cywilizowane wyspy – powiedział ostro Ruthi. – Nasi przodkowie przybyli tu wiele lat temu i spacyfikowali barbarzyńców, a ja spodziewam się, że bogowie rozprzestrzenili naszą sławę daleko poza te brzegi. Ten dziki lud przybył do nas, pokonując nieprzewidywalną drogę wieloryba, przyciągany blaskiem naszego stylu życia. Musimy zademonstrować im naszą wyższość moralną. Sprawiedliwy człowiek nie musi bać się zdrady, a nawet jeśli knują przeciwko nam, nasza prawość i dobre zamiary z pewnością wywołają w nich wstyd i sprawią, że pojmą swój błąd. Rozbrójcie się, inaczej splamimy honor naszych panów, cesarza Dary i jego pierworodnego syna.

Kapitan Jima i pozostali strażnicy niechętnie pozbyli się broni. Zostawili ją obok opróżnionych tac, na których przynieśli swoje dary. Pékyutenryo uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem energicznie machnął ręką. Jego świta rozstąpiła się przed bramą z rekinich szczęk.



Zebrani na wzgórzu widzowie wiwatowali.

– Wchodzą!

– Sokoli masz wzrok, Dümo. Widzisz, co tam się dzieje?

– Są zbyt daleko. Ale myślę, że przybysze właśnie się im pokłonili. Może mistrz Ruthi naprawdę zrobił na nich wrażenie swoim wyrafinowaniem? I znowu się

ukłonili!

– Ale zrobili to już po tym, jak mistrz Ruthi i strażnicy weszli do środka. Dlaczego kłaniali im się, gdy ci nie mogli ich widzieć?

– Cóż... I właśnie tutaj wychodzą twoje braki w wykształceniu. Pamiętam lekturę o zwyczajach plemion z Wyspy Półksiężycowej z czasów przybycia Ano. Kłaniając się komuś po jego odejściu, okazujesz mu znacznie większy szacunek, niż robiąc to na jego oczach...

– Nie miałam pojęcia, że taki z ciebie ekspert, Yehun! Czy to było w Sadze Tego, Co Ma Bardzo Długie Imię? Też to czytałam!

– Yyy... tak, właśnie tak! Bardzo mało znane, dziwi mnie, że to czytałaś. Jak już mówiłem, był to zwyczaj obecny na Wyspach długo przed przybyciem Ano, ale wszystko staje się jasne, jeśli przypomnicie sobie... Hej, zaraz, dlaczego śmiejecie się za moimi plecami jak hieny?

– Och, Yehun, ty biedny arogancki głupcze, nie ma takiej sagi! Tylko dlatego, że jesteś jedynym *toko dawiji* w naszym gronie, nie oznacza, że musisz znać odpowiedź na wszystko.

– Doskonały umysł nie musi się kłopotać małostkowymi...

– Chcesz, żebyśmy dalej szanowały cię w jedyny właściwy sposób, zgięte w pół ze śmiechu?



Zato Ruthi uklęknął w *mipa rari* na środku wielkiego namiotu, który miał mniej więcej wysokość trzech mężczyzn stojących jeden na drugim i szerokość jakichś dwudziestu metrów. Ziemię w środku wyłożono miękką skórą jakiegoś niezidentyfikowanego zwierzęcia. Ruthi przyglądał się ścianom z pewnym zainteresowaniem: skóra była przezroczysta i przypominała mu cienkie, obrośnięte sierścią membrany ze skrzydeł nietoperzy. Chociaż był odczytany i miał szeroką wiedzę, nie wiedział, z jakiego zwierzęcia mogła pochodzić.

Wódz barbarzyńców wyszedł na środek namiotu i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, w *géüpa*. Pozostali – arystokraci i pomniejsi wodzowie, sądząc po ich ogromnych pałkach bitewnych i misternie wykonanej biżuterii z muszli i kości – zajęli miejsca na obrzeżach namiotu. Jedni przybrali pozycję *géüpa*, inni, nie wyłączając kobiet, nawet w *thakrido*, z nogami rozłożonymi i wyciągniętymi przed siebie.

Kapitan Jima, który klęczał obok, zmarszczył brwi. Ruthi był reprezentantem samego cesarza, więc ten brak poszanowania ze strony Pékyutenryo i jego ludzi był nie do zaakceptowania. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Zato Ruthi go powstrzymał.

– Przybysze mogą nie rozumieć znaczenia pozycji, w jakich siedzą – szepnął. – Cywilizowany człowiek jest tolerancyjny i nie obraża się z powodu czyjejś ignorancji. Powinniśmy traktować Pékyutenryo jak króla.

Kapitan zacisnął zęby i milczał. Nie podobało mu się, jak zebrani w namiocie

śmieją się i szepczą między sobą. Wcale nie wyglądało mu to na ceremonię przyjmowania ambasadorów z innego kraju, nawet nie jak spotkanie przyjaźnie nastawionych do siebie obcych. Nie potrafił wskazać nic konkretnego, ale... dlaczego Pékyutenryo wydawał się taki zadowolony z siebie?

Kilku młodych barbarzyńców wniosło do środka broń i zbroję pozostawioną przez strażników Ruthiego przed wejściem do obozu, a następnie złożyło ją przed królem. Pékyutenryo powiedział do nich parę słów, a ci pokiwali głowami i wyszli.

– Widzicie – rzekł Ruthi do Jima – nie ma się o co martwić. Nawet przynieśli naszą broń. Jestem pewien, że niedługo, kiedy już potwierdzimy obustronne zaufanie, wszystko wam oddadzą.

Pékyutenryo spojrział na Zato Ruthiego i strażników siedzących niepewnie na środku namiotu i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ruthi pokiwał głową i odpowiedział takim samym absurdalnym uśmiechem. Przybysze zaczęli podawać sobie dużą ceramiczną miskę i po kolei pili znajdujący się w niej napój. Wnętrze namiotu stopniowo napępniało się szeleszczącymi odgłosami rozmów.

Napiwszy się, Pékyutenryo dał znak jednemu ze swoich ludzi, by zaniósł naczynie Ruthiemu. Ruthi przyjął miskę w podniosłym napięciu i przyjrzał się zawartości: napój pachniał alkoholem i mlekiem, a przy brzegach zebrała się piana.

– *Kyoffir!* – powiedział Pékyutenryo, pokazując miskę, a potem udał, że pije.

Ruthi podniósł miskę do ust. Ciecz nie pachniała jak mleko od krowy, kozy czy nawet kłaczy. Jej woń przywodziła na myśl raczej... ziola. Niechętnie upił łyk. Smak okazał się ostry, tak zwykle smakowały medykamenty, do tego Ruthi poczuł palenie w gardle. Mleko było gęste, konsystencją przypominało jogurt wymieszany z alkoholem. Mocnym alkoholem, ponieważ Ruthi, który na co dzień niewiele pił, zakaszał i poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Przybysze wybuchnęli śmiechem, nawet sam Pékyutenryo uśmiechnął się pod nosem. Ruthi otarł łzy i odstawił miskę, głupio się uśmiechając.

Całe szczęście barbarzyńscy strażnicy, których wcześniej odesłano, właśnie wrócili, przynosząc ze sobą kolejne porcje broni i zbroi. Zostawili wszystko na osobnej stercie, obok sprzętu zabranego strażnikom Ruthiego, a Pékyutenryo wstał, zbliżył się i z każdej sterty zabrał po jednym helmie. Zaczął je porównywać, zupełnie nie zwracając uwagi na Ruthiego.

– Broń z tej drugiej kupki również wygląda, jakby pochodziła z Dary – powiedział kapitan Jima. Nie zadał sobie trudu mówienia szeptem, ponieważ barbarzyńcy najwyraźniej nie rozumieli rozmów między nim a Ruthim tak samo jak on i Ruthi nie rozumieli mowy Lyucu. – Skąd je wzięli? Od piratów?

– Ten miecz – rzekł Ruthi, mrużąc oczy – wygląda na xański. Jeśli się nie mylę, to hełm z czasów Mapidérégo sprzed ponad dwóch dekad.

– Z ekspedycji Mapidérégo?

Ruthi pokiwał głową.

– Z pewnością.

Pékyutenryo w dalszym ciągu wybierał rzeczy z jednej sterty – miecz, rękawicę, hełm, tarczę, łuk – i szukał odpowiednika z drugiej, a potem skrupulatnie

je porównywał. Od czasu do czasu wzywał kilku swoich arystokratów i w małej grupie omawiali dany rodzaj broni, zgadzając się ze sobą lub głośno sprzecząc.

Ruthi i Jima obserwowali tę przedziwną operację, zupełnie zbici z tropu.

– Może porównują style artystyczne broni, żeby się upewnić, czy faktycznie jesteśmy twórcami wspaniałych artefaktów, które otrzymali od członków ekspedycji Mapidéręgo – powiedział z nadzieją Ruthi.

Wreszcie Pékyutenryo najwyraźniej osiągnął swój cel i rozkazał strażnikom zabrać całą broń. Następnie przyniesiono dużą i okrągłą tacę – kawałek cienkiej skóry naciągniętej na konstrukcję z zakrzywionych kości – i postawiono ją przed Ruthim. Została napelniona piaskiem z plaży.

Pékyutenryo wstał ze swojego miejsca na końcu namiotu i usiadł naprzeciwko Ruthiego – oczywiście w *thakrido* – tak że taca znalazła się między nimi. Następnie sięgnął po patyk i zaczął rysować na piasku.

Ruthi obserwował, jak wódz Lyucu znaczy długą linię na środku, a potem małe koło w górnej części. Następnie król barbarzyńców spojrział na niego i wskazał na sufit namiotu.

„Mówi mi, że to koło jest słońcem, a linia ziemią”, pomyślał Ruthi.

Pékyutenryo narysował kilka owalnych kształtów na niebie, z długimi skrzydłami. Rysunki może i należały do prymitywnych, lecz nie było wątpliwości, że król miał na myśli cesarskie sterowce. Kontynuował, szkicując obiekty przypominające grzyby: najwyraźniej miały symbolizować obozowisko barbarzyńców.

Następnie udał, że robi unik ze strachu, jednocześnie patrząc na sufit namiotu. Znowu szczerząc się w uśmiechu, podał patyk zdeorientowanemu Ruthiemu. Zaraz zabrał go z powrotem i narysował jeszcze kilka strzał lecących ze sterowców w stronę obozu, a potem oddał patyk Ruthiemu. Posłał mu przy tym pytające spojrzenie i znowu udał, że się czegoś boi.

Ruthi się roześmiał.

– Nie, nie! Sterowce mają być tylko częścią ceremonii powitalnej; nie przybyły, by atakować.

Pékyutenryo popatrzył na niego z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

Ruthi spróbował jeszcze raz. Starł strzały narysowane w piasku i spróbował naszkicować kwiaty spadające z nieba na obozowisko – jednak te przypominały raczej płatki śniegu.

– Pokój – krzyknął, jakby mówienie głośniejszym głosem, że barbarzyńca coś zrozumie. – Nie wojna! – Potem odegrał pantomimę pełną uśmiechów, przytulania się i picia z dużej miski, mlaszcząc.

Pékyutenryo wydawał się jeszcze bardziej zdeorientowany. Potem chyba przyszła mu do głowy nowa taktyka. Narysował pod sterowcami kilka prostych ludzików na koniach – były to cesarskie falangi – a potem barbarzyńców wybiegających z obozowiska, z pałkami podniesionymi wysoko nad głowami, jakby szarżowali na armię Dary.

Uśmiechając się szeroko, oddał patyk Ruthiemu.

Ruthi popatrzył na niego nerwowo, rozkładając ręce.

Pékyutenryo udał, że się śmieje, trzymając się za brzuch, jakby umierał ze śmiechu po jakimś dowcipie. Znowu pokazał na tacę z piaskiem.

– Ach, on mówi o sytuacji hipotetycznej – powiedział z ulgą Ruthi. – Jakby to był żart.

– Nie wydaje mi się – rzekł Jima. – To nie żarty; on próbuje wyciągnąć informacje o naszej obronie. Mistrzu Ruthi, powinniśmy natychmiast opuścić obóz.

– Nonsens – odparł Ruthi. – Tu chodzi o dwa próbujące się porozumieć umysły. Spróbuj się zdobyć na empatię, bo ci całkiem zaniknie, kapitanie Jima! Ponieważ król jest ciekawy naszej odpowiedzi, czy nie lepiej będzie pokazać mu siłę naszej armii na piasku niż poprzez prawdziwą walkę? Cesarz zawsze chciał minimalizować rozlew krwi.

I zaczął rysować. Jako niegdysiejszy król Rimy był całkiem dobrze rozeznany w taktyce militarnej. Za pomocą serii diagramów pokazał Pékyutenryo, w jaki sposób cesarskie falangi zmieniają formację, wycofując się na środku, jednocześnie zachodząc przeciwnika z obu stron, aż zostanie zupełnie otoczony. Następnie zilustrował, jak barbarzyńcy, niewystarczająco uzbrojeni, zostają wymordowani i pojmani.

Wyraz podziwu pomieszanego z przestraczeniem, jaki malował się na twarzy króla, wydawał się szczery.

– Ależ nie musicie się martwić! – Zapewnił szybko gospodarza Ruthi. – To tylko hipotetyczne. Hi-po-te-ty-czne! Udawane! – Złapał się za brzuch i udawał, że się śmieje.

Pékyutenryo żywo pokiwał głową i uśmiechnął się przymilnie do cesarskich posłów.

Zato Ruthiego rozpierała radość. Być może niegdyś przeżył w lasach Rimy upokarzającą porażkę za sprawą Gin Mazoti, lecz dzisiaj zdołał wzbudzić strach i podziw u barbarzyńskiego króla, tym samym zmuszając go do poddania się cesarzowi Dary, a dokonał tego za pomocą rysunków na piasku!

Pékyutenryo starł wszystko i raz jeszcze naszkicował obozowisko Lyucu oraz unoszące się nad nim sterowce. Udał, że się kuli ze strachu, patrząc w niebo; potem złapał się za brzuch i odegrał pantomimę śmiania się.

„Aha, chce wiedzieć, w jaki sposób cesarz Dary zaatakowałby z nieba”.

Wszyscy pozostali dowódcy przybyszów zebrali się dokoła tacy. Pékyutenryo oddał patyk Ruthiemu i zachęcił go do kontynuowania.

– Mistrzu Ruthi – prosił kapitan Jima. – Coś tutaj jest naprawdę nie tak. Nie powinniście odkrywać przed nimi naszych możliwości ani wyjaśniać taktyki ataku z powietrza. My o ich metodach walki nie wiemy prawie nic!

– Cicho! Zachowujesz się jak opętany i przygłupi plebejusz, a nie pewny siebie dowódca cesarskiej armii. Co jest złego w pokazaniu im, co potrafią nasze sterowce? Nasza moc wzbudzi w nich podziw i sprawi, że zaczną nas szanować. Właśnie w ten sposób wspaniałe cywilizacje robią wrażenie na mniejszych.

I tak oto Ruthi w dalszym ciągu rysował na piasku, pokazując barbarzyńcom,

jak sterowce zrzucają bomby ogniowe.

Pékyutenryo pokazał pięć palców, odczekał chwilę, zacisnął dłoń w pięść, odczekał, a potem znowu pokazał pięć palców. Następnie wskazał sterowce i rozłożył ręce, obrzucając Ruthiego pytającym spojrzeniem.

Ruthi zastanowił się i po chwili zrozumiał, co próbował mu przekazać Pékyutenryo. Narysował sterowiec pełen maleńkich kółek, pokazując, jak kilka z nich spada z nieba na obóz – to były bomby. Wyprostował wszystkie dziesięć palców, zacisnął pięści, a potem znowu wyprostował palce i powtórzył wszystko pięć razy, żeby pokazać, że w każdym sterowcu znajduje się około pięćdziesięciu pocisków – czyli znacznie więcej, niż trzeba, by dokonać poważnych zniszczeń w obozowisku Lyucu. Następnie starł kółka wewnątrz sterowców, żeby wyglądały na puste.

Pékyutenryo uśmiechnął się i powiedział coś do swoich ludzi, którzy wybuchnęli śmiechem. Następnie sięgnął po miskę z alkoholowym jogurtem – kyoffirem – i podał ją Ruthiemu. Ten napił się z radością. Mocny trunek miał korzystny wpływ na jego nastrój.

– Dziękuję za informacje – powiedział Pékyutenryo. Miał silny akcent, jednak słowa były zrozumiałe.

Zdumiony Ruthi spojrział na niego znad miski. Jima i pozostali strażnicy skoczyli na równe nogi, było już jednak za późno. Pékyutenryo zamachnął się pałką i zmiażdżył Ruthiemu głowę, a jego ludzie szybko rozprawili się z pozostałymi członkami delegacji Dary.



– Coś się dzieje! Wychodzą z wielkiego namiotu!

– Ale gdzie się podział Mistrz Ruthi?

– Dlaczego cesarski sztandar leży na ziemi?

– Czy ustawiają się do poddania?

Rozmowy w tłumie powoli cichły. Wszyscy przyglądali się barbarzyńcom, którzy opuściwszy obozowisko, ustawili się w długie szeregi, a potem pomaszerowali w stronę cesarskiej falangi, machając pałkami. Bryza morska przyniosła ze sobą ich wrzaski – niedające się z niczym pomylić okrzyki bojowe.

Chociaż przybysze, znajdujący się jakiś tysiąc kroków dalej, przewyższali oddziały cesarskie pod względem liczebności, Ra Olu nie martwił się. Zarządził wyprowadzenie falangi na spotkanie z atakującymi. Dano też znak załogom sterowców, by rozpoczęły bombardowanie.

– Te błazny mają czelność wystąpić przeciwko armii księcia Timu!

– Zginą, zanim się zorientują, co zadało im cios!

– Zagońcie ich z powrotem do morza!

Barbarzyńcy byli coraz bliżej. Ci spośród widzów, którzy byli obdarzeni lepszym wzrokiem, mogli już zauważyć oplakany stan broni i ubrań przybyszów – nawet piraci byli lepiej wyposażeni. Pośród tłumy zamiast strachu wzmagała się

ekscytacja z powodu spodziewanego widoku jednostronnej masakry.

– Oto dzień, o którym będą powstawać pieśni i legendy.

– Czy oni nie widzą, że nie mają szans?

– Nie mogę uwierzyć w ich głupotę!

– Czy pośród barbarzyńców walczą kobiety? Ależ okrutni muszą być ich ojcowie i mężowie!

Atakujący Lyucu zatrzymali się tuż poza zasięgiem strzał łuczników.

„Czyżby nagle zdali sobie sprawę z bezsensowności walki?”, myślał Ra Olu. Dał znak, by sterowce rozpoczęły bombardowanie.

Ich załoga, niczym doskonale wyćwiczeni tancerze, ścisnęła paski okalające zbiorniki gazu, żeby obniżyć lot, zaś wiosłarze mocno szarpnęli opierzonymi wiosłami. Bambusowo-jedwabne sterowce, niczym gigantycznie sokoły Mingén nurkujące spiralnie, by dopaść swoją ofiarę, przypuściły atak. Kiedy znalazły się nad formacją barbarzyńców, żołnierze w gondolach przygotowali wiadra płonącej smoly i otworzyli komory bombowe.

Dowódcy Lyucu zagwizdali i horda podzieliła się na grupy liczące około pięćdziesięciu osób. Większość członków każdej takiej grupy kucnęła, a ci znajdujący się na zewnątrz chwycili pałki i wbili je przed sobą niczym włócznie. Ci kuczający rozciągnęli sobie nad głowami przypominający skórę materiał – najwyraźniej ten sam, z którego wykonane zostały namioty. Następnie zaczepiono go o pałki. W ten sposób powstały swego rodzaju namioty, które chroniły grupki barbarzyńców.

Krok ten wydawał się desperacki – przypominający skórę materiał był cienki i lekki, niemal przezroczysty, z pewnością nieodporny na działanie bomb ogniowych.

Pociski dotarły do namiotów i eksplodowały. Kilka uderzyło w ziemię obok nich i smola obryzgała odsłonięte nogi wojowników znajdujących się na brzegach formacji. Zaskowyczeli i porzucili pałki, po czym zaczęli tarzać się po ziemi, lecz ich najbliżsi kompani zaraz zastąpili ich na stanowiskach.

Kiedy sycząca smola wżerała się w ciała leżących, ich żalosalne wołania wzmagaly się, lecz zaraz słabły, a ciała przestawały się ruszać.

Żołnierze i cywile Dary wzniesli triumfalne okrzyki. Rzeź okazała się jeszcze bardziej ekscytująca, niż się spodziewali.

Wkrótce jednak ich podniecenie zmieniło się w niedowierzenie.

Eksplodujące bomby zmieniły osłony nad głowami barbarzyńców w zbiorniki płonącej lawy, jednak jakimś cudem cienki materiał zdołał to przetrzymać. Sycząca, dymiąca smola paliła się żywo, lecz najwyraźniej nie była w stanie podpalić samych osłon.

Wojownicy Lyucu, którzy znajdowali się pośrodku, zaczęli rytmicznie uderzać w materiał pałkami, ten zaś wyginał się, tworząc fale niczym zmarszczki na powierzchni wody. Większość płonącej smoly zaraz spłynęła i wylądowała na ziemi, nie czyniąc ludziom żadnej krzywdy.

Sterowce zatoczyły koło i rozpoczęły drugą serię bombardowania. Zdając sobie sprawę, że osłony okazały się bardziej wytrzymałe, niż się spodziewano,

kapitanowie zmienili taktykę i zarządzili, by celowano tak, by bomby eksplodowały na ziemi przy namiotach. Liczyli na to, że zranią w ten sposób wystarczająco dużo przeciwników, by nie było komu podtrzymywać namiotów.

Jednak Lyucu byli przygotowani także i na to. Kiedy sterowce zanurkowały w stronę osłon, wojownicy z każdej formacji zaczęli poruszać się w idealnej synchronizacji. Wyszli sterowcom na spotkanie, tak by bomby znów eksplodowały na materiale ochronnym.

Co prawda kilka formacji, nie mogąc odpowiednio poprawić swojego położenia, ostatecznie skończyło w płonącej smole – ranni wojownicy tarzali się po ziemi, by zgasić ogień, podczas gdy reszta uciekała w popłochu – jednak większość załóg ruchomych schronów zdołała umknąć przed drugą falą bombardowania.

Ra Olu zdał sobie sprawę, że nie docenił barbarzyńców, którzy okazali się zaskakująco dobrze przygotowani na atak z powietrza. Był jednak doświadczonym dowódcą niskiego szczebla z czasów Wojny Chryzantemy z Mleczem i wiedział, jak szybko dostosować się do zmieniającej się sytuacji. Natychmiast wydał dodatkowe rozkazy, które miały zostać przekazane za pomocą flag sygnalizacyjnych załogom sterowców.

Sterowce raz jeszcze zawróciły i ruszyły w stronę obozowiska barbarzyńców. Kiedy mijaly linię wielonożnych, tymczasowych schronów – wijących się jak meduza w spokojnym morzu – zrzuciły kolejną serię płonących pocisków. Statki powietrzne fruwały nisko i zsynchronizowały swoje ruchy, tak by wszystkie bomby utworzyły linię między wojownikami a ich obozowiskiem. Kiedy te eksplodowały, płonąca smola stworzyła ognistą barierę, która odgradziła barbarzyńską horde od ich bazy. Skuleni przybysze mogli tylko patrzeć, jak ich odwrót zostaje odcięty.

Ra Olu uśmiechnął się szeroko i wydał rozkaz wymarszu cesarskiej falandze, wkrótce zamierzał też nakazać atak łucznikom. W ten sposób barbarzyńcy znajdują się w pułapce między ścianą ognia za plecami i ścianą strzał z przodu. Tymczasem sterowce polecą z misją zbombardowania statków. Ra Olu był pewien, że tego dnia wszyscy przybysze zginą na brzegu Dasu.

Sterowce zbliżyły się do obozowiska niczym sokoły Mingén do nowego miejsca połowu. Statki-miasta były tłustymi, soczystymi rybami w płytkiej wodzie, tylko czekającymi na wyłowienie.

Falangi Ra Olu powoli parły do przodu. Z każdym krokiem najeźdźcy byli bliżej śmierci.

– Strzelać! – rozkazał.

W powietrzu znalazły się tysiące strzał. W ciągu zaledwie kilku sekund pokonały dystans dzielący cesarską falangę i linię wroga.

Jednak barbarzyńcy zmienili swoje pozycje obronne w ten sposób, że rozciągnięty materiał z dziwnie wytrzymałej niby-skóry zaplamionej resztkami płonącej smoly, tworzył teraz barierę przed pierwszym szeregiem wojowników. Ci nadepnęli na dolną część skór i pochyliли się do przodu, wyciągając przed siebie pałki, natomiast ci znajdujący się za nimi pociągnęli do siebie górną część materiału. Tym samym wszystkich chronił swego rodzaju worek.

Strzały uderzyły w niby-skórę i odbiły się od niej, po czym wylądowały na ziemi. Co prawda kilku stojących z przodu wojowników jęknęło z bólu, może nawet odniósłszy poważne obrażenia, ale szereg nie został przerwany.

„Cóż to za niezwykle materiał – dziwił się Ra Olu. – Nigdy wcześniej nie widziałem takiej skóry. Z jakiej bestii pochodzi?”

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na roztrząsanie tej kwestii, bowiem dobiegły go okrzyki przerażenia ze strony żołnierzy i cywilów. Podniósł wzrok i zaraz upuścił trąbkę sygnałową na ziemię.

Ze statków-miast w oddali wbiły się gigantyczne stwory rodem z koszmarów.

Ra Olu nigdy nie widział tak niezwykle zwierzęcia, łączącego w sobie cechy różnych gatunków: beczkowate ciało o wielkości trzech albo czterech słoni (za punkt odniesienia posłużyły znajdujące się nieopodal sterowce) ciągnęło za sobą węzowy ogon, zaś zwieńczone pazurami nogi upodabniały kreaturę do sokoła. Jej ogromne skórzaste skrzydła miały rozpiętość przynajmniej czterdziestu metrów. Długą i wąską szyję wieńczyła głowa, z której wyrastało poroże, niczym u jelenia.

W powietrze wzniosło się dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści tych stworów. Za sprawą monstrualnych skrzydeł i długich szyj wydawały się mierzyć dwie trzecie długości cesarskich sterowców, chociaż ich tułów był znacznie drobniejszy. Zapikowały i z prędkością, która wydawała się zbyt nieprawdopodobna jak na ich rozmiary, zaatakowały powietrzne statki.

Zdumiony kapitan pierwszego sterowca nie miał nawet szansy na wydanie rozkazu. Dwa stwory rzuciły się na kadłub, drapały pazurami i gryzły wściekle, a ich szyje poruszały się jak dzikie węże. Elementy bambusowej konstrukcji trzaskały jak wykałaczki, a znajdujące się w środku jedwabne zbiorniki w ciągu kilku sekund zostały przebite jeden po drugim. Załoga z krzykiem wyskakiwała z gondoli, rzucając się setki metrów w dół, na spotkanie ze śmiercią.

Pozostali kapitanowie, gdy tylko otrząsnęli się z pierwszego szoku, rozkazali łucznikom atak, a wioślarzom niezwłoczny odwrót. Jednak podpalone strzały odbiły się od skrzydeł i ciał bestii niczym komary próbujące ukąsić słonia, a niektóre trafiły w inne sterowce i wywołały pożar na ich pokładach.

Ra Olu wreszcie zrozumiał, z jakiego materiału powstały namioty i płachty ochronne barbarzyńców. Flota cesarskich sterowców jeszcze do niedawna wydawała się tak zwinna i pełna gracji, teraz jednak, zaatakowana przez śmiertcionośne bestie, sprawiała wrażenie niezdarnej i ciężkiej. Żaden ze sterowców, zaatakowany przez dwa lub trzy stwory, nie przetrwał dłużej niż minutę.

Z nieba spadały płonące wraki, ich części unosiły się na wietrze jak chmury o zachodzie słońca. Członkowie załóg wyskakiwali z ogarniętych pożogą gondoli, żegnając się z życiem przerażającym wrzaskiem. Zgromadzeni na ziemi obserwatorzy odwracali wzrok od tego koszmaru. Niektórzy zaczęli w pośpiechu pakować swoje rzeczy i szykować się do ucieczki.

Nie minęło wiele czasu, kiedy na niebie nie ostał się już ani jeden sterowiec. Prerażające stwory utworzyły luźną formację i ruszyły w stronę cesarskiej falangi.

Dopiero teraz Ra Olu zdał sobie sprawę, że pierwszy atak Lyucu był tylko

podstępem. Służył ocenie sił przeciwnika i skłonieniu go do zademonstrowania swojej taktyki. Barbarzyńcy mieli przytrzymać ich w miejscu do czasu, aż będzie można wezwać bestie. Dowódca wiedział, że musi szybko podjąć decyzję. Miał tylko jedną szansę.

– Atak! – rozkazał.

Zdumieni żołnierze byli wystarczająco zdyscyplinowani, żeby wykonać polecenie. Łucznicy wyszli do przodu, wypuścili kolejne narecza strzał, a potem rzucili łuki i sięgnęli po krótkie miecze obronne. Wycofali się, jednocześnie przepuszczając przed siebie żołnierzy uzbrojonych we włócznie. Barbarzyńcy odrzucili skórzane płachty, zaryczeli ogłuszająco i ruszyli na spotkanie z cesarskimi siłami, dzierżąc palki.

Obie grupy starły się, niczym fala rozbijająca się o kamieniste wybrzeże. Kości trafiały w tarcze, a ostrza mieczy lub włócznie cięły skórę. Mężczyźni i kobiety jęczyli i zawodzili, krwawili i umierali.

Nad ich głowami przeleciały bestie; minawszy bitewną kipieli, ruszyły prosto na obserwatorów zebranych za siłami cesarstwa.

Cywile, którzy stali się świadkami dramatycznego pierwszego kontaktu z przybyszami, rzucili się do ucieczki. Wozy wpadały na siebie, konie potykały się o ludzi, a bogacze wzywali służących na pomoc – jednak większość biedoty zdążyła już się oddalić. Zapanował zupełny chaos.

Bestie zanurkowały i ponownie wzbily się w powietrze dopiero wtedy, gdy znalazły się zaledwie dziesięć czy piętnaście metrów nad ziemią. Ich skrzydła były wściekle, a wzniecane przez nie podmuchy mroziły krew w żyłach obserwatorów.

Kilkoro odważniejszych żołnierzy i mieszkańców wyspy podniosło wzrok, a widok, który im się ukazał, zmroził im krew w żyłach. Tułów każdej bestii otoczony był drobną siatką wykonaną z mocnych włókien, być może ścięgien. Z każdej strony przypięło się do niej po kilkunastu barbarzyńców, niczym marynarze trzymający się takielunku wysokiego statku. Wszyscy dzierżyli kościane włócznie lub proce wykonane z mostków. U podstawy szyi każdego stwora siedział pilot w hełmie ze zwierzęcej czaszki, bezpiecznie przypięty do siodła.

Oczy jeźdźców, mężczyzn i kobiet, były równie ciemne i nieprzeniknione co gadzie ślepiea monstrualnych bestii.

Stwory wycofały się. Kilkakrotnie kłapnęły swymi ogromnymi szczękami, ukazując długie i ostre kły przywodzące na myśl zakrzywione miecze, a potem gwałtownie wysunęły szyje do przodu, wypuszczając z pysków płomienie.

Było tak, jakby doszło do erupcji góry Kiji. Dziesiątki ognistych języków, każdy długi na trzydzieści metrów, smagnęły tłum i zmieniły ziemię we wrzącą lawę. Ci, którzy ocalili, rzucili się do ucieczki, a ich ciała płonęły. Powietrze wypełnił smród palonej skóry, a gryzący dym wżerał im się w oczy i całkowicie oślepił. Zaiste, piekło na ziemi.

Żołnierze z cesarskiej falangi spojrzeli do tyłu i zamarli ze zdumienia. Ich przeciwnicy, widząc zniszczenia dokonane przez wsparcie z powietrza, zaczęli krzyczeć z radości i skandować:

– Garinafin, garinafin! Pékyutenryo! Pékyutenryo!

Armia Dary utraciła wolę walki. Cesarska formacja się rozpadła, gdy żołnierze rozbiegli się w popłochu. Barbarzyńcy rzucili się za nimi i niektórym w okamgnieniu rozłupali głowy pałkami, zaś w pogoń za resztą pognały bestie. Dosiadający ich jeźdźcy pozbywali się ostatnich ocalałych za pomocą strzałów z proc. Ra Olu poganiał swojego konia. Zaczął uciekać od razu po wydaniu rozkazu ataku.

Serce bolało go na myśl o młodych mężczyznach, których posłał na śmierć, jednak był to jedyny sposób, żeby zdobyć trochę czasu na ucieczkę i przekazanie wieści do Daye.

Wszystkie historie opowiedziane przez piratów były prawdziwe. Przybysze byli potężni i wszystko wskazywało na to, że Dasu czeka nieuchronna klęska.

Rozdział trzydziesty siódmy

Postawa księcia

Dasu: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

W Daye przygotowano szybki sterowiec pocztowy, tak by cesarz jak najszybciej otrzymał wiadomość o inwazji. Zrezygnowano z całej załogi prócz wiosłarzy, spośród których większość stanowiły kobiety o najlepszym stosunku masy ciała do siły i wytrzymałości. Zamiast polegać na rytmicznym bębnieniu sternika, wiosłarze mieli spróbować zachować rytm poprzez śpiewanie znanych pieśni. Wyeliminowano każdy zbędny balast: wyjęto wewnętrzne przegrody gondoli, porzucono broń i zbroję – wyglądało na to, że strzały, piki czy haki nie są w stanie uczynić żadnej krzywdy latającym bestiom barbarzyńców, zwanym przez nich „garinafinami”. Oprócz tego na pokład nie załadowano prowiantu, a załoga miała gasić pragnienie wodą, która zbierała się na jedwabnym kadłubie, gdy sterowiec leciał przez chmury.

Wbrew gorącym ponagleniom Ra Olu książe Timu odmówił wejścia na pokład sterowca.

– Nie przydam się do niczego – rzekł. – Opadnę z sił już po kwadransie wiosłowania. Żałuję teraz, że nie słuchałem Théry i Phyro, kiedy namawiali mnie do przykładania większej uwagi do ćwiczeń fizycznych.

Ra Olu tupnął z frustracji.

– Wasza Wysokość, nikt cię nie prosi o wiosłowanie! W tej chwili najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

– Nonsens. Mistrz Ruthi zawsze powtarzał, że bez wiary i lojalności ludzie niczym nie różnią się od zwierząt. Cesarz wysłał mnie tutaj, abym uczynił życie mieszkańców Dasu lepszym. Teraz, gdy grozi im tak wielkie niebezpieczeństwo, zdradziłbym zaufanie ich i samego cesarza, gdybym porzucił poddanych.

Ra Olu pomyślał o swojej ucieczce z pola bitwy i zaczerwienił się.

Błędnie uznając jego milczenie za oznakę smutku, Timu próbował go pocieszyć.

– Nie smuć się śmiercią mistrza Ruthiego. Zawsze chciał żyć zgodnie z zasadami moralistycznymi i jestem pewien, że umarł, niczego nie żałując.



Wcześniej Timu przez godzinę oplakiwał śmierć Zato Ruthiego, swojego nauczyciela i rzeźbiarza jego umysłu. Wiedział, że nigdy więcej nie pozna mędrca tak łagodnego i wielkodusznego jak on. Wreszcie otarł łzy. Pamiętał o swoich obowiązkach.

Wysłuchawszy opowieści Ra Olu, Timu spodziewał się dosłownie w każdej

chwili zobaczyć na niebie garinafiny, a na ziemi maszerujących barbarzyńców. Jednak nie było po nich śladu. Dowódca armii Dasu przesłuchał część uchodźców, którzy przybywali do Daye z wiosk, i dowiedział się, że garinafiny nie służą barbarzyńskim wojownikom za zwiadowców; zamiast tego odpoczywają na plaży, na której zamordowały dwa tysiące jego ludzi.

– Czyżby najeźdźcy zamierzali sprofanować ciała żołnierzy? – zapytał księżę Timu drżącym głosem.

Ra Olu pokręcił głową.

– Barbarzyński król, Pékyutenryo, jest przebiegły – zanim zaatakował, długo rozmawiał z mistrzem Ruthim, nietrudno więc się domyślić, że najpierw próbował wyciągnąć z niego pożyteczne informacje. Atak był starannie przygotowany i wydawał się mieć na celu wyrządzenie jak największych szkód. Nie wydaje mi się, by przywódca tych dzikusów zrezygnował z ataku z powietrza i przejęcia całego Dasu, gdyby garinafiny były do tego zdolne.

– Co masz na myśli?

Ra Olu cierpliwie wyjaśnił:

– Po intensywnym, ale krótkim wysiłku większość zwierząt potrzebuje czasu na zregenerowanie sił. Pomyśl, Wasza Wysokość, o długonogim lamparcie z Écofi, którego uważa się za najszybsze zwierzę lądowe. By dopaść ofiarę, lampart biegnie przez trawy z prędkością błyskawicy, lecz potem musi odpoczywać przez pół dnia. Zważywszy na popis ognistej siły, jaki dały garinafiny, nie zdziwiłbym się, gdyby potrzebowały czasu na odzyskanie sił.

– Czas na odzyskanie sił... – mruknął Timu. – Czyli... czyli nie są niepokonane. Nawet jeśli zioną ogniem i wydają się mieć skórę ze stali.

– Nie. Jestem pewien, że są śmiertelne, tak samo jak ja czy ty, panie. Nie mogą przelecieć nad całą Darą bez odpoczynku, paląc wszystkich na swojej drodze.

Księżę Timu poprosił o przyniesienie jego pędzelka i atramentu, a następnie zabrał się do napisania postscriptum do raportu o inwazji dla cesarza Ragina.

Sterowiec pocztowy odleciał bez księcia Timu na pokładzie.



Kiedy później tego samego dnia barbarzyńska horda wreszcie dotarła do Daye, zastała bramy do miasta otwarte. Garinafiny, a było ich około trzydziestu, dreptały między wojownikami jak przerośnięte i niezgrabne wieloryby na kurzych nóżkach, ze skrzydłami zwiniętymi równo na ciele. Z trudem poruszały się na lądzie. Księżciu Timu, który stał w bramie razem z Ra Olu, przypomniały się fantastyczne stwory wymyślone przez Kitę Thu w czasie egzaminu pałacowego sprzed kilku lat. Uczony próbował przedstawić za ich pomocą cesarstwo jako hybrydę crubena i wilka, który nie czuł się pewnie ani na lądzie, ani w wodzie.

– Słyszałem, że mieszkańcy Dary cenią sobie honor – oznajmił Pékyutenryo, który jechał na szyi śnieżnobiałej garinafiny, sprawiającej wrażenie jeszcze większej i wyższej niż pozostałe. – Czy są jednak tak wielkimi tchórzami, że nawet nie

spróbują ze mną zawalczyć, zanim zaczną błagać o litość? – Choć mówił z silnym akcentem, łatwo dało się wyczuć w jego tonie arogancję.

Timu podniósł wzrok i popatrzył barbarzyńskiemu królowi w twarz.

– Królu Pékyutenryo – rzekł – nie zrozumieliście nas. Nie jestem tutaj, by błagać o życie. Możesz mi je odebrać, jeśli chcesz.

Pékyutenryo spojrział z rozbawieniem na młodego księcia.

– Nazywam się Tenryo Roatan. *Pékyu* to tytuł, podobnie jak u was „cesarz”.

Kim jesteś?

– Jestem Timu, księżę Dary i zarządca Dasu.

Tenryo popatrzył na niego z jeszcze większym zainteresowaniem.

– Nie umiesz walczyć, prawda? Wystarczy spojrzeć na twoją gładką skórę, cienkie rączki, mizerną posturę. Z takim księciem cesarstwo twojego ojca jest placem zabaw dla dzieci.

Timu nie połknął haczyka.

– Zabiliście już tysiące... lecz wszystko to byli żołnierze i ich obowiązkiem było umrzeć w obronie ludu, a taki sam obowiązek ciąży również na mnie. Aby go wypełnić, rozkazałem mieszkańcom Dary, a także całego Dasu, przerwać opór. Nie ma honoru w toczeniu wojny z góry skazanej na klęskę. Życie jest ważniejsze.

Teraz spojrzenie Tenryo zdawało się wyrażać coś na kształt szacunku.

– Jeśli nie chcesz się ratować, dlaczego zagradasz mi wejście do miasta?

– Przybyłem tutaj, by cię ostrzec. Jeśli ośmielicie się skrzywdzić bezbronnych mieszkańców Dasu, wtedy nawet jako duch poprowadzę ich do walki przeciwko wam. Aż przegonimy was tam, skąd przybyliście!

Chociaż Timu był tylko nastoletnim chłopcem, który lepiej czuł się z pędzelkiem do pisania niż mieczem, przemawiał pewnym głosem, zachowując absolutną powagę.

Ra Olu spojrział na niego z podziwem. „Księżę Timu może nie ma postury wojownika, lecz Fithowéo jest także bogiem tych uzbrojonych wyłącznie we własną dumę, którzy zmagają się i walczą, i prą, i trują, od początku wiedząc, że nie mogą wygrać.

Tak musiał wyglądać król Jizu, kiedy powstrzymał Tanno Namena przed zniszczeniem Na Thion”.

Po chwili Tenryo roześmiał się.

– Księżę Timu, ja się duchów nie boję. Nie obchodzą mnie śliczne słówka waszych filozofów, a ludzi wymordowałem więcej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Niezliczoną ilość razy zdradzano mnie, a ja sam również zdradziłem tych, którym wydawało się, że ogranicza mnie obietnica. Doświadczenie nauczyło mnie, że nawet więź między rodzicem a dzieckiem nie jest gwarancją wierności. Posłuszeństwo można wyegzekwować jedynie poprzez przerażenie i śmierć, a nie wielkie słowa i przywoływanie imion bogów czy niewidzialnych duchów. Widok rzezi spacyfikuje nieposłusznego lud skuteczniej niż najpiękniejsza przemowa na świecie.

Timu wbił wzrok w Tenryo i powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, z jaką siłą przyszło mu się mierzyć.

– To... filozofia zła.

– Dobro i zło to tylko etykiety, którymi nazywamy rzeczy będące dla nas pomocne lub szkodliwe, a ja zaryzykowałem życie swoich wojowników wyłącznie dla nadziei znalezienia schronienia. Im jestem winien wszystko, tobie nic. Lepsze życie dla moich ludzi to jedyne, do czego dążę. Zamierzam podbić całą Darę i nie spocznę, dopóki wszyscy mieszkańcy tych wysp nie będą leżeć u moich stóp, żywi czy martwi, a lament ich kobiet nie zagłuszy szumu fal.

Timu skrzywił się pod wpływem mieszaniny przerażenia i sprzeciwu. Tenryō popatrzył na niego i kiedy znowu przemówił, w jego tonie niemal dało się słyszeć współczucie.

– Nie bój się o swoje życie, jesteś mi bardziej potrzebny żywy niż martwy. Przyjdzie ci jednak oglądać, jak czynię przykład z mieszkańców Daye. Być może będzie to dla ciebie najważniejsza lekcja.

Rzeź Daye trwała trzy dni.

Rozdział trzydziesty ósmy

Prośba cesarzowej

Pan: dziesiąty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Echo kroków odbijało się od ścian okrągłej sali. Gin Mazoti, wciąż jedyny więzień tych pustych cel, podniosła wzrok.

Z mroku po drugiej stronie krat wyłoniły się dwie postaci. Jedną z nich był strażnik niosący duży pęk kluczy. Za jego plecami znajdowała się cesarzowa Jia. Trzymała drewnianą tacę z porcelanowym dzbankiem i jedną czarką; oba naczynia jaśniały bladym blaskiem. Strażnik otworzył drzwi do celi.

Cesarzowa skinęła na niego.

– Możesz odejść.

Strażnik popatrzył na Gin, która nadal siedziała, a potem znowu na cesarzową.

– Wyjdź – powtórzyła Jia, tym razem mniej cierpliwie.

Strażnik uklonił się i wyszedł, a brzęk jego kluczy stopniowo oddalał się wraz z nim.

Jia weszła do celi, postawiła tacę przed Gin i usiadła naprzeciwko niej w *géüpa*, jakby były przyjaciółkami, które spotkały się na popołudniową pogawędkę. Nieśpiesznie napełniła czarkę, a następnie popchnęła naczynie w stronę byłej marszałek Dary.

Celę wypełnił zapach osmantusa, słodki i odświeżający. W pomieszczeniu jakby pojaśniało.

„Tylko jedna filiżanka – pomyślała Gin. – Cesarzowa nie zadała sobie nawet trudu zachowania pozorów”.

– Wino pochodzi z Dimushi, z piwnicy jednego z najstarszych rodów Amu którego posiadłość w chwili odkrycia spisku została przechwycona przez cesarstwo. To podobno jedno z najlepszych win osmantusowych, chociaż żadna ze mnie znawczyni. Ponieważ pochodzisz z Dimushi, marszałku, pomyślałam, że posmakuje ci bardziej niż mnie.

– Mam nadzieję, że akt zdrady tamtej rodziny był bardziej poważny niż mój.

– Nie uważasz ukrywania przywódców rebeliantów spod sztandaru hegemonia za zdradę?

– Uważam za swój obowiązek ochronę świadków spisku, jaki knuje osoba najbliższa cesarzowi.

Sposób, w jaki Jia zamarła po tych słowach, upewnił Gin w jej przekonaniu. Ponura to była satysfakcja, ale jednak satysfakcja.

– Noda Mi i Doru Solofi to głupcy – powiedziała Gin. – Nie rozumieli, że stali się jedynie kamykami na czyjejś planszy do gry w *cüpa*. A Rin... ach, Rin... on zawsze był taki mało pewny siebie.

– Od początku spodziewałam się, że przejrzysz ten plan – mruknęła Jia. – Dobry z ciebie taktyk.

– Nie tak dobry jak ty – odparła Gin.

– Czekalaś zbyt długo – przyznała Jia. – Nie podejrzewałam, że będziesz aż tak bezczelna, by przyjąć tych dwóch pod swój dach. Liczyłam, że Zomi Kidosu przekona cię co najwyżej do zatrzymania kilku ich popleczników. Kiedy jednak przyjął Mi i Solofiego, wiedziałam, że muszę natychmiast działać dalej.

– Myślałam, że cesarz mnie wysłucha.

– Liczyłaś na jego zaufanie. To zawsze była twoja słaba strona.

Gin sięgnęła po czarękę i osuszyła ją jednym haustem. Wino było doskonale – czyste i wytrawne, chyba najlepsze, jakie kiedykolwiek piła.

Czekała, aż poczuje pieczenie w żołądku. Miała nadzieję, że wszystko odbędzie się szybko. Zważywszy na to, ile cesarz i jego bliscy jej zawdzięczali, byli jej winni choć tyle.

Nie pojawił się jednak żaden ból, żaden dyskomfort ani dziwna senność. Zaskoczona, podniosła wzrok na Jię.

– Nie zaprawiłam wina – powiedziała cesarzowa. – Osobiście nie żywię do ciebie żadnej urazy, Gin. Wiem, że w to nie wierzysz, ale to prawda.

– W takim razie sprawdzałaś mnie. Zdałam?

– Zdałaś dawno temu. Mogłaś mnie napaść, gdy tylko tu zesłam, bezbronna, nie licząc jednego strażnika. Mogłaś zażądać, czego tylko byś chciała: na przykład sterowca, by zabrał cię w najdalszy kąt Dary, zaufanych oddziałów, by eskortowały cię z powrotem do Nokidy, audiencji u Kuniego. A jednak tego nie zrobiłaś.

– Ponieważ to nie miałyby sensu – odparła Gin. – Skoro przyszedł do mnie bez ochrony, z pewnością przygotowałaś się na taki obrót spraw. Gdybym wzięła cię za zakładniczkę, tylko potwierdziłabym swoją zdradę.

– Taktycznie do samego końca – rzekła Jia ze szczerym podziwem. – Wątpię, bym kiedykolwiek mogła się z tobą równać, gdyby nie twoja... duma.

Gin ponownie napelniła czarękę i raz jeszcze się napiła.

– To rzeczywiście bardzo dobre wino, chociaż nie takie, jakie pijałam swego czasu w Dimushi. Żyłam wtedy na ulicy i bywałam tak głodna, że zjadałam resztki, które bogate rodziny kazały wrzucać do koryt dla psów i świń. Wiem, że nigdy nie byliśmy sobie bliskie, Jia, ale cesarz był jedynym człowiekiem, który dał mi szansę i nowe życie, i nigdy bym go nie zdradziła. Dlaczego więc... dlaczego zdecydowałaś się na ten skomplikowany spisek?

– Nie znamy swoich serc tak dobrze, jak nam się wydaje – odparła Jia. – Jesteś wojowniczką, Gin, ale ja myślałam, że Dara nie potrzebuje już wojowników. Może i władza Kuniego została zdobyta mieczem, lecz by rządzić, potrzebuje tylko pędzelków. Kiedy ostry miecz leży w domu, w którym są dzieci, komuś na pewno stanie się krzywda.

– Może i nie uważam, by księżę Timu był najlepszym następcą tronu, jednak przystałabym na decyzję cesarza, jaka by ona nie była.

– I właśnie dlatego, że używasz takich słów jak „przystać”, musiałam zrobić

to, co zrobiłam. W czasie pokoju ci, którzy dowodzą armią, nigdy nie powinni mówić, kto ma zasiąść na tronie. Ta droga prowadzi do wojen, podziałów, szaleństwa.

– Walczyłabym dla Timu. Moją ambicją jest służyć Tronowi Mlecza.

– Ty może i tak. Ale czy tak samo postąpiłby Phyro? Albo Théca Kimo czy Puma Yemu? Gdyby Phyro sięgnął po sztandar rebelii, ilu arystokratów i generałów opowiedziałoby się po jego stronie? A gdyby nadszedł taki dzień, czy nie tłumaczyłabyś się sama przed sobą, że pozostajesz lojalna Kuniemu, wspierając dziecko najbardziej do niego podobne?

Gin się roześmiała.

– Czyli dlatego, że twój syn jest słaby, twoim zdaniem możesz odebrać Tronowi Mlecza tych, którzy za niego walczyli i mogą w przyszłości jeszcze o niego zawalczyć. To większa zdrada niż wszystko, co niby odkryłaś.

Jia nawet się nie skrzywiła.

– Nie obchodzi mnie latka zdrajcy, ponieważ na pierwszym miejscu stawiam służbę Darze. To nie dla Timu robię to wszystko, chociaż ty i tobie podobni będziecie tak myśleć. Trzymałabym się tego samego kursu nawet wtedy, gdyby następcą tronu okazał się Phyro. Wręcz szczególnie wtedy.

Gin popatrzyła na Jię ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem.

Cesarzowa westchnęła.

– Kiedy cruben przebija powierzchnię morza, zostawia za sobą zmiażdżone ryby i wodorosty. Kiedy statek przepływa przez ścianę burz, zostaje z połamanymi masztami i porwanymi żaglami. Cesarstwo zaś powstaje na wzgórzu czaszek i kości. Przemoc ma swoją cenę, Gin, i prędzej czy później ten dług trzeba spłacić. Chciałam zadbać o to, by koszt nie był tak wysoki, by cruben znowu wpadł do morza, burza dogoniła statek, a duchy i łaknące zemsty upiory nie pograżyły Tronu Mlecza.

Gin zastanowiła się.

– Nie ufasz nikomu, kto dzierży broń. Twoim zdaniem następcy cesarza nie mogą spać spokojnie, dopóki Tron Mlecza nie zmonopolizuje użycia siły.

– Nie tylko następcy Kuniego, ale też wszyscy mieszkańcy Dary – powiedziała Jia. – Kuni trzymał wszystkich arystokratów i generałów pod kontrolą dzięki ich osobistej lojalności, a Phyro może zdołałby utrzymać ten stan jeszcze przez jedno pokolenie. Ale co z jego następcą i spadkobiercami prowincji, które należą teraz do ciebie, Kimo, Yemu, Carucono, Çakriego i innych? W pewnym momencie opowieści o przyjaźni między rodzicami i dziadkami staną się tylko legendami, zapłonie ogień ambicji, a dowódcy armii staną się niespokojni i Dara raz jeszcze pograży się w chaosie, zaś silni zaczną żerować na słabszych. Mieszkańcy Dary zasługują na coś więcej.

– Myślisz jak Mapidéré – odparła Gin – który próbował zabezpieczyć swoje cesarstwo, odbierając ludziom broń. Ten plan się nie powiódł.

– To dlatego, że nie stworzył żadnego systemu w miejsce wyścigu zbrojeń. Nie opieram przyszłości na kruchych więzach osobistej lojalności wykutej na polu bitwy i celebrowanej w pieśniach. Chcę zastąpić ją posłuszeństwem wobec systemu praw,

systemu kierującego energię i ambicję w sieć ról i obowiązków zapisanych w księgach i powtarzanych, dopóki nie staną się niewidzialnymi łańcuchami tak prawdziwymi jak drogi i szlaki handlowe, które przecinają morza i spajają ze sobą Wyspy Dary. Wtedy siła następcy tronu nie będzie miała znaczenia. Mieszkańcy Dary potrzebują systemu, który będzie im służył bez względu na to, kto będzie cesarzem.

– I dlatego wspierasz moralistów i ich wizje społeczeństwa rządzonego przez powtarzalne rytuały i wyświechtane wzorce. Myślisz, że wyeliminujesz niezależnych dowódców i powierzysz władzę uczonym, a w najgorszym przypadku, jeśli ci postanowią się zbuntować, to zgodnie z popularnym powiedzeniem trzy lata miną im na klótniach, zanim ustalą nazwę swojej frakcji.

– Niedawne wydarzenia dowiodły mojej racji. Noda Mi, Doru Solofi i Théca Kimo się zbuntowali.

– Żaden z nich nie wystąpiłby przeciwko władzy cesarza, gdybyś nie przekonywała go nieustannie do ograniczania ich władzy, do podkopywania ich poczucia bezpieczeństwa, a w niektórych przypadkach nawet wprost nie zachęcała do rebelii. Zmusiłaś ich do zrobienia czegoś, co chciałaś zobaczyć.

– Ja jedynie podsycalam ich naturalne tendencje, które z czasem rozkwitłyby bez niczyjej pomocy. Ile bym im nie ułatwiała tej drogi, ostateczna decyzja należała do nich. Wilk nigdy nie będzie posłusznym psem, a rekin łagodnym morświnem.

Gin się roześmiała.

– Piękna przemowa, by usprawiedliwić czyjeś uwięzienie.

– Myślisz, że zatrulałam ziemię. Ja uważam, że tylko wyciągnęłam z niej truciznę. Myślisz, że przewróciłam wiadro. Ja uważam, że dzięki mnie tylko szybciej upadło. Spodziewam się, że nigdy nie zgodzimy się w tej kwestii, ponieważ każda z nas widzi tylko to, co spodziewa się zobaczyć. Nie żałuję tego, co zrobiłam, ponieważ wiem, że w głębi duszy oboje z Kunim zdajecie sobie sprawę ze słuszności moich poczynań. Kuni ma zbyt miękkie serce, żeby posunąć się aż tak daleko, wie jednak, że lepiej wyparzyć ranę od razu, niż pozwolić jej jątrzyć się i przez to doprowadzić do rozwoju choroby, jakiej jego dzieci nie zdołają uleczyć. Wiesz, że już czułaś pokusę buntu, a oparcie się jej raz nie daje żadnych gwarancji na przyszłość.

– Sprawiasz, że żałuję, iż kiedyś posłuchałam żebraka w białej pelerynie, który w czasach, gdy wciąż miałam szansę samodzielnie kształtować swoją przyszłość, doradził mi, by nie pomagać ani cesarzowi, ani hegemonowi.

Jia popatrzyła na nią ostro.

Gin westchnęła i odwróciła wzrok.

– A teraz gniewam się sama na siebie, że z żalem wspominam tamten dzień, w ten sposób tylko potwierdzając twoje spojrzenie na świat. Brzydki i brutalny świat, w którym wcale nie chcę mieszkać.

– Tylko taki mamy – odparła Jia. – Dla stabilności cesarstwa i bezpieczeństwa ludzi jestem gotowa zrobić wszystko i dać się osądzić historii.

– Wygrałaś – przyznała Gin. – Może i jestem dobrym taktykiem i nie boję się

śmierci, ale Luan miał rację. Nie mam serca do tego rodzaju polityki. – Znowu nalala sobie wina i się napiła.

– Naprawdę wygrałam? – zapytała Jia. Gin czekała na dalszy ciąg, lecz Jia pograżyła się w myślach. Przemówiła dopiero po dłuższej chwili: – Gdyby mój mąż poszedł na wojnę osobiście, ilu ludzi twoim zdaniem mógłby poprowadzić?

Pytanie zaskoczyło Gin.

– Pan Garu mógłby być dobrym setnikiem – odparła po zastanowieniu. Niemal nieświadomie wróciła do znajomych formuł z dawnych lat, kiedy razem z Kunim, Cogo, Luanem i Risaną na plaży Dasu, przy ognisku, debatowali nad strategią. – Pod presją mógłby poradzić sobie z oddziałem tysiąca żołnierzy, gdyby dać mu sprecyzowane plany i cele. Powyżej tego jednak uważałabym go raczej za ciężar niż atut. Nie jest z natury taktykiem, decyzje podejmuje zbyt impulsywnie, a do tego nie jest gotów na poświęcenia, jakich czasami musi dokonać dobry generał.

– A ty? Ilu ludzi mogłabyś poprowadzić?

Gin popatrzyła na nią z pogardą.

– Byłam marszałkiem Dasu, a później marszałkiem Dary. Wysyłałam dziesiątki tysięcy na śmierć, a także zabiłam setki tysięcy. Bez względu na wielkość armii mogłabym prowadzić ją tak dobrze jak miecz w tańcu.

– W takim razie dlaczego mu służysz? Jak możesz twierdzić, że nigdy byś się nie zbuntowała i nie wystąpiła przeciwko Tronowi Mlecza, jeśli przyznajesz, że swoje umiejętności oceniasz lepiej niż jego?

Gin popatrzyła na nią spokojnie.

– Wcale tak nie powiedziałam. Umiejętność dowodzenia żołnierzami to nie to samo co umiejętność rządzenia. Służyłam panu Garu, ponieważ potrafił coś, czego ja nie potrafiłam: uczynił Darę lepszym miejscem dla wszystkich dzieci na ulicach Dimushi. Dzieci, których ja nie umiałam uratować. Ta wiara nigdy we mnie nie osłabła.

Jia westchnęła.

– Naprawdę żałuję, że się nie zaprzyjaźniłyśmy. Moje pragnienia są takie same jak twoje, a jednak wciąż jestem przekonana, że w imię trwałego pokoju w Darze tacy ludzie jak ty muszą odejść niczym nocna mgła o świcie.

Siedziały w ciszy przez dłuższą chwilę, pogrążone w rozmyśleniach. Wreszcie Gin powiedziała:

– Mam już dosyć czekania. Daj mi odpowiednio długi sznur albo butelkę zatrutego wina. Proszę tylko, by moja córka...

– Nie stanie jej się żadna krzywda.

– Może się okazać, że będzie miała talent... – Twarz Gin, która przez chwilę zdradzała wrażliwość, znowu stężała. – Sama ukształtuje swój los, tak jak ja. Jestem gotowa odejść zgodnie z twoim życzeniem.

Jednak Jia pokręciła głową.

– Twoje odejście byłoby pożądane, gdyby w Darze panował pokój. Niestety bogowie lubią krzyżować nasze starannie przygotowywane plany.

– Rebelia nie wymknęła się spod kontroli. Nawet dzieci cesarza będą w stanie

sobie z nią poradzić, jeśli da się im dość czasu.

– Nie, problem leży gdzie indziej. – Z fald rękawa Jia wyciągnęła raport księcia Timu i podała go Gin. Ta rozwinęła zwój i zaczęła powoli czytać. Kiedy podniosła wzrok, wyraz jej twarzy nie zmienił się ani odrobinę.

– Proszę cię o uratowanie mojego syna, Gin Mazoti. Proszę cię o uratowanie Dary.

– W takim razie ogłoś mnie niewinną i wyznaj swój spisek przeciwko mieszkańcom Dary – odparła Gin. – Nie stanę do walki, dopóki moje imię nie zostanie oczyszczone.

Przez długi czas Jia nic nie mówiła. Gin czekała.

– Nie mogę.

– Ach, próżność.

– Nie – zaprotestowała Jia. – Jeśli zrobię to, o co prosisz, cały mój wysiłek zda się na nic. Nikt nie ośmielił się wystąpić przeciwko niezależnym arystokratom i kontrolowanym przez nich oddziałom przez wiele pokoleń, a całą Darę czekać będą w przyszłości wojny domowe.

– Powiedziałam już, czego oczekuję. Musisz wybierać.



Wieści i plotki o najeździe Lyucu szybko rozprzestrzeniły się po całej Darze, kiedy uchodźcy z Dasu i Rui przybyli na brzeg Wielkiej Wyspy.

– Barbarzyńcy dosiadają latających słoni, które zioną ogniem!

– Bestie nazywają się garinafyny i potrafią znacznie więcej niż tylko zionąć ogniem. Wystarczy spojrzeć im w oczy, żeby zmienić się w kamień, a potem rozbijają cię na kawałki swoimi orlimi szponami i wilczymi zębami.

– Rui upadło w pięć dni! *Pékyu* Tenryo wysłał garinafyny przez zatokę Gaing na statkach-miastach i w jednej chwili na ziemię spadło pięćdziesiąt sterowców. Dacie wiarę? Mówią, że zginęło pięć tysięcy ludzi, w tym zarządca i cała jego rodzina, a nawet jeden barbarzyńca nie został ranny.

– Widziałam kobietę, która straciła wszystkie dzieci w jednej kuli ognia. O, bogowie! Płomienie ją ominęły, ale trzymała córeczkę za rączkę i tylko ta rączka jej z córeczki została. Przez kilka dni nie chciała puścić zwęglonego kikuta. Wsadziliśmy ją do łodzi, ale teraz musimy jej ciągle pilnować, żeby się nie powiesiła...

– Widziałem mężczyznę, którego oczy zrobiły się czerwone jak ogień, kiedy Lyucu zabili mu na jego oczach rodziców, żonę i trójkę dzieci. Rzucił się na barbarzyńców z jedyną bronią, jaką posiadał, czyli łopatą, a oni tak tłukli go swoimi pałkami, że została z niego miazga – tylko mięso i roztrzaskane kości...

– Widziałam takie koszmary, kiedy Lyucu weszli do mojej wioski, a sama schowałam się pod łodzią obróconą do góry dnem. Zabili wszystkich, którzy wydali im się zbyt starzy, chorzy albo niedołężni, by mogli się nadawać do pracy, a potem kazali matkom udusić małe dzieci, żeby mogły zostać konkubinami wojowników Lyucu...

– Jako jedyna uciekłam z rodzinnego miasteczka, ponieważ Lyucu chcieli uczynić z niej przykład. Rywalizowali ze sobą o to, który podrzuci wyżej niemowlę i puści je, by rozbilo się o ziemię. Kazali dzieciom wybierać, którego z rodziców chcą zatrzymać przy życiu, a potem i tak zabijali oboje. Wszystkich nas zmusili do ucieczki do lasu, a potem polowali na nas dla rozrywki...

– Czy latające słonie nie mogą zabrać barbarzyńców na inne wyspy?

– Oczywiście, że mogą! A teraz cesarz stracił bazę powietrzną na górze Kiji i nie będziemy mogli uzupełnić gazu w sterowcach. Chociaż dotychczas i tak na nic się nie zdały.

– A marszałek Mazoti nie może czegoś zrobić? Mówią, że cesarzowa poprosiła ją, by wróciła na dawne stanowisko i broniła Dary, by odkupić zdradę.

– Ale co może marszałek? Jest tylko śmiertelniczką, tak samo jak my, a barbarzyńcy walczą jak nikczemni nieśmiertelni.

– Niech bogowie mają nas w swojej opiece.

– Gdzie się w ogóle podziewają?

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Odejście dalekowiedza

Pan: jedenasty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Pozbywszy się resztek rebeliantów w Tunoi, księżę Phyro, księżniczka Théra i księżę Rin Coda wrócili do pogrążonej w chaosie stolicy.

Po krótkim rodzinnym spotkaniu, ponurym ze względu na nieobecność Timu, Kuni wyszedł z Rinem, by przedyskutować sytuację w Darze. Jia udała się do świątyni Tututiki, żeby pomodlić się za Timu. Z kolei zarówno Phyro, jak i Théra chcieli kogoś odwiedzić.

Risana zaprotestowała natychmiast, gdy tylko syn powiedział jej, co zamierza.

– Dlaczego nie mogę odwiedzić cioci Gin? – zapytał Phyro. – Tylko ona może uratować Timu!

– Musisz się nauczyć panować nad emocjami – odparła Risana. – Pomyśl: Gin jest teraz zdrajczynią, która nie chce walczyć dla cesarza. Jeśli się z nią zobaczysz, wszyscy ujrzą w tym wyraz wątpliwości. Podkopiesz autorytet cesarza, a to ostatnia rzecz, jakiej teraz nam trzeba.

– Nie podoba mi się to.

– W sztuce wojny i polityki wizerunek jest wszystkim – powiedziała Risana. – Od dawna powinieneś to wiedzieć.

Z kolei Théra postanowiła odnaleźć Zomi Kidosu, która zatrzymała się z księżniczką Ayą w kwaterach dla gości poza murami pałacu. Cesarzowa nie chciała, żeby opuszczały Pan, dopóki sprawa Gin nie zostanie zakończona.

Księżniczka nigdy wcześniej nie widziała Zomi takiej zagubionej. Młoda adwokat cały czas przekładała papiery na swoim biurku, udając pogrążoną w pracy, lecz widać było, że myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– Co robisz?

Zomi podniosła wzrok, jakby zdziwiona obecnością księżniczki.

– Zajmuję się sprawami cywilnymi Gėjiry na odległość, dopóki znajduje się... pod cesarską okupacją. Stworzyłam pewne programy dla królowej, której cesarscy generałowie nie rozumieją...

– Nie to miałam na myśli – przerwała jej Théra. – Czy to, co napisałaś o królowej, jest prawdą?

Zomi odwróciła wzrok.

– Wasza Wysokość, ja... ja nie... proszę.

Théra westchnęła. Oglądanie Zomi w tym stanie wydawało jej się niewłaściwe – jakby zobaczyła ją nago. „Czy właśnie dlatego Kon Fiji przestrzegał swoich uczniów przed wielbieniem bohaterów? »Przesadny podziw zaowocuje wyłącznie rozczarowaniem«”.

Chciała opowiedzieć Zomi o swoich dokonaniach w Tunoi, spodziewając się,

że zainteresuje ją temat magicznych luster. Pragnęła jej pokazać, że zmieniła się, dorosła. Wcale nie tak miało wyglądać ich powtórne spotkanie: w oparach zwątpienia i zdrady.

– Prowadzisz teraz życie, jakiego pragnęłaś? – zapytała i odeszła, zanim Zomi zdążyła odpowiedzieć.

Mój Najbliższy Przyjacielu,

Często rozmyślam o tamtej chwili, kiedy uratowałeś mnie przed strzałami lecącymi z nieba, gdy byliśmy jeszcze chłopcami, którzy poszli na wagary, żeby obejrzeć paradę Mapidérégo...

Rin Coda zawahał się, nie wiedząc, jaki wybrać następny logogram. Zawsze doskonale posługiwał się słowem pisanym, teraz jednak miał problem z wyrażeniem swojego smutku.

Dziecko mojego najlepszego przyjaciela zostało pojmane przez okrutnych przybyszów zza morza, a jedyna kobieta, która mogłaby je uratować, została oskarżona o zdradę i wtrącona do więzienia.

Jak mogło do tego dojść?

Miękki bloczek wosku w jego dłoni rozpuszczał się i w końcu na jedwabiu, obok szeregu idealnie wyrzeźbionych logogramów pojawiła się niezgrabna klucha, będąca ucieleśnieniem burzy szalejącej w jego umyśle. Rin westchnął, zgasił płomień świecy i odłożył wosk.

„Théca Kimo został stracony – myślał – a reputacja Gin Mazoti zrujnowana. Wielu ludzi zginęło w bezsensownej wojnie. Wszystko to wydarzyło się, ponieważ zabrakło mi pewności siebie, ponieważ postanowiłem powiększyć swoje wpływy, podsycając rebelię, którą mógłbym potem ujawnić i poskromić”.

Ustawił stół na środku pomieszczenia, dokładnie pod jedną z belek biegnących równolegle do sufitu, wspierał się na blat i przerzucił przez belkę jedwabny szal. Zawiązał jego końce.

„Nie mogę winić Jii. Może i podpowiedziała mi takie rozwiązanie, ale to ja tego wszystkiego dokonałem. Przekazałem Nodzie Mi i Doru Solofiemu fundusze na rzecz rebelii. Pozwoliłem, by broń Théki Kimo dostała się do Tunoi, wplątując go w spisek, z którego nie mógł się wyplatać. Nie przeszkodziłem Mi i Solofiemu w ucieczce do Géjiry, myśląc, że może jeszcze się do czegoś przydadzą. Tworząc widmowe zagrożenia i gratulując sobie ich pokonania, zaniedbałem spoczywające na mnie obowiązki i pozwoliłem, by do Dary wkroczył prawdziwy wróg”.

Wsunął głowę w powstałą pętlę, raz jeszcze owinał szyję jedwabiem i sprawdził, czy materiał wytrzyma.

„Wszystko co mam, zawdzięczam Kuniemu, a jednak zdradziłem go bardziej niż ktokolwiek inny. Nie mógłbym spojrzeć w oczy Théce Kimo. Nie mógłbym spojrzeć w oczy Gin Mazoti. A już na pewno nie mógłbym spojrzeć w oczy mojemu

przyjacielowi”.

Wykopał stolik spod nóg. Jego ciało opadło o kilkanaście centymetrów i zatrzymało się, kiedy jedwabny szal się naprężył. Rin wierzgnął członkami raz i drugi, a potem zmarł; pomieszczenie wypełnił smród moczu i odchodów. Stłumione odgłosy szarpaniny ustały.



Jia i Kuni usiedli w *mipa rari* po przeciwnych stronach niskiego stolika. Między nimi leżał niedokończony list Rina Cody.

– To przez ciebie – rzekł Kuni.

Jia nic nie powiedziała. Myślała o Otho Krinie.

Samobójstwo Rina sprzed dziesięciu dni doprowadziło do szeroko zakrojonego śledztwa, które przeprowadził Cogo Yelu. Był w swych działaniach wyjątkowo zapamiętały – być może dlatego, że chciał oczyścić swoje dobre imię po upadku Gin Mazoti – i odkrył wiele przypadków korupcji, a także otwartego wspierania rebeliantów przez dalekowidzów. Znalezione i stracono wielu winnych.

– Jak to możliwe, że tak się od siebie oddaliliśmy? – mruknął Kuni. – Do tego jestem zmuszony trzymać to wszystko w tajemnicy. Jeśli wyjawię prawdę na temat samobójstwa Rina i twojej roli w ostatnich wydarzeniach, cesarstwo rozpadnie się w chwili, w której zupełnie nie możemy sobie na to pozwolić. Władcy, podobnie jak bogowie, muszą uchodzić za nieomylnych. Założyłaś na mnie jarzmo kłamstwa, którego nie mogę się wyrzec.

Jia pochyliła głowę.

W końcu Cogo zaczął podejrzewać o udział w spisku kasztelana Otho Krina, jednak mimo gróźb i tortur Otho nie ujawnił roli, jaką odegrała cesarzowa.

Zmarł w więzieniu. Powiedziano, że popełnił samobójstwo. Może była to prawda, może nie.

Miłość sprawia, że decydujemy się na przedziwne kroki.

Jego milczenie było na wagę złota. Chociaż Kuni podejrzewał, co zrobiła, Cogo nie potrafił zdobyć żadnego dowodu. Mimo że cesarz znał prawdę, dopóki nie mógł jej udowodnić, pozycja Jii pozostawała niezagrożona.

Miała nadzieję, że w końcu Kuni zrozumie, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

Miłość sprawia, że decydujemy się na przedziwne kroki.

Siedzieli w ciszy przez dłuższy czas. Ramiona Jii zaczęły drżeć, a na blat stolika kapnęło kilka łez.

– Wyprawię mu wystawny pogrzeb – mruknął Kuni. – Och, Rin, ty naiwny głupcze. – Spojrzał na swoją żonę, a każdą zmarszczkę na jego twarzy wypełniał smutek. – Nie potrafisz nawet przeprosić.

Wstał i wyszedł.

Jia nie podniosła głowy.



Do pomieszczenia weszła Soto i otuliła Jię kocem. Cesarzowa przez kilka godzin nie ruszyła się z miejsca, nawet po wyjściu cesarza.

– Wiem, że uważasz mnie za potwora – rzekła.

– Nie wiem, co uważam – odparła Soto. – Ale wciąż jestem twoją przyjaciółką.

– Dziękuję – szepnęła Jia i wzięła Soto za rękę. Trwały tak przez chwilę w migotliwym blasku świec. – Miałam kiedyś sen. Pani Rapa powiedziała mi w nim, jak ważne są trwałe struktury i systemy, takie, które zmieniają się niemal niezauważalnie, jak lodowe rzeki. Powiedziała mi też o niestałej naturze więzów lojalności i wiary, zmiennej jak języki ognia.

– Tylko ludzie ograniczeni winią bogów za własne przewinienia.

– Och, ja nie wskazuję winnego. Sny często są tylko odzwierciedleniem naszych myśli w postaci metafory.

– Twój sen kusi prostotą – rzekła Soto. – Lecz jest jak modele kreowane przez filozofów, które nijak się mają do złożoności prawdziwego świata.

Jia odwróciła wzrok.

– Czyż bez marzeń i pogoni za nimi nie jesteśmy niczym wodorosty płynące z prądem?

– Żałujesz tego, co zrobiłaś?

Jia pokręciła głową.

– Wszystko, co zrobiłam, zrobiłam dla dobra Dary. Po prostu mi się nie udało. Gdyby nie przybycie Lyucu, zapewniłabym Wyspom pokój na wiele pokoleń. Nie mogę przepraszać, skoro nie uważam, że postąpiłam niesłusznie.

– Jednak twoje metody... Jia, szkoda, że nie wybrałaś innej drogi. Rozlew krwi powinien być krokiem ostatecznym, nie pierwszym.

– Nie mam charyzmy Kuniego, który być może znalazłby lepszy sposób na rozbrojenie arystokratów, choćby przy pijackiej grze. Nie mam też siły Maty, który mógłby wyegzekwować pokój mieczem i pałąką. Nie jestem tak zdolna jak Luan Zya, który mógłby zwabić ambitnych w pułapki skonstruowane znacznie przebieglej. Im jednak brakowało mojej wizji, dlatego musiałam wykorzystać metody dostępne mi jako kobiecie na cesarskim dworze: intrygi, spiski, sprowokowane rebelie.

Soto westchnęła.

– Jednocześnie zgadzam się z tobą i nie zgadzam. Zginęło tylu ludzi... Wydaje mi się, że zaciągnęłaś dług, którego nigdy nie zdołasz spłacić.

– Jestem gotowa poddać swoje wybory osądowi. Tak samo jak Kuni i każdy inny, kto dźierży władzę.

Soto pokiwała głową.

– W takim razie dlaczego tu siedzisz?

Jia popatrzyła na nią.

– Znalazłam się w niełasce, nic już nie mogę zrobić.

– A jednak wciąż jesteś cesarzową Dary i życie ludzi, na których tak ci zależy, zostało zagrożone przez przybyszów z północy.

– Myślę, że dni mojego wtrącania się w politykę już się skończyły.

Po chwili ciszy Soto rzekła:

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie chodziłaś oglądać teatrzyk cieni?

Zaskoczona Jia pokiwała głową.

– Przedstawienia zaczynały się wieczorem, przed zachodem słońca. Zazwyczaj pierwszy akt kończył się jakiegoś rodzaju tragedią: kochanków rozdzielała zazdrość albo podejrzliwość, zły minister wygryzał lojalnego generała, pani zwalniała wierną służkę z powodu nieporozumienia.

Jia roześmiała się cicho.

– A zanim zaczynała się przerwa, nastawała noc. Na niebie migotały gwiazdy, zupełnie jakby wybrały najgorszy moment, by rozpocząć oglądanie spektaklu.

– Ale zawsze jest drugi akt – rzekła Soto. – Zawsze.

Popatrzyły na siebie. Wreszcie Jia kiwnęła głową i ścisnęła dłoń przyjaciółki.

Rozdział czterdziesty Zdrada Ra Olu

Rui: jedenasty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

W zatoce Gaing wiał chłodny wiatr. Ponad falami szybowwały ogromny sokół Mingén, dwa kruki, czarny i biały, oraz gołąb. Tymczasem pod spienioną wodą zataczał kręgi potworny rekin. Chmury otaczała złota poświata, jakby odbita w luskach karpia, a jeśli ktoś nastawił uszu, uderzające o brzeg fale zdawały się wydawać odgłosy przypominające skowyt wilków.

Rekin, *pawi* Tazu, pana kapryśnych wód, wyskoczył z morza i wyszczerzył zęby, w których odbijały się promienie słońca.

Sokół Mingén, *pawi* Kijego, pana wiatrów, zanurkował w jego stronę, skrzecząc zuchwale.

– Z czego się śmiejesz, Tazu?

– Bóg ptaków został przegoniony ze swojego domu przez oskrzydłonych barbarzyńców. Myślę, że wielu uznałoby to za zabawne.

– Straciłeś wszelką empatię? Śmieję się, śmieję, ale po ciebie też przyjdą na Wilczą Łapę.

– Ja śmieję się ze wszystkiego, bracie. Ty z niczego. W tym leży twój problem.

Na niebie zatańczyły złote chmury, a Tututika, najmłodsza spośród bogów, rzekła czystym, melodyjnym głosem:

– Przestańcie się przekomarzać. Cała Dara znalazła się w niebezpieczeństwie: wszystkie wyspy, wszyscy ludzie, wszyscy bogowie. Musimy coś zrobić.

Wilcze fale zaskowyczały, gdy do rozmowy dołączył waleczny Fithowéo:

– Sugerujesz, byśmy wystąpili przeciwko Lyucu? A co z naszym paktem, by nie ingerować bezpośrednio w sprawy śmiertelników?

– Lyucu nie pochodzą z Dary. Pakt nie ma tu zastosowania.

Wielki rekin znowu pokazał swój śmiercionośny uśmiech.

– Cóż za sofizmaty! Co to znaczy, że nie pochodzą z Dary? Nie pierwszy raz do tych brzegów przybili najeźdźcy. Wyspy były zamieszkane, kiedy pojawili się tu Ano, co w oczach wiecznych gwiazd nawet nie działo się tak dawno temu. Tamtego ludu nie próbowaliśmy bronić przed pogromem, prawda?

Pozostałe *pawi* odwróciły wzrok ze wstydu, a Tazu ciągnął dalej:

– W czasie Wojen Diaspory niektórzy walczyli przeciwko nim, inni ich wspierali, a znaleźli się i tacy, co zmieniali strony. I wygląda na to, że wszyscy ostatecznie woleliśmy kadzidło, muzykę, posiłki ofiarne i wielkie świątynie, które oferowali nam spadkobiercy Ano, zamiast leśnych kapliczek z nierówno ociosanego drewna, jakie stawiali nam przodkowie mieszkańców Tan Adü. Czy to nie jest ledwie kolejny obrót wiecznego koła zmian? Pamiętajcie, nie jesteśmy śmiertelnikami, ich zmartwienia nie są naszymi.

Pozostali bogowie przez chwilę milczeli, lecz w końcu odezwał się krążący nad wzburzonym morzem łagodny gołąb Rufizo.

– Przybycie Ano było czasem rozlewu krwi, a ty masz rację, mówiąc, że wszyscy dokonaliśmy w Wojnach Diaspory czegoś, z czego nie jesteśmy dumni. Lecz wtedy byliśmy inni, młodszy, bardziej jak dzieci, które nie znały różnicy między dobrem i złem. Spadkobiercy rodzimych mieszkańców tych wysp wymieszali się z Ano i utworzyli lud Dary, podobnie my: zmieniliśmy się, dojrzeliliśmy. Inaczej się ubieramy, mówimy, walczymy, dyskutujemy i kochamy, a wszystko to przez Ano. Każde z nas chodziło między nimi w ludzkiej postaci, każdy wybierał sobie kochanków pośród nich...

Kiedy kilkoro spośród bogów przypomniało sobie dawne namiętności, chmury przybrały karmazynowy odcień. Rekin Tazu zarechotał nieprzyjemnie.

– ...Ano zmienili nas swoimi modlitwami, filozofią i kulturą, tak samo jak my zmieniliśmy ich za sprawą przywództwa i perswazji – ciągnął Rufizo. – Pragnę wierzyć, że rozwinęliśmy w sobie poczucie odpowiedzialności.

Gdy Tazu przemówił, jego szeroki rekini uśmiech sprawiał wrażenie szyderczego.

– Brzmisz jak śmiertelny moralista, ale skąd wiesz, że za tysiąc lat ci przybysze, którzy nazywają się Lyucu, także nie wybudują nam wielkich świątyń i nie będą nas wielbić, uważając się za lud Dary? Włócznie pierwotnych mieszkańców tych wysp już zgniły, a kości leżą głęboko w ziemi, jednak Wyspy nadal tu są, podobnie my. Pozwólmy im walczyć, a sami pogrywajmy sobie z nimi tak jak kiedyś. Czy Kuni Garu nie mówi ciągle o wybieraniu najbardziej interesującej drogi? Moim zdaniem najbardziej interesujące będzie patrzenie, jak ludzie zabijają się nawzajem, zwłaszcza że Lyucu mają te wspaniałe bestie.

Teraz przyszedł czas na Bliźniaczki z Cocru – upartą i cierpliwą Rapę, boginię snu i odpoczynku, oraz impulsywną i nieprzewidywalną Kanę, boginię śmierci i ognia.

– Ukształtowaliśmy mieszkańców Dary...

– Podobnie jak mieszkańcy Dary ukształtowali nas, moja siostrze. I jesteśmy po części odpowiedzialni za kryzys, w jakim się dzisiaj znaleźli.

Czarny kruk Kany spojrzął na rekina Tazu, który niedbale pluskał się w wodzie, a potem na białego kruk Rapy, który odwrócił wzrok bez słowa.

– Nie możemy stać z boku i patrzeć.

Raz jeszcze sokół Mingén Kijego zapikował nad pozostałymi *pawi*.

– Lyucu modlą się do własnych bogów. Jesteś zazdrośnikiem, Tazu. Nie martwisz się, że jeśli wygrają, zostaniemy zapomniani i przepadniemy?

Jednak rekin nie dał się zbić z tropu.

– Pośród bogów, do których wznoszą modły, dwoje nosi imiona Wszechojca i Wszechmatki. Kto wie, może Wszechojciec to tylko inne imię naszego ojca, Thasoluo? Wezwał go Moäno, Król Wszystkich Bogów, więc możliwe, że udał się na inne lądy i splodził inne dzieci. Morze jest rozległe, a za horyzontem leżą inne światy, czego dowiodło pojawienie się Lyucu. Jesteście gotowi złamać obietnicę daną naszej

matce i pójść na wojnę przeciwko dzieciom naszego ojca zza morza?

Biały kruk Rapy zaskrzeczał gniewnie:

– To czyste spekulacje! Nawet nie poznaliśmy tych innych bogów! Ty tylko chcesz, by więcej ludzi umarło!

– I co z tego? Spodziewałbym się, że twoją siostrę też by to ucieszyło. Kto mi powie, że nie dbam o rodzeństwo?

Czarny kruk zakrakał.

– Śmierć jest moją domeną. Ale to nie znaczy, że nie liczy się dla mnie nic innego.

Rekin ostrzegawczo machnął ogonem.

– Nadal uważam, że nie powinniśmy bezpośrednio się wtrącać, przynajmniej do czasu, aż nie dowiemy się czegoś więcej o tych ludziach i bogach, których ze sobą zabrali. Bardzo jednak lubię intrygi, dlatego zamierzam pogrywać z tymi przybyszami na wspaniałych wierzchowcach.

Fale znowu zaskowyczały jak wilki.

– Szkoda, że nie ma z nami Lutho. On zawsze ma najlepsze pomysły.

Rekin pokiwał głową.

– Gdzie się podziewa ten stary zółw? Nie widziałem go, odkąd pojawiły się statki-miasta.

Żaden z bogów nie potrafił przypomnieć sobie spotkania z najmądrzejszym spośród rodzeństwa. Dyskusja ciągnęła się w podobnym, mało entuzjastycznym i chłodnym tonie jeszcze przez jakiś czas. W końcu bogowie się rozstali, nie podjawszy ostatecznej decyzji.



– Co masz do powiedzenia, barbarzyńco z Dary? – zapytał *pékyu* Tenryo. Razem z wodzami siedzieli w wielkiej sali pałacu w Kriphi, stolicy i największym mieście na wyspie Rui.

Wszyscy Lyucu przyozdobili się sznurami pereł i koralii zabranymi nieszczęsnym mieszkańcom miasta. Wszędzie dookoła wały się sterty biżuterii, naczyń wykonanych z drogocennych metali, a także srebrne i złote monety. Oni zaś pili *kyoffir* i wino z piwnic zarządcy. Młode kobiety i kilku przystojnych młodzieńców, synowie, córki i żony bogatych mieszkańców *Daye*, siedzieli na kolanach wodzów albo obok nich, chichocząc i śmiejąc się, uwodzicielsko nalewając im napoje i obdarowując ich pocałunkami. Jeńcy otaczali ramionami swoich zdobywców.

Na środku sali klęczał *Ra Olu*, były regent *Dasu*. Czolem dotykał dywanu.

– Ten głupiec błaga, by wspaniała *pékyu* zdradził mu, kiedy zamierza wyprowadzić swoją cudowną armię i zdobyć resztę *Dary*.

Pékyu Tenryo głośno beknął i zepchnął z kolan kobietę – była to pani *Lon*, żona *Ra Olu*. Tenryo czerpał szczególną przyjemność z poniżania pojmanych arystokratów *Dasu* i *Rui* i między innymi w taki właśnie sposób ostentacyjnie

okazywał swoją wyższość.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Zaplanowanie inwazji na główne wyspy jest poważnym przedsięwzięciem... może więc tenże skromny sługa mógłby pomóc?

– Czyżby? – Tenryo spojrział podejrzliwie na Ra Olu. – Timu przy każdym spotkaniu powtarza, że duch arystokratów i urzędników Dary jest niezłomny i że nigdy mi się nie poddadzie. Czy twoim zdaniem się myli?

Timu i pozostali możni, którzy odmówili poddania się i służenia Lyucu, zostali wysłani do pracy razem z chłopami przy późnojesiennych zbiorach – gromadzili paszę dla garinafin i stad długowłosego bydła przywiezionego na statkach-miastach – a także do konstruowania broni i fortyfikacji dla armii Lyucu. Ogólnie rzecz biorąc, byli traktowani niewiele lepiej niż zwierzęta. Timu, chociaż z natury słaby i mizernej postury, stał się dla wszystkich inspiracją. Znosił biczowanie nadzorców bez skargi i nieustannie zapewniał zniewolonych, że lada dzień przybędzie cesarz i przegoni najeźdźców.

Dotychczas Ra Olu trzymał stronę swojego pana. Ta nagła zmiana tonu była... intrygująca.

– Książę Timu jest upartym człowiekiem – rzekł Ra Olu. Spojrział na skarby zebrane wokół wodzów Lyucu, których nazywano również thanami, a także naczynia pełne mięsa i ryb, a błysk chciwości w jego oczach zdawał się żyć własnym życiem. Przelknął głośno ślinę. – Jednak większość mieszkańców Dary to ludzie, z którymi można się dogadać.

– Myślałem, że miejscowi patrzą na nas z pogardą i nazywają nas barbarzyńcami. – Tenryo otoczył ramieniem panią Lon i zaczął pieścić jej piersi. – Nie przeszkadza ci, że twój mąż nie okazuje gniewu, chociaż każdej nocy zabieram cię do łóżka?

– Każdy chce, by mu było lepiej – powiedziała pani Lon, a jej twarz przybrała karmazynowy odcień. Objęła *pékyu* Tenryo za szyję, zachichotała i pocałowała go. – Kto by nie chciał jeść mięsa i pić wina, zamiast walczyć z wieśniakami o kawałek twardego suchara z koryta i chleptać wodę z kałuży?

Pékyu Tenryo się roześmiał. Konsekwentne ponížanie tych arystokratów Dary wreszcie przynosiło pożądane efekty. Zawsze wiedział, że ci ludzie są słabi.

– Wielki *pékyu* Tenryo jest niepokonany – powiedział Ra Olu, raz jeszcze dotykając czołem podłogi. – Moja żona okazała mądrość, postanawiając ci służyć. Każdy z nas mógłby się czegoś nauczyć, wzorując się na jej poddaństwie, które jest jedyną drogą w obliczu tak przeważającej siły. Jednak rządziłem tym ludem znacznie dłużej niż ty, panie. Nawet ktoś tak mądry jak ty może skorzystać na kilku moich radach.

– Co dokładnie chodzi ci po głowie?

– Chociaż podniebna armia Lyucu jest wszechpotężna i cała Dara wkrótce padnie wam do stóp, faktem pozostaje, że wojowników Dary jest wielu, a wojowników Lyucu relatywnie mało. Zauważyłem, że spora ich część zajmuje się bezproduktywnym pilnowaniem chłopów i możnych, niczym pasterze

doglądający nieposłusznego bydła, by nie zrobiło sobie krzywdy... Do tego każdego dnia kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset, mieszkańców tych wysp należy zabić po niefortunnych incydentach domniemanego sabotażu. Czy nie lepiej byłoby zabrać jak największą liczbę wojowników na pole bitwy, zamiast martwić się, że kilku upartych arystokratów Dary wznieci rebelię pod ich nieobecność?

– Kontynuuj.

– Większość zwykłych ludzi byłaby gotowa służyć Lyucu, chociaż część z nich może się okazać podatna na kłamstwa cesarza i jego puste obietnice kontraktaku. Proponuję, byśmy połączyli ludność z Rui i Dasu w grupy, w skład których wchodziłoby po dziesięć rodzin. Każda taka grupa wybrałaby swojego dziesiętnika, który byłby odpowiedzialny za pilnowanie jej członków. Jeśli ktoś spośród tworzących ją ludzi okazałby się zdrajcą, cała grupa zostałaby zgładzona. Ponieważ chłopów pilnowaliby starszyzna i arystokraci w miejsce naje... eee, w miejsce panów Lyucu, rzadziej dochodziłoby do nieporozumień, a co za tym idzie, trzeba byłoby zabić mniej cennych niewolników.

– Och... Sugerujesz, by zamiast Lyucu ludzi Dary pilnowali oni sami. – W oczach Tenryo pojawił się blask. – To całkiem sprytne.

– Możemy rozwinąć ten system – zauważyła pani Lon. – Na przykład można wynagradzać przywilejami tych, którzy ujawnią spiski przeciwko Lyucu albo wydadzą sąsiadów głoszących na stronie swoje niezadowolenie z okupa... eee, z łagodnego i szczodrego panowania panów Lyucu. – Zaczerwieniła się i napiła Tenryo winem ze swoich własnych ust.

Tenryo roześmiał się i ją pocałował.

– Nie zamierzam ruszać na największe wyspy aż do wiosny. Garinafiny są zmęczone i niespokojne po długiej podróży przez ocean i potrzebują odpoczynku przez zimę. Ale rzeczywiście, przed wyruszeniem do walki przydałoby się spacyfikować tutejszy lud.

– Postaram się pomóc, jak tylko będę mógł – powiedział Ra Olu. – Wszystko, o co proszę, to jakiś znak, że moje wysiłki są doceniane. Chociaż wszyscy mieszkańcy Dary to zwierzęta, niektóre zwierzęta są lepsze od innych, a jeszcze inne uczą się znacznie szybciej od pozostałych.

– Wygląda na to, że tutejsi moralisci są bezwstydnymi hipokrytami – odparł Tenryo. Zebrani thanowie Lyucu roześmiali się. – Przyznaję jednak, że twoje sugestie są kuszące. Cóż, jeśli wspólnie wprowadzicie ten plan w życie, hojnie was wynagrodzę. Możesz dzisiaj spać w willi zarządcy zamiast na polu, a twojej żonie może nawet pozwolić którejś nocy wrócić do męzowskiego łóżka.

– Nie ma łaskawszego pana od wielkiego *pékyu* – powiedzieli jednocześnie pani Lon i Ra Olu.

Przelotnie popatrzyli sobie w oczy, lecz żaden z thanów nie zauważył tego porozumiewawczego spojrzenia.



Pékyu Tenryo nakazał, by świątynie bogów Dary i ich kapłanów oraz mnichów zostawić w spokoju. W końcu Lyucu nie byli barbarzyńcami, wbrew temu, co głosili tutejsi mędrcy. Również należeli do ludzi wierzących.

Zaciekawieni thanowie i wojownicy odwiedzali świątynie, żeby się dowiedzieć, do jakich bogów modlił się podbity przez nich lud.

– Czy ten cały Kiji nie przypomina wam Péa, syna Wszechojca i Wietrznej Panny, który podarował nam garinafiny?

– Dobrze prawisz! A czy ten sokół Mingén nie wygląda jak garinafina, tylko dużo mniejsza?

– Może ci barbarzyńcy z Dary nie zrozumieli objawień Wszechojca i wykonali nie takie posągi jak trzeba?

Thanowie Lyucu zaczęli składać na ołtarzach Kijego ofiary z mięsa i tłuszczu. Dym z palenia ofiar szedł do nieba jak zawsze, więc zapewne pan Kiji je przyjmował.

Przez wiele dni kapłani ze świątyni Kijego na zachodnim brzegu jeziora Arisuso debatowali nad kwestią akceptowania takich ofiar, ostatecznie jednak zgodzili się na nie, kiedy okazało się, że thanowie są gotowi składać na rzecz świątyni dary z kamieni szlachetnych i złota.

– Pan Kiji to bóg pełen empatii – stwierdził nabożnie opat. – Wszyscy, którzy pragną dostąpić jego łaski, powinni mieć taką możliwość.

Ani słowem nie wspomniał, że pielgrzymi Lyucu modlili się do boga, nazywając go Péa-Kiji. Nie powiedział też nic o tym, że kilku thanów zażądało, by na ramieniu Kijego, naprzeciwko sokoła Mingén, jego *pawi*, znalazła się podobizna garinafiny.

I faktycznie w żądanym miejscu pojawił się niewielki relief skrzydlatego stwora, a kiedy Lyucu przychodzili do świątyni, kapłani wyśpiewujący modlitwy nazywali swojego boga Péa-Kiji.



– Widzę, że mój skrzydlaty brat ma nowy wizerunek!

– Tazu, nie mam nastroju na twoje irytujące kpiny.

– A kto tu kpi? Ja zazdroszczę! Wróciłeś do domu i zyskałeś tak wielu nowych wyznawców. Oby resztę nas potraktowano podobnie.

– To skomplikowana sytuacja.

– Pewnie, pewnie. Ale przy okazji tylko wspomnę, że nie wydajesz się już taki chętny do wojny przeciwko Lyucu.

Bóg ptaków – a teraz siłą rzeczy także patron garinafin – nie odpowiedział.

Rozdział czterdziesty pierwszy Interpretacja pewnego listu

Pan: dwunasty miesiąc jedenastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

W oknach nie było krat, a na podłodze leżały miękkie maty. Na kamiennych ścianach zawieszono haftowane obrazy pokrytych śniegiem zimowych śliw. Piecyk przyjemnie ogrzewał, a herbata w stojącym na nim imbryku herbaty była zawsze ciepła. Zapach kadzidła przeganiał resztki zimowego chłodu. Mimo to Gin nie uważała, by jej nowe lokum znacząco różniło się od dusznej celi, w której trzymano ją wcześniej. Wciąż pozostawała więźniem – gdyby spróbowała opuścić ten pokój, każdy z dziesiątków strażników pałacowych co prawda by jej się uklonił, lecz jednocześnie oparł dłoń na rękojeści.

Cesarz podał Gin jej miecz.

Przyjęła go. Był to już drugi raz, gdy Kuni wręczył jej broń. Pierwszy miał miejsce wiele lat temu, na wysokiej platformie, kiedy stała przed zaskoczoną i sceptycznie nastawioną armią, której zapowiedziała, że pewnego dnia wspólnie pokonają hegemonia.

Teraz wspominała to jak sen.

– Zgadzasz się? – zapytał Kuni.

Gin kilka razy, powoli, machnęła mieczem. Kuni nawet nie mrugnął.

– Moje warunki nie uległy zmianie – odparła. – Ogłosisz moją niewinność i ujawnisz spisek cesarzowej przeciwko tym, którzy pomogli ci zdobyć tron. Przeprosisz wszystkich arystokratów, w tym także ducha Théki Kimo oraz duchy tych, którzy niepotrzebnie stracili życie. Potem uwięzisz Jię na zawsze, a Risanę uczynisz nową cesarzową. Tylko wtedy rozpatrzę twoją prośbę.

Nadzieja w oczach Kuniego zgasła. Pokręcił głową.

– Nie mogę tego zrobić, Gin. Jia postąpiła bardzo źle, ale... ostatecznie udowodniła, że Thékę dało się skusić.

– A kogo się nie da? Gdyby wszystkich nas osądzano na podstawie...

– Jeśli zrobię to, o co mnie prosisz, wybuchnie chaos. Cała wiara w cesarską władzę zostanie zaprzepaszczone. Każdy arystokrata zażąda ustępstw dla swojej prowincji, wykorzystując popelniony przeze mnie błąd. Każdy potencjalny rebeliant stanie się odważniejszy, uważając, że dalekowidzących da się przekupić. Każdy uczonec i zarządca przestanie pokładać ufność w moje rządy, uznając mnie za omylnego i łatwowiernego. Dara nie podniesie się po tym ciosie w cesarską administrację, a kruchy pokój zostanie zachwiany bardziej niż po zdradzie stanu.

– Winić możesz wyłącznie siebie.

Kuni zamknął oczy.

– Gdybyśmy faktycznie mieli pokój, może zaryzykowałbym, żeby wynagrodzić ci niesprawiedliwe potraktowanie, i liczyłbym, że czas zagoi rany. Nie panuje jednak

pokój. Darze grozi niebezpieczeństwo większe niż kiedykolwiek. Jeśli Wyspy nie pozostaną zjednoczone w walce z Lyucu, jeśli arystokraci nie wesprą mnie całym sercem, jeśli ludzie zwątpią w słusność moich decyzji, jeśli zarządcy i uczeni przestaną mi ufać... wtedy Wyspy spowije ciemność i zginie wielu ludzi, a wszystko, o co walczyliśmy, zostanie zaprzepaszczone.

– Czyli chcesz, żebym zaakceptowała kłamstwo i poszła walczyć u twojego boku jako zdrajczynie, której przebaczone i która musi oczyścić swój splamiony honor.

Kuni pokiwał głową.

– Wiem, że to niesprawiedliwe. Nie ma jednak innego wyjścia. Nie zawsze mamy wpływ na swój los i czasami musimy żyć z popełnionymi błędami, a nawet błagać innych, by również z nimi żyli. Rozwój wypadków dyktuje role, jakie zmuszeni jesteśmy odgrywać.

Kuni uklęknął przed Gin i dotknął czołem podłogi.

Przez chwilę Gin miała ochotę podejść, pomóc mu wstać, a potem powiedzieć, że wszystko rozumie i robi to, o co ją prosi. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, wciąż wierzyła, że pięknym i właściwym jest umierać za władców, którzy rozpoznają czyjś talent. Zaraz jednak wróciła gorycz upokorzenia, jakiego doświadczyła. Przypomniała sobie chwilę, kiedy Cogo przywiązał ją do łodzi na jeziorze niczym zwierzę ofiarne do ołtarza, kiedy Jia uznała więzy lojalności za kruche i bezwartościowe, kiedy Dafiro Miro chciał po cichu wyprowadzić ją z celi, niczym zbiega.

– Boli mnie to, że tak naprawdę nie możesz zaprzeczyć, iż w pewnym sensie zgadzasz się z Jią. Dlatego wiele lat temu odebrałeś mi Faça i Rimeę, odsyłając mnie do Gėjiry. Jesteś też przekonany, że władza zawsze deprawuje, i właśnie dlatego chciałeś osłabić moją pozycję. Podejrzliwość już dawno temu zatruli naszą relację.

Kuni westchnął.

– Czym się różnię od ciebie? Ogłosiłaś się królową, nie czekając, aż ja uhonoruję cię tym tytułem, bo bałaś się, że mogę być zazdrosny o twoje osiągnięcia. Nie jesteśmy idealni, ale staramy się postępować jak najlepiej mimo naszych przewinień.

– Masz rację – odparła Gin. Podeszła do jednej ze ścian i wbiła ostrze miecza między dwa kamienie. Następnie pchnęła rękojeść i złamała miecz na pół. Zostawiwszy końcówkę ostrza między kamieniami, wróciła do Kuniego i podała mu pozostałą część.

– Wolę go złamać, niż uczestniczyć w kłamstwie – powiedziała. – Mam dosyć tego, że władza dzierży nas, Kuni. Nie mogę być twoim marszałkiem, dopóki nie przywrócisz mi honoru. W tej wojnie musisz walczyć sam.

Kuni podniósł się, przyjął złamany miecz i wyszedł bez słowa.



Księżniczka Théra znalazła Zomi Kidosu przy bramie Pan. Kuśtykała,

podpierając się laską, i błagała woźniców, by zabrali ją ze sobą.

– Adwokatko Kidosu! – Zawołała Théra z końskiego grzbietu i zatrzymała się przy niej.

– Nie noszę tego tytułu od lat, Wasza Wysokość – powiedziała Zomi. – Teraz nie mam już żadnego tytułu.

– Słyszałam od ojca, co się stało – rzekła Théra. – Zrezygnowałaś ze wszystkich stanowisk i poprosiłaś, by pozwolono ci wrócić do domu. Naprawdę chcesz żyć jako niewolnica Lyucu?

– W takim razie wiesz już, Wasza Wysokość, że jestem bezwartościowym człowiekiem – odparła Zomi. – Nie kalaj swego wzroku moim widokiem. Zdradziłam swoją królową w chwili słabości, żeby moja tajemnica nie wyszła na jaw i żeby zapewnić matce dobre życie. Gdyby nie moje kłamstwa, premier Yelu nie stanąłby po stronie cesarzowej, a marszałek prowadziłaby teraz armię na wojnę z Lyucu. Marszałek ma rację: bez fundamentu w postaci honoru wszystko inne jest uludą. Ponieważ księżniczka Aya jest bezpieczna, pragnę zakończyć swój koszmar i wrócić do domu, by być u boku matki.

– A co się stało z twoją nogą?

– Moją uprząż trzeba co zimę odnawiać za pomocą świeżych, jędrnych gałęzi ze szklarni. Ponieważ oddałam wszystko, co zdobyłam po niesprawiedliwym objęciu stanowiska, nie stać mnie już, żeby je kupić.

– Naprawdę jesteś głupia – stwierdziła z oburzeniem Théra.

– Słucham?! – zapytała wzburzona Zomi.

– Masz zwyczajną potrzebę i możliwość, żeby ją zaspokoić, a jednak wolisz użalać się nad sobą, wierząc, że to w jakiś sposób czyni cię szlachetniejszą.

– A co ty, Wasza Wysokość, możesz wiedzieć o...

– Och, nie wiem o wszystkim, przez co przeszłaś, ale rozpoznaję symptomy twego marazmu. Niegdyś zrugowałaś mnie za to, że użalam się nad swoim losem, chociaż cieszyłam się przywilejami niedostępnymi dla innych. Powiedziałaś mi wtedy, że jeśli nie żyję tak, jak sobie tego życzę, może powodem jest to, że w ogóle nie próbowałam żyć po swojemu. Dzisiaj rzucam to samo oskarżenie w twoim kierunku.

– Nie mam nastroju...

– Popelniłaś błędy. I co z tego? Czyż nie byłaś najlepszą uczennicą największego stratega Dary? Czy nie zaimponowałaś panom Dary swoją odwagą i mądrą krytyką mojego ojca i jego wizji merytokracji? Czy nie pomagałaś skutecznie królowej w rządzeniu jej prowincją i nie osiągnęłaś więcej niż niezliczone rzesze twoich rówieśników? Mimo to wolisz uciec jak zranione szczenię, zamiast zaprząć cały swój talent i siłę, by pomóc swojej pani oraz sobie w potrzebie. Czy dla tych, których kochasz, nie zrobisz więcej, zostając na dworze i znosząc ciężar swojego wstydu? Niedługo zacznie się Rok Orchidei, czyli rok twoich narodzin! Zapomniałaś już, że to jeden z ostatnich reprezentantów Stu Kwiatów przypomniał Fithowéo o jego obowiązku walki z wieczną ciemnością i zwątpieniem?

Zomi podniosła wzrok na księżniczkę i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że

nieśmiała i skupiona na sobie dziewczyna z jej wspomnień zniknęła. Księżniczka miała w sobie teraz coś, co nazwać można było tylko królewskością.

Kiwnęła głową i wyciągnęła rękę, a Théra pomogła jej wsiąść na konia.



Zomi poszła do pokoi, w których trzymano Gin. Chociaż nie posiadała już żadnego oficjalnego tytułu, wpuszczono ją, gdy pokazała list napisany przez księżniczkę Théré i opatrzony jej pieczęcią. Uklękła w wejściu do pokoju dziennego Gin i czekała. Światło słoneczne rzucało jej cień na przesuwne drzwi obite jedwabiem. Gin i Aya, rozmawiające w środku, zamilkły na chwilę; zaraz jednak podjęły pogawędkę na powrót.

Nikt nie podszedł do drzwi.

Słońce zaszło, na niebie jaśniał księżyc. Strażnicy przyszli zapytać Zomi, czy życzy sobie coś do jedzenia i picia. Pokręciła głową.

Kiedy wysoko na niebie migotały gwiazdy, Zomi rozmyślała o swoim życiu. Wspominała tych wszystkich, którzy w nią uwierzyli i których rozczarowała: matkę, Luana, Théré, Gin. Myślała o swojej odwadze, której czasami nie dało się odróżnić od arogancji i egoizmu. Pomyślała o tych wszystkich słowach moralistów, z których drwiła, nie rozumiejąc, jakie są prawdziwe. Płakała z palącego wstydu.

Znowu wstało słońce i kiedy Zomi miała się już podnieść i na zawsze zniknąć z życia marszałek, drzwi przesunęły się.

– Wejdz i napij się ze mną herbaty – powiedziała Gin głosem łagodnym jak poranna bryza.

– Ludzie powinni umierać za tych, którzy poznali się na ich talencie – powiedziała Zomi. – Przepraszam. – Czuli się znowu jak młodziutka dziewczyna, która wiele lat wcześniej po raz pierwszy leciała balonem. Brakowało jej słów. – Przepraszam – powtórzyła.

– Wiem – odparła Gin. – Ale przeszłość to przeszłość, a my możemy jedynie uczyć się na swoich błędach. Zdradziłaś mnie, ponieważ wierzyłaś, że nie masz innego wyjścia. Przekonałaś się jednak, że właśnie w takich chwilach możemy ujrzeć własne dusze i próbować je ubogacić.

Zomi zaczęła płakać.

– Rozczarowałam cię, Wasza Wysokość. Na świecie nie ma dość słów, by wyrazić mój wstyd.

– Osiągnęłaś zbyt wiele w zbyt młodym wieku – rzekła Gin. – Jednak upokorzenie również jest dobrym nauczycielem. Niegdyś przeczolgałam się między nogami pewnego człowieka i myślałam, że nigdy więcej nie zdołam podnieść wysoko głowy. A jednak ta sytuacja nauczyła mnie, że trzeba myśleć perspektywicznie. Masz talent, Zomi Kidosu, musisz jednak rozwijać go wraz z mądrością, a tej nie zdobędziesz inaczej jak poprzez porażki.

– Proszę, pani, ukarż mnie.

– Sama się już ukarałaś – rzekła Gin. – Właśnie dlatego zostawiłam cię tu samą

na całą noc. Jesteśmy swoimi najsurowszymi krytykami. – Pochyliła się, by pomóc jej wstać. – Teraz potrzebujesz przebaczenia i postanowienia, że na nowo staniesz do walki z wątpliwościami.

Do Cesarza Dary:

Wasze groźby kontrataku dość nas zaskoczyły. Czyżby cesarz zamierzał naśladować głupców z legend opowiadanych przez Ra Olu, którzy chcieli uderzać jajkami w kamienie i liczyli na sukces?

Cesarz mówi o zebraniu piechoty, marynarki i floty sterowców, lecz my już raz pokonaliśmy cesarską armię, więc dlaczego spodziewacie się innego wyniku w przypadku powtórnej potyczki? Może cieszyce się przewagą liczebną, na co się jednak ona zda, skoro każda z garinafin pod przewodnictwem odważnych wojowników Lyucu zdolna jest pokonać tysiąc uzbrojonych żołnierzy Dary? Widzieliśmy już możliwości najlepszych walczących w imieniu Dary i nie zrobili na nas wrażenia.

Co więcej, wraz z upływem czasu nasza przewaga rośnie, a Wasza siła maleje. Jak zamierzacie utrzymywać wasze sterowce w powietrzu, skoro straciliście źródło gazu nośnego? Dzięki broni zabranej ze zbrojowni Dasu i Rui lepiej wyposażymy naszych wojowników. Mieszkańcy Dary już drżą, słysząc imię Wielkiego Pékyu Tenryo, a im więcej czasu mija, tym większy rośnie strach. Nie będą z przekonaniem walczyć w Twoim imieniu. Groźenie silniejszemu, gdy się jest słabszym, nie przystoi mądrym władcy.

Książę Timu jest tutaj szczęśliwym gościem i nie życzy sobie wracać, a my nie wątpimy, że z czasem zrozumie mądrość płynącą z poddania się lepszemu panu. Być może w przyszłości Timu zasiądzie na tronie Dary i będzie rządził jej częścią jako lojalny than Lyucu.

Podczas gdy wspaniałe garinafiny cieszą się zasłużonym wypoczynkiem i pachnącym sianem po cudownych zwycięstwach w Rui i Dasu, Wielki Pékyu nie może się doczekać, kiedy Was pozna. Mam nadzieję, że nasze pierwsze spotkanie będzie przypominało ten moment, kiedy włócznik stanął na bacność przed obliczem słońca, symbolu samego Wielkiego Pékyu. Nasze skrzydlate bestie, które przypląnęły na statkach-miastach darowanych nam przez Mapidérégo, pokażą, kto jest prawdziwym panem Dary.

Pékyu Tenryo, obrońca Dary, przemawiający przez Waszego niegdysiejszego sługę Ra Olu

– Bezwstydny! Bezwstydny! – grzmiał cesarz Ragin, maszerując w kółko po Wielkiej Sali Audiencyjnej. – Musimy atakować natychmiast.

Mün Çakri i Than Carucono skupili się na czytaniu listu i nie odpowiedzieli.

– Kuni, musisz to starannie rozważyć – rzekła Risana. – Nie wiemy, w jaki sposób pokonać garinafyny, a nieprzemyślany atak nie pomoże Timu, za to zaowocuje niepotrzebnymi ofiarami.

– Ale im dłużej czekamy, tym więcej naszych sterowców będzie musiało zostać na ziemi z powodu braku gazu. Czekanie nas tylko osłabia – odparła Jia.

– Zdrada Ra Olu napawa mnie prawdziwym gniewem – powiedział Kuni. – Jak człowiek czytający wnikliwie księgi Kona Fijego i pracujący obok Zato Ruthiego mógł się okazać tak bezwstydnym? Musiałem być ślepy, mianując go regentem Dasu, a potem prosząc o asystowanie Timu.

– *Rénga*, myślę, że bardziej martwi fakt, iż może oślepić was troska o księcia – wtrącił Cogo Yelu.

– O czym ty mówisz?

– Premier ma słuszość – rzekła Zomi Kidosu. – Jest już za późno, żeby martwić się o błędy przeszłości. Lepiej skupić się na tym, jak najlepiej wykorzystać to, co mamy.

Kuni spojrział na nią podejrzliwie, nie ukrywając odrazy. Przyjął rezygnację dziewczyny bez żalu, straciwszy do niej zaufanie, po tym jak przyznała się do kradzieży przepustki na Wielki Egzamin – czym akurat niekoniecznie się przejmował – oraz wycofała swoje oskarżenie przeciwko Gin Mazoti – czym przejął się bardzo. Jedyne powód, dla którego jej nie ukarał, był taki, że odkrywanie prawdy kryjącej się za tymi błędami wywołałoby nie lada skandal.

– Rozwiązanie, które proponujesz, jest dla ciebie dość wygodne, nieprawdaż? – zapytał Kuni.

Zomi zaczerwieniła się, ale nie zamierzała się wycofywać.

– Nawet jeśli nóż w przeszłości cię skaleczył, Wasza Wysokość, nie przestanie być dobrym nożem, jeśli właściwie się nim posłużycie.

Księżniczka Théra ręczyła za Zomi i poprosiła, by mianowano ją jej osobistą doradczynią. Ponieważ Dara znów stanęła w obliczu wojny, Kuni postanowił, że to dobry moment, by dać Thérze więcej odpowiedzialności: obiekcje uczonych wobec zaangażowania kobiet w sprawy polityczne i wojskowe musiały zostać tymczasowo zignorowane, ponieważ w takiej chwili należało szukać talentu wszędzie. Swoim udziałem w stłumieniu rebelii w Tunoi Théra z pewnością udowodniła, że ma pewne zdolności techniczne, a obecność Zomi, cenionej uczennicy wielkiego inżyniera Luana Zyi, jako asystentki księżniczki mogła stanowić sposób na zdobycie nowych wpływów dla Théry. Dlatego też Kuni mianował córkę konsultantką akademii inżynierskich Ginpen i Pan, czyniąc ją odpowiedzialną za opracowywanie nowych rodzajów broni dla Phyro i generałów oraz koordynację analizy danych zebranych przez dawny wydział Rina Cody.

– Ojczy – szepnęła Théra i pociągnęła cesarza za rękaw. – Proszę!

Kuni westchnął i dał Zomi znak, żeby kontynuowała.

– Chociaż Ra Olu zdradził Waszą Wysokość, działając jako sekretarz barbarzyńskiego króla, jego pragnienie zadowolenia nowego pana za pomocą

kwiecistego stylu może dać nam przydatne informacje. Z mojego doświadczenia wynika, że Ra Olu i pani Lon to ludzie próżni, którzy nieustannie czują potrzebę, by chwalić się i puszyć, a do tego wyjątkowo źle znoszą upokorzenia. To może tłumaczyć, dlaczego tak łatwo przyszło im cię zdradzić. Ale może też okazać się dla nas korzystne.

– Jakbym słuchał inentywisty – rzekł Kuni.

– Inentywizm bywa użyteczny – odparła Zomi.

– A jakie przydatne informacje udało ci się odnaleźć w tym liście? – zapytała Risana.

– Aby ukryć wstyd z powodu zdrady, Olu nazywa księcia Timu „szczęśliwym gościem”. To oznacza tyle, że Timu nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, więc pośpiech nie jest konieczny.

Twarz Jii, dotychczas mocno napięta, nieco się rozluźniła.

– A to chwalenie się nierównymi siłami dwóch stron zostało już potwierdzone przez naszych własnych zwiadowców, co oznacza, że Lyucu są pewni siebie i panuje między nimi wysokie morale – zauważył Cogo. – Frontalny atak nie jest dobrym pomysłem.

– Ale nie możemy po prostu siedzieć i czekać, aż nas najadą! Jak mamy się bronić przed tymi latającymi bestiami, które wydają się niezwycięzone?

– Być może Ra Olu w swoim liście niezamierzenie zdradził nam wskazówki także i w tym względzie – powiedziała Théra. – Musimy tylko wiedzieć, jak je odczytać.

Cesarz, pogrążony w myślach, zrobił jeszcze kilka okrążeń. Zomi i Théra wymieniły uśmiechy.

– Najdziwniejsze jest przedostatnie zdanie – rzekł zadumany Cogo Yelu. – Nie przypominam sobie żadnego nawiązania do pism klasycznego ano z włócznikiem witającym słońce.

– Może to odniesienie do jakiejś barbarzyńskiej legendy – prychnął cesarz. – Dlaczego Ra Olu miałby ograniczać się do odniesień do epoki Ano, skoro ma nowych panów?

– Nie, nie w tym rzecz – stwierdziła Zomi Kidosu.

Wszyscy zwrócili ku niej wzrok. Z trudem powstrzymując podniecenie, Zomi wyjaśniła:

– Ra Olu zawsze z pogardą odnosił się do rodzimych mieszkańców Dasu, jednak uważał się za dobrego regenta i starał się uczyć miejscowych powiedzeń i odniesień, które wydają mu się barwne i egzotyczne. Czasami umieszczał je w swoich przemowach i tekstach, aby udawać bliższego ludowi. Włócznik to nazwa letniej konstelacji znanej chłopom z Dasu, a jedyny moment, kiedy ją widać na wschodzie, tuż przed wschodem słońca, to wczesna wiosna.

– Czyli minister Olu niechcący zdradził nam, że Lyucu zamierzają przypuścić atak wiosną – powiedziała Théra.

– To daje nam trochę czasu na przygotowanie się – rzekł cesarz. Patrzył teraz na Zomi nieco przyjaźniej. Młoda kobieta pokiwała głową.

– Myślę, że jest coś więcej – stwierdziła Zomi. Kiedy ciągnęła dalej, jej postawa zdradzała coraz więcej pewności siebie. Cała sytuacja przypominała jej doświadczenie odczytywania mało znanych logogramów ano razem z Luanem Zya podczas beztraskich nocy latania nad Darą w rozkołysanej gondoli „Ciekawskiego Żółwia”. – Wspominając o statkach-miastach, Ra Olu zdradza nam, że garinafiny nie potrafią latać na duże odległości. Myślę, że są jak długonogie lamparty z Écofi, a lot jest dla nich ogromnym wysiłkiem, więc są do niego zdolne tylko przez krótki czas. Aby pokonać morze, muszą być transportowane.

– Interesujące jest również odniesienie do siana – powiedziała Jia, która zaczynała rozumieć tę metodę odczytywania listu. – Sugeruje, że garinafiny jedzą trawę, nie mięso. – W jej oczach nagle pojawiły się iskry. – Trzeba o nie dbać jak o bydło. Podróż przez morze poważnie osłabiła zwierzęta, dlatego muszą odpocząć przez zimę i набrać trochę masy. – Ponieważ rodzina Jii posiadała własne gospodarstwo w Faça, cesarzowa wiedziała sporo na temat hodowli.

– Ale to znaczy, że teraz jest najlepszy moment na atak! – zawołał Kuni. – Jeśli właściwie odczytujemy beztrasko ujawnione przez Ra Olu informacje, Lyucu nigdy nie będą tak słabi jak teraz, a my powinniśmy wykorzystać tę okazję i zadać im cios.

Doradcy Kuniego zgodzili się, że to rozsądne.

– Musimy jak najszybciej wymyślić, w jaki sposób walczyć z garinafinami – zauważył Than Carucono.

– Ja przygotowuję armię – powiedział MÜN Çakri.

– Powinniśmy być gotowi do ataku nie później niż za dwa miesiące, jeszcze przed nadejściem wiosny – rzekł Kuni. – Puma Yemu może dokończyć swoje sprawy w Arulugi i poprowadzić straż przednią.

Wszyscy zwrócili uwagę, że cesarz nie wskazał głównego dowódcy. Każdy pomyślał o marszałek, która odmówiła opuszczenia aresztu domowego.

MÜN Çakri i Than Carucono spojrzeli po sobie i już mieli obaj zgłosić swoje kandydatury, kiedy odezwała się Jia.

– Jesteś ojcem Timu. Żołnierze poczują się bardziej zmotywowani, jeśli sam zostaniesz głównym dowódcą.

Risana, Phyro i Théra mieli zaprotestować, lecz Kuni ich powstrzymał.

– Cesarzowa ma rację. Czasami musimy osobiście walczyć w swoich bitwach. Może to jedyny sposób, żeby przywrócić ludziom wiarę w tron po ostatnich... wydarzeniach.



Panika, która rozgorzała w całej Darze, stopniowo przygasła, ponieważ Lyucu zdawali się usatysfakcjonowani zdobyciem Rui i Dasu, przynajmniej tymczasowo.

Arystokraci Dary w sekrecie posyłali oddziały na północny brzeg Wielkiej Wyspy w oczekiwaniu na rozkazy, lecz minęły dwa tygodnie i nadal nie ogłoszono daty wyruszenia cesarskiej awangardy.

W obozach krążyły plotki, że generalowie, bezradni bez marszałek, nieustannie się klócili i nie potrafili zgodnie ustalić odpowiedniego planu działania. W odwiedzinach do Gin Mazoti przybyły cztery kobiety.

Był to rzadki widok. Zhańbiona marszałek nie miewała raczej gości, ponieważ arystokraci i dowódcy wojskowi woleli unikać sytuacji, w której musieliby się tłumaczyć ze znajomości ze zdrajczynią odmawiającą przyznania się do winy. Kapitan Dafiro szerzej otworzył oczy, kiedy zdał sobie sprawę, kim są odwiedzające, jednak zachował milczenie i tylko uklonił się, a potem odsunął na bok.

– W czym mogę pomóc Waszym Wysokościom? – zapytała Gin. Jej ton był pełen szacunku, lecz w powietrzu dało się wyczuć lodowate napięcie.

Cesarzowa Jia skinęła i weszła do pokoju. Za nią wkroczyły konsorta Risana, księżniczka Théra i Zomi Kidosu.

– Cesarz zamierza zaatakować Rui – oznajmiła Jia. – Przyszliśmy prosić cię o pomoc. – Pokazała marszałek kopię listu Ra Olu. – Znaleźliśmy w tym liście pewne cenne informacje.

Gin jednak nie chciała go wziąć do ręki. Odwróciła się od gości.

– Nie jestem już marszałek Dary. Złamany miecz na nic się nie zda na wojnie. Nie zajmowałam się ostatnio niczym prócz pisania wierszy i próbowania wina darowanego przez niezwykle szczodłą Waszą Wysokość.

– Mün Çakri i Than Carucono nie potrafią znaleźć sposobu na pokonanie skrzydlatych bestii – rzekła Jia.

– Phyro próbuje im pomóc, lecz chociaż jest inteligentny, żaden z niego taktyk – dodała Risana.

– Planowanie ataku na taką skalę to nie planowanie spisku, by pozbyć się krnąbrnego i głupiego arystokraty – powiedziała Gin. – Potrzeba czasu.

Jia zaczerwieniła się, lecz nie pozwoliła, by do jej tonu wkradły się emocje.

– Timu z pewnością codziennie cierpi jako więzień. Jako matka musisz rozumieć, co czuję.

Gin nie odwróciła się, lecz jej postawa nieco utraciła na sztywności.

– Aya nie ma nic wspólnego z twoimi gierkami. Te próby manipulowania mną w ten sposób są niesprawiedliwe.

– Czy jest coś, co nie zostanie przez ciebie odebrane jako manipulacja z mojej strony? – zapytała Jia, wreszcie dopuszczając uczucia do głosu.

– Ciociu Gin, generalowie zawsze polegali na twoim przewodnictwie i nie jest ich winą, że zostali go pozbawieni – wtrąciła Théra. – Proszę, wiem, że zawsze zależało ci na życiu tych, którymi dowodziłaś. Pomóż nam dla ich dobra, jeśli nie dla dobra mojej rodziny.

Gin odwróciła się, żeby na nią popatrzeć. Znajomy sposób, w jaki Théra się do niej zwróciła, przywiódł jej na myśl szczęśliwsze czasy, kiedy między nią a rodziną Kuniego nie stały brak zaufania i wątpliwości. Westchnęła.

– Dajcie mi ten list.

Kiedy Gin maszerowała w kółko po pokoju, pozostałe kobiety siedziały w *géüpa*, uważnie ją obserwując.

– ...czyli te skrzydlate bestie żywią się sianem... i potrzebują odpoczynku...

Jia, Risana, Théra i Zomi popatrzyły po sobie i wymieniły uśmiechy, ciesząc się, że marszałek podziela ich przypuszczenia.

Gin zatrzymała się.

– Nie tkwiłam tu zupełnie beczynn timer. Trudno się pozbyć starych nawyków. Mając w pamięci, co napisał Timu, rozmyślałam o sposobach przypuszczania ataku przez te zwierzęta, i zastanawiałam się, jak zdobyć nad nimi przewagę. Niestety bestie są zwyczajnie zbyt wielkie, wytrzymałe i szybkie, żebyśmy mogli rozprawić się z nimi za pomocą naszej broni.

Nadzieja na twarzach kobiet zgasła...

– Jednak po lekturze listu przyszło mi do głowy kilka pomysłów – dodała Gin. ...I znów rozkwitła.

– Najważniejszy jest dla mnie ten fragment: „Kaźda z garinafin pod przewodnictwem odważnych wojowników Lyucu”. Ra Olu zdaje się sugerować, że garinafiny, żeby walczyć, potrzebują jeźdźców.

– Czyli nie są dość inteligentne, by atakować samodzielnie? – zapytała Théra. – Czy to nie tak jak w legendach o wojnach na Écofi, kiedy Ano zdołali pokonać słoniowięże tubylców, ponieważ celowali w jeźdźców zamiast uzbrojone zwierzęta?

Gin pokiwała głową.

– To jedna z teorii, które warto przetestować, skoro nie mamy nic lepszego.

– Znacznie łatwiej zestrzelić wojownika niż skrzydlatą bestię – stwierdziła Risana. – Tak jak łatwiej jest pojmać króla zamiast wszystkich jego żołnierzy.

– Teoretycznie – odparła Gin. – W rzeczywistości potrzebujemy dokładniejszych informacji o skrzydlatych bestiach. Dogłębne poznanie wroga to podstawa wygrania bitwy.

Pozostałe kobiety pokiwały głowami. Ich dyskusja tylko podkreślała wagę listu od Ra Olu.

– To samo dotyczy naszego przeciwnika – podjęła Gin. – Podczas pierwszej walki na Dasu straciliśmy wiele z naszej inicjatywy, ponieważ Lyucu zdawali się znać nasze możliwości i taktykę ataku z powietrza. Byli doskonale przygotowani na wszystko, co mogły im zrobić sterowce. Nie lubię mówić źle o zmarłych, ale podejrzewam, że wiara Zato Ruthiego w moralne zasady prowadzenia wojny według Kona Fijego miała w tym przynajmniej częściowy udział.

Théra i Zomi wyraźnie się z tym zgadzały.

– Teraz, gdy wydaje im się, że wiedzą już wszystko na temat naszych sterowców – ciągnęła dalej Gin – mamy okazję ich zaskoczyć.

– Moja matka ma pewne pomysły w tym względzie i potrzebuje twojej opinii – rzekła Théra.

– Czyżby?

– Może to niemądra myśl – powiedziała Jia. – Nigdy nie miałam zbyt wielkiego pojęcia na temat wojny. Jednak Théra stwierdziła, że powinnam o tym chociaż wspomnieć i przekonać się, czy potrafiłabys to wykorzystać.

Gin pokiwała głową, dając cesarzowej znak, by kontynuowała.

– Jestem córką hodowców. I chociaż sama interesowałam się ziołami i ziołolecznictwem, bawiłam się w ten sam sposób, co wszystkie dzieci na gospodarstwie, zapewne do dzisiaj. – Z jakiegoś powodu zaczerwieniła się, jakby to, co zamierzała powiedzieć, było zawstydzające.

– Jednym słowem, miała o wiele barwniejsze dzieciństwo niż ja – wtrąciła Théra. – Kiedy ja większość życia spędziłam w pałacu, moja matka mogła biegać całe dni po polach i nikt jej za to nie karmił.

Gin spojrzała na Jię, która wyglądała niezwykle dostojnie nawet w prostej żółtej szacie. Marszałek nie potrafiła jej sobie wyobrazić jako młodej dziewczyny biegnącej po polu za stadem krów i owiec.

– Nasi robotnicy zbierali odchody krów, owiec i świń, wrzucali je do dołów i czekali, aż sfermentują, żeby otrzymać naturalny nawóz, który można było sprzedawać okolicznym rolnikom – ciągnęła Jia. – Takie doły były bardzo niebezpieczne, ponieważ fermentujący obornik wytwarzał trujące gazy, które mogły się okazać śmiertelne dla człowieka, do tego były niezwykle łatwopalne.

Gin pokiwała głową.

– Każdy żołnierz wie, że suche krowie i końskie odchody są używane jako paliwo.

– Ale pewnie nie bawiłaś się tak samo jak my. Niektóre z dzieci, odważniejsze od pozostałych, ścierały suszone odchody na proszek, a następnie umieszczały go w słoiku i zalewały wodą, tak by opary uciekały przez bambusową rurkę, którą można było podpalić, by służyła za swego rodzaju lampkę. Kiedy wzrastało ciśnienie, płomień strzelał na znaczną odległość, jakby słoik zionął ogniem. Było to dość niebezpieczne, sama znalazłam chłopca, który został poważnie ranny, kiedy jeden z takich słoików wybuchł mu w twarz. Dorośli zabronili nam takich zabaw, a ja wspominałam o tym tylko dlatego, że Théra często błaga mnie, bym opowiadała jej historie z dzieciństwa.

– Można zwalczać ogień ogniem – rzuciła podekscytowana Théra. – Tak jak z lustrzanym kultem hegemonu walczyliśmy za pomocą luster.

Zomi przypomniały się wydarzenia sprzed wielu lat, kiedy sama wykorzystwała płomień do powstrzymania płomieni. W jej głowie zaczęły się tworzyć niesprecyzowane plany, zakładające wykorzystanie pomp, rurek i ogromnych słoików...

– Zamieniam się w słuch. – Gin przeszła do pytań o szczegóły konstrukcji takich słoików, a następnie kazała cesarzowej narysować szczegółowe plany.

Rozmawiały do późnego wieczora, a Gin przyszło do głowy wiele pomysłów. Każdy, którym się dzieliła, Théra i Zomi zapisywały, a notatki opatrywały uproszczonymi rysunkami.

– Powinnyśmy już wracać – oznajmiła Jia. – Inaczej Kuni będzie się zastanawiał, gdzie się podziałam.

– Kiedyś zupełnie się nie martwił, kiedy odwiedzałam marszałek późną nocą w obozie – powiedziała z uśmiechem Risana. – Na wojnie zasady stosowane w czasie

pokoju zostają zawieszane.

Gin zaczęła wspominać dawne chwile, kiedy Risana przychodziła do niej omawiać sprawy związane ze strategią wojskową, długo przed tym, jak zasiano ziarna niezgody. Raz jeszcze świat przypomniał jej, że wspaniałe pomysły mogą pochodzić zewsząd. Czyż sam hegemon nie pobłądził, nie słuchając uwag Mazoti w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem?

– Miło było cię gościć, cesarzowo. Przepraszam, jeśli z początku wydawałam się nieprzystępna. – Miała ochotę powiedzieć, że gdyby rozmawiały ze sobą w ten sposób w przeszłości, może mogłyby się zaprzyjaźnić. Jednak nie zrobiła tego. Było już za późno.

Jia ukloniła jej się w *jiri*. W odpowiedzi Gin zasalutowała.

Rozdział czterdziesty drugi

Inwazja Rui

Rui: drugi miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Ku konsternacji wielu ministrów, a konkretnie tych, którzy mienili się moralistami, ostateczny edykt cesarski, który autoryzował sekretny plan stworzony przez Müna Çakriego, Thana Carucono i księcia Phyro zawierał także podziękowania za wkład dla cesarzowej Jii, konsorty Risany, księżniczki Théry i specjalnej asystentki Zomi Kidosu. Wielu spośród członków Kolegium Adwokatów pisało obszerne krytyki cesarskich poczynań. Nie podobało im się, że cesarz Ragin pozwolił swojej rodzinie na tak duże zaangażowanie w sprawy cesarstwa. W tym samym czasie kilka adwokatek, w tym nowe *firoa* przyjęte w czasie ostatniego Wielkiego Egzaminu, świętowało w Trójnogim Dzbanie – miejscu, gdzie Zomi Kidosu wslawiła się po raz pierwszy – pijąc trunki i dyskutując o tym, jak sprawić, by ich praca była bardziej doceniana.



Puma Yemu, dowódca awangardy Dary, podzielił flotę cesarską na małe flotylle i rozkazał im podplynąć do Rui od południa i zachodu, z zastrzeżeniem, by zachowały między sobą znaczne odległości.

– Dlaczego on to robi? – zapytał *pénkyu* Tenryo, zwracając się podczas narady do swoich thanów.

Ci zaczęli dzielić się swoimi opiniami:

– Może barbarzyńcy Dary próbują zminimalizować straty? Jeśli skoncentrowaliby wszystkie siły na jednej plaży, garinafiny za jednym zamachem spaliłyby całą armię. Stwierdzili więc, że spróbują wyjść na ląd w rozsianych oddziałach na długości całego brzegu, żeby przynajmniej część ocalała.

– Może wiozą szpiegów, którzy mają się zająć sabotażem? Przy tak dużej liczbie statków będzie nam trudno zająć się wszystkimi.

– A może to blokada, która, jak rozumiem, jest częstą taktyką tych wyspiarskich dzikusów? Ale my nie jesteśmy tak zależni od handlu jak oni, więc nie przejmujemy się tym bardziej niż tygrys śpiący na stepie stadem delfinów tańczącym w morzu.

– Bez względu na powód, co możemy z tym zrobić? Nasze statki-miasta są zbyt wielkie, żeby wysłać je za nimi: to jakby posyłać horde wilków przeciwko komarom.

– Poczekamy, aż podplyną bliżej, i zaatakujemy garinafinami.

– Ale obserwowanie tak dużej części wybrzeża całymi dniami i nocami wyczerpie zwierzęta po kilku dniach.

Debata trwała i pojawiło się wiele teorii, jednak nie powstał konkretny plan.

– Lojalni thanowie Lyucu – rzekł nowy głos. – Aby poznać intencje ofiary, musimy przyjrzeć się jej śladom.

Mówcą okazała się młoda kobieta w wieku około dwudziestu lat: wysoka, zwinna i silna, z bladą skórą i włosami tak jasnymi, że niemal białymi. Nazywała się Vadyu Roatan, chociaż większość wojowników nazywała ją Tanvanaki, co było skrótem od „tanvanaki garinafin”, czyli „mgnienie garinafiny”. Na przydomek zasłużyła sobie niezwykłymi umiejętnościami w lataniu na garinafinach oraz strzelaniu z procy.

– Co zatem nam radzisz? – zapytał *pékyu* Tenryo. Tanvanaki była jego ulubioną córką i jedynym dzieckiem, jakie zabrał ze sobą na tę ekspedycję.

– Sprawdziłam, z pomocą barbarzyńskich sterowców, pod jakimi banderami płyną te statki – powiedziała. Thanowie, gdy tylko usłyszeli te słowa, zareagowali oburzeniem. – Dlaczego mielibyśmy nie korzystać z tych machin, które udało nam się przejąć, jeśli są przydatne? – spytała spokojnie. – Przyplłynęliśmy tu na ich statkach, czyż nie? Sterowce mogą pozostawać w powietrzu dłużej niż moja zaufana Korva, a ci barbarzyńscy kopacze dołów mogą szybko wiosłować, gdy się ich odpowiednio zachęci biczem. Doskonale nadają się na zwiadowców.

Pékyu Tenryo dał znak thanom, żeby się uciszyli.

– Skup się na swoich wyjaśnieniach, córko.

– Po grzecznym przekonaniu kilku pojmanych barbarzyńskich oficerów – Tanvanaki uśmiechnęła się, mówiąc te słowa, a pozostali thanowie zaśmiali się pod nosami. Barbarzyńcy nie byli ani trochę tak odporni na tortury jak wojownicy Lyucu – przekonałam się, że statki podpływające do naszych brzegów należą do niejakiego Pумы Yemu, pomysłowego dowódcy znanego z nękania przeciwnika na najrozmaitsze sposoby.

– Tchórz! – krzyknął jeden z thanów.

– Przebiegłość w bitwie nie jest tchórzostwem – oznajmił *pékyu* Tenryo. Twarz tego, który się odezwał, przybrała soczyście czerwony kolor.

– Podejrzewam, że zamierza wykorzystać mniejsze flotylle do najazdów na wybrzeże, by zmęczyć garinafiny i wojowników, a także obniżyć morale przed właściwą kontrinwazją. *Pékyu* Tenryo pokiwał głową.

– Masz na to jakąś odpowiedź?

– Oczywiście – rzekła Tanvanaki. Jej oczy błyszczały. – Najlepszym sposobem na to, by pozbyć się chmary bzyczących much, to je pacnąć!

– W takim razie zostajesz dowódcą floty Lyucu, Tanvanaki Garinafin – odparł *pékyu* Tenryo.



Na pokładzie „Strzały Czasu” książniczka Théra i Zomi Kidosu stały nad tacą z piaskiem, na której maleńkie papierowe modele wskazywały położenie statków Lyucu i Dary na ciemnym niczym wino morzu między Rui a Wielką Wyspą.

Podczas gdy Phyro przebywał na Wielkiej Wyspie, żeby pomóc generalom

w przygotowaniach do pozostałej części planu, Théra poprosiła o najszybszy cesarski sterowiec pocztowy, by wykonać misję zwiadowczą.

– Szkoda, że nie możemy podleciec jeszcze bliżej – powiedziała. – Najlepiej tak blisko, żebyśmy mogli zobaczyć Timu. Kiedyś często z niego z Phyro żartowaliśmy, ale to dobry człowiek. Mam nadzieję, że nie traktują go źle.

– Kiji z pewnością go ochroni, księżniczko – odparła Zomi.

Zomi wiedziała, że przynajmniej po części powodem, dla którego Théra przyprowadziła ich tak blisko frontu, była chęć, by obie znalazły się jak najbliżej uwięzionych na Rui członków rodziny. Była jej za to wdzięczna – sama fizyczna bliskość miejsca, w którym znajdowała się jej matka, sprawiała, że ostrza niepokoju wbijające się w jej trzewia jakby nieco odpuściły.

– Wystarczy tych sentymentów – rzekła księżniczka i pokręciła głową. – Co myślisz o reakcji Lyucu?

Zomi popatrzyła na mapę, jakby kontemplowała zwój logogramów ano albo analizowała skomplikowany schemat.

– Liczyliśmy na to, że ograniczony zasięg garinafin pozwoli nam zejść na ląd w niechronionych fragmentach brzegu, lecz poprzez wykorzystanie statków-miast jako pływających wysp siły powietrzne Lyucu znacznie zyskały na sile.

Flota Lyucu, składająca się teraz zarówno z ogromnych statków-miast, na których przyłynęli najeźdźcy, jak i mniejszych statków, zdobytych na Rui i Dasu, została podzielona przez Tanvanaki na niezależne flotylle liczące po kilkanaście jednostek. Każda taka flotylla eskortowała jeden statek-miasto, który służył do transportu dwóch lub trzech garinafin. Pojmane sterowce patrolowały morze i lokalizowały oddziały Pumi, po czym garinafiny startowały z pokładów, by przypuścić atak z powietrza. Eskorta kończyła akcję, dobijając rozbitków. Yemu stracił w ten sposób już wiele statków.

– Myślę, że to więcej niż tylko przewaga – stwierdziła Théra. – Te flotylle zupełnie zdominowały morze na południe od Rui. Samodzielnie statki-miasta i garinafiny mają ograniczony zasięg i liczne słabe punkty, lecz uzupełniają się naprawdę dobrze. Zupełnie jakby nasi przeciwnicy zbudowali sobie zupełnie nową maszynę bojową.

Zomi pokiwała głową.

– Mądrze jest wykorzystywać to, co się już posiada, w nowym celu.

Naprawdę lubiła pracę z księżniczką, bo myślały w podobny sposób. Rozumiały się nawzajem i udoskonalały swoje pomysły, przez co Zomi częściej niż kiedykolwiek wcześniej wspominała beztróskie dni spędzane z Luanem na „Ciekawskim Żółwiu”.

– Z pewnością muszą też być wyjątkowo okrutni dla załóg cesarskich sterowców i statków. Inaczej nasi by im nie służyli – stwierdziła Théra ponuro. – Musimy doradzić Pumi Yemu odwrót.

– Ale może nie całkowity odwrót – zauważyła Zomi.

– Co masz na myśli?

– General Yemu jest znany ze swoich umiejętności stosowania uników. Jeśli

zachowałby ostrożność, mógłby przekuć tę porażkę w okazję, by...

– ...zebrać informacje – dokończyła Théra z błyskiem w oku.

Posłały sobie znaczące uśmiechy i złapały się za ręce.

Statki Puma Yemu zaczęły się wycofywać. Wiatr wybrzuszał żagle, wiosłarze napinali mięśnie, a gładkie kadłuby przecinały fale, rozpierzchając się we wszystkie strony.

Puma Yemu wysłał ostentacyjne sygnały za pomocą latawców, ostrzegając każdego kapitana cesarskiej floty, że jeśli ucieknie zamiast walczyć, zostanie stracony. W ten sposób cesarskie statki zaczęły zachowywać się niczym roztrzęsione nartniki: nieśmiało podpływały do statków bojowych Lyucu, lecz kiedy dowódcy zauważali, że garinafyny szykują się do ataku, nakazywali odwrót, posyłając latawiec sygnałowy z informacją o „przytłaczającej przewadze liczebnej wroga”, niewątpliwie po to, by ratować się przed wyrokami śmierci.

A jednak bali się uciekać zbyt daleko. Kiedy było jasne, że garinafyny nie zamierzają ich ścigać, statki zwalniały, odwracały się i rozpoczynały proces powolnego zbliżania się do przeciwnika. Były niczym dzieci niechętnie wracające do domu na obiad.

Tanvanaki śmiała się w głos, kiedy pojmani marynarze wyjaśnili jej znaczenie poszczególnych sygnałów używanych przez ludzi Puma Yemu. Rozkazała swoim oddziałom płynąć za uciekającymi do skutku, ponieważ stało się jasne, że morale w szeregach przeciwnika właśnie upadło.

Kiedy oddziały Lyucu coraz bardziej oddalały się od wybrzeży Rui, Zomi i Théra oznaczały ich pozycje na swojej mapie. Czasami statkom Yemu nie udawało się uciec na czas i trawiły je pożary rozpętane przez zionące ogniem garinafyny; czasami skrzydlate potwory musiały zawrócić, utraciwszy siły. Dzięki tak wielu potyczkom między statkami Puma Yemu a przeciwnikiem Zomi i Théra wreszcie zdołały wyliczyć dokładną wartość maksymalnego efektywnego zasięgu ognistego ataku skrzydlatych bestii.

Książę Phyro zaproponował, by do ataku na statki-miasta wykorzystać łodzie podwodne. Ponieważ teraz znajdowały się tak daleko od brzegu, garinafyny nie miałyby dość energii, by dolecieć w bezpieczne miejsce po stracie pływającego schronienia.

– To nie jest zły pomysł – stwierdziła Théra. – Ale zdajesz sobie sprawę, że jeśli wykorzystamy mechaniczne crubeny teraz, raz na zawsze stracimy element zaskoczenia? Sztuka prowadzenia wojny wymaga ukrywania informacji przed wrogiem tak długo, jak to tylko możliwe, a nie o każde zwycięstwo warto walczyć. Podobnie gra się w *cüpa*, gdzie czasami lepiej jest nie przechwytywać kamieni przeciwnika, aby zabezpieczyć sobie lepszą pozycję na przyszłość.

Phyro przyznał jej rację, lecz księżniczkę martwiła niecierpliwość młodego księcia. Właśnie ta cecha od zawsze stanowiła jego największą słabość – najwyraźniej kilka lat służby w charakterze reprezentanta cesarza nie zdołało sprawić, by się jej wyzbył.

– Puma Yemu wykonał swoje zadanie – oznajmiła księżniczka Théra. – Teraz

inni muszą wykorzystać z takim poświęceniem zebrane przez niego informacje.



Raz jeszcze Than Carucono wyjrzał przez oczy wielkiego mechanicznego crubena w nieprzeniknioną głębię morza.

Od czasu do czasu przepływały przed nim ławice kolorowych ryb, a bywało, że pojawiał się też rekin. Śladem Thana podążało po bezdrożnej głębinie dziewięć innych mechanicznych crubenów.

Najazdy Pумы Yemu były tylko częścią większego planu. Cel nękania przeciwnika był taki, by odwrócić uwagę garinafin od morza na wschód od Rui, gdzie dno znaczyła serpentina podwodnych wulkanów.

Oglądając się na ciasne i ciemne wnętrze podwodnej łodzi oraz spocone i brudne twarze załogi, Carucono nie potrafił oprzeć się porównywaniu tej wyprawy do tej sprzed dekady, kiedy pokonywał tę samą drogę. Wtedy obrał przeciwny kierunek, ponieważ siły Dasu przygotowywały sekretną inwazję na Wielką Wyspę, a mechaniczne crubeny były pełne zdeterminowanych żołnierzy. Dzisiaj Than również brał udział w sekretnej misji, jednak tym razem w podwodnych łodziach znajdowało się o wiele mniej ludzi. Szanse powodzenia również były mniejsze.

Prowadzenie mechanicznych crubenów przez morze jest zadaniem czasochłonnym i trudnym. Podwodne okręty musiały mieć zapewniony dostęp do wulkanów – źródła gorących kamieni niezbędnych dla funkcjonowania silników parowych napędzających płetwy ogonowe. Mimo szczegółowych map określających lokalizację podwodnych wulkanów, cały proces był niedopracowany i bardzo niebezpieczny. Nawet nieznaczne zboczenie z wyznaczonego kursu mogło zaowocować ominięciem wulkanu, a okręty były zwyczajnie zbyt wielkie, żeby kilku członków załogi zdołało daleko dopłynąć wyłącznie dzięki wiosłowaniu. Gdyby ominęli wulkan, musieliby wynurzyć się na powierzchnię, wysłać latawce sygnałowe i czekać na ratunek, tym samym też ujawniając swoje położenie wrogowi. W ciągu dnia mechaniczne crubeny znajdowały więc w przytłumionym świetle charakterystyczne punkty podwodnego krajobrazu – kaniony i koralowce, nocą zaś załoga musiała polegać wyłącznie na obliczeniach i z duszą na ramieniu wypatrywać w oddali słabego blasku wulkanów, niczym gwiazd w otchłani. Od czasu do czasu musieli podpływać blisko powierzchni i wystawiać rury, by nabrać świeżego powietrza, zanim zrobią się senni i zaczną im się kręcić w głowach.



Noc była bezksiężycowa, a morze spokojne.

Statki-miasta zrzuciły kotwice i kołysały się na wodzie w porcie Kriphi, otoczone jednostkami zrabowanymi miejscowym. Były niczym odpoczywające wieloryby otoczone płochliwymi fokami i delfinami.

Chłopi Dary, po długim dniu ciężkiej pracy pod czujną obserwacją dziesiątników i strażników Lyucu, wreszcie mogli zaznać nieco spokoju. Z kolei

thanowie i wojownicy posnęli po kolejnym wieczorze świętowania. W swoich pijackich snach wyobrażali sobie, jak lecą na wypoczętych garinafinach nad wielkimi miastami w samym sercu Dary, gdzie bezbrzeżne bogactwa i potulni z przerażenia mieszkańcy czekali na ich przybycie.

Kilka kilometrów od brzegu, tuż poza maksymalnym efektywnym zasięgiem garinafin obliczonym przez księżniczkę Théré i jej asystentkę, morskie fale przebił róg crubena. Wkrótce wynurzyła się cała przednia część mechanicznego cielska, zamarła na chwilę w powietrzu, po czym znów opadła.

Jego śladem podążyło dziewięć innych crubenów.

Potężny hałas, zanim dotarł do brzegu, był już ledwo słyszalny. Kilku patrolujących strażników na pokładach statków-miast oraz w bocianich gniazdach pojmanyh statków Dary odwróciło się w stronę ciemnego morza, lecz w słabym blasku gwiazd nie zdołali niczego wypatrzyć. Chuchali w złożone dłonie, by rozgrzać zgrabiałe palce, i mocniej naciągali czapki. Chłód był dokuczliwy, lecz oni pozostawali czujni. Hałas nieszczególnie ich zaniepokoił. Tak daleko na północy, z dala od zatłoczonych szlaków handlowych między głównymi wyspami Dary, wypływające na powierzchnię wieloryby i crubeny nikogo nie dziwiły.

Flota Pumy Yemu wciąż uciekała przed statkami-miastami jak przerażone myszy przed kotami, a patrolujące okolice portu Kriphi sterowce nie zgłaszały niczego niepokojącego. O ile mieszkańcy Dary nie wymyślili jakiegoś sposobu, by uczynić ich niezdarne i powolne statki powietrzne niewidzialnymi, Lyucu czekała kolejna spokojna noc.

Zyskawszy pewność, że wypływające crubeny nie zwróciły uwagi strażników na brzegu, Than Carucono wypuścił wstrzymywany oddech, który zabielił się w słabym blasku gwiazd. Powietrze było lodowate, a woda tak zimna, że mogłaby zabić człowieka w kilka minut. Jednak w pewnym sensie najtrudniejsza część misji dopiero się zaczynała.

W ciemności załoga walczyła z wiatrem i falami za pomocą krótkich wiosel, starając się ustawić crubeny w ogromnej kolistej formacji, z głowami skierowanymi ku środkowi. Aby wielkie łodzie podwodne – których nie optymalizowano do użycia na powierzchni wody – zyskały większą stabilność, Than rozkazał, by wysunięto długie płetwy piersiowe, chowane na czas szybkiego pływania. Następnie załoga powoli rozwarła szczęki crubenów. Dziesięć łodzi wyglądało teraz jak stado wielorybów ziewających leniwie i niemożliwie szeroko.

Kawałek po kawalku, żołnierze wyciągnęli z głębi łodzi sekretny ładunek na pokład powstały po rozwarciu szczęk. Pontony – wykonane z owczych i krowich pęcherzy przyczepionych do bambusowych tyczek – umieszczono na ramie, by uzyskać w ten sposób dużą pływającą platformę wielkości wiszącego parku w Müning.

Załoga crubenów ostrożnie weszła na platformę, zbadła jej stabilność, a potem uniosła ręce w triumfalnym geście.

Grupy marynarzy wydobyły z wielorybich brzuchów coś, co wyglądało jak ciasno związane naręcza bambusowych tyczek, każda po dziesięć metrów długości

i gruba jak pień. Po ułożeniu ciężkiego ładunku na środku platformy załoga przecięła sznury i szybko odskoczyła na bok, pozwalając tajemniczym konstrukcjom rozprostować się niczym kot po drzemce. Bambusowe tyczki rozłożyły się, wydłużyły, podniosły, zaczęły ze sobą łączyć... Przywodziło to na myśl misterne papierowe rzeźby z Amu – zmyślni twórcy składali kartki papieru w płaskie pudełeczka: te, puszczone, zmieniały się w zwierzęta, domy i podobizny znanych ludzi. Innym skojarzeniem było przyspieszone kiełkowanie, wzrost i kwitnienie jakiejś rośliny.

Wkrótce na pływającej platformie znalazło się dziesięć małych sterowców.

Zomi Kidosu, inspirując się wspomnieniem składanych lampionów pokazanych jej przez Luana w trakcie ich wspólnej podróży, wyrysowała surowy plan ich konstrukcji. Kiedy Phyro i Théra zrozumieli główne założenia, zaczęli gorąco polecać ów pomysł generałom i cesarzowi. Genialni matematycy i inni naukowcy z akademii i laboratoriów Pan oraz Ginpen, zarówno tych prywatnych, jak i wspieranych przez cesarstwo, pracowali bez wytchnienia, żeby znaleźć sposób na ściśnięcie i złożenie ram sterowców, tak by dało się je przewieźć w ciasnej ładowni mechanicznego crubena. Następnym krokiem załogi było przymocowanie do ram zbiorników gazu nośnego. Zostały skompresowane tak mocno, że przypominały pierożki zbyt ciasno owinięte liśćmi bambusa. Kiedy żołnierze upewnili się, że rama została bezpiecznie przytwierdzona do pływającej platformy, poluzowali sznurki przy zbiornikach gazu. Te zaczęły napierać na bambusową konstrukcję, próbując wrócić do swojego naturalnego położenia.

Z wnętrza każdego z crubenów marynarze wyciągnęli kolejny ładunek – ogromne słoiki ceramiczne, elastycznego węża ze zwierzęcych wnętrzności oraz ciężkie płócienne worki. Przenieśli je do sterowców i mocno przywiązali do ram. Z każdym z tych przedmiotów obchodzili się z ogromną ostrożnością. Powstały z nich, niczym z puzzli, kompaktowe gondole.

Ponieważ rozmiar crubenów był relatywnie niewielki, nie zmieściły się do nich zwoje lakierowanego jedwabiu, który zazwyczaj rozpinano na ramie sterowca. W związku z tym skonstruowane z bambusów i zbiorników gazu statki powietrzne przypominały zwierzęta, których skóra i mięśnie magicznie uczyniono niewidzialnymi, tym samym ukazując szkielet i pulsujące organy wewnętrzne. Oprócz tego każdy z nich, z powodu braku jedwabnego płaszcza, bardziej opierał się wiatrowi, więc był wolniejszy, a do tego bardziej narażony na uszkodzenia spowodowane przez strzały. Ponieważ jednak Lyucu raczej nie używali broni dalekiego zasięgu, nie licząc proc, trafienia nie powinny być krytyczne. Co więcej, dzięki otwartej bambusowej ramie załoga nie musiała ograniczać się do gondoli w kwestii ustawiania broni. Wręcz przeciwnie – mogła wspinać się po całej konstrukcji niczym po olinowaniu statku, przez co sterowce nadawały się do walki z przeciwnikiem atakującym z każdej strony.

Istniała jeszcze jedna zaleta pozbawienia sterowców płaszcza. Zaleta, na którą Than Carucono bardzo liczył i od której zależało powodzenie misji.

Bambusowy szkielet i jedwabne zbiorniki na gaz zostały pomalowane na

czarno, a specjalnie wyszkoleni członkowie załóg przywiązani do różnych elementów ramy również przywdziali czarne stroje. Sterowce były więc niewidzialne niczym duchy uplecione z esencji nocy.



Pon Naye, dowódca oddziału specjalnego, zaszalutowała Thanowi Carucono.

– Admirale, ogniste ptaki są gotowe.

Pon była jedną z pierwszych kobiet zwerbowanych przez Gin Mazoti do sił powietrznych. Ta zdolna kapitan, która niegdyś walczyła z legendarnym hegemonem, gdy ten leciał nad rzeką Liru na latawcu bojowym, zgłosiła się na ochotnika do tej ekspedycji.

Naye zdjęła materiałową sakwę przyczepioną do paska i rzuciła Thanowi, który z łatwością ją złapał.

– Jeśli nie wrócimy, proszę, zabierz to do Pan.

Than zważył sakwę w dłoni. Była bardzo lekka.

– A co to jest?

– Ostatnia wola każdego członka mojego szwadronu – odparła Naye.

Than Carucono przycisnął sakwę mocno do piersi. Oczy szczypały go w morskiej bryzie, kiedy mówił:

– Zadbam o to, by trafiły do rodzin, jeśli... Niech pan Kiji i wszyscy bogowie Dary mają was w opiece.

Naye roześmiała się.

– Ludzie mówią, że ci z sił powietrznych są bardzo przesądni, ale ja nigdy nie byłam szczególnie uduchowiona. Przez wszystkie te lata, które spędziłam na służbie, nieustannie groził mi upadek z wysokości setek metrów, a nigdy się nie modliłam. Jeśli bogowie Dary chcą walczyć u mojego boku, przyjmę ich z otwartymi ramionami. Jeśli jednak nie zechcą, wiem, że mam to, czego mi trzeba. – Poklepała wąską lufę broni przypiętej do ramy.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał Than pod wpływem impulsu. – Chciałbym... twój testament dostarczyć osobiście.

– Nie zostawiłam żadnego – odparła Naye. – Nigdy nie nauczyłam się czytać i pisać, a dyktowanie skrybom, co powinno się wydarzyć po mojej śmierci, wydawało mi się takie... niewłaściwe. Poza tym nie ma takiej potrzeby. Już od piętnastu lat służę w siłach powietrznych i każdego zarobionego miedziaka zdążyłam przepić, przegrać albo oddać kochankom. Jestem tak goła jak mój sterowiec.

– Nie masz żadnej rodziny? Z pewnością chcieliby wiedzieć...

Na twarzy Naye pojawił się smutek.

– Mój ojciec zginął, walcząc dla Mapidérégo, a matka umarła z głodu. Kiedyś miałam syna, ale nie znam go, bo nie chciałam wyjść za mąż i się ustatkować, więc dzieckiem zajął się ojciec, mieszkają gdzieś w Dasu.

– W Dasu – powtórzył mechanicznie Than. Nagle zrozumiał, dlaczego Naye zgłosiła się do tej misji.

– Nie miał wiele pożytku z takiej matki – rzekła. – Ale jeśli Lyucu zabili już jego i ojca, jestem gotowa ich pomścić. A jeśli nadal żyje, mam nadzieję, że pewnego dnia usłyszy historię o tym, co się tu dzisiaj stało, i będzie wiedział, że jego matka nie była aż takim tchórzem, jak mógłby sądzić.

– Dobre imię. Ostatecznie tylko to po sobie zostawimy. Dobre imię.

– Coś w tym stylu. Żadna ze mnie poetka, admirale.

Zagwizdała, żeby zwrócić na siebie uwagę załogi.

– Ostatni raz sprawdzamy bezpieczeństwo zaczepów... Rozluźnijcie więzy wokół zbiorników... Startujemy za dziesięć... Przygotować się! Trzy, dwa, jeden, start!

Członkowie załogi znajdujący się najbliżej spodu ramy, do której przywiązano sterowce, jednocześnie zamachnęli się krótkimi mieczami i szkieletowe statki wzbily się w powietrze, po czym szybko zniknęły w ciemności. Platforma, wcześniej nieznacznie podniesiona nad poziom wody przez sterowce, opadła z pluskiem na fale.



Szybując przez noc jak kalamarnice przemierzające oceaniczne głębiny, szkieletowe sterowce po cichu zbliżyły się do statków-miast.

Jeden z wartowników Lyucu pełniących służbę wyteżał wzrok, wypatrując w ciemności widmowego kształtu, który zdawało mu się, że widział.

„Czy to stado ptaków? Podmuch wiatru? Zdaje się, że coś na moment przysłoniło gwiazdy”.

Nagle z czarnego nieba wyłonił się język ognia.

Wyciągnął się i rozwinął, aż zaczął przypominać podłużne chmury nad widnokregiem o zachodzie albo wschodzie słońca, a kiedy jego czubek dotarł do strażnika, był już gruby jak masywne kolumny podpierające dach pałacu w Kriphi i długi na niemal piętnaście metrów. Powietrze wokół ognia zaskwierczało, a gwiazdy zadrżały w fali gorąca.

Język wycofał się tak samo nagle, jak się pojawił. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał wartownik, teraz leżały spalone zwłoki, zaś bocianie gniazdo zmieniło się w płonący stos pogrzebowy.

– Atakują! Atakują!

Pozostali wartownicy podnieśli larum, nie znając siły i liczebności wroga. Biegali w popłochu po pokładach, spoglądając we wszystkich kierunkach. Przeciwnik zaatakował pod takim kątem, że ogromne żagle zasłaniały wartownikom widok. Zdawało się, że bomby ogniowe nadlatują od strony morza, lecz jakim cudem flota Dary zdołała podpłynąć tak blisko, niezauważona przez sterowce albo transport garinafin?

Szybko zapalono pochodnie, a czujki zaczęły intensywnie wpatrywać się w ciemność. Jednak na skąpanym w mroku morzu nie dało się zauważyć żadnego statku, a port pozostawał pusty.

Pojawił się kolejny ognisty język – sięgnął innego statku, podpalając główny

maszt.

Tym razem czujki zdały sobie sprawę, że wróg atakuje z powietrza, jednak mimo usilnych prób nie potrafiły go zlokalizować. Dziwne – za sprawą jasnej, lakierowanej powierzchni powinien być łatwo widoczny w blasku bijącym od płonących statków, a nawet gdyby nie oświetlał go ogień, jego ogromne rozmiary powinny zasłaniać duże fragmenty nieba.

Nie dało się ukryć cesarskich sterowców. A jednak Lyucu byli przez nie atakowani, niczym przez upiorne duchy.

Posłańcy ruszyli do Kriphi, by obudzić thanów i pijanych wojowników – będą musieli się pośpieszyć i przyprowadzić niewolników z Dary, by ugasili ogień, inaczej statki doszczętnie spłoną.

Kolejny język ognia, kolejny wrzask, kolejny statek w płomieniach.

I znów – tym razem cztery skoncentrowane języki ugodziły w inny; ogień pożerał jednocześnie dziób i rufę.

Wreszcie jedna z czujek zdołała wypatrzyć źródło. Kiedy jeden z płomieni rozproszył mrok, mężczyzna zauważył przeblask czegoś niemożliwego: wojowniczkę Dary unoszącą się w powietrzu zupełnie bez podpory, a do tego dzierzącą język ognia niczym długą włócznię.

Czujce – dokładnie pięćdziesiątnikowi z cesarskiej armii, który poddał się Lyucu i zyskał ich zaufanie, bezlitośnie smagając biczem cywilów z Rui, by pracowali ciężiej – widok ten przywiódł na myśl Fithowéo walczącego ognistą włócznią.

Zadrzał. „Czyżby bogowie Dary w końcu postanowili zainterweniować?”

Na statkach panował chaos i słychać było okrzyki. Marynarze zapalili mocne lampy sygnalizacyjne, a następnie za pomocą zakrzywionych luster skierowali ich światło w stronę nieba, wypatrując widmowych cesarskich sterowców.

„Jest!” Statek był naprawdę upiorem. Bambusowy szkielet pomalowano na tak ciemny kolor, że stapiał się z nocą i odbijał niewiele światła. Nawet napędzające go opierzone wiosła zafarbowano na czarno. W różnych miejscach ramy czepiały się grupki żołnierzy dzierzących piekielną machinę, która pluła śmiercionośnym ogniem.

Owe maszyny – „miotacze ognia”, jak nazwał je rozentuzjzmowany Phyro – zaprojektowała Zomi Kidosu, opierając się na wspomnieniach z dzieciństwa cesarzowej.

Zbiorniki pełne obornika stały przez tygodnie, by w wyniku fermentacji zebrał się w nich łatwopalny gaz; suszone odchody zmielono na proszek i wymieszano z twardymi kulkami, a następnie wsypano do słoików, by służyły za amunicję. Aby można ją było wystrzelić, do każdego zbiornika z gazem pod ciśnieniem zamontowano wąż, a do niego cienką, prostą rurkę, którą można było dzierżyć jak włócznię. Jeden koniec tej rurki przyłączony był do miecha i słoja pełnego sproszkowanych odchodów. Kiedy żołnierze pompowali miechy, by przepchnąć proszek i kulki przez pustą rurkę, otwierał się zawór w zbiorniku, wypuszczając będący pod ciśnieniem gaz fermentacyjny. Następnie tę mieszankę podpalał

pierścień ognia znajdujący się blisko ujścia rurki. W rezultacie z rurki wydobywał się potężny płomień, który spopielał wszystko, co znalazło się na jego drodze.

Snopy światła wędrowały po niebie, przeszukując mrok niczym czułki spanikowanego owada. Odkryto kolejne widmowe sterowce unoszące się nad flotą stacjonującą w porcie niczym gigantyczne ćmy zwiastujące nieszczęście i plujące śmiercionośnym ogniem.

Kilku łuczników na brzegu – głównie dawni żołnierze Dary – posłało strzały w stronę widmowych sterowców. Większość nie wyrządziła szkód, a te kilka, które zbliżyło się niebezpiecznie do kobiet na pokładzie, zostało umiejętnie odbitych wiklinowymi tarczami.

Niebo nad Kriphi rozświetliło się, kiedy zapalono pochodnie i wojownicy Lyucu pobiegli odpowiedzieć na atak. Mimo rozgardiaszu panującego w porcie dało się słyszeć łopotanie gigantycznych skrzydeł: obudzono garinafiny i ich jeźdźców.

Na widmowych sterowcach skupiły się jasne snopy światła z obrotowych luster, aby znowu nie zniknęły w mroku. Straciwszy element zaskoczenia, załoga zmieniła taktykę: wiosłarze podpalili wiosła, przez co statki powietrzne przypominały teraz ogniste ptaki albo świetliste meduzy, których środowiskiem naturalnym było empirejskie morze. Płonące wiosła niczym zatrute macki podpały żagle mijanych statków i przewracały ludzi, którzy próbowali gasić pożar.

W nocnej ciemności rozbrzmiał głośny, przeszywający pisk – dźwięk jednocześnie pełen dumy i smutku. Serce Naye zadrżało, kiedy obcy krzyk pobudził tę część jej umysłu, w której rodziły się koszmary. Załogi sterowców wstrzymały ogniowy atak, a Lyucu stojący na brzegu przestali wymachiwać pałkami i strzelać z luków.

Wszyscy czekali, wstrzymując oddech.

Nagle wojownicy Lyucu zaczęli wiwatować – oto na niebie pojawiła się wielka garinafina, która zanurkowała w stronę sterowca Naye.

Skrzydłata bestia była o wiele większa od sterowca i przypominała sokoła Mingén atakującego pasące się ciele. Cesarski sterowiec, którego płonące skrzydła przestały łopotać, jakby załoga zamarła w przestkach, unosił się bezsilnie w miejscu jak balon na ciepłe powietrze.

Jeździec dosiadający garinafiny – chudy, żylasty mężczyzna w wieku około czterdziestu lat – pozwolił sobie na drapieżny uśmiech. Odwrócił się i krzyknął do reszty załogi, żeby trzymali się mocno. Garinafina miała zaraz roznieść latający bambusowy szkielec na drzazgi.

Skrzydłata bestia była coraz bliżej, lecz nieszczęsny sterowiec nie ruszył się z miejsca.

Jeździec wiwatował.

Garinafina zahamowała i odgięła szyję, gotowa podpalić sterowiec. Statkiem Naye szarpnęło, jakby uderzyła go niewidzialna ręka. Miechy na pokładzie nie służyły tylko do miotania ogniem – dzięki licznym rurkom i rozkloszowanym trąbkom utrzymywały sprężone powietrze, które można było opróżnić przez znajdujące się z tyłu otwory. Inżynierowie Cesarskiej Akademii, mając w pamięci

wyjatkowy sposób poruszania się kałamarnic, dodali system odrzutowy do widmowych sterowców jako mechanizm niespodziewanej ucieczki.

Ognisty oddech garinafiny w większości minął sterowiec. Został podpalony tylko sam tylny fragment statku i znajdująca się tam nieszczęsna pasażerka spadła w objęcia śmierci niczym płonący meteor.

Pozostała część załogi Naye starała się za wszelką cenę osiągnąć dwa cele: niektórzy wspinali się po ramie, by przyciągnąć podłączone do zbiorników wody węże i zgasić ogień, zanim wymknie się spod kontroli; inni zwrócili miotacze ognia w stronę garinafiny, chwilowo ogłuszonej po ognistym ataku, a przez to bezbronnej.

Nagle cały świat rozbłysnął, jakby doszło do erupcji wulkanu; języki ognia wystrzeliły z różnych miejsc sterowca, a wszystkie skoncentrowały się na skrzydlatej bestii.

W normalnej walce jeźdźców chroniłyby duże osłony wykonane z wytrzymałej skóry garinafin, przymocowane do siatki oplatającej ciało zwierzęcia. Jednak ponieważ w tym przypadku jeźdźców zbudzono w środku nocy, a żaden nie spodziewał się zobaczyć sterowca Dary zionącego ogniem, nie kłopotali się zakładaniem pełnego rynsztunku.

Jak zasugerowała marszałek czterem odwiedzającym ją kobietom, taka arogancja była dla Dary szansą. Języki ognia ślizgały się po ciele garinafiny, słychać było skwierczenie, a powietrze wypełnił zapach pieczonego mięsa. Niektórzy jeźdźcy zdolali przedostać się po siatce na drugą, bezpieczną stronę zwierzęcia, niczym pająki uciekające w ciemność przy spotkaniu z badaczem dzierżącym pochodnię, większość jednak nie zdążyła umknąć i spadła do lodowatej morskiej wody, krzycząc z bólu i płonąc.

Pilot był wystarczająco opanowany, by podać swojemu wierzchowcowi nowe rozkazy, więc za chwilę garinafina zatrzepotała swymi potężnymi skrzydłami i wycofała się wraz z rannymi jeźdźcami kurczowo uczepionymi siatki.

Załogi cesarskich sterowców zaczęły wiwatować. Przerażający wojownicy Lyucu nie byli wcale tacy niepokonani.

Rozdział czterdziesty trzeci

Smak zwycięstwa

Rui: drugi miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Pon Naye rozkazała swojej widmowej flocie, by kontynuowała ognisty atak na zakotwiczone w porcie statki Lyucu. Jednocześnie ujrzała kilkanaście kolejnych garinafin, lecz trzymały się one z dala. Jeźdźcy dosiadający monstrualnych bestii nie bardzo wiedzieli, co myśleć o tych nowych ustrojstwach miotających ogniem jak płonące jeże, tak różnych od łatwych do zniszczenia i powolnych cesarskich sterowców, z którymi z łatwością potrafili się rozprawić.

Ponieważ miotacze ognia w rękach załogi Naye miały większy zasięg niż naturalny ognisty oddech garinafin i mogły działać dłużej, równowaga sił została zachwiana. Chociaż bestie miały skórę niezwykle wytrzymałą, nie w smak im był kontakt z ogniem – wbrew ponagleniom jeźdźców trzymały dystans i ostrożnie okrążały sterowce, niepewne, co mają robić.

Tymczasem statki trawił ogień i pochłaniała woda. Marynarze skakali do lodowatego morza i próbowali dopłynąć do brzegu. Jeźdźcy bezsilnie patrzyli na piekło, jakie rozpętało się w porcie Kriphi.

Jednak jedna z pilotek, młoda kobieta o niemal śnieżnobiałych włosach, pozostawała niezrażona. Vadyu Roatan, znana też jako Tanvanaki, córka *pékyu*, była dowódcą oddziału, a jej wierzchowiec, całkowicie biała bestia o imieniu Korva, słynął jako największa i najbardziej przebiegła garinafina w stadzie.

Kiedy Tanvanaki oceniła sytuację ze swojego siodła, przystawiła wąski koniec trzymanej przez siebie tuby do jednego z kręgów odznaczających się pod skórą na grzbiecie Korvy.

Ponieważ szyja garinafin była bardzo długa, jedynymi praktycznymi sposobami na komunikację z pilotami w czasie lotu było uderzanie ostrogami w twardą skórę u podstawy szyi zwierzęcia albo mówienie przez przypominające trąbki tuby wykonane z pustej kości ucha garinafiny – dzięki niej głos docierał do głowy zwierzęcia poprzez wibracje kręgosłupa.

– No, mała – powiedziała Tanvanaki – musimy spróbować czegoś nowego. – Głaskała szyję swojego wierzchowca, jednocześnie tłumacząc, czego oczekuje.

Korva kiwnęła głową, żeby pokazać, że zrozumiała. Następnie zaczęła ryczeć i zawodzić, wydając niskie dźwięki podobne do śpiewu crubenów i wielorybów. Po chwili pozostałe garinafiny odpowiedziały swoimi równie niskimi i pełnymi smutku głosami, a piloci skrzyżowali ręce nad głowami, pokazując Tanvanaki, że przyjęły wiadomość. Skrzydlate bestie zaczęły okrążać sterowce, trzymając się poza zasięgiem miotaczy ognia. Od czasu do czasu któraś próbowała znaleźć dogodną pozycję, by jej płomień dosięgnął któryś ze szkieletowych statków.

– Uważajcie! – krzyknęła kapitan Pon Naye przez trąbkę z byczego rogu,

która miała niepokojąco podobny kształt do tuby trzymanej przez córkę *pékyu* (choć Naye, w odróżnieniu od Tanvanaki, mówiła przez wąski koniec instrumentu). – Próbują nas stłoczyć!

Rzeczywiście garinafiny sprawiały wrażenie, jakby pracowały w skoordynowany sposób. Niczym stado wilków okrążające stado owiec, nieustannie nękały przeciwnika, zmuszając go do wielokrotnego wypuszczania powietrza pod ciśnieniem – był to jedyny sposób uniknięcia ich ognistego oddechu. Jednak nawet mając świadomość tej strategii, załogi sterowców nie mogły nic zrobić i stopniowo zbliżały się do siebie, podczas gdy garinafiny okrążały je coraz ciasniej.

Wreszcie statki powietrzne zostały zmuszone do zbiecia się w gromadę; ich tylne części stykały się i zahaczały o siebie, a przody odchodziły we wszystkich kierunkach niczym promienie gwiazdy. Wioślarze schowali opierzone wiosła i na chwilę je odłożyli. Sterowce w tej formacji, chociaż nie mogły już atakować zakotwiczonych statków Lyucu ani wojowników na brzegu, stały się niedostępne dla wroga. Każdy sterowiec był chroniony przez krzyżujące się strumienie ognia z sąsiednich machin, dzięki czemu nie istniała ani jedna szczelina, którą mogłyby wykorzystać garinafiny. Skrzydlate bestie i podniebne statki osiągnęły stabilny impas.

Jednak Naye nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak. Wiedziała, że nie powinna dać się omamić iluzji bezpieczeństwa – Lyucu już nieraz udowodnili, że są inteligentnym przeciwnikiem. Przyjrzała się okrążającym ich ze stałą prędkością garinafinom, zwracając uwagę na ich szczególne umaszczenie – jedne były zupełnie gładkie, inne pręgowane, jeszcze inne nakrapiane albo pokryte nieregularnymi łatami, przywodzącymi jej na myśl wzory na obracających się latarenkach z dzieciństwa.

– Oszczędzajcie amunicję! – zawołała przez róg. – Nie strzelajcie, jeśli nie musicie. Być może próbują nas skłonić do zużycia zapasów.

Nie miałyby to jednak sensu. Zgodnie z tym, co udało im się dowiedzieć dzięki relacjom z walki Ra Olu i Pomy Yemu z garinafinami, zwierzęta te miały mniejszą wytrzymałość i szybciej opadłyby z sił, niż sterowce zużyłyby amunicję.

Wzory umaszczenia garinafin krążących wokół sterowców powtarzały się: kropkowana, pręgowana, gładka, laciata... Naye policzyła zwierzęta. „Jeden, dwa... dziesięć, jedenaście. Znowu kropkowana, a teraz pręgowana, gładka... Zaraz! Jedenaście?!”

Rozejrzała się gwałtownie dokoła, po czym popatrzyła w dół: na ciemne morze i migoczące na nim płonące statki. A gdy zadarła głowę, odkryła, że potwierdziły się jej najgorsze obawy.

Chwyciła róg, żeby ostrzec pozostałych, lecz było już za późno.

Podczas gdy większość garinafin otoczyła sterowce i zajmowała uwagę załóg, Vadyu Roatan kazała Korwie umknąć w noc. Po oddaleniu się na bezpieczną odległość księżniczka Lyucu poleciła swojemu wierzchowcowi, by wzniósł się wysoko ponad grupę sterowców i krążące wokół nich skrzydlate zwierzęta.

Podejrzewała, że kapitanowie cesarskich podniebnych statków nie spoglądali

zbyt często do góry – nie byli do tego przyzwyczajeni, gdyż nie musieli tego robić. Zważywszy na historię podniebnych walk oraz fakt, że gaz nośny można było zdobyć tylko w jednym miejscu, w jeziorze Dako, rzadko zdarzało się, by latające maszyny posiadała więcej niż jedna armia. Walka w powietrzu była czymś niezwykle rzadkim – sterowców używano głównie do rekonesansu i bombardowania celów znajdujących się na ziemi lub morzu, a te kilka bitw, które faktycznie rozegrały się w powietrzu, przypominało raczej starcia między okrętami marynarki, których załogi używały strzał i pocisków wybuchających oraz próbowały wdrzeć się na pokład przeciwnika. Stratedzy Dary co prawda rozumieli, że strona potrafiąca wznieść się wyżej zyskałaby stanowczą przewagę, lecz ich teoretyczne rozważania nigdy nie znalazły odzwierciedlenia w praktyce. Żołnierze latający w sterowcach nie uczyli się strzelania do góry, ponieważ zaprojektowano je do walki z celami znajdującymi się niżej albo na tym samym poziomie, lecz nigdy wyżej – na linii strzału znajdowały się bowiem nieprzejrzyste, ukryte pod jedwabnym płaszczem zbiorniki.

Tanvanaki nakazała Korwie, by szybko zanurkowała pomiędzy sterowce. Zanim Pon Naye zdała sobie sprawę z popełnionego błędu i zdołała ostrzec resztę szwadronu, Korwa i jej załoga zdążyli już prawie dotrzeć do statków.

Tanvanaki przycisnęła kolana do szyi Korvy, a zwierzę gwałtownie wyhamowało, trzepocząc ogromnymi skrzydłami, i wypłuło z siebie ognisty podmuch prosto w środek grupy. Sterowce wpadały na siebie nawzajem. Jednocześnie jeźdźcy przypięci do siatki oplatającej tułów bestii wypuścili z proc grad kamieni, żeby powstrzymać wroga przed użyciem miotaczy ognia. Kilka kobiet oberwało w głowę i straciło przytomność. Zawisły bezładnie w swoich uprzężach. Mimo to ogień nie dosięgnął bambusowych ram. Chociaż lotniczki kuliły się ze strachu przed płomieniami, ale także by osłonić się przed nieznośnym gorącem, ogień ostatecznie nie wyrządził żadnych szkód ani im, ani sterowcom.

Pon Naye wydała z siebie okrzyk radości. Nieznajome kształty szkieletowych statków musiały dezorientować Tanvanaki, która źle oceniła odległość i zatrzymała swojego wierzchowca odrobinę zbyt wcześnie. Teraz garinafina będzie potrzebowała kilku chwil na zregenerowanie się, co da siłom powietrznym cesarstwa cenny czas na przygotowanie obrony.

Lotniczki rzuciły się do miotaczy ognia, żeby odpowiedzieć na nowe zagrożenie z góry. Ponieważ zrezygnowano z nieprzejrzystych kadłubów, wiedziały, że sterowce powinny być w stanie utrzymywać wrogów w bezpiecznej odległości również z tej strony. Niezwłocznie wymierzyły miotacze ognia we wszystkich kierunkach.

Naye rozejrzała się uważnie i nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl: Vadyu wcale nie pomyliła się w ocenie odległości – swoim atakiem osiągnęła dokładnie to, co chciała.

– Nie! – krzyknęła kapitan, lecz było już za późno.

Spanikowane lotniczki na tyłach, z włosami spalonymi przez ognisty oddech garinafiny, uruchomiły swoją broń, nie czekając na rozkaz. Mężczyzna przy wężu odkręcił zawór z gazem, a operatorzy miechów zaczęli pompować, jakby od tego

zależało ich życie. Z dziesięciu sterowców w stronę unoszącej się wyżej garinafiny powędrowało dziesięć ognistych języków, niczym języki dziesięciu żab celujących w tę samą muchę. Ponieważ miotacze ognia miały większy zasięg niż garinafiny, jeźdźcom na Korwie groziły poważne obrażenia.

Jednak właśnie na taką reakcję liczyła Vadyu. Języki ognia wystrzeliły do góry, lecz długo przed dotarciem do celu zaczęły rysować łuk w powietrzu jak dyrany wskakujące z powrotem do odbijającej promienie słońca wody. Dziesięć ognistych języków trafiło w dziesięć sterowców, zupełnie jakby lotniczki celowały w siebie nawzajem.

Miotacze ognia skonstruowano tak, by mieszały wypuszczany pod ciśnieniem gaz z odchodów razem ze sproszkowanymi i zgranulowanymi odchodami, dzięki temu miały masę niezbędną do znacznego powiększenia zasięgu. To jednak oznaczało, że ogień z miotaczy w rzeczywistości był strumieniem płonących pocisków, a pociskami rządziła grawitacja. Kiedy załoga sterowców wystrzeliła w górę, języki ognia ostatecznie musiały opaść z powrotem w ich stronę.

Stłoczone sterowce zostały podstępem skłonione do zaatakowania samych siebie.

Bambusowe szkielety natychmiast stanęły w płomieniach i zaraz dało się słyszeć krzyki i wrzaski lotników, których ciała również zajęły się ogniem. Wężę tryskające wodą ze zbiorników nie dawały sobie rady z opanowaniem pożogi; worki z gazem pękały i sterowce zaczęły tracić wysokość.

Spanikowani ludzie wypinali się z uprzęży i uciekali z płonących ogonów na dzioby, lecz wtedy statki powietrzne zaczynały się przechylać, jednocześnie opadając. Jeszcze chwila i wszystkie runęłyby do ciemnego morza, już od jakiegoś czasu pełnego pływających odłamków wraków, w które zmieniły się statki Lyucu.

Naye patrzyła na unoszącą się powyżej sylwetkę ogromnej śnieżnobiałej garinafiny oraz maleńkiej postaci pilotki u podstawy szyi, a jej serce napękało się podziwem. „Ta kobieta to godna przeciwniczka”, pomyślała. Chociaż księżniczka Lyucu nigdy wcześniej nie miała do czynienia z widmowymi sterowcami i miotaczami ognia, wymyśliła plan, dzięki któremu pokonała je w ciągu kilku minut.

„Czy czeka mnie porażka? Czy moje imię przepadnie jak szepty podczas mroźnej zawieruchy?”

Płonące szkielety zaczęły pękać i się rozpadać, sterowce traciły wysokość jeszcze szybciej. Pozostałe jedenaście garinafin zbliżyło się i zaczęło dokładać do ognia, a niektóre atakowały też pazurami i zębami. Wrzaski i jęki jeszcze się wzmogły. Lotniczki przy miotaczach ognia albo porzuciły swoje stanowiska w daremnej próbie znalezienia schronienia, albo zamarły z zamkniętymi oczyma, ochraniając twarze skrzyżowanymi ramionami. Część załogi, zrozumiałwszy, że cała nadzieja stracona, wypięła się z uprzęży i skoczyła do ciemnej, lodowatej wody. Tych, którzy nie zginęli szybko, tonąc albo zamarzając, zaraz wylapali wojownicy Lyucu, u których czekał ich los gorszy od śmierci.

Naye odpięła się od szkieletu i sięgnęła po róg.

– Żołnierze Dary, jesteśmy martwi! Wiedzieliśmy o tym jeszcze przed

wyruszeniem w tę misję. Nie ma wątpliwości. Zostało nam już tylko zdecydować, czy bardowie i bajarze na tych wyspach będą wspominać nas jako bohaterów czy tchórzy. Czy wasi rodzice, bracia, siostry, mężowie, żony i dzieci będą żyli jako wolni mieszkańcy Dary czy niewolnicy barbarzyńskiego ludu Lyucu.

Spanikowani lotnicy zamarli, przytrzymali się szkieletów i wsłuchali w słowa przemowy kapitan, choć przecież wszędzie dokoła sterowce rozpadały się, a garinafiny zajadle atakowały.

– Podążajcie za moim przykładem, siostry! – Naye oplotła swoją uprzężą bezpieczeństwa zbiornik gazu, ogromny ceramiczny słój, który był od niej wyższy i wielokrotnie szerszy. Kiwnęła głową do operatorek miechów. – Już czas. Zróbcie to.

To była ostatnia niespodzianka, w którą wyposażono widmowe statki. „Nie mogę tego od was wymagać – powiedziała Naye swoim załogom i dowódcom, zanim zniknęli w mechanicznych crubenach, by wyruszyć na misję na innym morzu. – Cesarz również, bez względu na to, co ministrowie i kapłani mówią o pięknie śmierci na służbie. Może i nie zaczytywałam się w klasykach Ano, ale wiem, że życie jest święte. Chcę dać wam ten wybór, ponieważ czasami my, wyznawcy Fithowéo, musimy decydować, czy potworny los ma spotkać jednostkę czy wielu. Żołnierz zazwyczaj niewiele ma do powiedzenia, ale tym razem daję wam możliwość świadomego wyboru, jak chcecie, by was zapamiętano”.

Operatorzy zawahali się tylko sekundę i zaraz w odpowiedzi pokiwali głowami.

– Moim kapitańskim obowiązkiem jest utonąć wraz ze statkiem – rzekła Naye. – Ale obawiam się, że tym razem nie będę w stanie tego zrobić.

– My utoniemy ze statkiem – powiedziała jedna z operatorek poważnym głosem.

– Zobaczymy się niedługo na drugim brzegu Rzeki, Na Której Nic Nie Pływa – odezwała się inna.

– Może przywita nas tam hegemon – odparła Naye z uśmiechem. Machnęła ręką na znak.

Jedna z operatorek wyciągnęła krótki miecz i odcięła sznur mocujący zbiornik do szkieletu sterowca.

Pod ceramicznym słojem znajdował się szereg wygiętych bambusowych tyczek. Podobnie jak w modelu katapulty, dzięki której Théca Kimo zdołał umknąć ze spotkania z cesarzem, prostujące się tyczki wypchnęły zbiornik z płonącego pokładu sterowca, wyrzucając go wysoko w powietrze. Kiedy znalazł się w najwyższym punkcie i już miał zacząć opadać, z jego boków wysunęły się dwa skrzydła przypominające latawce i zmieniły gwałtowny upadek w szybowanie. Przywiązana do zbiornika Naye pociągnęła za sznury i skierowała się w stronę jednej z garinafin.

Jeźdźcy na grzbiecie skrzydlatego zwierzęcia byli zbyt podekscytowani widokiem pożogi i spadających sterowców, żeby dojrzeć nowego latającego wroga. Garinafina go zauważyła, jednak dla niej to małe oskrzydłone ustrojstwo było

jak mucha albo komar, więc nie poświęciła mu zbyt wielkiej uwagi. Dopiero kiedy zbiornik wylądował na jej grzbiecie, pośród uczepionych jej jeźdźców, ci podnieśli larum. Kilku Lyucu wypięło się z uprzęży i zaczęło się wspinać po siatce, dzierżąc palki, by wykończyć zuchwałego uciekiniera z płonącego sterowca.

Natychmiast po wylądowaniu Naye wyciągnęła parę haków i wbiła je głęboko w siatkę na grzbiecie zwierzęcia, przez co trudno było zrzucić zarówno ją, jak i zbiornik. Gdy wojownicy Lyucu ostrożnie zbliżali się do niej, wspinając się po unoszącym się i opadającym pod wpływem oddechu cielsku, garinafina wygięła swoją długą szyję i obróciła głowę, by popatrzeć na kapitan Naye. Ta się roześmiała.

Wyrwała wąż przyczepiony do zbiornika, później zawór bezpieczeństwa, a na koniec wbiła prostą włócznię miotacza w dziurę w słoju.

Przez sekundę nic się nie działo, po czym na grzbiecie garinafiny jakby rozbłysło małe słońce. Eksplozja w jednej chwili spopieliała Naye, wojowników Lyucu, pilota i większość pyska zwierzęcia.

W środku zbiorników krył się nie tylko łatwopalny gaz z odchodów, ale również ostre kamienie i kawałki żelaza, które zwiększały śmiertcionośny potencjał tej broni. Chociaż jako bomby miały ogromną moc, niewiele mogłyby zdziałać w starciu z grubą skórą garinafin, więc szkody mogłyby wyrządzić tylko w takich miejscach jak oczy czy język. Za to jeźdźcy i piloci nie mieli szans i to oni stanowili główny cel.

Ogromne zwierzę, oślepię, ogłuszone i pozbawione pilota, zawył z bólu i wściekłości; zrobiło przewrót w powietrzu i zanurkowało w stronę pozostałych garinafin, zionąc ogniem i drapiąc ostrymi pazurami.

Inne zwierzęta, nieprzygotowane na ten nagły zwrot, nie usunęły się z drogi oszalałej towarzysze. Pazury ryły skórę, mężczyźni i kobiety wrzeszczeli, języki ognia parzyły i dopiero kiedy pięć garinafin połączyło siły, udało się rozbić czaszkę bestii, która straciła nad sobą kontrolę. Przysłaniające niebo skrzydła załopotwały raz jeszcze, po czym zamarły i zwaliste cielsko runęło setki metrów w dół, prosto na płonący wrak statku, posyłając w powietrze fragmenty kadłuba.

Kapitanowie innych cesarskich sterowców podążyli śladem Naye – w kierunku wielkich garinafin wystartowały kolejne oskrzydłone ładunki. Nie wszystkie wylądowały tam, gdzie powinny – kilka, które wielkie zwierzęta zmiażdżyły paszczami, wybuchło, rozrywając bestiom głowy. Pozostałe trafiły w szpony garinafin, a te traciły podbrzusza w kuli gorąca i światła. Głośnie eksplozje oraz towarzyszące im wrzaski umierających ludzi oraz ryk oszalałych z bólu bestii stworzyły nowe piekło na niebie.

Otumanione i pozbawione opieki pilotów zwierzęta zaczynały się miotać, atakując wszystko, co znalazło się na ich drodze, i raz po raz ziejąc ogniem. Jeśli jacyś jeźdźcy zdołali przeżyć eksplozję, wypadali z uprzęży pod wpływem gwałtownych ruchów ich wierzchowców, a oślepię, oszalałe garinafiny rzucały się na statki i podpały wielu żołnierzy naraz. Wpadały na siebie, uderzały się głowami, gryzły, drapały, biły ogonami, zionęły ogniem, aż w końcu spadały z nieba bez życia, niczym upadli bogowie. Trzy ocalałe bestie długo walczyły ze sobą. Ponieważ były

obdarzone podobną siłą, żadna nie potrafiła zdobyć znaczącej przewagi. Więc zwarły się w upiornym klinczu i trwały tak, gdyż ani jedna nie miała dość sprawnych skrzydeł, by samodzielnie utrzymać się w powietrzu. Płatanina ciał, skrzydeł, pazurów i szczęk, jaką utworzyły trzy zionące ogniem bestie, przypominała ciemną chmurę burzową, z której dobywały się gromy ryków i którą rozświetlały błyskawice.

Tanvanaki, gdy tylko zdała sobie sprawę, co się dzieje, nakazała Korwie trzymać się z dala od tumultu. Walcząc z napływającymi do oczu łzami wściekłości i przerażenia, spojrzała w stronę Kriphi i zobaczyła lisie ogony powiewające na wierzchołku tyczki białej przed namiotem jej ojca, oświetlone od dołu pochodniami. *Pékyu* Tenryo wydał rozkaz odwrotu.

Nie mogła w to uwierzyć. „Dlaczego? Nawet jeśli straciliśmy większość garinafin wokół miasta, czy nie pozbyliśmy się wszystkich sterowców?”

Wtedy jednak spojrzała na mury miasta i zrozumiała. Jakimś cudem armia Dary zesłała na ląd i właśnie przechodziła przez obóz Lyucu niczym fala opływająca wyrzucone na brzeg szczątki. Od czasu do czasu z jej szeregów wystrzeliwał język ognia, podpalając namioty i skazując tym samym na śmierć w płomieniach każdego wojownika i każdego byłego żołnierza Dasu, który nie zdołał umknąć na czas. Cesarska armia przedostała się na brzeg zapewne tym samym tajemniczym sposobem co sterowce na teren zatoki.

Teraz, na skutek paniki, jaką wywołał atak z powietrza, nie dało się zorganizować żadnej sensownej obrony na lądzie czy morzu. A po stracie większości stacjonujących w Kriphi garinafin i w sytuacji, gdy Korva nie mogła już niemal zionąć ogniem, naprawdę nie było innego wyjścia, niż tylko zarządzić odwrot.

Tanvanaki westchnęła i raz jeszcze przyłożyła tubę do szyi Korwy.

– Okaż litość, a potem wycofujemy się.

Korva jęknęła, żeby pokazać, że rozumiała. Podleciała do walczących garinafin, odchyliła się i zionęła resztką swoich zapasów w stronę towarzyszek. Bestie, zranione i ogłuszone, przestały się bić, a Korva wyciągnęła pazury i zgrabnie złamała im karki w powietrzu. Skierowała się na zachód, by udać się za wycofującymi się oddziałami armii Lyucu. Za nią spadły do morza kadłuby cesarskich sterowców i ciała martwych garinafin. Wkrótce dołączyły do skwierczących trupów i dopalających się wraków.

Zza horyzontu wyjrzały pierwsze promienie słońca, oświetlając ten przerażający krajobraz.

Zejście na ląd Thana Carucono w Kriphi zszokowało *pékyu* Tenryo i jego ludzi. Chociaż szczegóły pozostawały niejasne, Lyucu wyciągnęli od torturowanych żołnierzy Dary, że w akcji mogły brać udział łodzie podwodne. Część prawdopodobnie przetransportowała widmowe sterowce, które zaatakowały zaskoczoną załogę statków, zaś drugą stanowiły główne siły inwazji. *Pékyu* Tenryo był wściekły, że nie odkryto wcześniej pełnych możliwości takiej tajemnej broni. Setkę żołnierzy Dary skazał na publiczne spalenie przez garinafinę, po czym ogłosił, że każdego zatrzymującego dla siebie ważne informacje czeka ten sam los.

Nieśmiałe głosy wojskowych, twierdzących, że nikt nie spodziewał się takiego sposobu wykorzystania mechanicznych crubenów, zostały zignorowane.

Transportujące garinafiny statki-miasta oraz eskortujące je jednostki, które walczyły z oddziałami Pumy Yemu daleko na morzu, były teraz jedynym, co zostało z marynarki Lyucu. Siły cesarskie wysłały sterowce pocztowe, by przekazać rozkaz natychmiastowego powrotu na zachodni brzeg Rui – w miejsce, gdzie kierowała się pokonana armia Lyucu. *Pékyu* Tenryo zabrał ze sobą zniewolonych cywilów zamieszkujących Rui, zostawił puste wioski i magazyny. Nawet ośmioletnie dzieci i osiemdziesięcioośmioletni staruszkowie zostali zmuszeni do pokonywania wielu kilometrów dziennie, a tych, którzy nie wytrzymywali tempa, często zabijano na miejscu jednym silnym uderzeniem pałą w czaszkę. Najeźdźcy wyrywali matkom niemowlęta i odrzucali je na bok, a rodziców poganiali biczem, by maszerowali dalej. Za nic mieli żalospny płacz leżących przy drodze maluchów.

– Błagam! Litości!

Jednak strażnicy, z których wielu nie należało nawet do Lyucu, lecz do pobitej armii Rui i Dasu, byli nieprzejednani. Dawni imperialiści wiedzieli, że ich los całkowicie zależy teraz od Lyucu. Gdyby nawet ostatecznie wygrało cesarstwo, jako kolaboranci i szpiedzy nie mogli liczyć na łaskę. Nie mieli innego wyjścia, niż tylko służyć nowym panom jeszcze gorliwiej.

Szczególnie wyróżniali się Ra Olu i pani Lon. Naprawdę ciężko pracowali, by motywować cywilów do dalszego marszu. Kiedy kolumna zwalniała z powodu wyczerpania, zimna i głodu, Ra Olu rozsiewał plotki o przygotowywanych na przodzie ciepłych posiłkach. Podekscytowani obietnicą jedzenia ludzie przyśpieszali, lecz zaraz okazywało się, że zdradziecki minister kłamał, by skłonić ich do wyczerzonego wysiłku.

– Wszyscy będziecie mieli mnóstwo jedzenia, gdy dotrzecie do Dasu – powiedział Ra Olu w ramach przeprosin, a uchodźcy zrozumieli wtedy, że plan zakłada przetransportowanie armii Lyucu na statkach-miastach przez zatokę Gaing na Dasu, gdzie zapewne miało dojść do ostatecznej bitwy. A mieszkańców Rui, niczym bydło, miano przewieźć razem z najeźdźcami, by służyli swoim panom.

Ludzie przeklinali Ra Olu i panią Lon. Zaciskali zęby i milczeli w obecności strażników, lecz obiecywali sobie w duchu, że gdy tylko nadarzy się okazja, gołymi rękami rozerwą tę parę na strzępy.



Podczas gdy Than Carucono i jego oddziały szukali w odzyskanym Kriphi szpiegów Lyucu, żeby przesłuchać ich i zdobyć informacje o wrogu, Zomi Kidosu skupiła się na wydobyciu zwłok garinafin.

Niektóre ciała wylądowały na płonących statkach-miastach, gdzie zostały strawione przez ogień i utonęły razem z wrakami. Inne jednak trafiły do morza, które szybko zgasilo płomienie i zachowało zwłoki. Chociaż zwierzęta były ogromne, ciała okazały się zaskakująco lekkie i unosiły się na powierzchni wody.

Zomi wybrała dwa wyjątkowo dobrze zachowane i zaangażowała część mechanicznych crubenów, by zaciągnąć zwłoki na Wielką Wyspę.

– Księżniczka Théra poleciała mi pozyskać garinafiny do badań – wyjaśniła Thanowi. – Ponieważ nie udało nam się złapać żadnej żywej, tylko tyle możemy zrobić. Te zwłoki mają strategiczne znaczenie militarne i dlatego muszą jak najszybciej trafić na Wielką Wyspę.

Carucono wydał zgodę. Przekonał się już wcześniej, że księżniczka i Zomi potrafią skonstruować niezwykłą broń, która pozwalała na zastosowanie zaskakującej taktyki bojowej, a jeśli księżniczka uważała, że martwe skrzydlate stwory są przydatne, nie zamierzał się z tym kłócić.

Cztery mechaniczne crubeny zaciągnęły garinafiny na Wielką Wyspę. Cielska przymocowano grubymi sznurami do łodzi podwodnych, które skierowały się ku wulkanom – źródłu napędzających silniki rozgrzanych kamieni. Olbrzymie zwłoki unosiły się na powierzchni wody niczym latawce. W ten właśnie sposób dostarczono je do portu Ginpen, gdzie naukowcy z Haanu oraz rozlicznych kolegów Pan przystąpili do badania pod okiem księżniczki Théry.

Than Carucono rozkazał posłańcom przekazać cesarzowi wiadomość, by natychmiast przybył do Kriphi.

– Cesarz z pewnością nie może się doczekać, kiedy zobaczy księcia Timu. Kiedy dołączy do reszty armii, morale będzie tak wysokie, że bez wysiłku przegonimy Lyucu, tak samo jak to zrobiliśmy z rebeliantami Théki Kimo.

– Nie zgadzam się z tym – powiedziała Zomi Kidosu.

Wszyscy zgromadzeni w sali audiencyjnej pałacu w Kriphi zwrócili ku niej swe oczy. W pomieszczeniu unosił się smród skwaśniałego mleka i gnijącego mięsa, który został po okupacji Lyucu.

Zomi przelknęła głośno ślinę.

– Coś tu nie gra. Chociaż atak admirała Carucono przebiegł według planu, a ofiara kapitan Naye przyniosła skutek, Lyucu wciąż dysponowali blisko pięćdziesięcioma garinafinami. Nawet z naszymi miotaczami ognia liczyliśmy co najwyżej na okopanie się obu stron niedaleko Kriphi i utrzymanie względnej równowagi sił do czasu przybycia posiłków. Jednak Lyucu postanowili wycofać się na zachód, a po garinafinach nie ma śladu.

– Być może skrzydlate stwory odmówiły współpracy, po tym co się stało ich kompanom w trakcie Bitwy o Port Kriphi – rzekł Carucono. – Albo morale wśród wojowników było tak niskie, że *pékyu* Tenryo nie zdołał namówić ich do walki. Moim zdaniem to właśnie jest powód, dla którego Lyucu postanowili wycofać się aż do Dasu.

Zomi pokręciła głową.

– Wiemy to tylko dlatego, że kilku uchodźców powiedziało nam, że coś takiego zasugerował Ra Olu, lecz zaczynam wątpić, by Lyucu ufali mu na tyle, by zdradzić mu prawdziwy plan.

Carucono już miał odpowiedzieć, kiedy spotkanie zostało zakłócone z powodu zamieszania przy wejściu do sali. Ktoś krzyczał, żądając widzenia się z admirałem

Carucono.

– Co się tam dzieje? – zapytał Than.

– Podobno dwóch więźniów chce się z wami spotkać – odparł jeden ze strażników. – Twierdzą, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Lyucu? – upewnił się Carucono, nieco zaskoczony. Dotychczasowe próby przesłuchania więźniów Lyucu, z których większość była ranna i z tego powodu pozostawiona przez wycofujące się wojsko *pékyu* Tenryo, nie przyniosły owoców. Barbarzyńscy wojownicy albo nie znali mowy ludu Dary albo powtarzali tylko, że pragną śmierci.

Carucono dał znak, żeby wpuścić do sali kilku żołnierzy eskortujących więźniów. Ci wnieśli dwóch mężczyzn spoczywających na noszach. Jeden z nich, wychudzony i obwiązany bandażami, leżał zupełnie nieruchomo, drugi z kolei okazał się staruszką, który z trudem się podniósł, gdy wniesiono go do środka.

– Z początku tak myśleliśmy – odparł jeden z żołnierzy. – Znaleźliśmy ich w morzu, omal nie utonęli. Obaj byli zakuci w łańcuchy w ładowni jednego ze statków-miast, jednak kiedy tamten został zniszczony, uwolnili się, rozbijając gródź, do której ich przyczepiono. Chociaż mieli na sobie ubrania Lyucu, zdaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę pochodzą z Dary.

Carucono zbliżył się do noszy, żeby spojrzeć na więźniów. Obaj mieli długie białe włosy, skołtuniałe i tłuste, a także równie niechlujne brody. Ich mizerne ciała obleczono w takie same skóry, w jakie ubierali się Lyucu, w wielu miejscach dziurawe i polatane. Przez przetarcia widać było blizny, rany i ropnie, które świadczyły o wielu godzinach spędzonych w zarobaczonych celach.

Staruszek, który próbował się podnieść, miał bladą skórę i szare oczy charakterystyczne dla mieszkańców Xany, podczas gdy ciemna karnacja jego kompana przywodziła na myśl plażę Lutho.

Kiedy Carucono przyjrzał się twarzy tego człowieka, wydał zduszony okrzyk. Mężczyzna miał puste oczodoły częściowo przykryte pomarszczonymi płatami skóry, a chociaż jego usta się poruszały, nie wydostawał się z nich żaden dźwięk. Jednak mimo tego potwornego okaleczenia Carucono doskonale znał tę twarz.

– Luan Zya! – zawołał.

– Nauczycielu! – Zomi podbiegła do noszy i uklękła, przytrzymując jedną z sękatych rąk Launa w swoich dłoniach. Chorobliwie chude palce ścisnęły ją mocno.

Mimo to Luan Zya nadal milczał.

– Dlaczego nic nie mówisz, nauczycielu? – zapytała Zomi, a po jej policzkach popłynęły gorące łzy.

– Wypalili mu oczy i odcięli język – wychrypiał staruszek z drugiej noszy.

Większość obecnych w sali nigdy wcześniej nie miała okazji zobaczyć legendarnego stratega Dary. Teraz wpatrywali się w jego mizerną postać, nie dowierzając własnym oczom.

Zomi zauważyła, że jej nauczyciel drugą ręką trzyma sakwę wykonaną z krowiego pęcherza. Spróbowała mu ją zabrać, jednak palce Luana chwyciły jak szpony. Obrzuciła jednego z żołnierzy trzymających nosze pytającym spojrzeniem.

– Sakwa dryfowała razem z nim w morzu – powiedział mężczyzna. – Nie chciał puścić, nawet kiedy wciągnęliśmy go na łódź.

– Nauczycielu, jesteś już bezpieczny – rzekła Zomi, a potem powoli i delikatnie podważyła jego palce i uwolniła wodoszczelną sakwę. Zawahała się. W środku znajdowała się znajoma książka, chociaż nie widziała jej od lat.

– Jest tam coś cenniejszego niż życie mistrza Zyi – odezwał się staruszek. Miał świszczący oddech. – Księga z wiedzą.

– A ty kim jesteś? – zapytał Than Carucono.

– Nazywam się Oga Kidosu. Jestem rybakiem z Dasu.

Zomi odwróciła się gwałtownie, żeby na niego popatrzeć. Chociaż głos mężczyzny był niewiele głośniejszy od szeptu, zabrzmiał w jej głowie jak grom. „Ojciec”.

Rozdział czterdziesty czwarty

Wyprawa Luana

Gdzieś na północy od Dasu: trzy lata wcześniej

Mała flota składająca się ze „Szczęścia Lutho”, „Dumnego Kunikina” i „Kamiennego Żółwia” już od tygodni kierowała się na północ, a ostatnie wyspy opanowane przez piratów zostawiła za sobą kilka dni wcześniej. Wszędzie dookoła żeglarzy otaczało bezkresne morze błyszczące w promieniach słońca stojącego w zenicie. Od czasu do czasu z wody wyskakiwały ławice dyran, kreśląc w powietrzu piękne łuki.

Ośmiu członków załogi „Szczęścia Lutho”, rozebranych do pasa i mokrych od potu, opierało się o poziome drągi odchodzące promieniście od znajdującego się na środku bębna; odpoczywali. W tej chwili bęben został zablokowany przez kliny wepchnięte w specjalne miejsca z boku. Przyczepiony był do niego sznur wykonany z wielu skręconych pasków jedwabiu; jeden koniec zniknął wysoko w chmurach. I chociaż sznur rozpinął się między niebem a statkiem, tworząc delikatny łuk, znajomym każdemu, kto kiedykolwiek puszczał latawce, był wyraźnie napięty. Znamca sztuki żeglarskiej zauważyłby jeszcze inną nietypową rzecz: chociaż wiało od północy, statek, zamiast walczyć z podmuchami poprzez złożenie żagli, płynął bezpośrednio pod wiatr z żaglami w pełni rozłożonymi, prostopadle do kadłuba. Innymi słowy, żagle służyły za hamulce. Kadłubem mocno kołysało, a marynarze szamotali się na pokładzie, próbując utrzymać je w tej pozycji, by spełniały swe niezwykle zadanie.

Dodatkowo pracowali też wioślarze, którzy również próbowali spowolnić statek. Mimo to „Szczęście Lutho” parło do przodu tak szybko, że „Dumny Kunikin” i „Kamienny Żółw” musiały płynąć zygzakiem i łapać wiatr, żeby nie zostawać daleko w tyle. Kiedy „Szczęście Lutho” zatrzymywało się na moment na szczycie każdej kolejnej fali, zdawało się, jakby zaraz miało wznieść się w powietrze, ciągnięte przez tajemniczą rzecz na drugim końcu sznura.

Kapitan Thumo przechadzał się nerwowo po pokładzie, od czasu do czasu zerkając na znajdującą się koło bębna klepsydrę. Przekręcano ją już cztery razy, co oznaczało, że minęły cztery pełne godziny. Kapitan zaczynał się martwić o los człowieka znajdującego się na drugim końcu liny.

Zatrzymał się po przejściu całej długości statku, obrócił na pięcie i już miał wydać rozkaz zakończenia eksperymentu, kiedy wszyscy nagle zamarli pod wpływem przenikliwego dźwięku.

Oto po sznurze, hałasując, opadał metalowy dzwonek. Wreszcie dało się słyszeć donośne stuknięcie, gdy zatrzymał się na bębnie.

Ośmiu mężczyzn przy ogromnej wciągarni na środku statku rzuciło się do pracy. Gdy tylko złapali za rozchodzące się promieniście drągi i zaparli, inny

marynarz przyniósł duży drewniany młot i wybił kliny przytrzymujące bęben w miejscu. Przez kilka sekund stopy ośmiu mężczyzn ślizgały się po pokładzie, a sznur napiął się i bęben wykonał prawie jedną czwartą obrotu. Wreszcie żeglarze znaleźli punkt podparcia i zdołali zatrzymać drąg. Pchali mocno, a mięśnie ich ud i ramion napinały się wyraźnie. Wreszcie powoli, lecz nieubłaganie bęben zaczął obracać się w drugą stronę, wciągając sznur.

Pracując, śpiewali:

Jeden pirat dość miał biedy, więc pewnego razu,

Postanowił, że wyruszy wprost w objęcia Tazu.

„Dajcie mi tu złoto w ciężkich skrzyniach,

Jeśli nie, to naszczam wam po lepetynach”.

Heja, heja, pchać! Heja, heja, pchać!

Tazu już miał wołać burzę na biedaka,

Ale Nogé dał śliskiego mu robaka.

Drań i kucharz uniknęli gniewu boga,

Który zawsze chadza po nieznanym drogach.

Heja, heja, pchać! Heja, heja, pchać!

Wielorybia droga nie ma końca,

Lecz kompanem jest tu dusza nawet obca.

Na drugim końcu sznura pojawiła się drobna czarna kropka. Mężczyźni śpiewali szanty, obracając bęben, a kropka rosła i z czasem przybrała kształt latawca. Nie przypominał on jednak żadnego z tych znanych mieszkańcom Dary. Dłuższa przekątna latawca wynosiła dwadzieścia pięć metrów. Rama, skonstruowana z najtwardszego bambusa wyciętego na zboczach gór Rapa i Kana, podtrzymywała trzy warstwy skrzydeł z lakierowanego jedwabiu. Takielunek był równie skomplikowany co na statku do żeglugi morskiej, a główny sznur skręcony z wielu pasków jedwabiu był gruby i kosztował życie milionów jedwabników. Dzięki potrójnym skrzydłom latawiec mógł wzbić się na niesamowitą wręcz wysokość, o wiele wyżej niż najlepszy nawet konwencjonalny latawiec bojowy. Mężczyźni w dalszym ciągu ściągali go na dół i wkrótce po raz kolejny mogli się przekonać, że jest niemal tak duży jak sam statek. Pod ogromnymi potrójnymi skrzydłami, niczym

kokon jedwabnika, wisiała niewielka gondola; ten wielki latawiec najwyraźniej mógł unieść tylko jednego pasażera.

Ponieważ nie znajdował się już nad warstwą chmur, gdzie chwytał silny wiatr wiejący tylko na tamtej wysokości, „Szczęście Lutho” znacznie zwolniło, a marynarze i wiosłarze wreszcie odzyskali nad nim panowanie. „Kamienny Żółw” i „Dumny Kunikin” podpłynęły do przodu, żeby udzielić wsparcia. Latawiec opadał i opadał, aż w końcu delikatnie wylądował na powierzchni wody.

Do morza opuszczono szalupę, a ta niezwłocznie podpłynęła do kołyszącej się na falach gondoli. Członkowie grupy ratowniczej odcięli ją od latawca i wciągnęli na pokład. Przypominająca kokon i wykonana z twardego drewna jujuby, była hermetyczna, uszczelniona kilkoma warstwami wosku i jedwabiu. Zaniepokojeni mężczyźni zajrzeli do szklanego okienka na jednym końcu kokonu.

Ujrzeni zamazaną twarz Luana Zyi, który miał zamknięte oczy – był nieprzytomny lub martwy.



– Mistrzu Zya – powiedział kapitan Thumo – powinniście byli dać sygnał do powrotu znacznie wcześniej!

Luan Zya, odpoczywając w swoim hamaku, uśmiechnął się słabo. Jego dłonie i stopy, odmrożone, owinięto bandażami. Skutki utraty przytomności, spowodowanej brakiem powietrza, wciąż były widoczne w jego powolnych ruchach.

– Cóż, widok był wręcz niesamowity i w pewnym sensie w ogóle nie chciałem wracać. Dziewiczy ocean pode mną rozciągał się niczym błękitne lustro, poznaczone jedynie rzadkimi atolami jak kłaczkami kurzu. Nawet horyzont wydawał się zakrzywiony, co stanowi kolejny dowód na to, że Na Moji miał rację, mówiąc, że mieszkamy na ogromnym globie. A kolor empireum! Zamglony fiolet, a w nim migoczące gwiazdy... Wyobrażam sobie, że z takimi właśnie widokami obcuja bogowie i nieśmiertelni.

Chociaż kokon, który zaprojektował sam Luan Zya na podstawie informacji zebranych podczas wielu poprzednich prób osiągnięcia wysokości znacznie wyższej niż ta dostępna sterowcom i balonom, został owinięty warstwami izolacji, aby chronić pasażera przed niską temperaturą panującą na takich wysokościach, a także wyposażony w zewnętrzny balon zawierający dodatkowe powietrze do oddychania, Luan przekroczył zakładane ograniczenia projektu i wzniósł się wyżej niż ktokolwiek w historii Dary.

– Gdybyś poczekał, mistrzu, choć minutę dłużej, być może faktycznie nigdy byś nie wrócił! Może i chcesz oglądać to, co oglądają nieśmiertelni, lecz wciąż jesteś więźniem śmiertelnego ciała!

– Jesteśmy badaczami, kapitanie Thumo. To żaden wstyd umrzeć, doświadczając wysokości i głębokości wykraczających poza ograniczenia ludzkiej wytrzymałości. Przed wyruszeniem na tę wyprawę pogodziłem się z myślą, że mogę już nie wrócić.

– Może i tobie śmierć nie wadzi, mistrzu Zya, lecz nie wszyscy możemy być tacy beztroscy. Pływanie z tym latawcem jest jak wyprowadzanie *pawi* Fithowéo na smyczy. W zasadzie chyba latawiec kontrolował nas, a nie odwrotnie, tak silnie nas ciągnął. Kilka razy już prawie podjąłem decyzję, by ściągnąć cię na dół mimo wyraźnych rozkazów, by tego nie robić. Kto by się domyślił, że wiatr nad chmurami będzie tak silny?

– W rzeczy samej. – Luan Zya pokiwał głową. – Już się nad tym zastanawiałem! Możliwe, że uda nam się skonstruować statki, które zamiast żaglami będą się posługiwać latawcami i pływać o wiele szybciej niż te konwencjonalne. Chociaż trzeba będzie wymyślić nowy sposób budowania kadłubów, by zdołały wytrzymać taką siłę i opór wody... Może tak, by przemykały tuż nad falami...

– Ja nie wsiądę do takiej łodzi – oznajmił twardo kapitan Thumo. – Lubię, gdy mój statek normalnie płynie po wodzie, dziękuję bardzo.

Luan Zya roześmiał się.

– To tylko taka myśl. Cóż, może i nie pochwalasz mojego pragnienia przekraczania granic, ale udało mi się zdobyć cenne informacje. Wydaje mi się, że znalazłem przyczynę niepowodzenia wszystkich innych wypraw na daleką północ.

– Czyżby?

– Z tego rodzaju latawca ma się bardzo duże pole widzenia. Pamiętacie, jak podczas pierwszych dni naszej ekspedycji mówiłem wam, że z takiej wysokości wyspy wydają się zaledwie niewyraźnymi plamami na błękitnym tle? Góry, doliny, fale, skaczące wieloryby i crubeny – żaden z tych szczegółów nie jest wtedy widoczny. Zostają tylko duże wzory, trendy, których nie można dostrzec z bliska. Kiedy żyłem pośród Tan Adü, przekonałem się, że ocean nie jest gładką powierzchnią, lecz gobelinem przedstawiającym misterny wzór, widoczny wyłącznie dla tych, których serca są spokojne, a umysły przez całe pokolenia uczyły się zauważać jego rytm. Adüanie posiadają szczegółowe mapy prądów oceanicznych zarówno tych na samej powierzchni, jak i głębiej, które są jak złote nici w zwykłej tkaninie. Prądy odzwierciedlają siły rządzące naturą: podwodnymi dolinami i wulkanami, wiatrami i rzekami, południowymi tajfunami i burzami arktycznymi. Święte mapy Adüan z muszli i sznurka stanowiły podstawę moich późniejszych map podwodnych wulkanów. Z kokonu zobaczyłem dzisiaj coś, co mi o nich przypomniało. Ocean na północy był jasnoniebieskim płótnem, na którym zaznaczono cudownie skomplikowane wzory: długie delikatne łuki niczym macki ośmiornicy, misterne zawijasy jak w muszli łodzika... odważne i grube maźnięcia pędzlem, odzwierciedlające umiejętności i duszę malarza. Płótno pokryte głęboką akwamaryną, mieniły się na nim smugi niebieskofioletowe, purpurowoczarne i bladobiałe. Był to obraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, abstrakcyjny krajobraz morski namalowany przez bogów. Zaś daleko na północy, niemal na granicy wzroku, znajdowała się ściana bieli. Przypominała pianę na szczycie fali zmierzającej ku brzegowi, lecz biorąc pod uwagę odległość, musiała być wysoka jak góra. Wpatrywałem się w tę ścianę jak urzeczony i wreszcie zobaczyłem, jak rozdziela się na pojedyncze wiry, które tańczą, krążą, rozpychają się między sobą.

Był to taniec tajfunów, parada huraganów, święto cyklonów. A ponieważ ściana stanowiła granicę mojego pola widzenia, nie mogłem zobaczyć, co znajduje się za nią.

– Co to oznacza? – zapytał kapitan Thumo. – Ściana burz? A może widziałeś, mistrzu, szaniec pałacu Tazu?

Luan Zya pokręcił głową i uśmiechnął się słabo.

– Nie wiem, Thumo, ale podejrzewam, że pozostałe ekspedycje zostały... zatrzymane przez tę ścianę.

Kapitan wciągnął gwałtownie powietrze.

– Chcesz więc, mistrzu, powiedzieć, że poprzednie wyprawy, nie mając możliwości spojrzenia tak daleko w dal jak ty, napotkały ścianę burz właściwie bez ostrzeżenia i wszystkie statki zostały zatopione? Musimy zakończyć naszą wyprawę. Znaleźliśmy się na krańcu świata i nie jest nam pisane płynąć dalej.

– Nie! – W oczach Luana pojawiła się żarliwość, jakiej od lat mu brakowało. Właśnie takie spojrzenie miał wtedy, gdy planował śmierć cesarza Mapidérégo i upadek jego imperium: spojrzenie pełne szaleństwa i pasji, które wywołało w kapitanie Thumo strach, ale i fascynację. – Naszym przeznaczeniem jest przepłynąć przez ścianę. Musimy się dowiedzieć, co jest dalej!

– Ale to oznacza pewną śmierć!

– Czy nie pragniesz przelamać strachu i płynąć dalej, by się przekonać, jak daleko zdolacie dotrzeć? – Luan mówił łagodnie, lecz w jego głosie dało się wyczuć nutę rozczarowania.

Kapitan Thumo pokręcił głową.

– Nie mogę wymagać od załogi udziału w takiej misji, nawet dla ciebie, mistrzu Zya. Marynarze rozumieją, że śmierć na nieprzewidywalnym morzu to często nieodłączny element ich profesji, lecz kiedy znamy zagrożenie, niemądrze byłoby kusić los.

Luan Zya zamknął oczy i pokiwał głową.

– Dobrze, ale przynajmniej podpłynmy bliżej, żebyśmy mogli potwierdzić moje domysły. Jeśli zechcecie wracać zaraz po ujrzeniu w oddali ściany burz, nie będę się sprzeciwiał.



Żagle trzepotały na lekkim wietrze. Na niebie świeciło jasne słońce. Załogi wszystkich trzech statków patrzyły przed siebie. Nikt się nie odzywał.

Od zachodu aż na wschód horyzont zakrywała wysoka ściana wody i kłębiących się chmur. Utworzona z cyklonów i wściekłych wirów przypominających uczestników tradycyjnego tańca z mieczami, wyglądała jak urzeczywistnienie pierwotnego chaosu. Była niczym skłębiona ciemność, przetykana tu i ówdzie blaskiem błyskawic. Raz po raz przetaczające się gromy wywoływały dzikie fale, które trzęsły kadłubami.

– Patrzymy w twarz samemu Kijemu, władcy piorunów, i Tazu, stwórcy tajfunów – powiedział kapitan Thumo. Pobożnie złożył ręce na piersi i zaczął się

modlić.

– Czytałem o czymś podobnym tylko w starych księgach Ano – rzekł Luan Zya głosem pewnym trwożliwego podziwu. – I zawsze uważałem opowieść o podróży przez Ścianę Burz za alegoryczny mit. Nawet kiedy wydaje nam się, że widzieliśmy już i wiemy wiele, świat potrafi nas zaskoczyć kolejnym cudem, który nie śnił się ludzkości.

Wszyscy w nabożnym milczeniu wpatrywali się w niesamowity spektakl surowych sił natury.

Wreszcie Thumo przerwał ciszę:

– Dalej nie popłynę, mistrzu Zya. Zobaczyłeś, co chciałeś zobaczyć. Oto wzniesiona boskimi rękami bariera, której nikt nie może przekroczyć.

Lua Zya pokiwał głową.

– Pozwólcie mi wznieść się latawcem. Szkoda by było znaleźć się tak blisko boskich twarzy i nie skraść pocałunku.

– Mistrzu, ty postradałeś rozum!

– Być może. Ale dajcie mi tę przyjemność.

– Latawiec może pociągnąć „Szczęście Lutho” za sobą.

– W tej odległości od ściany burz zdołasz zapanować nad statkiem. Jeśli przed puszczeniem latawca odpłyniecie kawalek na południe, powinniście mieć mnóstwo miejsca na bezpieczne manewry. A gdybyście poczuli, że latawiec ma nad wami przewagę, możecie odciąć sznur, zanim statek znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Ale co wtedy z tobą?

– Tak jak ty nie możesz rozkazać załodze, by podjęła się zadania, które twoim zdaniem ściągnie na was pewną śmierć, tak ja nie mogę odwrócić się od tego cudu, nie podjąwszy próby zbadania go.



Statki wycofały się więc o kilka kilometrów na południe i latawiec z wiszącym kokonem wznosił się w powietrze. Nie minęło wiele czasu i znalazł się tak wysoko, że zniknął marynarzom z pola widzenia. Sznur napiął się i odchylił na północ, zabierając Luana Zye bliżej ściany burz.

Siła prowadząca sznur rosła. „Szczęście Lutho” najpierw zwolniło, a potem się zatrzymało, by za chwilę ruszyć z powrotem na północ. Raz jeszcze przed flotyllą zamajaczyła ściana kłębiących się wirów wodnych i chmur.

Sznur zadrżał, a wciągarka, do której był przymocowany, zaskrzypiała; latawiec został wciągnięty przez burzę. Marynarze patrzyli na wibrującą linę jednocześnie z przestraczem i fascynacją.

Czas mijał. Wciąż jednak nie było słyhać dzwonięcia oznaczającego chęć powrotu Luana Zyi na pokład.

Kapitan Thumo był sumiennym człowiekiem. Chociaż zaciskał zęby i z przerażeniem obserwował naciągnięty sznur i odległe błyskawice, wydał rozkaz, który za pomocą flag sygnałowych przekazano załogom „Kamienego Żółwia”

i „Dumnego Kunikina”.

Dwa pozostałe statki podpłynęły do „Szczęścia Lutho” i rzuciły haki przez pokład. Po chwili wszystkie trzy utworzyły zwartą kolumnę, a wioślarze wyteżyli siły i pracowali jeszcze bardziej zawzięcie niż dotychczas.

Statki, niczym ryby złapane na jedną wędkę, wspólnie próbowały oprzeć się sile ciągnącej latawiec i utrzymać pozycję. Charakterystyczny wysoki dźwięk zabrzmiał w uszach Thumo jak anielski chór. Dzwonek ześlizgnął się po sznurze z szaroburego nieba i zadzwonił głośno o centralny bęben wyciągarki. Kapitan już miał wydać rozkaz sprowadzenia latawca na pokład, kiedy ten zadrzał pod jego stopami. Marynarze na wszystkich trzech jednostkach wydali okrzyki zaskoczenia.

Kapitan Thumo podniósł wzrok i zobaczył, że sznur, do tej pory napięty, bezwładnie spada. Nagłe zniknięcie siły, z którą walczyły trzy statki, sprawiło, że ruszyły gwałtownie do przodu, wymknąwszy się spod kontroli; dzioby uderzały w rufy, wiosła obijały się o siebie. Całe szczęście zniszczenia były niewielkie i wkrótce udało się zapanować nad jednostkami. Thumo podbiegł do bezużytecznej już wyciągarki i sięgnął po dzwonek sygnałowy. Przyczepiony był do niego jedwabny pas.

„Zaszedłem zbyt daleko, żeby teraz zawrócić. Niech wam się wiedzie”.



Kapitan Thumo zaklął pod nosem. Popatrzył na ścianę burz – każda obracająca się kolumna wody i powietrza była wysoka jak góra i miała średnicę miasta.

Nic nie mogło się stamtąd uratować.

Thumo zamknął z żalem oczy. Chociaż nie znał zbyt dobrze tego sławnego mędrca, w czasie ich krótkiej podróży zdążył go polubić i darzył go wielki szacunkiem. W każdym jego słowie była klasa, każdy gest zdradzał, że łagodny starzec nie należy w pełni do świata śmiertelników, lecz obcuje z bogami. Miał odwagę robić rzeczy, na które innym jej nie starczało, i nawet okoliczności jego śmierci zbliżyły go do bogów.

Ze smutkiem w sercu kapitan pokręcił głową i rozkazał przyszykować żagle do podróży powrotnej.

Jednak marynarze, o dziwo, nie okazali entuzjazmu – zamiast tego w uszach Thumo rozbrzmiały jęki przerażenia i nieartykułowane wrzaski.

– Co się dzieje? – zawołał kapitan. – Mistrz Zya zwolnił nas z obowiązków. Możemy wracać do domu!

Marynarze pokazywali miejsce za jego plecami, a w ich oczach malowały się strach i rozpacz.

Thumo odwrócił się i zamarł.

Jeden z cyklonów tworzących ścianę burz odłączył się od pozostałych. Nawet wir Tazu nie dorównywałby jego rozmiarom, gdyby umieścić go w powietrzu. Ku zgrozie żeglarzy, ten wirujący drapieżny potwór, który pożerał wszystko, co znalazło

się na jego drodze, ruszył prosto na statek.

Przed cyklonem wyrosła ściana wody wysoka jak najwyższa wieża pałacu w Pan. Pędziła w kierunku łodzi niczym psy gończe. W porównaniu z nią tsunami wydawały się zmarszczkami na powierzchni jeziora.

Thumo zawołał do załogantów, by pędem rzucili się do żagli i wiosł, lecz wiedział już, że nie mają szans.



Luan Zya zaparł się mocno o ściany kokonu. Odcięcie się od sznura nie było decyzją podjętą pod wpływem impulsu – planował to, odkąd kapitan Thumo oznajmił, że nie zamierza ryzykować życia swojej załogi w pogoni za nieznanym. W pewnym sensie Luan przyjął jego odmowę z ulgą – nie chciałby odpowiadać za śmierć innych ludzi w trakcie prób osiągnięcia celu, którego pragnął z całego serca, chociaż nie potrafił tego racjonalnie wytłumaczyć.

„Być może dlatego nie chciałem objąć żadnego stanowiska na dworze Kuniego – pomyślał. – I dlatego postanowiłem uciec ze stolicy, kiedy poprosił mnie o pomoc w przeprowadzeniu kolejnej rewolucji”.

Zawsze grał rolę doradcy – kogoś, czyja spuścizna jest ściśle związana z decyzjami podejmowanymi przez innych. Potrafił opracowywać strategie i knuć spiski, lecz kiedy nadchodził moment, w którym trzeba było rozkazać ludziom umierać za jego wizje, brakowało mu niezbędnego do tego przekonania i gotowości zaakceptowania konsekwencji własnych decyzji.

Lepiej mknąć przez niebo na latawcu, samotnie. Właśnie w tej roli od zawsze czuł się najlepiej. Cokolwiek postanowi, będzie od tego zależeć tylko jedno życie – jego własne.

Spojrzał przez grube szklane okienko i mocno złapał za uchwyty. Otaczały go niesamowite, kłębiące się chmury, które tworzyły wirujące ściany tajfunów, każdy wielkości wyspy i połączony z kolejnym. Wnętrze kokonu wypełniały ryk wiatru i huk przetaczających się gromów, tak jakby w środku znajdowały się bębny, na których grali sami bogowie.

Końce linek zaczepionych na krążkach znajdowały się wewnątrz kokonu i ciągnąc za nie, można było zmieniać napięcie i ustawienie skrzydeł latawca, a poprzez to do pewnego stopnia panować nad lotem. Kiedy na szybko zebrały się strużki wody, zamazując pole widzenia, wydawało mu się, że znajduje się nie na niebie, lecz w wodzie, a kokon stał się jednoosobową łodzią podwodną w dziwnym, fantastycznym oceanie.

Kiedy szybował w chmurach podświetlanych przez blask błyskawic, towarzyszyła mu ekscytacja, jaką ostatni raz czuł wiele lat wcześniej, gdy pewnego dnia skoczył ze zbocza jednej z gór Ér Me w stronę parady cesarza Mapidérého. Był wtedy pewien, że umrze, lecz także że ostatnie chwile swojego życia spędzi, doświadczając czegoś niesamowitego.

Teraz jako pierwszy człowiek na świecie miał przelecieć przez tajfun

rozdzierany błyskawicami, jako pierwszy spróbować przebić Ścianę Burz, która zagradzała drogę do legendarnej ziemi nieśmiertelnych znajdującej się na dalekiej północy. Nagle kokonem zatrząsł grom i Luanowi zadzwoniły zęby. Rozbłysło światło tak jasne, że zniknął w nim cały świat; skóra Luana mrowiła, jakby zyskała oddzielne życie, a ostatnia jego myśl brzmiała: „Czyli kiedy uderzy w ciebie piorun, czujesz się, jakbyś płonął”.



Obudził się. Nie wiedział, gdzie się znajduje – czy jeszcze na ziemi śmiertelników czy może na drugim brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Płynie.

Czuł się cały obolały, jednak chyba nie złamał żadnej kości. Ból był jak tępy nóż, który dźgał pajęczyny w jego głowie.

„Nie umarłem”.

Poczuł, że coś podnosi go delikatnie i opuszcza, jakby chmury burzowe nabrały masy i stały się grube, niemrawe.

Na zewnątrz wciąż dudniło. Do kokonu wpadało granatowe światło. „Wciąż lecę?”

Nad szybką przefrunęło coś jasnopomarańczowego z czarnymi paskami. Luan dziwił się temu, jak wolno leciał ten ptak – tak wolno jak jego myśli.

„Jaki cudowny jest ten ptak, że frunie przez taką burzę! Czy to jego naturalne środowisko?”

Kręciło mu się w głowie.

Ostatni raz czuł się w ten sposób, kiedy nie mógł złapać tchu, po tym jak jego latawiec wzniósł się na wcześniej nieosiągalne wysokości.

Tym razem nie wyposażył kokonu w balon powietrzny, ponieważ nie zamierzał wznosić się zbyt wysoko. Dlaczego powietrze się nie odnawiało?

Za szybką przefrunął żółty kształt z niebieskimi paskami.

„Kolejny ptak?”

Nie, skrzydła są zbyt małe. To coś nie leci, tylko płynie.

Ryba.

Woda. Znajduję się pod wodą”.

Myśli rodziły mu się w głowie z wielkim trudem, uparcie walczył z dezorientacją wypełniającą jego umysł jak gęste błoto na dnie jezior lotosowych.

„Muszę się wydostać”.

Jego trzęsące się ze zdenerwowania palce wreszcie zdołały znaleźć drzwi kokonu. Ścisnął rączkę, a potem pchnął.

Szok wywołany wdarcie się wody do środka sprawił, że najpierw Luan wydał stłumiony okrzyk, a potem przypomniał sobie, że powinien wstrzymać powietrze. Kokon, który został tak zaprojektowany, by unosić się na powierzchni wody, został wepchnięty w głębinę przez ciężar wraku latawca. Mędrzec wydostał się na zewnątrz i spróbował wypłynąć na powierzchnię. Wszędzie dokoła naciskał na niego sztywny jedwab. Żeby wziąć oddech, Luan musiał odpłynąć daleko od kokonu i ominąć

skrzydła – tylko tak mógł wydostać się na powierzchnię. Płuca płonęły mu żywym ogniem, tracił siłę w ramionach i nogach. Był zbyt daleko krawędzi latawca. Nigdy nie zdoła do niej dotrzeć.

Przestał walczyć. Ciężkie szaty, które założył w obronie przed zimnem panującym na wysokościach, nasiąkły wodą i ciągnęły go w dół, w stronę oceanicznego dna.

„Byłoby miło przed śmiercią zobaczyć nowe lądy, lecz każda podróż musi mieć swój koniec.

Pochodzimy z Nurtu i do Nurtu powinniśmy wrócić”.

Już miał zamknąć oczy i otworzyć usta, by pozwolić wodzie wdrzeć się do płuc, kiedy obok jego serca coś się poruszyło, niczym szamoczące się zwierzę. Zdziwiony, resztkami świadomości, wypuścił nieznany przedmiot spod fałd swojej szaty. Ujrzał książkę. Jej kartki trzepotały niczym skrzydła ptaka w spowolnionym tempie, niczym falująca falbanka pletwy mątwy. Księga unosiła się na powierzchni, zostawiając za sobą strużkę rozpuszczającego się atramentu. W przytłumionym świetle blade strony wydawały się błyskać złotymi literami. Była to *Gitré Üthu*, magiczna księga podarowana mu przez Lutho, który zmienił i uratował mu życie już niejedyn raz.

Luan Zya wyciągnął rękę do książki i resztką sił złapał za grzbiet. Poczul, że coś ciągnie go w stronę powierzchni.

Z głośnym pluskiem przebił lustro wody. Uczepił się krawędzi pływającego latawca i łapczywie zaczerpnął powietrza, tak jak wiele lat wcześniej, gdy morze wyrzuciło go na brzeg Tan Adü. W oddali widział Ścianę Burz, a tworzące ją tajfuny i cyklony wciąż łączyły niebo z oceanem.

Jednak w tej części morze było zupełnie spokojne. Rama zniszczonego latawca skrzypiała, kołysząc się na łagodnych falach, jakby woda usypiała Luana do snu. Słońce przyjemnie go ogrzewało, ciepłe podmuchy laskotały twarz.

Na zachodzie pojawiła się tęcza, której prawy koniec zniknął w burzowych kłębach. Wtedy Luan zdał sobie sprawę, że Ściana Burz znajduje się na południe od niego.

W jakiś sposób przebił się przez nią swoim latawcem.

Drżąc z radości, ulgi i przerażenia, wyciągnął z wody nasiąkniętą *Gitré Üthu* i położył na skrzydłach latawca, żeby wyschła. Wszystkie gromadzone przez lata notatki zniknęły, a puste strony wydawały się zarówno oczyszczeniem przeszłości, pełnej intryg i zdrad, jak i obietnicą przyszłości. *Terra incognita*.

Na wciąż mokrej kartce pojawił się złoty wers: „Zostałeś sam”.

A chwilę później jeszcze jedna: „To dobrze”.

– Dziękuję, nauczycielu – wychrypiał Luan Zya. A potem się roześmiał.



Dryfował po bezkresnym morzu na prowizorycznej tratwie wykonanej z ocalonych fragmentów ogromnego latawca. Połączył ze sobą tyczki bambusa, żeby

stworzyć ramę, i zbudował na niej namiot z kawałków jedwabiu dla ochrony przed słońcem i deszczem. Skonstruował prymitywny żagiel i maszt z pozostałej części bambusa i jedwabiu, ale nie mógł się znacząco opierać silnemu prądowi, który niósł tratwę. Kokon, wciąż przyczepiony do latawca, płynął za nim jak boja.

Dzień po dniu prąd morski, niczym potężna rzeka, unosił go coraz dalej na zachód. Po lewej stronie Luan miał Ścianę Burz, swoją wieczną kompankę. Po prawej rozciągał się otwarty ocean i Luan zastanawiał się, co też kryło się za widnokretem – czy może ziemie zamieszkiwane przez nieśmiertelnych albo inne stworzenia, które wykonały widziane przez niego egzotyczne artefakty? Ławice dyran z tęczowymi ogonami frunęły tuż nad powierzchnią wody, a od czasu do czasu w oddali przez fale przebijał się cruben albo wieloryb. Luan szeptał modlitwy do władców mórz, zarówno w języku ojczystym, jak i Tan Adü, którzy zdawali się mieć specjalne relacje z tymi stworzeniami. Kiedy był głodny, łowił ryby przy użyciu cienkiego paska oderwanego od szaty oraz haczyka ze spinki podtrzymującej jego kok. Kiedy chciało mu się pić, spijał deszczówkę zebraną na dachu namiotu – a padało prawie każdego dnia.

Zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć do miejsca, gdzie niegdyś znajdował się legendarny zatopiony kontynent Ano. Czy zobaczy szczyty gór ponad falami, ostatnie atole pozostałe po wielkiej cywilizacji? Czy może przepłynie nieświadomie nad szczątkami ogromnych miast z mitów i legend niczym załoga sterowca, której widok zasłaniają grube chmury?

Od czasu do czasu tajfuny i cyklony tworzące Ścianę Burz rozdzielały się, zostawiając wąski przesmyk, niczym kanał między dwoma lądami. Te spokojne doliny między burzowymi górami trwały przez kilka godzin, a nawet dni, zanim Ściana znowu się zamknęła.

Luan dedukował, że gdyby ktoś posiadał wiedzę na temat wzoru rządzącego tymi ruchami, przez Ścianę dałoby się bezpiecznie przepłynąć. Od czasu do czasu jeden z cyklonów odrywał się od pozostałych i wędrował chaotycznie po otwartym morzu, a wtedy serce Luana biło szybciej pod wpływem strachu, że celem może się okazać jego tratwa. I choć na szczęście wir za każdym razem zdawał się go unikać, jednak Luan zastanawiał się, czy inni podróżnicy mieli tyle szczęścia. W końcu nie słyszał o żadnym człowieku, który widziałby Ścianę i wrócił do Dary, by o tym opowiedzieć, nie licząc kilku niejasnych wzmianek w dawnych księgach. Być może Ściana sama decydowała, kogo przepuści i komu pozwoli zawrócić.

Nie mając możliwości spędzania czasu w żaden inny sposób, Luan zaczął pisać w swojej książce. Jedną ze złapanych przez niego ryb, młody marlin, tuż przed śmiercią zjadła kałamarnicę. Po wypatroszeniu ryby wyciągnął na wpół strawione zwierzę i wycisnął z niego ciemny płyn, który znajdował się w woreczkach między skrzelami, żeby używać go jako atramentu. Za pióro posłużył mu szpic marlina. Zapisywał informacje o nowych rybach, które udało mu się złapać, a także o ruchach elementów składowych Ściany. Pisał też wiersze i dzielił się z *Gitré Ŭthu* swoimi myślami jak z bliskim przyjacielem. W księdze nie pojawiły się już lśniące litery. Luan był przyzwyczajony do takich niewyjaśnionych i długich nieobecności

swojego nieśmiertelnego sprzymierzeńca i nie wołał o boską interwencję – w końcu nauczyciel nie zawsze może pilnować swoich uczniów.

Jednak gdzieś głęboko skrywał poważniejszą obawę, do której nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą. Czy to możliwe, by bogowie Dary ograniczeni byli wyłącznie do tejże i nie mieli żadnego wpływu poza jej granicami?

Skupił się na mapowaniu Ściany Burz, starając się jak najlepiej ocenić odległości i kierunki na podstawie kształtu cieni i zliczeń nawigacyjnych. Kartki, na których pisał, wciąż nosiły blade ślady jego dawnych notatek, a Luan uśmiechał się, przypominając sobie siebie samego z czasów, gdy powstawały. Wtedy obalenie Mapidérégo wydawało mu się najważniejszym zadaniem na świecie.

„Zabicie cesarza było łatwe. Zbudowanie świata, który jest bardziej sprawiedliwy, i przekonanie ludzi u władzy, by używali jej mądrzej, okazało się o wiele trudniejsze”.

Po kilku tygodniach Ściana Burz zakręciła na południe, jednak prąd, z którym płynął Luan, niósł go dalej na zachód. Wyglądało na to, że Ściana tworzyła barierę naokoło Wysp, być może będąc kolejną konsekwencją leż Daraméi, z których powstały Wyspy Dary. Luan klęknął na tratwie i pokłonił się Ścianie. Chociaż była gwałtowną i nieprzewidywalną siłą natury, której nie dało się objąć umysłem, stała się dla Luana symbolem więzów z ojczyzną. Po policzkach spłynęły mu niechciane łzy.

W końcu Ściana Burz zniknęła za horyzontem. Kiedy ta pępowina została odcięta, Luan został prawdziwym samotnym rozbitkiem.



Po kilku kolejnych tygodniach prąd zboczył na południe.

Gwiazdy układały się teraz w konstelacje, które przypominały Luanowi te widziane nad Darą. Znajdował się teraz na zachód od Dary i kiedy leżąc nocą na swojej tratwie, spoglądał na niebo, zastanawiał się, co też porabiają jego przyjaciele, Cogo, Gin, Kuni, Risana... Miał nadzieję, że Gin wreszcie weźmie sobie do serca jego radę i porzuci dumę, a także ostentacyjne podkreślanie znaczenia honoru i chwały.

„A potem co? Chciałbyś, żeby wyruszyła z tobą na niemądrą wyprawę, by nieustannie ocierać się o śmierć i zyskać tylko tyle, że będzie dryfować po bezkresnym morzu, odżywiając się tylko deszczówką i rybami dość głupimi, by dać się złapać? – Próbował wyobrazić sobie Gin u swego boku, żyjącą takim życiem jak on, a obraz ten przyprawił go o smutny śmiech. Absurdalny pomysł. – Gin wybrała własną drogę, a gdyby musiała zrezygnować z tytułu i królewskiej władzy, na zdobycie których pracowała całe życie, byłoby to dla niej tak samo przygnębiające jak dla mnie porzucenie nauki, badań i podróży”.

Gin była jak ogień, a on jak woda. Każde miało swoją naturę i charakter, a co było dobre dla jednego, niekoniecznie sprawdziłoby się u drugiego.

Mijały kolejne tygodnie, wzory na niebie nadal się zmieniały. Teraz Luan Zya każdą noc spędzał na szkicowaniu nowych konstelacji. Czuł też, że przeobrażeniu

ulega pogoda – w południe słońce wspina się wyżej, a temperatura rośnie; klimat zbliżony był do tego panującego na Tan Adü, a może nawet jeszcze gorętszy. Luan obserwował nowe konstelacje i nadawał im nazwy, niektóre poważne, niektóre żartobliwe: **General, Kochająca Matka, Nurkujący Cruben, Kwitnący Mlecz, Talerz Ostrej Surowej Ryby z Dasu...**

Ryby, które teraz łowił, należały do innych gatunków, niektórych zupełnie nie znał. Żadna nie nadawała się do jedzenia. Część miała piasek we wnętrznościach, który zapewne pomagał w rozdrabnianiu pokarmu, jednak oczyszczenie takiej ryby było bardzo uciążliwe. Ciała innych zawierały tak dużo maleńkich ości, że nie dało się ich jeść bez ognia, którym można by je zmiękczyć. Pozostałe wywoływały bolesne skurcze i musiał prowokować wymioty, by pozbyć się tego, co zjadł. Jedna nawet przyprawiła go o zawroty głowy i utratę czucia w członkach. Kiedy się obudził, słaby i odwodniony, nie był pewien, ile minęło dni.

Obiecał sobie, że będzie bardziej ostrożny. Od teraz tworzył bardzo dokładne rysunki ryb, zaznaczając ich kolory i notując ich smak oraz późniejsze samopoczucie. Nie wiedział, czy ktokolwiek przeczyta jego notatki, potrzebował jednak wrażenia, że robi coś pożytecznego – inaczej straciłby rozum.



Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, słońce stawało się coraz jaśniejsze, gorętsze i bardziej bezlitosne. Skóra swędziała go od słonej wody oceanicznej, zaczęła się łuszczyć i sączyła się z niej ropa. Deszcz przestał padać, a Luan został zmuszony do picia własnego moczu i wysysania wilgoci z organów i ciała ryb.

Ile minęło dni od ostatniego deszczu? Ile dni już dryfuje? W delirium wywołanym słonecznym żarem nic już nie było pewne. Brakowało mu energii, żeby wyczołgać się z namiotu, żeby podjąć wysiłek łowienia ryb. Wiedział, że musi wstać i zaważczyć o przetrwanie, nie potrafił jednak się do tego zmusić.

„Chcę umrzeć – myślał. – Chcę już umrzeć”.

Zabawne. Nie poddał się, kiedy całe cesarstwo Xany zdawało się go ścigać. Nie poddał się, kiedy próbował odbić pałac cesarski w Pan z zaledwie garstką rebeliantów i księciem Kunim Garu u boku. Nie poddał się, kiedy siły hegemonu wydawały się nie do pokonania, kiedy jego pan posiadał zaledwie jedną wysepkę, a musiał wystąpić przeciwko całej reszcie Dary – a jednak teraz prosił o ukojenie śmierci, zbyt zmęczony, głodny i spragniony, żeby podjąć podstawowy wysiłek walki o życie.

Ileż męstwa muszą mieć zebracy i biedota, by co dzień toczyć zmagania o przetrwanie! Tych cichych aktów heroizmu nikt nie opiewał w pieśniach, a jednak to one tworzyły fundament cywilizacji, bardziej niż wszystkie sentymenty o honorze z klasyków Ano i piękne słówka arystokracji.

Zasnął, marząc, że już się nigdy nie obudzi.



Jednak się obudził. Zapadł w sen na krawędzi tratwy, z głową częściowo wystającą nad powierzchnię morza. A teraz przed jego twarzą coś kołysało się na wodzie. Otworzył oczy, próbując skupić zamglony wzrok: kokosy.

Złapał je trzęsącymi się rękoma i zebrał tyle, ile tylko zdołał. Omal nie udławił się swym suchym, spuchniętym językiem, kiedy zaczął sobie wyobrażać, jak pije zamkniętą w każdym pyszną, orzeźwiającą wodę.

Potem jednak zdał sobie sprawę, że nie ma żadnych narzędzi do ich rozłupania.

Mały kościany nożyk, który nosił przy sobie – pełniący funkcje raczej dekoracyjne – nadawał się do patroszenia ryb, lecz nie miał szans w starciu z twardą łupiną. Luan zaczął rozglądać się nerwowo za gwoździem, młotkiem, maczetą albo chociaż dużym kamieniem, mimo że wiedział doskonale, że nie posiada żadnej z tych rzeczy. W akcie rozpacz podniósł kokos i uderzył nim o bambusową ramę tratwy, zdając sobie sprawę, jakie to beznadziejnie bezcelowe. Od ratującej życie wody kokosowej dzielila go tylko warstwa łupiny cieńszej niż jego ręka, a jednak trudniejszej do pokonania niż Ściana Burz. Załamany zaczął prosić bogów o pomoc. W dorosłym życiu nie zdarzało mu się modlić, ponieważ wierzył, że bogowie wolą jak najmniej interweniować w ludzkie sprawy. Teraz jednak błagał, by dali mu coś, cokolwiek, i umożliwili ocalenie. Prosił mądrego Lutho, piękną Tututikę, walecznego Fithowéo, współczującego Rufizo, ognistą Kanę i chłodną Rapę, dumnego Kijego, a nawet nieprzewidywalnego Tazu – niechby bóg o ostrych rekinich zębach zakończył jego życie i cierpienie...

Jednak bogowie nie odpowiadali – czego się spodziewał.

Nie było ich tutaj, na dzikim oceanie za Ścianą Burz. Był zupełnie sam, bardziej niż jakikolwiek mieszkaniec Dary w całej jej historii. Opadł na krawędź tratwy i zaczął wyć; nie był to płacz spowodowany rozpaczą, lecz coś bardziej pierwotnego, przywodzącego na myśl pierwszy wrzask, jaki każdy z nas wydaje po przyjsciu na świat. Jego usta i język były tak suche, że mógł tylko jęczeć niezrozumiale, nie potrafiąc sformułować sylab, których już nie potrzebował.

Gdyby nie maligna, być może zauważyłby, że wydaje dźwięk podobny do śpiewu wielorybów i crubenów.

Z czasem skomlał coraz ciszej i w końcu zamilkł.



Tratwa omal nie przewróciła się do góry dnem, kiedy morze wokół niej eksplodowało.

Luan otworzył oczy i zasmucił się, uświadamiając sobie, że nadal żyje, nadal cierpi.

Na powierzchnię niedaleko tratwy wypłynął wielki cruben, władca mórz. Kołysał się teraz na wodzie niczym mała wyspa i nawet znajdujący się na granicy śmierci Luan nie mógł nie podziwiać jego majestatu.

Cruben śpiewał, a pod wpływem wydawanego przez niego dźwięku kości

w ciele Luana Zya drżały ze współczucia. Wstrząsnął nim dreszcz. Co zamierzał władca mórz?

Plusk. Plop. Plusk.

Rozległy się trzy pluśnięcia i zaraz przy krawędzi tratwy, między Luanem a ogromnym cielskiem crubena, z wody wynurzyły się trzy mniejsze stworzenia. Mierzące niewiele więcej niż tyle, ile wynosi wzrost Luana, miniaturowe wersje wielkiego crubena patrzyły na człowieka z zaciekawieniem, a ich srebrzyste łuski mieniły się w promieniach słońca. Kiedy Luan gapił się, zdziwiony, na młode crubeny, te wypuściły powietrze przez nozdrza i na jego twarzy osiadła wilgotna mgielka.

Wytał oczy i usłyszał gromki śmiech dużego crubena.

Maluchy wynurzyły się jeszcze bardziej i teraz całe znajdowały się nad powierzchnią wody. Kołysząc się na ogonach, mówiły coś po swojemu do rodzica. Machały pojedynczymi rogami na czołach – z których każdy miał długość przedramienia Luana – niczym krótkimi mieczami. Jedno ze zwierząt zgięło się i pokazało na stos kokosów na tratwie.

Zdumiony Luan sięgnął po jeden z orzechów i podczołgał się do krawędzi, a kiedy małe crubeny odpłynęły kawałek, świergocząc z ekscytacją, rzucił go do wody.

Maluchy zniknęły z pola widzenia, lecz dorosły cruben wciąż krążył w pobliżu, a tratwę omywały łagodne fale wzniecane przez powolny ruch jego płetw. Nagle morze eksplodowało – oto jeden z maluchów wyskoczył z głębin i uderzył w kokos swoim rogiem. Orzech poszybował w górę, wznosząc się na jakieś dziesięć czy piętnaście metrów, a potem, gdy już miał z powrotem wpaść do wody, drugi maluch wyskoczył wysoko i uderzył w niego rogiem. Kokos zatoczył piękny łuk z dala od tratwy, by wylądować na rogu kolejnego zwierzęcia i pofrunąć z powrotem do Luana, który odruchowo złapał go w obie dłonie.

Z trzech otworów w łupinie wypływał ciepły, pachnący sok. Luan przycisnął do nich usta, łapczywie spijał ratujący życie płyn.

Małe crubeny grały w ten sposób jeszcze przez jakiś kwadrans, otwierając kilka kolejnych kokosów.

– Dziękuję. – Ugasiwszy pragnienie, Luan uklęknął u krawędzi tratwy i dotknął czołem powierzchni wody.

Maluchy kołysały się w wodzie, piszcząc i świergocząc, a wielki cruben wydał z siebie długi, niski jęk, po czym odpłynął, machając swym potężnym ogonem. Dzieci popłynęły za nim, jak trzy glazy ciągnięte przez ruchomą wyspę, aż w końcu cała rodzina zniknęła Luanowi z pola widzenia. Mędrzec poczuł wilgoć na twarzy. Wytał oczy i spojrział do góry: zaczęło padać.



Obecność kokosów sugerowała, że w pobliżu znajduje się ląd, Luan wyteżał więc wzrok, próbując go wypatrzeć. Żałował, że nie może wznieść się w powietrze;

że nie ma ani latawca, ani balonu, ani małego sterowca.

Kilka dni później, dręczony upałem, spojrział na południe i zobaczył coś, co zaparło mu dech w piersi – oto w rozedrganym powietrzu tuż nad horyzontem mienił się niewyraźny zarys miasta z wysokimi wieżami i odbijającymi promienie słońca kopułami, gdzie na ulicach było pełno przechodniów i wozów.

Walczył z prądem, przekręcając żagiel w różne strony i wiosłując złamanymi drzewcami z latawca. Rozważał nawet, czy nie rzucić się do wody i nie podjąć rozpaczliwej próby dotarcia do miasta wplaw, jednak prąd był zbyt silny.

Skakał i krzyczał, żałując, że nie posiada rakiety sygnałowej, którą zwróciłby na siebie uwagę mieszkańców tego dziwnego kraju.

„Ogień”, pomyślał w desperacji. Nigdy w życiu tak rozpaczliwie nie pragnął wzniecić ognia.

Miasto zadrżało, a potem zniknęło.

Luan stał na kołyszącej się tratwie i patrzył w pusty horyzont, zdeorientowany i wściekły. Widział przecież to miasto na własne oczy, więc gdzie się podziało?

Po chwili zdał sobie sprawę, że być może dał się oszukać Mirażowi Tututiki. Czasami nad pustyniami i morzami pokazywały się mamidła, kiedy to obraz miejsca znajdującego się daleko za horyzontem odbijał się dzięki sztuczkom powietrza i światła tak, że ludził zmęczonych wędrowców iluzją jakiegoś rajskiego miejsca. Lecz mimo że było to jedynie złudzenie, gdzieś za widnokretem musiało znajdować się jego źródło.

„Gdybym tylko mógł wznieść się wystarczająco wysoko i wysłać jakiś sygnał”.

Spojrział na słońce, a potem znowu na odległy horyzont. Promienie światła zostały tak zakrzywione, że pozwoliły mu zerknąć na ląd znajdujący się tuż za zasięgiem wzroku.

„Co może zakrzywiać światło?”

Wspomniał wynalezione przez ojca krzywe zwierciadła, za pomocą których chronił brzeg Haanu przed cesarskimi najeźdźcami jedynie dzięki sile słońca. To podsunęło mu pewien pomysł.

Na wpół krocząc chwiejnie, na wpół się czolgając, dotarł do kokonu, który wcześniej wyciągnął z wody, żeby jego obie części, niczym połówki lupiny orzecha, wykorzystać do zbierania deszczówki.

Wyciągnął szybkę z otworu i spojrział na nią. Była płaska, przejrzysta i okrągła.

Zebrał garść ostrego piasku wyskrobanego z brzucha ryby, którą suszył na tratwie, a potem rozsypał na powierzchni szybki. Następnie zamoczył w morzu kawałek skóry kolonia i zaczął polerować szkło, czując i słysząc przyjemne ścieranie. Przekręcił je o ćwierć okręgu i kontynuował.

Pracował niemal bez ustanku, czasami tylko robiąc krótkie przerwy na jedzenie i picie. Krawędź szklanej szybki zaczęła stawać się coraz cieńsza, a powierzchnia nabrała wypukłego kształtu. Z czasem Luan zmienił gruby piasek na drobniejszy, by na końcu używać już tylko skóry kolonia. Płaski dysk pod wpływem

nieustannego ruchu stopniowo zmienił się w soczewkę.

Po kilku dniach wytężonej pracy Luan wreszcie z zadowoleniem spojrzął przez szkło, które powiększało i zniekształcało obraz. Połamał jedną z bambusowych tyczek, której używał jako wiosła, na krótkie patyki i zebrał je na platformie wykonanej z połówki twardego kokonu z jujuby – tej już nieszczelnej, bo pozbawionej szybki. Powpychał pod patyki wysuszone łupiny kokosa, które posłużyły za podpałkę, i był gotowy do rozpalania ogniska.

Chwycił soczewkę i przesuwał nią, aż rzucany przez nią snop światła zmienił się w maleńką kropeczkę. Skierował ją na podpałkę i czekał. Po kilku sekundach w górę uniosła się smużka dymu.

Wydał okrzyk zachwytu i ostrożnie, opanowując drżenie rąk, poczekał, aż dym zgęstnieje i ożyje maleńki płomień. Następnie odłożył soczewkę na bok i pochylił się nad ogniem. Dmuchał na niego delikatnie, próbując utrzymać go przy życiu.

Po jakimś czasie, kiedy płomień był wystarczająco duży, Luan wrzucił do ogniska kawałki podartego jedwabiu. Materiał palił się powoli i tworzył dużo dymu. Mężczyzna miał nadzieję, że nadal znajduje się wystarczająco blisko lądu, by zwrócić na siebie uwagę kupców lub rybaków.

Utrzymywał sygnał dymowy przez większość dnia, wykorzystując ogień także do ugotowania ryby, kiedy zgłodniał. Dzięki tej możliwości mógł zjeść nawet te ryby, które zawierały zbyt wiele maleńkich ości, ponieważ upieczenie ich nad ogniem zmiękczało je i pozwalało dokładnie przerzucić kawałki. Cieszył się smakiem pieczonych ryb, lecz był to jedyny pożytek z rozpalenia ognia – na horyzoncie nie pojawił się żaden statek.

Ostatecznie Luan musiał się pogodzić z faktem, że jego nadzieje okazały się płonne. Nie miał pojęcia, jaki dokładnie dystans dzielił go od lądu widzianego w mirażu. Poza tym może mieszkający tam ludzie nie posiadali łodzi zdolnych wypłynąć aż tak daleko?

Tak czy inaczej mógł teraz wzniecać ogień, a to już było coś. Niezwykle go to podbudowało; wiedza, jaką zdobył, podróżując po Darze w dalszym ciągu, była przydatna i wartościowa. Chociaż znajdował się tak daleko od domu, słońce i morze wciąż działały według tych samych zasad. Soczewka nadal zakrzywiała promienie słoneczne, które można było zaprząć do wzniesienia ognia. Luan po raz kolejny mógł polepszyć swoje położenie dzięki inteligencji i pracowitości. Chociaż bogowie nie słyszeli jego modlitw, wszechświat dało się poznać.

Ognisko w końcu zgasło, lecz w sercu Luana na nowo zagościła nadzieja.



Ponieważ stracił nieokreśloną ilość czasu z powodu gorączki, nie wiedział już dokładnie, jak długo znajduje się na bezkresnym morzu. Na niebie było widać nowe konstelacje, więc nie mógł ocenić pory roku; powietrze, nieustannie gorące i wilgotne, znacznie różniło się od tego, którym oddychał w Darze.

Tratwa dryfowała teraz na wschód. W obliczu panującej duchoty Luan postanowił spać poza namiotem i ze swej grubej wierzchniej szaty zrobił posłanie. Cienka tunika, którą nosił pod spodem, była teraz brudna i postrzępiona, ledwo zakrywała jego ciało, więc chadzał po tratwie nago. Aby choć trochę ochronić się przed słońcem, zrobił sobie czapki i chusty z rybiej skóry i kawałków latawca. Miał teraz długie śnieżnobiałe włosy i brodę. Czasem, kiedy widział swoje odbicie w lustrze wody, nie rozpoznawał siebie.

Bał się rozpalać ognisko z części tratwy, więc musiał skrupulatnie zbierać kawałki drewna dryfujące w morzu i wodorosty, a następnie je suszyć. Myślał, że obecność tych pierwszych może sugerować, że w pobliżu znajduje się ląd, jednak prąd nigdy nie zaniósł go w miejsce, z którego dałoby się dostrzec zarys brzegu czy odległych szczytów górskich.

A potem, pewnego dnia, zdał sobie sprawę, że prąd zwolnił i skierował się na północ. Luan raz jeszcze spróbował sterować tratwą i udało mu się przeciwstawić nieznacznie sile prądu.

Był wolny, był samotny.

Przez cały czas, kiedy płynął z tym prądem, próbował się od niego uwolnić. Teraz jednak czuł się, jakby przyszło mu żegnać starego przyjaciela. Zawahał się na moment, spoglądając na Gitré Ūthu zawierającą szkice map odbytej przez niego drogi i nowych gwiazd.

„Nawet jeśli nie ma tu nic prócz bezkresnego morza, lepiej umrzeć, obrawszy własny kurs”.

Skierował tratwę na wschód i nie oglądał się za siebie.



Wrzody na jego ciele zabiłszy się, a potem otworzyły na nowo. Czuł nieustającą słabość. Zęby chwiały mu się w dziąsłach, szwankował też wzrok – morską dietą nie zapewniała wszystkich niezbędnych składników, a przez ciągłe zmaganie się z siłami natury nie miał też szans na solidną regenerację. Po kilku tygodniach płynięcia na wschód postanowił zmienić kierunek na północny, w nadziei, że tam panuje klimat bardziej umiarkowany. Na nieboskłon wróciły znajome gwiazdy, chociaż morze nadal wyglądało tak samo.

„Tazu, rozumiem już, dlaczego jesteś, jaki jesteś – pomyślał Luan. – Morze potrafi doprowadzić do szaleństwa nawet bogów”.

Dzień po dniu patrzył w dal i widział tylko wodę, nic więcej. Ryby, które teraz łapał, różniły się zarówno od tych z Dary, jak i tych niedawno poznanych. Opisywał je skrupulatnie w *Gitré Ūthu*. Nocami śnił gorączkowe sny, a za dnia spierał się z bogami na temat natury świata.

„Tututiko, czy w społeczeństwie składającym się z jednego tylko człowieka istnieje piękno? Czy możliwa jest niedoskonałość, kiedy świat tworzy jedna dusza?

Fithowéo, czy twoim zdaniem możliwa jest wojna między jedną i tą samą osobą?”

Zaczął wiać chłodny wiatr, kierując tratwę nieustannie na północny wschód. Luan owinał się postrzępionymi resztkami swojej szaty, a namiot obrzucił garściami wodorostów, żeby zimne podmuchy nie przedostawały się przez dziury i szczeliny. Po kilku kolejnych tygodniach temperatura spadła tak mocno, że Luan zaczął szczerkać zębami i nie był już pewien, czy nie woli prażącego słońca południowych regionów.

Wtedy nadszedł dzień, kiedy dostrzegł obraz, który z początku uznał za kolejny miraż: maleńkie kropeczki krążące na horyzoncie.

Ptaki.

Rozejrzał się dokoła i zauważył unoszące się na morzu rośliny: kawałki pnączy, gałązki i liście, które nie należały do wodnego środowiska. Skąd się tu wzięły?

Skierował się w stronę ptaków, próbując opanować podniecenie – nie chciał znów gorzko się rozczarować. Kiedy zaszło słońce, wszystko dokoła spowila gęsta mgła. Luan ciaśniej opatulił się szatą, teraz tak zniszczoną, że przypominała raczej kawałek szmaty, i zasnął. Śnił o wyjściu na nieznaną ląd, gdzie nieśmiertelni ubrani w kolorowe jedwabie wyprawiają wykwintne przyjęcie na jego cześć.

Obudził się i go zobaczył: brzeg rozciągający się na cały horyzont, płaski ląd w cielistym kolorze usiany plamami zieleni. Luan stał na kołyszącej się tratwie, ubrany tylko w pelerynę z rybiej skóry oraz podartą szatę, i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Znalazł ląd.

Kiedy poprowadził tratwę w stronę brzegu, dostrzegł kilka małych chat, białych, o kształcie grzybów, wyrastających w niewielkiej odległości od morza. Na plaży leżało parę niewielkich łodzi nieznanego Luanowi modelu. Wyglądały jak płytkie misy i wydawały się splecione z trawy, a pęcherze wypełnione powietrzem i przywiązane do krawędzi dawały dodatkową wyporność.

Tratwa zahaczyła o coś znajdującego się pod powierzchnią wody i zatrzymała się. Luan podczołgał się do jej brzegu i rzucił do płytkiej wody. Zimno było szokiem dla jego ciała, a stabilność łądu pod stopami wydawała się nienaturalna po takim czasie spędzonym na morzu; drżenie nóg nie pozwalało pewnie na nich stanąć, więc musiał podpierać się rękami. Zalała go lodowata fala, omal nie zemdlął. Zobaczył, że z przypominających grzyby namiotów wyszli bladolicy jasnowłosi ludzie i teraz przyglądali mu się z zaciekawieniem.

– W obliczu morza wszyscy ludzie są braćmi – wychrypiał i upadł na plażę.

Rozdział czterdziesty piąty

Antrakt

RUI: drugi miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Zimowe morze w porcie Kriphi było spokojne, jednak niebo zasnuwały chmury, w głębi których dało się dostrzec błyskawice. Słońce stopniowo chowało się za widnokrzem i w coraz słabszym świetle na wpół zatopione wraki statków-miast zdawały się przybierać różne kształty: ogromnego żółwia, szczerzącego zęby rekina, ławicy błyszczących karpi, a nawet ogromnych ptaków, które z jakiegoś powodu porzuciły swój podniebny świat.

– Gdzie się podziewałeś, Stary Żółwiu?

– Byłem daleko na granicy świata, żeby zbadać Ścianę Burz.

– I cóż tam znalazłeś?

– Strach przed nieznanym. Wciąż nie mogłem przedrzeć się na drugą stronę.

– Wiesz, że nie powinniśmy jej przekraczać, bracie. Matka powiedziała, że Moäno stworzył Ścianę Burz, by wyróżnić Darę.

– Jednak świat zewnętrzny przybył do Dary, a wraz z nim nowi bogowie.

– Nie poculiśmy jeszcze energii tych nowych bogów, może wciąż są wyczerpani po podróży.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca wielki cień żółwia wydawał się kręcić głową.

– Obawiam się, że Ściana Burz to bariera, którą pokonać są zdolni jedynie śmiertelnicy, nie my.

Podwodne cienie zamarły, jakby bogów przeraziła ta wieść. Ciszę przerwał Tazu:

– Straciłeś doskonałą opowieść. Twój ulubiony śmiertelnik przeżył nie lada przygodę.

– Wiele przegapiłem?

– Właśnie przechodzą do najlepszej części.

– Lutho, a dlaczego udałeś się za Ścianę dopiero teraz, a nie trzy lata temu, kiedy przedzierał się przez nią twój protegowany?

– Próbowałem mu pomóc, jak tylko mogłem, lecz czułem, że za barierą moja siła słabnie. Czerpiemy energię z tych wysp i nie możemy opuścić domu, nie stając się... śmiertelnikami.

– Ale może to oznacza, że... bogowie tych przybyszów również nie mogli opuścić domu. Może Lyucu zostawili swoich bogów i ich modlitwy pozostają niewysłuchane.

Bogowie roztrząsali dalej tę kwestię, słuchając historii opowiedanej w pałacu w Kriphi, niczym biesiadnicy przy palenisku.



Zomi siedziała między noszami, trzymając za rękę jednocześnie ojca i nauczyciela. Teraz mężczyźni spali, a ich ból tymczasowo złagodziły medykamenty.

– Jest jakaś nadzieja? – zapytała.

Lekarz wojskowy zmarszczył brwi. Nie zaprzeczył ani nie przytaknął.

– Byli torturowani – powiedział. – Jestem zdziwiony, że... przeżyli tak długo.

Zomi sztywno kiwnęła głową.

Na podłodze przed nią leżała *Gitré Üthu*, a jej strony opowiadały historię, w którą bała się uwierzyć.

– Odpoczywaj, ojcie – szepnęła. – Odpoczywaj, nauczycielu.

Za nią generałowie, doradcy i żołnierze czekali, aż znowu zaczną czytać.

Rozdział czterdziesty szósty

Książę i księżniczka Ukyu

Nieznana ziemia: dwa lata wcześniej

Luan obudził się w namiocie. Leżał na posłaniu z futer, przykryty kolejnym. W panującym tu półmroku unosił się piżmowy zapach zwierząt, silny, lecz nie nieprzyjemny. Jedynym źródłem światła był umieszczony centralnie otwór na samym szczycie, który służył również za komin odprowadzający dym z ogniska. Na palenisku coś gotowało się w kotle ze zwierzęcych skór.

Do Luana podeszła staruszka i przytrzymała mu przy ustach miskę, karmiąc go czymś, co pachniało sfermentowanym mlekiem. Umierał z głodu. Napój miał silny kwaśny smak, lecz wydawał się odżywczy. Luan pił i pił, a zanim skończył, zmorzył go sen.

Śniło mu się, że jego brzuch stał się polem walki. Języki lawy i lodu walczyły wewnątrz niego o dominację, sycząc i parując. Staruszka i inni ludzie przychodzili zajmować się Luanem, a on próbował wychrypieć słowa przeprosin, lecz był zbyt słaby, by wyartykułować zrozumiałe dźwięki.

Kiedy znowu się obudził, czuł się jeszcze słabszy, jednak jego brzuch wreszcie się uspokoił. Podano mu zupę albo potrawkę z mięsa i warzyw. Tym razem starał się jeść powoli i dać ciału czas na przyzwyczajenie się do nowego pokarmu.

Gdy opróżnił jedną miskę, przyniesiono mu następną i tym razem czuł się wystarczająco silny, żeby trzymać ją samodzielnie. Za naczynie służyła przecięta lupina jakiejś rośliny. Kiedy Luan jadł, rodzina wokół niego rozmawiała. Chociaż nie rozumiał języka, usłyszał jedno słowo, którego w jego uszach brzmiało jak „Dara”.

„Wiedzą o mojej ojczyźnie?” Nie rozumiał, jak to możliwe. Zanim jednak się nad tym zastanowił, znów zmogła go senność. Obudziło go gwałtowne szarpnięcie i rozejrzał się zaniepokojony. Wokół niego znajdowały się pionowe pręty ze zwierzęcych kości, a powyżej – skórzana płachta. Czuł się, jakby ktoś go niósł, przez co zdawało mu się, że znowu trafił na morze. Dźwignął się z wysiłkiem. I zamarł. Był w klatce, a stopy przywiązano mu do kościanej kraty mocnymi sznurkami ze ścięgien. Mimo to nawet nie próbował się uwolnić.

Klatka, a wraz z nią Luan, znajdowała się w powietrzu. A dokładniej na grzbiecie jakiegoś wielkiego zwierza, którego skrzydła poruszały się powoli niczym wiosła cesarskiego sterowca. Szyja stworzenia rozciągała się niczym gruba liana z dżungli Arulugi albo gigantyczny pyton. Na jej końcu widniała głowa z rogami podobnymi do jelenich, chociaż wielokrotnie większymi.

Jakimś cudem ta ogromna bestia wyglądała znajomo. Jak to możliwe? Był pewien, że w trakcie swoich podróży nigdy nie spotkał się z opisem podobnego zwierzęcia. I nagle pojął: przecież tak wyglądały te przedziwne skrzydlate stwory na

kawałkach drewna pochodzących z jakiegoś wraku – to właśnie one zainspirowały go do wyruszenia na tę wyprawę.

Serce zabiło mu szybciej pod wpływem ekscytacji, jaką wywołało w nim to odkrycie, to przejście ze snu do innego świata.

Przyjrzał się kościom tworzącym klatkę, w której go więziono – były długie, duże i sądząc po odgłosach, puste. Podejrzewał, że należały do takiego samego zwierzęcia, na jakim przyszło mu lecieć. Skrzydlaty stwór leciał na wysokości może kilkuset metrów nad ziemią, podobnie do cesarskich sterowców. Daleko w dole Luan widział bezkresną i płaską ziemię w cielistym kolorze, upstrzoną kępkami krzaków i trawy. Krążyły po niej stada zwierząt hodowlanych – podobnych do bydła, lecz o wiele bardziej kudłatych i nieco większych – a każdemu stadu towarzyszyły dwie albo trzy skrzydlate bestie. Łaziły z trudem za bydłem, ze zwiniętymi skrzydłami, niosąc na grzbietach pasterzy, którzy spoglądali na przelatującego wysoko wierzchowca. W oddali Luan dostrzegł lupkowoszary ocean z kołyszącymi się tu i tam na falach łódkami z trawy.

Klatkę otaczało kilku strażników obojga płci, bezpiecznie przypiętych do siodeł lub uprzęży. Wszyscy mieli na sobie proste ubrania wykonane z futra albo plecionej trawy, a w rękach trzymali pałki i toporki z kości i kamienia lub proce z rogów i skreconych ścięgien. Paru wyczuło, że Luan się obudził, i popatrzyło na niego z zaciekawieniem. Mając w pamięci, że pasterze, którym zawdzięczał życie, zdawali się znać nazwę Dary, postanowił się przekonać, czy ci znają jego język.

– Cóż to za kraj? – zapytał. – Jaki lud zamieszkuje te ziemie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Strażnicy spojrzeli tylko na niego z nieokreślonym wyrazem twarzy. Zadawanie pytania w chwili, gdy posiadał tak mało informacji, nie miało sensu. Musiał być cierpliwy i najpierw lepiej zorientować się w sytuacji.

„Wszechświat da się poznać”, pomyślał.



Jakąś godzinę później skrzydlate zwierzę, dysząc ciężko, wylądowało obok skupiska namiotów. Kolejny, podobnych rozmiarów stwór, wyraźnie wypoczęty, podszedł do kompana.

Jeden ze strażników – ten, który siedział u podstawy szyi zwierzęcia i najwyraźniej był pilotem – kilka razy głośno gwizdnał.

Bestia pochylila głowę, trzymając szyję sztywno i prosto, niczym mostek. Luan zobaczył, że drugie zwierzę postąpiło tak samo i w końcu ich szyje zawisły idealnie równo nad ziemią. Dwie głowy spotkały się ze sobą i zamarły.

Strażnicy wypięli klatkę z uprzęży, wzięli ją na ramiona i weszli na szyję wierzchowca. Luan złapał mocno za pręty kołyszącego się więzienia, pewien, że ktoś straci równowagę na gruzłowatych kręgach i wszyscy polecą na ziemię.

Jednak strażnicy przenieśli klatkę po żywym moście z szyi dwóch skrzydlatych bestii równie sprawnie co tragarze z Dary palankin przez miejską fosę. Przypięli

klatkę do grzbietu drugiego zwierzęcia, a sami zasiedli w siodłach lub założyli uprzęże.

Luan już zdążył się czegoś nauczyć. Te bestie, chociaż potężne, najwyraźniej nie mogły latać zbyt długo. To prawdopodobnie tłumaczyło, dlaczego pasterze, których widział wcześniej, kazali swoim wierzchowcom dreptać niezgrabnie po ziemi, zamiast wznieść się w powietrze.

Podejrzenia te potwierdziły się, kiedy jego nowy żywy środek transportu wylądował po czterech godzinach i proces przesiadki się powtórzył. Luan chciał odruchowo sięgnąć po *Gitré Üthu*, żeby zapisać swoje obserwacje i spekulacje na temat skrzydlatych stworzeń, i dopiero wtedy zauważył, że nie ma książki przy sobie. Przeszył go intensywny ból, jakby wyrwano mu kawałek ciała – i była to, w pewnym sensie, prawda. Książka była jego jedyną towarzyszką w trakcie długiej podróży po oceanie, lustrem jego delirium i sennikiem. Teraz, gdy tratwa z latawca została na morzu, *Gitré Üthu* pozostała jedynym świadkiem wszystkiego, czego doświadczył.

Po dwunastu przesiadkach znaleźli się w osadzie rozmiarów sporego miasta. Tworzyły ją tysiące przypominających grzyby namiotów, wiele znacznie większych niż te, które widział dotychczas.

Na środku osady znajdował się szczególnie duży namiot, o średnicy porównywalnej do Wielkiej Sali Egzaminacyjnej w Pan; wszystkie inne wydawały się przy nim maleńkie. Skrzydlate stworzenie wylądowało, a Luan zobaczył przed wejściem do namiotu wysoką tyczkę, z której niczym proporce zwisały długie, puszyste ogony. Ze zdumieniem dostrzegł też dwa metalowe hełmy – pierwsze metalowe przedmioty, jakie widział w tej nowej krainie – również zwisające i kołyszące się na wietrze. Wyglądały znajomo, ponieważ wykonano je na modłę dawnego xańskiego cesarstwa. W środku najwyraźniej znajdowały się dwie zmumifikowane głowy. Luanowi coś zaczęło świtać – gdzieś w zakamarkach jego umysłu zaczęły się formować załączki odpowiedzi na część nurtujących go pytań.

Zwierzę dotknęło głową ziemi, a jego szyja utworzyła długi, łagodnie nachylony pomost. Strażnicy uwolnili stopy Luana, pomogli mu wyjść z klatki i sprowadzili go na ziemię.

Jedna z eskortujących go kobiet weszła do wielkiego namiotu. Po chwili wróciła i powiedziała coś do pozostałych strażników. Wspólnie pokierowali Luana do znajdującej się nieopodal niewielkiej konstrukcji: okrągłej chatki, której ściany tworzyła kościana palisada okryta warstwą plecionki z roślinnego włókna oraz błota. Dach tej osobliwej budowli wykonano ze zwierzęcych skór.

W środku jedynymi źródłami światła były niewielki otwór w dachu oraz małe ognisko pod spodem, które zapewniało też ciepło. Nie licząc sterty suszonych zwierzęcych odchodów potrzebnych do podtrzymywania ognia, a także dużej miski z lupiny, która zapewne służyła jako nocnik, w chatce nie znajdowało się w zasadzie nic prócz skór i futer – czystych, więc Luan wysnuł wniosek, że mają służyć za posłanie. Nie mógł znaleźć nic twardego ani ostrego, co mogłoby posłużyć mu do obrony.

Strażnicy zamknęli za nim drzwi i rozległ się głuchy dźwięk, jakby ktoś

przesuwał coś ciężkiego. Kiedy spróbował otworzyć drzwi, okazało się, że zostały zablokowane z zewnątrz.

Wciąż słaby po ostatnich przeżyciach położył się w swoim więzieniu i zasnął.



Kilka razy w ciągu dnia odsuwano ten ciężki przedmiot i ktoś wchodził do środka, by przynieść jedzenie albo opróżnić nocnik. Kiedy oślepiające światło przeszywało półmrok panujący w chatce, Luan, próbując porozmawiać z gościem, musiał zakrywać oczy. Nigdy nie doczekał się żadnej reakcji na swoje słowa.

Jedzenie, które dostawał, było proste, lecz sycące: twarde ciasto, które wydawało się zrobione ze sproszkowanego suszonego mięsa, tłuszczu zwierzęcego i jagód, osobliwy płaski chleb smakujący mąką z orzechów, do tego sporo wody w skórzanym worku. Takie jedzenie można przygotować w dużej ilości, a później przechowywać i rozdzielać porcjami przez dłuższy czas. Tego rodzaju posiłki najbardziej lubią armie oraz nieustannie przemieszczający się nomadzi.

„Karmię mnie tym samym co resztę plemienia – pomyślał Luan. – To dobry znak”. Piątego dnia drzwi chatki otworzyły się, lecz nikt nie wszedł do środka. Kiedy oczy więźnia przyzwyczyły się do jasnego światła, postanowił zorientować się w sytuacji.

Kilka kroków dalej strażnicy ustawili się w półkolu, jednak uwagę Luana zwróciły dwie młode osoby klęczące przed wejściem: mężczyzna i kobieta, oboje w wieku około dwudziestu lat. Jakość noszonych przez nich futer i delikatna biżuteria z kości i zębów sugerowały, że należą do tutejszej arystokracji.

Zauważył, że uklękli w znanej z Dary pozycji *mipa rari*.

„Czy to możliwe?”

Luan również uklęknął w *mipa rari* w drzwiach chatki.

– Luan Zya – powiedział, wymawiając wyraźnie każdą sylabę i wskazując na siebie. Następnie wyciągnął ręce w kierunku dwójki młodych ludzi.

– Wybaczcie nam, mistrzu – rzekli razem.

Akcent wydawał się obcy, lecz twarz Luana zaczęła drgać bez jego woli, a oczy zasły mu mgłą, ponieważ raz jeszcze, chociaż porzucił wszelką na to nadzieję, usłyszał mowę Dary.



– Witaj w Ukyu, ziemi Lyucu – powiedział młody mężczyzna, który przedstawił się jako Cadyu Roatan, syn króla. – Znajdujesz się w Taten, stolicy naszego skromnego kraju.

– Nasz ojciec wyjechał, żeby stłumić bunt – wyjaśniła jego siostra, Vadyu Roatan. – Przepraszamy za niegodne potraktowanie. Strażnicy nie wiedzieli, że jesteś naszym gościem z Dary, krainy, którą zawsze podziwialiśmy.

Siedzieli w wielkim namiocie, na który Luan zwrócił uwagę zaraz po wyładowaniu w mieście. Ogromne wnętrze było wyłożone grubą warstwą futer,

a część jadalnianą wypełniały niskie stoły i siedziska wykonane z kości i skóry. Za przepierzeniami znajdowały się części spełniające funkcje sypialni, pokoju dziennego oraz sali audiencyjnej i innych, których Luan nawet nie próbował zgadywać. Na niewielkim stole między nim a parą młodych ludzi znajdowały się talerze pełne smakowicie pachnącego pieczonego mięsa, miski z czaszek z gęstym gulaszem oraz kościane czarki odurzającego fermentowanego mleka, które Lyucu nazywali kyoffirem.

Zajadając się gulaszem, Luan wspominał moment, w którym ktoś z opiekującej się nim rodziny wyszeptał w jego obecności słowo „Dara”, dopuszczał jednak możliwość, że się przesłyszał – był przecież w malignie. Po głowie krążyło mu zbyt wiele istotnych pytań, żeby zajmować się takimi szczegółami.

Postanowił od razu przejść do sedna.

– Skąd znacie Darę? I jak nauczyliście się naszej mowy?

Książę i księżniczka wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby bezgłośnie się ze sobą komunikowali.

– To długa historia – stwierdził książę i popatrzył na Luana.

– Być może łatwiej będzie nam to pokazać, niż opowiedzieć – dodała księżniczka.



Tym razem w siodle i uprzęży, Luan Zya sunął wzdłuż brzegu na grzbiecie skrzydlatej bestii – zwanej garinafiną – pilotowanej przez siedzącą przed nim Vadyu. Ta garinafina była znacznie mniejsza niż poprzednie, a Luan czuł każdy ruch jej potężnych skrzydeł.

– Rozpoznasz te statki? – zapytała Vadyu.

Luan doskonale wiedział, które statki miała na myśli. W zatoce znajdowało się ponad dwadzieścia ogromnych okrętów, każdy wielkości małego miasta. Stanowiły spuściznę po człowieku, który marzył o połączeniu Wysp Dary podmorskimi tunelami i którego projekty zawsze cechowała skala iście monumentalna, niemal wykraczająca poza pojmowanie śmiertelników.

– Czyli ekspedycja cesarza Mapidérégo dotarła aż tutaj – mruknął Luan.

– Ponad dwadzieścia lat temu! – krzyknęła Vadyu, by usłyszał ją mimo głośnego wiatru. – Jeszcze przed moimi narodzinami.

A potem, kiedy krążyli nad legendarną flotą statków-miast, które teraz służyły za niemych świadków wzniosłych wizji Mapidérégo, Vadyu opowiedziała Luanowi o tym, jak zmienił się jej świat.



Przez dekady, a może i stulecia, mieszkańcy równin prowadzili proste życie nomadów. Hodowali bydło dzięki pomocy skrzydlatych garinafin, które pilnowały stad, zapewniały towarzystwo i stanowiły środek transportu. Życie płynęło spokojnym, jednostajnym rytmem.

Potem, pewnego dnia, jakby ziściła się wizja ze starego mitu o stworzeniu świata – na horyzoncie pojawiła się flota statków wielkich jak pływające miasta.

Przybycie mieszkańców Dary wywróciło życie Lyucu do góry nogami. Goście unaocznili im, jak ubogą wiedli dotychczas egzystencję, nie znając wszystkich przyjemności i wytworności kojarzonych z wysoką cywilizacją: maszyn, sztuki, literatury, manier, prawdziwego piękna.

Zupełnie jakby dotychczas byli ledwie robakami drążącymi glebę, które nie rozumieją, że mogą niczym sokoly wzbić się na wyżyny i spojrzeć z góry na świat większy niż zebrane doświadczenia tysięcy pokoleń robaków.

Przybysze z Dary okazali się doskonałymi nauczycielami, a Lyucu i ich szanowni goście żyli w harmonii przez wiele lat. Właśnie w ten sposób – dzięki cierpliwym i wyrozumiałym nauczycielom – Vadyu i Cudyu poznali mowę ludu z odległej krainy.

Wtedy jednak wydarzyła się tragedia. Wszyscy przybysze zachorowali na nieznaną chorobę i w ciągu kilku dni zmarli co do jednego mimo heroicznych starań ze strony Lyucu, by ich uratować.

– Tutaj widać groby – powiedziała Vadyu, prowadząc garinafinę nisko nad ziemią.

Luan spojrział w dół i zobaczył równe szeregi tysięcy kościanych oznaczeń grobów. Każdy wzgórek miał wielkość małej chatki. Zabrakło mu słów na ten widok. Jakąż grozę musieli przeżyć Lyucu, kiedy ich przyjaciele z za wody odeszli w tak niepojęty sposób.

– Oplakiwaliśmy ich przez lata – rzekła Vadyu. – A ojciec przysiągł, że znajdzie sposób, żeby uszanować ostatnie życzenie przybyszów z Dary: by pochować ich w ojczystej ziemi.

Luan pokiwał głową. Kon Fiji uczył, że dusze zmarłych nie mogą zaznać spokoju, dopóki nie wrócą do miejsca urodzenia. Właśnie dlatego mieszkańcy Dary zawsze są gotowi podjąć niebywały wysiłek, żeby przewieźć zmarłych do miejsca, z którego pochodzili. W trakcie rebelii oraz Wojny Chryzantemy z Mleczem konieczność chowania żołnierzy na obcej ziemi, w masowych grobach, przyniosła ludziom wiele smutku i cierpienia. Równocześnie Luan zauważył coś dziwnego. Groby i ich oznaczniki wydawały się niemal identyczne w kształcie i kolorze, przez co sprawiały wrażenie wykonanych z wyprzedzeniem. Dlaczego cmentarz powstały w wyniku niespodziewanej plagi był taki elegancki, taki... nowy?

– Staramy się uhonorować przybyszów z Dary w każdy możliwy sposób – powiedziała Vadyu. – Admirał Krita, który poprowadził ekspedycję do tych brzegów, wciąż nad nami czuwa, podobnie jak jego żona, zakochana w nim Lyucu. Zgodnie z naszym zwyczajem zakonserwowaliśmy ich głowy, a następnie wystawiliśmy je przed wielkim namiotem w Taten.

Luan mruknął na znak, że rozumie. To tłumaczyło obecność dwóch metalowych hełmów ze z mumifikowanymi szczątkami, które dostrzegł po przybyciu do stolicy. Mimo to wyjaśnienia Vadyu budziły w nim wątpliwości. Te głowy zdawały się raczej służyć za ostrzeżenie, stanowiły symbol ku czci okrucieństwa – lecz może

wina tu były wąskie horyzonty Luana. Lyucu mieli własną kulturę i obyczaje, więc mędrzec skarcił się w duchu za tę próbę wtłoczenia ich czynów w ramy swojego postrzegania świata.



Po powrocie do Taten Luan zamieszkał w namiocie zajmowanym przez księcia i księżniczkę. Wytłumaczyli mu, że ponieważ pochodzi z Dary, mógłby zostać ich nauczycielem, powinien więc jak najczęściej przebywać w ich towarzystwie.

– Oto twoja książka – powiedział Cudyu. Wyciągnął w stronę Luana trzymaną z nabożnym szacunkiem *Gitré Üthu*. – Musisz być niezwykle wykształconym człowiekiem, skoro nosisz ze sobą tak gruby tom.

– Zadbaliśmy o statki-miasta najlepiej, jak potrafiliśmy – rzekła Vadyu. – Szkoda jednak, że nie możemy zaprowadzić zagubionych dusz naszych tragicznie zmarłych gości z powrotem do ich ojczyzny. Niestety brakuje nam wiedzy nawigatorów z Dary.

– Dopóki nasi goście żyli, próbowali wielokrotnie odnaleźć drogę do domu – dodał Cudyu. – Ojciec starał się dać im wszelką pomoc. Jednak żadna z ekspedycji nie osiągnęła celu... a niektóre nigdy nie wróciły, nie licząc fragmentów wraków, które morze wyrzuciło na brzeg.

– Dysponujecie zapisami z ekspedycji Mapidérégo i kolejnych wypraw? – zapytał Luan. Nie potrafił się powstrzymać. Perspektywa rozwiązania takiej zagadki była zbyt kusząca, a jeśliby mu się powiodło, nie tylko ciała członków ekspedycji trafiłyby z powrotem do Dary, lecz także i Luan wróciłby do domu.

Cudyu i Vadyu popatrzyli po sobie raz jeszcze, a Cudyu przeprosił i wyszedł.

– Od przybyszów z Dary dowiedzieliśmy się o istnieniu Ściany Burz, która otacza Wyspy – powiedziała Vadyu. – To prawda?

Luan pokiwał głową.

– Tak. Pokonałem ją wyłącznie dzięki szczęściu.

– Żeby wrócić do domu, musiałbyś przez nią przepłynąć, czy tak?

– Owszem. Wiele o tym myślałem.

– Jeśli czegoś będzie ci trzeba, wystarczy jedno słowo. Przynajmniej tyle jesteśmy w stanie zrobić dla naszych drogich przybyszów w podzięce za to, co oni uczynili dla nas.

Luan znowu kiwnął głową. Czuł się więcej niż przytłoczony tą troską, jaką książę i księżniczka wykazywali wobec mieszkańców dalekich krain. Znacznie lepiej niż wielu filozofów z Dary realizowali założenia filozofii Kona Fijego, który głosił, że należy traktować obcych jak bogów.

Cudyu wrócił z naręczem zwojów, ksiąg i map.

– Oto zapiski z wyprawy, które admirał Krita zostawił w Ukyu, a także plany kolejnych misji badawczych.

– Czy posiadacie jakieś informacje na temat tego, kiedy i gdzie pojawiły się elementy wraków po tych misjach?

– Tak. – Cudyu pokazał Luanowi, gdzie ma ich szukać.

Luan był pod wrażeniem, jak szybko Cudyu zebrał te materiały – zupełnie jakby przygotowali je z wyprzedzeniem i tylko czekali na jego prośbę...

Pokręcił głową. Zachowywał się paranoicznie i podejrzliwie. Był to zły nawyk jeszcze z Dary, gdzie każdej interakcji z przedstawicielami władzy zdawała się towarzyszyć jakaś intryga. Teraz znajdował się w innej krainie i panowały tu inne zasady. Nie zamierzał obrażać księcia i księżniczki, którzy próbowali uszanować przybyszów zza morza i przyjaciół. Oto trafił do świata pełnego cudów, nowych widoków i nowych ścieżek. Po tak długiej samotności na bezkresnym morzu kontakt z drugim człowiekiem był dla niego zbyt słodki, żeby go nie smakować. Wnikliwe i traktujące go z szacunkiem rodzeństwo rozbudziło w nim instynkt nauczycielski – pragnął pobudzenia, jakie dawała rozmowa z młodymi, świeżymi umysłami. Do tego perspektywa odkrycia czegoś nowego była wręcz upajająca, nie potrafił się oprzeć pokusie sprawdzenia swoich sił w rozwiązaniu tej skomplikowanej zagadki.

A jednak nie mógł w pełni zdusić dręczących go wątpliwości. Postanowił zachować ostrożność.



Całe dni spędzał na swoim zadaniu. Garbił się nad długimi tabelami i notował obliczenia na tacy z piaskiem; porównywał mapy z zapisków admirała Kriety z mapami naszkicowanymi przez siebie w *Gitré Ūthu*; studiował obserwacje na temat Ściany Burz admirała i zestawiał je ze swoimi; zestawiał dane dotyczące wiatrów, prądów oraz dokładnego czasu wschodów i zachodów słońca; wypisywał daty i godziny, układał je na różne sposoby, a potem zaznaczał powiązania i notował wnioski; analizował każdy szczegół, który wydawał się ważny lub niezwykły; budował modele i przeprowadzał wywody logiczne.

Cudyu i Vadyu zostawili go samego, lecz dbali o to, by nie brakowało mu jedzenia ani picia. Kiedy wyczuwali, że potrzebuje przerwy, zabierali go na wycieczki krajoznawcze na grzbiecie garinafiny albo skromnie prosili, by podzielił się teoriami i spostrzeżeniami.

Książę i księżniczka okazali się idealnymi uczniami, a Luanowi bardzo podobały się ich wspólne rozmowy. Nauka wymagała nieustannego rozwoju poprzez kontakt z innymi inteligentnymi ludźmi, a Luanowi prowadzone z Cudyu i Vadyu dyskusje przywodziły na myśl czas spędzony z Zomi.

Pewnej nocy Luan odłożył kościany patyczek, którym zapisywał notatki na tacy z piaskiem. Rozwiązał zagadkę powrotu do Dary.

„Wszechświat da się poznać. Wzory da się odkryć i wykorzystać”.

Miał ochotę krzyczeć ze szczęścia, lecz było już późno, Cudyu i Vadyu od dawna spali. Będzie musiał czekać do rana, żeby podzielić się radosną wieścią. Był zbyt podekscytowany, żeby zasnąć, więc postanowił udać się na spacer. Strażnicy przy wejściu do namiotu skinęli mu głową, gdy ich mijał. Był gościem księcia i księżniczki, więc traktowali go teraz z szacunkiem. Okolica tonęła w srebrnym

blasku. Namiotowe miasto wyglądało niczym pałace na księżycu ze starych sag. Luan powoli obszedł wielki namiot, podziwiając jego wykonanie – Lyucu zdawali się kompletnym przeciwieństwem mieszkańców Dary, a jednak również żywili miłość do piękna i mieli potrzebę wykonywania swoich zadań w jak najdoskonalszy sposób. Pewne rzeczy wydawały się uniwersalne. Gdy znalazł się z tyłu wielkiego namiotu, dostrzegł dziwne wybrzuszenie, a w nim drzwi wykonane z kościanej kraty.

Serce zdawała się mu ścisnąć czyjaś lodowata dłoń. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nagle ogarnął go taki lęk.

Zupełnie jakby coś go opętało, podszedł do drzwi i je otworzył. W środku panowała nieprzenikniona ciemność. Zrobił nieśmiały krok do przodu...

... i spadł do długiego, stromego tunelu. Wołał o pomoc, lecz mrok pochłonął jego krzyki.

Upadek pozbawił go tchu, więc Luan leżał przez jakiś czas nieruchomo, żeby odzyskać siły. Znajdował się w podziemnej jaskini, która śmierdziała gnijącym jedzeniem i ludzkimi odchodami. Jedynym źródłem światła i świeżego powietrza był otwór, przez który Luan właśnie wpadł.

Rozdział czterdziesty siódmy

Ekspedycja Mapidérégo

Ziemia obcych: dwa lata wcześniej

Coś czmychnęło w ciemność.

„Szczur? – pomyślał. – A może coś znacznie gorszego?”

Mimo to zachował spokój i zawołał:

– Kto tam?

Mrok zdawał się pochłaniać jego głos. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi prócz kolejnych odgłosów pośpiesznej ucieczki. Wyteżał wzrok i udało mu się dostrzec zarys niewyraźnych kształtów, mniej więcej wielkości człowieka, skulonych pod ścianą po drugiej stronie jaskini. Nie był pewien, lecz przywodziły mu na myśl miniaturowe garinafiny.

Począł, aż jego oczy przyzwyczajają się do ciemności, a kiedy to się stało, potwierdziły się jego domysły: w kącie kulilo się kilka niedojrzałych garinafin, przywiązanych do ściany za szyje za pomocą grubych powrozów.

„Czy one odbywają karę?”

W mroku znajdował się jeszcze jeden kształt – ludzki.

– Trafilem tu przez przypadek – powiedział Luan nieśmiało i zrobił krok do przodu. Żałował, że nie zna języka tubylców. – Nie uczynię ci krzywdy.

– Jesteś z Dary? – zapytał głos. Brzmiał chrapliwie i niepewnie, jakby nieznajomy odwykł od mówienia. Jednak akcent nie przypominał akcentu Cudyu czy Vadyu; przywodził na myśl rodzinne strony. – Przysłał was tu cesarz Mapidéré?

Luan postąpił jeszcze jeden krok. Był tak podekscytowany, że serce mu waliło jak młot. „Czy to możliwe? Czy Cudyu i Vadyu mylili się, mówiąc, że wszyscy zginęli?”

Zdał sobie sprawę, że nieznajomy również jest przywiązany do ściany. Zupełnie zbiło go to z tropu.

– Nie... – Wziął głęboki wdech, starając się zapanować nad niepokojem. – Nazywam się Luan Zya i pochodzę z Haanu. Cesarz Mapidéré przekroczył Rzekę, Po Której Nic Nie Płynie już dawno temu.

– Cesarz nie żyje? – W głosie więźnia dało się słyszeć jednocześnie niedowierzanie i trwożliwy zachwyt.

– Owszem – potwierdził Luan Zya. – Przybyłeś tutaj razem z ekspedycją w poszukiwaniu ziemi nieśmiertelnych? Jak udało ci się przeżyć? Dlaczego się tu znalazłeś? Jak się nazywasz?

– Przybyłem... Odpowiedź na twoje pytania będzie wymagać długiej opowieści. Nazywam się Oga Kidosu i byłem niegdyś rybakiem z Dasu, a później bazarzem *pékyu*, lecz popadłem w niełaskę. Powiedz mi lepiej, jak ty się tu dostałeś.



Tak oto, w wilgotnej i ciemnej jaskini, dwóch bliskich Zomi Kidosu wymieniło się opowieściami.

Luan zdradził Odze smutny los jego synów w czasie wojny z rebeliantami, a potem opowiedział, na jaką niezwykłą kobietę wyrosła jego córka. Opisał hardy wyraz twarzy Aki Kidosu i moc, jaka płynęła z każdego jej prostego słowa oraz zdecydowanego gestu. Wspominał podróże balonem odbywane wraz z Zomi, a potem, najlepiej jak potrafił, powtórzył jej wystąpienie z Egzaminu Pałacowego.

– Nie może być! – zawołał Oga. – Perła Ognia! Cóż za cudowne imię. Doskonale musi do niej pasować. Nawet jako niemowlę była uparta i temperamentna. Moja córeczka uczoną? W randze *cashima*? *Firoa*? Uczona, która odważyła się mówić do cesarza Dary, patrząc mu w oczy?

– Wszystko to i jeszcze więcej.

Ponieważ mieli niewiele czasu, a wiele do powiedzenia, swoją historię musiał skrócić. Kilkukrotnie zapewnił Ogę, że wszystkie szczegóły uzupełni później.

Oga płakał i płakał – z radości po usłyszeniu wieści na temat żony, ze smutku z powodu śmierci synów i z dumy, że jego córka osiągnęła tak wiele.

A potem nadeszła jego kolej, by opowiedzieć historię.

Jak we wszystkich opowieściach z prawdziwego zdarzenia przeplatały się w niej legendy i fakty, zasłyszane historie i wzmianki o czynach dokonanych samodzielnie, wspomnienia realnych sytuacji i wizji, które namalować mogła wyłącznie wyobraźnia.

Opowiedział o sztormie, który dwadzieścia dwa lata wcześniej wyrócił jego łódkę. O tym, jak trzymał się przez kilka dni kawałka wraku, wygłodzony i spragniony, okrążany przez rekiny i dręczony maligną wywołaną przez ostre słońce i nieustanne kołysanie fal. O tym, jak wreszcie wypuścił drewno z rąk, żeby znaleźć ukojenie w śmierci. Jak otworzył usta, by płuca wypełniła mu woda, i jak na skorupie wielkiego żółwia, przyjaciela wszystkich rozbitków, dotarł półprzytomny do statków-miast. Wspominał, jak marynarze wiwatowali, biorąc jego ocalenie za dobry omen, jak przyjęli go do siebie, nakarmili, napoiли, ubrali, a potem dali mu nawet własną pryczę.

– Wszyscy członkowie floty byli podekscytowani i pewni siebie. Uważali, że Lutho, nadzieja tonących, wysłał mnie jako znak przyszłego szczęścia. Mieli spokojne morze i silne wiatry, które niosły ich przez wiele dni w kierunku północnym...

– Zastanowiło mnie to! – przerwał mu Luan Zya. – Nie zauważyłem w dzienniku pokładowym admirała Kriy żadnej wzmianki na temat jakiegokolwiek sztormu i uznałem to za dziwne.

– Bo to było dziwne. Nikt nie przypominał sobie sztormu. Nie potrafiłem tego wyjaśnić.

Luan zamyślił się. Wyglądało na to, że burza, która rzekomo zniszczyła całą

flotę, była tylko sztuczką bogów, zapewne Tazu.

– Płynęliśmy prosto na północ, a wiatr był tak silny, że dosłownie frunęliśmy. Nie napotkaliśmy żadnych trudności, dopóki nie dotarliśmy do Ściany Burz...

Luan zdrzął, kiedy przypomniał sobie własne spotkanie z tym budzącym zachwyty i trwogę zjawiskiem.

– Byliśmy pewni, że to nasz koniec. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby się wycofać. Wszyscy, od kucharzy, służących i szwaczek przez marynarzy i żołnierzy aż po samego admirała Krite, dopadli do wiosł, a statki-miasta wyginały się i drżały, walcząc z morzem. Mimo to niczego nie udało nam się zdziałać. Wiatr był nieustępliwy, a flota nieubłaganie płynęła w stronę pewnej śmierci. Wielu z nas w akcie desperacji skoczyło w toń,wołając spróbować dopłynąć wpław do Wysp Dary, zamiast skończyć w paszczy Ściany Burz. Nawet sam książę, syn cesarza Mapidérégo, tak się przeraził sztormu, że skoczył do morza i nikt go więcej nie widział. Wreszcie wyczerpaliśmy wszystkie siły i czekaliśmy już tylko, aż burze dotrą do nas i zabiorą do podwodnego pałacu Tazu. Jednak jakimś cudem, kiedy coraz bardziej zbliżaliśmy się do Ściany, cyklony i tornada zaczęły się rozchodzić i utworzyła się między nimi szczelina. Flota przepłynęła przez nią jak karawana przez dolinę między dwiema ogromnymi falami! Zdaniem admirała Krite był to znak, że nawet siły natury muszą stosować się do edyktów cesarza Mapidérégo...



Po pokonaniu Ściany Burz, opowiadał Oga, flota natrafiła na silny prąd.

W przeciwieństwie do maleńkiej tratwy Luana statki-miasta pod dowództwem admirała Krite mogły po długich wysiłkach przeciwstawić się sile prądu. Żagle ustawiono pod pomocny wiatr, a wszyscy jak jeden mąż zasiedli do wiosł. Flota zgodnie z planem popłynęła na północ.

Jednak po wielu dniach podróży po bezkresnym morzu spadła temperatura, a na wodzie zaczęły się pojawiać góry lodowe. Nic o nich nie wspominały stare źródła, w których Krita i Métu szukali wzmianek o Ziemi Nieśmiertelnych, a poza tym wyglądało na to, że jeśli statki-miasta będą w dalszym ciągu płynąć na północ, w końcu utkną w lodzie.

Krita doszedł do odważnego wniosku, że być może stare księgi się myliły, a flota powinna podążać z napotkanym wcześniej silnym prądem. Statki-miasta zawróciły, a kiedy znowu znalazły prąd, już mu się nie opierały.

Ostatecznie pociągnął ich szerokim łukiem – na zachód, południe, wschód i na koniec znowu na północ – a następnie zwolnił. Wtedy Krita postanowił go opuścić.

Podczas gdy Luan w analogicznej sytuacji skierował się na wschód, admirał Krita wybrał zachód, w nadziei na powrót do Dary. Ostatecznie jednak flota raz jeszcze natrafiła na Ścianę Burz – jak podejrzewali nawigatorzy, w pewnej odległości od Wilczej Łapy. Wyglądało na to, że Ściana Burz otacza całą Darę.

Krita nakazał flocie obranie kierunku wschodniego. Znowu natrafili na prąd. W końcu, podobnie jak Luan, dobili do nieznanego brzegu.

Znaleźli się na wyspie wielokrotnie większej niż Wielka Wyspa, jak wyjaśnił Oga. Być może tak właśnie wyglądał legendarny zatopiony kontynent, o którym pisali Ano. Wybrzeże ciągnęło się daleko na północ, aż do łądu wiecznego lodu, a także na południe, gdzie przeobrażało się w nieprzebytą pustynię. Na wschód można by jechać i jechać, aż do łańcucha wysokich gór, które przebijały chmury i których szczyty stale pokrywał śnieg. Na płaskim i suchym terenie porośniętym głównie krzewami, jaki zajmował większą część pozostałego łądu, mieszkwały plemiona hodujące bydło o długiej sierści.

Chociaż opowieść o życiu i historii tubylców była z konieczności skrócona i ogólnikowa, Luanowi w późniejszym czasie udało się uzupełnić ją o szczegóły.

Przez eony plemiona wędrowały po tym kontynencie, dopasowując swoje zwyczaje do aktywności rzek, które zamarzały zimą i topniały wiosną, zmieniając swój bieg. Kiedy bydło ogołacało dany obszar z trawy, ludzie przenosili się gdzieś indziej, by dać ziemi czas na regenerację.

Plemiona były niezbyt liczebne, a ich członkowie zawsze znajdowali się na granicy przetrwania. Życie ich oraz ich bydła zależało od równowagi między suszami a powodzią. Oprócz tego nawet w dobrych okresach na równinach grasowało wiele drapieżników: atakujące stadami wilki, czające się przy wodopojach tygrysy z wielkimi kłami, a także ogromne nietoty z dziobami niczym miecze, które mogły jednym dobrze wymierzonym uderzeniem zabić cielę.

Z czasem niektóre plemiona nauczyły się oswajać garinafiny, ogromne skrzydlate bestie z tułowiem w kształcie beczki, długą szyją, rogami i ptasimi nogami o wielkich szponach. Zwierzęta te potrafiły przez krótki czas latać, a także zionąć ogniem, kiedy zaś dosiadali ich wojownicy, mogły chronić stada przed drapieżnikami i szukać znajdujących się dalej pastwisk i wodopojów. Ludzie stali się zależni od garinafin, zaś one od ludzi.

Ponieważ na równinach brakowało wysokich drzew, do budowy schronów i wytwarzania wszelkich narzędzi, odzieży i broni używano kości oraz skór garinafin i bydła. Ci mieszkający blisko brzegu czasami ruszali na morze w korakłach – płytkich, pozbawionych kila okrągłych łodziach wykonanych z plecionej trawy albo zwierzęcej skóry. Jednak zdecydowana większość plemion prowadziła życie nomadów na grzbietach garinafin.

Skrzydlate bestie miały ognisty temperament i wymagały wielu lat tresury oraz zacieśniania więzi z jeźdźcami. A ponieważ jeździectwo i hodowla bydła stanowiły umiejętności niezbędne każdemu żyjącemu na tych terenach, garinafin dosiadali zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Życie na równinach zawsze było brutalne i trudne. Liczba bydła i ludzi, którzy mogli wyżywić się na tutejszej roślinności, była mocno ograniczona, co prowadziło do ogromnej rywalizacji o świeże pastwiska. Od niepamiętnych czasów co chwilę wybuchały wojenki między plemionami, a stałym elementem życia był zaklęty krąg krzywdy i zemsty. Obecność garinafin przeobraziła naturę tych konfliktów. Skrzydlate bestie dawały plemieniu możliwość znacznego poszerzenia zasięgu władzy o nowe terytoria. Mleko garinafin było niezwykle odżywcze i sycące,

a wojownicy mogli przez wiele dni żywić się wyłącznie nim, prowadząc walkę daleko od domu. Plemię posiadające więcej garinafin miało zwycięstwo praktycznie zapewnione.

Dlatego też niewielkie lokalne potyczki z czasem urosły do szeroko zakrojonych wojen, zaś początkowe napady przeprowadzone przez kilkudziesięciu wojowników przeobraziły się w wielkie bitwy na tysiące ludzi, gdzie armie przeciwników spotykały się na równinach, a nad ich głowami kotłowały się setki garinafin.

Z czasem rozrzucone na rozległym obszarze plemiona zjednoczyły się pod władzą dwóch wielkich wodzów, zwanych *pékyu*. Te na północy zwały się Lyucu, a ich ziemie Ukyu. Te na południu wybrały miano Agonów, zaś swoją ziemię nazywały Gondé.

Przez wieki panowała równowaga sił między dwoma ludami, zakłócana okazjonalnymi, lecz krwawymi konfliktami przygranicznymi. W ostatnich dekadach przed przybyciem ekspedycji z Dary Agoni zyskali dominację dzięki posiadaniu większej liczby garinafin. Po serii masakr, w których zginęły dziesiątki tysięcy Lyucu, wodzowie zbuntowali się przeciwko swojemu królowi, *pékyu*, Toluroru, i zmusili go do uznania zwierzchnictwa Agonów. Aby udowodnić swoje oddanie, wodzowie i sam Toluroru postanowili oddać jako zakładnika dziesięcioletniego księcia Lyucu, Tenryo Roatana.

– Agoni pożałowali tej decyzji – powiedział Oga. – Gdyby chłopca nie wychowano jako zakładnika, i my nie rozmawialibyśmy dzisiaj w tym podziemnym więzieniu.

Rozdział czterdziesty ósmy Lyucu i Agon

Ukyu i Gondé, ziemia Lyucu i Agonów: wiele lat wcześniej

Tenryo urodził się jako syn jednej z najmłodszych żon *pékyu* Toluroru, córki thana, która była bardziej znana ze swoich umiejętności rzeźbienia w garinafiniej kości niż dosiadania skrzydlatych bestii. Ponieważ matka młodego księcia nie cieszyła się powodzeniem wśród wojowników plemienia, chłopiec nigdy nie należał do ulubieńców ojca. Było więc zupełnie zrozumiałe, że kiedy *pékyu* Toluroru Roatan poddał się *pékyu* Nobo Aragozowi z Gondé, właśnie to spośród swoich dzieci wybrał na zakładnika i wysłał do Agonów na znak poddaństwa Lyucu. Chłopiec był dobrze traktowany przez swoich gospodarzy i porywaczy. Wychowywany razem z dziećmi *pékyu* Nobo, tak samo jak oni uczył się zapasów, walki pałką bojową, ujeżdżania byków i kierowania garinafiną. Liczono na to, że żyjąc pośród Agonów zacznie ich uważać za swoją drugą rodzinę; później, kiedy osiągnie dojrzałość i powróci do Lyucu – zastąpi go w Gondé przez młodszego brata lub siostrę – stanie się orędownikiem Agonów pośród thanów *pékyu* Toluroru, czym przyczyni się do utrzymania pokoju. Nobo nawet zastanawiał się nad oddaniem mu ręki jednej ze swoich córek, żeby dodatkowo scementować te więzi.

Żądania Agonów wobec podbitego plemienia były wysokie. Lyucu musieli oddać najlepsze pastwiska i płacić coroczny trybut w formie bydła, niewolników, a także skór i kości garinafin. Gniew ludzi rósł, gdyż thanowie *pékyu* Toluroru nie mieli litości, narzucając im te warunki.

A jednak lata mijały, a okupiony krwią pokój trwał. Lyucu cierpieli w milczeniu i nie próbowali się mścić. Thanowie *pékyu* Nobo gratulowali swojemu królowi, że zdołał złamać wolę upartych barbarzyńców.

Jednak w roku, w którym Tenryo skończył szesnaście lat, Toluroru Roatan się zbuntował. Już od kilku lat w sekrecie przechwytywał niewielki procent trybutu, jaki miał płacić Agonom, dzięki czemu teraz zdołał powołać potężną armię: u podnóży gór daleko na wschodzie, poza zasięgiem wzroku szpiegów, zgromadził trzysta garinafin oraz tysiące jeźdźców. Niespodziewany atak na pasterzy zajmujących tereny tradycyjnie należące do Lyucu zakończyły się sukcesem dzięki temu, że niewolnicy Lyucu – z których część wzięła sobie za małżonków Agonów – zbuntowali się przeciwko swoim panom i dołączyli do rebelii. Nastąpiła krwawa rzeź. Kobiety i mężczyźni rozbijali głowy śpiącym małżonkom z wrogiego plemienia i dusili własne dzieci, a ich gniew wobec wroga był gorący jak oddech garinafiny.

– W obecności Cudyufin i Nalyufin uroczystie przysięgam – oznajmił *pékyu* Toluroru, wymawiając imiona bogiń parzącego słońca i lodowatego księżyca – że krwią zmyję z tej ziemi smród Agonów. Każdy uwolniony Lyucu, który odmówił zamordowania swoich półogonskich dzieci, został uznany za zdrajcę i publicznie

stracony.

Więści o rebelii dotarły do *pékyu* Nobo, a Tenryyo, młody zakładnik, został zabrany przed oblicze króla.

– Twoje życie najwyraźniej nie jest zbyt cenne dla twojego ojca – powiedział starzec.

Tenryyo ugryził się w język. Nobo właśnie stwierdził oczywistość – oto jego ojciec uznał, że może go poświęcić. Jako zakładnik zawsze musiał zdawać sobie sprawę z takiego ryzyka.

– Traktowałem cię jak syna – rzekł Nobo, a jego oczy zmatowiały pod wpływem szczerego smutku. Westchnął. – Musisz jednak zapłacić za czyny swojego ojca, tak samo jak Aluro, pani tysiąca strumieni, zamarza zimą, żeby odpokutować błędy Wszechojca. Ze względu na wspólnie spędzony czas nie pozwolę na to, by twój honor został splamiony. Twoja krew nie zostanie przelana na oczach Cudyufin, studni światła dnia.

Miał na myśli tyle, że Tenryyo zostanie związany i owinięty skórą garinafyny, a następnie położony na otwartej przestrzeni, gdzie przebiegnie po nim stado bydła, traktując go na śmierć. Ponieważ jego krew nigdy nie wypłynie na światło dzienne, bogini Cudyufin nie zobaczy, że zginął bez walki. Uważano to za najbardziej litościwą formę egzekucji, zarówno pośród Lyucu, jak i Agonów – honorową śmierć dla tych, którzy nie mieli szczęścia umrzeć na wojnie.

– Panie, proszę jedynie, byś pozwolił wykonać rozkaz mojemu bratu Diamanowi – powiedział Tenryyo. Diaman był jednym z synów Nobo, a z Tenryyo lubili się tak bardzo, że nazywali się braćmi.

– Oczywiście – odparł *pékyu* Nobo. Cieszyło go, że książę wykazał się szlachetnym charakterem i nie postanowił błagać o darowanie życia, lecz przyjął decyzję z godnością. Prośba o wysłanie Diamana dodatkowo rozczuliła króla. Odebranie komuś życia było zaszczytem, nawet bez przelewania krwi. Chociaż Diaman był odważnym i zażartym wojownikiem, nie miał jeszcze szansy, żeby sprawdzić się na polu bitwy ze względu na trwający od lat pokój. Tenryyo, ofiarowując swoje życie, by dać Diamanowi szansę na zasmakowanie zabójstwa, zdobywał się na bezinteresowny akt braterskiej miłości.

– Nie brakuje ci cnoty prawdziwego księcia – powiedział Nobo. – Liluroto, Wszechojciec, przygotuje dla ciebie specjalne miejsce u swego boku w życiu pośmiertnym. Jakże żałuję, że nie jesteś moim prawdziwym synem i że musiało do tego dojść.

Tenryyo kiwnął głową i nie powiedział już nic więcej.



W dniu egzekucji Diaman eskortował przybranego brata na równinę w pewnym oddaleniu od obozu. Było to miejsce szczególnie ważne dla Agonów, ponieważ to tam wiele lat wcześniej Nobo Aragoz, jeszcze młody, po raz pierwszy przysięgał, że zmusi Lyucu do poddaństwa i zjednoczy wszystkie plemiona na

równinach, aby przynieść kres niekończącemu się rozlewowi krwi.

Dwóch młodych mężczyzn – właściwie wciąż chłopców – patrzyło na zamieszanie w oddali, każdy pogrążony w myślach. Wojownicy *pékyu* Nobo szykowali się właśnie do wymarszu przeciwko zuchwałemu Toluroru i jego zbuntowanemu ludowi. Tysiące Agonów przygotowywały się do wojny: rozmontowywały obóz, pakowały kościane tyczki i skórzane płachty namiotów, ładowały gotowe pakunki na grzbiety długowłosego bydła i garinafin, ostrzyły kamienie w pałkach bojowych i modliły się do Wszechojca i Diasy, jasnookiej wojowniczką, o chwałę na polu bitwy.

– Jest mi naprawdę przykro, że do tego doszło – wyszeptał Diaman. Pamiętał czasy, kiedy razem z Tenryo ćwiczyli zapasy, pomagali sobie nawzajem w dosiadanu garinafin, wspólnie rozrabiali na przekór poleceniom *pékyu* Nobo... Niemal zapomniał, że Tenryo był synem wroga jego ojca, zakładnikiem. Przywiązał się do niego i miał za to zapłacić.

– Nie bądź głupcem – odparł Tenryo. Uśmiechnął się. – Gdyby nasze role się odwróciły, wcale nie byłoby mi przykro. Czy jest lepszy dar niż możliwość oddania swojego życia komuś, kogo się tak bardzo podziwia? Pewnego dnia będziesz lepszym przywódcą, mój bracie.

Diaman pomyślał, że Tenryo jest wyjątkowo odważny. Nawet w takiej sytuacji próbował sprawić, by jego przyjaciel poczuł się lepiej.

– Przygotujcie całun – rozkazał Diaman.

Zbliżyło się do niego kilku wojowników, niosąc kawałek cienkiej, błonistej skóry wyciętej ze skrzydła garinafiny oraz długi sznur ze ścięgna, którym zamierzali skrzepować ręce i nogi Tenryo.

– Wyświadczysz mi ostatnią przysługę? – zapytał Tenryo.

– Dla ciebie wszystko, bracie.

– Kiedy byłem młodszy i nie mogłem zasnąć, musiałem przytulać kocyk z miękkiej bydlęcej skóry. Mógłbyś owinąć mnie nim zamiast tym całunem? Obawiam się, że... Mógłbym narobić sobie wstydu w ostatniej chwili, jeśli nie znalazłbym jakiegoś sposobu, żeby się uspokoić.

– Oczywiście – odparł Diaman i wysłał strażników, żeby wymienili skórę garinafiny na koc ze skóry bydlęcej.

– A pamiętasz parę rogów, które dostaliśmy w dzieciństwie i które służyły nam za broń?

Diaman się roześmiał. Kiedy Tenryo zamieszkał z nim i resztą dzieci Nobo, bawili się parą rogów rocznych cieląt, używając ich jak pałek bojowych. To w czasie tych pierwszych dzieciennych walk stali się przyjaciółmi.

– Chciałbym mieć je przy sobie jako pamiątkę po spędzonym wspólnie czasie.

Diaman pokiwał głową i szybko zamrugnął, by przegonić łzy. Rozkazał strażnikom, by przynieśli te pamiątki z dzieciństwa z jego namiotu i podali je jego przyjacielowi.

– Muszę cię związać osobiście – powiedział Diaman.

Właśnie dzięki temu śmierć Tenryo miała zostać policzona jako zadana przez

Diamana, a sam akt – stać się symbolem jego przejścia z dzieciństwa w dorosłość.

Tenryo bez słowa wyciągnął ręce, a Diaman zauważył, że nawet nie zadrżały. Związał nadgarstki i kostki przyjaciela luźno, nie chcąc używać zbyt wielkiej siły, by nie przeciąć mu skóry i nie zrujnować w ten sposób jego ofiary – krew Tenryo nie mogła ujrzeć światła dziennego. Diaman zauważył, jak usta kompana układają się w słowa podziękowania.

– Żegnaj, bracie – powiedział.

– Żegnaj, bracie – odparł Tenryo.

A potem strażnicy owinęli go bydlęcą skórą, położyli sobie na ramionach i zanieśli na środek łąki. Przyprawiono stado bydła i ustawiono przodem do samotnego całunu pośród trawy.

Diaman gwizdnięciem wezwał swojego wierzchowca, młodą i silną garinafinę o imieniu Kidia, która od ziemi do szyi miała jedynie pięć metrów wysokości. Tak młode garinafiny były idealne do szkolenia i misji zwiadowczych, a także patrolowania obozu, zaś walkę na wojnie pozostawiano dorosłym osobnikom. Garinafina złożyła skrzydła i uklękała, a księżę wspiał się na jej grzbiet. Następnie poczekał, aż strażnicy odbiegną od całunu. Wziął głęboki wdech.

„Czyli tak się czuje ktoś, kto odbiera życie”.

Ścisnął kolanami podstawę szyi Kidii i młode zwierzę wzniosło się w powietrze, szybko poruszając skrzydłami. Nakazał jej osiągnąć wysokość około trzydziestu metrów, odwrócić się i zanurkować w kierunku stada.

Zgodnie z planem bydlę spłoszyło się i pobiegło w stronę leżącego nieopodal całunu, tłukąc kopytami o ziemię. Diaman lekko stuknął kościaną tubą głosową szyję garinafiny, mówiąc jej, by powoli wylądowała. Ponieważ zwierzę miało ograniczoną siłę, nie było sensu marnować bezcelowo jej energii.

W ciągu minuty stado dotarło do miejsca, w którym leżał związany Tenryo. Diaman spojrział na nieruchomy całun, a jego serce wypełnił żal... ale też, czemu nie mógł zaprzeczyć, swego rodzaju ekscytacja. Oto dokonało się.

Teraz powinien podejść do całunu i zdjąć go z ciała, żeby się upewnić, że przyjaciel nie żyje. Nie chciał oglądać zmiażdżonych kości, zmasakrowanego ciała, roztrzaskanej czaszki. Jednak musiał to zrobić. Jeśli nie dopełniłby rytuału, pokorna zgoda na śmierć, na jaką zdobył się Tenryo, przestałaby mieć znaczenie.

Nakazał Kidii zbliżyć się do całunu. Jeden niepewny krok. Potem następny. Poklepał garinafinę w szyję, żeby uklękała i pozwoliła mu zejść na ziemię. Stał teraz obok nieruchomego całunu. Wyciągnął toporek noszony na plecach – gdyby okazało się, że Tenryo przetrwał traktowanie, zakończyłby jego życie śmiertelnym ciosem, tym samym pozbawiając go honorowej śmierci. Chociaż było to mało prawdopodobne, jego dłonie drżały.

Cielące rogi w jakiś dziwny sposób zostały przyczepione do zewnętrznej strony całunu okalającego ciało Tenryo, przez co całość wyglądała jak młode zwierzę drzemiące w trawie.

Diaman przygotował się do nieprzyjemnego obowiązku. Był sam, strażnicy pozostali setki metrów dalej. To było jego zadanie: miał spojrzeć w twarz człowieka,

który zginął z powodu jego czynów, i tym samym dopełnić rytuału przejścia, niezwykle ważnego dla każdego wojownika, a w szczególności syna wielkiego *pékyu*. Wziął głęboki wdech, pochylił się i wyciągnął rękę w stronę bydlęcej skóry.

Jednak zanim jego palce sięgnęły całunu, ten zaczął się poruszać samoistnie. Diaman był tak zaskoczony, że aż się zachwiał.

Tenryo wydostał się na zewnątrz; jego dłonie i stopy były wolne, a ciało nie nosiło żadnych obrażeń.

– Jak... – Pytanie Diamana pozostało niedokończone, ponieważ Tenryo wbił mu w gardło cienki i długi sztylet z zaostrzonej kości usznej garinafiny.

Diaman upadł, a zanim zdumieni strażnicy zdążyli zareagować, młody Lyucu złapał toporek, wspiał się na grzbiet garinafiny Diamana i przypiął się do siodła. Toporek, ceniona pamiątka, którą przekazywano sobie w rodzinie Aragozów z pokolenia na pokolenie, miał trzonek wykonany z żebra garinafiny dosiadanej przez Togo Aragoza, pierwszego *pékyu* tego ludu, zaś ostrze – ze szpona tego samego zwierzęcia. Kościany trzonek, wypolerowany przez szorstkie dłonie wielu wojowników rodu Aragozów, był gładki jak kamyki znalezione na dnie strumienia i błyszczał śnieżną bielą, zaś samo ostrze roztrzaskało czaszki i wbiło się w ciała niezliczonej ilości kobiet i mężczyzn. Toporek zwano Langiaboto, czyli w języku plemion zamieszkujących równiny „poleganie na sobie”, a dzierżyli go zawsze następcy Domu Aragozów.

Tenryo kopnął Kidię w szyję, a bestia mruknęła niezadowolona i wzbiła się w powietrze, nierówno trzepocząc skrzydłami. Chłopak wbił kościany sztylet w cienką skórę u podstawy szyi garinafiny i za pomocą tej prowizorycznej tuby głosowej przekazał jej polecenie. Bestia kilka razy zatoczyła koło nad ciałem dawnego pana. Drżąc i sycząc, najwyraźniej podjęła jakąś decyzję. Pofrunęła jeszcze wyżej i skierowała się na północ.

Strażnicy przypadli do ciała księcia, próbując pojąć, co się właściwie stało.



Tenryo Roatan leciał na grzbiecie swojego nowego wierzchowca na północ, do ojczyzny Lyucu. Nie była to łatwa podróż. Kidia, jako młoda garinafina, miała jeszcze mniejszą wytrzymałość niż dorosłe osobniki. Gdy tylko się męczyła, Tenryo musiał znajdować dla niej wyschnięte koryto rzeki albo wystający klif, pod którym mogłaby się schować przed pościgiem. Chłopak postanowił latać nocą i spać za dnia, zaś zawsze o świcie i zmierzchu ostrożnie wymykał się na równiny, po paszę dla Kidii.

Jego plan, chociaż wymyślony w akcie desperacji, zadziałał. Tenryo liczył na to, że przyjaciel, współczując mu losu, zwiąże go wystarczająco luźno, by zdołał się uwolnić. Zaryzykował też z udawaniem śpiącego cielęcia: wykorzystał skórę i rogi, aby uniknąć stratowania przez stado bydła. Przede wszystkim jednak zmanipulował *pékyu* Nobo, tak by ten do wykonania egzekucji wyznaczył właśnie Diamana, a to ze względu na jego wierzchowca, Kidię.

Garinafiny były stworzeniami bardzo towarzyskimi i inteligentnymi, które tworzyły grupy rodzinne, podobnie jak słonie z Dary. Właściwie nigdy nie zostały do końca udomowione. Niektórzy piloci zżywali się ze swoimi wierzchowcami, lecz te naprawdę oswojone nie nadawały się do tworzenia ogromnych latających armii, gdzie piloci i jeźdźcy umierali licznie, a wierzchowce musiały natychmiast przejść w ręce innych ludzi. *Pékyu* Nobo Aragoz, który zjednoczył tysiąc plemion, zdołał zwyciężyć Lyucu poprzez wyhodowanie znacznie większej liczby garinafin, niż wydawało się to możliwe. Osiągnął to, opracowując nowy model relacji między pilotami i skrzydlatymi bestiami. Zamiast pozwalać każdemu z pilotów na osobisty związek z wierzchowcem, pielęgnowany od urodzenia zwierzęcia, uczynił z garinafin niewolników na służbie jeźdźców. Aby zapewnić posłuszeństwo bestii wobec dowolnego pilota, do walki wysyłano dorosłe osobniki u szczytu ich możliwości, podczas gdy ich dzieci i podstarzałych już rodziców więziono w domu i grożono, że zostaną skrzywdzeni.

– Tak jak te młode garinafiny, które towarzyszą nam w tym podziemnym więzieniu – powiedział Luan Zya. Spojrzał na wystraszone zwierzęta, które przywiązano do ścian. Sprawiały wrażenie osłabionych i zupełnie biernych. Celowo utrzymywano je w tak oplakanym stanie.

Oga Kidosu pokiwał głową.

– Właśnie tak. Zazwyczaj wybierali najmniejsze i najmłodsze, najsłabsze w miocie, i trzymali je w celach takich jak ta. Skonstruowano ją tak, że wystarczy jedno słowo *pékyu*, żeby całość się zapadła, a młode zostały pogrzebane żywcem. Takie cele znajdują się w całym Taten, dzięki nim Lyucu zapewniają sobie posłuszeństwo garinafin.

Serce zakłóło Luana, gdy to usłyszał.

– Potworność.

– Tenryo Roatan sam był zakładnikiem, więc doskonale rozumiał mechanizm rządzący zachowaniem zniewolonych garinafin.

– Tak doskonale, że postanowił wykorzystać ten pomysł u siebie.

– Kontrolowanie garinafin jest teraz podstawą funkcjonowania obu kultur.

– Jak zatem Tenryo zdołał przekonać Kidię, by stała mu się posłuszna?

Co niezwykle pośród garinafin w armii *pékyu* Nobo Kidia była sierotą. Jej dziadkowie, rodzice i starsze rodzeństwo zginęli w bitwie, a Kidia była zbyt młoda

na rozród. Dorosłe garinafiny w jej sytuacji uznawano za niegodne zaufania i zazwyczaj zabijano dla mięsa, skór i kości. Jednak Diaman polubił Kidię, kiedy była jeszcze małością, i wyblagał dla niej ulaskawienie. Jako uwięziona zakładniczka będąca gwarantem posłuszeństwa rodziców, Kidia wykazywała się wyjątkową uległością, dlatego *pékyu* Nobo, w chwili słabości, przystał na prośbę syna i darował garinafinie życie.

Tenryo nauczył się pilotować Kidię razem z Diamanem i zawsze uważał ją za spokojną. Pewnego dnia jednak, kiedy nikogo nie było w pobliżu, zobaczył, jak Kidia kradnie i niszczy ulubioną rogową procę Diamana, a następnie dyskretnie podrzuca ją do namiotu jednego ze stajennych, którego zadaniem była opieka nad garinafinami młodego księcia. Kiedy księżę nie mógł znaleźć procy, *pékyu* Nobo publicznie go skarcił, więc gdy upokorzony Diaman w końcu natknął się na zniszczoną procę w namiocie stajennego, kazał mężczyznę wysmagać batem niemal na śmierć.

Zdziwiony tym rozwojem wydarzeń Tenryo przeprowadził dyskretnie śledztwo i odkrył, że stajenny niegdyś zajmował się więzionymi garinafinami i miał reputację sadysty. Kidia okazała się jedną z jego podopiecznych.

Tenryo zrozumiał wtedy, że ta pozornie uległa istota jest w rzeczywistości jego pokrewną duszą – oboje pod maską służalczości kryli myśli o zimnej zemście i gorące ambicje. Zabrał zniszczoną procę i zakradł się nocą do Kidii, by na oczach zdziwionego zwierzęcia odtworzyć jego postępek. Garinafina zmrużyła oczy i naprężyła szyję, ale Tenryo nie wycofał się i nie odwrócił wzroku.

– Jesteśmy sprzymierzeńcami – wyszeptał, licząc wbrew logice, że nadzwyczaj inteligentna garinafina zrozumie. Potem połamał procę na jeszcze mniejsze kawałki i zakopał je w stercie odchodów.

Obok znajdował się namiot należący do mężczyzny, którego Diaman kazał wychłostać. W ramach kary przydzielono mu zadanie sprzątnięcia łajna, jednak zdążył już zasnąć, znalazłszy ukojenie w *kyoffirze*.

W bladym blasku księżyca Kidia i Tenryo spojrzeli na siebie i Tenryo wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kidia prychnęła i wróciła do snu, podczas gdy chłopak czmychnął cicho jak lis chowający się z powrotem do nory.

Następnego dnia, dzień po odkryciu kawałków procy w kupie łajna, nieszczęsny stajenny został stracony przez spalenie ogniem garinafiny za akt małostkowej zemsty i upokorzenie księcia.

Po tych wydarzeniach między Kidią i Tenryo nawiązało się ciche porozumienie – po prostu czekali na odpowiednią okazję.

Kiedy Tenryo wskoczył na grzbiet młodej garinafiny po zamordowaniu przyjaciela, ta rozumiała, że nadszedł moment, by spłacić dług. Krążyła nad ciałem Diamana, a Tenryo szeptał jej przez prowizoryczną tubę o tym, jak pewnego dnia chciałby wymierzyć sprawiedliwość ludziom, którzy zniewolili Kidię i jej rodzinę. Wiedział, że garinafina, chociaż bardzo mądra, nie rozumie jego słów, jednak pewność pobrzmiwająca w jego głosie wystarczyła, by Kidia postanowiła do niego dołączyć.



Gdy garinafina wylądowała w obozie Lyucu z Tenryo na grzbiecie, najbardziej zdziwiony na jego widok był sam *pékyu* Toluroru Roatan. Przebiegły przywódca rebeliantów nie spodziewał się po synu odwagi i umiejętności niezbędnych do przetrwania w niewoli przeciwnika i był przygotowany poświęcić jego życie. Tymczasem wieść o śmiałej ucieczce Tenryo wkrótce rozprzestrzeniła się niczym ogień na suchej równinie i Toluroru nie miał wyjścia – musiał nadać Tenryo tytuł thana i oddać mu pod dowództwo własny oddział.

Niespodziewany bunt Toluroru okazał się sukcesem i niedługo Lyucu odzyskali większość swoich dawnych ziem. Jednak wojna jest drogim przedsięwzięciem i nie można bez końca prowadzić jej na równinach, gdzie ostre śnieżyce i nieprzewidywalne letnie susze priorytetem czyniły przetrwanie i zmuszały mieszkańców do nieustannego poszukiwania nowych pastwisk. Dwie nacje, z których żadna nie potrafiła pokonać drugiej, ostatecznie zgodziły się raz jeszcze egzystować w pokoju.

Tenryo wydawał się ukontentowany swoją nową pozycją szanowanego, chociaż wciąż nie ulubionego dziecka *pékyu* Toluroru. Było oczywiste, że nie zostanie jego następcą – ten zaszczyt był zarezerwowany dla jednego z jego braci i sióstr, którzy dorastali przy *pékyu* i przez to cieszyli się jego miłością i zaufaniem. Jednak aż do śmierci Toluroru i nieuniknionej zmiany na tronie jego pozycja wydawała się bezpieczna. Spodziewano się po nim, że dożyje swoich dni jako jeden z wielu książąt – prowadząc po równinach plemiona i stada, szukając lepszych pastwisk i korzystając z nadanych mu przywilejów.

Jednak Tenryo nie próżnował. Całą swoją energię poświęcał szkoleniu wojowników, którzy trafili pod jego dowództwo, w nowej sztuce prowadzenia działań wojennych. Ani Agoni, ani Lyucu nie mieli zawodowej armii. Większość członków plemion w czasach pokoju zajmowała się pasterstwem, a po pałki bojowe i toporki sięgala dopiero po wybuchu konfliktu. Tenryo porzucił tradycję – z każdej podległej mu rodziny zabrał syna i córkę, by kształcić ich w sztuce wojennej.

Aby utrzymać stałą armię, podniósł swym poddanym roczny trybut i przeprowadzał najazdy na plemiona agońskie – a czasami nawet Lyucu – zdobywając w ten sposób bydło i niewolników. Zawsze robił to z dala od swoich terytoriów, a także nakazywał swym ludziom przywdziewać dla niepoznaki stroje typowe dla Agonów.

Tradycyjna taktyka wojenna na równinach bazowała na odwadze pojedynczych wojowników, zaś rola dowódców była niewielka. Tenryo tymczasem nauczył swoich ludzi koordynacji i posłuszeństwa. Opracował nowe techniki walki i nakłaniał poddanych, by doskonalili się w nich poprzez ćwiczenia. Dotychczas każda garinafina walczyła zgodnie z poleceniami swojego pilota, który działał z własnej inicjatywy – Tenryo kazał jeźdźcom prowadzić wierzchowce w formacji, tak by ochraniali się nawzajem, a także oszczędzali ognisty oddech. Garinafiny miały

go używać w sposób skoordynowany, dla osiągnięcia maksymalnego efektu.

Oprócz tego ujednotwił zespoły dosiadające jednej garinafiny. Zamiast przypadkowej zbieraniny wojowników pochodzących zazwyczaj z jednej rodziny, którzy walczyli tym, co akurat mieli pod ręką, na każdej skrzydlatej bestii latało teraz od sześciu do dwudziestu czterech jeźdźców. Oprócz pilota w skład takiej grupy miały wchodzić czujki, odpowiedzialne za wypatrywanie wszelkich zagrożeń, tarczowi, mający za zadanie ochronę pilota, a także wojownicy z procami i pałkami bojowymi, którzy mieli skupić się na atakowaniu pilotów garinafin przeciwnika na odległość albo po przeskoczeniu na grzbiet bestii nieprzyjaciela. Ponadto Tenryo zaopatrzył wszystkie garinafiny w takie same sieci oplatające ich ciała, a także siodła i uprząże. Usprawnienia zostały wprowadzone także w kwestii koordynacji działań piechoty i sił podniebnych. Skrzydlate zwierzęta miały zaganiać przeciwnika w stronę własnej piechoty, by miażdżyć go z dwóch stron, niczym nasiona w móżdżerzu. Jeśli zaś przeciwnik dysponował większą liczbą garinafin, Tenryo nakazywał prowokować je do zużywania ognistych oddechów, tak by pozbawić je sił i zmusić do lądowania. Gdy tylko znalazłyby się na ziemi, czekający na nie w ukryciu wojownicy mieli urządzić zasadzkę i wymordować jeźdźców.

Młody wódz skonfiskował każdej rodzinie najlepszą broń i wyposażył nią zawodowych wojowników. Jego ludzie mieli już nigdy więcej nie walczyć byle czym.

– Kto się dobrze sprawdza na pastwisku, niekoniecznie nadaje się na pole walki – twierdził. – Nie powinniśmy zmuszać wojowników do wypasania bydła, tak jak pasterzy nie powinniśmy ciągnąć na wojnę.

Kiedy ktoś pytał go o tę nową, niesprawdzoną jeszcze metodę organizacji, odpowiadał, że zainspirowały go napotkane na równinach mrówki. Owady te znosiły do mrowiska liście i żdźbła trawy, których fermentacja w podziemnych pieczarach pozwalała na rozwój grzybów – pokarmu mrówek (uznawanego za przysmak także przez ludzi). Mrówki trzymały się ściśle określonego hierarchicznego porządku: miały królową dowodzącą całą kolonią, robotnice zbierające zapasy do grzybowego ogrodu, a także strażniczki z przerośniętymi żuwaczkami, specjalizujące się w walce z konkurencyjnymi koloniami, które mordowały robotnice i królowe przeciwnika, a także przechwytywały młode.

– Czy nie powinniśmy się zorganizować tak inteligentnie jak mrówki? – pytał Tenryo thanów, którzy sprzeciwiali się jego innowacjom, ponieważ zdawały się łamać niepisaną zasadę panującą na równinach od niepamiętnych czasów: że każda rodzina jest równa pozostałym, a każdy mężczyzna i każda kobieta powinni umieć się odnaleźć zarówno w czasach pokoju, jak i na wojnie. Jednak Tenryo twardo trzymał się swojej koncepcji utrzymania zawodowej armii i ignorował głosy krytyki.

Przed wszystkim jednak uczył swoich wojowników absolutnego posłuszeństwa. Raz po raz powtarzał im, że powinni wykonywać jego polecenia bez wahania; tak jak w kolonii mrówek, w jego oddziałach istniało tylko jedno źródło władzy i wszyscy musieli spełniać jego rozkazy bez zastanowienia.

Aby łatwo porozumiewać się ze swoimi ludźmi, opracował specjalny kod sygnałowy. Na polu bitwy miał przy sobie zestaw małych pałek bojowych

z doczepionymi białymi lisimi ogonami. Rzucił nimi z grzbietu swojego wierzchowca i w zależności od tego, gdzie wylądowały, tam wojownicy mieli bez wahania przypuścić atak.

Innymi słowy, Tenryo wynalazł nową profesję dla plemion Lyucu: żołnierstwo.



Pewnego dnia po przećwiczeniu kolejnych skomplikowanych manewrów Tenryo zsiadł z Kidii i skierował się w stronę swojego namiotu. Kidia, która była już teraz dorosłą garinafiną o niemal stu stopach długości od głowy po czubek ogona, cieszyła się na porcję świeżego jedzenia i zasłużony sen.

Kiedy żołnierze posiadali ze swych wierzchowców i szykowali się do odpoczynku, Tenryo, przeszedłszy jakieś sto kroków, odwrócił się i rzucił jedną z palek sygnałowych w Kidie.

Wszyscy wiedzieli, że była dla niego bardziej przyjaciółką niż zwykłym wierzchowcem – uratowała go przecież od pewnej śmierci z rąk Agonów, a Tenryo lubił ją tak bardzo, że pijał tylko jej mleko.

Nikt się nie ruszył.

– Na co czekacie?! – krzyknął młody dowódca. – Zapomnieliście, czego was uczyłem?

Kidia spojrzała na Tenryo, jej czarne oczy wyrażały zaskoczenie, gniew, a w końcu także strach. Zaczęła machać skrzydłami, próbując wznieść się w powietrze, lecz Tenryo nie oszczędzał jej tego dnia i nie miała już dość siły ani na lot, ani na zionięcie ogniem.

– Atakować! Teraz! – zawołał jeszcze raz Tenryo.

Pozostali jeźdźcy zadrżeli i rzucili się do wykonania rozkazu. Wspięli się na swoje wierzchowce i ruszyli, by zanurkować w stronę bezsilnej Kidii. Żołnierze piechoty, zgodnie z wyuczonymi zasadami, utworzyli wokół Tenryo formację obronną, podnosząc skórzane tarcze, by chronić swojego pana przed ostatnim, rozpaczliwym atakiem.

Kidia umarła w ciągu kilku minut, jej ciało zostało spalone i rozerwane na krwawe strzępy przez kilkadziesiąt garinafin.

Tenryo zebrał wszystkich pilotów oraz dowódców piechoty, a następnie kazał stracić co piątego – była to kara za zbyt opieszale wykonywanie rozkazów. Rodziny straconych mężczyzn i kobiet zostały zniewolone i rozdane pozostałym pilotom oraz dowódcom.

– Nigdy nie kwestionujcie moich rozkazów – powiedział przywódca. – Nigdy.

Następnie padł na kolana przed truchłem Kidii i wyszeptał:

– Przepraszam, przyjaciółko. Gdybym jednak nie sprawdził ich na kimś, kogo kochałem, nigdy nie zyskałbym u nich takiego posłuchu, jakiego potrzebuję. Spełnię złożoną ci obietnicę i zemszczę się za ciebie i twoją rodzinę. Niech Wszechojciec i jego wierny sługa, skrzydlata Péa, zapewnią ci wieczny spokój na srebrzystych pastwiskach w niebie.



Konflikt z Agonem znowu rozgorzał; obie strony napadały na siebie wzdłuż wiecznie zmieniającej się granicy między Ukyu a Gondé.

Armia Tenryo zyskiwała reputację najsilniejszej na całych równinach. W przygranicznych bitwach zwyciężała raz za razem, a ludzie zaczęli szeptać, że może to Tenryo jest najlepszym kandydatem na następcę *pékyu*. *Pékyu* Toluroru wezwał syna do swojego obozu. Nie wyjaśnił, o czym zamierza rozmawiać, jednak rozeszły się plotki, że nie podoba mu się, iż Tenryo większość zdobyczy zachowuje dla swoich plemion, zamiast oddawać je *pékyu*, by ten rozdzielił je wszystkim po równo. Niektórzy z thanów Tenryo radzili swemu przywódcy, żeby nie jechał, a zamiast tego przeczekał gniew władcy.

– Obowiązkiem syna jest odpowiedzieć na wezwanie ojca – rzekł Tenryo – bez względu na konsekwencje. Nawet jeśli ojciec żąda, by syn udał się do obozu wroga i został zakładnikiem, jakim prawem mógłby odmówić człowiekowi, któremu zawdzięcza życie?

W dniu spotkania Tenryo pozostawił swoją straż honorową na peryferiach wielkiego obozowiska *pékyu* i podszedł do Wielkiego Namiotu sam. Chociaż *pékyu* miał pod swoim dowództwem o wiele więcej kobiet i mężczyzn, dyscyplina i gorliwość żołnierzy oraz garinafin Tenryo, ustawionych w pewnym oddaleniu w równych szeregach, zrobiła wrażenie na wszystkich tych, którzy zgromadzili się, by oglądać to niezwykle spotkanie. *Pékyu* Toluroru stał przed wejściem do namiotu. Wyglądał na starego i słabego. Uśmiechał się do swojego syna, którego niegdyś gotowy był poświęcić. Kiedy Tenryo zbliżył się do niego, zobaczył przez szczelinę przy klapie, że w namiocie zebrało się wielu wojowników. Część z nich trzymała dłonie na pałkach bojowych, inni wyciągnęli kościane sztylety. Daleko z tyłu, w półmroku, rysowały się sylwetki pozostałych dzieci *pékyu*.

Jakieś sto kroków przed wejściem do namiotu Tenryo przystanął.

– Ojcze, co chcesz mi powiedzieć?

– Wejdź do środka, mój ukochany synu, i wypijemy razem kyoffir. Spędzamy ze sobą zbyt mało czasu.

– Dlaczego wojownicy zachowują się, jakby czekali na wizytę wroga, a nie ukochanego syna *pékyu*?

Wyraz twarzy Toluroru nie zmienił się.

– Nonsens. Wejdź do środka i usiądź. Nie powinniśmy krzyczeć na siebie z oddali. Dlaczego podchodzisz do ojca tak podejrzliwie?

Tenryo sięgnął po Langiaboto, toporek zabrany przyjacielowi z dzieciństwa, Diamanowi Aragozowi. Do trzonka przywiązał lisi ogon. Obracając go w miejscu, by nadać mu pęd, rzucił nim w ojca. Wszyscy zebrani dookoła podążyli wzrokiem za toporkiem, który pomknął do celu, zataczając w powietrzu piękny łuk.

W jednej chwili wszystkie garinafiny wzbily się w powietrze, a piechota ruszyła, by dołączyć do swojego pana. Toluroru cofnął się chwiejnie i Langiaboto

wylądował u jego stóp. Na twarzy starego wodza malowało się niedowierzenie. Zanim jednak zdołał wydać jakikolwiek rozkaz, z nieba spłynęły języki ognia. *Pékyu* został z miejsca spalony na popiół, w płomieniach stanął także Wielki Namiot.

Garinafiny krążyły nad obozowiskiem, podczas gdy strażnicy Tenryo otoczyli go, patrząc hardo na zdumionych mężczyzn i kobiety. Jedynymi dźwiękami, jakie dało się słyszeć, były trzaskanie ognia i wrzaski uwięzionych w płonącym namiocie. Nagle podniósł się donośny krzyk:

– *Pékyu* nie żyje! Niech żyje *pékyu* Tenryo Roatan! W ten właśnie sposób Tenryo Roatan został Wielkim *Pékyu* Lyucu, a na ziemiach Ukyu i Gondé nastąpiła nowa era.

– *Pékyu Tenryo to groźny i pozbawiony skrupułów człowiek – rzekł Luan Zya.*

– *Owszem. Chociaż historie na jego temat z czasem obrosły w mało wiarygodne szczegóły i stały się pełne przesadnych upiększeń, nie można zaprzeczyć, że jest niezrównanym wizjonerem.*

Po umocnieniu swojej pozycji jako władcy Lyucu Tenryo skupił całą swoją uwagę na wojnie z Agonami. Posyłając do walki tylko zawodowych żołnierzy i stosując nową taktykę, zdołał pokonać znacznie liczniejszego przeciwnika.

Nadszedł dzień, kiedy *pékyu* Nobo padł przed nim na kolana.

– Kiedy mieszkałem w twoim domu jako zakładnik, spodziewałeś się, że kiedyś nastanie taka chwila? – zapytał Tenryo.

Nobo pokręcił głową.

– Niezbadane są wyroki losu. Wszechojciec obdarza względami, kogo zechce. Przysięgam ci poddaństwo w imieniu Agonów. Za mojego życia nigdy nie wystąpimy przeciwko tobie. Nie było wstydu w ugięciu się przed silniejszym przeciwnikiem. Tak wyglądało życie na równinach.

Tenryo się roześmiał.

– Myślisz, że jestem tak głupi, by powtarzać popełniony przez ciebie błąd? Jeśli pozostawię cię i twoją rodzinę przy życiu, kto wie, co się wydarzy za dziesięć lat? Za dwadzieścia? Mam czekać, aż stanę się niedołączny i będę musiał klęknąć przed twoimi dziećmi tak jak ty przede mną?

Nobo spojrział na niego błagalnie.

– Zamierzasz nas wymordować, mimo że się poddaliśmy? Wszechojcu nie spodoba się taka nieuzasadniona przemoc.

– Nie wspominaj imienia Wszechojca – odparł Tenryo. – Nie wini go za swoje błędy, tak jak ja nie dziękuję mu za swoje zwycięstwo. Tylko słabi myślą, że bogowie przejmują się sprawami człowieka; ci silni wiedzą, że sami wyznaczają swoją ścieżkę na tym świecie, a bogowie zawsze obdarzają łaską wygranych.

Nobo popatrzył na niego, zszokowany tymi świętokradczymi słowami.

Strażnicy Tenryo, którzy otaczali obu mężczyzn, patrzyli na tę scenę beznamietnie. Nie zareagowali w żaden sposób na przemowę swego pana, ponieważ *pékyu* nie kazał im nikogo atakować. Niczym w kolonii mrówek, ich misją było jedynie posłuszeństwo. Dopóki Tenryo nie podejmie decyzji i nie wyda rozkazu, musieli tylko stać i czekać.

– Kiedy ojciec wysłał mnie do ciebie, żeby moje życie gwarantowało mu bezpieczeństwo, gdzie wtedy był Wszechojciec? Kiedy przelałem krew twojego syna, by ratować swoją skórę, gdzie wtedy był Wszechojciec? Kiedy dokonałem ojcobójstwa, żeby przejąć władzę, gdzie wtedy był Wszechojciec? Każdej zimy setki kobiet i mężczyzn giną z braku jedzenia albo schronienia; gdzie wtedy podziewają się Wszechojciec i jego syn, Litościwy Toryoana Uzdrowiciel? Każdego lata rodziny głodują, kiedy ich bydło pada na spalonych słońcem pastwiskach w drodze do odległego wodopoju – gdzie wtedy podziewają się Wszechojciec i jego córka Aluro, Bogini Tysiąca Strumieni? W bitwie wojownicy obu stron wzywają imiona Wszechojca i Diasy, jego Wojowniczkę, aby im dopomogli. Czyje modlitwy zostają twoim zdaniem wysłuchane?

Nobo nie odpowiedział. Były to odwieczne pytania, nad którymi nie miał odwagi się pochylać, ufając, że szamani uzyskają właściwe odpowiedzi.

– Wszechojciec i Wszechmatka oraz ich dzieci nie przejmują się naszym losem, tak samo jak nas nie obchodzi los mrówek, kiedy niszczymy ich domy w poszukiwaniu grzybów. Mogę wyciągnąć tylko jeden wniosek: że w oczach bogów dobro i zło nie istnieją. Ich interesuje jedynie sukces albo porażka. Jeśli jestem potężny, jestem też dobry. Jeśli jestem słaby, jestem zły. To wszystko.

Podszedł do Nobo i zmiażdżył mu czaszkę jednym potężnym uderzeniem Langiaboto.

Wszyscy synowie i córki rodu Aragoz zostali zmuszeni do ukłęknięcia przed Wielkim Namiotem, a Tenryo szedł wzdłuż utworzonego przez nich szeregu, jednemu po drugim roztrzaskując czaszki. Była to upokarzająca i haniebna śmierć, ponieważ żadne z nich nie mogło stawić oporu, a ich krew wsiąkała w ziemię w promieniach słońca, Oka Cudyufin. Ich dusze miały na zawsze pozostać splamione hańbą.

Wodzowie Agonów oraz ich rodziny zostali oddani arystokratom Lyucu w niewolę, a zwyczajni agońscy pasterze musieli opuścić swoje terytoria i przenieść się na ubogie pastwiska u podnóża gór na wschodzie, na pustynię leżącą na południu albo na lodowe pola rozciągające się na północy. Lyucu wychwalali imię Tenryo, który mszcząc się na znienawidzonych Agonach, stał się ich największym bohaterem. To dzięki niemu wreszcie mogli zaznać życia we względnym spokoju i dobrobycie.

Tenryo rozumiał wolę bogów lepiej niż którykolwiek szaman.

– *I właśnie wtedy przybyliśmy my – powiedział Oga.*

Rozdział czterdziesty dziewiąty Marzenie o statkach-miastach

Ukyu i GONDÉ, ZIEMIA LYUCU I AGONÓW: Dwadzieścia jeden lat przed przybyciem Luana

Wieści o dziwnej flocie widzianej na morzu wywołały konsternację wśród thanów Tenryo.

– Ich statki są tysiące razy większe i potężniejsze niż korakle – powiedziała jedna z jego doradczyń. – Ci obcy są dla nas zagrożeniem, powinniśmy ich zaatakować, gdy tylko zejną na ląd. – Wstała i zaczęła zawodzić, podkreślając wagę swoich słów przez podniesienie pałki bojowej.

Wielu innych thanów poparło ją, wstając i uderzając pałkami o kościane belki podtrzymujące namiot.

Jednak Tenryo kazał im usiąść.

– I właśnie dlatego, że wydają się tak potężni, nie możemy działać pochopnie. Powinniśmy być przebiegli jak wilki, które chowają się za ciernistymi krzewami przed zaatakowaniem zwierzyny.

Rozkazał przeniesienie garinafin daleko od miejsca spodziewanego zejścia na ląd załogi gigantycznych statków. Podkreślił, że żaden z przybyszów nie może zobaczyć skrzydlatych bestii, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

Następnie wydał najdziwniejszy rozkaz ze wszystkich: właściciele namiotów z nowego materiału mają je złożyć i odesłać skóry oraz paliki. W pobliżu miejsca zejścia na ląd mają się znajdować tylko te najbardziej zniszczone i wysłużone.

Thanowie nie rozumieli idei stojącej za tymi poleceniami, jednak ich nie kwestionowali. Nauczyli się słuchać *pékyu*.

Poprowadzeni przez swego wodza Lyucu powitali przybyszów zza morza jak gości honorowych. Na plaży rozłożono długie pasy zwierzęcej skóry, a następnie wyniesiono deseczki pełne mięs, serów, jagód i orzechów, a także tykwy i czaszki wypełnione pachnącym kyoffirem. Lyucu stanęli daleko od brzegu, zostawiając przybyszom mnóstwo miejsca na wygodne zejście na ląd.

Ogromne statki-góry zrzuciły kotwice w pewnej odległości od pływaczki i spuściły na wodę małe łódki, które zabrały przybyszów na plażę. *Pékyu* Tenryo i jego thanowie patrzyli z otwartymi ustami na tych egzotycznych ludzi.

– Patrzcie, jacy niektórzy są ciemni! Czyżby spalili sobie skórę tak mocno, że nie da się jej już wyleczyć?

– I dlaczego tyłu z nich jest tak grubych? Czy oni nie pracują ani nie walczą?

– Patrzcie, jakie mają oczy i nosy. A jakie czoła! Kto by pomyślał, że ludzie mogą wyglądać w ten sposób!

Przybysze wyciągnęli szalupy w kształcie liści na piach i zbrali się wokół nich w napięciu. Dobyli dziwnie wyglądającej broni i popatrzyli na Lyucu, sprawiając

przy tym wrażenie wystraszonych i podejrzliwych. *Pékyu* Tenryo z ciekawością przyjrzał się ich długim sztyletom – niemal tak długim jak pałki bojowe – które błyszczały w słońcu. Wykonano je z materiału o powierzchni odbijającej promienie niczym tafla jeziora. Tenryo zauważył, że niektórzy dzierżą pałki o łukowatym kształcie, z pojedynczą struną, przywodzące na myśl zakrzywione liry bardów – chociaż podejrzewał, że jest to jakiś rodzaj broni, być może używanej razem z patykami o ostrych czubkach, których naręcza przybysze nosili na plecach. Zwrócił też uwagę, że na plażę zeszli prawie sami mężczyźni – gdzie się podziewały ich kobiety? Przede wszystkim jednak uderzyło go, ile luksusowych przedmiotów mają ci ludzie: wszystko zdawało się wykonane z błyszczącego, przypominającego wodę materiału, drewna albo tkaniny, która zdawała się spleciona z mgły lub chmury. Tyle drewna! *Pékyu* Tenryo był pewien, że przez całe swoje życie nie widział tyle drewna, ile zużyto na budowę jednego statku. Na równinach nie rosło zbyt wiele wysokich drzew. W ogniskach Lyucu płonęły krótkie, powykęcane gałęzie wymęczonych przez wiatr krzewów, a drewno pochodzące z prawdziwych drzew, z rosnących tylko w skupiskach przy wodopojach, zachowywano do wyrobu dóbr o szczególnym znaczeniu, na przykład rzeźbionych nosidełek, ceremonialnych misek czy posągów bogów. Żeby zobaczyć prawdziwy las, trzeba było przez wiele dni wędrować na wschód, aż do podnóża wysokich gór. Używanie drewna w takiej ilości i z taką beztróską potwierdzało niezwykłą potęgę przybyszów.

Tenryo podniósł ręce, żeby pokazać, że nie trzyma żadnej broni, a potem poprowadził swoich thanów w stronę ludzi zza morza.



Kiedy mieszkańcy Dary wreszcie, po rocznej podróży, przybili do brzegu, byli półżywi z głodu i wdzięczni za możliwość stąpania po twardej ziemi.

Jednak nie mogli w pełni odetchnąć – ten ląd ktoś zamieszkiwał.

Admirał Krita i jego doradcy ostrożnie przyjrzelili się tubylcom. Ich ubrania, wykonane ze skór zwierzęcych i plecionej trawy, wydawały się brudne i prymitywne; broń, którą odłożyli na stertę, była równie prosta i wykonana z kości oraz kamienia; kobiety ubierały się tak samo jak mężczyźni i były niemal tak samo brzydkie; znajdująca się za plażą osada sprawiała wrażenie małej i nieciekawej; nigdzie dookoła nie było śladów świadczących o rozwiniętym rolnictwie i przemyśle. Prowadzeni przez wodza pozbawionego broni tubylcy wydawali się ulegli i pokorni. Krita zauważył też, że przygotowali im na plaży ucztę, i na widok jedzenia zaczął się ślinić.

Kimkolwiek byli mieszkańcy tej ziemi, nie wyglądali na nieśmiertelnych.

Krita rozluźnił się i kazał swoim ludziom odłożyć broń. Darzanie może i mieli na uwadze, że są zbłąkanymi podróżnikami rozpaczliwie potrzebującymi kąpieli i jedzenia, które nie byłoby zgniłe ani czerstwe, lecz dzięki przyjęciu powitalnemu Lyucu oraz przymilnym zachowaniu tubylców czuli się jak królowie, a może nawet na wpół nieśmiertelni. Prawda, sfermentowany napój mleczny nazywany *kyoffirem* przyprawiał o mdłości, lecz od tych barbarzyńców nie można było wymagać zbyt

wiele.

– To łagodni i niegroźni ludzie – oznajmił admirał Krita i dał znać swoim towarzyszom, których było około tysiąca, że mogą się rozluźnić i cieszyć uczą.

– Dara! Dara! – krzyczeli, pokazując na siebie. Tubyłcy wydawali się nieco powolni w myśleniu, zważywszy na ich niezrozumiały belkot, więc krzyk miał pomóc.

– Barbarzyńcy – powiedział admirał Krita. Westchnął zasmucony, że ostatecznie nie odnalazł Ziemi Nieśmiertelnych. Teraz będzie musiał po prostu jak najlepiej wykorzystać zaistniałą sytuację.



Pozostała część załogi – rzemieślnicy, służący, pokojówki, rodziny kapitanów i oficerów – widząc, że żołnierze uznali to za bezpieczne, również wyszła na brzeg.

Goście z Dary otrzymali to, o co poprosili: jedzenie, wodę, rozrywki, nawet kilku tubyłców jako służących i przewodników dla admirała i jego świty. Wszelkie rozmowy przeprowadzano za pomocą gestykulacji

i teatralnych min, jednak wystarczyło to, by tubyłcy zrozumieli, czego życzą sobie przybysze. Za każdym razem, kiedy goście wyrażali chęć obejrzenia okolicy, gospodarze uśmiechali się z niezrozumieniem i zamiast tego oferowali więcej jedzenia oraz mocnego sfermentowanego mleka – za którym co prawda goście nie przepadali, bo źle wpływało na ich żołądki. Zważywszy jednak na to, jak prymitywny był miejscowy lud, Darzanie przeważnie nie mieli specjalnej ochoty na oglądanie kolejnych namiotów pełnych półnagich dzikusów albo stad długowłosego bydła.

Było jasne, że barbarzyńcy nic nie wiedzą na temat nieśmiertelnych. Członkowie ekspedycji, codziennie obdarzani pełnymi podziwu spojrzzeniami i wyrazami uznania, zaczęli czuć się jak bogowie całego stworzenia.

Stali się jeszcze bardziej arogancy wobec swoich gospodarzy, żądając więcej jedzenia, sług, a nawet towarzystwa kobiet – czy im się to podobało czy nie. Kiedy kilku załogantów Krita zaspokoilo swoje cielesne potrzeby, krzywdząc miejscowe kobiety (na statkach-miastach znajdowali się głównie mężczyźni), upokorzone Lyucu, z których jedna była thanką, przyprowadziły przyjaciół, by żądać sprawiedliwości. W rękach dzierżyły palki i toporki.

Krita uznał, że potrzebny jest pokaz siły, więc zamiast wycofać się na statki-miasta z tymi, którzy dokonali niegodnych czynów, nakazał im pozostać na miejscu i bronić obozowiska.

W rezultacie dokonała się jednostronna rzeź. Lyucu nigdy wcześniej nie walczyli z przeciwnikiem uzbrojonym w metalową broń albo łuki i strzały, więc stracili siedemnastu ludzi, podczas gdy spośród Darzan ranny został tylko jeden. Mimo to Krita doskonale zdawał sobie sprawę, że Lyucu mają znaczą przewagę liczebną, więc nakazał wszystkim wycofać się na pokład i przygotować do wypłynięcia, na wypadek gdyby sytuacja się pogorszyła. Tymczasem *pékyu* Tenryo osobiście przyszedł przeprosić – uklęknął na plaży i błagał Krite o powrót. Ten,

przekonany, że swym pokazem siły wzbudził podziw barbarzyńskiego wodza, zgodził się mimo obiekcji wyrażanych przez bardziej ostrożnych doradców.

– Ci ludzie nie potrafią nawet wytwarzać metalu – powiedział z pogardą Krita. – Jakim są dla nas zagrożeniem? Z pewnością wzbudzamy w nich przerażenie! W pewnym sensie rzeczywiście znaleźliśmy raj. W oczach tych ludzi to my jesteśmy nieśmiertelnymi, niemal bogami!

Tak naprawdę Lyucu znali metal, jednak był to dla nich materiał, do którego rzadko mieli dostęp, jedynie w formie znajdujących od czasu do czasu grudek w ziemi, rzekomo resztek spadłych gwiazd. Tylko najpotężniejsi wodzowie Lyucu oraz sam *pékyu* posiadali prostą metalową biżuterię, która powstała po wybiciu z tych grudek różnego rodzaju ozdób.

Krita żądał teraz, by Lyucu uznali zwierzchnictwo Dary i cesarza Mapidérégo, którego on był osobistym wysłannikiem. *Pékyu* od razu się zgodził i od tej pory traktował Kritę jako swojego władcę.

Thanowie Lyucu zareagowali złością i patrzyli na swojego króla z niedowierzaniem, jednak *pékyu* miał u nich taki posłuch, że nikt nie odważył się głośno zaprotestować.

Następnie admirał zażyczył sobie, by jego żołnierzom towarzyszyły kobiety – w końcu to ich brak w gruncie rzeczy spowodował te wszystkie nieprzyjemności. *Pékyu* natychmiast się zgodził i odesłał na usługi przybyszów nawet swoich wodzów płci pięknej oraz córki thanów.

Ci ponownie byli zszokowani uległością ich króla, lecz posłuchali go bez zadawania pytań.

„Wola tych dzikusów została złamana – pomyślał Krita. – Wystarczyła mała demonstracja siły”. W pewnym sensie nawet podziwiał elastyczność *pékyu* Tenryo. Jego lud zetknął się z rasą, której potędze nie mógł się równać, więc *pékyu* mądrze postanowił się poddać, zamiast stawiać bezsensowny opór.



Lyucu zaczęli chorować. Ta nowa dziwna choroba nie przypominała w niczym tych, które dotychczas nękały tubylców. Ludzie kaszleli, a na ich skórze pojawiało się owrzodzenie. Wielu umarło. Każda rodzina pogrążona była w żałobie.

Jednak przybysze z Dary wydawali się na tę chorobę odporni.

Wielu zaczęło szeptać, że była to kara od Wszechojca i Wszechmatki za uległość *pékyu* Tenryo.

Ten zaś kazał stracić tych, którzy rozsiewali te plotki. Przypominał swoim thanom, że poprowadził ich do zwycięstwa nad Agonami, a teraz wybrał dla nich ścieżkę, którą w odpowiednim czasie zrozumieją.

Wreszcie ludzie przestali umierać.

– Staliśmy się bardziej jak oni – powiedział Tenryo. Nie wiadomo, czy smucił go ten fakt czy radował.

– Historia, którą mi opowiedziałeś, w niczym nie przypomina tej, jaką

usłyszałem od Lyucu – rzekł Luan.

– Wkrótce pojmiesz dlaczego – odparł Oga.

Aby mocniej przypodobać się swoim panom, Tenryo szwendał się za nimi jak piesek, próbując odgadywać ich potrzeby i dając im wszystko, czego tylko pragnęli.

Wojownicy patrzyli na swojego króla z pogardą, jednak on zdawał się nie zwracać na nich uwagi.

Ponieważ ciągle uśmiechanie się i kiwanie głowami nudziło „Panów z Dary” – określenie to z początku oficerowie Kriety traktowali żartobliwie, lecz spodobało im się jego brzmienie; w ojczyźnie żaden z nich nie zaliczał się do prawdziwej arystokracji – Tenryo za pomocą min i gestów obsypywał ich pytaniami. Pokazywał, że chce słuchać opowieści o tym, jak zbudowano statki-miasta, i zapewniał, że z radością zobaczy, jak działają, jeśli tylko jego panowie zechcą mu to zademonstrować. Krieta postanowił jak najwięcej wyciągnąć od swego nowego sługi. Za pomocą szczegółowych rysunków oraz mnóstwa pokazywania i pokrzykiwań admirał i jego kapitanowie zdołali wytłumaczyć Tenryo, że potrzebują drewna do naprawy swych potężnych jednostek, które ucierpiały w trakcie długiej podróży. Zauważyli brak odpowiednich drzew w okolicy i chociaż nie mieli wielkich nadziei, postanowili sprawdzić, czy barbarzyński wódz ma jakieś pomysły.

Tenryo kiwał głową, kłaniał się i uśmiechał. W sekrecie wysłał swych ludzi na garinafinach na wschód, w dalekie góry, by narabiali tam drewna. Plemiona nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiły i wielu wyraziło swoje wątpliwości wobec tego sprzeniewierzenia się tradycji, jednak Tenryo pozostał nieprzejednany.

Kiedy wysłannicy wrócili po kilku tygodniach wyczerpanej pracy, Tenryo kazał wrzucić drewno do morza, żeby fale poniosły je jak wodorosty. Następnie zorganizował przedstawienie: w środku nocy udał się do śpiącego admirała i zbudził go, skacząc i głośno okazując radość.

Chociaż Krieta zirytował fakt, że ktoś przerywa mu sen, widok kłód na oświetlonej blaskiem księżyca plaży nappełnił go radością. Do tego momentu Tenryo zdążył już nieco nauczyć się języka przybyszów i Krieta wreszcie zrozumiał, że uradowany barbarzyńca cieszy się z podarunku od bogów Dary. Chociaż admirał nigdy nie był szczególnie religijny, zmienił swoje nastawienie w czasie niemal rocznego dryfowania po morzu, gdy nie wiedział, czy przeżyje. Gorąco podziękował bogom i od teraz widział w *pékyu* Tenryo, który przyniósł mu ekscytujące wieści, swego rodzaju egzotyczny talizman przynoszący szczęście.

Aż do tej chwili Krieta i jego kapitanowie dbali o to, by tubylcy trzymali się z dala od statków-miast i nie dowiedzieli na ich temat zbyt wiele. Jednak talizmany przynoszące szczęście są niegroźne, kochane i godne zaufania, więc Hujin Krieta zignorował wszelkie napomnienia swoich doradców i pozwolił barbarzyńcom, a w szczególności pięknym kobietom, wchodzić na pokłady statków-miast.

Gościnność tych prymitywnych, lecz niewinnych dzikusów była mu tak miła, że zaczął zapominać, gdzie się znalazł.

Tenryo i grupa wysoko postawionych thanów zdawała się teraz każdą możliwą chwilę spędzać w towarzystwie admirała Kriety i jego oficerów. Podziwiali ich ubrania, miski, pałeczki, biżuterię i instrumenty muzyczne. Na pokładzie statków-miast zachowywali się jak uradowane dzieci w magicznej krainie i błagali przybyszów, by nauczyli ich swojego języka oraz sposobu korzystania z cudownych wynalazków.

Kobiety, którym przydzielono zadanie zajmowania się gośćmi – wiele z nich było thankami – oddały się swojej pracy ze szczególnym zapalem, starając się spełnić każdą zachciankę przybyszów. Wydawały się pod wrażeniem wszystkiego, co mieli lub robili goście, a do tego szybko uczyły się ich zwyczajów i sztuk – makijażu, tańca dworskiego, kokieterii...

... czym wzbudzały irytację pośród kobiet z Dary, które towarzyszyły mężom w ekspedycji. W dość ostentacyjny sposób sugerowały mężczyznom, że pełne podziwu chichoty w sypialni i entuzjastyczne okrzyki radości wszędzie indziej, jakie wydawały te barbarzyńki, być może nie są do końca szczerze.

– Dlaczego nie wierzycie, że miejscowe kobiety mogłyby się w nas zakochać? – prychnął admirał Krita, kiedy zwrócono mu uwagę na te narzekania. – Kiedy się porządnie umyją, wyglądają całkiem ujmująco! Z pewnością uwielbienie piękna i podziw dla szlachetności są dla słabszej płci czymś uniwersalnym. Biedne dziewczyny! Całe życie znały tylko śmierdzących dzikusów, którzy nie mają pojęcia o manierach, romantycznej poezji czy delikatnej sztuce miłości, jakie są domeną jedynie cywilizowanych ludzi. Nosiły tylko szorstką skórę zamiast gładkiego jedwabiu, piły tylko obrzydliwe sfermentowane mleko zamiast pachnącej różą herbaty, znały tylko potworne życie, w którym zmuszone były hodować bydło i u boku mężczyzn walczyć ze złodziejami, zamiast zaznawać szlachetnych rozrywek jak prawdziwe damy. Na miejscu tych kobiet sam bym się w sobie zakochał!

Oczywiście kiedy któraś z Darzanek zażyczyła sobie męskiego towarzysza – w końcu wystarczyło ich tylko umyć, żeby cieszyć się ich jędrnymi ciałami, rzeźbionymi trudnym życiem pełnym ciężkiej pracy na świeżym powietrzu i w promieniach słońca, prawda? – admirał Krita stanowczo odmawiał, uznając to za niezgodne z nauczaniem Kona Fijego i innych mędrców. *Pékynu* Tenryo nie przejmował się, czy zostanie wykpiony, niezdarnie posługując się garstką nowo poznanych słów, dlatego szybko poczynił duże postępy w nauce języka przybyszów. Kiedy jednak Krita i jego oficerowie wyrazili chęć poznania mowy Lyucu, wytłumaczył nie do końca składnie, ale zrozumiale, że nie ośmieliliby się znieważać wspaniałego intelektu swoich panów prymitywną mową ludzi z buszu.

Kiedy Lyucu pomagali admirałowi Kricie naprawić statki i napelnić je zapasami potrzebnymi do podróży powrotnej, Tenryo zasugerował, że prace będą postępować szybciej, jeśli rzemieślnicy i inżynierowie Dary wybiorą sobie uczniów spośród tubylców, by ci wykonywali mniej skomplikowane prace. Admirał przystał na ten pomysł i wkrótce cieśle okrętowi, stolarze i kowale z ekspedycji pracowali z zespołami Lyucu, ucząc ich swojego fachu. Kiedy statki-miasta zostały z grubsza naprawione, Tenryo znalazł jeszcze jedno składowisko drewna – w zatoczce,

niedaleko miejsca, w którym zrzucano kotwice.

– Bogowie wiedzą, że wspaniali Panowie z Dary z pewnością któregoś dnia odpłyną, by kontynuować cudowną misję poszukiwania nieśmiertelnych. Być może uznali, że Lyucu powinni pomóc wam skonstruować kolejne statki, by stawiły czoła nieznanym morskim niebezpieczeństwom? Choć oczywiście trudno sobie wyobrazić, co też mogłoby zagrozić wspaniałym Panom z Dary, którzy sami są jak nieśmiertelni.

Tonąc w objęciach czterech pięknych jasnowłosych kobiet Lyucu, Krita przystał na prośbę Tenryo i polecił swym cieślom nauczyć jego ludzi budować statki. Nie miały to być statki-miasta – cieśle wyjaśnili, że brakuje im niezbędnych narzędzi oraz maszyn, by podjąć się tak ogromnego przedsięwzięcia – lecz równie solidne, nadające się do dalekiej podróży okręty, znacznie lepsze niż korakle należące do Lyucu.

Szczerze mówiąc, admirał Krita z niechęcią myślał o ponownym wypłynięciu w morze. Po strachu, jakiego się najadł podczas długiej podróży do Ukyu, niczego tak nie pragnął, jak osiąść na stałe w miejscu, gdzie *pékyu* Tenryo spełniał wszystkie jego zachcianki i gdzie niemal każdą godzinę mógł spędzać w towarzystwie uroczych egzotycznych kochanek, dzięki którym raz po raz wznosił się na wyżyny rozkoszy. Czasami, gdy wspominał starego przyjaciela, Ronaza Métu, nawiedzały go wyrzuty sumienia, ponieważ podejrzewał, że cesarz Mapidéré zdążył już spełnić swoją groźbę. Nawet jeśli tak było, czyż nie oznaczało to, że tym bardziej powinien cieszyć się życiem za nich obu?

Większość jego starszej stopniem załogi się z tym zgadzała. Ich kochanki Lyucu wykazywały ogromną ciekawość w stosunku do wszystkiego, co pochodziło z Dary – co stanowiło naturalną reakcję po spotkaniu z bardziej rozwiniętą cywilizacją – a mężczyznom podobała się rola mędrców: często bowiem objaśniali swoim towarzyszkom przeróżne kwestie dotyczące historii, geografii, nauki i polityki Dary. Ku radości wielu z nich kobiety szczególnie upodobały sobie opowieści o potędze wojskowej ich ojczyzny i wypytywały o detale genialnych taktyk bitewnych legendarnych generałów, a także prosiły o zademonstrowanie właściwego użycia tych budzących strach broni z Dary. Chichotały kokieteryjnie – tak jak Panowie z Dary je nauczyli – obserwując, jak tamci z wysiłkiem ćwiczą fechtunek, a kiedy któryś przedobrzył i musiał odpocząć od machania mieczem albo napinania ciężkiego łuku, gruchały z zadowolenia.

Kobiety wydawały się rozczarowane, gdy kowale i grotnicy wytłumaczyli, że nie mogą wykonać większej ilości mieczy i grotów z brązu, chyba że ktoś odnajdzie łatwe do wydobycia złoża surowców. Sztabki znajdujące się na statkach wystarczyły tylko na kilka zapasowych sztuk. Kilku mężczyzn dziwiło się, że kobiety są aż tak zainteresowane bronią, jednak zrzucili to niekobiece zachowanie na karb specyfiki barbarzyńskiego życia.

Chociaż Krita odmówił żeńskiej części załogi – zatrudnionym przez flotę służkom, kucharkom, szwaczkom, rybaczkom i tak dalej – „przyjemności” towarzystwa mężczyzn z Lyucu, coraz trudniej było ten zakaz egzekwować, ponieważ z czasem miejscowi i przybysze zaczęli swobodnie się mieszać.

Kochankowie Darzanek również byli ciekawi tego odległego, magicznego miejsca, gdzie słowa można zamrozić w postaci znaków na papierze, a wiatr i wodę zaprząć do obracania kół i pchania żagli.

Historie opowiadane przez kobiety z Dary miały oczywiście inne zabarwienie niż te mężczyzn – po pierwsze, admirał Krita i jego świata wydawali się o wiele mniej bohaterscy w tych opowieściach niż w swoich własnych. Kobiety dzieliły się wiedzą, o której Panowie z Dary nie mieli pojęcia – opisywały codzienność zwyczajnych rodzin, mówiły też, jak Panowie z Dary wyglądali w oczach maluczkich.

Mijały dni, a admirał Krita i jego świta stawali się jeszcze bardziej leniwi i niechętni do pozostawienia wygodnego życia niby-królów wielbionych przez samego *pékyu* Tenryo i wszystkich jego poddanych. Całe szczęście *pékyu* przychodził do nich z kolejnymi powodami do ociągania się:

„A może Panowie z Dary zechcieliby wykonać więcej metalowej broni z pomocą Lyucu?”, „A może wyszkoliliby marynarzy Lyucu, by ci pomogli im, gdy flota postanowi wznowić podróż?”, „A może rzemieślnicy Lyucu, z których niektórzy całkiem dużo już się nauczyli pod okiem mistrzów, mogliby pomóc odtworzyć cudowności z ojczyzny Panów z Dary?”

Admirał Krita pokiwał głową.

– Doskonały plan, *pékyu* Tenryo! Gdyby tylko cesarz Mapidéré wiedział, że ma za morzami tak oddanego sługę!

Pékyu Tenryo uklonił się tak nisko, że Krita nie mógł dojrzeć jego twarzy.



Krita stał się w swoich żądaniach bardziej wymagający i kapryśny. Nie uważał się już za osobistego wysłannika Mapidérégo, lecz ogłosił, że Lyucu mają go tytułować cesarzem.

Niektórzy członkowie jego ekspedycji, zwłaszcza akademicy, poczuli niepokój.

– Ci ludzie tak godnie nas przywitani, nie powinniśmy traktować ich jak niewolników – przekonywali go. – Takie zachowanie nie przystoi cywilizowanemu człowiekowi. Jeśli oni widzą w nas swoich braci, my powinniśmy odwdziżyć się tym samym.

Krita prychnął, słysząc te obiekcje. We własnych wyobrażeniach był miniaturową wersją cesarza Mapidérégo, którą los przywiódł do tych nieoświeconych, lecz potulnych ludzi, aby nimi rządził. Oto podarunek od bogów Dary: nowe królestwo, które może kształtować według swojego upodobania. Wyprowadzi tych ludzi z mroków ignorancji i pokaże zalety cywilizacji.

W przeciwieństwie do dzikusów Tan Adü, którzy nie chcieli oświecenia i mądrych rządów Dary, ci barbarzyńcy nowego świata byli bezgranicznie wręcz oddani nauce. Zaczął marzyć o swoich następcach rządzących tymi ludźmi w odległej przyszłości i w głowie tworzył już plany pałacu – będzie ogromny i okrągły (bo czyż kształt koła nie jest najwyższą doskonałością, tak jak on sam?), wykonany z najlepszego drewna, nawet jeśli ta ziemia zdawała się mieć tak mało

drzew – i wybierał, które kochanki uczyni szczęśliwymi konsortami i umieści w świątyni przyjemności.

Pewnego ranka Krita obudził się ze związanymi rękami i nogami. Jego ulubione kochanki, Nolon i Kya, stały u nóg łóżka, trzymając miecz i luk.

– Co to za żarty? – zapytał. Nolon, zawsze niezwykle uległa, uśmiechnęła się zimno.

– Nauczyliśmy się już od was wszystkiego, czego potrzebujemy – oznajmiła w jego ojczystym języku, lecz w nietypowy dla niej sposób: bez cienia kokieterii.

– O czym ty mówisz? – Krita próbował wyrwać się z więzów, lecz ścięgnię trzymały mocno. – Natychmiast mnie rozwiążcie! Kiedy Tenryo się o tym dowie, zabije całą waszą rodzinę, przeklęte dziwki...

Kya, która nawet raz nie sprzeciwiła się jego woli, podeszła i uderzyła go w twarz, natychmiast go tym uciszając.

– *Pékynu* Tenryo wydał rozkaz dzisiaj rano. W tej chwili wszyscy twoi dowódcy zostali związani tak samo jak ty, a wojownicy Lyucu przejmują kontrolę nad każdym statkiem. Zabici zostaną tylko twoi ludzie, jeśli się nie poddadzą.

Dopiero kiedy wyciągnęły go z kajuty, załadowały na szalupę i popłynęły na ląd, żeby mógł dołączyć do pozostałych pojmanych Panów z Dary, uwierzył.

Razem z najwyższymi postawionymi oficerami zwiesili ze wstydu głowy, gdy wreszcie zdali sobie sprawę, że zostali oszukani przez przebiegłego i cierpliwego króla barbarzyńców.

Zanim słońce stanęło wysoko na niebie, niemal wszystkie statki-miasta znalazły się w rękach Lyucu. Większość kapitanów i wyższych rangą oficerów została związana we śnie przez swoje kochanki, a tych kilku, którzy obudzili się na czas, by stawić jakiś opór, kobiety z łatwością pokonały, ponieważ znały szczegóły ich techniki walki i z wyprzedzeniem opracowały sposoby kontrataku.

Wykorzystując tych mężczyzn jako zakładników, kobiety zmusiły marynarzy do zrzucenia drabinek sznurowych i wpuszczenia na pokład wojowników Lyucu, którzy podpłynęli do statków-miast na korakłach i w szalupach. Obozowisko Dary na brzegu zostało zdobyte jeszcze przed świtem.

Z pięćdziesięciu statków-miast tylko dwa miały kapitanów, którzy się nie poddali i rozkazali załodze walczyć do końca. Ci zostali zabici, jednak marynarze zdolali zdobyć przewagę nad kobietami Lyucu i podnieść kotwicę, by uciec przed tą nagłą zmianą sytuacji.

Udało im się przepłynąć raptem nieco ponad kilometr, kiedy nad horyzontem pojawiły się potężne skrzydlate bestie i rzuciły się na nich jak sokoły Mingén nurkujące po ryby. Nie minęło wiele czasu, kiedy z dwóch ogromnych statków zostały płonące wraki, a marynarze, którzy nie splonęli, wołali rozpaczliwie ze wzburzonego morza o ratunek, obiecując poddanie się.

Zdumiony Krita ostatecznie zrozumiał, jakim był głupcem.



Byli Panowie z Dary zostali umieszczeni w podziemnych więzieniach, podczas gdy *pékyu* Tenryo zebrał swoich wojowników, by ogłosić plany.

– To jest dar od Wszechojca, bracia i siostry – oznajmił. – Najpiękniejszy dar, jaki od niego otrzymaliśmy, odkąd stworzył Ukyu i Gondé, odkąd umieścił na tym świecie nas i Agonów, żeby wystawić naszą wiarę na próbę. Nasza ziemia jest piękna. W końcu kto nie chciałby oglądać wschodu słońca z grzbietu sunącej wysoko w powietrzu garinafyny? Niestety życie tutaj jest trudne. Wszyscy znaliście starców, którzy odmawiali podróży z resztą plemienia i prosili, by pozostawić ich na śmierć, gdyż nie chcieli obciążać innych brzemieniem swoich potrzeb. Wszyscy znaliście matki zmuszone zdecydować, które dziecko ma karmić, kiedy nie starczało dla wszystkich, a sama musiała zachować siłę na migrację. Wszyscy widzieli ojców bijących się w piersi z rozpaczą, kiedy wataha wilków, plaga albo nawet powódź zmiotła z powierzchni ziemi rodzinne stado bydła, ich jedyne źródło utrzymania. Równiny są bezlitosne, a my niezmiennie żyjemy na łasce sił, nad którymi nie mamy żadnej kontroli.

No i wojny. Kto zdoła zapomnieć wojny? Walki między Agonami i Lyucu wciąż są świeże w naszej pamięci, lecz długo przed tym, jak nasze ludy utworzyły osobne nacje, walczyły ze sobą plemiona, walczyły rodziny. Wątpię, by w historii znalazł się choć jeden dzień, gdy na całej tej ziemi panował pokój. Ile kobiet i mężczyzn straciło życie w walce o przetrwanie? Tutaj zawsze trzeba zabijać, inaczej zostanie się zabitym, gdyż ziemia ta, choć rozległa, wyżywić potrafi niewielu.

Nie zawsze tak było. Późnym wieczorem, obok ognisk i kiedy wszyscy zdążyli się napić *kyoffiru*, starzyzna opowiada historie z naszej przeszłości. Z tych opowieści, z tej mapy wyrysowanej dla naszych duchów, wiemy, że przodkowie mieszkali na ziemi porośniętej bujną roślinnością: w raj. W korytach rzek płynęły mleko i miód, gałęzie krzewów uginały się pod ciężarem jędrnych i soczystych jagód, a nie twardych orzechów, na których łamią się zęby. Na tamtej ziemi bydło rozmnażało się każdej wiosny i nie napadały na nie żadne wilki. Nasi przodkowie najadali się do syta i mogli mieć tyle dzieci, ile tylko zapragnęli, nie martwiąc się, ile zdołają zachować przy życiu. Wojny nie znano, ponieważ wszystkiego dla wszystkich starczało, tak dla najstarszej babki bezzębnej, jak i dla niemowlęcia, które ssalo swój pierwszy tłusty szpik.

Niestety przodkowie w jakiś sposób ściągnęli na siebie gniew Wszechojca. Opowieści różnych plemion nie zgadzają się w tym względzie. Jedni mówią, że ukradli specjalny *kyoffir* przeznaczony przez Wszechojca dla jego nieśmiertelnych dzieci, czystych duchów skrywających się w górach i chmurach, które wyznajemy. Drudzy twierdzą, że przodkowie stali się leniwi i arogancy, bo prowadzili życie łatwe i dostatnie, i w końcu nie zaopiekowali się należycie stadem niebiańskiego bydła, które z rozkazu Wszechojca mieli karmić i poić. Jeszcze inni głoszą, że zapomnieli cnót nadanych im przez Wszechojca i zaślepiła ich chciwość, przez co zaczęli prowadzić wyniszczającą bratobójczą walkę. Bez względu na prawdziwy powód, faktem jest, że Wszechojec wypędził nas z raj. i umieścił tutaj, żeby nasze życie stało się ciężkie, a nasza wiara wzmocniła się poprzez cierpienie.

Teraz jednak dowiedzieliśmy się czegoś nowego i ważnego: Wszechojciec przygotował dla nas nową ziemię, nowy raj zwany Darą. Słyszeliście opowieści dzikusów z Dary? W ich ojczyźnie w korytach rzecznych płynie przepyszne wino, kyoffir zrobiony z owoców, a tłuste ryby praktycznie same wyskakują z wody na talerze. Na polach trawy rosną tak zielone i bujne, że wyżywi się na niej całe bydło, wszystkie garinafiny i my razem z nimi, nawet jeśli będzie nas tyle, ile gwiazd na niebie! Rodziny będą mogły mieć dziesiątkę dzieci – dziesiątkę! Starzy odchodzić będą spokojnie we śnie, zaś młodzi uhonorują pamięć po nich, będąc płodnymi. Przepych powita was tam na każdym kroku: błyszczący metal wystający z ziemi, w lasach rosnące gęsto drzewa wysokie aż do nieba, lśniąca biżuteria zwisająca z każdego ucha jak dojrzałe jagody. Właśnie tak wygląda ziemia, w której powinniśmy żyć. Zaraz ktoś powie, że przecież ziemia ta jest już zamieszкана. Owszem, jest. Ale popatrzcie tylko na tych, którzy ją zajmują: są arogancy, miękcy, leniwi, pozbawieni cnót. Przybyli na nasz ląd jako przerażeni uchodźcy, którym skończyły się jedzenie i woda. Przyjeliśmy ich godnie, podzieliliśmy się posiłkiem i kyoffirem, daliśmy im wszystko, czego potrzebowali. A jak nam się odwzięczyli? Zachowywali się, jakby należeli do rasy nieśmiertelnych duchów, chociaż doskonale wiedzieli, że są takimi samymi śmiertelnikami jak każdy z nas. Celowo zarazili nas chorobą, jakiej tutaj nie znano... Wybaczcie mi lzy, lecz jak zapomnieć rozpacz ojców trzymających chore córki albo zawodzenie synów oplakujących zmorrzone zarazą matki?

A te ich barbarzyńskie maniery! Pomyślcie tylko, jak oni poniżają swoje kobiety! Mieli czelność nazywać nas dzikusami i obrażać nasze kobiety, w tym naszych thanów i wodzów, ale też żony, matki, siostry i córki. Zamordowali naszych wojowników za pomocą lepszej broni i myślą, że to czyni ich lepszymi, lecz miarą wojownika jest jego duch, nie narzędzie. Dlatego przyczailiśmy się: ukryliśmy nasze mocne strony, żeby nakłonić przybyszów do ukazania swoich słabości, udawaliśmy uległość, żeby przyjrzeć im się z bliska i poznać ich sekrety. Czego się dowiedzieliśmy? Nie znają pojęcia honoru i nieustannie kłamią, żeby wydawać się większymi i potężniejszymi. Są niemrawi i głupi, rozumieją tylko język przemocy. Myśleli, że będą w stanie zastraszyć nas swoimi metalowymi mieczami i wibrującymi lukami, a jednak kiedy pojawiły się nasze garinafiny, potrafili tylko schować się z przerażenia, nie próbując nawet walczyć. Chociaż trzymaliśmy się zwyczajów równin i otworzyliśmy przed przybyszami swoje namioty i serca, dzieląc się z nimi wszystkim, co posiadamy, oni chcieli tylko nas zdominować i zniewolić.

Nie, Wszechojciec z pewnością nie zamierzał oddać raję w ręce tak barbarzyńskiej rasy. Z pewnością wysłał tych dzikusów, żeby przekazać nam wiadomość, że przygotował nam nowy dom, już wypełniony niewolnikami. Czy nie widzicie, że ci leniwi arogancy wydają się podobni do upadły przodków z legend? Roztrwonili swoją fortunę, taplając się w niej jak chciwe cielęta w błocie, nie wiedząc, że zaraz przyjdzie zima. Jesteśmy wysłannikami Wszechojca, którzy mają oczyścić ląd z tych niewdzięczników. Jesteśmy karą za ich grzechy. Jesteśmy boskim biczem. Bracia i siostry, mamy misję. Musimy podbić Darę i zniewolić tych ludzi,

aby ich dusze zostały oczyszczone z choroby zwanej przez nich cywilizacją, aż w końcu odzyskamy raj dla ulubionych dzieci Wszechojca.

Na równinach rozległy się okrzyki bojowe tysiąca wojowników pragnących krwi, boskiej sprawiedliwości i świętej wojny.



I tak oto z dnia na dzień Panowie z Dary stali się więźniami Lyucu. Rozpoczął się dla nich koszmar. Zostali zmuszeni do podzielenia się każdą najdrobniejszą informacją, która mogła się okazać użyteczna dla nowych panów planujących inwazję na ich ojczyznę.

Chociaż technologie, które przyplłynęły na statkach-miastach, były interesujące, *pékyu* Tenryo szybko uznał, że w przypadku większości zaadaptowanie ich na potrzeby Lyucu nie byłoby praktyczne. Ukyu i Gondé zwyczajnie zbyt mocno różniły się od Wysp Dary, więc przyjęcie sposobu życia mieszkańców odległej krainy miało dla Lyucu mniej więcej tyle sensu, co przesadzenie pustynnego kaktusa na lodowe pola na północy. Miecze z brązu i stali z pewnością były mocniejsze od kościanych pałek i toporków, lecz Lyucu nie mieli żadnego znanego źródła żelaza czy miedzi, a zapasy przywiezione na pokładzie statków-miast szybko by się wyczerpały. Podobnie brakowało na równinach drewna do wyrobu strzał, a kamienne groty nie byłyby lepsze niż pociski z proc. *Pékyu* Tenryo nie uważał, by mądre było przyjęcie nowej taktyki wojennej, która polegałaby na użyciu broni niemożliwej do uzupełnienia przez Lyucu, dlatego skupił się na nauczaniu się jak najwięcej na temat sposobów walki z Wysp Dary, tak by jego wojownicy umieli przygotować obronę.

Zbudowano – oczywiście rękami niewolników z Dary – arenę ogrodzoną kośćmi garinafin, a następnie Krita oraz jego ludzie zostali zmuszeni do spędzania wewnątrz całych dni na walce z wojownikami Lyucu, od świtu do nocy, żeby Tenryo mógł przyjrzeć się temu, jak biją się mieszkańcy Wysp.

Od cocruskiego tańca z mieczem po formacje façańskiej piechoty – *pékyu* przyglądał się wszystkiemu i skrupulatnie notował każdą słabość. Oficerów i żołnierzy przymuszano do opisywania bitw z przeszłości w niebywałych szczegółach, żeby dało się wyróżnić ogólne cechy zachowania wojsk z dalekiej krainy. W jednej z takich bezsensownych udawanych walk Krita został zraniony i w ranę wdało się zakażenie. Lekarze z ekspedycji nie mogli zapanować nad infekcją, ponieważ brakowało im ziół z Dary. Kiedy admirał tuż przed śmiercią leżał w malignie, świadkowie słyszeli jego wyznania miłości adresowane do Nolon i Kyi, thanek Lyucu, które oszukały go i pojmaly, a także modlitwy do bogów Dary, by zabrali go do ziemi nieśmiertelnych.

Kobiet i pozostałych niewalczących z Dary – rzemieślników, kupców, nawigatorów, marynarzy, kucharzy, służek, lekarzy – również nie oszczędzono. Zmuszono ich do uzupełniania szczegółów wiedzy na temat społeczeństwa Wysp: jak budowano drogi, jak organizowano wioski, jak Mapidéré sprawował swoje cesarskie rządy w Pan i jaki to miało wpływ na zwyczajnych ludzi. Tenryo rozumiał, że będzie

musiał pokonać liczniejszy lud za pomocą malej siły, a nawet mimo przewagi w postaci garinafin kontrolowanie takiej populacji wymagało poznania motywacji oraz stylu życia poddanych, które należało wykorzystać na korzyść okupantów.



Oga był szczególnym przypadkiem. Z początku, kiedy okazało się, że jest tylko rybakiem, uznano jego wiedzę za niezbyt użyteczną. Rybołówstwo nie było istotnym sposobem pozyskiwania pożywienia dla Lyucu, gatunki popularne w Darze różniły się od tych z wybrzeża Ukyu i Gondé, a techniki z Dary często nie nadawały się do polowu na tutejszych wodach. Dlatego też Odze wyznaczono najbardziej niewdzięczne zajęcia.

Wkrótce jednak thanowie Tenryo zauważyli, że w czasie wspólnie spędzonym przez więźniów rybak zawsze znajduje się w centrum uwagi. Po długim dniu ciężkiej pracy zabawiał ich barwnymi opowieściami i podnosił ich na duchu. Niektórzy thanowie zaczęli traktować go podejrzliwie, obawiając się, że mógłby stać się przywódcą rewolty.

Tenryo postanowił, że osobiście posłucha opowieści Ogi. Przez kilka wieczorów z rzędu, przebrany za zwykłego nadzorcę niewolników, siadał nieopodal grupy więźniów zebranych wokół ogniska i wsłuchiwał się w słowa Ogi. Rybak, zamiast przytaczać zwykle legendy z Wysp, snuł ubarwione opowieści o ich morskiej podróży do Ukyu i Gondé. Brakowało mu formalnego wykształcenia, za to posiadał naturalny dar do bajania i bujną wyobraźnię. Opowiadał o cudowności Ściany Burz, o napotykanym w morzu wielorybom i crubenom, o nieśmiertelnych mieszkających pośród gwiazd, o fantastycznych stworach i księżętach na nowych ziemiach. Zdołał nawet poduczyć się nieco języka Lyucu i poznać niektóre tutejsze historie. Plół z nich cudowne gobeliny dzikiej odwagi i ponadprzeciętnej przebiegłości.

Tenryo był zauroczony. Oga w jakiś sposób zdołał połączyć wyrafinowanie bazarzy ze swojej krainy z tutejszymi surowymi realiami. Opowiadał epickie historie w stylu Dary, wykorzystując miejsca i wartości znane na ziemi, na której został więźniem.

I tak oto Tenryo wezwał Ogę na służbę u siebie.

– Będiesz mi towarzyszył na każdym kroku i zobaczysz wszystko to co i ja. Tak jak wasi dworscy historycy spisujący czyny Panów z Dary, zostaniesz moim biografem, architektem mojego żywego pomnika, twórcą historii, która będzie wzorem dla tysiąca pokoleń.



Oczywiście każdego więźnia Dary wykorzystywano też jako nauczyciela języka. Dzieci *pékyu* Tenryo poznawały go od samego początku, tak by w przyszłości swobodnie się nim posługiwać – Lyucu, jeśli mieli rządzić obcym ludem, musieli rozumieć jego myśli.

Kiedy więźniowie udostępniłi już wszystkie pożyteczne informacje, zaczęto wywierać na nich większą presję. Tortury stosowano niemal nieustannie, a całodzienne ćwiczenia wojenne na arenie stały się jeszcze bardziej intensywne. Niektórzy więźniowie umierali z powodu chorób albo odniesionych ran, inni popełniali samobójstwa. Jednak nawet ich śmierć nie przyniosła kresu cierpieniom. Ich miejsca zajmowały ich dzieci – czy to urodzone w małżeństwach pośród niewolników, czy też pochodzące z mieszanych związków z Lyucu. Przeklęta krew Dary skazywała je na ten sam los. Jedynie kilkoro mieszanych dzieci, których matki lub ojcowie byli potężnymi thanami, zostało wychowanych na pełnoprawnych członków wspólnoty.

Dwa lata po zejściu na ląd umarło dziesięć na dziesięć kobiet i mężczyzn ze statków-miast.

Przez szpary między prętami drzwi na szczycie tunelu wpadły pierwsze promienie słońca, nieznacznie rozświetlając wnętrze celi.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, ile wycierpieliście przez następne dziewiętnaście lat – powiedział Luan Zya. Nawet jedno słowo Cudyu i Vadyu nie było prawdą. Mimo to miał nikłą nadzieję, że przeżycie staruszka oznaczało, że Lyucu porzucili szalony plan przepłynięcia oceanu w celu podbicia Dary.

– Już tyle czasu minęło? – mruknął Oga Kidosu. – Tak wielu moich przyjaciół... pobito, okaleczono, zamordowano. Tak wiele razy chciałem umrzeć, lecz wciąż pragnąłem ujrzeć ostatni raz...

Aby zdobyć Darę, Lyucu musieli najpierw odnaleźć do niej drogę. *Pékyu* Tenryo wiedział, że wybranie tej, którą płynęła flota Kryty, zależnej od silnego prądu oceanicznego, nie wchodzi w grę. Nawet potężne statki-miasta nie miały dość siły, by mu się oprzeć, a płynięcie, w pewnym sensie, „w górę rzeki” pozostawało niemożliwym do spełnienia marzeniem. Dlatego też Tenryo w pełni oddał się zadaniu odnalezienia nowej drogi do Dary. Dzięki skrupulatnemu przeanalizowaniu zapisów z dziennika pokładowego statków-miast oraz informacjom uzyskanym od torturowanych nawigatorów – których oszczędzono dotychczas właśnie w tym celu – Tenryo zdołał mniej więcej określić położenie Wysp Dary. Jak zawsze ostrożny, postanowił wysłać niewielką ekspedycję zwiadowczą, której celem było potwierdzenie lokalizacji Wysp.

Zamiast wykorzystywać do tego statki-miasta, które miały posłużyć do transportu wojowników w późniejszym czasie, kazał zbudować małą flotę badawczą. Tworząc ją, opierano się na tradycyjnych technikach Lyucu, ale rozwiniętych o rozwiązania stosowane przez cieśli z Dary.

Chociaż Lyucu i Agon prowadzili życie nomadów, przemieszczając się po równinach na grzbietach garinafin, niektóre plemiona osiadły na wybrzeżu i używały łodzi bardziej zaawansowanych niż małe korakle, które zobaczył Luan Zya. Niektóre z nich budowano z wielu okrągłych kadłubów korakli, łączonych za

pomocą kościanej ramy, nad którymi rozciągano wodo- i ognioodporną skórę garinafiny. Dla zwiększenia wyporności do ramy przytwierdzano zwierzęce pęcherze wypełnione powietrzem. Te pozbawione kila łodzie były przeznaczone do pływania po płyciźnie, lecz okazały się zaskakująco stabilne na otwartym morzu – chociaż w żadnym wypadku nie mogły się równać ze statkami-miastami, a nie zdołano by też przetransportować w nich garinafin.

Flota łodzi Lyucu, uzupełniona o statki zbudowane na modłę Dary jeszcze za życia admirała Kriety, gdy Lyucu uczyli się fachu, wyruszyła na zachód, by odnaleźć Wyspy. Lyucu nigdy wcześniej nie wypływali tak daleko, wierząc, że morze jest nieskończone i wszędzie wygląda tak samo. Większość dotychczas odbywanych przez nich podróży ograniczała się do terenów przybrzeżnych i służyła transportowi towarów na wymianę albo wojowników mających wziąć udział w kolejnej wojnie. Teraz, gdy Lyucu wiedzieli, że za horyzontem znajduje się ląd, załoga była niecierpliwa i pełna nadziei. Powrócił – ponad rok później – tylko jeden ze statków, z informacją, że droga jest nieżeglowna. Flota zdołała przepłynąć przez prąd w jego wolniejszym odcinku, o którym w dzienniku pokładowym wspominał Krita, a następnie na horyzoncie zamajaczyła Ściana Burz, również opisana przez admirała.

Ocalali opowiadali o zasłonie z cyklonów, które rozciągały się od morza aż do nieba. Przez kilka miesięcy statki płynęły na północ i południe w nadziei, że uda im się zlokalizować przesmyk, jednak po tym nie było śladu. Sfrustrowany dowódca rozkazał załodze, by spróbowała przepłynąć przez cyklony, lecz te były tak gwałtowne, że pochłonęły wszystkie jednostki prócz jednej, która ledwo zdołała uniknąć ich losu. Później jeden z cyklonów opuścił ścianę i zdawał się niczym istota obdarzona wolną wolą ścigać ocalały statek przez kilka dni. Tylko dzięki szczęściu załoga wróciła do domu, by opowiedzieć tę historię. *Pékyu* musi porzucić swoje marzenie, tłumaczyli ocalali, ponieważ raję zdają się bronić wściekle demony morza i powietrza.

Jednak Tenryo nie zamierzał się poddać. Kazał stracić ocalałych za ich tchórzostwo i nieposłuszeństwo – mieli przecież znaleźć drogę do Wysp Dary, a nie wracać z wymówkami, dlaczego nie da się tego zrobić.

Wysłano drugą flotę, by dokończyła zadanie, któremu nie podolała pierwsza.
– Posłuszeństwo absolutne! – grzmiał *pékyu* Tenryo. – Pamiętajcie o tym.

Tę flotę spotkał los jeszcze gorszy niż pierwszą, ponieważ w następnym roku nie powrócił ani jeden statek. Niektórzy z najbardziej zaufanych thanów Tenryo narzekali, że bezkompromisowy sposób sprawowania rządów *pékyu* zapewne nauczył drugą załogę, że lepiej jest odnaleźć niezamieszkaną wyspę i przeżyć na niej resztę swoich dni, niż stanąć w obliczu pewnej śmierci, czy to za sprawą Ściany Burz, czy z ręki *pékyu*.

Tenryo musiał wreszcie zaakceptować fakt, że jego plan zdobycia Dary jest jedynie niemożliwym do spełnienia marzeniem, i więcej o nim nie wspominał.

Ocalałych więźniów rozdzielono między plemiona jako zwykłych niewolników, a Lyucu wrócili do swojego nomadycznego życia na równinach, najwyraźniej

zapomniałszy o rajach. Flota statków-miast pozostała przy brzegu, ochroniana przez oddział wojowników oraz kilkanaście garinafin. Od czasu do czasu plemiona agońskie, przegnane na surowe, nieprzystępne tereny, buntowały się, a Tenryo wyruszał wraz ze swymi oddziałami, by zdusić rebelię. Dla większości mieszkańców wszystko jednak zdawało się wracać do znajomego rytmu. Pięć lat po wypłynięciu drugiej floty morze niespodziewanie wyrzuciło na brzeg fragmenty wraków. Wzory wyryte na kościanych drzewcach stanowiły niezbitą dowód, że pochodziły z drugiej ekspedycji.

Jednakże flota wyruszyła z Ukyu w kierunku północno-zachodnim, zaś fragmenty wraków przyplęły z południowego wschodu.

– Właśnie dzięki temu odkryłem tajemnicę prądu morskiego – powiedział Luan.

– Jak to?

Luan wyjaśnił, że Cadyu i Vadyu poprosili go, by odnalazł drogę do Dary, więc pilnie przestudiował wszystkie dostarczone przez nich zapiski. Wiedza, kiedy i skąd przyplęły fragmenty wraków, doprowadziła go do przełomu w badaniach.

– Wielki prąd oceaniczny zatacza koło – mruknął.

– Tak też pomyślał pékyu Tenryo – powiedział Oga Kidosu. – Prąd, który nas tu przywiódł, jest jak wąż zjadający własny ogon. Gdyby admirał Krita płynął razem z nim nawet wtedy, gdy ten zwolnił w pobliżu wybrzeża Ukyu, zaprowadziłby nas z powrotem do Dary.

– Razem z Zomi, twoją córką, znaleźliśmy fragmenty tych samych wraków – rzekł Luan. Opowiedział Odze o niezwyklej wizji, jakiej doznała Zomi w dzieciństwie, oraz o tym, jak jego zainteresowanie wyprawą na północ wzrosło po znalezieniu tajemnicznych artefaktów z wyrzeźbionymi podobiznami garinafin.

– Czyli ekspedycja Mapidérégo zainspirowała pékyu Tenryo, którego flota w okrężny sposób przyciągnęła cię tutaj – dziwił się Oga Kidosu. – Cóż za niesamowita seria zbiegów okoliczności.

– Tak okrężny jak prąd oceaniczny, który nas wszystkich łączy – rzekł Luan Zya. – Być może los składa się właśnie z takich zbiegów okoliczności, które dostrzegamy, gdy spoglądamy wstecz na nasze życie.

Oga pokręcił głową i zaśmiał się pod nosem.

– Filozof ze mnie żaden. Mogę ci tylko powiedzieć, że fragmenty wraków z drugiej floty natchnęły pékyu Tenryo myślą o wyruszeniu na północny zachód.

Wyruszywszy w tym kierunku, wojownicy musieliby odnaleźć prąd i dać mu się zaciągnąć aż do brzegów Wysp. Marzenie pékyu Tenryo o wielkim podboju rajskiej ziemi ponownie odżyło. Wysłał trzecią flotę, żeby sprawdziła tę drogę, tym razem rozkazując, by nie ryzykowała niepotrzebnie i zdobyła cenne informacje. Ta ekspedycja wróciła po roku, donosząc, że prąd rzeczywiście zaprowadził ich na północ od Dary, gdzie statki ledwo zdołały oprzeć się jego sile. Jednak znajdowała się tam też Ściana Burz...

– ... o czym obaj doskonale wiemy – wtrącił Luan Zya z cichym śmiechem.

– Cyklony tworzące Ścianę poruszały się chaotycznie i groziły zniszczeniem każdego statku, który by się do nich zbliżył. Chociaż trzecia ekspedycja płynęła wzdłuż Ściany przez trzy miesiące, nie znalazła żadnego przesmyku. Prawdopodobnie pochopna próba przebicia się przez burze siłą przyniosła zgubę drugiej ekspedycji. Pékyu Tenryo zabrał z rozsianych po całych równinach plemion nas, ostatnich ocalałych ludzi admirała Kriety, i wszystkich uwięził.

– Ponieważ chciał poznać sekret, dzięki któremu przedostaliście się przez Ścianę Burz? – zapytał Luan.

Oga pokiwał smętnie głową.

– Niezliczoną ilość razy mówiliśmy mu, że udało nam się to wyłącznie dzięki szczęściu, lecz pékyu nam nie uwierzył. Tortury były nie do zniesienia, więc część więźniów, mając dość potwornego bólu, zmyśliła odpowiedzi. O tym, że były nieprawdziwe, przekonały się kolejne ekspedycje, a ci, którzy kłamali, by uniknąć cierpienia, zostali straceni. Ja przez lata tworzyłem poemat o pékyu Tenryo – słyszałeś jego fragmenty – dzięki czemu zdołałem przetrwać. Równocześnie byłem zafascynowany Tenryo i wierzyłem, że mógłbym przeciwstawić jego życiu pełnemu przemocy i podbojów wyidealizowaną opowieść o człowieku poszukującym cnoty, na wzór Tututiki pokazującej ludziom ich udoskonalone odbicia w magicznych lustrach, dzięki którym zyskiwali motywację do poprawy. Nie potrafiłem jednak dłużej milczeć w obliczu takiego koszmaru. Stworzyłem nowy rozdział, w którym ukazałam Tenryo takim, jakim jest naprawdę: człowiekiem, któremu wydawało się, że śni o wielkości, lecz w rzeczywistości gotuje innym koszmar. W gniewie kazał mnie zabrać przed swego oblicza i umieścić tutaj, żebym zastanowił się nad swoim postępkami. Straciłem rachubę, ile już minęło dni w tym pozbawionym promieni słońca lochu. Jestem ostatnim ocalałym z ekspedycji i jak widzisz, niewiele mi już zostało.

Luan Zya zamknął oczy i odtworzył w pamięci wydarzenia od czasu swojego przybycia na równiny. Wszystko było kłamstwem.

Zobaczywszy Gitré Üthu i pozostałości tratwy, Lyucu zapewne się domyślili, że mają do czynienia z kimś w rodzaju mędrca, i uknuli misterny plan. Przygotowali liczne groby i zmyślili historię o szczególnych relacjach między Darą a Lyucu. Wykorzystując mentorski instynkt przybysza oraz słabość po wykańczającej podróży, Cudyu i Vadyu zwiedli go, by pomógł im znaleźć sposób na przeprowadzenie floty przez Ścianę Burz.

Zamiast oddać ciała zmarłych członków ekspedycji Kryty rodzinom, statki miały zabrać wojowników i przynieść śmierć dziesiątkom tysięcy mieszkańców Dary.

Chociaż Lyucu znali już tajemnicę prądu zataczającego koło, nie zdradzili tej informacji Luanowi. Prawdopodobnie zrobili to, by sprawdzić, czy naprawdę posiada odpowiednie umiejętności, a nie tylko uważa się za mędrca, tak jak wielu Panów z Dary.

Zagadkę stanowił sposób na przekroczenie Ściany Burz i na tym polegało prawdziwe zadanie Luana. Chcieli uczynić go współwinnym największej katastrofy w historii Dary.

Luan zdrzał. Omal im się nie udało.

Ściana Burz, niczym cykady, które wydostawały się z ziemi tylko w określonych latach, albo zaćmienia słońca czy księżyca, trzymały się pewnych wzorców. Z czasem w Ścianie Burz otwierały się przejścia o różnej długości i stabilności. Luan wreszcie odkrył schemat, który pasował do wszystkich danych z obserwacji, i mógł dzięki niemu przewidzieć, kiedy pojawi się następny stabilny przesmyk w Ścianie, przez który flota mogłaby się przedostać na drugą stronę.

Wszystkie swoje obliczenia spisał w Gitré Üthu, którą pozostawił w namiocie dzielonym z Cadyu i Vadyu. Musiał tam wrócić, zanim rozwiązanie zagadki trafi w ręce Lyucu.

Kiedy rzucił się do wyjścia z tunelu, kościane drzwi na jego końcu nagle się zatrzasnęły.

– Luan Zya. – Z góry popłynął głos księcia Cudyu. Był zimny i pozbawiony dotychczasowego szacunku. – Twoja próba dokonania zamachu stanu została wykryta na czas.

Rozdział pięćdziesiąty

Powrót do domu

Ukyu i Gondé: dwa lata wcześniej

Obliczenia Luana Zyi wyznaczyły datę pojawienia się następnego stabilnego przesmyku w Ścianie Burz na północ od Dary. Aby zdążyć, flota musiałaby wyruszyć z Ukyu niemal rok wcześniej.

A to oznaczało, że przygotowania do największej inwazji w historii mieszkańców równin musiały się rozpocząć natychmiast.

Statki-miasta należało zaadaptować tak, by mogły przewozić garinafiny oraz wojowników, należało też zgromadzić odpowiednią ilość zapasów, tak by wystarczyły na rok. Ostatecznie do ekspedycji prowadzonej przez samego *pékyu* miało dołączyć sześćdziesiąt garinafin i pięć tysięcy wojowników. Władzę w królestwie miał na czas nieobecności *pékyu* przejąć jego najstarszy syn, Cudyu. Kiedy baza na jednej z wysp zostałaby zabezpieczona, a mieszkańcy Dary poskromieni, z Ukyu wyruszyłyby kolejne plemiona.

Sukces tego zuchwałego planu wymagał znajomości nie jednej, lecz wielu przyszłych dat, kiedy Ściana Burz otworzy przejście wystarczająco stabilne, by mogła ją przeciąć flota. Statki miałyby bowiem wielokrotnie pływać między jednym ładem a drugim.



Mimo swojej przebiegłości Cudyu i Vadyu – zwana Tanvanaki – kiedy zajrzeli do *Gitré Üthu*, nie byli w stanie zrozumieć obliczeń dokonanych przez Luana Zye. Rodzące się wątpliwości co do szczerości syna i córki *pékyu* sprawiły, że Luan nie zapisywał każdego kroku swoich kalkulacji i pomijał istotne części swojego wyводу. Ostateczny model był tak zawily i abstrakcyjny, że nie dało się odtworzyć procesu myślowego towarzyszącego jego powstawaniu. Mimo doskonale przygotowanej intrygi Lyucu nie zdołali do końca oszukać głównego stratega Dary.

Mieli tylko jedną datę, a potrzebowali więcej. *Pékyu* Tenryo zaczął od prób przekonania Luana. Oferował mu niezmierzone bogactwa i obiecywał uczynić go potężnym thanem, kiedy już zdobędą Darę.

Luan śmiał mu się w twarz.

Następnym krokiem były tortury. *Pékyu* znalazł wiele efektywnych sposobów zadawania bólu, które doskonale sprawdzały się w przypadku słabych ludzi z Dary.

Wyrwano więźniowi wszystkie paznokcie u stóp, jeden po drugim, a ten, wrzeszcząc, całkiem zdarł sobie gardło. Jego uda przywiązano do długiej kościanej ławki, a nogi wygięto do góry, tak że pękły w kolanach; Luan zawodził tak, że pilnujący go strażnicy pobledli.

Lecz gdy przynosili mu *Gitré Üthu*, tylko kręcił głową.

Trzymali go pod wodą i wyciągali dopiero wtedy, gdy przestał się szarpać. Kładli mu na pierś ciężkie kamienie, aż tracił przytomność. Po tym wszystkim na sam widok wody albo kamieni Luan trząśł się ze strachu i na próżno próbował wyrwać się swoim strażnikom.

A jednak gdy przynosili mu *Gitré Üthu*, tylko kręcił głową.

– Wojownik Lyucu nie pisnąłby nawet wtedy, gdyby jego nogi płonęły w ognistym oddechu garinafiny – rzekł *pékyu* Tenryo, marszcząc brwi. – Jak wszyscy wydelikaceni ludzie z Dary, drzesz się jak dziecko przy pierwszym bólu. Najwyraźniej nie masz w sobie ducha wojownika.

– Nie ma wstydu w krzyku, gdy się cierpi – odparł Luan Zya. – Nie ma też hańby w przyznaniu się do strachu. Prawdziwą odwagą jest akceptowanie bólu i przerażenia, wciąż robiąc to, co słuszne.

Wściekły *pékyu* Tenryo poprzysiął, że żywcem obedrze Luana ze skóry, kawałek po kawałku. Jednak Tanvanaki przypomniała mu, że wciąż potrzebują skrywanych przez mędrca tajemnic, a zabicie go nie zbliży ich do osiągnięcia celu.

– Masz lepszy pomysł? – zapytał *pékyu*.

– Dla ludzi z Dary bardzo ważna jest ich filozofia – powiedziała Tanvanaki. – A ja rzeczywiście mam pomysł, który powinien zadziałać. Czasami najbardziej efektywne formy tortur to te dręczące nie ciało, lecz duszę.



Luan Zya raz jeszcze został przyniesiony na noszach do namiotu tortur, lecz tym razem rozebrano do naga i przywiązano do słupa nie jego, a Ogę Kidosu.

– Jeśli nie zrobisz tego, o co prosimy – rzekł *pékyu* Tenryo – nie ciebie będziemy dręczyć.

Strażnik Lyucu przejechał kamiennym ostrzem po klatce piersiowej Ogi i zerwał cienki pasek skóry. Oga wrzasnęła, z rany pociekła krew.

Luan wzdrygnął się. Popatrzył na *pékyu* Tenryo morderczym wzrokiem, jakby z jego oczu zaraz miał wystrzelić ogień.

– Kamienny nóż jest bardzo ostry – oznajmił łagodnie *pékyu*. – Twój przyjaciel poczuje tysiąc takich cięć, zanim umrze.

Oga wrzasnęła niezrozumiale, kiedy strażnik znowu z wprawą machnął nożem. Po sekundzie na jego ciele pojawiła się druga rana.

– Po jego śmierci – powiedział *pékyu* Tenryo – wybiorę jedno z dzieci zrodzonych z mieszanych par i zrobię z nim to samo. Po śmierci dziecka wezmę następne.

Wielu przybyszów z Dary miało dzieci z Lyucu, splodzonych albo w okresie, gdy traktowano ich jak królów, albo później, gdy zostali niewolnikami – stosunków tych nigdy nie podejmowano między równymi sobie, lecz dzieci, niewinne przecież, i tak się rodziły. Większość potomków mieszanego pochodzenia była traktowana przez Lyucu jak niewolnicy.

Luan zacisnął szczęki i zaczął zgrzytać zębami. Na jego czoło wystąpiły pulsujące żyły.

– Ciebie nikt więcej nie skrzywdzi – powiedział *pékyu* Tenryo. – Zamierzam dogadzać ci tak, żebyś żył dość długo, by móc rozmyślać o tym, ilu ludzi skazałeś na śmierć.

Jego przemowę przerwał kolejny wrzask Ogi.

Luan próbował rzucić się na strażnika, lecz mocne sznury ze ścięgien przytrzymały go w miejscu.

– Nie ja jestem za to odpowiedzialny!

– Ależ z ciebie hipokryta! Wasi mędrcy bez końca mówią o wartości ludzkiego życia i braku różnicy między działaniem a zaniechaniem. A jednak próbujesz zaprzeczać, że jesteś taki sam jak ten człowiek, który trzyma nóż. Masz możliwość powstrzymania go w dowolnym momencie za pomocą jednego skinienia. Dopóki tego odmawiasz, można powiedzieć, że osobiście dzierżysz ostrze.

Strażnik machnął nożem trzykrotnie, a wrzaski Ogi zwały się ze sobą, tworząc przeciągły, nieludzki dźwięk.

– Stop! Stop!

Pékyu Tenryo popatrzył na Luana z uśmiechem.

Stary mędrzec kiwnął głową na znak poddania się. Gdyby był młodzieńcem z determinacją dążącym do zemsty za niesprawiedliwość, może i zdołałby odmawiać mimo rozdzierających serce wrzasków torturowanego Ogi. Gdyby był młodym strategiem, który na chłodno doradził swojemu królowi, by zdradził przyjaciela, żeby zapewnić poddanym trwały pokój, może uznałby dobro milionów ludzi za ważniejsze niż dobro jednego cierpiącego człowieka.

Jednak z wiekiem osłabło jego przywiązanie do logiki i nie mógł znieść myśli, że stanie się przyczyną tortur przyjaciela. Sentymenty czynią z nas głupców, a jednak bez nich stalibyśmy się ledwie bezmyślnymi pionkami w niepojętych grach bogów.



Luan Zya wyprowadził ze wzoru nowe daty otwarcia się przejść w Ścianie Burz.

– Dotyczy to tylko północnej części Ściany, ponieważ właśnie z jej obserwacji mam najwięcej notatek – wyjaśnił. – A im dalej w przyszłość, tym mniej pewne są moje przewidywania.

Aby zweryfikować informacje podawane przez Luana, *pékyu* Tenryo zabrał mu wyniki oraz towarzyszące im zapiski, a następnie kazał wykonać je od nowa. Uznał, że jeśli Luan zmyślał, to gdy zostanie zmuszony do ich odtworzenia, nie zdoła zrobić tego dokładnie. Kazała mu dokonać obliczeń trzykrotnie i trzykrotnie Luan przedstawił takie same wyniki.

Wciąż nieprzekonany, Tenryo zmusił Luana, by dokonał różnych kalkulacji inżynierskich, by zgodnie z nimi można było zmodyfikować statki-miasta na

potrzeby transportu garinafin. Kiedy po wykonaniu niezbędnych modernizacji statki z powodzeniem przeszły sprawdzian i utrzymały się na otwartym morzu ze skrzydlatymi bestiami na pokładzie, *pékyu* wreszcie uwierzył, że mędrzec z Dary naprawdę się złamał.

W rzeczy samej, Luan Zya stał się uległy i posłuszny. Kiedy jego nogi się zrosły, kuśtykał wsparty o kule i spełniał wszelkie prośby *pékyu*. Wymyślił sposób na udoskonalenie wewnętrznych grodzi i komór statków-miast, by lepiej przechowywać jedzenie i broń niezbędną do przeprowadzenia inwazji. Zaprojektował specjalne luki dla garinafin, żeby mogły podróżować we względnej wygodzie. Wyliczył najlepszy sposób na rozmieszczenie bydła i ludzi, żeby lepiej znosili gwałtowne burze.

– Dlaczego? – pytał go Oga.

Luan kręcił głową i milczał.

Jednak Oga nie zamierzał odpuszczać.

– Ja bym się zabił na twoim miejscu. Dla mojej córki i dla wszystkich córek i synów Dary.

Luan westchnął.

– Nawet po mojej śmierci zdołaliby się dostać do Dary. Jestem starym i słabym człowiekiem. Chciałbym jeszcze raz spojrzeć na swoją ojczyznę.



Flota wyruszyła wyznaczonego dnia. Z pokładu statków-miast wojownicy machali na pożegnanie tym, którzy pozostali na lądzie. Płynęli na podbój raj.

Dwadzieścia statków-miast wypełnionych ludźmi, bydłem i garinafinami dało się ponieść prądowi oceanicznemu. Wojownicy postawili żagle i sunęli przed siebie, a wyglądali przy tym jak góry lodowe z dalekiej północy. Zabrali mniej niż połowę jednostek z pierwotnej ekspedycji Mapidérégo – reszta miała zostać zachowana do czasu, aż trzeba będzie wysłać wsparcie.

Kiedy Luan odzyskał w pełni sprawność w nogach, mógł zacząć się poruszać po statku. Większość czasu spędzał na badaniu garinafin – rysował ich szkice w *Gitré Üthu* i wypytywał ich opiekunów o zwyczaje skrzydlatych bestii. *Pékyu* Tenryo, który znajdował się na tym samym statku, uznał zachowanie Luana za przejaw jego ekscentryczności. Nawet człowiek o złamanym duchu musiał mieć jakieś zajęcie.

Statki-miasta przyspieszyły, gdy prąd zyskał na sile.



Ostatecznie flota dotarła do Ściany Burz kilka dni przed czasem. Statki uwolniły się z prądu oceanicznego i czekały przed cudowną zasłoną z cyklonów blisko miejsca, które dwa lata wcześniej wyznaczył Luan Zya.

– Nadeszła chwila prawdy – rzekł *pékyu* Tenryo do Luana. – Wkrótce dowiemy się, czy faktycznie jesteś tak mądry, jak ci się wydaje.

Luan milczał.

W wyznaczonym dniu każdy obecny na pokładzie patrzył z wyczekiwaniem na Ścianę Burz. Wydawało się, że w kotłującym się słupie wody i chmur nie zachodzą żadne zmiany, lecz nagle krzyżujące się błyskawice zaczęły uderzać w jednym rytmie.

Zupełnie jakby cała zasłona cyklonów zmieniła się w pulsujące rozbłyki oślepiającego światła. Jednocześnie cyklony zaczęły się rozsuwać niczym karni żołnierze, którzy w ferworze bitewnym z obu stron niespodziewanie usłyszeli rozkaz odwrotu. Między rozsuwającymi się zasłonami stopniowo pojawiał się cienki prześwit, niczym na scenie przed rozpoczęciem przedstawienia trupy wędrowniej. Na wszystkich statkach-miastach rozległy się triumfalne okrzyki. Ryzyko się opłaciło. *Pékyu* Tenryo spojrział na Luana, którego twarz przybrała niejednoznaczny wyraz.

– Dokonałeś czegoś niesamowitego – powiedział *pékyu* i jego podziw był szczery. – Twoje imię przejdzie do historii jako imię pierwszego człowieka, który pojął tajemnicę tego cudu natury.

– Wszechświat da się poznać – mruknął Luan i nie dało się ocenić, czy powiedział to ze smutkiem czy z radością.



Tamtej nocy – po dzikim świętowaniu – *pékyu* Tenryo zaprosił Luana do własnej kajuty na *kyoffir*. Serdecznie odnosił się do swojego uczonego zwierzątka.

– Zostaniesz zapamiętany jako bohater *Lyucu* – rzekł.

– I zdrajca mojego ludu – odparł Luan.

– Nie bądź taki ponury. Na dobro i zło należy patrzeć z wielu perspektyw. Gdybyś nam nie pomógł, wielu sędziwych *Lyucu* musiałoby umrzeć zimą, wiele dzieci nie mogłoby przyjść na świat.

– Tyrani wszystko potrafią usprawiedliwić gdybaniem.

Pékyu Tenryo roześmiał się.

– W takim razie spróbuję inaczej. Skoro twoja ojczyzna jest taka wspaniała, czyż nie jest grzechem trzymanie jej wyłącznie dla siebie? Ci urodzeni na mniej płodnych ziemiach również zasługują na podziwianie piękna przyrody. Zawsze byłeś niespokojnym duchem i chęć poznania cudowności wywiodła cię z *Dary*. Dlaczego miałbyś zabraniać innym wolności podróżowania, którą uważasz za swoje naturalne prawo?

– Twoim zdaniem inwazja jest moralnie równa podróży badawczej?

– Z pewnością niewielką widziałem różnicę między jednym a drugim, kiedy na naszym lądzie pojawił się admirał *Krita* i ogłosił się królem.

Luan *Zya* westchnął.

– Byłbyś doskonałym płatnym prawnikiem.

Pékyu Tenryo już miał zapytać o szczegóły dotyczące tej egzotycznie brzmiącej profesji, kiedy nagle ogarnęły go zawroty głowy i upadł na stół, przewracając czaszkę, z której wylała się resztką *kyoffiru*.

Luan *Zya* wstał, poszukał w futrze *pékyu* kluczy, z którymi ten nigdy się nie

rozstawał, i wybiegł z kajuty.



Otworzył drzwi do magazynu, który zawsze pozostawał zamknięty.

Uderzył w niego silny zapach dymu i ognia, niemal pozbawiając go tchu.

Luan Zya nie wiedział, co trzymano w tym pomieszczeniu – wiedział tylko, że stajenni milkli za każdym razem, kiedy rozmowa schodziła na ten temat. Z pewnością drzwi pozostawały zamknięte, a Luan był przekonany, że *pékyu* posiada jedyny klucz. Najwyraźniej cokolwiek znajdowało się w środku, było niezwykle istotne dla powodzenia misji.

Uzbroił się w cierpliwość i czekał na odpowiedni moment. Dając się nabrać na sztuczki Cudyu i Vadyu, zdradził już sekret przedostania się przez Ścianę Burz. Jedynym sposobem, by odpokutować ten grzech, był sabotaż inwazji. Zrobił już jedną rzecz, która być może pokrzyżuje plan Lyucu, by zniewolić Darę, lecz potrzebował jeszcze jednej, aby zyskać pewność. Zastanawiał się, czy zabić pogrążonego we śnie *pékyu*, lecz to mogłoby doprowadzić do szybszego odkrycia jego zdrady i przeszkodzić mu w dostaniu się po cichu do strzeżonego pomieszczenia i dokonania sabotażu. Ostatecznie wybrał więc mniej oczywistą drogę. *Pékyu* był potężny i pomysłowy, lecz jego miejsce mógł zająć inny than – na przykład przebiegła Tanvanaki. Tymczasem zawartość tego magazynu mogła się okazać niezastąpiona. Miał nadzieję, że podjął właściwą decyzję.

Zyskał zaufanie Lyucu, udając, że się poddał. Grał rolę słabego i głupiego człowieka, który nie rozumiał, że czasami, aby powstrzymać zło, muszą cierpieć niewinni ludzie. Sprawił, by *pékyu* go nie doceniał. Wszystko to robił dla tej właśnie szansy. Dla tej chwili.

W pomieszczeniu znajdowały się sterty plecionych worków, a w nich jakieś ziarno – może silny lek albo pokarm, który dawał wojownikom dodatkową siłę? Cokolwiek to było, Luan zamierzał to zniszczyć.

Jednak ten intensywny, gryzący zapach – jakby coś się paliło – dezorientował go. Był pewien, że już go kiedyś czuł. W jego głowie pojawił się obraz balonu, którym podróżował razem ze swoją najlepszą uczennicą, Zomi Kidosu. Nie wiedział dlaczego.

Tak czy inaczej, nie mógł dłużej zwlekać. Był czas na zbieranie informacji i był czas na działanie. Garu nauczył go tego dawno temu. Luan wylał na worki olej do lamp, który ukradł z magazynu, a następnie rzucił na nie zapaloną pochodnię i patrzył, jak w jednej chwili płomienie obejmują całą zawartość pomieszczenia.

Śpiesząc do wyjścia, w myślach odhaczał poszczególne punkty na liście. *Gitré Üthu* leżała bezpiecznie w zapomnianym kącie luku, gdzie raczej nikt jej nie znajdzie. W chwili słabości zapisał w niej ostatnią wiadomość do Gin, kochanki, o której nie potrafił przestać myśleć i której nie mógł przekonać, by przestała gonić za władzą i zaszczytami. Cóż, może jednak to on był głupcem: próbował spełnić własne marzenie – gdzie go to zawiodło?

Cieszyłby się, gdyby książka przetrwała i ostatecznie trafiła do kogoś, kto będzie potrafił się nią posłużyć, lecz nie było to konieczne. Nie miał już nic więcej do stracenia.

Wbiegł do wąskiego korytarza, który prowadził do jego kabiny, i mocniej ścisnął łopatę do gnoju, którą złapał po drodze. Przez chwilę wydawało mu się, że znowu trafił do pałacu w Pan, który wybudowano dla cesarza Erishiego, gdzie walczył u boku Garu pośród płomieni.

Zamierzał stać w tym miejscu i zatrzymać strażników Lyucu na tak długo, jak tylko będzie w stanie. Im dłużej zdoła, tym więcej tajemniczej zawartości magazynu zdąży się spalić.

– Trzeba było mnie zaprosić.

Oga Kidosu pojawił się w zasięgu wzroku. Niósł ze sobą dwa miecze z Dary, które jego than zabrał na statek jako trofeum.

Luan był zdumiony.

– Nie chcesz zobaczyć Zomi i Aki? – Przyjął jeden z mieczy od Ogi i odrzucił łopatę.

– Obowiązkiem rodziców jest walczyć, żeby oszczędzić tego swoim dzieciom.

Luan się uśmiechnął.

– W takim razie zapraszam, przyjacielu. Zróbmy, co w naszej mocy.

Strażnicy zaatakowali ich w ciemności, a Luan i Ogi wznieśli bojowe okrzyki i dźgali na oślep.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy Pułapka

Rui: drugi miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

– W końcu nas pokonali... magazyn spłonął... związali nas obu w luku... nie zabili nas... byśmy byli świadkami zniszczenia ojczyzny...

Głos Ogi Kidosu cichnął, aż w końcu nawet z uchem przystawionym do jego szepczących ust Zomi niemal niczego już nie słyszała.

– Dumny... z córki... dumny... choć raz zobaczyć...

Potem usta przestały się poruszać. Dziewczyna położyła głowę na piersi ojca i została już tylko cisza.

Przytrzymała jego dłonie przy twarzy i gorące łzy zalały pomarszczoną skórę, która była coraz zimniejsza i sztywniejsza.

Leżący na drugich noszach Luan poruszył rękami. Zomi pochyliła się, by mu pomóc. Spojrzała w jego niewidzące oczy i krzyknęła:

– Nauczycielu! Tu jestem!

Dłonie poruszały się w jej objęciach jak śliskie ryby. Zomi puściła je i patrzyła, jak tańczą w powietrzu.

Odwróciła się i zawołała:

– Wosk do pisania! Szybko, on coś próbuje powiedzieć.

Pozostali zebrani w sali audiencyjnej rzucili się do pomocy i zaraz ktoś przyniósł na tacy miękki wosk. Zomi przytrzymała tacę i położyła na niej dłonie nauczyciela. Choć pozbawiony wzroku, zaczął ugniatać plastyczną masę.

Zomi patrzyła, jak na tacy powstają logogramy, jeden po drugim. Zauważyła, że dłonie nauczyciela pracują coraz wolniej, ospalej. Łzy płynęły po jej twarzy nieprzerwanie; czuła, że zaraz pęknie jej serce.

Zważ rybę, wszechświat da się poznać.

Cruben wypływa; podnawka się odkleja.

Płaczące dziecko, uspokajający je rodzic,

Kompani o wielkim duchu, bracia,

Odbierające siły senne czuwanie

Empatia otaczająca cały świat.

Wyobrazić sobie nowe maszyny, zobaczyć nieznanne lądy,

Uwierzyć, że laska królów należy do wszystkich.

Wdzięcznym.

Oto było podsumowanie jego życia, ostatni krzyk dzikiej gęsi zrywającej się znad jeziora.

Ostatni logogram nabral kształtu; palce zamarły. I z ostatnim, ledwo słyszalnym oddechem Luan Zya zgasł.

Zomi odsunęła się i uklękła przed parą noszy. Dotknęła czołem podłogi przed Ogą Kidosu.

– Jesteś twórcą mego ciała i formą mego ducha, ojcze. Chociaż w ciągu całego mojego życia widzieliśmy się zaledwie dwukrotnie, w chwili moich urodzin i chwili twojej śmierci, srebrzysty promień twojego odejścia już zawsze będzie rozświetlać potężny ocean mojej pamięci.

Odwróciła się i dotknęła czołem podłogi przed Luanem Zya.

– Jesteś rodzicem mego umysłu i nauczycielem ducha, Luanie Zyaji...

Szloch nie pozwolił jej dokończyć.

Nikt nie oponował, kiedy użyła zaszczytnego miana, chociaż zgodnie z tradycją tylko królowie i cesarze mogli obdarzać nim wielkich mędrców.

Przygotowano szczegółowy raport i wysłano go do Pan. Niektórzy uważali, że najlepiej będzie dołączyć do niego także *Gitré Ūthu*, lecz Than Carucono spojrzal na pogrążoną w żalobie Zomi Kidosu, która ścisła książkę tak, jak tonący człowiek chwytła się ostatniej unoszącej się na wodzie rzeczy, i pokręcił głową. Książka trafiła tam, gdzie powinna.



Ciała Ogi Kidosu i Luana Zyi spoczywały w wielkiej sali audiencyjnej. Po odpowiednio długim okresie żaloby Zomi miała zabrać w celu pochówku w rodzinne strony zmarłych – do Dasu i Haanu. Zważywszy jednak na panującą tam wojnę, prawdopodobnie będzie musiała z tym poczekać.

– Dlaczego nie odebrałeś ciała swojego ulubieńca, Stary Żółwiu, tak jak zabraliśmy ciała naszych w chwili ich apoteozy?

– Luan zawsze wierzył, że wszechświat da się poznać. Otoczenie jego śmierci tajemnicą byłoby niewłaściwe.

– Dziwne masz pomysły na honorowanie śmiertelników, Lutho.

– Wiele myślałem o naszych relacjach ze śmiertelnikami. Może nie poznaliśmy jeszcze bogów Lyucu, lecz czy nie zauważyliście, że najeźdźcy zaczęli się do nas modlić, nadając nam imiona swoich bogów? Czujecie się zaszczytzeni czy wręcz przeciwnie?

Than Carucono i Zomi Kidosu dyskutowali o planie sprowadzenia cesarza na Rui.

– Sądząc po doświadczeniach Luana Zyi, *pékyu* Tenryyo jest przebiegłym i cwany przeciwnikiem – powiedziała Zomi. – Zanim wezwiemy cesarza, powinniśmy się upewnić, że to rzekome wycofanie się nie jest sztuczką.

– Jeśli jednak będziemy zbyt długo zwlekać, damy Tenryyo szansę na przegrupowanie się. Im dłużej czekamy, tym bardziej prawdopodobne jest, że Tenryyo umocni swoją pozycję. Myślę, że powinniśmy kuć żelazo, póki jest gorące. Obecność cesarza podniesie morale żołnierzy i wzbudzi strach wśród barbarzyńców, a negocjacje w celu zapewnienia bezpieczeństwa księciu Timu będą się odbywać skrupulatniej.

Zomi westchnęła. Do tego czasu zdążyła wystarczająco dużo dowiedzieć się o tym, jak działa świat, żeby zdawać sobie sprawę, że w rzeczywistości Than Carucono martwi się, iż to on poniesie karę, gdyby w akcie desperacji Tenryyo zdecydował się skrzywdzić księcia. Wolał mieć cesarza Ragina na miejscu, żeby nie musiał stawiać czoła gniewowi cesarskiej pary, gdyby coś poszło nie tak. Może i było to słuszne zagranie polityczne, lecz niekoniecznie dobra strategia wojskowa.



Kiedy sterowiec pocztowy dotarł do Pan, Kuni natychmiast rozpoczął przygotowania do podróży na Rui z pozostałą częścią armii.

– Przestrzegam cię przed podjęciem tego kroku – rzekł MÜN Çakri. – Sytuacja panująca na Rui jest wciąż niepewna. Moim zdaniem powinieneś wziąć pod uwagę obiekcje Zomi.

– Dlaczego nagle stałeś się taki ostrożny? – zapytała Jia. W jej głosie dało się słyszeć ostrą nutę. Nie mogła się doczekać ponownego spotkania z Timu, a w jej głowie pojawiła się myśl, że MÜN mógłby chcieć wydłużyć czas trwania wojny, żeby wzmocnić swoją pozycję.

– Marszałek zawsze uczyła nas, że jest czas na działanie i czas na czekanie – odparł MÜN. – Nie ufam temu szybkiemu zwycięstwu i rzekomej porażce obrony Lyucu.

– Marszałek nie walczy w tej wojnie – rzekł Kuni, również ostrym tonem. – Jadę bez względu na to, czy zamierzasz mi towarzyszyć. Tu chodzi o mojego syna. Jestem pewien, że ze wszystkich ludzi akurat ty jesteś w stanie to zrozumieć.



Cesarz Ragin pojawił się w Kriphi razem z generałem MÜNem Çakrim oraz posiłkami w postaci dziesięciu tysięcy żołnierzy, a także sterowców zaopatrzonych w miotacze ognia.

Ponieważ Lyucu nie ufali swoim załogom – które składały się głównie z dawnych żołnierzy cesarskich – uziemili sterowce zwiadowcze używane w Dasu.

Najeźdźcom brakowało również umiejętności zarządzania dużą flotą sterowców bojowych, w czasie odwrotu zatopili więc wszystkie znajdujące się w górskiej bazie, żeby nie dostały się w ręce przeciwnika. Zbudowanie kolejnych zajęłoby wiele czasu, zatem te towarzyszące cesarzowi były ostatnimi w całej Darze.

Mün Çakri zarządził powolny i równy marsz w pościgu za Lyucu. W tym czasie dowodzący flotą cesarskich sterowców Puma Yemu posyłał je na błyskawiczne ataki na oddziały wroga. Nie miały one na celu powodowania szczególnych strat, lecz zużywanie energii garinafin. Lyucu w odpowiedzi podzielili skrzydlate stwory na grupy, które na zmianę człapały po ziemi dla odpoczynku albo wzbijały się w powietrze, by zająć się dręczącymi armię sterowcami Pumpy. Barbarzyńcy powoli wycofywali się na wybrzeże, zmuszając cywilów do podróżowania razem z nimi w charakterze żywych tarcz. Garinafiny, płochliwe po porażce odniesionej w ostatniej walce przeciwko siłom powietrznym cesarstwa, trzymały się w bezpiecznej odległości od sterowców. Obie strony tańczyły w powietrzu, nieśmiało szukając nawzajem swoich słabych stron, lecz nigdy w pełni nie angażując się w walkę.

Pékyu Tenryo wysłał więcej garinafin do obrony statków-miast, które zrzuciły kotwice przy zachodnim brzegu Rui. Obecność skrzydlatych bestii miały uniemożliwić oddziałom Dary bombardowanie albo ukradkowy atak mechanicznych crubenów.

Ogólny plan *pékyu* najwyraźniej polegał na tym, by dostać się na wybrzeże i wejść na pokład statków-miast. Kiedy udałoby mu się to osiągnąć, mógłby albo wycofać się do Dasu, by tam po raz ostatni próbować się bronić, albo uciec na otwarte morze.

– Musimy go zatrzymać, zanim dotrze na brzeg – oznajmił Kuni, a Than Carucono zabrał oddział kilkuset konnych, by zakraść się przed czoło pochodu Lyucu i porwanych cywilów. W pewnym oddaleniu od brygady poleciało kilka sterowców wyposażonych w miotacze ognia, żeby odwrócić uwagę patrolujących garinafin. Gdyby Than zdołał odciąć wycofującemu się wrogowi dostęp do morza, armia cesarza miałaby szansę go otoczyć.

Zomi Kidosu zgłosiła się do oddziału konnego Thana Carucono. Zimowa pogoda sprawiła, że uprząż na jej nodze stała się sztywna i utrudniała chodzenie, w związku z tym jazda na koniu dawała jej więcej mobilności. Wykorzystała to, by trzymać się z dala od brygady kawalerii i obserwować odbywający się w dali powietrzny taniec garinafin i sterowców. Chociaż Luan Zyaji stworzył w *Gitré Üthu* szczegółowe notatki na temat tych stworów, Zomi wiedziała, że nic nie może się równać bezpośredniej obserwacji – wazeniu ryby.

Załogi cesarskich sterowców oraz piloci garinafin walczyli już ze sobą wystarczająco wiele razy, by poznać nawzajem swoją taktykę. Przewaga sterowców polegała na tym, że mogły pozostawać w powietrzu niemal bez końca, a miotacze ognia miały większy zasięg niż ognisty oddech garinafin, z kolei skrzydlate stwory były szybsze i bardziej zwrotne. Dopóki załogi sterowców pozostawały skupione i trzymały się bezpiecznych formacji eliminujących słabe punkty, mogły obronić się

przed bestiami, chociaż nie miały dość siły, by je dogonić i zaatakować.

Kidosu starannie szkicowała garinafiny w akcji i obserwowała, czy w trakcie walki wydają się szczególnie bronić jakiejś części swojego ciała. Poświęciła nawet czas, ku konsternacji pozostałych członków brygady, na zbadanie garinafiniego łajna. Nie była do końca pewna, czego właściwie szuka, ale wierzyła, że Gin Mazoti miała rację: poznanie garinafin stanowiło klucz do ich pokonania.

Od czasu do czasu niektórym cywilom udawało się uciec przed armią Lyucu i przedostać pod skrzydła jeźdźców Carucono. Było ich znacznie mniej, niż się spodziewał, a w trakcie przesłuchań okazało się, że powodem jest system zarządzania za pośrednictwem dziesiętników obmyślony przez zdrajcę Ra Olu – nawet jeśli ktoś miał szansę na ucieczkę, niewielu się na nią decydowało, wiedząc, że ich sąsiedzi będą musieli za to zapłacić. System Ra Olu efektywnie pomagał Lyucu zapewnić sobie kontrolę nad całą ludnością, a Carucono przeklinał dawnego regenta.

Kiedy skończył wypytywać uciekinierów o morale i rozmieszczenie wycofujących się oddziałów wroga, chciał posłać ich do Müna Çakriego, który prowadził główną armię i mógł zapewnić im ochronę. Jednak Zomi Kidosu zostawiła ich przy sobie na dłużej i zadawała im wiele pytań o garinafiny: ilu ludzi jest oddelegowanych do karmienia i pielęgnowania każdego stwora, ile jedzą i jak długo w ciągu dnia, jaki jest ich ulubiony pokarm; jak często się wypróżniają i jaką formę przyjmują ekskrementy, i tak dalej.

Thanowi Carucono te pytania niekoniecznie wydawały się pożyteczne.

– Zamierzasz zostać hodowcą garinafin?

Zomi Kidosu pokręciła głową. Dla większości mieszkańców Dary garinafiny były potworami z koszmarów, lecz ona i jej nauczyciel rozumieli, że nawet potwory można poznać.



Aby dotrzeć do wybrzeża, armia Lyucu i porwani wieśniacy musieli przejść przez przełęcz Naza, która znajdowała się na północy Rui. Mieściła się ona w wąszym końcu doliny, między dwoma wysokimi wzgórzami. Dolina miała jakieś półtora kilometra w szerszej części i tam znajdowała się Phada – maleńka osada, która zyskała pewną sławę w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem, ponieważ to tutaj kończył się sekretny tunel wiodący z Dasu do Rui wykopany na zlecenie Gin Mazoti.

Ponieważ tunel powstał na potrzeby wojska, nie nadawał się do celów handlowych bez uprzedniej poważnej inwestycji, a Kuni Garu mądrze uznał, że kontynuowanie zniechęconego projektu rozpoczętego przez tyrana Mapidérégo nie przyniesie mu sympatii poddanych. Dlatego też tunel porzucono i z czasem krater, przez który wydostały się siły Gin Mazoti, został z powrotem zasypany. Niewielu pamiętało o jego istnieniu, nie licząc starych weteranów, którzy walczyli dla Mazoti na początku wojny.

Dolina zwężała się w kierunku zachodnim, a kiedy docierało się do Naza,

wzgórza ścisnęły ją na szerokość zaledwie około stu metrów.

Konni zdolali dotrzeć do przełęczy na kilka dni przed Lyucu, by mieć wystarczająco dużo czasu na zbudowanie imponujących fortyfikacji z kamieni i zwalonych drzew.

Carucono westchnął z ulgą. Dzięki fortyfikacjom nawet ataki garinafin nie będą w stanie ich zniszczyć. Pięciuset konnych wierzyło, że będzie w stanie zatrzymać o wiele liczniejsze oddziały Lyucu aż do czasu przybycia głównej armii dowodzonej przez cesarza i Müna Çakriego.

Zomi spojrzała na monumentalną konstrukcję i zmarszczyła brwi.

– Co cię trapi? – zapytał Than Carucono.

– Nie rozumiem, dlaczego garinafiny nas nie zauważyły – powiedziała Zomi. Spojrzała do góry na sterowce patrolowe unoszące się w oddali; Carucono nie chciał ich bezpośrednio nad głowami konnych, ponieważ to mogłoby dać znak Lyucu, że w przełęczy Naza coś się dzieje. – Dręczyły sterowce przez cały okres naszej obecności w tym miejscu.

– I o to chodziło – żeby nas nie znalazły.

– Ale to wygląda niemal tak, jakby celowo nas unikały! Nie zbliżyła się do nas ani jedna garinafina, zupełnie jakby piloci chcieli sprawić, byśmy uwierzyli, że dali się oszukać, chociaż nie mieli powodu zostawiać w spokoju główną armię Müna Çakriego. Myślę, że oni dobrze wiedzą o naszej obecności tutaj.

– To trochę paranoiczne podejście.

– Czy nie uważasz za dziwne, że garinafiny przestały atakować sterowce?

– Może się zmęczyły i potrzebują odpoczynku. Jak już wspominałaś, dręczyły sterowce wysłane w charakterze przynęty przez całą drogę.

Zomi pokręciła głową.

– Nie używali do tego tych samych zwierząt. Istnieją przynajmniej trzy różne grupy. Kiedy jedna zajmuje się naszymi sterowcami, dwie pozostałe z pewnością odpoczywają.

– Jestem pod wrażeniem tego, jak dokładnie przestudiowałaś ich zwyczaje – powiedział Carucono. – Ale co z tego? Większość skrzydlatych stworzeń pewnie zajmuje się teraz sterowcami Pумы Yemu, które eskortują armię Müna Çakriego. Liczy się tylko to, że dostaliśmy się do przełęczy pierwsi i zorganizowaliśmy obronę. Nawet gdyby garinafiny nas teraz zlokalizowały, nie byłyby w stanie zniszczyć fortyfikacji do czasu przybycia armii. Są skazani na porażkę.

– Jednak nasze plany powiodły się aż za dobrze... Tenryo musi zdawać sobie sprawę, że to najlepszy moment na zasadzkę przed wybrzeżem. Mimo to zamiast ominąć tę drogę albo spróbować dotrzeć tu jako pierwszy, wciąż maszeruje, nie wysyłając garinafin na zwiad. Coś tu nie gra.

– Jeśli wszystko jest dla ciebie intrygą wplecioną w kolejną intrygę – rzekł zirytowany Carucono – nigdy niczego nie przedsięwzięmiesz do końca. Skoro mamy traktować barbarzyńców jako wszystkowiedzących, po co w ogóle zawracać sobie głowę walką?

– Nie to miałam na myśli – zaprotestowała Zomi.

– Czasami lepiej nie komplikować sytuacji. Bogowie może dali dzikusom przewagę, ofiarowując im te niesamowite stworzenia, ale ich posiadanie wpłynęło też na sposób, w jaki pojmują walkę. Dopiero miotacze ognia zrobiły na nich jakiegokolwiek wrażenie, a dowódcy mają tendencję skupiania się na ostatniej groźbie, jakiej musieli stawić czoła. Ponieważ nie spodziewają się niczego po naszych siłach naziemnych, najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie jest takie, że nie uważają, by musieli się silić na ostrożność, dopóki wiedzą, gdzie znajdują się nasze sterowce.

Zomi chciała przekonywać go dalej, lecz nie potrafiła przedstawić wiarygodnej teorii na temat planów Lyucu i pojęła, że nie zdoła wygrać.

Nie uspokoiło jej to ani trochę.



Długo przed tym, jak armia Lyucu pojawiła się w polu widzenia, ziemia zaczęła się trząść od niezdarnych kroków garinafin. Brzmiało to tak, jakby liczne stado słoni przebijało się przez ciemny las przez ziemię albo przetaczały się gromy.

A potem pojawili się oni: tysiące uchodźców pędzonych przez dolinę jak bydło, na chwiejnych nogach, zataczający się ze zmęczenia, ciągnący za sobą dzieci, bez sił po wielu dniach noszenia ciężkich worków paszy i zapasów jedzenia dla wojowników Lyucu. Za nimi maszerowała horda Lyucu w towarzystwie kroczących nieporadnie stworów, których przerośnięte sylwetki kontrastowały z ograniczoną przestrzenią wąskiej doliny.

Serce Zomi waliło jak młot. „Cholera. Dlaczego o tym nie pomyślałam?”

– Co jeśli poślą w naszą stronę cywilów?

– Nie możemy przepuścić Lyucu.

– Ale to nasi ludzie! Nie możemy ich po prostu zabić.

Twarz Carucono przybrała ponury wyraz.

– Musimy utrzymać pozycję.

Żołnierze Dary ustawili się wzdłuż barykady, napinając cięciwy łuków.

Jednak Lyucu nie popędzili tłumu naprzód. Zamiast tego kazali cywilom usiąść przed fortyfikacjami, a wojownicy sami, wraz z garinafinami, ustawili się za nimi. Ich szeregi ciągnęły się poza granicę pola widzenia.

– W dolinie są już oddziały cesarza – oznajmił podekscytowany Carucono, odczytując wiadomość przekazaną za pomocą sygnałów flagowych z unoszących się w powietrzu sterowców. – Mamy ich!



Kuni Garu przyjrzał się ustawionym przed nim barbarzyńcom. Wypatrywał swojego syna. Wojownicy byli odziani w różnobarwną kombinację swych tradycyjnych futer i skór oraz jedwabów i tkanin konopnych popularnych w Darze. Wielu nosiło sznury perel i naszyjniki z metali szlachetnych i drogich kamieni, które zdobyli w podbojach. Chociaż brakowało im dyscypliny, jaką sugerowały identyczne mundury cesarskich żołnierzy, dało się dostrzec pewien splendor w ich aroganckim,

beztroskim wizerunku, który przywodził Kuniemu na myśl jego dawne oddziały, składające się z bandytów towarzyszących mu na początku drogi ku cesarskiemu tronowi.

Za nimi znajdowali się dawni cesarscy żołnierze, którzy poddali się i stanęli po stronie najeźdźców. Mieli wstyd wymalowany na twarzach i odwracali wzrok.

A jeszcze dalej, przed barykadami blokującymi przejście, siedzieli cywile, których przysięgał chronić. Poczul się stary i słaby. „Ile jeszcze wojen będę musiał prowadzić? Ilu jeszcze ludzi zginie?”

Szeregi barbarzyńców rozstąpiły się i na środek przestrzeni między dwiema armiami wyszedł potężny mężczyzna.

– *Pékyu* Tenryo, jak mniemam – rzekł Kuni.

Tenryo pokiwał głową, szeroko się uśmiechając.

– Po goszczeniu księcia Timu przez tyle dni prawdziwym zaszczytem jest spotkać jego ojca, cesarza Ragina.

Kuni zmusił się do zachowania spokoju. Tenryo wspomniął o Timu – to dobry znak. Można było z tego wywnioskować, że jest w nastroju do negocjacji. „Wie, że znalazł się w pułapce, a ja mam przewagę. Po prostu muszę mu dokładnie wyjaśnić, co powinien zrobić”.

– Wiele wyrządziliście szkód, *pékyu* – rzekł. – Przed waszym przybyciem w Darze panował pokój, a śmierć, którą zadaliście niewinnym, splamiła wasze dusze na zawsze.

– Przybyłem szukać lepszego życia dla swoich ludzi – odparł Tenryo. – Nigdy nie będę za to przepraszał.

Wojownicy Lyucu za jego plecami zaczęli uderzać o siebie kościanymi pałkami i toporkami, tworząc przerażający hałas.

Kuni poczekał, aż się uciszą.

– Może i myślałeś, że walczysz o lepsze życie dla swoich ludzi, lecz wyraźnie ci się to nie udało.

Tenryo się roześmiał.

– Mam inne zdanie.

Kuni wbrew sobie podziwiał odwagę i pewność siebie przywódcy barbarzyńców.

– Wiem, że wasze garinafiny są u kresu sił i dlatego nie latają.

– Nawet zmęczone i uziemione garinafiny potrafią stoczyć zacieklą walkę.

– Jednak droga do morza jest zablokowana, a my przewyższamy was liczebnie cztery do jednego. Jak długo waszym zdaniem przetrwacie w tej wąskiej dolinie, zanim nasza armia przetrzebi wasze szeregi? Garinafiny wciąż zdolne do lotu zaprzestaną walki, gdy zestrzelimy pilotów, a te na ziemi można zabić za pomocą kamieni i kłód drewna. Nie macie innego wyjścia, jak podjąć negocjacje.

Tenryo w dalszym ciągu się uśmiechał.

– Założmy, że zgadzam się z twoją analizą. Jakie warunki przedstawi mi cesarz Dary?

– Jeśli natychmiast odłożycie broń i zabijecie garinafiny – nie interesuje mnie,

w jaki sposób – zagwarantujemy waszym ludziom bezpieczny dostęp do statków-miast. Kiedy się tam znajdziecie, opuście Wyspy i nigdy tu nie wróćcie. Obaj wiemy, że wyliczenia Luana Zyaji przewidują pojawienie się przesmyku w Ścianie Burz w przyszłym roku. Do tego czasu możecie pozostać na wyspach piratów.

– Niezbyt to szczodra oferta – odparł Tenryo. – Nie podoba mi się.

Szeregi wojowników rozstały się, ukazując księcia Timu, z rękami związanymi na plecach. Vadyu Roatan pchnęła go do przodu, przytykając mu do szyi stalowy miecz, najpewniej pochodzący z Dary.

„Zachowaj spokój! – upomniał się Kuni. – Nie skrzywdzą Timu; *pékyu* doskonale wie, że w ten sposób straciłby swój jedyny atut w negocjacjach. To jedynie blef, by podbić stawkę”.

– Nie boję się, ojciec – zawołał Timu. Między żołnierzami Dary rozległy się pomruki aprobaty.

Szukając w sobie odwagi, którą odnalazł wiele lat wcześniej, kiedy hegemon groził ugotowaniem jego ojca na jego oczach, cesarz siłą woli zmusił się do spokoju i zaraz rumieńce wróciły na jego pobladłą twarz.

– Jeśli skrzywdzisz mojego syna, nikt z was nie ujdzie stąd żywy.

– Wydajesz się bardzo pewny wygranej – rzekł Tenryo.

– Życie mieszkańców Dary jest ważniejsze od mojego! – krzyknął Timu. – Bądź nieugięty, ojciec!

Kuni zmarszczył czoło. Pewność siebie Tenryo wydawała się podejrzana. Kuni był dobrym graczem i potrafił ocenić, gdy ktoś tylko blefował. Jednak uśmiech wodza... sugerował coś innego.

A potem za jego plecami rozległo się dudnienie.



Krater w wiosce Phada, na długo zapomniany i pozostawiony sam sobie, nagle wybuchł.

Spod ziemi wyłonili się mężczyźni, kobiety i bestie z Ukyu. Garinafiny wzniosły się w powietrze i zaczęły krążyć nad zszokowanymi, zadzierającymi głowy żołnierzami Dary. Wojownicy Lyucu ruszyli na nich, podnosząc tarcze ze skóry garinafin i wybijając rytm na kościanych ramach pałkami i toporkami.

Nie minęło wiele czasu i szersza część doliny się zaludniła. Teraz to armia Dary znalazła się w pułapce, ściśnięta między siłami *pékyu* obecnymi zarówno w wąskiej, jak i w szerokiej części doliny. Tanvanaki poleciała garinafinom zetrzeć się z cesarskimi sterowcami w olśniewającym przedstawieniu, tak by odwrócić ich uwagę, po czym wysłała kilka statków-miast ze skrzydlatymi stworami na pokładzie na wybrzeże Dasu. Stamtąd bestie tunelem przedostały się z powrotem do Rui.

Córka *pékyu*, zainspirowana lekcją, jaką był dla nich niespodziewany atak mechanicznych crubenów oraz opowieściami byłych żołnierzy cesarstwa, wymyśliła własny sposób, jak wykorzystać ideę podwodnej zasadzki: oddziały Lyucu przybyły na pomoc spod oceanu, używając do tego tuneli, dzięki którym sam Kuni niegdyś

podbił Rui.

– Cesarz chciałby zaproponować nowe warunki? – zapytał *pékyu* Tenryo, szczerząc zęby. – Uczyniłem z siebie przynętę i widzę, żeś się nie oparł!

Kuni Garu zamknął oczy, pokonany. Tak się niecierpliwił, chcąc uwolnić syna, że przeoczył znaki ostrzegawcze. Rzeczywiście nie był tak dobrym dowódcą jak Gin Mazoti.

Zomi, która znajdowała się po drugiej stronie doliny, przeklinała się za to, że nie przejrzała wcześniej przebiegłego planu Lyucu.

Mün Çakri popędził do cesarza.

– *Rénga*, chociaż nadal jest nas więcej, tu, w tej wąskiej dolinie, do pewnego stopnia przestaje to mieć znaczenie. A teraz, gdy krąży nad nami tyle garinafin, nie mamy szans skutecznie im się przeciwstawić.

Kuni wiedział, że Mün Çakri stara się go oszczędzić, nie wspominając o największym problemie: obecności cesarza, który właściwie stał się zakładnikiem *pékyu*.

– Co możemy zrobić?

– Jedyne wyjście to przetransportowanie cię w bezpieczne miejsce na pokładzie sterowca. Jeśli wszystkie cesarskie sterowce będą współpracować, powinny stworzyć drogę ucieczki. Reszta tymczasem zostanie i zajmie piechotę wroga. Będziesz musiał nas pomścić.

– Tak nie może być!

– Jeśli tu zostaniesz, zginiesz. A Dara bez cesarza przepadnie!

Sterowce zbliżyły się, by zaatakować świeżo przybyłe garinafiny. Jeden wyjątkowo szybki, „Łaska Królów”, zaczął obniżać lot. Mün Çakri rozkazał swoim żołnierzom zapewnić odpowiednią ochronę cesarzowi, na wypadek gdyby Lyucu postanowili uniemożliwić sterowcowi lądowanie, a Kuniemu dostanie się na pokład.

Kuni spojrzał w dal, na Timu. Oczami wyobraźni zobaczył jego i Théré, jak trzymają się spódnicy Jii, gdy dokoła pada Zudi, a on musi wybierać między pozostawieniem bliskich, żeby kontynuować walkę o lepszą przyszłość, a pozostaniem z nimi za cenę ostatecznej klęski.

Władca musi czasami stawać przed najtrudniejszymi dylematami.

„Łaska Królów” unosiła się nisko nad ziemią. W gondoli pojawił się otwór, przez który spłynęła sznurowa drabinka.

– Szybko, *Rénga*! – krzyknął Dafiro Miro, który znajdował się na samej górze.

– Przepraszam, Timu! – zawołał Kuni. Rozmazał mu się widok.

– Nie boję się, ojciec!

Kuni odwrócił wzrok, żeby ukryć łzy.

– Nie marnujcie niczyjego życia, ani swojego, ani żołnierzy. Walczcie tylko dopóty, dopóki mój sterowiec nie odleci wystarczająco daleko.

Mün Çakri się roześmiał. Na wspomnienie swej dawnej profesji uderzył mieczem o tarczę, do której przyczepione były haki rzeźnickie.

– Panie Garu, naprawdę myślisz, że boję się tych dzikusów? Zobaczmy się niedługo, może będę miał wtedy głowę Tenryo wbitą na hak jak głowę świni.

Kuni chwycił go za ramiona.

– Wiem, że jesteś dumnym człowiekiem, jeśli jednak nie będzie szans na zwycięstwo, poddajcie się. Nie ma wstydu w kapitulacji po godnej walce. Obiecay mi to.

Mün Çakri przyjrzał mu się.

– Od chwili, kiedy dołączyłem do twojej bandy, Kuni, byłem przygotowany na taki koniec. Zadbaj w moim imieniu o Naro i Cacaya-tikę. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę hegemonia na drugim brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Płynie. Może znowu będę mógł się na niego powydzierać.

Uścisnęli się. Barbarzyńcy nie wykonali żadnego ruchu, jakby wciąż zastanawiali się, czy atakować.

Gdy tylko Kuni zaczął się wspinać po drabince, *pékyu* Tenryo krzyknął do niego:

– Cesarzu Raginie! Ledwo zdążyliśmy się poznać. Gdzie ci tak śpieszno? Nie chcesz zobaczyć, jakie rozrywki dla ciebie przygotowałem?

– Uciekaj, już! – wołał Mün. Jednak Kuni zatrzymał się na drabince, żeby się przekonać, co ma na myśli Tenryo. Wciąż nie wierzył w to, że król barbarzyńców mógłby naprawdę skrzywdzić Timu. Dopóki książę był żywy, *pékyu* mógł wywierać naciski na Kuniego.

Jednak Tenryo wcale nie zamierzał grozić Timu. Tanvanaki zaciągnęła go z dala od szeregów Lyucu, a sami wojownicy wycofali się, tworząc między dwiema armiami pas pustej ziemi. Na tę wolną przestrzeń zostało wepchniętych około stu cywilów – rolników, rybaków, mnichów, drobnych handlarzy, a także ich dzieci i rodziców w podeszłym wieku.

Zbili się w gromadkę, przerażeni.



– Mamo! – krzyknęła Zomi.

Wśród cywilów, którzy znaleźli się między jedną a drugą armią, znajdowała się spokojna Aki Kidosu.

Zomi nie wiedziała, jak to możliwe – przecież jej matka była prostą wieśniaczką z Dasu, żyła daleko od Rui.

A potem zrozumiała. Za pieniądze, jakie zdobyła jako ważna doradczyni królowej Gin, zbudowała matce duży dom i zatrudniła służbę, myśląc, że dzięki temu matka zazna odpoczynku. Tej jednak nie podobało się, że inni mieszkańcy wsi przychodzili do niej prosić o pieniądze, a przyjaciele przestali uważać ją za jedną ze swoich – zwykłych, prostych ludzi.

Nie mówiła o tym Zomi, wiedząc, że córka miała dobre intencje. Wspomniała jej tylko, że planuje opuścić Dasu, by odwiedzić dalekich krewnych na Rui. Później Zomi była zbyt zajęta pracą, by zdać sobie sprawę, że w konsekwencji jej matka była obecna na Rui w czasie inwazji. Dziewczyna rzuciła się z barykady, lecz Than Carucono złapał ją za nogi i wciągnął z powrotem.

– Puszczaj! – Zomi próbowała wyrwać się z jego uścisku, drapiąc go po rękach.

Than zacisnął zęby. Nie poluzował uścisku.

– Nie dostaniesz się do niej. Nie uda ci się przedrzeć przez wojowników Lyucu.

– Nie obchodzi mnie to!

– Czasami musimy popłynąć z nurtem – powiedział Than Carucono.



– Zamierzam zatrzymać cię jako swojego gościa odrobinę dłużej – zawołał Tenryo. – Jeśli naprawdę zamierzasz odejść, będę musiał sam skorzystać z rozrywek, które przygotowałem.

Kuni przypomniał sobie fragmenty zapisków Luana Zyaji.

Zdawał sobie sprawę, że za chwilę będzie świadkiem czegoś okrutnego, lecz nie potrafił po prostu odwrócić wzroku i kontynuować wspinaczki. Zawsze uważał, że władca ma obowiązek patrzeć na konsekwencje swoich decyzji.

Zatrzymał się, choć Dafiro Miro na górze i Than Carucono na dole nakłaniali go do ucieczki.

Jedna z garinafin wylądowała obok tłumu cywilów. Kobiety, mężczyźni i dzieci rzucili się do ucieczki, ponieważ jednak mieli powiązane kostki, powpadali na siebie i potracili równowagę.

– Cesarzu, proszę, zejdz z drabiny – powiedział Tenryo z uśmiechem.

– Nie słuchaj go! – wołał Mün Çakri. – Idź! Idź! Kuni się zawahał. Spojrzał na płaczących, krzyczących ludzi, a jego ręce i nogi jakby przykleiły się do drabiny.

Jako młody książę niegdyś wycofał się z Pan i pozwolił, by mieszkańcy miasta zostali wymordowani przez armię Maty Zyndu. Ich wrzaski nigdy nie przestały nawiedzać go w snach.

„Czy nie dość już mam oskarżycielskich głosów w głowie?”

Gdy Tenryo machnął zdecydowanie ręką, pilot na grzbiecie garinafiny przytknął tubę głosową do podstawy szyi zwierzęcia i wydał polecenie.

Bestia zniżyła głowę i zamknęła pysk.

– Nie! – krzyknął Kuni Garu i puścił drabinkę.

Garinafina rozwarła gwałtownie szczęki i z głębi jej paszczy wy dostał się czerwony język ognia.

Czas jakby zwolnił. Kiedy Kuni upadał, patrzył, jak płomień obmywa każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, zmieniając ich w słupy ognia. Ich wrzaski osiągnęły przerażające, zsynchronizowane crescendo, by zaraz gwałtownie się urwać.



– Neeeeee! – zawyla Zomi Kidosu. – Matko! Matko! O, bogowie!

Than Carucono trzymał ją jeszcze mocniej.

Scena rozgrywająca się na ich oczach była niepojęta. Jej matka płonęła. Jej

matka umierała. Przymknęła oczy, a doprowadziła do tego koszmaru.



Tam, gdzie chwilę wcześniej setka ludzi walczyła o życie, zostało sto dopalających się stosów pogrzebowych. Spopielone, lecz wciąż żarzące się ciała pozostały w pozach z ostatnich sekund życia: matka chroniąca dziecko, mąż stający przed żoną, syn i córka próbujący przykryć matkę, teraz połączeni w jedną upiorną, dymiącą rzeźbę.

Kuni uderzył o ziemię, a ramiona Müna Çakriego złagodziły upadek. Cesarz poruszał ustami, lecz nie wydostawały się pomiędzy nich żadne słowa. Zamarł i patrzył na rozgrywający się na jego oczach koszmar.

Kilku wojowników Lyucu wystąpiło do przodu i bezceremonialnie dogasiło żarzące się ciała, wysypując na nie przyniesioną w workach ziemię. Następnie na miejsce rzezi przyprawiono około stu kolejnych cywilów. Wrzeszczeli i się opierali, lecz Lyucu byli nieprzejednani – spętali ich i przywiązali do wbitych w ziemię palików. Gdy się wycofali, garinafina raz jeszcze pochyliła głowę. Stojący pośród popiołów nieszczęśnicy krzyczeli i płakali, błagając o litość. Wielu spośród żołnierzy Dary, przytłoczonych i wstrząśniętych potwornym spektaklem, zaczęło wymiotować, gdy do ich nozdrzy dotarł smród pieczonego ludzkiego mięsa.

– Cesarzu, rozkaż swoim żołnierzom rzucić broń, a załogom sterowców wylądować i zaprzestać wszelkiego oporu. Wszystkich sterowców.

Mün Çakri nakazał swoim oddziałom atak, lecz tym jakby nogi wrosły w ziemię. W oczach starego generała zapłonęła wściekłość. Ruszył przez tłum cywilów prosto na samego Tenryo.

– Hijaaa! Pékyu przeciął ręką powietrze. Garinafina kłapnęła szczękami, po czym rozwarła je i zionęła ogniem, z miejsca podpalając biegnącego Müna Çakriego i otaczających go cywilów.

Ognista, martwa postać generała nadal biegła w stronę Tenryo, jakby duch poruszał ciało dłużej niż samo życie. Martwy Mün wpadł na szereg wojowników stojących przed swym wodzem, z których czterech albo pięciu natychmiast zajęło się ogniem. Nieopodal w miejscu stu istnień wyrosło kolejne sto stosów pogrzebowych.

Kuni odzyskał panowanie nad sobą. Ze łzami w oczach, spokojnym głosem rozkazał swym żołnierzom opuścić broń.

– Trzeba było uciekać, Rénga – powiedział Dafiro Miro.

– Jeśli ucieknę, nie będę godzien cesarskiego tronu – odparł Kuni.

Polecił wylądować załogę „Łaski Królów” oraz załogom pozostałych sterowców.



– To moja wina – rzekła odrętwiała z bólu Zomi. – Nie powinnam była nigdy opuszczać domu, moje talenty powinny na zawsze pozostać ukryte. Moja matka zginęła przeze mnie.

– Tylko głupiec by tak pomyślał – powiedział Than Carucono. – Naturą takich

kreatur jak *pékyu* Tenryo jest sprawiać, by jego ofiary zaczynały się obwiniać. Czy matka podzielałaby twoje zdanie? Czy Luan Zyaji podzielałby twoje zdanie?

Zomi wpatrywała się w chaotyczną scenę, jaka rozgrywała się przed jej oczami. Powoli na jej twarzy zaczęła malować się determinacja.

Podjęła decyzję: wykorzysta swoje talenty do cna i zemści się za wszystkich, których kochała.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Decyzja marszałek

Pan: trzeci miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Zomi Kidosu powróciła do Pan na małym sterowcu pocztowym – jedynym, który Lyucu wypuścili z Rui, żeby ocalali mogli opowiedzieć ludowi Dary o horrorze, jakiego byli świadkami. Cesarz Ragin upierał się, by pozwolono jej polecieć razem z wyższymi rangą dowódcami, a Zomi była wdzięczna za zaufanie.

– Pomszczę rodziców – szepnęła cesarzowi. – I uwolnię ciebie, Wasza Wysokość, oraz księcia.

Cesarz pokiwał głową, aczkolwiek Zomi nie była pewna, czy potraktował jej słowa poważnie.

Zabrała na Wielką Wyspę prochy Müna Çakriego, któremu w Zudi, jego rodzinnym mieście, urządzono pogrzeb godny jego stanowiska. Wzięła też ze sobą prochy matki – wymieszane z prochami innych ofiar – a także ciało ojca. Kazała pogrzebać rodziców razem, w trakcie cichej ceremonii na cmentarzu cesarskim w Pan. Ponieważ Dasu znajdowało się pod okupacją Lyucu, lepiej było dla nich spocząć chwilowo tutaj, dopóki ich ziemia ojczysta nie odzyska niepodległości.

Ostatnia skrzynia w sterowcu pasażerskim zawierała ciało Luana Zyaji, któremu wyprawiono wystawny państwowy pogrzeb w Ginpen. Na ceremonii, na której pojawili się możnowładcy z niemal całej Dary, po raz pierwszy widziano Gin Mazoti zapłakaną.

Zomi miała też wiadomość od *pékyu* Tenryo. Król barbarzyńców domagał się całkowitego poddania Dary.



Cesarzowa Jia wezwała do stolicy wszystkich zarządców, generałów, ministrów i arystokratów z własnymi lennami w celu wspólnego przedyskutowania odpowiedzi. Podczas debaty doradcy podzielili się na dwa obozy.

Pierwszy, na czele którego stanął premier Cogo Yelu, przekonywał, że należy spełnić żądania Lyucu.

– Bezpieczeństwo cesarza i księcia Timu jest priorytetem – powiedział Cogo.

– Ojciec nie poparłby oddania Dary w ręce Lyucu – odparł książę Phyro, który przewodniczył zwolennikom wojny. – Najeźdźców jest nie więcej niż pięć tysięcy, a gdyby każdy z setek tysięcy mieszkańców Dary na nich splunął, zdołalibyśmy ich zatopić! Co z tobą, Cogo? Czyżbyś zrobił się płochliwy na stare lata? Poddanie się na zawsze splamiliby honor nas wszystkich i Domu Mlecz.

Gniew zabarwił twarz Cogo.

– To prawda, że mamy przewagę liczebną. Jednak od kiedy straciliśmy dostęp

do góry Kiji – od kiedy straciliśmy swoje ostatnie sterowce! – nie możemy w żaden sposób stawiać oporu garinafinom i ich pilotom.

– Garinafiny nie są maszynami. Męczą się i zużywają swój ognisty oddech. Z pewnością zdołamy je pokonać za pomocą odpowiednio licznej armii i marynarki.

– Ale za jaką cenę? – zapytał Cogo. – Ilu ludzi musi umrzeć w wyniszczającej wojnie, żebyście mogli zachować tak cenną dla was dumę? Cesarz mógł uciec, lecz poddał się *pékyu* Tenryo, żeby mieszkańcy Rui nie umierali za jego osobisty honor. Zamierzasz zniweczyć jego poświęcenie brutalną, barbarzyńską taktyką polegającą na posyłaniu do ataku kolejnych fala ludzi?

Phyro zarumienił się.

– Oczywiście chcę uratować tyle istnień, ile to możliwe. Czy jednak w pełni przemyślałeś konsekwencje kapitulacji? Styl życia Lyucu jest fundamentalnie różny od naszego. Pozbędą się wszystkich pól ryżowych, sadów jabłoni, plantacji jedwabników, młynów wodnych i wiatrowych, a wszystko to zastąpią pastwiskami dla swojego bydła. Oni zamierzają uczynić z mieszkańców Dary niewolników.

– Wcale nie twierdzę, że musimy się całkowicie poddać! – oznajmił Cogo. – Jak słusznie zauważyłeś, Wasza Wysokość, jest ich niewielu. Z pewnością zniechęca ich wizja sprawowania kontroli nad populacją o wiele liczniejszą. Być może uda nam się wynegocjować oddanie im części lądu i uznanie ich zwierzchniej władzy przy jednoczesnym zachowaniu przez cesarza pewnej autonomii w rządzeniu większością terytorium Dary. Z czasem być może uda się zmienić ten podział władzy.

– Dlaczego uważasz, że czas działa na naszą korzyść? Lyucu z pewnością już wysłali posiłki z ojczyzny, żeby zdążyły na następne rozstąpienie się Ściany Burz. Oprócz tego z czasem niektórzy spośród naszych arystokratów uznają, że przejście na stronę najeźdźcy jest dla nich korzystne, czego przykład dał już Ra Olu. Naszą jedyną szansą jest rozpoczęcie walki o swoje w tej chwili i nieustawanie w niej aż do końca!

– Łatwo jest panom w jedwabiaczce i złocie mówić o walce do końca, zwłaszcza kiedy to nie oni będą musieli zapłacić za to wysoką cenę.

Cesarzowa słuchała spierających się mężczyzn, z których żaden nie zamierzał ustąpić. Z jej wyrazu twarzy nie dało się niczego wyczytać.



Jia minęła salę lekcyjną, gdzie Soto Zyndu uczyła księżniczkę Farę historii. Zatrzymała się tuż przy drzwiach i nasłuchiwała.

– Co myślisz o królowej Tho-zu? – zapytała Soto.

– Nie rozumiem, jak Olodze udało się nastawić ludzi przeciwko niej – odparła Fara. – Królowa czekała na powrót męża, więc oczywiście postępowała słusznie, nie odpowiadając w żaden sposób zalotnikom. Dlaczego ktoś w ogóle uwierzył w kłamstwa Ologi?

– Bo wszyscy uważali, że król nie żyje. Nie było go przez dziesięć lat, podczas gdy większość innych wojowników zdążyła powrócić. Uważali królową Tho-zu za

wdowę i dlatego zalotnicy zebrali się w zamku. Nie rozumieli, dlaczego nie chciała wyjść za żadnego z nich.

– Nawet jeśli jej mąż umarł, wciąż żył jej syn. Chciała zachować królestwo dla niego.

– Pamiętaj jednak, że Dacan był bardzo młody, a do tego znajdował się daleko od domu. Dlatego istniała inna interpretacja poczynań królowej Tho-zu. Ologa zasugerował ludziom, że chciała pozostać regentem, ponieważ podobało jej się sprawowanie władzy. W ten sposób Ologa zniszczył jej reputację. Oskarżył ją o ambicje.

– Czy bycie ambitnym jest złe?

– Wielu ludzi uważa, że kobieta nie powinna być ambitna.

Jia weszła do sali.

– Cesarzowa! – Fara wstała i podbiegał do Jii, lecz zanim zdążyła pokonać kilka ostatnich kroków, przypomniały jej się zasady protokołu i zatrzymała się, a potem ukloniła w *jiri*.

Jia podeszła i ją przytuliła.

– Zostawisz nas na chwilę same? Pani Soto cię później znajdzie i dokończy lekcję.

Fara pokiwała głową i wyszła.

Jia usiadła obok Soto. Uderzyła ją cisza panująca w pomieszczeniu. A przecież jeszcze niedawno, kiedy dzieci uczył Zato Ruthi, był tu taki harmider! Teraz Phyro cały swój czas spędzał z generałami, a Théra wyjechała do Ginpen, żeby badać truchła garinafin przywiezione za pomocą mechanicznych crubenów. Z kolei Timu...

Upomniała się, że przecież wszyscy oni nie są już dziećmi.

– Słyszałaś, co się o mnie mówi na ulicach Pan? – zapytała Jia.

– Mam już zbyt dużo trosk, żeby przejmować się jeszcze jakimiś głupimi plotkami.

Jia się uśmiechnęła.

– Nie musisz dbać o moje uczucia. Słyszałam, czego uczyłaś Farę. Temat dostosowany do potrzeb chwili.

Soto nie odpowiedziała.

– Ostatnio nawet Cogo Yelu dziwnie na mnie patrzy. Zupełnie jakby myślał, że to możliwe, bym celowo pozostawała beczynna, ponieważ liczę na to, że mój mąż i syn pozostaną w rękach Lyucu.

Soto popatrzyła na nią.

– Mówiłam ci niegdyś o pani Zy, której rola w historii została w większości wymazana, chociaż to ona w dużej mierze stała za tym, że Lurusén opowiedział się przeciwko xańskiej agresji.

– Właśnie ona zainspirowała mnie do tego, by zająć się polityką.

– A alternatywą dla bycia wymazaną z historii jest niezrozumienie ze strony ludzi, Jia.

– Wiem. Dlaczego jednak to musi być takie trudne? Dlaczego, aby polepszyć

życie ludu, muszę splamić swoje imię w annałach Dary? Dlaczego bogowie tak z nas kpią?

Soto położyła jej rękę na ramieniu, a cesarzowa z wdzięcznością się w nią wtuliła.

– Luan Zyaji miał rację tylko połowicznie – rzekła Soto. – Łaska królów może i należy do wszystkich, lecz nie każdy potrafi unieść to brzemie. Jia rozplakała się cicho w objęciach Soto.



Gin Mazoti została przeniesiona do domu gościnnego niedaleko pałacu, gdzie nie pilnowali jej już strażnicy. Mogła chadzać, gdzie jej się podobało, chociaż wciąż nie miała żadnego tytułu ani wpływów – teoretycznie nadal była zdrajcą.

Nie wychodziła poza podwórko. Nie przyjmowała gości, a poranki spędzała na uczeniu córki sztuki wojennej – za pomocą miecza oraz gry *cüpa*. Popołudniami pisała książkę o strategii militarnej.

– Być może nigdy już nie będę dowodzić armią – powiedziała córce – ale myślę, że warto zostawić po sobie jakieś zapiski, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, iż zasłużyłam sobie na tytuły talentem i ciężką pracą.

Pewnego słonecznego dnia odwiedziła ją Jia.

Gia zaparzyła jej herbaty i wyłożyła suszone owoce. Jej zachowanie się było niczym herbata – łagodne i letnie, jakby za granicami podwórka otaczającego dom gościnny nie działo się nic nadzwyczajnego.

Usiadły po przeciwległych stronach stołu. Przez chwilę wyglądały jak gracze w *cüpa* szykujący się do kolejnej rozgrywki, zaraz jednak cesarzowa z rezygnacją opuściła ramiona.

– Nie wiem, co począć, marszałek Mazoti.

Przyznanie się do słabości wyraźnie nie przyszło jej łatwo. Spuściła głowę, a Gin zwróciła uwagę na posiwiałe włosy przy skroniach i kurze łapki w kącikach oczu. W ciągu kilku miesięcy cesarzowa postarzała się o lata.

– Czasami nie ma dobrych wyborów – powiedziała Gin. – Chociaż w legendach bohaterowie stawiają czoła przeważającej sile wroga i triumfują, w życiu w większości przypadków wygrywa silniejszy.

– Miałas rację, że Kuni może prowadzić generałów, lecz nie nadaje się do dowodzenia armią – rzekła Jia.

– Nie ma wstydu w porażce cesarza. *Pékyu* Tenryo jest doskonałym taktykiem. Jia się zawahała.

– A co gdybym była gotowa ogłosić światu, że zostałam, pani, bezpodstawnie oskarżona, tym samym przywracając ci honor?

Gin popatrzyła na nią.

– Naprawdę mogłabyś to zrobić, Wasza Wysokość? Tylko po to, bym znowu dowodziła siłami Dary? A co z tym wszystkim, o co walczyłaś? Co jeśli arystokraci w przyszłości wykorzystają twoje przyznanie się do winy do wzmocnienia swojej

pozycji?

– Nie mogę gonić za marzeniem o pałacu na księżycu, kiedy dom się pali. Mój mąż i syn potrzebują cię teraz. Dara cię potrzebuje.

Gin wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Jia wpatrywała się w nią, szukając oznak nadziei.

Marszałek wróciła i usiadła.

– Nie.

Jia posmutniała.

– Dlaczego?

– Warunki się zmieniły. Jeśli teraz oczyszcze swoje imię kosztem twojego, Wasza Wysokość, Dara pograży się w chaosie. Tak czy inaczej, nie widzę szansy na zwycięstwo. *Pékylu* Tenryo to trudny przeciwnik, a teraz posiada wszelką przewagę.

– Czy rzeczywiście nie ma nadziei?

– Setki razy sprawdzałam różne warianty, cesarzowo. Nie potrafię znaleźć sposobu na pokonanie Lyucu oraz uratowanie cesarza i księcia.

– A co jeśli musiałabyś ratować tylko Darę? – zapytała Jia.

Gin popatrzyła na nią z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Marszałek Mazoti, nie myśl sobie, że pragnę władzy – wyjaśniła Jia. – Wiem, że nie cieszę się twoim zaufaniem. Jeśli jednak potrafisz przepędzić najeźdźców z naszego wybrzeża, nawet kosztem życia Kuniego i Timu, z miejsca oddam ci funkcję regenta. Kiedy twoim zdaniem Phyro będzie gotowy, pomożesz mu mądrze rządzić.

Twarz Gin wreszcie przybrała inny wyraz: zdumienia.

– Może nigdy nie wierzyłaś, pani, w moje wyjaśnienia i uważałaś mnie za samolubną, małostkową kobietę, która za pomocą dworskich intryg próbuje zabezpieczyć pozycję swojego syna. Pamiętaj jednak, że byliśmy z Kunim gotowi umrzeć, żeby zniszczyć zło w postaci Cesarstwa Xany. Kuni nigdy by mi nie wybaczył, gdybym uratowała go, gotując tym samym mieszkańcom Dary los gorszy niż ten, który był ich udziałem za czasów Mapidérégo. Zawsze robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ludziom. Wierz mi lub nie, ale ja wiem, że nie możemy się poddać. Błagam cię, ratuj Darę, nawet jeśli trzeba będzie poświęcić Dom Mleczka.

Uklękła w *mipa rari* i ukloniła się przed Gin Mazoti, dotykając czołem podłogi.

Gin również przyjęła *mipa rari* i pochyliła się tak, by również dotknąć czołem ziemi.

– Wyznaję, że źle cię oceniłam, Jia. Rzeczywiście jesteś kobietą o otwartym umyśle, godną miana cesarzowej Dary.

Obie się wyprostowały, a Jia spojrzała Gin prosto w oczy.

– Czyli znasz sposób?

Gin pokręciła głową.

– Nawet przy założeniu, że trzeba poświęcić cesarza i księcia, nie widzę możliwości pokonania Lyucu bez skazania na śmierć dziesiątków tysięcy, a może nawet setek tysięcy ludzi. Nawet najlepsze pomysły księżniczki Théry i Zomi Kidosu na nowe rodzaje broni, ulepszone dzięki moim wskazówkom, mogły zagrozić

garinafinom tylko z zaskoczenia. Musiałabym zaciągnąć do walki każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko, by przez dekady prowadzić wojnę na wyniszczenie. Chociaż w swoim życiu zaprowadziłam na śmierć wielu, nie potrafię wyobrazić sobie zapłacenia takiej ceny, nawet po to, by uniknąć niewolnictwa. Przepraszam, Jia. Nie widzę innego wyjścia niż kapitulacja.



– Zomi! – Aya skoczyła i przywitała ją mocnym uściskiem.

– Jak idzie nauka? – zapytała Zomi.

– Mama każe mi ćwiczyć każdego dnia. – Aya wskazała na ciężkie kamienie w kącie. – Mogę już podnieść nad głowę trzy naraz. Myślę, że niedługo będę mogła iść z mamą na wojnę.

Po szybkim przywitaniu Gin Mazoti zaprosiła Zomi na obiad. Usiadły razem z Aya, tak jak kiedyś w pałacu w Nokidzie, kiedy to królowa Gin i jej doradcy dyskutowali o sprawach wagi państwowej.

Zomi wyciągnęła sporych rozmiarów książkę i położyła na stole.

Gin rozpoznała w niej *Gitré Ūthu*, czyli książkę, z którą Luan Zya – teraz Luan Zyaji – nigdy się nie rozstawał. Gin oczywiście przeczytała już raport o przygodach Luana, ale co innego było zobaczyć manuskrypt. Drżącymi rękoma otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Na ostatniej stronie znajdowała się wiadomość:

Dopiero kiedy znalazłem się tak daleko od domu, dostrzegłem jego piękno. Gin, moja ukochana, zobaczymy się po tamtej stronie.

– Co to jest? – zapytała Aya.

– To książka napisana przez twojego ojca – odparła Gin.

– Mojego ojca? – Aya nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrzyła na podpis znajdujący się na ostatniej stronie i po chwili powiedziała: – Myślałam, że nie wiesz, kim on jest.

Wyraz twarzy Gin zdradzał, jak skomplikowane są jej uczucia.

– Kłamałam – przyznała w końcu. – Miłość między nami była... trudna.

– Szkoda, że go nie znałam – odparła Aya. – Czy to dlatego płakałaś na jego pogrzebie?

– Przepraszam. Nie powiedziałam mu o tobie i tobie o nim, ponieważ... bałam się.

– Czego się bałaś?

– Że pokochasz go bardziej niż mnie... To były niemądre obawy, wyraz mojej próżności. Już mówiłam, że to była trudna miłość.

Aya wstała i uciekła od stołu.

– Ja też nie znałam swojego ojca – zauważyła Zomi. – Później pójdę z nią porozmawiać.

Gin pokręciła głową.

– Ma prawo się na mnie gniewać. Postąpiłam źle. Gdybym... Wszyscy musimy płacić za konsekwencje naszych wyborów.

Po chwili ciszy Zomi zapytała:

– Wasza Wysokość, czy zauważyłaś w historii Luana coś, co pomogłoby nam pokonać *pékyu*?

Gin pokręciła głową.

– Luan był bardzo skrupulatny i robił doskonale notatki. Jednak *pékyu* najwyraźniej jest podejrzliwy i musiał pilnować Luana w trakcie podróży powrotnej. Wiele myślałam o tym, co napisał na temat zwyczajów garinafin, nie dostrzegłam jednak nic, co moglibyśmy wykorzystać.

– Théra zajmuje się teraz szczegółowymi badaniami garinafinich zwłok, a ja pojedę jej w tym pomóc. Być może uda nam się znaleźć słabość, jakiej wcześniej nie zauważyliśmy.

Gin się uśmiechnęła.

– Młodzi zawsze mają tyle nadziei.

– A ty już się poddałaś, marszałek Mazoti?

Gin odczekała jedno uderzenie serca i rzekła:

– Nurt życia jest czasami silniejszy od nas, Zomi. Spójrz, jak starannie i z jakim wysiłkiem cesarz, cesarzowa i twój nauczyciel planowali swoje życie i jak o nie walczyli. Czasami jednak los jest jak wielki prąd oceaniczny, który porywa wszystkie nasze starania jak wodorosty. Myślę, że fluksiści mieli rację: jest czas na walkę, ale i czas na kapitulację.



Nadszedł trwający tydzień Festiwal Lampionów.

Nawet w czasie wojny życie na Wyspach Dary toczyło się utrwalonym rytmem. Świętowanie zdawało się wręcz zyskiwać na intensywności, jakby uroczysty nastrój wzmożła pobrzmiwiająca gdzieś w tle nuta rozpaczy.

Po wielu prośbach ze strony córki Gin Mazoti wreszcie zgodziła się zabrać ją na obchody. Wyruszyły o zmierzchu, w najlepszym momencie na oglądanie lampionów. Każdy sklep, gospoda i dom w Pan był przystrojony lampionami wykonanymi z bambusa, papieru i jedwabiu: niektóre kręciły się dzięki ciepłu z płomienia świecy znajdującej się w środku, inne powiewały na wietrze.

Lampiony różniły się od siebie jak suknie i szaty noszone przez młode kobiety i mężczyzn na ulicach: jedne były jasnoczerwone, inne błyszczące złotem i jadeitowo zielone, jeszcze inne w kolorze morskiego błękitu. Na niektórych wymalowano sceny z klasycznych sag, a kiedy się kręciły, rysunki zdawały się ożywać, pokazując hegemoną galopującą na Refiroi albo odpływającego Iluthana i królową Écofi na plaży, usychającą z tęsknoty za nim. Uliczni handlarze wykrzykiwali nazwy swoich smakowitych towarów, a z ich stoisk unosiły się nęcące zapachy. Sprzedawali grillowane rekinie steki nadziane na szpikulce i doprawione na modłę Dasu, miseczki słodkich pierożków nadziewanych sezamem i miąższem kokosa z Arulugi, a także

placki chlebowe z sorgo, pieczone wedle tradycyjnej cocruskiej receptury, z których nabywcy mogli wywróżyć sobie przyszłość, przyglądając się wzorom pozostawionym przez piec...

Aya chciała spróbować wszystkiego, a Gin z przyjemnością jej na to pozwoliła.

– A może miseczkę zupy z rozdymki? – zapytał ktoś.

Gin podniosła wzrok i zobaczyła Soto Zyndu.

Pani Soto się ukloniła.

– Wybacz, Wasza Wysokość, lecz muszę zrezygnować z *jiri*. Mam, jak widać, zajęte ręce.

Soto trzymała małą porcelanową miseczkę. Sprzedawca napelnił ją chochlą parującej zupy z kluskami i białymi kawałkami ryby.

Aya wydawała się zainteresowana.

– Raczej dziękujemy za zupę – powiedziała Gin, odciągając córkę. – Nigdy nie rozumiałam tej pokusy igrania z losem.

– Jeśli wszyscy mamy zostać niewolnikami Lyucu, może śmierć nie jest taką znowu przerażającą perspektywą.

Twarz Gin przybrała ponury wyraz.

– Pani Soto, proszę uważać na słowa. Przyszliśmy tu świętować.

– Mamo! Chcę spróbować! Wszyscy ci ludzie spróbowali i nic im nie jest.

– Absolutnie nie – odparła Gin. Ruszyła, ciągnąc córkę za sobą.

Soto zawołała za nimi:

– Nigdy bym nie pomyślała, że słynna królowa Gin, marszałek cesarza, okaże się tchórzem.

Gin obróciła się na pięcie. Z wysiłkiem pohamowała gniew i uspokoiła głos.

– Nie myśl sobie, pani, że nie wiem, o co ci chodzi. Nie jestem jakimś tępym chuliganem, który da się wciągnąć w bójkę tylko dlatego, że ktoś nazwał go tchórzem. Wszyscy, którzy walczyli u mego boku, wiedzą, że nie boję się śmierci. Nie zamierzam jednak posyłać swoich żołnierzy na bezsensowną śmierć.

– Czyli nie tylko jesteście tchórzem, ale też aroganckim tchórzem.

– To znaczy?

– Wszystkich swoich żołnierzy masz za dzieci, którym trzeba mówić, co mają myśleć? Opętała cię wizja rekrutów umierających nadaremno, ale ludzie walczą nie tylko dlatego, że ktoś im kazał. Chodźcie ze mną.

Rozgniewana i zdezorientowana Gin zabrała Ayę i pomaszerowała za Soto Zyndu do powozu stojącego przy ulicy. Gdy tylko weszła do środka, pojazd ruszył powoli przez tłum i skierował się na obrzeża miasta.

Gin wyjrzała przez zasłony na rodziny maszerujące ulicami. Festiwal Lampionów był świętem światła i wiosennego odrodzenia, podczas którego duchy przodków dołączały do żyjących w harmonii i radości. Czas ten należało spędzać z rodziną; Gin zaczęły szczypać oczy, kiedy pomyślała o Luanie – żalowała, że nie spędzili ostatnich wspólnych chwil inaczej. Przyciągnęła do siebie córkę, a dziewczynka jakby wyczuwała nastrój matki i nie wyslizgnęła się z jej objęć, jak miała w zwyczaju.

Powóz wyjechał z miasta i w końcu się zatrzymał. Gin wyszła na zewnątrz i zobaczyła, że znajdują się w miejscu, w którym każdej jesieni, w okresie zbiorów, cesarz i cesarzowa oglądali paradę wojskową. O tej porze roku powinno być tu pusto, mimo to spostrzegła gęsty tłum w ostatnich promieniach słońca. Gęste szeregi zebranych ciągnęły się tak daleko, że ledwo mogła dostrzec ich koniec.

Soto Zyndu wyprostowała rękę i gestem zaprosiła Gin na pobliskie podium. Jak we śnie, Gin wspięła się na podest i spojrzała na zebranych przed nią żołnierzy.

Wyglądali różnie. Jedni mieli na sobie mundury regularnej cesarskiej armii i dzierżyli sztandar Dary – pośród nich rozpoznawała niektórych setników, którzy służyli pod nią w czasie Wojny Chryzantemy z Młeczem. Inni trzymali flagi rebeliantów z Arulugi, przedstawiające złotego karpia Tututiki na niebieskim tle – odziedziczonym po dawnej fladze Amu. Jeszcze inni przynieśli ze sobą flagi jej dawnego królestwa, Gėjiry, na których na tle czarno-białych pól – nawiązujących do talentu marszałek do gry w *cüpa* – widniał młyn wodny, fundament przemysłowej i rzemieślniczej potęgi regionu. Kilku dzierżyło flagę hegemonu, przedstawiającą chryzantemę, co mogło zostać zinterpretowane jako zdrada. Była też grupa kobiet, starych, ale i całkiem młodych, ubranych jednakowo w stare mundury kobiecych oddziałów pomocniczych Dasu, utworzonych przez Gin w czasie Wojny Chryzantemy z Młeczem...

W tłumie widziała sztandary niemal wszystkich dawnych królestw Tiro, a także lenn zniesionych przez cesarza w wyniku kampanii Jii na rzecz osłabienia arystokracji i generałów Kuniego. Nikt nigdy nie spodziewałby się, że zobaczy ich wszystkich stojących obok siebie na terenie parady.

– Co... – Gin nie mogła znaleźć słów.

Soto Zyndu stanęła obok niej na podium i krzyknęła:

– Mieszkańcy Dary, czego chcecie?

Z tłumy zebranych niżej popłynęło tsunami głosów, które wstrząsnęło deskami pod nogami Gin.

– Walczyć! Walczyć! Walczyć!

– Zwycięstwo jest niepewne – powiedziała Soto. – Możliwe, że wszyscy zginiecie, a Dara mimo to upadnie. To właściwie więcej niż możliwe: to bardzo prawdopodobne. Wojnę nie zawsze wygrywają ci, po których stronie stoi słuszość, a zło czasami triumfuje.

– Walczyć! Walczyć! Walczyć!

Soto dała znak i przez tłum przepchnęło się kilku dowódców, by stanąć przed podium.

– Dlaczego chcecie walczyć? – zapytała ich Gin Mazoti. – Przecież wiecie, że klęska jest niemal pewna.

– Lepiej umrzeć wolnym, niż żyć jako niewolnik – powiedział Cano Tho z Arulugi. – Cesarz wybaczył mi udział w rebelii, ale nie będę mógł stanąć z uniesioną głową przed księżniczką Kikomi na drugim brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Pływie, jeśli nie podejmę walki.

– Hegemon nie poddałby się – oznajmił Mota Kiphi z Tunoi, jeden z członków

nieszczęsnego powstania zorganizowanego przez Nodę Mi i Doru Solofiego. Uśmiechnął się i kiwnął na Aye, na której niegdyś zrobił wrażenie, podnosząc ciężary. – Więc ja również.

– Może kiedyś byliśmy ambitni – rzekł Doru Solofi – ale nawet my rozumiemy, że w obliczu takiego zagrożenia jak Lyucu musimy się zjednoczyć.

– Cesarz był dla nas niezwykle wspaniałomyślny – dodał jego towarzysz, Noda Mi. – Wybaczył nam nasze dawne przewinienia, a my chcemy odwdziaczyć mu się żarliwą lojalnością. Ty powinnaś zrobić to samo, marszałek Mazoti!

– Mój wuj był dobrą duszą i ufał wszystkim obcym jak braciom – powiedział Gori Ruthi, bratanek Zato Ruthiego, i wyszedł przed szereg. Żal, jaki obudziły w nim jego własne słowa, był tak silny, że chłopak zachwiał się i omal nie upadł, ale jego żona, pani Ragi, podtrzymała go. – Pokonam Lyucu, żebym ja sam mógł znowu ufać obcym.

– Mój brat powiedział kiedyś, że wybrałem niewłaściwego pana – rzekł Dafiro Miro. – Udowodnię, że nie miał racji.

– Nigdy nie dzierżyłam miecza – oznajmił Naro Hun, wdowiec po generale Münie Çakrim. – Ale oddam swoje życie, by pomścić męża. A gdy również zginę, mam nadzieję, że nasz syn podejmie walkę.

– Żaden ze mnie wojownik – odezwał się Naroca Huza, swego czasu rywal Zomi Kidosu na Egzaminie Pałacowym oraz jeden z najbogatszych kupców Gėjiry – jednak oddam cały mój dobytek, marszałek Mazoti, bo nawet kupcy kochają wolność.

Gin słuchała przemów dowódców zebranego tłumu, a w jej sercu kotłowały się sprzeczne uczucia. Czy słuszne jest poddanie się bez walki? Nawet gdy walka oznacza pewną klęskę?

Soto Zyndu zbliżyła się do niej, wlokąc miecz. Był tak ciężki, że mogła go tylko ciągnąć za sobą po ziemi.

– Dobądź go.

Jak we śnie, Gin złapała rękojeść obiema rękami i wyciągnęła miecz z pochwy. Chociaż była silna, podniesienie go czubkiem w kierunku nieba kosztowało ją sporo wysiłku. Bardzo dobrze знаła ten legendarny miecz, chociaż nigdy go nie dzierżyła.

– Oto Na-aroénna, Pogromczyni Wątpliwości. Mój bratanek dzierżył ją jako ostatni. Za każdym razem, gdy jej dobywał, opuszczały go wątpliwości.

Gin popatrzyła na Soto.

– Ale on przegrał i zginął, a razem z nim wielu innych. Jego pewność siebie go zgubiła.

Soto pokręciła głową.

– Nie rozumiesz, marszałek Mazoti. Ostatniej nocy w Rana Kida Mata zwolnił wszystkich swoich ludzi z obowiązku służenia mu. Ci, którzy walczyli z nim do ostatniej chwili na brzegu morza, robili to z własnej woli, nie mając żadnych złudzeń, że zwycięstwo jest możliwe.

Gin przez chwilę milczała.

– Nie jestem hegemonem. Bajarze nie upiększają moich dokonań, tworząc

mity i legendy. Jestem tylko zwyczajną kobietą, która wie, jak zarobić na sobie za pomocą miecza.

– Jesteś kimś o wiele więcej – powiedziała Soto. – Zawsze cenilaś życie swoich żołnierzy i słuchałaś ich uwag. Zniosłaś kary cielesne i zlikwidowałaś więzienia wojskowe,wołąc promować dyscyplinę poprzez nagradzanie inicjatywy i zapewnianie użytecznego szkolenia. Zdobyłaś lojalność nie poprzez zastraszenie żołnierzy, lecz słuchając ich, dając im lepsze buty i dbając o ich rodziny. Ofiarowałaś kobietom Dary szansę zawalczenia o ich własną przyszłość. Jak możesz być teraz tak ślepa na ich pragnienia? To nie zwycięstwo czyni dowódcę szlachetnym, lecz gotowość do walki za to, co w swym sercu uważa za słuszne, nawet jeżeli przegrana jest wyłącznie kwestią czasu. Fithowéo jest bogiem nie tylko wygranych, ale również tych walczących o sprawiedliwość. Chciej widzieć nawet wtedy, gdy otacza was ciemność. Wszyscy mędrcy Ano pisali o nieprzewidywalności życia i zgadzali się, że nic nie jest w nim pewne poza tym, że umrzemy. Jednak śmierć może przyjść pod wieloma postaciami: może być ciężka jak góra Fithowéo albo lekka jak puch. Nie godzi się odmawiać człowiekowi prawa do wyboru sposobu, w jaki chce umrzeć.

– Skoro nawet bogowie Dary nie dali żadnego znaku, że stoją po naszej stronie, skąd mogę wiedzieć, czy to właściwa droga? – zapytała Gin. – Nie urodziłam się z podwójnymi żrenicami i pewnością, że zostałam stworzona do wielkich rzeczy. Nie zabiłam białego pytona w górach, a tęcze nie wskazywały drogi mojej żonie.

– Nikt nie rodzi się bohaterem, a legendy to tylko opowieści, Gin, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Jednak czasami świat wymaga od nas, byśmy wystąpili przed szereg i stali się wyrazicielami woli wielu; w takich właśnie chwilach kształtują się legendy i bohaterowie. Prawdziwa odwaga nie wynika z pewności i braku strachu, lecz rodzi się, gdy robimy to, co należy zrobić, mimo przerażenia i wątpliwości.

Gin zamknęła oczy. Pomyślała o napotkanym w dzieciństwie przywódcy gangu, który okaleczył dzieci, podczas gdy ona stała z boku, bezsilna. Pomyślała o skutych ze sobą mieszkańcach Rui, których *pékyu* Tenryu spokojnie rozkazał zabić. Zło istniało na tym świecie i należało stawić mu czoło.

Otworzyła oczy i podniosła Na-aroénnę. Ostatnie promienie słońca odbiły się od czubka miecza, a Gin poderwała tłum do skandowania. Głosy spotęgowały się i zaraz jakby zatrzęsły rozgwieżdżonym nieboskłonem.

– Walczyć! Walczyć! Walczyć!

Rozdział pięćdziesiąty trzeci Odkrycia

Dara: trzeci miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Po całej Darze rozeszły się plotki, że Lyucu znaleźli stałe przejście przez Ścianę Burz i ściągnęli posiłki w postaci setek kolejnych garinafin oraz tysięcy wojowników. Mówiło się, że mogą podbić całe Wyspy w ciągu kilku tygodni. Rybacy byli zbyt przerażeni, żeby wypływać w morze, bo mogliby natrafić na statki-miasta, a wszyscy od czasu do czasu spoglądali w niebo, dosłownie w każdej chwili spodziewając się ujrzeć tam barbarzyńców.

Bogaci kupcy jeszcze mniej chętnie płacili podatki, a właściciele ziemscy i nawet niektórzy z lokalnych zarządców oraz pomniejszych arystokratów zaczęli się przygotowywać na ich zdaniem nieuniknioną przyszłość. Szeptali między sobą, próbując się wywiedzieć, na jakiego rodzaju ugody mogą pójść z przyszłymi władcami, żeby zapewnić pozycję sobie i swoim bliskim. Niektórzy gromadzili kosztowności w nadziei, że dzięki nim uda im się uniknąć zupełnego zniewolenia; niektórzy zaczęli swoim żonom i córkom prawić morały na temat ich powinności wobec rodziny, by później, w odpowiednim momencie, móc zaoferować je barbarzyńskim wodzom i w ten sposób uratować swoją skórę; wszyscy robili zapasy jedzenia i artykułów pierwszej potrzeby, wierząc, że bez względu na to, co się stanie, czekają ich trudne czasy. Kupcy zaś starali się ubić interes na tej ogólnej panice. Wobec takich nastrojów premier Cogo Yelu obmyślił plan, zgodnie z którym konsorta Risana i księżę Phyro wyruszyli na objazd Wysp, żeby uspokoić ludzi i zdobyć poparcie dla Domu Mlecza. Pochlebstwami zdołali nawet namówić króla Kado, by wrócił z emerytury i odegrał niewielką rolę.

Consorta Risana starannie opracowała przedstawienia z udziałem popularnych aktorów: odziani w misternie przygotowane kostiumy, wygłaszali porywające kwestie przy akompaniamencie wpadającej w ucho muzyki. W czasie każdego spektaklu na scenie pojawiał się dym symbolizujący pierwotną mgłę, z którego wylaniały się wyspy z bambusa i jedwabiu. Podczas gdy aktorzy paradowali po nich, odgrywając słynne epizody i postacie z długiej historii Dary – od przybycia Ano na wyspy zamieszkałe przez dzikusów aż po celebrację ustanowienia Dynastii Mlecza przez zjednoczony lud, od legendarnych bohaterów z Wojny Diaspory do bardziej współczesnych opowieści z Wojny Chryzantemy z Mleczem, od najczęściej cytowanych sag Ano po historie należące do folkloru, od poetów lirycznych po mądrych sędziów i zarządców – mgła stopniowo wylewała się za krawędź sceny i otulała zasluchanych widzów, czyniąc z nich kolejnych bohaterów wydarzeń.

W kulminacyjnym momencie każdego przedstawienia przed publicznością pojawiał się księżę Phyro na grzbiecie mechanicznego crubena zbudowanego

z papier-mâché i obsługiwanego przez zespół czolgających się pod nim ludzi. Muzyka zbliżała się wtedy do crescendo, a książę wchodził na ziemię Rui i niszczył znajdujące się tam papierowe garinafiny za pomocą kilku silnych pchnięć mieczem. Następnie cesarz Ragin – grany przez Kado Garu, który był bardzo do niego podobny – wylaniał się spod sceny dzięki zapadni i dziękował synowi oraz ludowi.

Oczywiście ta optymistyczna wizja przyszłości stanowiła celowe nawiązanie do legendarnej podróży Kuniego do Rui na grzbietach crubenów, będącej częścią jego niespodziewanego ataku na Pan w czasie powstania przeciwko Xanie.

Później, kiedy książę i cesarz stali nad truchłami zarżniętych garinafin, każdy z jedną rogatą głową w ręku, jasne lustro symbolizujące księżyc wznosiło się za nimi i rzucało cudowny obraz na biały ekran znajdujący się za plecami widzów. Ci wyciągali szyje, by go dojrzeć, a wtedy witało ich ośmioro bogów Dary, uśmiechniętych i kiwających głowami w migotliwym świetle oraz obłoku pachnącego dymu wypełniającego audytorium – tak oto magiczne lustra, których sekret odkryła Théra, znalazły nowe zastosowanie.

Chociaż propagandowy wymiar tych spektakli był oczywisty, okazały się skuteczne. Historia, oczyszczona i pokryta warstwą świeżej farby, często bywała o wiele silniejsza niż mit. Przedstawienia utwierdziły lud w przekonaniu, że Dynastia Mlecza nie straciła władzy, że marszałek, choć wcześniej się zbuntowała, teraz zmieniła zdanie i przy wspaniałomyślnym wsparciu cesarzowej obmyśla genialny i chytry plan, dzięki któremu pokona Lyucu i uwolni cesarza oraz księcia Timu. Wszyscy na powrót przypomnieli sobie, że są spadkobiercami długiej i bogatej tradycji, w którą wpisana jest wielkość. Uwierzyli, że Lyucu, jako dzikusy pozbawione umiejętności strategicznego planowania oraz korzyści płynących z cywilizacji, mimo tymczasowej przewagi są skazani na porażkę.

Po zakończeniu każdego spektaklu Phyro wygłaszał płomienną przemowę, w której wzywał ludzi do wspierania wojennych przedsięwzięć poprzez przestrzeganie prawa, życie zgodne z dotychczasowym rytmem, karanie spekulantów, ignorowanie plotek o porażce i, przede wszystkim, płacenie podatków i pożyczanie pieniędzy cesarskiemu skarbcowi, aby wspomóc żołnierzy. Urzędnicy ustawiali stoły, by zbierać cegielki od widzów – którym przykład dawali możni – w zamian za obligacje wojenne.



Cogo, mistrz logistyki, skalkulował, że po zniszczeniu Rui i Dasu w czasie inwazji cesarza Lyucu będą potrzebować całego lata i jesiennych plonów, żeby odrobić straty i przygotować się na próbę podbicia Wielkiej Wyspy. Cesarzowa zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby dać marszałek więcej czasu na zebranie sił do ataku. Wysyłając też Lyucu wiadomości, w których przekonywała, że dwór Dynastii Mlecza jest coraz bliżej podjęcia decyzji o kapitulacji.

Chociaż po przedstawieniach konsorty Risany i księcia Phyro wielu młodych mężczyzn chciało dołączyć do armii, marszałek polegała tylko na zbieraniu, która

powitała ją tamtego dnia na terenie parady. Owszem, dała się przekonać, że jest jakiś sens w walce skazanej na porażkę, lecz wierzyła wyłącznie w dowodzenie ludźmi, którzy w pełni zdawali sobie sprawę z ryzyka i dokonali wolnego wyboru. Stosunki między Cogo Yelu i Gin Mazoti pozostawały chłodne ze względu na udział premiera w upadku marszałek, lecz Gin z wdzięcznością przyjęła fundusze zebrane podczas propagandowego objazdu wysp. Wydała je na udoskonalenie wyposażenia swej małej armii: zatrudniła najznamienitszych kowali z dawnej Rimy i kazała wydobyć najszlachetniejszą rudę żelaza, by wyprodukować najmocniejsze zbroje i najlepszą broń z kosztownej, tysiącrotnie przekutej stali. Poleciała skonstruować podwodne crubeny, które miały być szybsze i mogły pozostać pod powierzchnią dłużej, by uniknąć w ten sposób wykrycia przez zwiadowców na garinafinach. Zakupiła rzadkie zioła, z których cesarzowa wykonała silne mieszanki, pozwalające żołnierzom szybciej nabierać masy mięśniowej i regenerować siły nawet przy skromnej dawce snu. Dzięki jednej z nich żołnierze mogli nie spać nawet przez kilka dni, chociaż kosztem pewnych długotrwałych szkód dla organizmu. To jednak nie zniechęciło praktycznie żadnego z ochotników.

Niemniej większość funduszy trafiła do laboratoriów w Ginpen. W tajemnicy wzniesiono hangary, w których można było przechowywać truchła garinafin, przywiezione przez mechaniczne crubeny Thana Carucono. Z kolei Cogo Yelu wysłał szpiegów do niemal każdego zakątka Dary, by znaleźli utalentowanych ludzi, którzy mogliby wymyślić sposób na pokonanie skrzydlatych bestii.

Marszałek nie żywiła wielkich nadziei w związku z tymi badaniami, była jednak zdeterminowana, by dać swoim oddziałom najlepszą z możliwych szans.



Zomi Kidosu i księżniczka Théra razem z chirurgami, weterynarzami i specjalistami anatomii z Ginpen przeprowadzały sekcje ciał garinafin, by poznać ich sekrety. Zespół badawczy działał w laboratorium znajdującym się w gigantycznej przybrzeżnej jaskini. Obiekt ten funkcjonował dzięki zwierzchnikowi cesarskich laboratoriów, Kicie Thu, haańskiemu *pana méji*, który brał udział w egzaminie pałacowym razem z Zomi Kidosu. Chociaż wtedy nie chciał tego stanowiska, intuicja cesarza i konsorty Risany nie zawiodła – Kita okazał się zdolnym przywódcą grupy badaczy, który wraz ze swym zespołem realizował niezwykle zadania.

Gdy tylko dostarczono mu zwłoki garinafin, kazał je umieścić w jaskini, a następnie zaprojektować system wozów transportujących lód, którym napełniano truchła, by powstrzymać ich rozkład. Zapłacił za to z kieszeni swojej rodziny, zanim pojawiły się pieniądze ze skarbcza. Większości kupców i kierowców, którzy pomagali zapewnić niezbędne materiały, jednostkę tę przedstawiono jako szczególnego rodzaju cesarskie magazyny, gdzie miano przechowywać owoce morza, by można je było spożywać również poza sezonem. Ponieważ robiło się coraz cieplej, z czasem musiano dostarczać lód aż z lodowców w górach Damu, a koszty utrzymania

laboratorium rosły w szybkim tempie.

Najważniejsze było to, by w jak najkrótszym czasie dowiedzieć się o skrzydlatych stworach jak najwięcej.

Dzięki nowym funduszom wojennym Kita podwoił swoje wysiłki. Powiększył jaskinię i podzielił ją na wiele mniejszych sal sekcyjnych, co umożliwiło równoległe badanie części zwłok. Utworzenie systemu ostrożnie wywierconych otworów i lusterek umożliwiło dopływ światła słonecznego, dzięki czemu każde pomieszczenie było oświetlone. Kita opracował również stelaż o wklęsłym kształcie z licznymi ruchomymi szklanymi soczewkami, które po umieszczeniu nad stołem sekcyjnym rozpraszały cienie zasłaniające badaczom pole widzenia. Do przecinania twardej skóry, mięśni oraz ścięgien ogromnych stworów Thu zamówił skalpele z diamentowymi ostrzami, aby zapobiec niepotrzebnym uszkodzeniom tkanki, trudnym do uniknięcia w wypadku użycia pił i toporów. Na klifach nad jaskinią kazał postawić kilka młynów, z których za pomocą kół zębatach i pasów transportowano na dół energię, by w laboratorium można było obsługiwać ciężkie maszyny do podnoszenia i przenoszenia potężnych truchel. Ponieważ w całej przestrzeni panowała temperatura bliska temperaturze zamarzania wody, wszyscy musieli ubierać się jak w środku zimy. Oprócz badaczy i pracowników fizycznych zaangażowanych w projekt w pobliżu laboratorium nie wpuszczano nikogo: szpiegów Lyucu oraz wszyscy ci, którzy przeszli na stronę najeźdźcy, mogliby próbować sabotażu, więc całe przedsięwzięcie było ściśle tajne.

Z początku badacze sceptycznie podchodzili do obecności Théry w laboratorium. Większość uważała opowieści o jej udziale w stłumieniu powstania w Tunoi za wyolbrzymione – ot, typowy przykład legendy o niezwykłych dokonaniach członka rodziny cesarskiej – a więcej niż kilku marudziło, że jest tylko rozpuszczoną księżniczką, która wepchała się pomiędzy uczonych, żeby szukać wrażeń albo udawać potrzebną.

Nie pomogło też to, że Théra od razu zaczęła się upierać, by dołączyć jeszcze dwie naukowczynie, których nazwisk nie uwzględniono na liście przygotowanej przez specjalny komitet Rady Akademii Cesarskiej: Çami Phithadapu, młodą uczoną z Rui, której ledwo udało się otrzymać rangę *firoa* w czasie poprzednich Wielkich Egzaminów, i Mécodé Zégate, *cashima* haańskiego pochodzenia, która wychowała się w Tunoi.

Obie skorzystały z wymyślonego przez Kuniego Garu Programu Złotego Karpia, chociaż nawet Théra nie miała o tym pojęcia.

– Dlaczego akurat te dwie? – zapytał zdziwiony Kita Thu.

– Kita, nie macie prawie żadnych kobiet w zespole.

– To dlatego, że żadne nie kwalifikowały się do tego projektu. – Kita zawahał się, niepewny, czy jego słowa nie zabrzmiały obraźliwie. Postanowił spróbować pochlebstwa: – Wasza Wysokość jest oczywiście wyjątkiem, podobnie jak specjalna doradczyni Zomi Kidosu.

– Chociaż egzaminy zdaje zdecydowanie więcej mężczyzn niż kobiet, kilka się ich znalazło – powiedziała Théra. – Poza tym projekt ten zakłada dokonywanie

zupełnie nowych odkryć, więc ważne jest, byśmy mieli jak najszersze spektrum perspektyw i opinii.

– Oryginalność sposobu myślenia jest cechą danego umysłu, nie płci – prychnął Kita Thu.

Théra była uparta.

– Ze względu na rozliczne doświadczenia życiowe kobiety mogą zapewnić świeże spojrzenie, którego zabraknie tradycyjnym kandydatom. Çami jako jedyna spośród egzaminowanych w swoim eseju z zeszłego roku przeanalizowała dowody na istnienie praktyk położniczych wśród wielorybów, a Mécodé jest znanym ekspertem z zakresu ziołolecznictwa wywodzącego się z obserwacji zwierząt próbujących leczyć własne choroby. Ich zainteresowanie tymi zwyczajowo pomijanymi tematami świadczy o umiejętności nieszablonowego myślenia.

Kita nie był przekonany, ale ugiął się i włączył dwie kobiety do zespołu badawczego.

Zdając sobie sprawę ze sceptycyzmu, z jakim ją przyjęto, Théra postanowiła zignorować atmosferę umiarkowanej wrogości i oddała się pracy. Harowała razem z innymi: wspinała się na ogromne zwłoki za pomocą szorstkich sznurów i ostrych haków i nigdy nie narzekała, mówiąc, że to niebezpieczne; podnosiła i przesuwała ciężkie członki oraz rozcinała je, nie okazując przy tym w żaden sposób, że uważa pracę fizyczną za coś poniżej swojej godności; wkładała ręce aż po łokcie w wnętrze i tłuszczył, nie przejmując się, że ma twarz umazaną posoką, a ubrania przesiąknięte smrodem. Z uwagą słuchała badaczy i nie przerywała ich dyskusji, by forsować swoje opinie. Bardziej niż jak księżniczka Dary, zachowywała się jak jeden z uczniów albo studentów.

– Dlaczego nigdy nic nie mówisz? – zapytała Zomi, kiedy zostały same. – Wiem, że chcesz dać coś od siebie.

Théra uśmiechnęła się do niej.

– Pamiętasz legendę o ptaku Phaédo? Tę przytoczoną przez Ra Ojogo: W Damu siedzi Phaédo czerwony,

Przez trzy lata milczy zaśnieszony.

Wtem, pewnego ranka słońce śpiewem przyzywa,

Zdumiony świat cały do tańca podrywa.

Théra pokiwała głową.

– Jest czas, by wygłosić swoją opinię, ale jest też czas, by grać pilnego ucznia. Wycucie czasu jest najważniejsze, tak na wojnie, jak i w debacie. A zwłaszcza gdy ktoś jest postrzegany jako przybysz z zewnątrz.

Zomi westchnęła. Théra zdawała się mieć znacznie lepsze pojęcie o niuansach dystrybucji władzy niż ona – była to słabość, przed którą wiele lat wcześniej ostrzegał ją Luan.

W trosce o zdrowie Théry Zomi zaprojektowała jedwabną maskę, żeby księżniczka nie rozchorowała się od przyskającej jej na twarz posoki garinafin oraz od oparów z wody medycznej, w której przechowywano wycięte organy. Théra była zachwycona, a Zomi robiło się ciepło na sercu na widok rozpromienionej księżniczki.

– Nie pogniewałabyś się, gdybym poprosiła rzemieślników o wykonanie takich masek dla wszystkich? – zapytała Théra, trzymając Zomi za rękę.

Zomi się zaczerwieniła. Skarciła się w myślach, że nie przyszło jej do głowy, jak by to wyglądało, gdyby tylko księżniczka nosiła specjalną maskę. Skoncentrowała się na dotyku palców Théry na swej dłoni – były szorstkie od trzymania ciężkich narzędzi i cięcia nimi twardej skóry garinafin, jednak Zomi wydawały się cudowne i niezwykle delikatne. Pokiwała głową.

– Na tej wyhaftuję jagody zomi, żeby nikt nie wziął jej przez pomyłkę – powiedziała Théra. – Jest szczególna, bo zrobiona przez ciebie.

Przez kilka godzin Zomi głaskała swoją dłoń, próbując sobie przypomnieć, jak to było czuć dotyk księżniczki.



W przeciwieństwie do ostrożnego dystansu, z jakim została przyjęta księżniczka Théra, Zomi Kidosu z miejsca mogła się cieszyć szacunkiem badaczy jako jedna z *pana méji* z cesarskich egzaminów sprzed dwóch sesji. Wkrótce zyskała miano ekspertki od garinafin, ponieważ wielokrotnie przeczytała notatki Luana Zyaji, a do tego poczynione przez nią osobiście obserwacje tych zwierząt na Rui okazały się niezwykle cenne przy łączeniu cech anatomicznych garinafin z ich zwyczajami.

Dzięki pracy ramię w ramię nad wspólnym projektem Zomi i Théra jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły. Próbując odnaleźć drogę w labiryncie z ogromnych garinafinich wnętrzności, nie przestawały rozmawiać i się śmiać, jakby właśnie spacerowały po zielonym ogrodzie i komentowały egzotyczne kwiaty.

Obdarzeni najbystrzejszymi umysłami w całej Darze naukowcy zaszyli się w mroźnej jaskini na haańskim wybrzeżu i powoli dążyli do osiągnięcia celu: odkrycia tajemnicy ognistego oddechu garinafin, czyli zdolności, jakiej nie miało żadne zwierzę na Wyspach.



Kiedy uczeni przecięli już warstwę skóry i mięśni, znaleźli sieć błoniastych worków wypełniających wnętrze ciała.

– Muszą być podobne do worków w tułowiu sokołów Mingén – przekonywał Atharo Ye, znany paternista z Rui, który służył na dworze cesarza Mapidérégo jako jeden z inżynierów zajmujących się cesarskimi sterowcami. Jego przodkiem był słynny inżynier Kino Ye, który sprofanował sokoly Mingén, dokonując na nich sekcji, i odkrył tajemnicę gazu umożliwiającego wielkim drapieżnikom lot. Od czasu do czasu Atharo pykał koralową fajkę nabitą mocnym façańskim tytoniem, a chociaż

jej dym długo utrzymywał się we wnętrzu jaskini, żaden z badaczy nie ośmielił się tego faktu skomentować, zważywszy na wysoką pozycję Ye.

– Wygląda na to, że nawet mając puste i lekkie kości oraz gigantyczne skrzydła, żeby móc latać, zwierzęta te potrzebują dodatkowej pomocy w postaci takich worków – ciągnął dalej Atharo.

– Ale to oznacza, że są zależne od gazu z naszych sterowców – powiedziała podekscytowana Çami Phithadapu, która specjalnie mówiła głośno; obecność tak wielu znakomitych uczonych bynajmniej jej nie onieśmielała. To jej przyzwyczajenie irytowało wielu starszych badaczy o wysokiej pozycji. – Jeśli odetniemy im dostęp do zapasów, garinafyny w końcu stracą możliwość latania.

Zomi pokręciła głową.

– Nie jestem przekonana. Nie przypominam sobie, by Lyucu posyłali garinafyny nad jezioro Dako, żeby uzupełniły zapasy gazu. Nie wspomina o nim też mistrz Zyaji w swoich zapiskach z Ukyu i Gondé. Tak istotna cecha z pewnością zwróciłaby jego uwagę.

– Możliwe, że ten gaz występuje na ich ziemiach w takiej ilości, że nie traktują go jako niczego rzadkiego, a może nawet nie zwrócili na niego uwagi – powiedział Atharo.

– Jak jednak udało im się zachować zapasy w czasie długiej podróży przez ocean? – zapytała Çami.

Atharo z miejsca odrzucił jej obiekcje. Niedbale machnął ręką.

– Z naszych sterowców gaz powoli wycieka, a jednak zachowując odpowiednią dbałość i dzieląc wspólny zapas gazu między statki, możemy latać nimi przez lata, nie musząc uzupełniać zapasów.

– Jednak garinafyny nie zachowują zbyt długo tej zdolności – zauważyła Zomi. – Wszystkie dowody wskazują na to, że bez odpoczynku na ziemi mogą latać jedynie przez kilka godzin. Jeśli są zależne od magazynowanego gazu, można by się spodziewać, że będą zdolne do unoszenia się w powietrzu przez nieskończony czas.

Atharo Ye się zamyślił; musiał przyznać, że to była słuszna uwaga.

– Zbadajmy dokładniej te worki.

Zlokalizował jeden, który wciąż był pełen gazu, a potem ostrożnie odciął od otaczających go naczyń krwionośnych, rurek i tkanek. Następnie zawiązał mniejsze rurki za pomocą sznurka i przytrzymując go, puścił worek.

Ten, mierząc prawie metr szerokości, uniósł się w powietrze. Sznurek się naprężył.

– Lżejszy od powietrza, zgodnie z oczekiwaniami – powiedział Atharo.

Następnie sięgnął po naostrzoną pustą lodyżkę trzciny i wbił ją w worek. Gaz z sykiem zaczął przez nią ulatywać.

– Mistrzu Ye – wtrąciła księżniczka Théra. Ponieważ rzadko się odzywała, wszyscy odwrócili się w jej stronę. – Myślę, że w przypadku nieznanego gazu należy zachować ostrożność. Być może lepiej byłoby użyć mniejszej sali...

Atharo Ye zbył ją machnięciem ręki.

– Nie czuć żadnego zapachu. To czysty gaz nośny.

Pozwolił, by worek wisiał mu nad głową jak balon, a gaz z sykiem uciekający przez rurkę napędzał go niczym sterowiec. Następnie wyjął fajkę nabitą tytoniem i dał znak jednemu z asystentów, by przyniósł mu ogień. Ponieważ we wnętrzu jaskini musiał panować chłód, zaś oświetlano je promieniami słońca odbitymi od luster, w laboratorium nie było ani jednej pochodni czy lampy. Chłopak musiał pobiec na zewnątrz i przynieść zapalony patyk.

I w tej samej chwili balon nad głową badacza eksplodował, tworząc ognistą kulę. Chłopak wrzasnął i odskoczył na bok, a pozostali badacze rozpierzchli się. Ognista kula wylądowała na głowie Atharo i jego włosy oraz ubrania natychmiast stanęły w ogniu. Naukowiec krzyczał i miotał się, w końcu wpadł na stół sekcyjny. W pobliżu nie znajdowało się żadne źródło wody. Atharo groziły poważne oparzenia.

Inni badacze oraz strażnicy stali jak wryci.

– Wasza Wysokość! – Mécodé Zégate, zielarka z Tunoi, podbiegła do księżniczki. – Mogę pożyczyć szatę?

Théra od razu zrozumiała.

– Świetny pomysł! – Bez wahania zerwała z siebie grubą zimową szatę i z pomocą Mécodé oraz Çami narzuciła ją na płonącego mężczyznę. Wszystkie trzy pchnęły go na ziemię. Zaczęły przewracać go z boku na bok, aż w końcu miały pewność, że ogień został ugaszony.

Atharo podniósł się i powoli zdjął z siebie szatę Théry, niczym panna młoda welon. Płomienie pozbawiły go brody i większości włosów na głowie, lecz oparzenia na twarzy i szyi nie wyglądały na poważne.

– Trochę maści z lodowych lilii i zimowej galaretki i wszystko się zagoi – powiedziała Mécodé po przyjrzeniu się ranom. – Jednak przez kilka dni będzie mocno piekło.

– Dziękuję – rzekł Atharo, patrząc na Théré, Çami i Mécodé z wdzięcznością.

Tymczasem Zomi spokojnie wydała rozkazy wszystkim znajdującym się w jaskini:

– Otwórzcie drzwi, niech się wywietrzy! Nie wycinajcie żadnych innych worków i pamiętajcie, by nie wnosić do jaskini żadnego ognia.

W innych okolicznościach widok trzech kobiet – z których jedna była księżniczką i miała na sobie tylko bieliznę – tarzających starca jak kłodę wywołałby zapewne śmiechy i plotki, lecz wszyscy obecni w jaskini rozumieli, jaką odwagą wykazały się Théra, Çami i Mécodé.

Kidosu zaczęła bić brawo i zaraz dołączyła do niej reszta. Jaskinia wypełniła się dźwiękiem klaskania.

– Przyznaję, że dostałem nauczkę – rzekł zawstydzony Atharo. – Wygląda na to, że długie życie niekoniecznie gwarantuje człowiekowi mądrość. Jak udało wam się zachować spokój i skąd wiedziałyście, co robić?

Mécodé się roześmiała.

– Pochodzę z ubogiej rodziny i gotowałam dla wszystkich domowników, więc spędziłam w kuchni więcej czasu niż wy wszyscy razem wzięci. Często się zdarza, że spódnica staje w ogniu, a ja nauczyłam się sobie z tym radzić. Domyślam się, że Çami

miała podobne doświadczenia.

Çami pokiwała głową.

– Może i byłam dobrą uczennicą, ale i tak spodziewano się, że będę gotować dla braci i rodziców.

Atharo odwrócił się do Théry.

– Nie wyobrażam sobie, by księżniczka również poznała tę technikę w kuchni.

Théra uśmiechnęła się szeroko.

– Nie do końca. Kiedy mój ojciec był młodym mężczyzną, jego przyjaciel, Sekretarz Dalekowidzów Rin Coda, został trafiony bombą ognistą. Ojciec musiał szybko znaleźć sposób na ugaszenie ognia, odciął więc płomieniom dostęp do powietrza. Ta historia zrobiła na mnie duże wrażenie, więc mogłam zastosować podobną sztuczkę bez namysłu.

Atharo pokiwał głową.

– Dzięki bogom, że tu byliście.

Od tamtej pory badacze traktowali Théré, Çami i Mécodé jako pełnowartościowych członków zespołu. Kiedy wygłaszały opinie albo dzieliły się obserwacjami, inni słuchali.



Łącząca je trauma utraty rodziny z rąk Lyucu oraz wspólna praca w laboratorium sprawiły, że między Zomi i Thérą nawiązała się wyjątkowa relacja. Jadły razem posiłki i spędzały wiele godzin bez przerwy na dyskusjach o garinafinach, zasadach inżynierii, taktyce militarnej i wszystkim, co przyszło im do głowy.

Badania nad garinafinami zwolniły, ponieważ naukowcy pograżyli się w niekończącej się debacie na temat natury worków z gazem i ich związków z zachowaniem garinafin. Powstało wiele teorii i wszyscy byli sfrustrowani, gdy posłańcy z Pan co drugi dzień domagali się raportów o postępach, przypominając tym samym o nieuniknionej wojnie z Lyucu.

Pewnego dnia rozpętała się burza z piorunami i kiedy przestało już padać, Théra przekonała Zomi, by zrobiły sobie przerwę od pracy i wspięły się na klify.

– Czy tu nie jest pięknie? – zapytała Théra. Spokojne morze przybrało ciemnoturkusowy kolor. Kiedy słońce wyrzowało zza chmur, na niebie zawisła tęcza.

Zomi uśmiechnęła się i pokazała na tęczę.

– Co? – Théra popatrzyła w tamtym kierunku, myśląc, że przyjaciółka zauważyła coś na horyzoncie.

Zomi uśmiechnęła się i znów pokazała na tęczę.

– Czy to jakaś zagadka?

Zomi uśmiechnęła się i po raz trzeci pokazała na tęczę.

– Poddaję się. Powiedz mi, o co chodzi.

Uśmiech Zomi stał się smutny.

– Moja matka opowiedziała mi kiedyś historię o bogach i kalendarzowej

dwunastce. W tej opowieści pan Lutho postanowił na każde zadane mu pytanie odpowiadać w ten sposób. Bogowie są pełni tajemnic.

– Chciałabym usłyszeć kiedyś tę opowieść – odparła Théra. – Szkoda, że nie poznałam twojej matki.

– Oboje moi rodzice byli dobrymi bazarzami – rzekła Zomi. – A historia ta lepiej brzmi w dialekcie Dasu. Tak długo mieszkałam poza domem, że straciłam swój akcent.

Stały obok siebie, a Théra pocieszająco położyła jej rękę na ramieniu.

– Wiele tracimy, dorastając, ale też wiele zyskujemy. Nie było łatwo dotrzeć tu, gdzie teraz jesteśmy. Wieś w dole wyglądała, jakby dopiero co ktoś ją namalował: soczyście zielone łąki, głęboka czerń piasku na plaży, chatki i domki z błyszczącymi od wody czerwonymi dachami i śnieżnobiałymi ścianami.

– Pewna wielka dama powiedziała mi kiedyś, że spoglądanie na świat odrodzony po deszczu jest jedną z największych przyjemności świata – rzekła Théra.

– I rzeczywiście tak jest – odparła Zomi. – Cieszę się, że dałam się namówić na wejście tutaj. Chociaż nie wydaje mi się, bym cieszyła się choć w połowie tak bardzo, gdybym stała tu sama.

Théra się uśmiechnęła. Dama wspominała też o czymś takim.

Zomi usiadła, żeby poprawić uprząż na nodze, ponieważ kilka wici poluźniło się w trakcie wspinaczki.

– To naprawdę niesamowita rzecz – powiedziała Théra. Zajęła miejsce obok Zomi, żeby przyjrzeć się, jak uprząż wygina się i w ten sposób zwiększa siłę osłabionych mięśni nogi.

– Zrobił ją mój nauczyciel. – Jej oczy zmatowiały na moment. – Gdyby tutaj był, założę się, że już by odkrył sekret garinafin. Robimy tak niewielkie postępy. Czuję, że go zawodzę.

– Nie zgadzam się – odparła Théra. – Luan Zyaji był znakomitym uczonym, ale nie był bogiem. Był takim samym śmiertelnikiem jak ty czy ja. Wierzył, że wszechświat da się poznać, i dopóki będziemy się tego trzymać i się nie poddamy, jestem pewna, że w końcu nastąpi przełom.

– Jak możesz być tak optymistyczna?

– Nauczono mnie, że nasz los w większym stopniu zależy od tego, czym napelniamy nasze serca, niż od wrodzonych talentów i warunków, w jakich się urodziliśmy. Nazwano mnie „Tą, Która Przegania Smutki”, i zamierzam zapracować sobie na to miano. Jeśli nasza sytuacja wydaje się beznadziejna, możemy albo się poddać i oplakiwać nasze nieszczęście, albo zmienić scenariusz i ruszyć inną ścieżką. Zawsze jesteśmy bohaterami naszych własnych historii.

– Zawsze jesteśmy bohaterami naszych własnych historii – powtórzyła Zomi. Uśmiechnęła się naprawdę szczerze, po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Wiesz co, jesteś piękna, kiedy się tak uśmiechasz.

Zomi poruszyła się nerwowo. Zawsze zwracała uwagę na to, by zachowywać poważną postawę i przez to dowodzić, że nie odstaje od reszty uczonych.

– Każesz mi się uśmiechać częściej?

– Ani trochę – odparła Théra. – Jestem szczęśliwa, gdy widzę, że jesteś szczęśliwa, i mam nadzieję, że będzie nam dane przeżywać więcej chwil prawdziwej radości.

Zomi się zarumieniła. Rzadko ktokolwiek komentował jej wygląd ze względu na blizny, które zostały jej po tym, jak w dzieciństwie uderzył w nią piorun. Jednak uwaga Théry sprawiła, że w sercu Zomi zagościła dziwna lekkość.

Théra zachichotała.

– Te rumieńce też nie wyglądają najgorzej. Wiesz, że kiedyś się ciebie bałam? Byłam pewna, że mnie nie lubisz, ponieważ zawsze gdy próbowałam z tobą porozmawiać, byłaś wobec mnie taka niecierpliwa.

Zomi roześmiała się z zakłopotaniem.

– Byłam arogancka i myślałam, że wszystko wiem. Przepraszam, że byłam taka niemila.

– W dzieciństwie nie miałam zbyt wiele kontaktu z dziećmi, nie licząc rodzeństwa, a kiedy wreszcie mogłam spędzać czas z dziewczynami w moim wieku, przez różnice w statusie społecznym nie mogłyśmy być sobie zbyt bliskie. Naprawdę cieszę się, że mogę teraz pracować z tobą.

– Ja też cieszę się z naszej współpracy – powiedziała Zomi. Przelknęła ślinę i pociągnęła dalej: – Nigdy ci tego nie mówiłam, ale jestem ci bardzo wdzięczna, że pokazałaś mi, jakim byłam tchórzem, próbując uciec z dworu po zdradzeniu marszałek.

– Pokazałam ci tylko to, co w głębi serca już wiedziałaś – odparła Théra. – Prawdziwy przyjaciel jest lustrem, w którym odbija się prawda.

– A gdybym... – Zomi zawahała się i znowu przelknęła ślinę, patrząc Thérze w oczy. Z bijącym sercem, zmusiła się do dokończenia: – Gdybym chciała być kimś więcej niż przyjaciółką?

Théra zarumieniła się, a na jej twarzy wykwitł promienny uśmiech.

– Myślałam, że gram na cytrze przed krową, lecz wygląda na to, że to ja jestem krową, która za bardzo bała się tańczyć!

– Czy to znaczy... tak? – zapytała Zomi. Serce waliło jej jak młot.

Zamiast odpowiedzieć, Théra objęła Zomi i przyciągnęła do siebie, by całować ją długo i czule.

Promienie słońca odbijały się od powierzchni morza, a delikatna bryza pieściła soczyście zielone trawy i drzewa.

Dwie młode kobiety, które usłyszały głosy swoich serc, muzykę w muzyce, zaśpiewały w idealnej harmonii:

Jak daleko popłyną? Co ujrzą?

Jak dalekich brzegów dosięgną,

zanim utoną, wyrosną i zakwitną

na skąpanych w słońcu falach?

Atharo Ye, z głową owiniętą bandażem, na powrót rzucił się w wir pracy. Z pokorą poprosił księżniczkę Théré i Zomi, aby mu asystowały.

– Mamy w tej chwili zbyt wiele teorii, a za mało dowodów – rzekł. – Musimy więcej robić, a mniej gadać.

Ostrożnie wyciął kolejny worek z ciała garinafiny.

– Jak mamy zbadać właściwości tego gazu? – zapytał, marszcząc brwi.

– Możemy zważyć rybę.

Napełnili pusty worek gazem z jednego z ostatnich sterowców pocztowych cesarstwa, aż przybrał ten sam rozmiar co worek garinafiny. Następnie przywiązywali do obu odważniki, aż ustawiły się na tej samej wysokości i przestały się wznosić.

– Gaz wewnątrz ciał garinafin jest cięższy niż ten z jeziora Dako – oznajmił Atharo. – Dlatego ten drugi worek jest w stanie unieść cięższy odważnik.

– Czyli gaz garinafin ma mniejszą siłę nośną niż ten u sokołów Mingén i w naszych sterowcach – zauważyła Zomi. – To tłumaczyłoby potrzebę posiadania tak wielkich skrzydeł.

– Jest również łatwopalny, czyli prawdopodobnie to dzięki niemu mogą zionąć ogniem – dodała Théra.

Pod wpływem przecucia poprosiła, by do jaskini wniesiono kanister z gazem, którego używano do miotaczy ognia. Powtórzono eksperyment, tym razem porównując wagę gazu uzyskanego ze sfermentowanej gnojówki z gazem garinafiny. Okazało się, że mają identyczną wagę.

– Jednak skąd garinafiny biorą gaz fermentacyjny? – głowili się badacze.

Mécodé, znawczyni wpływu ziół na trawienie u zwierząt, zaproponowała możliwą odpowiedź:

– Proces fermentacji, w wyniku którego powstaje gaz fermentacyjny do miotaczy ognia, może być podobny do tego, który zachodzi w układzie pokarmowym roślinożerców.

Kolejne sekcje wydawały się potwierdzać te domysły. Garinafiny, tak jak krowy i owce, miały wiele żołądków. Najwyraźniej trawa przechodziła fermentację w jednym z pierwszych, a następnie zwierzę zwracało ją, powtórnie przeżuwało i połykało. Następnie gaz powstały w procesie fermentacji był transportowany i magazynowany w sieci worków, rozmieszczonych w całym ciele. Przed pęknięciem zabezpieczało je powolne ulatnianie się gazu, w związku z tym musiały być regularnie napełniane.

– Zionięcie ogniem również powoduje zużycie gazu – zauważyła Zomi. – To tłumaczy, dlaczego garinafiny nie mogą latać zbyt długo, gdy zioną ogniem. Muszą uzupełnić braki w gazie poprzez zdobycie pożywienia.

– Świat jest pełen cudów – stwierdził Atharo Ye. – Roślinożercy najwyraźniej rozwinęli tę umiejętność jako mechanizm obronny. Ciekawe, jakie jeszcze niesamowite stworzenia można by znaleźć w Ukyu i Gondé.

Kiedy zobaczyli w tych skrzydlatych bestiach przeżuwających trawę latające

krowy, wydały im się mniej przerażające. Natychmiast zaczęli się wspólnie zastanawiać, w jaki sposób wykorzystać nowo zdobyte informacje.



Dalsze sekcje przyniosły odkrycie kolejnych tajemnic.

Chociaż garinafiny z całą pewnością były ssakami, po pokrojeniu dwóch ciał – w obu przypadkach płci żeńskiej – znaleziono częściowo wykształcone jaja o twardych skorupach, co świadczyło o jajorodności.

– Ssaki, które składają jaja! – wykrzyknął Atharo Ye. – Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

Gdy zajrzeli do środka jaj, ujrzeli kolejne niespodzianki.

– W przeciwieństwie do większości zwierząt jajorodnych, jakie znamy, u garinafin płód przynajmniej częściowo rozwija się w ciele matki, czyli jeszcze zanim dojdzie do złożenia jaj – powiedziała Çami, która dobrze знаła rozwój prenatalny ptaków. – Może nie wiemy zbyt wiele na temat rozrodu garinafin, ale gołym okiem widać, że te potwory w jajach nie są normalne i prawdopodobnie okazałyby się niezdolne do życia: mają po trzy skrzydła i po sześć nóg.

– Twoim zdaniem garinafina była chora? – zapytała księżniczka Théra.

– Możliwe. Ale równie prawdopodobne jest to, że problemem jest środowisko. W końcu garinafiny trafiły na obcy ląd i może im brakować jakiegoś istotnego składnika niezbędnego do rozrodu.

– Właściwie to interesujące, że dotychczas nie widzieliśmy żadnych młodych garinafin – zauważyła Zomi. – Wiemy, że Lyucu wymuszają posłuszeństwo dorosłych osobników, trzymając w niewoli ich potomstwo. Jeśli garinafiny przywiezione tutaj mają problem ze składaniem jaj, Lyucu mogą wkrótce utracić kontrolę nad swoimi wierzchowcami.

Wydawało się to obiecującą perspektywą, lecz wciąż mieli niewiele potwierdzających ją dowodów.



Kiedy wstępne prace sekcyjne dobiegły końca, naukowcy podzielili się na grupy skupiające się na różnych obszarach badań.

Ponieważ garinafiny okazały się podobne do krów pod względem rodzaju wymaganego pożywienia oraz anatomii układu pokarmowego, Mécodé wysnuła wniosek, że być może cierpią na te same choroby związane z trawieniem i mają te same słabości.

– A ja znam kogoś, kogo można wypytać o bydło – powiedziała Théra.

Zabrała jeden ze sterowców pocztowych i ruszyła na wyżyny Faça.

Lu Matiza z radością przywitała wnuczkę, lecz zaraz nieco spochmurniała, gdy dowiedziała się, jaki jest cel tej wizyty.

– Dlaczego chcesz spędzać czas z pomocnikami? Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o bydle, zapytaj mnie.

– Babciu, może wiesz wszystko na temat optymalizacji hodowli i prowadzenia interesu, ale ja potrzebuję wiedzy praktycznej, a nie zdobędę jej, jeśli nie pobrudzę sobie rąk.

Ile by Lu Matiza nie próbowała wytłumaczyć Thérze, że księżniczce Dary nie przystoi przebywać i współpracować z pomocnikami – czy w ogóle potrafiła sobie wyobrazić, jakie plotki się rozejdą o niej i jej rodzinie? – dziewczyna nie dała się przekonać. Upierała się, że potrzebną wiedzę musi zdobyć w jedyny właściwy sposób: poprzez praktykę.

Lu westchnęła. Uparta wnuczka przypominała jej młodą Jię.

– Twoja matka też nigdy nie chciała mnie słuchać.

To wzbudziło zainteresowanie Théry.

– A w jakim względzie?

– Och, każdym. Każdego lata powtarzałam jej, żeby nie biegała z dziećmi z wioski i nie brała udziału w ich niebezpiecznych zabawach. Błagałam, żeby skupiła się na haftowaniu i tańcu, zamiast każdą wolną chwilę poświęcać na zbieranie ziół. Prawie każda swatka odchodziła od nas obrażona, bo była dla nich nieznośna. Trzeba było słyszeć nasze klótnie.

Théra wyobraziła sobie matkę jako młodą dziewczynę odmawiającą wyjścia za mąż, by poświęcać czas na ciekawsze zajęcia, i pomyślała o niej z uznaniem – paradoks, zważywszy na łączącą je trudną relację. Jednak historia sprawiła, że w pewien sposób poczuła się bliższa Jii.

W końcu babcia Lu się poddała. Pocieszyła się tym, że chociaż Jia nie chciała słuchać rodziców i uparła się wyjść za Kuniego Garu, ostatecznie wszystko ułożyło się dobrze. Może w rodzinie Matizów należało pozwalać córkom robić to, co chcą. W ten oto sposób przez kilka tygodni Théra stała się jedną z pracownic na ranczu Lu Matizy. Zakazała babce zdradzać jej prawdziwej tożsamości, żeby mogła się dowiedzieć, jak naprawdę wyglądała ta praca. Nauczyła się jeść suchary i suszoną wołowinę na obiad, pić rozgrzewający i pobudzający napar z pieczonego korzenia cykorii, śmiać się ze sprośnych dowcipów i opowiadać je przy ognisku, opatulona kocem spać na polu pod gwiazdzystym niebem, wrzucać łopatą łajno do dołu na gnojówkę, w czasie dobrej pogody prowadzić bydło z pastwiska na pastwisko i podczas deszczu do stodół, gdzie napelniała koryta pachnącym sianem. Przez nieustanną harówkę i niekończące się obowiązki jej dłonie stały się szorstkie, a skóra opalona, zaś członki nabrały siły.

Pracownicy bali się Lyucu i dzielili oburzającymi plotkami, a Théra uspokajała ich, nie zdradzając przy tym swojej tożsamości. Było to trudne i wymagało zręcznego żonglowania informacjami, poza tym ciągle dręczył ją strach, że nie uda jej się na czas odkryć tej jednej maleńkiej rzeczy, która wszystko zmieni.

Przekonała się, jak cudownym organem jest żołądek zwierząt przeżuwających i jak ostrożnie trzeba się z nim obchodzić. Nie można było karmić krów byle czym. Zmiana jednej mieszanki trawy albo siana na inną musiała być dokonywana stopniowo i roztropnie, inaczej bydło zaczynało chorować na wzdęcia albo zatrucia. To, co było dobre do jedzenia dla człowieka, nie nadawało się dla bydła. Żołądki tych

zwierząt należało traktować delikatnie, a ich odchody starannie badać, aby mieć pewność, że ten tajemniczy proces, pod wpływem którego bydło zmieniało trawę i siano w mleko, mięso i inne produkty, przebiega prawidłowo.

Kiedy Théra była gotowa wrócić do Ginpen ze swoimi odkryciami, w jej głowie formował się już plan, z którego była całkiem dumna.



Tymczasem Zomi Kidosu w pełni oddała się zadaniu sprawdzenia, w jaki sposób, zionąc ogniem, garinafiny wykorzystują łatwopalny gaz. Miotacze ognia marszałek Mazoti wymagały płomienia pilotującego. Badanie wnętrza jamy gębowej garinafiny oraz górnej części przewodu pokarmowego nie wykazało obecności struktury zdolnej do utrzymania takiego płomienia. Nie było też śladu po metalu czy kamieniu, którym zwierzęta mogłyby skrzesać iskrę.

Pozostali naukowcy wysnuli skomplikowane teorie wyjaśniające pochodzenie ognia. Może ciało zwierzęcia wytwarzało jakąś substancję która mogła spontanicznie stawać w płomieniach? A może, tak jak wędrowcy zagubieni w lesie, którzy wznecali ogień poprzez pocieranie dwóch patyków, zgrzytały zębami z taką siłą i prędkością, że wytwarzały podpalające gaz ciepło? A może oczy bestii mogły skupiać promienie słoneczne jak zakrzywione lustro ze starego Haanu i zapalać ogień wewnątrz czaszki?

Żadna z tych teorii nie znalazła potwierdzenia po dokładnym przeanalizowaniu anatomii garinafin. Wreszcie większość badaczy porzuciła ten temat, uznając problem za nierozwiązywalny, i przeszła do innych zagadnień – oby łatwiejszych do wyjaśnienia.

Jednak Zomi nie potrafiła odpuścić. Posłała wiadomość do dalekowidzów, żeby zebrali informacje o innowacyjnych sposobach rozpalania ognia. Liczyła, że w ten sposób uda się dokonać przełomu.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty Pomoc Tan Adü

Tan Adü: czwarty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Dafiro Miro przybył do Tan Adü. Minęło dwadzieścia lat, odkąd ostatni raz postawił stopę na najbardziej wysuniętym na południe zakątku Dary.

Zgodnie z obietnicą, jaką złożył wodzowi Kyzenowi w zamian za pomoc Adüanów w zaangażowaniu crubenów, cesarz Ragin zabronił wszystkim swoim dowódcom i arystokratom prowadzenia wojny przeciwko mieszkańcom Tan Adü. W czasie ostatnich dwóch dekad jedynymi Darzanami, którzy przybijali do tych brzegów, byli kupcy i misjonarze, a od czasu do czasu bardziej żądni przygód Adüanie zabierali się z nimi na inne wyspy, żeby zaspokoić swoją ciekawość świata.

Powoli, lecz nieubłagane Tan Adü ulegało przemianom: w domach niektórych pomniejszych wodzów pojawiły się porcelana, lakierowane naczynia, a nawet jedwab, zaś sam wódz Kyzen niechętnie zgodził się zatrudnić skrybów z Dary, żeby spisali historie i legendy jego ludu, by stworzyć repozytorium pewniejsze niż tradycja oralna. Te zmiany były przyczyną żarliwych dyskusji pośród wodzów i innych członków plemion, lecz wszelkie decyzje podejmowano raczej wspólnie niż pod wpływem groźby ze strony najeźdźców.

Wódz Kyzen, który dobrze poznał język, jakim władano w Darze, i nie potrzebował tłumacza, by rozmawiać z emisariuszami cesarza Ragina, przyjął Dafiro z szeroko otwartymi ramionami.

– Jak się miewa wódz wodzów? – zapytał, a w kącikach jego ust błąkał się przekorny uśmiech. – Kiedy przybył tutaj po raz pierwszy, wygłosił piękną przemowę o zdetronizowaniu tyrana Mapidérego. W końcu jednak chyba nie zdołał się oprzeć pokusie i sam został wodzem wodzów!

Dafiro poruszył się nerwowo, słysząc takie oskarżenie wobec jego pana.

Kyzen się roześmiał.

– Tak tylko żartuję. Dobrze widzieć, że ludzie Kuniego Garu nadal są wobec niego bardzo lojalni. Wieści o pokoju i dobrobycie, jakie panują w Darze pod rządami cesarza Ragina, dotarły nawet do moich starych uszu. Przekazali je kupcy, którzy tu czasem zaglądają, choć przecież ta wyspa znajduje się daleko poza szlakami handlowymi. Nie ma nic złego w pragnieniu władzy, dopóki chce się ją osiąść dla dobra ludu. Poza tym Kuni dotrzymał słowa i zostawił Adüanów w spokoju. Jestem mu za to wdzięczny.

– Cesarz znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – powiedział Dafiro, a następnie przekazał wodzowi najświeższe nowiny z Dary.

– Rzeczywiście jest aż tak źle? – zapytał zamyślony Kyzen. – Waszym zdaniem nie ma szans na zwycięstwo? Kuni Garu i jego doradcy, zwłaszcza Toru-noki, zawsze

mieli głowy pełne pomysłów.

Dafiro pokręcił głową.

– Mistrz Luan Zya, teraz honorowo tytułowany Zyaji, zmarł, oddawszy życie w ostatniej próbie powstrzymania Lyucu. Marszałek, która jest najlepszym dowódcą, jakiego znam, nie widzi nadziei.

– Czyli znowu przybyliście do nas po pomoc.

Dafiro przytaknął.

– Przekonałem marszałek, by pozwoliła mi spróbować. Jeśli wspaniałe crubeny pomogły cesarzowi zdobyć tron, o czym przypomina sama flaga Dary, być może zechcą raz jeszcze wesprzeć nas w czarnej godzinie.

– A dlaczego mają się w to mieszać Tan Adü?

– Lyucu zamierzają nie tylko zdobyć Darę, ale również zniewolić jej mieszkańców. Opowiedziałem ci już o ich barbarzyńskich zwyczajach. Wyspy Dary osłaniają Tan Adü niczym wargi, które chronią zęby przed podmuchem mroźnego wiatru. Jeśli ich jednak zabraknie, czyż zęby nie poczują zimna?

Kyzen zamknął oczy i rozważył prośbę, powoli pykając swoją rogową fajkę. Dafiro czekał, wstrzymując powietrze.

Wreszcie powieki Kyzena podniosły się.

– Czy bogowie Dary nie dali znaku, jaka jest ich wola?

– Bogowie Dary, jak wiesz, przysięgli nie wtrącać się w sprawy śmiertelników, przynajmniej nie bezpośrednio.

– Przysięgę tę złożyli dopiero po Wojnach Diaspory. Mogliby się z niej wycofać bez trudu.

Dafiro zawsze zastanawiał się, jaką religię praktykuje się w Tan Adü.

– Czy wy modlicie się do tych samych bogów co my?

– To... zaskakująco trudne pytanie – odparł wódz Kyzen. – Kiedyś myślałem, że tak, ale w rzeczywistości ani tak, ani nie. Chodź ze mną.

Wódz Kyzen zabrał Dafiro do dużej chaty. Tworzył ją bambusowo-drewniany szkielet kryty strzechą z trzciny i trawy. Chata była otwarta i przestronna, a przy jej ścianach stało wiele półek wypełnionych rzeźbionymi figurkami z kokosa, drewna i kości wieloryba.

Dafiro popatrzył pytająco na wodza Kyzena.

– W epoce królestw Tiro królowie Amu i Cocru często próbowali podbić nasze ziemie. Chociaż nigdy nie udało im się zdobyć tej wyspy, w wyniku ich najazdów traciliśmy skarby odziedziczone po przodkach. Kiedy ktoś z naszej młodzieży wyjeżdżał na którąś z wysp Dary studiować sztukę, nakazywałem mu udać się do wodza wodzów i Panów z Dary, wyprosić oddanie tych artefaktów i sprowadzić je z powrotem. Wiele zostało zniszczonych, ale część wróciła do domu.

Dafiro przyjrzał się dokładniej figurkom. Nie przypominały tych pochodzących z Dary. Niektóre miały głowy tak duże, jakby tułów i członki dodano dopiero po namyśle, w innych cechy ludzkie mieszały się z cechami rekinów i innych ryb, wielorybów, ptaków lub jaszczurek. Jeszcze inne nie przypominały w ogóle ludzi i najwyraźniej przedstawiały egzotyczne stworzenia z głębin morskich. Wiele

z nich ozdobiono kawałkami koralu albo muszelkami, a liczne uszkodzenia świadczyły o tym, że są bardzo stare.

– Czy to... wasi bogowie? – zapytał Dafiro z podziwem.

– Jak już mówiłem: i tak, i nie.

– Nie rozumiem.

– Uczni i urzędnicy zajmujący się badaniem trofeów dawnych królów Tiro z pewnością uważali, że to nasi bogowie, a kiedy wytłumaczyliśmy, że nie zamierzamy się modlić do tych rzeźb, lecz chcemy je z powrotem, ponieważ otrzymaliśmy je w spadku po przodkach, uczni z Dary byli zdumieni.

– Podobnie jak ja – rzekł Dafiro. – Znasz historie związane z tymi figurkami, wodzu?

– Są ich setki i nawet kiedy byłem chłopcem, starzyzna plemienia nie знаła nazw wszystkich będących w naszym posiadaniu figurek, a co dopiero nazw tych skradzionych i opowieści na ich temat. Taka już jest natura opowieści przekazywanych ustnie – z każdym pokoleniem ich ubywa, nawet jeśli powstają nowe.

– To... smutne – rzekł Dafiro.

– Ani smutne, ani radosne – odparł wódz Kyzen. – Tak po prostu jest. Ale badacze z Dary zareagowali bardzo podobnie do ciebie i niektórzy z nich zaoferowali, że odnajdą dla nas nasze dawne opowieści zapisane w waszych księgach. Ano walczyli z tubylcami, ale też opisywali ich tradycje.

– Cudownie słyszeć, że dzięki logogramom Ano wasz lud może odzyskać swoją przeszłość zachowaną w ich zamrożonych głosach – powiedział Dafiro. Jak wielu zwykłych ludzi traktował logogramy z niemal nabożną czcią, a propozycja Zomi Kidosu sprzed kilku lat, by wycofać je z egzaminów, nigdy mu się nie podobała.

– W rzeczy samej. Młodzi Adüanie i uczni z Dary przeszukali archiwa i dowiedzieli się o rozmaitych wierzeniach i zwyczajach zapomnianych przez naszą starszyznę. Na przykład – pokazał figurkę człowieka z przerośniętą głową i trzema muszelkami na twarzy – poznałem opowieść o Bohaterze z Trzema Oczami, który zanurkował na dno morza, by zażądać rozejmu między ludzkością a wielorybami, i przytrzymał króla wielorybów pod wodą tak długo, aż ten się poddał.

Dafiro przyjrzał się figurce z podziwem. Ze smutkiem pomyślał, że taka historia spodobałaby się jego bratu.

– W czasie badań młodzi Adüanie zaczęli się interesować również wierzeniami mieszkańców Dary – ciągnął dalej wódz. – Przeszukiwali stare tomiszczą, konsultowali się z wykształconymi kapłanami i mnichami, a wiejskie czarownice i media wypytywali o wiedzę przekazywaną wyłącznie ustnie. Wczesne dni Ano na Wyspach zagubiły się we mgle historii, a do dzisiaj przetrwały sprzeczne ze sobą mity i historie udające dawne wierzenia religijne. Wielu uczonych z Dary powiedziało nam, że odnalezienie prawdy na temat naszej przeszłości jest niemożliwe.

– Nie wiedziałem, że to takie skomplikowane – odparł Dafiro.

– Poprzez porównywanie naszych opowieści, zarówno tych zapamiętanych,

jak i odczytanych z waszych ksiąg, z opowieściami o bogach Dary z zapisków Ano dokonaliśmy niesamowitego odkrycia.

Wódz Kyzen pyknął jeszcze raz swoją fajką, napawając się niecierpliwością malującą się na twarzy Dafiro. Potem zlitował się i dokończył swoją historię.

– Wczesne sagi Ano zawierały kilka różnych wersji mitu stworzenia, a także opowieści o bogach, którzy nie pojawiali się w późniejszych zapiskach. Mit stworzenia, który ostatecznie zdominował wszystkie inne, to ten dobrze wam znany: rozstanie Thasoluo i Daraméi, stworzenie Wysp z jej lez i jednocześnie narodziny młodych bogów Dary.

Dafiro pokiwał głową, niepewny, do czego wódz zmierza.

– Mit ten jest niezwykle podobny do naszego własnego mitu stworzenia, chociaż różni się w kilku ważnych szczegółach. Nasi bajarze mówili o stworzeniu rasy ludzi z krwi Daraméi, gdy ta rodziła bogów, czego brakuje w opowieściach Ano. W dodatku u nas Tazu był boginią, a nie bogiem, który czasami przyjmuje żeńską postać.

– Która wersja, wodzu, jest twoim zdaniem prawdziwa?

– Zwykli śmiertelnicy nigdy się tego nie dowiedzą. Mam jednak pewną teorię. Kiedy Ano przybyli na te ziemie, przywieźli ze sobą własnych bogów, różniących się od tych, których znasz jako bogów Dary.

– Swoich własnych bogów! – Dafiro był tak zszokowany, że zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć.

– Tak. Bogowie Ano posiadali własne imiona, sfery wpływów i historie. Niektóre zostały zapisane w najstarszych sagach, lecz później je zaniedbano. Kiedy Ano walczyli i mieszały się z tubylcami, poznali naszych bogów i mity, a z czasem zaczęli identyfikować swoich bogów z naszymi. Na przykład ich bóg ognia przeobraził się w naszą boginię wulkanów, nasza bogini-oszustka była widziana jako odpowiednik ich boga-oszusta, nasz bóg zajmujący się leczeniem został uznany za odbicie ich miłościwego pasterza. Elementy z ojczyzny Ano zostały przeszczepione na naszych bogów, a Ano modlili się do nich, jakby wciąż modlili się do bogów swojej ojczyzny.

W trakcie swoich wyjaśnień wódz Kyzen pokazywał Dafiro różne figurki: boginię z wielorybiej kości, której obfity biust został wyrzeźbiony w koralu i kształtem przypominał góry Kana i Rapa, drewnianą boginię z dolną częścią ciała rekina, posążek z czystego białego rogu crubena, powszechnie słynącego z litościwości.

– Dlaczego to zrobili? – zapytał Dafiro.

– Kto wie? Podejrzewam jednak, że bogowie pozostają przywiązani do miejsca, z którego pochodzą, a Ano przywieźli tu swoich bogów tylko w postaci imion. Ponieważ potrzebowali boskiej obecności, a najłatwiej było zacząć modlić się do tych bogów, którzy odpowiadali, czyli naszych, nadali im znajome cechy, żeby móc widzieć w nich odbicia swoich bogów.

– I bogowie Dary się na to zgodzili?

– Bogowie są tajemnicą, Dafiro Miro. Nie rozumiemy ich myśli ani pragnień.

Wyobrażam sobie jednak, że pod względem posiadania władzy bycie bogiem nie różni się szczególnie od bycia królem: jeden i drugi woli silnych podwładnych i wyznawców. A jeśli Ano byli potężniejsi niż nasi przodkowie, czy może dziwić fakt, że cieszyli się większym poważaniem u bogów? Zupełnie tak, jak bogowie mają wpływ na nasze sprawy, może i świat śmiertelników ma wpływ na sprawy boskie. Wiemy na pewno tylko tyle, że piękne świątynie dla bogów Dary zostały wybudowane przez naszych najeźdźców, zaś znajdujące się w nich wizerunki bogów tworzono raczej na modłę Ano niż miejscowego ludu. Dlatego zamiast się do nich modlić, moi przodkowie zaczęli spoglądać w niebo i morze, zaś historie związane z figurkami zostały zapomniane, nasi bogowie stali się abstrakcyjni, mniej zależni od konkretnej podobizny. Najeźdźcy zabrali nie tylko wasze ziemie, ale też naszych bogów.

Dafiro milczał, zbyt zdumiony tymi informacjami. Ponieważ figurki stojące teraz na półkach zostały bardzo dosłownie skradzione tutejszemu ludowi przez najeźdźców z Dary, słowa wodza nie były wyłącznie metaforą.

– A więc odpowiadając na twoje pytanie: czy modlimy się do tych samych bogów? I tak, i nie, ponieważ bogowie zmienili się pod wpływem Ano. Mieszkańcy Dary, chociaż są potomkami Ano i tubylców, widzą siebie jako spadkobierców Ano i wyznają wiarę w ten sam sposób. My z kolei wciąż modlimy się do bogów Dary i ich rodziców, Ojca Świata i Źródła Wszystkich Wód, wiemy jednak, że oni wolą mieszkańców Dary niż nas, spadkobierców pokonanego ludu. Moja opowieść powinna być może stanowić ostrzeżenie dla was i waszych ludzi, ponieważ zupełnie tak jak bogowie niegdyś wybrali na swoich ulubieńców Ano, mogą zmienić upodobania i pokochać inny lud. Fakt, że nie wyrazili jeszcze swojego zdania, jest... interesujący.

Dafiro przyrzekł podzielić się historią wodza Kyzena z bardziej światłymi niż on sam poddanymi cesarza. Być może inni zdołają wynieść z niej coś mądrzejszego. Tymczasem wrócił do sprawy, która przywiodła go do Tan Adü.

– Niech bogowie robią tak, jak im się podoba. A przybyłem tutaj prosić, byś przemówił w naszym imieniu do crubenów, wodzu.

Twarz wodza Kyzena przybrała poważny wyraz.

– Sprawa ta nie jest tak prosta, jak ci się wydaje. Władcy mórz postępują wedle własnych chęci. Chociaż Adüanie mogą do nich przemówić, wyłącznie proszą, nie rozkazują. Morze jest ogromne i wieczne, a ludzie śmiertelni i wåtli. Mając to na uwadze, zawsze staraliśmy się ograniczać nasze prośby do momentów najwyższej konieczności, na przykład tych, kiedy zagraża nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Wieki temu, kiedy te brzegi najechali królowie Cocru, przedstawiliśmy sprawę crubenom i wysłuchały nas, niszcząc cocruską flotę. Przez wiele miesięcy fale wyrzucały na plażę fragmenty wraków tamtych statków.

– Zawsze mi mówiono, że to boska interwencja zniweczyła plany cocruskich królów – odparł Dafiro.

– A my z radością nie prostowaliśmy tych informacji, ponieważ nic tak nie odstrasza jak boska interwencja. Jednak crubeny, chociaż potężne ponad nasze

wyobrażenia, nie są bogami.

– Crubeny z pewnością wyżej cenią Tan Adü niż mieszkańców Dary.

– Przez jakiś czas też tak myśleliśmy. Kiedy jednak Mapidéré wysłał swoją flotę, raz jeszcze zwróciliśmy się o pomoc do crubenów. Wtedy jednak nie zareagowały. Ponieważ liczyliśmy na ich pomoc, nie przygotowaliśmy się odpowiednio na odparcie ataku i wielu wojowników straciło życie, gdy musieliśmy na szybko obmyślać strategię i walczyć o każdy skrawek ziemi, aż w końcu wódz wodzów postanowił, że woli skupić swoją uwagę na czymś innym niż biedne dzikusy z Tan Adü.

– Dlaczego crubeny nie pomogły wam drugi raz?

– Nigdy nie poznaliśmy odpowiedzi na to pytanie. Niektórzy starsi członkowie plemienia wierzyli, że to przez naszą arogancję, ponieważ wzięliśmy pomoc crubenów za pewnik. Inni uważają, że crubeny mają własny punkt widzenia na ludzkie sprawy i chciały się przekonać, jak się zachowamy w obliczu zagrożenia.

– A w co ty wierzysz, wodzu Kyzen?

Kyzen pokręcił głową.

– Zawsze można po wszystkim wymyślić jakieś przekonujące wytłumaczenie, jednak los często bywa kapryśny i rządzą nim siły wykraczające poza nasze rozumienie. Sekret szczęścia polega na tym, by być przygotowanym na najgorsze, lecz jednocześnie pozostawać w gotowości, by wykorzystać okazję, gdy pojawi się na chwilę jak spadająca gwiazda. Władcy, którzy myślą, że wszystko da się przewidzieć i kontrolować, ryzykują wyrządzenie wielkiej krzywdy tym, którzy są od nich zależni. Zgodziłem się poprosić crubeny o pomoc dla Kuniego Garu dopiero wtedy, gdy zyskałem pewność, że należy do osób, które wierzą, że życie jest jednym wielkim eksperymentem.

Dafiro zastanowił się.

– Marszałek zawsze miała plan na wypadek przegranej, lecz nigdy nie przestawała patrzeć w niebo, na wypadek gdyby pojawiła się tam spadająca gwiazda.

Kyzen roześmiał się.

– W takim razie obaj przeszukajmy niebo.



Tuż przed świtem trąbka z wielorybiej kości poniosła głos adüańskiego wodza daleko w ciemne morze. Kiedy Dafiro słuchał pieśni, przypomniał mu się świt sprzed wielu lat, kiedy usłyszał ją po raz pierwszy. Był wtedy jeszcze młodym chłopakiem, szukającym przygód i podniet, i miał nadzieję na dobrą historię, którą będzie mógł się podzielić z bratem.

Na wspomnienie o swoim bracie pomodlił się za niego w myślach. Jeśli Rat widział go z drugiego brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Płynie, być może spodoba mu się też widok crubenów.

Pieśń Kyzena trwała i trwała. Kiedy Dafiro wsłuchiwał się w to wznoszący się,

to znów opadający poważny dźwięk dobywający się z trąbki, oczyma wyobraźni widział Lyucu zagarniających Darę jak tsunami, którzy wymywają z niej wszystko, co piękne i dobre – zdzierają cienką warstwę cywilizacji, uczeptioną twardych wulkanicznych skał niczym mięczaki swych kruchych wielokolorowych muszelek. Zobaczył płonące pola, wioski i miasta, usłyszał krzyki umierających mężczyzn i kobiet, poczuł zapach tysięcy płonących ciał, a w ustach smak krwi. Zadrzał i zdał sobie sprawę, że ma mokną twarz.

A wtedy, tuż po tym, jak zza widnokręgu wyjrzało słońce, zmieniając morze w ciekłe złoto, przypląnęły crubeny.

Przebiły fale wiele kilometrów dalej, a ich ciemne sylwetki rysowały w powietrzu piękne łuki. Chociaż były największymi zwierzętami na świecie, wielokrotnie większymi niż cesarskie okręty, poruszały się bez wysiłku, jakby stworzono je z cieni i powietrza.

Pieśń wodza Kyzena wybrzmiała do końca. Historia została opowiedziana i prośba złożona. Teraz należało już tylko czekać, aż władcy mórz odpowiedzą.

Crubeny podpląnęły do kajaków, poruszając się niemożliwie szybko. Odgłos ich ogromnych płetw ogonowych uderzających o wodę stawał się coraz bardziej donośny, jak przetaczający się grom.

Gdyby crubeny zgodziły się pomóc ludowi Dary, mogłyby bez wysiłku zniszczyć statki-miasta Lyucu. A potem, kto wie? Czy garinafyny, zwierzęta żywiołu ognia, odważyłyby się walczyć z władcami żywiołu wody? Być może oddziały Dary mogłyby popłynąć na Rui i Dasu na grzbietach crubenów i podbić Lyucu, gdy ci z przestrachem patrzyliby na ten pokaz miażdżącej siły?

Crubeny były teraz tak blisko, że kajaki kołysały się na falach wywołanych ruchami zwierząt. Dafiro przytrzymał się krawędzi obiema rękami, czując mdłości.

Wielki ogon uderzył w powierzchnię morza, a powstała w ten sposób fala, niczym wodna kurtyna, zastygła na sekundę nad łódką, zmieniając widziany przez nią krajobraz w pejzaż malowany akwarelami, po czym runęła, mocząc wszystkich w kajaku. Dafiro wstrzymał oddech i zacisnął powieki w nadziei, że kiedy znowu otworzy oczy, crubeny będą unosić się przed kajakami niczym żywe wyspy, czekając, aż ludzie z Dary znowu się na nie wespną.

Jednak olbrzymy wyminęły kajaki, nie zwracając na nie uwagi, a potem odpląnęły w stronę widnokręgu. Morze uspokoiło się, odgłosy chlapania wielkimi płetwami ucichły. Wkrótce powierzchnia wody znowu stała się pozbawiona wyrazu, a złoty blask wstającego słońca zbladł, ustępując miejsca zwykłej zieleni.

– Przykro mi – rzekł wódz Kyzen.

Tym razem mieszkańcy Dary musieli walczyć sami.



Przed opuszczeniem Tan Adü Dafiro udał się w odwiedziny do swojego starego przyjaciela Huluwena, który oddał mu niegdyś swoją broń – palkę bojową o imieniu Kąsiciel.

Uściskali się na powitanie. Od ich ostatniego spotkania minęły lata, jednak łącząca ich więź wydawała się tak mocna, jakby pożegnali się ledwie wczoraj.

Huluwen miał żonę i wiele synów oraz córek, a radosna hałaśliwość jego bliskich sprawiła, że Dafirowi przez chwilę mu zazdrościł. Sam poświęcił życie cesarskiej rodzinie i nigdy się nie ożenił. Dziwne – niegdyś tłumaczył młodszemu bratu, jak ważne jest dbanie o własne potrzeby zamiast poświęcania się dla wielkich panów, a jednak z jakiegoś powodu po śmierci Ratho żył według jego zasad dotyczących honoru i powinności. Być może taki był najlepszy sposób na upamiętnienie brata, który zawsze idealizował lojalność.

Huluwen niezbyt dobrze rozumiał język Dary, dlatego porozumiewali się za pomocą gestów i chrząknięć, a także prostych rysunków na piasku. Poprosił swojego gościa, by opowiedział dzieciom jakąś historię.

„Jaką?”, pomyślał. Nie chciał znowu mówić o Lyucu – na świecie było wystarczająco dużo nieszczęścia.

Powoli, za pomocą obrazków i gestów, Dafirowi przywołał historię śmierci Ratho w czasie ostatniej walki hegemonów. Opowieść ta zdawała się towarzyszyć mu nieustannie i kiedy dotarł do finału, zaczął płakać.

Dzieci milczały, wyraźnie wzruszone podniosłością chwili. Huluwen podszedł do Dafirowi i powiedział łamaną mową Dary:

– Wszyscy ludzie są braćmi.

Ten pokiwał głową w milczeniu. Czasami słowa tylko wchodziły w drogę uczuciom.

Ponieważ ubrania Dafirowi były mokre po porannym spotkaniu z crubenami, Huluwen zabrał go przed chatę, by rozpałcić ognisko i wysuszyć szaty oraz przygotować obiad: pieczoną kolokazję i grillowaną rybę.

Dafirowi sączył słodki arak i patrzył z zainteresowaniem, jak córka Huluwena, Hulumara, próbuje rozpałcić ogień.

Zamiast iść do którejś z pobliskich chat i przynieść zapalony patyk, dziewczyna wzięła obcięty kawałek bambusa z zatkanym końcem i nasmarowała wewnątrz odrobiną rybiego tłuszczu. Następnie sięgnęła po ząb wieloryba, który spiłowano do kształtu cylindra, i sprawdziła, czy pasuje do bambusa, tak by go wypełnić, ale też gładko się przesuwając. Wreszcie do dziury utworzonej w końcówce zęba włożyła nieco suchego puszystego mchu, wsunęła cylinder do połowy długości bambusa i szybko dopchała do końca mocnym uderzeniem w tył zęba.

Potem prędko wyciągnęła ząb i zaczęła dmuchać w dziurkę. Mech zadymił i zaraz pojawił się mały płomień. Hulumara osłoniła go dłońmi i ułożyła na podpalce. Rodzeństwo pomogło jej rozpałcić ognisko i zaraz zaczęło się gotowanie.

Dafirowi był zdumiony. Zomi Kidosu kazała wszystkim szukać nowych sposobów rozpalania ognia i ten zdecydowanie się kwalifikował. Poprosił, by pokazano mu to przedziwne ustrojstwo z zęba i bambusa, które postanowił nazwać ognistą tubą. Na żadnym z elementów nie znajdowały się ani metal, ani krzemień, za to ząb wyrzeźbiono tak, by tworzył idealne zamknięcie wnętrza bambusa, a kiedy go gwałtownie wciskano, sprężał uwięzione powietrze. Czy właśnie stąd brał się ogień?

Ze sprężonego powietrza? Pomysł ten wydawał się czystą magią.

Posilek był pyszny, a napój gasił pragnienie. Dafiro wręczył Huluwenowi miecze wykute przez mistrza kowalstwa ze starej Rimy – ten, który wymienił na pałkę wiele lat wcześniej, nie należał do zbyt dobrych i Dafiro zawsze uważał, że lepiej wyszedł na tej zamianie. Zauważywszy, że gość poświęcił ognistej tubie tak wiele uwagi, Huluwen dał mu ją w prezencie, chociaż nie był pewien, dlaczego jego przyjaciel aż tak zainteresował się tym zupełnie zwyczajnym przedmiotem.

Uścisnęli się na pożegnanie. Obaj wiedzieli, że prawdopodobnie już nigdy więcej się nie zobaczą.

„Pozostawać w gotowości, by wykorzystać okazję, gdy pojawi się na krótką chwilę jak spadająca gwiazda”.

Dafiro umieścił bezpiecznie ognistą tubę pod ubraniem, żeby nie zaginęła w czasie drogi powrotnej do Dary.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Siła jedwabiąca

Dara: piąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Podróże konsorty Risany i księcia Phyro po Wyspach zaprowadziły ich do mglistej Boamy, gdzie mieli występować aż trzykrotnie, aby wszyscy mieszkańcy okolicznych wiosek mieli szansę obejrzeć przedstawienie.

Phyro nigdy nie wyrósł ze swojego dzieciennego zachwytu wszelkimi występami ulicznymi. Ponieważ miał chwilę wolnego przed rozpoczęciem wieczornego spektaklu, wyruszył w przebraniu plebejusza rozejrzeć się po ulicznych targowiskach. Boama znajdowała się kawał drogi od Pan, więc Phyro liczył, że zobaczy coś, czego nie widział w stolicy.

– Wyślę cię do samego Rufizo! – krzyczał ktoś ze środka tłumu. – To czary!

Phyro zaczął się przepychać między ludźmi, czym zasłużył sobie na sporo groźnych spojrzeń i jeszcze więcej przekleństw. Z wiekiem stał się dosyć postawny i nie bał się zawalczyć o dobre miejsce do oglądania czegoś ekscytującego.

Pośrodku tłumu stał uliczny artysta, który właśnie klócił się i bił z krępy męczyzną o krzaczastej brodzie.

– Nie powinno się tak łatwo rzucać oskarżeń o uprawianie czarów, panie! – powiedział artysta. Miał około pięćdziesięciu lat, a jego chuda sylwetka przywodziła Phyro na myśl biegusa. Oprócz ostro zakończonyj brody i zakrzywionego nosa wrażenie ptasiej urody wzmagaly jasne i żywe oczy oraz trzepoczące ręce, którymi próbował chronić twarz przed kropelkami śliny awanturującego się widza.

– Mówię, co widzę – powiedział krępy męczyzna, którego silny akcent i proste ubrania sugerowały, że pochodził ze wsi. Złapał artystę za szatę, potrząsnął nim tak mocno, że ten aż wysunął język, a oczy uciekły mu w głąb czaszki, po czym rzucił go na ziemię.

Artysta odtoczył się kawałek i przez chwilę leżał zamroczony. Wreszcie zdołał podnieść się na kolana. Na jego szacie w kolorze indygo widniało pełno różnobarwnych latek z wyhaftowanymi symbolami bogów Dary – być może służyły wywołaniu wrażenia tajemniczości i miały sugerować, że kuglarz rozmawia z bogami – lecz teraz, gdy została umazana błotem, pognieciona i podarta, przypominała raczej odzienie wędrownego mnicha, który nie może się zdecydować, którego boga wyznawać.

– Rufizo, ocal mnie! Cywilizowani ludzie używają słów, nie pięści!

– Wystraszyłeś moją żonę! Ona spodziewa się dziecka, ty idioto!

Twarz artysty wykrzywiła się w błagalnym, przymilnym uśmiechu.

– Dobry panie, ostrzegalem przecież, że nie będzie w stanie przytrzymać słoika, ale upierałeś się...

– Nie wspominałeś, że słoik gryzie! – ryknął krępy męczyzna, po czym raz

jeszcze złapał artystę i rzucił nim o ziemię.

Tłum śmiał się i kibicował mężczyźnie. Najwyraźniej kłótnia wydała się zebrany o wiele ciekawsza niż samo przedstawienie.

Phyro popatrzył w bok i zobaczył kobietę siedzącą na ziemi. Miała bladą twarz i z trudem łapała powietrze. Zaraz obok znajdował się niski stół, a na nim przewrócony porcelanowy słoik z rozlaną wokół niego wodą. Najwyraźniej to on był przyczyną tej kłótni.

Książę zepchnął z drogi kolejnych ludzi i kucnął przy kobiecie.

– Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową, ale doświadczenie sprzed kilku chwil wyraźnie nią wstrząsnęło.

– Co się stało?

– On... – Pokazała na artystę, który właśnie wylądował na ziemi po raz trzeci, przy akompaniamencie głośnych wiwatów i śmiechu. – Zaproponował, że odda podwójną zapłatę każdemu śmiałkowi, który przytrzyma słoik jedną ręką, jednocześnie drugą dotykając zatyczki na górze, i nie upuści.

Phyro jeszcze raz spojrział na porcelanowy słoik. Zauważył, że do połowy wysokości pokryty jest cienką warstwą srebra. Obok leżał korek, w środek którego wetknięto metalową szpilkę kończącą się galką wielkości jujuby. Do dolnej części zatyczki doczepiony był łańcuch, który najwyraźniej miał spoczywać na wewnętrznej powierzchni słoika, kiedy zatyczka była na miejscu.

– To miał być łatwy sposób na zarobek – ciągnęła dalej kobieta – więc mąż chciał spróbować. Ale tamten tylko spojrział na męża i zaraz powiedział, że da nam cztery razy więcej, jeśli to ja spróbuję przytrzymać słoik.

Phyro zaśmiał się w duchu. Od lat obserwował ulicznych artystów i od razu rozpoznał sztuczkę. Oferując więcej pieniędzy, mężczyzna zagwarantował sobie, że kobieta spróbuje pierwsza. A kiedy ona by zawiodła, mąż także chciałby zapłacić, myśląc, że żonie nie udało się tylko z braku siły czy wytrzymałości. W ten sposób artysta zarabiał więcej.

– Trzymała słoik w jednej ręce, a tamten zaczął śpiewać jakieś bezsensowne rzeczy i tańczyć wokół mnie, twierdząc, że napelnia słoik „siłą jedwabiacą”. Potem kazał mi złapać zatyczkę drugą ręką. Chwyciłam słoik

z całej siły, myśląc, że tamten spróbuje mnie czymś zaskoczyć, żebym puściła, ale zamiast tego słoik mnie ugryzł, ramiona mi omdlały i prawie straciłam przytomność!

– Czary! Czary! – krzyczał tłum, podczas gdy krępy mężczyzna w dalszym ciągu okazywał artyście swoje niezadowolenie.

– Co tu się dzieje? – rozległ się czyjś głos. Phyro podniósł wzrok i zobaczył sztandar konstabli Boamy. Z powodu wiszącej nad Darą groźby wojny z Lyucu we wszystkich miastach na wybrzeżu władze były nerwowe, a konstable wyjątkowo przykładali się do swoich obowiązków, wyglądając wicherzycieli i potencjalnych szpiegów Lyucu.

– Proszę posłuchać – szepnął Phyro nagłaco do kobiety. – Lepiej nie mieszać w to konstabli. Z powodu obecności w mieście konsorty Risany i księcia Phyro każde

zakłócenie spokoju potraktują jak poważne przestępstwo. Nawet jeśli pani mąż nie jest nic winien, na wszelki wypadek wrzucą was wszystkich do więzienia i potrzymają, dopóki się sytuacja nie uspokoi. Najlepiej szybko pogodzić się z artystą i odejść. Poza tym powinna pani od razu pójść do świątyni Rufizo, żeby kapłani sprawdzili, czy z dzieckiem wszystko w porządku po tym ugryzieniu.

Kobieta, wyraźnie przestraszona wizją więzienia, z wdzięcznością pokiwała głową. Podniosła się i odciągnęła męża od artysty, a potem wyszeptala mu coś do ucha.

Zanim konstable zdążyli przepchnąć się przez tłum, artysta i krępy mężczyzna stali twarzami do siebie i każdy próbował strzepać błoto i brud z szaty tego drugiego.

– Co tu się stało? Dlaczego się biliście? – zapytał kapitan.

– To tylko drobne nieporozumienie – powiedział artysta. Umoczył róg szaty w wodzie rozlanej na stole i próbował dyskretnie wytrzeć krew sączącą się z rany na uchu. – Moja sztuka wymaga udziału widowni, a ten pan troszeczkę za bardzo się zaangażował.

Konstabl obrzucił krępego mężczyznę podejrzliwym spojrzeniem.

– Ee... tak. Dałem się trochę ponieść – potwierdził nieśmiało drugi uczestnik zamieszania.

– To tylko część występu – wyjaśnił artysta.

– Pochodzimy z mężem spoza miasta – rzekła kobieta. – Po prostu nigdy wcześniej nie widzieliśmy takich niesamowitych sztuczek. Ale teraz już wszystko jest w porządku.

Konstabl popatrzył na jednego i na drugiego – trzeciorzędnego ulicznego magika i nierozgarniętego wieśniaka – po czym uznał, że nie ma sensu dochodzić, co się naprawdę wydarzyło.

– Lepiej, żebyś więcej was nie przyłapał na robieniu scen – pogroził im. Małżeństwo i artysta pokiwali głowami jak kurczaki wydziobujące ryż z piachu. – A reszta – rozejrział się po zebranych – nie sterczeć tu tak. Nie ma tu nic do oglądania. Idźcie. Już! Sio!

Tłum niechętnie się rozszedł. Konstable wrócili do patrolowania, a małżeństwo ruszyło do świątyni Rufizo.

– Dziękuję, młody panie – powiedział artysta. – Gdyby nie ty, ten głupiec złamałby mi nos, ręce i kto wie, co jeszcze!

– Nie wspominając już o tym, że konstable skonfiskowałyby twój ekwipunek – rzekł z uśmiechem Phyro – i musiałbyś zapłacić wysoką łapówkę, żeby go odzyskać.

– Prawda, prawda – odparł uśmiechnięty artysta. – Widzę, że młody pan zna się na świecie.

– Zawsze interesowały mnie uliczne sztuczki magiczne.

Artysta popatrzył na niego podejrzliwie.

Phyro się roześmiał.

– Nie, nie. Sam nie występuję. Jestem raczej... mecenasem sztuki! O wiele bardziej ineresuje mnie promowanie interesujących artystów niż wychodzenie samemu na scenę.

Mężczyzna zmrużył oczy, próbując zinterpretować te słowa.

– A może taki mecenat byłby korzystny dla obu stron? – zasugerował nieśmiało.

Phyro z sympatią pacnął go w ramię.

– Właśnie tak! Doskonale mnie zrozumiałeś. Znajduję dobrych artystów i inwestuję, by pokazać ich lepszej widowni, a oni dzielą się ze mną zyskami.

– Zamieniam się w słuch – odparł mężczyzna.

– Pozwól, że najpierw zajmę się kilkoma sprawami. Może dasz postawić sobie obiad dziś wieczorem i opowiesz więcej o swoich występach?



Phyro zabrał ulicznego artystę, który nazywał się Miza Crun, do jednej z lepszych restauracji w Boamie. Po posiłku składającym się ze smażonego na chrupko karpia z plasterkami jabłka oraz z wołowiny duszonej w dzikich malpich jagodach – z antraktem w postaci miseczki słodkiego lodu dla odświeżenia smaków – Miza Crun beknął z zadowoleniem i zdradził swemu dobroczyńcy kilka sekretów. Wyciągnął sprzęty, które nosił w dużych koszach umieszczanych na końcach tyczki zakładanej na ramiona, i położył je na stole. Siedzieli w prywatnej sali zarezerwowanej przez Phyro.

Wieki wcześniej kapłani Rufizo jako pierwsi odkryli, że potarcie jedwabiem szkła albo porcelany sprawiało, że naczynia przyciągały kurz albo kawałki papieru. Teoretyzując, że jakieś maleńkie drobinki jedwabiu zostały wtarte w powierzchnię naczyń i to one wabia lekkie materiały, proces ten został przez kapłanów nazwany siłą jedwabiącą*.

Z początku siła jedwabiąca była traktowana jako tajemnicza manifestacja miłości Rufizo do ludzi. Zupełnie jak magnetyt przyciągający metal symbolizował przywiązanie Fithowéo do wojny i broni, siła jedwabiąca odzwierciedlała łagodniejszą, bardziej przyjazną naturę Rufizo. Z czasem tajemnica wydostała się ze świątyn i uliczni magicy z Faça zaczęli eksperymentować i rozwijać to nowe źródło ekscytujących sztuczek. Skonstruowali skomplikowane maszyny i wynaleźli nowe formy demonstrowania tej mocy tłumom ludzi, którzy wzdychali z zachwytu na widok tych manifestacji rzekomo nadnaturalnej mocy.

– Chodźcie, chodźcie! Chodźcie zobaczyć, jak ożywają cudowni papierowi tancerze! – powiedział Miza i zachęcił Phyro, by podszedł do jednego z jego ustrojstw.

Była to mierząca trzydzieści centymetrów scena z drzewa sandalowego, na której leżeli maleńcy tancerze z kolorowego papieru, ozdobieni logogramami oznaczającymi szczęście i dobrobyt. Przywozili Phyro na myśl marionetki z teatru cieni. Na obu brzegach sceny stały dwuzębne widelce, podtrzymujące wiszącą nad tancerzami szklaną laskę. Wszystko to wyglądało na doskonale wykonane i stare – niektóre misterne rzeźbienia na bokach sceny były niemal zupełnie wytarte po dekadach, a może i wiekach używania, a krawędzie papierowych tancerzy pożółkły.

Miza wyciągnął jedwabną chustkę i zaczął energicznie pocierać nią szklaną laskę, po czym ją odłożył. Niczym pod wpływem magicznego zaklęcia maleńcy tancerze podnieśli się i zadrżeli – tak jakby unosiły ich niewidzialne sznurki.

– Ładunek jedwabiaczy na szklanej lasce ciągnie je do góry, jednak każdy ma nogi obciążone koralikiem z polerowanej muszli – wyjaśnił Miza.

Następnie sięgnął lewą ręką do małego miecha z boku sceny, a prawą do korby. Tancerze zaczęli się kołysać, trzepotać, kłaniać, kręcić, wirować...

– To taniec z woalem, prawda? – powiedział zachwycony Phyro. – Ojciec mówił, że widział go jako dziecko.

– Tak – odparł Miza. – W starym Faça był zarezerwowany dla króla i jego najbardziej szanownych gości, a zwykłym ludziom musiały wystarczyć opisy i modele podobne do tego. Szereg maleńkich dziurek w podłodze sceny pozwala napędzać tancerzy podmuchem wiatru z miecha, a korba jest połączona z poprzębianą w kilku miejscach papierową taśmą, dzięki czemu mogę mieć kontrolę nad ruchem tancerzy.

– Genialne!

Miza się uśmiechnął.

– To jedna z najstarszych i najprostszych sztuczek opartych na sile jedwabiaczej. Ten konkretny egzemplarz został wykonany przez nauczyciela mojego nauczyciela i jest zupełnie banalny w porównaniu z późniejszymi wynalazkami. Kiedy Mapidéré uczynił taniec z woalem częścią spektaklu swoich publicznych parad, papierowi tancerze przestali przyciągać zainteresowanie tłumów. Zatrzymałem ich z czystej nostalgii.

– Rozumiem, dlaczego ten występ, choć uroczy, nie wzbudził zachwyty: widzowie posmakowali już widoku prawdziwego tańca – powiedział Phyro. Przechodząc powoli wzdłuż stołu, przyglądał się pozostałym sprzętom Mizy. – Czyli siła jedwabiacza była pierwotnie jedną z tajemnic kultu Rufizo?

Tęsknota malująca się na twarzy Mizy natychmiast zniknęła, ustępując przebiegłemu uśmieszkowi.

– Magia świątynna, zupełnie jak ta uliczna, to kwestia odpowiedniej choreografii. Pozwól, panie, że ci pokażę.

Wrócił do swojego kosza i wyciągnął z niego dwa długie jedwabne sznury. Wyszedł na środek sali i spojrzął na belki na suficie.

– Powinno wystarczyć. Mogę prosić o podsadzenie?

Phyro kucnął i splótł dłonie. Miza stanął na nich i oparł się o ramię Phyro, by utrzymać równowagę. Phyro powoli wstał, podnosząc Mizę do sufitu.

– Silny jesteś, panie – stwierdził Miza. – Niech zgadnę, pochodzisz z rodziny o tradycjach żołnierskich?

– Coś w tym guście – odparł Phyro.

Miza nie naciskał. Przywiązał jedwabne sznury do belki, tworząc w ten sposób dwie wiszące pętle. Zeskoczył na podłogę.

– Doskonale. A teraz, panie, zdejmij buty i połóż się na tych pętlach twarzą w dół, tak by było ci wygodnie.

Phyro posłuchał. Dwie jedwabne pętle podtrzymały go w udach i na piersi, równo przejmując jego ciężar, tak że zawisł jakieś trzydzieści centymetrów nad podłogą. Wyciągnął ręce przed siebie.

– Zupełnie jakbym latał. Może właśnie tak czuł się hegemon frunący na latawcu bojowym.

Miza się roześmiał. Wyciągnął kilka papierowych figurek, by rzucić je na podłogę jakieś trzydzieści centymetrów przed wyciągniętymi palcami Phyro.

– Rozluźnij się, panie. Przywołam teraz moc Rufizo i sprawię, że będziesz mógł kontrolować te papierowe ludziki. Zdjął ze sceny szklaną laskę i energicznie potarł ją swoją jedwabną chustką. Następnie przystawił ją do gołych stóp Phyro.

– Śmiało, przejmij kontrolę nad papierowymi ludzikami.

Phyro nie do końca wiedział, co ma zrobić, więc wyciągnął ręce w stronę ludzików i pomachał. Ku jego zdumieniu te podniosły się i zaczęły kołysać zgodnie z ruchem jego dłoni.

– Wyobraź sobie, panie, że jesteśmy w ciemnej świątyni i wykorzystujemy cienkie sznury, których nie widać. Wyobraź sobie otaczający cię dym z kadzidła, niczym tajemniczy całun. Wyobraź sobie reakcję tłumu, gdy zdajesz się przejmować kontrolę nad mieniącymi się ptaszkami i motylami zrobionymi z cienkiej folii, którymi poruszasz bez dotykania ich.

Phyro pokiwał głową i szeroko się uśmiechnął.

– Rzeczywiście taka demonstracja zrobiłaby o wiele większe wrażenie. Naładowana siłą jedwabiącą laska naładowała także mnie, dzięki czemu moje palce przyciągają papierowych tancerzy, prawda?

– Zgadza się. Siła jedwabiąca może przepływać przez ludzkie ciało równie efektywnie. Lepszym sposobem na przewodzenie i magazynowanie ładunku jedwabiącego byłoby użycie wiszącego metalowego pręta, który w naszej branży nazywamy głównym rezerwuarem.

Phyro stanął na podłodze.

– Pokaż mi.

Miza przyniósł długi metalowy pręt, z obu stron zakończony okrągłymi galkami i powiesił go na jedwabnych pętlach.

– Ładowanie głównego rezerwuaru szklaną laską zajęłoby wiele czasu, dlatego używamy do tego generatora siły jedwabiącej.

Przysunął w pobliże jednego końca pręta kolejne urządzenie. Był to szklany globus na drewnianej podstawie, zamontowany w taki sposób, że można nim było obracać wokół osi. Miza podczepił mały metalowy łańcuch do jednej z galek na końcu wiszącego pręta, zaś drugi koniec łańcucha umieścił na globusie. Następnie podał Phyro złożony kawałek jedwabiu i zaczął obracać globusem, kręcąc znajdującą się z boku korbą.

– Przytrzymaj, panie, jedwab przy szkle – poprosił.

Phyro wykonał polecenie. Metalowy łańcuch cicho postukiwał o obracający się globus, co brzmiało jak uderzanie kropli deszczu o dachówki.

– To znacznie bardziej efektywny sposób na wytworzenie siły jedwabiącej na

powierzchni szklanego globusa i przenoszenie jej na metalowy pręt.

Kiedy Miza uznał, że główny rezerwuar został naładowany, zatrzymał obracający się globus. Przeszedł całą salę, gasząc kolejno wszystkie lampy i zamykając okiennice. W pomieszczeniu zapanowały ciemności.

– Spróbuj, panie, przysunąć rękę do głównego rezerwuaru. Tylko powoli – powiedział.

Phyro ostrożnie przybliżył rękę do metalowego pręta. Gdy już miał go dotknąć, między jego palcami a prętem przeskoczyła iskra, na moment rozświetlając wnętrze.

– Aua! – Phyro odskoczył i zaczął gwałtownie machać ręką. Spojrzał na nią, by się upewnić, że nic mu się nie stało. – Ugryzło!

Miza się roześmiał.

– Właśnie to się dzieje, kiedy obiekt naładowany siłą jedwabiacą zostaje rozładowany, innymi słowy, gdy jedwabne drobinki spływają na inny obiekt znajdujący się w pobliżu. Tylko niektóre obiekty powodują rozładowanie, nazywamy je materiałami przewodzącymi. Wśród nich najlepsze są metale i ludzkie ciało. Inne materiały, jak jedwab czy szkło, nazywane są materiałami zaporowymi – nie pozwalają one drobinkom na przemieszczanie się, dlatego też główny rezerwuar umieszczamy na szklanej podstawce albo zawieszamy na jedwabnych sznurach.

Phyro zanotował ten szczegół w pamięci i kontynuował wcielanie się w rolę ciekawego nowinek, ale próżnego syna bogaczy.

– Fascynujące. Czy jedwab jest jedynym źródłem tej siły?

– W żadnym razie – odparł Miza. – Praktycznie ten sam efekt uzyskamy, pocierając bursztyn o futro albo skórę o szkło. W rzeczy samej, liczba kombinacji wydaje się niemal nieskończona.

– Czy drobinki ze skóry i futra różnią się czymś od drobinek jedwabiu? Ee, to znaczy, czy istnieje siła skórowabiąca albo futrowabiąca? – Myślał o ostatnim liście od Théry, w którym opisywała różnice między gazem nośnym z jeziora Dako a gazem nośnym garinafin. – Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale temat ten niezwykle mnie interesuje.

Miza uśmiechnął się i pokiwał głową. Zainteresowanie Phyro wyraźnie go ekscytowało – fakt, że mógł podzielić się swoją wiedzą z kimś, kto nie będzie jego konkurencją, przemawiał wprost do jego duszy zawodowca.

– To temat często poruszany w branży artystycznej. Po przeprowadzeniu licznych badań jestem zdania, że wszystkie dotychczas sprawdzone przez nas materiały generują tę samą siłę, jednak przez wzgląd na tradycję nazywamy ją siłą jedwabiacą, niezależnie od jej źródła. Jednakże siła ta rzeczywiście zdaje się mieć różne rodzaje, co może się wiązać z nadmiarem drobinek jedwabiu albo ich brakiem. Nazywamy je drobinami Kana i Rapa, na cześć Bliźniaczek, i oznaczamy kolorem białym i czerwonym. Jeśli dwa przedmioty naładuje się tym samym rodzajem siły jedwabiaczej, odpychają się, lecz jeśli naładuje się je różnymi rodzajami siły, przyciągają się.

– Znalazłeś jakieś inne zastosowania siły jedwabiaczej oprócz magicznych

sztuczek?

Miza z dumą pokiwał głową.

– Oczywiście! Dobry artysta uliczny potrzebuje odmiany. Najlepszą częścią mojego przedstawienia jest moment, w którym lecę ludzi siłą jedwabiacą.

– W jaki sposób?

– Wiesz już, panie, jak to jest, gdy porazi cię siła jedwabiacą w chwili rozładowania – powiedział Miza. – Możliwe jest jednak użycie ciała jako głównego rezerwuaru i napełnienie go siłą jedwabiacą poprzez generator, co wywołuje wrażenie łaskotania. Siła jedwabiacą jest szczególnie efektywna w leczeniu podagry i epilepsji, a także bólu, w tym chronicznego. Widzowie są pod ogromnym wrażeniem, kiedy bawię się w doktora.

Phyro nie był pewien, czy brać poważnie tę część wyjaśnień Miza. Leczenie to trudna sztuka i przypisywanie cudownego działania różnym substancjom uznawał za przesąd lub bujdy. Wolał skupiać się na zjawiskach, które można łatwo zweryfikować.

Wskazując na porcelanowy słoik, który stał się przyczyną zamieszania na targowisku, zapytał:

– Możesz mi pokazać, jak to działa?

– Ach, zainteresował cię, panie, najciekawszy z moich sprzętów. To słoik Ogé, na cześć tych wysepek na wschodzie. Nigdy nie widziałem innego magika, który by używał czegoś podobnego.

Miza nie zamierzał mówić nic więcej. Widocznie uważał, że tego sekretu swej profesji musi strzec w sposób szczególny.

Phyro nie naciskał. Przeprósł swojego gościa na chwilę, twierdząc, że wybiera się do toalety. Zamiast tego udał się do sali mieszczącej się piętro niżej i zapukał do drzwi.

Te się otwarły i wyjrzała zza nich konsorta Risana, zaklinaczka dymu.

– Mamo, słyszałaś wszystko? – wyszeptał.

Risana przytaknęła. Wcześniej wetknęła w szparę w suficie trąbkę z doczepioną tubą – wynalazek Rina Cody. W ten sposób mogła na bieżąco słuchać dyskusji między Phyro a Mizą.

– Naprawdę uważasz, że ten człowiek posiada użyteczne informacje? – zapytała.

– Absolutnie – odparł Phyro. – Nie jestem pewien, co dokładnie z tym wszystkim począć, ale mam przecucie, że Théra się tego dowie.

– Stawiasz na to, że siła jedwabiacą okaże się czymś więcej niż sztuczką dla łatwowiernej publiczności?

– To skalkulowane ryzyko – rzekł Phyro, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W życiu każdego człowieka powinno być nieco Tazu.

Risana uśmiechnęła się z czułością.

– Zawsze cytujesz najbardziej oburzające słowa swojego ojca.

Za chwilę jednak jej uśmiech zniknął, kiedy przypomniała sobie, w jak groźnej sytuacji znalazł się jej mąż.

Phyro spróbował wrócić do poprzedniego tematu rozmowy:

– Bez względu na to, czy te informacje okażą się użyteczne czy nie, muszę je najpierw zdobyć. Magicy często zazdrośnie pilnują swoich sekretów, zdradzając je tylko zaufanym uczniom. Właśnie dlatego poprosiłem cię o pomoc.

– Dlaczego po prostu nie powiesz mu, kim jesteś? Jestem pewna, że zdradzi ci wszystko, gdy tylko go przekonasz, że w ten sposób może wspomóc cesarza w walce z Lyucu.

Phyro potrząsnął głową.

– Jeśli powiemy mu teraz, kim jesteśmy, zażąda za swoją wiedzę niewiarygodnie wysokiej sumy. Właśnie takim jest człowiekiem, a przynajmniej za takiego się uważa. Jednak w głębi duszy chce zrobić coś szlachetnego, coś imponującego, żeby mógł być z siebie dumny. Musimy mu tylko w tym pomóc.

– A myślałam, że to ja mam talent odgadywania ludzkich pragnień – powiedziała Risana, śmiejąc się. – Naprawdę jesteś jak twój ojciec. Nie wiem, czy proponujesz taki plan, bo naprawdę uważasz to za właściwe postępowanie, czy po prostu chcesz wytargować lepszą ofertę.

– Nawet patrioci dają się skusić wizji bogactwa – rzekł Phyro. – Cesarstwo ma wysokie wydatki, a ja przez ostatnie lata nauczyłem się tego i owego.



Phyro złożył zamówienie. Kelnerzy rozpalili ogień w małym palenisku, a potem ustawili na nim gliniany garnek. Wniesiono półmiski z surowymi składnikami, które goście mogli ugotować wedle upodobania. Wkrótce pomieszczenie wypełniło się smakowitymi zapachami najróżniejszych mięs i warzyw gotowanych w mocnym rosole.

– Pozwól, że spróbuję – powiedział Phyro i niezdarnie przesunął garnek w taki sposób, że część wywaru wylała się na rozgrzane węgielki. Zaraz narobiło się dymu.

Phyro otworzył nieco okno.

– Wybacz. Zaraz dym powinien się rozwiać.

Miza, kaszląc, pokiwał głową.

Phyro przyglądał się twarzy mężczyzny, modląc się w duchu, żeby jego matka odprawiła swoją własną magiczną sztuczkę w sali niżej.

Przez szczelinę w podłodze do wnętrza pomieszczenia przedostawał się teraz innego rodzaju dym, lecz Miza się nie zorientował, ponieważ ten nowy, będący sprawką Risany, mieszał się z tym z paleniska.

Phyro obserwował, jak dym się kształtuje, zestala i owija wokół artysty niczym wąż.

– Opowiedz mi o słoikach Ogé – poprosił.

– Przechowują siłę jedwabiacą – odparł Miza. Jego oczy zrobiły się szkliste. Udało się. Zdjął zatyczkę i pokazał Phyro wnętrze porcelanowego słoika: również było pokryte cienką warstwą srebra, która kończyła się w połowie ściany.

– Pierwsze słoiki, które wykonałem, zawierały morską wodę, ale potem

przekonałem się, że potrzebuję wyłącznie materiału przewodzącego wewnątrz. Podczas ulicznych przedstawień wciąż nalewam do nich wody, dla efektu, ale to nie jest konieczne. Nałożył zatyczkę i sprawdził, czy łańcuch dotyka dna. Następnie uruchomił generator siły jedwabiącej, żeby naładować główny rezerwuar. Gdy to się stało, sięgnął po słoik i przytrzymał przy rezerwuarze gałkę na zatyczce, co zaowocowało głośnym trzaskiem i pojawieniem się jasnych iskier.

– Zauważyłeś, panie, jak siła jedwabiąca z głównego rezerwuaru przepłynęła do słoika Ogé? – zapytał Miza. – Chciałbyś go potrzymać? Tylko chwyć go, proszę, jedną ręką, od dołu.

Phyro niechętnie przyjął słoik i chwycił go w taki sposób, w jaki polecił mu Miza.

– Nie martw się – rzekł artysta. – Siła jedwabiąca jest zamknięta w porcelanie, która stanowi tamę między obiema powierzchniami przewodzącymi: zewnętrzną i wewnętrzną. Słoik można trzymać zupełnie bezpiecznie, o ile dotyka się wyłącznie dna.

Phyro nie czuł się uspokojony. Wspomnienie wstrząsu, jakiego doznał, zbliżając dłoń do głównego rezerwuaru, wciąż było świeże.

– Spróbuj drugą dłonią złapać za gałkę na górze, która jest połączona z wewnętrzną powierzchnią przewodzącą – powiedział Miza. – I postaraj się nie upuścić słoika – zachichotał.

Phyro zacisnął zęby i złapał drugą ręką za gałkę. Krzyknął, kiedy wstrząsnęło nim wyładowanie, i natychmiast odrzucił słoik jak rozgrzany węgiel. Miza był na to przygotowany i zgrabnie go przechwycił, łapiąc go jedną ręką za dno.

– Czasami słoik może się rozładowywać kilka razy – powiedział. – Trzeba uważać.

Phyro czuł odrętwienie w miejscu, gdzie poraził go słoik, a do tego dziwny ucisk w piersi, jakby jego serce nie miało dość miejsca, by swobodnie bić.

– Muszę usiąść – wydyszał.

– Oddychaj, przyjacielu, oddychaj – powiedział Miza. – Choćbyś był nie wiem jak przygotowany, siła jedwabiąca ma taką moc, że słoik sam wyrывa się z ręki. Zupełnie jakby się straciło kontrolę nad mięśniami dłoni.

Phyro wreszcie odzyskał oddech.

– Niesamowite.

Miza się roześmiał.

– Z tymi słoikami można robić mnóstwo ciekawych sztuczek. Problem z głównym rezerwuaem i generatorem siły jedwabiącej jest taki, że są zbyt wielkie i trudno nimi operować w dyskretny sposób. Wszyscy intuicyjnie domyślają się, jak to działa, a wtedy, chociaż iskry są imponujące, sztuczka traci na efektywności, bo widzowie za dużo wiedzą. Mogę jednak naładować słoiki wcześniej, poza zasięgiem wzroku publiczności. Trzymają ładunek przez wiele dni. A ponieważ wyglądają zupełnie zwyczajnie, ludzie nie spodziewają się żadnej przykrej niespodzianki.

– Dlaczego nazywasz je słoikami Ogé? – zapytał Phyro. – Tam je wynalazłeś?

Miza się zawahał. Teraz, gdy dym w pomieszczeniu nieco się rozproszył, magik

na powrót stał się ostrożny.

– Faktycznie zdobyłem je na Ogé, ale nie mogę przypisywać sobie ich wynalezienia.

– Czyżby?

– Trafiłem na tamte wysepki w chyba najgorszym momencie swojego życia. Żadna z moich sztuczek nie przyciągała zbyt dużej widowni i nawet na zacofanych Ogé, gdzie spodziewałem się spotkać ludzi mniej wybrednych niż mieszkańcy dużych miast, nie dostawałem zbyt dobrych napiwków. Zrobiło się na tyle niewesoło, że musiałem sprzedać sporą część swojego sprzętu, żeby mieć co jeść. A wiedziałem, że z tej ścieżki nie da się zawrócić i moje dni jako magika były policzone. W przypiływie rozpaczyny udałem się do świątyni Rufizo i pomodliłem się o pomoc. Usnąłem i przyśnił mi się młody doktor, który pokazał mi, jak zatrzymać siłę jedwabiacą w słoiku. Wyjaśnił, że może być wykorzystywana do leczenia różnych schorzeń, ale nadaje się też do sztuczek magicznych. Powiedział, że mogę wykorzystać ją do wzbogacenia się, lecz muszę przysiąc, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, muszę tą wiedzą wspomóc mieszkańców Dary. Po przebudzeniu skonstruowałem słoik Ogé według instrukcji ze snu i zadziałało! Od tamtej pory podróżowałem po całym Faça jako wędrowny lekarz i artysta. Nigdy nie dowiedziałem się, jak ta sztuczka mogłaby się przysłużyć ludowi Dary w sposób inny, niż dostarczając im odrobiny rozrywki.

Phyro popatrzył na niego, nie dowierzając swojemu szczęściu. Może bogowie Dary nadal mieli ich w swojej opiece.

– Myślę, że ten moment właśnie nastął.

Wieczorny spektakl konsorty Risany i księcia Phyro został odwołany.

Przez resztę dnia książę zadawał pytania jak spragniony wiedzy student, a Miza cierpliwie tłumaczył detale działania cudownego słoika. Phyro dowiedział się, że siły jedwabiacie wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni przewodzącej są sobie równe, ale każda jest innego rodzaju. Że połączenie szeregowo albo równoległe wielu słoików zwiększa siłę efektu. Że wpływ na zdolność magazynowania energii mają wielkość słoika i faktura warstwy przewodzącej. Że przytknięcie dwóch prętów przewodzących ze słoika Ogé do nóg martwej żaby jest w stanie wprawić je w ruch...

Następnego ranka Miza siedział na pokładzie sterowca pocztowego lecącego do Ginpen.



Podczas gdy konsorta Risana i książę Phyro kontynuowali swoją podróż po Wyspach, by podnosić morale ludu, cesarzowa Jia stanęła przed nie lada wyzwaniem. Musiała zapewnić roztrzęsionych mieszkańców Dary, że Dom Mlecza nadal w pełni nad wszystkim panuje.

Na polach Géfiki, niedaleko cesarskiej stolicy, pojawiły się roje szarańczy. Skrzydlate insekty, tworząc gęste chmury unoszące się tuż nad ziemią, pożerały wszystko, co stało na ich drodze. Plony zostały zniszczone, a chłopcy chowali się po piwnicach, bojąc się wyjść na zewnątrz.

W przeszłości walczono z szarańczą poprzez spryskiwanie obszarów dotkniętych plagą trującą mgielką, rozpylaną z cesarskich sterowców. Teraz jednak było to wykluczone, więc pozostawało jedynie przeczekać inwazję.

Mieszkańcy Dary szeptali między sobą, że oto bogowie pokazali swoją wolę, że to znak, iż przybycie Lyucu jest końcem Domu Mlecza.

– Czego ode mnie chcecie? – pytała wściekła cesarzowa, patrząc na posągi bogów w pałacowej kaplicy.

– Każdy znak można interpretować na wiele sposobów – powiedział premier. – Kluczem jest wymyślenie takiej interpretacji, jaka będzie nam odpowiadać.

– Jeśli chcesz drugiego aktu tej historii, to teraz jest właściwy moment, by przejąć narrację – rzekła Soto.

Cesarzowa osobiście udała się na pola Gefiki. Wzięła drewnianą łopatę do przesiewania i zamachnęła się na szarańczę. Owady broniły się, gryząc ją w rękę, twarz, stopy. Zignorowała ból i działała dalej.

Ministrowie i generałowie podbiegli, żeby ją chronić, i namawiali do powrotu do wozu. Cesarzowa ich przegoniła.

– Ludzie muszą jeść, a ja zamierzam zabić te bezmyślne owady jeden po drugim, jeśli tak będzie trzeba – powiedziała. – Niektórzy wzięli moją powściągliwość za oznakę słabości. Jeśli bogowie naprawdę chcą upadku Domu Mlecza, niech zabiją mnie dzisiaj na tym polu. Nie wracam.

Poruszeni odwagą cesarzowej ministrowie i generałowie również sięgnęli po łopaty oraz widły i ruszyli na chmary owadów. Wkrótce z domów powychodzili chłopcy i zaczęli walczyć z szarańczą u boku panów.

Kiedy raz po raz tłukli w tę żywą, skłębioną falę, znosząc piekący ból, więcej niż kilku z nich pomyślało, że muszą wyglądać jak szaleńcy, lecz w tej gorączce była też radość z podjęcia wysiłku – nawet jeśli symbolicznego – która nappełniła ludzi uczuciem niezwykłości.

Jia nie miała już wrażenia, że bierze udział w spektaklu politycznym. Czula się związana z otaczającymi ją poddanymi, jakby cały lud Dary tworzył jeden organizm. Niosła ją energia ich odwagi i wściekłości. Cudownie było walczyć przeciwko niebu i ziemi jako kobieta, jako cesarzowa Dary, jako przedstawicielka dumnej rasy spadkobierców Ano i tubylców tych wysp. Nagle ze wszystkich stron nadleciały ptaki: kruki, mewy, szpaki, sroki, gołębie, a nawet sokoly... Nikt w Darze nie widział wcześniej tak ogromnego stada składającego się z tak wielu gatunków ptaków.

Zanurkowały w stronę szarańczy i zaczęły ją pożerać.

Chmara owadów stopniowo malała, aż w końcu całkiem zniknęła. Ptaki, nasyciwszy się, rozproszyły się tak samo nagle, jak się pojawiły.

Cesarzowa Jia padła na ziemię, wykończona.

Ptasi cud został uznany za znak od bogów i dzięki niemu wielu na powrót uwierzyło w siłę Domu Mlecza. Premier Cogo Yelu przeprowadził skrupulatne śledztwo i odkrył źródło plagi szarańczy, a potem napisał tajny raport do marszałek.



Marszałek Mazoti spojrziała na wysoki stos raportów z cesarskich laboratoriów w Ginpen i z reszty Dary: wyniki sekcji zwłok garinafin, karmienie bydła, ognista tuba z Tan Adü, tajemnicze sprzęty z siłą jedwabiącą, historia i nawyki szarańczy...

Zomi Kidosu i Théra zebrały wnioski z raportów i przedstawiły liczne sugestie, Cogo Yelu spojrział na nowe wynalazki eksperckim okiem i je ocenił, a Phyro, Than Carucono i Puma Yemu dołączyli swoje opinie wywiedzione z doświadczenia terenowego.

Marszałek uderzyła pięścią w stół. Miała plan.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Lot księcia

Rui: szósty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Pékyu Tenryo każdego dnia wysyłał emisariuszy, by przekonali księcia Timu.

Pośród nich znalazło się wielu *cashima*, którzy uznali, że łatwiej jest służyć *pékyu*, niż pracować na polu i znosić smagnięcia batów strażników. Zwykli ludzie nienawidzili kolaborantów, co tylko sprawiało, że tamci jeszcze bardziej garnęli się do Lyucu. Była to część planu *pékyu* Tenryo – zamierzał sprawować kontrolę nad podbitym ludem poprzez nastawianie elit przeciwko zwykłym ludziom, a nawet niektórych elit przeciwko innym elitom.

Dzisiejszy *cashima* nazywał się Wira Pin i był znanym inentywistą z Dasu.

– Książę Timu, Wielki Sekretarz Lügo Crupo powiedział niegdyś, że mądry władca powinien płynąć z nurtem historii, zamiast mu się opierać.

– Mam słuchać słów Lügo Crupo, znenawidzonego doradcy tyrana Mapidérégo? – zapytał Timu, robiąc chwilę przerwy na otarcie potu z czoła. – Poza tym skoro był taki mądry, dlaczego sam opierał się nurtowi historii i kurczowo trzymał xańskiego imperium?

Wrócił do cięcia trawy i wiązania jej w snopki – miało z niej powstać siano dla garinafin. Nie chciał zostać w tyle, ponieważ każdy miał swój przydział pracy.

– Z pewnością mądry książę nie podziela poglądu, że zwycięzcy mają monopol na prawdę – rzekł Wira. – Crupo służył władcy, który przegrał, lecz jego mądrość jest wieczna.

– Kolaboranci najwyraźniej są ślepi na ironię – odparł Timu. – Ponieważ tak wielką uwagę przykładasz do nurtu historii, dlaczego nie oświecisz mnie, przekazując mi tę mądrość, wobec której pozostaję ignorantem?

– Lyucu są boską plagą. Następnej wiosny przybędzie nowa flota, przywożąc ze sobą jeszcze więcej wojowników i garinafin. Czy chciałbyś patrzeć, jak Dara zostaje zniszczona? Czy chciałbyś oglądać, jak ginie jeszcze więcej ludzi?

– Nikt nie będzie musiał umrzeć, jeśli Lyucu przestaną zabijać.

– Lyucu zabijają tylko dlatego, że Dom Mlecza nie chce się poddać. Cesarz przedkłada swoje dobro osobiste nad dobro ogółu i dlatego nie ogłosił kapitulacji.

Książę Timu przerwał pracę i popatrzył na Wirę.

– Barbarzyńcy zdobyli zaledwie dwie wyspy i patrzcie, co z nimi zrobili. Jeśli się poddamy, tak będzie wyglądać cała Dara. – Pokazał ręką na otaczający ich zdewastowany teren. Wielu chłopów zostało zmuszonych do ścięcia wciąż niedojrzałych upraw, żeby zapewnić pokarm garinafinom. Plony tej jesieni będą katastrofalne.

– Obecne trudy to jedynie tymczasowe niedogodności czasu wojny. Gdyby *pékyu* Tenryo został panem całej Dary, mieszkańcy Wysp staliby się jego trzodą,

którą opiekowałby się jak dobry pasterz.

– Ponieważ to leżałoby w jego interesie?

Wira pokiwał głową, a w jego oczach pojawiła się iskra ekscytacji.

– Właśnie tak. Nie zdawałem sobie sprawy, że książę tak doskonale zna szkołę inentywistów.

– Pozwól, że spróbuję podsumować twoje argumenty – rzekł książę Timu. – Lud Dary stanie się cenną własnością *pékyu*, a nikt nie chce, by jego własność niszczała. Wręcz przeciwnie, *pékyu* będzie potrzebował dobrych pasterzy, którzy opiekowałby się jego trzodą. Arystokraci i uczeni, tacy jak wy, będą musieli zyskać pewną władzę, aby pomóc mu w tym zadaniu.

– Dokładnie! – Wira zacierał ręce. – Dużo łatwiej jest przekonać kogoś, kto dostrzega już światło.

– A ja, jako książę, który doprowadziłby do kapitulacji i uprawomocnił panowanie *pékyu*, mógłbym spodziewać się wygodnego i dostatniego życia.

– Wasza Wysokość czyta mi w myślach.

Książę Timu pokiwał głową.

– Jednak widzisz: ani ja, ani mój ojciec, nie możemy tego uczynić.

– Dlaczego nie? Jeśli się poddacie, zdobędziecie dozoną wdzięczność *pékyu*. Wasza rodzina będzie bezpieczna, a wszystkie te nieprzyjemności się skończą.

– Ponieważ chociaż mój ojciec jest cesarzem, nigdy nie zapomniał, że lud Dary nie jest jego własnością. – Timu wrócił do pracy i z wysiłkiem próbował dogonić pozostałych chłopów. – Nie mam prawa ogłosić kapitulacji.

Czego by później Wira jeszcze nie mówił, książę go ignorował.



– On się nie podda – powiedziała Tanvanaki. – Jest równie uparty co jego ojciec.

– Kto by pomyślał, że taki słabeusz okaże się taki niezłomny – rzekł *pékyu* Tenryo z pewną dozą uznania. – Obaj z ojcem przewyższyli moje oczekiwania.

– Moglibyśmy spróbować torturować jednego w obecności drugiego – zasugerowała Tanvanaki. – To zadziałało na Luana Zye.

– Wątpię, by teraz się powiodło. Pamiętasz, że Kuni był gotowy pozwolić synowi umrzeć i uciec sterowcem, dopóki nie zagroziłem, że zabiję więcej ludzi? Jego zdaniem ma obowiązek do spełnienia wobec ludu, który jest ważniejszy niż miłość do syna. Z kolei syn tak bardzo pragnie uznania ojca, że nie podda się, dopóki jest przekonany, że w ten sposób straci w oczach Kuniego.

– Ale dlaczego właściwie musimy ich przekonywać do kapitulacji? – zapytała Tanvanaki. – Zwycięstwo jest pewne! Nigdy nie zdołają pokonać naszych sił powietrznych. Lud tych wysp został zjednoczony przez człowieka, który rozumiał siłę powietrza. My dzięki niej go podbijemy.

– Zapomniałaś już, co zrobił Luan Zya? – *Pékyu* popatrzył na nią groźnie. – Garinafyny nie mogą się rozmnażać, a w czasie podróży zdechło tak wiele młodych,

że ledwo jesteśmy w stanie panować nad dorosłymi. Co jeśli stracimy kolejne młode i dorosłe się zbuntują?

– Tymczasowe przeciwności. W przyszłym roku powinny dotrzeć posiłki ze świeżym zapasem tolyusy i kolejnymi garinafinami. Równie dobrze możemy poczekać i podbić Darę później.

– Przemawia przez ciebie głupota młodości – odparł *pékyu*. – Nasi wojownicy może są niepokonani w bitwie, ale przeciwnik przewyższa ich liczebnością więcej niż stokrotnie.

– Wciąż są owcami, a my wilkami.

– Nawet wilki nie zdołają zagryźć wszystkich owiec, a zdesperowane stado jest zdolne do wielkich rzeczy. Mamy już dość problemów z utrzymaniem tych dwóch wysp – przecież każdej nocy musimy spać z pałką przy posłaniu. Jakim niby sposobem moglibyśmy panować nad Darą, nawet jeśli ją podbijemy? Ludzie tutaj są przebiegli i podstępni, córko. Nie lekceważ ich.

– Co więc nam przyjdzie z przekonania księcia albo cesarza do kapitulacji?

– Chytróść tych wyspiarzy jest też ich największą słabością. Gdybym miał wskazać jedną cechę, która ich od nas odróżnia, to brak dyscypliny. Kiedy rzucę flagę w jakiś cel, mogą być pewien, że każdy Lyucu zaatakuje go bez zastanowienia. Jednak mieszkańcy Dary są podzieleni, tchórzliwi i egoistyczni, nie potrafią zbyt długo wspólnie dążyć do jednego celu. Każdy dokona wyboru, który przyniesie mu jak najmniejszą krzywdę, nie przejmując się, że ktoś inny poniesie konsekwencje tej decyzji. Dowodzi tego skuteczność systemu setników: pod jego wpływem ludzie zaczęli na siebie nawzajem donosić. Jeśli damy arystokratom i ministrom wymówkę, by nie walczyć, skwapliwie z niej skorzystają – wręcz pomogą nam pilnować naszej ludzkiej trzody niczym lojalne garinafiny.

– Wiele masz pogardy dla tych dzikusów, ojcze.

– Nie pogardy, lecz zrozumienia. Chcemy korzystać ze skarbów, jakie oferuje Dara, ale źródłem bogactwa Wysp są ludzie. Jeśli chcesz panować nad stadem, musisz zidentyfikować jednostki, na których wzorują się pozostali, i przejąć nad nimi kontrolę. Tylko w ten sposób kilku mądrych pasterzy może zapanować nad stadem.

– Te jednostki, które wybrałeś, mogą się okazać niemożliwe do okiełznania – rzekła Tanvanaki. – Próbowaliśmy już wszelkich metod nacisku na starym, a młody nie reaguje ani na groźby, ani na zachęty. Przy każdej okazji mówi naszym emisariuszom o cnocie i cytuje wyświechtane słowa spisane przez ich mędrców.

– Jestem bliski poddania się – przyznał *pékyu*. – Przynajmniej przydają się jako ludzka tarcza przed przybyciem posiłków.

– Cóż – powiedziała Tanvanaki, a na jej twarzy zagościł zimny uśmiech. – Jest jeszcze jeden sposób, którego nie próbowaliśmy.



– Hej, książę Dary!

Timu zatrzymał się na polu i spojrzął na emisariusza wysłanego przez *pékyu* Tenryo, zasłaniając oczy przed słońcem. Ze zdziwieniem rozpoznał w przybyszu córkę *pékyu*, księżniczkę Vadyu. Tanvanaki mówiła do niego z grzbietu Korvy, swej garinafyny. Ogromna bestia człapała z trudem wzdłuż pola sorgo niczym cruben wyjęty z wody, miażdżąc roślinność i zacierając krawędzie grządek każdym wbiciem pazura w ziemię i każdym machnięciem ogona.

Co dziwne, Tanvanaki nie była ubrana w typowe dla Lyucu byle jak zszyte kawałki futer i skóry. Zamiast tego przywdziała szaty typowe dla Darzanek – jedwabną suknię i materiałowe buty z drewnianą podeszwą – zaś włosy spięła w kok i ozdobiła jadeskową spinką.

Widząc jej jasne włosy, błyszczącą w słońcu skórę i wyraźne, egzotyczne rysy otoczone jasnymi kosmykami, Timu zdał sobie sprawę, że księżniczka jest piękna, chociaż wcześniej nigdy tak o niej nie myślał.

– Wasza Wysokość – powiedział i uklonił się.

– Twoje usta może mówią „Wasza Wysokość” – odparła Tanvanaki. – Ale w sercu nazywasz mnie dzikuską, barbarzynką, a może i jeszcze gorzej.

– Skądże – rzekł Timu, lecz się zarumieniał.

Korva skłoniła głowę i księżniczka zeszła z szyi zwierzęcia jak z żywej rampy, a potem zbliżyła się pewnie do Timu i zatrzymała zaledwie krok od niego. Spojrzała mu w oczy – a była mniej więcej jego wzrostu, więc nie musiała podnosić wzroku – i powiedziała spokojnie:

– Kłamca.

Timu cofnął się o krok.

– Co... co robisz?

– Nie ruszaj się. – Znowu się do niego zbliżyła, a kiedy Timu zaczął szybciej oddychać ze zdenerwowania, wyciągnęła rękę i delikatnie złapała go za brodę. Obróciła jego głowę w lewo i w prawo, żeby mu się przyjrzeć. Twarz Timu przybrała intensywnie czerwony kolor i księżę zaraz gwałtownie się odsunął.

Wciąż czuł zapach jej gorącego oddechu, zawierającego w sobie nieznaną przyprawę.

Tanvanaki zamyśliła się, taksując spojrzeniem ciało Timu i mrużąc pod nosem:

– Całkiem niezła sylwetka... Gładka skóra... nieco za ciemna, ale ładna... Wygląda na to, że praca w polu dobrze mu zrobiła...

Timu czuł się niezwykle skrępowany. Ta barbarzynka – Lyucu, poprawił się w myślach – w niczym nie przypominała młodych dworzanek, z którymi miał okazję rozmawiać. Jej bezpośredniość go denerwowała. Czuł się głupio. Okręcił się niezdarnie, żeby wrócić do pracy.

– Jeszcze z tobą nie skończyłam... – powiedziała władczo Tanvanaki. – Kazałam ci stać spokojnie.

– Wasza Wysokość powinna przestać sobie ze mną tak niestosownie pogrywać – wycedził Timu. – Upokarzanie i torturowanie więźnia jest niehonorowe.

– A czy ja cię torturuję? – rzuciła Tanvanaki. A potem na jej ustach pojawił

się chytry uśmieszek. – Ale chciałbyś, żebym się tobą pobawiła?

Timu zacisnął usta.

Księżniczka zbliżyła się do niego jeszcze o krok, aż jej twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

– Myślisz, że jestem ładna?

Timu był zdumiony. Nigdy nie słyszał takiego pytania od kobiety. Było niestosowne, a jednak wydawało się pasować Tanvanaki, jak noszenie pałki bojowej na plecach i pilotowanie garinafiny.

– M-myśle... eee... tak. – Twarz Timu była teraz karmazynowa jak grzebień koguta. Nie rozumiał, dlaczego rozmowa z tą dziewczyną wprawia go w aż tak wielkie zakłopotanie. Vadyu wydawała się zupełnie pozbawiona wstydu, co było dziwne, ale też... atrakcyjne.

– Świetnie – powiedziała księżniczka, kiwając głową. – Widzę, że to nie jest kłamstwo. Dlaczego mieszkańcy Dary tak często kłamią?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Wasza Wysokość.

– Przyglądałam się mieszkańcom Dary już od jakiegoś czasu i zauważyłam, że wy wszyscy myślicie jedno, a mówicie drugie. Na przykład Zato Ruthi, twój stary nauczyciel, kiedy przyszedł się z nami spotkać, uważał nas za dzikusów niewiele lepszych od zwierząt, a jednak udawał, że traktuje nas jak szanownych gości. Bogaci i potężni pośród was chcą mieć jeszcze więcej bogactwa i władzy, a jednak twierdzą, że próbują dbać o ludzi.

W oczach Timu pojawił się błysk gniewu.

– Nie jestem hipokrytą.

– Czyżby? Dlaczego w takim razie chcesz patrzeć, jak ludzie umierają z głodu?

– Ale ja próbuję temu zapobiec! To wy zmieniliście wszystkie pola w pastwiska dla swoich garinafin i długowłosego bydła. Co mieszkańcy wyspy będą jeść zimą?

– Będzie mnóstwo mleka i mięsa. Poza tym od tej waszej diety opartej na ziarnach mamy ciągle wzdęcia. Nie jesteśmy roślinożercami jak wy.

– Nie starczy wam bydła, żeby nakarmić wszystkich na Dasu i Rui! A moi ludzie nie mogą pić mleka garinafin – mają po nim mdłości.

– Och, czyli kiedy mówisz o mieszkańcach wysp, masz na myśli tylko swoich ludzi i z radością patrzyłbyś, jak moi umierają z głodu. I niby nie jesteś hipokrytą.

– Ale przybyliście tutaj z własnej woli. Trzeba było zostać u siebie.

Zamknął oczy, pewien, że zostanie spoliczkowany albo ukarany w inny sposób. Jednak Tanvanaki odwróciła wzrok i złagodziła ton.

– Wiedziałaś, że dopóki tu nie przyplłynęłam, nie widziałam nigdy tyle zieleni? Zaskoczony Timu uniósł powieki.

– Równiny w mojej ojczyźnie są piękne, ale życie na nich nie należy do łatwych. W roku moich narodzin burza zabiła większość stada ojca, wobec czego, żeby utrzymać nas przy życiu, musiał najeżdżać Agonów w środku zimy. W czasie tych najazdów ginęły setki ludzi, a nasi dziadkowie musieli wychodzić w czasie burzy, żeby umrzeć i przestać być ciężarem dla plemienia i by zostało więcej pokarmu dla

dzieci. Moja matka zmarła w walce z Agonami, a żebyśmy ja i mój brat mieli mleko, jedna z innych matek z plemienia zabiła swoich synów własnymi rękami.

Timu zadrżał. Spokój, z jakim Tanvanaki opowiadała swoją historię, czynił ją jeszcze trudniejszą do rozgryzienia.

– Uważacie nas za barbarzyńców – rzuciła Tanvanaki, patrząc na niego z pogardą. – A co ty wiesz o barbarzyństwie, książę Dary? Urodziłeś się na wyspach obfitości i nigdy nie dowiedziałeś się, co to znaczy głodować. Ty i twój lud żyjecie na ziemi umiłowanej przez Wszechojca i Wszechmatkę i mieliście dość wolnego czasu, by tworzyć skomplikowane systemy filozoficzne. A jednak to na waszej ziemi wyrósł tyran pokroju Mapidérégo, który w jednej bitwie zabił więcej ludzi, niż mój ojciec musiał zgładzić, by wyżywić swój lud. Nazywacie nas dzikusami, a jednak wasze barbarzyństwo w czasie Wojny Chryzantemy z Mleczem przewyższało wszystko, co my robiliśmy kiedykolwiek.

Timu miał problem z udzieleniem odpowiedzi. Argumenty dziewczyny nie przypominały argumentów, do których przyzwyczały go rozmowy z innymi emisariuszami – zamiast cytować mędrców Ano, które umiał odbijać, ona zdawała się... spoglądać na sprawy z innej perspektywy.

– Nie można porównywać lotu dzikiej gęsi do wodnego tańca karpia. My jesteśmy tu gospodarzami. Wy nas najechaliście.

– Naprawdę? Zawsze tu mieszkaliście? Myślałam, że wasi przodkowie odebrali te ziemie ludziom, którzy zajmowali je wcześniej.

– To było dawno temu! Ja i wszyscy, których uwięziliście, urodziliśmy się tutaj.

– Czyli ten, kto się tutaj urodził, ma prawo uważać się za gospodarza? Jeśli urodzę tu syna albo córkę, dziecko będzie mogło nazwać cię najeźdźcą?

– Nie! To... to...

– Ciągłe słyszę o tym, że ta ziemia w jakimś sensie do was należy, ale tego nie rozumiem. Jak ziemia może do kogokolwiek należeć? Wszechojciec stworzył świat, a my wszyscy jesteśmy jego gośćmi. Wędrujemy po ziemi tak jak bydło. Prawo do istnienia, do jedzenia, jedyne prawo, jakie ma znaczenie, jest takie samo dla wszystkich.

Timu usłyszał w słowach Tanvanaki echo przypowieści o woalu, przywołanej przez Zomi Kidosu.

„Każdy z nas przed narodzinami był tylko niezrealizowanym potencjałem. W chwili inkarnacji nie mamy wpływu na to, czy zostaniemy synem cesarza czy córką chłopca. Woal zostaje podniesiony dopiero w chwili narodzin i wtedy otrzymujemy pudełko, które determinuje nasz los bez względu na nasze zasługi. A jednak wszyscy wielcy filozofowie twierdzili, że w oczach Ojca Świata, Thasoluo, nasze dusze są sobie równe”. W słowach księżniczki Lyucu nie brakowało mądrości.

– Gdybyś w rozsądnej formie przedstawiła te argumenty mojemu ojcu, jestem pewien, że znalazłby jakiś kompromis – powiedział Timu z przekonaniem.

Tanvanaki się roześmiała.

– Naprawdę? Wierzysz, że twój ojciec przesiedliłby mieszkańców jednej wyspy i oddał ją nam? Wierzysz, że nie kazałby nam przysiąc posłuszeństwo

i służbę? Wierzysz, że nie uczyniłby z nas swoich niewolników, jak admirał Krita? A nawet jeśli ma tak boską niemal empatię, twoim zdaniem arystokraci pozwoliliby mu dysponować w ten sposób obszarem ich wpływów? Jesteś głupcem, jeśli w to wierzysz. Nie jestem przesiąknięta hipokryzją i zepsuciem typowymi dla Dary, ale nawet ja wiem, że to nie działa w ten sposób.

Timu nie wiedział, co powiedzieć. Ta dziewczyna wywróciła jego spojrzenie na świat do góry nogami. Nie był już pewien, czy Dara walczy w słusznej sprawie, za którą opowiedzieliby się bogowie.



I tak zaczęła się przyjaźń – albo zaloty, Timu nie miał pewności – która wydawała się zupełnie niemożliwa. Tanvanaki codziennie przychodziła rozmawiać z księciem, czasami zostawała na długie godziny, w czasie których spacerowali po polach, rozmawiając o dzieciństwie i się spierając. Dziewczyna opowiedziała Timu o kulturze Lyucu – bystrzy mieszkańcy równin przez wieki nauczyli się wykorzystywać praktycznie każdą część ciała długowłosych krów i garinafin. Kości służyły za broń i stelaż namiotów, z futer i skóry wytwarzano ubrania, tarcze i schronienia, ze ścięgien skręcano sznurki i nici, rogi i ścięgna razem z kawałkami drewna tworzyły proce, które mimo niewielkich rozmiarów miały dużą moc oddziaływania, tłuszcz przetapiano w świece i nasączano nim pochodnie, ze ścięgien i skóry gotowano klej. Nie marnowała się żadna część zwierzęcego ciała.

Kiedy Tanvanaki opowiadała Timu historie ze swojej ojczyzny i pokazywała mu, jak żyli jej pobratymcy, adaptując się do trudnych warunków, Timu zaczął dostrzegać w nich kogoś więcej niż tylko dzikich najeźdźców.

Ponieważ ksiączę był zdolnym muzykiem, najbardziej wzruszała go właśnie muzyka Lyucu. Za pomocą bębnow naciągniętych skórą garinafin i kościanych ksylofonów Tanvanaki pokazała mu obrazy i dźwięki bezkresnych równin: dudnienie kopyt tysięcy migrujących długowłosych krów i byków, których równo pilnowały bijące skrzydłami garinafiny, straszliwe i zachwycające nagle burze oraz gwałtowne powodzie, które mogły zmyć wszystko, co znalazło się na ich drodze, niebo, które sprawiało wrażenie większego i bardziej otwartego, gdzie gwiazd nie przysłały mocne światła herbaciarni i całonocnych przybytków, bezkresny horyzont, od patrzenia na który kręciło się w głowie, obiecujący niekończące się, świeże pastwiska.

Tanvanaki śpiewała przy akompaniamencie swoich instrumentów, a Timu, chociaż nie rozumiał słów pieśni, słyszał silne uczucia tęsknoty i miłości, odwagi w obliczu wielkiego zagrożenia i wrogości, a także niewyczerpanej nadziei na przyszłość. Lyucu byli jak smagane wiatrem krzewy rzadko porastające równiny: twardzi, silni i gotowi wykorzystać każdą szansę – na przykład powódź – by zakwitnąć i odświeżyć krajobraz kolorami życia. Ich muzyka różniła się od skomplikowanych i dopracowanych w szczegółach znanych Timu utworów wygrywanych na dziewięciostrunowej jedwabnej cytrze albo kokosowej lutni,

jednak nie miał wątpliwości, że jest piękna, że Lyucu są cywilizowani, nawet jeśli w inny sposób niż Darzanie, tak jak popiół wulkaniczny różni się od dyrany o tęczowym ognie.

Któregoś dnia Tanvanaki zaprosiła Timu na przejażdżkę na grzbiecie Korvy.

Timu był przerażony. Siodło znajdowało się wysoko nad jego głową, u podstawy szyi garinafiny, niczym bocianie gniazdo na statku, a władczy wzrok zwierzęcia obdarzonego ciemnymi, pozbawionymi źrenic oczami sprawiał, że pod Timu uginały się kolana. Nawet jazda na koniu nie bardzo mu się udawała. Na samą myśl, że miałby zasiąść na grzbiecie takiej bestii, przechodziły go ciarki.

– Myślałam, że twój ojciec podróżował kiedyś na grzbiecie wieloryba pokrytego łuskami, którego nazywacie władcą mórz?

– Ja i mój ojciec różnimy się pod wieloma względami.

– I całe szczęście – odparła Tanvanaki, uśmiechając się szeroko. – Jak myślisz, dlaczego zabieram ciebie, a nie jego?

Serce Timu waliło jak młot. W jakiś niewyjaśniony sposób słowa Tanvanaki sprawiły mu większą przyjemność niż tysiąc komplementów ze strony surowego mistrza Ruthiego. Zawsze czuł, że rozczarowuje swojego ojca, teraz jednak ta piękna młoda kobieta mówiła mu, że nie ma nic złego w byciu innym od ojca, w byciu sobą.

Timu nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w kontaktach z kobietami. W przeciwieństwie do Phyro, który lubił flirtować ze służkami i czasami udawał, że jest tylko bogatym młodym kupcem, żeby wymykać się z Dafiro Miro do domów indygo – Jia i Risana dyskretnie wytłumaczyły mu, jakie środki ostrożności musi zachowywać, by uniknąć skandalu – Timu nigdy nie rozmawiał z dziewczyną w swoim wieku, nie rumieniąc się przy tym.

Uwaga, jaką poświęcała mu Tanvanaki, była dla niego egzotyczną pieśnią, której nie chciał przestać słuchać. Dziewczyna zagwizdała na Korwę, a ta położyła na ziemi swoją długą szyję, przywodzącą na myśl pień walącej się sosny. Tanvanaki lekko pogłaskała pysk garinafiny i kładąc jedną nogę na jej szczęce, zaczęła się wspinać. Wykorzystała powieki i czoło zwierzęcia jako oparcie dla stóp i dłoni i już wkrótce, łapiąc za rogi, zasiadła na ogromnej głowie bestii.

Odwróciła się i rozkazała:

– Na górę.

Ręce Timu się pociły, a nogi drżały, ale powtórzył kroki Tanvanaki. Kiedy postawił stopę nad wystającymi nozdrzami Korvy, ta prychnęła, i stracił równowagę. Resztę drogi przeczolgał się po pysku zwierzęcia, mlóćąc rękami i nogami, i nie zatrzymał się, dopóki nie chwycił rogów.

Tanvanaki zgięła się wpół ze śmiechu. Upokorzony książę trzymał kurczowo rogi, jakby od tego zależało jego życie, a jego twarz przybrała kolor ciemnej czerwieni.

Księżniczka łagodnie zbesztala swojego wierzchowca w języku Lyucu, a Korva się zaśmiała, nisko i dudniąc.

Ruszyli w stronę podstawy szyi, poruszając się tak, jakby wspinali się na szczyt niewielkiego pagórka. Podczas gdy Tanvanaki szła pewnym krokiem, niczym kozica,

Timu niepewnie łapał za wystające kręgi, które przypominały mu skały wygładzone przez wiatr. Wreszcie dotarli do siodła ze skóry i kości.

Tanvanaki usiadła okrakiem i wsunęła nogi w uprząż. Poklepała miejsce obok siebie.

– Usiądź tutaj.

Timu posłuchał. Dziewczyna obróciła się i pokazała mu, jak włożyć nogi w pierścienie wiszące u siodła.

– Obejmij mnie w pasie i trzymaj mocno.

Wizja tak bliskiego kontaktu z księżniczką zupełnie zbiła go z tropu.

– Nie wy... Nie wydaje mi się, by to było konieczne.

– A co, brzydko pachnę? – Tanvanaki uniosła lewą rękę i powąchała pachę. – Przecież dzisiaj rano kąpałam się w wodzie z wończą i krowim mlekiem. – Zmarszczyła brwi. – Nie mów mi, że nadal wierzysz w te brednie o moim ludzie. Faktycznie, kiedy zeszliśmy z pokładu statków-miast, na pewno okropnie śmierdzieliśmy, ale to dlatego, że ledwo nam starczało wody do picia i pojenia bydląt oraz garinafin.

– Nie, nie! – powiedział Timu, machając rękami. – Pachniesz... cudownie.

Kiedy Tanvanaki odwiedzała Timu, niemal zawsze była ubrana w stylu charakterystycznym dla dam z Dary i wyglądała, jakby spędzała swoje dni w buduarze, a nie na polu bitwy. Jej kształty podkreślał ciasny gorset, nogi i ręce optycznie wydłużały luźne fałdy jedwabiu, włosy natomiast spletała w misterne fryzury.

Timu bardzo podobał się jej wygląd: kontrast między jej egzotyczną urodą a znajomym kobiecym stylem zawsze przyprawiał go o rumieńce... i coś jeszcze. Z czasem Tanvanaki przejmowała coraz więcej zwyczajów Darzanek, na przykład brała kąpiele z kwiatami wończy.

– W takim razie w czym problem?

– Kon Fiji... eee... napisał, że lepiej, by kobieta i mężczyzna nie dotykali się, o ile nie są małżeństwem, inaczej ich umysły opanują nieczyste myśli, które nie pozwolą im na kontemplację cnoty.

Tanvanaki westchnęła z poirytowaniem.

– Ten cały Kon Fiji to chyba jakiś idiota. Dobra. Rób, jak chcesz. Ale jak spadniesz, nie jestem pewna, czy Korva będzie w stanie obniżyć lot dość szybko, żeby cię uratować. Lekko dźgnęła stopą szyję garinafiny, a bestia odpowiedziała, wstając i podnosząc głowę, tak że szyja znowu przypominała ogromną sosnę. Timu natychmiast objął Tanvanaki w pasie.

– Nie musisz ścisnąć tak mocno! – wydyszała księżniczka. – Chcesz mnie udusić?

Timu nieco poluzował chwyt. Trzymanie Tanvanaki w ramionach i przyciskanie piersi do jej pleców było nieopisanie wspaniałe. Delektował się zapachem wończy, jakim przesycone były jej włosy. Chciał, by ta chwila trwała wiecznie. Dziewczyna przytknęła rurę głosową do szyi garinafiny i powiedziała w języku Lyucu:

– Lecimy, Korva. Nie za szybko i nie szarp. Nasz gość nie jest przyzwyczajony do latania w sposób inny niż na pokładzie jakiejś mechanicznej bestii.

Korva jęknęła, by dać znak, że rozumie, a potem rozłożyła skrzydła i zaczęła biec. Dudnienie zwieńczonych pazurami łap o ziemię było ogłuszające, a trzepot skrzydeł brzmiał jak huk tajfunu. Kiedy osiągnęli prędkość większą niż podczas najszybszego cwału na końskim grzbiecie, przerażony Timu zamknął oczy.

A potem rytmiczny bieg zwierzęcia nagle się urwał, nastąpiło niewielkie szarpnięcie i książę poczuł płynne, stopniowe wznoszenie się. Nadal zaciskał powieki i tulił się policzkiem do pleców Tanvanaki. Cieszył się ciepłem jej ciała, a jej włosy przyjemnie łaskotały go w twarz.

– Popatrz – powiedziała księżniczka, tak cicho, jakby mówiła bardziej do siebie niż do niego. – Nigdy nie znudzi mi się ten widok. Oto prawdziwa ziemia pobłogosławiona przez Wszechojca, Wszechmatkę i wszystkie ich dzieci.

Timu powoli otworzył oczy. Pod nimi rozpościerały się pola i łąki Rui, jakby lecieli właśnie nad kocem zszytym z kawałków materiałów o różnych wzorach i kolorach. Niektóre prostokąty były ciemne i soczyście zielone, bo rosły na nich liściaste warzywa i gęsta trawa, na innych czerwieniło się sorgo, dojrzewające późnym latem. Jeszcze inne były gołe i miały barwę cielistą, ponieważ zostało na nich ściernisko po zbiorze trawy i zboża na siano.

– U nas ziemia jest pełna zawijasów i zakrętasów, odzwierciedlających ruchy wiatrów, które nadają kształt krzewom – powiedziała Tanvanaki. – Tutaj wszystko jest kwadratowe i okrągłe. Zupełnie jakby mieszkańcy Wysp bali się ziemi, a swój strach przewyciężali, trzymając ją za kratkami, przez co wygląda jak te wasze kwadratowe słowa na papierze i bloczki logogramów w wosku.

Chociaż Timu wielokrotnie już widział ziemię z pokładu sterowców, czuł się teraz, jakby oglądał wszystko po raz pierwszy, inną parą oczu.

– W twoich ustach to brzmi jak coś złego – odparł. – Ale to tylko dlatego, że uprawiamy ziemię, by była płodna i wykarmiła wielu ludzi. To samo robimy z oceanem: rzucamy do wody sieci, żeby wydobyć z niej owoce morza. Może i się nam poszczęściło, bo mamy żyzną ziemię, ale musimy też ciężko pracować.

– Myślę, że to więcej niż tylko szczęście. Niektóre wasze sposoby na skłonienie ziemi, by dawała plony, wydają się bardzo mądre, nawet jeśli nie wyobrażam sobie żywienia się trawą jak owce albo bydło.

W głowie Timu rozbłysła nowa myśl.

– Księżniczko Vadyu, nasze ludy nie muszą być sobie wrogie. Co gdybyśmy podzielili tę ziemię i żyli obok siebie jak sąsiedzi, jak równi sobie? Nigdy więcej podbojów i wojen, nigdy więcej niewolnictwa i śmierci?

„Właśnie tak musi się czuć ktoś, kto doznał olśnienia”, pomyślał. Mistrz Zato Ruthi zawsze mu powtarzał, że największą radością uczonego jest sformułować myśl, jaka nie pojawiła się dotąd w głowie nikogo innego, doświadczyć przebłysku mądrości, który rozproszy mrok ignorancji i zabobonu. Chociaż Timu był najlepszym uczniem Mistrza Ruthiego, nigdy wcześniej nie wpadł na naprawdę oryginalny pomysł. Aż do teraz. Książę poczuł, że Tanvanaki się spina. Przez chwilę

milczała, a on czekał, z sercem bijącym jak młot.

– Chyba warto spróbować – odparła. – Nie wiem, czy moi ludzie przyzwyczajają się do myśli, że trzeba osiąść w jednym miejscu, pociąć ziemię na kawałki i żyć wedle tych granic. Kiedyś mieliśmy otwartą ziemię i mogliśmy iść, gdzie zechcieliśmy i kiedy zechcieliśmy. Wasze życie przypomina raczej więzienie.

Korva nagle gwałtownie zniżyła lot, a Timu krzyknął z zaskoczenia i przywarł mocniej do Tanvanaki. Garinafina przekreśliła się w powietrzu i wykonała kilka obrotów, jak kot na podłodze. Zanim zdążyła wyrównać lot, z twarzy Timu odpłynęła cała krew i nie wiedział już, gdzie jest ziemia, a gdzie niebo. Tanvanaki się roześmiała.

– A ty myślałeś, że będziesz siedział za mną sztywno, bo jeden z waszych durnowatych filozofów powiedział, że tak trzeba. Naprawdę pasuje ci życie w małym pudełku o ostrych krawędziach? Właśnie tak wygląda wolność, książę Dary: nie ma żadnych zasad.

Timu nie potrafił nic odpowiedzieć; całą uwagę skupiał na powstrzymaniu wymiotów. Postanowił, że po prostu zamknie oczy i przytuli się do Tanvanaki. Chociaż dziewczyna była córką bezwzględnego zabójcy, w tej chwili zdawało mu się, że nikt nigdy go tak nie inspirował.

„Wolność. Tak, wolność”.



Latali jeszcze przez godzinę, a potem, gdy Korva się zmęczyła, wylądowali niedaleko Kriphi. Tanvanaki zaprowadziła Timu do swojego namiotu i poczęstowała pieczoną wołowiną oraz sycącą potrawką z orzechów i podrobów. Chociaż kuchnia Lyucu bardzo się różniła od tej, do której przywykł Timu, gdy żył w pałacu w Pan, a także od tej na Rui, po ekscytującym locie książę rzucił się na jedzenie jak głodny wilk, a Tanvanaki patrzyła na niego z uśmiechem. Timu rozpoznawał część służących, którzy przynosili dania i sprząтали ze stolów: byli to arystokraci z Rui. Starali się na niego nie patrzeć, a on czuł się skrępowany. Nie postępował właściwie, spożywając posiłek z wrogiem, do tego w tak intymnej atmosferze.

Otarł usta i się wyprostował.

– Książniczko Vadyu, dziękuję za gościnę, ale myślę, że powinienem już wracać.

– Czyżby? Znudziło ci się już moje towarzystwo?

– Nie w tym rzecz... Jesteś damą wyjątkowej urody i manier, lecz... lecz nasze narody są w stanie wojny...

– Zawsze wszystko traktujesz w kategoriach „my” kontra „oni”? Czy nigdy nie zdarza ci się myśleć o własnych uczuciach?

– Co masz na myśli?

Tanvanaki spojrzała mu prosto w oczy.

– Podobam ci się, prawda?

Timu się zarumienił. Raz jeszcze bezpośredniość książniczki Lyucu

zaskoczyła go i wprawiała w konsternację. Żadna z przypowieści i żaden z aforyzmów Kona Fijego nie znajdowały w tej sytuacji zastosowania.

– Eee...

– Jeśli chcesz, możesz odejść. Ale najpierw napij się ze mną kyoffiru.

Służący przyniósł skórzany worek z mocnym fermentowanym mlekiem. Timu nigdy nie próbował kyoffiru, ale wiedział, że napój źle działa na żołądki większości mieszkańców Dary. Już miał odmówić...

– Tak bardzo nienawidzisz moich braci, że nie możesz nawet się ze mną napić? Nie oferujemy kyoffiru byle komu.

Tanvanaki spojrzała na niego na wpół wyzywająco, na wpół przekornie i pod wpływem jej wzroku postanowił jednak spróbować. Nie chciał, żeby źle o nim pomyślała.

„Życie jest eksperymentem. Czy nie to ciągle powtarzał ojciec?”

Napój miał silny zapach, ale Timu szybko się do niego przyzwyczaił. Kyoffir nie przypominał wina ani piwa, lecz jego smak okazał się całkiem przyjemny, więc książę postanowił wypić, ile da radę, żeby pokazać, że nie jest tak arogancki jak członkowie floty admirała Kryty. W końcu był sprawiedliwym władcą i uczonym z oryginalnymi pomysłami.

Opróżnił całą miskę i poczuł, że kręci mu się w głowie.

– U Lyucu przyjaciele muszą wypić trzy miski kyoffiru, zanim się pożegnają – powiedziała Tanvanaki.

Timu miał problem ze skupieniem wzroku na jej twarzy.

– Nic nie sprawi mi większej przyjemności... niż... zostać uznanym za twój przyjaciel – odparł. Język mu nagle stanął kołkiem i zdawał się nie słuchać poleceń głowy.

Tanvanaki nalala znowu napoju do misek i swoją opróżniła duszkiem. Cisnęła miskę na stół denkiem do góry i spojrzała prowokacyjnie na Timu.

W jego żołądku rozpętała się istna burza, ale zmusił się do wypicia.

Trzecia miska sprawiała mu jeszcze większe trudności. Kiedy skończył, twarz miał rumianą i gdy spróbował wstać, zachwiał się i upadł na podłogę. Tanvanaki podeszła, by mu pomóc.

– A może położysz się na chwilę? Nie jesteś przyzwyczajony do mocy kyoffiru.

Timu zamknął oczy, chłonąc zapach Tanvanaki: mieszankę woni kwiatów, przypraw oraz ciepła młodości i słońca.

A potem zapadł w głęboki sen.



– To chyba nie... tak chyba nie można, Tanva... księżniczko Vadyu!

– Nie chcesz tego?

– Ch-chcę...

– Czyli można.

– Są właściwe rytuały... trzeba je...

- Ciii, ja się tym zajmę.
- Nie czuję się zbyt dobrze. Myślę, że... myślę...
- Na tym polega twój problem: za dużo myślisz. Pozwól, by twoje ciało pomyślało za ciebie.
- Nie, proszę. Proszę, przestań. Nie...
- Wiem, że wcale nie masz tego na myśli. Twoje usta mówią jedno, a ciało drugie. Przestań kłamać, książę Dary. Niech twoje ciało wyrazi prawdę.



Timu obudził się z uczuciem zupełnego wycieńczenia. Rozejrzał się i odkrył, że leży w dużym namiocie, na miękkim posłaniu ze skóry. Usłyszał szelest i spojrzał na bok: Tanvanaki siedziała przed lustrem i rozczesywała włosy grzebieniem z kości słoniowej. Przebrała się w tradycyjną szatę Lyucu.

Gdy usłyszała ruch, obejrzała się.

- Obudziles się – rzekła łagodnie, ale z dystansem.

Timu pokiwał głową. Nie był pewien, ale czuł, że wydarzyło się coś okropnego.

- W nocy...

Księżniczka podeszła do niego i uklękła. Obrzuciła go baczny spojrzeniem, jakby patrzyła na coś kruche i cennego.

- Lepiej się połóż i jeszcze pośpij – powiedziała. – Nie martw się, narkotyk przestanie działać za jakiś dzień albo dwa. Wrócę później, żeby się z tobą zobaczyć.

- A co z moją pracą? Mam swój przydział.

- Nie będziesz już miał żadnych przydziałów – rzekła, głaszcząc go delikatnie po twarzy. – Zamieszkas z mną.

- Chcę wrócić do wioski, w której mieszkałem.

- Naprawdę? Po tym, co się stało? Jak twoim zdaniem przyjmą cię twoi ludzie, kiedy się dowiedzą, że zaprosiłam cię do łóżka?

- Co...

Jednak księżniczka nie czekała, aż skończy. Wstała i odeszła.

- Bardzo cię lubię, ale mój ojciec był gotowy zabić przyjaciela i garinafinę, która uratowała mu życie, żeby zapewnić lepszą przyszłość naszym braciom i siostram. Jestem córką mojego ojca.

Timu próbował coś powiedzieć, cokolwiek, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Poczul jednocześnie głęboki żal i strach.

Księżniczka zatrzymała się przy wejściu do namiotu. Nie odwracając się, rzekła:

- Marzenie, którym się podzieliliś, gdy razem lecieliśmy... nie da się go zrealizować bez ognia i morza krwi. I mówiłam prawdę, kiedy podałam ci trzy miski kyoffiru. Chcę, byś o tym wiedział.

Wyszła. Timu patrzył na połę namiotu, dopóki nie przestały się ruszać, a potem znowu się położył, płacząc rzewnie.



Mówiła mu o planach ślubnych – miała to być prosta ceremonia, która łączyłaby elementy kultur Lyucu i Dary – o ceremonii koronacji, o potrzebie myślenia o przyszłości, a nie przeszłości.

Nocą kładła się obok niego, wyznaczając mu miejsce bliżej ściany namiotu, i nie było jasne, czy robi to, bo chce go chronić przed zimnym powietrzem napływającym od strony wejścia, czy nie chce, by uciekł.

Nie podawała mu już żadnych środków.

Leżąc w ciemności, Timu wspominał wydarzenia z tamtego wspólnego dnia lotu na garinafinie. Nie mógł zaprzeczyć, że księżniczka mu się podobała. Pozwolił, by płomień namiętności stłumił rozum, spopielił słowa mędrców Ano, zmienił cnotę, której bronił z takim oddaniem, w coś prymitywnego.

„»Nie chcesz tego?« »Ch-chcę...«”

Był słaby, zdawał sobie z tego sprawę. Postąpił źle.

Ojciec słusznie go oceniał.

Nie wyobrażał sobie, jak po tym, co się stało, mógłby stanąć przed resztą rodziny. Nie zniósłby tego wstydu. Został zupełnie sam.

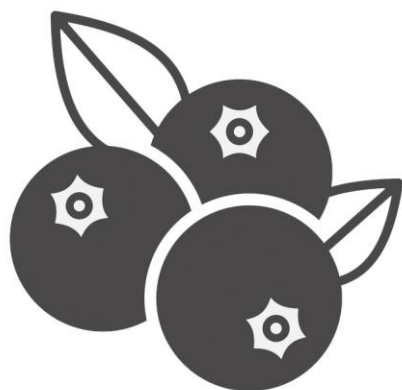
– Kiedy Lyucu czegoś pragną – powiedziała leżąca obok niego Tanvanaki – po prostu to biorą. Nie pozwól innym mówić, co powinieneś robić i czego chcieć. Życie jest przelotną burzą na wiecznej równinie Czasu, a szacunek do wszelkiego stworzenia okazujemy, nieustannie realizując swe pragnienia i dając się ponosić namiętności. Wstyd to kłamstwo opowiadane przez tych, którzy chcieliby cię więzić, a nie uwolnić.

Jej głos koił jak kubek mrożonej śliwkowej herbaty latem albo filiżanka ciepłego wina ryżowego zimą. „Rodzina powinna dbać, by człowiek piał się w górę, a nie ciągnąć go w dół – pomyślał Timu. – Czy nie to powtarzali mędracy Ano?”

Odwrócił się do Tanvanaki, a ona otworzyła przed nim ramiona.

Skupił się na swoich ruchach i doznaniach cielesnych, żeby uciszyć wszelkie wątpliwości i przegonić resztki wstydu.

STARCIE TAJFUNÓW



Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Plaga

Rui: dziewiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Minął już niemal rok, odkąd Lyucu najechali Dasu i Rui.

Małe rybackie łódki jedna po drugiej wracały do portu w Kriphi; ich załogi wyglądały na zmęczone. *Pékyu* Tenryo nie podobały się przywiezione przez nich wieści.

– Nie potrafiliście znaleźć nawet jednego krzaczka tolyusy na wszystkich Wyspach Dary?! – grzmiał w swoim namiocie. Thanowie milczeli. – Wczoraj zdechła kolejna młoda garinafina. Matki zaczynają się robić niespokojne przez brak potomstwa, a posiłki nie przybędą aż do następnego roku! Jak mamy do tego czasu panować nad dorosłymi?

– Wciąż nie ma sygnałów, że cesarzowa Dary chce się poddać?

– Wręcz przeciwnie. Wszyscy szpiedzy potwierdzają, że szykuje się do wojny. Ta kobieta cierpi na głód władzy i nie ugnie się, mimo że pojмалиśmy jej męża i syna. Tanvanaki wodzila oczami za maszerującym tam i z powrotem Tenryo.

– Nadal możemy z nimi wygrać jeszcze przed końcem roku.

– Mów!

– Póki garinafiny wciąż nas słuchają, możemy zdobyć Wielką Wyspę i stolicę, a wtedy mamy szansę sprawić, że cała Dara padnie nam do stóp. – Położyła sobie dłoń na brzuchu. – Poza tym zyskałam nową broń. Ci ludzie przykładają ogromną uwagę do prawowitości rządów.



– Myślałem, że ucieszysz się z mojego szczęścia – powiedział Timu.

– Twojego szczęścia? – odparł Kuni Garu. Patrzył na arogancką twarz syna i bolało go serce. Musiał oprzeć się ręką o ścianę.

– Początek nowego życia i nowej rodziny to szczęście.

– Ale nie w takich okolicznościach, Timu, nie w takich.

– Dzięki temu w naszym zasięgu znajdzie się rozwiązanie, które nie będzie wymagało rozlewu krwi – rzekł Timu. – Czyż Kon Fiji nie powtarzał, że wojna powinna być ostatecznością? Jesteśmy teraz z Lyucu jedną rodziną, a brat nie powinien występować przeciwko bratu.

– Och, niemądre dziecko – szepnął Kuni. – Przeczytałeś tak wiele książek, a niczego się nie nauczyłeś. – Zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć głośno czegoś, czego mógłby potem żałować.

Kuni wiedział, że Lyucu prowadzą teraz politykę zapładniania jak największej liczby kobiet. Niemal wszystkie cięższe były rezultatem gwałtu. Przerażająca

brutalność tych działań miała nie tylko złamać ducha tubylców, ale również dać Lyucu argument, żeby ogłosić się prawowitymi mieszkańcami tych ziem, by zapuścić tu korzenie. Wojowniczkę Lyucu raczej unikały zachodzenia w ciężę, żeby móc walczyć, a związek między księżniczką i Timu z pewnością był wymuszony.

Timu zarumienił się, próbując poskromić gniew.

– Ośmielę się stwierdzić, że mam lepsze pojęcie o klasykach Ano niż ktoś, kto więcej czasu spędził na spieraniu się z nauczycielem niż pilnej nauce.

– Jesteś księciem Domu Mlecza! Jak to możliwe, że zupełnie nie potrafisz ocenić sytuacji? Lyucu wykorzystują cię jako pionka w swojej grze o...

– Wściekasz się, bo znalazłem sposób na uratowanie Dary, o którym ty nie pomyślałeś. Moje małżeństwo z Tanvanaki rozpocznie proces uzdrawiania, który w końcu połączy Lyucu z mieszkańcami Dary. Proszę cię, byś usunął się w cień, tak bym mógł zrobić to, czego ty nie potrafiłeś.

Kuni był więcej niż rozgniewany. Roześmiał się.

– Nie odpowiem, żeby nie nadawać tym wynurzeniom powagi.

– Wystarczy, że napiszesz do matki i przekonasz ją do kapitulacji.

– Naprawdę chcesz, by wszyscy mieszkańcy Dary stali się niewolnikami, a wszystkie Wyspy podzieliły los Dasu?

– To jedynie stan przejściowy, który stał się nieunikniony z powodu oporu stawianego przez Darę – odparł Timu. – Kiedy Wyspy zostaną spacyfikowane, *pékyu* Tenryo złagodzi swoje rządy. A jeśli nie, zrobimy to ja i Tanvanaki. My jesteśmy przyszłością, ty i Tenryo należycie do przeszłości.

– Naprawdę niczego się nie nauczyłeś o naturze władzy...

– Oczywiście, że się nauczyłem! Ty przejąłeś kiedyś władzę, żeby sprawować ją sprawiedliwiej, a ja poddaję się rządowi kogoś innego, by je złagodzić. Wcale się tak bardzo od siebie nie różnimy, ojcze.

– Ale Lyucu to wilki, Toto-tika...

– Nie waź się zwracać do mnie w ten sposób! – przerwał mu Timu. – Nie jestem już dzieckiem.

Kuni popatrzył na niego tak, jakby wreszcie po raz pierwszy zobaczył go naprawdę.

Timu poczuł ukłucie żalu, jednak płynące prosto z serca słowa opuszczały jego usta wartkim strumieniem, którego nie dało się zatrzymać.

– Naprawdę byłeś moim nauczycielem, ojcze. Ale uczyłem się, obserwując twoje czyny, nie słuchając pięknych słów. Mówisz o trosce o ludzi, lecz nie potrafisz zatroszczyć się nawet o własne dzieci. Mówisz o obowiązkach wynikających z posiadania władzy, lecz sam osiągnąłeś tylko tyle, że zagarnąłeś jej więcej dla siebie. Mówisz o groźbie ze strony Lyucu, jednak z twojej winy zginęło o wiele więcej ludzi.

– To niesprawiedliwe...

Timu nie pozwolił sobie przerwać.

– Ja też teraz zostanę ojcem i nigdy nie zrobię swojemu dziecku tego, co ty zrobiłeś mnie. Kiedy hegemon miał cię pojmać w Zudi, byłeś gotowy porzucić mnie

i Rata-tikę, by ratować własną skórę! Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Kuni skrzywił się, jakby właśnie go spoliczkowano. „To boska sprawiedliwość. Dogoniły mnie grzechy z przeszłości”.

– A potem porzuciłeś matkę i pozwoliłeś, by żyła przez wiele lat jako zakładniczka hegemonu, sam zaś wykorzystasteś jej poświęcenie, by zdobyć władzę. Ja przynajmniej nigdy nie zrobię tego kobiecie, którą kocham. Księżniczka Vadyu i ja zbudujemy nową Darę na skrzydłach garinafin. W tym nowym świecie nasze dzieci nie będą znały strachu, wątpliwości i nienawiści, które rodzą się z ambicji.

– Och, synu – mruknął Kuni. – Mój synu.

– Całe życie próbowałem cię zadowolić – ciągnął Timu – a ty nigdy nie byłeś usatysfakcjonowany. Mam już dosyć czekania na twoją aprobatę, ojcze, dosyć życia w twoim cieniu. Jaka jest twoja odpowiedź na moją prośbę? Pozwolisz mi czynić, co słuszne?

Kuni Garu pokręcił głową i odwrócił wzrok. Po jego twarzy płynęły gorące łzy. Timu wyszedł, kraty celi się zatrzasnęły.

Pan: dziewiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Do ludu Dary,

Najwspanialszy Władca Ziem Ukyu i Gondé, obrońca Dary, pékyu Tenryo, tak rzecze:

ponieważ głodna władzy cesarzowa Jia bezprawnie przywłaszczyła sobie Tron Dary,

ponieważ książę Timu i księżniczka koronna Vadyu wzięli ślub i spodziewają się na wiosnę pierwszego potomka,

ponieważ cesarz Ragin, gość pékyu, abdykował, wskazując Timu na swojego następcę,

ponieważ mieszkańcy Dary dość się wycierpieli z powodu złych rządów,

ponieważ Wszechojciec wysłał swoje ogniste skrzydła w postaci Lyucu, by napisali nowy rozdział w historii Dary –

oto ja, Tenryo Roatan, postanowiłem przedstawić cesarzowej Jii swoje ultimatum. Za miesiąc, kiedy Wszechojciec oraz bogowie Dary – Cudyufin-Kana, Nalyufin-Rapa, Aluro-Tututika, Péa-Kiji, Toryoana-Rufizo, Diasa-Fithowéo oraz Péten-Lutho-Tazu – otrzymają odpowiednie ofiary, razem z potężnymi wojownikami Lyucu najedziemy nieodebrane jeszcze Darze brzegi, aby zwrócić tron prawowitemu władcy, cesarzowi Thaké, mojemu lojalnemu thanowi, w przeszłości

znanemu jako Timu.

Wszyscy, którzy wystąpią pod sztandarem cesarza Thaké, zostaną nagrodzeni, zaś wspierających uzurpatorkę Jię czeka sroga kara. Pékyu Tenryo, obrońca Dary

Spisane przez Thaké, Cesarza Dary

Wiadomości tej treści, włożone do butelek i rozrzucone z łódek Lyucu niedaleko brzegów głównych wysp, zostały przeczytane przez wielu i z miejsca spowodowały kryzys w Pan.

– Och, mój Toto-tika, jak mogłeś? – rozpaczala Jia. – Powinnam była przykładać większą uwagę do twojego charakteru, zamiast zostawiać cię w rękach nauczyciela. Złamałeś ojcu serce. Tej zdrady nigdy nie zdołasz odpokutować.

– Timu zawsze myślał bardzo niepraktycznie – powiedziała Théra. – Z pewnością został oszukany.

– Jestem pewien, że książę miał swoje powody – rzekła jak zwykle optymistyczna konsorta Risana. – Nie każdy, kto wspiera Lyucu, z miejsca jest zdrajcą. Czasami trudno powiedzieć, co naprawdę myślą ludzie, gdy ocenia się ich wyłącznie na podstawie ich wizerunku publicznego.

Jia uśmiechnęła się cierpko.

– Pytanie brzmi: dlaczego postanowili zaatakować akurat teraz – odezwała się Théra.

– Chyba od początku spodziewaliśmy się ataku z ich strony po jesiennych zbiorach – zauważyła Zomi.

– Jeśli zrobili z Timu marionetkę, może chodzi im o coś więcej niż zwycięstwo militarne – odparła Théra.

– Czyli próbują... – zaczęła Zomi, lecz zamilkła, gdy Théra posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Próbuje destabilizować Darę, podburzając mieszkańców do buntowania się przeciwko mnie – powiedziała cesarzowa Jia. – Nie ma nic złego w mówieniu na głos tego, co jasno wynika z ich wiadomości.

– Jednak ten plan zadziałałby lepiej, jeśli mieliby więcej czasu – rzekła Théra, rozważając sytuację. – Rozsądniejsze byłoby wsparcie prawa Timu do tronu, na przykład poprzez poczekanie do czasu, aż urodzi się dziecko, a także do przyplłynięcia posiłków na wiosnę, kiedy otworzy się Ściana Burz.

– Czyżby nagle poczuli się tak pewni co do swojej siły? – zapytała Zomi. Popatrzyły na siebie z Thérą. W ich spojrzeniach były troska i miłość.

– Chcą, żebyśmy tak myśleli – wtrącił Cogo Yelu. – Jednak moim zdaniem w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. To może być akt desperacji.

– Nie mamy innego wyjścia, niż tylko podjąć walkę – stwierdziła Gin Mazoti.

– Jesteśmy na to gotowi? – zapytała Jia.

– Szanse na zwycięstwo i ryzyko klęski rozkładają się mniej więcej po równo – rzekła marszałek. – Przygotowywaliśmy się całe lato i nie uważam już stawiania

oporu za beznadziejne. Jednak wszyscy dowódcy proszą o więcej czasu.

– Może właśnie dlatego atakują już teraz – zauważyła Jia. – Nie chcą dawać nam więcej czasu na przygotowania.

– Nawet najlepsze plany świata należy w pewnym momencie skonfrontować z rzeczywistością – oznajmiła marszałek. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Zostało już tylko zdać się na los. – Zawahała się i spojrzała na Risanę.

– Aczkolwiek twoje stwierdzenie, pani, że nie znamy serc kolaborantów, podsunęło mi pewien pomysł.

Rui: dziewięty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Lyucu, którzy nieustannie patrolowali brzegi Rui i Dasu z pokładów sterowców, zauważyli nagły wzrost liczby dalekowidzów. Strażnicy przynieśli *pékyu* Tenryo tajne wiadomości znalezione przy skazanych na śmierć szpiegach.

Napisane pięknym językiem, pełnym aluzji do klasyków Ano i pompatycznych cytatów z traktatów moralistycznych, zawierały obietnice amnestii dla wszystkich kolaborujących z najeźdźcą ministrów i dowódców Dary, którzy natychmiast oddaliby się w ręce cesarzowej, a także wzywały do zabójstwa ważnych thanów Lyucu, w szczególności samego *pékyu* Tenryo. Każdy, kto by tego dokonał, miał otrzymać księstwo albo nawet królestwo. *Pékyu* śmiał się, czytając te listy, i pokazywał je poddanym mu ministrom i dowódcom.

– Właśnie wprost potwierdzili swoją desperację. Wszyscy dobrze wiecie, jak Jia traktuje tych, którzy lojalnie służyli jej rodzinie. Po tym, co się stało z Theką Kimo, Rinem Codą i Gin Mazoti, kto by dał wiarę jej pustym obietnicom?

Ministrowie i dowódcy śmiali się razem z nowym panem. W rzeczy samej, obsesja Jii na punkcie osłabienia pozycji arystokratów wciąż była świeża w ich pamięci.

Ra Olu powrócił do swojej posiadłości w Kriphi – *pékyu* oddał mu ją w nagrodę za lojalną służbę – i podzielił się wiadomością z Lon, którą Tenryo odesłał z powrotem do męża, po tym jak znudził się jej wdziękami.

– To dość nieporadny gest – rzekła Lon. – Po marszałek Mazoti spodziewałabym się czegoś mniej oczywistego.

– Kluczem nie jest tekst – powiedział Ra Olu – ale podtekst. Na końcu wiadomości znajduje się cytat z wiersza Luruséna:

Pracowici chłopci malują pastwiska na zielono;

Obiecane złote ziarno koi umysły niespokojne.

Jednak głodu i grozy nie da się przewidzieć

Kiedy kusi władca mórz.

Niech twe spichlerze pełne będą i zamknięte, ostrożny królu,

Nikt nie wie bowiem, jakie plagi przynieść może wiatr.

– To z *Ody do morza*, prawda? Jaki jest cel zacytowania tego wiersza?

– Nie jestem pewien – odparł Ra Olu. – Ale nie mogę przestać myśleć o tym, że znajduje się w nim klucz do zrozumienia, co cesarzowa i marszałek mają na myśli.

– Czy to może być znak uporczywości? Cesarz Ragin osiągnął niegdyś zwycięstwo, płynąc na grzbiecie krabusa, więc odniesienie do władcy morza może sugerować wiarę w ostateczną wygraną Dary.

Ra Olu pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się to szczególnie dobrą aluzją. Lyucu nie uprawiają ziemi i w ramach przygotowań do inwazji na Wielką Wyspę zniszczyli całą agrokulturę na Rui i Dasu.

– To prawda. Lurusén to ulubiony poeta cesarzowej i nie cytowałaby go bezmyślnie.

– Marszałek i cesarzowa musiały wiedzieć, że te wiadomości zostaną przechwycone. Dlatego to musi być jakiś szyfr... Zawsze byłaś bardziej odczytana niż ja. Co wiesz o tym wierszu?

– Niech pomyślę... Lurusén napisał go, po tym jak król Cocru zawarł porozumienie o nieagresji z królem Xany, któremu poeta się sprzeciwiał. Ojciec wytłumaczył mi, że w zasadzie był to zawołany polityczny pamflet, w którym Lurusén krytykował króla Cocru za jego krótkowzroczność. Chociaż w Cocru panował wówczas pokój i dobrobyt, Lurusén sugerował nadejście burzy od strony morza.

– Miał na myśli ambicje Xany? – zapytał Ra Olu. – Ale Xana miała przewagę w powietrzu.

– Prawda, jednak Lurusén nie mógł sobie pozwolić na zbyt otwartą krytykę, więc użył określenia „władcy morza”, co było zawołanym odniesieniem do groźby ze strony Xany.

– Wciąż nie rozumiem, jak to się ma do naszej sytuacji. – Ra Olu był rozczarowany.

– W wierszu jest więcej warstw znaczeniowych. – Lon zaczęła chodzić w kółko, próbując przypomnieć sobie szczegóły z lekcji literatury sprzed lat. – Pamiętam, że dokładnie badałam akurat ten wiersz, bo mi się podobał, i trafiłam na historię, do której prawdopodobnie odnosił się Lurusén. Wiele wieków temu, przed stabilizacją Siedmiu Królestw, na Wyspach było dużo więcej królestw, które ciągle ze sobą walczyły. Jedno z nich, Keos, prowadziło niekończącą się wojnę z Diyo. Było silniejsze, więc zdołało przebić się do stolicy Diyo i pojmać króla. Dopiero kiedy ten złożył hołd lenny przed królem Keos, mógł wrócić do domu. Jednak król Diyo nie chciał do końca swoich dni być wasalem odwiecznego wroga. W tajemnicy zaplanował zemstę. Rozpuścił wieści, że dwór Diyo potrzebuje pewnego rodzaju ostryg, które można było złowić tylko w pobliżu wybrzeża Keos, i zadeklarował wysoką cenę skupu. Mieszkańcy Keos szybko zdali sobie sprawę, że mogą zarobić

znacznie więcej dzięki połowowi tych ostryg dla Diyo niż pracując na polu, więc wielu z nich porzuciło swoje farmy i ruszyło na brzeg. Jednocześnie król Diyo zachęcił swoich poddanych do powiększania powierzchni uprawnych i sadzenia większych ilości ryżu, pszenicy i sorgo. Twierdząc, że Diyo jest biedne, swój trybut płacił Keos w formie zboża. W rezultacie król Keos nie martwił się, że liczne pola w jego królestwie leżą odłogiem, ponieważ wszyscy mogli się wyżywić dzięki zbożu z Diyo. Tymczasem lud Keos bogacił się dzięki ogromnym sumom, jakie Diyo płaciło za głupie ostrygi. Pięć lat później król Diyo nagle przestał płacić trybut. Spichlerze Keos były puste, ponieważ mieszkańcy nie uprawiali ziemi od wielu lat. Kiedy ludzie zaczęli głodować, armia Diyo przekroczyła granicę i szybko podbiła wrogie królestwo. Król powiesił się ze wstydu, zanim oddziały dotarły do stolicy.

– To historia o niebezpieczeństwie płynącym z dumy i arogancji, o ryzyku związanym z uzależnieniem się od źródła jedzenia, nad którym nie masz kontroli – dumal Ra Olu.

– Myślę, że Lurusén zamierzał pokazać poprzez tę historię, że król Cocru dał się zwieść pozornemu pokojowi, podczas gdy Xana przygotowywała przeciwko niemu spisek – powiedziała Lon. – Ostatni wers jest również prztyczkiem w xański nos, ponieważ w tamtych czasach na głównych wyspach xańskich chłopów, którzy często cierpieli głód, nazywano plagą szarańczy.

– „Trzymajcie swe spichlerze pełne i zamknięte”... „Jakie plagi przynieść może wiatr...” – mamrotał do siebie Ra Olu, próbując interpretować wiersz na różne sposoby. W jego głowie zaczynała się rodzić pewna myśl. – Lon, podzieliłaś się kiedyś swoją interpretacją z kimś z rodziny cesarskiej?

– Teraz, gdy o tym wspomniałeś, faktycznie przypomniało mi się, że rozmawiałam o tym wierszu z cesarzem i cesarzową, kiedy kilka lat temu gościliśmy w Pan. Oboje okazali się entuzjastami twórczości Luruséna i uwielbiali nowe interpretacje.

Ra Olu pokiwał głową.

– Chyba wiem, co naprawdę miała na myśli cesarzowa – rzekł i przedstawił jej swoją teorię.

Lon popatrzyła na niego i zapytała:

– Chcesz zrobić to, o co prosi?

Ra Olu spojrzal jej w oczy.

– Oboje zrobiliśmy to, co zrobiliśmy, nie tylko po to, by przetrwać, lecz ponieważ kierowaliśmy się ideałami moralizmu. Prawdziwy moralista nawet pojmany przez wroga nigdy nie przestaje służyć swemu prawdziwemu panu.

Lon westchnęła.

– A cesarzowa, pisząc tę wiadomość, miała na uwadze właśnie ciebie, ponieważ nikt prócz nas nie byłby w stanie zrozumieć jej prawdziwego znaczenia. Dobrze wiedzieć, że nasz wysilek, by przemyścić zakodowane informacje między innymi w listach *pékyu*, nie poszedł na marne. Jeśli przeżyjemy, jestem pewna, że cesarzowa będzie wdzięczna.

Ra Olu pokręcił głową.

– Lon, nie chciałbym dawać ci złudnej nadziei. Na tych, którzy zostali wywyższeni ponad plebejuszy poprzez studiowanie słów mędrców Ano, ciąży pewien obowiązek. Lurusén był gotów umrzeć nie dla swojego króla, lecz dla cocruskiego ludu.

– A ty chcesz go naśladować.

Ra Olu z przekonaniem kiwnął głową.

– Jeśli doniesiesz na mnie teraz i poszukasz thana, któremu spodobają się twoje wdzięki, wciąż możesz się uratować. Z miłości dokonujemy niezwykłych czynów, Lon, ale nie musisz umierać za moją decyzję.

Lon stała bez ruchu, marszcząc czoło.

– Nasza miłość przetrwała tortury i poniżenie, jednak swojego wyboru nie dokonuję pod wpływem ślepego uczucia. Zy, żona Luruséna, wspierała go i rzuciła się z nim do rzeki Liru nie z miłości, lecz dlatego, że wyznawała te same ideały. Może nie mam jej talentów, lecz chyba nie brakuje mi jej odwagi. Przeczytałam te same traktaty moralistyczne co ty, a noszący spodnie nie mają monopolu na cnotę, w przeciwieństwie do tych noszących suknie.

Padli sobie w ramiona i nie mówili już nic więcej.



Pogoda stawała się coraz chłodniejsza i wreszcie nadszedł czas na Festiwal Późnojesienny.

Ponieważ inwazja Lyucu na Wielką Wyspę zbliżała się wielkimi krokami, jeszcze bardziej ograniczono swobodę mieszkańców Rui i Dasu: wprowadzono zakaz opuszczania domu po zmierzchu, a tradycyjne świętowanie zostało zabronione.

Ra Olu udał się do *pékyu* Tenryo, by prosić o odwołanie tego zakazu.

– Niemądrze jest trzymać ludzi aż tak krótko. Jeśli pozwolisz, panie, na świętowanie w zaciszu domowym, ludzie będą wdzięczni za twą szczodrość i później, kiedy większość wojowników Lyucu uda się na Wielką Wyspę, będą sprawiać mniejsze problemy.

– Wszelkie zgromadzenia w miejscach publicznych wiążą się ze znacznym ryzykiem. Ludzie zaczną szeptać między sobą, a buntownicy rozsieją plotki. Poza tym przygotowanie takiego festiwalu wymaga czasu, a ten powinien być przeznaczony na pracę.

– Możemy tego uniknąć, wciąż dając ludziom szansę na świętowanie. Zwyczajem pośród naszych rodzin jest dzielenie się w noc festiwalową ciasteczkami księżycowymi. Jeśli wyznaczylibyśmy niewielką grupę, która zajęłaby się ich przygotowaniem, rzecz jasna pod waszym okiem, pozostali będą mogli nadal pracować. Następnie rozdalibyśmy wypieki rodzinom, żeby każdy mógł świętować w domowym zaciszu. W ten sposób zapobiegniemy powstaniu plotek i unikniemy nieróbstwa, a mimo to wciąż podkreślimy wyjątkowość okazji.

Pékyu Tenryo przemyślał tę propozycję i w końcu się zgodził. Ra Olu zawsze miał dobre pomysły na prowadzenie tych wyspiarskich owiec.

I tak oto zgodnie z założeniami wojownicy Lyucu doglądali przygotowań, zaś Ra Olu i Lon zebrali w Kriphi dziesiętników z Rui i Dasu, po czym rozpoczęli produkcję ciasteczek księżycowych. Pod warstwą ciasta ukryli różnego rodzaju nadzienia – ziarna lotosu, pastę z kolokazji, kandyzowane małpie jagody – a także niewielkie skrawki papieru z prostymi zdaniami zapisanymi w zyndari. Strażnicy Lyucu przyjrzeni się dobrze tym wiadomościom i kazali je przełożyć kilku tłumaczom-kolaborantom, aby zyskać pewność, że nie zawierają niczego podejrzanego. Na wszystkich karteczkach znajdowały się proste życzenia pomyślności i niezdarne pochwały *pékyu* Tenryo. Wojownicy Lyucu śmiali się i kręcili głowami – ci ludzie naprawdę byli głupcami i urodzonymi niewolnikami.

Kiedy ciasteczka się upiekły, dziesiętnicy zabrali je do wiosek i rozdali rodzinom, którym przewodniczyli. Strażnicy Lyucu, ciekawi smaku tych wypieków, chcieli zostawić niektóre dla siebie. Ra Olu wręczył im jednak porcję przygotowaną specjalnie dla nich.

– Panowie szanowni, te mają cieszyć wasze podniebienia. Razem z żoną osobiście nadzorowaliśmy ich przygotowanie, żeby mieć pewność, że żaden z chłopów nie odważył się do nich napluć ani zapaskudzić ich w inny sposób – powiedział Ra Olu.

– A ja wyjęłam karteczki – dodała Lon. – Gdy nie jest się przyzwyczajonym do jedzenia ciastek księżycowych, można się zakrztusić.

– Gdyby wszystkie dzikusy były takie posłuszne i zapobiegliwe jak wy – rzekł jeden z thanów, plując przy tym okruszkami w twarz Ra Olu – mielibyśmy dużo mniej problemów.

Ra Olu nawet nie zadał sobie trudu wytarcia okruszków i śliny; nadal szeroko się uśmiechał.

– Masz zupełną rację, panie.

Kiedy w noc Festiwalu Późnojesiennego mieszkańcy Dasu i Rui rozkruszyli swoje ciastka, ku swojemu zaskoczeniu na niektórych zobaczyli dodatkowe wiadomości: oprócz czarnych liter zyndari były też brązowe. Lon z wielkim mozolem wypisała pędzelkiem do brwi, używając atramentu z soku owocowego, który pozostawał niewidoczny, dopóki wysoka temperatura nie spowodowała karmelizacji zawartego w nim cukru.

Członkowie rodzin pochylili się nad tymi karteczkami, by w milczeniu odczytać wiadomość, a następnie je połknęli.

Północna Rui i Dasu: dziesiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Zapowiadana inwazja na Wielką Wyspę miała się rozpocząć za sześć dni. Zwiększono liczbę patroli na południe od Rui i Dasu, tak by pozwolić na kolejny zdradziecki atak za pomocą podwodnych łodzi na wzór tego, który na wiosnę pozwolił oddziałom Thana Carucono wkroczyć na Rui.

Nikt nie obserwował morza na północ od wysp – żołnierze Dary po długich

torturach wyznali bowiem, że nigdy nie widzieli w tamtych rejonach podwodnych wulkanów.

Jednak to właśnie stamtąd niespodziewanie podpłynęła mała flotylla. Wyruszyła z Wilczej Łapy jakiś miesiąc wcześniej, kierując się prosto na północ i omijając szlaki handlowe. Następnie obrala kurs na zachód i ostatecznie znalazła się na wysokości Rui i Dasu. Składała się ze zmodyfikowanych statków kupieckich z dużymi lukami. Liczbę broni ograniczono. Może i flotylla brała udział w działaniach wojennych, ale wchodzące w jej skład jednostki nie miały przeznaczenia bojowego.

Dowodził nią Puma Yemu, mistrz ukradkowych ataków i niespodziewanych najazdów. Dzięki funduszom od marszałek mógł kupić na Wilczej Łapie statki kupieckie i zwerbować zdesperowanych ludzi, którzy za pieniądze zrobiliby wszystko. Ładunek znajdujący się na statkach każdego przyprawiłby o dreszcze. Wszystko odbywało się w tajemnicy i dopiero po wypłynięciu na morze Puma zdradził załodze, co dokładnie przewożą. Kilkanaście osób z miejsca zwymiotowało, zaś kilka rzuciło się do wody, nie wyobrażając sobie, że będzie przez miesiąc przebywać w bezpośredniej bliskości tego ohydztwa.

– Ubrać się – zawołał Puma Yemu. Nadeszła chwila prawdy.

Zsunął na twarz gęstą drucianą siatkę, która chroniła jego głowę i szyję niczym kapelusz pszczelarski. Wcześniej przywdział ciężki płócienny strój, dłonie i stopy owinał paskami materiału, tak by zasłonić każdy fragment gołej skóry. Załoga pozostałych statków była ubrana podobnie. Gdy każdy opuścił siatkę na twarz, Puma rozkazał:

– Wypuścić!

Za pomocą flag sygnałowych przekazano instrukcje pozostałym jednostkom. Marynarze wstrzymali oddech i za pomocą długich bambusowych tyczek otworzyli ciężkie drzwi do ładowni. Następnie rzucili się plackiem na pokład i leżeli skuleni, by ochronić jak największą część swojego ciała. Z ładowni, bzyząc wściekle, buchnęły ciemne chmury szarańczy. Każdy z owadów był dwa razy większy niż palec dorosłego człowieka.

Przez całe tygodnie roiły się w ładowni, żerując na ziarnie, które codziennie wrzucała im załoga przez otwory zabezpieczone sitami, a także na ciałach zmarłych kamratów. Rozmnażały się w ciemności, obijały jeden o drugiego i bzyczały tak głośno, że sam statek zdawał się bzyżeć.

Premier Cogo Yelu wyhodował je z jajek pozostawionych przez szarańczę, która zniszczyła pola uprawne w Géfice. Powstałe okazy były olbrzymie. A teraz dodatkowo wygłodniałe i rozsierdzone.

Szarańcza, uwolniona z ładowni, wyczuła obecny w powietrzu zapach łądu. Ziemia to roślinność. Chmury owadów podniosły się znad statków, połączyły w jedną potężną chmurę i ruszyły na południe, w kierunku pół Rui i Dasu.



Plaga szarańczy spadła na wyspy niczym tajfun, pożerając wszystko na swojej drodze. Pola – zielone, czerwone, złociste – zmieniły się w bezkształtne plamy pozbawione koloru, na drzewach nie ostał się ani jeden liść. Ryż, pszenica, sorgo, kolokazja, trzcina cukrowa, trawa, chwasty – wszystko zostało przemielone przez miliony żuwaczek i zniknęło w milionach opatrzonych skrzydłami odwłoków.

Z początku wojownicy Lyucu próbowali walczyć z szarańczą, ale co mogły zdziałać pałki i topory przeciwko bestii o niezliczonej liczbie głów? Garinafiny zionęły ogniem, lecz choć zabijały tysiące owadów, zaraz na ich miejsce nadlatywały kolejne. Próba walki z szarańczą była jak próba walki z morzem.

Wreszcie Lyucu, cali pokryci pęcherzami i zakrwawieni, wycofali się do namiotów, zaś chłopci pochowali się w piwnicach. Długowłose bydło uciekło w popłochu, garinafiny odleciały. Obie wyspy zostały oddane we władanie szarańczy. Ponad chmurami owadów nieśpiesznie kołowały ptaki. Zdawały się obojętnie przyglądać chaosowi na lądzie.

Trzeciego dnia, kiedy szarańcza przetoczyła się przez obie wyspy i pozbawiła ją całej roślinności, owady zwróciły się przeciwko sobie, by nasycić nienasycony apetyt. Dopiero wtedy ptaki zniżyły lot i zaczęły oczyszczać wyspy z plagi.

Po wszystkim oszołomieni wojownicy Lyucu i chłopci Dary wyszli ze swoich kryjówek i ich oczom ukazał się obcy świat – wszystkie pola i pastwiska zostały zmienione w martwą pustynię.

Z jakiegoś powodu, podczas gdy spichlerze w wielu wioskach zostały zabezpieczone i dzięki temu udało się uratować ich zawartość, magazyny z sianem dla bydła i garinafin były otwarte, a szarańcza bezlitośnie rozprawiła się z całym zapasem paszy dla bojowych bestii Lyucu.

Chłopci wymienili porozumiewawcze spojrzenia, wreszcie pojmując sens wiadomości przekazanej im w ciastkach księżycowych: „Zabezpieczcie spichlerze woskiem i gliną”.

Rui: dziesiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Kilku dziesiątników, przerażonych konsekwencjami, wyjawilo prawdę *pékyu* Tenryo. Nie minęło wiele czasu i głowy Ra Olu oraz Lon zawisły na bramach Kriphi, służąc za ostrzeżenie dla każdego, kto postanowiłby sabotować plany Lyucu.

– Myślą, że nas w ten sposób zagłodzą – powiedział wściekły *pékyu* Tenryo. – Już ja im pokażę, co to znaczy prawdziwy głód.

Rozkazano otworzyć spichlerze, aby zebrać przechowywane w nich zboże, i przeznaczyć je na paszę dla garinafin i bydła.

– A co my będziemy jeść? – zapytał mężczyzna z wioskowej starszyny.

– Świetnie wam idzie wykopywanie jedzenia z piachu – odparł *pékyu* Tenryo. – Grzebcie głębiej.

– Skazujecie nas na śmierć – odparł mężczyzna. – Nie ma czasu na zasiew przed zimą.

– W takim razie widzę mnóstwo świń chodzących na dwóch nogach. Myślę, że

doskonale nadadzą się do jedzenia. Moglibyście trochę urozmaicić swoją dietę.

Kiedy chłopci zrozumieli, co *pékyu* miał na myśli, zawyli z wściekłości i rozpacz, a potem przypuścili szturm na strażników, by odzyskać spichlerze. Wystarczyło jednak kilka ognistych oddechów garinafin, by stłumić bunt. Chłopi patrzyli w milczeniu, jak spichlerze zostają opróżnione, a garinafiny i bydło uczują, pożerając zgromadzone na zimę zboże.

Inwazji nie przesunięto. Lyucu zamierzali dotrzymać obietnicy.

Wtedy jednak stało się coś dziwnego – długowłose krowy i byki padały na ziemię, mucząc, wierzgając i tocząc pianę. Wiele garinafin zachowywało się podobnie, a ich odchody stały się wodniste i śmierdzące.

– W jaki sposób je otruto? – grzmiał *pékyu* Tenryo. Ponieważ żaden dziesiętnik nie chciał się przyznać do spisku, zmusił ich do zjedzenia zboża, którym karmiono garinafiny. Nic im się jednak nie stało.

Faça: kilka miesięcy wcześniej

– Słyszałam, że najbardziej soczysta wołowina jest z krów karmionych ziarnem – powiedziała Théra.

Pozostali pracownicy hodowli jej babki zaakceptowali ją i pili z nią przy ognisku piwo z korzenia cykorii, a Théra często podpytywała ich o pracę.

– To prawda. Krowy karmione ziarnem szybciej tyją.

– Dlaczego w takim razie nie karmimy naszego bydła ziarnem?

– Pani Lu to przebiegły przedsiębiorca – powiedział jeden z mężczyzn, starszek zwany z szacunkiem Starym Mazą. – Mięso krów żywiących się trawą ma inny smak. Ponieważ wszyscy karmią swoje bydło ziarnem, ona, dzięki wyjątkowości swych krów, może za nie żądać większych sum.

– Ach. – Théra pokiwała głową. Nie dziwiło jej, że babcia lubiła postępować inaczej niż inni: w końcu Jia musiała odziedziczyć po kimś swój uparty charakter. – Czasami widzę, jak krowy obrzucają spichlerz głodnym spojrzeniem. Może moglibyśmy karmić je od czasu do czasu ziarnem, na przykład w deszczowe dni? Z pewnością zboże smakuje lepiej niż trawa.

Mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem, zaś Théra poczuła się zupełnie dezorientowana. Wreszcie stary Maza zdołał się opanować i spróbował wyjaśnić:

– Dziewczyno, żołądek krowy to delikatna rzecz. Wiesz, dlaczego przeżuwiają paszę dwa razy?

Théra pokręciła głową.

– Dlatego, że trawę trudno się trawi. Krowa musi zostawić ją na trochę w żołądku, żeby lekko sfermentowała, a potem ją zwraca i żuje jeszcze raz. Układ pokarmowy krowy to skomplikowany świat i nawet hodowcy, których przodkowie zajmowali się bydłem od pokoleń, nie potrafią, wyjaśnić, jak to wszystko działa. Wiemy jednak, że jeśli chcemy karmić krowy ziarnem, musimy zacząć to robić, kiedy są jeszcze młode. Jeśli sprawimy, że ich żołądki przyzwyczają się do trawy, i nagle zmienimy paszę na ziarno, pochorują się i mogą nawet zdechnąć.

Théra pokiwała głową, myśląc o przybyszach z północy. Nie zajmowali się uprawą i nie wiedzą nic o zbożu. W ich oczach ziarna są taką rośliną jak każda inna, a gdyby zabrakło trawy, czy nie przerzuciliby się na zboże?

Rui: dziesiąty miesiąc dwunastego roku rządów Czterech Spokojnych Mór

Pékyu Tenryo rozkazał, by grupy składające się z chłopów z Rui i Dasu ruszyły w góry i zebrały wszelką roślinność, jaka ze względu na wysokość przetrwała plagę szarańczy. Kiedy podano garinafinom paszę bardziej przypominającą ich naturalną, te, które nie zjadły zbyt wiele zboża, relatywnie szybko stanęły na nogi. Niestety dla innych proces leczenia musiał potrwać dłużej. *Pékyu* Tenryo zebrał chore garinafiny w jedno miejsce, żeby można się było nimi opiekować i pilnować je przed sabotażem ze strony chłopów.

– Mamy przelozyc inwazję, dopóki się nie wykurują? – zapytała Tanvanaki.

– Nie – odparł *pékyu* Tenryo. – Nasi wojownicy już myślą, że przebiegle dzikusy z Dary zdolaly nas oszukać. Im dłużej zwlekamy, tym bardziej będzie spadać morale.

– Atak w chwili, gdy nie jesteśmy w pełni sił, wydaje się ryzykowny.

– Cesarzowa nie dysponuje praktycznie żadnymi oddziałami powietrznymi, więc mamy aż nadto zdrowych garinafin, żeby zaatakować Wielką Wyspę zgodnie z planem i złamać każdy opór, na jaki ich stać. Zawsze możemy też wysłać posiłki, gdy tylko odzyskają siły.

– Podziękuj Péa-Kijemu, że thanowie mieli dość przytomności umysłu, by zabezpieczyć przed szarańczą podziemne cele z młodymi. Dzięki temu wciąż mamy kontrolę nad dorosłymi.



Cesarz Ragin chodził w kółko po swojej celi. Wieść o inwazji *pékyu* Tenryo na Wielką Wyspę poruszyła go, ale nie zszokowała. Zdał sobie sprawę, że wcześniej liczył na cud, nawet jeśli się do tego przed sobą nie przyznawał.

Przez dwie dekady walczył o ideał – o państwo nie tylko sprawiedliwe dla zwyczajnych ludzi, ale również takie, którego polityka równoważy sprzeczne interesy i większej liczbie mieszkańców pozwala odnieść sukces. Ostatecznie co jednak zdołał osiągnąć? Rozlew krwi. Nie zdołał przygotować się na wszystko.

Choć zdrada Timu zupełnie zbiła go z tropu, nie mógł w pełni winić syna za ten błąd. Nie dziwił się, że Timu nie rozumiał, w jaki sposób został wykorzystany przez Lyucu. Chłopak kierował się ideałami wyniesionymi z książek i szalał w nim buntowniczy gniew. Wierzył, że sprawiedliwość można osiągnąć poprzez sypianie z wrogiem, że wilk może legnąć z owcą.

Kuni wiedział, że powinien być dla niego lepszym ojcem, teraz jednak było już na to za późno.

Wyobrażał sobie, jakie zamieszanie zapanowało na Wielkiej Wyspie, kiedy

Timu stał się marionetką w rękach *pékyu* – wszyscy niezadowoleni z aktualnego podziału władzy w cesarstwie z pewnością postanowili wykorzystać zaistniałą sytuację i dokonać przetasowania kart. Nie zazdrościł Jii trudnego zadania, przed jakim stanęła.

Dopóki żył, mogli wykorzystywać jego „abdykację” jako uprawomocnienie roszczeń Timu. Gdyby natomiast umarł teraz, poza zasięgiem wzroku Dary, mogliby wciąż kłamać. Musiał dać Jii i innym szansę. *Pékyu* był wyrachowanym człowiekiem. Kuni wiedział, że pod tym względem zbytnio się od siebie nie różnią. Próbował wyobrazić sobie siebie na jego miejscu. „Co bym zrobił? Timu jest zbyt wartościowy, żeby zaryzykować jego utratę, jednak Tenryo wciąż potrzebuje ważnego zakładnika, by odegrać wojenny teatrzyk”.

Przypomniał sobie rozmowę z Jią na temat zakazań będących konsekwencją ran odniesionych na polu bitwy. Zamknął oczy. Nadszedł czas, by wykorzystać tę wiedzę.

Rozejrzał się i w jednej z ram okiennych znalazł zardzewiały gwóźdź. Zdjął lewy but i skarpetę, a następnie pocierał skórę gwoździem tak długo, aż dorobił się głębokiej rany. Krzywiąc się z bólu, założył z powrotem skarpetkę i but.

Teraz musiał tylko czekać i mieć nadzieję, że los da mu szansę.



Dwadzieścia garinafin uznano za wystarczająco zdrowe, by mogły ruszyć do walki. *Pékyu* Tenryo załadował je na osiem statków-miast razem z trzema tysiącami wojowników. Reszta miała zostać na Rui i Dasu, by pilnować porządku wraz ze służącymi Lyucu żołnierzami Dary. Timu, a raczej „cesarz Thaké”, oficjalnie miał przejąć władzę. Pozorność tych rządów rozumieli wszyscy prócz samego Timu.

Kilka sterowców przejętych od cesarza Ragina miało towarzyszyć flocie i służyć za zwiad, by przeciwdziałać kolejnym niespodziewanym atakom ze strony mechanicznych crubenów. Pozostałym przydzielono zadanie obrony Rui i Dasu.

Rankiem wyznaczonego w ultimatum dnia flota złożona ze statków-miast oraz kilku jednostek eskortujących wypłynęła z Kriphi i ruszyła w stronę Wielkiej Wyspy. Starzyzna z Rui i Dasu wciąż pamiętała podobną inwazję sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy cesarz Mapidéré, a potem cesarz Ragin obierali ten sam kurs na tron Dary. *Pékyu* Tenryo i cesarz Thaké mieli podążać drogą swych znakomitych poprzedników.

Rozpoczęła się inwazja na Wielką Wyspę.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Marzenie mlecza

Zatoka Zathin: dziesiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Te kilka ostatnich sterowców, które towarzyszyły Lyucu, leciały przed flotą i obok niej, a czujki wpatrywały się intensywnie w powierzchnię morza, wypatrując mechanicznych crubenów. Co prawda kurs obrany przez flotę zakładał ominięcie znanych podwodnych wulkanów, jednak *pékyu* Tenryo nie zamierzał ryzykować.

Jako kolejne zabezpieczenie przed atakiem z zaskoczenia statek flagowy *pékyu*, „Duma Ukyu”, wywiesił jasnoczerwoną banderę z symbolem skaczącego niebieskiego crubena. Był to cesarski sztandar, a *pékyu* Tenryo chciał mieć pewność, że gdyby załoga jakiegoś statku Dary przymierzała się do ataku, będzie dla niej jasne, że zagrozi tym samym życiu cesarza Ragina.



Cesarzowa Jia, mimo gorącego sprzeciwu księcia Phyro, nakazała mu pozostanie w Pan wraz z konsortą Risaną.

– Powiniennem być na froncie! Walczyć!

– Po zdradzie Timu jesteś jedynym spadkobiercą swojego ojca. Twoje bezpieczeństwo jest najważniejsze, ponieważ i w razie naszej porażki to ty staniesz się nadzieją dla okupowanej Dary.

– I wówczas was pomszczę.

– Nie! Nigdy nie pozwalaj, by miłość do rodziny stanęła ci na drodze do wypełnienia obowiązków wobec mieszkańców Dary. Niech nigdy nie rządzi tobą chęć zemsty, lecz pragnienie odzyskania wolności – powiedziała, a następnie zwróciła się do konsorty Risany i premiera Cogo Yelu. – Gdyby... bogowie zdecydowali, że nie powinnam wracać, Dom Mleczka zostaje w waszych rękach.

Risana i Cogo uklonili się.

– Jestem twoim wiernym sługą.

– Niech ci się wiedzie, Starsza Siostró.



Niedaleko Ginpen, na wybrzeżu zatoki Zathin, cesarzowa Jia kazała zbudować platformę obserwacyjną, długą i szeroką na trzydzieści metrów i wysoką na piętnaście. Zasiadła na niej na tronie, na którym wyrzeźbiono skaczące dyrany. Wokół niej znajdowały się sterty drewna nasączonego olejem.

Gdyby dzisiaj przegrali, zamierzała złożyć siebie w ofierze w geście ostatecznego oporu. Odwróciła się do Gin, która stała obok niej.

– Jak ci się podoba nowy miecz?

Gin z pewnym wysiłkiem wyjęła z pochwy Na-aroénnę, Pogromczynię Wątpliwości, i przytrzymała ją w górze obydwoma rękami.

– Wciąż się do niego przyzwyczajam.

– Tak jak żołnierze przyzwyczajają się do nowej broni?

Gin pokiwała głową.

– Ich odwaga jest godna podziwu. Jednak nie należy ufać niewypróbowanej broni.

– Zostanę tutaj i będę się modlić o wasz sukces. Dręczą cię wątpliwości?

– Mnie zawsze dręczą wątpliwości – odparła Gin. – A odwaga, jakiej dowiódł hegemon, to nie wszystko.

– To już jakaś poprawa – powiedziała Jia. – Wcześniej nie miałaś wątpliwości, że przegramy.

Gin uśmiechnęła się szeroko.

– Niech ten miecz zasłuży na swoje miano.

– Co się stało z pewną siebie generał, która niegdyś powiedziała mojemu mężowi, że podbije Rui z zaledwie tysiącem żołnierzy?

Uśmiech marszałek stał się cierpki.

– Doświadczenie uczy pokory.

Jia pokiwała głową i spojrzała poważnie na Gin.

– Kocham męża całym sercem. Wiem, że będzie gotowy umrzeć za Darę i to samo dotyczy mojego syna. Rozumiesz?

– Nie byłabym tego taka pewna w przypadku księcia Timu.

Jia odwróciła wzrok.

– Czasami słabi potrzebują pomocy, by stać się silnymi i zrobić to, co słuszne.

Gin przeszył zimny dreszcz.

– Kocham mojego syna – ciągnęła dalej cesarzowa. – Jednak trzeba stawić czoła złu.

Marszałek spojrzała na Jię i po chwili kiwnęła głową.



Kiedy flota Lyucu zbliżała się do wybrzeża Wielkiej Wyspy, *pékyu* Tenryo z każdą chwilą stawał się coraz pewniejszy siebie.

Zaraz zejdzie na ląd w Ginpen, jak burza przetoczy się z armią po wyspie i jednym potężnym ciosem zmusi Pan do padnięcia na kolana. Pozbawione jakichkolwiek efektywnych sił powietrznych i otoczone murami miasta Dary nie mogły się przeciwstawić garinafinom. W końcu marszałek nie zdołałaby zamontować wszędzie miotaczy ognia. *Pékyu* wstrzymał oddech; jego flotę dzieliło od wybrzeża jedynie kilka kilometrów. Na spotkanie jego statków nie wypłynął absolutnie nikt, na brzegu nie stał nawet jeden oddział, który miałby odeprzeć atak. Nie było też śladu po machinach wojennych, z których niegdyś słynęło Ginpen, na przykład zakrzywionych luster, zdolnych podpalić statek na odległość. Zapewne

cesarzowa zdała sobie sprawę, że tak przestarzała obrona nie ma szans w starciu z garinafinami.

Mury Ginpen były pozbawione obrońców, a czujki ze sterowców donosiły, że w mieście panuje zaskakująca cisza; najwyraźniej wszyscy cywile pochowali się w domach. Wszystko wskazywało na to, że cesarzowa Jia i jej dwór ostatecznie się poddali, a marzenie Lyucu o zdobyciu nowej ojczyzny znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Cudytu w końcu wysłał kolejną flotę i więcej Lyucu przybędzie, by zamieszkać w tym raj. Tenryo wyobraził sobie swoich wojowników Lyucu żyjących jak królowie. Każdy utrzymywałby się z pracy uległego stada rolników z Dary.

– Żal mi ciebie, staruszkule – rzucił Tenryo w kierunku leżącego na wznak Kuniego Garu. – To musi być trudne, patrzeć, jak wszystkie zwycięstwa zdały się na nic, a twoje osiągnięcia zniszczyły nieprzewidywalny los i niestałość bogów.

Kuni nie wybudził się ze snu, mrużąc coś pod nosem i się wierząc.

– Co to? – zapytała Tanvanaki, stając obok ojca. Inni wojownicy Lyucu na pokładzie również zaczęli szeptać i pokazywać palcami. *Pékyu* Tenryo podążył wzrokiem we wskazanym kierunku i z początku nie był pewien, na co patrzy. Wzgórki porośnięte krzewami i trawą zdawały się powiększać, rosnąć, podnosić, jakby próbowało się spod nich wydostać jakieś wielkie zwierzę.

– Niech piloci się przygotowują – zarządził *pékyu*. Być może jednak ci rolnicy z Dary nie poddali się do końca. Nawet królik osaczony przez wilki zaczyna je kąsać i kopać, a *pékyu* nie zamierzał pozwolić, by przez zbyt dużą pewność siebie zaprzepaścili szansę na zwycięstwo.

Z ukrytych jaskiń na plażę wybiegli żołnierze Dary, ubrani w najlepsze zbroje; z portu wypłynęły łodzie wiozące najodważniejszych marynarzy.

Pączkujące wzgórki wreszcie pękły i *pékyu* Tenryo wciągnął gwałtownie powietrze, gdy jego oczom ukazał się niewiarygodny widok: w powietrze wzniosło się sześć zupełnie nowych sterowców, większych, niż te, które widział do tej pory.

„Skąd oni wzięli gaz nośny?”



Kiedy Atharo i księżniczka Théra odkryli, że garinafiny korzystają z takiej samej substancji, co gaz fermentacyjny z miotaczy ognia, Zomi Kidosu wymyśliła odważny plan potajemnego skonstruowania nowych sterowców.

Gaz fermentacyjny nie był tak lekki jak ten z jeziora Dako, wymagał więc wprowadzenia zmian w projekcie. Zbiorniki musiały być większe, żeby zyskać tę samą siłę nośną, a materiały użyte do konstrukcji lżejsze, zaś załoga zredukowana. W podziemnych jaskiniach i pracowniach piwnicznych oddani sprawie wojownicy i rzemieślnicy z ochotniczych oddziałów marszałek Mazoti pracowali w pocie czoła, zginając bambusy w obręcze, rozpórki i dźwigary, a także zszywając worki na gaz z lakierowanego jedwabiu.

W celu redukcji ciężaru cieśle zmniejszyli liczbę wewnętrznych podpór, zostawiając tyle miejsca na worki gazu, ile było możliwe. Niektóre z obręczy

i rozpórek bambusowych wzmocniono stałą, ponieważ połączenie różnych materiałów dawało lepsze efekty.

Aby jak najlepiej wykorzystać słabszy gaz, Atharo Ye zaprojektował sterowce tak, by miały spłaszczony profil, przez co zamiast wydłużonego jaja przypominały dwa sklezione spodki albo ciało manty. Chociaż nowy kadłub był dość niezgrabny i trudniej było nim manewrować, wymuszał unoszenie się wraz z ruchem do przodu, co pomagało sterowcowi utrzymywać się w powietrzu. Kiedy wiosłarze siedzący przy krawędzi spłaszczonego kadłuba poruszali swymi ogromnymi opierzonymi wiosłami, na wpół sztywny sterowiec posuwał się do przodu ruchem pulsacyjnym, niczym meduza. Nowe sterowce miały więc mniej doskonałą budowę od starych i mogłyby nie przetrzymać nieprzewidywalnych warunków panujących podczas długich podróży. Wobec tego marszałek postanowiła ukryć je na plaży pod cienką warstwą piasku, jak najbliżej miejsca bitwy.

Gondole nowych sterowców również różniły się od poprzednich i nie przypominały już statków morskich – były owalne i znacznie większe, zajmowały niemal jedną czwartą spodniej powierzchni wydętego kadłuba, a także sporą część wnętrza. Ciężar udało się ograniczyć poprzez wykorzystanie wikliny – to z niej powstała większa część gondoli, poza elementami strukturalnymi. Załogi musiały być tak lekkie, jak to tylko możliwe, co oznaczało, że znowu trzeba było rekrutować niemal same kobiety, głównie weteranki niegdyś należące do sił powietrznych Dary oraz kobiecych oddziałów pomocniczych.

Chociaż gondole były niezwykle lekkie w porównaniu z resztą kadłuba, sterowce poruszały się w powietrzu nieco niestabilnie. Wobec tego każdy wyposażono w ciężką ceramiczną kulę balastową, umieszczoną tuż za tylną częścią gondoli. Wyglądała jak ogromna kropla rosy zwisająca z podbrzusza świerszcza.

Projekt ten wydawał się cieślom dziwnie nieefektywny – wielu z nich było emerytowanymi inżynierami, którzy przybyli do Wielkiej Wyspy, żeby spędzić jesień życia po służbie w Bazie Sił Powietrznych na górze Kiji – uznali jednak, że stanowi najlepszą modyfikację starych sterowców na potrzeby nowego gazu nośnego, jaką Atharo Ye potrafił wymyślić w tak ograniczonym czasie.

Największą słabością nowych sterowców była wysoka łatwopalność gazu fermentacyjnego. Gdyby którykolwiek z worków okazał się nieuszczelny, nawet jedna iskra była w stanie zmienić cały statek w kulę ognia. Niestety marszałek nie mogła zbyt wiele na to poradzić, ponieważ każda tradycyjna forma ochrony zwiększyłaby ciężar sterowca, tak że gaz nie zdołałby go unieść. Musiało wystarczyć to, że Lyucu nie zaczęli korzystać z pomocy luczników, a w szczególności tych podpalających strzały.

Z tego samego powodu marszałek nie zdecydowała się na uzbrojenie załogi w miotacze ognia; zamiast tego musiała sięgnąć po inne rozwiązania.

Plecy bolą od pochylania się całymi dniami,

Dłonie szorstkie się zrobiły od nocnego gotowania.

Wróciła matka z miasta cała zapłakana.

„Och, mammo, cóżeś taka pognębiona?”

Maczaj, gotuj, mieszaj, nawijaj.

Kręć kołem, kręć, kołem kręć!

„Dziecko, wielu panów dzisiaj żem widziała

Piękne panie w jedwabiach podziwiała.

Ile z nich całuny te nosi nieświadomie?

Czy o biedzie naszej wiedzą ci panowie?

Maczaj, gotuj, mieszaj, nawijaj.

Kręć kołem, kręć, kołem kręć!

Załoga sterowca flagowego marszałek Mazoti, „Jedwabiącej Strzały”, śpiewała tę pieśń przadek z warsztatów jedwabniczych, niestrudzenie obracając znajdujące się na pokładzie wielkie koła, więc powstawały nie kolejne metry przędzy, lecz siła. Siła, którą miały zmagazynować do czasu, aż stanie się potrzebna.

Kiedy sterowce ustawiły się w formację bojową, lekko pochylając się do przodu, drzwi obrotowe znajdujące się na przodzie gondoli otworzyły się.

Co zaskakujące, sterowce leciały na różnych wysokościach. Cztery z nich – „Duch Kijego”, „Serce Tututiki”, „Determinacja Fithowéo” oraz „Wigor Bliźniaczek”, wszystkie dowodzone przez zaufanych kapitanów z dawnych sił powietrznych Gin Mazoti – tworzyły romb równoległy do powierzchni ziemi. „Strzała Jedwabiąca” leciała ponad nim, zaś dowodzona przez Zomi Kidosu „Zemsta Mojego” poniżej.

Jedwabne ekrany w gondolach zasłaniały większość załogi sterowców, a także obsługiwaną przez nich maszynę. Przez otwarte na froncie drzwi na każdym statku dało się dostrzec jedynie około sześciu osób, trzymających długie łuki.

Sterowce zbliżyły się do floty Lyucu w chwili, gdy garinafyny wystartowały z pokładów statków-miast, by stawić czoła niespodziewanemu wyzwaniu. Na pokładzie statku flagowego *pékyu*, „Dumy Ukyu”, wojownicy Lyucu rzucili się w kierunku złotego baldachimu.

– To tam musi się znajdować sam *pékyu* – powiedziała marszałek Mazoti. – Celujcie w niego. – W rzeczywistości wątpiła, by *pékyu* Tenryo był na tyle głupi, aby uczynić z siebie tak oczywisty cel. Jednak zniszczenie złotego baldachimu, cokolwiek skrywał, z pewnością podniosłoby morale sił Dary.

Dafiro Miro, który służył jako oficer wykonawczy, wydał wioślarzom szereg krótkich poleceń, by wyprowadzili „Jedwabiącą Strzałę” nieznacznie przed resztę formacji. Jednocześnie łuczniczki skierowały groty strzał w stronę znajdującego się niżej złotego baldachimu.

Wojownicy Lyucu na pokładzie statku zaczęli szydzić, gdy zobaczyli, jak niewielu łuczników stoi w otwartych drzwiach gondoli. Czyżby barbarzyńcy z Dary naprawdę myśleli, że pokonają garinafyny i statki-miasta tymi kilkoma strzałami?

– Mieszkańcy Dary – rozległ się głos *pékyu*, wzmocniony przez kościaną trąbę zamontowaną na szczycie głównego masztu. *Pékyu* przemawiał z bezpiecznego ukrycia: z wnętrza ładowni. – Wycofajcie się! To rozkaz waszego starego cesarza! Gdy złoty baldachim zdjęto, oczom zdumionej marszałek Mazoti i jej załogi ukazał się leżący na łóżku Kuni Garu, cesarz Dary. Nie ruszał się.

Dwóch wojowników wystąpiło na przód i go podniosło. Zaczął jęczeć i wić się, chowając twarz przed słońcem. Członkowie załogi każdego ze sterowców wydali zduszone okrzyki.

Kuni ukrywał przed strażnikami ranę na stopie do czasu, aż wdało się zakażenie. Kiedy jego gnijąca rana została wreszcie odkryta, można było już tylko dokonać amputacji. Nawet jednak wówczas jego stan się nie poprawił. Lekarze, których przysłał *pékyu*, zawyrokowali, że Kuni znajduje się na granicy śmierci. *Pékyu* Tenryo chciał wykorzystać Kuniego Garu jako swoją sekretną broń. Podejrzewał, że cesarzowa Jia może się zdobyć na ostatni akt oporu, więc zamierzał pokazać cennego więźnia w odpowiednim momencie, żeby podkopać morale obrońców Dary.

Ze względu na stan okaleczonego i umierającego cesarza uznał, że nie ma sensu dłużej trzymać go w kościanej klatce. Kazał umieścić go na łożu pod baldachimem i wyznaczył kilku strażników do jego pilnowania. Kuni nieustannie wydawał się głęboko pogrążony w malignie; nie reagował na poruszenie wokół niego.

Na pokładach „Jedwabiącej Strzały” i pozostałych sterowców rozległy się pełne dezorientacji szepty. Załoga cieszyła się, że cesarz wciąż żyje – dotąd większość podejrzewała, że *pékyu* kłamał w kwestii abdykacji i rozkazów wycofania się. Niemniej łucznicy opuścili broń.

– Celujcie w cesarza – powiedziała spokojnie Gin Mazoti.

Dafiro Miro powtórzył polecenie marszałek i popatrzył na nią. Chociaż jej głos nie zdradzał emocji, Dafiro wyobrażał sobie, jaka burza musiała rozpętać się w jej sercu. Kuni Garu dostrzegł w niej talent i uczynił ją największym generałem Dary, ale też patrzył beczynn timer, gdy oskarżono ją o zdradę, a potem odebrał jej tytuł i godność.

Kiedyś była gotowa za niego umrzeć, teraz zaś musiała go zabić, żeby uratować to wszystko, o co walczył.

Marszałek Mazoti wzięła głęboki wdech. Nie mogła uniknąć tego poświęcenia. Wiedziała, że dopóki Kuni żyje, siły Dary nie będą w stanie walczyć. W sercach żołnierzy zagoszczą wątpliwości, że może działają w ten sposób przeciwko woli cesarza. Jeśli jednak wydałaby rozkaz zabicia Kuniego, nigdy nie uwolniłaby się od

podejrzeń, że rzeczywiście zamierzała go zdradzić.

Taką właśnie cenę musiała zapłacić za zwycięstwo. Żeby wygrać, musiała poświęcić swoje imię i znieść osąd historii. Przygotowała się na wydanie rozkazu.



Kuni rozejrzał się dokoła, zdezorientowany. Był w Pan, Mieście Harmonii, i stał pośrodku rozległego placu Crubena, znajdującego się przed pałacem. („Jak mogę stać, skoro straciłem stopę?”) Zazwyczaj plac pozostawał pusty, nie licząc dzieci puszczających latawce wiosną i latem albo bawiących się w śniegu zimą. Od czasu do czasu lądował tam cesarski sterowiec, a w okolicy zbierali się gapie.

Dzisiaj jednak plac nie był pusty. Otaczały go ogromne posągi bogów Dary, każdy wysokości Wielkiej Sali Egzaminacyjnej, wykonany z brązu i żelaza, pomalowany w żywe kolory.

Kuni przypomniał sobie, że cesarz Mapidéré podobno chciał skonfiskować całą broń z Dary, wszystkie miecze i włócznie, wszystkie noże i strzały, żeby przetopić je w posągi na cześć bogów. Uznał, że jeśli pozbędzie się broni, na świecie zapanuje pokój.

Nigdy nie zrealizowano tej wizji, podobnie jak nie spełniono marzenia Kuniego o sprawiedliwszej Darze, gdzie kobieta miałaby takie same prawa jak mężczyzna, gdzie córka biednego chłopca z Dasu dostałaby taką samą szansę na sukces jak syn bogatego kupca z Wilczej Łapy, gdzie wszyscy utalentowani ludzie zostaliby dostrzeżeni.

Cesarz przyjrzał się dokładniej posągom. Było w nich coś dziwnego; nie przedstawiały bogów w ich tradycyjnych formach.

Na ramionach Kijego siedział nie tylko sokół Mingén, ale też garinafina. Nad głową Kany unosił się jej czarny kruk w złotej kuli, jasnej jak promienie słońca. Biały kruk nad głową Rapy miał srebrzystą księżycową aureolę. Karp Tututiki pływał obok niej w labiryncie tysiąca strumieni, biała gołębica Rufizo pilnowała stada długowłosego bydła i owiec. Najdziwniejsze ze wszystkich były posągi Fithowéo, Lutho i Tazu. Lewa połowa Fithowéo była męska, zaś prawa żeńska. Bóg wojny trzymał długą włócznię z obsydianowym grotem w lewej ręce, natomiast w prawej kościaną pałkę bojową. Z kolei posągi Lutho i Tazu były ze sobą połączone, jakby bogowie chłodnej kalkulacji i czystego szczęścia stali się dwoma wcieleniami tego samego bóstwa.

„Co się stało? – zdziwił się Kuni. – Kto dokonał takiej profanacji?”

Posągi bogów i bogiń poruszyły się i ożyły.

Cesarz oniemiał i zmarł ze zdumienia.

– Nie masz zbyt wiele czasu, Ragin – powiedziała Tututika, a jej głos brzmiał jednocześnie znajomo i obco. Przywodził na myśl spokojne strumienie szemrzące w ojczyźnie bogini, na Pięknej Wyspie, a także coś dzikszego, takiego jak gwałtowne powodzie na dalekich równinach, porośniętych karłowatymi krzakami.

– Czyżbym miał zaraz przekroczyć Rzekę, Po Której Nic Nie Płynie? – zapytał.

– Tak – odparła krótko Rapa głosem zimnym jak lodowy księżyc.
– Ale wciąż mam tyle do zrobienia. Darze grozi niebezpieczeństwo!
– Wszyscy błagają o więcej czasu – oznajmiła Kana głosem gorącym jak płonące słońce i niecierpliwym jak wulkan. – To samo mówił Mapidéré.

– Wielcy bohaterowie nigdy nie doprowadzają do końca powierzonych im zadań – rzekł Rufizo, łagodny pasterz i uzdrowiciel. Wykonał gest ręką i Kuni poczuł, że część jego niepokoju rozproszyła się.

Kuni był jednocześnie dumny i smutny. Bogowie Dary uznali go za wielkiego bohatera, jednak zrozumiał, że jego wielkie marzenie pozostanie niespełnione. Tak właśnie działał świat, prawda? Nawet najstaranniej przygotowane plany może przekreślić złośliwość losu.

– Dokonałem właściwych wyborów? – zapytał Kuni Garu. – Zasłużyłem na łaskę królów? – Z bijącym sercem czekał na odpowiedź.

– Przeżyłeś interesujące życie – powiedział Kiji, którego głos brzmiał jak trzepotanie skrzydeł, zarówno opierzonych, jak i skórzastych. – Szybowałeś wysoko jak nasienie dmuchawca porwane przez wiatr ponad chmury i nurkowałeś w toni morza niczym cruben.

– Zdradzałeś niechętnie, kochałeś namiętnie. Poświęciłeś miłość żon i dzieci. Byłeś też dobrym ojcem i mężem. Pokonałeś tyrana i sprawiłeś, że w Darze zapanował pokój. Tysiące umarły z twojego powodu, miliony innych dzięki tobie przeżyły. Próbowales równoważyć przeciwne siły, starałeś się przemawiać w imieniu pozbawionych głosu i dzięki swej władzy chronić bezsilnych – rzekł Fithowéo, ślepy bóg wojny, teraz w połowie będący dzierzącą pałkę bojową córką Wszechojca. – Wiesz, że świat nie jest idealny, lecz nigdy nie przestałeś wierzyć, że można go udoskonalać.

– A jednak Dara się zmienia – wtrącił Lutho-Tazu, duet oszustów, mądrych i przebiegłych, wyrachowanych i liczących na szczęście. – Dla nas wszystkich, śmiertelnych i nieśmiertelnych, zmiana jest jedyną stałą. Nowa era wymaga nowych bohaterów. Nowi przewodnicy muszą przeprowadzić Darę przez Ścianę Burz.

Kuni uklęknął przed bogami.

– Poddaję się osądowi historii.

– Nie wchodź łagodnie w tę wieczną burzę – powiedzieli bogowie jednym głosem.



Kuni otworzył oczy.

Czekał na tę chwilę, odkąd celowo w stopę zranił się zardzewiałym gwoździem. Planował doprowadzić do tego, by Lyucu uznali kościaną klatkę za zbędną. Chciał uwolnić się z roli karty przetargowej i raz jeszcze znaleźć się blisko swojej ukochanej rodziny, przekazać jej wiadomość.

W nagłym przyplywie siły odepchnął przytrzymujących go strażników i przeturlał się po pokładzie aż do samej krawędzi. Wspiął się niezdarnie po

nadburciu, omal nie wpadając do wody.

Strażnicy zaczęli krzyżeć, lecz żaden nie miał odwagi się zbliżyć – bali się, że Kuni rzuci się wówczas do morza.

Żołnierze Dary – zarówno ci w powietrzu, jak i ci na lądzie i morzu – wstrzymali oddech.

Panowała zupełna cisza. Nawet fale jakby na chwilę przycichły.

– Mieszkańcy Dary – zawołał Kuni. Zebrał resztkę sił, by dopełnić swój plan, a rura głosowa umieszczona wzdłuż burty, która miała umożliwić *pékyu* przekazywanie rozkazów i poprzez system tub łączyła się z kościaną trąbą na szczycie masztu, wzmacniała jego głos, niesiony daleko przez wiatr.

– Swego czasu zgrzeszyłem. Stojąc z boku, patrzyłem, jak niewinni ludzie umierają karani za zmyślone przewinienia. Pozwoliłem, by bezsilni cierpieli, podczas gdy sam zbierałem siły na następny dzień. Zdradziłem człowieka bliskiego mi jak rodzony brat w imię czegoś, co uważałem za większe dobro. Wywarłem małostkową zemstę na tych, którzy źle potraktowali mnie w przeszłości. Zbyt często dokonywałem wyborów, zapatrzony w ideał na dalekim horyzoncie, sądząc, że cel uświęca środki.

Zakręciło mu się w głowie i musiał na chwilę zamilknąć. Nie był pewien, gdzie się znajduje. Czy znowu stał na szczycie muru w Zudi, mając przed sobą xańską armię prowadzoną przez Tanno Namena? A może przeciwstawiał się siłom hegemonu, próbując dostrzec drogę prowadzącą do świata, gdzie nie królują mrok i śmierć?

– Chociaż życie to jeden wielki eksperyment, są takie momenty, kiedy cel staje się oczywisty i nie potrzebuje żadnego wyjaśnienia. Dzisiaj Darze zagroziła burza o niespotykanej gwałtowności. Nie ma żadnego większego dobra, którym można wytłumaczyć niewolę. Kiedy jedyną alternatywą są śmierć i poddaństwo, chyba wszyscy z nas wiedzą, jaki jest właściwy wybór.

Ojcowie nie mogą wywalczyć wszystkich wojen za swoje dzieci. Nadszedł czas, by następna fala obmyła brzeg, by następne pokolenie wstało i zawańczyło o swoje.

– Wybieram Théré na następcę tronu, a cesarzowa Jia niech pełni funkcję regenta, dopóki moja córka nie będzie gotowa przejąć władzy. Rozkazuję całej Darze odierać atak, dopóki przybysze nie wycofają się na morze!

Kuni zaczął tracić przytomność. Przemowa pozbawiła go resztek sił. Spojrzał w dół i zdawało mu się, że widzi Matę Zyndu, który macha do niego i uśmiecha się spod powierzchni morza, jakby spodobały mu się jego słowa.

– Dziękuję, bracie – szepnął Kuni.

A potem puścił burtę. Zapadł się w ciemną toń, by już nigdy z niej nie wypłynąć.



Théra, ukryta wraz z chroniącymi ją strażnikami w jednej z nabrzeżnych jaskiń, usłyszała przemowę ojca i zobaczyła jego śmierć. Wepchnęła w usta długie

rękawy swej szaty i mocno zagryzła, żeby stłumić płacz. Była teraz władczynią Dary, nie mogła sobie na to pozwolić.

Żalowała, że nie pozwolono jej wejść na pokład sterowca. Wtedy, dzierżąc jedną z broni zaprojektowanych przez siebie i Zomi, zabiłaby *pékyu* Tenryo osobiście.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty Bitwa w zatoce Zathin, część I

Zatoka Zathin: dziesiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Cisza przed burzą się skończyła.

Wojownicy Lyucu na pokładach statków-miast uderzali pałkami i toporkami jedno o drugie, wywołując tym samym ogłuszający hałas. Garinafiny skierowały się w stronę sterowców, a ich piloci wznosili okrzyki bojowe.

– Łucznicy, strzelać! – rozkazał Dafiro, a jego polecenie zostało przekazane za pomocą flag sygnałowych.

Łuczniczki kucające przy otwartych drzwiach gondoli wypuściły strzały. Większość nie trafiła w cel. Kilka odbiło się od twardej garinafiniej skóry.

Piloci wybuchnęli śmiechem. Miotacze ognia faktycznie mogły im zagrozić – chociaż Tanvanaki nauczyła ich kilku sztuczek i pokazała, jak powinni prowadzić bestie – jednak wyglądało na to, że załoga nowych sterowców zamierza się bronić jedynie przy użyciu niegroźnych strzał. Ogromne statki w kształcie spodków, łagodnie unoszące się na wietrze, w rzeczywistości były miękkimi meduzami pozbawionymi parzydełek. Patrząc na aroganckie twarze pilotów zbliżających się garinafin, Dafiro Miro uśmiechnął się gorzko. *Pékyu* Tenryo wielokrotnie odnosił zwycięstwo, ukrywając swoją prawdziwą siłę. Teraz marszałek zamierzała zrobić dokładnie to samo. Skryci za jedwabnymi ekranami żołnierze obracali swą tajemną broń w kierunku zbliżających się bestii, jednak żaden z kapitanów nie wydał jeszcze rozkazu do ataku. Wszyscy w napięciu czekali na pojawienie się flagi sygnałowej na „Jedwabiącej Strzale”.

– Czekać... – mamrotała pod nosem Mazoti. – Czekać...

Nagle Tanvanaki stuknęła mocno w kark Korvy, a wielka garinafina zatrzepotała skrzydłami i zatrzymała się w powietrzu. *Pékyu* Tenryo zasugerował wcześniej córce, że ze względu na ciężą powinna dowodzić bitwą z bezpiecznego miejsca na pokładzie jednego ze statków-miast, jednak dziewczyna tylko prychnęła, słysząc tę propozycję. Cięża nie była jeszcze dość zaawansowana, by ograniczać ruchy, a poza tym nie przychodził jej do głowy nikt, komu mogłaby powierzyć zadanie poprowadzenia garinafin do zwycięstwa.

Pozostałe bestie podążyły śladem Korvy i zatrzymały się w odległości kilku długości swoich ciał od sterowców. Statki wydawały się tak słabo uzbrojone, że Tanvanaki podejrzewała pułapkę.

„Lepiej ich najpierw sprawdzić”, pomyślała.

Machnęła ręką i jedna z garinafin ostrożnie zbliżyła się do formacji.

– Czekać... – mamrotała Mazoti. – Czekać...

Dafiro Miro ścisnął pięści tak mocno, że przeciął paznokciami skórę dłoni.

Garinafina znajdowała się zaledwie kilkanaście metrów od „Jedwabiącej Strzały”. Rozwarła szczęki. Załoga za jedwabnymi ekranami napięła się, gotowa do wypuszczenia pocisków.

Jednak rozkaz nie nadchodził.

Łuczniczki patrzyły, jak monstrualna paszcza zbliża się i powiększa, wypełniając całe ich pole widzenia. Skrzydlata bestia mogła zionąć ogniem w każdej chwili.

Mimo to Gin Mazoti wciąż nie wydała rozkazu.



Théra zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć, kiedy garinafina omal nie pocałowała sterowca, po czym wycofała się w ostatnim momencie, rezygnując z ataku.

Za uciekającą bestią pofrunęły naręcza strzał.

Tanvanaki wypuściła wstrzymywane powietrze. Najwyraźniej ci barbarzyńcy zamierzali celować w pilotów zamiast w niemal niemożliwą do przebicia skórę garinafin.

Jednak mając już doświadczenie z efektywnością tych pocisków, byli przygotowani na tę taktykę – każdy z jeźdźców przybrał strój ochronny z kilku warstw grubej skóry. Większość strzał nie trafiła w cel ze względu na silne podmuchy powietrza generowane przez ruch ogromnych skrzydeł, a te kilka, którym się udało, odbiło się od skórzanych pancerzy.

Wojownicy Lyucu, którzy przyglądali się temu z grzbietów pozostałych garinafin, zaczęli wiwatować, a zaraz potem dołączyli do nich kamraci na pokładach statków-miast. Chociaż słynna marszałek Dary zdołała w jakiś sposób znaleźć inne źródło gazu nośnego, nadal nie była w stanie wymyślić efektywnego sposobu walki z garinafinami. Zwycięstwo Lyucu było pewne.

– Co marszałek sobie wyobraża? – mruknęła zdenerwowana Théra.



Zaniepokojeni członkowie załogi „Zemsty Mojego” szeptali między sobą:

– Dlaczego nie walczymy?

– Co marszałek wyprawia?

Zomi Kidosu, kapitan, pozostała spokojna.

– Element zaskoczenia da nam przewagę, ale chwilową. Marszałek zależy na tym, by jak najwięcej skrzydlatych bestii znalazło się w zasięgu naszej nowej broni, zanim zdecydujemy się ją ujawnić. Jest gotowa poświęcić jeden statek, jeśli właśnie to będzie potrzebne do zachowania chwilowej przewagi. Musimy czekać na jej rozkaz.



W rzeczywistości miała rację tylko częściowo. Kiedy patrzyła w otwartą

paszczę garinafiny, Gin Mazoti zaryzykowała. Dafirowi Miro po powrocie z Tan Adü zaprezentował Zomi i innym uczonym ognistą tubę – wówczas wreszcie zrozumieli tajemniczą cechę anatomii garinafin.

Uzębienie bestii generalnie przypominało uzębienie roślinożernych ssaków: sześć długich siekaczy o kształcie tasaków służyło do cięcia twardej trawy i gałązek, zaś trzydzieści dwa zęby przedtrzonowe i trzonowe, za sprawą swej nierównej powierzchni, rozcierały i miażdżyły pokarm. Ostre kły w górnej szczęce wyglądały zupełnie zwyczajnie. Wielu roślinożerców, na przykład brodzące konie z Wyspy Półksiężycowej, które żywiły się roślinami wodnymi, miało przerośnięte kły, żeby odstraszać drapieżniki i bronić terytorium. Można się było domyślać, że te garinafinie służyły podobnym celom, szczególnie zważywszy na fakt, że skrzydlate bestie nie mogły liczyć na ognisty oddech, gdy zapasy gazu fermentacyjnego były na wyczerpaniu. Z kolei dolne kły naprawdę zabiły ćwieka Zomi, Çami, Mécodé i innym naukowcom. Jeśli górne przypominały gigantyczne sztylety, te dolne wydawały się czymś w rodzaju pochew. Były puste w środku, a w ich dolnej części, tuż przy dziąśle, znajdowało się rozcięcie, dzięki czemu ślina zbierająca się wewnątrz zęba mogła swobodnie wypływać. Całość wydawała się narażona na próchnicę, spowodowaną przez gromadzące się tam resztki jedzenia.

W rzeczy samej, problem wydawał się oczywisty dla każdego, kto przyjrzał się górnym kłom, przy których wierzchołkach znajdowały się małe dziurki. Jeśli bestia spała z górnymi kłami schowanymi w dolnych, a resztki jedzenia i ślina nie miały ujścia, naturalnie proces psucia rozpoczynał się na wierzchołkach górnych kłów, co, jak zaobserwowali uczeni, sprawiało, że powstawał na nich charakterystyczny wzór przypominający plaster miodu.

Kiedy jednak badacze poznali sposób działania ognistych tub z Tan Adü, zdali sobie sprawę, że niezwykle kły garinafin w rzeczywistości służą do rozpalania ognia. By spowodować powstanie płomienia, zwierzę zatykało językiem szczelinę w dolnym kle, uniemożliwiając przepływ powietrza, i zaciskało szczęki. Siła i prędkość, z jaką górne kły wbijały się w dolne, powodowały sprężenie znajdującego się w środku powietrza, podobnie jak ogniste tuby Adüanów włożone do bambusowej rurki.

W rezultacie znacznie wzrastała temperatura, a podpałka na końcówkach górnych kłów zaczynała się palić. Kiedy zwierzę rozwierało szczęki i wypuszczało mieszanekę powietrza z płuc oraz łatwopalnego gazu fermentacyjnego z wewnętrznych worków, powstawał płomień. Na tym polegała tajemnica ognistego oddechu garinafin. Dlatego też, jak zauważyła Zomi Kidosu, zwierzę zawsze tuż przed zionięciem szybko zaciskało zęby.

Kiedy garinafina zanurkowała w stronę jednego ze sterowców, Gin Mazoti zauważyła, że nozdrza zwierzęcia nie rozszerzyły się, co oznaczało, że bestia nie nabierała głęboko powietrza, jak zawsze przed zionięciem ogniem. Co więcej, chociaż garinafina miała otwarty pysk, nie rozwarła szczęk do końca, co było konieczne do tego, by zamknąć je z maksymalną siłą i skrzesać iskrę.

Innymi słowy, wszystko wskazywało na to, że to był blef. Sprawdźcie.

Marszałek z pewnością ryzykowała, lecz było to skalkulowane ryzyko. Luan

Zya i Kuni Garu z pewnością pochwaliliby jej krok. W końcu, jak napisała w swojej książce o strategii militarnej, gdy pozna się wroga, ma się już za sobą więcej niż pół walki.



Zyskawszy pewność, że przeciwnik rzeczywiście jest tak nieudolny, jak się wydawało, piloci ruszyli do ataku, pewni, że z łatwością uda im się rozprawić z tymi imponująco wyglądającymi, lecz bezużytecznymi gigantami. Wojownicy na statkach zaczęli brutalnie poganiać galerników, chcąc jak najszybciej dotrzeć do wybrzeża.

Marynarka Dary, która wypłynęła z portu w Ginpen, ruszyła do ataku. Plan marszałek zakładał przytrzymanie garinafin na tyle długo, by nie dopuścić do zejścia Lyucu na ląd i tym sposobem dać niewielkim siłom morskim możliwie dużo czasu na zadanie jak największych obrażeń statkom-miastom. Oczywiście sukces planu zależał wyłącznie od wyniku bitwy toczącej się w powietrzu.

Garinafiny podleciały do sterowców, bijąc powoli skrzydłami, by oszczędzać energię. Rozwarło się dwadzieścia par szczęk.

– Czekać...

Oczy Gin Mazoti były zimne i spokojne. Chwyciła rękojęść Na-aroénny, która była tak ciężka, że musiała być trzymana w specjalnej uprzęży. Gin tęskniła za dawnym mieczem, którym Kuni Garu niegdyś zabił wielkiego białego pytona.

„Czy zdołam powtórzyć wyczyn cesarza i zgladzić wielką bestię?”

Czuła energię maszynierii za swymi plecami – energię, która wywoływała ciarki i sprawiała, że włosy stanęły jej dęba.

Z jękiem wyciągnęła Pogromczynię Wątpliwości z pochwy i podniosła nad głowę.

– Formacja pudełkowa, teraz!

Dafiro Miro przyskoczył do stojącego niedaleko gongu i trzykrotnie mocno weń uderzył, żeby przekazać rozkaz członkom załogi przebywającym w gondoli i wyżej, na kadłubie. Następnie sygnałowi mieli za pomocą flag przesłać polecenie pozostałym sterowcom.

Wszyscy na pokładzie rzucili się ku skomplikowanemu wewnętrznemu szkieletowi ogromnego kadłuba – zanurkowali pod napęczniałe worki z gazem, żeby poprawić takielunek, jeśli ciągnąć za dźwignie, przekręcać koła i dokonywali wielu innych skomplikowanych czynności niezbędnych do uruchomienia ukrytej maszynierii. Wyznaczając sobie rytm za pomocą świeżo podjętej szanty, żołnierze ciągnęli i pchali szprychy ogromnych kół wyciągarek; grube jedwabne sznury zaczęły się zwijać. Gigantyczna ceramiczna kula balastowa znajdująca się za gondolą poruszyła się, tym samym powodując przesunięcie środka ciężkości sterowca. Podniebny statek obrócił się w powietrzu.

W czterech sterowcach lecących pośrodku w formacji rombowej – „Duchu Kijego”, „Sercu Tututiki”, „Determinacji Fithowéo” oraz „Wigorze Bliźniaczek” – przesunięto kule balastowe w taki sposób, by podnieść dzioby i postawić statki

panionowo. Wioślarze pracowali w pocie czoła, dopóki sterowce nie utworzyły swego rodzaju pudełka, wystawiając swoje obrócone teraz wertykalnie gondole do zewnątrz jak miniaturowe zamki zbudowane w połowie pływających w powietrzu klifów z pękatego jedwabiu.

Lecąca niżej „Zemsta Mojego” wzniosła się, a jej górna część dotknęła dolnych krawędzi ścian „pudełka”, tworząc jego dno. „Jedwabiąca Strzała” przeszła jeszcze wspanialszą transformację: kulę balastową przesunięto tak, by statek zupełnie odwrócił się do góry nogami. Teraz kula zwisała z miejsca, które wcześniej stanowiło górną powierzchnię sterowca, zaś gondola znajdowała się na szczycie. Kiedy statek się przekręcał, marszałek Mazoti i pozostali członkowie załogi przesuwali się po przekrzywiającej się podłodze i ścianach, aż w końcu stanęli na powierzchni dotychczas będącej sufitem. Następnie „Jedwabiąca Strzała” powoli opadła, by uzupełnić formację i zamknąć „pudełko” niczym wieko.

Wciągnięto i schowano wiosła, które można było składać, żeby nie zajmowały zbyt wiele miejsca. Załoga na brzegach kadłubów przerzuciła takielunek przez szczeliny, by połączyć statki.

Sześć sterowców tworzyło teraz latającą fortecę z sześcioma gondolami skierowanymi we wszystkich kierunkach. Dzięki temu zniknęła jedna z największych słabości podniebnych statków: ich podatność na ataki z góry i z dołu, którą to cechę wykorzystywały doskonale manewrujące w powietrzu garinafiny w czasie inwazji Kuniego Garu na opanowane przez Lyucu Rui.

Następnie odpadły podłogi gondoli.

Wojownicy Lyucu na pokładach statków-miast spodziewali się, że załogi sterowców po prostu wypadną. Rozczarowali się, ponieważ gondole nowych sterowców od początku pełniły funkcję jedynie maskującą – miały skrywać to, co znajdowało się w środku.

W miejscu skromnych gondoli i łuczniczek z żalosną bronią pojawiły się ogromne kusze zajmujące niemal całą szerokość gondoli i skierowane w stronę atakujących garinafin. Wykonane zostały z drewna, rogu i ścięgien, zaś za cięciwę służyły grube skręcone paski jedwabiu. Kusze były tak mocne, że cięciwy dało się naciągać jedynie za pomocą systemu przekładni oraz kół zębatych i pasowych. Właśnie tę maszynę obsługiwali członkowie załóg, śpiewając piosenkę przątek.

Bełty, którymi strzelano z kusz, miały po piętnaście metrów długości i były zrobione z najgrubszych tyczek bambusa, jakie można było znaleźć w rosnących w chmurach zagajnikach na górze Fithowéo. Groty, mierzące trzydzieści centymetrów i wykonane z tysiąckrotnie bitej stali, błyszcząły w mocnym słońcu jak łuski crubena. To były prawdziwe zęby i pazury sterowców, nie zaś mizerne strzały wystrzelone wcześniej dla niepoznaki.

Kusze umieszczono na obrotowych mechanizmach, które pozwalały celować w dowolnym kierunku.

W każdej gondoli mieściła się duża platforma zawieszona na łukowatej belce przymocowanej do wierzchołków poziomej tyczki biegnącej przez środek platformy, dzięki czemu platforma mogła się przechylać w górę i w dół. Zmyślny system

przekładni i sznurów zapewniał jeszcze jedną ważną cechę – bez względu na aktualne położenie sterowca platforma zawsze była ułożona równolegle do ziemi.

Na każdej okrągłej platformie spoczywało ogromne, umiejscowione horyzontalnie ruchome koło ze szprychami – to właśnie tam znajdowała się kusza. Część załogi stała bezpośrednio na nim, by ładować belty i naciągać cięciwę, inna część odpowiadała za jego obracanie, tak by kusza skierowana była w stronę aktualnego celu. Jeszcze inni stali wewnątrz kadłuba, by za pomocą kół pasowych przechylać platformę i zmieniać położenie kuszy. Pilotów garinafin, gdy dostrzegli, co naprawdę kryło się w latających fortcach, oblał zimny pot.

Jednak Tanvanaki zawahała się tylko sekundę i zaraz podjęła decyzję, by nie odwoływać ataku. Owszem, belty wyglądały na solidne, lecz nawet gdyby zdołały przebić skórę garinafin, nie zrobiłyby im żadnej krzywdy, jeśli nie trafiłyby bezpośrednio w serce – to natomiast wydawało się trudne, zważywszy na prędkość, z jaką poruszały się bestie, a także wytrzymałość ich klatek piersiowych. Ponieważ załoga każdego sterowca miała czas na wystrzelenie tylko jednego belta, zanim garinafiny znajdą się dość blisko, by zionąć ogniem, zaś bestii było trzy razy więcej niż statków, Lyucu mieli zdecydowanie większe szanse na zwycięstwo.

Mimo to córka *pékyu* lekko postukała w kark Korvy, dając jej znak, żeby zwolniła. Przyłożywszy tubę głosową do kręgosłupa garinafiny, wydała serię rozkazów, które zwierzę przekazało pozostałym bestiom za pomocą jęków i porykiwań.

Garinafiny podzieliły się na grupy i gwałtownie skręciły, kierując się na pozycje na lewo, prawo, w górę i dół od fruwej fortcey. Tanvanaki liczyła na to, że ten podniebny taniec dezorientuje tych członków załogi sterowców, którzy byli odpowiedzialni za wyznaczanie celów.

Jednak Mazoti była na to przygotowana.

– Ogień wzór pierwszy! – rozkazała.

Dafiro Miro dwukrotnie uderzył w gong w szybkiej sekwencji, przekazując polecenie załogom.

Platformy przechyliły się, koła obróciły i każdy statek celował teraz w garinafinę na lewo od czujki. W ten sposób minimalizowano szansę na wystrzelenie więcej niż jednego belta w stronę tego samego zwierzęcia, a także ostrzału któregoś ze sterowców.

Pięć bambusowych beltów z głośnym brzęknięciem pomknęło w stronę pięciu garinafin. Jedynie skierowany na południe „Wigor Bliźniaczek” nie zdołał namierzyć celu, ponieważ zwierzęta nie okrążyły dokładnie fruwej fortcey.

Piloci spodziewali się, że belty wyrządzą ich wierzchowcom jakąś krzywdę, niemniej łatwość, z jaką groty wbijały się w skórę garinafin i przecinały grube włókna mięśni, mocno ich zaskoczyła. Był to rezultat jeszcze jednego udoskonalenia konstrukcji grotów: wyposażono je w diamentowe czubki. Cesarzowa Jia opróżniła skarbiec w Pan, żeby zapewnić warsztatom marszałek wystarczającą liczbę diamentów, z których każdy miał wartość zamku barona.

Czas jakby zwolnił. Belty kolejno wbijały się w ciała garinafin, wytracając

prędkość. Zwierzęta zawyły z bólu i zadrżały, a szarpnięcie sprawiło, że wojowników na ich grzbietach uchroniło przed upadkiem kurczowe uczeplenie się uprzęży.

Jednak zgodnie z domysłami Tanvanaki chociaż belty zraniły garinafiny, żaden nie zdołał trafić ani w serce, ani w jakikolwiek inny ważny organ, więc zwierzętom nie groziła śmierć. Każda z bestii wygięła swą długą szyję, by zębami pociągnąć za strzałę. Wówczas bambusowe drzewce wygięły się pod wpływem ruchów zwierzęcia, a wewnątrz nich jakby coś pękło. Trafione garinafiny poczuły silny wstrząs, jakby jakaś gigantyczna i niewidzialna ręka sięgnęła w głąb ich ciał i ścisnęła wnętrzności. Później zostało im dziwne wrażenie: ni to zimny deszcz, ni to bolesny skurcz – raczej rozlewające się po tkankach odrętwienie.

Stłumione eksplozje.

Każda z trafionych bestii spojrziała bezradnie na swoje towarzyszek.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Tanvanaki. Lyucu na grzbietach rannych garinafin wydawali się zdezorientowani. Ich wierzchowce nie wykonywały już poleceń i coraz wolniej machały skrzydłami. Wstrząsały nimi konwulsje, a w ciemnych, pozbawionych źrenic oczach widać było panikę.

A potem, nagle i niespodziewanie, pięć trafionych bestii eksplodowało, w jednej chwili zmieniając się w pięć płonących chmur, z których na zdumionych wojowników Lyucu lunął deszcz krwi, odłamków kości, strzępków skóry i wnętrzności.



Uradowana Théra jako pierwsza z obserwatorów podskoczyła z radości, kiedy niebo poczerwieniało od ognia umierających garinafin.

– Wasza Wysokość, proszę się nie pokazywać – ostrzegł jeden ze strażników. – Nie chcemy, żeby zwrócili na ciebie uwagę, zwłaszcza teraz, gdy...

Zanim zdążył dokończyć i zanim Théra odpowiedziała, jak morskie fale obmyły ich ogłuszające okrzyki obrońców na plaży.

Bambusowe belty były wynalazkiem Miza Cruna, ulicznego magika i wędrownego uzdrowiciela z Boamy. W każdym bambusowym drzewcu, tuż za grotem z diamentowym czubkiem, umieszczono słoje Ogé. Słoje te, wykonane z najcieńszego szkła i pokrytego warstwą srebra z zewnątrz i od wewnątrz, miały stworzyć największą możliwą powierzchnię przewodzącą, by zmagazynować w niej energię.

By napelnić je jak największym ładunkiem, Miza Crun zaprojektował ogromny generator siły jedwabiącej, którego główną częścią był szklany dysk o średnicy trzech metrów – prawdopodobnie największy kawałek szkła, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w Darze. Jego stworzenie wymagało udziału najlepszych hutników, którzy wykonali liczne prototypy. Dysk umieszczono na osi z twardego drewna. Obracano go za pomocą systemu pasów i przekładni napędzanych przez wiatraki. Do wytworzenia siły jedwabiącej użyto grubego jedwabiu ciasno oplatającego szklany dysk, a do słoików przeniesiono ją przy użyciu

potężnych srebrnych łańcuchów.

Kiedy belty przebiły twardą skórę garinafin i zagłębiły się w ciało, bambusowe drzewce zaczęły się wyginać pod wpływem ruchów zwierzęcia, co spowodowało pęknięcie słoików i uwolnienie ładunku siły jedwabiącej.

Testy przeprowadzone przez Mizę Cruna wykazały, że energia z jednego takiego pocisku wystarcza, żeby zatrzymać serce małego zwierzęcia. Jednak o ile belt nie trafiłby w samo serce wielkiej garinafiny, zabicie jej za pomocą jedwabiącej strzały było niezwykle mało prawdopodobne. Marszałek nie zamierzała stawiać na coś tak niepewnego. Zomi Kidosu z pomocą Mizy Cruna wymyśliła sposób na udoskonalenie jedwabiących beltów. Jednym z najbardziej imponujących wizualnie efektów rozładowania siły jedwabiącej było powstanie iskry. Zomi i Miza zdali sobie sprawę, że można ją wykorzystać do wywołania eksplozji, i wolną przestrzeń wewnątrz każdej bambusowej tyczki wypełnili prochem.

W historii wojen Dary używano już bomb prochowych – na przykład Torulu Pering korzystał z pływających lampionów pełnych wybuchającego proszku i pokrytych warstwą smoły, która przyklejała się do kadłubów sterowców i eksplodowała po wypaleniu się knota. Niektórzy uczeni proponowali zaadaptowanie tego rozwiązania na potrzeby walki z garinafinami, lecz wiązało się z tym zbyt wiele trudności. Taka przyklejająca się za pomocą smoły bomba byłaby bezużyteczna, ponieważ ze względu na grubość skóry latających bestii wywołałaby jedynie powierzchowne rany. Poza tym knot na beltach spalał się zbyt wolno, przez co zwierzęta miałyby czas na pozbycie się drzewców. Tymczasem iskra z siły jedwabiącej nadawała się do tego idealnie – nie tylko powodowała tymczasowy paraliż bestii, lecz także wywołała eksplozję w chwili, gdy belt tkwił głęboko w ciele garinafiny.

Co prawda ilość umieszczonego w nim prochu wykluczała zadanie śmiertelnej rany, lecz Atharo Ye, teraz największy autorytet w dziedzinie anatomii garinafin, wymyślił kolejny sposób na zwiększenie destruktywnej siły jedwabiących beltów.

Garinafiny, jak zwrócił uwagę, były w pewnym sensie tylko grubymi warstwami ciała okalającego worki z łatwopalnym gazem. Gdyby eksplozja będąca wynikiem rozładowania siły ze słoików Ogé zdołała dotrzeć do tych worków...

Właśnie dlatego wewnątrz grotów wypełniono cienkimi gwoździkami, które po wybuchu miały wydrążyć setki tuneli w ciele garinafiny i w wariancie optymalnym przebić worek z gazem, tym samym doprowadzając do potężnej eksplozji wewnątrz ciała.



Marszałek wyraziła swój ogromny podziw dla poczynań genialnej grupy inżynierów działającej pod przewodnictwem Théry.

– Zomi należy się największe uznanie – rzekła księżniczka.

– Jak udało ci się wynaleźć tak pomysłową broń w tak krótkim czasie? – zapytała Gin Mazoti.

– Nie było innego wyjścia – odparła Zomi. Po chwili dodała w ramach wyjaśnień: – Inżynieria w dużej mierze przypomina ewolucję logogramów ano. Łączymy ze sobą istniejące komponenty, żeby osiągnąć nowy cel. Przetwarzamy stare idee, by otrzymać coś nowego.

– Twoje słowa przywodzą mi na myśl mojego starego przyjaciela – powiedziała Gin.

Zomi pokiwała głową. Dobrze zapamiętała lekcje Luana Zyajego, który nauczył ją dostrzegać piękno zarówno inżynierii, jak i klasycznego ano.

– Wiem, że byłby z ciebie bardzo dumny – dodała Gin.

– Z pani, marszałek Mazoti, również byłby dumny – odparła. – Podobnie jak my zebraliśmy różne pomysły i wynalazki, by stworzyć nową broń, ty zbudowałaś zespół złożony z osób, których nikt nie spodziewałby się zobaczyć razem: ulicznego magika, księżniczki, nieudanego buntownika, znanego mędrca, zhańbionej urzędniczki i wielu innych.

Tanvanaki patrzyła z niedowierzaniem, jak pięć garinafin w jednej chwili przestaje istnieć. Natychmiast przyłożyła tubę głosową do karku Korwy i zarządziła odwrót.

Jednak z pokładu „Dumy Ukyu”, daleko w dole, popłynął przeszywający dźwięk kościanej trąbki: garinafiny miały przystąpić do ataku, bez względu na straty.

Tanvanaki spojrzała w dół i nawet w tłumie chaotycznie przelewającym się po pokładzie statku łatwo zauważyła wzrok swojego ojca: zimny, nieustępliwy i pełen determinacji. Zdawał się mówić: „Atakuj każdy cel, który ci wskażę”. Westchnęła, jeszcze raz przycisnęła tubę głosową do szyi Korwy i zarządziła kolejny atak. Znowu jednak kazała swojej garinafinie trzymać się z boku.



Nawet wiwatujące na sterowcach załogi musiały podziwiać odwagę pilotów skrzydlatych bestii. Chociaż zmarło tak wielu ich towarzyszy, nie zawahali się przed poprowadzeniem zdezorientowanych wierzchowców do drugiego ataku. Lotnicy spodziewali się, że Lyucu przynajmniej tymczasowo zostaną sparaliżowani przez szokującą siłę jedwabiących beltów.

Jedynie marszałek Mazoti nie dziwiła ta reakcja. Natychmiastowe przypuszczenie kolejnego ataku wydawało się sensowną taktyką. Maszynaria niezbędna do obsługi jedwabiących beltów była tak skomplikowana, że powtórne załadowanie kusz wymagało czasu. Chwila bezpośrednio po wypuszczeniu beltów była więc idealnym momentem na atak, ponieważ sterowce pozostawały wtedy bezbronne.

Jednak marszałek chowała w rękawie jeszcze jedną sztuczkę.

– Kneble, na pozycje! – rozkazała.

Dafiro Miro uderzył w gong, a sygnałowi przekazali polecenie pozostałym załogom.

Lotnicy wspięli się po wypukłych ścianach powietrznej fortecy, po czym wsunęli w wąskie szczeliny strategicznie rozmieszczone na kadłubach. Gotowi do ataku, czekali.

Garinafyny znalazły się w polu rażenia.

Kusze pozostawały puste.

Szczęki bestii rozwarły się szeroko, gotowe gwałtownie się zatrzaskać, by skrzesać iskrę niezbędną do zionięcia ogniem.

A wtedy w ich stronę, prosto w rozdziawione paszcze pomknął grad strzał – wystrzelonych ze zwykłych luków.

Garinafyny je zignorowały. Wiedziały z doświadczenia, że zwykle strzały nie są w stanie wyrządzić im krzywdy. Poza tym przywykły do jedzenia twardej i ciernistej roślinności porastającej równiny, były więc odporne na większość broni Dary. Zamachały gwałtowniej skrzydłami, szybko pokonując dystans dzielący je od sterowców.

Wiele strzał odbiło się od grubej skóry, nie czyniąc żadnych szkód, inne, choć wbiły się w nieco miększe tkanki wewnątrz paszczy, zgodnie z oczekiwaniami zostały zignorowane – bestie niemal nic nie poczuły.

Zaraz jednak zdały sobie sprawę, że coś jest nie tak. W zetknięciu z twardą wewnętrzną wyściółką otworu gębowego garinafyny, strzały zaczęły rozkładać się i powiększać. Niczym patyczak, który rozsuwał odnóża, by przyjąć wygląd gałązki z wieloma witkami, strzały podzieliły się na segmenty i rozpórki, które zaparły się o siebie nawzajem, umiejscowione bezpiecznie między zębami garinafin.

Te składane bambusowe kolczatki zostały zaprojektowane na wzór lampionów Luana Zyi, które posłużyły także do skonstruowania widmowych sterowców wypuszczonych z mechanicznych crubenów w czasie inwazji cesarstwa na Rui. W pełni rozłożone, uniemożliwiały garinafinie zamknięcie szczęk, wywołując przy mocniejszych próbach taki ból, że zwierzęta wyły.

Żołnierze Dary obserwujący podniebną bitwę raz jeszcze zaczęli wiwatować, kiedy niezdolne do zionięcia ogniem garinafyny wycofały się. Bambusowe kolczatki były wynalazkiem niezwykle prostym, mimo to dzięki szczegółowej znajomości anatomii skrzydlatych bestii umożliwiły ich rozbrojenie.



Niektórzy piloci w przypływie odwagi zaczęli wspinać się po długich szyjach swoich wierzchowców, by spróbować pozbyć się kolczatek ręcznie, jednak piekielne ustrojstwa były tak zaprojektowane, by opierać się wszelkim tego typu działaniom. Kiedy zaś piloci chcieli je porozbijać pałkami, cierpiące, rozjuszone garinafyny potrzęsły łbami i Lyucu z krzykiem pospadali do morza.

Tanvanaki doszła do wniosku, że nie może dłużej czekać. Zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby pilotom udało się wyciągnąć kolczatki, co wydawało się mało prawdopodobne i wymagałoby czasu, sterowce wykorzystają ten moment na powtórne załadowanie kusz. Już widziała, jak załogi pędzą do ogromnych

przekładni.

Przytknęła tubę głosową do szyi Korvy i wydała pewien rozkaz. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek przyjdzie jej powiedzieć to słowo: „Szponami”.

Korva powtórzyła polecenie pozostałym garinafinom za pomocą pełnego rozpaczy zawodzenia.

Rozkaz ten wydawano wyłącznie z desperacji. Jedyne pilot wierzchowca, który wyczerpał już zapasy gazu fermentacyjnego i nie mógł ani latać, ani zionąć ogniem, decydował się na wykorzystanie ostatniej broni, jaką dysponowała garinafina: zębów i szponów – a w tej chwili to pierwsze też znalazło się poza zasięgiem.

A jednak polecenie księżniczki Vadyu nie było do końca pozbawione sensu – sterowce, delikatne konstrukcje z jedwabiu i bambusa, nie byłyby w stanie przetrwać bezpośredniego starcia.

Większość bestii była zbyt oglupiała z bólu, żeby odpowiedzieć, lecz nie wszystkie. Oto ogromna brązowa garinafina zbliżyła się do „Ducha Kijego”, jednego ze sterowców tworzących boczną ścianę formacji pudełkowej. Wyciągnęła przed siebie szpony i złożyła skrzydła, przygotowując się do śmiertelnego skoku.

Załoga sterowca jeszcze bardziej przyspieszyła swoje próby załadowania kuszy. Pilotka garinafiny zagwizdała głośno i pozostali jeźdźcy wypuścili ze swoich proc grad okrągłych kamieni. Kilka lotniczek padło z czaszkami rozbitymi przez pociski, któraś krzyknęła i złapała się za zwisającą bezwładnie złamaną rękę. Parę kobiet wyszło z kadłuba, żeby zastąpić powalone towarzyszy, a łuczniczki wypuściły kolejne strzały, jednak większość odbiła się od grubych skórzanych pancerzy Lyucu.

– Teraz! – zawołała pilotka przez tubę głosową przyciśniętą do szyi wierzchowca.

Razem z resztą załogi zapała się i mocniej ścisnęła uprząż. Garinafina stanęła dęba, jej ogromne skrzydła załopotaly, powodując prawdziwą wichurę, a lewa łapa rozorała ostrymi pazurami pękatego „Ducha Kijego”.

W kadłubie natychmiast pojawiła się ogromna dziura. Bambusowe tyczki trzaskały jak wykalaczki, a jedwabne worki z gazem nośnym zostały obnażone niczym pęcherze pławne ogromnej ryby.

– Wyrównajcie po opadnięciu „Kijego”! – krzyknęła Mazoti z pokładu „Jedwabiącej Strzały”. W tej formacji wszystkie sterowce były ze sobą połączone, a opadający „Kiji” mógł pociągnąć ze sobą pozostałe. – Ratujcie ocalałych, ale ładujcie te kusze!

Brązowa garinafina w dalszym ciągu szarpała i rozrywała kadłub „Ducha Kijego”. Worki z gazem pękały jak bańki mydlane. Lotniczki wypadały z powiększającej się dziury niczym perły z rozciętego woreczka. Krzycząc, mknęły na spotkanie śmierci pośród fal. Załogi pozostałych sterowców rzuciły się na pomoc lotniczkom z „Ducha Kijego” i dopasowywały siłę nośną worków z gazem na swoich statkach, by zachować stabilność całej formacji. Każdy zdawał sobie sprawę z ryzyka – gdyby teraz pojawiła się choć jedna iskra, wszystkie sterowce zostałyby stracone.

Garinafina rozerwała ostatni worek gazu z tej strony statku, a potem, rycząc triumfalnie, zatrzepotała skrzydłami i wycofała się. To, co pozostało z pękatej ramy „Ducha Kijego”, było zbyt ciężkie, żeby pozostałe statki zdołały go podtrzymać. Cała formacja zaczęła powoli opadać w stronę morza.

– Musimy się oderwać! – krzyknął Dafiro Miro.

Gin Mazoti kiwnęła ponuro głową. Nie udało się uratować całej załogi „Ducha Kijego”, lecz utrata wysokości groziła śmiercią wszystkim pozostałym. Dafiro uderzył w gong, wydając odpowiedni rozkaz.

Lotniczki znajdujące się na krawędziach kadłubów i odcięły sznury, którymi „Duch Kijego” był przywiązany do siostrzanych statków. Sterowiec opuścił formację pudełkową i powoli spadał do oceanu, zabierając ze sobą kilkunastu lotników – w tym samą kapitan – którzy nie chcieli porzucić swoich stanowisk przy wielkiej kuszy. Zrozpaczone załogi pozostałych statków rzuciły w stronę opadającego kadłuba jedwabne sznury, w nadziei, że uda się uratować chociaż część ludzi. Jednak tamci kręcili głowami, nie chcąc sięgnąć po liny.

– Gotowi do oddania strzału! – zawołał odpowiedzialny za wyznaczanie celu Mota Kiphi do kapitan Mué Atamu z „Ducha Kijego”. Był jednym z niewielu mężczyzn służących na statku, a jego niezwykła siła rekompensowała większą wagę.

Platformą zatrzęsło, kiedy sterowiec gwałtownie przechylił się na bok, próbując odzyskać równowagę. Lotniczki przy kuszy zachwiały się, kilka z nich spadło.

Kapitan Atamu, weteranka z Wojny Chryzantemy z Mleczem, chwyciła za koło kuszy i kiwnęła głową.

– Przydajmy się na coś!

Ponieważ na pokładzie zostało znacznie mniej załogi niż było potrzeba do obsługi kuszy, obracanie koła było procesem bardzo powolnym i wymagającym jeszcze więcej wysiłku niż zwykle. Udało się wyłącznie dzięki niespotykanej sile Moty Kiphiego. Prowadził i zachęcał swoje towarzyszki, aż w końcu ogromna kusza wycelowała w jasnobrązową garinafinę z zielonkawymi paskami, która oddalała się od sterowca.

– Stop! – zawołał Mota, a potem przełknął nerwowo ślinę. – Pani kapitan, naprawdę uważasz, że zapamiętają nas tak jak hegemonia?

Kapitan Atamu spojrzała na niego. Mota był taki młody, tak beznadziejnie zakochany we własnej idei historii. Popatrzyła na pozostałe lotniczki, które również wpatrywały się w nią z wyczekiwaniem. Poczula w sercu bolesne ukłucie.

– Zapewne nie – powiedziała łagodnie. – Większość poległych żołnierzy szybko zostaje zapomniana. Ale nie walczymy o honor. Walczymy, bo tak trzeba.

Mota nagle jakby skurczył się z rozczarowania.

– Och, liczyłem chociaż na pieśń.

– Nie wszyscy bohaterowie potrzebują pieśni na swój temat – odparła kapitan Atamu. – Nam wystarczy, świadomość, że nimi jesteśmy.

A potem wydała rozkaz strzału.

Bełt wyfrunął z kuszy i narysował delikatny łuk w powietrzu, by zaraz

zagłębić się w ciele jasnobrażowej garinafiny. Rozległo się głośnie zawodzenie. Chwilę później niebo rozbłysło na skutek potężnej eksplozji.

Lotnicy wiwatowali, padając sobie w ramiona. Wrak „Ducha Kijego” w dalszym ciągu opadał. Pozostałe garinafiny, nieco otrząsnawszy się z pierwszego szoku, zniżyły lot i za pomocą szponów wylądowały swój gniew na poszczególnych lotnikach. Niektórzy zostali rozerwani na pół, a inni zmiżdżeni na krwawą miazgę i rzućeni do oceanu. Nawet jedna osoba nie błagała o litość i wszyscy zginęli z krótkimi mieczami w dłoniach, chociaż te na nic im się zdały w tej nierównej walce.

Pusty wrak „Ducha Kijego” rozbił się o fale, a małe statki marynarki Dary musiały uciekać mu z drogi.

„Serce Tututiki”, „Determinacja Fithowéo” i „Wigor Bliźniaczek” zmieniły pozycje, żeby uzupełnić braki w formacji. Ponownie załadowano kusze i wystrzelono belty, po czym dwie kolejne garinafiny zostały rozerwane na strzępy.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że formacja stała się teraz mniej onieśmielająca i znalazłoby się w niej kilka słabych punktów.

Tanvanaki bez wahania przystąpiła do wykorzystania tych świeżo odkrytych słabości cesarskich sterowców. Rozkazała garinafinom, które dotychczas skupiały się na masakrowaniu załogi „Ducha Kijego”, powrócić na pozycje i zaatakować szponami, zanim lotniczki zdążą przeładować kusze. Nadszedł moment na ostatnią niespodziankę marszałek.

– Formacja śliwki! Odkryć linie wzroku – zawołała. – Szokerzy, szykujcie się do akcji.

Załogi sterowców, chwilowo wytrącone z równowagi przez stratę „Ducha Kijego”, musiały się otrząsnąć i wykonać polecenie. Czym prędzej przystąpiono do zmiany pozycji kul balastowych.

Ustawione pionowo „Jedwabiąca Strzała” i „Zemsta Mojego” zrównały się wysokością z „Sercem Tututiki”, „Determinacją Fithowéo” i „Wigorem Bliźniaczek”. Wszystkie pięć sterowców obróciło się grzbietami do siebie, niczym pięciu szermierzy szykujących się do odparcia ataku wroga nadchodzącego ze wszystkich stron.

Kiedy garinafiny się zbliżyły, cienkie jedwabne powłoki pokrywające sterowce rozcięto i zsunięto się z bambusowych szkieletów; powiewały teraz pod formacją jak ogony latawców. Pozbawione usztywnienia szkielety zaczęły się wyginać i chwiać, jakby mogły rozpaść się w każdej chwili.

„W co oni sobie pogrywają?”, zastanawiała się Tanvanaki. Raz jeszcze nakazała Korwie trzymać się z boku, a pozostałym garinafinom – zbliżyć się do falujących szkieletów, które wyglądały teraz jak klatki dla ptaków po brzegi wypełnione jajkami. Delikatne worki z gazem otaczały fragmenty garinafiniej skóry, zdartej z przechwyconych zwłok bestii.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Tanvanaki lotnicy zaniechali ładowania olbrzymich kusz. Zamiast tego wycofali się do wnętrza przypominających klatki kadłubów, gdzie pracując w małych grupach, składali bambusowe segmenty w długie, mierzące piętnaście metrów lance pokryte brązem. Następnie podzielili się

na dwie kolumny, podnieśli lance zapierając się między dwiema częściami konstrukcji kadłuba. Dwie lance skierowano w przód i dwie w tył.

Zamierzali odeprzeć atak garinafin jak piechota ustawiająca piki przeciwko kawalerii, z tą tylko różnicą, że jeźdźcy, z którymi przyszło im się zmierzyć, mieli wierzchowce kilka razy większe od słoni. Był to desperacki krok, z góry skazany na porażkę.

Skrzydła garinafin załopotaly i bestie rzuciły się ku formacji, rozcapierzając szpony.

Żołnierze na sterowcach zaparli się jeszcze mocniej. Ich twarze przybrały wyraz zupełnej powagi.

Lada moment powietrzna bitwa miała się przerodzić w prymitywne zawody na siłę, niczym w legendarnych potyczkach herosów.

Gin Mazoti popatrzyła na cienkie srebrzyste druciki przyczepione do obitych brązem wierzchołków lanc i zdawało jej się, że słyszy cichy szum siły buzującej pod jej stopami.

Pierwsza z garinafin pojawiła się przed frontem statku i rozcapierzyła szpony, by rozerwać delikatny szkielec „Jedwabiącej Strzały”.

– Zespól Kany, wystąp! – zawołała Mazoti.

Ze zbiorowym stęknieniem grupa trzymająca lance wzdłuż lewej burty ruszyła do przodu, wysuwając je przez otwór w kratownicy kadłuba i kierując w stronę klatki piersiowej garinafiny.

Skrzydłata bestia była na to przygotowana. Z łatwością i gracją złapała czubek lancy i odepchnęła ją na bok. Chociaż jej paszczę nadal blokowały bambusowe kolczatki, zdawała się mrużyć ślepią w okrutnym uśmiechu. Długa lanca dzierzona przez mizernych ludzi nie mogła się równać sile i szybkości garinafiny.

– Zespól Rapy, wystąp! – zawołała Mazoti.

Teraz kolumna po prawej przystąpiła do ataku, wysuwając swoją lancę w stronę garinafiny.

Zwierzę z pogardą złapało lancę drugą łapą. Ten cios było w stanie odeprzeć z taką samą łatwością. Ponadto, złapawszy w szpony obie lance, mogło wyszarpnąć je ze statku razem z trzymającymi je ludźmi, i cisnąć do morza niczym patyk obleziony przez mrówki.

Zwieńczona pazurami łapa oplótła czubek lancy.

Nagle garinafiną wstrząsnęło. Jakaś niewidzialna siła przepłynęła przez jej członki i całym potężnym cielskiem szarpnęły konwulsje. Jeźdźcy poczuli to samo: było to niemożliwe do opisanego wrażenie, jakby przebił ich jakiś gigantyczny szpikulec i z miejsca zmroził im wszystkie mięśnie.

Czas znów zwolnił.

Garinafina próbowała puścić lance, lecz odkryła, że nie może. Jej łapy przestały słuchać poleceń. Energia przetaczająca się przez ciało zwierzęcia zdawała się rosnąć, jakby milion rozżarzonych do czerwoności lanc wbiło się w jego tułów i wwiercało się głębiej.

Błyskawice skakały po całym ciele garinafiny, więżąc ją w sieci iskier. Ich

blask był tak silny, że załoga sterowca musiała zamknąć oczy i w duchu liczyć, że siła jedwabiąca zdoła zabić ogromną bestię.

Na skórze zwierzęcia pojawiły się plamy spalenizny – najpierw na nogach, po chwili na całym tułowi. W niebo wzniósł się czarny dym. Garinafina wiła się w konwulsjach, niczym marionetka, która znalazła się we władaniu niepojętej dla niej siły.

Wreszcie, z głośnym trzaśnięciem, szpony bestii rozwarły się, uwalniając ją od lanc. Pozbawione życia ciało unosiło się jeszcze przez sekundę, po czym spadło prosto w odmęty morza. Gdy uderzyło w powierzchnię wody, wciąż przeskakiwały po nim iskry siły jedwabiącej. Wysoka fala zakołysała „Dumą Ukyu”, mocząc jej załogę od stóp do głów.

Rozdział sześćdziesiąty Bitwa w zatoce Zathin, część II

Góry Damu: kilka miesięcy przed rozpoczęciem bitwy w zatoce Zathin

Wzniesienie było coraz bardziej strome i Zomi Kidosu przystanąła wspierając się na lasce.

– Potrzebujesz chwili przerwy? – zapytała troskliwie księżniczka Théra. Wyciągnęła rękę, żeby podtrzymać towarzyszkę.

Zomi próbowała zapanować nad oddechem.

– Po prostu nie jestem przyzwyczajona do wychodzenia w tak długą trasę bez uprząży. Nic mi nie będzie. – Ścisnęła dłoń Théry i pocałowała ją w policzek.

Po kilku tygodniach terapii siłą jedwabiącą Zomi potrafiła przez większość czasu poruszać się bez uprząży, a na bardziej wymagające spacerów w górach zabierała laskę. Czula, że z każdym dniem ćwiczeń jej noga staje się silniejsza.

Księżniczka Théra spojrzała w niebo. Ze wschodu szybko nadpływały ciemne chmury. Niedobrze.

– Może spróbujemy kiedy indziej.

Zomi pokręciła głową.

– Musimy dotrzeć na otwartą przestrzeń, zanim zaczną padać. Mną się nie przejmuj.

Wspinały się już od wielu godzin. Zrezygnowały z towarzystwa świty, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a każda niosła dużą płócienną torbę wypełnioną sprzętem do eksperymentów. Dokoła nie było żywej duszy. Myśliwi i zbieracze drewna już dawno zesli, żeby uciec przed deszczem – nagle letnie burze były częstym zjawiskiem w górach Damu i nie zamierzali dać się złapać jednej z nich. Zalegające na ścieżkach pozostałości po burzowych powodziach czy pnie rozłupane przez pioruny służyły za wystarczające znaki ostrzegawcze.

Jednak właśnie ze względu na błyskawice się tu znalazły.



Badania nad wykorzystaniem siły jedwabiącej jako broni trwały już od miesięcy i u wszystkich zaangażowanych w nie osób rosła frustracja. Mimo ogromnych wysiłków Mizy Cruna i Atharo Ye dotychczas inżynierowie zdołali zaprojektować jedynie wybuchające strzały wykorzystujące jedwabiącą iskrę jako czynnik zapalający.

Wiele innych obszarów badań nie przyniosło konkretnych wyników. Próbowano skonstruować mocniejszy miotacz ognia, lecz szybko porzucono ten pomysł, ponieważ otwarty ogień był zwyczajnie zbyt niebezpieczny w pobliżu worków z łatwopalnym gazem. Zaintrygowany ognistymi tubami Adüanów Atharo

sprawdził, czy dałoby się stworzyć na jego bazie broń podobną do strzał. Jednak będące rezultatem jego badań belty inspirowane nie słoikami Ogé, lecz ognistymi tubami Adüanów w roli czynnika zapalającego, okazały się pozbawione jakichkolwiek dodatkowych zalet, których nie miały strzały – właściwie były nawet gorsze, ponieważ nie miały możliwości paraliżowania ofiary.

– Siła jedwabiąca, siła jedwabiąca... – mrucał pod nosem Miza Crun. – Jestem pewien, że to dobry kierunek.

Niezmiernie irytował go fakt, że słoik Ogé naładowany przez ogromny generator mógł dać wstrząs zdolny zabić małego kurczaka. Pracując dzień i noc, Miza próbował wycisnąć więcej mocy ze swojego sprzętu służącego leczeniu i rozrywce, tak by przeobrazić go w śmiertcionośną broń.

Z początku wydawało się oczywiste, że należy zbudować większe słoiki Ogé, zdolne przechować więcej siły jedwabiącej. Po długich i żmudnych eksperymentach okazało się, że zwiększenie pojemności słoika można osiągnąć poprzez uczynienie go jak najcieńszym, przy jednoczesnym zachowaniu możliwie największej powierzchni przewodzącej. Jednak wytwarzanie dużych słoików o cienkich ściankach ze szkła albo porcelany okazało się niepraktyczne: były zbyt kruche. Zwierzchnik cesarskich laboratoriów, Kita Thu, podrzucił Mizie pewien pomysł.

– Trudno wybudować jedną dużą salę z obracającą się kopułą – powiedział. – Znacznie łatwiej wybudować wiele małych, połączonych ze sobą pomieszczeń z niewielkimi kopułami. Ogólna pojemność obu jest taka sama. Czy tej samej zasady nie da się zastosować w przypadku słoików Ogé i magazynowania siły jedwabiącej?

Miza Crun przeklinał się w duchu – dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Łączenie wielu słoików Ogé, by zebrać zmagazynowaną przez nie siłę jedwabiącą, było przecież sztuczką już mu znaną. Kiedy łączył ze sobą słoiki koniec do końca, moc iskry w chwili rozładowania była większa – a dokładniej: mogła przeskoczyć na większą odległość między dwoma prętami przewodzącymi, przymocowanymi do wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni słoików. Kiedy jednak łączył słoiki, tak że stykały się bokami – na przykład poprzez umieszczenie ich wszystkich na srebrnej tacy i połączenie drucików przyczepionych do wewnętrznej powierzchni przewodzącej w jedną wiązkę – stworzony w ten sposób rezerwuar generował większą iskrę, która jednak nie mogła przeskoczyć dużej szpary. Innymi słowy, słoiki połączone równolegle zdawały się generować więcej siły jedwabiącej, lecz o niższej mocy.

Duży rezerwuar słoików Ogé mógłby wygenerować wystarczająco mocny wstrząs, by zabić jagnię albo owcę, chociaż przewodzące pręty musiałyby być trzymane w ten sposób, by strumień siły jedwabiącej przepływał przez samo serce zwierzęcia. Przy odpowiedniej liczbie słoików Ogé dałoby się, teoretycznie, zabić także garinafinę.

Jednak obliczenia Kity i Zomi szybko wykazały, że potrzebnej do tego liczby słoików nie dałoby się przewieźć na pokładzie sterowca. Poza tym nawet gdyby powstał taki zbiór słoików, naładowanie ich za pomocą pojedynczego generatora zajęłoby wieki. I tak generator musiano obsługiwać bez przerwy, żeby wytworzyć

sensowny zapas strzał.

Potrzebowali źródła siły jedwabiącej, które byłoby dostatecznie mocne, by zabić garinafinę pojedynczym wstrząsem, oraz rezerwuaru zdolnego do przechowania takiego ładunku, jednocześnie nie tak kruchego i niezajmującego tyle miejsca co słoiki Ogé.

Gdy badacze byli już o krok od poddania się, przypadkowy eksperyment z Zomi Kidosu otworzył im oczy na niespodziewaną drogę. Miza Crun zasugerował, by Zomi wykąpała lewą nogę w sile jedwabiącej, aby sprawdzić, czy cudowna energia zdoła wlać w nią więcej życia. W przeszłości udawało mu się w ten sposób przynosić ulgę façańskim weteranom Wojny Chryzantemy z Mleczem, cierpiącym na bóle fantomowe, osiągał też bardzo dobre rezultaty w leczeniu paraliżu i uszkodzonych nerwów. Skoro siła potrafiła sprawić, że martwa żaba wierzgała nóżkami, czy nie mogła pomóc także Zomi? Uczona zgodziła się na terapię. Siedząc na desce położonej na bloku żywicy – stanowiącej doskonałą izolację – pozwoliła, by Miza przeciągnął srebrną laskę podłączoną za pomocą drucika do szeregu słoików Ogé po skórze jej lewej nogi, kąpiąc mięśnie i nerwy długo pozbawione czucia w strumieniach siły jedwabiącej, aby na powrót wlać w nie życie.

Zomi po raz pierwszy mogła doświadczyć mocy siły jedwabiącej na sobie. Poczula, że włosy stają jej dęba, a jej ciało wypełnia niewidzialna siła. Wokół niej zatańczyły strzępki papieru i drobiny kurzu.

– Przytrzymaj się podłokietników – polecił Miza Crun. – To trochę zaboli. Do przeciwległej powierzchni słoików Ogé Miza przytknął kolejną srebrną laskę przewodzącą, po czym, trzymając ją w jadeitowych rękawiczkach, dotknął nią nogi Zomi. Dziewczyna poczuła pierwsze uderzenie mocy.

Niewidzialny strumień przepłynął przez jej ciało, parząc ją i dogłębnie nią wstrząsając. Uczucie towarzyszące porażeniu siłą jedwabiącą przypominało jej doświadczenie sprzed dwudziestu lat, gdy uderzył w nią piorun, powodując częściowy paraliż.

Badacze niejednokrotnie rozmawiali na temat podobieństw między iskrami generowanymi przez sprzęt jedwabiący i piorunami, lecz do tej pory nikt nie potrafił z przekonaniem powiedzieć, że są one ze sobą tożsame. Jednak Zomi, jako jedna z niewielu osób, które zdołały przeżyć trafienie piorunem, mogła bez cienia wątpliwości potwierdzić, że błyskawice były siłą jedwabiącą w rękach bogów.



Ciężkie, ciemne chmury wisiały tak nisko, że wydawały się na wyciągnięcie ręki. Na wysoko położonej górskiej polanie Zomi i Théra przystąpiły do pracy.

Umieściły na ziemi dwa kołowroty połączone ze sobą za pomocą jedwabnego pasa. Do pierwszej przywiązany był duży latawiec wykonany z jedwabiu naciągniętego na bambusowy szkielet, z brzegami otoczonymi cienkimi żelaznymi blaszkami służącymi ściąganiu ładunku. Sznur latawca był zrobiony z pasków jedwabiu skręconego razem ze srebrnym drutem. Na samym końcu drutu wisiał

żelazny łańcuch połączony z dużym słojem Ogé.

Zomi i Théra stanęły w pewnym oddaleniu z drugim kołowrotem, dzięki któremu mogły kontrolować lot latawca. Nie spuszczając wzroku z chmur, rozwinęły więcej sznurka, żeby latawiec wzniósł się wyżej.

– Panie Kiji – modliła się gorąco Théra. – Proszę, użycz nam trochę swojej siły.

Zupełnie jakby w odpowiedzi na jej prośbę, głęboko w chmurach rozbłysły pioruny. Nie dało się jednak ocenić, czy Kiji się zgadza czy nie.

Niebo przyciemniało, jakby ktoś zgasił słońce. Świat nagle wydał się mniejszy, a niebo i ziemia napały na siebie. Samo powietrze zdawało się naładowane niewidzialną energią. Zaczęło padać. Théra i Zomi kulili się pod niskim, płaskim baldachimem. Dźwięk, z jakim ciężkie krople uderzały o niego, przypominał syczenie oleju na rozgrzanej patelni. Sznur latawca namókł i osiadł.

W chmurach pojawiły się kolejne rozbłyski.

Żelazny łańcuch zwisający z latawca zaczął trzaskać i iskrzyć. Jedna po drugiej, iskry wpadały do słoika Ogé.

– To prawda!

– Patrz!

Z lasu wyłonił się duży jelen. Poruszał się z gracją, jakby deszcz w ogóle go nie obchodził.

Popatrzył z wyższością na obie kobiety, po czym podszedł do słoika Ogé, wciąż iskrzącego od energii pioruna.

Zomi i Théra wiedziały, że są świadkami czegoś niezwykłego, więc milczały.

Jeleń zatrzymał się przy słoiku, postawił stopę na zewnętrznej powierzchni, a potem pochylił się, żeby powąchać trzeszczący łańcuch.

Ogromna, prawie półmetrowa błyskawica skoczyła z górnej części słoika i trafiła jelenia w głowę. Powstała iskra przypominała ognisty kwiat, pajęczynę utkaną ze świetlistego eteru, rozgałęzioną rzekę wypełnioną gwiazdną materią. Zomi i Théra zacisnęły powieki. Blask był jaśniejszy, niż gdyby rozbłysło tysiąc słońc, a żaden śmiertelnik nie może patrzeć na boski majestat i przy tym nie oślepnąć.

Kiedy znowu otworzyły oczy, jelenia nie było i tylko dymiąca kupka popiołu obok słoika Ogé przekonała je, że nie śniły.

– Dziękujemy, Panie Fithowéo – szepnęły, wiedząc, że to był znak.

Udało im się złapać w słoik błyskawicę, uwięzić boską moc. Padły sobie w ramiona, śmiejąc się, całując, paplając bez ładu i składu. Chociaż przemokły i przemarzły, rozgrzewała je niepohamowana radość. Padły na ziemię, tuląc się do siebie i rozbierając się nawzajem w rześnym deszczu. Moc, która jeszcze chwilę wcześniej rozświetliła niebo, zdawała się spalać w płomieniach namiętności kochanek.

Między niebem a ziemią nie istniał właściwszy ołtarz miłości niż tamta górską łąka.

Ginpen: kilka miesięcy przed bitwą w zatoce Zathin

Teraz, gdy mieli już źródło energii, potrzebowali rezerwuaru: wystarczająco dużego, by ją zmagazynować, a jednocześnie dość małego, by dało się go załadować na sterowiec.

Uczeni z Ginpen i Pan pracowali dniami i nocami, klóćąc się, dyskutując, szkicując plany i eksperymentując z nowymi materiałami. Z każdego laboratorium do marszałek napływały fantastyczne idee i sugestie, lecz żadna z nich nie nadawała się do zastosowania w praktyce.

Ostatecznie odpowiedź nadeszła z najwyższych i najniższych miejsc jednocześnie.

Ponieważ cesarzowa Jia udostępniła praktycznie całą zawartość cesarskiego skarbcza na potrzeby prac badawczych, nie dało się uniknąć korupcji. Dwóch służących pałacowych przyłapano na wywożeniu kosztowności na prywatny użytek.

Ich metoda kradzieży była jednocześnie innowacyjna i stara jak świat. Aby zredukować liczbę podobnych przypadków, służący wchodzący do skarbcza musieli zakładać specjalne szaty pozbawione długich rękawów i fałd, w których można by schować klejnoty. Otrzymywali cienkie drewniane tace, w których brakowało miejsca na ukryte przegródki. Chodziło o to, by w obliczu gór pereł i wież z grudek złota nikt nie pokusił się o zagarnięcie tego i owego dla siebie.

Jednak wszędzie, gdzie były kosztowności, siłą rzeczy dochodziło do kradzieży. *Datralu gacruca ça crunpén ki fithéücadipu ki lodü ingro ça néficaü*, czyli „żadna ryba nie przeżyłaby w idealnie czystej wodzie”.

Dwóch służących zdało sobie sprawę, że chociaż w ich ubraniach nie ma żadnych kieszeni, wciąż dysponują swego rodzaju schowkami. Przed rozpoczęciem służby w pałacu obaj pracowali jako rzeźnicy i wiedzieli doskonale, jak rozciągliwe są zwierzęce wnętrzności i jak wiele może się w nich zmieścić.

I w ten oto sposób, ćwicząc z kulkami i monetami, a nawet kurzymi jajami, mężczyźni nauczyli się sztuki wkładania różnych przedmiotów przez odbyt i przytrzymywania ich w jelicie grubym przez długie godziny, jakie mijały do czasu, kiedy mogliby je bezpiecznie wydobyć. Dzięki temu ukradli wiele pereł i grudek złota, a nawet należącego do cesarzowej misternie oszlifowanego jadeitu.

Złapano ich wreszcie, jak większość złodziei, ponieważ nie znali umiaru. Jeden z nich zwyczajnie wepchnął w siebie zbyt wiele, a ponieważ poprzedniego wieczoru lekkomyślnie najadł się duszonej kapusty, zdradził swój sekret w sposób nader wybuchowy, nie zdążwszy dobiec do toalety. Skandal ten zainspirował Mizę Cruna i Kite Thu.

Słoik Ogé zasadniczo składał się z dwóch warstw materiału przewodzącego oddzielonych cienką warstwą materiału nieprzewodzącego. Mógł mieć kształt słoika, tacy, główki – czegokolwiek.

Na przykład długiej, elastycznej tuby, którą można by skręcać i składać tak, by zajmowała jak najmniej miejsca.

Badacze na powrót skupili uwagę na garinafinich truchłach. W ciele każdej skrzydlatej bestii znajdowały się całe kilometry jelit, zwiniętych i upakowanych w relatywnie niewielkiej przestrzeni. Ich wewnętrzna i zewnętrzna powierzchnia

tych wnętrzności tworzyła, zgodnie z wyliczeniami Kity Thu, rezerwuar wystarczająco duży, by zmagazynować śmiertelną dla zwierzęcia dawkę siły jedwabiącej. Lecz w jaki sposób pokryć kilometry garinafinich jelit odpowiednim materiałem przewodzącym, najlepiej złotem?

Odpowiedź ponownie przybyła z półświatka. Dalekowiedze Rina Cody mieli dużo powiązań z czarnym rynkiem i wkrótce do Ginpen sprowadzono najlepszych fałszerzy Dary, by współpracowali z badaczami.

Widok obu tych grup w jednym miejscu był niesłychany – z jednej strony słynni naukowcy w jedwabnych szatach, zadumani nad arkanami matematyki i praw natury, przygarbieni po latach pochylania się nad zwojami, tabliczkami i kodeksami, co rusz wtrącający do rozmowy aforyzmy z dzieł klasyków. Z drugiej zaś posługujący się złodziejską gwarą fałszerze w fartuchach, z głowami pełnymi myśli o zysku i sposobach oszukiwania, z rękoma i twarzami poznaczonymi bliznami po latach pracy z żarem, kwasem i farbą, poświęconych na upodabnianie zwyczajnych materiałów do kosztowności. W normalnych warunkach przedstawiciele tych dwóch grup nie napiliby się ze sobą nawet herbaty, nie wspominając o rozmowie.

Jednak w czasie wojny posiadanie wiedzy mogło się łączyć z niespodziewanymi znajomościami. Nie minęło wiele czasu i wszelkie bariery zostały pokonane. Jedni i drudzy odkryli, że są pokrewnymi duszami zafascynowanymi zdobywaniem nowych informacji, a różniły ich jedynie pola zainteresowań. Uzupełniali się nawzajem, niczym dwa rodzaje siły jedwabiącej. Kiedy pozwolono im wspólnie działać, narodził się geniusz.

– Jestem pewien, że gdybyście się urodzili w rodzinach z tradycjami i mieli pośród przodków uczonych, wszyscy zdobylibyście rangę *firoa* – powiedział Atharo Ye, wznosząc toast w trakcie wieczornego przyjęcia.

Kilku złodziei zaczerwieniło się z wściekłości, ale Gozogi Çade, ich przywódczyni, nakazała im spokój. Była bardzo szanowana w społeczności jako wynalazczyni techniki ozdabiania wykonanych z brązu replik antyków za pomocą przegnilej jedwabnej osnowy, dzięki czemu przypominały one autentyki – metoda ta stała się cenioną i szeroko stosowaną techniką fałszerstwa.

– Jestem pewna, że gdybyś urodził się w jednej z naszych rodzin, Mistrzu Ye – powiedziała Gozogi, również wznosząc czarkę – zostałbyś pomysłowym i zręcznym fałszerzem.

– Naprawdę tak uważacie? – zapytał Atharo Ye, czerwieniąc się z radości. – Wasza działalność to pole szalenie ciekawych wyzwań dla inżyniera! Zastanawiałem się nad pewnym sposobem na uczynienie steatyty podobnym do jadeitu i chciałem, byście podzielili się ze mną swoją opinią.

Złodzieje rozluźnili się, wiedząc, że komplement Atharo był szczery.

– Pewnego dnia powiem wnukom, że konsultowałam się z największym inżynierem w całej Darze – rzekła Gozogi. Po chwili dodała: – Cieszę się, jednak, że masz pracę i nie jesteś dla mnie konkurencją.

Złodzieje i naukowcy zgodnie się roześmieli.

Falszerze, jak można się było spodziewać, doskonale radzili sobie z pozalacaniem różnych materiałów. Potrafiliby zwykłą drewnianą rzeźbę zmienić w kopię cennego artefaktu autorstwa słynnego kowala z Rimy, teraz zaś pracowali dla marszałek, żeby znaleźć sposób na pokrycie wnętrza garinafiny złotem, nie niszcząc przy tym cienkich membran.

Wspólnymi siłami uczeni i falszerze wymyślili satysfakcjonujące rozwiązanie. Na początek pokryli wewnętrzną i zewnętrzną część jelit przez cienką warstwę rtęci. Następnie pozyskali amalgamat złota i rtęci za pomocą podgrzania tej drugiej i wmieszania w nią płatków złota aż do nasycenia. Otrzymaną w ten sposób substancję o konsystencji melasy przecisnęto przez wnętrze jelit i namoczono w nim zewnętrzną stronę, aż obie powierzchnie pokryły się równą warstwą. Potem całość znowu podgrzano, żeby wygotować rtęć i pozostawić cienką i gładką powierzchnię ze złota, pokrywającą obie strony wnętrza.

Jelita pocięto na sześć długich segmentów i zwinięto. Powstały w ten sposób swego rodzaju długie słoiki Ogé o pojemności całego mnóstwa połączonych równolegle słoików, jednak na tyle małe, że dało się je umieścić w ceramicznych kulach balastowych sterowców.

Kiedy zwinięte wnętrza naładowano siłą jedwabiacą z błyskawicy, pokryto je warstwą wosku, żeby dodatkowo je zaizolować i zabezpieczyć zmagazynowaną w nich energię. Można było wbić druciki i połączyć wewnętrzną i zewnętrzną powierzchnię, otrzymując w ten sposób dwie różne postaci siły – Rapa i Kana – a jednocześnie unikając rozładowania aż do chwili, gdy będzie ono pożądane.

Zatoka Zathin: dziesiąty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Scena, jaka rozegrała się na oczach załogi „Jedwabiaczej Strzały”, powtórzyła się przed innymi sterowcami. Garinafiny jedna za drugą spadały z nieba, zabite przez zamagazynowaną energię błyskawicy.

– Rozpocząć pościg – rozkazała Mazoti.

Statki rozdzieliły się i zrównały wysokość. Wyciągnięto wiosła. Teraz to ofiara stała się drapieżnikiem. Sterowce ruszyły w pościg za przerażonymi garinafinami, które nie potrafiły zrozumieć, dlaczego ich przeciwnik nagle stał się tak potężny.



Na pokładzie „Dumy Ukyu” rozbrzmiał kolejny długi, żaloszny dźwięk kościanej trąbki.

Tanvanaki zacisnęła zęby z wściekłości. Zostało jej zaledwie sześć garinafin, co oznaczało, że stracili przewagę liczebną. Na domiar złego bestie nie mogły już ziać ogniem ze względu na obecność kolczatek w paszczach oraz fakt, że zużyły zapasy gazu, zaś jeźdźcy tracili wiarę w sensowność walki. Jakby tego było mało, załogi cesarskich sterowców wznosiły gromkie wiwaty. Stało się jasne, kto był teraz górą.

Jednak obowiązkiem Tanvanaki było słuchać rozkazów *pékyu* i walczyć o przyszłość Lyucu. Musiała znaleźć sposób na odzyskanie przewagi. Przytknęła tubę głosową do szyi Korvy i wydała szybką serię rozkazów, które garinafina przekazała reszcie za pomocą pomruków i ryków.

Pięć skrzydlatych bestii nagle jakby straciło wolę walki i rzuciło się do ucieczki, rozpierzchając się w różne kierunki. Sterowce rozdzieliły się i rozpoczęły pogoń. Zwierzęta wydawały się zmęczone, poruszały się ospale. Załogi statków cieszyły się i przyśpieszyły wiosłowanie, a gdy zbliżyły się do swoich ofiar, wypuściły belty.

O dziwo garinafiny w jakiś sposób za każdym razem umykały przed pociskami. Zmarnowano tym sposobem wiele amunicji. Gin Mazoti rozważała tę sytuację od strony taktycznej. Floty marynarki były niemal gotowe do walki, a niektóre statki Dary już ładowały na katapulty potężne kamienie i obrzucały nimi statki-miasta. Flota Lyucu, nie znając tej maszyny, parła do przodu, licząc na to, że obroni się maszywnością kadłubów. Statki-miasta w porównaniu ze zwykłymi okrętami niczym słonie w zestawieniu ze stadem wilków albo crubeny z ławicą rekinów – nawet jeśli pociski z katapult dosięgały celu, nie powodowały większych zniszczeń.

Marynarka Dary potrzebowała wsparcia z powietrza. Jednak sterowce miały problem z pogonią za garinafinami, a teraz pięć sterowców rozproszyło się i znajdowało daleko od siebie.

– To pułapka! – Gin Mazoti uderzyła dłońmi w rękojęść Na-aroénny. – Wycofać się!

Korva znów ryknęła. Tanvanaki trzymała się z dala od bitwy, żeby móc śledzić rozwój wydarzeń i podejmować taktyczne decyzje. Uśmiechnęła się. Jej plan zadziałał idealnie.

Nagle pięć uciekających garinafin przyśpieszyło, po czym gwałtownie skręciło. Zawróciły i skupiły się na „Sercu Tututiki”.

Tanvanaki zrozumiała, że kiedy sterowce leciały w formacji, mogły chronić się nawzajem za pomocą jedwabiących lancy. Poprzez markowanie ucieczki zdołała je od siebie oderwać, a teraz mogła skoncentrować wszystkie siły na jednym sterowcu i dzięki temu odzyskać przewagę liczebną.

Kiedy pięć garinafin przypuściło jednoczesny atak, lotniczki na pokładzie „Serca Tututiki” zawahały się, nie wiedząc, gdzie skierować jedwabiące lance. Szkielet sterowca wyginał się pod naporem monstrualnych zwierząt, niektóre elementy trzaskały jak zapalki. Wielu członków załogi spadło do bezlitosnego morza, a ich żalosne krzyki długo rozbrzmiewały w uszach towarzyszy.

Skrzydlate bestie rozdarły wystarczająco dużo worków z gazem, żeby „Serce Tututiki” zaczęło tracić wysokość. Tanvanaki przywołała zwierzęta i kazała im skupić się na innym statku. Kiedy spanikowana załoga opadającego „Serca Tututiki” rzuciła się do ratowania swojego sterowca, w chaosie lance zbliżyły się do siebie i między ich czubkami przeskoczyła iskra.

Jeden z nieszczelnych worków z gazem stanął w płomieniach i nastąpiła

eksplozja. Ogarnięty pożogą statek powoli spadł do morza. Nie ocalał absolutnie nikt.

– Naładować szkielec! – zawołała Gin Mazoti, kiedy cztery pozostałe sterowce raz jeszcze zbily się, tworząc zwartą formację. Serce łomotało jej z żalu i wściekłości. Równocześnie wiedziała, że mimo wielu godzin ćwiczeń przez chaotyczne warunki panujące w czasie bitwy oraz brak doświadczenia z bronią załoga nie zawsze właściwie odpowiada na zagrożenie.

Ponieważ znaczną część szkieletów sterowców wykonano z bambusa wzmocnionego stalą, możliwe było naładowanie siłą jedwabiacą całej ramy. Gdy tylko któraś z garinafin chwyciła pazurami jedną z obręczy podtrzymujących statek, załoga przytykała lance do szkieletu. Zwierzę doświadczało wtedy silnego wstrząsu, który zabijał je na miejscu.

Tanvanaki wydała kolejne rozkazy i teraz skrzydlate bestie zanurkowały pod sterowce. Ponieważ podłogi gondoli rozsunięto, a załoga stała na platformach mieszczących potężne kusze, Tanvanaki wywnioskowała, że są one wolne od śmiertelności, wobec czego stały się miękkim podbrzuszem podniebnych statków.

Tymczasem Darzanie niespodziewanie zrzucili długie żelazne łańcuchy – wisiały teraz, kołysząc się niczym wypustki fruwej meduzy. Za każdym razem, kiedy para naładowanych łańcuchów dotknęła garinafiny albo jeźdźca, przy akompaniamencie huku głośniego jak uderzenie pioruna przeskakiwały między nimi potężne iskry. Podobnie jak śmiertelne meduzy paraliżowały ofiary swymi mackami, tak i sterowce zabijały garinafiny za sprawą trzaskających lanc i łańcuchów.

Dwie ostatnie skrzydlate bestie wreszcie straciły wolę walki i ignorując polecenia pilotów, uciekły z bitwy, kierując się ku statkom-miastom. *Pékyu* przeklinał i pokrzykiwał w gniewie, a Lyucu uciekali potworom z drogi. Te bowiem, chcąc dostać się na pokład, w amoku siały zniszczenie i miażdżyły przerażonych członków załogi.

Księżniczka Vadyu rozejrzała się z niedowierzaniem. Na morzu kołysały się zwłoki garinafin, które zginęły od uderzeń piorunów, oraz dymiące resztki tych trafionych beltami. Z dwudziestu garinafin towarzyszących oddziałom inwazji jedynie Korva pozostała w powietrzu.

Z kolei Dara wciąż dysponowała czterema sterowcami, które właśnie leciały w kierunku floty statków-miast, zamierzając nieść śmierć Lyucu swoimi jedwabiaczymi mackami.

– Bogowie Dary są dzisiaj po naszej stronie! – wołali jednym głosem.

Nieustraszeni wojownicy Lyucu zebrani na otwartych pokładach wybijali rytm pałkami, jednak stało się jasne, że stracili przewagę.

– Co mamy robić? – pytali Tanvanaki pozostali jeźdźcy. Nigdy wcześniej nie słyszała w ich głosach takiej rozpaczki. Zastanowiła się nad odpowiedzią. Korva wciąż mogła zionąć ogniem, lecz niemożliwe było, aby jedna garinafina pokonała aż cztery cesarskie sterowce, zwłaszcza kiedy wróg dysponował tak śmiertelną

bronią.

Wyjść z wściekłości, kopnęła mocno szyję Korwy i skierowała ją do odległego szanca Ginpen.

– Spalimy to miasto do cna i pokażemy, że Lyucu nie boją się śmierci!



Doru Solofi i Noda Mi stali sami w sterowni „Morskiego Biegacza”, największego statku z floty zebranej z jednostek handlowych, które zmieniono na okręty pomocnicze.

Chociaż obu przywódców nieudanej rebelii przysięgało oddać życie za Darę, zarzekając się, że chcą odzyskać stracony honor, marszałek pozostawała podejrzliwa i nie chciała umieszczać ich bliżej frontu, na bardziej odpowiedzialnych stanowiskach. Zamiast tego przydzielala im jedynie pomniejszych zadania pomocnicze i zawsze wyznaczała kogoś, by baczenie ich pilnował.

Co zaskakujące, Doru i Noda okazali się całkiem dobrze wykonywać swoje obowiązki. Noda korzystał z doświadczenia zdobytego w pracy kwatermistrza dla hegemonu i dbał o to, by transport zapasów dla armii marszałek przebiegał płynnie, zaś Doru zdominował kupców i nakłonił ich do zgłoszenia „na ochotnika” swoich statków na wojnę – Gin podejrzewała, że obaj zdołali też uszczknąć co nieco dla siebie, jednak tego rodzaju postępów nie dało się uniknąć.

Tuż przed bitwą udali się we dwóch do admirała Thana Carucono, żeby poprosić o przydzielenie im dowództwa nad statkami floty pomocniczej.

– Potrzebujesz, panie, kogoś, kto będzie wydawał polecenia cywilom – przekonywał Noda Mi. – Aby się upewnić, że nie spanikują.

– Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, dla dobra Dary! – dodał Doru Solofi.

– Czy nie dowiedliśmy już swojej wartości? – pytał Noda Mi. – Cesarz Ragin zawsze powtarzał, że lojalność rodzi się z zaufania.

– Wszyscy inni, którzy wystąpili przeciwko cesarstwu, zostali ulaskawieni i przydzielono im nowe stanowiska. Nigdy nie zdołamy spojrzeć im w oczy, jeśli nie zostaniemy dowódcami – przekonywał Doru Solofi.

– Prosimy tylko o szansę – dodał Noda Mi. – Niegdyś cesarz Ragin dał nam szansę.

Admirał Than Carucono zastanowił się nad tą prośbą. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Doru i Nodę bardziej interesują zasługi niż prawdziwa walka, w której ryzykowałiby życie, jednak rzeczywiście wszyscy inni dysponujący jakimś doświadczeniem w dowodzeniu domagali się wykorzystania go w walce przeciwko Lyucu, a on naprawdę potrzebował kogoś do zapanowania nad kupcami, by ci nie wchodzili w drogę okrętom wojennym. Przystał na ich propozycję.

Główna flota wypłynęła z portu Ginpen na samym początku bitwy, a statki pomocnicze miały ruszyć za nimi, żeby ratować ocalałych i pomagać w każdy możliwy sposób.

Zgodnie z planem marszałek, gdyby bitwa powietrzna nie poszła pomyślnie, wszystkie jednostki floty Dary miały ruszyć do samobójczej walki z Lyucu i zrobić wszystko, by zniszczyć statki-miasta. Doru Solofi nie spodobała się ta część planu i starał się wypchnąć przed „Morskiego Biegacza” tyle statków, ile tylko zdoła, usprawiedliwiając to stwierdzeniem, że w tej tylnej pozycji mogą razem z Nodą Mi egzekwować dyscyplinę i wylapywać każdego, kto chciałby uciec z bitwy. Kapitanowie pozostałych statków handlowych zdawali się akceptować to wyjaśnienie, raz jeszcze potwierdzając przekonanie Doru Solofiego, że na świecie nie brakuje łatwowiernych idiotów.

Doru westchnął z ulgą, kiedy sytuacja przybrała inny obrót. Teraz, gdy sterowce rozprawiły się z garinafinami, mogły pod wodzą marszałek uderzyć we flotę Lyucu, zaś marynarce Thana Carucono pozostanie rozprawić się z resztkami oporu. Flota pomocnicza być może zasłuży sobie na chwałę jedynie poprzez bierny udział i ewentualnie pozbycie się kilku rozbitków (później rzecz jasna może utrzymywać, że byli szpiegami albo się stawiali). W zasięgu ręki miał łatwe zwycięstwo, a właśnie takie lubił najbardziej.

– Może powinniśmy wypłynąć przed inne statki? – zasugerował Doru. – Jeśli uda nam się zabić chociaż jednego rozbitka Lyucu, będziemy mieli jakiś dowód na potwierdzenie naszych późniejszych przechwałek i może uda nam się zdobyć większe lenna.

Jednak na twarzy Nody Mi malowała się dziwna powaga.

– Satysfakcjonuje cię bycie poślednim arystokratą na Dworze Mlecza do końca twoich dni? Co się stało z twoim marzeniem odzyskania tytułu króla Tiro?

– Nie mamy zbyt wielkiego wyboru – odparł nieśmiało zaszokowany Doru. – Dwór Mlecza jest silny. Nasza rebelia się nie powiodła.

– Ale teraz mamy Lyucu – rzekł Noda. – Wróg mojego wroga to mój przyjaciel.

Doru wciągnął głośno powietrze.

– Jesteś... naprawdę zuchwały. Ale ich tu zaraz nie będzie. Ze wszystkich garinafin została im jedna, a marszałek szybko rozprawi się z flotą.

– Brakuje ci wyobraźni. Zgodnie z moimi szacunkami na Rui powinno wciąż być wiele garinafin. Na pewno właśnie tu płyną wraz z posiłkami.

– Jednak *pékyu* nie zdoła wrócić żywy na Rui.

– Nie, jeśli nikt mu nie pomoże. On nie wie, jak walczyć ze sterowcami marszałek, ale my wiemy.

Kiedy Doru Solofi patrzył na swojego byłego sojusznika w konspiracji, poczuł, że krew zamiera mu w żyłach.

– Co sugerujesz?

– Życie to hazard. – Usta Nody Mi wyciągnęły się w rekinim uśmiechu. – Jeśli Dwór Mlecza wygra dzisiejszą bitwę, będziemy tak nieistotni jak dwóch z tysięcy żołnierzy piechoty, którzy niczym się nie wstawili. Jeśli jednak Lyucu wygrają dzięki naszej pomocy, wyobrażasz sobie, na jaką wdzięczność będziemy mogli liczyć?

Doru Solofi zastanowił się nad tym i zaraz energicznie pokręcił głową.

– Myślę, że dosyć już mam spisków i buntów, Noda. Kuni i tak był wspaniałomyślny, nie wieszając nas po tym, co zrobiliśmy, a twój nowy pomysł wydaje mi się... po prostu szalony. Szczerze mówiąc, będę całkiem zadowolony jako podrzędny arystokrata, za to w jednym kawalku.

– Nie na długo – odparł Noda Mi. Zanim Doru Solofi zdołał zareagować, Noda wyciągnął krótki miecz i wbił ostrze w serce przyjaciela.

Kiedy ciało Doru padło bez życia na podłogę sterowni, Noda wytarł miecz i rzucił cicho:

– Kuni Garu zawsze powtarzał, by robić to, co najbardziej interesujące. W tej kwestii mogę się z nim zgodzić.



Sterowce cesarskie, bijąc rytmicznie opierzonymi wiosłami, zniżyły lot, zbliżając się do statków-miast. Flota Thana Carucono ruszyła na flotę Lyucu z mniejszą prędkością, pozwalając siłom powietrznym wymierzyć pierwszy cios przed ostatecznym rozgromieniem przeciwnika.

Noda Mi dał sygnał flocie pomocniczej, by przyspieszyła i wymieszała się ze statkami wojennymi, a w kilku przypadkach nawet je wyprzedziła. Kapitanowie okrętów popatrzyli na płynących obok nich kupców i zmarszczyli brwi – cóż, najwyraźniej chcieli wykorzystać sytuację i zapracować na późniejsze zaszczyty. Z „Morskiego Biegacza” wysłano do pozostałych statków posłańców w szalupach, by przekazali kapitanom ważne rozkazy Nody Mi. Nie minęło wiele czasu i z pokładów jednostek handlowych wzbiły się w niebo latawce bojowe.

Takiego kroku nikt się raczej nie spodziewał. Latawce bojowe wykorzystywano przede wszystkim do zwiadu, a skoro flotę Lyucu było widać jak na dłoni, tego rodzaju dodatkowe potwierdzenie wydawało się niepotrzebne. Mimo to żaden z kapitanów nie dumał nad tym zbyt wiele.

Załogi sterowców machały do pilotów latawców bojowych, którzy przelatywali w pobliżu. Zwiadowcy odpowiedzieli w ten sam sposób. Morale pośród sił Dary było wysokie tak na niebie, jak i na morzu, zaś wojownicy Lyucu zdawali się już tylko oczekiwać końca.

„Zaraz, czy zwiadowcy trzymali zapalone pochodnie? – zastanawiali się podwładni marszałek Mazoti. – Jakie sygnały zamierzają nimi nadawać?”



Korva krążyła nad budynkami i ulicami Ginpen, zionąc ogniem na młyny, wysokie drewniane wieże, wiekowe sale wykładowe i zwieńczone kopułami laboratoria. Tanvanaki wiedziała, że chowającym się w piwnicach mieszkańcom nie stanie się żadna krzywda, lecz przynajmniej zada cios miastu.

Jeźdźcy na grzbiecie Korwy ściskali proce, wypatrując cywilów, a ponieważ miasto zdawało się całkowicie pozbawione żywych celów, głośno przeklinali ze złości.

Tanvanaki złorzeczyła pod nosem. Czowała się bezsilna. Myślała, że

przynajmniej zdoła odkryć miejsce, w którym kryła się cesarzowa ze swoimi doradcami i tym samym bezpośrednio im zagrozić – być może od początku taką właśnie powinna przyjąć strategię, zamiast obserwować walkę ze sterowcami.

Teraz jednak wydawało się, że nawet ten pomysł jest nietrafiony, ponieważ przywódcy Dary pochowali się jak żółwie w skorupach.

Co robić? Korva nie mogła latać wiecznie, a jeśli flota Lyucu zostałaby zniszczona, Tanvanaki straciłaby możliwość powrotu na Rui. Każdy wybór wydawał się zły.

Wtedy usłyszała za plecami okrzyki – najwyraźniej pozostali jeźdźcy coś wypatrzyli.

Obejrzała się za siebie i serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, kiedy zobaczyła, jak sterowce eksplodują jeden po drugim.



Załogi statków powietrznych były zaabsorbowane flotą Lyucu i wyrządzaniem jak największych szkód swoimi parzącymi łańcuchami. Po naładowaniu lanc siłą zdolną zabić garinafiny zapas energii znajdujący się w kulach balastowych znacznie się skurczył. Wciąż jednak powinno być jej wystarczająco wiele, by zabijać piorunami wojowników Lyucu na pokładach statków-miast.

Zwiadowcy na latawcach niespodziewanie wyciągnęli z kołczanów strzały, podpalili je swoimi pochodniami, po czym wystrzelili pociski w stronę odsłoniętych worków z gazem. Gin Mazoti liczyła na tendencję wroga do wyciągania zbyt pochopnych wniosków z dotychczasowych doświadczeń i polegania na swych mocnych stronach. Jej przewidywania były słuszne – wierząc w niezwyciężoność garinafin, Lyucu nie zadali sobie trudu, by zaadaptować na potrzeby walki rozwiązania stosowane przez Darzan, przez co na grzbietach skrzydlatych bestii nie znalazł się ani jeden łucznik.

Po rozbrojeniu garinafin sterowce zrzuciły jedwabną osłonę pokrywającą kadłuby, żeby lotnicy mogli posłużyć się lancami. Odsłonięcie delikatnych worków z gazem uznano za akceptowalne ryzyko, ponieważ co prawda łucznicy szybko rozprawiliby się ze sterowcami, ale wśród Lyucu nie było łuczników.

Marszałek nie wzięła pod uwagę zdrady ze strony jej własnych oddziałów.

Płonące strzały szybko pokonały dystans dzielący zwiadowców i sterowce i z sykiem wbiły się w worki z gazem.

W ciągu kilku chwil podniebne statki stanęły w płomieniach i zaczęły opadać.

Członkowie załóg krzyczeli i zawodzili, gdy ich ciała zajęły się ogniem, wielu z nich wyskoczyło z wraków. Lyucu zaczęli wiwatować, a *pékyu* Tenryo śmiał się radośnie.

Bogowie rzeczywiście stanęli dzisiaj po ich stronie.

– Zomi! Marszałek Mazoti! – zawołała księżniczka Théra. Strażnicy pałacowi musieli ją przytrzymać, żeby nie wybiegła z jaskini i nie pognęła w stronę morza.

W oddali cesarzowa Jia westchnęła i poleciła sługom przygotować się do

podpalenia drewna zebranego na podium, gdy tylko armia Lyucu ruszy do ataku na pozbawione obrony Ginpen.

– Wszystko stracone – mruknęła.



Gin Mazoti zawyla z gniewu – zwycięstwo właśnie wymknęło się jej z rąk.

W nowych cesarskich sterowcach worki z gazem były zebrane w swego rodzaju grona poprzedzielane przegrodami z garinafiniej skóry – dzięki temu, gdyby pojawił się ogień, pozostawały chronione choć częściowo. Ponieważ zwiadowcy strzelali tylko z jednego miejsca, jedynie worki w tylnej części sterowców stanęły w płomieniach. Podniebne statki znacznie się przechyliły, jednak załoga wciąż miała nad nimi częściową kontrolę.

– Zrzucić kulę balastową – rozkazała Mazoti. Po chwili podłoga się przekrzywiła i marszałek runęła jak długa.

Ceramiczna kula opadła, sterowiec się zakolysał. Teraz co prawda zbliżał się do morza znacznie wolniej, lecz nie zatrzymał się, a co gorsza, stracił źródło siły jedwabiącej.

Pozostałe podniebne statki poszły za przykładem „Jedwabiącej Strzały”.

– Musimy opuścić pokład – powiedział Dafiro Miro, trzymając się dźwigara.

– Jeśli to zrobimy, nie powstrzymamy Lyucu – odparła Gin Mazoti. Spojrzała za siebie i zobaczyła, że flota Dary zachowuje się dziwnie. Noda Mi, wykorzystując fakt, że zajmował się dostarczaniem zapasów dla marynarki, w ciągu ostatnich miesięcy umieścił na statkach oddziałów pomocniczych wielu swoich popleczników. Teraz ludzie ci przejęli znaczącą część jednostek, zabijając zdezorientowanych dowódców, marynarzy i żołnierzy, którzy nie rozumieli, dlaczego ich własne statki celują w siły marszałek.

Oczywiście poplecznicy Nody Mi nie zdołali przejąć kontroli nad wszystkimi jednostkami oddziałów pomocniczych czy okrętami, a Than Carucono robił, co mógł, żeby zachęcić do walki tych wciąż lojalnych kapitanów. Niestety nie wiedział, którym załogom może nadal ufać. Pozbawione centralnego dowództwa statki kręciły się w kółko, a jednostki przejęte przez Nodę systematycznie je okrążały, łamały ich wiosła, taranowały je i żądały kapitulacji.

– Nic już teraz nie zrobimy – powiedział Dafiro. – Jeśli jednak przeżyjemy ten dzień, możemy zebrać armię w górach i wówczas przeciwstawić się Lyucu.

– Szanse na zwycięstwo przy takiej strategii są niewielkie – odparła Gin. – Wojna trwałaby latami i pochłonęłaby wiele ofiar. Nie, musimy zawalczyć o swoje tu i teraz.

Podniosła się z wysiłkiem i choć wokół szalały płomienie, dym gryzł w gardło, a żar sprawiał, że nie widziała niemal niczego, zawołała:

– Żołnierze, jesteście teraz dość blisko powierzchni morza, by ratować się skokiem do wody. Jednak Dara upadnie, jeśli król Lyucu przeżyje, dlatego zamierzam uderzyć sterowcem w statek flagowy *pékyu*. Wystarczająco długo

śluchaliście moich rozkazów. W tej ostatniej drodze nie musicie mi towarzyszyć.

Nikt się nie ruszył. Wszyscy pozostali na swoich stanowiskach.

Gin Mazoti uśmiechnęła się.

– Nigdy nie miałam wątpliwości. Życie każdego z nas to ledwie chwila wytchnienia między kolejnymi burzami rozpętującymi się w wiecznej nieznanej, a w swoich czynach musimy się kierować wewnętrznym kompasem naszej woli, a nie tym, co myślą o nas inni. A jednak teraz, gdy przyszło nam umierać, powinniśmy sprawić, by dzień ten długo opiewano w pieśniach i legendach. Żołnierze, w tym także Dafiro Miro i Gin Mazoti, chwycili wiosła. Rozbrzmiała pieśń, a płonący sterowiec pomknął w kierunku „Dumy Ukyu”.

Cztery Spokojne Morza są tak szerokie jak lata długie.

Dzika gęś leci nad jeziorem, za nią jej głos na wietrze sunie.

Człowiek przemierza świat, a zostaje po nim tylko imię.

Biorąc przykład z „Jedwabiącej Strzały”, każdy z pozostałych cesarskich sterowców obrał kurs na jeden ze statków przeciwnika i resztką sił próbował się nań skierować.

Ogień pozbawił lotniczki włosów, ich ciała pokryły pęcherze. Bambusowo-stalowy szkielet trząskał, pękał, rozpadał się.

Ich głosy stały się donośniejsze i poważniejsze.



Kiedy płonąca „Strzała” zbliżyła się do statku *pékyu*, żar ze sterowca obmył pokład niczym fala tsunami.

Wielu wojowników Lyucu rzuciło się do morza, przekonanych, że jeśli zostaną, wkrótce zginą jeszcze straszniejszą śmiercią. Jednak *pékyu* Tenryo, w helmie z czaszki rocznej garinafyny, stał twardo i trzymał wysoko nad głową swój toporek, Langiaboto. Zupełnie jakby zamierzał samodzielnie stawić czoła rozgrzanej spadającej gwiazdzie.

„Jedwabiąca Strzała” rozbija się o „Dumę Ukyu”. Szkielet sterowca pękł na dwoje. Ogień dotarł do ocalałych worków z gazem i rozległ się huk kolejnych eksplozji, które spopieliły większość załogi sterowca i zakolysały statkiem-miastem jak podczas trzęsienia ziemi. Płonące fragmenty wraku spadały wokół *pékyu* Tenryo i teraz nawet tych kilku wojowników, którzy pozostali przy królu, rozpięchło się na boki.

Gin Mazoti razem z paroma lotniczkami miała dość szczęścia, by znaleźć się w tej części sterowca, która przetrwała wystarczająco długo, by mogły przedostać się na pokład. Zaczęły tarzać się na deskach, żeby zdusić płomień, które ogarnęły ich odzież. Kiedy z wysiłkiem zaczęły się podnosić, *pékyu* Tenryo zaatakował. Wpadł między nie jak wilk w stado owiec, dzierżąc ogromną pałkę bojową. Choć wszędzie

dokoła szalała pożoga, on zdawał się nie czuć rosnącej temperatury czy gęstniejącego dymu. Z każdym ciosem Langiaboto rozłupywał czyjaś czaszkę albo roztrzaskiwał klatkę piersiową.

Gin Mazoti pobiegła z powrotem do płonącej „Strzały” po Na-aroénne. Rozgrzana rękojeść przypiekała jej dłonie, lecz marszałek nie zwracała na to uwagi. Dafiro Miro sięgnął po Kąsiciela, swą pałkę, oraz odziedziczony po bracie miecz, Prostotę. Rzucili sobie ponure spojrzenia i ruszyli na króla Lyucu. Pékyu kilkoma ciosami zdołał pozbyć się pozostałych lotniczek, a potem odwrócił się w stronę Dafiro Miro i Gin Mazoti. Ogień szalał wokół nich, jakby znaleźli się na środku stosu pogrzebowego. Pékyu Tenryo zamachnął się i z całej siły uderzył Langiaboto o pokład. Statek jakby się od tego zatrząsł.

Gin i Dafiro popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

– Walka u twego boku była zaszczytem, pani marszałek – powiedział Dafiro.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Rzucili się na siebie jak trzy crubeny walczące o władzę nad morzem płomieni.



Zomi Kidosu płynęła ku powierzchni ile sił. Wreszcie wynurzyła głowę. Zewsząd otaczały ją płonące wraki sterowców i statków-miast. Wojownicy Lyucu – niektórzy poważnie poparzeni – wyli z bólu, chwytając unoszące się na wodzie kawałki drewna.

Tuż zanim „Zemsta Mojego” rozbiła się o jeden ze statków wroga, Zomi rozkazała załodze zeskoczyć z pokładu. Ponieważ sterowiec celował w zbitą grupę statków, nie było potrzeby kierować nim do samego końca. Nie uważała, by warto było ginąć wyłącznie dla chwały.

Załoga „Zemsty” próbowała utrzymać się na powierzchni, każdy szukał dla siebie ratunku. Zamieszanie we flocie Dary oznaczało, że nie było wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, jednak wszyscy jak jeden mąż starali się trzymać z dala od „Dumy Ukyu”, która mogła teraz zatonać w każdej chwili.

Zomi spojrzała na pokład i zobaczyła pośród płomieni i dymu trzy walczące postaci. W rozpalonym powietrzu zniekształcającym obraz cała scena wyglądała jak żywcem wyjęta z opowieści wędrownych gawędziarzy:

Z lewej strony gniew Dary w trzech osobach,

Z prawej arogancja Ukyu w jednym tylko królu.

Ręka dzierżąca Langiaboto napręza się jak bestia przed atakiem.

Prostota i Kąsiciel stają na baczność, dwóch braci walczących jak jeden.

Na-aroénna i Pogromca Wątpliwości ożywają – jedna legenda służąca drugiej.

Pékyu Tenryo zanosi się śmiechem, dumny, wyje jak zły wilk.

Kapitan Miro wrzeszczy, ryczy jak lojalny bawół.

Miecz marszałek świszcze dziką pieśnią buntowniczego orła.

Błyskawice i gromy, burza i potop,

Żaden żywiol nie może mierzyć się z tymi wojownikami,

Toczącymi zażarty bój o dwa ludy i tysiąc wysp.

Dafiro Miro blokował większość potężnych ciosów *pékyu* Tenryo, a marszałek przypadła do niego i wyprowadzała ciosy, próbując wykorzystać każdą okazję – żadna ze stron nie mogła zyskać wyraźnej przewagi nad drugą. Stało się jednak jasne, że *pékyu* jest silniejszy, a Na-aroénna – zbyt ciężka dla marszałek. Dafiro Miro zachwiał się kilka razy pod mocnymi ciosami, a z Prostoty i Kąsiciela szły iskry. Jak długo jeszcze marszałek i kapitan wytrzymają?

Zomi Kidosu zacisnęła zęby i popłynęła w stronę „Dumy Ukyu”.



Dafiro poruszał się z coraz większym wysiłkiem. Każde uderzenie Langiaboto zdawało się trudniejsze do sparowania. Marszałek była w jeszcze gorszym stanie i ledwo w ogóle mogła podnieść Pogromczynię Wątpliwości. Z kolei *pékyu* Tenryo sprawiał wrażenie, jakby stawał się silniejszy, a każdy jego kolejny zamach płynniejszy. Król Lyucu wydawał się wchłaniać energię z otaczających go płomieni.

– Pamiętasz, jak pokonaliśmy Kindo Maranę? – zapytała Gin Mazoti, z trudem łapiąc oddech.

Dafiro wrócił myślami do ataku z zaskoczenia na Rui z początków Wojny Chryzantemy z Mleczem, kiedy marszałek przydzieliła mu niezwykle niebezpieczną misję.

Uśmiechnął się.

– Oczywiście.

Pékyu Tenryo rzucił się do przodu i z głośnym rykiem zamachnął się Langiaboto, celując w głowę Dafiro. Ten, krzesząc iskry, skrzyżował меч i pałkę, żeby zablokować cios. Zachwiał się do tyłu.

Zamiast iść mu na pomoc, Gin Mazoti pozostała tam, gdzie była, ciężko dysząc. Czubek Na-aroénny spoczął na deskach pokładu. Marszałek nie miała już siły.

– Twoja marszałek to tchórz – rzucił z szerokim uśmiechem *pékyu* Tenryo. – Nie ma odwagi się ze mną zmierzyć. Zmarnowałeś swoje życie, służąc komuś, kto ucieka przed walką.

Dafiro nic nie odpowiedział. W dalszym ciągu blokował ciosy *pékyu*, przy

każdym cofając się o krok. Tracił czucie w rękach. Krew sącząca się z poranionych dłoni sprawiała, że z trudem utrzymywał w nich broń, a Langiaboto z każdym silnym uderzeniem miażdżył mu naczynia krwionośne.

Przy następnym kroku w tył nogi Dafiro odmówiły posłuszeństwa i Tenryo dwoma ciosami zdołał wytrącić mu broń z rąk. Kąsiciel i Prostota poleciały daleko, rysując w powietrzu dwa łuki, i z pluskiem zniknęły w wodzie. *Pékyu* raz jeszcze podniósł swój topór, a żądza krwi wykrzywiła jego usta w dziki grymas.

Dafiro ryknął i skoczył na powitanie ciosu *pékyu*. Kamienne ostrze zatopilo się w jego klatce piersiowej. Kapitan krzyknął donośnie i oplótł przeciwnika rękami i nogami. Krew buchnęła mu z ust, wprost na *pékyu* Tenryo. Upadli obaj na deski. Dafiro znalazł się na górze.

Gin Mazoti rzuciła się do przodu i z głośnym rykiem wbiła Na-aroénnę przez plecy Dafiro Miro i w pierś *pékyu* Tenryo.

Chociaż Dafiro zasłaniał mu widok, *pékyu* wyczuł zbliżający się cios i zdołał nieznacznie przesunąć się w bok. Czubek miecza wbił się w jego klatkę piersiową, lecz nie trafił w serce. Król Lyucu roześmiał się.

– Czyli tak od początku wyglądał twój plan. Poprosiłaś, żeby zginął i tym samym dał ci możliwość przypuszczenia ataku.

– Każdy pionek na planszy można poświęcić, byle wygrać całą grę – odparła Gin.

Krótko po tym, jak została marszałkiem Dasu, wybatożyła Dafiro Miro, żeby mógł zdobyć zaufanie Kindo Marany. Mając to wydarzenie w pamięci, Gin i Dafiro zdołali porozumieć się bez zbędnych słów.

– Szkoda, że jego ofiara na nic się nie zdała. – *Pékyu* Tenryo przesunął martwe ciało Dafiro Miro, tak by mieć dość miejsca, by zgiąć nogi i oprzeć stopy o jego pierś. Gin patrzyła na to z rosnącym przerażeniem i napała na miecz, próbując przyszpilić *pékyu* do pokładu, lecz zwłoki Dafiro nieubłaganie przesuwały się w górę ostrza. Wiedziała, że jeszcze chwila i król Lyucu odepchnie go od siebie razem z nią, a w pojedynku jeden na jednego nie będzie miała żadnych szans.

Podniosła wzrok i pośród dymu i płomieni zobaczyła postać Zomi Kidosu, która trzymała złamane, niczym krótką włócznię, drzewce strzały jedwabiacej, wciąż zakończonej diamentowym grotem. Proch z wnętrza wydostał się na drzewce.

Zomi i Gin popatrzyły sobie w oczy. Ciało Dafiro dokładnie przykrywało *pékyu*, który – wiedziały o tym – za chwilę zdoła się spod niego uwolnić.

Aby zbić słoik Ogé, potrzeba było nieco siły, a tę Zomi zdobyłaby tylko biorąc rozpęd i uderzając prosto w cel. Ciało Dafiro znajdowało się za blisko pokładu.

Gin kiwnęła głową w stronę Zomi. Na jej twarzy malował się spokój. „Każdy pionek można poświęcić”.

Zomi ruszyła do przodu, celując strzałą jak włócznią.

Gin przytrzymała Na-aroénnę jeszcze mocniej, a jej usta ułożyły się w uśmiech.

Diamentowa końcówka grotu wbiła się prosto w odsłonięty brzuch marszałek; najpierw dało się słyszeć jej jęk, a potem cichy odgłos pękającego szkła. Słoik Ogé

uwolnił ładunek siły jedwabiającej.

Marszałek Dary, martwy kapitan strażników pałacowych oraz wielki *pékyu* przestali się poruszać. Jaskrawe błyski zatańczyły po trzech ciałach połączonych Pogromczynią Wątpliwości. Serce *pékyu* stanęło w jednej chwili. Wstrząs szarpnął ciałem Gin, lecz nawet gdy jej członki sztywniały, wciąż trzymała miecz. W końcu siła odrzuciła ją do tyłu.

Choć statkiem mocno kołysało, Zomi przypadła do niej w okamgnieniu. Ułożyła jej głowę na swych kolanach.

– Marszałek Mazoti!

Oczy Gin były otwarte, lecz zdawały się patrzeć gdzieś w dal.

– Czy on... czy on...

– Tak, nie żyje – odparła Zomi.

– Dobrze – rzekła marszałek. Jej powieki powoli opadły.

– Marszałek Mazoti! – Zomi delikatnie zaczęła ją cucić.

Gin, wciąż mając zamknięte oczy, mruknęła:

– Przestań, Szara Łasico, przestań!

Jej głos ucichł, twarz rozluźniła się, członki zwiotczały.

– Marszałek Mazoti! Gin!

Nie było już marszałek Dary.

Zomi trzymała w rękach ciało kobiety, której jak nikomu należał się pogrzeb z honorami. Rozejrzała się. Statki Dary i Lyucu pływały chaotycznie. Walka wciąż trwała, choć pozbawieni dowództwa żołnierze i wojownicy nie mieli pojęcia, jak toczą się losy całej bitwy. Gęsty dym nie pozwalał im dojrzeć, co się dzieje na pokładzie „Dumy Ukyu”.

Duch marszałek może już opuścił jej ciało, lecz wciąż musiała walczyć.

Zomi wyszeptala przeprosiny i zaciągnęła ciało Gin Mazoti na dziób. Połowa statku znajdowała się już pod wodą, a dziób był najwyższym punktem. Młoda uczona oparła ciało o bukszpryt, który ustawiony był niemal pionowo, i mocno ją do niego przywiązała.

Wróciła do poszarpanego baldachimu, pod którym wcześniej ułożono cesarza Ragina, i wyciągnęła stamtąd flagę Dary. Przymocowała ją do drzewca bambusowej strzały, oplótła wokół niej palce, a potem zabezpieczyła paskiem jedwabiu.

W rozpalonym powietrzu dumnie powiewała flaga z wizerunkiem crubena.

Zomi, czolgając się po pokładzie, wydobyła spośród licznych szczątków kilka kawałków bambusa i ścięgien z proc. Wykonała z nich uprząż, zdolną podtrzymać ciało marszałek Mazoti. Przy jednej z połamanych strzał jedwabiających wypatrzyła kilka długości drutu przewodzącego; oplótła nim ręce Gin. Udało jej się znaleźć inne strzały. Wydobyła z nich słoiki Ogé i połączyła je równolegle.

Następnie, starając się pozostać niezauważoną, podniosła druty za pomocą bambusowych tyczek, którymi posługiwała się jak ogromnymi paleczkami. Zdawało jej się, że słyszy ciepły głos swego nauczyciela: „Dwie paleczki do makaronu i ryżu”.

„Druty są jak kluski, prawda?”

Wyszeptala modlitwę do swojego mistrza, by miał ją w opiece, po czym

przytknęła druty do odsłoniętych powierzchni przewodzących słoików Ogé.

Ręce marszałek – zupełnie jak nóżki martwych żab w laboratorium, które zdawały się ożywać dzięki sile jedwabiącej – zaczęły się poruszać, a dzięki elastycznej uprząży wyglądało to, jakby Gin dumnie machała flagą Dary.

Zomi raz za razem przytykała druty do słoików. Wydawało jej się to profanacją, bezczeszczeniem zwłok, jej nozdrza wypełnił smród palącego się ciała. Musiała opanować mdłości i kontynuować, wiedząc, że postępuje właściwie i że marszałek by to zrozumiała.

Podmuch wiatru przegonił dym zbierający się wokół bukszprytu, odkrywając postać dzierzżącej flagę Gin Mazoti. Na jednym ze statków Dary rozległ się pojedynczy głos:

– Marszałek żyje! *Pékyu* zginął! Po chwilo dołączyły do niego kolejne i kolejne, aż w końcu po spienionych falach przetoczyła się potężna fala głosów.

Gin Mazoti, marszałek Dary, raz jeszcze dowodziła armią, choć jej ciało pod wpływem silnych strumieni jedwabiących zaczęło się czernić i dymić.



Kiedy poszarpana flaga powiewała w rękach marszałek Gin Mazoti, w żołnierzy Dary wstąpił nowy duch. W sercach marynarzy nie było już wątpliwości – oto prowadziła ich bogini wojny, która zstąpiła z płonącego podniebnego statku i zabiła przywódcę niegdyś niepokonanych najeźdźców. Wojownicy Lyucu również byli pewni, że to prawda.

Działając w małych grupach, liczących po dwa lub trzy statki, flota Dary natarła na statki-miasta i jednostki pomocnicze, a także zdrajców po dowództwem Nody Mi. Szala znów przechyliła się na jej stronę.



Kiedy Tanvanaki mknęła z powrotem ku „Dumie Ukyu”, zauważyła punkt obserwacyjny na brzegu zatoki. Na szczycie kopca, który wyglądał jak usypany przez człowieka, siedziała samotna postać ubrana w dworską szatę z jasnoczerwonego jedwabiu i przystrojona w kosztowności. „Czyżby cesarzowa Jia?”

Korva była zmęczona i zużyła prawie cały gaz, jednak nie mogły przegapić tej szansy. Tanvanaki zacisnęła zęby i rozkazała wierzchowcowi zmienić kierunek lotu. Albo za chwilę zmieni cesarzową w kupkę popiołu, albo zmusi ją do kapitulacji. Jeszcze nie przegrali tej bitwy.

Korva stanęła dęba tuż przed podwyższeniem, a jej skrzydła wzburzyły powietrze wokół cesarzowej i jej ogniste włosy zatańczyły na wietrze. Ta kobieta musiała być szalona.

– Jesteś cesarzową Jią, uzurpatorką, która rości sobie prawa do tronu Dary? – krzyknęła Tanvanaki z grzbietu garinafiny.

– Istotnie, jestem Jia, regent Dary.

– Poddaj się!

– Albo? – zapytała Jia. Roześmiała się, a jej śmiech brzmiał jak dziki rechot kobiety, która postradala rozum. – Mój mąż nie żyje, a syn stał się niewolnikiem. Nigdy jednak nie ugnę się przed tobą, bo i tak jestem już martwa.

Tanvanaki dostrzegła smużki dymu oplatające podwyższenie i płomień wspinające się po bokach wzniesienia. Zdała sobie sprawę, że ma przed sobą stos pogrzebowy. Tylko dlaczego płonął? Przecież nie była to sprawka Korvy.

„To kolejna sztuczka”, zdała sobie sprawę Tanvanaki. Dlaczego przywódczyni Dary, osoba sprawująca władzę w imieniu młodej cesarzowej, miałaby siedzieć bezbronna za murami Ginpen? Dlaczego regent Dary miałaby się podpalić? Nie było innego logicznego wytłumaczenia jak to, że Tanvanaki wcale nie miała do czynienia z Jią, lecz podstawioną dublerką, która miała zwabić księżniczkę w jakiegoś rodzaju pułapkę.

– Wycofać się! Wycofać się! – krzyknęła do tuby głosowej przytkniętej do podstawy szyi Korvy, wbijając ostrogi w jej grubą skórę.

Korva zawyla i odwróciła się, z wysiłkiem machając skrzydłami, po czym zabrała Tanvanaki i jej załogę z dala od zmyślnej pułapki. Córka *pékyu* Tenryo była pewna, że pod platformą obserwacyjną, wewnątrz kopca, ukryli się przebiegli Darzanie.

Kiedy cesarzowa Jia śmiała się z uciekającej księżniczki, żołnierze wybiegli z kryjówek w krzakach u podstawy kopca i rzucili się do gaszenia płomieni. Koniec końców musieli przekonać Jię, by zeskoczyła na rozpiętą w dole płachtę materiału, jak niegdyś cesarz Mapidéré.



Korva wylądowała na pokładzie jednego z nielicznych ocalałych statków-miast.

Noda Mi kulił się przed skrzydlatą bestią, która próbowała złapać oddech; jej ogromna pierś gwałtownie podnosiła się i opadała, niczym ożywiona góra. W czasie próby spalenia Ginpen garinafina zużyła niemal cały zapas gazu nośnego, ledwo zdołała wrócić w jednym kawalku. Thanowie Lyucu podbiegli sprawdzić, czy Tanvanaki nic się nie stało, a także podzielić się z nią najświeższymi wieściami. Władczym gestem nakazała im milczenie, gdy tylko wskazali na Nodę Mi.

– Księżniczko – powiedział Noda Mi, klękając i dotykając czołem pokładu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Tanvanaki z grzbietu Korvy.

– Woda płynie z góry na dół – odparł Noda Mi – lecz ludzie zawsze próbują wspiąć się wyżej.

Tanvanaki pokiwała głową.

– Nie zapomnimy tego, co zrobiłeś dzisiaj dla Lyucu – powiedziała, po czym zwróciła się do thanów:

– Uratujcie, kogo się da, i szykujcie się do odwrotu.

– Ale cesarskich sterowców już nie ma! – protestował Noda Mi. – A my mamy

więcej statków niż oni.

Tanvanaki pokręciła głową.

– Nawet jeśli uda nam się przebić przez ich flotę, będziemy musieli walczyć z nimi na lądzie bez wsparcia z powietrza.

– Ale ich armia składa się raptem z kilkuset żołnierzy, a Ginpen zostało bez obrony!

– To z pewnością jakaś sztuczka – odparła Tanvanaki. – Poleciałam nad Ginpen i atakowałam Korwę, ale nawet jedna brygada nie wyskoczyła gasić pożaru. To oznacza tylko tyle, że szykują kolejną pułapkę. Nie powtórzę błędów mojego aroganckiego ojca.

Posępny dźwięk kościanej trąbki obwieścił odwrót, a thanowie i wojownicy Lyucu na wszystkich statkach-miastach, przerażeni dokonaniem nieśmiertelnej Gin Mazoti, wykonali polecenie księżniczki bez pytania.

Jeśli Gin Mazoti widziała uciekającą flotę Lyucu z drugiego brzegu Rzeki, Po Której Nic Nie Płynie, z pewnością uśmiechnęła się z radością. Nawet po śmierci jej reputacja ochroniła Darę.

Ginpen płonęło i rzeczywiście było niebronione. A jednak puste miasto wystraszyło nieustraszonych Lyucu.



– Skoro wzywały nas obie strony, czy nie powinniśmy się przyznać, kto interweniował?

Jak zwykle prześmiewczy głos należał do Tazu, a dokładniej – do Pétena-Lutho-Tazu. Pozostali bogowie milczeli.

– Oszczędzę sobie tyrad o obrzydliwej szarańczy, ale wręczenie śmiertelnikom mocy jedwabiącej było odważnym krokiem. Znów: nie doszło do złamania zasad, ale było bardzo blisko.

– Śmiertelni sami odkryli jej sekret, Rufizo i Kiji jedynie wskazali im drogę. Właściwie można powiedzieć, że sam im pomogłeś wiele lat wcześniej, uderzając w Zomi. Mimo to muszę zakwestionować decyzję, by wspierać najgorsze cechy charakteru Nody Mi.

– Skoro mieliśmy przyjmować ofiary Lyucu... Wciąż nie mogę uwierzyć, że zrobili z nas dwie strony tej samej monety i muszę się teraz klócić sam ze sobą.

– Uwierz mi, twoje cierpienie nie jest większe od mojego, chociaż to nawet ma sens. Czasem trudno odróżnić ślepy los od świadomego wyboru.

– Darzanie się zmieniają, bracia i siostry. A Lyucu nigdzie się nie wybierają.

– Śmiertelnicy muszą znaleźć sposób na poradzenie sobie z tą sytuacją, zresztą tak jak my.

– Nienawidzę, kiedy się zgadzamy.

– Nie będę się z tobą spierać w tej kwestii.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Posłaniec z daleka

Gdzieś na morzu między Rui a Wielką Wyspą: dwunasty miesiąc dwunastego roku Rządów Czterech Spokojnych Mórz

Wysoko w powietrzu unosiły się obok siebie dwa małe sterowce pocztowe z szeroko otwartymi drzwiami gondoli.

W jednym siedziała *pékyu* Vadyu, znana też jako Tanvanaki, Władczyni Rui i Dasu, Obrończyni Dary, Konsorta Cesarza Thaké.

W drugim siedziała cesarzowa Jia, regent Dary. Spotkanie w tym właśnie miejscu było pomysłem Tanvanaki. Wysoko ponad powierzchnią morza nie musiała się martwić, że przebiegli Darzanie spróbują zaatakować ją mechanicznym crubenem. Poza tym i ona, i Jia miały dobry punkt obserwacyjny – z daleka widziały, czy na morzu nie zbiera się flota.

– Domagacie się trybutu – powiedziała cesarzowa Jia. Mówiła spokojnym tonem; gambit Lyucu nie był dla niej niespodzianką. *Pékyu* Tenryo zostawił Rui i Dasu w takim stanie, że brakowało im zapasów, by wyżywić ludzi przez zimę.

– Uznaj to za barter, jeśli to w czymś pomoże – odparła *pékyu* Vadyu. – Płacie nam w odzieży i żywności w zamian za to, że nie zmieciemy was z powierzchni ziemi jak szarańczę, którą jesteście.

– To puste pogrożki, zważywszy na fakt, jak poszło wam to ostatnim razem.

– Wciąż mamy ponad dwadzieścia garinafin. A naszą flotę wspomógł Noda Mi, który jest prawdopodobnie jedynym mądrym człowiekiem, jaki ci kiedykolwiek służył. Ostatnim razem okazaliśmy łaskę i wycofaliśmy się w chwili zwycięstwa. Dopisało ci szczęście – naprawdę chcesz go nadużywać?

Jia westchnęła w duchu. Na pierwszy rzut oka w bitwie o zatokę Zathin zdecydowanym zwycięzcą była Dara, a przynajmniej tak próbowali to przedstawić premier Cogo Yelu i konsorta Risana. Wszyscy jednak, którzy mieli szerszy ogląd na sytuację, wiedzieli, że nie było wcale pewne, kto wygrał.

Książę Phyro agitował za wojną i pomszczeniem ojca, ale zarówno Jia, jak i Théra – teraz cesarzowa Üna – wiedziały, że jedyną realistyczną opcją dla Dary jest w tej chwili pokój. To prawda, że Lyucu kończyły się zapasy, lecz Dara była w jeszcze gorszym stanie: straciła wszystkie sterowce, a skarbiec był prawie pusty. Do tego arystokraci i kupcy narzekali, że długa wojna źle wpływa na ich interesy, członkowie Kolegium Adwokatów podkreślali, że walka działa na niekorzyść klasy wykształconych, a uczeni protestowali przeciw będącemu sprzeniewierzeniem tradycji postanowieniu cesarza Ragina, który przekazał władzę kobiecie. Przed wszystkim jednak nie żyła marszałek Gin Mazoti, a w całej Darze nie było równie zdolnego taktyka.

W dodatku nie wszyscy mogli być świadkami wyrażenia ostatniej woli

Kuniego Garu, więc szeptano, że Jia dzierży władzę bezprawnie. Rywalizacja między cesarzową Üną i cesarzem Thaké była przyczyną gorących kłótni i debat między uczonymi i arystokratami, a Jia doskonale wiedziała, że te niby intelektualne dysputy w rzeczywistości były próbami wywarcia na niej i Thérze presji, by nadały przywileje pewnym frakcjom.

„Trudno jest poprowadzić do walki wolnych ludzi – pomyślała Jia. – Zbyt wiele interesów trzeba równoważyć. Zbyt wiele egoistycznych żądań spełnić”.

– Akceptujemy wasze warunki – powiedziała na głos. – Musicie jednak przyrzec, że nie wypowiedziecie Darze wojny przez dziesięć lat.

– Tylko jeśli będziecie utrzymywać z nami stosunki handlowe – odparła *pékyu* Vadyu – a ilość wysyłanych do nas zboża, paszy, złota i jedwabiu będzie się rokrocznie powiększać o jedną dziesiątą.

– To rozbój w biały dzień!

Pékyu Vadyu wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Nasze posiłki przybiją do brzegu za kilka miesięcy. Mogę obiecać, że to najlepsze warunki, jakie dostaniecie. Nie wystawiaj naszej cierpliwości na próbę.

Obok Jii siedziała Zomi Kidosu, teraz nowa sekretarz cesarskich dalekowiedzów.

– Mieszkańcy Rui i Dasu umrą z głodu, jeśli nie wyślemy trybutu, jakiego żądają Lyucu – wyszeptała do ucha cesarzowej. – Dla ich dobra musimy się zgodzić.

Jia westchnęła w duchu. Zomi miała rację. W końcu to częściowo za sprawą wojennej sztuczki z szarańczą Rui i Dasu zostały pozbawione zapasów.

Cesarzowa Üna poleciła Zomi na stanowisko zwolnione przez Rina Codę i zasugerowała, by zwiększono jej zakres obowiązków. Zomi była teraz odpowiedzialna nie tylko za wywiad, ale także za koordynowanie badań prowadzonych w laboratoriach w Ginpen oraz analizowanie tendencji ekonomicznych i politycznych, aby doradzać dworowi w obliczu zbliżających się zagrożeń. Jak ujęła to Théra, Zomi miała stać się „prawdziwym dalekowiedzem”.

Jia niechętnie kiwnęła głową. Nie miała wątpliwości, że Lyucu nie dotrzymają obietnicy o nieagresji, ale i tak musiała przystać na warunki.

– Zgadza się – oznajmiła.

– Twoja doradczyni jest mądrym człowiekiem – powiedziała z uśmiechem *pékyu* Vadyu.

Zomi, zaskoczona tym, że nagle zwrócono na nią bezpośrednią uwagę, wycofała się w głąb gondoli.

– W takim razie nasze spotkanie możemy uznać za zakończone – rzuciła sztywno Jia.

– Jeszcze jedno – dodała *pékyu* Vadyu. – Na znak dobrej woli zostawcie całą biżuterię, którą macie dzisiaj na sobie.

Oczy Jii zapłonęły gniewem.

– Co to za nonsens?

– Uznajcie to za pierwszą ratę – odparła niefrasobliwym tonem Vadyu. – Wciąż muszę przekonać swoich thanów, że pokój leży w naszym interesie.

Podarunek od was znacznie wzmocni siłę moich argumentów.

Zomi i cesarzowa Jia popatrzyły na siebie.

„Interesujące – rzuciła bezgłośnie Zomi. – Być może Tanvanaki wcale nie ma tak silnej pozycji wśród swoich ludzi, jak sądziliśmy”.

Jia pokiwała głową. „To jakiś rytuał poniżenia przeciwnika, a zarazem coś, co wzmocni jej autorytet wśród niezdyscyplinowanych thanów. Możemy na to przystać – i dowiedzieć się więcej na ten temat później, przez naszych szpiegów”.

– Zgodzę się na to bezczelne żądanie – powiedziała. – Nie doszukuj się w tym jednak oznaki słabości.

– Oczywiście, że nie – odparła Tanvanaki. – Uznam to za... podarunek od teściowej.

Zaciskając zęby, cesarzowa odpięła koralowe spinki i wokół jej twarzy spłynęły długie rude kosmyki. Następnie wysunęła z uszu jadeitowe kolczyki i zdjęła naszyjnik z muszelek. Nie zapomniała też o spinkach z dmuchawcami, które nosiła na szacie. Wszystko umieściła na tacy i podała królowej Lyucu.

– Zdradz mi, jako dobra przyjaciółka – powiedziała *pékyu* – skąd każde pochodzi. Chciałabym dobrze opisać je thanom.

Cesarzowa przystała i na to, wyjaśniając pochodzenie i znaczenie całej biżuterii.

– Twoja doradczyni też – rzuciła Tanvanaki. – Chcę wszystko, co ma na sobie.

Zdumiona Zomi mimowolnie dotknęła swego naszyjnika z jagód.

– To pamiątka po moim nauczycielu, Luanie Zyaji, którego zamordowaliście.

– Z czego zrobione są te koraliki? – dopytywała Tanvanaki. – Z koralu?

– Nie, to jagody odkryte przez niego na Wyspie Półksiężycowej, które Luan Zyaji nazwał zomi na moją cześć. Proszę, nie mają żadnej wartości prócz sentymentalnej. Pozwól mi je zachować.

Pékyu Vadyu roześmiała się i pokręciła głową.

– Luan mógłby zostać cenionym członkiem mojej załogi. Szkoda, że nie potrafił właściwie odczytać zapowiedzi zmian, chociaż był taki wykształcony. Naprawdę jesteś gotowa postawić pokój pod znakiem zapytania, bo chcesz zatrzymać dla siebie kilka jagód? Zawsze zostaną ci wspomnienia.

Zomi zeszywniałymi palcami zdjęła naszyjnik i patrzyła, jak cesarzowa podaje je *pékyu*.

– Mój syn jest głupcem, ale o łagodnym sercu. – Cesarzowa nie mogła się powstrzymać od wygłoszenia tej ostatniej uwagi. – Bez względu na to, jakie polityczne gierki planujecie, proszę, bądźcie dla niego dobrzy.

– Żegnaj, cesarzowo Dary.

Drzwi gondoli zamknęły się i sterowce odleciały, każdy w swoją stronę.



Pékyu Vadyu omal nie upadła na podłogę. Spotkanie z cesarzową było dla niej prawdziwym sprawdzianem silnej woli i wiele wysiłku kosztowało ją, by nie skoczyć

na pokład drugiego sterowca i nie zedrzyć z szyi Zomi Kidosu sznura tolyusy. Do tego dziecko kopało ją w brzuch, zapewne w reakcji na jej stres, co powiększało jej dyskomfort.

Tolyusa była rosnącą w Ukyu i Gondé rośliną o ostrym zapachu i smaku przywodzącym na myśl dym, ważną zarówno dla Lyucu, jak i garinafin. Jako silny środek halucynogeny stanowiła istotny element rytuałów religijnych odprawianych na cześć Wszechojca, Wszechmatki oraz ich licznego potomstwa.

Jednak tolyusa przede wszystkim była niezbędnym elementem cyklu reprodukcyjnego garinafin. Samice musiały zjadać duże ilości tolyusy, żeby rodzić zdrowe młode. Ponieważ jagody miały tak silne właściwości halucynogenne, a Lyucu nie chcieli, by garinafiny rodziły dzieci w trakcie długiej podróży do Dary, *pékyu* Tenryo umieścił cały zapas jagód w zamkniętym magazynie. Ten właśnie zapas spalił Luan Zya.

Przez cały czas trwania negocjacji z cesarzową Jią *pékyu* udawała pewną siebie i władczą. Ponieważ byli odcięci od tolyusy, od czasu przybycia na Wyspy garinafiny nie mogły się rozmnażać. Lyucu stopniowo zaczęli tracić kontrolę nad dorosłymi osobnikami i gdyby nowa dostawa nie przybyła szybko, *pékyu* Vadyu byłaby zmuszona zabić część garinafin ze względów bezpieczeństwa.

Teraz jednak bogowie uśmiechnęli się do Lyucu. W Darze znalazła się tolyusa.

Wyspa Półksiężycowa: pierwszy miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Wioska u podnóży wysokich klifów zapadła w sen zimowy.

Képulu i Séji wyszły z chat po zapas śniegu – tak zimą pozyskiwano tu wodę pitną. Od czasu do czasu przystawały, żeby rozejrzeć się po zimowym krajobrazie. Gałęzie wysokich drzew na granicy lasu były oblepione śniegiem i nieco osiadły pod jego ciężarem. Już niemal nie dało się dojrzeć śladów po pożarze, który rozgorzał w tym miejscu kilkanaście lat wcześniej.

Natura szybko dochodzi do siebie.

Uwagę kobiet zwrócił trzepot skrzydeł. Kiedy podniosły wzrok, z chmur wyłoniła się ogromna bestia o długiej szyi, skórzastych skrzydłach, zwieńczonej rogami głowie i zimnych, pozbawionych źrenic oczach. Ruszyła w stronę klifu za osadą. Ku swemu zaskoczeniu Képulu i Séji dojrzały na grzbiecie monstra małe postacie.

Zwierzę przeleciało im nad głowami i zniknęło na szczycie klifu. Kobiety popatrzyły na siebie, rzuciły kosz i pobiegły przez śnieg do wodza Comiego, by powiedzieć mu o tym, co właśnie zobaczyły.

Ekspedycja Lyucu, startując z pokładu statku-miasta znajdującego się na północnym brzegu Wyspy Półksiężycowej, codziennie od kilku tygodni szukała na wyspie tolyusy. Jeźdźcy dosiadający garinafiny zaczęli się niecierpliwić z powodu ciągłych niepowodzeń. Zazwyczaj latali tylko o świcie albo zachodzie słońca, jednak zbliżał się wiosenny sezon polowań, więc zaczęli ryzykować i poszukiwali tolyusy

także w środku dnia. Musieli znaleźć roślinę, zanim pomniejsi arystokraci Dary przypląną na wyspę polować na dziki i uznają wycieczki Lyucu na Wyspę Półksiężycową za akt agresji.

Nagle garinafina szarpnęła i gwałtownie obniżyła lot. Pilot nakazał jej zwolnić, lecz w odpowiedzi bestia wręcz przyśpieszyła. Jeźdźcy nie mieli wyjścia – jedyne, co im pozostało, to trzymać się mocno uprząży, by nie wypaść, choć prędkość przyprawiała ich o zawroty głowy.

Skrzydlate zwierzę wylądowało na leśnej łące na szczycie klifu i zawyło triumfalnie.

Lyucu rozejrzeli się i oniemieli.

Garinafina stała na środku czegoś, co wyglądało jak świeża lawa, która stopiła grubą warstwę śniegu. Silny zapach ognia i dymu tylko wzmacniał to wrażenie. Jednak wystarczyło przyjrzeć się bliżej, by się przekonać, że tę „lawę” tworzył dywan roślin o liściach, lodyżkach i kwiatach w kolorze soczystej czerwieni. Tolyusa była odporną na mróz rośliną, która kwitła zimą i dawała jagody na wiosnę.

Lyucu zeszli z garinafiny, padli na kolana i rozplakali się ze szczęścia. W sercu zimy znaleźli nadzieję na odrodzenie.

– Wszechojciec nas chroni!

– Wysławiajmy bogów tej nowej ziemi!

Wiele lat wcześniej, w czasach, kiedy *pékyu* Tenryo wysyłał do Dary swoje ekspedycje badawcze, jeden ze statków próbował przebić się przez Ścianę Burz. Został z niego wrak, ale znajdujący się na pokładzie zapas tolyusy, która miała służyć do porozumiewania się z bogami w czasie długiej podróży, przetrwał i został wyrzucony na brzeg, a następnie, przeniesiony w trzewiach ptaków i innych zwierząt, trafił tutaj. Tolyusa zadomowiła się na najmniej gościnnej wulkanicznej skale całej Dary.

Gdzieś na morzu niedaleko Nokidy: pierwszy miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Na wschód od Nokidy Flota małych łodzi z półwyspu Itanti okrążyła wieloryba kopułowego.

Był Rok Wieloryba, a zimą tradycyjnie przypadał sezon połowów.

Te ogromne ssaki, obrószszy w tłuszcz, migrowały ku południowym oceanom, żeby się rozmnażać. Po drodze mijaly Wilczą Łapę, Tunoę oraz najdalej na południe wysuniętą część Wielkiej Wyspy. Rybacy, którzy mieli dość odwagi, żeby chwycić harpun i dołączyć do wielorybników, mogli cieszyć się udziałem w wysokich zyskach ze sprzedaży tłuszczu, mięsa i kości. Każdy z tych surowców był w Darze cennym towarem.

Wioślarze na wąskich łodziach o długości około sześciu metrów pracowali w zgodnym rytmie i dzięki temu flota mogła poruszać się po lekko wzburzonym morzu płynnie niczym latające dyrany. Na dziobie jednej z łodzi stał młody mężczyzna z harpunem w ręku. Wyglądał niczym uosobienie boga Tazu.

Łódź właśnie zbliżała się do kołyszącej się na fali czarnej sylwetki wieloryba.

– Mam go! – krzyknął mężczyzna i stęknął, z całej siły ciskając harpunem. Broń wbiła się w dolną część grzbietu wieloryba, a przyczepiona do niej lina zaczęła się szybko rozwijać.

– Trafiony! Trafiony! – wołali wielorybnicy do pozostałych załóg. Podczas gdy zwierzę dalej ciągnęło sznur, oni usiedli odwrotnie i zaczęli wiosłować w drugą stronę, podczas gdy inne łodzie podpłynęły bliżej.

Największy i najbardziej pożądanym przez kłusowników był właśnie wieloryb kopułowaty, nazwany tak z powodu masywnego czoła, w którym znajdował się zbiornik wosku, cenionego od wieków jako lubrykant oraz główny składnik wielu kosmetyków. Mówiło się, że wieloryb potrafił sprawiać, by wosk ten zastygał lub się rozpuszczał, i dzięki temu mógł kontrolować swoją wyporność – na swój sposób był to wodny odpowiednik worków z gazem garinafin.

Osobnik, którego ścigali dzisiaj wielorybnicy, był samcem przeciętnych rozmiarów, mierzącym około piętnastu metrów długości.

Kiedy reszta łowców znalazła się w odpowiedniej odległości, każda z załóg zarzuciła sznury zakończone hakami, których używano do łączenia ze sobą łodzi. Wkrótce wszystkie pięć płynęło w jednej linii, niczym ryby suszące się na sznurze, a lina doczepiona do harpuna prawie się skończyła.

– Szykować się! – krzyknął młody mężczyzna i usiadł, żeby przytrzymać się burty w oczekiwaniu na moment, gdy sznur przestanie się rozwijać, a wieloryb szarpnie i pociągnie za sobą wszystkie łodzie. – Zaprzeć się! – zawołał raz jeszcze.

Wioślarze w pięciu łodziach zamoczyli wiosła w wodzie i czekali, używając ich jak hamulców. To była próba sił. Wioślarze musieli w jak największym stopniu obciążyć wieloryba, żeby nie był w stanie zanurkować i uciec.

Ich celem było zmęczenie zwierzęcia, nie zabicie go.

Działo się tak, ponieważ najcenniejszym materiałem pozyskiwanym z ciała wieloryba kopułowatego był nie zbiornik wosku, lecz żywy bursztyn – miękka, woskowa substancja wydzielana przez wnętrzości zwierzęcia. Żywy bursztyn miał słodki, upajający zapach i miał szerokie zastosowanie w różnych gałęziach przemysłu, między innymi używano go jako składnika perfum, kadzidel i leków.

Najlepszym sposobem na pozyskanie żywego bursztynu było zmuszenie wieloryba, by go zwymiotował. Ponieważ substancja ta była cenniejsza niż skóra, mięso, tłuszcz i kości zwierzęcia razem wzięte, wielorybnicy męczyli swoje ofiary długim pościgiem, czekając, aż te zwymiotują cenny materiał. Następnie puszczali je wolno i zostawiali w spokoju do następnego sezonu połowów. Wielorybnicy byli jak rolnicy, którzy woleli podbierać gęsi złote jaja, zamiast ją zabijać i w ten sposób pozbawiać się źródła przyszedłego zarobku.

Wieloryb kopułowaty kierował się wprost do wybrzeża Wielkiej Wyspy. Nie zdarzało się to często – wielkie ssaki trafione harpunem raczej wolały uciekać w głąb morza – ale nie było też zupełnie niespotykane. Łowcy nie słyszeli natomiast, żeby jakiś wieloryb pół godziny po trafieniu wciąż płynął z takim wigorem. Cieszyło ich to – im bliżej znajdą się brzegu, zanim wieloryb zwymiotuje żywy bursztyn, tym

krócej będą musieli wiosłować, by zejść na ląd. Zupełnie jakby zwierzę urządziło im darmową podwózkę.

Wieloryb znalazł się już bardzo blisko wybrzeża, a mimo to nie zwalniał.

– Wyplynie na plażę? – zapytał jeden z mężczyzn.

– To się nazywa mieć fart i trafić na wieloryba, co nie chce już żyć – rzucił inny z żalem. Wielorybnicy polujący na wieloryby kopułogłowe z czasem nawiązywali więzi z tymi majestatycznymi zwierzętami. Ponieważ ich zadaniem nie było mordowanie, lecz zdobywanie cennej substancji, skłonności samobójcze tego osobnika napawały ich smutkiem.

– Trzymajcie się mocno! – krzyknął młody mężczyzna, który rzucił harpun. Wieloryb wyskoczył prosto na plażę, otworzył paszczę i wymiotował.

Na piasku wylądowały wielkie kule szaroczarnego żywego bursztynu o konsystencji zastygającej lawy. Dzieci bawiące się w pobliżu piszczały z radości, wiedząc, że wielorybnikom dopisało szczęście. Łowcy podbiegli do wciąż targanego skurczami potężnego ssaka, żeby przyjrzeć się łupom i sprawdzić, czy przypadkiem nie da się zepchnąć zwierzęcia z powrotem do wody.

Dzieci zbily się w gromadę i przyglądały z zainteresowaniem żywemu bursztynowi. Jego zapach był ostry, gryzący, niczym mieszanina piżma, ziemi, kamfory i ziół.

Coś się w nim poruszało.

Dzieci zaczęły krzyczeć.

Z jednej z bursztynowych kul wypelzł człowiek, od stóp do głów pokryty drogocenną substancją. Pluł, kaszlał i wymiotował.

– Zabijcie wieloryba – wychrypiał. Padł na piasek i zastygł nieruchomo.

Pan: pierwszy miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Mężczyzna, który wydostał się z wielorybiego żołądka, stał teraz przed cesarzową Ūną i cesarzową Jią. Gdy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały niepewność i niezdecydowanie.

– Nazywam się Takval Aragoz, jestem synem Souliyan Aragoz, córki Nobo Aragoza, ostatniego *pékyu* Agonu...

Posługiwał się prostymi wyrazami i wiele dopowiadał gestami, ale obu władczyniom udało się uchwycić najważniejsze informacje.



Kiedy *pékyu* Tenryo podbił Gondé, Agonowie, znalazłszy się w niewoli plemion Lyucu, rozproszyli się po dalekich zakątkach równin.

Z daleka od czystych jezior, z daleka od wartkich strumieni, z daleka od wód z rozpuszczonych czap lodowych wysokich szczytów, starali się przetrwać ze wszystkich sił. Jedni trafili na pustynię na południu, inni na lodowe pola na północy, jeszcze inni w jałowe góry na wschodzie.

Taki był los przegranych. Zgodnie z prawem panującym na równinach słabi podporządkowywali się silniejszemu.

W roku, w którym Takval skończył dwanaście lat, posłańcy z Wielkiego Namiotu w Taten na rozkaz *pékyu* Tenryo udali się do wszystkich osad Agonów i ogłosili, że każda rodzina musi złożyć daninę w postaci jednego dziecka.

Matka Takvala, Souliyan, była najmłodszą córką Nobo Aragoza, ostatniego *pékyu* Agonu. Razem ze swoim bratem, Volyu Aragozem, nie została zamordowana razem z resztą rodziny, ponieważ ich matki były niewolnicami i Nobo nigdy oficjalnie nie uznał ojcostwa. Mimo to ocalali Agonowie traktowali Souliyan i Volyu jako spadkobierców Aragozów i jedyne wspomnienie dawnej chwały.

Jednak nawet potomek dawnej Pierwszej Rodziny nie został oszczędzony – gdy nadszedł nowy rozkaz *pékyu*, Takval Aragoz, potomek ostatniego *pékyu* Agonu, udał się do stolicy.

Tam stał się jednym ze sług *pékyu* Tenryo. Opiekował się garinafinami, karmił je, pilnował młodych i sprzątał po nich łajno. Dobrze też poznał innych niewolników.

Wielu z nich przyplłynęło na ziemię Lyucu na statkach-miastach. Od nich nauczył się mowy Dary i usłyszał opowieści o cudownych wyspach. Dowiedział się o młynach wodnych i wiatrowych, o broni z brązu i stali, o sterowcach zdolnych latać tygodniami, a także o mądrych ludziach, którzy potrafili budować statki wielkie jak góry.

Dla większości innych niewolników historie te były tylko wieczorną rozrywką, jednak Takval traktował je jako coś więcej. Dla niego to były słowa nadziei.

Kiedy skończył dziewiętnaście lat, *pékyu* Tenryo ogłosił, że wysyła armię, by podbić tę cudowną krainę zwaną Wyspami Dary. Podobnie jak pozostali niewolnicy oraz wojownicy i thanowie Lyucu, którzy mieli zostać na równinach, stał na brzegu i patrzył, jak statki-miasta oddalają się ku nieznanemu. Chociaż wiwatował jak wszyscy wokół, w sercu pragnął popłynąć z tamtymi. Z drugiej strony nie chciał patrzeć na triumf *pékyu* Tenryo.

Dwa lata później trafiła się szansa.

Książę Cadyu ogłosił, że wypłynie druga ekspedycja do Dary, by wspomóc zabezpieczenie owoców podboju *pékyu* Tenryo – nie było co prawda żadnych wieści o losach pierwszej wyprawy, lecz kto śmiałyby wątpić w sukces *pékyu*?

Takval zgłosił się na ochotnika, by zostać wioślarzem w drugiej ekspedycji. Chociaż Lyucu raczej nie ufali niewolnikom, młody Agon dał się poznać jako niezwykle oddany opiece nad garinafinami, więc książę Cadyu przystał na jego prośbę.

Flota wyruszyła letnim rankiem. Tym razem oprócz najlepszych wojowników, garinafin i bydła na statkach-miastach znalazły się także rodziny – babcie, dziadkowie, młodzi chłopcy i dziewczynki, niemowlęta i zaufani niewolnicy. Lyucu płynęli nie tylko podbijać, ale też zasiedlać.

Pewnego razu, po sześciu miesiącach podróży, Takval podsłuchiwał późnonocną rozmowę kapitana z wyższymi rangą oficerami. Bez pomocy cwane go barbarzyńcy Luana Zyi obliczenia członków drugiej ekspedycji były nieco chybione. Kończyły im

się zapasy, a rozwiązaniem tego problemu miało być wyrzucenie za burtę części niewolników, poczynając od Agonów.

Takval Aragoz obmyślił śmiały plan. W środku nocy zaatakował strażników pełniących wartę, ukradł jeden z korakli i napelnił go różnymi rzeczami, którymi chciał zawalczyć o przyszłość swojego ludu. Zanim odkryto jego zdradę, oddalał się od statków-miast, zawzięcie wiosłując. Gdy wstało słońce, flota zniknęła mu z pola widzenia. Nie miał pojęcia, w jaki sposób przedostanie się przez legendarną Ścianę Burz. Wiedział tylko, że musi uciec, musi chociaż spróbować. Płynął z prądem, rozmyślając o cudownościach Dary.

Po jakimś czasie niedaleko jego korakla na powierzchnię wypłynął wielki wieloryb kopułogłowy. Wywrócił łódkę i połknął Takvala razem z jego dobrami. Reszta była już tylko długim snem.



– Czego od nas oczekujesz, książę Agonu? – zapytała cesarzowa Jia.

– Zjednoczenia naszych ludów przeciwko wspólnemu wrogowi – odparł Takval. – Związku tak silnego jak między garinafiną i jej pilotem przeciwko złym wilkom albo tygrysom z długimi kłami.

– Sami możemy walczyć z Lyucu – rzekła cesarzowa. – Wygraliśmy z nimi i wygramy znowu.

– A jak poradzicie sobie z setkami garinafin? Lyucu są już w drodze i wiozą mnóstwo latających bestii.

– Co zatem proponujesz?

Takval pokazał na kilkadziesiąt jajowatych przedmiotów u jego stóp, każdy wielkości ludzkiej głowy. Znalaziono je po rozcięciu brzucha wieloryba.

– To.

– A czym jest „to”?

– To jaja garinafin.

Książę Cudy doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem na przetransportowanie znacznej liczby garinafin do Dary jest zabranie ich w formie jaj i późniejsze inkubowanie. Słusznie uznał tę metodę za znacznie bezpieczniejszą i efektywniejszą niż przewożenie młodych i dorosłych osobników.

Théra i Jia popatrzyły na siebie.

Cesarzowa Ŭna błagała matkę wzrokiem: „Proszę... Nasze własne garinafiny zmieniają losy Dary”.

Jia pochyliła się do przodu.

– A co miałyby nas powstrzymać przed zabraniem tych jaj? W końcu nie masz do zaoferowania nic innego.

– Wiele lat uczyłem się opieki nad garinafinami. Bez mojej wiedzy młode zginą, a wy nigdy ich nie wykorzystacie.

Cesarzowa Jia zmrużyła oczy.

– Jakiego rodzaju pomocy od nas oczekujesz?

– Niedługo otworzy się przejście w Ścianie Burz. Dlatego ksiązę Cudyu wyruszył w drogę. Kiedy to się stanie, proszę, by Dara wysłała flotę do Ukyu i Gondé i pomogła mojemu ludowi odzyskać wolność.

Obie cesarzowe znowu popatrzyły po sobie.

„Nie stać nas na nową wojnę – pomyślała Jia – tym bardziej taką, która rozgrywać się będzie tysiące kilometrów stąd, na drugim krańcu oceanu”.

– A jako znak dobrej woli – podjął Takval – oddasz mi, Wasza Wysokość, rękę cesarskiej księżniczki z Domu Mlecza.

W Wielkiej Sali Audiencyjnej zapanowała zupełna cisza.

Théra ledwo powstrzymała się przed gwałtowną reakcją na tę bezczelność. Otaksowała młodego mężczyznę. Wydawał się szczerzy i zdeterminowany, a jego grubo ciosane rysy i jasna karnacja nie czyniły go brzydkim... „Ale małżeństwo?!”

Popatrzyła na Zomi Kidosu i tym jednym spojrzeniem przekazały sobie tysiąc słów.



– Wydobędziemy z niego wszystkie sekrety, córko. Podam mu takie zioła, że szybko wypapla nam wszystko jak bezrozumny. Risana oplecie go smugami dymu, tak że wykona każde jej polecenie. A jeśli jeden i drugi sposób zawiedzie, będziemy torturować go tak długo, aż z radością da nam wszystko, czego zażądamy. Nie masz się o co martwić.

– Nie, matko. Jeśli tylko spróbujesz którejs z tych sztuczek, pozbawię cię władzy. Mieliśmy już okazję się przekonać, jaką cenę mają twoje metody. Ja nie zamierzam jej płacić.

– Jesteś silniejsza niż twoi bracia – mruknęła Jia.

– Byłaś rozczarowana, kiedy ojciec wybrał na swojego następcę mnie, a nie Phyro? Tego się nie spodziewałaś, prawda?

– Nie, nie jestem rozczarowana... nie do końca. Twój ojciec wierzył, że musi wybrać właściwego następcę, by uniknąć losu Mapidérego, ale ja zawsze chciałam, by nie miało znaczenia, kto jest cesarzem Dary. Twoja siła czyni tę sprawę po prostu bardziej skomplikowaną.

– Moja siła jest dokładnie tym, czego potrzebuje Dara.

– Wciąż jestem regentem.

– Tylko do czasu, aż będę gotowa. Wiem, że chcesz dla Dary jak najlepiej, ale istnieją granice, których nie przekroczę. Rozwiążę tę sprawę po mojemu.



Morze burzyło się, jakby wypowiedziało sobie samemu wojnę.

– Lutho, mój wścibski bracie, muszę cię pochwalić. Utrzymywanie przy życiu człowieka połkniętego przez wieloryba to nie lada wyczyn!

– Mógłbyś nie krzyczeć mi do ucha? Nasze głowy tkwią na tych samych ramionach.

- Jak usprawiedliwisz tę ingerencję?
 - Ratowanie przed bezlitosnym morzem to coś, co robiłem od zawsze i co jest moim obowiązkiem.
 - Nie mogę tylko pojąć, jak udało ci się skłonić wieloryba, by go połknął. Znalazłeś jakiś sposób na pokonanie Ściany Burz?
 - Akurat to było kwestią przypadku. Dopiero kiedy wieloryb przedostał się na stronę Dary, mogłem zacząć działać.
 - Kwestia przypadku – to mi się podoba. Chociaż nie mogę pokonać Ściany Burz, cieszy mnie, że tamten świat działa według moich zasad.
 - A może coś, co nam wydaje się przypadkowe, w oczach Moäno, Króla Wszystkich Bogów, jest wynikiem zimnej kalkulacji.
 - Nawet raz nie pozwolił mi wygrać, co?
- I tak morze burzyło się dalej, wiecznie kłócąc się ze sobą.
Pan: drugi miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Panie i panowie, wsłuchajcie się w me słowa.

Niech namalują wam sceny pełne wiary i chwały

Niezwykła ma bohaterka – marszałek, uczona, królowa.

Choć nosiła suknie, oczy jej niewieścich łez nie znały.

Zdradę i wątpliwości pokonała honorem i ambicją,

Wychwalajmy ją więc legendą i pieśnią.

Jeśli język mój rozplączecie napitkiem, a serce rozgrzejecie monetą,

Zaraz wam opowiem wszystko, co trzeba...

Piec opalany drewnem ogrzewał wewnątrz Trójnogiego Dzbana i dawał miękkie, przydymione światło. Na zewnątrz szalała burza śnieżna. Mróz malował kwiaty na oknach.

- Nie podoba mi się ten bazarz – wściekała się Fara.
 - A co takiego ci się nie podoba, Ada-tiko? – zapytała Théra.
 - Mówi o cioci Gin jak o mężczyźnie, który niechętnie zakładał sukienki. A przecież ciocia była dumna z tego, kim jest.
 - Może kiedyś, jak już będziesz starsza, lepiej opowiesz o cioci Gin. Lubisz pisać, prawda? Może będziesz drugim Nakipo, którego słowa cieszyły zarówno królów, jak i chłopów. Założę się, że Aya ci w tym pomoże.
- Po wystawnym pogrzebie marszałek cesarzowa Jia nadała Ayi tytuł Cesarskiej

Księżniczki. Dziewczynka cieszyła się teraz takimi samymi przywilejami co rodzone córki cesarza Ragina, zamieszkała też w pałacu, razem z Farą. Co poniektórzy zwrócili uwagę, że to symboliczne wyróżnienie jednocześnie pozbawiało ją spadku, ponieważ cesarzowa Jia nie oddała jej królestwa Gėjiry, dawnego lenna matki. Spodziewano się, że poświęcenie marszałek z bitwy w zatoce Zathin zmyje winę po zdradzie, jednak cesarzowa była nieprzejednana w swojej walce o ograniczenie władzy niezależnych lenn.

Fara z przekonaniem pokiwała głową i choć początkowo opowieść bajarza ją drażniła, szybko dała się jej ponieść. Mężczyzna właśnie przedstawiał epizod, w którym Gin Mazoti zabija Szarą Łasicę za okaleczanie dzieci dla zarobku.

– Jak idzie uczenie się od Takvala? – zapytała Théra po cichu, zwracając się do drugiej z towarzyszek.

– Nieźle – odparła Zomi. – Spisałam szczegółowe notatki, ale prawdziwa nauka zacznie się dopiero wtedy, gdy wyklują się młode.

Wszystkie trzy ubrały się w proste konopne tuniki, jakby były służkami w domu bogatego kupca. Fara uwielbiała słuchać bajarzy, a Théra chciała sprawiać jej jak najwięcej przyjemności, póki miała po temu okazję.

Dokoła nich siedzieli klienci raczący się tanim winem albo spienionym piwem, a wielu z nich było przebranymi strażnikami pałacowymi. Sprawianie przyjemności małej księżniczce nie oznaczało jeszcze, że cesarzowa Jia pozwoli na ryzykowanie jej bezpieczeństwa.

– Hodowla młodych garinafin jest trudna? – zapytała Théra.

– Wydaje się skomplikowana – odparła Zomi. – Młode potrzebują bardzo dużo kontaktu z ludźmi, a tolyusa, jagody zomi, pomagają im rozwijać więź z pilotami, których traktują jak część stada. Ponieważ nie mamy żadnych dorosłych garinafin, które pomogłyby w szkoleniu młodych, więź między pilotem a wierzchowcem będzie szczególnie delikatna i trudna do pielęgnowania.

Cesarska ekspedycja na Wyspę Półksiężycową wróciła z wieściami, że Lyucu najwyraźniej dotarli tam pierwsi i zniszczyli naturalne źródło jagód zomi – zapewne zabrawszy wystarczającą ich ilość, by rozpocząć ich uprawę na Dasu i Rui. Na szczęście Takval ukradł dość dużo nasion, by starczyło na założenie uprawy, a cesarzowa Jia pomagała w pielęgnacji młodych roślin. Zomi miała wyrzuty sumienia, że nie przejrzała podstępny Tanvanaki, ale wszyscy zapewniali ją, że nie mogła się domyślić, skąd niezwykle zainteresowanie *pékyu* biżuterią noszoną przez nią i przez cesarzową.

– Piloci nigdy nie biorą udziału w biciu młodych, które służą jako gwarant posłuszeństwa dorosłych – ciągnęła dalej Zomi. – To zdezorientowałoby garinafiny. Jedni więżą młode, drudzy pielęgnują więź z dorosłymi. Nikt nie pełni podwójnej roli.

– Dowodzą nimi groźbą i prośbą – rzekła Théra. – Brzmi jak polityka.

Zomi pokiwała głową i już się nie odezwała.

Obie doskonale zdawały sobie sprawę, że ich rozmowa prowadzi donikąd, ponieważ była jedynie krążeniem wokół tematu, który każda chciała i którego nie

chciała poruszyć.

Zomi przygryzła wargę i postanowiła, że spróbuje.

– Naprawdę wyjeżdżasz?

Théra zamarła na chwilę, a potem zwróciła się do Fary:

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli zostawimy cię na chwilę samą?

Musimy z Zomi omówić pewną sprawę.

Fara, skupiona na opowieści bazarza, kiwnęła głową, nie zwracając na nie większej uwagi.

Théra dała znak otaczającym ich strażnikom, a potem wstała i zabrała Zomi do prywatnej kwatery na piętrze, gdzie mogły porozmawiać na osobności.

Popatrzyła na Zomi i powiedziała krótko:

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo nikt inny nie może tego zrobić. Fara jest zbyt młoda, córki wuja Kado również nie dorosły do zamążpójścia.

– Mnóstwo młodych dziewczyn zawierało małżeństwa polityczne, i wcale nie mam na myśli tylko księżniczek. Mogłabyś poprosić cesarzową Jię, by adoptowała jakąś arystokratkę i nadała jej tytuł księżniczki, tak jak to zrobiła z Ayą Mazoti.

– To nie jest małżeństwo polityczne, jeśli żona to jedynie figurantka. Ta, która wyjdzie za księcia Agonu, musi poprowadzić z nim jego lud i u źródła zdusić zagrożenie ze strony Lyucu. Ten sojusz jest dla nas niezwykle ważny. Lyucu wiedzą już, jak zniszczyć nasze sterowce, a jedynym sposobem na ich ostateczne pokonanie jest posiadanie własnych oddziałów garinafin...

– Wcale nie mam na myśli tych powodów! – Zomi zaczerwieniła się. – Czy ty myślisz wyłącznie w kategoriach polityki i dyplomacji? Naprawdę uważasz siebie za przedmiot pertraktacji?

Théra ujęła dłoń Zomi. Ta w pierwszym odruchu chciała ją wyrwać, ale poddała się. Siedziały w ciszy, chociaż ich serca biły jak szalone.

– Płyn ze mną – powiedziała Théra.

– Mam patrzeć, jak wychodzisz za kogoś innego? – zapytała Zomi z niedowierzaniem.

– Można poczynić pewne ustalenia. Mojej rodzinie nieobce są tego rodzaju komplikacje, a konwenanse to tylko konwenanse.

Przez chwilę Zomi kusilo się zgodzić, ale racjonalna strona jej natury nie pozwalała na to: miałaby zrezygnować z szansy posiadania realnego wpływu na kształt Dary, jaką dawało jej jedno z najwyższych stanowisk na Dworze Mleczka? Miałaby zrezygnować z okazji pomszczenia rodziców i nauczyciela? Zrezygnować ze swego marzenia o sprawiedliwszej Darze?

– Nie mogę – odparła. – Chociaż bardzo chcę, nie mogę. Ale dlaczego ty musisz zrezygnować z tronu, żeby żyć na jakiejś barbarzyńskiej ziemi?

– Przekazanie mi tronu było pomysłem ojca – rzekła Théra. – Ja sama nigdy nie chciałam żyć według cudzych planów. Z całego serca pragniesz zmieniać świat. Ja pragnę tego samego, jednak na własnych warunkach i z wykorzystaniem władzy,

którą sama zdobęde, a nie podanej mi na tacy. Akurat ty powinnaś to rozumieć.

– Może obie jesteśmy zbyt ambitne – stwierdziła smutno Zomi – tak jak Luan Zyaji i Gin Mazoti.

– Łączy nas coś wyjątkowego. Nikt nigdy mi ciebie nie zastąpi. Tylko ty słyszysz głos mojego serca, gdy zagram niepewną nutę. Jesteś lustrem mojej duszy, Zomi, moim sennym czuwaniem.

Zomi ścisnęła jej rękę, zbyt wzruszona, żeby coś powiedzieć.

– Jednak nasze życie powinno być tak pojemne, by pomieścić wiele miłości – dodała Théra. – Nigdy nie lubiłam opowieści, w których czyjeś życie w całości definiowane jest przez romantyczną miłość. Pamiętasz wiersz Luana Zyajego?

Płaczące dziecko, uspokajający je rodzic,

Kompani o wielkim duchu, bracia,

Odbierające siły senne czuwanie

Empatia otaczająca cały świat.

– Zyaji mówił o wielu miłościach jego życia, z których tylko jedna była miłością romantyczną. Mówił o przyjaźni, o oddaniu rodzicom i pracy zawodowej, o duchowości. Definiuje nas cały szereg uczuć, a nie jedna wielka romantyczna miłość.

– Ale Dara cię potrzebuje – powiedziała Zomi. – Ja cię potrzebuję! Zostań.

– Dara sobie poradzi z matką i Phyro u steru, a ty i Cogo Yelu będziecie wspierać ich radą. Ojciec wiele zrobił, żeby przygotować Darę na kobiece rządy, a jego wysilek, chociaż podjęty z myślą o mnie, przysłuży się matce. Jestem córką Domu Mlecza i moim przeznaczeniem jest szukać nowych lądów, oglądać nowe widoki, napępniać serce rytmem i kadencją nadziei oraz snów innych ludzi. Pewna mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że moim kwiatem jest unoszący się na wodzie lotos, tak jak twoim jest perła ognia. Twoim przeznaczeniem jest zmieniać krajobraz, wytyczać nowe szlaki, przeciwstawiać swoją wizję temu, co już istnieje. Ja z kolei powinnam szukać nowego domu z dala od starego, gdzie mogłabym rozkwitnąć i stworzyć nowy świat. Płynąc drogą wieloryba, dotrę dalej niż jakiegokolwiek nasienie dmuchawca. Stanę na czele rewolucji.

– Nigdy nie miałam cierpliwości do pasywnego mistycyzmu fluksistów...

– Zomi, kochana, odnajdywanie i przyjmowanie Nurtu życia nie jest pasywnością. Staram się przegonić smutki dwóch ludów.

Po chwili Zomi pokiwała głową, lecz nie zdołała opanować łez, które spłynęły po jej twarzy.

– Mówisz o przeznaczeniu, a jednak czym jest przeznaczenie, jeśli nie seria przypadków, które później układamy w historię?

– Może masz rację. Ale właśnie w ten sposób zamierzam opowiedzieć moją historię. Kocham cię, Zomi, ale to jest to, czego chcę. Uszanuj to.

– Czyli to koniec?

Théra pokręciła głową.

– Będziemy daleko od siebie, ale to nie znaczy, że nasza miłość się skończy. Obie będziemy miały w swoim życiu wiele innych miłości, wiele razy się jeszcze zakochamy lub oddamy czemuś całą duszę. Jednak ta była pierwsza i dlatego zawsze pozostanie wyjątkowa. Nieważne, ile czasu nie minie i jak daleko od siebie zawędrujemy, nasza miłość pozostanie prawdziwa. Jesteśmy dyranami, które mijają się w morskiej głębinie, lecz łącząca nas błyskawica rozświetli ciemność do czasu, aż pochłonie nas wieczny sztorm.

Zomi wytarła oczy.

– Doskonale byś sobie poradziła na Wielkim Egzaminie. Pięknie komponujesz słowa.

– Nie bez powodu nazwano mnie Tą, Która Przegania Smutki – odparła Théra z uśmiechem. – Nawet taka zapłakana wyglądasz ślicznie. Jak kwitnąca orchidea.

Zomi oblała się rumieńcem i przyciągnęła Théré, by złożyć na jej ustach długi i namiętny pocałunek.

– Zapłaciłam właścicielom, żeby zostawili nam kwaterę na cały wieczór – powiedziała Théra, gdy zdołała wreszcie złapać oddech. – Mamy ten pokój dla siebie.

– Zaplanowałaś to?

– Może.

I kiedy na dole bazarz dalej snuł swą opowieść, kiedy na dworze szalała burza śnieżna, najjaśniejszym punktem w Trójnogim Dzbanie był żar dwóch ciał i dwóch serc.

Pan: czwarty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Decyzja cesarzowej Üny, by wyjechać z Dary, nie miała precedensu w historii Wysp, nie istniały więc protokoły mówiące, jak należy postąpić w tej sytuacji. Ostatecznie Théra ogłosiła, że wyznacza Phyro na swojego następcę i czyni go cesarzem na czas jej nieobecności w Darze. Dopóki nie wróci, będzie znowu znana jako księżniczka Théra.

Po koronowaniu Phyro na cesarza Monadétu regentem nadal pozostała cesarzowa Jia i to ona ogłosiła, że rządy pozostaną nazwane Rządami Sezonu Burz, aby podkreślić nadal czyhające na Darę zagrożenie oraz fakt, że cesarzowa Üna oddaje władzę jedynie tymczasowo, przynajmniej w teorii. Świętowano w całym cesarstwie. Najlepszy nastrój do celebracji zdawali się mieć uczeni, którzy od dawna krytykowali obecność kobiety na Tronie Mlecza. W ich oczach świat znowu był taki, jak być powinien, nawet jeśli Rui i Dasu pozostawały pod okupacją, a na horyzoncie czaiła się kolejna inwazja ze strony Lyucu.

Cesarzowa Jia zaprosiła konsortę Risanę, matkę cesarza, na herbatę. Wytarła porcelanową czarzkę, bambusową miarką nabrała porcję sproszkowanej herbaty, wlała wodę do czajnika i czekała, aż na jej powierzchni pojawią się bąbelki, niczym oddechy ryb w spokojnym zakątku jeziora. Gdy woda się zagotowała, zdjęła czajnik

z paleniska i naląła wrzátku do czarki, układając nadgarstek w taki sposób, by strumień wypływał jak promień skoncentrowanego światła.

Jednak czarka była tylko jedna.

Risana drżała jak liść na wietrze.

– Dlaczego? – zapytała.

Jia uklękła w *mipa rari*.

– Cesarz jest młody i porywczy, brakuje mu politycznej przenikliwości Théry. Pragnie chwały i zemsty na Lyucu, ale oddziały garinafin będą gotowe dopiero za dekadę. Nie możemy iść na wojnę, dopóki nie będziemy pewni zwycięstwa. Phyro potrzebuje silnej ręki, która pohamuje jego zapędy.

– Ty jesteś tą ręką. Nigdy nie zakwestionuję twojej pozycji jako regenta, Starsza Siostró. Od czasu śmierci Kuniego nawet raz nie pojawiłam się na oficjalnej audiencji i zamierzam w dalszym ciągu trzymać się z dala od polityki.

Jia pokręciła głową. Na jej twarzy malował się smutek, ale też determinacja.

– W takim razie prosisz, żebym to ja napiła się z tej czarki.

– Skądże!

– Za tronem nie mogą stać dwie osoby postrzegane jako źródło władzy. Chociaż Phyro zawsze mnie szanował, nie mogę konkurować z tobą jako matką. Nawet jeśli dotrzymasz swojej obietnicy, znajdą się ludzie gotowi wykorzystać twoje imię i umieścić je na sztandarach. Dara ma przed sobą trudną drogę. Musimy utrzymywać pokój z Lyucu do czasu, aż będziemy gotowi znowu iść na wojnę, a ja wprowadzę niezbędne prawa, które będą nie w smak wpływowym ludziom. Przyjdą do ciebie z płaczącymi prośbami i słodkimi zachętami, by skruszyć twoje serce. Będą szeptać cesarzowi, że jestem spragniona władzy, a przecież on ma prawo samodzielnie podejmować decyzje. Omamią cię tak, byś wsparła jego potrzebę niezależności i skłoniła go do szukania rady u ciebie, a nie u mnie. Jeśli tego nie wypijesz, lepiej będzie dla mieszkańców Dary, żebym ja to zrobiła. Mniej będzie konfliktów, jeśli z za tronu przemawiać będzie jeden głos, nawet gdyby nie miał być mój.

– Mówisz o sytuacjach hipotetycznych – mruknęła Risana. – Mówisz o niebezpieczeństwach, które może nadejdą, zamiast o miłości i wierze, które już istnieją.

– Nie mogę liczyć na miłość i wiarę – odparła Jia. – To luksus, na który nie stać tych, co odpowiadają za los milionów. Potrzebujemy systemów i zasad, żeby skanalizować strumień władzy, lecz do czasu ich stworzenia i określenia muszę dźwżyć władzę niepodzielnie.

– Może po prostu zakochałaś się w idei władzy. I to władza dźwży ciebie.

– Nie wątpię, że wielu tak powie. Będą twierdzić, że jestem zazdrosna o to, że w ostatnich latach Kuni wolał twoje towarzystwo, jak również że chcę zabrać władzę tym, którzy powinni ją dźwżyć; nazwą mnie chorobliwie ambitną i będą przedstawiać jako wiedźmę. Ale czym jest moja reputacja w porównaniu z losem mieszkańców Dary? Postąpię, jak uważam za słuszne, i niech inni myślą, co zechcą.

Risana siedziała sztywno. Pokręciła głową.

Jia westchnęła.

– Proszę tylko, żebyś pamiętała, co powiedziałam, i zrobiła wszystko, co w twojej mocy, by pomóc Phyro kierować się dobrem ludzi, a nie własną próżnością.

Podniosła czarkę i przytknęła krawędź do otwartych ust. Przechyliła...

Risana wytrąciła jej czarkę z ręki, herbata rozlała się po podłodze.

– Naprawdę byłaś gotowa to zrobić – powiedziała z niedowierzaniem.

Jia opanowała się i posłała jej gorzki uśmiech.

– Dla dobra Dary byłam gotowa patrzeć na egzekucję kochanka, który oddał życie za mój spisek. Byłam gotowa pozwolić na śmierć mojego męża, by zapewnić armii zwycięstwo. Jestem też gotowa iść na wojnę przeciwko mojemu synowi, nie zważając na jego bezpieczeństwo. Miłość sprawia, że decydujemy się na przedziwne kroki, a ja kocham te wyspy i ich mieszkańców. Czym jest moje życie w porównaniu z życiem wszystkich mieszkańców Dary? Czy ty byłabyś gotowa podjąć którąkolwiek z tych decyzji?

Risana pokręciła głową, jeszcze bardziej roztrzęsiona.

– Łaska królów nie lśni się jak cenne złoto ani jak delikatny jadeit – powiedziała Jia. – Kuje się ją z żelaza i krwi.

Risana powoli przestała się trząść. Usiadła znowu w *mipa rari*.

– Starsza Siostrze, dopiero teraz cię zrozumiałam. Jesteś godną tytułu Cesarzowej Dary.

Ukloniła się w *jiri*, a Jia odpowiedziała tym samym.

– Użycie trucizny będzie wymagać zbyt wielu kłamstw – rzekła Risana. – Podkopie też zaufanie Phyro do ciebie, a chociaż w twoich oczach zaufanie jest bezwartościowe, on je ceni.

Jia pokiwała głową.

– Wejść o północy na szczyt Wieży Księżycowej i skoczę – ciągnęła dalej, teraz spokojnym już głosem. – Będzie wyglądało na wypadek.

Poruszając się na kolanach, podniosła czarkę z podłogi i wytarła wylaną herbatę rękawem, a potem wróciła do stolika i ostrożnie odstawiła naczynie obok koksownika. Uśmiechnęła się smutno do Jii.

– Powinnyśmy zadbać o idealne zaaranżowanie wypadku. Uszkodzona balustrada, kałuża rozlanej wody. Takie szczegóły są istotne, jeśli zależy nam na wiarygodności.

Jia znowu jej się ukloniła.

– Po śmierci otrzymasz tytuł Cesarzowej Dary. Zadbam o to, by historycy uhonorowali twoje imię w annałach.

– Spędzaj dużo czasu z Phyro, kiedy mnie zabraknie. Może dorasta szybko, ale każdy chłopiec tęskni za matką. Twoja obecność przyniesie mu ukojenie.

– Obiecuję.



Risana wróciła do swoich komnat, wygoniła całą służbę, zamknęła drzwi

i usiadła na macie.

Rozebrała się i odkroiła fragment rękawa, którym wytarła zatrutą herbatę. Powoli i starannie pocięła materiał na maleńkie paski, a te na kwadraciki. Trzęsły jej się ręce i bała się, że zrobi sobie krzywdę.

Jia miała mocne argumenty. Risana faktycznie nie wyobrażała sobie, że mogłaby wydać rozkaz ataku w sytuacji, gdy jej mąż służyłby za żywą tarczę. Nie wyobrażała sobie iść na wojnę przeciwko własnemu synowi. To prawda, że Dara potrzebuje rządów silnej ręki, by przeciwstawić się Lyucu, a jej drżące dłonie nigdy nie zdołają pomóc Phyro.

Spojrzała na stojącą obok klatkę. Królik przycupnął w rogu. Wrzuciła kwadraciki tkaniny do czarki, wymieszała je z plasterkami świeżych owoców i wsunęła czarkę do klatki. Królik powąchał jedzenie podejrzliwie, ale potem zaczął jeść.

Risana uważnie obserwowała zwierzę. Nie minęło wiele czasu i czarka została opróżniona, a królik zaczął skakać po klatce.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby zostawić Phyro samego. Chłopiec może wyglądał na pewnego siebie, ale w głębi serca był łagodny i delikatny. Miłość sprawia, że podejmujemy przedziwne kroki, prawda? Ale czy dziwne jest, że nie chcemy umrzeć, nie chcemy zostawić dziecka?

Królik skakał radośnie w klatce, nie dając żadnych oznak bólu czy dyskomfortu.

Herbata nie została zatruta.

Risana zamknęła oczy. Wszystko było przedstawieniem. Jia była gotowa wypić herbatę, bo wiedziała, że nic jej się nie stanie. Udawała, żeby wzbudzić podziw Risany, zdobyć jej zaufanie, skłonić ją do zaoferowania się, że odejdzie, że wyrzeknie się życia. Znow zaczęła się trząść. Nie mogła zostawić Phyro w rękach kobiety, której w głowie były tylko żelazo i krew. Pójdzie do Phyro i razem z nim opuści pałac. Przebiorą się za plebejuszy i zamieszkają w jakimś zapomnianym zakątku Dary, będą żyć tak, jak sama żyła wraz matką przed poznaniem Kuniego. Jia chciała przeprowadzić Darę przez sezon burz, a ona i Phyro dadzą jej wolną rękę.

– Mocü! Cawi! – zawołała służki. – Potrzebuję walizki.

– Nie przyjdą – odezwał się głos za jej plecami.

Risana odwróciła się i zobaczyła stojącą w drzwiach Jię.

– Twoja służba została wezwana, by odebrać specjalne upominki z pałacowego skarbcza.

Risana otworzyła usta, żeby krzyknąć, lecz Jia ciągnęła dalej:

– Strażnicy zablokowali wszystkie wejścia do prywatnych kwater. Nikt cię nie usłyszy i nikt cię nie uratuje.

Risana patrzyła na nią z gorzkim uśmiechem na ustach.

– Chciałam uciec z synem. Schowalibyśmy się w najbardziej ukrytej dolinie i nigdy nie sprawilibyśmy ci kłopotu. Zakłębłabym dym, żeby nikt do nas nie trafił.

Jia pokręciła głową.

– To romantyczna wizja, którą zwiódłabyś jedynie siebie samą. Ile byś dymu wokół siebie nie wytworzyła, i tak prędzej czy później odnalazłby cię ktoś, kto pragnąłby uczynić cię twarzą rebelii. Phyro nigdy nie przystałby na życie w zapomnieniu, skoro wie, że ma prawo do tronu. Może dzisiaj cię posłucha, ale czy powstrzymasz go przed przeciwstawieniem się mnie za dziesięć lat? Tymczasem ty pozbawiłabyś go szansy na nauczenie się odpowiedzialnego sprawowania władzy od jedynej osoby, która może go tego nauczyć. Nie pozwoliłabyś mu wyrosnąć na człowieka zdolnego stawić czoło Timu i Vadyu, by uratować Darę przed czającą się ciemnością.

Risana spuściła głowę.

– Nie jestem taka jak ty. Nie potrafię myśleć jak ty.

– Wiem. Chciałam, żebyś sama dostrzegła właściwą dla ciebie ścieżkę, i byłaś tak blisko pokonania swych lęków, tak blisko... – W głosie Jii dało się słyszeć żal i współczucie. – Dlatego przyszłam wesprzeć cię w twoim postanowieniu i zadbać o to, byś wypełniła przeznaczoną ci rolę: zakłęła dym, który uratuje twojego syna i Darę. Księżyc wygląda dzisiaj wyjątkowo pięknie. Może obejrzymy go z wieży?



W migoczącym świetle pojedynczej świecy dwie kobiety klęczały naprzeciw siebie z dala od wścibskich uszu.

– Niech nazywają mnie czarnym charakterem. Byle życie ludzi było lepsze ze mną niż beze mnie.

– Masz skłonność do wielkich gestów, Jio, a jednocześnie wierzysz, że usprawiedliwią one zgliszcza, które zostawiasz na swojej drodze. Jeśli wciąż będziesz się kurczowo trzymać swoich metod, odkupienie będzie tylko mirażem.

– Czy ostatecznie straciłam cię, Soto? Pchniesz Darę ku wojnie domowej?

– Dla dobra ludu zatrzymam na razie twój sekret. Jeśli jednak nie oddasz władzy Phyro, kiedy będzie gotowy, przysięgam na Bliźniaczki, że prawdę pozna każdy zakątek Dary.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

Rozstanie ziaren lotosu

Kriphi: czwarty miesiąc pierwszego roku rządów, które nie mają jeszcze nazwy

Tanvanaki przyszła do Timu i kazała mu wybrać nazwę swoich rządów – w końcu miał zostać cesarzem Dary.

Była to jedna z niewielu spraw, z którymi przychodziła do niego po opinię.

W głębi ducha wiedział, że nie powinien żywić urazy – Tanvanaki miała ręce pełne roboty. Śmierć *pékyu* Tenryo zaowocowała tymczasowym zachwianiem ośrodka władzy i kilku thanów podjęło pewne kroki, by podważyć przywództwo Tanvanaki. Łącząc spryt i przemoc, ledwo zdołała nad nimi zapanować, a pozostali thanowie wreszcie potwierdzili jej prawo do tytułu *pékyu*, kiedy Dara zgodziła się zapłacić trybut, a na Wyspach odnaleziono tolyusę. To nie były sprawy, w których jego znajomość klasyków Ano na cokolwiek by się zdała.

A teraz, trzymając w objęciach nowo narodzonego syna, czuł się zagubiony. Miał zaledwie dwadzieścia lat, do niedawna sam jeszcze był dzieckiem. Świadomość, że odpowiada za to nowe życie, tak jak za kruchą unię między Lyucu i Darą, przytłaczała go.

Tanvanaki nazwała chłopca Todyu Roatan – nie obchodził jej panujący na Wyspach zwyczaj czekania, aż dziecko osiągnie wiek rozumny, żeby nadać mu oficjalne imię – jednak Timu zaczął zwracać się do niego Dyu-tika, a służący, w większości niewolnicy z Dary, poszli za jego przykładem. Cieszyło go to. W ten sposób czuł, że ma jakiś wpływ na rzeczywistość, nawet jeśli niewielki.

Jednak teraz, gdy między okupowanymi przez Lyucu wyspami i resztą Dary nastął pokój, Timu miał większą szansę na realne działania. Jego umiejętności zawsze były bardziej przydatne w czasie pokoju niż na wojnie. Wiedział, że Tanvanaki będzie potrzebować jego pomocy, żeby utworzyć system, w którym rodowici mieszkańcy Rui i Dasu mogliby żyć w harmonii ze swoimi okupantami, i postanowił zrobić wszystko, żeby udowodnić zmarłemu ojcu, że miał rację.

Dyu-tika zaczął płakać, więc Timu ukoił go, nucąc do niego po cichu. Kiedy niemowlę zacisnęło drobne piąstki tuż przy delikatnej bródce, Timu ogarnęła fala czułości. Dyu-tika był jednym z wielu dzieci, które urodziły się w zeszłym i tym roku na wyspach Rui i Dasu w wyniku unii między Lyucu i miejscowymi – chociaż ich poczęciu towarzyszyły ból i przemoc, same niemowlęta były niewinne. Należały do tych ziem i miały do nich prawo.

Wolność wymaga wyznaczania nowych ścieżek, wymaga śmiałego zawieszania niewiary. Timu zamierzał rzucić długi cień na karty historii.

– Chodźcie – powiedział, wzywając skrybów swojego małego dworu. – Wybrałem nazwę nowych rządów: Śmiała Wolność.

Ginpen: piąty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Cesarz Monadétu przybył do portu w Ginpen, żeby osobiście się pożegnać.

– Starsza Siostró... – Młody cesarz nie potrafił opanować emocji i głos mu się załamał.

– Hudo-tika – Théra objęła go i szepnęła mu do ucha: – Nie psuj tej szczęśliwej okazji, przecząc znaczeniu mojego imienia. Zachowujesz się, jakbym miała zostać złożona w ofierze, a przecież wychodzę za mąż i będę królową nowego ludu.

– Straciłem matkę, a teraz stracę też ciebie. Nic nie jest w stanie przegonić mojego smutku.

– Jesteś teraz cesarzem, *Rénga*. Ludzie patrzą na ciebie i chcą zobaczyć nadzieję. Potrzebują twojego zapewnienia, że ta unia jest sposobem na pokonanie Lyucu. Nie możesz opuścić sceny ani na chwilę. Nie możesz pozwolić, aby to, co w twym sercu, dało się dojrzeć na twojej twarzy.

– Nie jestem jak ojciec! Nie jestem jak ty! Z początku byłem zły, że wybrał ciebie zamiast mnie, ale teraz wiem, że miał rację. Timu nie wie, jak rządzić, i ja też nie wiem.

– Nie pozwól, by czyny ojca czy moje ograniczały cię w twoich wyborach. Wiem, że sam wytyczysz swoją ścieżkę. Wiedziałeś, że ojciec zaprojektował swoją koronę tak, by sznurki muszelek skrywały jego twarz w chwilach wątpliwości? Żadne z nas nie rodzi się z wiedzą, jak nosić maskę – musimy do niej urosnąć.

Kiedy zbliżała się wyznaczona godzina wypłynięcia floty, w porcie zaczęli grać muzycy: słodko na jedwabnych strunach kokosowych lutni, z energią na bambusowych fletach, rytmicznie na drewnianych pałkach, żywo na kamiennych misach, pogodnie na glinianych okarynach, dziarsko na marakasach z tykwy, radośnie na skórzanych miechach, a także – na prośbę samej księżniczki – majestatycznie na *moaphyi*. Każda rodzina instrumentów miała swojego przedstawiciela, jakby wszyscy bogowie przyszli świętować wraz ze śmiertelnikami.

Théra mocno przytuliła brata i coś mu szepnęła. Dopóki grała muzyka, nikt inny nie mógł usłyszeć jej słów.

– Matka ma wizję Dary, która jest kusząca i może nawet właściwa. Niestety wprowadza ją metodami, które rzucają cień na rezultaty. Powinieneś się od niej uczyć, lecz kiedy nadejdzie czas, musisz być gotów się jej przeciwstawić.

– Mam wiedzieć, kiedy zrobić to, co najbardziej interesujące? – zapytał Phyro.

– Właśnie tak.

Cesarz Monadétu po raz ostatni mocno ścisnął siostrę silnymi ramionami, a potem wycofał się, przybierając beznamiętny wyraz twarzy.

– Niech bogowie przyśpieszą twą podróż i pomogą odnieść sukces na nowej ziemi, Wasza Wysokość.

Théra odwróciła się i przeszła przez trap. Postawiwszy ostatni krok na ojczyściej ziemi, zajęła miejsce obok księcia Takvala. Nie obejrzała się za siebie, by jej łzy nie zdradziły kłamstwa ukrytego w jej imieniu.

Tymczasem mieszkańcy Pan, zaopatrzeni w wiedzę przekazaną przez księcia Takvala, zajmowali się młodymi garinafinami. Musieli zdobyć zaufanie swych nowych sprzymierzeńców, podobnie jak księżniczka Théra, która już wkrótce miała sprawować władzę nad ludem Agonu.

Na morzu na północ od Dasu: piąty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Księżniczka Théra i książę Takval Aragoz stali na pokładzie „Przeganiającej Smutki” i patrzyli na Ścianę Burz.

Za nimi na falach unosiło się dziewięć innych statków. Na ich pokładach znajdowali się rzemieślnicy, żołnierze i uczeni, a także zapasy książek, nasion i narzędzi – wszystko, co zdaniem Théry mogło się przydać na odległym lądzie i pomóc mieszkańcom w odzyskaniu wolności.

– Przynajmniej wiemy, że przy płynęliśmy właściwego dnia – powiedział Takval, pokazując na odległe kształty statków-miast Lyucu.

– Komitet powitalny – rzuciła Théra.

Właśnie ten dzień wyznaczył Luan Zyaji jako moment, w którym Ściana Burz otworzy się ponownie, więc spodziewano się, że właśnie wtedy przyplyną posiłki Lyucu. Théra domyślała się, że na pokładzie statku-miasta nie ma *pékyu* Vadyu. Razem z Zomi wyliczyły, że *pékyu* mniej więcej w tym czasie powinna rodzić. Théra była ciekawa, jak Timu – „cesarz Thaké” – poradzi sobie w roli ojca.

– Nie zbliżają się do nas – zauważył Takval.

– Dopóki nie wykażemy agresji względem nowej floty, powinniśmy respektować warunki pokoju – stwierdziła Théra. – Nie mogą nam odmówić prawa do obserwacji na otwartym morzu.

Porozumiewali się za pomocą mieszanki języka Dary i języka równin. Théra szybko się uczyła, a Takval był cierpliwym nauczycielem. Do tej pory nie pojawiło się między nimi uczucie, jedynie początki nieśmiałej przyjaźni, która z czasem może przegonić smutki i ubogacić duszę.

Théra była gotowa otworzyć swoje serce i zrobić to, co jej zdaniem było najbardziej interesujące: pozwolić, by wypełniło się taką historią, jaką chciała móc o sobie opowiedzieć.

– Zaczyna się! – zawołała.

Cyklony tworzące zapierającą dech w piersiach zasłonę zaczęły się rozdzielać. Niczym dobrze wyszkoleni żołnierze armii w czasie parady rozsunęły się, tworząc spokojny przesmyk pośrodku, podobny do doliny między górami z wody i chmur. Błyskawice rozświetlały je od wewnątrz jak fajerwerki ogłaszające nastanie nowej ery.

W oddali widzieli niewielkie sylwetki statków-miast zbliżających się z drugiej strony do Ściany Burz. Oto książę Cudyu przybył z posiłkami.

– Wypuścić latawce sygnałowe! – zawołała księżniczka. W powietrze wzbily się ogromne latawce. Statki Dary znajdujące się za horyzontem miały przekazać

sygnał dalej. Than Carucono wysłał całą flotyllę statków sygnałowych, by zajęły pozycje między Ścianą Burz a Wielką Wyspą, tworząc coś na kształt sznura pereł. Dzięki temu wiadomość mogła dotrzeć do Pan tak szybko, jak to tylko możliwe.

Pan: piąty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Cesarz Monadétu, wciąż pogrążony w żałobie po stracie obojga rodziców, przekonywał do podjęcia sekretnej misji za pomocą mechanicznych crubenów.

– Mogłyby zatopić jeden albo dwa statki-miasta pod osłoną nocy, nie zostawiając żadnego dowodu, że złamaliśmy traktat pokojowy – upierał się.

– Nie – odparła cesarzowa Jia.

– Ale to ja jestem cesarzem! Nie ty.

– Masz tytuł cesarza, jednak Pieczęć Dary spoczywa w moich rękach. Koniec dyskusji.

Na oczach zebranych ministrów i generałów młody cesarz wstał z tronu i przewrócił stół, na którym leżały sterty dokumentów. Następnie wybiegł z Wielkiej Sali Audiencyjnej.

– Kontynuujmy – powiedziała cesarzowa Jia do zdumionych oficjeli. – Rządzenie nie może czekać.

Młody cesarz na trzy dni zamknął się w sali żałobnej cesarzowej Risany i odmawiał widzenia z kimkolwiek. Słyszano, jak płacze i mamrocze do siebie. W końcu wyszedł i zażądał spotkania z cesarzową.

– Nie jestem gotowy – powiedział do niej.

– Jeszcze nie – odparła Jia. – Nie pozwól jednak, by ten ogień w tobie zgasł. Naucz się nad nim panować.

Potem rozłożyła ręce i wzięła młodego mężczyznę w objęcia, a ten rozplakał się rzewnie.

Wszyscy ministrowie i generałowie szeptali między sobą, jak wielkie szczęście ma Dara, że za tronem stoi tak silny głos.

Na morzu na północ od Dasu: piąty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu Burz

Statki-miasta były już w połowie doliny między wysokimi cyklonami.

– Powinniśmy usunąć się z drogi? – zapytał Takval.

Wykorzystując rozwiązania zastosowane podczas budowania mechanicznych crubenów, nowe statki Dary skonstruowano w ten sposób, by mogły na krótko zanurkować pod powierzchnię morza i w ten sposób się ukryć. Zdając sobie sprawę, że będą musieli skorzystać z tego samego korytarza w Ścianie Burz co flota Lyucu, dowódcy „Przeganiającej Smutki” i pozostałych jednostek planowali wydać rozkaz zanurzenia się w chwili podpłynięcia Lyucu. Statki nie potrafiły poruszać się pod wodą, lecz to nie było konieczne.

– Nie – odparła Théra. – Korytarz już się zamyka! Zomi miała rację.

Rzeczywiście, cyklony tworzące Ścianę Burz zmieniały kurs. Góry chmur i wody po obu stronach korytarza zbliżały się do siebie, a statki Lyucu zostały uwięzione pomiędzy nimi.

Pan: miesiąc wcześniej

Zomi Kidosu była bardzo zajęta, gdyż cesarzowa Jia obarczyła ją nowymi obowiązkami. Sekretarz dalekowidzów nie tylko więc dowodziła przygotowaniem do wyprawy księżniczki, lecz także na bieżąco oceniała liczne propozycje nowych maszyn i opiniowała projekty ustaw. Zdawała sobie sprawę, że dotąd część tych zadań należała do premiera. Przekazując je jej, cesarzowa Jia albo karała Cogo za to, z jaką gorliwością podjął się ukarania Otho Krina po odkryciu spisku, albo pragnęła, by premier, zyskawszy kogoś, kto kwestionowałby jego opinie, bardziej przykładał się do swojej pracy.

– Wierzę w system – powiedziała do Zomi – a nie jednostki. Doskonale znasz się na inżynierii i chcę sprawdzić, czy tak samo dobrze poradzisz sobie w inżynierii systemu rządzenia. Może spróbujemy wprowadzić twoją propozycję zmian w systemie egzaminowania.

Zomi westchnęła. Rządzenie wiązało się z ogromną odpowiedzialnością. Musiała się nauczyć, jak radzić sobie w tej nowej roli, jak równoważyć swoją chęć wprowadzania radykalnych rozwiązań i mądrość tkwiącą w zachowawczości. A do tego wszystkiego Théra poprosiła ją, by miała baczenie na Phyro i dopilnowała, by z czasem przejął władzę.

– Oboje z matką będą wymagać od ciebie lojalności – powiedziała. – Musisz być ostrożna.

– Przecież wiesz, że nie jestem dobra w polityce – odparła Zomi. – Nigdy nie miałam niezbędnego wyczucia.

– Niech sumienie będzie twoim kierunkowskazem. Zaufaj też swojej miłości do ludzi. To oni zawsze są najważniejsi. Przynajmniej w tej kwestii wszyscy w Domu Mleczka się zgadzają.

Ponieważ dzień wyruszenia księżniczki w podróż zbliżał się nieubłaganie, Zomi chciała spędzać z nią jak najwięcej czasu. A jednak coś ją dręczyło w związku z wierszem Luana Zyajego, który zacytowała Théra. Wróciła do niego i przeczytała jeszcze raz.

Zważ rybę, wszechświat da się poznać.

Cruben wypływa; podnawka się odkleja.

Płaczące dziecko, uspokajający je rodzic,

Kompani o wielkim duchu, bracia,

Odbierające siły senne czuwanie

Empatia otaczająca cały świat.

Wyobrazić sobie nowe maszyny, zobaczyć nieznane lądy,

Uwierzyć, że łaska królów należy do wszystkich.

Wdzięcznym.

Skonsternowana wpatrywała się w logogramy. Czytając te wiersze po raz pierwszy, nie poświęciła im należytej uwagi ze względu na świeży jeszcze żal po stracie nauczyciela i ojca, ale teraz, ze spokojniejszym umysłem, zastanowiła ją forma tego wiersza. Luan Zyaji uwielbiał klasyczną poezję i tworzył doskonale utwory w ano. Jednak ten nie trzymał się żadnej znanej jej formy. Ano cenili symetrię wizualną, a ich wiersze zawsze były zgodne z wymogami gatunku. Powstawały z myślą o recytowaniu ich na głos, ale też o cichym podziwianiu wizualnego kunsztu.

Tymczasem w ostatnim wierszu Luana, jakby na przekór, każdy wers składał się z innej liczby logogramów: siedem, sześć, cztery, trzy, dwa, pięć, zero (pusta linijka), osiem, dziewięć, jeden... Dlaczego nauczyciel nagle stał się beztroski?

Oczywiście, pisał na łożu śmierci, możliwe więc, że zwyczajnie nie był w stanie zadbać także o efekt wizualny. Jednak Zomi czuła, że chodzi o coś innego.

„Wiersz składa się z dziesięciu linijek, a każda odpowiada innej cyfrze...” Luan nieustannie jej przypominał, że inżynieria to przede wszystkim sztuka łączenia istniejących komponentów w nowe całości, służące nowym celom. Czyżby wykorzystał formę wiersza, by przekazać jej wiadomość inną, niż sugerowała jego treść?

Zomi wróciła do obliczeń z *Gitré Üthu* dotyczących otwarcia się korytarza w Ścianie Burz. Zbyt wiele w nich pominięto, żeby mogła w pełni zrekonstruować tok myślowy swego nauczyciela, ale wszystko to, co przeczytała, miało dla niej sens.

Jej wzrok przykuły zapiski na marginesie jednej ze stron: szeregi kropek w porządku numerycznym: pusta linijka, jeden, dwa, trzy, cztery...

I wreszcie zrozumiała, dlaczego nauczyciel nadał wierszowi taką a nie inną formę: to był szyfr. Liczba logogramów w każdym wersie wskazywała prawdziwą cyfrę, podczas gdy pozycja wersu w wierszu była tą fałszywą, którą należało podmienić. W ten sposób siedem oznaczało zero, sześć oznaczało jeden, cztery oznaczało dwa i tak dalej.

Luan Zyaji zrobił wszystko, co mógł, żeby utrudnić odczytanie jego obliczeń, i przedstawił Lyucu fałszywe wyniki. Zostawił jednak Zomi klucz do ich rozszyfrowania, żeby mogła poznać te właściwe. W chwili śmierci nie był jednak pewien, czy informacje nie trafią w niepowołane ręce, dlatego przekazał swej uczennicy klucz w postaci wiersza.

Na morzu na północ od Dasu: piąty miesiąc pierwszego roku Rządów Sezonu

Burz

Na oczach Théry i Takvala Ściana Burz zamknęła się, pochłaniając statki-miasta. Obliczenia w *Gitré Ūthu* zawierały fałszywą datę; według kalkulacji Zomi korytarz miał się otworzyć dopiero za dziesięć lat. Świadectwem niezwykłych umiejętności Luana był fakt, że fałszywa data wyznaczała tymczasowe otwarcie się Ściany Burz. Wielki strateg musiał poświęcić wiele dni, by zastawić na Lyucu tak zmyślną pułapkę.

Théra wyobrażała sobie panikę, jaka ogarnęła pasażerów statków-miast, kiedy runęły na nich majestatyczne wodno-powietrzne góry rozświetlane przez błyskawice. Musieli czuć paralizujące przerażenie płynące ze świadomości, że nie ma dla nich ratunku, że od śmierci dzielą ich jedynie sekundy. Oto w jednej krótkiej chwili natura miała unicestwić więcej ludzi, niż zginęło w bitwie w zatoce Zathin. Sercem Théry zawładnął żal i musiała odwrócić wzrok.

Tak wyglądała pośmiertna zemsta Luana Zyajego.

Siły *pékyu* Vadyu na Rui i Dasu wciąż stanowiły zagrożenie dla Dary, lecz bez posiłków Cudyu istniała znacznie większa szansa, że Phyro i Jia zdołają pokonać Lyucu.

Théra pokręciła głową. Musiała zacząć myśleć o czymś innym.

– Przykro mi – powiedziała do Takvala. – Wygląda na to, że Zomi miała rację. Nie przebijemy się dzisiaj przez Ścianę Burz.

Takval był zrozpaczony.

– Ale nie możemy czekać! Kto wie, ilu jeszcze ludzi umrze w ciągu tych dziesięciu lat z powodu ostrej zimy i letnich susz?

– Być może nie będziemy musieli czekać tak długo – powiedziała Théra z uśmiechem. – Zomi znalazła dla nas inny sposób, w razie gdyby korytarz się nie utrzymał.

Zupełnie jakby w odpowiedzi na te słowa morze wzburzyło się i ponad fale wzbilo się dziesięć crubenów, majestatycznych władców oceanu. Kolysały się teraz na falach obok statków, które wydawały się przy nich ledwie łódeczkami.

Théra się roześmiała.

– Wygląda na to, że starzy przyjaciele Domu Mlecza znowu postanowili nam pomóc.

Flota została wyposażona w zdolność zanurzania się pod wodą nie tylko po to, by się ukrywać – był to też sposób na pokonanie Ściany Burz.

Zomi, zainspirowana sposobem, w jaki do Dary przybył książę Takval, obmyśliła śmiały plan. Ponieważ najwyraźniej wieloryby potrafiły przepłynąć bezpiecznie pod Ścianą Burz, prawdopodobnie to samo potrafiłyby uczynić łodzie podwodne. Chociaż mechaniczne crubeny były ograniczone do pływania wzdłuż łańcuchów podwodnych wulkanów, szczelny statek przystosowany do zejścia pod wodę mógłby skorzystać z rozwiązania stosowanego przez wielorybników.

„Przeganiającą Smutki” i pozostałą część floty wyposażono w harpuny i silne

sznury. Plan zakładał wykorzystanie migrujących stad wielorybów, które przeciągnęłyby łodzie na drugą stronę Ściany Burz.

Teraz jednak, zamiast rzucać harpunami w wieloryby, mogli skorzystać z pomocy crubenów.

Gdy załogi przywiązały sznury do ogonów ogromnych zwierząt, statki były gotowe do drogi.

– Uwaga! – zawołała jedna z czujek. Widoczna w oddali Ściana Burz już prawie się zamknęła. Podczas gdy statki-miasta tonęły, jedna z garinafin wzbila się w powietrze, by spróbować uniknąć tragicznego losu floty. Zauważyła ekspedycję Dary i ruszyła prosto w jej stronę.

Widząc to, Lyucu ze statku-miasta wysłanego przez *pékyu* Vadyu, obrali ten sam kurs.

– Pod wodę! Pod wodę!

Théra i Takval, podobnie jak cała reszta załogi, zbiegli pod pokład. Zamknięto luki, okienka na wiosła zostały zabezpieczone. Zbiorniki balastowe zaczęły wypełniać się wodą. „Przeganiająca Smutki” i pozostałe statki powoli tonęły.

– Zapomnieliśmy wysłać latawce sygnałowe! – zawołała Théra. Spojrzała przez bulaj na spienioną wodę. – Teraz Pan nie dowie się, że posiłki Lyucu zatonęły.

– Już za późno, żeby się tym martwić – rzekł Takval. – Niedługo sami się o tym przekonają.

Garinafina krążyła nad nimi. Cyklony tworzące Ścianę Burz zniszczyły statki-miasta, odbierając jej miejsce do lądowania. Pozbawiona pilota, przerażona i wściekła bestia zignorowała bezpieczne schronienie, jakim mógłby być dla niej zbliżający się statek-miasto Lyucu, chociaż z jego pokładu dobywały się dźwięki kościanych trąbek. Zwierzę zamierzało wylądować swój gniew na barbarzyńskich łodziach.

– Musimy coś zrobić – powiedziała Théra. – Statki potrzebują czasu, żeby się zanurzyć, a crubenom, dopóki znajdują się blisko powierzchni, może stać się krzywda.

Wraz z Takvalem wyszli z powrotem na pokład.

Garinafina obrała za cel crubena ciągnącego „Przeganiająca Smutki”. Oto królowa podniebnych szlaków zamierzała wyzwać na pojedynek króla mórza. Obie bestie mierzyły ponad trzydzieści metrów.

Garinafina otworzyła paszczę i przelatując tuż nad crubenem, kłapnęła paszczą. Uderzenie serca później spomiędzy jej szczęk buchnął płomień.

Cruben wypuścił powietrze i w stronę skrzydlatej bestii wystrzelił strumień wody. Ogień i woda z dzikim sykiem walczyły w powietrzu, a powierzchnię morza zasnuły kłęby pary. Reszta floty już niemal w całości znalazła się pod wodą. Théra wiedziała, że jeśli garinafina znów postanowi zionąć ogniem, może poważnie skrzywdzić crubena i tym samym uniemożliwić „Przeganiającej Smutki” zanurzenie się.

– Musimy odwrócić jej uwagę – powiedziała. – Chodź ze mną!

Żałowała, że nie mają ze sobą strzał jedwabiących albo lancy.

Razem z Takvałem zajęli pozycje obok wyciągarki do latawców sygnałowych.

– Latawce bojowe to naprawdę wiekowy wynalazek, lecz czasami trzeba walczyć tym, co się ma pod ręką.

Złapali za sznur, skierowali latawiec w stronę garinafiny – zupełnie jak w legendach, gdzie wierni słudzy pojedynkujących się w chmurach herosów pilotowali latawce, by unikały ciosów i ścigały przeciwnika. Wyglądało to tak, jakby pisali na niebie.

Sznur wpijał się Thérze i Takwalowi w dłonie. Zacisnęli zęby i żadne z nich nie poluzowało uchwytu, chociaż ich krew, wsiąkając w grube włókna, czyniła sznur jeszcze trudniejszym do utrzymania. Théra wydarła ze swej sukni dwa pasy materiału. Owinęli nimi dłonie i walczyli dalej.

Pozbawiona pilota garinafina warknęła na latawiec i zaatakowała.

Théra i Takval ledwo zdołali usunąć go z jej drogi. Rozwścieczone zwierzę klapnęło szczękami w charakterystyczny sposób i całą swoją uwagę skupiło na latawcu, zupełnie zapominając o flocie.

Wszystkie inne statki bezpiecznie skryły się pod wodą.

Théra i Takval szarpnęli mocno sznurem i płomień minął latawiec o zaledwie kilkanaście centymetrów.

Zrozumiawszy wreszcie swój błąd, garinafina skupiła wzrok na dwójce ludzi na pokładzie. Znów rozwarła szczęki.

– Ciągnij mocno! – wrzasnęła Théra. Oboje szarpnęli z całych sił i latawiec pomknął w ich stronę.

Skrzydłata bestia znów klapnęła zębami. Théra nie miała wątpliwości, że gdy tylko monstrum otworzy paszczę, jego ognisty oddech spopieli ich na miejscu.

Latawiec zmienił kurs i wkrótce otarł się o długą szyję zwierzęcia. Łopocząc na wietrze, okrążył kilkakrotnie głowę garinafiny, zataczając coraz mniejsze kręgi, aż w końcu zaplątał się w jej rogi. Jednocześnie sznur ciasno oplótł pysk bestii.

Garinafina zaczęła się szamotać. Wciągarka pracowała szybko, popuszczając linę.

– Wynośmy się stąd – powiedziała Théra. Zanurkowali pod pokład i zamknęli za sobą właz. „Przeganiająca Smutki” w dalszym ciągu nabierała wody do zbiorników.

Cruben zanurzył się, ściągając statek głębiej pod powierzchnię, i pomknął w stronę Ściany Burz. Jego ogromny ogon wyginał się z gracją w ciemniejącej toni.

Sznur latawca się napiął i garinafina powoli, lecz nieubłaganie zaczęła zbliżać się do powierzchni wody. Wreszcie uderzyła w nią z głośnym pluskiem, uduszona przez napięty do granic wytrzymałości sznur.

Załoga „Przeganiającej Smutki” poczuła nieznaczące szarpnięcie, kiedy latawiec się oderwał, pozostawiając martwą bestię kołyszącą się na falach.

Kiedy statek-miasto wreszcie do niej dopłynął, Lyucu nie pozostało nic innego, jak tylko poćwiartować zwłoki i zabrać to, co pożyteczne. Z drugiej floty nie przetrwał ani jeden człowiek i ani jedno zwierzę. Thanowie pograżyli się w żałobie po zmarłych braciach i siostrach. Konieczność przekazania tych wieści *pékyu* Vadyu

po powrocie na Rui również wprawiała ich w przygnębienie.

Théra wpatrywała się w mroczną toń. Jej flota zgodnie z planem płynęła w stronę Ściany Burz, w stronę nieznanego, w stronę przyszłości.



Głos był łagodny i melodyjny, kojący niczym chłodne źródło odkryte po całodziennym marszu przez pustynię.

– Naprawdę jesteś zdecydowany odejść w tej postaci?

Odpowiedział mu głos trzeszczący niczym żółwia skorupa.

– Nie mam innego wyjścia. Nie da się przedostać przez Ścianę Burz, pozostając nieśmiertelnym.

– Rezygnacja z boskości jest drastycznym krokiem.

– Tazu niegdyś, wiele lat temu, przeżył całe życie jako śmiertelnik.

– Taką dostał karę. Ty robisz to z własnej woli.

– Musisz przyznać, że robi się tu trochę nieprzyjemnie, gdy ci cali Lyucu upierają się, że ja i Tazu tworzymy jedność.

– Przejściowe trudności. Z czasem się ułoży.

– Może. Jednak nie tylko śmiertelnicy pragną odkryć nieznaną ląd. Chcę zobaczyć nowe ziemie, a zabranie się z „Przeganiającą Smutki” prowadzoną przez twoją ulubienicę jest nie najgorszą okazją. Zostanę szeregowym członkiem załogi płynącej na spotkanie z wielką przygodą.

– Będziemy tęsknić. Żaden bóg Dary nie poważyl się na to, na co ty się ważysz.

– Na wszystko przychodzi czas.

GLOSARIUSZ

DARA

cashima: uczony, który zaliczył drugi poziom w cesarskim systemie egzaminacyjnym. W klasycznym ano słowo to oznacza „praktykującego”. *Cashima* może zawijać włosy w potrójny kok i nosić przy sobie miecz. Może też pracować jako urzędnik dla zarządców i burmistrzów.

cruben: wieloryb pokryty łuskami z pojedynczym rogiem na głowie – symbol władzy cesarskiej.

cüpa: gra, w której na planszy ustawia się białe i czarne kamyki.

dyrana: latająca ryba, symbol kobiecości i zwiastun szczęścia; jest pokryta łuskami w kolorach tęczy i ma ostry pysk.

firoa: *cashima*, który znalazł się pośród stu najlepszych uczestników Wielkiego Egzaminu. W klasycznym ano słowo to oznacza „(dobrą) partię”. W zależności od swoich talentów *firoa* pracują albo w cesarskiej administracji, albo dla różnych wysoko postawionych arystokratów. Mogą też kontynuować naukę w Cesarskiej Akademii.

géüpa: swobodna pozycja, jaką przyjmuje się w sytuacjach nieformalnych; siada się na pośladkach, każdą stopę wtykając pod przeciwległe udo.

jiri: kobiecy ukłon; wymaga skrzyżowania rąk na piersi w geście szacunku.

kunikin: duży kielich na trzech nogach.

sokól Mingén: gatunek niezwykle dużych sokołów z wyspy Rui.

mipa rari: pozycja, jaką przyjmuje się w sytuacjach formalnych; wymaga klęczenia z wyprostowanymi plecami i równomiernego rozłożenia ciężaru ciała między kolana i stopy.

moaphya: dawny instrument Ano z rodziny instrumentów perkusyjnych metalowych. Składa się z ramy i zawieszonych na niej prostokątnych sztabek z brązu o różnej grubości. Uderza się w nie młotkiem, by wydobywać dźwięki o różnej tonacji.

ogé: krople potu.

pana méji: uczony, który zdobył wyjątkowo wysoką ocenę na Wielkim Egzaminie i otrzymał szansę wzięcia udziału w egzaminie pałacowym, gdzie cesarz osobiście ocenia kandydatów i przydziela im stanowiska. W klasycznym ano wyrażenie *pana méji* oznacza „na liście”.

pawi: zwierzęcy atrybut bogów Dary.

rénga: oficjalny tytuł, którego należy używać, zwracając się do cesarza.

thakrido: niezwykle swobodna pozycja siedząca, w której nogi są wyprostowane; odpowiednia wyłącznie w obecności podwładnych lub członków rodziny.

toko dawiji: uczony, który zaliczył pierwszy poziom w cesarskim systemie

egzaminacyjnym. W klasycznym ano wyrażenie to znaczy „podniesiony”. *Toko dawiji* może zawijać włosy w podwójny kok.

tunoa: winogrona.

-tika: przyrostek wyrażający czułość, stosowany względem członków rodziny.

LYUCU

kyoffir: napój alkoholowy otrzymywany w procesie fermentacji mleka.

garinafina: latająca i zionąca ogniem bestia, niezwykle ważna dla kultury Lyucu. Ma tułów wielkości trzech słoni, długi ogon, dwie ptasie nogi, parę ogromnych skórzastych skrzydeł i długą, węzową szyję zwieńczoną głową, z której wyrastają rogi podobne do jelenich.

tolyusa: roślina o właściwościach halucynogennych, której owoce są niezbędne garinafinom do rozrodu.

UWAGI I PODZIĘKOWANIA

Magię Dary w większości tworzy to, co my nazwalibyśmy „technologią”. Swoje przemyślenia na ten temat w dużej mierze zawdzięczam lekturze *The Nature of Technology: What It Is and How It Evolves* W. Briana Arthura, gdzie znalazłem wiele z głównych idei, jakie przyświecały bohaterom tej powieści.

Jeśli chcecie poczytać o niesamowitych wynalazkach elektrostatycznych, zajrzyjcie do *Draw the Lightning Down: Benjamin Franklin and Electrical Technology in the Age of Enlightenment* Briana Shiffera. W trakcie prac nad swoją powieścią nieraz serwowałem sobie wstrząs za pomocą maszyny Wimshursta i kilku butelek lejdejskich – nie polecam tego rodzaju eksperymentów.

Lustra z brązu, które rzucają obrazy wyrzeźbione na ich tylnych częściach, chociaż wydają się mieć zupełnie gładką powierzchnię, istniały w czasach dynastii Han. Aby dowiedzieć się na ich temat czegoś więcej, zajrzyjcie do artykułu *Oriental Magic Mirrors and the Laplacian Image* M. V. Berry’ego z „European Journal of Physics” (27.01.2006, s. 109).

Tuby ogniowe podobne do tych używanych przez Adüanów przez wiele pokoleń stosowali mieszkańcy południowo-wschodniej Azji oraz wysp pacyficznych.

Pisząc szantę śpiewaną przez załogę „Jedwabiącej Strzały”, inspirowałem się *The Silk-Making Woman* Zhang Yu, jedenastowiecznej poetki z czasów dynastii Song.

Bardzo dziękuję Igorowi Teperowi, któremu zawdzięczam pomysł na wykorzystanie wnętrza garinafiny jako izolatora w butelce lejdejskiej, a także Amal El-Mohtar, która nauczyła mnie kenningu „zwierzę głodne słów”.

Jak zawsze wiele bezcennych opinii i cudownych sugestii, dzięki którym ta powieść dużo zyskała, pochodziło od moich beta-readerów. Oto oni: Anatoly Belilovsky, Dario Ciriello, Anaea Lay, Usman Malik, John P. Murphy, Erica Naone, Alex Shvartsman, Carmen Yiling Yan, Florina Yezril oraz Caroline Yoachim. Bardzo dziękuję.

Mój redaktor, Joe Monti, oraz mój agent, Russ Galen, prowadzili mnie ze spokojem i opanowaniem przez ścianę burz, która groziła wywróceniem tej książki do góry dnem. Joe okazał się szczególnie pomocny przy kilku wyjątkowo ciemnych fragmentach. Wszyscy pracownicy Saga Press i Simon & Shuster włączyli się w prace nad uczynieniem tej książki tak dobrej, jak to tylko możliwe, a ja jestem im za to wdzięczny. Jeannie Ng i Valerie Shea wyłapały błędy w manuskrypcie. Michael McCartney, Sam Weber i Robert Lazzaretti stworzyli piękne grafiki, okładkę i mapy. Elena Stokes, Katy Hershberger i Aubrey Churchward zadbały o dobrą reklamę.

Najważniejszą jednak rolę odegrała moja rodzina. Moja teściowa, Helen Tang, pomagała przy dzieciach, żebym miał czas na pisanie w weekendy. Moja żona, Lisa, była najbardziej krytyczną beta-readerką spośród wszystkich i to właśnie jej zawdzięczam przekonanie, że jestem w stanie ukończyć coś, co wydawało się

niemożliwe. Przede wszystkim zaś dziękuję moim córkom – ich zachwyt nad światem był iskrą, która rozpała serce tej książki.

*** W oryginale *silkmotif force* powstała poprzez połączenie słów *silk* (jedwab) i *motes* (drobinki). W przekładzie, zgodnie z sugestią Leszka Cyfra, skupiliśmy się na samym procesie przyciągania, czyli wabienia, dlatego jest to siła jedwabiąca (przyp. tłum.).**